

Bohater wielk6w

Brandon
Sanderson



Brandon Sanderson

BOHATER

WIEKÓW

The Hero of Ages

Przełożyła Anna Studniarek

Dedykowane Jordanowi Sandersonowi

Który może wyjaśnić każdemu kto zapyta

Jak to jest mieć brata

Który spędza większość czasu śniąc.

(Dzięki, że ze mną wytrzymujesz)

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, na moje podziękowania zasługuje wiele osób, bez których ta książka wyglądałaby zupełnie inaczej. Przede wszystkim, mój redaktor i mój agent - Moshe Feder i Joshua Bilmes - dzięki którym projekty osiągają swój pełen potencjał. Jak również moja cudowna żona, Emily, która była dla mnie wielkim wsparciem i pomocą w procesie pisarskim.

Podobnie jak wcześniej, Isaac Stewart (nethermore.com) przygotował doskonałe mapy, symbole rozdziałów i krąg metali allomantycznych. Naprawdę doceniam również pracę Christiana McGratha - ta okładka jest moją ulubioną w całym cyklu. Dziękuję Larry'emu Yodelowi, za to, że jest wspianiały, i Dot Lin z wydawnictwa Tor, za promocję moich książek. Denisowi Wongowi i Stacy Hague-Hill, za pomoc mojemu redaktorowi oraz -

jak zawsze - cudownej Irene Galio i Sethowi Lernerowi za kierownictwo artystyczne.

Do pierwszych czytelników tej książki należą: Paris Elliott, Emily Sanderson, Krista Olsen, Ethan Skarstedt, Eric J. Ehlers, Eric „More Snooty” James Stone, Jillena O'Brien, C.

Lee Player, Bryce Cundick/Moore, Janci Patterson, Heather Kirby, Sally Taylor, Bradley Reneer, Steve „Not Bookstore Guy Anymore” Diamond, General Micah Demoux, Zachary

„Spook” J. Kaveney, Alan Layton, Janette Layton, Kaylynn ZoBell, Nate Hatfield, Matthew Chambers, Kristina Kugler, Daniel A. Wells, The Indivisible Peter Ahlstrom, Marianne Pease, Nicole Westenskow, Nathan Wood, John David Payne, Tom Gregory, Rebecca Dorff, Michelle Crowley, Emily Nelson, Natalia Judd, Chelise Fox, Nathan Crenshaw, Madison VanDenBerghe, Rachel Dunn i Ben OleSoon.

Jestem również wdzięczny Jordanowi Sandersonowi - któremu ta powieść jest dedykowana - za niezmierną pracę nad moją stroną internetową. Jeff Creer również wykonał kawał dobrej roboty z ilustracjami na BrandonSanderson.com. Zajrzyjcie tam!

PROLOG

Marsh próbował się zabić.

Jego dłoń zadrżała, gdy starał się zebrać siły, by podnieść rękę, wyrwać kolec z pleców i zakończyć potworną egzystencję. Nie próbował się już uwolnić. Trzy lata. Trzy lata w postaci Inkwizytora, trzy lata uwięzienia we własnych myślach. Te lata udowodniły, że nie ma ucieczki. Nawet teraz jego myśli się zaćmiły.

A później To przejęło kontrolę. Świat wokół niego jakby wibrował - i nagle zaczął

widzieć wszystko wyraźnie. Dlaczego walczył? Dlaczego się martwił? Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Zrobił krok do przodu. Choć nie widział już tak jak zwyczajni ludzie - w końcu w jego oczodoły wbito potężne stalowe kolce - wyczuwał pomieszczenie wokół siebie. Kolce wystawały z tyłu jego czaszki. Gdyby wyciągnął rękę i dotknął tyłu głowy, poczułby ostre końce. Nie było krwi.

Kolce dawały mu moc. Wszystko otaczały niebieskie allomantyczne linie, rozjaśniając świat. Pomieszczenie było średnich rozmiarów, a wraz z Marshem znajdowało się w nim kilku towarzyszy - również otoczonych błękitem, allomantyczne linie wskazywały na metale w ich krwi. Każdy miał kolce w oczodołach.

To znaczy, każdy poza mężczyzną przywiązanym przed nim do stołu. Marsh uśmiechnął się, wziął kolec ze stołu i unióś go. Więzień nie został zakneblowany. To by stłumiło krzyki.

- Proszę - wyszeptał więzień i zadrżał. Nawet terrisański lokaj załamywał się, mając w perspektywie własną gwałtowną śmierć.

Mężczyzna próbował się szarpać. Znajdował się w bardzo niewygodnej pozycji, został

bowiem przywiązany na innej osobie. Stół zaprojektowano w taki właśnie sposób, wgłębienie mieściło ciało poniżej.

- Czego chcecie? - spytał Terrisanin. - Nic już wam nie powiem o Synodzie.

Marsh pomacał mosiężny kolec, czując jego ostry koniec. Miał pracę do wykonania, lecz zawahał

się, smakując ból i przerażenie w głosie mężczyzny. Zawahał się, żeby móc...

Marsh zapanował nad własnym umysłem. Słodki aromat sali zniknął, zastąpiony przez smród krwi i śmierci. Jego radość zmieniła się w grozę. Więzień był terrisańskim Opiekunem, człowiekiem, który całe życie pracował dla dobra innych. Zabicie go będzie nie tylko zbrodnią, ale i tragedią. Marsh próbował zapanować nad sobą, unieść rękę i wyrwać najważniejszy kolec z pleców - jego usunięcie zabiłoby go.

To jednak było zbyt silne. Moc. Jakimś sposobem panowała nad Marshem - i potrzebowała go oraz innych Inkwizytorów jako swoich rąk. Była wolna - Marsh wciąż czuł, jak się tym raduje - lecz coś nie pozwalało jej zbyt mocno wpływać na świat. Przeciwnik.

Siła, która otaczała świat niczym tarcza.

To nie było jeszcze pełne. Potrzebowało więcej. Czegoś jeszcze... czegoś ukrytego. A Marsh to odnajdzie, przyniesie swojemu panu. Panu, którego Vin uwolniła. Istocie, która została uwięziona w Studni Wstąpienia.

Nazywała się Zniszczeniem.

Marsh uśmiechnął się, gdy jego więzień zaczął płakać. Później zrobił krok do przodu, unosząc kolec. Przytknął go do piersi skamlącego mężczyzny. Kolec musiał przebić jego ciało, przesywając serce, a później wbić się w ciało Inkwizytora przywiązanego poniżej.

Hemalurgia była brudną sztuką.

I dlatego była taka zabawna. Marsh uniósł drewniany młot i zaczął uderzać.

CZEŚĆ PIERWSZA

DZIEDZICTWO

OCALAŁEGO

Niestety, jestem Bohaterem Wieków.

1

Fatren zmrużył oczy i spojrzał w czerwone słońce, które kryło się za zasłoną ciemnych oparów. Czarny popiół opadał z nieba, jak niemal każdego dnia. Grube płatki spadały prosto, powietrze było nieruchome i gorące, bez śladu wietrzyka, który mógłby poprawić nastrój mężczyzny. Westchnął, oparł się o umocnienia i spojrzał na Vetitan. Swoje miasto.

- Jak długo? - spytał.

Druffel podrapał się po nosie. Na twarzy miał ciemne plamy popiołu. Ostatnio nie dbał

zbyttnio o higienę. Oczywiście, Fatren wiedział, że biorąc pod uwagę wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy, sam też nie wygląda najlepiej.

- Może godzinę - odparł Druffel, spluwając na ziemny wał.

Fatren westchnął i wpatrzył się w opadający popiół.

- Myślisz, że to prawda, Druffel? To, co mówią ludzie?

- Co? - odpowiedział tamten pytaniem. - Że świat się kończy?

Fatren pokiwał głową.

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

- Jak możesz tak mówić?

Druffel wzruszył ramionami i znów się podrapał.

- Jak tylko przybędą te kolosy, zginę. Dla mnie to koniec świata.

Fatren zamilkł. Nie lubił wypowiadać swoich wątpliwości, uważano go w końcu za silnego. Kiedy panowie opuścili miasto - rolniczą osadę, nieco bardziej cywilizowaną niż plantacje na północy - to Fatren przekonał skaa, by nadal pracowali na roli. To Fatren ochronił ich przed werbownikami. W czasach, gdy w większości wiosek i plantacji wszyscy zdrowi mężczyźni trafili do takiej czy innej armii, w Vetitan wciąż miał kto pracować.

Musieli poświęcić dużą część zbiorów na łapówki, ale Fatren zapewnił im bezpieczeństwo.

W większości.

- Mgły ustąpiły dziś dopiero koło południa - powiedział cicho Fatren. - Zostają coraz dłużej. Widziałeś rośliny, Druff. Nie radzą sobie dobrze, pewnie za mało słońca. Tej zimy nie będziemy mieli co jeść.

- Nie dotrwamy do zimy - stwierdził jego towarzysz. - Nie dotrwamy do wieczora.

Co smutne - naprawdę przygnębiające - to Druffel był kiedyś optymistą. Fatren od wielu miesięcy nie słyszał śmiechu swego brata. Ten śmiech był ulubionym dźwiękiem Fatrena.

Nawet młyny Ostatniego Imperatora nie wymłóciły z Druffa jego śmiechu, pomyślał

Fatren. Ale ostatnie dwa lata tego dokonały.

- Fats! - zawołał ktoś. - Fats!

Fatren podniósł wzrok, gdy na wał wspiął się chłopiec. Z trudem ukończyli umocnienia - pomyśl

Druffela, w czasach, zanim się poddał. Vetitan miało około siedmiu tysięcy mieszkańców, czyli było całkiem spore. Mnóstwo wysiłku wymagało otoczenie go wałem.

Fatren miał może tysiąc prawdziwych żołnierzy - w tak małej grupie trudno było zebrać ich więcej - i może kolejny tysiąc zbyt młodych, zbyt starych lub zbyt słabo wyszkolonych, by dobrze walczyć. Nie wiedział, jak wielka była armia kolosów, lecz z pewnością większa niż dwa tysiące. Wał im nie pomoże.

Chłopak - Sev - w końcu dotarł do Fatrena.

- Fats! - powiedział Sev. - Ktoś idzie!

- Już? - spytał Fatren. - Druff mówił, że kolosy są jeszcze daleko.

- Nie kolosy, Fats - poprawił go chłopak. - Człowiek. Chodźcie go zobaczyć!

Fatren odwrócił się do Druffa, który wytarł nos i wzruszył ramionami. Podążyli za Sevem wzdłuż wału, w stronę głównej bramy. Popiół i kurz kłębiły się nad ubitą ziemią, zbierając się w rogach. Ostatnio nie mieli czasu na sprzątanie. Kobiety musiały pracować na polach, gdy mężczyźni szkolili się i przygotowywali do wojny.

Przygotowania do wojny. Fatren mówił sobie, że ma dwa tysiące „żołnierzy”, choć naprawdę miał tysiąc skaa z mieczami. Szkolili się przez dwa lata, to prawda, lecz brakowało im doświadczenia.

Grupa mężczyzn tłoczyła się przy bramie, stojąc na wale lub opierając się o niego.

Może nie powinienem tyle poświęcać na szkolenie żołnierzy, pomyślał Fatren. Gdyby ten tysiąc pracował w kopani, mielibyśmy rudę na łapówki.

Tyle tylko, że kolosy nie przyjmowały łapówek. Zabijały. Fatren zadrzał, myśląc o Garthwood. To miasto było większe od jego, lecz do Vetitan dotarła mniej niż setka uciekinierów. Wszystko wydarzyło się przed trzema miesiącami. Miał irracjonalną nadzieję, że kolosy zadowolili zniszczenie tamtego miasta.

Powinien był się domyślić. Kolosy nigdy nie były zadowolone.

Fatren wspiał się na wał, a za nim podążyli żołnierze w połatanych ubraniach z ponaszywanymi kawałkami skóry. Spojrzał poprzez spadający popiół na ciemny krajobraz, który wyglądał tak, jakby pokrywał go głęboki, czarny śnieg.

Zbliżał się samotny jeździec, ubrany w ciemny płaszcz z kapturem.

- Jak myślisz, Fats? - spytał jeden z żołnierzy. - Zwiadowca kolosów?

Fatren prychnął.

- Kolosy nie wysłałyby zwiadowcy, a szczególnie człowieka.

- Ma konia - powiedział Druffel, chrząkając. - Przydałby się nam jeszcze jeden. -

Miasto miało ich tylko pięć, a wszystkie były niedożywione.

- Kupiec - stwierdził jeden z żołnierzy.

- Żadnych towarów - sprzeciwił się Fatren. - I musiałby być bardzo odważnym kupcem, żeby samotnie zapuścić się w te okolice.

- Nigdy nie widziałem uciekiniera na koniu - zauważył jeden z mężczyzn. Uniósł łuk, spoglądając na Fatrena.

Przywódca pokręcił głową. Nikt nie wystrzelił, gdy obcy zbliżał się do nich niespiesznie. Zatrzymał wierzchowca tuż przed bramą miasta. Fatren był z niej bardzo dumny. Prawdziwa drewniana brama w ziemnym wale. Drewno i kamień wziął z pańskiego dworu w centrum miasta.

Gruby, ciemny płaszcz, noszony dla ochrony przed popiołem, ukrywał postać przybysza. Fatren spojrzał ponad szczytem wału, wpatrując się w obcego, a później spojrzał

na brata i wzruszył ramionami.

Obcy zeskokczył z konia.

Wzniósł się prosto w niebo, jakby podrzucony, a jednocześnie zrzucił płaszcz. Pod spodem mężczyzna nosił idealnie biały mundur.

Fatren zaklął i odskoczył do tyłu, gdy obcy wzniósł się ponad wałem i wylądował na szczycie bramy. Mężczyzna był Allomantą. Szlachetnie urodzony. Fatren miał nadzieję, że tamci zajmą się swoimi przepychankami na północy i zostawią jego ludzi w spokoju.

A przynajmniej dadzą im w spokoju umrzeć.

Przybysz odwrócił się. Miał krótką brodę i krótko obcięte ciemne włosy.

- Dobrze - powiedział, idąc po szczycie bramy z nienaturalnym wyczuciem równowagi

- nie mamy czasu. Zabierajmy się do roboty.

Zstąpił z bramy na wał. Druffel natychmiast wyciągnął miecz.

Ostrze wyrwało się z dłoni Druffela, przyciągnięte niewidzialną mocą. Obcy chwycił

broń, gdy mijała jego rękę. Obrócił miecz i przyjrzał mu się uważnie.

- Dobra stal - stwierdził, kiwając głową. - Jestem pod wrażeniem. Jak wielu waszych żołnierzy jest tak dobrze wyposażonych? - Obrócił broń rękojeścią do przodu i podał ją Druffelowi.

Druffel spojrział na brata, wyraźnie zdezorientowany.

- Kim jesteś? - spytał Fatren, zebrawszy się na odwagę. Nie wiedział zbyt wiele na temat Allomancji, ale był przekonany, że obcy jest Zrodzonym z Mgły. Mógł pewnie samą myślą zabić wszystkich na wale.

Obcy zignorował pytanie i odwrócił się w stronę miasta.

- Ten wał otacza całe miasto? - spytał, odwracając się w stronę jednego z żołnierzy.

- Yyy... tak, milordzie - odparł zapytany.

- Ile macie bram?

- Tylko jedną, milordzie.

- Otwórzcie ją i wprowadźcie mojego konia do środka - stwierdził przybysz. -

Zakładam, że macie stajnie?

- Tak, milordzie - odparł żołnierz.

Cóż, pomyślał z niezadowoleniem Fatren, gdy żołnierz odbiegł, ten przybysz z pewnością umie dowodzić ludźmi. Żołnierz nawet przez chwilę się nie zawahał, nie pomyślał, że wykonuje rozkazy obcego, nie prosząc o pozwolenie. Fatren widział już, jak pozostali się prostują, tracąc rezerwę. Ten przybysz mówił tak, jakby się spodziewał, że jego rozkazy zostaną wypełnione, a żołnierze na to reagowali. To nie był szlachetnie urodzony, jakich znał

Fatren, gdy służył w dworze pana. Ten mężczyzna był inny.

Obcy wciąż przyglądał się miastu. Popiół opadał na jego piękny biały mundur i Fatren pomyślał, że to szkoda, by strój się pobrudził. Przybysz pokiwał głową, po czym zaczął

schodzić z wału.

- Zaczekaj - powiedział Fatren, zmuszając obcego do zatrzymania się. - Kim jesteś?

Przybysz odwrócił się i spojrział Fatrenowi w oczy.

- Nazywam się Elend Venture. Jestem waszym cesarzem.

Z tymi słowami mężczyzna odwrócił się i ruszył dalej w dół umocnień. Żołnierze rozstąpili się przed nim, po czym wielu podążyło za nim.

Fatren spojrział na brata.

- Cesarz? - mruknął Druffel i splunął.

Fatren zgadzał się z jego podejściem. Co miał robić? Nigdy wcześniej nie walczył

przeciwko Allomancie, nie był nawet pewien, jak zacząć. „Cesarz” z pewnością bez trudu rozbroiłby Druffela.

- Zorganizujcie mieszkańców miasta - rzucił obcy... Elend Venture. - Kolosy nadejdą z północy. Zignorują bramę i wejdą na wał. Chcę, żeby starsi i dzieci skupili się w południowej części miasta. Zgromadźcie ich w jak najmniejszej liczbie domów.

- A co to da? - spytał Fatren. Nie widząc innej możliwości, pośpieszył za „cesarzem”.

- Kolosy są najbardziej niebezpieczne, kiedy opanowuje je żądza krwi - odparł

Venture, nie przerywając marszu. - Jeśli uda im się zdobyć miasto, to powinny jak najwięcej czasu zmarnować na szukanie waszych ludzi. Jeśli żądza krwi kolosów minie podczas poszukiwań, opanuje je frustracja i zabiorą się za łupienie. Wtedy twoim ludziom może uda się uciec.

Venture przerwał i spojrzał w oczy Fatrenowi. Miał ponurą minę.

- To niewielka nadzieja. Ale zawsze coś.

Wypowiedziawszy te słowa, ruszył dalej, główną ulicą miasteczka.

Za plecami Fatren słyszał szepty żołnierzy. Wszyscy słyszeli o mężczyźnie nazywającym się Elend Venture. To on ponad dwa lata temu zdobył władzę w Luthadel po śmierci Ostatniego Imperatora. Wieści z północy pojawiały się rzadko i nie były wiarygodne, ale wszystkie wspominały o Venture. Walczył z rywalami do tronu, nawet zabił swojego ojca.

Ukrywał fakt, że jest Zrodzonym z Mgły i podobno poślubił właśnie tę kobietę, która zabiła Ostatniego Imperatora. Fatren wątpił, by ktoś tak ważny - pewnie bardziej legenda niż prawdziwy człowiek - przybył do tak małego miasteczka w Południowym Dominium, i to jeszcze samotnie. Nawet kopalnie nie miały większego znaczenia. Obcy musiał kłamać.

Ale... na pewno był Allomantą...

Fatren przyśpieszył kroku, by nadążyć za obcym. Venture - czy też kimkolwiek był -

zatrzymał się przed dużą budowlą w pobliżu centrum miasta. Stara siedziba Stalowego Zakonu. Fatren kazał zabić deskami wejścia i okna.

- Tam znaleźliście broń? - spytał Venture, zwracając się do Fatrena.

Mężczyzna milczał przez chwilę. W końcu potrząsnął głową.

- W dworze lorda.

- Zostawił swoją broń? - spytał zaskoczony Venture.

- Myślmy, że pewnie miał zamiar wrócić - wyjaśnił Fatren. - Żołnierze, których pozostawił, w końcu zdezerterowali, dołączając do mijającej nas armii. Zabrali wszystko, co mogli unieść. My zużytkowaliśmy resztę.

Venture pokiwał głową, z namysłem drapiąc się po brodzie i wpatrując w stary budynek Zakonu. Budowla była wysoka i robiła złowrogie wrażenie, mimo opuszczenia - a może ze względu na nie.

- Wasi ludzie wyglądają na dobrze wyszkolonych. Nie spodziewałem się tego. Czy mają doświadczenie w walce?

Druffel cicho prychnął, co oznaczało, że uważa przybysza za wścibskiego.

- Nasi ludzie walczyli wystarczająco wiele, by stali się niebezpieczni, obcy -

powiedział Fatren. - Kiedyś bandyci chcieli odebrać nam miasto. Uważali, że jesteśmy słabi i damy się łatwo zastraszyć.

Jeśli obcy uznał te słowa za groźbę, nie pokazał tego po sobie. Po prostu pokiwał głową.

- Czy walczyliście przeciwko kolossom?

Bracia wymienili się spojrzeniami.

- Ludzie, którzy walczą przeciwko kolossom, giną, obcy - powiedział w końcu Fatren.

- Gdyby to była prawda - stwierdził Venture - zginąłbym już parę razy. - Odwrócił się w stronę zbierającego się tłumu żołnierzy i mieszkańców miasta. - Nauczę was wszystkiego, co wiem o walce przeciwko kolossom, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Chcę, żeby kapitanowie i dowódcy oddziałów zebrali się przy bramie w ciągu dziesięciu minut. Żołnierze mają stanąć w szyku wzdłuż wału... nauczę dowódców kilku sztuczek, które mogą przekazać swoim ludziom.

Niektórzy żołnierze się poruszyli, lecz trzeba im przyznać, że większość została na swoich miejscach. Przybysz nie wydawał się obrażony, że jego rozkazy nie zostały wykonane. Stał w milczeniu, wpatrując się w uzbrojony tłum. Nie wyglądało na to, że jest przestraszony ani też zły czy pełen dezaprobaty. Wyglądał... majestatycznie.

- Milordzie - spytał w końcu jeden z żołnierzy. - Czy... przyprowadziliście ze sobą armię, by nam pomogła?

- Nawet dwie - odparł Venture. - Ale nie mamy czasu na nie czekać. - Spojrzał

Fatrenowi w oczy. - Napisałeś i poprosiłeś mnie o pomoc. A ja, jako twój suweren, przybyłem z nią. Czy nadal jej pragniesz?

Fatren zmarszczył czoło. Nigdy nie prosił tego człowieka - ani żadnego lorda - o pomoc. Otworzył

usta, by wyrazić sprzeciw, ale się zawahał. Pozwoli mi udawać, że posłałem po niego, pomyślał. Takie udawanie było częścią jego planu. Mógłbym oddać mu władzę bez poczucia porażki.

Zginiemy. Choć, patrząc w oczy tego człowieka, mogę prawie uwierzyć, że mamy szansę.

- Nie... spodziewałem się, że przybędziecie samotnie, milordzie - powiedział w końcu Fatren. - Zaskoczył mnie wasz widok.

Venture pokiwał głową.

- To zrozumiałe. Chodź, omówimy taktykę.

- Dobrze - odparł Fatren.

Gdy zrobił krok do przodu, Druffel chwycił go za ramię.

- Co ty wyprawiasz? - syknął. - Posłałeś po tego człowieka? Nie wierzę.

- Zbieraj żołnierzy, Druff - powiedział Fatren.

Jego brat stał przez chwilę bez ruchu, po czym zaklął cicho i odszedł. Nie wyglądało na to, że ma zamiar zebrać ludzi, więc Fatren gestem nakazał to zrobić dwóm kapitanom.

Potem dołączył do Venture i razem ruszyli w stronę bramy. Venture kazał paru żołnierzom pójść przodem i utorować im drogę, by mogli z Fatrenem porozmawiać na osobności. Popiół

nadal padał z nieba, zasypując czernią ulicę, zbierając się na dachach pochylonych parterowych domków.

- Kim jesteś? - spytał cicho Fatren.

- Jestem tym, kim powiedziałem - odparł Venture.

- Nie wierzę ci.

- Ale mi ufasz.

- Nie, po prostu nie chcę się kłócić z Allomantą.

- To na razie wystarczy - stwierdził obcy. - Posłuchaj, przyjacielu, na twoje miasto maszeruje dziesięć tysięcy kolosów. Potrzebujesz wszelkiej pomocy.

Dziesięć tysięcy? - pomyślał z oszołomieniem Fatren.

- Jak zakładam, kierujesz tym miastem? - spytał Venture.

Fatren się otrząsnął.

- Tak - odparł. - Nazywam się Fatren.

- Dobrze, lordzie Fatrenie, możemy...

- Nie jestem lordem - sprzeciwił się Fatren.

- Właśnie nim zostałeś - odparł Venture. - Później możesz wybrać sobie nazwisko. A teraz, zanim ruszymy dalej, musisz poznać warunki, na jakich udzielę wam pomocy.

- Jakie to warunki?

- Niepodlegające negocjacom - stwierdził Venture. - Jeśli zwyciężymy, przysięgniesz mi lojalność.

Fatren zmarszczył czoło i zatrzymał się na ulicy. Popiół padał wokół niego.

- Czyli o to chodzi? Wchodzicie tu przed walką, twierdzicie, że jesteście jakimś tam wysokim lordem, byście mogli przypisać sobie zasługi za nasze zwycięstwo. Dlaczego miałbym przysiąc lojalność człowiekowi, którego poznałem przed kilkoma chwilami?

- Ponieważ jeśli tego nie zrobisz - odparł cicho Venture - i tak odbiorę ci dowodzenie.

- Po czym ruszył dalej.

Fatren stał jeszcze przez chwilę, lecz zaraz pośpiesznie dołączył do towarzysza.

- Ach, rozumiem. Nawet jeśli przeżyjemy tę bitwę, skończymy pod władzą tyrana.

- Tak - odparł Venture.

Fatren się skrzywił. Nie spodziewał się, że mężczyzna będzie mówił tak otwarcie.

Venture potrząsnął głową, wpatrując się w miasto przez spadający popiół.

- Kiedyś sądziłem, że da się to przeprowadzić inaczej. I wciąż wierzę, że pewnego dnia mi się to uda. Ale na razie nie mam wyboru. Potrzebuję twoich żołnierzy i twojego miasta.

- Mojego miasta? - powtórzył Fatren. - Po co?

Venture uniósł dłoń.

- Musimy najpierw przeżyć tę bitwę. Później zajmiemy się innymi kwestiami.

Fatren zawahał się i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że rzeczywiście ufa temu obcemu. Nie umiałby wyjaśnić, dlaczego tak się czuje. To po prostu był człowiek, za którym chciał podążać - przywódca, jakim on sam zawsze pragnął się stać.

Venture nie czekał, aż Fatren zgodzi się na „warunki”. To nie była propozycja, lecz ultimatum. Fatren znów pośpiesznie ruszył za Venture i dogonił go przy wejściu na niewielki plac przed bramą. Wokół

kłębili się żołnierze. Nie mieli mundurów - kapitanów od zwykłych żołnierzy odróżniała jedynie czerwona opaska na ramieniu. Venture nie dał im wiele czasu na zbiórkę, ale wszyscy wiedzieli, że miasto wkrótce zostanie zaatakowane.

- Mamy mało czasu - powtórzył głośno przybysz. - Mogę was nauczyć tylko kilku rzeczy, ale one wam pomogą.

Kolossy mają różne rozmiary, od małych, wysokich na pięć stóp, do wielkich, górujących na dwanaście stóp. Jednakże nawet te małe są silniejsze od was. Bądźcie na to przygotowani. Całe szczęście, stwory walczą bez koordynacji między jednostkami. Jeśli jeden koloss ma kłopoty, inne mu nie pomogą. Nie martwcie się stworami, które miną wasze szyki i wejdą do miasta - ukryjemy cywilów na samym końcu miasta, a kolossy, które miną nasze szeregi, najpewniej zajmą się plądrowaniem, walkę pozostawiając innym. Tego właśnie chcemy! Nie gońcie ich po mieście. Wasze rodziny będą bezpieczne. Walcząc z dużym kolossem, atakujcie nogi, powalcie go, zanim spróbujecie go zabić. Walcząc z małym kolossem, upewnijcie się, że wasze miecze albo włócznie nie zaplączą się w fałdach ich skóry. Pamiętajcie, że kolossy nie są głupie - jedynie nieskomplikowane. Przewidywalne.

Zaatakują was w najprostszy możliwy sposób i jedynie bezpośrednio. Najważniejsze, żebyście zrozumieli, że można je pokonać. Dziś to zrobimy. Nie dajcie się zastraszyć!

Walczcie w szyku, nie traćcie głowy, a obiecuję wam, że przeżyjemy!

Kapitanowie stali w niewielkiej grupce, wpatrując się w Venture'a. Nie wiwatowali, ale wydawali się nieco bardziej pewni siebie. Odeszli, by przekazać wskazówki swoim ludziom.

Fatren podszedł do cesarza.

- Jeśli dobrze liczycie, mają przewagę pięciu na jednego.

Venture pokiwał głową.

- Są większe, silniejsze i lepiej wyszkolone od nas.

Venture znów pokiwał głową.

- To jesteśmy zgubieni.

Venture w końcu spojrzał na Fatrena, marszcząc czoło. Czarny popiół spadał na jego ramiona.

- Nie jesteście zgubieni. Macie coś, czego oni nie mają, coś bardzo ważnego.

- Co takiego?

Venture spojrzał mu w oczy.

- Macie mnie.

- Wasza Wysokość! - zawołał ktoś ze szczytu wału. - Kolossy!

Już zaczęli zwracać się do niego jako pierwszego, pomyślał Fatren. Nie wiedział, czy powinien czuć się urażony, czy podziwiać.

Venture natychmiast wskoczył na szczyt wału, wykorzystując Allomancję, by przebyć odległość jednym skokiem. Większość żołnierzy kulila się albo ukrywała za umocnieniami, nie wychylając się, mimo że wróg znajdował się dość daleko. Venture jednak stał dumny w białej pelerynie i mundurze, zasłaniając oczy dłonią i wpatrując się w horyzont.

- Rozbijają obóz - powiedział z uśmiechem. - Dobrze. Lordzie Fatrenie, proszę przygotować ludzi do natarcia.

- Natarcia? - spytał Fatren, wspinając się na wał za Venture.

Cesarz pokiwał głową.

- Kolossy będą zmęczone po marszu i rozproszone podczas rozbijania obozu. To najlepsza okazja do ataku.

- Ale my pozostajemy w defensywie!

Venture pokręcił głową.

- Jeśli zaczekamy, w końcu ogranie je żądza krwi i nas zaatakują. Musimy sami zaatakować, a nie czekać, aż nas zarzną.

- I porzucić wał.

- Umocnienia robią wrażenie, lordzie Fatrenie, ale są bezużyteczne. Jest was za mało, by bronić całej ich długości, a kolossy są wyższe i bardziej stabilne od ludzi. Odbiorą wam wał, po czym wykorzystają wzniesienie, by zepchnąć was do miasta.

- Ale...

Venture spojrzał na niego. Miał spokojny wzrok, lecz jednocześnie stanowczy i pełen oczekiwania. Wiadomość była krótka. „Ja tu dowodzę”. Więcej kłótni nie będzie.

- Tak, milordzie - powiedział Fatren i wezwał gońców, by przekazali rozkazy.

Venture patrzył ze swojego miejsca, jak chłopcy biegną we wszystkie strony.

Żołnierze wydawali się nieco zdezorientowani, nie spodziewali się ataku. Kierowali spojrzenia w stronę Elenda, który stał wyprostowany na wale.

Naprawdę wygląda jak cesarz, pomyślał wbrew sobie Fatren.

Rozkazy zostały przekazane wzdłuż szeregów. Czas mijał. Venture wyjął miecz i uniósł go wysoko na tle przysłoniętego popiołem nieba. Po chwili ruszył w dół wału z nadludzką prędkością, kierując się ku obozowi kolosów.

Przez chwilę biegł sam. Wówczas, zaskakując samego siebie, Fatren zacisnął szczękające zęby i podążył za nim.

Na wale zapanowało poruszenie, żołnierze z rykiem ruszyli do ataku, biegnąc z uniesioną bronią na spotkanie śmierci.

Trzymanie mocy uczyniło dziwne rzeczy z moim umysłem. Wciągu kilku chwil zaznajomiłem się z samą mocą, jej historią i sposobami, w jakie mogła zostać wykorzystana.

Jednakże wiedza różniła się od doświadczenia czy nawet umiejętności wykorzystania mocy. Na przykład, wiedziałem, jak poruszyć planetę na nieboskłonie. Nie wiedziałem jednak, gdzie ją umieścić, by nie znalazła się za blisko Słońca lub zbyt daleko od niego.

2

Jak zawsze, dzień TenSoona zaczął się w ciemnościach. Częściowo wynikało to oczywiście z faktu, że nie miał oczu. Mógłby je sobie stworzyć - należał do Trzeciego Pokolenia, czyli był stary, nawet według standardów kandra. Przetrawił wystarczająco wiele ciał, by umieć instynktownie stworzyć narządy zmysłów, bez modelu do skopiowania.

Niestety, oczy nie dałyby mu zbyt wiele. Nie miał czaszki, a zdążył już odkryć, że większość organów nie działa zbyt dobrze bez pełnego ciała - i szkieletu - jako podpory. Jego własna masa zmiażdżyłaby oczy, gdyby się poruszył w nieodpowiedni sposób, a ich odwracanie w różne strony byłoby bardzo trudne.

Poza tym, i tak nie miał na co patrzeć. TenSoon przesunął nieco swoją masę wewnątrz więziennej celi. Jego ciało wyglądało teraz jak zbiór przezroczystych mięśni - niczym masa wielkich ślimaków, połączonych ze sobą, nieco bardziej elastycznych niż ciało mięczaka.

Gdyby się skupił, mógłby rozpuścić jeden z mięśni i albo połączyć go z innym, albo stworzyć coś nowego. Niestety, bez szkieletu był niemal bezsilny.

Znów poruszył się w celi. Jego skóra miała swój własny zmysł - coś w rodzaju smaku.

W tej chwili smakowała smród jego odchodów po bokach celi, ale nie ważył się odłączyć tego zmysłu. Nie miał innych sposobów na kontakt ze światem.

„Cela” była właściwie przykrytą kratą kamienną jamą, w której ledwie mieściło się jego ciało. Nadzorcy zrzucali z góry jedzenie, a od czasu do czasu wylewali wodę, by go nawodnić i spłukać odchody przez niewielki otwór ściekowy w dnie. Zarówno otwór, jak i przestrzenie między prętami kraty na górze były zbyt wąskie, by się przez nie przecisnął -

ciała jego rodzaju były elastyczne, ale istnieją pewne ograniczenia w ścisaniu sterty mięśni.

Większość ludzi oszalałaby, gdyby została zamknięta w tak ograniczonej przestrzeni przez... nawet nie wiedział, ile czasu minęło. Miesiące? TenSoon jednak miał

Błogosławieństwo Przytomności. Jego umysł nie poddawał się tak łatwo.

Skup się, powiedział sobie. Nie miał mózgu, nie tak jak ludzie, ale był zdolny do myślenia. Nie rozumiał tego. Nie był pewien, czy ktokolwiek z kandra to rozumie. Może ci z Pierwszego Pokolenia wiedzieli więcej, ale jeśli nawet, to nie dzielili się swoją wiedzą.

Nie mogą cię tu trzymać bez końca, powiedział sobie. Pierwszy Kontrakt stanowi...

Zaczynał już wątpić w Pierwszy Kontrakt - a raczej w to, czy Pierwsze Pokolenie się nim kierowało. Czy mógł mieć do nich pretensje? TenSoon złamał Kontrakt. Jak sam przyznał, wystąpił przeciwko woli swojego pana, by pomóc komuś innemu. Ta zdrada skończyła się śmiercią jego pana.

Jednakże nawet tak karygodny czyn był najmniejszą z jego zbrodni. Karą za złamanie Kontraktu była śmierć i gdyby TenSoon się na tym zatrzymał, pozostali by go po prostu zabili. Niestety, chodziło o coś więcej. Zeznania TenSoona - które złożył na zamkniętym przesłuchaniu przed Drugim Pokoleniem - ujawniły o wiele bardziej niebezpieczne i ważniejsze uchybienie.

TenSoon zdradził tajemnicę swojego ludu.

Nie mogą mnie stracić, pomyślał, wykorzystując tę myśl, by zachować koncentrację.

Muszą się najpierw dowiedzieć, komu powiedziałem.

Tajemnica. Cenna, jakże cenna tajemnica.

Skazałem nas wszystkich na zagładę. Mój lud. Znów będziemy niewolnikami. Nie, już jesteśmy niewolnikami. Staniemy się czymś innym - automatami, z umysłami opanowanymi przez innych. Uwięzieni i wykorzystani, nasze ciała nie będą już należeć do nas.

To właśnie zrobił - to potencjalnie rozpoczął. Przyczyna, dla której zasługiwał na uwięzienie i śmierć. Ale pragnął żyć. Powinien sobą gardzić. Mimo to, z jakiegoś powodu wciąż czuł, że postąpił właściwie.

Znów się poruszył, masy śliskich mięśni przesuwały się po sobie. W połowie ruchu zamarł. Wibracje. Ktoś nadchodził.

Przygotował się, odpychając mięśnie na bok, tworząc wgłębienie pośrodku ciała.

Potrzebował całego dostępnego jedzenia - nie dawali mu zbyt wiele. Tym razem jednak przez kratę nie spadły pomyje. Czekał w napięciu, aż krata się otworzy. Choć nie miał uszu, wyczuwał wibrację, gdy kratę odsuwano, aż żelazo uderzyło o podłogę nad jego głową. Co?

Następnie pojawiły się haki. Otoczyły jego mięśnie, chwytając go i rozrywając ciało, gdy wyciągały go z jamy. Bolało. Nie tylko szarpanie hakami, ale też nagła wolność, gdy jego ciało rozlało się po posadzce więzienia. Niechętnie posmakował kurz i wysuszone pomyje.

Jego mięśnie drżały, brak ograniczeń po opuszczeniu celi wydawał mu się dziwny. Napiął się, poruszając swoją masę w sposób, który wydawał mu się niemal zapomniany.

I wtedy nadeszło. Czuł je w powietrzu. Kwas, gęsty i gryzący, pewnie w poślaczonym wiadrze niesionym przez nadzorców. A jednak mieli go zabić.

Ale nie mogą! Pomyślał. Pierwszy Kontrakt, prawo naszego ludu...

Coś na niego spadło. Nie kwas, ale coś twardego. Dotknął tego z przejęciem, mięśnie się poruszały, smakowały, sprawdzały, macały. Było okrągłe, z otworami i kilkoma ostrymi krawędziami... czaszka.

Smród kwasu stał się ostrzejszy. Czy go mieszały? TenSoon poruszył się szybko, otaczając czaszkę, wypełniając ją. Już przygotował sobie rozpuszczone ciało w wewnętrznej sakiewce. Teraz je wykorzystał, oblał nim czaszkę, szybko tworząc skórę. Pominął oczy, pracował nad płucami, tworzył język, na razie ignorując wargi. Pracował z desperacją, gdy smak kwasu stawał się coraz silniejszy, a wtedy...

Trafił w niego. Spalił mięśnie jednej połowy jego ciała, omywając jego masę, roztopiając go. Najwyraźniej Drugie Pokolenie zrezygnowało z wyciągania z niego tajemnic.

Zanim go zabiją, muszą mu dać szansę na wypowiedzenie ostatnich słów. Wymagał tego Pierwszy Kontrakt - stąd czaszka. Tyle że strażnicy najwyraźniej mieli rozkaz zabić go, nim zdąży powiedzieć cokolwiek w swojej obronie. Trzymali się litery prawa, jednocześnie ignorując jego ducha.

Nie uświadamiali sobie jednak, jak szybko pracował TenSoon. Niewielu kandra spędziło na Kontraktach tyle czasu co on - wszyscy z Drugiego Pokolenia i większość z Trzeciego już dawno odeszli ze służby. Prowadzili łatwe życie w Ojczyźnie.

A łatwe życie niewiele uczyło.

Większość kandra potrzebowała godzin, by stworzyć ciało - niektórzy młodszy nawet kilku dni. Jednak TenSoon w ciągu kilku sekund ukształtował podstawowy język. Gdy kwas zalewał jego ciało, zmusił się do stworzenia krtani, napełnił płuco i wychrypiał jedno słowo.

- Sąd!

Kwas przestał się łać. Jego ciało wciąż płonęło. Pracował mimo bólu, tworząc prymitywne narządy słuchu wewnątrz jamy czaszki.

W pobliżu ktoś szepnął:

- Głupiec.

- Sąd! - powtórzył TenSoon.

- Przyjmij śmierć - wysyczał ktoś. - Nie stawiaj się w pozycji, w której możesz wyrządzić większą krzywdę naszemu ludowi. Pierwsze Pokolenie dało ci tę szansę na śmierć ze względu na twoje lata dodatkowej służby!

TenSoon się zawahał. Proces będzie publiczny. Na razie tylko wybrane jednostki znały rozmiary jego zdrady. Mógł umrzeć, przeklinany za złamanie Kontraktu, lecz zachowując pewną dozę szacunku ze względu na wcześniejszą karierę. Gdzieś - pewnie w jamach w tym właśnie pomieszczeniu - znajdowali się inni, cierpiący niekończące się uwięzienie, które ostatecznie łamało nawet umysły tych obdarzonych Błogosławieństwem Przytomności.

Czy chciał się stać jednym z nich? Wyjawiając swoje czyny na otwartym forum, skaże się na wieczność w cierpieniu. Wymuszanie procesu było głupotą, nie mógł bowiem mieć nadziei na oczyszczenie z zarzutów. Jego zeznania już go pogrążyły.

Jeśli miał się odezwać, to nie dlatego, by się bronić. Chodziło o coś zupełnie innego.

- Sąd - powtórzył, tym razem cichym szeptem.

W pewnym sensie posiadanie takiej mocy było zbyt przytłaczające, tak sądzę.

Wymagała ona całych tysięcy na zrozumienie. Stworzenie świata od nowa byłoby łatwe dla kogoś, kto rozumiał moc. Ja jednak zrozumiałem niebezpieczeństwo związane z moją ignorancją. Jak dziecko, które nagle zyskało ogromną siłę, mógłbym uderzyć zbyt mocno i zmienić świat w popsutą zabawkę, której nie umiałbym naprawić.

3

Elend Venture, drugi władca Ostatniego Imperium, nie urodził się wojownikiem. Był

szlachetnie urodzonym - co w czasach Ostatniego Imperatora czyniło z niego zawodowego bywalca salonów. Spędził młodość, poznając błahe gierki Wielkich Domów, żyjąc wygodnym życiem imperialnej elity.

Nic dziwnego, że skończył jako polityk.

„Nie sądzę, byś kiedykolwiek poprowadził natarcie na siły wroga”. Te słowa wypowiedziała Tindwyl - kobieta, która udzielała mu lekcji polityki. To wspomnienie sprawiło, że na twarzy Elenda pojawił się uśmiech, gdy jego żołnierze wpadli do obozu kolosów.

Elend rozjarzył cynę z ołowiem. Uczucie ciepła - teraz już znajome - wypełniło jego pierś, a mięśnie napięły się od dodatkowej siły i energii.

Wcześniej połknął metal, by wykorzystać jego moc w bitwie. Był Allomantą. Wciąż go to czasem zadziwiało.

Jak przewidywał, atak zaskoczył kolossy. Przez kilkadziesiąt chwil stały bez ruchu, wstrząśnięte - choć musiały widzieć nową armię Elenda ruszającą do ataku. Kolossy nie umiały sobie radzić z czymś niespodziewanym. Nie potrafiły pojąć, że nieliczna armia słabych ludzi atakuje ich obóz. Musiało więc minąć trochę czasu, zanim się dostosowały.

Armia Elenda dobrze wykorzystała ten czas. Sam Elend uderzył jako pierwszy, rozjarzając cynę z ołowiem, by zyskać jeszcze większą siłę, kiedy uderzył pierwszego kolossa. To był jeden z mniejszych. Jak wszystkie inne, z wyglądu przypominał człowieka, za wyjątkiem przerośniętej, pofałdowanej skóry, która wyglądała tak, jakby była oddzielona od ciała. W jego paciorkowatych, czerwonych oczach malowało się nieludzkie zaskoczenie, gdy umarł z mieczem Elenda wbitym w pierś.

- Atakujcie szybko! - ryknął, gdy kolejne kolossy zaczęły się odwracać od ognisk. -

Zabijcie ich jak najwięcej, zanim ogarnie je żądza krwi!

Jego żołnierze - przerażeni, lecz zdeterminowani - atakowali wokół niego, powalając kilka pierwszych grup kolosów. „Obóz” był właściwie miejscem, gdzie kolossy zdeптаły popiół i rośliny pod nim, po czym wykopały doły, w których rozpałiły ogniska. Elend widział, jak początkowy sukces dodaje jego ludziom pewności siebie. Dodał im otuchy, allomantycznie Przyciągając ich uczucia, czyniąc ich odważniejszymi. Z tą formą Allomancji czuł się zdecydowanie lepiej - wciąż nie do końca pojął sztukę skakania za pomocą metali, tak jak czyniła to Vin. Uczucia natomiast rozumiał dobrze.

Fatren, przysadzisty przywódca miasta, trzymał się blisko Elenda, prowadząc grupę żołnierzy w stronę dużej grupy kolosów. Elend miał na niego oko. Fatren był władcą tego miasteczka - gdyby zginął, byłby to cios dla morale. Razem zaatakowali niewielką grupkę kolosów. Największy miał około jedenastu stóp wzrostu. Jak w wypadku wszystkich dużych stworów, jego skóra - niegdyś luźna - była naciągnięta na przerośniętym cielsku. Kolossy nie przestawały rosnąć, lecz ich skóra zawsze pozostawała tej samej wielkości. Na młodszych istotach wisiała luźno i fałdowała się. Na wielkich była naciągnięta i popękana.

Elend spalił stal i rzucił przed siebie garść monet. Odepchnął kawałki metalu swoim ciężarem, zasypując nimi kolossy. Stwory były zbyt twarde, by zwyczajne monety je zabiły, ale odłamki metalu mogły je zranić i osłabić.

Wypuściwszy monety, Elend zaatakował dużego kolossa. Bestia zdjęła z pleców wielki miecz i wydawała się uszczęśliwiona perspektywą walki.

Koloss zamachnął się jako pierwszy, a miał oszałamiający zasięg. Elend musiał

odskoczyć do tyłu; cyna z ołowiem dodawała mu zwinności. Miecze kolosów były potężne i prymitywne, tak tępe, że bardziej przypominały pałki. Siła uderzenia wstrząsnęła powietrzem

- Elend nie miałby szansy na sparowanie ciosu, nawet z pomocą cyny z ołowiem. Ponadto miecz - a raczej koloss, który go trzymał - ważył tyle, że Elend nie mógłby wykorzystać Allomancji, by

Odepchnąć go z rąk stwora. Odpychanie stałą opierało się na sile i masie.

Gdyby Elend Pchnął coś cięższego od siebie, poleciałby do tyłu.

Dlatego musiał polegać na dodatkowej szybkości i zręczności cyny z łożem.

Uskoczył w bok i czekał na powrót ostrza. Stwór obrócił się w milczeniu, spojrzął na Elenda, ale nie zaatakował. Jeszcze nie do końca ogarnęła go żądza krwi.

Elend spojrzął na swojego przerośniętego przeciwnika. Jak tu trafiłem? - pomyślał, nie po raz pierwszy. Jestem uczonym, nie wojownikiem. Do niedawna był przekonany, że w ogóle nie nadaje się na przywódcę.

Czasami dochodził do wniosku, że za dużo myśli. Teraz rzucił się pochylony do przodu i uderzył. Koloss przewidział ten ruch i próbował opuścić swoje ostrze na głowę Elenda. Ten jednak Przyciągnął miecz innego kolossa - to wytrąciło stwora z równowagi i pozwoliło dwóm żołnierzom na zabicie go, ale jednocześnie Przyciągnęło Elenda w bok.

Ledwie uniknąwszy ciosu przeciwnika, obrócił się w powietrzu, rozjarzył cynę z łożem i uderzył z boku.

Na wylot przeciął nogę stwora na wysokości kolana, obalając go. Vin zawsze powtarzała, że allomantyczne moce Elenda są nadzwyczaj silne. On sam nie był tego pewien -

nie miał zbyt wielkiego doświadczenia z Allomancją - ale siła jego własnego ciosu sprawiła, że się zatoczył. Zaraz jednak odzyskał równowagę i odciął kolosowi głowę.

Kilku żołnierzy wpatrywało się w niego. Jego biały mundur splamiła jaskrawoczerwona krew kolossa. Nie po raz pierwszy. Elend odetchnął głęboko, gdy usłyszał

nieczłowieckie wrzaski w obozie. Stwory zaczynały wpadać w morderczy szal.

- Utworzyć szyk! - krzyknął Elend. - Trzymać się razem, przygotować się na atak.

Żołnierze reagowali powoli. Byli o wiele mniej zdyscyplinowani niż oddziały, do których Elend się przyzwyczaił, lecz na jego rozkaz zbili się w gromadę. Venture rozejrzał się po okolicy. Zabili kilka setek kolosów - zadziwiający wyczyn.

Tyle że łatwa część się skończyła.

- Nie cofać się! - ryczał Elend, biegnąc przed szeregami żołnierzy. - Walczyć! Musimy zabić ich jak najwięcej jak najszybciej! Wszystko od tego zależy! Niech poznają waszą furję!

Spalił mosiądz i Odepchnął ich uczucia, Uspokajając ich strach. Allomanta nie potrafił

zapanować nad umysłami - w każdym razie nie nad ludzkimi - umiał jednak podsycić pewne uczucia, jednocześnie tłumiąc inne. I znów, Vin twierdziła, że Elend umiał wpłynąć na o wiele większą liczbę

ludzi niż powinno to być możliwe. Ale też zdobył swoje moce niedawno, w miejscu, które, jak podejrzewał, było pierwotnym źródłem Allomancji.

Pod wpływem Uspokajania jego żołnierze się wyprostowali. Elend znów poczuł szacunek dla tych prostych skaa. Dawał im odwagę i tłumiał część strachu, lecz determinacja należała do nich. To byli dobrzy ludzie.

Jeśli będzie miał szczęście, uratuje część z nich.

Kolossy zaatakowały. Jak miał nadzieję, spora grupa stworów oderwała się od obozu i ruszyła w stronę wioski. Niektórzy żołnierze krzyczeli, ale byli zbyt zajęci walką, by za nimi podążyć. Elend rzucał się do walki w miejscach, gdzie szyk się chwiało, wzmacniając słaby punkt. Robiąc to, spalał mosiądz i próbował Odpychać uczucia pobliskich kolosów.

Nic się nie działo. Stwory były odporne na emocjonalną Allomancję, szczególnie kiedy już manipulował nimi ktoś inny. Jednak jeśli udało mu się przebić, przejmował

całkowitą kontrolę nad nimi. To wymagało czasu, szczęścia i determinacji do walki.

I to właśnie robił. Walczył u boku swoich ludzi, patrzył, jak umierają, zabijał kolossy.

Zwinał szeregi, tworząc półokrąg, by uniknąć otoczenia swoich sił. Mimo to walka była ponura. W miarę, jak kolejne grupki kolosów wpadały w szal i atakowały, szanse ludzi Elenda malały. Kolossy wciąż opierały się jego manipulacji. Zbliżały się coraz bardziej...

- Jesteśmy zgubieni! - wrzasnął Fatren.

Elend odwrócił się, z niejakim zaskoczeniem stwierdzając, że przysadzisty lord stoi u jego boku i wciąż żyje. Ludzie nadal walczyli. Od pojawienia się żądy krwi minęło może piętnaście minut, ale szeregi już zaczynały się chwiać.

Na niebie pojawiła się plamka.

- Poprowadziłeś nas na śmierć! - wrzasnął Fatren. Pokrywała go krew kolosów, poza plamą na ramieniu, która wyglądała na jego własną krew. - Dlaczego?

Elend jedynie wskazał na plamkę.

- Co to? - spytał Fatren.

Venture się uśmiechnął.

- To pierwsza z armii, które ci obiecałem.

* * *

Vin spadła z nieba w chmurze podków, lądując dokładnie pośrodku armii kolosów.

Bez wahania wykorzystała Allomancję, by Odepchnąć parę podków w stronę odwracającego się kolossa. Jedna trafiła w czoło stwora, odrzucając go do tyłu, a druga przeleciała nad jego głową i uderzyła kolejnego stwora. Vin obróciła się na pięcie, rzuciła kolejną podkową, która minęła szczególnie dużego kolossa i trafiła stojącego za nim mniejszego pobratymca.

Rozjarzyła żelazo, Przyciągając tę podkową i zaczepiając ją o nadgarstek większego ze stworów. Przyciąganie natychmiast pociągnęło ją w stronę kolossa, ale jednocześnie wytrąciło istotę z równowagi. Potężny żelazny miecz uderzył w ziemię w chwili, gdy Vin trafiła kolossa w pierś. Wówczas Odepchnęła się od leżącej broni i zrobiła w powietrzu salto do tyłu, gdy inny koloss zamachnął się w jej stronę.

Uniosła się na wysokość piętnastu stóp. Cios był niecelny, miecz obciął głowę jednego ze stworów poniżej. Istota, która to zrobiła, nie wydawała się zmartwiona, że zabiła swojego towarzysza - jedynie spojrzała na Vin z nienawiścią w czerwonych oczach.

Vin Przyciągnęła leżący miecz, który uniósł się w jej stronę, ale jednocześnie pociągnął ją w dół. Chwyciła go, opadając - ostrze było niemal jej wzrostu, lecz rozjarzona cyna z ołowiem dodawała jej siłę - i odrąbała ramię atakującego kolossa.

Później obcięła mu nogi na wysokości kolan i zostawiła na śmierć, zwracając się w stronę kolejnych przeciwników. Jak zawsze, kolosy wydawały się zafascynowane Vin, choć jednocześnie rozjuszone i dezorientowane. Kojarzyły duży rozmiar z niebezpieczeństwem i z trudem rozumiały, jak drobna kobieta w rodzaju Vin - dwadzieścia lat, ledwie pięć stóp wzrostu, delikatna niczym wierzba - mogła stanowić zagrożenie. Jednak widziały, jak zabija, i to je do niej przyciągało.

Vin to nie przeszkadzało.

Wrzasnęła, atakując, choćby po to, by na zbyt cichym polu walki rozległ się jakiś dźwięk. Kolosy zazwyczaj przestawały ryczeć, gdy wpadały w szal, i skupiały się na zabijaniu. Rzuciła garść monet, Odpychając je w stronę grupy za plecami, po czym skoczyła do przodu, Przyciągając się do miecza.

Koloss przed nią potknął się. Wylądowała mu na plecach, atakując stwora obok.

Upadł, a wtedy Vin wbiła miecz w plecy kolossa, na którym stała. Odepchnęła się w bok i Przyciąganiem wyciągnęła ostrze z umierającej istoty. Chwyciła broń, cięła trzeciego stwora, po czym rzuciła miecz, Odpychając go niczym ogromną strzałę w pierś czwartego potwora.

To Odpychanie jednocześnie odrzuciło ją do tyłu, dzięki czemu uniknęła ataku. Chwyciła miecz wbity w grzbiet stwora, którego przebiła wcześniej, wrywając go, i jednym płynnym ruchem przebiła nim obojczyk i pierś piątej bestii.

Wylądowała na ziemi. Wokół niej kolosy padały martwe.

Vin nie była furją. Nie była grozą. Wyrosła z tego. Widziała, jak Elend umiera -

trzymała go wtedy w ramionach - i wiedziała, że sama na to pozwoliła. Świadomie.

A jednak wciąż żył. Każdy oddech był niespodziewany, być może niezasłużony.

Niegdyś bała się, że go zawiedzie. Jednakże jakimś sposobem odnalazła spokój w zrozumieniu, że nie powstrzyma go przed ryzykowaniem życia. W zrozumieniu, że wcale nie chce go przed tym powstrzymać.

Dlatego nie walczyła już ze strachu o mężczyznę, którego kochała. Miast tego walczyła ze zrozumieniem. Była nożem - nożem Elenda, nożem Ostatniego Imperium. Nie walczyła, by chronić jednego człowieka, ale by chronić sposób życia, jaki stworzył, i ludzi, których starał się obronić.

Spokój dodawał jej sił.

Kolossy umierały wokół niej, a szkarłatna krew, zbyt jaskrawa, by mogła należeć do ludzi, tworzyła mgiełkę w powietrzu. W tej armii było ich dziesięć tysięcy - zbyt wiele, by zdołała je zabić. Nie musiała jednak zabijać wszystkich kolosów w armii.

Musiała je jedynie przestraszyć.

Ponieważ, wbrew temu, co kiedyś zakładała, kolossy odczuwały strach. Widziała, jak zaczyna wypełniać otaczające ją istoty, ukryty pod frustracją i wściekłością. Koloss zaatakował ją, a wtedy uskoczyła w bok, poruszając się z prędkością cyny z ołowiem. Nie przerywając ruchu, wbiła miecz w jego plecy i obróciła się, dostrzegając potężną istotę przebijającą się pośród armii w jej stronę.

Doskonale, pomyślała. Był wielki - być może największy, jakiego kiedykolwiek widziała. Musiał mieć prawie trzysta stóp wysokości. Jego serce już dawno powinno było się poddać, a skóra była porozrywana, wisiała na wietrze.

Zaryczał, a jego głos odbił się echem wokół dziwnie cichego pola bitwy. Vin uśmiechnęła się i spaliła duraluminium. Płonąca w niej cyna z ołowiem natychmiast wybuchła, gwałtownie dodając jej sił. Duraluminium spalane razem z innym metalem wzmacniało ten drugi metal. Sprawiało, że błyskawicznie płonął, oddając w jednej chwili całą moc.

Vin spaliła stal i Odepchnęła we wszystkie strony. Jej wspomaganą duraluminium Pchnięcie uderzyło niczym fala w miecze biegnących ku niej stworów. Broń wyrywała się z rąk, kolossy leciały do tyłu, a potężne ciała rozproszyły się niczym płatki popiołu pod krwawym słońcem. Tylko dzięki wspomaganą duraluminium cynie z ołowiem nie została przy tym zmiażdżona.

Jej cyna z ołowiem i stal zniknęły, wypalone w jednym wybuchu mocy. Wyciągnęła niewielki flakonik z płynem - roztwór alkoholu z płatkami metalu - i połknęła go jednym haustem, uzupełniając zapasy. Wówczas spaliła cynę z ołowiem i przeskoczyła nad powalonymi, zdezorientowanymi kolosami, ruszając w stronę wielkiej istoty, którą zobaczyła wcześniej. Mniejszy stwór próbował ją powstrzymać, lecz chwycił ją za nadgarstek i przekręcił, miażdżąc staw. Wzięła miecz kolossa, uchyliła się przed atakiem innego i obróciła się, za jednym zamachem powalając trzy stwory, rozcinając ich kolana.

Skończywszy obrót, wbiła miecz w ziemię. Jak się spodziewała, ogromny, trzynastostopowy koloss zaatakował chwilę później, zamachnął się mieczem tak wielkim, że aż rozległ się gwizd powietrza. Vin wbiła swoje ostrze w ostatniej chwili, gdyż nawet z pomocą cyny z ołowiem nie udałooby jej się sparować takiego ciosu. Broń kolossa uderzyła jednak w ostrze jej miecza, stabilnie wbitego w ziemię. Metal zadrżał w jej dłoniach, lecz powstrzymał cios.

Palce Vin zamrowiły od tak potężnego uderzenia. Puściła miecz i skoczyła. Nie Odepchnęła się - nie musiała - lecz wylądowała na jelicu swojego miecza i odbiła się od niego.

Na pysku kolossa malowało się znane Vin charakterystyczne zaskoczenie, gdy ujrzał, jak kobieta wznosi się na wysokość trzynastu stóp, powiewając pasmami mgielnego płaszcza.

Kopnęła kolossa w bok głowy. Kości czaszki pękły. Kolosy były nieludzko wytrzymałe, lecz rozjarzona cyna z ołowiem wystarczyła. Stwór wyrzucił oczami i upadł.

Win Odepchnęła się lekko od miecza, utrzymując się w górze na tyle długo, że kiedy upadła, wylądowała dokładnie na piersi powalonego stwora.

Otoczające ją istoty znieruchomiały. Nawet opętane żądzą krwi poczuły wstrząs, gdy jednym kopnięciem powaliła tak ogromną bestię. Może ich umysły nie potrafiły zanalizować tego, co właśnie zobaczyły. A może stwory, prócz strachu odczuwały też odrobinę ostrożności. Vin nie znała ich na tyle, by wiedzieć na pewno. Wiedziała jednak, że w zwyczajnej armii kolosów ten czyn zapewniłby jej posłuszeństwo wszystkich stworów, które ją obserwowały.

Niestety, tę armię kontrolowano z zewnątrz. Wyprostowawszy się, Vin widziała niewielką, zdesperowaną armię Elenda walczącą w pewnej odległości. Z jego pomocą utrzymali się. Walczący ludzie wywierali na kolosy wpływ podobny co tajemnicza siła Vin -

istoty nie rozumiały, jak tak niewielka armia może wytrzymać ich atak. Nie widzieli strat ani rozpaczliwej sytuacji grupki Elenda - postrzegali ich jako mniejszą, gorszą armię, która wciąż stoi i walczy.

Win podjęła walkę. Kolosy zbliżały się do niej - z niepokojem, ale wciąż nadchodziły.

To właśnie było dziwne w tych istotach. Nie wycofywały się. Czują strach, lecz nie umiały na niego zareagować. A jednak osłabiał je. Widziała to w sposobie, w jaki się do niej zbliżały, jak wyglądały. Prawie się złamały.

Dlatego spaliła mosiądz i Odepchnęła uczucia jednego z mniejszych stworów. Na początku się opierał. Pchnęła mocniej. W końcu w stworze coś pękło i należał już do niej.

Ktoś, kto nad nim panował, znajdował się zbyt daleko i skupiał się na zbyt wielu kolosach naraz. Ta istota - zdezorientowana z powodu żądzy krwi, w chaosie wstrząsu, strachu i frustracji - znalazła się całkowicie pod mentalną kontrolą Vin.

Natychmiast kazała mu zaatakować towarzyszy. Chwilę później został powalony, lecz wcześniej zabił dwa inne kolosy. Walcząc, Vin przechwyciła kolejnego kolossa, później jeszcze jednego.

Atakowała przypadkowo, machając mieczem dla odwrócenia uwagi kolosów, gdy wybierała członków ich grupy i przejmowała panowanie nad nimi.

Wkrótce wokół niej zapanował chaos, a garstka kolosów walczyła dla niej. Za każdym razem, gdy jeden z nich padał, zastępowała go dwoma innymi.

Walcząc, znów spojrzała w stronę Elenda i poczuła ulgę na widok sporej gromady kolosów walczących u boku ludzi. Elend krążył wśród nich, już nie walczył, lecz przejmował stwora po stworze. Samotne przybycie Elenda do tego miasteczka było bardzo ryzykowne i Vin nie wiedziała, czy je pochwała. Na razie cieszyła się, że dogoniła go na czas.

Ona również przestała walczyć i skoncentrowała się na kierowaniu swoją niewielką armią kolosów, jeden po drugim werbując nowe stwory. Wkrótce miała ich około setki.

Już niedługo, pomyślała. I rzeczywiście, wkrótce ujrzała plamkę w powietrzu, pędzącą w jej stronę wśród padającego popiołu. Plamka zmieniła się w postać w ciemnych szatach, która unosiła się nad armią, Odpychając się od mieczy kolosów. Mężczyzna był łysy i miał

wytatuowaną twarz. W pociemniałym od popiołu świetle dnia Vin widziała dwa grube kolce wbite w oczodoły. Stalowy Inkwizytor - nie rozpoznawała go.

Inkwizytor uderzył mocno, powalając jednego z ukradzionych kolosów Vin parą obsydianowych toporów. Skierował ślepe spojrzenie na Vin, a wtedy kobieta wbrew sobie poczuła rodzącą się panikę. W jej umyśle pojawiły się kolejne wspomnienia. Ciemna noc, deszczowa i pełna cieni. Iglice i wieże. Ból w boku. Długa noc spędzona w uwięzieniu w pałacu Ostatniego Imperatora.

Kelsier, Ocalały z Hathsin, umierający na ulicach Luthadel.

Vin spaliła elektrum. Otoczyła ją chmura obrazów, cieni rzeczy, które mogła zrobić w przyszłości. Elektrum, allomantyczny stop złota. Elend nazywał je „atium dla ubogich”. Nie wpływało na przebieg bitwy, jedynie neutralizowało atium, gdyby Inkwizytor je miał.

Vin zacisnęła zęby i rzuciła się do przodu, gdy armia kolosów miażdżyła resztki jej skradzionych stworów. Skoczyła, lekko Odpychając się od leżącego na ziemi miecza i pozwoliła, by pęd poniósł ją w stronę Inkwizytora. Widmo uniosło topory i zamachnęło się, lecz Vin w ostatniej chwili Przyciągnęła się w bok. Jej Przyciąganie wyrwało miecz z rąk zaskoczonego kolossa. Chwyciła broń, obracając się w powietrzu, i pchnęła ją w stronę Inkwizytora.

Niemal bez wysiłku Odepchnął w bok potężny kawał metalu. Kelsierowi udało się pokonać Inkwizytora, ale po wielkich wysiłkach. Sam zginął kilka chwil później, zabity przez Ostatniego Imperatora.

Żadnych wspomnień! - powiedziała sobie Vin. Skup się na chwili obecnej.

Popiół kłębił się wokół niej, gdy obróciła się w powietrzu, wciąż w locie po Odepchnięciu miecza. Wylądowała, poślizgnęła się na krwi kolosów, po czym rzuciła się na Inkwizytora. Świadomie go

ściągnęła, zabijając jego kolosy i przejmując nad nimi panowanie, zmuszając go do ukazania się. Teraz musiała się nim zająć.

Wyciągnęła szklany sztylet - Inkwizytor mógłby Odepchnąć miecz kolossa - i rozjarzyła cynę z ołowiem. Prędkość, siła i równowaga wypełniły jej ciało. Niestety, Inkwizytor też miał cynę z ołowiem, co czyniło ich równymi sobie.

Poza jednym. Inkwizytor miał pewną słabość. Vin uniknęła ciosu toporem, Przyciągając się do miecza kolossa, by uskoczyć. Później Odepchnęła się od tej samej broni, rzucając się do przodu, i cięła szyję Inkwizytora. Sparował cios machnięciem ręki, zatrzymując jej ramię. Lecz wtedy drugą ręką chwyciła go za szatę.

Win rozjarzyła żelazo i Przyciągnęła za siebie, szarpiąc tuzin mieczy kolosów. Nagłe Przyciągnięcie pociągnęło ją do tyłu. Odpychanie stali i Przyciągnięcie żelaza były raczej potężne i prymitywne niż subtelne. Rozjarzywszy cynę z ołowiem, Vin trzymała szatę, Inkwizytor zaś najwyraźniej zachował równowagę dzięki Przyciągnięciu mieczy kolosów, które stały przed nim.

Szata się poddała, rozerwała wzdłuż boku, zostawiając Vin ze sporym kawałkiem tkaniny w ręku. Plecy Inkwizytora były odsłonięte i kobieta powinna zobaczyć pojedynczy kolec - przypominający te w oczach - wystający z pleców istoty. Jednakże kolec zakrywała metalowa tarcza na plecach Inkwizytora, sięgająca aż na brzuch. Niczym dobrze dopasowany napierśnik, osłaniała plecy jak pancerz żółwia.

Inkwizytor obrócił się z uśmiechem, a Vin zakłęła. Grzbietowy kolec, który każdy Inkwizytor miał wbity między łopatkami, był ich najsłabszym punktem. Wyrwanie go zabijało stwora. I stąd właśnie metal - Vin podejrzewała, że Ostatni Imperator by na to nie pozwolił. On lubił, by jego słudzy mieli słabości, dzięki temu nad nimi panował.

Win nie miała wiele czasu na myślenie, kolosy bowiem wciąż atakowały. W chwili, gdy wylądowała na ziemi, odrzucając porwaną tkaninę, wielki, niebieskoskóry stwór zamachnął się na nią. Vin przeskoczyła nad mieczem przeciwnika i Odepchnęła się od niego, by wznieść się wyżej.

Inkwizytor podążył za nią; teraz to on atakował. Popiół unosił się w powietrzu wokół

Win, gdy skakała nad polem walki, próbując myśleć.

Znała tylko jeszcze jeden sposób zabicia Inkwizytora - powinna obciąć mu głowę. To jednak było łatwiej powiedzieć niż zrobić, biorąc pod uwagę fakt, że potwór był wspomagany cyną z ołowiem.

Wylądowała na opuszczonym wzgórzu na skraju pola walki. Inkwizytor uderzył w pokrytą popiołem ziemię za jej plecami. Vin uniknęła ciosu toporem, próbując zbliżyć się na tyle, by zadać cios. Wtedy Inkwizytor zamachnął się drugim ostrzem i Vin została ranna w rękę, gdy parowała uderzenie swoim sztyletem.

Po jej nadgarstku płynęła ciepła krew. Krew barwy czerwonego słońca. Vin warknęła i spojrzała na swojego nieludzkiego przeciwnika. Uśmiechy Inkwizytorów wytrącały ją z równowagi. Rzuciła się

do przodu, by znów zadać cios.

Coś zamigotało w powietrzu.

Poruszające się szybko błękitne linie - allomantyczne świadectwo pobliskich kawałków metalu. Vin ledwie zdążyła przerwać atak, gdy garść monet zaskoczyła Inkwizytora od tyłu, wbijając się w jego ciało w dziesiątki miejsc.

Stwór wrzasnął i obrócił się, kapiąc krwią, gdy Elend uderzył w ziemię na szczycie wzgórza. Jego biały mundur splamiły popiół i krew, lecz twarz mężczyzny była czysta, a jego oczy błyszczące. W jednej dłoni trzymał laskę pojedynkową, drugą oparł o ziemię, odzyskując równowagę po skoku. Wciąż nie był do końca wyszkolony w fizycznej Allomancji.

Był jednak Zrodzonym z Mgły, jak Vin. Inkwizytor zaś został ranny. Kolosy tłoczyły się wokół wzgórza, wspinając się na szczyt, lecz Vin i Elend wciąż mieli kilka chwil. Rzuciła się do przodu, unosząc sztylet, Elend również zaatakował. Inkwizytor próbował obserwować ich oboje naraz, aż wreszcie jego uśmiech zniknął. Inkwizytor próbował odskoczyć.

Elend rzucił monetę w powietrze. Pojedynczy, błyszczący kawałek metalu zawirował

wśród płatków popiołu. Inkwizytor to zobaczył i znów się uśmiechnął, najwyraźniej czekając na Odepchnięcie Elenda. Założył, że jego masa zostanie przekazana przez monetę, a później uderzy w Elenda, gdyż Elend również Odpychał. Dwaj Allomanci o podobnym ciężarze, odpychający się od siebie. Obaj zostaną odrzuceni do tyłu - Inkwizytor w stronę Vin, gdzie ją zaatakuje, Elend w stronę gromady kolosów.

Inkwizytor nie przewidział jednak allomantycznej siły Elenda. Elend rzeczywiście się potknął, lecz Inkwizytor został odrzucony do tyłu nagłym brutalnym Odepchnięciem.

Jest taki potężny! - pomyślała Vin, obserwując upadek zaskoczonego Inkwizytora.

Elend nie był zwyczajnym Allomantą - jeszcze nie do końca panował nad swoimi zdolnościami, ale kiedy rozjarzył metale i Odpychał, to naprawdę Odpychał.

Vin rzuciła się do ataku, gdy Inkwizytor próbował odzyskać panowanie nad sobą.

Udało mu się chwycić ją za rękę, gdy opuszczała nóż, jego potężny chwyt sprawił, że przez jej ranne ramię przeszła fala bólu. Krzyknęła, gdy odrzucił ją w bok.

Vin uderzyła o ziemię i przetoczyła się, podrywając się znów na równe nogi. Świat zawirował i widziała, jak Elend unosi laskę pojedynkową w stronę Inkwizytora. Stwór zablokował cios ręką, miażdżąc drewno, po czym rzucił się do przodu i wbił łokieć w pierś Elenda. Ten sapnął.

Vin Odepchnęła się od kolosów, które znajdowały się w odległości zaledwie kilku stóp, i znów rzuciła się w stronę Inkwizytora. Upuściła nóż, ale on stracił topory. Widziała, jak spogląda w bok, w stronę porzuconej broni, nie dała mu jednak szansy po nią sięgnąć.

Uderzyła w niego, próbując go obalić na ziemię. Niestety, był o wiele większy - i silniejszy - niż ona. Rzucił ją na ziemię, pozbawiając tchu.

Kolossy dotarły do nich. Elend chwycił jeden z upuszczonych toporów i zaatakował Inkwizytora.

Stwór poruszył się gwałtownie. Jego postać się zamglila i Elend przeciął powietrze.

Venture się obrócił. Na jego twarzy malował się wstrząs, gdy Inkwizytor zbliżył się do niego, unosząc nie topór, lecz - co dziwne - metalowy kolec, przypominający te wbite w jego ciało, lecz węższy i dłuższy. Istota uniosła kolec, poruszając się nieludzko szybko, szybciej niż jakikolwiek Allomanta.

To nie cyna z ołowiem, pomyślała Vin. To nawet nie duraluminium. Podniosła się, obserwując Inkwizytora. Jego ruchy były już wolniejsze, lecz nadal znajdował się w odpowiedniej pozycji, by wbić kolec w plecy Elenda. Vin znajdowała się za daleko, by pomóc.

Ale kolossy nie. Wspinały się na wzgórze, kilka stóp od Elenda i jego przeciwnika.

Zdesperowana Vin rozjarzyła mosiądz i pochwyciła uczucia kolossa najbliższej Inkwizytora.

Gdy tamten ruszył do ataku na Elenda, jej koloss odwrócił się, zamachnął klinowatym mieczem i uderzył Inkwizytora w twarz.

Nie odciął głowy od ciała, jedynie zmiażdżył czaszkę. Najwyraźniej to wystarczyło, gdyż Inkwizytor upadł i znieruchomiał.

Armię kolosów przeszedł dreszcz.

- Elendzie! - powiedziała Vin. - Teraz!

Cesarz odwrócił się od umierającego Inkwizytora i Vin widziała koncentrację na jego twarzy. Widziała raz, jak Ostatni Imperator wpływa emocjonalną Allomancją na uczucia placu pełnego ludzi. Był silniejszy niż ona, silniejszy nawet od Kelsiera.

Nie widziała, jak Elend spala duraluminium, a później mosiądz, lecz poczuła to.

poczuła, jak napiera na jej uczucia, gdy wysłał ogólną falę mocy, Uspokajając tysiące kolosów jednocześnie. Wszystkie przestały walczyć. W pewnej odległości Vin widziała niedobitki chłopskiej armii Elenda, stojące w kręgu trupów. Popiół wciąż padał. Ostatnio prawie nie przestawał.

Kolossy opuściły broń. Elend zwyciężył.

Jak sądzę, to właśnie stało się z Rashekiem. Zbyt mocno naciskał. Próbował wypalić mgły, przybliżając planetę do słońca, ale przeniósł ją za daleko, czyniąc świat zbyt gorącym dla jego

mieszkańców.

Popielne góry były sposobem, w jaki rozwiązał tę sytuację. Nauczył się, że przepychanie planety wymaga zbyt wiele precyzji, więc sprawił, że góry wybuchły, wyrzucając w powietrze popiół i dym. Gęstsza atmosfera schłodziła świat i nadała słońcu czerwoną barwę.

4

Sazed, główny ambasador Nowego Imperium, czytał leżący przed nim arkusz papieru.

Zasady ludu Canzi. O pięknie śmiertelności, wadze śmierci i niezbędnej roli ludzkiego ciała jako części boskiej całości.

Słowa te napisał własną ręką, przekopiował je z jednej z feruchemicznych metalmyśli, w których przechowywał zawartość tysiąca ksiąg. Pod nagłówkiem, wypełniając ściśniętym pismem niemal cały arkusz, wypisał podstawowe wierzenia Canzi i zasady ich religii.

Oparł się wygodniej na krześle, uniósł papier i po raz kolejny przyjrzał się swoim notatkom. Od dobrego dnia skupiał się na tej religii i chciał podjąć decyzję na jej temat.

Nawet przed tym dniem dużo wiedział na temat wierzeń Canzi, gdyż badał je - podobnie jak inne wiary z okresu przed Wstąpieniem - przez większość życia. Religie były jego namiętnością, punktem kluczowym badań.

A później nadszedł dzień, kiedy uświadomił sobie, że cała jego nauka była bez znaczenia.

Religia Canzi jest sprzeczna wewnątrz, uznał, robiąc piórem notatkę na marginesie.

Wyjaśnia, że wszystkie istoty są częścią „boskiej całości”, i sugeruje, że każde ciało jest dziełem sztuki stworzonym przez ducha, który pragnie żyć na tym świecie.

Jednakże, zgodnie z inną z jej zasad, źli są karani ciałami, które nie działają poprawnie. Zdaniem Sazed, wstrętą doktryną. Ci, którzy urodzili się z ułomnościami umysłowymi lub fizycznymi, zasługiwali na współczucie, być może na litość, lecz nie pogardę. Poza tym, które z ideałów religii były prawdziwe? To, że duchy wybierały i tworzyły sobie ciała zgodnie z własną wolą, czy te, że były karane ciałem wybranym dla nich? A co z wpływem pochodzenia na rysy i temperament dziecka?

Pokiwał głową i zrobił notatkę na dole arkusza papieru. „Logicznie niespójna.

Wyraźnie nieprawdziwa”.

- Co ty tu masz? - spytał Breeze.

Sazed uniósł wzrok. Breeze siedział przy niewielkim stoliku, popijając wino i zajadając winogrona. Miał na sobie typowy strój szlachetnie urodzonego, łącznie z ciemnym surdudem, jaskrawoczerwoną kamizelką i laską pojedynkową, którą lubił gestykulować, kiedy mówił. Odzyskał większość wagi

utraconej podczas oblężenia Luthadel i późniejszych dni, i znów można go było określić jako korpulentnego.

Sazed spuścił wzrok. Starannie dołączył arkusz do setki innych w teczce, po czym zamknął obitą płótnem okładkę i zawiązał sznurki.

- To nic ważnego, lordzie Breeze - stwierdził.

Breeze popijał wino.

- Nic ważnego? Zawsze masz koło siebie te papiery. Kiedy tylko masz wolną chwilę, wyjmujesz jeden z nich.

Sazed położył teczkę obok krzesła. Jak to wyjaśnić? Na każdym arkuszu znajdował się zarys jednej z ponad trzystu religii, jakie opisali Opiekunowie. Każda była obecnie „martwa”, gdyż Ostatni Imperator wykorzenił je na początku swoich rządów, ponad tysiąc lat temu.

Przed rokiem ukochana Sazedą umarła. Teraz chciał wiedzieć... nie, musiał wiedzieć...

czy religie świata miały dla niego odpowiedź. Odnajdzie prawdę albo wyeliminuje każde z wierzeń.

Breeze wciąż się w niego wpatrywał.

- Wolałbym raczej o tym nie rozmawiać, lordzie Breeze - powiedział w końcu Sazed.

- Jak sobie życzysz - odparł Breeze, unosząc kubek. - Może mógłbyś wykorzystać swoje feruchemiczne moce, by podsłuchać rozmowę w sąsiedniej komnacie...

- Nie sądzę, by to było uprzejme.

Breeze się uśmiechnął.

- Mój drogi Terrisaninie, tylko ty możesz najechać miasto, a następnie martwić się

„uprzejmością” wobec dyktatora, któremu grozisz.

Sazed spuścił wzrok, czując niejaki zawstydzenie. Nie mógł jednak zaprzeczyć uwagom Breeze'a. Choć obaj nie przyprowadzili armii do miasta Lekał, to rzeczywiście mieli zamiar je podbić. Po prostu zamierzali to zrobić za pomocą kartki papieru, nie miecza.

Wszystko zależało od tego, co się działo w sąsiedniej komnacie. Czy król podpisze traktat, czy też nie? Sazed i Breeze mogli jedynie czekać. Kusilo go, żeby wyjąć teczkę i przejrzeć kolejną religię na stercie. Przez ponad dzień rozważał Canzi, a teraz, gdy podjął

decyzję, pragnął przejść do następnego arkusza. Przez ostatni rok przejrział około dwóch trzecich religii. Pozostała mu już niecała setka, choć ta liczba była raczej bliższa dwustu, jeśli uwzględni wszystkie odłamy i sekty.

Był blisko. W ciągu kolejnych kilku miesięcy zajmie się resztą religii. Pragnął nad każdą uczciwie się zastanowić. Z pewnością jedna z pozostałych uderzy go jako zawierająca kwintesencję prawdy, której szukał. Z pewnością jedna z nich powie mu, co się stało z duchem Tindwyl bez wewnętrznych sprzeczności w kilku różnych miejscach.

Na razie jednak czułby się skrępowany, czytając w obecności Breeze'a. Dlatego też zmusił się do siedzenia i cierpliwego czekania.

Komnata, w której się znajdowali, była bogato zdobiona, zgodnie z najlepszymi wzorcami starej imperialnej arystokracji. Sazed nie był przyzwyczajony do takich ozdób, już nie. Elend sprzedał lub spalił większość wystawnych dekoracji - jego lud potrzebował

jedzenia i ciepła podczas zimy. Wydawało się, że król Lekal tego nie zrobił, choć być może dlatego, że zimy na południu były łagodniejsze.

Sazed wyrzał przez okno, obok którego siedział. Miasto Lekal nie miało prawdziwego pałacu - jeszcze przed dwoma laty była to jedynie wiejska posiadłość. Z okien rezydencji można było jednak oglądać rozwijające się miasto - które w tej chwili bardziej przypominało dużą dzielnicę biedoty niż prawdziwe miasto.

Mimo to, owa dzielnica biedoty panowała nad ziemiami, które znajdowały się niebezpiecznie blisko granic Elenda. Potrzebowali lojalności króla Lekala. I dlatego Elend wysłał kontyngent - w tym Sazed, swojego głównego ambasadora - by zapewnić sobie współpracę władcy miasta Lekal. Ten człowiek naradzał się w sąsiedniej komnacie ze swoimi doradcami, próbując zdecydować, czy podpisać traktat - który uczyniłby ich poddanymi Elenda Venture.

Główny ambasador Nowego Imperium...

Sazed niezbyt lubił swój nowy tytuł, sugerował on bowiem, że jest obywatelem imperium. Terrisanie, jego lud, przysięgali, że nigdy więcej nie będą mieli panów. Przeżyli tysiąc lat ucisku, hodowani jak zwierzęta i przemienieni w doskonałych, uległych służących.

Dopiero upadek Ostatniego Imperium dał Terrisanom możliwość samostanowienia.

Na razie nie szło im z tym najlepiej. Oczywiście nie pomogło im to, że Stalowi Inkwizytorzy wymordowali całą radę, która nimi rządziła, pozostawiając lud Sazed a bez władzy i przywództwa.

W pewnym sensie i tak jesteśmy hipokrytami, pomyślał. Ostatni Imperator był

Terrisaninem. Jeden z naszych uczynił nam te straszne rzeczy. Jakim prawem mamy się upierać, by nie nazywać żadnego obcego naszym panem? To nie cudzoziemiec zniszczył nasz lud, naszą kulturę i religię.

I tak oto Sazed pełnił funkcję głównego ambasadora Elenda Venture. Elend był

przyjacielem, człowiekiem, którego szanował bardziej niż kogokolwiek. W oczach Sazed a nawet sam Ocalały nie miał takiej siły charakteru, jak Elend Venture. Cesarz nie próbował

zdobyć władzy nad Terrisanami, nawet kiedy przyjął uchodźców na swoje ziemie. Sazed nie był pewien, czy jego rodacy są wolni, ale z pewnością mieli ogromny dług wobec Elenda Venture. Z radością pełnił funkcję jego ambasadora.

Nawet jeśli czuł, że powinien robić coś innego. Na przykład przewodzić swojemu ludowi.

Nie, pomyślał, spoglądając na teczkę. Nie. Nie może im przewodzić człowiek pozbawiony wiary. Najpierw muszę znaleźć prawdę. Jeśli istnieje.

- Z pewnością zajmuje im to dużo czasu - powiedział Breeze, zjadając winogrono. -

Można by pomyśleć, że po tym wszystkim, co im powiedzieliśmy, żeby dotrzeć do tego punktu, powinni już wiedzieć, czy mają zamiar podpisać traktat.

Sazed spojrział w stronę rzeźbionych drzwi po drugiej stronie komnaty. Co zadecyduje król Lekal? Czy naprawdę ma wybór?

- Jak sądzisz, lordzie Breeze, czy postąpiliśmy dobrze? - spytał Sazed.

Breeze prychnął.

- Dobro i zło się nie liczą. Gdybyśmy my nie przybyli, żeby zastraszyć króla Lekala, zrobiłby to ktoś inny. Tu chodzi o konieczność strategiczną. Albo przynajmniej ja tak to postrzegam... może jestem bardziej wyrachowany niż inni.

Sazed spojrział na przysadzistego mężczyznę. Breeze był Uspokajaczem - w rzeczy samej, był najbardziej bezwstydnym, ostentacyjnym Uspokajaczem, jakiego Sazed kiedykolwiek poznał. Większość Uspokajaczy korzystała ze swoich mocy z ostrożnością i delikatnością, kierując emocjami wyłącznie w najbardziej dogodnych chwilach. Breeze jednak bawił się uczuciami wszystkich wokół. Sazed nawet w tej chwili czuł dotknięcie mężczyzny na swoich uczuciach - choć tylko dlatego, że wiedział, czego się spodziewać.

- Jeśli mi wybaczysz tę uwagę, lordzie Breeze - powiedział Sazed - to wiedz, nie oszukujesz mnie z taką łatwością, jak ci się wydaje.

Breeze uniósł brew.

- Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem - mówił dalej Terrisanin. - Bardzo starasz się to ukryć. Wszem wobec pokazujesz swoją bezduszość i egoizm. Tyle że dla tych, którzy patrzą na to, co robisz, a nie tylko na to, co mówisz, jesteś o wiele bardziej przejrzysty.

Breeze spochmurniał, a Sazed poczuł odrobinę zadowolenia, że udało mu się go zaskoczyć. Najwyraźniej nie spodziewał się, że Sazed będzie mówił tak otwarcie.

- Mój drogi - powiedział Uspokajacz, pociągając łyk wina - jestem rozczarowany. Czy przed chwilą nie wspominałeś o uprzejmości? Nie jest wcale uprzejmie wyjawiać mroczną tajemnicę starego, zrzędlivego pesymisty.

- Mroczną tajemnicę? - powtórzył Sazed. - Że masz dobre serce?

- To cecha, której bardzo starałem się pozbyć - powiedział lekkim tonem Breeze. -

Niestety, okazałem się zbyt słaby. A teraz, by całkowicie zmienić temat... który uważam za stanowczo zbyt niewygodny... powrócę do twojego wcześniejszego pytania. Pytasz, czy postępujemy dobrze? To znaczy w czym? Zmuszając króla Lekala do uznania zwierzchności Elenda?

Sazed pokiwał głową.

- Cóż - stwierdził Breeze - muszę powiedzieć, że tak, robimy dobrze. Nasz traktat zapewni Lekalowi ochronę armii Elenda.

- Kosztem jego swobody samostanowienia.

- Phi - mruknął Uspokajacz, machnąwszy ręką. - Obaj wiemy, że Elend jest o wiele lepszym władcą, niż Lekal mógłby się kiedykolwiek stać. Na Ostatniego Imperatora, większość z jego ludzi mieszka w na wpół ukończonych szopach!

- Owszem, ale musisz przyznać, że go zastraszyliśmy.

Breeze się skrzywił.

- Na tym polega polityka. Sazedzie, kuzyn tego człowieka posłał armię kolosów, by zniszczyć Luthadel! Ma szczęście, że Elend w odpowiedzi nie zrównał całego miasta z ziemią. Mamy większe armie, więcej zasobów i lepszych Allomantów. Tym ludziom będzie się żyło lepiej, kiedy Lekal podpisze traktat. Co się z tobą dzieje, mój drogi? Jeszcze dwa dni temu przy stole negocjacyjnym sam wysuwałeś takie argumenty.

- Przepraszam, lordzie Breeze - odparł Sazed. - Wydaje mi się... że jestem ostatnio przekorny.

Breeze milczał przez chwilę.

- Wciąż boli, prawda? - spytał.

Ten człowiek stanowczo zbyt dobrze rozumie uczucia innych, pomyślał Sazed.

- Tak - wyszeptał w końcu.

- Przeszanie - stwierdził Breeze. - Kiedyś.

Naprawdę? - pomyślał Sazed, odwracając wzrok. Minał rok, a on wciąż czuł... jakby już wszystko zawsze było nie tak. Czasami zastanawiał się, czy zatopienie w religiach nie było sposobem ucieczki przed bólem.

Jeśli tak, to wybrał kiepski sposób na poradzenie sobie z sytuacją, ból bowiem czekał

na niego zawsze. Zawiódł. Nie, to wiara go zawiodła. Nic mu nie pozostało.

Po prostu. Wszystko. Zniknęło.

- Posłuchaj - powiedział Breeze - siedzenie tutaj i czekanie, aż Lekal podejmie decyzję, najwyraźniej wywołuje w nas niepewność. Może porozmawiamy o czymś innym?

Może opowiesz mi o jednej z tych religii, które znasz na pamięć. Od miesiący nie próbowałeś mnie nawrócić!

- Od ponad roku nie noszę miedziomyśli, Breeze.

- Ale z pewnością coś pamiętasz. Dlaczego nie spróbujesz mnie nawrócić? Wiesz, w imię starych dobrych czasów i tak dalej.

- Nie sądzę, Breeze.

Wydawało mu się to czymś w rodzaju zdrady. Jako Opiekun - terrisański Feruchemik -

umiał przechowywać wspomnienia w kawałkach miedzi, a później po nie sięgać. W czasach Ostatniego Imperium podobni Sazedowi wiele wycierpieli, by zebrać ogromne zasoby wiedzy, i to nie tylko na temat religii. Zbierali wszystkie odłamki informacji, jakie udało im się znaleźć o czasach przed Ostatnim Imperatorem. Zapamiętywali je i przekazywali innym, dla zachowania dokładności polegając na Feruchemii.

Nie odnaleźli jednak jednej rzeczy, której szukali najbardziej gorliwie, od której zaczęli swoją misję - religii Terris. Została zupełnie wymazana przez Ostatniego Imperatora w pierwszym stuleciu jego rządów.

Mimo to, tak wielu umierało, pracowało i krwawiło, by Sazed mógł otrzymać ogromne zasoby, które odziedziczył. A on je zdjął. Po odzyskaniu swoich notatek na temat każdej religii, zapisaniu ich na kartkach, które teraz nosił w teczce, zdjął wszystkie swoje metalmyśli i schował je.

Po prostu... nie miały już znaczenia. Czasami nic nie miało. Próbował nie zastanawiać się na tym zbyt długo, lecz w jego głowie ukrywała się myśl, straszliwa i niemożliwa do odegnania. Czuł się splamiony, niegodny. O ile Sazed wiedział, był ostatnim żyjącym Feruchemikiem. Nie mieli na razie możliwości przeprowadzenia poszukiwań, lecz w ciągu roku żadni Opiekunowie nie dotarli na ziemię Elenda. Został tylko Sazed. A on, jak każdy terrisański lokaj, został w dzieciństwie wykastrowany. Dziedziczna moc Feruchemii może umrzeć razem z nim. Pozostanie niewielki ślad pośród Terrisan, ale biorąc pod uwagę wysiłki Ostatniego Imperatora, by go usunąć, i śmierć Synodu... sytuacja nie wyglądała dobrze.

Metalmyśli pozostały zapakowane, zabierał je wszędzie ze sobą, ale z nich nie korzystał. Wątpił, by miał kiedykolwiek do nich sięgnąć.

- I jak? - spytał Breeze. Podniósł się i podszedł bliżej, po czym oparł się o okno obok Sazedu. - Nie opowiesz mi o religii? Która to będzie? Ta, w której ludzie tworzyli mapy? Ta, która oddawała

cześć roślinom? Z pewnością masz taką, w której wielbią wino. Ona mogłaby mi się spodobać.

- Proszę, lordzie Breeze - powiedział Sazed, wyglądając na miasto. Padał popiół.

Ostatnio ciągle padał. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- Co? Jak to możliwe?

- Gdyby istniał Bóg, Breeze - stwierdził Terrisanin - jak myślisz, czy pozwoliliby, żeby Ostatni Imperator zabił tylu ludzi? Czy pozwoliliby, żeby świat stał się takim miejscem, jakim jest teraz? Nie będę nauczał ciebie... ani nikogo innego... religii, która nie potrafi odpowiedzieć na moje pytania. Już nigdy.

Breeze milczał.

Sazed położył rękę na brzuchu. Słowa Breeze'a go raniły. Przypominały mu tamten straszliwy czas przed rokiem, gdy została zabita Tindwyl. Kiedy Sazed walczył z Marshem przy Studni Wstąpienia i sam omal nie zginął. Nawet przez ubranie czuł blizny na brzuchu, gdzie Marsh uderzył go woreczkiem metalowych pierścieni, przebijając skórę Sazed'a i niemal go zabijając.

Wykorzystał feruchemiczną moc tych właśnie pierścieni, by uratować życie i uleczyć ciało, zatapiając je wewnątrz siebie. Niedługo potem jednak odzyskał trochę zdrowia i kazał

chirurgowi usunąć pierścienie z ciała. Mimo sprzeciwów Vin, że ukrycie ich w środku daje mu przewagę, Sazed martwił się, że trzymanie ich wewnątrz ciała jest niebezpieczne dla zdrowia. Poza tym chciał się ich pozbyć.

Breeze wyjrzał przez okno.

- Zawsze byłeś najlepszym z nas, Sazedzie - powiedział cicho. - Ponieważ w coś wierzyłeś.

- Przykro mi, lordzie Breeze. Nie chciałem cię rozczarować.

- Ależ wcale mnie nie rozczarowujesz - sprzeciwił się Breeze. - Ponieważ nie wierzę w to, co powiedziałaś. Bycie ateistą nie leży w twojej naturze, Sazedzie. Czuję, że nie będziesz w tym dobry... to do ciebie nie pasuje. W końcu ci się odmieni.

Sazed znów wyjrzał przez okno. Jak na Terrisanina, był arogancki, ale nie miał ochoty się dłużej kłócić.

- Nigdy ci nie podziękowałem - powiedział Breeze.

- Za co, lordzie Breeze?

- Za wyciągnięcie mnie z samego siebie - odparł. - Za zmuszenie mnie do wstania, rok temu, i ruszenia dalej. Gdybyś mi nie pomógł, nie wiem, czy kiedykolwiek pogodziłbym się z tym... co się wydarzyło.

Sazed pokiwał głową. Mimo to, jego myśli były pełne goryczy. Tak, widziałeś zniszczenie i śmierć, przyjacielu. Ale kobieta, którą ty kochasz, wciąż żyje. Ja też mógłbym powrócić, gdybym jej nie utracił. Wróciłbym do siebie, tak jak ty.

Drzwi się otworzyły.

Sazed i Breeze odwrócili się. Do środka wszedł jeden z doradców, niosąc ozdobny arkusz pergaminu. Król Lekal podpisał traktat na dole. Jego podpis był malutki, niemal ściśnięty, na przeznaczonym na niego dużym miejscu. Wiedział, że został pokonany.

Doradca położył traktat na stole i się wycofał.

Za każdym razem, gdy Rashek próbował coś naprawić, tylko pogarszał sytuację.

Musiał zmienić roślinność świata, by przetrwała w nowym, surowym środowisku. Ta zmiana jednak sprawiła, że rośliny stały się mniej odżywcze dla ludzi. W rzeczy samej, spadający popiół doprowadziłby ludzi do choroby, wywołując u nich kaszel podobny do tego, na jaki cierpią ci, którzy zbyt długo kopią pod ziemią. I dlatego Rashek zmienił również ludzi, przekształcając ich tak, by przetrwali.

5

Elend ukląkł obok powalonego Inkwizytora, próbując zignorować krwawe resztki głowy stwora. Gdy Vin podeszła bliżej, zauważył ranę na jej ramieniu. Jak zwykle, ignorowała swoje obrażenia.

Armia kolossów stała spokojnie wokół nich. Elend wciąż nie czuł się swobodnie, panując nad stworami. Czuł się... skażony, nawet przebywając w ich otoczeniu. To jednak było jedyne rozwiązanie.

- Coś jest nie tak, Elendzie - powiedziała Vin.

Uniósł wzrok.

- Co? Myślisz, że w okolicy może być jeszcze jeden?

Pokręciła głową.

- Nie to. Ten Inkwizytor pod koniec poruszał się stanowczo za szybko. Nigdy nie widziałam nikogo, nawet Allomanty, kto byłby tak szybki.

- Musiał mieć duraluminium - stwierdził Elend, spuszczać wzrok.

Przez jakiś czas wraz z Vin mieli przewagę dzięki dostępowi do allomantycznego metalu, o którym Inkwizytorzy nie wiedzieli. Raporty wskazywały, że utracili już tę przewagę.

Na szczęście, wciąż mieli elektrum. Właściwie powinni podziękować za nie Ostatniemu Imperatorowi. W normalnej sytuacji Allomanta spalający atium był niemal niepokonany - przeciwko

niemu mógł walczyć jedynie inny Allomanta spalający ten sam metal. Chyba że ktoś miał elektrum. Stop nie dawał tak wielkiej mocy jak atium - które pozwalało Allomancie spojrzeć odrobinę w przeszłość - ale rzeczywiście czynił człowieka niewrażliwym na atium.

- Elendzie - powiedziała Vin, klękając - to nie było duraluminium. Inkwizytor poruszał się zdecydowanie za szybko.

Elend spochmurniał. Widział ruch Inkwizytora jedynie kątem oka, ale z pewnością nie był aż tak szybki. Vin miała skłonność do paranoi i przewidywania najgorszego.

Oczywiście, miała też w zwyczaju nieomyślność.

Wyciągnęła rękę i chwyciła przód szaty trupa, zrywając ją. Elend odwrócił wzrok.

- Vin! Miej trochę szacunku dla umarłych.

- Dla tych stworów nie mam szacunku - sprzeciwiła się - i nigdy nie będę go miała.

Widziałeś, jak próbował użyć jednego ze swoich kolców, żeby cię zabić.

- To rzeczywiście było dziwne. Może czuł, że nie zdoła dotrzeć do toporów?

- Popatrz.

Elend znów się odwrócił. Inkwizytor miał standardowe kolce - sześć wbitych między żebrami po obu stronach piersi. Ale... był też kolejny - nie miały go trupy Inkwizytorów, które Elend widział wcześniej - przebijający środek piersi.

Na Ostatniego Imperatora, pomyślał Elend. Ten musiał przebić serce. Jak on to przeżył? Oczywiście, skoro dwa kolce w mózgu go nie zabiły, to jeden w sercu też pewnie nie.

Vin sięgnęła i wyrwała kolec. Elend się skrzywił. Uniosła kawałek metalu, marszcząc czoło.

- Cyna z ołowiem - powiedziała.

- Naprawdę?

Pokiwała głową.

- To daje nam dziesięć kolców. Dwa w oczodołach i jeden w ramionach, wszystkie ze stali. Sześć między żebrami, dwa stalowe i cztery z brązu. A teraz ten, z cyny z ołowiem... nie wspominając już o tym, którym próbował cię przebić i który wygląda na stalowy.

Elend przyglądał się kolcowi w jej dłoni. W Allomancji i Feruchemii różne metale miały różne działania - mógł się jedynie domyślać, że dla Inkwizytorów typ metalu wykorzystany w kolcach też miał znaczenie.

- Może nie wykorzystują Allomancji, tylko jakąś... trzecią moc?

- Może - odpowiedziała Vin, chwyciła kolec i się wyprostowała. - Musimy rozciąć żołądek i sprawdzić, czy ma atium.

- Możliwe że ten w końcu będzie je miał.

Zawsze na wszelki wypadek spalali elektrum; dotychczas żaden Inkwizytor, którego spotkali, nie miał atium.

Vin potrząsnęła głową, spoglądając na pokryte popiołem pole bitwy.

- Czegoś nie dostrzegamy, Elendzie. Jesteśmy jak dzieci, grające w grę, którą podpatrzyły u rodziców, lecz nieznające jej zasad. A... nasz przeciwnik stworzył tę grę.

Elend okrążył trupa i podszedł do niej.

- Vin, nawet nie wiemy, czy to coś tu jest. Ta istota, którą widzieliśmy rok temu przy Studni... może jej już nie ma. Może odeszła, skoro jest wolna. Być może tylko tego pragnęła.

Vin spojrzała na niego. W jej oczach widział, że w to nie wierzy. Może zauważyła, że on sam też w to nie wierzy.

- Jest gdzieś tam, Elendzie - wyszeptała. - Kieruje Inkwizytorami, wie, co robimy.

Dlatego kolosy zawsze atakują miasta, do których się zbliżamy. Ma władzę nad światem, może zmienić tekst, który został napisany, wywołując nieporozumienia i dezorientację. Zna nasze plany.

Elend położył dłoń na jej ramieniu.

- Ale dziś go pokonaliśmy... i podesłał nam tę podręczną armię kolosów.

- Ilu ludzi straciliśmy, próbując zdobyć tę siłę?

Elend nie musiał odpowiadać. Zbyt wielu. Ich liczba malała. Mgły - Głębia - stawały się coraz potężniejsze, dusząc pojedynczych ludzi i zabijając plony pozostałych. Zewnętrzne Dominia zostały spustoszone, jedynie na terenach najbliższych stolicy, Luthadel, wystarczało słońca, by uprawiać rośliny. A ten teren stopniowo się zmniejszał.

Nadzieja, pomyślał Elend. Potrzebuje jej, zawsze jej ode mnie potrzebowała. Mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu, po czym ją przytulił.

- Pokonamy to, Vin. Znajdziemy sposób.

Nie sprzeciwiła mu się, ale wyraźnie nie była przekonana. Mimo to, pozwalała mu się tulić, przymknęła oczy i oparła głowę o jego pierś. Stali na polu bitwy obok powalonego wroga, lecz nawet Elend musiał przyznać, że to nie było wielkie zwycięstwo. Nie, kiedy świat wokół nich się

walił.

Nadzieja! - pomyślał znowu. Należę teraz do Kościoła Ocalałego. A ma on tylko jedno przykazanie.

Przeżyć.

- Daj mi jednego z kolosów - powiedziała w końcu Vin, wysuwając się z jego objęć.

Elend uwolnił jednego ze stworów średniej wielkości, pozwalając, by Vin nad nim zapanowała. Wciąż nie do końca rozumiał, jak kierowali tymi stworami. Gdy raz zapanował

nad istotą, mógł ją kontrolować bez przerwy - czy spał, czy był przytomny, spalał metale czy też nie. Wielu kwestii związanych z Allomancją nie pojmował. Swoich mocy używał

zaledwie od roku, a rozpraszała go konieczność rządzenia imperium i nakarmienia swojego ludu, nie wspominając o wojnach. Nie miał wiele czasu na ćwiczenia.

Oczywiście, Vin miała jeszcze mniej czasu na ćwiczenia, nim zabiła samego Ostatniego Imperatora. Ona jednak była wyjątkowym przypadkiem - korzystała z Allomancji z taką łatwością, z jaką inni ludzie oddychali, w jej wypadku była to mniej umiejętność, a bardziej część jej istoty. Elend być może miał większą moc - jak się zawsze upierała - lecz to ona była prawdziwym mistrzem.

Samotny koloss Vin podszedł i podniósł Inkwizytora oraz jego kolec. Później Elend i Vin zeszli ze wzgórza - sługa podążył za nimi - w stronę ludzkiej armii. Na rozkaz Elenda kolossy się rozstąpiły, robiąc im przejście. Słumił drzenie, gdy nimi kierował.

Fatren, brudny mężczyzna, który rządził miastem, przygotował już miejsce do oceny stanu rannych - choć Elend nie wierzył zbyt w umiejętności chirurgów skaa.

- Dlaczego się zatrzymali? - spytał Fatren, stając przed swoimi ludźmi, gdy Vin i Elend zbliżyli się do nich.

- Obiecałem ci drugą armię, lordzie Fatrenie - odparł Elend. - Oto ona.

- Kolossy? - spytał.

Elend pokiwał głową.

- Ale to armia, która przybyła nas zniszczyć.

- A teraz należą do nas - stwierdził Elend. - Twój ludzie świetnie sobie poradził.

Upewnij się, że rozumieją, że to zwycięstwo należy do nich. Musieliśmy zmusić Inkwizytora do pokazania się, a jedynym sposobem było zmuszenie jego armii do zwrócenia się przeciwko sobie. Kolossy zaczynają się bać, kiedy widzą, jak coś małego pokonuje coś dużego. Twój ludzie dzielnie walczyli i dzięki nim te kolossy należą do nas.

Fatren podrapał się po brodzie.

- Czyli - powiedział powoli - zaczęły się nas bać, więc przeszły na naszą stronę?

- Coś w tym rodzaju - zgodził się Elend, spoglądając na żołnierzy. W myślach rozkazał

kilku kolossom wystąpić do przodu. - Te stwory będą słuchać rozkazów mężczyzn z tej grupy. Niech zniosą rannych z powrotem do miasta. Upewnij się jednak, czy twoi ludzie nie będą atakować ani karać kolosów. One są teraz naszymi sługami, rozumiesz?

Fatren pokiwał głową.

- Chodźmy - powiedziała Vin, patrząc na miasteczko. W jej głosie zabrzmiała ekscytacja.

- Lordzie Fatrenie, chcesz iść z nami czy wolisz nadzorować swoich ludzi? - spytał

Elend.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Co macie zamiar zrobić?

- W waszym mieście jest coś, co musimy zabrać.

Fatren się zawahał.

- W takim razie pójdę.

Wydał rozkazy swoim ludziom, Vin zaś czekała z niecierpliwością. Elend uśmiechnął

się do niej. W końcu Fatren dołączył do nich i cała trójka ruszyła z powrotem w stronę bramy Vetitan.

- Lordzie Fatrenie... - zaczął Elend po drodze - od tej chwili powinieneś się do mnie zwracać „milordzie”.

Fatren przerwał nerwową obserwację otaczających ich kolosów.

- Rozumiesz? - spytał Venture i spojrzał mu w oczy.

- Eee... tak. Milordzie.

Elend pokiwał głową, a wtedy Fatren cofnął się nieco, jakby nieświadomie okazując szacunek. Nie wydawał się zbuntowany - na razie pewnie cieszył się, że żyje. Być może w końcu znenawidzi Elenda za przejęcie władzy nad jego miastem, ale wtedy nie będzie miał

już wiele do powiedzenia. Mieszkańcy przyzwyczajają się do bezpieczeństwa, jakie oznaczała przynależność do większego imperium, a opowieści o tym, jak Elend w tajemniczy sposób

zapanował nad kolosami - i w ten sposób uratował miasteczko - będą miały swoją moc.

Fatren już nigdy nie przejmie władzy.

Jakże łatwo przychodzi mi dowodzenie, pomyślał Elend. Przed zaledwie dwoma laty popełniałem więcej błędów niż ten mężczyzna. On przynajmniej zachował jedność mieszkańców w czasie kryzysu. Ja utraciłem tron, a Vin odzyskała go dla mnie.

- Martwię się o ciebie - odezwała się Vin. - Czy musiałeś zacząć bitwę beze mnie?

Elend spojrzał w bok. W jej głosie nie było wyrzutu. Jedyne troska.

- Nie byłem pewien kiedy... albo czy w ogóle... przybędziesz - powiedział. - To była zbyt dobra okazja. Kolosy maszerowały przez cały dzień. Zabiliśmy pewnie z pięć setek, zanim w ogóle zaczęły atakować.

- A Inkwizytor? - spytała. - Naprawdę sądziłeś, że sam go pokonasz?

- A ty? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Walczyłaś z nim dobre pięć minut, zanim do was dotarłem i mogłem pomóc.

Vin nie sięgnęła do oczywistego argumentu - że to ona miała większe osiągnięcia jako Zrodzony z Mgły. Miast tego tylko szła w milczeniu. Wciąż się o niego martwiła, nawet jeśli już nie próbowała chronić go przed niebezpieczeństwem. Zarówno jej troska, jak i gotowość pozwolenia mu na podejmowanie ryzyka były częścią jej miłości. A on szczerze doceniał oba elementy.

Starali się jak najwięcej przebywać razem, ale nie zawsze było to możliwe - na przykład, kiedy Elend odkrył armię kolosów maszerującą na bezbronne miasteczko, podczas gdy Vin dostarczała rozkazy Penrodowi w Luthadel. Elend miał nadzieję, że wróci do jego obozu na czas, by się dowiedzieć, gdzie się udał, i ruszy na pomoc, ale nie mógł czekać. Nie, gdy chodziło o życie tysiąca ludzi.

Tysiąca ludzi... i jeszcze więcej.

W końcu dotarli do bram. Tłumy żołnierzy, którzy albo dotarli za późno, by wziąć udział w walce, albo za bardzo się bali, by zaatakować, tłoczyły się na wale, patrząc na nich z podziwem. Kilka tysięcy kolosów minęło ludzi Elenda i próbowało zaatakować miasteczko.

Teraz stały nieruchomo - na jego bezgłośny rozkaz - i czekały pod wałem.

Żołnierze otworzyli bramę, wpuszczając do środka Vin, Elenda, Fatrena i samotnego kolossa. Większość z nich spoglądała na stwora z nieufnością - i dobrze. Vin kazała mu położyć martwego Inkwizytora i ruszyć za nimi przez zasypane popiołem ulice. Vin miała swoje metody - im więcej ludzi widziało kolosy i się do nich przyzwyczajało, tym lepiej.

Dzięki temu bestie wywoływały mniejszy strach i ludziom łatwiej się walczyło, jeśli mieli im stawić czoła w bitwie.

Wkrótce dotarli do budynku Zakonu, który Elend zobaczył, gdy po raz pierwszy wszedł do miasta. Koloss Vin podszedł i zaczął zrywać deski.

- Budynek Zakonu? - spytał Fatren. - A co tam takiego jest? Już go przeszukaliśmy.

Elend spojrział na niego z ukosa.

- Milordzie - dodał Fatren.

- Stalowy Zakon był bezpośrednio związany z Ostatnim Imperatorem - stwierdził

Elend. - Obligatorzy byli jego oczami w imperium, przez nich panował nad szlachetnie urodzonymi, nadzorował handel i zapewniał zachowanie ortodoksji.

Koloss otworzył drzwi. Wszedłszy do środka, Elend spalił cynę, wzmacniając wzrok, by widzieć w słabym świetle. Vin, która najwyraźniej zrobiła to samo, nie miała problemów z wyszukiwaniem drogi między połamanymi deskami i meblami. Najwyraźniej ludzie Fatrena nie tylko „przeszukali” budowlę, lecz i ją splądrowali.

- Tak, wiem, kim byli obligatorzy - stwierdził Fatren. - Już ich tu nie ma, milordzie.

Odeszli ze szlachetnie urodzonymi.

- Obligatorzy nadzorowali pewne ważne projekty, Fatrenie - zauważył Elend. - Na przykład, odkrywanie sposobu wykorzystania nowych metali allomantycznych albo poszukiwanie czystych linii terrisańskiej krwi. Jeden z tych projektów szczególnie nas interesuje.

- Tutaj - odezwała się Vin, stając przy czymś umieszczonym w podłodze. - Ukryta kłapa.

Fatren spojrział z powrotem w stronę wejścia, być może żałując, że nie zabrał ze sobą paru żołnierzy. Obok kłapy Vin zapaliła latarnię, którą udało jej się gdzieś znaleźć. W

ciemnościach piwnicy nie pomagała nawet cyna. Kobieta podniosła kłapę i zaczęli schodzić po drabinie. W końcu dotarli do piwnicy na wino.

Elend stanął pośrodku niewielkiej piwniczki, a Vin zaczęła sprawdzać ściany.

- Mam - powiedziała później, stukając pięścią we fragment ściany z kamiennych bloków.

Elend podszedł do niej. Rzeczywiście, między kamieniami była wąska szpara, niemal niewidoczna. Spaliwszy stal, Elend widział dwie słabe niebieskie linie prowadzące do metalowych płyt ukrytych za kamieniem.

Dwie mocniejsze linie sięgały do tyłu, w stronę dużej metalowej płyty umieszczonej w murze, starannie przymocowanej ogromnymi śrubami do kamienia.

- Gotowy? - spytała Vin.

Elend pokiwał głową i rozjarzył żelazo. Oboje Przyciągnęli płytę ukrytą w kamiennej ścianie, zapewniając sobie równowagę przez Przyciąganie płyty za plecami.

Nie po raz pierwszy Elend był pod wrażeniem dalekowzroczności Zakonu. Jak mogli wiedzieć, że pewnego dnia grupa skaa zdobędzie władzę nad tym miastem? A jednak te drzwi nie tylko zostały ukryte - wykonano je w taki sposób, że mógł je otworzyć jedynie ktoś obdarzony Allomancją. Elend nadal Przyciągał w dwie strony jednocześnie, czując się tak, jakby jego ciało rozszarpały dwa konie. Na szczęście, miał jeszcze moc cyny z ołowiem, by wzmocnić ciało i nie pozwolić, by zostało rozerwane. Stojąca obok Vin stęknęła z wysiłku i wkrótce fragment ściany zaczął się odsuwać. Nikomu nie udałooby się wyważyć grubej kamiennej ściany, a przebicie się wymagałoby długotrwałych wysiłków. Z pomocą Allomancji otworzyli drzwi w ciągu kilku chwil.

W końcu puścili. Vin sapnęła i Elend widział, że dla niej był to większy wysiłek niż dla niego. Czasem uważał za niesprawiedliwy fakt, że to on ma więcej mocy - w końcu posługiwał się Allomancją o wiele krócej.

Vin podniosła latarnię i weszli do nowego pomieszczenia. Podobnie jak dwie jaskinie, które widzieli wcześniej, tak i ta była olbrzymia. Sięgała daleko, blask ich lampy robił jedynie niewielki wyłom w ciemnościach. Fatren sapnął w zadziwieniu, gdy dołączył do nich w wejściu. Salę wypełniały półki. Setki, tysiące półek.

- Co to? - spytał Fatren.

- Żywność - odparł Elend. - I podstawowe zapasy. Leki, tkaniny, woda.

- Tak dużo - powiedział Fatren. - Tutaj, przez cały czas...

- Zbierz więcej ludzi - stwierdził Venture. - Żołnierzy. Muszą pilnować wejścia, żeby nikt się nie włamał i nie ukradł zapasów.

Twarz Fatrena spochmurniała.

- To miejsce należy do moich ludzi.

- Moich ludzi, Fatrenie - stwierdził Elend, patrząc, jak Vin wchodzi w głąb sali, niosąc ze sobą światło. - To miasto należy teraz do mnie, podobnie jak wszystko, co w nim jest.

- Przyszedłeś, żeby nas obrabować - oskarżył go Fatren. - Jak ci bandyci, którzy przed rokiem próbowali zdobyć miasto.

- Nie - sprzeciwił się Elend, odwracając się w stronę pokrytego sadzą mężczyzny. - Ja przybyłem was podbić. To pewna różnica.

- Nie widzę jej.

Elend zacisnął zęby, by nie warknąć na mężczyznę. Zmęczenie, wyczerpanie kierowaniem imperium, które wydawało się skazane na zagładę - to wszystko ostatnio często sprawiało, że tracił panowanie

nad sobą. Nie, powiedział sobie w duchu. Ludzie tacy jak Fatren nie potrzebują kolejnego tyra. Potrzebują kogoś, na kim mogą się wzorować.

Elend podszedł do mężczyzny i celowo nie wykorzystał emocjonalnej Allomancji.

Uspokajanie było skuteczne w wielu sytuacjach, ale jego efekt szybko mijał. To nie był sposób na zyskanie trwałych sojuszników.

- Lordzie Fatrenie - powiedział Elend. - Chciałbym, żebyś starannie rozważył to, o co się teraz spierasz. Co by się stało, gdybym rzeczywiście was zostawił? Z tak wielką ilością jedzenia, z tak wielkim bogactwem tutaj, na dole? Czy możesz zaufać, że mieszkańcy nie spróbują się tu włamać, że żołnierze nie spróbują sprzedać części tego w innych miastach? Co się stanie, gdy tajemnica waszych zapasów jedzenia wyjdzie na jaw? Czy przywitasz z otwartymi ramionami tysiące uchodźców, którzy tu przybędą? Czy ochronisz ich i tę jaskinię przed bandytami i zbrojcami, którzy pojawią się później?

Fatren milczał.

Elend położył mu dłoń na ramieniu.

- Mówiłem poważnie, lordzie Fatrenie. Twoi ludzie dobrze walczyli, jestem pod wrażeniem. Za swoje ocalenie powinni być wdzięczni tobie, twojej zdolności przewidywania i szkoleniu. Jeszcze kilka godzin temu zakładali, że zostaną wymordowani przez kolosy.

Teraz nie tylko są bezpieczni, ale znajdują się pod ochroną o wiele większej armii. Nie walcz z tym. Dobrze sobie radziliście, ale nadszedł czas, kiedy potrzebujecie sojuszników. Nie okłamię cię... zabiorę zawartość tej jaskini, niezależnie od tego, czy będziecie stawiać opór.

Ale mam zamiar zapewnić wam ochronę moich armii, jak również daję ci słowo honoru, że wciąż możesz rządzić swoimi ludźmi w moim imieniu. Musimy współpracować, lordzie Fatrenie. Tylko w ten sposób wszyscy przetrwamy kolejne kilka lat.

Fatren podniósł wzrok.

- Oczywiście macie rację - powiedział. - Pójdę po tych ludzi, o których prosiliście, milordzie.

- Dziękuję - odparł Elend. - A jeśli masz kogoś, kto umie pisać, przyślij go do mnie.

Musimy spisać to, co mamy na dole.

Fatren pokiwał głową i wyszedł.

- Kiedyś tego nie potrafiłeś - powiedziała z pewnej odległości Vin. Jej głos odbijał się echem od ścian jaskini.

- To znaczy czego?

- Wydawać rozkazów z taką mocą - wyjaśniła. - Odebrać mu władzy. Kiedyś pozwoliłbyś tym ludziom zdecydować, czy chcą stać się częścią twojego imperium.

Elend spojrzał w stronę wejścia. Przez chwilę stał w milczeniu. Nie wpływał na uczucia za pomocą Allomancji, a jednak miał wrażenie, że zastraszył Fatrena.

- Czasem czuję, że zawiodłem, Vin. Musi istnieć jakiś inny sposób.

- Nie w tej chwili - sprzeciwiła się Vin, podchodząc do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu. - Potrzebują cię, Elendzie. Wiesz, że tak jest.

Pokiwał głową.

- Wiem. Tylko nie mogę przestać myśleć, że lepszy człowiek znalazłby sposób na to, by skłonić ludzi do współpracy z własnej woli.

- Tak też zrobiłeś. Twoje zgromadzenie parlamentarne nadal rządzi Luthadel, a królestwa, którymi władasz, zachowały podstawowe prawa i przywileje skaa.

- Kompromisy - stwierdził Elend. - Robią to, co chcą, o ile ja się z tym zgadzam.

- Wystarczy. Musisz być realistą.

- Kiedy spotykaliśmy się z przyjaciółmi, to ja mówiłem o idealnych marzeniach, o wspaniałych rzeczach, jakich dokonamy. Zawsze byłem idealistą.

- Cesarzowie nie mogą sobie pozwolić na ten luksus - powiedziała cicho Vin.

Elend spojrzał na nią, po czym odwrócił się z westchnieniem.

* * *

Vin stała i obserwowała Elenda w zimnym świetle latarni. Nie mogła patrzeć na taki żal, takie... rozczarowanie. W pewnym sensie jego obecne problemy wydawały się gorsze niż zwątpienie w siebie, z którym walczył niegdyś. Wydawało się, że postrzega swoje życie jako porażkę, niezależnie od tego, co osiągnął.

A jednak nie rozwodził się nad tą porażką. Ruszał dalej i działał, mimo żalu.

Stwardniał. Samo w sobie nie było to niczym złym. Wielu ignorowało dawnego Elenda jako geniusza, który miał wspaniałe pomysły, ale nie umiał przewodzić. Mimo to tęskniła za tym, co zniknęło. Za prostym idealizmem. Elend pozostawał optymistą i uczonym, lecz obie te cechy wydawały się osłabione przez to, co musiał znieść.

Patrzyła, jak idzie wzdłuż jednej z półek, ścierając palcem kurz. Uniósł palec, przez chwilę mu się przyglądał, po czym pstryknął, wyrzucając w powietrze chmurkę kurzu. Broda sprawiała, że wydawał się bardziej szorstki, niczym dowódca w czasie wojny, którym przecież był. Rok solidnych

ćwiczeń z Allomancją i mieczem wzmocnił jego ciało i wkrótce będzie musiał zamawiać nowe mundury. Ten, który w tej chwili miał na sobie, wciąż nosił

ślady bitwy.

- To miejsce jest wspaniałe, prawda? - spytał Elend.

Vin odwróciła się i spojrzała w mrok jaskini.

- Pewnie tak.

- On wiedział, Vin - stwierdził Elend. - Ostatni Imperator. Podejrzewał, że ten dzień nadejdzie, dzień, kiedy mgły powrócą i zaczną brakować żywności. Dlatego przygotował te magazyny.

Vin dołączyła do Elenda przy jednej z półek. Z wizyt w poprzednich jaskiniach wiedziała, że żywność nadal będzie się nadawała do jedzenia. Większość została wyprodukowana w fabrykach konserw Ostatniego Imperatora i mogła przetrwać wiele lat.

Zapasy z tej jednej jaskini zapewniłyby miasteczku na górze wyżywienie na długi czas.

Niestety, Vin i Elend musieli się martwić o więcej niż jedno miasto.

- Wyobraź sobie, jaki to był wysiłek - odezwał się znów Elend, unosząc w dłoni puszkę z duszoną wołowiną. - Musiał co kilka lat wymieniać żywność, ciągle pakować i przechowywać nowe zapasy. Robił to przez stulecia, i nikt się o tym nie dowiedział.

Vin wzruszyła ramionami.

- Nie jest tak trudno zachować tajemnicę, gdy jest się boskim imperatorem z fanatyczną klasą kapłańską.

- Owszem, ale sam wysiłek... zakres tego wszystkiego... - Elend zamilkł i spojrzał na Vin. - Wiesz, co to znaczy?

- Co?

- Ostatni Imperator sądził, że to się da pokonać. Głębie, istotę, którą uwolniliśmy.

Ostatni Imperator sądził, że w końcu uda mu się zwyciężyć.

Vin prychnęła.

- To może mieć zupełnie inne znaczenie, Elendzie.

- Dlaczego w takim razie przez to wszystko przechodził? Musiał uważać, że walka nie jest pozbawiona nadziei.

- Ludzie walczą, Elendzie. Nawet umierające zwierzę nie przestaje walczyć, zrobi wszystko, by pozostać przy życiu.

- Musisz jednak przyznać, że te jaskinie to dobry znak - powiedział Elend.

- Dobry znak? - powtórzyła cicho Vin, podchodząc bliżej. - Elendzie, wiem, że próbujesz odnaleźć w tym wszystkim nadzieję, ale ja ostatnio mam problem z zauważaniem

„dobrych znaków”. Musisz przyznać, że słońce robi się ciemniejsze. Bardziej czerwone. Tu, na południu, jest jeszcze gorzej.

- Właściwie - sprzeciwił się mężczyzna - wątpię, by słońce się zmieniło. To wszystko przez ten dym i popiół w powietrzu.

- Co stanowi kolejny problem - stwierdziła Vin. - Popiół pada w tej chwili niemal bez przerwy. Ludzie mają problemy z oczyszczaniem ulic. Zastania światło, zaciemnia wszystko.

Nawet jeśli mgły nie zabiją przyszłorocznych plonów, zrobi to popiół. Dwie zimy temu...

kiedy walczyliśmy przeciwko kolosom w Luthadel... po raz pierwszy widzieliśmy śnieg w Środkowym Dominium, a ostatnia zima była jeszcze gorsza. Z tym nie możemy walczyć, niezależnie od rozmiarów naszej armii!

- I co według ciebie mam zrobić, Vin? - spytał Elend, odstawiając z hukiem puszkę na półkę. - Kolosy zbierają się w Dominiach Zewnętrznych. Jeśli nie przygotujemy obrony, nasi ludzie nie zdążą umrzeć z głodu.

Vin potrząsnęła głową.

- Armie to rozwiązanie krótkoterminowe. To - szerokim gestem objęła jaskinię -

rozwiązanie krótkoterminowe. Co my tu robimy?

- Przeżywamy. Kelsier powiedział...

- Kelsier nie żyje! - warknęła Vin. - Czy tylko ja spostrzegam w tym ironię?

Nazywamy go Ocalałym, ale on nie ocalał! Świadomie uczynił z siebie męczennika. Popełnił samobójstwo. To nazywasz przeżyciem?

Przez chwilę stała bez ruchu, spoglądając na Elenda i dysząc ciężko. On wytrzymał jej wzrok, wyraźnie niezrażony tym wybuchem.

Co ja robię? - pomyślała Vin. Przed chwilą myślałam, jak bardzo podziwiam nadzieję Elenda. Dlaczego teraz się z nim kłócę?

Znajdowali się na krawędzi wytrzymałości. Oboje.

- Nie mam dla ciebie odpowiedzi, Vin - powiedział Elend w mroku jaskini. - Nie mam pojęcia, jak walczyć przeciwko mgłom. Armiami jednak umiem się zająć. A przynajmniej zaczynam się tego uczyć.

- Przepraszam - powiedziała Vin, odwracając się. - Nie chciałam znów się kłócić. To takie frustrujące.

- Robimy postępy. Znajdziemy rozwiązanie. Przeżyjemy, Vin.

- Naprawdę myślisz, że nam się to uda? - spytała ponownie się odwracając, by spojrzeć mu w oczy.

- Tak - odpowiedział.

I uwierzyła mu. Miał nadzieję, jak zawsze. Między innymi dlatego tak bardzo go kochała.

- Chodź - powiedział Elend, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Znajdźmy to, po co przyszliśmy.

Vin dołączyła do niego, pozostawiając z tyłu swojego kolossa. Przy akompaniamencie dochodzącego z góry odgłosu kroków ruszyli w głąb jaskini. Przybyli do tego miejsca z więcej niż jednego powodu. Żywność i zapasy - których niekończące się półki mijali - były ważne. Ale prócz tego było coś jeszcze.

Na końcu surowej jaskini znajdowała się duża metalowa płyta przymocowana do ściany. Vin przeczytała na głos słowa, które na niej napisano.

- „Oto ostatni metal, o którym wam opowiem” - przeczytała. - „Nie umiem zdecydować, jaki jest jego cel. Pozwala wam w pewien sposób zobaczyć przeszłość. Kim człowiek mógłby być i kim mógłby się stać, gdyby podjął inne decyzje. Działa podobnie jak złoto, ale na innych ludzi. W tej chwili mgły prawdopodobnie powróciły. Co za ohydna, nienawistna rzecz. Nie chodźcie między nimi. Pragną zniszczyć nas wszystkich. Jeśli pojawią się problemy, wiedźcie, że możecie zapanować nad kolosami i kandra, jeśli kilku ludzi jednocześnie zacznie Odpychać ich uczucia. Wbudowałem w nich tę słabość. Zachowajcie tę tajemnicę”.

Poniżej znajdował się opis allomantycznego metalu, który Vin już знаła. Był to stop atium zwany malatium - Jedenasty Metal Kelsiera. Czyli Ostatni Imperator wiedział o jego istnieniu, jednak jego zastosowanie pozostało dla niego tajemnicą.

Autorem tych słów na płycie był oczywiście Ostatni Imperator. A przynajmniej rozkazał, by tak je zapisano. W każdym z poprzednich magazynów znajdowały się informacje zapisane w stali. W Urteau na przykład dowiedziała się o elektrum. W tym na wschodzie znaleźli opis aluminium - choć już znali ten metal.

- Nic nowego - powiedział Elend. Wydawał się rozczarowany. - Już wiemy o malatium i sposobach panowania nad kolosami. Choć nie pomyślałem o grupie Uspokajaczy, którzy jednocześnie Odpychają. To może się okazać użyteczne.

Wcześniej sądzili, że do zapanowania nad kolossami niezbędny był Zrodzony z Mgły spalający duraluminium.

- To nie ma znaczenia - stwierdziła Vin, wskazując na drugą stronę płyty. - Mamy to.

Na drugiej części płyty znajdowała się mapa, wyrzeźbiona w stali, podobnie jak w pozostałych trzech jaskiniach. Przedstawiała Ostatnie Imperium, podzielone na dominia.

Luthadel było kwadratem pośrodku. Duży znak X na zachodzie był tym, po co tu przyszli - pokazywał lokalizację ostatniej jaskini.

Jak sądzili, było ich pięć. Pierwszą znaleźli pod Luthadel, w pobliżu Studni Wstąpienia. Pokazywała lokalizację kolejnej, na wschód od miasta. Trzecia znajdowała się w Urteau - Vin udało się tam przekraść, ale jeszcze nie odzyskali żywności. Tamta doprowadziła ich tutaj, na południe.

Na każdej mapie znajdowały się też liczby - pięć i mniejsza liczba. Luthadel było numerem jeden. Tu widzieli czwórkę.

- Mamy to - stwierdziła Vin, przeciągając palcami po rzeźbieniach na płycie. - W

Zachodnim Dominium, jak się domyślałeś. Gdzieś w pobliżu Chardees?

- Fadrex - stwierdził Elend.

- Miasto Cetta?

Pokiwał głową. Na geografii znał się o wiele lepiej od niej.

- To na pewno właściwe miejsce - powiedziała Vin. - Gdzie znajdziemy to.

Elend napotkał jej spojrzenie i widziała, że ją zrozumiał. Magazyny były coraz obszerniejsze i miały coraz większą wartość. Do tego każdy był wyspecjalizowany - w pierwszym poza innymi zapasami znajdowała się też broń, a w drugim mnóstwo drewna. Gdy sprawdzali kolejne magazyny, coraz bardziej ekscytowała ich perspektywa tego, co mogli znaleźć w ostatniej jaskini. Na pewno coś spektakularnego. Może nawet to.

Zapasy atium Ostatniego Imperatora.

To był największy skarb Ostatniego Imperium. Mimo wieloletnich poszukiwań, nikomu jeszcze nie udało się go odnaleźć. Niektórzy twierdzili, że w ogóle nie istnieje. Vin jednak czuła, że gdzieś musi być. Mimo że Ostatni Imperator przez tysiąc lat panował nad jedyną kopalnią, w której wydobywano skrajnie rzadki metal, jedynie niewielkie jego ilości wypuszczał na rynek. Nikt nie wiedział, co robił z resztą, którą przez te wszystkie lata zatrzymywał dla siebie.

- Nie podniecaj się tak - powiedział Elend. - Nie mamy dowodów, że w ostatniej jaskini znajdziemy atium.

- Musi tam być - odparła. - To ma sens. Gdzie jeszcze mógłby je przechowywać?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, już byśmy je znaleźli.

Vin pokręciła głową.

- Umieścił je w jakimś bezpiecznym miejscu, tyle że gdzieś, gdzie musiało zostać odnalezione. Pozostawił te mapy jako wskazówki dla swoich następców, gdyby... jakimś sposobem... został pokonany. Nie chciał, by wróg, który zdobędzie jedną z jaskiń, od razu znalazł je wszystkie.

Kolejne wskazówki prowadziły do ostatniego składu. Najważniejszego. To miało sens.

Musiało. Elend nie wydawał się przekonany. Podrapał się po zarośniętej brodzie, w świetle latarni wpatrując się w metalową płytę.

- Nawet jeśli je znajdziemy - stwierdził - nie wiem, na ile nam się przyda. Po co nam teraz pieniądze?

- To więcej niż pieniądze - sprzeciwiła się. - To moc. Broń, którą możemy wykorzystać do walki.

- Walki przeciwko mgle? - spytał.

Vin milczała przez chwilę.

- Może nie - powiedziała w końcu. - Ale przeciwko kolosom i innym armiom. Z tym atium twoje cesarstwo będzie bezpieczne... Poza tym, atium jest częścią tego wszystkiego, Elendzie. Jest wartościowe ze względu na Allomancję... lecz Allomancja nie istniała przed Wstąpieniem.

- Kolejne pytanie, na które nie znamy odpowiedzi - zauważył Elend. - Dlaczego ten kawałek metalu, który połknąłem, uczynił mnie Zrodzonym z Mgły? Skąd się wziął?

Dlaczego został umieszczony przy Studni Wstąpienia i przez kogo? Dlaczego został tylko jeden i co stało się z pozostałymi.

- Może poznamy odpowiedź, kiedy zdobędziemy Fadrex - powiedziała Vin.

Elend pokiwał głową. Widziała, że uważał informacje zawarte w magazynach za najważniejszy powód, by warto ich było szukać, a na drugim miejscu stawiał zapasy. Dla niego możliwość znalezienia atium była względnie mało ważna. Vin nie umiała wyjaśnić, dlaczego czuła, że mężczyzna tak bardzo się myli. Atium było ważne. Wiedziała to. Jej wcześniejsza rozpacz zmniejszyła się, gdy spojrzała na mapę. Musieli udać się do Fadrex.

Wiedziała to.

Tam znajdą odpowiedzi.

- Zdobycie miasta nie będzie łatwe - zauważył Elend. - Wrogowie Cetta nieźle się tam okopali. Jak

słyszałem, dowodzi nimi były obligator Zakonu.

- Atium będzie tego warte - powiedziała Vin.

- O ile tam jest - stwierdził Elend.

Popatrzyła na niego ponuro.

Uniósł dłoń.

- Ja tylko próbuję postępować tak, jak mi radziłaś Vin... próbuję być realistą. Zgadzam się jednak, że Fadrex będzie warte wszelkich wysiłków. Nawet jeśli nie ma tam atium, potrzebujemy zapasów. Musimy wiedzieć, co zostawił nam Ostatni Imperator.

Vin pokiwała głową. Sama już nie miała atium. Spaliła ostatni kawałek półtora roku wcześniej i nigdy nie przyzwyczała się do tego, jak bardzo odsłonięta czuła się bez niego.

Elektrum nieco łagodziło ten strach, ale nie do końca.

Po drugiej stronie jaskini zabrzmiały czyjeś głosy. Elend się odwrócił.

- Muszę iść z nimi porozmawiać - powiedział. - Będziemy musieli tu wszystko szybko zorganizować.

- Czy powiedziałeś im już, że musimy ich zabrać do Luthadel?

Pokręcił głową.

- Nie spodoba im się to - stwierdził. - Stają się niezależni, na co zawsze liczyłem.

- Tak trzeba zrobić, Elendzie. Miasto znajduje się daleko poza naszymi liniami obrony.

Poza tym, tak daleko pozostało im pewnie tylko kilka godzin słońca bez mgieł. Ich plony są skazane na zagładę.

Elend pokiwał głową, lecz nadal wpatrywał się w ciemność.

- Przybywam, przejmuję władzę nad ich miastem, zabieram ich skarb, a później zmuszam do porzucenia domów. A stąd udajemy się do Fadrex, by podbić kolejne miasto.

- Elendzie...

Uniósł dłoń.

- Wiem, Vin. To trzeba zrobić.

Odwrócił się, zostawiając jej latarnię, i ruszył w stronę wyjścia. Wyprostował się przy tym, a wyraz jego twarzy stał się bardziej stanowczy.

Vin znów odwróciła się do płyty, przyglądając się słowom Ostatniego Imperatora. Na innej płycie, całkiem podobnej, Sazed odnalazł słowa Kwaana, dawno nieżyjącego Terrisanina, który zmienił świat, utrzymując, że znalazł Bohatera Wieków. Kwaan pozostawił

swoje słowa jako przyznanie się do błędów i ostrzeżenie, że pewna siła próbuje zmieniać historie i religie ludzkości. Martwił się, że ta moc odmienia religię Terris, by „Bohater” udał

się na północ i ją wyzwolił.

I to właśnie zrobiła Vin. Nazwała się bohaterem i uwolniła wroga - cały czas sądząc, że poświęca się dla dobra świata.

Przeciągnęła palcami po arkuszu metalu.

Musimy robić więcej niż tylko prowadzić wojny! - pomyślała, wściekła na Ostatniego Imperatora. Skoro wiedziałeś tak wiele, dlaczego nie zostawiłeś nam więcej niż to? Kilka map w rozrzuconych salach wypełnionych zapasami? Kilka akapitów, mówiących nam o metalach, z których prawie nie korzystamy? Co nam pomoże jaskinia pełna żywności, jeśli musimy wykarmić całe imperium!

Vin zatrzymała się. Jej palce - uwrażliwione przez cynę, którą spalała, by widzieć w mrocznej jaskini - dotknęły wgłębien w powierzchni płyty. Uklękła, pochyliła się i znalazła krótki napis wykuty w metalu, na samym dole. Litery były zdecydowanie mniejsze niż te na górze.

„Uważajcie, co mówicie” brzmiał napis. „To może usłyszeć, co mówicie. Może przeczytać, co zapiszecie. Jedyne wasze myśli są bezpieczne”.

Vin zadrżała.

„Jedyne wasze myśli są bezpieczne”.

Czego dowiedział się Ostatni Imperator w chwilach transcendencji? Co na zawsze zachował w swoim umyśle, nigdy nie zapisując, by nie ujawnić swojej wiedzy, zawsze spodziewając się, że to on weźmie moc, gdy w końcu powróci? Może planował wykorzystać tę moc, by zniszczyć istotę, którą Vin uwolniła?

„Skazujecie się na zagładę...”. Ostatnie słowa Ostatniego Imperatora, wypowiedziane tuż przed tym, jak Vin wbiła mu włócznię w serce. Wiedział. Nawet wtedy, zanim mgły zaczęły przychodzić w ciągu dnia, nim zaczęła słyszeć dziwne dźwięki, które zaprowadziły ją do Studni Wstąpienia, nawet wtedy się martwiła.

„Uważajcie, co mówicie... jedynie wasze myśli są bezpieczne”.

Muszę to rozgryźć. Muszę połączyć to, co mamy, znaleźć sposób, by pokonać - albo przechytrzyć - tę istotę, którą uwolniłam.

I nie mogę o tym z nikim rozmawiać, albo dowie się, co planuję.

Rashek wkrótce odnalazł równowagę w zmianach, które wprowadził w świecie - i całe szczęście, gdyż jego moc wypaliła się dosyć szybko. Choć moc, którą trzymał, wydawała mu się ogromna, tak naprawdę była jedynie niewielką częścią czegoś o wiele większego.

Oczywiście, w końcu zaczął się nazywać Skrawkiem Nieskończoności w swojej religii.

Może rozumiał więcej niż mi się wydaje.

Tak czy inaczej, musimy mu podziękować za świat bez kwiatów, z brązowymi roślinami, gdzie ludzie potrafią przeżyć w środowisku, w którym z nieba regularnie spada popiół.

6

Jestem zbyt słaby, pomyślał Marsh.

Nagle przepełniła go jasność, jak to się często zdarzało, gdy Zniszczenie nie przyglądało mu się uważnie. Było to niczym przebudzenie z koszmaru, będąc w pełni świadomym wszystkiego, co działo się we śnie, a jednocześnie bez zrozumienia dla powodów własnych czynów.

Dalej szedł przez obóz kolosów. Zniszczenie wciąż nad nim panowało, jak zawsze.

Gdy nie naciskało wystarczająco mocno umysłu Marsha - kiedy się na nim nie skupiało -

czasem Marsh mógł myśleć.

Nie mogę przeciwko temu walczyć, pomyślał. Zniszczenie nie czytało mu w myślach, tego był pewien. A jednak Marsh nie mógł w żaden sposób walczyć ani się opierać. Kiedy to robił, Zniszczenie natychmiast odzyskiwało panowanie nad nim. Przeżył to tuzin razy.

Czasem udało mu się poruszyć palcem, czasem się zatrzymać, ale nic poza tym.

Przygnębiało go to. Marsh jednak zawsze uważał się za człowieka praktycznego i zmusił się do przyznania prawdy. Nigdy nie zyska wystarczającego panowania nad swoim ciałem, by się zabić.

Z nieba wciąż padał popiół. Czy kiedykolwiek przestawał? Właściwie prawie żałował, że Zniszczenie czasem rozluźnia swój uścisk na jego umyśle. Gdy umysł należał do niego, Marsh widział jedynie cierpienie i zniszczenia, ale gdy panowało nad nim Zniszczenie, postrzegał spadający popiół jako coś pięknego, czerwone słońce jako triumf, a umierający świat jako przyjemne miejsce.

Szaleństwo, pomyślał Marsh, zbliżając się do środka obozu. Muszę oszaleć. Wtedy nie będę musiał tego znosić.

W środku obozu dołączyli do niego inni Inkwizytorzy, poruszający się z cichym szelestem szat. Nie mówili. Nigdy się nie odzywali - panowało nad nimi Zniszczenie, po co więc przejmować się rozmową? Bracia Marsha mieli zwyczajne kolce w głowach, przebijające czaszki. Widział jednak też ślady nowych kolców, wystających z ich piersi i pleców. Marsh sam umieścił wiele z nich, zabijając Terrisan pochwyconych na północy lub wytropionych później.

Sam Marsh miał kolekcję nowych kolców, między żebrami lub w piersi. Były piękne.

Nie rozumiał dlaczego, ale ekscytowały go. Te kolce powstały dzięki śmierci, i samo w sobie było to przyjemne - ale chodziło o coś więcej. Jakimś sposobem wiedział, że Inkwizytorzy byli niekompletni - Ostatni Imperator nie dał im pewnych umiejętności, by byli od niego bardziej zależni. By się upewnić, że mu nie zagrażą. Ale teraz dostawali to, co zatrzymał.

Cóż za piękny świat, pomyślał Marsh, patrząc na spadający popiół i czując lekki, uspokajający dotyk płatków na skórze.

Mówię o nas, używając zaimka „my”. Grupa. Ci z nas, którzy próbowali poznać i pokonać Zniszczenie. Być może moje myśli są splamione, ale lubię spoglądać wstecz i widzieć sumę tego, co robiliśmy, jako pojedynczy i zjednoczony atak, choć wszyscy byliśmy częścią różnych procesów i planów.

Byliśmy jednością. Nie zatrzymaliśmy końca świata, ale to wcale nie musi być czymś złym.

7

Dali mu kości.

TenSoon opłynął je, roztapiając mięśnie, a później tworząc z nich narządy, ścięgna i skórę. Zbudował ciało wokół kości, wykorzystując umiejętności zebrane podczas stuleci pożerania i przetrawiania ludzi. Oczywiście, trupów - nigdy nie zabił człowieka. Kontrakt tego zakazywał.

Po roku spędzonym w jamie czuł się, jakby zapomniał już, jak korzystać z ciała. Jak to jest, dotykać świata sztywnymi członkami, a nie ciałem opływającym kamień? Jak smakować i czuć woń jedynie językiem i nozdrzami, a nie każdym kawałkiem skóry wystawionej na powietrze? Jak to...

Widzieć. Otworzył oczy i sapnął, zaczerpując tchu w nowe płuca pełnych rozmiarów.

Świat był miejscem cudownym i pełnym... światła.

Zapomniał o tym przez miesiące niemal szaleństwa. Podniósł się na kolana, spojrzął w dół na ramiona. Później uniósł rękę i ostrożnie dotknął twarzy.

Jego ciało nie przedstawiało żadnej określonej osoby - do stworzenia takiej repliki potrzebował modelu. Teraz jedynie przykrył kości mięśniami i skórą najlepiej jak potrafił.

Był na tyle stary, by umieć stworzyć rozsądną replikę człowieka. Rysy nie były przystojne, mogły się nawet wydawać nieco groteskowe. Mimo to, na razie i tak czuł się z tym więcej niż dobrze. Czuł się... znów prawdziwy.

Pozostając na czworakach, spojrzął na strażnika. Jaskinię oświetlał jedynie jarzykamień - duży, porowaty kawał skały umieszczony na grubej kolumnie. Niebieskawy grzyb, który wyrastał na kamieniu, świecił na tyle mocno, by móc widzieć w jego blasku -

zwłaszcza jeśli ktoś wyhodował sobie oczy przyzwyczajone do widzenia w słabym błękitnym świetle.

TenSoon znał swojego strażnika. Znał większość kandra, przynajmniej do Szóstego i Siódmego Pokolenia. Tamten nazywał się VarSell. W Ojczyźnie VarSell nie nosił kości zwierzęcia ani człowieka, tylko korzystał z Prawdziwego Ciała - kompletu sztucznych kości, humanoidalnych, wyrzeźbionych przez rzemieślnika kandra. Prawdziwe Ciało VarSella było kwarcowe, a on sam uczynił skórę przezroczystą, pozwalając, by kryształ migotał słabo w blasku grzyba, gdy przyglądał się TenSoonowi.

Uczyniłem swoje ciało nieprzezroczystym, uświadomił sobie TenSoon. Niczym człowiek, z opaloną skórą zasłaniającą mięśnie. Dlaczego przyszło mu to tak naturalnie?

Kiedys przeklinał lata spędzone wśród ludzi i wykorzystywanie ich kości zamiast Prawdziwego Ciała. Może postąpił tak rutynowo, dlatego że jego strażnicy nie dali mu Prawdziwego Ciała. Ludzkie kości. Swego rodzaju obelga.

TenSoon wstał.

- Co? - spytał, widząc spojrzenie VarSella.

- Wybrałem przypadkowe kości z magazynu - odpowiedział tamten. - Cóż za ironia, że dałem ci kości, które pierwotnie sam przyniosłeś.

TenSoon zmarszczył czoło. Co?

I wtedy zrozumiał. Ciało, które utworzył wokół kości, musiało wyglądać przekonująco

- jakby było oryginalnym, do którego należały te kości. VarSell założył, że TenSoonowi udało się stworzyć tak realistyczny obraz, gdyż kiedyś przetrwał ciało tego człowieka i stąd wiedział, jak utworzyć prawidłowe ciało wokół kości.

TenSoon uśmiechnął się.

- Nigdy wcześniej nie nosiłem tych kości.

VarSell popatrzył na niego. Należał do Piątego pokolenia - dwa stulecia młodszego od TenSoona. W rzeczy samej, nawet wśród Trzeciego Pokolenia niewielu kandra miało tak wielkie doświadczenie, jak TenSoon.

- Rozumiem - powiedział w końcu VarSell.

TenSoon odwrócił się i rozejrzał po niewielkiej komnacie. Trzej kolejni z Piątego Pokolenia stali przy drzwiach, obserwując go. Podobnie jak VarSell, większość nie miała ubrań - a ci, którzy je wybrali, nosili tylko rozchylone szaty. W Ojczyźnie kandra nie nosili zbyt wiele ubrań, to bowiem pozwalało im lepiej prezentować Prawdziwe Ciało.

TenSoon widział dwa migoczące metalowe kolce wbite w przezroczyste mięśnie w ramionach każdego z Piątych - wszyscy trzej mieli Błogosławieństwo Siły. Drugie Pokolenie wolało nie ryzykować jego ucieczki. Oczywiście, była to kolejna obelga. TenSoon był gotów przyjąć swój los.

- I co? - spytał TenSoon, odwracając się znów do VarSella. - Idziemy?

Kandra spojrział na jednego ze swoich towarzyszy.

- Spodziewano się, że stworzenie ciała zajmie ci więcej czasu.

TenSoon prychnął.

- Drugiemu Pokoleniu brakuje praktyki. Zakładają, że ponieważ im wciąż zajmuje wiele godzin stworzenie ciała, reszta z nas również potrzebuje tyle samo czasu.

- To starsze pokolenie - stwierdził VarSell. - Masz im okazywać szacunek.

- Drugie Pokolenie przez stulecia żyło w odosobnieniu w tych jaskiniach - odparł

TenSoon - wysyłając nas na Kontrakty, gdy oni się lenili. Dawno temu przerosłem ich umiejętnościami.

VarSell zasyczał i TenSoon przez chwilę myślał, że młodszy kandra go spoliczkuje, on jednak się powstrzymał, choć z trudem - ku rozbawieniu TenSoona. W końcu, jako członek Trzeciego Pokolenia, TenSoon był starszym dla VarSella, podobnie jak Drudzy byli starszymi TenSoona.

Jednakże Trzecie Pokolenie było przypadkiem specjalnym. Od zawsze. Dlatego właśnie Drudzy tak często wysyłali ich na Kontrakty - lepiej, żeby ich bezpośredni podwładni nie przebywali przez cały czas w okolicy, psując ich doskonałą utopię kandra.

- Chodźmy - zdecydował w końcu VarSell, skinieniem głowy dając znak dwóm strażnikom, by szli przodem. Trzeci dołączył do VarSella i ruszył za TenSoonem.

Podobnie jak VarSell, ta trójka miała Prawdziwe Ciała z kamienia. To było popularne wśród Piątego Pokolenia, które miało czas, by zamówić - i wykorzystywać - luksusowe Prawdziwe Ciała. Jako ulubieńcy Drugich, spędzali w Ojczyźnie więcej czasu niż pozostali.

TenSoon nie dostał ubrania. Dlatego w trakcie marszu rozpuścił genitalia i stworzył

sobie gładkie krocze, jak to mieli w zwyczaju kandra. Próbował iść z dumą i pewnością siebie, ale wiedział, że to ciało nie wyglądało zbyt groźnie. Było wychudzone - stracił wiele masy podczas uwięzienia, a jeszcze więcej przez kwas i nie udało mu się stworzyć wielkich mięśni.

Gładki kamienny tunel kiedyś był pewnie naturalną formacją, lecz przez stulecia młodsze pokolenia wykorzystywano podczas dzieciństwa do wygładzania kamienia sokami trawiennymi. TenSoon nie widział zbyt wielu kandra. VarSell najwyraźniej trzymał się bocznych korytarzy, pragnąc uniknąć zainteresowania.

Tak długo mnie nie było, pomyślał TenSoon. Na pewno wybrano już Jedenaste Pokolenie. Wciąż nie znam większości Ósmego, nie wspominając już o Dziewiątym i Dziesiątym.

Zaczynał podejrzewać, że Dwunastego Pokolenia nie będzie. Nawet gdyby powstało, wszystko musiało się zmienić. Ojciec nie żył. Co w takim razie z Pierwszym Kontraktem?

Jego lud spędził dziesięć stuleci w niewoli u ludzi, wypełniając Kontrakty, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Większość kandra z tego powodu nienawidziła ludzi. Aż do niedawna TenSoon się do nich zaliczał.

To ironiczne, pomyślał TenSoon. Ale nawet gdy nosimy Prawdziwe Ciała, mają one ludzką postać. Dwie ręce, dwie nogi, nawet twarze przypominające ludzkie.

Czasem zastanawiał się, czy nienarodzeni, przez ludzi zwani mgielnymi upiorami, nie byli bardziej uczciwi od swoich braci kandra. Mgielne upiory tworzyły takie ciała, na jakie tylko miały ochotę, łącząc kości w dziwny sposób, tworząc niemal artystyczne wzory z kości ludzi i zwierząt. Kandra jednak tworzyli ciała, które wyglądały jak ludzkie. Nawet jeśli przeklinali ludzkość za swoje zniewolenie.

Cóż za dziwny z nich lud. Mimo to, należał do nich. Nawet jeśli ich zdradził.

A teraz muszę przekonać Pierwsze Pokolenie, że moja zdrada była uzasadniona. Nie dla mnie. Dla nich. Dla nas wszystkich.

Przechodzili przez korytarze i komnaty, w końcu dotarli do części Ojczyzny, które TenSoon znał lepiej. Wkrótce uświadomił sobie, że ich celem był Labirynt Zaufania. Będzie się bronił w najświętszym miejscu swojego ludu. Mógł się tego domyślić.

Przez rok bolesnego uwięzienia zasłużył sobie na proces przed obliczem Pierwszego Pokolenia. Miał rok, by się zastanowić nad tym co powiedzieć. A jeśli mu się nie uda, będzie miał całą wieczność, by się zastanawiać, gdzie popełnił błąd.

Łatwo jest charakteryzować Zniszczenie jako po prostu destrukcyjną siłę. Jednakże myślcie o nim raczej jako o inteligentnym rozkładzie. Nie chaosie, lecz mocy, która w racjonalny - i niebezpieczny - sposób próbowała doprowadzić do rozpadu wszystkiego na najbardziej podstawowe elementy.

Zniszczenie umiało planować i ostrożnie spiskować, ze świadomością, że jeśli coś zbuduje, może to wykorzystać, by zniszczyć dwie inne rzeczy. Natura świata jest taka, że tworząc coś, często niszczymy coś innego.

8

Pierwszego dnia po wyjściu z Vetitan Vin i Elend zamordowali setkę wieśniaków. A przynajmniej Vin tak się czuła.

Siedziała na gnijącym pniaku pośrodku obozu, przyglądając się, jak słońce opada ku odległemu

horyzontowi. Wiedziała, co się zdarzy. Wokół niej w ciszy opadał popiół. I pojawiły się mgły.

Kiedyś - nie tak dawno temu - mgły pojawiały się jedynie w nocy. Jednakże w ciągu roku po śmierci Ostatniego Imperatora wszystko się zmieniło. Jakby tysiąc lat uwięzienia w ciemnościach sprawiło, że mgły stały się niespokojne.

I tak oto zaczęły pojawiać się w ciągu dnia. Czasami przyływały wielkimi przetaczającymi się falami, pojawiając się znikąd i znikając równie szybko. Zazwyczaj jednak po prostu pojawiały się w powietrzu niczym tysiąc zjaw, kłębiąc się i wzrastając. Rozrastające się pasma mgły, przypominające pnącza pędy, które skradały się po niebie. Każdego dnia znikwały odrobinę później o poranku i każdego dnia pojawiały się odrobinę wcześniej wieczorem. Wkrótce, być może jeszcze przed końcem roku, na stałe pokryją ziemię. A to oznaczało problem, ponieważ od tamtej nocy, gdy Vin przyjęła moc Studni Wstąpienia, mgły zabijały.

Elend nie mógł uwierzyć w opowieści Sazedą sprzed dwóch lat, gdy Terrisanin przybył do Luthadel z przerażającymi doniesieniami o zastraszonych wieśniakach i mgłach, które zabijały. Vin również zakładała, że Sazed się mylił. W głębi duszy żałowała, że nie może dalej trzymać się tego złudzenia, gdy patrzyła na czekających mieszkańców miasteczka, tulących się do siebie na szerokiej równinie, otoczonych przez żołnierzy i kolosy.

Zaczęli umierać w chwili, gdy pojawiły się mgły. Choć większość ludzi pozostawała nietknięta, mgły wybierały przypadkowe jednostki, wywołując w nich drgawki. Ci padali na ziemię, a ich rodziny i przyjaciele przyglądali się wstrząśnięci i przerażeni.

Vin wciąż reagowała przerażeniem. Oraz frustracją. Kelsier twierdził, że mgły są sojusznikiem - że będą ją chronić i dadzą jej moc. Wierzyła w to do chwili, gdy zaczęły się jej wydawać obce, ukrywając duchy i zbrodnicze zamiary.

- Nienawidzę was - wyszeptała, gdy mgły nie przerywały swojej makabrycznej działalności.

Czuła się tak, jakby patrzyła na starego znajomego, który wybiera obcych z tłumu i podrzyna im gardła, jednemu po drugim. I nic nie mogła na to poradzić. Uczni Elenda próbowali wszystkiego - kaptury powstrzymujące przed wdychaniem oparów, czekanie z wyjściem na zewnątrz do chwili, gdy mgły objawią się w pełni, wciąganie ludzi do środka w chwili, gdy zaczynali się trząść. Zwierzęta z jakiegoś powodu były odporne, lecz każdy człowiek był potencjalnie podatny. Jeśli ktoś wychodził z domu we mgłę, ryzykował życie i nic nie mogło temu zapobiec.

Wkrótce wszystko się skończyło. Mgły wywoływały ataki u mniej niż jednego na sześciu, a umierała niewielka ich część. Poza tym wystarczyło tylko raz zaryzykować kontakt z nową mgłą i człowiek stawał się odporny. Większość z chorych powracała do zdrowia. Co jednak nie było pocieszeniem dla rodzin tych, którzy umarli.

Siedziała na pniaku, wpatrując się w mgły, wciąż podświetlane blaskiem zachodzącego słońca. Paradoksalnie, widziała gorzej niż gdyby panowała całkowita ciemność. Nie mogła spać dużo cyny, gdyż słońce by ją oślepiło - bez niej jednak nie mogła przebić wzrokiem mgieł.

I w ten sposób przypomniała sobie, dlaczego kiedyś bała się mgieł. Mogła sięgnąć wzrokiem nie dalej niż na dziesięć stóp i widziała tylko cienie. Bezkształtne postacie biegły z krzykiem w różne strony. Sylwetki klęczały lub stały przerażone. Dźwięk był zdradziecki, odbijał się echem od niewidocznych obiektów, krzyki pochodziły od widmowych źródeł.

Vin siedziała pośród nich, popiół spadał wokół niej niczym spalone łyzy. Spuściła głowę.

- Lordzie Fatrenie! - zawołał Elend.

Vin uniosła głowę. Niegdyś w jego głosie nie było tyle władzy. Wydawało się, że od tego czasu minęło wiele lat. Wyłonił się spośród mgieł, ubrany w swój drugi biały mundur -

ten wciąż czysty. Jego twarz była nieruchoma w obliczu wszystkich śmierci. Czowała jego allomantyczny dotyk na tych, którzy go otaczali - jego Uspokajanie złagodzi cierpienia ludzi, choć nie Odpychał tak mocno, jak by mógł. Z rozmów wiedziała, że nie uważa za słuszne usuwanie całego smutku z powodu śmierci najbliższych.

- Milordzie! - odezwał się Fatren i Vin zobaczyła, jak mężczyzna się zbliża. - To katastrofa!

- Tak naprawdę sytuacja nie wygląda aż tak źle, lordzie Fatrenie - powiedział Elend. -

Jak wyjaśniałem, większość tych, którzy upadli, wyzdrowieje.

Fatren stanął obok pniaka Vin. Tam odwrócił się i wpatrzył w mgły, wsłuchując się w płacz i jęki cierpienia swoich ludzi.

- Nie wierzę, że to zrobiliśmy. Nie mogę... nie mogę uwierzyć, że przekonałeś mnie do wystawienia ich na mgły.

- Twoi ludzie musieli zostać zaszczepieni, Fatrenie - stwierdził Elend.

To była prawda. Nie mieli namiotów dla wszystkich mieszkańców miasteczka, co oznaczało, że pozostały im dwie możliwości. Zostawić ich w umierającej osadzie albo zmusić do wyruszenia na północ - kazać wyjść w mgłę i zobaczyć, kto umrze. To było straszne i brutalne, ale i tak by do tego doszło. Mimo że Vin знаła sens tego, co zrobili, i tak czuła się paskudnie.

- Jakimi potworami się staliśmy? - spytał ściszym głosem Fatren.

- Takimi, jakimi musieliśmy się stać - odparł Elend. - Policz ich. Dowiedz się, ilu umarło. Uspokój żyjących i obiecaj, że mgły już ich nie skrzywdzą.

- Tak, milordzie - powiedział Fatren i odszedł.

Vin odprowadziła go wzrokiem.

- Zamordowaliśmy ich, Elendzie - wyszeptała. - Powiedzieliśmy im, że nic im się nie stanie. Zmusiliśmy ich do opuszczenia wioski i wyjścia tu, na śmierć.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Venture, kładąc dłoń na jej ramieniu. - To lepsze niż powolna śmierć w tamtej osadzie.

- Mogliśmy dać im wybór.

Elend pokręcił głową.

- Nie ma wyboru. Za kilka miesięcy ich miasteczko zakryją mgły. Musieliby zostać w domach i umrzeć z głodu albo wyjść we mgłę. Lepiej, jeśli zabierzemy ich do Środkowego Dominium, gdzie dzień wolny od mgieł jest na tyle długi, by uprawiać rolę.

- Prawda nie sprawia, że jest łatwiej.

Elend stał pośród mgieł, otaczał go popiół.

- Owszem - zgodził się. - Zbiorę kolossy, niech pochowają zabitych.

- A porażeni?

Ci, których mgły zaatakowały, ale nie zabiły, przez kilka dni, może nawet dłużej, będą chorzy i odrętwiali. Jeśli typowe proporcje zostały zachowane, do tej kategorii zaliczało się niemal tysiąc wieśniaków.

- Kiedy jutro wyruszymy, każę kolossom ich nieść. Gdy dotrzemy do kanału, najpewniej uda nam się umieścić większość z nich na barkach.

* * *

Vin nie lubiła czuć się odsłonięta. Spędziła dzieciństwo, kryjąc się po kątach, a okres dojrzewania w roli cichego nocnego skrytobójcy. Dlatego nie mogła nie czuć się odsłonięta, gdy podróżowała z pięcioma tysiącami zmęczonych wieśniaków jednym z najbardziej oczywistych szlaków Południowego Dominium.

Odeszła kawałek od mieszkańców - nigdy nie jeździła konno - i próbowała znaleźć sobie coś, co odwróci jej uwagę od śmierci poprzedniego wieczoru. Niestety, Elend jechał z Fatrenem i innymi przywódcami miasta, próbując naprawić ich stosunki. Co oznaczało, że była sama.

Za wyjątkiem samotnego kolossa.

Potężna bestia człapała obok niej. Vin trzymała go przy sobie częściowo dla wygody -

wiedziała, że dzięki temu wieśniacy będą zachowywać dystans. Choć miała dużą ochotę na odwrócenie uwagi, nie chciała widzieć ich zdradzonych, przerażonych spojrzeń. Nie w tej chwili.

Nikt nie rozumiał kolosów, a już Vin najmniej. Odkryła, jak nad nimi zapanować, wykorzystując ukryty allomantyczny bodziec. Niestety, przez tysiąc lat swoich rządów Ostatni Imperator trzymał kolossy z dala od ludzkości, nie wyjawiając wiele na ich temat, poza ich brutalną sprawnością w

walce i prostą, zwierzęcą naturą.

Nawet w tej chwili Vin czuła, jak jej koloss się szarpie, próbuje się uwolnić. Nie lubił

być kontrolowany - chciał ją zaatakować. Na szczęście, nie mógł tego zrobić - panowała nad nim i będzie nad nim panować, na jawie i we śnie, niezależnie od tego czy spalała metale, dopóki ktoś go jej nie ukradnie.

Mimo tej więzi Vin nie rozumiała stwora. Uniosła wzrok i odkryła, że koloss wpatruje się w nią czerwonymi oczyma. Jego skóra była naciągnięta na twarzy, nos niemal spłaszczony. W pobliżu prawego oka skóra się rozerwała, pęknięcie biegło do kącika ust. Fałd niebieskiej skóry zwisał luźno, odsłaniając czerwone mięśnie i zakrwawione zęby.

- Nie patrz na mnie - powiedziała powoli istota. Mówiła niewyraźnie, częściowo z powodu naciągniętej skóry warg.

- Co? - spytała Vin.

- Nie myślisz, że jestem człowiekiem - powiedział koloss powoli, z namysłem... tak jak inne, które słyszała. Zupełnie, jakby musieli się zastanowić nad każdym słowem.

- Nie jesteś człowiekiem - stwierdziła Vin. - Jesteś czymś innym.

- Będę człowiekiem - odparł koloss. - Zabijemy was. Odbierzemy wasze miasta.

Wtedy będziemy ludźmi.

Vin zadrżała. To było typowe dla kolossów. Słyszała już podobne stwierdzenia z ich ust. Było coś mrozącego krew w żyłach w spokojnym, beznamietnym sposobie, w jaki te stwory mówiły o mordowaniu ludzi.

Zostały stworzone przez Ostatniego Imperatora, pomyślała. Oczywiście, że są wypaczone. Tak samo jak on.

- Jak się nazywasz? - spytała kolossa.

Człapał dalej. W końcu spojrzał na nią.

- Człowiek.

- Wiem, że chcesz być człowiekiem - powiedziała. - Jak się nazywasz?

- Tak się nazywam. Człowiek. Mów mi Człowiek.

Vin zmarszczyła czoło. To było nawet... sprytne. Nigdy wcześniej nie wykorzystała okazji, by porozmawiać z kolossami. Zawsze zakładała, że mentalnie są jednakowe - ta sama głupia bestia w wielu kopiach.

- Dobrze, Człowieku - powiedziała, zaciekawiona. - Jak długo żyjesz?

Szedł w milczeniu przez chwilę, i Vin pomyślała, że chyba zapomniał o pytaniu. W końcu jednak odezwał się.

- Nie widzisz mojej dużości?

- Twojej dużości? Wielkości?

Człowiek szedł dalej.

- Czyli wszyscy rośniecie z taką samą szybkością?

Nie odpowiedział. Vin pokręciła głową, podejrzewając, że jej pytanie było zbyt abstrakcyjne dla bestii.

- Jestem większy od niektórych - powiedział Człowiek. - Mniejszy od niektórych...

choć niezbyt wielu. To znaczy, że jestem stary.

Kolejna oznaka inteligencji, pomyślała, unosząc brew. Wspominając swoje doświadczenia z kolosami, Vin uznała, że logika Człowieka robi wrażenie.

- Nienawidzę cię - powiedział człowiek po krótkiej chwili. - Chcę cię zabić. Ale nie mogę cię zabić.

- Nie - zgodziła się Vin. - Nie pozwolę ci.

- Jesteś duża w środku. Bardzo duża.

- Tak - powiedziała. - Człowieku, gdzie są kobiety kolosy?

Stwór przez chwilę maszerował.

- Kobiety?

- Jak ja - powiedziała Vin.

- Nie jesteśmy tacy jak ty - stwierdził. - Jesteśmy duzi tylko na zewnątrz.

- Nie. Nie mój rozmiar. Moja... - Jak można opisać płęć? Pomijając nagość, nie znalazła żadnego sposobu. Dlatego spróbowała innej taktyki. - Czy istnieją dzieci kolosy?

- Dzieci?

- Małe - wyjaśniła Vin.

Koloss wskazał w stronę maszerującej armii kolosów.

- Małe - powiedział, odnosząc się do istot wysokich na pięć stóp.

- Mniejsze.

- Nie ma mniejszych.

Sposób rozmnażania się kolosów był tajemnicą, której, według jej najlepszej wiedzy, nikt jeszcze nie rozwikłał. Nawet po roku walki ze stworami nie dowiedziała się, skąd brały się nowe. Kiedy armie kolosów Elenda robiły się zbyt małe, kradli nowe Inkwizytorom.

Śmieszne jednak byłoby założenie, że kolosy się nie rozmnażały. Widziała obozy kolosów, nad którymi nie panował Allomanta, i stwory zabijały się nawzajem z przerażającą regularnością. W takim tempie powinny się powybić w ciągu kilku lat. Mimo to, przetrwały stulecia.

To oznaczało szybkie dorastanie od dziecka do dorosłego, w każdym razie zdaniem Sazed'a i Elenda. Nie udało im się potwierdzić swoich teorii, a Vin wiedziała, że ta niewiedza głęboko frustruje Elenda - zwłaszcza że obowiązki cesarza pozostawiały mu mało czasu na naukę, która niegdyś sprawiała mu tak wielką przyjemność.

- Jeśli nie ma mniejszych - spytała Vin - to skąd się biorą nowe kolosy?

- Nowe kolosy biorą się z nas - odpowiedział w końcu Człowiek.

- Z was? - spytała Vin, marszcząc czoło. - To nie mówi mi zbyt wiele.

Człowiek już się nie odzywał. Najwyraźniej stracił ochotę na rozmowę.

Z nas, pomyślała Vin. Może wyrastają z siebie nawzajem? Słyszała o pewnych stworach, u których, jeśli rozetnie się je w odpowiedni sposób, z każdej połowy wyrośnie nowe zwierzę. To jednak nie mógł być przypadek kolosów - widziała pola bitwy wypełnione ich trupami i żadne kawałki nie podnosiły się, by utworzyć nowe kolosy. Z drugiej strony, nie widziała też ich kobiet. Choć większość stworów nosiła prymitywne przepaski biodrowe, to, o ile wiedziała, wszystkie były samcami.

Dalsze spekulacje zostały przerwane, gdy zauważyła, że szeregi z przodu się łączą.

Tłum zwalniał. Zaciekawiona, upuściła monetę i zostawiła Człowieka za sobą, przelatując nad ludźmi. Mgły cofnęły się przed godziną, i choć noc znów się zbliżała, w tej chwili było jednocześnie jasno i bez mgieł.

Dlatego, gdy wystrzeliła w górę pośród spadającego popiołu, bez trudu zobaczyła kanał. W nienaturalny sposób przecinał krajobraz, prostszy niż każda rzeka. Elend spekulował, że ciągłe opady popiołu wkrótce uczynią systemy kanałów bezużytecznymi. Bez robotników skaa, którzy regularnie je pogłębiali, wypełnią się popielnymi osadami i całkowicie zapchają.

Vin poszybowała w powietrzu, uniosła się na szczyt łuku i opadła w stronę zbiorowiska namiotów obok kanału. Tysiące ognisk wyrzucały dym w powietrze, a wokół

nich kłębili się ludzie, ćwicząc lub pracując. Obozowało tu niemal pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, wykorzystując kanał jako linię zaopatrzenia z Luthadel.

Upuściła kolejną monetę i znów wzniosła się w powietrze. Szybko dogoniła niewielką grupkę konnych, którzy oddalali się od szeregów zmęczonych marszem skaa. Wylądowała, upuszczając monetę i delikatnie się od niej Odpychając, by spowolnić spadanie. Wyrzuciła przy tym w powietrze fontannę popiołu.

Elend ściągnął wodze i z uśmiechem przyjrzał się obozowi. Uśmiech ostatnio tak rzadko gościł na jego wargach, że Vin również się uśmiechnęła. Czekala na nich grupa mężczyzn - ich zwiadowcy z pewnością już dawno zauważyli zbliżających się mieszkańców miasteczka.

- Lordzie Elendzie! - odezwał się mężczyzna na czele oddziału. - Jesteście przed czasem!

- Zakładam, że i tak jesteście przygotowani, generale - odparł Elend, zsiadając z konia.

- Znacie mnie przecież - powiedział z uśmiechem Demoux.

Generał nosił swoją podniszczoną skórnię nabijaną stałą, na policzku miał bliznę, a z lewej strony czaszki brakowało sporej kępki włosów w miejscu, gdzie ostrze kolossa niemal pozbawiło go głowy. Posiwiwały mężczyzna, jak zawsze zachowujący się oficjalnie, uklonił się Elendowi, który w odpowiedzi przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

Win wciąż się uśmiechała. Pamiętała czas, kiedy ten człowiek był przerażonym rekrutem, stojącym w tunelu. Demoux nie był o wiele od niej starszy, choć przez ogorzałą twarz i pokryte odciskami dłonie robił takie wrażenie.

- Utrzymaliśmy pozycję, milordzie - powiedział Demoux, gdy Fatren wraz z bratem zsiadli z koni i dołączyli do nich. - Choć właściwie nie mieliśmy przed kim się bronić. Mimo to, moim ludziom przydały się ćwiczenia z umacniania obozu.

W rzeczy samej, wojskowy obóz przy kanale otaczały ziemne wały i zastrzone pale -

spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę wielkość oddziału.

- Dobrze sobie poradziłeś, Demoux - stwierdził Elend, odwracając się znów w stronę mieszkańców miasteczka. - Nasza misja się powiodła.

- Widzę, milordzie - powiedział Demoux. - To spora grupa kolosów. Mam nadzieję, że prowadzący ich Inkwizytor nie był zbyt smutny, kiedy odeszły.

- Nie sądzę, by się tym za bardzo przejmował. Zwłaszcza że był już wtedy martwy -

wyjaśnił Elend. - Znalezliśmy też magazyn.

- Chwała niech będzie Ocalałemu! - powiedział Demoux.

Vin się skrzywiła. Na szyi, na ubraniu, Demoux nosił naszyjnik z niewielką srebrną włócznią - coraz bardziej zyskujący na popularności symbol Kościoła Ocalałego. Zdziwiła ją, że broń, która zabiła Kelsiera, stała się symbolem jego wyznawców.

Oczywiście wolała nie myśleć o drugiej możliwości - że włócznia nie musi oznaczać tej, która zabiła Kelsiera. Równie dobrze może symbolizować tę, którą ona sama zabiła Ostatniego Imperatora. Nigdy nie zapytała Demoux, o którą broń chodzi. Mimo trzech lat rozwoju Kościoła, Vin nie czuła się swobodnie ze swoim miejscem w jego doktrynie.

- Rzeczywiście, chwała niech będzie Ocalałemu - powtórzył Elend, spoglądając na barki na kanale. - Jak przebiegł wasz projekt?

- Pogłębianie południowego zakola? - spytał Demoux. - Nieźle. Nie mieliśmy właściwie nic innego do roboty, kiedy czekaliśmy. Teraz barki powinny tamtędy przepłynąć.

- Dobrze - stwierdził Elend. - Utwórz dwie grupy zadaniowe po pięciuset ludzi. Poślij jedną z barkami do Vetitan po zapasy, które musieliśmy zostawić w jaskini. Przeniosą je na barki i zabiorą do Luthadel.

- Tak, milordzie.

- Poślij drugą grupę z żołnierzami na północ do Luthadel, razem z uchodźcami - mówił

dalej Elend. Wskazał głową na Fatrena. - To jest lord Fatren. Kieruje mieszkańcami miasta.

Twoi ludzie mają uszanować jego życzenia, o ile będą rozsądne, a później przedstawić go lordowi Penrodowi.

Niegdyś, całkiem niedawno, Fatren prawdopodobnie narzekałby, że zostaje komuś przekazany, jednak czas spędzony z Elendem przemienił go zaskakująco szybko. Brudny przywódca podziękował skinieniem głowy za eskortę.

- Wy... nie jedziecie z nami, milordzie?

Elend pokręcił głową.

- Mam inne rzeczy do zrobienia, a twoi ludzie muszą dotrzeć do Luthadel, gdzie mogą zacząć znów uprawiać rolę. Ale jeśli ktoś z twoich ludzi zechce przyłączyć się do mojej armii, będzie mile widziany. Zawsze przydadzą mi się dobrzy żołnierze, a tobie wbrew wszelkim przeciwnościom udało się wyszkolić niezłą armię.

- Milordzie... a czemu po prostu ich nie zmusicie? Proszę o wybaczenie, ale dotychczas tak właśnie postępowaliście.

- Stosowałem przymus, by zapewnić twoim ludziom bezpieczeństwo, Fatrenie -

wyjaśnił Elend. - Czasem nawet tonący walczy z tym, który próbuje go ocalić, i trzeba go przymusić.

Moja armia to inna kwestia. Na ludziach, którzy nie chcą walczyć, nie można polegać w bitwie, i ja nie chcę mieć ich w swoim wojsku. Ty sam musisz udać się do Luthadel, twoi ludzie cię potrzebują, ale proszę, powiedz swoim żołnierzom, że chętnie przyjmę ich do swoich szeregów.

Fatren pokiwał głową.

- Dobrze. I... dziękuję, milordzie.

- Nie ma za co. A teraz, generale Demoux, czy Sazed i Breeze już wrócili?

- Powinni dotrzeć przed wieczorem, milordzie. Jeden z ich ludzi pojechał przodem, żeby nas powiadomić.

- Dobrze. Zakładam, że mój namiot jest gotów.

- Tak, milordzie.

Elend pokiwał głową. Nagle wydał się bardzo zmęczony.

- Milordzie? - spytał Demoux z przejęciem. - Czy znaleźliście... coś jeszcze?

Lokalizację ostatniego składu?

Venture pokiwał głową.

- Jest w Fadrex.

- Miasto Cetta? Ucieszy się, kiedy się o tym dowie. Od ponad roku narzeka, że nie próbowaliśmy go dla niego odzyskać.

Elend uśmiechnął się słabo.

- Podejrzewam, że jeśli to zrobimy, Cett uzna, że on sam... i jego żołnierze... już nas nie potrzebują.

- Zostanie, milordzie - sprzeciwił się Demoux. - Po tym, jak lady Vin przestraszyła go w ubiegłym roku...

Demoux spojrział na Vin. Próbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach widziała szacunek, stanowczo zbyt wielki. Nie żartował z nią tak jak z Elendem. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Elend dołączył do tego ich głupiego Kościoła. Powody były polityczne -

przyznając się do wiary skaa, Elend związał się z pospólstwem. A jednak czuła się z tym niezręcznie.

Przez rok małżeństwa nauczyła się jednak, że niektóre kwestie musi ignorować.

Kochała Elenda za jego pragnienie postępowania właściwie, nawet jeśli uważała, że postąpił

odwrotnie.

- Zwołaj spotkanie dziś wieczorem, Demoux - powiedział Elend. - Mamy dużo do omówienia... i daj mi znać, kiedy Sazed dotrze na miejsce.

- Czy powinienem poinformować lorda Hammonda i pozostałych o celu spotkania, milordzie?

Elend zawahał się, spoglądając w szare od popiołu niebo.

- Podbicie świata, Demoux - powiedział w końcu. - A raczej tego, co z niego pozostało.

Allomancja rzeczywiście narodziła się wraz z mgłami. A przynajmniej zaczęła się w tym samym czasie, co pierwsze pojawienia się mgieł. Kiedy Rashek przyjął moc Studni Wstąpienia, stał się świadom pewnych kwestii. Część podszepnęło mu Zniszczenie; inne były instynktowną częścią mocy.

Jedną z nich było zrozumienie Trzech Metalicznych Sztuk. Wiedział na przykład, że kawałki metalu w Komnacie Wstąpienia uczynią Zrodzonymi z Mgły tych, którzy je spożyli.

Były w końcu odłamkami mocy samej Studni.

9

TenSoon już wcześniej odwiedzał Labirynt Zaufania - w końcu należał do Trzeciego Pokolenia. Narodził się przed siedmioma stuleciami, kiedy kandra wciąż były nowością -

choć w tym czasie Pierwsze Pokolenie już przekazało odpowiedzialność za wychowanie nowych kandra Drugiemu Pokoleniu.

Drudzy nie poradzili sobie zbyt dobrze z pokoleniem TenSoona - a przynajmniej tak czuli. Chcieli stworzyć społeczeństwo jednostek, które kierowało się sztywnymi zasadami szacunku i starszeństwa. „Doskonałe” istoty, które żyły, by służyć Kontraktom - i oczywiście członkom Drugiego Pokolenia.

Do chwili powrotu TenSoon był uważany za najmniej kłopotliwego z Trzecich.

Uważano go za kogoś, kogo mało obchodzi polityka Ojczyzny, który wypełnia Kontrakty, trzymając się jak najdalej od Drugich i ich machinacji. Cóż za ironia, że to on został

oskarżony o najohydniejszą ze zbrodni kandra.

Strażnicy wprowadzili go na środek Labiryntu Zaufania, na samo podwyższenie.

TenSoon nie był pewien, czy powinien się czuć zaszczycony, czy upokorzony. Nawet jako członek Trzeciego Pokolenia, rzadko miał okazję zbliżyć się do Zaufania.

Sala była duża i okrągła, z metalowymi ścianami. Podwyższenie tworzył potężny stalowy dysk umieszczony na kamiennej podłodze. Nie był bardzo wysoki - może na stopę -

lecz miał dziesięć stóp średnicy. Stopy TenSoona wyczuwały chłód jego śliskiej powierzchni, co

znów przypomniało mu o nagości. Nie związali mu rąk - to byłaby zbyt wielka obelga nawet dla niego. Kandra trzymali się Kontraktu, nawet ci z Trzeciego Pokolenia. Nie ucieknie i nie uderzy jednego ze swoich. Był ponad to.

Salę oświetlały lampy, nie jarzykamień, choć każdą z lamp otaczał klosz z niebieskiego szkła. O oliwę było trudno - Drugie Pokolenie nie bez powodu nie chciało polegać na towarach ze świata ludzi. Mieszkańcy świata na górze, nawet większość sług Ojca, nie mieli pojęcia o scentralizowanej władzy kandra. Tak było lepiej.

W niebieskim świetle TenSoon bez trudu widział członków Drugiego Pokolenia - całą dwudziestkę, stojącą za mównicami, ustawionymi w rzędach na drugim końcu sali. Stali na tyle blisko, by ich widzieć, przyglądać się i rozmawiać - jednak na tyle daleko, że TenSoon czuł się izolowany, stojąc samotnie pośrodku podwyższenia. Było mu zimno w stopy.

Spojrzał w dół i zauważył niewielki otwór w podłodze w pobliżu jego palców. Wycięto go w stalowym dysku podwyższenia.

Depozyt Zaufania, pomyślał. Znajdował się bezpośrednio pod nim.

- TenSoonie z Trzeciego Pokolenia - powiedział ktoś.

TenSoon podniósł wzrok. To był oczywiście KanPaar. Był wysoki, jak na kandrę, a raczej lubił używać wysokiego Prawdziwego Ciała. Jak w wypadku wszystkich Drugich, nosił kości z najczystszej krysztalu - jego miały głębokie czerwone zabarwienie. Jego ciało było niepraktyczne w wielu aspektach. Te kości nie wytrzymałyby wiele kar. Jednakże KanPaar, który większość życia spędził jako administrator w Ojczyźnie, najwyraźniej uważał, że słabość kości to dobra cena za ich migotliwą urodę.

- Jestem tu - odpowiedział TenSoon.

- Nadal nalegasz na przeprowadzenie tego procesu - powiedział KanPaar wyniosłym tonem, podkreślającym jego ciężki akcent. Ponieważ od tak dawna trzymał się z dala od ludzi, jego język nie został skażony przez ich dialekty. Akcenty Drugich były ponoć podobne do mowy Ojca.

- Tak - powiedział TenSoon.

KanPaar westchnął głośno, stojąc za kamienną mównicą. W końcu pochylił głowę w stronę wyższych części sali. Pierwsze Pokolenie patrzyło z góry. Siedzieli w swoich indywidualnych łóżkach biegnących wzdłuż obwodu górnej sali, ukryci w cieniach tak, że wyglądali jak humanoidalne bryły. Nie odzywali się. To było zadanie Drugich.

Drzwi za plecami TenSoona otworzyły się i rozległy się przyciszone głosy oraz kroki.

Odwrócił się, uśmiechając się, gdy patrzył, jak wchodzi. Kandra różnych rozmiarów i wieku.

Najmłodszym nie pozwolono brać udziału w tak ważnym wydarzeniu, lecz tym należącym do starszych pokoleń - aż do Dziewiątego Pokolenia - nie można było odmówić. To jego zwycięstwo,

być może jedyne w całym procesie.

Jeśli miał zostać skazany na wieczne uwięzienie, to chciał, by jego lud poznał prawdę.

Co ważniejsze, chciał, by wysłuchali jego procesu, wysłuchali, co ma do powiedzenia. Nie przekona Drugiego Pokolenia, a kto wiedział, co pomyślą w ciszy Pierwsi, siedzący w zacienionych łóżach? Młodszy kandra jednak... może posłuchają. Może coś zrobią, gdy TenSoon zabraknie. Patrzył, jak wchodzi, wypełniając kamienne ławy. Kandra były teraz setki. Starsze pokolenia - Pierwsze, Drugie, Trzecie - były nieliczne, wielu bowiem zginęło w pierwszych dniach, kiedy ludzie się ich bali. Późniejsze pokolenia były większe - Dziesiąte liczyło ponad sto jednostek. Ławy Labiryntu Zaufania zaprojektowano, by pomieściły wszystkich kandra, lecz teraz wypełniali je tylko ci, którzy byli wolni jednocześnie od obowiązków i Kontraktów.

Miał nadzieję, że MeLaan nie będzie w tej grupie. Niestety, weszła niemal jako pierwsza. Przez chwilę obawiał się, że przebiegnie przez salę - i wejdzie na podwyższenie, na którym mogli znaleźć się tylko ci najbardziej błogosławieni lub najbardziej przekłęci. Ona jednak zamarła w wejściu, zmuszając innych do przepychania się obok niej.

Nie powinien był jej poznać. Miała nowe Prawdziwe Ciało - ekscentryczne, z kośćmi z drewna. Były cienkie i smukłe w przesadny, nienaturalny sposób: jej drewniana czaszka była długa, z ostrą, trójkątną brodą, do tego miała zbyt wielkie oczy i poskręcane kawałki tkaniny wystające z głowy jak włosy. Młodsze pokolenia niezbyt poważnie traktowały konwenanse, irydując tym Drugich. Niegdyś TenSoon pewnie by się z nimi zgodził - nawet teraz był w pewnym stopniu tradycjonalistą. Jednakże w tym dniu jej buntownicze ciało wywołało jego uśmiech.

To chyba ją pocieszyło i w końcu znalazła sobie miejsce z przodu, razem z grupką innych członków Siódmego Pokolenia. Wszyscy mieli zdeformowane Prawdziwe Ciała -

jeden takie, które przypominało blok, inny z czterema rękami.

- TenSoonie z Trzeciego Pokolenia - powiedział oficjalnie KanPaar, uciszając tłum kandra. - Uparcie zażądałeś procesu przed obliczem Pierwszego Pokolenia. Zgodnie z Pierwszym Kontraktem nie możemy cię skazać, nie dając ci możliwości obrony przed Pierwszymi. Jeśli uznają za stosowne uwolnienie cię od kary, będziesz wolny. Jeśli nie, musisz przyjąć los, jaki zgotuje ci Rada Drugich.

- Rozumiem - powiedział TenSoon.

- W takim razie - stwierdził KanPaar, pochylając się nad mównicą - zaczynajmy.

Wcale się nie martwi, zrozumiał TenSoon. Właściwie wygląda na to, że mu się to wszystko podoba.

A właściwie, czemu nie? Po stuleciach narzekania, że Trzecie Pokolenie jest pełne łotrów? Przez te wszystkie lata próbowali naprawić błędy, które z nimi popełnili - błędy takie, jak danie nam zbyt wielkiej swobody, pozwolenie nam na myślenie, że jesteśmy równie dobrzy jak oni. Udowadniając, że ja, najbardziej „opanowany” z Trzecich, jestem niebezpieczny, KanPaar wygra wojnę, którą toczył przez większość życia.

TenSoona zawsze dziwiło, jak bardzo Drudzy czują się zagrożeni przez Trzecich.

Wystarczyło jedno pokolenie, by zrozumieli swoje błędy - Czwórki byli niemal równie lojalni, jak Piątki, poza kilkoma jednostkami.

Skoro niektóre młodsze pokolenia - MeLaan i jej przyjaciele byli tu dobrym przykładem - zachowywały się w taki sposób... cóż, może Drudzy rzeczywiście mieli prawo czuć się zagrożeni. A TenSoon będzie ich ofiarą. Sposobem na przywrócenie porządku i ortodoksji.

Czekała ich spora niespodzianka.

Samorodki czystej Allomancji, moc Zachowania. Nie wiem, dlaczego Rashek zostawił

jeden z tych samorodków przy Studni Wstąpienia. Może go nie zobaczył, a może miał zamiar obdarzyć nim ulubionego sługę.

Może obawiał się, że pewnego dnia straci swoje moce i będzie potrzebował tego samorodka, by odzyskać Allomancję. Tak czy inaczej, błogosławię Rasheka za to niedopatrzienie, gdyż bez niego Elend zginąłby owego dnia przy Studni.

10

Sazed miał problemy z oceną larstaizmu. Religia wydawała mu się niewinna. Dużo o niej wiedzieli - w czwartym stuleciu jeden z Opiekunów odnalazł prawdziwy skarbiec modlitewników, świętych pism, notatek i zapisków, które niegdyś należały do wysoko postawionego wyznawcy tej religii.

A jednak sama religia wydawała się nieszczególnie... cóż, religijna. Skupiała się na sztuce, przy tym nie sakralnej w zwyczajowym tego słowa pojmowaniu, a jej głównym przesłaniem było dawanie pieniędzy mnichom, by mogli pisać poezje, malować i rzeźbić. I to właśnie sprawiło, że Sazed nie mógł jej odrzucić, nie udało mu się bowiem znaleźć żadnych sprzeczności w jej doktrynach. Po prostu miała ich za mało, by mogły być wewnętrznie sprzeczne.

Uniósł przed sobą arkusz papieru, kręcąc głową, i znów przeczytał zawartość kartki.

Przypiął ją do notatnika, by nie porwał jej wiatr, a parasol przywiązany do siodła zatrzymywał większość popiołu, który mógłby zabrudzić zapiski. Vin niegdyś narzekała, że nie rozumie, jak ludzie mogą czytać w siodle, lecz ten sposób sprawiał, że było to dość proste.

Nie musiał przewracać kartek. Raz za razem odczytywał te same słowa, obracając je w umyśle, bawiąc się nimi. Próbując podjąć decyzję. Czy ta była prawdziwa? To w nią wierzyła Mare, żona Kelsiera. Jako jedna z niewielu znanych Sazedowi ludzi postanowiła uwierzyć w jedną ze starych religii, o których nauczał.

Larsta wierzą, że sensem życia jest poszukiwanie boskości, czytał. Nauczali, że sztuka przybliży nas do zrozumienia boskości. Ponieważ nie wszyscy mogą poświęcić swój czas sztuce, jest z korzyścią dla społeczeństwa jako całości wspieranie grupy oddanych artystów, którzy tworzą wspaniałe dzieła sztuki, wynoszące następnie tych, którzy ich doświadczają.

I wszystko pięknie, w ocenie Sazed, ale co z kwestiami życia i śmierci? Co z duchem? Czym była boskość i jak mogły dziać się w świecie tak straszliwe rzeczy, jeśli boska istota rzeczywiście istniała?

- Wiesz co - odezwał się Breeze z siodła swojego konia - w tym wszystkim jest coś zadziwiającego.

Ta uwaga rozproszyła Sazed. Westchnął i podniósł wzrok znad badań. Koń nie przerywał spokojnego marszu.

- A cóż takiego jest zadziwiające, lordzie Breeze?

- Popiół - stwierdził tamten. - To znaczy, popatrz tylko na to. Pokrywa wszystko, sprawia, że świat wydaje się czarny. To po prostu zdumiewające, jak posępny stał się krajobraz. W czasach Ostatniego Imperatora, wszystko było brązowe i większość roślin wyrastających na zewnątrz wyglądała, jakby miała zaraz uschnąć. Myślałem, że to przygnębiające. Ale popiół spadający każdego dnia, pokrywający całą krainę... - Uspokajacz pokręcił z uśmiechem głową. - Nie spodziewałbym się, że bez Ostatniego Imperatora sytuacja będzie wyglądać jeszcze gorzej. Ale my z pewnością narobiliśmy bałaganu! Zniszczyliśmy świat. To niezłe osiągnięcie, jeśli się nad tym zastanowić. Ciekawe, czy powinniśmy być z siebie dumni.

Sazed się skrzywił. Z nieba spadały pojedyncze płatki, górna warstwa atmosfery jak zwykle pociemniała. Opad popiołu był lekki, lecz uporczywy, nie ustawał od prawie dwóch miesięcy. Ich konie musiały przebijać się przez grubą na pół stopy warstwę, gdy wraz z setką żołnierzy Elenda wędrowali na południe. Ile czasu minie, nim popiół uniemożliwi podróżowanie? W niektórych miejscach zasy już sięgały kilku stóp.

Wszystko było czarne - wzgórza, droga, cała okolica. Drzewa pochylały się pod ciężarem popiołu na liściach i gałęziach. Większość roślinności na ziemi była pewnie martwa

- zabranie nawet dwóch koni na wyprawę do Lekal był trudne, gdyż nie miały się na czym paść. Żołnierze musieli dźwigać paszę.

- Muszę jednak powiedzieć - mówił dalej Breeze, rozgadany jak zwykle; przed popiołem chronił go parasol przymocowany do łąku siodła - że ten popiół jest odrobinę nudnawy.

- Nudnawy?

- Ależ tak - stwierdził Breeze. - Choć tak się składa, że lubię czarny jako kolor swoich surdutów, poza tym uważam go za nieciekawą odcień.

- A jaką mógłby mieć inną barwę?

Breeze wzruszył ramionami.

- Cóż, Vin powtarza, że za tym wszystkim coś stoi, prawda? Jakaś zła siła niosąca zagładę, czy coś w tym rodzaju? Cóż, gdybym ja był wspomnianą złą siłą niosącą zagładę, z pewnością nie wykorzystałbym swoich mocy, by uczynić krajobraz czarnym. Czerni brakuje polotu. Czerwień. To

byłaby interesująca barwa. Pomyśl tylko o możliwościach... gdyby popiół był czerwony, rzeki płynęłyby jak krew. Czerń jest tak monotonna, że można o niej zapomnieć, ale czerwień kazałaby ludziom myśleć: „Popatrz no na to. Tamto wzgórze jest czerwone. Ta zła siła niosąca zagładę, która próbuje mnie zniszczyć, z pewnością ma gust”.

- Wcale nie jestem przekonany, że istnieje jakakolwiek „zła siła niosąca zagładę”, Breeze - sprzeciwił się Sazed.

- Naprawdę?

Sazed potrząsnął głową.

- Popielne góry zawsze wyrzucały popiół. Czy naprawdę jest przesadą założenie, że z przyczyn naturalnych stały się bardziej aktywne niż wcześniej? Może to wszystko wynik naturalnych procesów?

- A mgły?

- Pogoda się zmienia, lordzie Breeze - stwierdził Sazed. - Może wcześniej było po prostu zbyt gorąco w ciągu dnia, żeby się pojawiały. Teraz, gdy popielne góry wydzielają więcej popiołu, dni stają się chłodniejsze i mgły pozostają dłużej, to logiczne.

- Naprawdę? Skoro tak jest, mój drogi, to dlaczego mgły nie pozostawały w ciągu dnia zimą? Wtedy było zimniej niż teraz latem, ale mgły zawsze zniknęły wraz z nadejściem dnia.

Sazed zamilkł. Breeze miał rację. A jednak, w miarę skreślania kolejnych religii na liście, Sazed zastanawiał się, czy przypadkiem nie tworzą sobie wroga w postaci tej „siły”, którą Vin poczuła. Już nie był pewien. Nie wierzył ani przez chwilę, że mogła wymyślić swoją opowieść. Skoro jednak nie mógł znaleźć ziarna prawdy w religiach, czy było zbyt dalekosiężne założenie, że świat kończył się, ponieważ po prostu nadszedł jego czas?

- Zielony - powiedział w końcu Breeze.

Sazed się odwrócił.

- To byłby naprawdę elegancki kolor - stwierdził Breeze. - Inny. Nie można zobaczyć zieleni i o niej zapomnieć... to nie tak jak z czernią czy brązem. Czy to Kelsier nie powtarzał

ciągle, że rośliny były kiedyś zielone? Przed Wstąpieniem Ostatniego Imperatora, zanim Głębia po raz pierwszy spadła na świat?

- Takie są opowieści.

Breeze pokiwał z namysłem głową.

- Rzeczywiście elegancki - powiedział. - Myślę, że to wyglądałoby ładnie.

- Naprawdę? - spytał Sazed, szczerze zaskoczony. - Większość ludzi, z którymi na ten temat rozmawiałem, uważała wizję zielonych roślin za dziwaczną.

- Też tak kiedyś uważałem, lecz teraz, gdy przez cały dzień, każdego dnia widzę czerní... Cóż, sądzę, że pewna odmiana byłaby przyjemna. Pola zieleni... plamki koloru... jak nazywał je Kelsier?

- Kwiaty - odparł Sazed. Larsta pisali o nich wiersze.

- Tak. Byłoby miło, gdyby powróciły.

- Powróciły?

Breeze wzruszył ramionami.

- Cóż, Kościół Ocalałego naucza, że Vin pewnego dnia oczyści niebo z popiołu i powietrze z mgieł. Pomyślałem, że skoro już to zrobi, mogłaby też przywrócić rośliny i kwiaty. Z jakiegoś powodu pasuje mi to do kobiety.

Sazed westchnął, kręcąc głową.

- Lordzie Breeze - powiedział - rozumiem, że próbujesz po prostu mnie zachęcić.

Trudno mi jednak uwierzyć, że poważnie traktujesz nauki Kościoła Ocalałego.

Po chwili wahania Breeze się uśmiechnął.

- Czyli przesadziłem, co?

- Odrobinę.

- Z tobą jest mi trudno, mój drogi. Tak bardzo jesteś świadom mojego dotyku na swoich uczuciach, że prawie nie mogę korzystać z Allomancji, a ostatnio... cóż, zmieniłeś się.

- Breeze brzmiał niemal tęsknie. - Mimo to, miło by było zobaczyć te zielone rośliny, o których opowiadał nasz Kelsier. Po sześciu miesiącach popiołu... po prostu chce się uwierzyć.

Może w wypadku takiego starego hipokryty jak ja to wystarczy?

Czując w głębi duszy rozpacz, Sazed miał ochotę warknąć, że wiara nie wystarczy.

Pragnienia i wiara zaprowadziły go donikąd. Nie zmieniają faktu, że rośliny umierają, a świat się kończy.

Walka była pozbawiona sensu, nic bowiem nie miało znaczenia.

Sazed zmusił się do przerwania tego toku myśli, choć nie było to proste. Czasem martwił się swoją melancholią. Niestety, przez większość czasu nawet przejmowanie się własnymi pesymistycznymi

skłonnościami wymagało zbyt wielkiego wysiłku.

Larsta, powiedział sobie. Skup się na tej religii. Musisz podjąć decyzję.

Uwagi Breeze'a zmusiły Sazed'a do zastanowienia. Larsta tak bardzo skupiali się na pięknie i sztuce, które uznawali za „boskie”. Cóż, jeśli boskość była w jakimkolwiek stopniu spokrewniona ze sztuką, to bóg w żadnym wypadku nie mógł być zaangażowany w to, co działo się na świecie. Popiół, ponury, przygnębiający krajobraz... nie był jedynie „nudnawy”, jak to ujął Breeze. Był absolutnie pozbawiony wyrazu. Nudny. Monotonny.

Religia nieprawdziwa, zanotował Sazed na dole kartki. Obserwowane wydarzenia są całkowicie sprzeczne z naukami.

Rozwiązał teczkę i wsunął arkusz do środka. Kolejny krok bliżej końca pracy. Sazed widział, że Breeze przygląda mu się kątem oka - Uspokajacz uwielbiał tajemnice. Terrisanin wątpił jednak, by jego towarzysz był pod wrażeniem, gdyby poznał naturę jego pracy. Tak czy inaczej, Sazed wolałby, żeby Breeze zostawił jego badania w spokoju.

Nie powinienem jednak traktować go szorstko, pomyślał Sazed. Wiedział, że Uspokajacz próbuje mu na swój sposób pomóc. Breeze zmienił się od ich pierwszego spotkania. Na początku - mimo przeblysków współczucia - był rzeczywiście samolubnym, bezwzględnym manipulatorem, którego teraz jedynie udawał. Sazed przypuszczał, że Breeze przyłączył się do ekipy Kelsiera nie po to, by pomóc skaa, lecz dlatego, że ich plan był

wyzwaniem, nie wspominając już o obiecanej sowitej nagrodzie.

Ta nagroda - skarbiec atium Ostatniego Imperatora - okazała się mitem. Breeze jednak znalazł inne nagrody.

Z przodu Sazed zauważył jakiegoś człowieka wędrującego przez popiół. Postać była odziana w czarny strój, lecz kawałki ciała były wyraźnie widoczne na tle popiołu. Wydawało się, że to jeden z ich zwiadowców. Kapitan Goradel wydał rozkaz zatrzymania się, po czym wysłał jednego ze swoich ludzi na spotkanie zwiadowcy. Sazed i Breeze czekali cierpliwie.

- Raport zwiadowcy, lordzie ambasadorze - powiedział po krótkim czasie kapitan Goradel, podchodząc do Sazed'a. - Armia cesarza znajduje się w pobliżu, w odległości mniejszej niż godzina drogi.

- Dobrze - stwierdził Sazed, radując się na myśl, że zobaczy coś innego niż tylko ponure czarne wzgórze.

- Najwyraźniej nas zauważyli, lordzie ambasadorze - mówił dalej Goradel. - Zbliżają się jeźdźcy. Właściwie są...

- Tutaj - dokończył Sazed, wskazując głową przed siebie, gdzie zobaczył jeźdźca wspinającego się na szczyt wzgórza.

Ten nie był trudny do zauważenia na tle czerni. Nie tylko poruszał się bardzo szybko -

zmusił biednego konia do galopu - ale też był różowy.

- Och - westchnął Breeze.

Podskakująca postać wkrótce zmieniła się w młodą złotowłosą kobietę odzianą w jaskraworóżową sukienkę, przez co nie wyglądała na swoje dwadzieścia kilka lat. Allrienne uwielbiała koronki i falbanki, a kolory wybierała takie, by wyróżniać się wśród tłumu. Sazed mógłby się spodziewać, że ktoś taki jak ona będzie kiepskim jeźdźcem. Allrienne jednak była mistrzynią konnej jazdy, co zresztą było niezbędne, by w tak fikuśnym stroju utrzymać się na grzbiecie galopującego konia.

Młoda kobieta ściągnęła wodze wierzchowca przed żołnierzami Sazedą, obracając się w chmurze pofałdowanej tkaniny. Chyba miała zamiar zsiąść z konia, lecz zawahała się i spojrzała z ukosa na grubą warstwę popiołu na ziemi.

- Allrienne? - spytał Breeze po chwili.

- Cicho - odparła. - Próbuję zdecydować, czy opłaca mi się ubrudzić sukienkę, żeby do ciebie potruchtać i cię przytulić.

- Możemy poczekać, aż dotrzemy do obozu...

- Wtedy nie będę mogła cię zawstydzić na oczach twoich żołnierzy.

- Technicznie, moja droga - stwierdził Breeze - to nie moi żołnierze, lecz Sazed.

Przypominając sobie o obecności Sazedą, Allrienne uniosła wzrok. Uśmiechnęła się do Terrisanina i pochyliła w ukłonie.

- Lordzie ambasadorze - powiedziała, a wtedy Sazed poczuł falę nagłej... i nienaturalnej... sympatii dla młodej damy. Podżegała go. Jeśli istniał ktoś, kto ze swoich allomantycznych mocy korzystał bezczelniej niż Breeze, to była to Allrienne.

- Księżniczko - odparł Sazed i skinął jej głową.

Kobieta w końcu zsunęła się z siodła. Nie do końca „potruchtała”, unosząc suknię w sposób mało przystający damie. Byłoby to nieskromne, gdyby pod spodem nie nosiła licznych warstw koronkowych halek.

W końcu kapitan Goradel podszedł i pomógł jej wsiąść na grzbiet konia Breeze'a tak, że usiadła przed Uspokajaczem. Ta dwójka nie wzięła ślubu - częściowo dlatego, że Breeze czuł się zażenowany związkiem z kobietą o tyle od niego młodszą. Jeśli ktoś go naciskał, Uspokajacz wyjaśniał, że nie chciał, by została wdową - wydawało się przy tym, że zakłada, że dojdzie do tego natychmiast, choć był dopiero po czterdziestce.

Jeśli nic się nie zmieni, wkrótce wszyscy umrzemy, pomyślał Sazed. Nasz wiek nie będzie się liczył.

Być może właśnie dlatego Breeze w końcu zaakceptował swój związek z Allrienne.

Tak czy inaczej, sposób, w jaki na nią patrzył - jak dotykał ją z ogromnym szacunkiem - wyraźnie świadczył, że bardzo ją kocha.

Nasz system społeczny się wali, pomyślał Sazed, gdy kolumna wojska znów ruszyła.

Niegdyś oficjalne zawarcie małżeństwa było konieczne, szczególnie w wypadku młodej kobiety o tak wysokiej pozycji społecznej.

Kto miał „oficjalnie” potwierdzić związek? Obligatorzy niemal zniknęli. Rząd Elenda i Vin powstał z przymusu - był utylitarnym, wojskowym sojuszem miast. Do tego wisiała nad nimi świadomość, że ze światem jest coś naprawdę nie tak.

Po co brać ślub, jeśli człowiek spodziewa się, że świat skończy się przed upływem roku?

Sazed pokręcił głową. To był czas, kiedy ludzie potrzebowali struktur - potrzebowali wiary - by żyć dalej. To on powinien im je dać. Kościół Ocalałego próbował, ale był zbyt nowy, a jego wyznawcy mieli za małe doświadczenie z religią. Już doszło do pierwszych kłótni o doktrynę i metodologię, a w każdym z miast Nowego Imperium rozwijała się inna wersja religii.

W przeszłości Sazed nauczał religii bez potrzeby wiary w każdą z nich. Przyjmował, że każda jest szczególna na swój własny sposób, i proponował je, jak kelner może proponować przekąskę, na którą sam nie ma jednak ochoty.

Teraz wydawało mu się to hipokryzją. Jeśli ci ludzie potrzebowali wiary, to nie on im ją da. Nie będzie nauczał kłamstw, już nie.

* * *

Sazed opłukał z przyjemnością twarz zimną wodą z miednicy. Woda spływała po jego policzkach i brodzie, zabierając ze sobą plamy popiołu. Osuszył twarz czystym ręcznikiem, po czym wyjął brzytwę i lustro, by porządnie ogolić głowę.

- Dlaczego wciąż to robisz? - spytał ktoś niespodziewanie.

Obrócił się na pięcie. Jego namiot w obozie jeszcze przed chwilą był pusty. Teraz jednak ktoś za nim stał. Sazed się uśmiechnął.

- Lady Vin.

Zaplotła ręce na piersi i uniosła brew. Zawsze dobrze się skradała, lecz ostatnio robiła się w tym tak dobra, że zadziwiała nawet jego. Swoim wejściem niemal nie poruszyła klapy namiotu. Jak zwykle miała na sobie koszulę i spodnie w męskim stylu, choć przez ostatnie dwa lata zapuściła czarne włosy do ramion. Niegdyś Vin kuliała się, stale próbując się ukryć, rzadko patrzyła innym w oczy. To się zmieniło. Wciąż łatwo ją było przeoczyć, gdyż zachowywała się cicho i była drobna. Teraz

jednak zawsze patrzyła ludziom w oczy.

A to była wielka różnica.

- Generał Demoux powiedział, że odpoczywasz, lady Vin - zauważył Sazed.

- Demoux dobrze wie, że nie może mi pozwolić na przespanie twojego przybycia.

Sazed uśmiechnął się, po czym wskazał jej krzesło.

- Możesz nie przerywać golenia - stwierdziła. - To mi nie przeszkadza.

- Proszę - powiedział, znów wskazując krzesło.

Vin westchnęła i zajęła miejsce.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Saze. Dlaczego wciąż nosisz szaty lokaja?

Dlaczego golisz głowę, jak terrisańscy służący? Dlaczego boisz się, że będzie to oznaką braku szacunku, jeśli w mojej obecności nie przerwiesz golenia? Już nie jesteś służącym.

Westchnął i ostrożnie usadowił się na krześle naprzeciwko Vin.

- Już nie jestem pewien, kim jestem, lady Vin.

Ściany namiotu łopotały na lekkim wietrze, płatki popiołu wpadały do środka przez klapę, której Vin nie zasznurowała po swoim wejściu. Skrzywiła się na jego słowa.

- Jesteś Sazedem.

- Głównym ambasadorem cesarza Venture.

- Nie - sprzeciwiła się Vin. - Być może to właśnie robisz, ale nie oznacza to, że tym jesteś.

- W takim razie, kim jestem?

- Sazedem - powtórzyła. - Opiekunem z Terris.

- Opiekunem, który już nie nosi miedziomyśli?

Vin spojrzała w kąt, w stronę skrzyni, w których je trzymał. Jego miedziomyśli, feruchemiczne składnice, które zawierały religie, historie, opowieści i legendy od dawna martwych ludów. Wszystkie czekały na to, by ich nauczać, by do nich dodawać.

- Obawiam się, że stałem się bardzo samolubnym człowiekiem, lady Vin - powiedział

cicho Sazed.

- To głupie - sprzeciwiła się Vin. - Spędziłeś całe życie, służąc innym. Nie znam bardziej bezinteresownego człowieka od ciebie.

- Doceniam taką opinię, ale obawiam się, że mogę się z nią zgodzić. Lady Vin, smutek nie jest nam obcy. Lepiej niż ktokolwiek inny poznałaś trudy życia w Ostatnim Imperium.

Wszyscy straciliśmy ludzi, którzy byli dla nas ważni. A jednak wydaje się, że jako jedyny nie potrafię przeboleć swojej straty. Czuję się dziecinnie. Tak, Tindwyl nie żyje. Z całą uczciwością, nie spędziłem z nią wiele czasu przed jej śmiercią. Nie mam powodu tak się czuć. A jednak każdego ranka budzę się i widzę przed sobą ciemność. Kiedy zakładam metalmyśli, czuję zimno na skórze i przypominam sobie czas spędzony z nią. W moim życiu brakuje nadziei. Powinienem móc żyć dalej, ale nie potrafię. Chyba mam słabą wolę.

- To nieprawda, Sazedzie - stwierdziła Vin.

- Nie mogę się zgodzić z tym stwierdzeniem.

- Ach tak? - spytała Vin. - Gdybyś naprawdę miał słabą wolę, czy umiałbyś się ze mną nie zgodzić?

Sazed zawahał się, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Gdzie się nauczyłaś takiej logiki?

- Przez życie z Elendem - odparła Vin z westchnieniem. - Jeśli wolisz argumenty nieracjonalne, nie bierz ślubu z uczonym.

Ja prawie wzięłem. Ta myśl nagle pojawiła się w głowie Sazedza, gasząc jego uśmiech.

Vin musiała to zauważyć, gdyż się wzdrygnęła.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając wzrok.

- Nic się nie stało, lady Vin. Po prostu... czuję się tak słaby. Nie mogę być człowiekiem, jakiego pragnie mój lud. Prawdopodobnie jestem ostatnim z Opiekunów. Minął

rok od czasu, kiedy Inkwizytorzy zaatakowali moją ojczyznę i zabili wszystkich Feruchemików, nawet dzieci. Od tego czasu nie mieliśmy dowodu, że ktokolwiek z mojego zgromadzenia przetrwał. Oczywiście, inni też znajdowali się poza miastem, ale albo odnaleźli ich Inkwizytorzy, albo wydarzyła się inna tragedia. Jak sądzę, ostatnimi czasy było ich wiele.

Vin siedziała z rękami złożonymi na kolanach i w przytłumionym świetle wydawała się dziwnie słaba. Sazed spochmurniał na widok jej zbolącej miny.

- Lady Vin?

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu... zawsze to ty udzielałeś rad, Sazedzie. Ale tym razem kwestią, w której potrzebuję rady, jesteś ty.

- Obawiam się, że nie mam tu żadnych rad.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Znaleźliśmy magazyn - stwierdziła w końcu Vin. - Przedostatni. Przygotowałam kopię słów, które znaleźliśmy, wrytą w cienkim arkuszu stalowej blachy, więc powinna być bezpieczna.

- Dziękuję.

Vin wydawała się niepewna.

- Nie spojrzysz na nią, prawda?

Sazed zawahał się, po czym potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Sama sobie nie poradzę, Sazedzie - wyszeptała Vin. - Sama nie mogę walczyć.

Potrzebuję cię.

W namiocie zapadła cisza.

- Ja... robię, co mogę, lady Vin - powiedział w końcu Sazed. - Na swój sposób. Muszę znaleźć odpowiedzi dla samego siebie, zanim udzielę ich innym. Mimo to, każ dostarczyć blachę do mojego namiotu. Obiecuję, że przeczytam jej zawartość.

Pokiwała głową i wstała.

- Elend dziś wieczorem urządza spotkanie. Aby zaplanować nasze następne posunięcia. Chce, żebyś brał w nim udział. - Kiedy Vin poruszyła się, chcąc odejść, Sazed poczuł słaby zapach perfum. Zatrzymała się obok jego krzesła. - Była taka chwila -

powiedziała - po tym, jak przyjęłam moc Studni Wstąpienia, że spodziewałam się śmierci Elenda.

- Ale on nie umarł - sprzeciwił się Sazed. - Wciąż żyje.

- To nie ma znaczenia. Myślałam, że nie żyje. Wiedziałam, że umiera... miałam moc, Sazedzie, moc, której nie umiesz sobie nawet wyobrazić. Moc, pozwalającą niszczyć światy i je odbudowywać. Moc pozwalającą widzieć i rozumieć. Widziałam go i wiedziałam, że umrze. A w rękach miałam moc, by go uratować.

Sazed podniósł wzrok.

- Ale nie zrobiłam tego - dokończyła Vin. - Pozwoliłam mu się wykrwawić i wypuściłam moc. Skazałam go na śmierć.

- Jak? Jak mogłaś tak zrobić?

- Ponieważ spojrzałam mu w oczy - odpowiedział Vin - i wiedziałam, że tego właśnie pragnie. Ty mi to dałeś, Sazedie. Ty nauczyłeś mnie kochać go wystarczająco mocno, by pozwolić mu umrzeć.

Zostawiła go samego w namiocie. Kilka chwil później, kiedy powrócił do golenia, znalazł coś obok miednicy. Złożony niewielki arkusz papieru.

Znajdował się na nim stary, wyblakły rysunek przedstawiający dziwną roślinę. Kwiat.

Obrazek należał niegdyś do Mare. Od niej trafił do Kelsiera, a później do Vin.

Sazed podniósł go, zastanawiając się, co Vin chciała mu w ten sposób powiedzieć. W

końcu złożył rysunek i wsunął go do rękawa, po czym wrócił do golenia.

Pierwszy Kontrakt, o którym tak często wspominają kandra, był pierwotnie jedynie zbiorem obietnic, jakie Pierwsze Pokolenie złożyło Ostatniemu Imperatorowi. Zapisali te obietnice i w ten sposób skodyfikowali pierwsze prawa kandra. Bali się rządzić samodzielnie, niezależnie od Ostatniego Imperatora i jego imperium. Dlatego zabrali do niego to, co napisali, i poprosili o zatwierdzenie.

On rozkazał, by wykuto je w stali, po czym osobiście wydrapał swój podpis na dole.

Ten kodeks był pierwszym, który poznawał kandra po przebudzeniu ze swego wcześniejszego życia mgielnego upiora. Zawierał przykazania, by darzyć szacunkiem starsze pokolenia, prawa zagwarantowane każdemu kandra, zasady tworzenia nowych kandra i żądanie oddania Ostatniemu Imperatorowi.

Co najbardziej niepokojące, Pierwszy Kontrakt zawierał klauzulę, która, gdyby się na nią powołano, doprowadziłaby do masowego samobójstwa wszystkich kandra.

KanPaar pochylił się nad mównicą, jego czerwone krystaliczne kości migotały w świetle lamp.

- Dobrze więc, TenSoonie, zdrajco kandra. Zażądałeś procesu. Wygłoś swoją obronę.

TenSoon odetchnął głęboko - jak dobrze było znów to zrobić - i otworzył usta, by odpowiedzieć.

- Powiedz im - mówił dalej KanPaar, z szyderstwem w głosie - wyjaśnij, jeśli potrafisz, dlaczego zabiłeś jednego z nas. Innego kandra.

TenSoon zamarł. W Labiryncie Zaufania panowała cisza - pokolenia kandra były zbyt dobrze wychowane, by się kręcić i hałasować, jak tłum ludzi. Siedzieli ze swoimi kośćmi z kamienia, drewna, nawet metalu i czekali na odpowiedź TenSoona.

To nie było pytanie, jakiego się spodziewał.

- Owszem, zabiłem kandra - powiedział TenSoon, nagi i zmarznięty na podwyższeniu.

- Nie jest to zakazane.

- A czy to musi być zakazane? - spytał oskarżającym tonem KanPaar i wymierzył w niego palec. - Ludzie zabijają się nawzajem. Kolosy zabijają się nawzajem. Ale oni pochodzą od Zniszczenia. My pochodzimy od Zachowania, jesteśmy wybrańcami Ojca. Nie zabijamy się nawzajem!

TenSoon się skrzywił. To była dziwna linia oskarżenia.

- Zmusił mnie do tego mój Kontrakt - stwierdził uczciwie TenSoon. - Musiałeś o tym wiedzieć, KanPaarze. To ty przydzieliłeś mnie do mężczyzny Straffa Venture. Wszyscy wiemy, jakim był człowiekiem.

- Nie różnił się od innych ludzi - warknął jeden z Drugich.

Niegdyś TenSoon mógłby się z nim zgodzić. Teraz jednak wiedział, że przynajmniej niektórzy ludzie są inni. Zdradził Vin, a jednak ona go za to nie znenawidziła. Zrozumiała i się ulitowała. Nawet gdyby wcześniej nie zostali przyjaciółmi, nawet gdyby nie zaczął jej ogromnie szanować, tym jednym zasłużyłaby na jego oddanie i lojalność.

Liczyła na niego, choć nawet o tym nie wiedziała. Wyprostował się i spojrzał

KanPaarowi w oczy.

- Zostałem oddany temu mężczyźnie Straffowi Venture na mocy płaconego kontraktu -

stwierdził TenSoon. - On przekazał mnie swojemu wypaczonemu synowi Zane'owi, bym spełniał jego zachcianki. To Zane rozkazał mi zabić kandra OreSeura i zająć jego miejsce, bym mógł szpiegować kobietę Vin.

Wtedy rozległy się przytłumione szepty. Tak, słyszeliście o niej. To ta, która zabiła Ojca.

- A ty zrobiłeś to, co rozkazał tamten Zane? - spytał głośno KanPaar. - Zabiłeś innego kandra. Zamordowałeś członka własnego pokolenia!

- Myślisz, że sprawiło mi to przyjemność? - odpowiedział pytaniem TenSoon. -

OreSeur był moim bratem z pokolenia... znałem go od siedmiuset lat! Ale... Kontrakt...

- Nie pozwala zabijać - dokończył KanPaar.

- Nie pozwala zabijać ludzi.

- Czyż życie kandra nie jest więcej warte od życia człowieka?

- Sformułowanie jest jasne i jednoznaczne, KanPaarze - warknął TenSoon. - Znam je doskonale... sam pomogłem je stworzyć! Obaj byliśmy przy tym, gdy stworzono Kontrakty służby na wzór Pierwszego Kontraktu! Nie pozwalają nam zabijać ludzi, ale nie siebie nawzajem.

KanPaar znów się pochylił.

- Czy nie próbowałeś przekonać tego Zane'a? Być może zasugerowałeś, że sam powinien dokonać mordu? Czy w ogóle próbowałeś uchronić się przed zabiciem jednego ze swoich?

- Nie dyskutuję ze swoimi panami - odparł TenSoon. - I z pewnością nie miałem zamiaru powiedzieć mężczyźnie Zane'owi, jak zabić kandra. Jego chwiejność była wszystkim znana.

- Innymi słowy, nie próbowałeś się sprzeciwić - stwierdził KanPaar. - Po prostu zabiłeś OreSeura. A później zająłeś jego miejsce, udając, że jesteś nim.

- To właśnie robimy - odparł z wyraźną frustracją TenSoon. - Zajmujemy miejsce innych, jesteśmy szpiegami. O to właśnie chodzi w Kontrakcie!

- Robimy to ludziom - warknął inny z Drugich. - To pierwszy przypadek, gdy kandra został wykorzystany do udawania innego kandra. Ustanowiłeś niepokojący precedens.

To było błyskotliwe, pomyślał TenSoon. Jestem wściekły na Zane'a, że kazał mi to zrobić, ale mimo to, widzę jego geniusz. Vin nawet nie zaczęła mnie podejrzewać. Co oczywiste.

- Powinieneś być odmówić - powiedział KanPaar. - Powinieneś być stwierdzić, że Kontrakt wymaga wyjaśnienia w tej kwestii. Gdyby inni zaczęli nas wykorzystywać w ten sposób, do zabijania siebie nawzajem, moglibyśmy zostać zniszczeni w ciągu kilku lat!

- Zdradziłeś nas swoją nierozwagą - stwierdził inny.

Aha, pomyślał TenSoon. Czyli na tym polega ich plan. Najpierw nazwą mnie zdrajcą, żeby później stwierdzić, że brak mi wiarygodności. Uśmiechnął się. Należał do Trzeciego Pokolenia - czas, żeby

zaczął się tak zachowywać.

- Zdradziłem was swoją nierozwagą? - powtórzył TenSoon. - A co z wami, o wspaniali Drudzy? Kto pozwolił, by Kontrakt otrzymał sam Kelsier? Daliście sługę kandra temu właśnie człowiekowi, który planował zabicie Ojca!

KanPaar zeszywniał, jakby ktoś go spoliczkował; na jego przezroczyściej twarzy malował się gniew.

- Twoje oskarżenia są nie na miejscu, Trzeci!

- Wygląda, że ja sam nie mam już miejsca - zauważył TenSoon. - Nikt z nas go nie ma po śmierci Ojca. Nie mamy prawa się skarżyć, gdyż sami w tym pomogliśmy.

- Skąd mieliśmy wiedzieć, że temu człowiekowi się uda, skoro tak wielu się nie udało

- mruknął jeden z Drugich. - Płacił tak dobrze, że...

KanPaar przerwał mu gwałtownym gestem. Należący do Drugiego Pokolenia nie powinni się bronić. Jednakże HunFloor - kandra, który się odezwał - nigdy nie pasował do swojego pokolenia. Był nieco bardziej... ograniczony.

- Nie będziesz już o tym mówił, Trzeci - stwierdził KanPaar, wskazując na TenSoona.

- Jak mam się bronić, skoro nie mogę...

- Nie jesteś tutaj, by się bronić - przerwał mu KanPaar. - To nie jest proces, już przyznałeś się do winy. To sąd. Wyjaśnij swoje działania i pozwól, by Pierwsze Pokolenie zadecydowało o twoim losie!

TenSoon umilkł. To nie była właściwa chwila. Jeszcze nie.

- Zajęcie miejsca jednego z nas jest złe samo w sobie - mówił KanPaar. - Czy musimy mówić dalej, czy już teraz przyjmiesz wyrok?

- Obaj dobrze wiemy, że śmierć OreSeura nie jest powodem, dla którego się tu znalazłem - odparł TenSoon.

- Dobrze - zgodził się KanPaar. - W takim razie przejdźmy dalej. Może powiesz Pierwszemu Pokoleniu, dlaczego, skoro przestrzegasz Kontraktu co do litery, złamałeś Kontrakt ze swoim panem, działając wbrew jego interesowi i pomagając jego wrogowi?

Oskarżenie odbiło się echem od ścian sali. TenSoon przymknął oczy, wspominając ten dzień przed ponad rokiem. Pamiętał, jak siedział cicho na podłodze Twierdzy Venture i obserwował walkę Zane'a i Vin.

Nie, to nie była walka. Zane spalał atium, przez co był niemal niezwyciężony. Bawił

się Vin, zabawiał się nią i szydził.

Vin nie była panią TenSoona - on zabił jej sługę kandra i zajął jego miejsce, szpiegując ją na rozkaz Zane'a. To mężczyzna był jego panem. Miał Kontrakt TenSoona.

Wbrew swojemu wykszoleniu, TenSoon pomógł Vin. A robiąc to, zdradził jej wielką Tajemnicę kandra. Ich słabość - fakt, że Allomanta może wykorzystać swoją moc, by przejąć całkowitą kontrolę nad ciałem kandra. Jego lud wypełniał Kontrakt, by zachować tę Tajemnicę - zostali sługami, by nie stać się niewolnikami. TenSoon otworzył oczy w ciszy sali. Nadeszła chwila, na którą czekam.

- Nie złamałem Kontraktu - stwierdził.

KanPaar prychnął.

- Powiedziałaś nam coś innego, kiedy wróciłaś do nas przed rokiem, Trzeci.

- Opowiedziałem wam, co się wydarzyło - poprawił TenSoon, prostując się. - Nie okłamałem was. Pomogłem Vin zamiast Zane'owi. Częściowo przez moje czyny mój pan zginął u stóp Vin. Ale nie złamałem Kontraktu.

- Sugerujesz, że Zane chciał, żebyś pomógł jego wrogowi? - spytał KanPaar.

- Nie. Nie złamałem swojego Kontraktu, ponieważ postąpiłem w zgodzie z większym Kontraktem. Pierwszym Kontraktem!

- Ojciec nie żyje! - warknął jeden z Drugich. - Jak mogłeś wypełniać Kontrakt, jaki z nim zawarliśmy?

- Nie żyje - stwierdził TenSoon. - To prawda. Ale Pierwszy Kontrakt nie umarł razem z nim! Vin, Dziedziczka Ocalałego, zabiła Ostatniego Imperatora. Ona jest teraz naszą Matką.

Z nią wiąże nas teraz Pierwszy Kontrakt!

Spodziewał się okrzyków nazywających go bluźniercą i pełnych oskarżeń, lecz zapadła martwa cisza. KanPaar stał, oszołomiony, za kamienną mównicą. Członkowie Pierwszego Pokolenia jak zwykle siedzieli w milczeniu w swoich ciemnych alkowach.

Cóż, pomyślał TenSoon, to chyba znaczy, że powinienem mówić dalej.

- Musiałem pomóc kobiecie Vin - stwierdził. - Nie mogłem pozwolić, by Zane ją zabił, bo miałem względem niej obowiązek... a powstał on z chwilą, gdy zajęła miejsce Ojca.

KanPaar w końcu się odezwał.

- Ona? Naszą Matką? Ona zabiła Ostatniego Imperatora!

- I zajęła jego miejsce - wyjaśnił TenSoon. - W pewnym sensie jest jedną z nas.

- Bzdura! - sprzeciwił się KanPaar. - Spodziewałem się racjonalizacji, TenSoonie, może nawet kłamstw. Ale te fantazje? Błuznierstwa?

- Czy wychodziłeś ostatnio na zewnątrz, KanPaarze? - spytał TenSoon. - Czy w ciągu ostatniego stulecia w ogóle opuszczałeś Ojczyznę? Czy rozumiesz, co się dzieje? Ojciec nie żyje. W kraju wrze. Wracając przed rokiem do Ojczyzny, widziałem zmianę w mgłach. Już nie zachowują się tak, jak zawsze. Nie możemy żyć jak wcześniej. Drugie Pokolenie może sobie tego jeszcze nie uświadamiać, ale nadeszło Zniszczenie! Życie się kończy. Nadszedł

czas, o którym mówili Dawcy Światów, może to czas Rozwiązania!

- Oszalałeś, TenSoonie. Byłeś wśród ludzi zbyt...

- Powiedz im, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi, KanPaarze - przerwał

TenSoon, podnosząc głos. - Czy nie chcesz, by wszyscy poznali mój prawdziwy grzech? Czy nie chcesz, by usłyszeli?

- Nie naciskaj, TenSoonie - ostrzegł KanPaar, znów wyciągając palec w jego stronę. -

To, co zrobiłeś, jest wystarczająco złe. Nie pogarszaj tego...

- Powiedziałem jej - przerwał mu po raz kolejny TenSoon. - Zdradziłem jej naszą Tajemnicę. Pod koniec mnie wykorzystała. Jak Allomanci z dawnych czasów. Opanowała moje ciało, wykorzystując Słabość, i kazała mi walczyć przeciwko Zane'owi! To właśnie zrobiłem. Zdradziłem nas wszystkich. Ona wie... i jestem pewien, że powiedziała innym.

Wkrótce wszyscy będą wiedzieli, jak nas kontrolować. A wiecie, dlaczego to zrobiłem? Czyż celem sądu nie jest pozwolenie mi, bym przedstawił swoje powody?

Mówił dalej, mimo że KanPaar próbował go zagłuszyć.

- Zrobiłem to, ponieważ ona miała prawo poznać naszą Tajemnicę! - wykrzyknął

TenSoon. - Jest naszą Matką! Odziedziczyła wszystko, co należało do Ostatniego Imperatora.

Bez niej nie mamy nic. Sami nie możemy tworzyć nowych Błogosławieństw ani nowych kandra. Zaufanie należy teraz do niej! Powinniśmy się do niej udać. Jeśli to naprawdę koniec wszystkiego, wkrótce nadejdzie Rozwiązanie. Ona...

- Wystarczy! - ryknął KanPaar.

Znów zapadła cisza.

TenSoon stał, oddychając głęboko. Przez rok, uwięziony w studni, zaplanował sobie, jak wypowie te słowa. Jego lud spędził tysiąc lat, dziesięć pokoleń, kierując się naukami Pierwszego Kontraktu. Ludzie zasługiwali, by dowiedzieć się, co się wydarzyło.

A jednak czuł, że to... niewłaściwe, wykrzykiwać te słowa niczym oszalały człowiek.

Czy ktokolwiek z jego ludu uwierzy? Czy to cokolwiek zmieni?

- Jak sam się przyznałeś, zdradziłeś nas - powiedział KanPaar. - Złamałeś Kontrakt, zabiłeś członka swojego pokolenia i powiedziałaś człowiekowi, jak nad nami zapanować.

Zażądałeś sądu. Teraz zaczekaj na wyrok.

TenSoon odwrócił się w milczeniu w stronę alków, gdzie przebywali członkowie Pierwszego Pokolenia.

Może... może oni rozumieją, że mówiłem prawdę. Może moje słowa nimi wstrząsną i rozumieją, że musimy zaproponować swoją służbę Vin, a nie tylko siedzieć w tych jaskiniach i czekać, aż świat wokół nas się skończy.

Nic się nie wydarzyło. Żadnego poruszenia, żadnego dźwięku. Czasami TenSoon zastanawiał się, czy ktoś tam jeszcze żyje. Od wielu stuleci nie rozmawiał z nikim z Pierwszego Pokolenia - ograniczali komunikację do Drugich.

Jeśli nadal żyli, żaden z nich nie wykorzystał okazji, by okazać łaskę TenSoonowi.

KanPaar się uśmiechnął.

- Pierwsze Pokolenie zignorowało twoje błagania, Trzeci - stwierdził. - Dlatego jako ich słudzy my, członkowie Drugiego Pokolenia, wydamy wyrok w ich imieniu. Nastąpi to za miesiąc.

TenSoon zmarszczył czoło. Miesiąc? Po co czekać?

Tak czy inaczej, było po wszystkim. Z westchnieniem pochylił głowę. Powiedział, co chciał powiedzieć. Kandra już wiedzieli, że ich Tajemnica wyszła na jaw - Drudzy nie mogli już tego ukrywać. Być może jego słowa pobudzą pozostałych do działania.

TenSoon spodziewał się, że nigdy się tego nie dowie.

Rashek najwyraźniej przeniósł Studnię Wstąpienia.

To było bardzo sprytne posunięcie - być może najsprytniejsze ze wszystkiego, czego dokonał. Wiedział, że moc pewnego dnia powróci do Studni, gdyż taka moc - moc zasadnicza, dzięki której powstał świat - nie może się po prostu wyczerpać. Może zostać wykorzystana, a w ten sposób rozproszona, lecz zawsze się odnawia.

Mając świadomość, że pogłoski i opowieści pozostaną, Rashek zmienił wygląd świata.

Umieścił góry w miejscu, które miało stać się Północą, i nazwał te okolice Terris. Później spłaszczył swoją prawdziwą ojczyznę i stworzył w tym miejscu stolicę.

Wybudował swój pałac wokół tej komnaty w jego sercu, w której medytował, a która była repliką jego starej chaty w Terris. Kryjówki stworzonej w ostatniej chwili, nim opuściła go moc.

12

- Martwię się o niego, Elendzie - powiedziała Vin, siadając na ich pościeli.

- O kogo? - spytał Elend, odwracając się od lustra. - Sazed?

Pokiwała głową. Zanim Venture obudził się z drzemki, zdążyła już wstać, umyć się i przebrać. Czasami martwił się o nią, uważał, że pracuje zbyt ciężko. Właściwie, naprawdę zaczął się martwić dopiero ostatnio, kiedy również stał się Zrodzonym z Mgły i pojął

ograniczenia cyny z ołowiem. Ten metal wzmacniał ciało, pozwalając tłumić zmęczenie - ale nie za darmo. Gdy cyna z ołowiem się kończyła lub zostawała zgaszona, zmęczenie powracało, spadając na człowieka niczym walący się mur.

Jednakże Vin nie przestawała działać. Elend również spalał cynę z ołowiem, by dodać sobie siłę, lecz Vin spała o połowę krócej od niego.

Była od niego twardsza, silniejsza na wiele sposobów, których on nie pojmował.

- Sazed poradzi sobie ze swoimi problemami - stwierdził Elend, wracając do ubierania się. - Już wcześniej musiał tracić swoich towarzyszy.

- Tym razem jest inaczej - sprzeciwiła się Vin.

Widział ją w odbiciu, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami w swoim prostym ubraniu.

Biały mundur Elenda miał zupełnie inny charakter. Wprost świecił pomalowanymi na złoto drewnianymi guzikami, wykonanymi specjalnie w taki sposób, by nie dało się na nie wpłynąć Allomancją. Sam strój został uszyty ze specjalnego materiału, który łatwiej oczyszczało się z popiołu. Czasem czuł się winny na myśl o pracy niezbędnej, by wyglądał po królewsku. To było konieczne, nie ze względu na jego próżność, lecz wizerunek. Wizerunek, który sprawiał, że jego ludzie maszerowali do walki. W kraju czerni Elend nosił biel - i stał się symbolem.

- Inaczej? - powtórzył, zapinając guziki na mankietach. - Czymże innym jest śmierć Tindwyl? Zginęła podczas ataku na Luthadel. Clubs i Dockson też. Ty podczas tej bitwy własnoręcznie zabiłaś mojego ojca, a wkrótce przed tym obciąłem głowę najlepszemu przyjacielowi. Wszyscy kogoś utraciliśmy.

- On sam powiedział coś takiego. Ale to dla niego więcej niż tylko jedna śmierć.

Myślę, że śmierć Tindwyl była dla niego rodzajem zdrady... zawsze był jedynym z nas, który miał wiarę. Jakimś sposobem utracił ją, kiedy Tindwyl zginęła.

- Jedyny, który miał wiarę? - powtórzył Elend, podnosząc z biurka drewnianą szpilę pomalowaną na srebrno i przypinając ją do surduta. - I co z tego?

- Należysz do Kościoła Ocalałego, Elendzie - stwierdziła Vin. - Ale nie masz wiary.

Nie w taki sposób, jak kiedyś Sazed. To było tak, jakby... wiedział, że wszystko będzie dobrze. Ufał, że coś strzeże świata.

- Poradzi sobie z tym.

- Nie chodzi tylko o niego, Elendzie. Breeze za bardzo się stara.

- Co to ma znaczyć? - spytał z rozbawieniem w głosie Elend.

- Odpycha uczucia wszystkich - wyjaśniła Vin. - Odpycha za mocno, próbując wszystkich uszczęśliwić, i śmieje się za głośno. Jest przestraszony, zmartwiony. I przesadnie to kompensuje.

Elend się uśmiechnął.

- Robisz się równie paskudna, jak on, czytasz uczucia wszystkich i mówisz im, jak się czują.

- To moi przyjaciele, Elendzie. Znam ich. I mówię ci, oni się poddają. Jeden po drugim zaczynają myśleć, że teraz nie uda się nam zwyciężyć.

Elend zapiał ostatni guzik i obejrzał się w lustrze. Czasem wciąż się zastanawiał, czy pasował do bogato zdobionego munduru, z jego nieskazitelną bielą i sugestią władczości.

Spojrzał sobie w oczy, nie zwracając uwagi na krótką brodę, ciało wojownika i blizny.

Spojrzał w te oczy, szukając ukrytego w nich króla. I jak zawsze, nie był pod wrażeniem tego, co zobaczył.

Nie poddawał się, bo wiedział, że nie mają nikogo lepszego. Nauczyła go tego Tindwyl.

- Dobrze - powiedział. - Ufam, że masz rację w kwestii pozostałych. Coś z tym zrobię.

Na tym w końcu polegała jego praca. Tytuł cesarza niósł ze sobą tylko jeden obowiązek.

Sprawienia, by wszystko było lepsze.

* * *

- Dobrze - stwierdził Elend, wskazując na mapę cesarstwa wiszącą na ścianie namiotu konferencyjnego. - Zapisaliśmy czas przybycia i zniknięcia mgieł każdego dnia, a później Noorden i jego skrybowie je przeanalizowali. Efektem ich pracy są te granice.

Zebrani pochyłili się, przyglądając się mapie. Vin siedziała z tyłu namiotu. Bliżej cieni. Bliżej wyjścia. Stała się bardziej pewna siebie, to prawda - ale to nie oznaczało nieostrożności. Lubiała mieć oko na wszystkich obecnych, nawet jeśli im ufała.

A ufała. Może za wyjątkiem Cetta. Uparty mężczyzna jak zawsze siedział z przodu, z milczącym synem u boku. Cett - a raczej król Cett, jeden z monarchów, którzy przysięgli lojalność Elendowi - miał niemodną brodę, jeszcze bardziej niemodny sposób mówienia i nogi, na których nie mógł się poruszać. To nie powstrzymało go przed prawie podbiciem Luthadel ponad rok temu.

- Do kata - stwierdził Cett. - Spodziewasz się, że uda się nam to przeczytać?

Elend postukał palcem w mapę. Był to prosty szkic imperium, podobny do tego, jaki znaleźli w jaskini, tylko bardziej aktualny. Naniesiono na niego kilka dużych współśrodkowych okręgów.

- Najbardziej zewnętrzny krąg oznacza miejsce, w którym mgły całkowicie spowiły ziemię i nie znikają przez cały dzień. - Elend przeciągnął palcem do środka, w stronę kolejnego kręgu. - Ten okrąg przecina wioskę, którą właśnie odwiedziliśmy, a oznacza cztery godziny dziennego światła. Wszystkie ziemie wewnątrz kręgu dostają więcej niż cztery godziny, a wszystkie na zewnątrz mniej.

- A ostatni krąg? - spytał Breeze.

Uspokajacz siedział z Allrienne, tak daleko od Cetta, jak na to pozwalał namiot. Cett nadal od czasu do czasu lubił rzucić w Breeze'a obelgą, a czasem nożem.

Elend spojrzał na mapę.

- Zakładając, że mgły będą się przesuwać w stronę Luthadel ze stałą prędkością, ten krąg oznacza obszar, w którym zdaniem skrybów wystarczy światła, by zebrać tegoroczne plony.

Zapanowała cisza.

„Nadzieja jest głupotą”, szeptał głos Reena z tyłu głowy Vin. Potrząsnęła głową. Jej brat, Reen, pokazał jej, jak żyć na ulicy i w podziemiu, ucząc ją nieufności i paranoi.

Jednocześnie nauczył ją, jak przetrwać. Dopiero Kelsier pokazał jej, że można ufać i przetrwać - a była to trudna lekcja. Mimo to, często słyszała w głowie widmowy głos Reena -

bardziej jego wspomnienie - uświadamiający jej niepewność i przypominający swoje brutalne nauki.

- To bardzo mały krąg, El - powiedział Ham, przyglądając się mapie.

Muskularny mężczyzna siedział z generałem Demoux między Cettem a Breeze'em.

Sazed zajął miejsce nieco na uboczu. Vin spojrzała na niego, próbując ocenić, czy ich wcześniejsza rozmowa nieco złagodziła jego przygnębienie, ale nie umiała tego ocenić.

Byli niewielką grupką - jedynie dziewięcioro, jeśli liczyć Gneorndina, syna Cetta.

Jednakże w namiocie znajdowali się niemal wszyscy, którzy pozostali z ekipy Kelsiera.

Brakowało jedynie Spooka, przeprowadzającego zwiad na północy. Zebrani skupili się na mapie.

Ostatni krąg był w rzeczy samej niewielki - mniejszy od Środkowego Dominium, w którym leżała imperialna stolica, Luthadel. Mapa pokazywała, Elend zaś dawał do zrozumienia, że ponad dziewięć dziesiątych cesarstwa nie zbierze tego lata plonów.

- Nawet ta mała bańka zniknie przed kolejną zimą - dodał Elend.

Vin obserwowała, jak pozostali rozważają i uświadamiają sobie - o ile nie zrobili tego wcześniej - grozę sytuacji. Zupełnie jak w dzienniku Alendiego, pomyślała. Armie nie mogły zniszczyć Głębi. Niszczyła miasta, sprowadzając powolną, straszliwą śmierć. Byli bezradni.

Głębia. Tak nazywali mgły - w każdym razie tak określały ją te zapiski, które przetrwały. Być może za tą niejasnością stała ta istota, z którą walczyli, pierwotna siła, którą uwolniła Vin. Nie mogli być pewni, co wydarzyło się w przeszłości, istota ta miała bowiem moc zmieniania zapisków.

- Dobrze - powiedział Elend, zakładając ręce na piersi. - Potrzebujemy rozwiązań.

Kelsier was zwerbował, ponieważ możecie dokonać niemożliwego. Cóż, nasza sytuacja jest prawie niemożliwa do rozwiązania.

- Mnie nie zwerbował - zauważył Cett. - Zostałem wciągnięty za jaja w ten bajzel.

- Szkoda, że nie chce mi się przeproszać - odparł Elend, spoglądając na nich. - Dalej.

Wiem, że macie przemyślenia.

- Cóż, mój drogi - stwierdził Breeze - najbardziej oczywistym rozwiązaniem wydaje się Studnia Wstąpienia. Jej moc jest jakby stworzona do tego, by walczyć z mgłami.

- Albo uwolnić istotę, która się w nich kryje - dodał Cett.

- To nie ma znaczenia - odezwała się Vin. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. - W

Studni nie ma mocy. Rozpłynęła się. Została wykorzystana. Jeśli w ogóle powróci, podejrzewam, że minie kolejne tysiąclecie.

- Cóż, na tyle na pewno nie wystarczą zapasy zgromadzone w jaskiniach - zauważył

Elend.

- A gdybyśmy hodowali rośliny, które potrzebują bardzo mało światła? - spytał Ham.

Mężczyzna jak zawsze miał na sobie proste spodnie i kamizelkę. Był Zbirem i spalał

cynę z ołowiem, co dawało mu odporność na gorąco i zimno. Radośnie chodził w stroju bez rękawów w dni, kiedy inni szukali schronienia.

Cóż, może nie radośnie. Ham nie zmienił się w ciągu jednej nocy, jak Sazed. Utracił

jednak część ze swojej jowialności. Przesiadywał z konsternacją na twarzy, jakby bardzo, bardzo starannie wszystko rozważał - i nie podobały mu się wnioski, do jakich dochodził.

- Istnieją jakieś rośliny, które nie potrzebują światła? - spytała Allrienne.

- Grzyby i tym podobne - odparł Ham.

- Wątpię, byśmy wykarmili całe cesarstwo grzybami - zauważył Elend. - Choć to dobra myśl.

- Muszą być też inne rośliny - dodał Zbir. - Nawet jeśli mgły nie znikają przez cały dzień, pozostaje trochę światła. Niektóre rośliny na pewno przetrwają w takich warunkach.

- Rośliny, które są dla nas niejadalne, mój drogi - wtrącił Breeze.

- Owszem, ale może są jadalne dla zwierząt - powiedział Ham.

Elend pokiwał z namysłem głową.

- Do kata, mało czasu na naukę ogrodnictwa - zauważył Cett. - Powinniśmy byli zająć się tym przed laty.

- Ale dowiedzieliśmy się o tej konieczności dopiero przed kilkoma miesiącami -

sprzeciwił się Ham.

- To prawda - zgodził się Elend. - Tyle że Ostatni Imperator miał tysiąc lat na przygotowanie. Dlatego właśnie stworzył te jaskinie... a my wciąż nie wiemy, co znajduje się w ostatniej z nich.

- Nie podoba mi się poleganie na Ostatnim Imperatorze - stwierdził Breeze, kręcąc głową. - Musiał przygotowywać te zasoby ze świadomością, że jeśli ktoś będzie musiał z nich skorzystać, to on będzie martwy.

Cett pokiwał głową.

- Ten idiota Uspokajacz ma rację. Gdybym był Ostatnim Imperatorem, wypchałbym te jaskinie zatrutym jedzeniem i zaszczaną wodą. Skoro ja nie żyję, to wszyscy inni też powinni.

- Na całe szczęście, Cetcie - stwierdził Elend, unosząc brew - Ostatni Imperator okazał

się większym altruistą, niż mogliśmy się tego po nim spodziewać.

- Nigdy nie myślałem, że usłyszę coś takiego - mruknął Ham.

- Był władcą - powiedział Elend. - Jego rządy mogły nam się nie podobać, ale trochę go rozumiem. Nie był mściwy... nawet właściwie nie był zły. Tylko... trochę go poniosło.

Poza tym stawił czoło tej istocie, przeciwko której walczymy.

- Tej istocie? - spytał Cett. - Mglom?

- Nie - odparł Elend. - Istocie, która została uwięziona w Studni Wstąpienia.

Nazywa się Zniszczeniem, pomyślała nagle Vin. Zniszczy wszystko.

- Dlatego uznałem, że musimy zabezpieczyć ostatnią jaskinię - stwierdził Elend. -

Ostatni Imperator raz to przeżył i wiedział, jak się przygotować. Może znajdziemy rośliny, które rosną bez słońca. W każdej z tych jaskiń znajdują się podobne rzeczy, zapasy jedzenia, woda, ale w każdej było też coś nowego. W Vetitan znaleźliśmy duży skład pierwszych ośmiu metali allomantycznych. To, co znajduje się w ostatnim składzie, może być właśnie tym, czego potrzebujemy, by przetrwać.

- Czyli zdecydowane! - wykrzyknął Cett, uśmiechając się. - Ruszamy na Fadrex?

Elend krótko skinął głową.

- Tak. Główne siły armii pomaszerują na Zachodnie Dominium, kiedy tylko zwiniemy tutejszy obóz.

- Ha! - powiedział Cett. - Penrod i Janarle niech się tym przez parę dni podrećczą.

Vin uśmiechnęła się słabo. Poza Cettem, Penrod i Janarle byli najważniejszymi królami pod władzą Elenda. Penrod rządził Luthadel, i dlatego właśnie go teraz z nimi nie było, Janarle zaś rządził Północnym Dominium - królestwem, na którego terytorium leżały rodzinne dobra Domu Venture.

W największym mieście na północy wybuchł jednak bunt w czasie, gdy Janarle - wraz z ojcem Elenda, Straffem Venture - oblegał Luthadel. Na razie Elend nie miał kogo wysłać do odbicia Urteau z wojsk dysydentów, więc Janarle rządził na wygnaniu, wykorzystując swoją mniejszą armię do utrzymywania spokoju w tych miastach, nad którymi panował.

Zarówno Janarle, jak i Penrod starannie wyszukiwali liczne powody, by powstrzymać główną armię przed pomaszerowaniem na ojczyznę Cetta.

- Te sukinsyny nie ucieszą się, kiedy się o tym dowiedzą - stwierdził Cett.

Elend potrząsnął głową.

- Czy w każdym zdaniu, które wypowiadasz, musi być jakiś wulgaryzm?

Cett wzruszył ramionami.

- A po co mówić, jeśli człowiek nie ma do powiedzenia nic interesującego?

- Przeklinanie nie jest interesujące - stwierdził Elend.

- To twoje przekłete zdanie - odparł z uśmiechem Cett. - I naprawdę nie powinieneś się skarżyć,

cesarzu. Jeśli uważasz, że moje słowa są wulgarne, to zbyt długo mieszkałeś w Luthadel. W mojej ojczyźnie ludzie wstydzą się używać tak gładkich słówek jak „przeklęty”.

Elend westchnął.

- Tak czy inaczej...

Gwałtownie urwał, kiedy ziemia zaczęła się trząść. Vin natychmiast poderwała się na równe nogi, oceniając sytuację, podczas gdy pozostali przeklinali i próbowali odzyskać równowagę. Jednakże wstrząsy szybko ustąpiły i nie wywołały większego chaosu. Po obozie krążyły co prawda patrole składające się z oficerów i Allomantów, ale większość żołnierzy pozostała w swoich namiotach.

Vin znów odwróciła się w stronę wnętrza namiotu. Kilka krzeseł się przewróciło, wstrząs poprzesuwał podrózne meble. Pozostali powoli zajęli swoje miejsca.

- Sporo ich ostatnio - zauważył Ham.

Vin spojrzała w oczy Elenda i spostrzegła w nich troskę.

Możemy walczyć przeciwko armiom, możemy zdobywać miasta, lecz co z popiołem, mgłami i trzęsieniami ziemi? Co ze światem, który rozpada się wokół nas?

- Tak czy inaczej - powiedział Elend stanowczym głosem, mimo że w głębi duszy musiał czuć niepokój - Fadrex musi być naszym kolejnym celem. Nie możemy ryzykować utraty skarbcza i tego, co się w nim może znajdować.

„Na przykład atium”, szepnął Reen w głowie Vin, gdy znów usiadła.

- Atium - powiedziała na głos.

Cett nadstawił uszu.

- Myślisz, że tam będzie?

- Istnieją takie teorie - stwierdził Elend, spoglądając na Vin. - Ale nie mamy dowodów.

- Będzie tam - powiedziała.

Musi tam być. Nie wiem dlaczego, ale musimy je mieć.

- Mam nadzieję, że nie - odezwał się Cett. - Przemierzyłem pół przeklętego imperium, żeby spróbować ukraść atium. Jeśli się okaże, że znajduje się pod moim własnym miastem...

- Chyba zapominamy o czymś istotnym, El - zauważył Ham. - Czy mówimy o podbiciu Fadrex?

Zapadła cisza. Do tej chwili armie Elenda były wykorzystywane w celach obrony, atakowały garnizony kolosów albo obozy watażków i zbójców. Zastraszeniem skłonili kilka miast do

przyłączenia się do sojuszu, ale nigdy wcześniej nie zaatakowali miasta i nie zdobyli go siłą.

Elend odwrócił się i znów spojrzał na mapę. Nawet z boku Vin widziała jego oczy -

oczy człowieka zahartowanego po dwóch latach niemal nieprzerwanej wojny.

- Naszym podstawowym celem będzie zdobycie miasta z pomocą dyplomacji -

stwierdził Elend.

- Dyplomacji? - powtórzył Cett. - Fadrex należy do mnie. Ten przeklęty obligator mi je ukradł! Nie musisz mieć wyrzutów sumienia, kiedy go zaatakujesz, Elendzie.

- Nie muszę? - spytał Elend, odwracając się. - Cetcie, to twoich ludzi... twoich żołnierzy... będziemy musieli zabić, żeby dostać się do tego miasta.

- Na wojnie ludzie giną - stwierdził Cett. - Wyrzuty sumienia nie oczyszczają rąk z krwi, więc po co się przejmować? Ci żołnierze zwrócili się przeciwko mnie i zasługują na to, co dostaną.

- To nie takie proste - stwierdził Ham. - Jeśli żołnierze nie mieli jak walczyć przeciwko uzurpatorowi, dlaczego mielibyśmy od nich oczekiwać oddania życia?

- Szczególnie za człowieka, który również był uzurpatorem - zauważył Elend.

- Tak czy inaczej - dodał Ham - według raportów miasto jest doskonale bronione. To będzie twardy orzech do zgryzienia, El.

Elend przez chwilę stał w milczeniu, po czym spojrzał na Cetta, który wciąż wydawał

się niezmiernie zadowolony z siebie. Wydawało się, że coś ich łączy - zrozumienie. Elend był

mistrzem teorii i pewnie przeczytał na temat wojny więcej niż ktokolwiek. Cett miał naturalne wyczucie technik wojennych i taktyki i zastąpił Clubsa w roli głównego stratega cesarstwa.

- Oblężenie - stwierdził Cett.

Elend pokiwał głową.

- Jeśli król Yomen nie zareaguje na dyplomację, jedynym sposobem dostania się do tego miasta... jeśli nie chcemy, by połowa naszych ludzi zginęła podczas natarcia na mury...

jest oblężenie.

- Czy mamy na to czas? - spytał Ham, marszcząc czoło.

- Pomijając Urteau - powiedział Elend - Fadrex wraz z otaczającym go terytorium jest jedyną częścią Wewnętrznych Dominiów, która zachowała na tyle znaczące siły, by móc nam zagrozić. Z tego

powodu i z powodu składu nie możemy po prostu zostawić ich w spokoju.

- W pewnym sensie czas nam sprzyja - stwierdził Cett, drapiąc się po brodzie. - Miasta takiego jak Fadrex nie można po prostu zaatakować, Ham. Ma umocnienia i jako jedno z niewielu miast poza Luthadel mogło odeprzeć natarcie armii. Ale ponieważ znajduje się poza Środkowym Dominium, prawdopodobnie już brakuje im żywności.

Elend pokiwał głową.

- Podczas gdy my mamy wszystkie zapasy znalezione w jaskiniach. Jeśli zablokujemy drogę, a później kanał, w końcu będą musieli poddać miasto. Nawet jeśli znaleźli zapasy... w co wątpię... przetrzymamy ich.

Ham zmarszczył czoło.

- Chyba...

- Poza tym - dodał Elend - jeśli zrobi się naprawdę ciężko, mamy jeszcze około dwudziestu tysięcy kolosów, które możemy wykorzystać.

Ham uniósł brew. Implikacje były oczywiste. Zwróciłbyś kolosy przeciwko ludziom?

- Jest jeszcze jedna kwestia - powiedział cicho Sazed. - Coś, czego dotychczas nie omówiliśmy.

Kilka głów odwróciło się, jakby ich właściciele zapomnieli o obecności Terrisanina.

- Mgły - powiedział Sazed. - Fadrex leży daleko za granicą mgieł, cesarzu Venture.

Czy zaryzykujesz piętnaście procent strat w armii, zanim w ogóle dotrzesz do miasta?

Elend zamilkł. Na razie udało mu się utrzymać większość żołnierzy z dala od mgieł.

Vin wydawało się niewłaściwe to, że armię chroniono przed chorobą, a wieśniaków zmuszano do wchodzenia we mgłę. Jednakże w miejscach, w których obozowali, wciąż pozostała znaczna część dnia bez mgieł, mieli też namioty dla wszystkich żołnierzy - tego brakowało im przy przesiedlaniu wieśniaków.

Mgły rzadko wchodziły do budynków, nawet tych o ścianach z materiału.

Ryzykowanie życia żołnierzy nie miało sensu, dotychczas bowiem udawało im się tego uniknąć. Vin wydawało się to hipokryzją, ale na razie miało sens.

Elend napotkał spojrzenie Sazed.

- Masz rację - powiedział. - Nie możemy wiecznie chronić przed tym żołnierzy.

Zmusiłem wieśniaków z Vetitan do uodpornienia się. Podejrzewam, że wkrótce będę musiał

zmusić armię do tego samego, z tych samych powodów.

Vin siedziała w milczeniu. Często tęskniła za czasami, kiedy nie miała nic wspólnego z takimi decyzjami, albo jeszcze lepiej: kiedy Elend nie był zmuszony do ich podejmowania.

- Maszerujemy na Fadrex - powtórzył Elend, odwracając się plecami do grupy.

Wskazał na mapę. - Jeśli mamy to przetrwać... a mówiąc „my”, mam na myśli wszystkich mieszkańców Nowego Imperium... musimy zebrać się i skoncentrować populację w pobliżu Środkowego Dominium. Tego lata będzie to jedyne miejsce, w którym mogą udać się zbiory, a będziemy potrzebować wszystkich rąk do pracy, by oczyścić pola z popiołu i przygotować je. To oznacza zapewnienie naszej ochrony mieszkańcom Fadrex. Oznacza to również -

dodał, wskazując na północno-wschodnią część mapy - że musimy stłumić rebelię w Urteau.

Nie tylko znajduje się w nim jaskinia... a w niej ziarno, którego rozpaczliwie potrzebujemy na drugi zasiew w Dominium Centralnym... ale też jego nowi władcy zbierają siły i tworzą armię. Urteau znajduje się stanowczo zbyt blisko Luthadel, czego dowiedzieliśmy się, gdy pomaszerował na nas mój ojciec. Nie pozwolę, by to się powtórzyło.

- Mamy zbyt mało wojska, by zaatakować na dwóch frontach, El - stwierdził Ham.

Elend pokiwał głową.

- Wiem. Właściwie wolałbym uniknąć marszu na Urteau. To była siedziba mojego ojca... mieszkańcy mieli dobry powód, by się przeciwko niemu zbuntować. Demoux, raport.

Demoux wstał.

- Pod nieobecność Waszej Wysokości dostaliśmy wyrytą w stali wiadomość od Spooka - powiedział. - Chłopak twierdzi, że frakcja, która kontroluje Urteau, składa się ze zbuntowanych skaa.

- To brzmi obiecująco - zauważył Breeze. - To nasi ludzie.

- Oni... dość surowo traktują szlachetnie urodzonych, lordzie Breeze - powiedział

Demoux. - A do tej grupy zaliczają każdego, kto miał szlachetnie urodzonych rodziców.

- Powiedziałbym, że to dosyć skrajne - stwierdził Ham.

- Wielu ludzi uważało, że poglądy Kelsiera są skrajne - przypomniał Breeze. - Jestem pewien, że uda nam się przemówić tym buntownikom do rozsądku.

- Dobrze - powiedział Elend - gdyż liczę na to, że tobie i Sazedowi uda się przywrócić Urteau pod nasze panowanie bez użycia siły. Tych magazynów jest tylko pięć i nie możemy sobie pozwolić na utratę jednego z nich. Kto wie, co w końcu znajdziemy w Fadrex... być może będziemy musieli wrócić do pozostałych jaskini, by znaleźć coś, co przeoczyliśmy.

Odwrócił się, spojrział na Breeze'a, a później na Sazedą.

- Nie możemy po prostu wykraść żywności z Urteau - powiedział. - Jeśli bunt w mieście się rozprzestrzeni, może doprowadzić do rozpadu całego imperium. Musimy przeciągnąć ich na swoją stronę.

Wszyscy obecni, w tym Vin, pokiwali głowami. Wiedzieli z doświadczenia, jak wielki wpływ na imperium mógł mieć niewielki bunt.

- Oblężenie Fadrex może zająć trochę czasu - stwierdził Elend. - Chciałbym, żebyście przed nadejściem lata zabezpieczyli magazyn na północy i stłumili rebelię. Wyślijcie nasiona do Środkowego Dominium.

- Nie martw się - powiedział Breeze. - Widziałem już rządy skaa... Nim tam dotrzemy, miasto i tak będzie pewnie na krawędzi upadku. Pewnie jeszcze ucieszą się z propozycji stania się częścią Nowego Imperium!

- Uważajcie - ostrzegł Elend. - Raporty Spooka nie były obszerne, ale wydaje się, że napięcia w mieście są ogromne. Poślemy z wami kilka setek żołnierzy dla bezpieczeństwa. -

Spojrział na mapę, mrużąc lekko oczy. - Pięć magazynów, pięć miast. Urteau jest częścią tego wszystkiego. Nie możemy pozwolić, by nam uciekło.

- Wasza Wysokość - odezwał się Sazed. - Czy moja obecność podczas tej wyprawy jest niezbędna?

Elend zmarszczył czoło, spoglądając na Terrisanina.

- Masz coś innego do zrobienia, Sazedzie?

- Są pewne badania, które bardzo chciałbym przeprowadzić - odparł Opiekun.

- Jak zawsze, szanuję twoje życzenia. Jeśli uważasz, że te badania są ważne...

- Mają naturę osobistą, Wasza Wysokość - przyznał Sazed.

- Czy mógłbyś je prowadzić, pomagając w Urteau? - spytał Elend. - Jesteś Terrisaninem, co dodaje ci wiarygodności, jakiej żaden z nas nie posiada. Poza tym, ludzie cię szanują i ci ufają, Sazedzie... nie bez powodu. Z kolei Breeze ma niejaką... reputację.

- Nad którą bardzo się napracowałem, wiesz - powiedział Breeze.

- Naprawdę chciałbym, żebyś poprowadził ekspedycję, Sazedzie - stwierdził Elend. -

Nie mogę sobie wyobrazić lepszego ambasadora od samego Świętego Świadka.

Wyraz twarzy Sazedą pozostawał nieprzenikniony.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Świetnie - stwierdził Elend i odwrócił się w stronę pozostałych. - Muszę was poprosić o jeszcze jedno.

- A cóż to takiego? - spytał Cett.

Elend przez chwilę stał w milczeniu, patrząc ponad ich głowami. Wydawał się zamyślony.

- Chciałbym, żebyście opowiedzieli mi o Ocalałym - powiedział w końcu.

- Był panem mgieł - odparł natychmiast Demoux.

- Nie chodzi mi o retorykę - stwierdził Elend. - Niech ktoś mi opowie o Kelsierze jako o człowieku. Nigdy go nie poznałem. Widziałem go tylko raz, tuż przed jego śmiercią, ale nigdy go nie poznałem.

- A jaki to ma sens? - spytał Cett. - Wszyscy słyszeliśmy opowieści. Jeśli wierzyć skaa, był niemal bogiem.

- Po prostu zróbcie to, o co was proszę.

W namiocie zapanowała cisza. W końcu odezwał się Ham.

- Był... wielki. Nie był człowiekiem, lecz kimś więcej. Wszystko, co robił, było wielkie... jego marzenia, sposób, w jaki mówił, sposób, w jaki myślał...

- I nie był fałszywy - dodał Breeze. - Widzę, kiedy człowiek udaje. Dlatego właśnie przyjąłem pierwsze zadanie u Kelsiera. Wśród wszystkich figurantów i pozerów on był

prawdziwy. Wszyscy chcieli być najlepsi. Kelsier naprawdę był.

- Był człowiekiem - powiedziała cicho Vin. - Tylko człowiekiem. Jednakże wszyscy zawsze wiedzieli, że mu się uda. Sprawił, że staliśmy się tym, czym on chciał, żebyśmy się stali.

- Dzięki temu mógł nas wykorzystać - stwierdził Breeze.

- Ale kiedy z nami skończył, byliśmy lepsi - dodał Ham.

Elend pokiwał głową.

- Żałuję, że go nie poznałem. Na początku kariery zawsze się z nim porównywałem.

Kiedy usłyszałem o Kelsierze po raz pierwszy, był już legendą. Próba stania się takim jak on nie miała sensu, ale ja i tak się przejmowałem. Tak czy inaczej, ci z was, którzy go znali, może będą umieli odpowiedzieć na kolejne moje pytanie. Jak myślicie, co by powiedział, gdyby nas teraz zobaczył?

- Byłby dumny - odparł natychmiast Ham. - To znaczy, pokonaliśmy Ostatniego Imperatora i stworzyliśmy rząd skaa.

- A gdyby zobaczył nas na tej konferencji?

Znów zapadła cisza. Kiedy ktoś wypowiedział w końcu na głos to, co wszyscy myśleli, była to osoba, której Vin się nie spodziewała.

- Powiedziałby, że mamy się więcej śmiać - wyszeptał Sazed.

Breeze zachichotał.

- Wiecie, on był szalony. Im gorzej sprawy się miały, tym więcej żartował. Pamiętam, jak dowcipny był w dniu po naszej najgorszej porażce, kiedy z powodu tego głupca Yedena stracił większość naszej armii skaa. Kell wszedł do środka energicznym krokiem i rzucił

jeden z tych swoich absurdalnych żartów.

- To wydaje się niestosowne - zauważyła Allrienne.

Ham pokręcił głową.

- Nie. On był po prostu zdeterminowany. Zawsze powtarzał, że śmiech jest czymś, czego Ostatni Imperator nie może mu odebrać. Zaplanował i przeprowadził obalenie tysiącletniego imperium... i zrobił to jako swego rodzaju pokutę za pozwolenie, by jego żona umarła, myśląc, że on ją znienawidził. Ale zrobił to z uśmiechem na ustach. Jakby każdy dowcip był jego sposobem na spoliczkowanie przeznaczenia.

- Potrzebujemy tego, co on miał - stwierdził Elend.

Wszyscy wpatrzyli się w niego.

- Nie możemy dłużej się tak zachowywać - mówił dalej Venture. - Sprzeczamy się między sobą, snujemy po kątach, patrzymy na spadający popiół i jesteśmy przekonani, że już po nas.

Breeze się zaśmiał.

- Nie wiem, czy zauważyłeś to trzęsienie ziemi parę chwil temu, mój drogi, ale świat najwyraźniej się kończy. To niewątpliwie przygnębiająca okoliczność.

- Możemy to przeżyć - odparł Elend. - Ale tylko jeśli nasi ludzie się nie poddadzą. Oni potrzebują przywódców, którzy się śmieją, przywódców, którzy czują, że w tej walce można zwyciężyć. Dlatego o to właśnie was proszę. Nie obchodzi mnie, czy jesteście optymistami, czy pesymistami, nie obchodzi mnie, czy w głębi duszy myślicie, że zginiemy w ciągu miesiąca. Chcę widzieć wasze uśmiechy. Niech to będzie uśmiech wyzywający, jeśli musicie.

A jeśli nadejdzie koniec, chcę, żebyście przyjęli go z uśmiechem. Jak nauczył nas Ocalały.

Członkowie ekipy powoli pokiwali głowami, nawet Sazed, choć na jego twarzy malował się niepokój.

Cett potrząsnął głową.

- Powariowaliście wszyscy. Nie mam pojęcia, jak tu z wami wylądowałem.

Breeze się roześmiał.

- To kłamstwo, Cetcie. Doskonale wiesz, dlaczego się do nas przyłączyłeś.

Zagroziliśmy, że cię zabijemy, jeśli tego nie zrobisz!

Elend spoglądał na Vin. Napotkała jego spojrzenie i pokiwała głową. To była dobra przemowa. Nie była pewna, czy jego słowa cokolwiek zmienią - ekipa nie mogła wrócić do początków, gdy wieczorami śmiali się swobodnie wokół stołu Clubsa. Może jednak, jeśli będą pamiętać o uśmiechu Kelsiera, nie zapomną tak łatwo, dlaczego wciąż warto walczyć.

- Dobrze - powiedział w końcu Elend. - Zaczniemy przygotowania. Breeze, Sazed, Allriane, musicie porozmawiać ze skrybami o zapasach potrzebnych na wyprawę. Ham, poślij wieści do Luthadel i powiedz Penrodowi, że nasi uczeni mają się zająć uprawą roślin, które potrzebują jak najmniej światła. Demoux, przekaz wieści żołnierzom. Jutro wyruszamy.

Hemalurgia - tak się nazywa, ze względu na związek z krwią. Jak sądzę, nie jest przypadkiem, że przekazywaniu mocy przez Hemalurgię zawsze towarzyszy śmierć. Marsh kiedyś opisał ją jako „brudny” proces. Moim zdaniem nie jest to właściwy przymiotnik. Nie brzmi wystarczająco niepokojąco.

13

Czegoś nie zauważam, pomyślał Marsh.

Siedział w obozie kolosów. Po prostu siedział. Nie poruszył się od wielu godzin.

Popiół pokrywał go niczym rzeźbę. Uwaga Zniszczenia była ostatnio skupiona gdzie indziej i Marsh miał coraz więcej czasu dla siebie.

Nadal nie walczył. Walka przyciągała uwagę Zniszczenia.

Czy nie tego pragnę? - pomyślał. Bycia kontrolowanym? Kiedy Zniszczenie zmuszało go do patrzenia na swój sposób, umierający świat wydawał się cudowny. Ta rozkosz była o wiele lepsza od grozy, którą odczuwał, siedząc na pniaku i powoli ginąc w popiele.

Nie. Nie tego pragnę! Owszem, to była rozkosz, ale fałszywa. I jak wcześniej walczył

ze Zniszczeniem, tak teraz walczył głównie z własnym poczuciem nieuchronności.

Czego nie zauważam? - pomyślał. Armia kolossów, licząca trzysta tysięcy, nie poruszyła się od tygodni. Jej członkowie powoli, lecz bezustannie wybijali się nawzajem.

Pozwolenie armii na stagnację wydawało się marnowaniem zasobów, nawet jeśli stwory najwyraźniej mogły się żywić martwymi roślinami wygrzebywanymi spod popiołu.

Nie mogą przecież żyć tak długo, prawda? Nie wiedział zbyt wiele o kolossach, mimo że spędził z nimi prawie rok. Najwyraźniej były zdolne jeść niemal wszystko, jakby sam akt napękania żołądków był ważniejszy od wartości odżywczej.

Na co czekało Zniszczenie? Dlaczego nie wzięło jego armii i nie zaatakowało? Marsh znał geografię Ostatniego Imperium na tyle dobrze, by wiedzieć, że stacjonuje na północy, w pobliżu Terris. Dlaczego nie zaatakują Luthadel?

W obozie nie było innych Inkwizytorów. Zniszczenie wezwało ich do innych zadań, pozostawiając go samego. Spośród wszystkich Inkwizytorów Marsh otrzymał najwięcej nowych kolców - miał ich dziesięć w różnych miejscach ciała. Wydawało się, że czynią go najpotężniejszym z Inkwizytorów. Dlaczego pozostawiono go z tyłu?

Jakie to ma znaczenie? - pomyślał. Koniec nadszedł. Zniszczenia nie da się pokonać.

Świat się skończy.

Czuł się winny z powodu tej myśli. Gdyby mógł spuścić wzrok w zawstydzeniu, zrobiłby to. Był taki czas, kiedy przewodził buntowi skaa. Tysiące oczekiwały na jego polecenia. A później... Kelsier został pojmany. Podobnie jak Mare, kobieta, którą kochali i Kelsier, i Marsh.

Kiedy Kelsier i Mare zostali zesłani do Czułości Hathsin, Marsh porzucił

buntowników. Powody miał proste. Skoro Ostatni Imperator umiał pochwycić Kelsiera -

najbardziej błyskotliwego złodzieja tamtych czasów - to w końcu pochwyci też Marsha. To nie strach sprawił, że Marsh odszedł na emeryturę, lecz prosty realizm. On zawsze miał

praktyczne podejście do życia. Walka okazała się bezużyteczna, więc po co to robić?

A później Kelsier wrócił i dokonał tego, czego zbuntowani skaa nie umieli dokonać przez tysiąc lat - obalili imperium, doprowadzając do śmierci Ostatniego Imperatora.

To powinienem być ja, pomyślał Marsh. Służyłem rebelii przez całe życie, a później poddałem się tuż przed ich zwycięstwem.

To była tragedia, a pogarszała ją jeszcze świadomość, że Marsh znów to robił. Znów się poddawał.

Bądź przeklęty, Kelsierze! - pomyślał z frustracją. Nie możesz mnie zostawić w spokoju nawet po śmierci?

Pozostał jednak jeden dręczący i niezaprzeczalny fakt. Mare miała rację. Wybrała Kelsiera zamiast Marsha.

A później, gdy obaj musieli poradzić sobie z jej śmiercią, jeden się poddał.

A drugi spełnił jej marzenia.

Marsh wiedział, dlaczego Kelsier zdecydował się obalić Ostatnie Imperium. Nie chodziło o pieniądze, sławę czy nawet - jak podejrzewała większość - zemstę. Kelsier znał

serce Mare. Wiedział, że marzyła o dniach, gdy rozkwitały kwiaty, a niebo nie było czerwone.

Zawsze nosiła ze sobą ten malutki rysunek kwiatka, kopię kopii - przedstawienie czegoś, co przestało istnieć przed wielu laty.

Nie spełniłeś jej marzeń, Kelsierze, pomyślał gorzko Marsh. Zawiodłeś. Zabiłeś Ostatniego Imperatora, ale to nic nie naprawiło. Tylko pogorszyło sytuację!

Popiół wciąż spadał, unosząc się wokół Marsha, niesiony przez leniwy wietrzyk.

Kolossy chrząkały, a w pewnej odległości jeden wrzeszczał, gdy jego towarzysz go zabijał.

Kelsier nie żył. Zginął dla jej marzenia. Mare miała rację, że go wybrała, lecz ona również nie żyła. Marsh nie umarł. Jeszcze nie. Wciąż mogę walczyć, powiedział sobie. Ale jak? Nawet poruszenie palcem przyciągnie uwagę Zniszczenia.

Przez ostatnie kilka tygodni w ogóle nie walczył. Może dlatego Zniszczenie uznało, że może pozostawić Marsha na tak długo samego. Istota - albo siła, czy też czymkolwiek była -

nie była wszechwładna. Marsh podejrzewał jednak, że mogła swobodnie się poruszać, obserwując świat i widząc, co się dzieje w różnych jego zakątkach. Żadne mury nie chroniły przed jej spojrzeniem - wydawało się, że jest zdolna widzieć wszystko.

Poza ludzkim umysłem.

Może... może jeśli wystarczająco długo nie będę walczył, zaskoczę je, kiedy w końcu zdecyduję się zadać cios.

Wydawało się to dobrym planem. I Marsh wiedział dokładnie, co zrobi, kiedy nadejdzie czas. Usunie najbardziej użyteczne narzędzie Zniszczenia. Wyciągnie kolec z pleców i zabije siebie. Nie z frustracji i nie z rozpacz. Wiedział, że ma ważną rolę do odegrania w planach Zniszczenia. Jeśli usunie się we właściwym momencie, inni dostaną szansę.

Tylko tyle mógł im dać. Wydawało się to jednak właściwe i ta nowa pewność siebie sprawiła, że pożałował, iż nie może się wyprostować i z dumą stawić czoła światu. Kelsier zabił się, by zapewnić wolność skaa. Marsh zrobi to samo - i w ten sposób, jak miał nadzieję, uchroni świat przed zagładą.

CZEŚĆ DRUGA:

TKANINA I SZKŁO

Świadomość Zniszczenia została uwięziona w Studni Wstąpienia, w dużym stopniu bezsilna. Tamtej nocy, gdy odkryliśmy Studnię po raz pierwszy, znaleźliśmy coś, czego nie rozumieliśmy. Czarny dym wypełniający jedno z pomieszczeń.

Choć później to omawialiśmy nie umieliśmy zdecydować, co to było. Skąd mogliśmy wiedzieć?

Ciało boga - a raczej moc boga, gdyż tak naprawdę są jednym i tym samym. Moc i energia są siedliskiem Zniszczenia i Zachowania, podobnie jak ciało i krew są siedliskiem dla żywych istot.

14

Spook rozjarzył cynę.

Pozwolił, by płonęła w jego wnętrzu - płonęła jasno, płonęła potężnie. Nigdy już jej nie gasił. Pozostawiał ją palącą się niczym ogień. Cyna była jednym z najwolniej spalających się metali i zdobycie jej w ilościach niezbędnych do Allomancji nie stanowiło trudności.

Szedł powoli cichą ulicą. Mimo sławnych obecnie słów Kelsiera, że skaa nie muszą się obawiać mgieł, niewielu ludzi wychodziło w nocy. W nocy nadchodziły mgły. Głębokie i tajemnicze, mroczne i wszechobecne, były jednym ze stałych elementów Ostatniego Imperium. Pojawiały się każdej nocy. Gęściejsze od zwyczajnych oparów, wirowały w charakterystyczny sposób - zupełnie jakby różne pasma, strumienie i fronty mgły były żywymi istotami. Niemal swawolnymi, choć jednocześnie tajemniczymi.

Dla Spooka nie były już jednak przeszkodą. Zawsze słyszał, że nie powinien zbyt często rozjarzać swojej cyny, ostrzegano go, żeby się od niej nie uzależnił. Zmieni jego ciało w niebezpieczny sposób, mówili ludzie. I w rzeczy samej mieli rację. Rozjarzał cynę przez rok bez przerwy - nigdy jej nie gasił, przez cały czas utrzymywał sztucznie wyostrzone zmysły - i to go odmieniło. Martwił się, że zmiany rzeczywiście okażą się niebezpieczne.

Ale potrzebował ich, podobnie jak mieszkańcy Urteau potrzebowali jego.

Gwiazdy świeciły na niebie nad nim niczym milion małych słońc. Świeciły przez mgły, które w ciągu ostatniego roku stały się przezroczyste i słabe. Z początku Spook sądził, że to świat się zmieniał. Później jednak uświadomił sobie, że to tylko jego postrzeżenie.

Jakimś sposobem, rozjarzając cynę przez tak długi czas, wyostrzył zmysły w sposób niedostępny dla innych Allomantów.

Niemal przestał. Zaczął rozjarzać cynę pod wpływem śmierci Clubsa. Wciąż źle się czuł na myśl o tym, jak uciekł z Luthadel, zostawiając wujka na śmierć. Podczas tych pierwszych tygodni Spook rozpalał swój metal niemal jak pokutę - chciał czuć wszystko wokół siebie, wszystko do siebie przyjmować, nawet jeśli było to bolesne. Może dlatego, że było bolesne.

Później zaczął się zmieniać, i to go zaniepokoiło. Jednakże ekipa cały czas powtarzała, jak wiele daje z siebie Vin. Prawie nie spała, wykorzystując cynę z ołowiem dla zachowania przytomności i uwagi. Spook nie wiedział, jak działał ten metal - nie był Zrodzonym z Mgły i spalał tylko swoją cynę - ale doszedł do wniosku, że jeśli spalanie swojego jedyne metalu może mu dać przewagę, to powinien ją wykorzystać lepiej. Ponieważ będą potrzebować wszystkich możliwych przewag.

Blask gwiazd był dla niego niczym dzieńne światło. W ciągu dnia musiał zasłaniać oczy tkaniną, by je ochronić, a nawet wtedy wychodzenie na zewnątrz było czasem oślepiające. Jego skóra stała się tak wrażliwa, że każdy kamyk na ziemi - każde pęknięcie, każdy odłamek bruku - odczuwał niczym nóż wbijający się przez podeszwy butów. Chłodne wiosenne powietrze wydawało się lodowate, więc nosił gruby płaszcz.

Doszedł jednak do wniosku, że te niewygody były niską ceną za możliwość stania się... czymkolwiek się stał. Gdy szedł ulicą, słyszał ludzi kręcących się i przewracających na posłaniach, nawet przez mury. Wyczuwał kroki z odległości wielu stóp. W ciemnościach nocy widział jak nikt.

Może znajdzie sposób, by okazać się użytecznym dla pozostałych. Wcześniej zawsze był najmniej przydatnym członkiem ekipy. Niezauważanym chłopakiem, który biegał za sprawunkami albo pełnił straż, kiedy inni wymyślali plany. Nie miał do nich pretensji - nie mylili się, dając mu tak proste obowiązki. Ponieważ używał języka ulicy, trudno go było zrozumieć, a podczas gdy inni członkowie ekipy zostali starannie dobrani przez Kelsiera, Spook dołączył do nich automatycznie, jako siostrzeniec Clubsa.

Spook westchnął i wepchnął ręce do kieszeni spodni, idąc zbyt jasną ulicą. Wyczuwał każdą nitkę materiału.

Działy się niebezpieczne rzeczy, wiedział o tym - mgły pozostawały w ciągu dnia, a ziemia trzęsła się, jakby była śpiącym człowiekiem, co jakiś czas nawiedzany przez koszmary. Spook martwił się, że nie okaże się wystarczająco pomocny, gdy nadejdą najważniejsze dni. Niewiele ponad rok temu jego wuj zginął, podczas gdy Spook uciekł z miasta. Uciekł ze strachu, ale także mając świadomość swojej bezsilności. I tak nie mógłby im pomóc podczas oblężenia.

Nie chciał znów znaleźć się w takiej sytuacji. Chciał jakoś pomóc. Nie ucieknie do lasu, chowając się, gdy świat wokół będzie się walić. Elend i Vin posłali go do Urteau, żeby zebrał jak najwięcej informacji o Obywatelu i rządzie, i Spook postanowił dać z siebie wszystko. Jeśli oznaczało to zmuszanie ciała do niebezpiecznych wysiłków, to trudno.

Zbliżył się do dużego skrzyżowania. Spojrzał w obie strony wzdłuż przecinających się ulic - dla jego oczu było jasno jak za dnia. Może nie jestem Zrodzonym z Mgły i może nie jestem cesarzem, pomyślał. Ale kimś jestem. Kimś nowym. Kimś, z kogo Kelsier byłby dumny.

Może tym razem uda mi się pomóc.

Nie zauważył żadnego ruchu z obu stron, więc wyslizgnął się na ulicę i ruszył na południe. Czasem

czuł się dziwnie, skradając się cicho po ulicy, która wydawała mu się jasno oświetlona. Wiedział jednak, że dla innych była ciemna, świeciły jedynie gwiazdy, a mgły jak zawsze wszystko zasłaniały. Cyna pomagała Allomantom przebijać wzrokiem mgły, a wyostrzony wzrok Spooka był w tym jeszcze lepszy. Przechodził wśród mgieł, niemal ich nie zauważając.

Usłyszał patrol na długo przed tym, zanim go zobaczył. Jak można było nie usłyszeć brzęku pancerzy, nie wyczuć kroków na bruku? Zamarł, przywierając plecami do zimnej ściany przylegającej do ulicy, i wyteżył wzrok.

Nieśli pochodnię - dla Spooka była niczym niemal oślepiający promień. Ta pochodnia świadczyła o tym, że są głupcami. Jej światło im nie pomagało, wręcz przeciwnie. Blask odbijał się od mgieł, otaczając strażników niewielką kulą światła, która sprawiała, że ich wzrok odzwyczajał się od ciemności.

Spook stał nieruchomo na swoim miejscu. Patrol z brzękiem maszerował ulicą. Minęli go w odległości kilku stóp, ale go nie zauważyli. Było coś... ożywczego w możliwości obserwowania, będąc jednocześnie całkowicie odstłoniętym i zupełnie niewidzialnym.

Zaczynał się zastanawiać, dlaczego nowy rząd Urteau w ogóle wysyła patrole. Oczywiście, urzędnicy skaa nie mieli doświadczenia z mgłą.

Gdy patrol straży zniknął za rogiem - wraz z oślepiającą pochodnią - Spook wrócił do swojego zadania. Jeśli nic się nie zmieniło, Obywatel miał się tej nocy spotkać z doradcami.

Spook planował podsłuchać ich rozmowę. Ostrożnie ruszył ulicą.

Żadne miasto nie mogło dorównywać Luthadel rozmiarami, ale Urteau bardzo się starało. Jako dziedziczna siedziba rodu Venture niegdyś było o wiele ważniejsze - i lepiej utrzymane - niż obecnie. Upadek rozpoczął się jeszcze przed śmiercią Ostatniego Imperatora.

Jednym z bardziej wyraźnych znaków była droga, którą teraz szedł Spook. Kiedyś miasto przecinała sieć kanałów, które pełniły funkcję wodnych ulic. Te kanały wyschły przed laty, przez co miasto obecnie przecinały głębokie, piaszczyste koryta, które po deszczu wypełniało błoto. Zamiast napełnić je z powrotem, mieszkańcy zaczęli wykorzystywać ich dno jako ulice.

Ulica, którą obecnie szedł Spook, niegdyś była szerokim kanałem, zdolnym pomieścić nawet duże barki. Po obu stronach tego traktu wznosiły się wysokie na dziesięć stóp ściany, a nad nimi górowały domy wybudowane na krawędzi kanału. Nikt nie potrafił udzielić Spookowi pewnej ani spójnej odpowiedzi, dlaczego kanały zostały opróżnione - niektórzy winili trzęsienia ziemi, inni susze. Tak czy inaczej, w ciągu setki lat, która minęła od ich opróżnienia, nikt nie wymyślił sensownego sposobu na ich ponowne napełnienie.

I dlatego Spook szedł „ulicą”, czując się tak, jakby szedł głębokim rowem. Liczne drabiny - a czasem również pochylnie lub schody - prowadziły w stronę bocznych uliczek i domów na górze, lecz tamtędy chodziło niewielu ludzi. Ulicorowy, jak nazywali je mieszkańcy miasta, stały się czymś zwyczajnym.

Spook poczuł zapach dymu. Podniósł wzrok i zauważył przerwę w linii budynków.

Niedawno dom na tej ulicy został całkowicie spalony. Dom szlachetnie urodzonego. Zmysł

węchu Spooka, podobnie jak inne zmysły, był niezwykle wyczulony. Dlatego możliwe, że wyczuwał dym sprzed miesiąca, gdy po śmierci Straffa Venture zaczęło się plądrowanie.

Tym razem jednak zapach wydawał się zbyt mocny. Zbyt świeży.

Chłopak przyspieszył kroku. Urteau umierało powoli, rozkładało się, a winą za ten stan rzeczy można było obarczyć jego władcę, Obywatela. Przed laty Elend wygłosił mowę do mieszkańców Luthadel. Było to w noc śmierci Ostatniego Imperatora, noc buntu Kelsiera.

Spook doskonale pamiętał słowa Elenda, mówił on bowiem o nienawiści, rebelii i niebezpieczeństwach z nimi związanych. Ostrzegał, że jeśli mieszkańcy stworzą nowy rząd na nienawiści i rozlewie krwi, pochłoną go strach, zazdrość i chaos.

Spook był wtedy na widowni i słuchał. Teraz widział, że Elend miał rację. Skaa z Urteau obalili szlachetnie urodzonych władców i Spook był w pewien sposób z nich dumny.

Coraz bardziej lubił to miasto, częściowo dlatego, że bardzo się starali kierować naukami Ocalałego. Jednak rebelia nie zakończyła się obaleniem szlachetnie urodzonych. Jak przewidział Elend, miasto stało się miejscem pełnym strachu i śmierci.

Pytanie jednak nie poruszało kwestii, dlaczego do tego doszło, ale jak to powstrzymać.

Na razie to jednak nie było zadaniem Spooka. Miał tylko zbierać informacje. Jedyne znajomość miasta - które poznał przez ostatnie tygodnie wędrówek - pozwoliła mu się domyślić, że zbliża się do celu, gdyż orientacja w ulicorowach była bardzo trudna. Z początku próbował trzymać się od nich z dala, wybierając mniejsze uliczki na górze. Niestety, rowy przecinały całe miasto i marnował tak wiele czasu schodząc na dół i wspinając się z powrotem na górę, że w końcu zrozumiał, iż ulicorowy są jedynym sensownym sposobem poruszania się po mieście.

Chyba że człowiek był Zrodzonym z Mgły. Niestety, Spook nie mógł skakać z budynku na budynek, korzystając z lin Allomancji. Utknął w rowach. Starał się to wykorzystać jak najlepiej.

Wybrał drabinę, wskoczył na nią i zaczął się wspinąć. Choć na rękach miał skórzane rękawiczki, wyczuwał sęki drewna. Na górze znajdował się wąski chodnik biegnący wzdłuż ulicorowu. Przed sobą widział uliczkę, prowadzącą do ciasno skupionych domów. Jego celem był budynek na końcu alejki, lecz nie ruszył w jego stronę. Miast tego czekał w ciszy, szukając znaków, których się spodziewał. I rzeczywiście, zauważył poruszenie w oknie kilka budynków dalej, usłyszał odgłos kroków w kolejnym domu. Ulica przed nim była obserwowana.

Spook się odwrócił. Choć strażnicy bardzo uważnie obserwowali alejkę, nieświadomie pozostawiali inną drogę - ich własne budynki. Chłopak przekradł się w prawo, poruszając się na stopach wyczuwających każdy kamyk, nasłuchując uszami słyszącymi przyspieszony oddech człowieka, który zauważył coś niezwykłego. Okrążył budynek, oddalając się od czujnych spojrzeń, i wszedł w ślepą

uliczkę po drugiej stronie. Tam oparł dłoń o ścianę.

Wyczuwał wibracje wewnątrz pomieszczenia - było zajęte, więc ruszył dalej. Przy drugim pokoju od razu został ostrzeżony, gdyż usłyszał wewnątrz szepty. W trzecim jednak nie wyczuł nic. Żadnych wibracji ani poruszeń. Ani nawet stłumionego bicia serca - czegoś, co czasami słyszał, jeśli powietrze było wystarczająco nieruchome. Odetchnąwszy głęboko, Spook cicho otworzył okno i wślizgnął się do środka.

To była sypialnia, pusta, jak przewidział. Przez to pomieszczenie nigdy jeszcze nie wchodził. Jego serce biło mocno, gdy zamknął okiennice i zaczął się skradać. Mimo niemal zupełnej ciemności nie miał problemu z widzeniem. Pokój wydawał mu się co najwyżej przyciemniony.

Na zewnątrz trafił na bardziej znajomy korytarz. Bez trudu prześlizgnął się obok dwóch komnat straży, z których strażnicy obserwowali ulicę. Spook czuł przyjemny dreszcz.

Znajdował się w jednej ze strażnic Obywatela, kilka kroków od dużej grupy uzbrojonych ludzi. Powinni byli lepiej strzec własnego budynku.

Wspiął się ostrożnie po schodach i dotarł do niewielkiego, rzadko wykorzystywanego pomieszczenia na drugim piętrze. Sprawdził wibracje i wślizgnął się do środka. Surowy pokój wypełniały sterty zapasowych pościeli i zakurzona góra mundurów. Spook z uśmiechem przeszedł przez pomieszczenie, ostrożnie i cicho stawiając stopy. Jego wrażliwe palce wyczuwały luźne, skrzypiące lub wypaczone deski podłogi. Usiadł na parapecie, pewien, że nikt na zewnątrz nie widzi na tyle dobrze, by go zobaczyć.

Dom Obywatela znajdował się w odległości kilku jardów. Quellion potępiał ostentację i na swoją siedzibę wybrał budynek skromnych rozmiarów. Niegdyś budowla należała pewnie do pomniejszego szlachcica i miała tylko niewielki dziedziniec, który Spook bez trudu obserwował ze swojego miejsca. Sam budynek świecił - światło wypływało z każdego pęknięcia i okna. Zupełnie jakby budowlę wypełniała potężna moc, która zaraz miała wybuchnąć.

Dzięki wyostrzonemu przez cynę wzrokowi Spook postrzegał w taki sposób każdy budynek, w którym paliły się światła.

Spook odchylił się do tyłu, położył nogi na parapecie, a plecy oparł o ramę. W oknie nie było szkła ani okiennic, choć otwory po gwoździach w drewnie świadczyły, że kiedyś coś się tam znajdowało. Powód usunięcia okiennic nie miał znaczenia dla Spooka - ich brak oznaczał, że w nocy nikt raczej nie wejdzie do pokoju. Mgły już wypełniły pomieszczenie, choć dla Spooka były tak przezroczyste, że prawie ich nie zauważał.

Przez jakiś czas nic się nie działo. W budynkach i na ulicy panowała cisza. W końcu jednak pojawiła się ona.

Spook z zainteresowaniem obserwował młodą kobietę, która wyszła z domu do ogrodu. Miała na sobie jasnobrązową sukienkę skaa, którą nosiła z uderzającą elegancją. Jej włosy były ciemniejsze niż strój, lecz niewiele. Spook nie spotkał wielu ludzi, którzy mieli tak głęboko kasztanowe włosy - a

przynajmniej niewielu ludziom udawało się ochronić je przed zabrudzeniem popiołem i sadzą.

Wszyscy w mieście słyszeli o Beldre, siostrze Obywatela, choć niewielu ją widziało.

Powiadano, że jest piękna - i w tym wypadku plotki okazały się prawdą. Nikt jednak nie wspomniał o jej smutku. Rozjarzywszy cynę, Spook czuł się tak, jakby stał obok niej. Widział

jej głębokie, pełne smutku oczy, odbijające światło płynące z budynku.

Na dziedzińcu znajdowała się ławka, ustawiona przed niewielkim krzewem. Była to jedyna roślina w ogrodzie - resztę wykarczowano i zaorano. Jak się dowiedział Spook, Obywatel ogłosił, że ozdobne ogrody pochodzą od szlachetnie urodzonych. Utrzymywał, że takie miejsca istniały jedynie dzięki wysiłkom niewolników skaa - kolejny sposób, w jaki szlachetnie urodzeni utrzymywali wysoki poziom życia dzięki ciężkiej pracy sług.

Kiedy mieszkańcy Urteau pobielili freski i wybili witrażowe okna, zniszczyli również ogrody.

Beldre siedziała na ławce, z dłońmi złożonymi nieruchomo na kolanach, i wpatrywała się w smutny krzak. Spook próbował przekonać samego siebie, że to nie ona była powodem, dla którego zawsze przekradał się i słuchał wieczornych narad Obywatela. Przeważnie mu się to udawało. Była to doskonała okazja do szpiegowania. Możliwość ujrzenia Beldre stanowiła jedynie dodatkową zaletę. Nie dlatego, że go szczególnie obchodziła. W końcu prawie jej nie znał.

Tak właśnie myślał w chwili, gdy siedział na parapecie i patrzył na nią z góry, żałując, że nie może z nią porozmawiać.

Nie miał na to czasu. Wygnanie Beldre do ogrodu oznaczało, że spotkanie jej brata miało się rozpocząć. Zawsze trzymał ją blisko, ale najwyraźniej nie chciał, by słyszała tajemnice państwowe. Na jego nieszczęście, okno jego komnaty otwierało się w stronę stanowiska Spooka. Żaden normalny człowiek - a nawet zwyczajny Cynooki czy Zrodzony z Mgły - nie mógłby usłyszeć tego, co mówiono w środku. Lecz Spooka w żadnym wypadku nie dało się nazwać normalnym.

Już nie będę bezużyteczny, pomyślał zdecydowanie, nasłuchując słów wypowiedzianych w środku. Przechodziły przez ścianę, pokonując krótką odległość między budynkami, i wpadały do jego uszu.

- Dobrze, Olidzie - odezwał się ktoś. - Jakie wieści? - Ten głos był Spookowi dobrze znany. Quellion, Obywatel Urteau.

- Elend Venture podbił kolejne miasto - odpowiedział Olid, minister spraw zagranicznych.

- Gdzie? - spytał ostro Quellion. - Jakie miasto?

- Nieważne - odparł Olid. - Na południu. Ledwie pięć tysięcy ludzi.

- To nie ma sensu - powiedział ktoś trzeci. - Natychmiast porzucił miasto, zabierając ze sobą mieszkańców.

- Ale jakimś sposobem zdobył kolejną armię kolosów - dodał Olid.

Dobrze, pomyślał Spook. Czwarty magazyn w jaskini należał do nich.

Luthadel jeszcze nie zginie z głodu. Pozostały już tylko dwa do zabezpieczenia, jeden w samym Urteau, i ostatni, gdziekolwiek był.

- Tyran nie potrzebuje powodów dla swoich działań - powiedział Quellion.

Był młodym człowiekiem, ale nie głupim. Czasami mówił jak inni ludzie, których znał

Spook. Mądrzy ludzie. Różnica polegała na skrajności.

A może na czasie?

- Tyran podbija dla samej przyjemności panowania - mówił dalej Quellion. - Venture nie jest zadowolony z terytoriów, które zdobył, i nigdy nie będzie. Aż przyjdzie po nas.

Zapadła cisza.

- Podobno przysłała ambasadora do Urteau - powiedział trzeci rozmówca. - Jednego z ekipy Ocalałego.

Spook nadstawił uszu.

Quellion prychnął.

- Jednego z kłamców? Tutaj?

- Aby zaproponować nam traktat pokojowy, wedle pogłosek - powiedział Olid.

- I co? - spytał Quellion. - Dlaczego o tym wspominasz? Czy uważasz, że powinniśmy zawrzeć sojusz z tyranem?

- Nie pokonamy go, Quellionie - stwierdził Olid.

- Ocalały nie mógł pokonać Ostatniego Imperatora - sprzeciwił się Quellion. - Ale i tak to zrobił. Umarł, lecz mimo to zwyciężył, dając skaa odwagę, by się zbuntowali i pokonali szlachetnie urodzonych.

- A później ten sukinsyn Venture przejął władzę - powiedział trzeci mężczyzna.

Znów zapadła cisza.

- Nie możemy się poddać Venture - powiedział w końcu Quellion. - Nie oddam tego miasta szlachetnie urodzonemu, nie po tym, co zrobił dla nas Ocalały. Z całego Ostatniego Imperium, tylko Urteau osiągnęło cel Ocalałego i rządzi nim skaa. Tylko my spaliliśmy domy szlachetnie urodzonych.

Tylko my oczyściliśmy nasze miasto z nich i ich zasad. Tylko my byliśmy posłuszni. Ocalały będzie nas strzegł.

Spook zadrzał. Dziwnie się czuł, słysząc, jak człowiek, którego nie znał, w taki sposób mówi o Kelsierze. Spook towarzyszył Kelsierowi, uczył się od Kelsiera. Ci ludzie nie mieli prawa mówić w taki sposób, jakby znali człowieka, który stał się ich Ocalałym.

Rozmowa skierowała się na bardziej przyziemne tory. Omówili nowe prawa, mające zabraniać noszenia pewnych strojów, niegdyś lubianych przez szlachetnie urodzonych, a później postanowili przekazać dodatkowe fundusze dla komitetu badań genealogicznych.

Musieli usunąć z miasta wszystkich, którzy ukrywali arystokratyczne pochodzenie. Spook zrobił notatki, żeby przekazać je innym. Miał jednak problem z utrzymaniem wzroku z dala od młodej kobiety w ogrodzie.

Cóż wywołuje w niej taki smutek? - zastanawiał się. Pragnął ją o to zapytać - być zuchwałym, niczym Ocalały, i zeskoczyć na dół, by spytać tę poważną, samotną dziewczynę, dlaczego z taką melancholią wpatruje się w roślinę. Właściwie zdążył nawet wstać, zanim się powstrzymał.

Mógł być niezwykły, mógł być potężny, ale - znów musiał sobie o tym przypomnieć - nie był Zrodzonym z Mgły. Jego droga była drogą ciszy i przebiegłości.

Dlatego znów usiadł. W tej chwili musiało mu wystarczyć obserwowanie jej i świadomość, że jakimś sposobem - mimo dzielącej ich odległości, mimo swojej niewiedzy -

rozumie to uczucie w jej oczach.

Popiół.

Nie sądzę, by ludzie rozumieli, jak wielkie mieli szczęście. Przez tysiąc lat przed Upadkiem spychali popiół do rzek, gromadzili w stertach wokół miast i po prostu go ignorowali. Nie wiedzieli, że bez mikrobów i roślin stworzonych przez Rasheka, by rozkładać cząstki popiołu, świat wkrótce zostałby zasypany.

Choć oczywiście w końcu do tego doszło.

15

Mgły płonęły. Jaskrawe, ogniste, podświetlane przez czerwone słońce, wyglądały jak płomień, który je otaczał.

Mgła w ciągu dnia była nienaturalna. Jednakże nawet nocne mgły chyba nie należały już do Vin. Niegdyś ją osłaniały i chroniły. Teraz czuła, że są coraz bardziej obce. Kiedy korzystała z Allomancji, wydawało się, że nieco się od niej odsuwają - niczym dzikie zwierzę cofające się przed jasnym światłem.

Stała samotnie przed obozem, w którym panowała cisza, mimo że słońce weszło przed wieloma godzinami. Na razie Elend wciąż chronił armię przed mgłą, każąc pozostać żołnierzom w namiotach. Ham upierał się, że wystawienie żołnierzy na jej działanie nie było konieczne, lecz instynkt Vin podpowiadał, że Elend wypełni swój plan i rozkaże wojsku wejść w mgłę. Musieli się uodpornić.

Dlaczego? - pomyślała Vin, wpatrując się w rozświetlone słonecznym blaskiem mgły.

Dlaczego się zmieniłyście? Co jest inne?

Mgły tańczyły wokół niej, poruszając się zgodnie ze swoim typowym, dziwnym wzorem przesuujących się strumieni i zawirowań. Vin wydawało się, że poruszają się szybciej. Drżąc. Wibrując.

Słońce stawało się gorętsze i mgły w końcu się wycofały, znikając niczym woda parująca na patelni. Słoneczne promienie uderzyły Vin niczym fala. Odwróciła się, obserwując, jak mgły odchodzą. Ich śmierć była niczym odbijający się echem krzyk.

Nie są naturalne, pomyślała Vin, gdy strażnicy ogłosili, że jest bezpiecznie. W obozie natychmiast zaczęło się poruszenie, żołnierze wychodzili z namiotów i w pośpiechu oddali się porannymi zajęciami. Vin stała przed obozem, na ubitej drodze, po prawej miała nieruchomy kanał. Po odejściu mgieł obie te rzeczy wydawały jej się bardziej rzeczywiste.

Poprosiła Sazedą i Elenda o ich zdanie na temat mgieł - czy były dziełem natury, czy też... czymś zupełnie innym. Obaj mężczyźni, w głębi duszy uczeni, zacytowali teorie wspierające oba te poglądy. Choć Sazed w końcu podjął decyzję - skłaniał się ku podejściu, że mgły są naturalne.

„Nawet to, dlaczego mgły duszą jednych ludzi, a innych pozostawiają przy życiu, można wyjaśnić, lady Vin”, powiedział. „W końcu użądlenia owadów zabijają jednych ludzi, a innych prawie nie bolą”.

Vin nie interesowała teorie i argumenty. Spędziła większość życia, uważając mgły za zjawisko pogodowe. Reen i pozostali złodzieje sztychli z opowieści, zgodnie z którymi mgły miały charakter nadnaturalny. Jednakże, gdy Vin została Allomantką, poznała mgły.

Wyczuwała je, a to wyczucie nabrało siły od czasu, gdy dotknęła mocy Studni Wstąpienia.

Znikały zbyt szybko. Kiedy spalały się w słońcu, wycofywały się niczym człowiek uciekający w bezpieczne miejsce. Jak... ktoś, kto wykorzystał całą siłę w walce i w końcu decyduje się na ucieczkę. Ponadto mgły nie pojawiały się w pomieszczeniach. Prosty namiot wystarczył, by zapewnić bezpieczeństwo ludziom w środku. Jakby mgły jakimś sposobem rozumiały, że są niemiłe widziane.

Vin znów spojrzała w stronę słońca, płonącego niczym szkarłatny węgielek za ciemną zasłoną w górnych warstwach atmosfery. Żałowała, że nie ma przy niej TenSoona. Z nim mogłaby omówić swoje zmartwienia. Bardzo jej go brakowało, nigdy nie spodziewała się, że tak się stanie. Jego prosta szczerłość dobrze do niej pasowała. Wciąż nie wiedziała, co się z nim stało, kiedy powrócił do swojego ludu. Próbowwała znaleźć innego kandra, by przekazał

wiadomość w jej imieniu, lecz ostatnio istoty stały się bardzo rzadkie.

Odwróciła się z westchnieniem i cicho wróciła do obozu.

Szybkość, z jaką żołnierze przygotowywali się do wymarszu, robiła wrażenie.

Spędzali poranki w namiotach, naprawiając broń i pancerze, a kucharze przygotowywali posiłki. Nim Vin pokonała niewielką odległość dzielącą ją od obozu, zapłonęły ogniska i zaczęto zwinąć namioty.

Gdy przechodziła obok, niektórzy żołnierze jej salutowali. Inni pochyłali z szacunkiem głowy. Jeszcze inni niepewnie odwracali wzrok. Vin nie miała do nich pretensji. Sama nie była pewna, jakie jest jej miejsce w armii. Jako żona Elenda, technicznie była cesarzową, choć nie nosiła królewskich szat. Dla wielu była obiektem kultu religijnego, Dziedziczką Ocalałego. Tego tytułu również nie pragnęła.

Znalazła Elenda i Hama przed cesarskim namiotem, który właśnie składano. Choć stali na otwartej przestrzeni i swobodnie gestykulowali, Vin natychmiast uderzyło, jak daleko ustawili się od pracujących, jakby nie chcieli zostać podsłuchani. Spalając cynę, słyszała ich rozmowę na długo przed tym, nim do nich dotarła.

- Ham - powiedział cicho Elend - wiesz, że mam rację. Nie możemy ciągle tego robić.

Im głębiej wjeżdżamy w Zachodnie Dominium, tym więcej dnia tracimy z powodu mgieł.

Ham pokręcił głową.

- Naprawdę będziesz stał i patrzył, jak twoi żołnierze umierają, El?

Twarz Elenda stężała. Napotkał spojrzenie Vin, kiedy do nich dołączyła.

- Nie możemy sobie pozwolić na to, by każdego ranka czekać na ustąpienie mgieł.

- Nawet jeśli ocali to ludzkie życie? - spytał Ham.

- Spowolnienie kosztuje ludzkie życie - odparł Elend. - Każda godzina, którą tutaj spędzamy, przybliża mgły do Środkowego Dominium. Planujemy, że oblężenie trochę potrwa, a to oznacza, że musimy jak najszybciej dotrzeć do Fadrex.

Ham spojrzał na Vin, oczekując wsparcia. Pokręciła głową.

- Przykro mi, Ham. Elend ma rację. Cała nasza armia nie może zależeć od kaprysów mgieł. Będziemy odsłonięci... jeśli ktoś zaatakuje nas o poranku, nasi ludzie będą musieli albo zareagować i zginąć od mgieł, albo siedzieć w namiotach i czekać.

Ham skrzywił się, po czym przeprosił ich i ruszył przez popiół, by pomóc grupie żołnierzy spakować ich namioty. Vin podeszła do Elenda, obserwując odchodzącego mężczyznę.

- Kelsier mylił się co do niego - powiedziała w końcu.

- Kogo? - spytał Elend. - Hama?

Vin pokiwała głową.

- Pod koniec... po śmierci Kelsiera... znaleźliśmy jego ostatni list. Pisał, że wybrał

członków ekipy jako przywódców swojego nowego rządu. Breeze miał być ambasadorem, Dockson biurokratą, a Ham generałem. Pozostali dwaj pasowali doskonale, ale Ham...

- Zbytńo się przejmuję - dokończył Elend. - Poznaje każdego człowieka, którym dowodzi albo czuje się niezręcznie. A kiedy ich tak dobrze poznaje, przywiązuje się do nich.

Vin pokiwała głową, patrząc, jak Ham zaczyna się śmiać i pracować z żołnierzami.

- Posłuchaj nas tylko - powiedział Elend - bezwzględnie rozmawiających o życiu i śmierci tych, którzy za nami podążają. Może lepiej byłoby się przywiązać, jak Ham. Może wtedy nie wydawałbym tak szybko rozkazów skazujących ludzi na śmierć.

Spojrzała na męża, zmartwiona goryczą w jego głosie. Uśmiechnął się, próbując to zamaskować, i odwrócił wzrok.

- Musisz coś zrobić z tym swoim kolossem. Łazi po obozie i straszy ludzi.

Vin spochmurniała. W chwili, gdy pomyślała o stworze, natychmiast uświadomiła sobie, gdzie się znajdował - na skraju obozu. Zawsze pozostawał pod jej kontrolą, ale mogła przejąć nad nim całkowite panowanie tylko wtedy, kiedy się skupiła. Poza tym wypełniał jej rozkazy ogólne - trzymać się w okolicy, nikogo nie zabijać.

- Powinienem pójść i upewnić się, że barki są już gotowe - powiedział Elend. Spojrzał

na nią, a kiedy nie wyraziła chęci, by mu towarzyszyć, pocałował ją szybko i odszedł.

Vin znów ruszyła przez obóz. Większość namiotów została złożona, a żołnierze pośpiesznie pochłaniali śniadanie. Wyszła poza granicę obozu i znalazła Człowieka siedzącego w ciszy. Wokół jego łydek zbierał się popiół. Obserwował obóz czerwonymi oczami, jego twarz znaczyło pęknięcie i rozerwana skóra, biegnące od prawego oka do kącika ust.

- Człowieku - powiedziała, zakładając ręce na piersi.

Spojrzał na nią, po czym wstał, a wtedy z jego wysokiego na jedenaście stóp, przesadnie umięśnionego ciała osypał się popiół. Nawet po zabiciu tak wielu tych istot, nawet ze świadomością, że nad tym stworzeniem całkowicie panowała, Vin odruchowo poczuła strach, gdy stała przed potężną bestią krwawiącą z pęknięć nienaturalnie naciągniętej skóry.

- Dlaczego przyszedłeś do obozu? - spytała, otrząsając się z paniki.

- Jestem człowiekiem - odpowiedział powoli, z namysłem.

- Jesteś kolossem - stwierdziła. - Wiesz o tym.

- Powinienem mieć dom - powiedział Człowiek. - Jak tamte.

- To są namioty, nie domy - sprzeciwiła się Vin. - Nie możesz po prostu wchodzić do obozu. Masz zostać z innymi kolosami.

Człowiek odwrócił się i spojrzał na południe, gdzie czekała armia kolosów, oddzielona od ludzi. Pozostawali pod kontrolą Elenda, a było ich w sumie dwadzieścia tysięcy, gdy dołączyli dziesięć tysięcy czekających z główną armią. Pozostawienie ich pod kontrolą Elenda miało sens, gdyż był o wiele potężniejszym Allomantą niż Vin, przynajmniej jeśli chodziło o surową moc.

Człowiek znów na nią spojrzał.

- Dlaczego?

- Dlaczego masz zostać z pozostałymi? - spytała Vin. - Ponieważ ludzie w obozie czują się z tobą niezręcznie.

- To powinni mnie zaatakować - odparł Człowiek.

- Dlatego nie jesteś człowiekiem. My nie atakujemy ludzi, kiedy źle się czujemy w ich obecności.

- Nie - zgodził się Człowiek. - Każecie nam ich zabijać.

Vin zawahała się, przechylając głowę. Człowiek jednak tylko odwrócił wzrok i znów spojrzał na ludzki obóz. Paciorkowate oczy sprawiały, że wyraz jego twarzy był trudny do odczytania, lecz Vin niemal wyczuła... tęsknotę w jego minie.

- Jesteś jedną z nas - powiedział Człowiek.

Vin podniosła wzrok.

- Ja?

- Jesteś taka jak my - powiedział. - Nie taka jak oni.

- Dlaczego tak mówisz?

Człowiek spojrzał na nią z góry.

- Mgła - powiedział.

Vin przeszedł dreszcz, choć nie miała pojęcia dlaczego.

- Co masz na myśli?

Człowiek nie odpowiedział.

- Człowieku - odezwała się, próbując innej taktyki - Co myślisz o mgłach?

- Przychodzą w nocy.

Pokiwała głową.

- Tak, ale co o nich myślisz. Twój lud. Czy boi się mgieł? Czy one go zabijają?

- Miecze zabijają - odparł Człowiek. - Deszcz nie zabija. Popiół nie zabija. Mgła nie zabija.

Nieźła logika, pomyślała Vin. Przed rokiem bym się z nią zgodziła. Miała zamiar zrezygnować z tej próby, kiedy Człowiek znów się odezwał.

- Nienawidzę jej - powiedział.

Vin się zawahała.

- Nienawidzę jej, bo ona nienawidzi mnie - stwierdził Człowiek. Spojrzał na nią. - Ty to czujesz.

- Tak - odpowiedziała Vin, zaskakując samą siebie. - Czuję.

Człowiek przyglądał się jej, strumyczek krwi spływał z pęknięcia w skórze w pobliżu oka, jaskrawy na tle niebieskiej skóry. Mieszał się z popiołem. W końcu koloss pokiwał

głową, jakby doceniał jej szczerą odpowiedź.

Vin zadrżała. Mgła nie jest żywa, pomyślała. Nie może mnie nienawidzić. Tylko to sobie wyobrażam.

Ale... raz, wiele lat wcześniej, sięgnęła do mgieł. Kiedy walczyła przeciwko Ostatniemu Imperatorowi, jakimś sposobem zyskała nad nimi władzę. Zupełnie jakby wykorzystała samą moc do Allomancji, zamiast metali. Tylko dzięki tej mocy pokonała Ostatniego Imperatora.

To jednak wydarzyło się przed laty i nigdy nie udało się jej tego powtórzyć. Przez te lata próbowała wielokrotnie, aż po licznych porażkach zaczynała dochodzić do wniosku, że musiała się pomylić. Z pewnością w ostatnim czasie mgły zachowywały się nieprzyjaźnie.

Powtarzała sobie, że nie ma w nich nic nadnaturalnego, ale wiedziała, że to nieprawda. Co z duchem mgieł, tą istotą, która próbowała zabić Elenda - a później uratowała mu życie, pokazując jej, jak uczynić z niego Allomantę? Naprawdę istniał, była tego pewna, choć nie widziała go od ponad roku.

A co z wahaniem, które czuła w mgłach? Sposobem, w jaki się od niej cofały?

Sposobem, w jaki unikały budynków i zabijały. Wszystko zgadzało się z tym, co powiedział

Człowiek. Mgły - Głębia - nienawidziły jej i w końcu przyznała to, czemu przez tak długi czas

stawiała opór.

Mgły były jej wrogiem.

Nazywani są allomantycznymi sawantami. Mężczyźni i kobiety, którzy rozjarzają swoje metale tak długo i tak mocno, że ciągły dopływ allomantycznej mocy odmienia ich fizjologię.

W większości przypadków i z większością metali efekty są bardzo słabe. Na przykład, spalający brąz często staje się sawantami brązu zupełnie nieświadomie. Długotrwałe spalanie metalu sprawia, że ich zasięg się zwiększa. Bycie sawantem cyny z ołowiem jest niebezpieczne, gdyż wymaga długotrwałego utrzymywania ciała w stanie, w którym nie czuje się wyczerpania ani bólu. Większość przypadkiem doprowadza się do śmierci przed zakończeniem procesu, a moim zdaniem korzyści nie są warte wysiłku.

Sawanci cyny... to coś zupełnie wyjątkowego. Posiadając zmysły wyostrzone w sposób wykraczający poza to, czego normalny Allomanta mógłby potrzebować - albo nawet pragnąć

- stają się niewolnikami tego, co dotykają, słyszą, widzą, wążają i smakują. Jednakże nienormalna moc tych zmysłów daje im znaczną i interesującą przewagę.

Można by nawet powiedzieć, że podobnie jak Inkwizytor przekształcony przy pomocy hemalurgicznego kolca, tak i allomantyczny sawant nie jest już człowiekiem.

16

Spook obudził się w ciemności.

Ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej. Czuł opaskę na twarzy, mocno zawiązaną na oczach i uszach. Wrzynała się w jego przesadnie wyczuloną skórę, lecz była lepsza niż alternatywa. W jego oczach gwiazdy świeciły jasno niczym słońce, a kroki w korytarzu na zewnątrz brzmiały głośno jak grzmoty. Nawet z grubą opaską, nawet z woskowymi zatyczkami w uszach, nawet z okiennicami starannie zamkniętymi i zasłoniętymi materiałem, czasem miał problemy ze snem.

Tłumienie bodźców było niebezpieczne. Stawał się podatny na cios. Tyle że brak snu byłby jeszcze bardziej niebezpieczny. Być może to, co zrobił ze swoim ciałem, spalając cynę, w końcu go zabije. Jednakże, im więcej czasu spędzał wśród mieszkańców Urteau, tym bardziej czuł, że będą potrzebowali jego pomocy w obliczu nadchodzących niebezpieczeństw.

Potrzebował przewagi. Martwił się, że podjął błędną decyzję, ale przynajmniej ją podjął.

Będzie robił tak dalej, licząc na to, że to wystarczy.

Jęknął cicho, usiadł, zdjął opaskę i wyciągnął wosk z uszu. W pokoju panowała ciemność, lecz nawet słaby blask wpadający przez okiennice, starannie zasłonięte tkaniną, umożliwiał mu widzenie.

Cyna płonęła ciepło w jego żołądku. Zapas niemal się skończył, spalony przez noc.

Wykorzystywał ją teraz tak samo instynktownie, jak oddychał i mrugał. Słyszał, że Zbiry mogą spalać cynę z ołowiem dla uleczenia ciała, nawet jeśli tracą przytomność. Ciało wiedziało, czego potrzebuje.

Sięgnął do niewielkiego wiaderka przy łóżku i wyjął garść sproszkowanej cyny.

Przywiózł spory jej zapas z Luthadel i uzupełnił go zakupami w podziemiu. Na szczęście, cyna była względnie tania. Wrzucił garść do kubka na stoliku nocnym, po czym podszedł do drzwi. Pokój był mały i ciasny, ale nie musiał go z nikim dzielić. Jak na standardy skaa, był to luksus.

Mocno zacisnął powieki i otworzył drzwi. Uderzył go blask słonecznego korytarza.

Zacisnął zęby, mimo zamkniętych oczu z trudem znosząc intensywne światło, i pomacał po ziemi. Znalazł dzban świeżej wody - nabranej ze studni przez służących w gospodzie - i wciągnął go do środka, po czym otworzył oczy.

Zamrugał i przeszedł przez komnatę, by napełnić kubek. Popił cynę. Wystarczy na cały dzień. Nabrał dodatkową garść i wrzucił ją do sakiewki, na wszelki wypadek.

Kilka minut później był ubrany i gotowy. Usiadł na łóżku, zamykając oczy i przygotowując się do dnia. Jeśli można wierzyć szpiegom Obywatela, inni członkowie ekipy Elenda znajdowali się w drodze do Urteau. Pewnie mieli rozkazy zabezpieczenia magazynu i stłumienia rebelii. Spook musiał dowiedzieć się jak najwięcej przed ich przybyciem.

Usiadł, rozważał plany, rozmyślał. Wyczuwał kroki w otaczających pomieszczeniach -

drewniana budowla zdawała się trząść i wibrować niczym ogromny ul pełen zapracowanych robotnic. Na zewnątrz słyszał krzyki, wrzaski, rozmowy. Biły dzwony. Było jeszcze wcześniej, niedawno minęło popołudnie, ale mgły już odeszły - w Urteau mgły znikały na sześć do siedmiu godzin dziennie, co oznaczało, że w okolicy wciąż dawało się uprawiać rośliny, a ludzie jakoś funkcjonowali.

Zazwyczaj Spook przesypiał godziny dziennego światła. Były jednak pewne rzeczy, które musiał zrobić. Otworzył oczy i sięgnął do stolika, podnosząc parę okularów. Na jego prośbę nie wprawiono w nie soczewek poprawiających wzrok, lecz zwykłe szkło.

Założył je, po czym znów obwiązał głowę tkaniną, zasłaniając przód i boki okularów.

Nawet wyostrzone zmysły nie pozwalały mu patrzeć przez zamknięte powieki. Okulary jednak sprawiały, że mógł mieć jednocześnie nałożoną opaskę i otwarte oczy. Wymacał drogę do okna, zdjął koc i otworzył okiennice.

Zalały go gorące - niemal parzące - promienie słońca. Materiał wgryzał się w skórę jego głowy. Ale Spook widział. Tkanina utrudniała dostęp światła, chroniąc go przed oślepieniem, a jednocześnie była wystarczająco przezroczysta, by mógł widzieć. W pewnym sensie przypominało to mgły - opaska była dla niego niemal niewidzialna, gdyż wystrzył

wzrok bardziej niż nakazywał rozsądek. Jego umysł po prostu odfiltrowywał zakłócenia wywoływane przez materiał.

Spook pokiwał głową, podniósł laskę pojedynkową i wyszedł z pokoju.

* * *

- Wiem, że jesteś z tych cichych - powiedział Durn, stukając lekko w ziemię dwiema laskami. - Ale nawet ty musisz przyznać, że to życie jest lepsze niż za czasów panów.

Spook siedział w ulicorowie, oparty plecami o kamienny mur, który wzmacniał ścianę kanału. Spuścił głowę. Targ, najszerszy z ulicorowów Urteau, niegdyś był kanałem tak szerokim, że pośrodku mogły zakotwiczyć obok siebie trzy barki, pozostawiając po obu stronach wystarczająco dużo miejsca dla innych łodzi. Teraz stał się głównym bulwarem miasta, co oznaczało również doskonałą lokalizację dla handlarzy i żebraków.

Żebraków takich jak Spook i Durn. Siedzieli z boku ulicorowu, nad nimi wznosiły się budynki niczym mury fortecy. Niewielu przechodzących patrzyło na obszarpanych mężczyzn.

Nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi, chociaż jeden z nich starannie obserwował tłum mimo ciemnej opaski na oczach, a drugi był zbyt wygadany jak na kogoś pochodzącego z rynsztoków.

Spook nie odpowiedział na pytanie Durna. W młodości jego sposób mówienia -

ulicznym dialektem, z ciężkim akcentem - wyróżniał go, sprawiał, że ludzie go nie akceptowali. Nawet teraz nie mówił gładko i czarująco, jak Kelsier. Dlatego też próbował

mówić jak najmniej. Mniejsza szansa, że w ten sposób wpakuje się w kłopoty.

Co dziwne, kiedy się nie odzywał, ludzie go nie ignorowali, wręcz przeciwnie, zwracali na niego większą uwagę. Durn nadal wystukiwał swój rytm, niczym uliczny grajek bez widowni. Uderzenia o ubitą ziemię były zbyt delikatne, by ktokolwiek je usłyszał - chyba że tym kimś był Spook.

Durn miał doskonałe wyczucie rytmu. Niejeden minstrel mógłby mu pozazdrościć.

- To znaczy, popatrz tylko na targowisko - mówił dalej Durn. - Pod rządami Ostatniego Imperatora większość skaa nie mogła otwarcie zajmować się handlem. Mamy tu coś pięknego. Skaa rządzący skaa. Jesteśmy szczęśliwi.

Spook widział targ. Wydawało mu się, że gdyby ludzie byli naprawdę szczęśliwi, uśmiechaliby się, a nie wpatrywali w ziemię. Chodziliby na zakupy i przeglądali dostępne towary, a nie pośpiesznie kupowali niezbędne produkty i ruszali dalej. Poza tym, gdyby miasto było szczęśliwą utopią, jak twierdzono, dziesiątki żołnierzy nie musiałyby pilnować tłumu. Spook potrząsnął głową. Wszyscy nosili niemal dokładnie takie same ubrania - w kolorze i kroju zgodnym z rozkazami Obywatela. Nawet żebractwo było ściśle uregulowane.

Wkrótce przyjdą żołnierze, by policzyć zarobki Spooka, ocenić, ile udało mu się zebrać, i pobrać

działkę Obywatela.

- Popatrz - powiedział Durn - czy widzisz, żeby ktoś został pobity albo zamordowany na ulicy? Z pewnością za to warto zapłacić kilkoma ograniczeniami.

- Śmierć zadaje się teraz w bocznych uliczkach - odparł cicho Spook. - Ostatni Imperator przynajmniej zabijał otwarcie.

Durn zmarszczył czoło i usadowił się wygodniej, wciąż uderzając w ziemię swoimi łaskami. Rytm był skomplikowany. Spook wyczuwał wibracje niesione przez ziemię.

Uspokajały go. Czy ludzie wiedzieli, jaki talent mijają, stukający cicho w drogę, po której chodzili? Durn mógłby zostać wielkim muzykiem. Niestety, pod rządami Ostatniego Imperatora skaa nie tworzyli muzyki. A pod rządami Obywatela... cóż, nie było dobrze zwracać na siebie uwagę, niezależnie od sposobu.

- Oto są - powiedział nagle Durn. - Jak obiecano.

Spook podniósł wzrok. Poprzez mamrotania, dźwięki, błyski barw i potężne wonie odpadków, ludzi i towarów na sprzedaż, chłopak spostrzegł grupę więźniów eskortowaną przez żołnierzy w brązowych mundurach. Czasem przyływ doznań był niemal przytłaczający. Jednakże, jak kiedyś powiedział Vin, w spalaniu cyny nie chodziło o to, co człowiek mógł wyczuć, ale co mógł zignorować. A on nauczył się doskonale skupiać na zmysłach, których potrzebował, ignorując te, które by mu przeszkadzały.

Robiący zakupy rozstąpili się przed żołnierzami i ich więźniami. Ludzie pochyliłi głowy, przyglądając się z uwagą.

- Nadal chcesz podążyć za nimi? - spytał Durn.

Spook wstał.

Durn pokiwał głową, po czym również wstał i chwycił Spooka za ramię. Wiedział, że Spook w rzeczywistości widzi - a przynajmniej chłopak zakładał, że Durn jest na tyle spostrzegawczy, by to zauważyć. Obaj jednak nie przestawali udawać. Żebracy często udawali chorych, by skłonić ludzi do większej hojności. Durn mistrzowsko udawał

kuśtykanie, i wrywał sobie włosy, pozostawiając chorobliwie wyglądające łyse placki.

Spook jednak wyczuwał zapach mydła na jego skórze i dobre wino w oddechu. Mężczyzna był królem złodziei, w mieście żyło niewielu potężniejszych od niego. Do tego jednak na tyle sprytnie się przebierał, że mógł swobodnie poruszać się po ulicach.

Nie byli jedynymi, którzy podążali za żołnierzami i więźniami. Skaa odziani w dopuszczalną szarość szli za grupą niczym duchy - cicha, idąca noga za nogą masa ludzka pośród spadającego popiołu. Żołnierze weszli na pochylnię prowadzącą z ulicorowu na górę, kierując się w stronę bogatszej części miasta, gdzie niektóre z kanałów zostały zasypane i wybrukowane.

Wkrótce zaczęły się pojawiać martwe punkty. Zwęglone blizny - ruiny domów. Smród dymu był dla Spooka niemal obezwładniający, musiał zacząć oddychać przez usta. Po krótkim marszu dotarli do celu. Sam Obywatel zjawił się na miejscu. Nie przyjechał konno -

wszystkie wierzchowce wysłano do gospodarstw rolnych, gdyż tylko tępi szlachetnie urodzeni byli zbyt ważni, by chodzić na własnych nogach. Był jednak ubrany w czerwień.

- Co on takiego ma na sobie? - wyszeptał Spook, gdy Durn poprowadził go z boku tłumu.

Obywatel i jego świta stali na stopniach szczególnie wspaniałej rezydencji, a skaa tłoczyli się wokół. Durn poprowadził Spooka do miejsca, gdzie grupa mięśniaków zajęła sobie siłą miejsce ze szczególnie dobrym widokiem na Obywatela. Skinęli głową na Durna i pozwolili mu swobodnie przejść.

- Co masz na myśli? - spytał Durn. - Obywatel nosi to samo co zawsze, spodnie skaa i roboczą koszulę.

- Są czerwone - wyszeptał Spook. - To nie jest dozwolony kolor.

- Od dzisiejszego ranka jest. Urzędnicy rządowi mogą go nosić. W ten sposób wyróżniają się, jeśli ktoś chce ich znaleźć. A przynajmniej takie jest oficjalne uzasadnienie.

Spook się skrzywił. Jego uwagę zwróciło coś innego.

Była tam.

To oczywiście zupełnie naturalne - towarzyszyła swemu bratu gdziekolwiek się udawał. Martwił się o jej bezpieczeństwo i rzadko spuszczał ją z oczu. Wyglądała tak samo jak zawsze - smutne spojrzenie i burza kasztanowych włosów.

- Żałosna ta dzisiejsza grupka - powiedział Durn, a Spook z początku pomyślał, że chodzi mu o Beldre.

Durn jednak skinął głową w stronę więźniów. Wyglądali tak, jak reszta mieszkańców miasta - szare ubrania, poplamione popiołem twarze, służalcza postawa. Obywatel jednak wystąpił do przodu, by wyjaśnić różnice.

- Jedna z pierwszych proklamacji tego rządu - ogłosił - dotyczyła solidarności.

Jesteśmy skaa. „Szlachetnie urodzeni” wybrani przez Ostatniego Imperatora uciskali nas przez dziesięć stuleci. Uznaliśmy, że Urteau stanie się miejscem wolności. Miejscem takim, jakie przepowiadał sam Ocalały.

- Policzyłeś ich? - szepnął Durn do Spooka.

Chłopak pokiwał głową.

- Dziesięciu - stwierdził, licząc więźniów. - Ci, których się spodziewaliśmy. Nie zasłużyłeś na swoje pieniądze, Durn.

- Patrz.

- Ci - mówił dalej Obywatel, jego łysa czaszka świeciła w czerwonych promieniach słońca, gdy wskazał na więźniów. - Ci nie posłuchali naszych ostrzeżeń. Wiedzieli, jak wy wszyscy, że szlachetnie urodzeni, którzy pozostaną w mieście, zostaną pozbawieni życia!

Taka jest nasza wola... wola nas wszystkich. Ale jak inni ze swojego rodzaju, ci tutaj byli zbyt aroganccy, by nas posłuchać. Próbowali się ukryć. Uważali, że są od nas lepsi. Zawsze tak sądzą. To ich zdradza. - Przerwał na chwilę, po czym znów się odezwał. - I dlatego musimy zrobić to, co musimy.

Gestem wezwał żołnierzy do przodu. Wepchnęli więźniów po schodach na górę.

Spook czuł olej w powietrzu, gdy żołnierze otworzyli drzwi i wepchnęli ludzi do środka.

Później od zewnątrz zamknęli wejście i ustawili się dookoła. Każdy z żołnierzy zapalił

poходnię i rzucił ją do budynku. Nadludzkie zmysły nie były potrzebne, by wyczuć gorąco, które wkrótce wybuchło. Tłum cofnął się - pełen odrazy i strachu, lecz jednocześnie zafascynowany.

Okna zostały zabite deskami. Spook widział palce próbujące wyrwać drewno, słyszał

wrzaski. Słyszał, jak skazańcy walą w zamknięte drzwi, próbują wyrwać się na wolność, krzycząc z przerażenia.

Pragnął coś zrobić. Niestety, nawet ze swoją cyną nie mógłby pokonać całego oddziału żołnierzy. Elend i Vin posłali go, by zebrał informację, a nie ich zdradzał. Mimo to, skulił się i w duchu nazwał się tchórzem, gdy odwrócili się od płonącego budynku.

- To nie powinno się wydarzyć - wyszeptał szorstko Spook.

- Byli szlachetnie urodzeni - odparł Durn.

- Wcale nie! Ich rodzice być może, ale to byli skaa. Zwykli ludzie, Durn.

- W ich żyłach płynęła krew szlachetnie urodzonych.

- Podobnie jak my wszyscy, jeśli cofnąć się odpowiednio daleko w przeszłość -

zauważył Spook.

Durn pokręcił głową.

- Tak musi być. To właśnie Ocalały...

- Nie wypowiadaj jego imienia w połączeniu z tym barbarzyństwem - wysyczał Spook.

Durn milczał przez chwilę i wokół rozlegały się jedynie krzyki umierających i trzask ognia. W końcu się odezwał.

- Wiem, że ciężko na to patrzeć, a Obywatel być może trochę przesadza. Ale... raz go słyszałem. Ocalałego. Tego właśnie nauczał. Śmierć szlachetnie urodzonym, władza dla skaa.

Gdybyś go słyszał, zrozumiałbyś. Czasem trzeba coś zniszczyć, żeby wybudować coś lepszego.

Spook zamknął oczy. Żar przypalał mu skórę. Słyszał, jak Kelsier przemawia do tłumu skaa. I rzeczywiście, Kelsier mówił rzeczy, o których teraz wspominał Durn. Wówczas Ocalały był głosem nadziei i ducha, jednak te same słowa powtórzone w tej chwili stały się słowami nienawiści i zniszczenia. Spookowi zrobiło się niedobrze.

- Posłuchaj, Durn - powiedział, unosząc wzrok - nie płacę ci za cytowanie mi propagandy Obywatela. Powiedz, dlaczego tu jestem, albo nie dostaniesz ode mnie nic więcej.

Większy żebrak odwrócił się i napotkał spojrzenie Spooka za tkaniną.

- Policz czaszki - powiedział cicho. Z tymi słowami zdjął rękę z ramienia Spooka i wycofał się w tłum.

Spook nie podążył za nim. Smród dymu i płonących ciał stawał się dla niego zbyt silny. Odwrócił się i przepchnął przez tłum, szukając świeżego powietrza. Zatoczył się i oparł

o budynek, oddychając głęboko, czując, jak szorstkie drewno przylega do jego boku.

Wydawało mu się, że spadające płatki popiołu to część stosu za jego plecami, drobinki śmierci rzucone na wiatr.

Usłyszał głosy. Odwrócił się i zauważył, że Obywatel i jego strażnicy odsunęli się od pożaru. Quellion zwrócił się do tłumów, zachęcając ludzi do zachowania czujności. Spook obserwował to przez jakiś czas i tłum w końcu zaczął odchodzić, podążając za Obywatелеm, który kierował się w stronę targowiska.

Ukarał ich, teraz musi ich pobłogosławić. Często, szczególnie po egzekucjach, Obywatel osobiście odwiedzał swój lud, chodząc między straganami na rynku, ściskając ręce i wypowiadając słowa zachęty.

Spook ruszył boczną uliczką. Wkrótce wyszedł z bogatszej części miasta i dotarł do miejsca, gdzie ulica się urywała. Wybrał miejsce, w którym ściana kanału się zawaliła, tworząc zbocze prowadzące na dno suchego kanału, po czym zsunął się po nim. Naciągnął

kaptur płaszcza, zasłaniając opaskę na oczach i ruszył przez ruchliwą ulicę ze zręcznością kogoś, kto dorastał jako ulicznik.

Nawet idąc naokoło, dotarł do Targu przed Obywatel i jego świtą. Spook patrzył

pośród spadającego popiołu, jak mężczyzna schodzi po szerokiej ziemnej pochylni, a za nim podąża liczący setki ludzi tłum.

Chcesz być nim, pomyślał Spook, kuląc się w pobliżu budy handlarza. Kelsier umarł, by dać swoim ludziom nadzieję, a teraz ty chcesz ukraść jego dziedzictwo.

Ten człowiek nie był Kelsierem. Nie był nawet godny wypowiadać imienia Ocalałego.

Obywatel krążył po targu, przemawiając z ojcowską troską do zebranych na targu.

Kładł im dłonie na ramionach, ścisnął ręce i uśmiechał się dobrodusznie.

- Ocalały byłby z was dumny. - Spook słyszał jego głos nawet wśród gwaru panującego w tłumie. - Popiół, który spada, jest znakiem od niego... symbolem upadku imperium, popiołów tyranii. Z tych popiołów stworzymy nowy naród! Naród prowadzony przez skaa.

Spook ostrożnie podszedł bliżej, zsuwając kaptur i macając przed sobą rękami, jakby był ślepy. Na plecach miał laskę pojedynkową, zasłoniętą przez fałdy workowatej szarej koszuli. Doskonale poruszał się wśród tłumów. Choć Vin zawsze bardzo starała się pozostawać w ukryciu i być niewidoczna, Spook osiągał to nawet nie próbując. Właściwie często starał się uzyskać przeciwny efekt. Marzył o byciu kimś podobnym do Kelsiera - gdyż nawet zanim go poznał, wiele o nim słyszał. Największy złodziej skaa ich czasów - człowiek na tyle zuchwały, że spróbował obrabować samego Ostatniego Imperatora.

A jednak, choć Spook bardzo się starał, nigdy nie udawało mu się wyróżniać. Zbyt łatwo było zignorować kolejnego chłopaka z twarzą pokrytą popiołem, szczególnie jeśli nie rozumiało się jego ciężkiego wschodniego dialektu. Dopiero spotkanie z Kelsierem - i ujrzenie, jak bardzo poruszał ludzi swoimi przemowami - skłoniło Spooka do porzucenia gwary. Wtedy właśnie zaczął rozumieć, jak wielka moc kryje się w słowach.

Spook ostrożnie przesuwał się na czoło tłumy słuchającego Obywatela. Ludzie tręcili go i popychali, ale nikt na niego nie krzyczał. Ślepiec, który znalazł się w ciżbie, był łatwy do zignorowania - a ten, który jest ignorowany, może łatwo dotrzeć tam, gdzie nie powinien. Po kilku ostrożnych posunięciach Spook znalazł się na czele zebranych, na wyciągnięcie ręki od Obywatela.

Mężczyzna śmierdział dymem.

- Rozumiem, dobra niewiasto - mówił Obywatel, trzymając za rękę starszą kobietę -

ale twój wnuk jest potrzebny tam, gdzie jest, pracując na roli. Bez niego i jemu podobnych nie mielibyśmy co jeść! W narodzie rządzonym przez skaa to skaa muszą pracować.

- Ale... nie może wrócić choć na trochę? - spytała kobieta.

- W swoim czasie, dobra niewiasto - odparł Obywatel. - W swoim czasie.

Jego szkarłatny mundur był jedyną plamą koloru na ulicy i Spook odkrył, że się na niego gapi. Oderwał wzrok i manewrował dalej, gdyż to nie Obywatel był jego celem.

Beldre stała z boku, jak zwykle. Zawsze obserwowwała, ale nigdy nie nawiązywała kontaktu. Obywatel był tak absorbujący, że łatwo zapomniano o jego siostrze. Spook rozumiał to doskonale. Pozwolił, by żołnierz go popchnął, usuwając go z drogi Obywatela.

To szturchnięcie sprawiło, że Spook znalazł się tuż obok Beldre. Wyczuwał słabą woń jej perfum.

Myślałem, że to też jest zakazane.

Co zrobiłby Kelsier na jego miejscu? Możliwe, że zaatakowałby, zabijając Obywatela.

Albo w inny sposób wystąpił przeciwko niemu. Kelsier nie pozwoliłby, by działy się tak straszne rzeczy - coś by zrobił.

Może spróbowałby znaleźć sojusznika w osobie, której Obywatel ufał?

Spook poczuł, jak jego serce - zawsze bardzo głośnie - zaczyna bić szybciej. Tłum znów się poruszył i chłopak pozwolił, by popchnęli go na Beldre. Strażnicy nie obserwowali jej - skupiali się na Obywatelu, zapewniając mu bezpieczeństwo w tak zmiennej sytuacji.

- Twój brat... - wyszeptał Spook do ucha dziewczyny - czy akceptujesz jego morderstwa?

Obróciła się na pięcie, a wtedy po raz pierwszy zobaczył, że jej oczy są zielone. Stał w tłumie, który pociągnął go za sobą, gdy ona rozglądała się, próbując znaleźć tego, kto się odezwał. Tłum podążający za jej bratem odciągnął ją od Spooka.

Chłopak czekał przez krótką chwilę, szturchany łokciami. Później znów zaczął się poruszać, ostrożnie przepychając się wśród tłumu, aż znów znalazł się obok Beldre.

- Myślisz, że to różni się od tego, co robił Ostatni Imperator? - wyszeptał. -

Widziałem, jak on raz zebrał przypadkowych ludzi i stracił ich na rynku Luthadel.

Obróciła się ponownie, w końcu zauważając Spooka wśród tłumu. Stał nieruchomo, patrząc jej w oczy mimo opaski. Ludzie kręcili się między nimi i wkrótce pociągnęli ją za sobą.

Jej usta się poruszały. Tylko ktoś o zmysłach wzmacnianych przez cynę mógł

zobaczyć ją tak dokładnie, by zrozumieć jej słowa z ruchu warg.

- Kim jesteś?

Ponownie przepchnął się między ludźmi. Z przodu Obywatel najwyraźniej planował

wygłosić wielkie przemówienie, wykorzystując fakt, że zbiera się coraz większy tłum. Ludzie tłoczyli

się wokół podwyższenia znajdującego się pośrodku rynku. Przeciskanie się między nimi stawało się coraz trudniejsze.

Spook dotarł do niej, lecz poczuł, że tłum go odciąga. Dlatego sięgnął między dwoma ciałami i chwycił ją za rękę, jednocześnie poruszając się wraz z innymi. Oczywiście, obróciła się gwałtownie, lecz nie krzyknęła. Zebrani kłębili się wokół nich, a ona obróciła się, by spojrzeć mu w oczy przez opaskę.

- Kim jesteś? - znów spytała Beldre.

Choć był na tyle blisko, by ją usłyszeć, z jej ust nie dobył się żaden dźwięk.

Wypowiedziała te słowa jedynie ruchami warg. Za jej plecami, na podwyższeniu, jej brat zaczął przemawiać.

- Jestem człowiekiem, który zabije twojego brata - powiedział cicho Spook.

Ponownie spodziewał się jakiejś reakcji - może krzyku. Oskarżenia. Działał pod wpływem impulsu, frustracji wywołanej świadomością, że nie mógł pomóc ludziom skazanym na śmierć. Spook uświadomił sobie, że gdyby rzeczywiście krzyknęła, mogłoby to doprowadzić do jego śmierci.

Ona jednak milczała, między nimi padał popiół.

- Inni mówili to samo - powiedziała samymi ustami.

- Inni nie byli mną.

- A kim ty jesteś? - spytała po raz trzeci.

- Towarzystwem boga. Człowiekiem, który widzi szept i czuje krzyki.

- Człowiekiem, który uważa, że wie lepiej od wybranego przez ludzi przywódcy, co jest dla nich dobre? - wyszeptła. - Zawsze będą odszczepieńcy, którzy wzdragają się przed tym, co konieczne.

Wciąż trzymał ją za rękę. Ścisnął mocno, przyciągając ją bliżej. Tłum tłoczył się wokół podwyższenia, zostawiając ich dwoje na tyłach, niczym muszle pozostawione na brzegu przez cofające się fale.

- Znałem Ocalałego, Beldre - wyszeptał szorstko. - Nadał mi imię, nazwał

przyjacielem. To, co zrobiliście w tym mieście, przeraziłoby go... a ja nie pozwolę, by twój brat nadal wypaczał dziedzictwo Kelsiera. Jeśli musisz, ostrzeż go. Powiedz Quellionowi, że po niego przyjdę.

Obywatel umilkł. Spook uniósł wzrok i spojrzął w stronę mównicy. Quellion stał przy niej i spoglądał na tłum. Patrzył na Spooka i Beldre, stojących razem na tyłach tłumu.

Chłopak nie uświadamiał sobie, jak bardzo byli odsłonięci.

- Ty tam! - wykrzyknął Obywatel. - Co robisz z moją siostrą?

A niech to! - pomyślał Spook, puszczając dziewczynę i rzucając się do ucieczki.

Niestety, główną wadą ulicorowów były ich wysokie, strome ściany. Istniało niewiele możliwości opuszczenia targów, a wszystkich dróg pilnowali ludzie Quelliona. Na wykrzyknięte rozkazy Obywatela, żołnierze, ubrani w skóry i uzbrojeni w stal, opuścili swoje stanowiska.

Cudownie, pomyślał Spook, biegnąc w stronę najbliższej grupy żołnierzy. Gdyby udało mu się wydostać za nich, mógłby dotrzeć do pochylni i może zniknąć gdzieś w płataninie uliczek na górze.

Miecze wysunęły się z pochew. Za plecami Spooka ludzie krzyczeli zaskoczeni.

Sięgnął między fałdy swojego potarganego płaszcza i wyciągnął laskę pojedynkową.

I znalazł się między nimi.

Spook właściwie nie był wojownikiem. Oczywiście ćwiczył z Hamem - Clubs upierał

się, że jego krewniak musi umieć się bronić. Jednakże prawdziwymi wojownikami w ekipie zawsze byli Zrodzeni z Mgły, Vin i Kelsier, a Ham - jako Cynozbrojny - wykorzystywał

swoją brutalną siłę, jeśli to było konieczne.

Spook ostatnio spędził dużo czasu na ćwiczeniach, a przy okazji odkrył coś interesującego. Miał pewną cechę, której Vin i Kelsier nie mogli mieć - kombinację zmysłowej wiedzy, którą jego ciało umiało instynktownie wykorzystywać. Wyczuwał ruchy powietrza, drżenia ziemi i lokalizował ludzi dzięki biciu ich serc.

Nie był Zrodzonym z Mgły, ale wciąż pozostawał bardzo niebezpieczny. Poczł

delikatny podmuch i wiedział, że ktoś zamachnął się mieczem w jego stronę. Uchylił się.

Wyczuł stąpienie i wiedział, że ktoś atakuje z boku. Cofnął się. To było niemal jak posiadanie atium.

Z jego czoła poleciały kropelki potu, gdy obrócił się i uderzył laską pojedynkową w tył

czaszki jednego z żołnierzy. Mężczyzna upadł - laska Spooka została wykonana z najtwardszego drzewa. Dla upewnienia się chłopak jeszcze raz uderzył mężczyznę w skroń, na dobre wyłączając go z walki.

Usłyszał czyjeś chrząknięcie z boku - ciche, lecz znaczące. Spook uderzył swoją bronią w bok, trafiając w przedramię atakującego żołnierza. Pękły kości, a mężczyzna upuścił

z krzykiem ostrze. Spook uderzył go w głowę. Później obrócił się na pięcie i uniósł łaskę, by zablokować cios trzeciego żołnierza.

Stal trafiła w drewno i stal zwyciężyła, broń Spooka pękła. Jednakże powstrzymała ostrze na tyle, by Spook uchylił się i chwycił miecz powalonego żołnierza. Różnił się od tych, z którymi ćwiczył - w Urteau preferowano długie wąskie klingi. Mimo to pozostał tylko jeszcze jeden żołnierz - gdyby udało mu się go powalić, byłby wolny.

Przeciwnik Spooka najwyraźniej uświadomił sobie, że ma przewagę. Gdyby chłopak próbował uciec, wystawiłby plecy na cios. Gdyby jednak został, inni żołnierze wkrótce by go dopadli. Żołnierz krążył ostrożnie, próbując zyskać na czasie.

Dlatego Spook zaatakował.

Uniósł ostrze, ufając, że wzmocnione zmysły wystarczą, by zrekompensować różnicę w wyszkoleniu. Żołnierz uniósł broń, by sparować cios.

Miecz Spooka zamarł w powietrzu.

Chłopak zatoczył się, próbując zmusić broń do poruszenia, lecz coś ją dziwnie powstrzymywało - jakby próbował zadać nią cios przez coś stałego, nie przez powietrze.

Zupełnie jakby...

Ktoś ją Odpychał. Allomancja. Spook rozpaczliwie rozejrzał się wokół i natychmiast odnalazł źródło mocy. Osoba, która Odpychała, musiała znajdować się bezpośrednio naprzeciwko Spooka, gdyż Allomanci umieli odpychać jedynie prosto przed siebie.

Quellion, Obywatel, dołączył do siostry. Napotkał spojrzenie Spooka i chłopak zobaczył wysiłek w jego oczach, gdy mężczyzna mocno trzymał się siostry, wykorzystując jej ciężar dla wsparcia, jednocześnie Odpychając miecz Spooka. W ten sposób wtrącił się do bitwy, jak to kiedyś zrobił sam Kelsier, gdy odwiedzał jaskinie, w których szkolila się jego armia.

Spook rzucił broń, pozwalając, by poleciała do tyłu z jego rąk, po czym rzucił się na ziemię. Poczł podmuch, gdy ostrze przeciwnika przeleciało nad jego głową, mijając ją o włos. Jego broń uderzyła o ziemię niedaleko od niego, brzęk metalu o kamień wydawał się ogłuszający w jego uszach.

Nie miał czasu złapać tchu, mógł jedynie poderwać się, by uniknąć kolejnego ciosu żołnierza. Na szczęście, Spook nie nosił żadnego metalu, który Quellion mógłby Odpychać, żeby wywierać dalszy wpływ na walkę. Chłopak cieszył się, że nigdy nie wyzbył się tego nawyku.

Jedynym wyjściem pozostała ucieczka. Nie mógł walczyć, nie przy udziale Allomanty.

Odwrócił się, gdy żołnierz przygotowywał się do zadania kolejnego ciosu. Wtedy Spook rzucił się do przodu i nagle znalazł się w zasięgu żołnierza. Przebiegł pod wyciągniętą ręką mężczyzny i rzucił się w bok, mając nadzieję, że dezorientacja przeciwnika pozwoli mu uciec.

Coś chwyciło go za nogę.

Spook się obrócił. Z początku zakładał, że to Quellion jakimś sposobem go Przyciąga.

Wtedy zobaczył, że to żołnierz na ziemi - ten, którego na początku powalił - chwycił go za nogę.

Dwa razy uderzyłem go w głowę! - pomyślał z frustracją Spook. Nie może nadal być przytomny!

Ręka ścisnęła jego stopę, ciągnąc Spooka do tyłu z nieludzką siłą. To oznaczało, że mężczyzna musiał być Zbirem - spalającym cynę z ołowiem, jak Ham.

Spook miał poważne problemy.

Kopnął i udało mu się wyrwać, po czym poderwał się na równe nogi. Niestety, Zbir miał moc cyny z ołowiem - mógł biec szybciej i dalej niż Spook.

Dwaj Allomanci, licząc samego Obywatela, pomyślał Spook. Ktoś nie gardzi szlachetną krwią tak jak utrzymuje!

Dwaj żołnierze zbliżyli się do niego. Rycząc z frustracji - słysząc bicie własnego serca jak uderzenia bębna - Spook rzucił się na Zbira i chwycił mężczyznę wpół, zaskakując go. W

tej chwili dezorientacji chłopak obrócił go, wykorzystując ciało Zbira jako tarczę osłaniającą przed trzecim żołnierzem.

Zapomniał o brutalnym szkoleniu Obywatela. Quellion ciągle mówił o poświęceniu i konieczności. Najwyraźniej odnosiło się to też do żołnierzy, gdyż mężczyzna z mieczem wbił

swoje ostrze prosto w plecy towarzysza, przebijając jego serce i wbijając klingę w pierś Spooka. Zrobić coś takiego z taką siłą i dokładnością mógł tylko Zbir.

Trzej Allomanci, pomyślał oszołomiony Spook, gdy żołnierz próbował uwolnić ostrze z dwóch ciał. Martwy ciężar trupa w końcu złamał ostrze.

Jak udało mi się tak długo przetrwać? Pewnie starali się nie ujawniać swoich mocy.

Próbowali ukryć się wśród ludzi...

Spook zatoczył się do tyłu, czując krew na piersi. Co dziwne, nie czuł bólu. Jego wyostrzone zmysły powinny uczynić ból tak potężnym, że...

Uderzył go. Zapanowała ciemność.

Subtelność rozkładających popiół mikrobow i poprawionych roślin pokazuje, że Rashek coraz lepiej wykorzystywał swoją moc. Wypaliła się w ciągu kilku minut - lecz dla boga minuty mogą być jak całe godziny. W tym czasie Rashek zaczął jako bezmyślne dziecko, które popchnęło planetę zbyt blisko słońca, dorósł, by stworzyć popielne góry dla schłodzenia powietrza, aż w końcu stał

się dojrzałym rzemieślnikiem, który umiał stwarzać rośliny i istoty przeznaczone do określonych celów.

Pokazuje to również jego nastawienie w czasie pracy z mocą Zachowania. Pod jego wpływem był wyraźnie nastawiony ochronnie. Zamiast zrównać popielne góry z ziemią i próbować wepchnąć planetę z powrotem na swoje miejsce, reagował i gorączkowo starał się naprawić problemy, które sam stworzył.

17

Elend jechał na czele swoich ludzi, dosiadając wspaniałego ogiera, który został

starannie oczyszczony z popiołu. Odwrócił się i spojrzał na szeregi zdenerwowanych żołnierzy. Czekali w zapadającym zmierzchu, a cesarz widział ich grozę. Słyszeli plotki, które poprzedniego dnia zostały potwierdzone przez ich władcę. Dziś jego armia zostanie uodporniona na mgły.

Elend przejechał wzdłuż szeregów, obok na dereszowatym ogierze towarzyszył mu generał Demoux. Oba konie były potężnymi rumakami bojowymi, zabranymi na tę wyprawę raczej w celu wywierania wrażenia niż ze względu na ich użyteczność. Elend i pozostali oficerowie większość drogi spędzą na barkach na kanale, nie na końskim grzbiecie.

Nie zastanawiał się nad moralnością swojej decyzji, by wystawić swoich żołnierzy na mgły - przynajmniej nie w tej chwili. Elend wiedział o sobie coś bardzo ważnego - był

uczciwy. Może zbyt uczciwy. Gdyby odczuwał niepewność, malowałyby się na jego twarzy.

Żołnierze wyczuliby jego wahanie. Dlatego nauczył się odkładać zmartwienia i troski na te chwile, kiedy był tylko z najbliższymi. To oznaczało, że Vin zbyt często widziała, jak rozpamiętuje. Jednakże dzięki temu w innych momentach mógł emanować pewnością siebie.

Jechał szybko i kopyta jego wierzchowca głośno uderzały w ziemię. Od czasu do czasu słyszał, jak kapitanowie rozkazują swoim ludziom zachować odwagę. Mimo to, Elend widział niepokój w oczach żołnierzy. Czy mógł mieć o to do nich pretensję? Tego dnia jego ludzie mieli stawić czoło wrogowi, z którym nie mogli walczyć i któremu nie mogli stawiać oporu. W ciągu godziny jakieś siedem setek z nich umrze. Jeden na pięćdziesięciu. Niezłe szanse na przeżycie, patrząc z innego punktu widzenia - ale to niewiele znaczyło dla ludzi stojących i czujących, jak mgły skradają się wokół nich.

Żołnierze się nie cofali. Elend był z nich dumny. Ci, którzy sobie tego życzyli, mogli powrócić do Luthadel, zamiast wystawiać się na mgłę. I tak potrzebował wojsk w stolicy, a wołał nie maszerować z ludźmi niechętnymi do wejścia w mgłę. Prawie nikt nie odszedł.

Ogromna większość bez rozkazów ustawiła się w szeregach, w pełnym ekwipunku, w wypolerowanych i natłuszczonych pancerzach, a mundurach tak czystych, jak to się tylko dało osiągnąć na pełnym popiołu pustkowiu. W ten sposób wyglądali, jakby szykowali się do bitwy - co w pewnym sensie było prawdą.

Ufali mu. Wiedzieli, że mgły zbliżają się do Luthadel, i rozumieli wagę zdobycia miast z zapasami w jaskiniach. Wierzyli, że Elend jest zdolny uratować ich rodziny.

Ich zaufanie zwiększało jego determinację. Ściągnął wodze, zatrzymując potężnego rumaka przy szeregu żołnierzy. Rozjarzył cynę z ołowiem, dodając sobie siłę, wzmacniając płuca, po czym zaczął Podżegać uczucia swoich ludzi, zwiększając ich odwagę.

- Bądźcie silni! - wykrzyknął.

Głowy zwróciły się w jego stronę, ucichł brzęk pancerzy. Jego własny głos wydawał mu się tak głośny, że musiał zgasić cynę.

- Te mgły powalą niektórych z nas. Jednak większość pozostanie nietknięta... a z tych, którzy upadną, większość odzyska zdrowie! Później żaden z nas nie będzie już się musiał bać mgieł. Nie możemy przybyć do Fadrex bez uodpornienia się! Gdybyśmy tak zrobili, ryzykowalibyśmy, że zostaniemy zaatakowani o poranku, kiedy będziemy się kryć w namiotach. Nasi wrogowie i tak zmusiliby nas do wyjścia w mgłę, a my musielibyśmy walczyć z jedną szóstą siłą drżącą na ziemi!

Odwrócił konia. Demoux podążył za nim. Jadąc wzdłuż szeregów, przemawiał dalej.

- Nie wiem, dlaczego mgły zabijają. Ale wierzę w Ocalałego! Nazywał się Panem Mgieł. Jeśli niektórzy z nas zginą, taka jest jego wola. Bądźcie silni!

Jego przypomnienia wywierały skutek. Żołnierze prostowali się, zwróceniem twarzami w stronę zachodu, gdzie wkrótce miało zniknąć słońce. Elend znów ściągnął wodze i pozwolił, by go widziano.

- Wydają się silni, milordzie - powiedział cicho Demoux, zatrzymując się obok Elenda. - To była dobra przemowa.

Elend pokiwał głową.

- Milordzie... - mówił dalej Demoux - czy wierzycie w to, co powiedzieliście o Ocalałym?

- Oczywiście, że tak.

- Przepraszam, milordzie. Nie chciałem kwestionować waszej wiary, po prostu... nie musicie udawać, że wierzycie, jeśli nie chcecie.

- Dałem słowo, Demoux - odparł Elend. Zmarszczył czoło i spojrzał na poznaczoną bliznami twarz generała. - Robię to, co obiecałem.

- Wierzę, milordzie. Jesteście honorowym człowiekiem.

- Ale?

Demoux się zawahał.

- Ale... jeśli naprawdę nie wierzycie w Ocalałego, nie sądzę, by on chciał, żebyście wypowiadali się w jego imieniu.

Elend otworzył usta, by udzielić Demoux reprimendy, ale się powstrzymał. Ten człowiek mówił uczciwie, z głębi serca. Za coś takiego nie należała się kara.

Poza tym mógł mieć rację.

- Nie wiem, w co wierzę, Demoux. - Elend spojrzał znów na żołnierzy. - Z pewnością nie w Ostatniego Imperatora. Religie Sazed'a są martwe od stuleci, a i on przestał o nich opowiadać. Wydaje mi się, że Kościół Ocalałego jest jedyną prawdziwą możliwością.

- Z całym szacunkiem, milordzie - powiedział Demoux - to nie jest szczególnie gorliwe wyznanie wiary.

- Ostatnio mam problem z wiarą, Demoux - odparł Elend, podnosząc wzrok i spoglądając na płatki popiołu spadające z nieba. - Mój ostatni bóg został zabity przez kobietę, którą później poślubiłem... kobietę, która jest przedmiotem waszego kultu religijnego i która odrzuca wasze uwielbienie.

Generał pokiwał głową.

- Nie odrzucam waszego boga, Demoux. Wierzę w to, co powiedziałem... uważam, że wiara w Kelsiera jest lepsza niż alternatywy. A biorąc pod uwagę to, co czeka nas w najbliższych miesiącach, wolałbym raczej wierzyć, że coś... cokolwiek... nam jednak pomaga.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

- Wiem, że Pani Dziedziczka odrzuca nasze uwielbienie dla Ocalałego, milordzie -

powiedział w końcu Demoux. - Znała go, podobnie jak ja. Nie rozumie jednak, że Ocalały stał się kimś więcej niż tylko człowiekiem Kelsiera.

Elend zmarszczył czoło.

- To brzmi tak, jakbyście z wyrachowania uczynili go bogiem, Demoux. Że wierzycie w niego tylko jako w symbol.

Demoux pokręcił głową.

- Chciałem powiedzieć, że Kelsier był człowiekiem, ale człowiekiem, który zyskał

coś... moc, część czegoś wiecznego i nieśmiertelnego. Kiedy umarł, nie był tylko Kelsierem, przywódcą ekipy. Nie sądzicie, że to dziwne, że przed Czeluściami nie był Zrodzonym z Mgły?

- Tak działa Allomancja, Demoux - odparł Elend. - Nie zyskuje się mocy do chwili Złamania... gdy człowiek musi stawić czoło czemuś traumatycznemu, co go niemal zabija.

- A nie sądzicie, że Kelsier doświadczył takich sytuacji przed Czeluściami? - spytał

Demoux. - Milordzie, on był złodziejem, który okradał obligatorów i szlachetnie urodzonych.

Prowadził bardzo niebezpieczne życie. Sądzicie, że mógł uniknąć pobicia, znajdowania się na granicy śmierci i duchowych katuszy?

Elend się zawahał.

- Zyskał moc w Czeluściach - powiedział cicho - ponieważ coś jeszcze się z nim stało.

Ludzie, którzy go znają, opowiadają, że kiedy powrócił, był innym człowiekiem. Miał cel...

był zdeterminowany osiągnąć coś, co reszta świata uważała za niemożliwe.

Demoux potrząsnął głową.

- Nie, milordzie. Kelsier człowiek umarł w tych Czeluściach, a narodził się Kelsier Ocalały. Otrzymał wielką moc i wielką mądrość od siły, która jest ponad nami wszystkimi.

Dlatego udało mu się to wszystko osiągnąć. Dlatego oddajemy mu cześć. Wciąż miał wady człowieka, ale nadzieje istoty boskiej.

Elend się odwrócił. Racjonalnie, jako uczonec, doskonale rozumiał, co się dzieje.

Kelsier był stopniowo ubóstwiany, a jego wyznawcy nadawali jego życiu coraz bardziej mistyczny charakter. Kelsier musiał otrzymać boską moc, gdyż Kościół nie mógł już oddawać czci zwykłemu człowiekowi.

A jednak w głębi duszy Elend cieszył się z tej racjonalizacji, nawet jeśli służyła ona jedynie nadaniu całej historii większej wiarygodności. W końcu Demoux miał rację. Jak człowiek żyjący na ulicy mógł przetrwać tak długo i się nie Złamać?

Ktoś krzyknął.

Elend podniósł wzrok i przyjrzał się szeregom. Ludzie zaczęli się kręcić, gdy pojawiły się mgły, wznosząc się w powietrze niczym wzrastające pędy roślin. Nie widział żołnierza, który upadł. Wkrótce przestało to mieć znaczenie, gdyż inni zaczęli krzyżeć.

Słońce zaczynało znikać, płonąc czerwienią nad horyzontem. Koń Elenda kręcił się nerwowo. Kapitanowie kazali swoim ludziom utrzymać szyk, lecz Elend wciąż widział

poruszenie. W grupie przed nim pojawiły się wyłomy, gdy żołnierze padali na ziemię niczym marionetki, którym ktoś przeciął sznurki. Rzucali się na ziemię, a ich towarzysze cofali się w

przerażeniu. Mgła kłębiła się wszędzie wokół nich.

Potrzebują mnie, pomyślał Elend, ściągając wodze i Przyciągając uczucia otaczających go ludzi.

- Demoux, jedźmy.

Skierował konia w drugą stronę. Demoux nie podążył za nim.

Elend obrócił się gwałtownie.

- Demoux? Co...

Demoux siedział pośród mgieł, trzęsąc się straszliwie. Na oczach Elenda łysiejący żołnierz zsunął się z grzbietu konia i upadł w popiół.

- Demoux! - ryknął Elend i zeskoczył z siodła.

Czuł się jak głupiec. Nigdy się nie zastanawiał, czy Demoux był podatny na chorobę -

zakładał, że podobnie jak Vin i pozostali, już jest odporny. Ukłękł wśród popiołu obok generała, słuchając wrzasków żołnierzy i rozkazów kapitanów. Jego przyjaciel trząsł się, sapiąc z bólu.

A popiół nie przestawał padać.

Rashek nie rozwiązał wszystkich problemów świata. W rzeczy samej, z każdym rozwiązaniem problemu pojawiały się nowe kwestie. Był jednak na tyle bystry że każdy następny problem był mniejszy niż te przed nim. Dlatego, zamiast roślin, które ginęły z powodu rozproszonych promieni słońca i pełnej popiołu ziemi, dostaliśmy rośliny które miały niewystarczające wartości odżywcze.

Rzeczywiście uratował świat. Owszem, wcześniej prawie go zniszczył - ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, doskonale sobie poradził. Przynajmniej, w przeciwieństwie do nas, nie uwolnił Zniszczenia.

18

Sazed klepnął konia w zad, a ten odbiegł galopem. Kopyta podrzucały bryłki zbitego popiołu. Sierść zwierzęcia niegdyś była idealnie biała, teraz stała się szara. Do tego było widać zebra - koń był tak bardzo niedożywiony, że nie mógł już utrzymać jeźdźca, a nie mieli możliwości go dokarmiać.

- Cóż za smutny widok - zauważył Breeze, stojący obok Sazed na pokrytej warstwą popiołu drodze.

Ich składająca się z dwóch setek ludzi straż czekała w ciszy, patrząc na biegnącego wierzchowca. Sazed nie mógł powstrzymać myśli, że uwolnienie ostatniego konia było symboliczne.

- Myślisz, że przeżyje? - spytał Breeze.

- Podejrzewam, że przez jakiś czas będzie mu się udawało znaleźć pod popiołem coś jadalnego -

odparł Sazed. - Ale nie będzie to łatwe.

Breeze chrząknął.

- Ostatnio życie jest trudne dla nas wszystkich. Cóż, życzę mu wszystkiego najlepszego. Dołączysz do mnie w powozie?

Sazed spojrział przez ramię w stronę pojazdu, który został odciążony i przerobiony tak, że ciągnęli go żołnierze. Usunęli drzwi i zastąpili je zasłonami, odjęli też pewne elementy z tyłu. Ze względu na zmniejszony ciężar i dwie setki żołnierzy, którzy mogli się wymieniać, pojazd nie był zbyt wielkim obciążeniem. Mimo to, Sazed wiedział, że czułby się winny, gdyby ktoś go ciągnął. Instynkty sługi były zbyt silne.

- Nie - odparł. - Wolę się przejść.

Breeze pokiwał głową i wrócił do powozu, gdzie usiadł z Allriane. Przez całą drogę jeden z żołnierzy trzymał parasol nad jego głową. Wystawiony na popiół Sazed naciągnął

kaptur podróżnego płaszcza, włożył teczkę pod pachę i ruszył naprzód.

- Kapitanie Goradelu - powiedział - możecie ruszać dalej.

I tak zrobili. Wędrówka była trudna - warstwa popiołu stawała się coraz grubsza, a stąpanie po niej było męczące. Popiół był śliski i poruszał się pod stopami, przez co przypominało to chodzenie po piasku. Jednakże trudy marszu nie wystarczyły, by Sazed oderwał się od niepokojących uczuć. Miał nadzieję, że odwiedzenie armii - spotkanie z Elendem i Vin - da mu wytchnienie. To byli jego bliscy przyjaciele, a ich uczucia wobec siebie zawsze dodawały mu sił. W końcu to on udzielił im ślubu.

Niestety, to spotkanie jedynie pogłębiło jego niepokój. Vin pozwoliła Elendowi umrzeć, pomyślał. I to z powodu rzeczy, których ją nauczyłem.

W kieszeni rękawa nosił rysunek kwiatu, próbując znaleźć sens w rozmowie z Vin.

Jakim sposobem stał się tym, do którego ludzie przychodzili ze swoimi problemami? Nie wyczuwali, że był hipokrytą, zdolnym do sformułowania odpowiedzi, które brzmiały dobrze, ale niezdolnym do postępowania zgodnie z własnymi radami? Czuł się zagubiony. Czuł

ciężar, który go przytłaczał, kazał mu się poddać.

Jakże łatwo Elend mówił o nadziei i humorze, jakby bycie szczęśliwym było decyzją, którą człowiek mógł podjąć. Niektórzy ludzie zakładali, że tak jest. Niegdyś Sazed mógłby się z nimi zgodzić. Teraz czuł ściskanie w żołądku i mdłości na myśl o podejmowaniu jakiegokolwiek działania. Jego myśli ciągle wypełniały wątpliwości.

Do tego właśnie służy religia, pomyślał Sazed, przebijając się przez popiół na czele kolumny, niosąc plecak na ramionach. Pomaga ludziom przetrwać takie chwile.

Spojrzał na swoją teczkę. Później, nie przerywając marszu, otworzył ją i przejrzał

kartki. Ani jedna religia nie miała odpowiedzi, których szukał. Może po prostu znał je zbyt dobrze? Większość ekipy miała problemy z oddawaniem czci Kelsierowi tak, jak inni skaa, gdyż znali jego wady i słabostki. Wpierw poznali go jako człowieka, a dopiero później jako boga. Może tak samo było z innymi religiami i Sazedem. Znał je za dobrze i zbyt łatwo dostrzegał ich skazy.

Nie dyskredytował ludzi, którzy wyznawali religie, ale - jak na razie - w każdej z przebadanych wiar znajdował sprzeczności i hipokryzję. Bóstwo miało być doskonałe.

Bóstwo nie pozwalało, by jego wyznawcy byli zarzynani, i z pewnością nie pozwoliłoby, żeby świat został zniszczony przez dobrych ludzi, którzy tylko próbowali go uratować.

Jedna z pozostałych z pewnością zapewni mu odpowiedź. Musiała istnieć prawda, którą mógł odkryć. Gdy poczuł, że opanowuje go przygnębienie, powrócił do badań, wziął

kolejny arkusz i przypiął go na zewnątrz teczki. Miał zamiar rozważać go podczas marszu, odwracając teczkę na drugą stronę w chwilach, gdy nie będzie czytał, żeby uchronić arkusz przed zaplamieniem popiołem.

Znajdzie odpowiedzi. Nie odważył się myśleć o tym, co zrobi, jeśli ich nie będzie.

* * *

W końcu dotarli do Środkowego Dominium, na tereny, w których ludzie wciąż jeszcze mogli walczyć o żywność i życie. Breeze i Allrianne pozostawali w powozie, lecz Sazed cieszył się, że może iść, nawet jeśli utrudniało mu to skupienie nad religiami.

Nie był pewien, co sądzić o uprawianych polach. Mijali ich dziesiątki - Elend ściągnął

wielu ludzi do Środkowego Dominium, a później rozkazał im uprawiać ziemię, by zapewnić żywność na nadchodzącą zimę. Nawet skaa, którzy mieszkali w miastach, byli przyzwyczajeni do ciężkiej pracy i szybko wypełnili rozkazy Elenda. Sazed nie wiedział, czy ludzie pojmują, jak trudna jest ich sytuacja, czy też po prostu ucieszyli się, że ktoś im powiedział, co mają robić.

Przy drodze widzieli sterty popiołu. Każdego dnia robotnicy skaa musieli usuwać popiół, który spadł przez noc. To niekończące się zadanie - połączone z koniecznością noszenia wody na nowe pola, pozbawione systemów irygacyjnych - sprawiało, że uprawa roli była wyjątkowo pracochłonna.

Ale rośliny rosły. Oddział Sazedą mijał pole za polem, wszystkie pełne brązowych roślin. Ten widok powinien był przynieść mu nadzieję. Jednakże trudno mu było patrzeć na młode pędy, nie czując jeszcze większej rozpacz. Wydawały się tak słabe i małe w porównaniu z potężnymi stertami popiołu. Nawet pomijając mgły, jak Elend mógł w takich warunkach wyżywić całe cesarstwo? Ile zostało im czasu, nim popiołu spadnie tak dużo, że nie będzie go gdzie usuwać? Skaa pracowali na polach, wyglądając niemal tak, jak za czasów Ostatniego Imperatora. Czy coś się dla nich zmieniło?

- Popatrz tylko na nich - powiedział ktoś.

Sazed odwrócił się i zobaczył podchodzącego kapitana Goradela. Łysy, ogorzały mężczyzna był z natury dobroniosny - tę cechę posiadała większość żołnierzy, których awansował Ham.

- Wiem - powiedział cicho Sazed.

- Nawet kiedy pamiętam o mgłę i popiele, ich widok dodaje mi nadziei.

Sazed gwałtownie poderwał głowę.

- Naprawdę?

- Pewnie - odparł Goradel. - Moja rodzina uprawiała rolę, mistrzu Terrisaninie.

Mieszkaliśmy w Luthadel, ale pracowaliśmy w polu za murami.

- Ale byłeś żołnierzem - zauważył Sazed. - Czy to nie ty poprowadziłeś lady Vin do pałacu w noc, kiedy zabiła Ostatniego Imperatora?

Goradel pokiwał głową.

- Właściwie poprowadziłem lorda Elenda do pałacu, na ratunek lady Vin, choć okazało się, że ona nie potrzebuje naszej pomocy. Tak czy inaczej, masz rację. Byłem żołnierzem w pałacu Ostatniego Imperatora... rodzice się mnie wyrzekli, gdy wstąpiłem do armii. Ale nie mogłem znieść myśli o spędzeniu całego życia w polu.

- To mozolna praca.

- Nie o to chodziło - sprzeciwił się Goradel. - Nie o wysiłek, tylko... brak nadziei. Nie mogłem znieść myśli, że całymi dniami będę pracował, uprawiając coś, co należy do kogoś innego. Dlatego zostawiłem rolę i zaciągnąłem się, i dlatego widok tych gospodarstw daje mi nadzieję.

Goradel wskazał głową na pobliskie pole. Kilku skaa uniosło głowy, a na widok sztandaru Elenda pomachało rękami.

- Ci ludzie - powiedział Goradel - pracują, ponieważ tego chcą.

- Pracują, ponieważ inaczej umarliby z głodu.

- Pewnie masz rację. Ale nie dlatego, że gdyby tego nie robili, ktoś by ich pobił...

pracują, by ich rodziny i przyjaciele nie umarli. Dla rolnika to różnica. Widać to w ich postawie.

Sazed zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział.

- Tak czy inaczej, mistrzu Terrisaninie - powiedział kapitan - przyszedłem tu, żeby zaproponować postój w Luthadel na czas zgromadzenia zapasów.

- Tego się właśnie spodziewałem - rzekł Sazed. - Ja jednak muszę opuścić was na kilka dni, gdy udacie się do Luthadel. Lord Breeze może przejąć dowodzenie. Spotkam się z wami na północnej drodze.

Goradel pokiwał głową i odszedł, by zająć się przygotowaniami. Nie pytał, dlaczego Sazed pragnie ich opuścić ani gdzie się wybiera.

* * *

Kilka dni później Sazed dotarł samotnie do Czeluści Hathsin. Teraz, gdy popiół

pokrywał wszystko, okolica nie wyróżniała się niczym szczególnym. Stopy Sazedą wzbijały grudy zbitego popiołu, gdy wspinał się na szczyt wzgórza. Spojrzał z góry na dolinę, w której znajdowały się Czeluście - miejsce, gdzie zamordowano żonę Kelsiera. Miejsce, w którym narodził się Ocalały.

Teraz była to ojczyzna Terrisan.

Nie zostało ich wielu. Nigdy nie byli zbyt liczni, a nadejście mgieł i trudna droga do Środkowego Dominium jeszcze ich zdziesiątkowały. Zostało ich może czterdzieści tysięcy. A wielu mężczyzn było eunuchami, jak Sazed.

Sazed ruszył w głąb doliny. Było to dobre miejsce do osiedlenia Terrisan. Za czasów Ostatniego Imperatora pracowały tu setki niewolników, pilnowane przez kolejne setki żołnierzy. Wszystko się skończyło, gdy Kelsier powrócił do Czeluści i uniemożliwił

produkcję atium. Jednakże w Czeluściach wciąż znajdowały się budynki i cała infrastruktura niezbędna w czasie, gdy kopalnie jeszcze działały. Było mnóstwo czystej wody i miejsce do schronienia. Terrisanie zabrali się za ulepszenia, zmieniając niegdyś najbardziej przerażający z obozów pracy w idylliczne zbiorowisko wiosek.

Schodząc z góry, Sazed widział ludzi zmiatających popiół z ziemi i odsłaniających naturalną roślinność, którą mogły się paść zwierzęta. Zarośla dominujące w Środkowym Dominium były odporne i wytrzymałe, przystosowane do popiołu i nie potrzebowały tyle wody, ile rośliny uprawne. To oznaczało, że Terrisanom właściwie żyło się łatwiej niż innym.

Jeszcze przed Wstąpieniem Ostatniego Imperatora byli pasterzami. Stado przysadzistych, krótkonogich owiec krążyło po zboczach, przeżuając odsłonięte pędy.

Terrisanie, pomyślał Sazed, którym żyje się łatwiej niż innym. Dziwnie się dzieje na tym świecie.

Jego nadejście wkrótce zwróciło uwagę. Dzieciaki pobiegły po rodziców i z chat zaczęły wyglądać ludzie. Owce zbierały się wokół Sazedą, jakby miały nadzieję, że przynosi przysmaki.

Kilku starych mężczyzn wspięło się na wzgórze, poruszając się tak szybko, jak im na to pozwalały powykręcane kończyny. Podobnie jak Sazed, nadal nosili kolorowe stroje lokajów. I, podobnie jak Sazed, starannie oczyszczali je z popiołu, ukazując barwne wzory z przodu. Niegdyś desenie te oznaczały ród, któremu służył każdy z lokajów.

- Lordzie Sazedzie! - powiedział z zapalem jeden z nich.

- Wasza Wysokość! - odezwał się inny.

Wasza wysokość.

- Proszę - powiedział Sazed, unosząc ręce - nie nazywajcie mnie tak.

Dwaj starzejący się lokaje popatrzyli po sobie.

- Proszę, mistrzu Opiekunie. Przyniesiemy coś ciepłego do zjedzenia.

Tak, popiół był czarny. Nie, nie powinien być. Zazwyczaj popiół ma czarne elementy, ale jest również szary i biały, nie tylko czarny.

Popiół z popielnych gór... był inny. Niczym same mgły popiół pokrywający nasze ziemie nie był zjawiskiem naturalnym. Może to wpływ mocy Zniszczenia - tak czarnego, jak Zachowanie jest białe. A może to po prostu natura popielnych gór, wymyślonych i stworzonych, by wyrzucać popiół i dym w niebo.

19

- Wstawaj!

Panowała ciemność.

- Wstawaj!

Spook otworzył oczy. Wszystko wydawało się takie niewyraźne, takie przytłumione.

Ledwie widział. Świat był rozmazany. I... czuł się otępiały. Martwy. Dlaczego nic nie czuł?

- Spook, musisz wstawać!

Głos przynajmniej brzmiał wyraźnie. Jednakże wszystko inne wydawało się mętne. Z

trudem myślał. Zamrugał, jęcząc cicho. Co z nim było nie tak? Okulary i opaska zniknęły, więc powinien dobrze widzieć, lecz wszystko było tak ciemne.

Skończyła mu się cyna.

W jego żołądku nic nie płonęło. Znajomy ogień, uspokajający płomyk we wnętrzu, zniknął. Był jego towarzyszem przez ponad rok, zawsze na miejscu. Bał się tego, co robił, ale nigdy nie pozwolił mu zgasnąć.

To dlatego wszystko wydawało się tak przytępione. Czy tak żyli inni ludzie? Czy on tak kiedyś żył? Ledwie widział - zniknęły wyraźne, bogate szczegóły, do których był

przyzwyczajony. Jaskrawe barwy i wyraziste krawędzie. Miast tego wszystko było bezbarwne i mgliste.

Wydawało mu się, że ma zapchane uszy. Jego nos... nie czuł zapachu desek podłogi, nie umiał rozpoznać gatunku drewna po jego woni. Nie wyczuwał ciał ludzi, którzy go mijali.

Nie czuł poruszeń ludzi w innych pomieszczeniach.

A... był w pomieszczeniu. Potrząsnął głową, usiadł, spróbował pomyśleć. Natychmiast poczuł ból w ramieniu. Nikt nie opatrzył rany. Przypomnił sobie miecz przebijający ciało w pobliżu barku. Taka rana nie leczyła się łatwo - jego lewa ręka nie działała właściwie i dlatego miał tyle problemów ze wstaniem.

- Straciłeś dużo krwi - usłyszał czyjś głos. - Wkrótce umrzesz, nawet jeśli nie pochłoną cię płomienie. Nie szukaj sakiewki z cyną u pasa, zabrali ją.

- Płomienie? - wychrypiał Spook, mrugając. Jak ludzie przeżywali w świecie, który był tak ciemny?

- Nie czujesz ich, Spook? Są blisko.

Widział światło w pobliżu, w korytarzu. Spook potrząsnął głową, próbując oczyścić umysł. Jestem w domu, pomyślał. Ładnym. Rezydencji szlachetnie urodzonego.

A oni ją podpalili.

To w końcu skłoniło go do wstania, choć natychmiast upadł. Jego ciało było zbyt słabe, a umysł zbyt zamglony, by Spook mógł się utrzymać na nogach.

- Nie idź - powiedział ktoś. Gdzie Spook słyszał wcześniej ten głos? Ufał mu. -

Czołgaj się.

Spook zrobił, jak mu kazano, czołgając się do przodu.

- Nie, nie w stronę płomieni! Musisz się wydostać, żebyś mógł ukarać tych, którzy ci to zrobili. Myśl, Spook!

- Okno - wychrypiał Spook, odwracając się w bok i czołgając w stronę jednego z nich.

- Zabite deskami - powiedział głos. - Widziałeś to wcześniej, z zewnątrz. Jest tylko jeden sposób, by przeżyć. Musisz mnie posłuchać.

Spook tępo pokiwał głową.

- Wyjdź przez drugie drzwi. Poczłgaj się w stronę schodów prowadzących na piętro.

Chłopak tak zrobił, zmuszając się do ciągłego ruchu. Jego ręce były bezwładne niczym ciężarki

przymocowane do ramion. Tak długo rozjarzał cynę, że normalne zmysły już mu nie wystarczały. Znalazł schody, choć do tego czasu już kaszlał. To z powodu dymu, wypowiedziała mu część umysłu. Pewnie dobrze, że się czołgał.

Wspinając się, czuł żar. Płomienie jakby go goniły, pochłaniały komnatę, z której wyszedł, gdy on wspinał się po schodach, wciąż oszołomiony. Dotarł do szczytu i poślizgnął

się na własnej krwi. Z jękiem oparł się o ścianę.

- Wstawaj! - powiedział głos.

Gdzie ja go wcześniej słyszałem? - pomyślał znowu. Dlaczego chcę robić to, co mi każe? Był tak blisko. Przypomniałby sobie, gdyby nie był tak otępiały. Jednak posłuchał, znów schodząc na czworaki.

- Drugi pokój po lewej - nakazał głos.

Spook czołgał się, nie myśląc. Płomienie wspinały się po schodach, migotały na ścianach. Jego węch był słaby, podobnie jak inne zmysły, ale podejrzewał, że dom został

zalany olejem. Wówczas efekt był bardziej spektakularny.

- Stop. To ta komnata.

Spook skręcił w lewo i wczołgał się do pomieszczenia. Był to gabinet, doskonale wyposażony. Złodzieje w mieście narzekali, że płądrowanie takich miejsc nie było warte zachodu. Obywatel zakazywał ostentacji, więc drogie meble się nie sprzedawały, nawet na czarnym rynku. Nikt nie chciał dać się złapać na posiadaniu luksusów, żeby nie spłonąć w trakcie jednej z egzekucji Obywatela.

- Spook!

Spook słyszał o tych egzekucjach. Nigdy wcześniej ich nie widział. Zapłacił Durnowi, żeby miał oko na następną. Za te pieniądze Spook miał zostać poinformowany z wyprzedzeniem, jak również uzyskać dobre miejsce do obserwacji płonącego budynku. A do tego Durn obiecał coś jeszcze, coś, co mogło zainteresować Spooka. Coś wartego pieniędzy, które zapłacił.

Policz czaszki.

- Spook!

Spook otworzył oczy. Upadł na ziemię i zaczął odpływać. Płomienie już lizały sufit.

Budynek umierał. Chłopak nie mógł uciec, nie w tym stanie.

- Idź do biurka - rozkazał głos.

- Jestem martwy - wyszeptał Spook.

- Wcale nie. Idź do biurka.

Spook odwrócił głowę i spojrzał w płomienie. Stała w nich postać, mroczna sylwetka.

Ściany płonęły, wybrzuszały się i syczały, gips i farba czerniały. A jednak ta cienista postać za nic miała ogień. Wydawała się znajoma. Wysoka. Majestatyczna.

- Ty...? - wyszeptał Spook.

- Idź do biurka!

Spook podniósł się na kolana. Doczołgał się do biurka, ciągnąc za sobą bezużyteczną rękę.

- Prawa szuflada.

Spook wysunął ją, po czym oparł się o nią bezwładnie. W środku coś było.

Flakoniki?

Wyciągnął po nie ręce. To były fiołki, w jakich Allomanci przechowywali opiłki metalu. Spook podniósł jedną z nich, zaraz jednak wysunęła się z jego bezwładnych palców.

Roztrzaskała się. Wpatrywał się w płyn, który był w środku - roztwór alkoholu, chroniący płatki metalu przed korozją i pomagający Allomancie w ich przełknięciu.

- Spook!

Spook tępo sięgnął po kolejny flakonik. Zębami wyciągnął zatyczkę, czując płonący wokół ogień. Przeciwległa ściana niemal przestała istnieć. Płomień skradał się w jego stronę.

Wypił zawartość fiołki, po czym sięgnął w głąb siebie, szukając cyny. Nie było jej.

Spook krzyknął z rozpacz, upuszczając fiołkę. Nie zawierała cyny. Zresztą, jak ona mogła go uratować? Tylko wyraźniej poczułby płomienie i swoją ranę.

- Spook! Spal go!

- To nie cyna! - jęknął Spook.

- Nie cyna! Właściciel tego domu nie był Cynookim!

Nie cyna. Spook zamrugał. Później, sięgając w głąb siebie, znalazł coś całkowicie nieoczekiwanego. Coś, czego nigdy nie spodziewał się zobaczyć, coś, co nie powinno istnieć.

Nowa rezerwa metalu. Spalił ją.

Jego ciało wypełniła siła. Drżące ręce się uspokoiły. Słabość jakby uciekła, odrzucona niczym mrok przez wschodzące słońce. Poczł napięcie i siłę, a jego mięśnie naprężyły się w oczekiwaniu.

- Wstań!

Gwałtownie uniósł głowę. Zerwał się na równe nogi i tym razem nie czuł zawrotów głowy. Umysł wciąż miał otępsiały, lecz jedno było dla niego jasne - tylko jeden metal mógł

odmienić jego ciało, uczynić je silnym mimo poważnej rany i upływu krwi.

Spook spalał cynę z ołowiem.

Postać stała w płomieniach, mroczna, niewyraźna.

- Dałem ci błogosławieństwo cyny z ołowiem, Spook. Wykorzystaj je, żeby uciec z tego miejsca. Możesz przebić się przez deski na drugim końcu tego korytarza, uciec na dach sąsiedniego budynku. Żołnierze cię nie zobaczą, będą zbyt zajęci pilnowaniem, by ogień się nie rozprzestrzenił.

Spook pokiwał głową. Gorąco już mu nie przeszkadzało.

- Dziękuję.

Postać zrobiła krok do przodu, stając się czymś więcej niż tylko sylwetką. Płomienie rozświetlały stanowczą twarz mężczyzny i podejrzenia Spooka znalazły potwierdzenie. Nic dziwnego, że mu zaufał i wykonał jego polecenia.

Zrobiłby wszystko, co powiedziałby mu ten człowiek.

- Nie dałem ci cyny z ołowiem, byś mógł przeżyć, Spook - powiedział Kelsier, wskazując ręką. - Dałem ci ją, byś mógł się zemścić. A teraz idź!

Więcej niż jedna osoba twierdziła, że wyczuwa świadomą nienawiść w mgłach. Nie ma to jednak większego związku z mgłami zabijającymi ludzi. Dla większości - nawet tych, których powaliły - mgły wydawały się jedynie zjawiskiem pogodowym, ani bardziej świadomym, ani bardziej żądnym zemsty niż straszliwa choroba.

Jednakże dla niektórych było coś więcej. Mgła krążyła wokół tych, których faworyzowała. Cofała się od tych, wobec których była wroga. Niektórzy czuli w niej spokój, inni nienawiść. Wszystko zależało od subtelnego dotyku Zniszczenia i sposobu, w jaki się nań reagowało.

20

TenSoon siedział w klatce.

Sama obecność klatki była obelgą. Kandra nie przypominali ludzi - nawet gdyby nie został uwięziony, TenSoon nie próbowałby uciekać. W końcu przybył, by świadomie przyjąć swój los.

A jednak go zamknęli. Nie był pewien, skąd kandra wzięli klatkę - z pewnością normalnie jej nie potrzebowali. Jednakże Drugim udało się ją znaleźć i umieścić w jednej z głównych jaskiń Ojczyzny. Wykonano ją z żelaznych płyt i stalowych prętów, z mocną metalową siatką rozciągniętą z czterech stron, by uniemożliwić mu porzucenie kości i wyslizgnięcie się na zewnątrz. To była kolejna obelga.

TenSoon siedział w środku, nagi na zimnej żelaznej podłodze. Czyżby nie osiągnął nic poza własnym potępieniem? Czy jego słowa w Labiryncie Zaufania nie miały znaczenia?

Wokół jego klatki jaskinię rozświetlały hodowlane mchy, a kandra zajmowali się swoimi obowiązkami. Wielu zatrzymywało się, by się mu przyjrzeć. Taki był cel długiej przerwy między sądem a ogłoszeniem wyroku. Drugie Pokolenie nie potrzebowało wielu tygodni, by rozważyć, co ma zamiar z nim zrobić. TenSoon zmusił ich, by pozwolili mu na wypowiedzenie się i Drudzy chcieli się upewnić, że zostanie odpowiednio ukarany. Wystawili go na widok publiczny, niczym człowieka w dybach. W całej historii kandra nikt inny nie został potraktowany w taki sposób. Jego imię przez stulecia będzie synonimem hańby.

My nie przetrwamy stuleci, pomyślał gniewnie. O to chodziło w mojej przemowie.

Niestety, nie udało mu się zbytnio. Jak mógł wyjaśnić swojemu ludowi, co czuł? Że ich tradycje zaczynały mieć znaczenie, że ich życie - od dawna tak stabilne - dramatycznie potrzebowało zmiany.

Co wydarzyło się na górze? Czy Vin poszła do Studni Wstąpienia? Co ze Zniszczeniem i Zachowaniem? Bogowie kandra znów ze sobą walczyli, a jedyni, którzy o nich wiedzieli, zachowywali się, jakby nic się nie działo.

Poza klatką kandra prowadzili swoje życie. Niektórzy szkolili nowe pokolenia -

widział przechodzące obok Jedenastki, przypominające bryły z błyszczącymi kośćmi.

Przeobrażenie z mgielnego upióra w kandra było trudne. Otrzymawszy Błogosławieństwo, mgielny upiór tracił większość swoich instynktów, zyskując w zamian rozum, i musiał się ponownie nauczyć, jak tworzyć mięśnie i ciała. Proces ten trwał wiele lat.

Starsi kandra zajmowali się przygotowaniem pożywienia. Dusili mieszankę wodorostów i grzybów w kamiennych jamach, całkiem podobnych do tej, w której TenSoon miał spędzić wieczność. Mimo swej dawnej nienawiści do rodzaju ludzkiego, TenSoon zawsze traktował możliwość spożywania tamtejszego jedzenia - szczególnie skruszonego mięsa - jako rodzaj kuszącego wynagrodzenia za Kontrakt.

Teraz nie dostawał zbyt wiele do picia, nie wspominając o jedzeniu. Westchnął i spojrzał przez kraty na potężną jaskinię. Jaskinie Ojczyzny były ogromne, zbyt wielkie dla samych kandra. Właśnie to w nich podobało się jego ludowi. Po spędzeniu wielu lat na Kontrakcie - wypełniając wszelkie zachcianki pana, często przez dziesięciolecia - możliwość przebywania w samotności była bardzo cenna.

Samotność, pomyślał TenSoon. Wkrótce będę jej miał aż za dużo. Myśl o wieczności w uwięzieniu

sprawiała, że mniej się irytował na tych, którzy przychodzili i gapili się na niego. To ostatni z jego rodzaju, których zobaczy. Rozpoznawał wielu z nich. Czwórki i Piątki przychodziły, żeby spluwać na ziemię przed nim, pokazując swoje oddanie Drugim.

Szóstki i Siódemki - to one głównie służyli na górze - przybywały, by mu współczuć i potrząsać głowami na widok upadłego przyjaciela. Ósemki i Dziewiątki przychodziły z ciekawości, zadziwione, że ktoś tak stary mógł tak nisko upaść.

I wtedy wśród obserwujących grup zobaczył szczególnie znajomą twarz. TenSoon odwrócił się, zawstydzony, gdy MeLaan podeszła, a w jej ogromnych oczach ujrzał smutek.

- TenSoon? - szepnęła.

- Odejdź, MeLaan - powiedział cicho, odwrócony plecami do krat, przez co patrzył na inną grupę kandra, obserwującą go z drugiej strony.

- TenSoon... - powtórzyła.

- Nie chcę, żebyś mnie takiego widziała, MeLaan. Proszę, odejdź.

- Nie powinni byli ci tego zrobić - powiedziała. W jej głosie usłyszał gniew. - Jesteś niemal tak stary jak oni i o wiele mądrzejszy.

- To Drugie Pokolenie - stwierdził TenSoon. - Zostali wybrani przez tych z Pierwszego. Przewodzą nam.

- Nie muszą nam przewodzić.

- MeLaan! - powiedział i w końcu się do niej odwrócił.

Większość gapiów trzymała się z dala, jakby zbrodnia TenSoona była chorobą, którą mogli się zarazić. MeLaan kuciała samotnie obok jego klatki, jej Prawdziwe Ciało z wydłużonych drewnianych kości sprawiało, że wydawała się nienaturalnie chuda.

- Mógłbyś rzucić im wyzwanie - powiedziała cicho MeLaan.

- A kim według ciebie jesteśmy? - spytał TenSoon. - Ludźmi, z ich buntami i niepokojami? Jesteśmy kandra. Pochodzimy od Zachowania. Zachowujemy porządek.

- Wciąż kłaniasz się przed nimi? - wysyczała MeLaan, przyciskając wąską twarz do krat. - Po tym, co powiedziałaś... co dzieje się na górze?

TenSoon się zawahał.

- Na górze?

- Miałaś rację, TenSoonie - wyjaśniła. - Popiół pokrywa ziemię czarnym płaszczem.

Mgły przychodzą w ciągu dnia, zabijając rośliny i ludzi. Mężczyźni idą na wojnę. Zniszczenie powróciło.

TenSoon zamknął oczy.

- Coś zrobią - powiedział w końcu. - Pierwsze Pokolenie.

- Są starzy - sprzeciwiła się MeLaan. - Starzy, zapominalscy, bezsilni.

Otworzył oczy.

- Bardzo się zmieniłaś.

Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie powinni dać dzieci z nowego pokolenia na wychowanie Trzecim. Jest nas wielu z młodszych pokoleń, którzy chcą walczyć. Drudzy nie mogą wiecznie rządzić. Co możemy zrobić, TenSoon? Jak możemy ci pomóc?

Och, dziecko, pomyślał. Nie myślisz, że wiedzą o was?

Ci z Drugiego Pokolenia nie byli głupi. Może i się rozleniwili, ale byli starzy i przebiegli - TenSoon rozumiał to, gdyż dobrze znał każdego z nich. Jakiś kandra na pewno nasłuchiwał, żeby się dowiedzieć, co zostanie powiedziane przy jego klatce. Kandra z Czwartego lub Piątego pokolenia, obdarzony Błogosławieństwem Świadomości mógł stać w sporej odległości, a mimo to słyszeć każde słowo wypowiedziane przy jego klatce.

TenSoon był jednym z kandra. Powrócił, by przyjąć karę, ponieważ to było właściwe.

Nie chodziło tylko o honor ani tylko o Kontrakt, lecz o to, kim był.

A jednak, jeśli słowa MeLaan były prawdą...

Zniszczenie powróciło.

- Jak możesz po prostu tak tu siedzieć? - spytała MeLaan. - Jesteś silniejszy niż oni, TenSoonie.

Potrząsnął głową.

- Złamałem Kontrakt, MeLaan.

- Dla większego dobra.

Przynajmniej ją udało mi się przekonać.

- Czy to prawda, TenSoonie? - spytała bardzo cicho.

- Co?

- O OreSeurze. Miał Błogosławieństwo Siły. Musiałeś je odziedziczyć, kiedy go zabiłeś. Ale nie znaleźli go w twoim ciele, kiedy cię pojмали. Co z nim zrobiłeś? Czy mogę je przynieść? Dostarczyć ci je, żebyś mógł walczyć?

- Nie będę walczył przeciwko własnemu ludowi, MeLaan - odpowiedział. - Jestem z kandra.

- Ktoś musi nas poprowadzić! - wysyczała.

To stwierdzenie było prawdą. Jednakże nie było to prawem TenSoona. Nie, to było prawo Drugiego Pokolenia, a nawet Pierwszego. To było prawo tego, który ich stworzył. On nie żył. Lecz ktoś inny zajął jego miejsce.

MeLaan milczała przez chwilę, wciąż klęcząc przy jego klatce. Może czekała na zachętę z jego strony, a może, by został przywódcą, którego szukała. Nie odezwał się.

- Czyli przybyłeś tutaj, by umrzeć - stwierdziła w końcu.

- Aby opisać, co odkryłem. Co poczułem.

- A później co? Przybywasz, ogłaszasz straszliwe wieści, po czym pozwalasz nam samodzielnie rozwiązać problemy.

- To nie w porządku, MeLaan - odparł. - Przybyłem, bo staram się być dobrym kandra.

- To walcz!

Potrząsnął głową.

- W takim razie to prawda - stwierdziła. - Inni z mojego pokolenia mówili, że złamał cię ten twój ostatni pan. Mężczyzna Zane.

- Nie złamał mnie - odparł TenSoon.

- Ach tak? A dlaczego wróciłeś do Ojczyzny w tym... ciele, które wykorzystywałeś?

- Kości psa? - spytał TenSoon. - Nie dostałem ich od Zane'a, ale od Vin.

- Czyli to ona cię złamała.

TenSoon westchnął cicho. Jak mógł to wyjaśnić? Z jednej strony wydawało mu się ironiczne, że MeLaan - która celowo nosiła nieludzkie Prawdziwe Ciało - uzna noszenie przez niego ciała psa za tak niesmaczne. Mimo to, rozumiał. Sam dopiero po dłuższym czasie docenił zalety tych kości.

Zawahał się.

Ale nie. Nie wrócił, by wywołać rewolucję. Przybył, by wyjaśnić, by służyć interesom swojego ludu.

Zrobi to, przyjmując karę, jak porządny kandra.

A jednak...

Istniała szansa. Niewielka. Nie był nawet pewien, czy pragnął uciec, ale gdyby pojawiła się okazja...

- Te kości, które nosiłem - powiedział TenSoon. - Wiesz, gdzie są?

MeLaan się skrzywiła.

- Nie. A po co ci one?

Potrząsnął głową.

- Po nic - powiedział, starannie dobierając słowa. - Były haniebne! Zostałem zmuszony do noszenia ich ponad rok, przyjęcia upokarzającej roli psa. Odrzuciłbym je, ale nie miałem ciała do pochłonięcia i musiałem powrócić, nosząc to okropne ciało.

- Unikasz prawdziwej kwestii, TenSoon.

- Nie ma prawdziwej kwestii, MeLaan - odparł, odwracając się od niej. Niezależnie od tego, czy jego plan się powiedzie, nie chciał, by Drudzy ukarali ją za związki z nim. - Nie zbuntuję się przeciwko swojemu ludowi. Proszę, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, zostaw mnie w spokoju.

MeLaan syknęła cicho. Usłyszał, jak wstaje.

- Niegdyś byłem największym z nas.

TenSoon westchnął cicho, gdy odchodziła. Nie, MeLaan. Nigdy nie byłem największy. Do niedawna byłem najbardziej praworządnym z mojego pokolenia, konserwatystą, którego wyróżniała jedynie jego nienawiść do ludzi. Teraz stałem się największym zbrodniarzem w historii naszego ludu, ale głównie przypadkiem.

To nie wielkość. To głupota.

Nie powinno nikogo dziwić, że Elend stał się tak potężnym Allomantą. To udokumentowany fakt - choć dokumenty te były dostępne niewielu - że w początkowych latach Ostatniego Imperium Allomanci byli silniejsi.

W owych czasach Allomanta nie potrzebował duraluminium, by przejąć kontrolę nad kandra czy kolossem. Wystarczało proste Przyciąganie lub Odpychanie uczuć. W rzeczy samej, ta umiejętność była głównym powodem, dla którego kandra wymyślili Kontrakty z ludźmi - gdyż w tamtych czasach nie tylko Zrodzeni z Mgły, ale też Uspokajacze i Podżegacze mogli bez trudu przejmować kontrolę nad nimi.

Demoux przeżył.

Należał do większej grupy, tych piętnastu procent, które zachorowały, ale nie umarły.

Vin siedziała na szczycie kajuty na swojej łodzi, opierając rękę o drewnianą półkę i bezmyślnie bawiąc się kolczykiem swojej matki - który jak zawsze miała w uchu. Kolossy wlekły się wzdłuż ścieżki, ciągnąc barki i łodzie wzdłuż kanału. Duża część barek przewoziła zapasy - namioty, żywność, czystą wodę. Kilka jednak opróżniono, a ich zawartość przekazano na grzbiety ocalałych żołnierzy, by zapewnić miejsce dla rannych.

Vin odwróciła wzrok od barek i spojrzała do przodu. Elend stał na dziobie, jak zwykle, i spoglądał na zachód. Nie rozpamiętywał. Wyglądał jak król, który stoi wyprostowany i patrzy z determinacją w stronę swojego celu. Z brodą, dłuższymi włosami, w starannie wyczyszczonym białym mundurze tak bardzo różnił się od człowieka, którym niegdyś był.

Jego mundury się zużywały. Nie były obszarpane... wciąż były czyste i eleganckie, tak białe, jak to się dało osiągnąć w obecnych warunkach. Po prostu nie były już nowe. To były mundury należące do człowieka, który od dwóch lat prowadził wojnę.

Vin знаła go na tyle dobrze, by wyczuć, że nie wszystko jest w porządku i że nie chce o tym teraz rozmawiać.

Wstała i zeszła na dół, nieświadomie spalając cynę z ołowiem, by zachować równowagę. Z ławki przy burcie łodzi zsunęła książkę i usiadła w ciszy. Elend z nią w końcu porozmawia - zawsze to robił. Na razie miała coś innego, czym mogła się zająć.

Otworzyła książkę na zaznaczonej stronie i ponownie przeczytała pewien akapit.

Głębia musi zostać zniszczona, brzmiał tekst. Widziałem ją i czułem. Nazwa, którą jej nadałem, jest za słabym określeniem, jak sądzę. Jest jednak głęboka i niezmierna, a przy tym straszliwa. Wielu nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest rozumna, ale ja za każdym razem, kiedy bezpośrednio przed nią stawałem, wyczuwałem jej umysł, takim jaki jest.

Siedząc na ławce, przez chwilę wpatrywała się w stronicę. Obok niej przepływały wody kanału, pokryte warstwą popiołu.

Książka była dziennikiem Alendiego. Została napisana przed tysiącem lat przez człowieka, który uważał się za Bohatera Wieków. Alendi nie wypełnił swojej misji, został

zabity przez jednego ze swoich służących - Rasheka - który później przyjął moc Studni Wstąpienia i został Ostatnim Imperatorem.

Historia Alendiego w przerażający sposób przypominała historię Vin. Ona również uznała się za Bohatera Wieków. Udała się do Studni i została zdradzona. Nie zdradził jej jednak żaden z jej służących, lecz moc uwięziona w Studni. Ta moc, jak zakładała, kryła się za proroctwami na temat Bohatera Wieków.

Dlaczego powracam do tego akapitu? - pomyślała, znów na niego spoglądając. Może przez to, co powiedział jej Człowiek - że mgły jej nienawidzą. Sama wyczuła tę nienawiść i zdawało się, że Alendi czuł podobnie.

Czy mogła ufać słowom dziennika? Moc, którą uwolniła, istota, którą nazywała Zniszczeniem, udowodniła, że umie zmieniać pewne rzeczy w świecie. Drobiazgi, ale znaczące. Na przykład, tekst w książce, i dlatego oficerowie Elenda mieli teraz przekazywać wiadomości, albo zapamiętując je, albo wyryte w metalu.

I dlatego, jeśli w dzienniku znajdowały się jakieś wskazówki, Zniszczenie na pewno dawno je usunęło. Vin czuła się tak, jakby przez ostatnie trzy lata ktoś wodził ją za nos, pociągał za niewidzialne sznurki. Myślała, że ma objawienia i dokonuje wielkich odkryć, ale wszystko, co robiła, było jedynie wypełnianiem poleceń Zniszczenia.

Jednak Zniszczenie nie jest wszechmocne, pomyślała Vin. Gdyby było, nie doszłoby do walki. Nie musiałoby mnie zwięść, żebym je uwolniła.

Nie może poznać moich myśli...

Nawet ta świadomość była frustrująca. Na co zdadzą się jej myśli? Wcześniej zawsze miała Sazedą, Elenda albo TenSoona i z nimi mogła omówić takie problemy. To nie było zadanie dla Vin - nie była uczoną. Jednakże Sazed odwrócił się od swoich badań, TenSoon powrócił do swojego ludu, a Elend był ostatnio zbyt zajęty, by przejmować się czymkolwiek poza armią i polityką. Pozostała tylko Vin. A ona nadal uważała, że czytanie i nauka są nudne.

Coraz bardziej godziła się ze świadomością, że będzie musiała zrobić to co konieczne, nawet jeśli uważała to za nieprzyjemne. Nie mogła już kierować się swoimi chęciami.

Należała do Nowego Imperium. Była jego nożem - teraz czas spróbować innej roli.

Muszę to zrobić, pomyślała, siedząc w czerwonym blasku słońca. W tym kryje się zagadka, coś, co należy rozwiązać. Co tak lubił powtarzać Kelsier?

Zawsze jest kolejna tajemnica.

Wspominała Kelsiera, jak stał dumnie przed niewielką grupką złodziei, ogłaszając, że obalą Ostatniego Imperatora i oswobodzą imperium. „Jesteśmy złodziejami”, powiedział. „I to wyjątkowo dobrymi. Możemy obrabować tych, których obrabować się nie da, i wystrychnąć na dudka najsprytniejszych. Wiemy, jak się podjąć niewyobrażalnie wielkiego zadania i podzielić je na małe, proste części, a potem wykonać każdą po kolei”.

Tamtego dnia, kiedy na niewielkiej tablicy wypisał cele i plany ekipy, Vin była zadziwiona sposobem, w jaki sprawił, że niewykonalne zdawało się możliwe. Tamtego dnia zaczęła wierzyć, że Kelsierowi uda się obalić Ostatnie Imperium.

Dobrze, pomyślała, zacznę jak Kelsier, wyliczając rzeczy, które wiem na pewno.

W Studni Wstąpienia była moc, w opowieściach kryło się przynajmniej tyle prawdy.

Było również coś żywego, uwięzionego w Studni lub w jej pobliżu. Oszustwem skłoniło Vin, by wykorzystała moc do skruszenia jego kajdan. Może udałoby jej się wykorzystać moc do pokonania Zniszczenia, ale oddała ją.

Siedziała zamyślona, stukając palcem w grzbiet dziennika. Wciąż pamiętała okruchy tego, jak to było trzymać tę moc. Napełniała ją trwogą, a jednocześnie wydawała się naturalna i właściwa. W rzeczy samej, gdy ją trzymała, wszystko wydawało się naturalne. Działanie świata, zwyczaje ludzi... jakby moc była czymś więcej niż tylko prostą zdolnością. Miała w sobie również zrozumienie.

To była dygresja. Vin musiała skoncentrować się na tym, co wiedziała, zanim mogła zacząć filozofować na temat tego, co powinna zrobić. Moc była prawdziwa, podobnie jak Zniszczenie. Zniszczenie zachowało pewną możliwość zmiany świata podczas uwięzienia -

Sazed potwierdził, że jego tekst został zmieniony, by pasować do celu Zniszczenia. Teraz Zniszczenie odzyskało wolność i Vin zakładała, że stoi za morderczymi mgłami i spadającym popiołem.

Chociaż, przypomniała sobie, nie mogę być tego pewna. Co wiedziała o Zniszczeniu?

Poczuła jego dotyk w chwili, gdy je uwalniała. Miało w sobie przymus niszczenia, lecz nie było tylko chaosem. Nie działało przypadkowo. Planowało i myślało. I nie wydawało się zdolne do uczynienia wszystkiego, czego pragnęło. Zupełnie jakby kierowało się określonymi zasadami...

Zawahała się.

- Elendzie?! - zawołała.

Cesarz odwrócił się ze swojego miejsca na dziobie.

- Jaka jest pierwsza zasada Allomancji? - spytała Vin. - Pierwsza rzecz, której cię nauczyłam?

- Konsekwencje - odparł Elend. - Każde działanie ma swoje konsekwencje. Jeśli Odpychasz coś ciężkiego, odepchnie cię z powrotem. Jeśli Odpychasz coś lekkiego, odleci.

To była pierwsza lekcja, której Kelsier udzielił Vin i - jak zakładała - pierwsza rzecz, jakiej on się dowiedział od swojego mistrza.

- To dobra zasada - mówił dalej Elend, powracając do kontemplowania horyzontu. -

Dotyczy całego życia. Jeśli coś podrzucisz, spadnie z powrotem na ziemię. Jeśli wprowadzisz armię na terytorium innego władcy, on zareaguje...

Konsekwencje, pomyślała, marszcząc czoło. Jak rzeczy, które spadają, kiedy się je podrzuci do góry. Tak właśnie odbieram działania Zniszczenia. Konsekwencje. Może to był

efekt tego, że dotknęła mocy, a może racjonalizacja podsuwana przez podświadomość.

Jednakże wyczuwała w Zniszczeniu logikę. Nie rozumiała jej, ale ją widziała.

Elend znów odwrócił się do niej.

- Właściwie, dlatego lubię Allomancję. A przynajmniej jej teorię. Skaa mówią o niej szeptem, uważają ją za coś mistycznego, ale tak naprawdę jest całkiem racjonalna. Od razu wiesz, jaki będzie efekt allomantycznego Odpychania, podobnie jak wiesz, co się stanie, jeśli wyrzucisz głaz przez burtę. Na każde Odpychanie jest Przyciąganie. Nie ma wyjątków. To ma sens, w przeciwieństwie do zachowań ludzi, pełnych skaz, nieregularności i dwuznaczności.

Allomancja jest częścią natury.

Część natury.

Na każde Odpychanie jest Przyciąganie. Konsekwencje.

- To ważne - wyszeptała Vin.

- Co?

Konsekwencje.

To coś, co poczuła w Studni Wstąpienia, było niszczycielskie, jak to Alendi opisał w swoim dzienniku. Ale nie było istotą ani osobą. Było mocą - myślącą, ale wciąż mocą. A moce mają swoje zasady. Allomancja, pogoda, nawet przyciąganie ziemi. Świat był miejscem pełnym sensu. Miejscem logiki. Na każde Odpychanie jest Przyciąganie. Każda moc ma swoje konsekwencje.

Musiała więc odkryć zasady rządzące tym czymś, przeciwko czemu walczyła. Dzięki temu będzie mogła je pokonać.

- Vin? - spytał Elend, wpatrując się w jej twarz.

Odwróciła wzrok.

- To nic takiego. A przynajmniej nic, o czym mogę z tobą porozmawiać.

Przyglądał się jej przez chwilę. Myśli, że spiskujesz przeciwko niemu, wyszeptał Reen z tyłu jej głowy. Na szczęście, dni, kiedy słuchała słów Reena, minęły już dawno.

Przyglądając się Elendowi, widziała, jak powoli kiwa głową i przyjmuje jej wyjaśnienie.

Wrócił się znowu do swoich rozważań.

Vin podniosła się, podeszła doń i położyła mu dłoń na ramieniu. Westchnął, uniósł

rękę i objął ją, przyciągając do siebie. Ta ręka, niegdyś słaba należąca do uczonego, była teraz umięśniona i silna.

- O czym myślisz? - spytała Vin.

- Wiesz - odparł Elend.

- To było konieczne, Elendzie. Żołnierze w końcu musieli zostać wystawieni na mgły.

- Tak - zgodził się. - Ale chodzi o coś jeszcze. Obawiam się, że staję się taki jak on.

- Kto?

- Ostatni Imperator.

Vin parsknęła cicho i przytuliła się do Elenda.

- On by tak właśnie postąpił - stwierdził. - Poświęcił swoich ludzi dla zyskania taktycznej przewagi.

- Wyjaśniłeś to Hamowi. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie czasu.

- Nadal jest to bezwzględne. Problem polega nie na tym, że ci ludzie zginęli, ale że byłem gotów ich poświęcić. Czuję się... brutalny, Vin. Jak daleko się posunę, by osiągnąć swoje cele? Maszeruję na królestwo innego człowieka, by mu je odebrać.

- Dla większego dobra.

- Tak, to była wymówka tyranów od początku czasu. Wiem o tym. Nadal jednak prę do przodu. Dlatego właśnie nie chciałem zostać cesarzem. Dlatego pozwoliłem, by Penrod odebrał mi tron podczas oblężenia. Nie chciałem być przywódcą, który musi robić takie rzeczy. Pragnę chronić, nie oblegać i zabijać! Ale czy istnieje inne rozwiązanie? Wydaje mi się, że wszystko, co robię, muszę zrobić. Na przykład wystawić swoich ludzi na mgły. Na przykład pomaszerować na Fadrex. Musimy dostać się do tego magazynu, to jedyna szansa na znalezienie wskazówki, co mamy robić! To ma sens. Bezwzględny, brutalny sens.

„Bezwzględność jest najbardziej praktycznym z uczuć”, rozległ się szept Reena.

Zignorowała go.

- Za dużo słuchałeś Cetta.

- Być może - odparł. - Jednak jego logikę trudno zignorować. Dorastałem jako idealista, Vin; oboje wiemy, że to prawda. Cett zapewnia swego rodzaju równowagę. Jego słowa przypominają to, co mówiła Tindwyl. - Pokręcił głową. - Niedawno rozmawiałem z Cettem o allomantycznym Złamaniu. Wiesz, co robiły szlachetne rody, by się upewnić, że nie przegapią Allomantów wśród własnych dzieci?

- Bili je - wyszeptała Vin.

Moce allomantyczne pozostawały w uśpieniu, dopóki nie wydobyło ich jakieś traumatyczne

wydarzenie. Człowiek musiał się znaleźć na krawędzi śmierci i przeżyć - i dopiero wtedy budziły się jego moce. Nazywano to Złamaniem.

Elend pokiwał głową.

- Była to jedna z wielkich, paskudnych tajemnic tak zwanego szlachetnego życia.

Rodziny często traciły dzieci z powodu bicia... to pobicie musiało być brutalne, by obudzić allomantyczne zdolności. Każdy ród miał inne zwyczaje, ale zazwyczaj wybierali wiek przed osiągnięciem dojrzałości. Kiedy chłopiec lub dziewczynka osiągnęli ten wiek, byli zabierani i bici niemal na śmierć.

Vin zadrżała.

- Doskonale pamiętam moje - powiedział Elend. - Ojciec nie pobił mnie własnoręcznie, ale patrzył. Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że bicie w większości wypadków było niepotrzebne. Tylko garstka dzieci, nawet szlachetnie urodzonych, staje się Allomantami. Ja nie. Zostałem pobity bez powodu.

- Powstrzymałeś to, Elendzie - zauważyła cicho Vin.

Wkrótce po zostaniu królem Elend ustanowił nowe prawo. Człowiek po osiągnięciu dorosłości miał prawo poddać się nadzorowanemu pobiciu, lecz Elend nie pozwolił, by poddawano mu dzieci.

- I myliłem się - powiedział cicho Elend.

Vin uniosła wzrok.

- Allomanci to nasze najważniejsze zasoby, Vin - wyjaśnił Elend, spoglądając na maszerujących żołnierzy. - Cett stracił swoje królestwo i prawie życie, ponieważ nie udało mu się zebrać wystarczająco wielu Allomantów, by go chronili. A ja sprawiłem, że poszukiwanie Allomantów w naszej populacji stało się nielegalne.

- Elendzie, powstrzymałeś bicie dzieci.

- A jeśli to bicie mogłoby uratować życie? - spytał Elend. - Tak samo, jak wystawienie moich żołnierzy na mgły? A co z Kelsierem? Zyskał moce Zrodzonego z Mgły po uwięzieniu w Czeluściach Hathsin. Co by się stało, gdyby został odpowiednio pobity w dzieciństwie?

Zawsze byłby Zrodzonym z Mgły. Mógłby uratować żonę.

- I nie miałby odwagi ani motywacji, żeby obalić Ostatnie Imperium.

- A czy to, co mamy, jest lepsze? - spytał Elend. - Im dłużej sprawuję władzę, Vin, tym mocniej sobie uświadamiam, że niektóre z posunięć Ostatniego Imperatora nie były złe, jedynie skuteczne. Właściwie czy niewłaściwie, ale utrzymywał porządek w swoim królestwie.

Vin napotkała jego spojrzenie i zmusiła się do spojrzenia jej w oczy.

- Nie podoba mi się ta twoja determinacja, Elendzie.

Popatrzył ponad poczerniałymi wodami kanału.

- To nade mną nie panuje, Vin. Nie zgadzam się z większością rzeczy, które robił

Ostatni Imperator. Po prostu zaczynam go rozumieć... i to zrozumienie mnie niepokoi. -

Widziała pytania w jego oczach, ale też siłę. Spojrzał w dół i napotkał jej spojrzenie. - Mogę utrzymać władzę tylko dlatego, że wiem, iż w pewnym momencie byłem gotów ją oddać w imię tego, co było właściwie. Jeśli kiedykolwiek to utracę, powiedz mi o tym, Vin. Dobrze?

Pokiwała głową.

Elend znów spojrzał na horyzont.

Co on ma nadzieję tam zobaczyć? - pomyślała.

- Musi być równowaga, Vin - powiedział. - Jakimś sposobem ją odnajdziemy.

Równowaga między tym, kim pragniemy być i kim musimy być. - Westchnął. - Ale na razie -

dodał, wskazując w bok - musimy zadowolić się tym, kim jesteśmy.

Vin spojrzała w bok i zobaczyła, jak niewielka łódka wysłana z jednej z pozostałych łodzi dobija do ich burty. Na jej pokładzie stał mężczyzna w prostych brązowych szatach.

Nosił wielkie okulary, jakby próbował ukryć misterne tatuaże Zakonu wokół oczu, i uśmiechał się radośnie.

Vin również się uśmiechnęła. Niegdyś uważała, że szczęśliwy obligator to zawsze zły znak. Wtedy nie знаła jeszcze Noordena. Nawet za czasów Ostatniego Imperatora zadowolony uczony prawdopodobnie większość życia spędzał w swoim małym światku.

Stanowił przedziwny dowód na to, że nawet wśród - jej zdaniem - najgorszej organizacji w całym imperium można było znaleźć dobrych ludzi.

- Wasza Ekscelencjo - powiedział Noorden, schodząc z łódki i kłaniając się. Dołączyło do niego dwóch skrybów, uginających się pod księgami i rejestrami.

- Noordenie - powiedział Elend, dołączając do niego na pokładzie dziobowym. Vin podążyła za nim.
- Wykonałeś wszystkie obliczenia, o jakie cię prosiłem?

- Tak, Ekscelencjo - odparł Noorden, gdy jeden z jego pomocników otworzył rejestr i położył go na stercie ksiąg. - Muszę powiedzieć, że było to trudne zadanie, gdy armia pozostaje w ruchu i takie tam.

- Jestem pewien, że byłeś drobiazgowy jak zawsze, Noordenie - stwierdził Elend.

Spojrzał na rejestr, który wydawał się mieć dla niego sens, choć dla Vin było to zbiorowisko przypadkowych liczb.

- Co one mówią? - spytała.

- Podają liczbę chorych i martwych - wyjaśnił Elend. - Z naszych trzydziestu ośmiu tysięcy prawie sześć zachorowało. Straciliśmy około pięciuset pięćdziesięciu ludzi.

- W tym jednego z moich skrybów - dodał Noorden, kręcąc głową.

Vin zmarszczyła czoło. Nie z powodu śmierci, lecz czegoś innego, czegoś, co czuła jak swędzenie z tyłu głowy...

- Mniej śmierci niż się spodziewaliśmy - zauważył Elend, z namysłem drapiąc się po brodzie.

- Tak, Wasza Ekscelencjo - zgodził się Noorden. - Przypuszczam, że ci żołnierze są bardziej wytrzymali niż przeciętna populacja skaa. Choroba, czy cokolwiek to jest, nie zaatakowała ich aż tak mocno.

- Skąd wiesz? - spytała Vin, podnosząc wzrok. - Skąd wiesz, ilu powinno było umrzeć?

- Wcześniejsze doświadczenia, milady - odparł Noorden swoim gawędziarskim tonem.

- Z pewnym zainteresowaniem śledziliśmy te śmierci. Ponieważ choroba jest nowa, pragnęliśmy się dowiedzieć, co dokładnie ją wywołuje. To może nam pomóc znaleźć sposób jej zwalczania. Kazałem moim skrybom przeczytać wszystko, co się da, próbując znaleźć informacje o innych podobnych chorobach. Przypomina trochę trzęsawkę, choć ją wywołuje zazwyczaj...

- Noordenie - przerwała mu Vin - to znaczy, że masz liczby? Dokładne liczby?

- O to poprosił mnie jego ekscelencja, milady.

- Ilu zachorowało? - spytała Vin. - Dokładnie?

- Niech spojrzę... - odparł Noorden. Odgonił skrybę i zajrzał do rejestru. - Pięć tysięcy dwustu czterdziestu trzech.

- Jaki to procent żołnierzy? - spytała Vin.

Noorden się zawahał, po czym gestem wezwał skrybę i wykonał obliczenia.

- Około trzynastu i pół procenta, milady - odpowiedział w końcu, poprawiając okulary.

Vin zmarszczyła czoło.

- Czy w obliczeniach uwzględniłeś ludzi, którzy zginęli?

- Właściwie nie.

- A którą sumę wykorzystasteś? - pytała dalej Vin. - Ogólną liczbę żołnierzy w armii, czy ogólną liczbę tych, którzy wcześniej nie chodzili pośród mgieł?

- Pierwszą.

- Czy masz drugą liczbę? - spytała Vin.

- Tak, milady - powiedział Noorden. - Cesarz chciał znać dokładną liczbę żołnierzy, którzy mogli paść ofiarą choroby.

- Wykorzystaj tę liczbę - powiedziała Vin, spoglądając na Elenda, który wydawał się zainteresowany.

- O co w tym chodzi, Vin? - spytał, gdy Noorden i jego ludzie pracowali.

- Nie... nie jestem pewna.

- Liczby są ważne dla uogólnień - powiedział Elend. - Ale nie widzę jak...

Przerwał, gdy Noorden podniósł wzrok znad obliczeń, po czym przechylił głowę, mruczając coś pod nosem.

- Co? - spytała Vin.

- Przepraszam, milady. Byłem tylko nieco zaskoczony. Wynik wyszedł bardzo dokładny... równo szesnaście procent żołnierzy zachorowało. Co do człowieka.

- Przypadek, Noordenie - odparł Elend. - To nie jest wcale niczym wyjątkowym, że obliczenia wychodzą dokładnie.

Na pokład spadł popiół.

- Nie - zgodził się Noorden - masz rację, Ekscelencjo. Czysty przypadek.

- Sprawdź rejestry - stwierdziła Vin. - Dowiedz się, ile procent ludzi zachorowało w innych grupach, które badaliście.

- Vin... - zaczął Elend - nie jestem statystykiem, ale w badaniach zdarzało mi się pracować z liczbami. Czasem naturalne zjawiska dają zdawałoby się dziwaczne wyniki, lecz chaos statystyki ostatecznie prowadzi do normalizacji. Może się wydawać dziwne, że z tych liczb wyszedł nam równy procent, ale tak właśnie działa statystyka.

- Szesnaście - powiedział Noorden. Podniósł wzrok. - Znow równy procent.

Elend zmarszczył czoło i podszedł do rejestru.

- Trzeci nie wyszedł równy - mówił dalej Noorden - ale tylko dlatego, że liczba bazowa nie jest wielokrotnością dwudziestu pięciu. W końcu ułamek człowieka nie może się rozchorować. Jednakże w tej populacji liczba przypadków choroby wynosi szesnaście procent bez jednego człowieka.

Elend ukląkł, nie zwracając uwagi na popiół, który pokrył pokład od czasu ostatniego zamiatania. Vin spojrzała mu przez ramię na liczby.

- Nie ma znaczenia, w jakim wieku jest przeciętny członek populacji - powiedział

Noorden, notując coś. - Ani też gdzie mieszkają. W każdym wypadku dokładnie ten sam procent populacji choruje.

- Dlaczego nie zauważyliśmy tego wcześniej? - spytał Elend.

- Wiedzieliśmy, że około czterech osób na dwadzieścia pięć choruje - wyjaśnił

Noorden. - Jednak nie uświadamiałem sobie, jak dokładna jest ta liczba. To rzeczywiście dziwne, Wasza Ekszelencjo. Nie znam innej choroby, która działałaby w taki sposób.

Popatrzcie, tu jest opis stu zwiadowców, którzy weszli we mgłę, i dokładnie szesnastu z nich zachorowało.

Elend wydawał się zaniepokojony.

- Co się dzieje? - spytała Vin.

- To niewłaściwe - odparł. - Bardzo niewłaściwe.

- Zupełnie jakby chaos normalnych statystyk tu się załamał - dodał Noorden. -

Populacje nie powinny reagować tak dokładnie... powinien istnieć rozkład prawdopodobieństwa, zgodnie z którym w mniejszych populacjach otrzymujemy wyniki najdalsze od spodziewanych.

- A przynajmniej - zauważył Elend - choroba powinna w innym stopniu wpływać na starszych niż na młodszych.

- I w pewnym sensie tak jest - stwierdził Noorden, gdy jeden z asystentów podał mu kartkę z kolejnymi obliczeniami. - W wypadku śmierci jest tak, jak byśmy się spodziewali.

Ale liczba tych, którzy zapadają na chorobę, zawsze wynosi szesnaście procent! Tak bardzo skupialiśmy się na tym, jak wielu umierało, że nie zauważyliśmy, jak bardzo nienaturalna jest liczba tych, którzy chorują.

Elend się podniósł.

- Sprawdź to, Noordenie - powiedział, wskazując na rejestr. - Przeprowadź wywiady, upewnij się, że dane nie zostały zmienione przez Zniszczenie, i dowiedz się, czy ta tendencja się utrzymuje. Nie możemy wyciągać pochopnych wniosków z czterech czy pięciu przypadków. To może być większy zbieg okoliczności.

- Tak, Wasza Ekscelencjo - odparł Noorden. Wyglądał na wstrząśniętego. - Ale... jeśli to nie jest zbieg okoliczności? Co to znaczy?

- Nie wiem - stwierdził Elend.

To oznacza konsekwencje, pomyślała Vin. To oznacza, że istnieją prawa, nawet jeśli ich nie rozumiemy.

Szesnaście. Dlaczego szesnaście procent?

Samorodki metalu znalezione przy Studni - samorodki, które uczyniły z ludzi Zrodzonych z Mgły - to z ich powodu Allomanci niegdyś byli potężniejsi. Ci pierwsi Zrodzeni z Mgły byli tacy, jaki stał się Elend Venture - pełni pierwotnej mocy, przekazywanej później w arystokratycznych rodach i z każdym pokoleniem odrobinę słabnącej.

Ostatni Imperator był jednym z tych starożytnych Allomantów, jego moc była zaś czysta i nieskażona przez upływ czasu i pokoleń. Częściowo dlatego był tak potężny w porównaniu z innymi Zrodzonymi z Mgły - choć trzeba przyznać, że to połączenie Feruchemii i Allomancji dawało niektóre z najbardziej spektakularnych zdolności. Uznają jednak za interesujące to, że jedną z jego

Sazed siedział w jednym z lepszych budynków w Czeluściach Hathsin - dawnej strażnicy - trzymając w ręku kubek gorącej herbaty. Starsi Terrisan siedzieli na krzesłach przed nim, a mały piecyk ogrzewał pomieszczenie. Następnego dnia Sazed musiał odejść, by dogonić Goradela i Breeze'a, którzy już z pewnością byli w drodze do Urteau.

Światło słońca dogasało. Mgły już nadeszły, wisały za okienną szybą. Sazed ledwie widział zagłębienia w otaczającym ich terenie - pęknięcia ziemi. Były ich dziesiątki -

Terrisanie wybudowali płoty, by je zabezpieczyć. Za ledwie przed kilkoma laty, zanim Kelsier zniszczył kryształ atium, ludzi zmuszano do wpełzania do tych pęknięć i szukania niewielkich geod, w środku których znajdowały się bryłki atium.

Każdy niewolnik, któremu nie udało się znaleźć choć jednej geody tygodniowo, zostawał stracony. Pod ziemią z pewnością znajdowały się wciąż setki, może tysiące trupów, zaginionych w głębokich jaskiniach. Ciało ludzi, którzy zginęli, a nikt tego nawet nie zauważył

i nikogo to nie obchodziło.

Cóż to było za straszliwe miejsce, pomyślał Sazed, odwracając się od okna, gdy młoda Terrisanka zamknęła okiennice. Przed nim na stole znajdowało się kilka rejestrów, w których odnotowano zasoby, wydatki i potrzeby Terrisan.

- O ile pamiętam, sugerowałem wygrawerowanie tych liczb w metalu - powiedział

Sazed.

- Tak, mistrzu Opiekunie - odparł jeden ze starszych lokajów. - Każdego wieczoru przenosimy ważniejsze liczby na metalową płytę, a później co tydzień porównujemy je z rejestrami, żeby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

- To dobrze - powiedział Sazed, przeglądając trzymany na kolanach rejestr. - A urządzenia sanitarne? Czy zajęliście się tą kwestią od mojej ostatniej wizyty?

- Tak, mistrzu Opiekunie - stwierdził inny mężczyzna. - Przygotowaliśmy o wiele więcej latryn, jak nakazałeś... choć ich nie potrzebujemy.

- Mogą przybyć uciekinierzy - zauważył Sazed. - Chciałbym, żebyście mogli utrzymać większą populację, gdyby okazało się to konieczne. Ale, proszę, to są jedynie sugestie, nie nakazy. Nie mam nad wami żadnej władzy.

Grupa lokajów spojrzała po sobie. Kiedy Sazed przebywał wśród nich, był zajęty, co odpędzało melancholijne myśli. Upewnił się, że mają wystarczająco dużo zapasów, że utrzymują dobrą komunikację z Penrodem w Luthadel i że mają procedury rozwiązywania konfliktów wewnętrznych.

- Mistrzu Opiekunie - powiedział w końcu jeden ze starszych. - Jak długo zostaniesz?

- Obawiam się, że muszę odejść o poranku - odparł Sazed. - Przybyłem, by sprawdzić, jakie są wasze potrzeby. To trudny czas do życia, a obawiam się, że moglibyście zostać po prostu zapomniani przez tych z Luthadel.

- Dobrze nam tu, mistrzu Opiekunie - stwierdził jeden z pozostałych. Był najmłodszym ze starszych, zaledwie kilka lat młodszym od niego. Większość pozostałych była od niego o wiele starsza i mądrzejsza. Wydawało mu się niewłaściwe, że zwracają się do niego po radę.

- Czy nie rozważysz ponownie swojego miejsca pośród nas, mistrzu Opiekunie? -

odezwał się kolejny. - Nie brakuje nam żywności ani ziemi. Brakuje nam jednak przywódcy.

- Wydaje mi się, że Terrisanie dość już byli uciskani - sprzeciwił się Sazed. -

Niepotrzebny wam kolejny tyran.

- Nie tyran - zauważył jeden z nich. - Jeden z nas.

- Ostatni Imperator był jednym z nas - przypomniał cicho Sazed.

Mężczyźni spuścili wzrok. Fakt, że Ostatni Imperator okazał się Terrisaninem, był dla nich powodem do wstydu.

- Potrzebujemy kogoś, kto nami pokieruje - stwierdził jeden ze starszych. - Nawet w swoich czasach Ostatni Imperator nie był naszym przywódcą. Czekaliśmy na polecenia Synodu Opiekunów.

Synod Opiekunów - tajni przywódcy zgromadzenia Sazed. Przez stulecia przewodzili Terrisanom, w tajemnicy podtrzymując istnienie Feruchemii, mimo starań Ostatniego Imperatora, by pozbawić swój lud tej mocy.

- Mistrzu Opiekunie - odezwał się mistrz Vedlew, najstarszy z zebranych.

- Tak, mistrzu Vedlewie?

- Nie nosisz swoich miedziomyśli.

Sazed spuścił wzrok. Nie uświadamiał sobie, że widać, że pod szatami nie nosi metalowych obręczy.

- Mam je w torbie.

- Wydaje mi się dziwne - mówił dalej Vedlew - że podczas rządów Ostatniego Imperatora pracowałeś tak ciężko, zawsze w tajemnicy nosiłeś metalmyśli, mimo niebezpieczeństwa. Teraz, kiedy możesz pokazywać je swobodnie, nosisz je w torbie.

Sazed pokręcił głową.

- Nie mogę być człowiekiem, jakiego potrzebujecie. Nie w tej chwili.

- Jesteś Opiekunem.

- Byłem najmniejszym pośród nich. Buntownikiem i wyrzutkiem. Odrzucili mnie.

Kiedy po raz ostatni opuszczałem Tathingdwen, robiłem to w niesławie. Zwykli ludzie przeklinali mnie w ciszy swoich domów.

- Teraz cię błogosławią, mistrzu Sazedzie - powiedział jeden z zebranych.

- Nie zasługuję na te błogosławieństwa.

- Czy zasługujesz na nie, czy nie, tylko ty im pozostałeś.

- W takim razie jesteśmy bardziej żalonym ludem, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka.

Zapanowała cisza.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego tu przybyłem, mistrzu Vedlewie - powiedział

Sazed, podnosząc wzrok. - Powiedz mi, czy ktoś z naszego ludu umarł ostatnio w... dziwnych okolicznościach.

- Co masz na myśli? - spytał stary Terrisanin.

- Śmierć od mgły - wyjaśnił Sazed. - Ludzie, którzy giną, ponieważ wychodzą we mgłę w ciągu dnia.

- To bajędy skaa - prychnął jeden z zebranych. - Mgły nie są niebezpieczne.

- W rzeczy samej - powiedział ostrożnie Sazed. - Czy wysyłacie ludzi do pracy w ciągu dnia, nawet jeśli mgły się jeszcze nie cofnęły?

- Oczywiście, że tak - powiedział młodszy z Terrisan. - Byłoby głupotą, gdybyśmy nie wykorzystali tych godzin pracy.

Sazed nie mógł powstrzymać zdziwienia. Terrisan nie zabijałyienne mgły.

Jaki był związek?

Próbował zebrać psychiczną energię, by zastanowić się nad tą kwestią, lecz czuł się zdradziecko apatyczny. Marzył o tym, by zaszyć się gdzieś, gdzie nikt niczego nie będzie od niego chciał. Gdzie nie będzie musiał rozwiązywać problemów świata ani nawet zajmować się swoim wewnętrznym kryzysem religijnym.

I niemal to zrobił. A jednak mała część jego osoby - iskra z przeszłości - nie chciała się tak po prostu poddać. Przynajmniej dalej poprowadzi swoje badania i zrobi to, o co prosili go Elend i Vin.

Nie było to wszystko, co mógł zrobić, i z pewnością nie zadowoli Terrisan, którzy siedzieli tu i patrzyli na niego z oczekiwaniem w oczach.

Ale w tej chwili Sazed nie mógł im dać niczego więcej. Pozostanie w Czeluściach oznaczałoby poddanie się, wiedział o tym. Musiał ruszyć dalej, musiał działać.

- Bardzo mi przykro - powiedział do zebranych, odkładając rejestr. - Ale tak musi być.

Pamiętam, jak bardzo podczas wczesnych dni realizowania swojego pierwotnego planu Kelsier dezorientował nas wszystkich swoim tajemniczym „Jedenastym Metalem”.

Twierdził, że istnieją legendy o mistycznym metalu, który pozwoli na zabicie Ostatniego Imperatora - i że Kelsier dzięki swoim intensywnym badaniom zlokalizował ten metal.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, co Kelsier robił przez te wszystkie lata między ucieczką z Czeluści Hathsina a powrotem do Luthadel. Kiedy go naciskano, mówił po prostu, że był „na zachodzie”. Podczas swoich wędrówek jakimś sposobem odkrył opowieści, o których nie słyszał żaden Opiekun. Większość ekipy nie wiedziała, co sądzić o legendach, które przytaczał. Być może było to pierwsze nasienie wątpliwości, które kazało nawet jego najstarszym przyjaciołom kwestionować jego przywództwo.

23

We wschodnich krainach, w pobliżu pustkowi żwiru i piasku, mały chłopiec upadł na ziemię w chałupie skaa. Było to wiele lat przed Upadkiem i Ostatni Imperator wciąż żył.

Chłopiec był brudny i obszarpany, jak większość dzieciaków skaa w Ostatnim Imperium. Za młody, żeby wysłać go do pracy w kopalniach, większość czasu spędzał, uciekając spod kurateli matki i kręcąc się ze stadami dzieciaków, które kłębiły się po suchych, zakurzonych ulicach.

Spook od dziesięciu lat nie był tym chłopcem. Częściowo miał świadomość, że to halucynacje - że gorączka wywołana przez rany sprawia, że co chwila traci przytomność, a jego umysł wypełniają wspomnienia przeszłości. Pozwalał im na to. Zachowanie skupienia wymagało zbyt wiele energii.

I dlatego przypomniał sobie, jak się czuł, gdy uderzył o ziemię. Nad nim stał potężny mężczyzna - wszyscy wydawali się potężni w porównaniu ze Spookiem - o skórze brudnej od pyłu i sadzy kopalni. Mężczyzna splunął na brudną podłogę obok Spooka, po czym odwrócił

się do pozostałych skaa. Było ich wielu. Jedna skaa płakała, łzy zmywały kurz z jej policzków, pozostawiając czyste linie.

- Dobra - powiedział potężny mężczyzna. - Mamy go. Co teraz?

Zebrani popatrzyli po sobie. Jeden zamknął drzwi chaty, odcinając czerwony blask słońca.

- Jest tylko jedna możliwość - powiedział inny mężczyzna. - Wydajemy go.

Spook uniósł wzrok. Napotkał spojrzenie płaczącej kobiety. Odwróciła się od niego.

- Bywanie gdzie co? - spytał Spook.

Potężny mężczyzna znów splunął i oparł but o kark Spooka, przyciskając go do szorstkiego drewna.

- Nie powinnaś była pozwalać mu na ganieanie z ulicznymi bandami, Margel.

Przeklętego chłopaka trudno teraz zrozumieć.

- A co się stanie, jeśli go oddamy? - spytał jeden z pozostałych. - To znaczy, jeśli uznają, że jesteśmy tacy jak on? Mogą stracić nas wszystkich! Widziałem to wcześniej.

Wydaje się kogoś, a później te... stwory przychodzą po wszystkich, którzy go znali.

- Takie problemy są rodzinne, to prawda - dodał inny mężczyzna.

Zapanowała cisza. Wszyscy wiedzieli o rodzinie Spooka.

- Zabiją nas - powiedział przerażony mężczyzna. - Wiedzie, że to zrobią. Widziałem ich, z tymi kolcami zamiast oczu. To duchy śmierci, mówię wam.

- Nie możemy pozwolić, żeby się kręcił po okolicy - dodał kolejny z zebranych. -

Dowiedzą się, czym jest.

- Możemy zrobić tylko jedno - stwierdził potężny mężczyzna, jeszcze mocniej przyciskając Spooka do podłogi.

Zebrani w chałupie - ci, których chłopiec widział - pokiwali głowami. Nie mogli go wydać. Nie mogli zostawić go w spokoju. Ale nikt nie zauważył zniknięcia małego ulicznika skaa. Żaden Inkwizytor ani obligator nie zwróci uwagi na martwego dzieciaka na ulicy. Skaa ciągle umierali.

Tak już było w Ostatnim Imperium.

- Ojciec - wyszeptał Spook.

Obcas nacisnął mocniej.

- Nie jesteś moim synem! Mój syn wyszedł w mgły i nigdy nie wrócił. Musisz być mgielnym upiorem.

Spook próbował się sprzeciwić, lecz nacisk na szyję był zbyt mocny. Nie mógł

oddychać, nie wspominając o mówieniu. Zaczęło mu się robić ciemno przed oczami. A jednak jego uszy - nadnaturalnie wrażliwe, wspomagane mocami, których nie rozumiał -

usłyszały coś.

Monety.

Nacisk na jego szyję osłabł. Złapał z trudem oddech, znów zaczął widzieć. I oto na ziemi przed nimi leżała rozsypana garść pięknych miedziaków. Skaa nie płacono za pracę -

górnicy otrzymywali w zamian towary, które z trudem wystarczały do przeżycia. Jednakże Spook czasem widział monety w rękach szlachetnie urodzonych. Kiedyś znał chłopaka, który znalazł monetę zgubioną w pyle ulicy.

Większy chłopak zabił go dla niej. Później szlachetnie urodzony zabił tamtego, kiedy ten próbował wydać pieniądze. Spookowi wydawało się, że skaa nie pragną monet - były zbyt cenne i zbyt niebezpieczne. A jednak wszyscy zgromadzeni patrzyli na rozsypaną sakiewkę bogactwa.

- Sakiewka w zamian za chłopaka - powiedział ktoś.

Zebrani rozstąpili się, ukazując mężczyznę, który siedział przy stole na tyłach pomieszczenia. Nie patrzył na Spooka, w milczeniu nabierał łyżką owsiankę. Jego twarz była szczupła i pomarszczona, skóra wyglądała tak, jakby ją zbyt długo wystawiano na słońce.

- I co? - spytał mężczyzna pomiędzy kolejnymi porcjami jedzenia.

- Skąd masz takie pieniądze? - spytał ojciec Spooka.

- To nie twoja sprawa.

- Nie możemy wypuścić chłopaka - stwierdził jeden ze skaa. - Zdradzi nas! Kiedy go złapią, powie im wszystko, co wiemy.

- Nie złapią go - powiedział pomarszczony mężczyzna, nadal nie przerywając jedzenia.

- Będzie ze mną w Luthadel. Poza tym, jeśli go nie puścicie, pójdę i o wszystkim powiem obligatorom. - Opuścił łyżkę i krzywo spojrział na zebranych. - Chyba że mnie też macie zamiar zabić.

Ojciec Spooka w końcu zdjął nogę z jego szyi i ruszył w stronę nieznanego. Matka Spooka chwyciła męża za ramię.

- Nie rób tego, Jedalu - powiedziała cicho... lecz nie za cicho dla wspomaganego słuchu Spooka. - Zabije cię.

- Jest zdrajcą - prychnął ojciec Spooka. - Służy w armii Ostatniego Imperatora.

- Przyniósł nam monety. Z pewnością wzięcie jego pieniędzy jest lepsze niż zabicie chłopaka.

Ojciec Spooka spojrział z góry na kobietę.

- Ty to zrobiłaś! Ty posłałaś po brata. Wiedziałaś, że będzie chciał zabrać tego chłopaka.

Matka Spooka odwróciła wzrok.

Pomarszczony mężczyzna w końcu odłożył łyżkę i wstał. Ludzie cofali się zaniepokojeni. Idąc, mężczyzna wyraźnie kuśtykał.

- Chodź, chłopcze - powiedział, nie patrząc na Spooka, i otworzył drzwi.

Spook podniósł się powoli, ostrożnie. Cofając się, spojrzał na matkę i ojca. Jedną pochylił się, w końcu zbierając monety. Margel napotkała wzrok Spooka i odwróciła się.

„Tylko tyle mogę ci dać”, wydawała się mówić całą sobą.

Spook odwrócił się, rozmasował szyję i wybiegł na rozgrzaną ulicę za nieznajomym.

Starszy mężczyzna kuśtykał, wspierając się na lasce. Idąc, spojrzał na Spooka.

- Masz imię, chłopcze?

Spook otworzył usta, po czym zawahał się. Jego stare imię już mu nie pasowało.

- Lestibournes - powiedział w końcu.

Mężczyzna nawet nie mrugnął. Później Kelsier uznał, że Lestibournes jest trudne do wymówienia i nazwał go „Spookiem”. Chłopak nigdy się nie dowiedział, czy Clubs znał

uliczny dialekt wschodu. Nawet gdyby tak było, Spook wątpił, by zrozumiał aluzję.

Lestibournes.

W ulicznym dialekcie „Zostałem porzucony”.

Sądzę teraz, że opowieści, legendy i proroctwa Kelsiera na temat „Jedenastego Metalu” zostały stworzone przez Zniszczenie. Kelsier szukał sposobu na zabicie Ostatniego Imperatora, a Zniszczenie - jak zawsze subtelne - mu go dostarczyło.

Ta tajemnica rzeczywiście okazała się kluczowa. Jedenasty Metal Kelsiera dostarczył

wskazówkę, której potrzebowaliśmy do zabicia Ostatniego Imperatora. Jednakże w tym również zostaliśmy zmanipulowani. Ostatni Imperator znał cele Zniszczenia i nigdy nie wypuściłby go ze Studni Wstąpienia. Dlatego Zniszczenie potrzebowało innych pionków - a, by do tego doszło, Ostatni Imperator musiał zginąć. Nawet nasze największe zwycięstwo zostało ukształtowane przez delikatne palce Zniszczenia.

24

Jeszcze po wielu dniach słowa MeLaan drażniły sumienie TenSoona.

„Przybywasz, ogłaszasz straszliwe wieści, po czym pozwalasz nam samodzielnie rozwiązać problemy?“. Podczas roku uwięzienia wszystko wydawało się takie proste.

Wygłosi swoje oskarżenia, przekaze informacje, po czym przyjmie karę, na którą zasługiwał.

Teraz, co dziwne, wieczność uwięzienia wydawała mu się tym łatwiejszym wyjściem.

Skoro dał się pojmać w taki sposób, w czym był lepszy od Pierwszego Pokolenia? Unikał prawdziwych dylematów, dając się zamknąć ze świadomością, że świat zewnętrzny nie był już jego problemem.

Głupcze, pomyślał. Zostaniesz uwięziony przez wieczność - a przynajmniej do chwili, kiedy kandra zostaną zniszczeni, a wtedy umrzesz z głodu. To nie jest łatwe wyjście!

Przyjmując karę, zachowujesz się honorowo i przyzwoicie.

A jednocześnie, robiąc to, pozwoli, by MeLaan i inni zostali zniszczeni, gdy ich przywódcy odmówili działania. Co więcej, pozostawi Vin bez koniecznych informacji. Nawet w Ojczyźnie słyszał od czasu do czasu dudnienie skał. Trzęsienia ziemi były wciąż odległe i pozostali pewnie je ignorowali. Lecz TenSoon się martwił.

Mógł się zbliżyć koniec. A jeśli tak, to Vin musiała poznać prawdę o kandra. Ich pochodzeniu, ich wierzeniach. Może mogłaby wykorzystać samo Zaufanie. Jednakże, gdyby powiedział Vin coś więcej, oznaczałoby to jeszcze większą zdradę jego ludu. Być może człowiek uznałby jego obecne wahania za śmieszne. Na razie wszystkich prawdziwych grzechów dopuścił się pod wpływem impulsu, a dopiero później znalazł wyjaśnienie dla tego, co zrobił. Gdyby uciekł z więzienia, byłoby to coś innego. Czyn rozmyślny i z premedytacją.

Zamknął oczy, czując chłód swojej klatki, która wciąż stała samotna w dużej jaskini -

w większości opuszczonej w godzinach snu. Jaki to miało sens? Nawet obdarzony Błogosławieństwem Przytomności - które pozwalało mu się skupić, mimo trudnych warunków - nie umiał wymyślić żadnego sposobu na ucieczkę z klatki i przed strażnikami z Piątego Pokolenia, obdarzonymi Błogosławieństwem Siły. Nawet gdyby TenSoonowi udało się opuścić klatkę, musiałby przebyć dziesiątki niewielkich jaskini. Przy obecnej niskiej masie ciała brakowało mu mięśni do walki, a nigdy nie przegoniłby kandra obdarzonego Błogosławieństwem Siły. Był w pułapce.

W pewnym sensie czuł się z tym dobrze. Ucieczka nie była czymś, nad czym miał

ochotę się zastanawiać - po prostu nie pasowała do kandra. Złamał Kontrakt i zasługiwał na karę. Przyjmowanie konsekwencji własnych czynów było honorowe.

Prawda?

Przekreślił się. Nie był prawdziwym człowiekiem i brak ubrania nie sprawił, że na jego skórze

pojawiły się otarcia ani spierzchnięcia, mógł bowiem usuwać rany swojego ciała.

Niestety, nic nie mógł poradzić na uczucie zdrętwienia wynikające z przebywania przez tak długi czas w tak małej klatce.

Jego uwagę zwróciło poruszenie. TenSoon odwrócił się i z zaskoczeniem zobaczył, jak do jego klatki zbliża się VarSell wraz z kilkoma innymi potężnymi Piątymi. Ich kwarcowe Prawdziwe Ciała wyglądały złowieszczo.

Już czas? Pomyślał TenSoon. Błogosławieństwo Przytomności sprawiało, że mógł w myślach policzyć dzień uwięzienia. Jeszcze nie nadszedł czas. Skrzywił się, gdy zauważył, że jeden z Piątych niesie duży worek. Przez chwilę TenSoon poczuł atak paniki, gdy wyobraził

sobie, jak ciągną go w tym worku.

On jednak wydawał się już pełny.

Czy mógł mieć nadzieję? Minęło wiele dni od rozmowy z MeLaan, a choć wracała jeszcze kilka razy, by na niego popatrzeć, nie rozmawiali. Niemal zapomniał o tym, co jej powiedział z nadzieją, że słudzy Drugiego Pokolenia podsłuchają jego słowa. VarSell otworzył klatkę i wrzucił worek do środka. Rozległ się znajomy grzechot. Kości.

- Masz je nosić podczas ogłoszenia wyroku - powiedział VarSell, pochylając się i przysuwając przezroczystą twarz do kraty. - Rozkaz Drugiego Pokolenia.

- A co jest nie tak z kośćmi, które teraz noszę? - spytał ostrożnie TenSoon, przyciągając worek. Nie był pewien, czy ma się czuć podekscytowany, czy zawstydzony.

- Mają zamiar połamać twoje kości w ramach kary - wyjaśnił z uśmiechem VarSell. -

Coś w rodzaju publicznej egzekucji... ale takiej, którą skazany przeżywa. Wiem, że to prosta sprawa, ale pokaz powinien... zrobić wrażenie na niektórych z młodszych pokoleń.

TenSoon poczuł ucisk w żołądku. Kandra co prawda umieli odtwarzać swoje ciała, lecz ból czuli równie mocno, jak ludzie. Połamanie kości oznaczało poważne pobicie, a Błogosławieństwo Przytomności nie pozwoli mu uciec w omdlenie z bólu.

- Wciąż nie widzę potrzeby przybierania nowego ciała - stwierdził TenSoon, wyjmując jedną z kości.

- Nie ma co marnować porządnego zestawu ludzkich kości, Trzeci - stwierdził VarSell, zatraskując drzwi klatki. - Za kilka godzin wrócę po twoje obecne kości.

Kość udowa, którą wyciągnął z worka, nie należała do człowieka, lecz do psa. Sporego wilczarza. Było to dokładnie to ciało, które nosił TenSoon, kiedy przed ponad rokiem powrócił do Ojczyzny. Zamknął oczy, trzymając w palcach gładką kość.

Przed tygodniem mówił, jak bardzo gardził tymi kośćmi, mając nadzieję, że szpiedzy Drugiego Pokolenia zaniósą te wieści swoim panom. Ci z Drugiego Pokolenia byli o wiele większymi tradycjonalistami od MeLaan, a nawet ona uważała noszenie ciała psa za coś obrzydliwego.

Dla Drugich zmuszenie TenSoon do przybrania postaci zwierzęcia będzie całkowitą degradacją.

I na to właśnie liczył.

- Będiesz w tym dobrze wyglądał - stwierdził VarSell na odchodnym. - Kiedy nadejdzie kara, wszyscy zobaczą, kim naprawdę jesteś. Żaden kandra nie złamałby Kontraktu.

TenSoon pogłaskał z szacunkiem kość udową, słuchając śmiechu VarSella. Piąty nie mógł wiedzieć, że właśnie dał mu szansę na ucieczkę.

Równowaga. Czy istnieje?

Ta wiedza została niemal zapomniana. Skaa opowiadali o niej w czasach przed Upadkiem. Filozofowie dyskutowali na jej temat w trzecim i czwartym wieku, lecz w czasach Kelsiera ten temat został niemal zapomniany.

Ale to prawda. Istniała fizjologiczna różnica między skaa a szlachetnie urodzonymi.

Kiedy Ostatni Imperator odmienił ludzkość, by pomóc ludziom w radzeniu sobie z popiołem, zmienił też inne rzeczy. Niektórzy - szlachetnie urodzeni - zostali stworzeni jako mniej płodni, lecz wyżsi, silniejsi i bardziej inteligentni. Inni - skaa - mieli być niżsi, bardziej wytrzymali i mieć więcej dzieci.

Zmiany były jednak niewielkie, a po tysiącu lat krzyżowania się niemal przestały istnieć.

25

- Fadrex - powiedział Elend, stojąc na swoim zwyczajowym miejscu przy dziobie łodzi.

Przed nimi szeroki Kanał Conway - główna droga wodna prowadząca na zachód -

ciągnął się dalej, skręcając na północny zachód. Po lewej Elenda ziemia wznosiła się, tworząc rzędy stromych formacji skalnych. W perspektywie widział, jak wznoszą się jeszcze wyżej.

Jednak bliżej kanału, w samym środku dużej grupy skalnych formacji leżało miasto.

Ciemnoczerwone i pomarańczowe skały były ostańcami. Pozostały, gdy deszcz i wiatr zerodowały delikatniejsze fragmenty kamienia. Wiele z nich wznosiło się wysoko, niczym iglice. Inne tworzyły poszarpane, przypominające żywopłoty bariery - niczym sterty ogromnych skalnych bloków, które zostały połączone razem, sięgając na wysokość trzydziestu bądź czterdziestu stóp.

Elend ponad skałami ledwie widział dachy budynków. Fadrex nie otaczały mury -

jedynie Luthadel miało do nich prawo - lecz skały wokół miasta tworzyły naturalne umocnienia.

Venture był kiedyś w tym mieście. Ojciec upewnił się, że pozna każdy z głównych ośrodków kulturalnych Ostatniego Imperium. Fadrex do nich nie należało, lecz znajdowało się na drodze do Tremredare, niegdyś znanego jako stolica Zachodu. Jednak budując nowe królestwo, Cett zignorował Tremredare i ustanowił swoją stolicą Fadrex. Zdaniem Elenda było to sprytne posunięcie - Fadrex było mniejsze, łatwiejsze do obrony i znajdowało się nad kanałami.

- Miasto wygląda inaczej niż kiedy widziałem je ostatnio - zauważył Elend.

- Drzewa - stwierdził Ham, stając obok niego. - Wokół Fadrex, na skalnych półkach i płaskowyżach rosły kiedyś drzewa. - Zbir spojrział na niego. - Czekają na nas. Wyrabali drzewa, by móc do nas strzelać i byśmy nie mogli się do nich podkraść.

Elend pokiwał głową.

- Popatrz na to.

Ham zmrużył oczy, choć dopiero po chwili zauważył to, co bez trudu wychwycił

wspomagany cyną wzrok Elenda. W północnej części miasta - położonej najbliżej głównego kanału - skalne półki i tarasy tworzyły naturalny kanion. Miał on około dwudziestu stóp szerokości i był jedyną drogą do miasta. obrońcy wykopali w nim szereg dołów. Na razie były oczywiście zakryte, lecz przebycie wąskiego przejścia i pokonanie rowów, prawdopodobnie pod ostrzałem łuczników ze skalnych półek na górze i dotarcie do bramy na końcu...

- Nieźle - stwierdził Ham. - Cieszę się tylko, że nie zdecydowali się osuszyć kanału.

Kiedy płynęli na zachód, teren się wznosił, co oznaczało, że konwój musiał przepłynąć przez kilka potężnych śluz. Ostatnie cztery zostały celowo zablokowane, a ich naprawa zajęła wiele godzin.

- Jest dla nich zbyt ważny - zauważył Elend. - Jeśli przeżyją nasze oblężenie, będą musieli ściągnąć zapasy. Zakładając, że uda im się je kupić.

Ham zamilkł. W końcu odwrócił się i spojrział na ciemną wodę za ich plecami.

- El - powiedział. - Nie sądzę, by ktoś jeszcze przepłynął tym kanałem. Łodzie z trudem dotarły tak daleko; zatyka go zbyt wiele popiołu. Jeśli będziemy wracać do domu, to tylko pieszo.

- Jeśli będziemy wracać do domu?

Ham wzruszył ramionami. Mimo że na zachodzie panował chłód, nadal miał tylko kamizelkę. Kiedy Elend został Allomantą, w końcu zrozumiał to przyzwyczajenie. Spalając cynę z ołowiem, prawie nie czuł chłodu, choć część żołnierzy narzekała na zimne poranki.

- Nie wiem, El - powiedział w końcu Ham. - Po prostu wydaje mi się to złowieszcze.

Nasz kanał zamyka się za nami. Zupełnie jakby los chciał, żebyśmy zostali tu porzuceni.

- Tobie wszystko wydaje się złowieszcze - stwierdził Elend. - Nic nam się nie stanie.

Ham wzruszył ramionami.

- Zbierz nasze siły - rozkazał Elend, wskazując. - Przybijemy do brzegu przy tamtym ujściu i rozbijemy obóz na płaskowyżu.

Ham pokiwał głową. Nadal jednak patrzył za siebie. W stronę Luthadel, które zostawili.

* * *

Nie boją się mgieł, pomyślał Elend, wpatrując się poprzez mrok w skalne formacje otaczające Fadrex. Płonęły tam ogniska, rozświetlając noc. Czasami takie światła były daremne, świadczyły o strachu przed mgłą. Te jednak wydawały się inne. Wyglądały na ostrzeżenie, zuchwałą deklarację pewności siebie. Płonęły jasno, wysoko, jakby wznosiły się w niebo.

Elend odwrócił się i wszedł do oświetlonego namiotu dowodzenia, gdzie czekała na niego niewielka grupa ludzi. Ham, Cett i Vin. Demoux nie był obecny, wciąż wracał do siebie po chorobie.

Rozproszyliśmy się, pomyślał Elend. Spook i Breeze na północy, Penrod w Luthadel, Felt pilnuje magazynu na wschodzie...

- Dobrze - powiedział Elend. Za jego plecami opadły klapy namiotu. - Wygląda na to, że nieźle się tu zaszyli.

- Przyszły pierwsze raporty zwiadowców, El - powiedział Ham. - Oceniamy liczbę obrońców na około dwudziestu pięciu tysięcy.

- Mniej niż się spodziewałem - zauważył Elend.

- Ten sukinsyn Yomen musi panować nad resztą mojego królestwa - powiedział Cett. -

Gdyby wycofał wszystkie swoje wojska do stolicy, inne miasta by go obaliły.

- Co? - spytała z rozbawieniem w głosie Vin. - Myślisz, że zbuntowaliby się i wrócili na twoją stronę?

- Nie, zbuntowaliby się i próbowali sami zdobyć królestwo! Tak to działa. Gdy zabrakło Ostatniego Imperatora, każdy pomniejszy lord czy żalosny obligator, który posmakował władzy, myśli, że może rządzić królestwem. Do pioruna, ja spróbowałem... i wy też.

- Nam się udało - zauważył Ham.

- I lordowi Yomenowi też - stwierdził Elend. - Panuje nad królestwem od czasu, gdy Cett pomaszerował na Luthadel.

- Praktycznie mnie wypędził - przyznał Cett. - Zanim jeszcze zwróciłem się przeciwko Luthadel, podburzył przeciwko mnie połowę szlachetnie urodzonych. Powiedziałem, że zostawiam mu dowodzenie, ale obaj znaleźliśmy prawdę. Jest bystry... na tyle bystry, że wie, że może utrzymać miasto mimo przeważających sił wroga, co pozwala mu rozmieścić wojska w całym królestwie i przetrwać długotrwałe oblężenie.

- Niestety, Cett ma prawdopodobnie rację - stwierdził Ham. - Zgodnie z pierwszymi raportami, siły Yomena liczą około osiemdziesięciu tysięcy ludzi. Byłby głupcem, gdyby nie rozmieścił kilku jednostek w pobliżu naszego obozu. Musimy uważać na ich wypadki.

- Podwójcie strażę i potrójcie liczbę zwiadowców - rozkazał Elend - szczególnie o poranku, gdy dzienna mgła zasłania, lecz słońce dostarcza światła.

Ham pokiwał głową.

- Do tego - dodał z namysłem Elend - rozkażcie ludziom zostawać w namiotach, gdy utrzymuje się mgła... lecz mają być przy tym gotowi na wrogą wycieczkę. Jeśli Yomen uzna, że boimy się wyjść, możemy skłonić go do ataku „z zaskoczenia”.

- Sprytne - powiedział Ham.

- To jednak nie pomoże nam przedostać się przez te naturalne bariery - stwierdził

Elend, zakładając ręce na piersi. - Cett, co powiesz?

- Zablokuj kanał - powiedział Cett. - Ustaw wartowników na skałach, żeby się upewnić, że Yomen nie zaopatruje miasta w inny sposób. Później ruszaj dalej.

- Co? - spytał zaskoczony Ham.

Elend spojrzał na Cetta, próbując ocenić, co tamten ma na myśli.

- Zaatakować okoliczne miasta? Zostawić tu wystarczająco dużo wojska, by uniemożliwić przerwanie oblężenia, a później zdobyć resztę jego terytorium?

Cett pokiwał głową.

- Większość miast w okolicy nie jest umocniona. Poddadzą się bez walki.

- Dobra sugestia - powiedział Elend. - Ale tak nie postąpimy.

- Dlaczego nie? - spytał Cett.

- Nie chodzi jedynie o odzyskanie twojej ojczyzny, Cett - wyjaśnił Elend. -

Podstawowym powodem, dla którego tu przybyliśmy, jest zabezpieczenie magazynu... i mam nadzieję, że uda mi się tego dokonać, nie uciekając się do plądrowania okolicy.

Cett prychnął.

- A co spodziewasz się tam znaleźć? Magiczny sposób powstrzymania popiołu? Nawet atium tego nie dokona.

- Coś tam jest - stwierdził Elend. - To nasza jedyna nadzieja.

Cett pokręcił głową.

- Od roku gonicie za układanką pozostawioną przez Ostatniego Imperatora. Nigdy nie przyszło wam na myśl, że ten człowiek był sadystą? Nie ma tajemnicy. Żadnego magicznego rozwiązania. Jeśli mamy przeżyć następne kilka lat, musimy zrobić to sami... a to oznacza podbicie Zachodniego Dominium. Tutejsze płaskowyże to najwyższe położone grunty rolne w całym imperium... a im wyżej, tym bliżej słońca. Jeśli znajdziecie rośliny, które przetrwają mimo mgieł w ciągu dnia, musicie uprawiać je tutaj.

To były rozsądne argumenty. Ale ja nie mogę się poddać, pomyślał Elend. Jeszcze nie.

Venture jeszcze w Luthadel przeczytał raporty dotyczące zapasów i widział przewidywania.

Popiół szkodził roślinom w takim samym stopniu jak mgły albo jeszcze bardziej. Więcej gruntów nie uratuje jego ludu - potrzebowali czegoś innego. Czegoś, co, jak miał nadzieję, pozostawił im Ostatni Imperator.

Ostatni Imperator nie nienawidził swoich ludzi i nie chciał, żeby zginęli, nawet jeśli on zostanie pokonany. Zostawił żywność, wodę, zapasy. A jeśli znał tajemnice, ukrywał je w magazynach. Coś tam będzie.

Musi być.

- Magazyn pozostaje naszym głównym celem - stwierdził Elend. Widział, jak siedząca z boku Vin się uśmiecha.

- Świetnie - powiedział z westchnieniem Cett. - Zatem wiecie, co mamy robić.

Oblężenie trochę zajmie.

Elend pokiwał głową.

- Ham, wyślij naszych inżynierów pod osłoną mgieł. Zobaczymy, czy znajdą jakiś sposób, by nasze wojska przeszły przez te rowy. Niech zwiadowcy poszukają strumieni, które prowadzą do miasta... Cett pewnie może ci pomóc w zlokalizowaniu części z nich. A kiedy nasi szpiedzy dostaną się do miasta, niech poszukają magazynów żywności, którą mogliby zatruc.

- Dobry początek - zauważył Cett. - Oczywiście, jest bardzo łatwy sposób wywołania chaosu w mieście, a może zmuszenia ich do poddania się bez walki...

- Nie zamordujemy króla Yomena - stwierdził Elend.

- A czemu nie? - spytał Cett. - Mamy dwoje Zrodzonych z Mgły. Nie mielibyśmy problemów z zabiciem przywódców Fadrex.

- W taki sposób nie działamy - powiedział Ham, pochmurniejąc.

- Ach tak? - spytał Cett. - To nie powstrzymało Vin przed wybiciem połowy mojej armii i zaatakowaniem mnie, zanim się sprzymierzyliśmy.

- To było coś innego - sprzeciwił się Ham.

- Nie - przerwał mu Elend. - Nie było. Nie zamordujemy Yomena, ponieważ najpierw chcę spróbować dyplomacji.

- Dyplomacji? - powtórzył Cett. - Czyż właśnie nie sprowadziliśmy mu pod mury czterdziestu tysięcy ludzi? To nie jest dyplomatyczne posunięcie.

- To prawda - powiedział Elend, kiwając głową. - Ale nie zaatakowaliśmy, jeszcze nie.

Ponieważ przybyłem tu we własnej osobie, równie dobrze możemy porozmawiać, zanim wyślemy noże. Może uda nam się przekonać lorda Yomena, że sojusz posłuży mu lepiej niż wojna.

- Jeśli zawrzemy sojusz - zauważył Cett, pochylając się - nie odzyskam miasta.

- Wiem - odparł Elend.

Cett się skrzywił.

- Chyba się zapominasz - stwierdził Venture. - Nie „sprzymierzyłeś” się ze mną.

Ukląkłeś przede mną, przysięgając posłuszeństwo w zamian za życie. Owszem, doceniam twoją lojalność i dostaniesz w nagrodę królestwo, którym będziesz mógł władać w moim imieniu. Nie masz jednak prawa wybierać, jakie to królestwo i kiedy ci je podaruję.

Cett się zawahał. Siedział na krześle, opierając rękę na sparaliżowanych, bezużytecznych nogach. W końcu się uśmiechnął.

- Do kata, chłopcze. Bardzo się zmieniłeś w ciągu ostatniego roku.

- Wszyscy mi to mówią - odparł Elend. - Vin. Myślisz, że uda ci się dostać do miasta?

Uniosła brew.

- Mam nadzieję, że to pytanie retoryczne.

- Chciałem być grzeczny - wyjaśnił Elend. - Musisz przeprowadzić zwiad. Nie wiemy prawie nic o

tym, co się ostatnio działo w tym dominium... skupialiśmy się na Urteau i południu.

Wzruszyła ramionami.

- Mogę się rozejrzeć. Nie wiem, co twoim zdaniem powinnam znaleźć.

- Cett. - Elend się odwrócił. - Potrzebuję nazwisk. Informatorów albo może szlachetnie urodzonych, którzy wciąż są lojalni wobec ciebie.

- Szlachetnie urodzonych? - powtórzył z rozbawieniem Cett. - Lojalnych?

Elend przewrócił oczami.

- To może takich, których da się przekupić, żeby udzielili informacji?

- Pewnie - odparł Cett. - Zapiszę nazwiska i adresy. Zakładając, że wciąż tu mieszkają.

Do pioruna, zakładając, że wciąż żyją. Ostatnio niczego nie można być pewnym.

Elend pokiwał głową.

- Nie podejmiemy dalszych działań, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji. Ham, żołnierze mają solidnie się okopać... wykorzystajcie umocnienia polowe, których uczył ich Demoux. Cett, zajmij się tymi patrolami i upewnij, że nasi Cynoocy pozostają czujni. Vin rozejrzy się i zobaczy, czy nie uda jej się wślizgnąć do magazynu tak, jak w Urteau. Jeśli będziemy wiedzieli, co w nim jest, lepiej ocenimy, czy warto ryzykować próbę zdobycia miasta, czy też nie.

Zebrani kiwali głowami, rozumiejąc, że spotkanie się skończyło. Gdy wyszli, Elend znów wszedł między mgły i wpatrzył się w odległe ogniska płonące na skałach.

Cicho niczym westchnienie, Vin podeszła do niego i podążyła za jego wzrokiem. Stała przez kilka chwil. Później spojrzała w bok, gdzie para żołnierzy właśnie wchodziła do namiotu, by wynieść Cetta. Zmrużyła oczy.

- Wiem - powiedział cicho Elend, świadom, że znów myślała o Cecie i jego wpływie na Elenda.

- Nie zaprzeczyłeś, że możemy posunąć się do skrytobójstwa - powiedziała cicho Vin.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- A jeśli tak?

- To podejmę decyzję, co jest najlepsze dla imperium.

Vin milczała przez chwilę, po czym znów spojrzała w stronę ogni.

- Mógłbym pójść z tobą - zaproponował Elend.

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

- Przykro mi - odparła - ale jesteś hałaśliwy.

- Aż taki zły nie jestem.

- Ależ tak. I do tego pachniesz.

- Naprawdę? - spytał z rozbawieniem. - A jak pachnę?

- Jak cesarz. Cynooki wychwyciłby twoją obecność w jedną chwilę.

Elend uniósł brwi.

- Rozumiem. A ciebie nie otacza cesarski zapach?

- Oczywiście, że tak - odparła, marszcząc nos. - Ale ja umiem się go pozbyć. Tak czy inaczej, nie jesteś na tyle dobry, by ze mną iść. Przykro mi, Elendzie.

Uśmiechnął się. Kochana, bezpośrednia Vin.

Za ich plecami żołnierze wyszli z namiotu, niosąc Cetta. Do Elenda podszedł adiutant, dostarczając mu krótką listę informatorów i szlachetnie urodzonych, którzy mogli być skłonni mówić. Elend przekazał ją Vin.

- Baw się dobrze - powiedział.

Rzuciła monetę na ziemię między nimi, znów go pocałowała i wzniosła się w mrok.

Dopiero zaczynam doceniać błyskotliwość kulturalnej syntezy Ostatniego Imperatora.

W jego wypadku jedną z zalet bycia nieśmiertelnym i - we wszystkich istotnych kwestiach -

wszechmocnym była możliwość wywierania bezpośredniego i znacznego wpływu na rozwój Ostatniego Imperium.

Udało mu się wziąć elementy kilkunastu różnych kultur i wykorzystać je, by stworzyć swoje nowe, „doskonałe” społeczeństwo. Na przykład architektoniczny geniusz budowniczych Khlenni jest widoczny w twierdzach wznoszonych przez wielkie arystokratyczne rody. Moda Khlenni - surduty dla panów, suknie dla pań - to kolejny element, który Ostatni Imperator postanowił sobie przywłaszczyć.

Przypuszczam, że mimo nienawiści do Khlenni - do których należał też Alendi - Rashek w głębi duszy im również zazdrościł. W jego czasach Terrisanie byli sielskimi pasterzami, a Khlenni wyrobionymi kosmopolitami. Choć to ironia losu, nie ma nic dziwnego w tym, że nowe imperium Rasheka naśladowało wysoką kulturę ludu, którego nienawidził.

Spook stał w swojej niewielkiej, jednopokojowej kryjówce, która była - co oczywiste - nielegalna. Obywatel zakazał istnienia takich miejsc, w których człowiek mógł mieszkać niewidzialny i niepilnowany. Całe szczęście zakazanie takich miejsc nie doprowadziło do ich zniknięcia.

Jedynie sprawiło, że stały się droższe.

Spook miał szczęście. Ledwie pamiętał, jak wyskoczył z płonącego budynku, ściskając sześć allomantycznych flakoników, kaszląc i krwawiąc. Wcale nie pamiętał drogi powrotnej do swojej kryjówki. Pewnie powinien już nie żyć. Nawet jeśli przeżył pożar, powinien zostać wydany - jeśli właściciel nielegalnej gospody uświadomił sobie, kim był Spook i przed czym uciekł, obietnica nagrody musiała być nie do odparcia.

Ale Spook przeżył. Może inni złodzieje w kryjówce uważali, że tym razem to on został obrabowany. Albo może ich to nie odchodziło. Tak czy inaczej, stał teraz przed niewielkim lustrem, bez koszuli, i ze zdziwieniem wpatrywał się w swoją ranę.

Żyję, pomyślał. I... czuję się nieźle.

Przeciągnął się, obracając ręką w stawie. Rana bolała zdecydowanie mniej niż powinna. W bardzo słabym świetle widział rozcięcie, pokryte strupem i gojące się. Cyna z ołowiem płonęła w jego żołądku - piękne uzupełnienie znajomego ognia cyny.

Był czymś, co nie powinno istnieć. W Allomancji ludzie mieli albo jedną z ośmiu podstawowych mocy, albo wszystkie czternaście. Jedną albo wszystkie. Nigdy dwie.

Jednakże Spook bezskutecznie próbował spalać inne metale. Jakimś cudem dostał cynę z ołowiem jako uzupełnienie cyny. Choć fakt ten był sam w sobie zadziwiający, usuwało go w cień coś innego.

Widział ducha Kelsiera. Ocalały wrócił i ukazał się Spookowi.

Chłopak nie miał pojęcia, jak na to zareagować. Nie był szczególnie religijny, ale...

cóż, martwy człowiek - którego niektórzy nazywali bogiem - ukazał się mu i uratował mu życie. Spook martwił się, że to była halucynacja. Ale jeśli tak, to skąd zyskał moc cyny z ołowiem?

Potrząsnął głową, sięgając po bandaż, lecz zatrzymał się, gdy coś zamigotało w lustrze. Podszedł bliżej, jak zawsze polegając na blasku gwiazd z zewnątrz, by zapewniły mu oświetlenie. Dzięki doskonale wyczulonym zmysłom bez trudu zauważył kawałek metalu sterczący ze skóry w ramieniu, choć wystawał na ułamek cala.

Ostrze miecza tamtego, uświadomił sobie Spook, kiedy mnie przebił. Złamało się i kawałek musiał pozostać w ranie. Zacisnął zęby i sięgnął, żeby go wyciągnąć.

- Nie - powiedział Kelsier. - Zostaw to. Podobnie jak rana jest symbolem ocalenia.

Spook podskoczył. Rozejrzał się, lecz tym razem nie zobaczył widma. Tylko głos. Był jednak pewien, że go słyszał.

- Kelsier? - zapytał niepewnie.

Nie było odpowiedzi.

Oszalałem? - zastanawiał się Spook. A może... jest tak, jak naucza Kościół Ocalałego?

Czy Kelsier rzeczywiście stał się istotą wyższą, która mogła strzec swoich wyznawców? A jeśli tak, to czy Kelsier zawsze go pilnował? Ta myśl wydawała mu się nieco... niepokojąca.

Jeśli dzięki niemu otrzymał moc cyny z ołowiem, nie miał prawa narzekać.

Spook odwrócił się i włożył koszulę. Potrzebował więcej informacji. Jak długo gorączkował? Co robił Quellion? Czy pozostali członkowie ekipy już przybyli?

Zapominając na chwilę o dziwnych wizjach, wyslizgnął się z pokoju na ciemną ulicę.

Jeśli chodzi o kryjówki, jego nie była szczególnie imponująca - pokój za ukrytymi drzwiami w jednej z uliczek slumsów. To jednak było lepsze niż mieszkanie w zatłoczonych budach, które mijał, gdy wędrował przez mroczne, pełne mgły miasto.

Obywatel lubił udawać, że w jego rozkosznej utopii wszystko było idealne, lecz Spook wcale się nie zdziwił, gdy odkrył, że znajdują się w niej również slumsy, jak w każdym innym mieście, które odwiedzał. W Urteau żyło wielu ludzi, którzy z takiego czy innego powodu nie mieli ochoty mieszkać w częściach miasta, w których Obywatel mógłby mieć na nich oko. Zbierali się w miejscu zwanym Brony, szczególnie ciasnym kanale odległym od głównych dróg.

Brony były zapchane beładną masą drewna, materiału i ciał. Szopy chyliły się jedna na drugą, budynki opierały niepewnie o ziemię i kamień, a całość wspinała się po ścianach kanału w stronę ciemnego nieba. Gdzieś ludzie spali pod brudnymi kocami rozciągniętymi między kawałkami drewna - ich tysiącletni strach przed mgłą musiał ustąpić przed koniecznością.

Spook włókł się przez zatłoczony kanał. Niektóre zbiorowiska niby-budynków wznosiły się tak wysoko i tak szeroko, że niebo zwężało się do wąskiego pęknięcia daleko w górze. Nocny blask był za słaby, by ktokolwiek mógł go wykorzystać, poza Spookiem.

Może to z powodu chaosu Obywatel nie odwiedzał Bron. A może jedynie czekał z oczyszczeniem ich do chwili, gdy lepiej zapanuje nad swoim królestwem. Tak czy inaczej, jego surowe społeczeństwo w połączeniu z ubóstwem doprowadziło do powstania interesującego nocnego życia. Ostatni Imperator patrolował ulice. Obywatel jednak nauczał, że mgły pochodzą od Kelsiera - więc raczej nie mógł zabronić ludziom, by chodzili pośród nich. Urteau było jedynym miejscem znanym Spookowi, gdzie człowiek mógł wyjść o północy na miasto i znaleźć otwartą niewielką tawernę, w

której wciąż podawano trunki.

Wszedł do środka, mocno otulając się płaszczem. W środku nie było baru, jedynie grupa brudnych ludzi siedzących wokół umieszczonego w zagłębieniu paleniska. Inni siedzieli na stołkach albo skrzyniach w kątach. Spook znalazł wolną skrzynię i też usiadł.

Przymknął oczy i nasłuchiwał, odfiltrując rozmowy. Rzecz jasna, słyszał je wszystkie, mimo zatyczek w uszach. Bycie Cynookim nie polegało na tym, co się słyszało, ale co umiało się zignorować.

Obok rozległ się odgłos kroków, więc otworzył oczy. Przed Spookiem stanął mężczyzna w spodniach z naszytymi różnymi klamrami i łańcuchami. Uderzył butelką w ziemię.

- Wszyscy piją - powiedział. - Muszę płacić za ogrzewanie. Nikt nie siedzi za darmo.

- Co masz? - spytał Spook.

Barman kopnął butelkę.

- Specjalny rocznik rodu Venture. Pięćdziesiąt lat. Niegdyś kosztował sześćset skrzyńców za butelkę.

Spook uśmiechnął się i wyjął peka - monetę bitą przez Obywatela, a wartą ułamek miedzianej spinki. Połączenie upadku gospodarczego i niechęci Obywatela do luksusów oznaczało, że butelka wina kosztująca niegdyś setki skrzyńców była teraz bezwartościowa.

- Trzy za butelkę - stwierdził barman, wyciągając rękę.

Spook wyjął dwie kolejne monety. Barman zostawił butelkę na ziemi, a Spook ją podniósł. Nie dostał korkociągu ani kubka - oba pewnie kosztowały dodatkowo, choć ten rocznik win miał korek, który wystawał kilka cali nad szyjkę butelki. Chłopak mu się przyjrzał.

Zastanawiam się...

Jego cyna z ołowiem płonęła słabym ogniem, w przeciwieństwie do rozjarzonej cyny.

Wystarczająco, by stłumić zmęczenie i ból. Działała tak dobrze, że w drodze do baru niemal zapomniał o ranie. Mocniej rozpalil metal i ból zniknął zupełnie. Wówczas Spook chwycił

korek i szarpnął go mocno. Wysunął się z butelki niemal bez oporu.

Spook odrzucił korek. Chyba mi się to spodoba, pomyślał z uśmiechem.

Pociągnął łyk wina prosto z butelki, nasłuchując interesujących rozmów. Został

wysłany do Urteau w celu zbierania informacji i nie byłby szczególnie użyteczny dla Elenda i innych, gdyby pozostał w łóżku. Dziesiątki stłumionych rozmów odbijały się echem od ścian tawerny,

większość ostra w tonie. To nie było miejsce, w którym gromadzili się ludzie lojalni wobec miejscowej władzy - i właśnie dlatego Spook udał się do Bron.

- Mówią, że ma zamiar pozbyć się monet - wyszeptał jeden z zebranych wokół

paleniska. - Ma zamiar zebrać je wszystkie i przechowywać w skarbcu.

- To głupota - odpowiedział inny. - Wybił swoje własne monety, po co je teraz odbierać.

- To prawda - powiedział pierwszy. - Sam zech widział, jak o tym mówił. Mówi, że ludzie nie powinni polegać na monetach... że powinniśmy mieć wszystko razem, nie kupować i sprzedawać.

- Ostatni Imperator też nie pozwalał skaa mieć monet - zauważył inny. - Wygląda na to, że im dłużej stary Quellion jest u władzy, tym bardziej przypomina tego szczura, którego zabił Ocalały.

Spook uniósł brew, pociągając kolejny łyk wina. To Vin, nie Kelsier, zabiła Ostatniego Imperatora. Urteau znajdowało się jednak w znacznej odległości od Luthadel. O śmierci Ostatniego Imperatora pewnie dowiedzieli się dopiero po wielu tygodniach. Spook skupił się na kolejnych rozmowach, szukając takiej, w której porozumiewano się szeptem. To, czego szukał, znalazł u dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w kącie na podłodze i pili wino z jednej butelki.

- Ma już prawie wszystkich skatalogowanych - wyszeptał mężczyzna. - Ale jeszcze nie skończył. Ma tych swoich skrybów, genealogów. Zadają pytania, przesłuchują przyjaciół i sąsiadów, szukając szlacheckiej krwi do pięciu pokoleń wstecz.

Hm, pomyślał Spook, pociągając łyk wina. Co dziwne, alkohol jakby nie miał na niego żadnego wpływu. Cyna z ołowiem, uświadomił sobie. Wzmacnia ciało, czyniąc je odporniejszym na rany i ból. A może pomaga też uniknąć upojenia?

Uśmiechnął się. Umiejętność picia bez upijania się - zaleta cyny z ołowiem, o której nikt mu nie powiedział. Musi istnieć jakiś sposób wykorzystania takiej przewagi.

Skupił się na innych klientach, szukając użytecznych informacji. Kolejna rozmowa dotyczyła pracy w kopalniach. Spooka przeszedł dreszcz, gdy obudziły się wspomnienia. Ci mężczyźni mówili o kopalni węgla, nie złota, lecz narzekania były te same. Zawały.

Niebezpieczne gazy. Duchota i nieczuli przełożeni.

Tak wyglądałoby moje życie, pomyślał Spook. Gdyby Clubs po mnie nie przyszedł.

Nadal tego nie rozumiał. Dlaczego Clubs udał się tak daleko - odwiedzając wschodnie rubieże Ostatniego Imperium - by uratować siostrzeńca, którego nigdy nie poznał?

Z pewnością w Luthadel byli młodzi Allomanci, którzy również zasługiwali na jego opiekę.

Clubs wydał majątek, przebył dużą odległość w imperium, gdzie skaa nie wolno było opuszczać rodzinnych miast, i zaryzykował, że zostanie wydany przez ojca Spooka. Przez to zaskarbił sobie

Lojalność małego ulicznika, który wcześniej uciekał przed każdą osobą próbującą go kontrolować.

Jak to by było, myślał Spook, gdyby Clubs po mnie nie przyszedł i nie trafiłbym do ekipy Kelsiera. Mógłbym ukryć Allomancję i nigdy z niej nie korzystać. Mógłbym po prostu pójść do kopalni i przeżyć życie jak każdy inny skaa.

Mężczyźni opłakiwali śmierć kilkunastu towarzyszy, którzy zginęli w zawale.

Wydawało im się, że niewiele się zmieniło od czasów Ostatniego Imperatora. Życie Spooka byłoby takie jak ich, podejrzewał. Żyłby na wschodnich pustkowiach i spędzał czas wśród rozgrzanego pyłu na zewnątrz albo w ciasnych przestrzeniach przez resztę czasu.

Zdawało mu się, że przez większość życia był jak płatek popiołu, pchany silnymi wiatrami. Szedł, gdzie mu kazano, i robił, co mu mówiono. Nawet jako Allomanta Spook przeżył swoje życie jako nikt. Inni byli wielcy. Kelsier zorganizował niemożliwą rewolucję.

Vin zabiła samego Ostatniego Imperatora. Club prowadził armie rewolucji i został

najważniejszym generałem Elenda. Sazed był Opiekunem i posiadał wiedzę stuleci. Breeze poruszał ludzi swoją zręczną mową i potężnym Uspokajaniem, a Ham był silnym żołnierzem.

Spook tylko obserwował i nic nie robił.

Aż do dnia, kiedy uciekł, zostawiając Clubsa na śmierć.

Spook westchnął i podniósł wzrok.

- Chciałbym tylko umieć pomóc - wyszeptał.

- Możesz - rozległ się głos Kelsiera. - Możesz być wielki. Jak ja.

Spook podskoczył, rozejrzał się dookoła. Najwyraźniej nikt inny nie słyszał tego głosu. Chłopak znów usiadł, czując się niezręcznie. Jednakże słowa miały sens. Dlaczego zawsze łajał się w duchu? Owszem, Kelsier nie wybrał go do ekipy, ale teraz sam Opiekun objawił się Spookowi i obdarzył go mocą cyny z ołowiem.

Mógłbym pomóc mieszkańcom tego miasta, pomyślał. Tak jak Kelsier pomógł tym w Luthadel. Mógłbym zrobić coś ważnego - wprowadzić Urteau do imperium Elenda, oddać mu magazyn, ale i lojalność ludzi.

Raz uciekłem. Nie muszę tego znów robić. Nie zrobię tego nigdy więcej!

W powietrzu unosiły się zapachy wina, ciała, popiołu i pleśni. Mimo ubrania, Spook czuł ziarnistą powierzchnię skrzynki, na której siedział, poruszenia ludzi w budynku poprzez wibracje ziemi pod stopami. A do tego jeszcze płonęła w nim cyna z ołowiem. Rozjarzył ją, uczynił równie mocną jak cyna. Butelka popękała w jego dłoni, gdyż naciskał zbyt mocno, choć wypuścił ją na tyle szybko, by się nie rozpadła. Opadała w stronę ziemi, lecz on pochwycił ją drugą ręką, jego ramię poruszało się z

zadziwiająco szybkością.

Spook zamrugał, oszołomiony prędkością własnych ruchów. Później uśmiechnął się.

Będę potrzebował więcej cyny z ołowiem.

- To on.

Spook zamarł. Część rozmów wokół ucichła, a dla jego uszu - przyzwyczajonych do kakofonii - cisza brzmiała dziwnie. Spojrzał w bok. Mężczyźni, którzy rozmawiali o kopalniach, patrzyli na Spooka, rozmawiając bardzo cicho. Pewnie zakładali, że ich nie słyszy.

- Mówię ci, że widziałem, jak jeden ze strażników go przebił. Wszyscy myśleli, że nie żyje, zanim go spalili.

Niedobrze, pomyślał Spook. Nie uważał się za na tyle charakterystycznego, by ludzie go zauważali. Ale, z drugiej strony... zaatakował grupę żołnierzy pośrodku targowiska.

- Durn o nim mówił - ciągnął mężczyzna. - Powiedział, że to jeden z ekipy samego Ocalałego...

Durn, pomyślał Spook. Czyli wie, kim naprawdę jestem. Dlaczego zdradza ludziom moje tajemnice? Myślałem, że jest ostrożniejszy.

Spook wstał najswobodniej, jak potrafił, i umknął w noc.

Tak, Rashek dobrze wykorzystał kulturę wroga, tworząc Ostatnie Imperium. Jednakże inne elementy imperialnej kultury stały w całkowitej sprzeczności z zasadami rządzącymi społeczeństwem Khlennium. Skaa żyli w sposób wzorowany na niewolnikach Canzi.

Terrisańscy lokaje przypominali klasę służących Urtan, których Rashek podbił pod koniec pierwszego stulecia życia.

Imperialna religia, a szczególnie obligatorzy najwyraźniej wywodzi się z biurokratyczno-kupieckiego systemu Hallantów, ludu, który za niezmiernie ważne uznawał

wagi, miary i zezwolenia. Fakt, że Ostatni Imperator wzorował swój Kościół na instytucji finansowej, świadczy - moim zdaniem - że mniej się przejmował prawdziwą wiarą swoich wyznawców, a bardziej stabilnością, lojalnością i łatwym do zmierzenia oddaniem.

27

Vin przeszła nocne powietrze. Mgła wirowała wokół niej, niczym kłębiąca się biała burza w ciemnościach. Rzuciła się w jej stronę, jakby próbując ją ugryźć, ale nigdy nie zbliżała się bardziej niż na kilka cali - jakby odpychał ją jakiś prąd powietrza. Pamiętała czasy, gdy mgły dotykały jej skóry, a nie wycofywały się. Zmiana następowała stopniowo -

minęło wiele miesięcy, zanim ją zauważyła.

Nie nosiła mgielnego płaszcza. Dziwnie się czuła, skacząc pośród mgieł bez tego elementu ubioru, choć, prawdę mówiąc, w ten sposób była cichsza. Niegdyś mgielny płaszcz przydawał się, jego widok bowiem skłaniał strażników i złodziei do odwracania wzroku.

Jednakże, podobnie jak era przyjaznych mgieł, te czasy minęły. Dlatego miała na sobie jedynie czarną koszulę i spodnie, doskonale dopasowane, by tkanina nie łopotała w locie. Jak zawsze nie miała na sobie nic metalowego poza monetami w sakiewce i zapasowym flakonikiem z metalami za pasem. Wyciągnęła teraz monetę - znajomy ciężar owinięty materiałem - i rzuciła ją za siebie. Odpychanie sprawiło, że metal uderzył w skały, lecz tkanina stłumiła brzęk. Wykorzystała Odpychanie, by spowolnić upadek, i lekko wzniosła się w powietrze.

Ostrożnie wylądowała na kamiennej półce, po czym Przyciągnęła monetę z powrotem do ręki. Skradała się po skale, czując pod stopami puszystą warstwę popiołu. Niedaleko od niej niewielka grupka strażników siedziała w ciemnościach, szepcząc cicho i obserwując obóz Elenda - z którego w tym miejscu było widać jedynie blask ognisk. Strażnicy rozmawiali o wiosennym chłodzie, zauważając, że w tym roku wydawał się on bardziej dojmujący niż w latach poprzednich. Choć Vin była na bosaka, rzadko zauważała zimno. Dar cyny z ołowiem.

Vin spaliła brąz, lecz nie wyczuła pulsowania. Żaden z mężczyzn nie spalał metali.

Cett ruszył na Luthadel między innymi dlatego, że nie udało mu się zebrać wystarczająco wielu Allomantów dla ochrony przed Zrodzonymi z Mgły skrytobójcami. Bez wątplenia lord Yomen doświadczał podobnych trudności w rekrutowaniu Allomantów i raczej nie wysłałby ich na zimno, żeby obserwowali wrogi obóz.

Vin przekradła się obok strażników. Nie potrzebowała Allomancji, by poruszać się cicho - wraz z bratem, Reenem, czasami włamywała się do domów. Przez całe życie zdobywała wyszkolenie, którego Elend nigdy nie pozna ani nie zrozumie. Mógł ćwiczyć z cyną z ołowiem, ile tylko chciał - i w rzeczy samej, był w tym coraz lepszy - ale zawsze będzie mu brakowało instynktów, jakie ona wyrobiła sobie w dzieciństwie, gdy musiała się skradać, by zachować życie.

Gdy tylko minęła strażników, znów wyskoczyła we mgły, wykorzystując wyciszone monety jako kotwice. Szerokim łukiem ominęła ogniska przed bramami miasta i udała się na tyły Fadrex. Większość patroli z pewnością znajdowała się w pobliżu bramy, gdyż tyły chroniły strome ściany formacji skalnych. Oczywiście, Vin to zupełnie nie przeszkadzało i wkrótce opadała kilkaset stóp w dół wzdłuż skalnej ściany, po czym wylądowała w uliczce na tyłach miasta.

Ruszyła po dachach i rozejrzała się szybko, przeskakując z ulicy na ulicę. Rozmiar Fadrex szybko jej zaimponował. Elend nazwał miasto „prowinjencjalnym” i Vin wyobrażała sobie miasteczko niewiele większe od wioski. Kiedy przybyli, miast tego oczami wyobraźni widziała surowe, zabarykadowane miasto bardziej przypominające fort. Fadrex nie było ani jednym ani drugim.

Powinna była sobie uświadamiać, że Elend - który dorastał w ogromnej metropolii Luthadel - miał wypaczone pojęcie tego, czym jest duże miasto. Fadrex było dość spore. Vin naliczyła kilka slumsów skaa, rozrzucone rezydencje szlachetnie urodzonych i nawet dwie twierdze w stylu Luthadel. Wspaniałe kamienne budowle miały typowe witrażowe okna i wznoszące się do nieba mury z

przyporami. Bez wątplenia były to domy najznacniejszych szlachetnie urodzonych w mieście.

Wylądowała na dachu w pobliżu jednej z twierdz. Większość budynków w mieście była parterowa lub piętrowa, co oznaczało sporą zmianę w porównaniu z wysokimi kamienicami Luthadel. Do tego były rzadziej rozmieszczone i raczej płaskie i przysadziste niż wysokie i zwieńczone stromymi dachami. Przez to potężna twierdza wydawała się jeszcze większa. Była prostokątna, z trzema spiczastymi wieżami wznoszącymi się na obu końcach.

Krawędzie dachu ozdabiałały ornamenty z białego kamienia.

A wzdłuż ścian ciągnęły się oczywiście piękne witrażowe okna, rozświetlone od wewnątrz. Vin przykucnęła na niskim dachu, wpatrując się w kolorowo podświetlone, wirujące mgły. Na chwilę wróciła myślami do chwil sprzed trzech lat, gdy w ramach wymyślonego przez Kelsiera planu obalenia Ostatniego Imperium brała udział w balach w takich twierdzach. Wtedy była niepewnym i nerwowym stworzeniem, obawiającym się, że właśnie odkryty przez nią świat godnej zaufania ekipy i pięknych przyjęć zawali się wokół

niej. I w pewnym sensie tak się stało - ten świat zniknął. Pomogła go zniszczyć.

W tamtym czasie była zadowolona. Może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i później. Kochała Elenda i cieszyła się, że jej życie dotarło do punktu, w którym mogła go poślubić, lecz jej pierwsze dni z ekipą charakteryzowała rozkoszna niewinność. Tańce, w czasie których Elend czytał przy jej stoliku, udając, że ją ignoruje. Noce spędzane na poznawaniu tajemnic Allomancji. Wieczory spędzane przy stole w warsztacie Clubsa, gdy śmiała się z pozostałymi. Stało przed nimi wyzwanie zaplanowania upadku imperium, nie czuli jednak ciężaru przywództwa ani odpowiedzialności za przyszłość.

Jakimś sposobem, między upadkiem królów i zagładą świata stała się kobietą. Niegdyś bała się zmian. Później bała się utracić Elenda. Obecnie jej obawy były bardziej niejasne -

strach, co nadejdzie, kiedy jej zabraknie, co stanie się z mieszkańcami imperium, jeśli nie dotrze do tajemnic, których poszukiwała.

Przerwała kontemplację ogromnej, przypominającej zamek twierdzy, Odepchnęła się od okucia komina i skoczyła w noc. Udział w balach w Luthadel gwałtownie ją zmienił, pozostawił po sobie osad, którego nie potrafiła się pozbyć. W głębi duszy natychmiast reagowała na tańce i przyjęcia. Przez bardzo długi czas próbowała zrozumieć, jak ta część jej osoby pasowała do reszty jej życia. Wciąż nie miała pewności, czy zna odpowiedź. Czy Valette Renoux - dziewczyna, którą udawała na balach - rzeczywiście była częścią Vin, czy tylko sztucznym tworem służącym celom Kelsiera?

Vin skakała ponad miastem, zwracając uwagę na umocnienia i rozmieszczenie wojsk.

Hamowi i Demoux w końcu uda się wprowadzić do miasta prawdziwych wojskowych szpiegów, lecz będą chcieli poznać informacje wstępne od Vin. Zwróciła również uwagę na warunki życia. Elend liczył, że miasto będzie w trudnej sytuacji, którą oblężenie jeszcze pogorszy, skłaniając lorda Yomena do szybszej kapitulacji.

Nie widziała wyraźnych oznak zagłodzenia lub zniszczeń - choć w nocy trudno to było ocenić. Jednakże ulice były wolne od popiołu, a zadziwiająco duża liczba rezydencji szlachetnie urodzonych wyglądała na zamieszkaną. Spodziewałyby się, że arystokraci uciekną jako pierwsi, słysząc o zbliżającej się armii.

Marszcząc czoło, Vin zakończyła okrążanie miasta i wylądowała na pewnym placu, który zasugerował jej Cett. W tej okolicy rezydencje rozdzielały tereny zielone i wypielegnowane drzewa. Vin szła wzdłuż ulicy i liczyła - przy czwartej rezydencji przeskoczyła przez bramę i ruszyła po zboczu wzgórza w stronę domu.

Nie wiedziała, co może znaleźć - w końcu Cetta nie było w mieście od ponad dwóch lat. Twierdził jednak, że ten informator najprawdopodobniej jej pomoże. Zgodnie z instrukcjami Cetta, tylny balkon posiadłości był oświetlony. Vin czekała w mroku, pełna podejrzeń, a zimne i nieprzyjazne mgły zapewniały jej osłonę. Nie ufała Cettowi - obawiała się, że nadal żywi do niej urazę po ataku przed ponad rokiem. Ostrożnie upuściła monetę i wzniosła się w powietrze.

Na balkonie siedziała samotna postać, pasująca do opusów Cetta. Zgodnie z tym opisem informator miał przydomek Slowswift. Starzec czytał w świetle lampy. Vin skrzywiła się, lecz zgodnie z instrukcją wylądowała na balustradzie i kucnęła przy drabinie, która pozwoliłaby bardziej przyziemnemu gościowi dostać się na górę.

Starzec nie podnosił wzroku znad książki. W milczeniu palił fajkę, na kolanach miał grubą koc. Vin nie była pewna, czy ją zauważył. Odchrząknęła.

- Tak, tak - powiedział spokojnie mężczyzna. - Zaraz do ciebie przyjdę.

Vin przechyliła głowę, przyglądając się dziwnemu mężczyźnie. Miał krzaczaste brwi i zupełnie siwe włosy. Nosił surdut, szal i płaszcz z ogromnym futrzanym kołnierzem.

Wydawał się zupełnie nieporuszony faktem, że na balustradzie siedziała Zrodzona z Mgły. W końcu zamknął księgę i odwrócił się w jej stronę.

- Lubisz opowieści, młoda damo?

- Jakie opowieści?

- Najlepsze, oczywiście - odparł Slowswift, poklepując swoją książkę. - O potworach i mitach. Bajędy, tak nazywają je niektórzy... historie opowiadane przez skaa szeptem przy paleniskach, o mgielnych upiorach, widmach, brollinach i innych takich.

- Nie mam wiele czasu na opowieści - powiedziała Vin.

- Wygląda na to, że ostatnio coraz mniej ludzi ma na nie czas. - Markiza chroniła balkon przed popiołem, lecz mężczyzna zdaje się nie zwracał uwagi na mgły. - Zastanawiam się, co jest tak kuszącego w rzeczywistości, że tak się nią wszyscy przejmują. W dzisiejszych czasach to nie jest

przyjemne miejsce.

Vin szybko zapaliła brąz, ale mężczyzna nie spalał żadnych metali. W co grał?

- Powiedziano mi, że możesz udzielić mi informacji - powiedziała ostrożnie.

- Z pewnością - zgodził się mężczyzna i spojrzał na nią z uśmiechem. - Mam mnóstwo informacji, choć podejrzewam, że większość wyda ci się bezużyteczna.

- Posłucham opowieści, jeśli taka jest cena.

Mężczyzna się roześmiał.

- Nie ma lepszego sposobu na zabicie opowieści niż nazwanie jej ceną, młoda damo.

Jak się nazywasz i kto cię przysłał?

- Vin Venture - odpowiedziała. - Cett powiedział mi o tobie.

- Ach. Ten łotr nadal żyje?

- Tak.

- Cóż, myślę, że mogę porozmawiać z kimś przysłanym przez dawnego kolegę po piórze. Zejdź z tej balustrady, w głowie mi się kręci.

Vin zeszła ostrożnie.

- Kolega po piórze?

- Cett jest jednym z najlepszych znanych mi poetów, dziecko - powiedział Słowsk, wskazując gestem krzesło. - Przez dobre dziesięć lat czytaliśmy nawzajem swoje dzieła, aż zabrała mi go polityka. On też nie lubił opowieści. Dla niego wszystko musiało być twarde i

„prawdziwe”, nawet poezja. Podejrzewam, że zgodzisz się z takim podejściem.

Vin wzruszyła ramionami i usiadła na wskazanym krześle.

- Możliwe.

- Uznaję to za ironię losu, której nigdy nie zrozumiesz - odparł mężczyzna z uśmiechem. - A czego życzysz sobie ode mnie?

- Chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej o Yomenie, królu obligatorze.

- Jest dobrym człowiekiem.

Vin się skrzywiła.

- O, nie spodziewałaś się tego? - powiedział Słowski. - Wszyscy, którzy są twoimi wrogami, muszą też być złymi ludźmi?

- Nie - odparła Vin, wracając myślami do dni przed upadkiem Ostatniego Imperium. -

W końcu poślubiłam kogoś, kogo moi przyjaciele nazwaliby wrogiem.

- Aha. Cóż, Yomen jest porządnym człowiekiem i przyzwoitym królem. Dużo lepszym od Cetta, muszę powiedzieć. Mój stary przyjaciel za bardzo się stara, co czyni go brutalnym.

Nie ma wycucia, jakiego potrzebuje przywódca.

- Cóż takiego dobrego zrobił Yomen? - spytała Vin.

- Uchronił miasto przed rozpadem - odparł Słowski, pykając fajkę. Dym mieszał się z kłębiącą się mgłą. - A do tego dał szlachetnie urodzonym i skaa to, czego pragnęli.

- Czyli?

- Stabilizację, dziecko. Przez jakiś czas na świecie panował zamęt, i ani skaa, ani szlachetnie urodzeni nie znali swojego miejsca. Społeczeństwo się rozpadało, a ludzie głodowali. Cett niewiele zrobił, by to zmienić... ciągle walczył, by utrzymać to, co z tak dużym wysiłkiem zdobył. Wtedy na scenę wkroczył Yomen. Miał autorytet. Przed Upadkiem rządził Zakon Ostatniego Imperatora i ludzie bez trudu uznali obligatora za swojego przywódcę. Yomen natychmiast przejął kontrolę nad plantacjami i sprowadził żywność dla swoich poddanych, później ponownie uruchomił fabryki i kopalnie, i przywrócił szlachetnie urodzonym pozory normalności.

Vin siedziała w milczeniu. Wcześniej mogło jej się wydawać niewiarygodne to, że po tysiącu lat ucisku ludzie z własnej woli powrócą w niewolę. Jednakże coś podobnego nastąpiło w Luthadel. Obalili Elenda, który dał im wielkie wolności, i oddali władzę Penrodowi - tylko dlatego, że obiecał im powrót do tego, co utracili.

- Yomen jest obligatorem - powiedziała.

- Ludzie lubią to, co znają, dziecko.

- Są uciskani.

- Ktoś musi rządzić - zauważył starzec. - A ktoś musi słuchać. Tak już jest. Yomen dał

ludziom coś, o co błagali od czasu Upadku: tożsamość. Skaa być może pracują, być może są bici, być może są zniewoleni, ale znają swoje miejsce. Szlachetnie urodzeni być może spędzają czas na balach, ale znów powrócił porządek.

- Balach? - spytała Vin. - Świat się kończy, a Yomen urządza bale?

- Oczywiście - odparł Słowski, pykając fajkę. - Yomen rządzi dzięki temu, że przywrócił to co

znajome. Daje ludziom to, co mieli wcześniej, a bale były ważną częścią życia przed Upadkiem, nawet w niewielkim mieście w rodzaju Fadrex. W rzeczy samej, jeden odbywa się właśnie dziś, w Twierdzy Orielle.

- W dniu, w którym wasze miasto oblega armia?

- Przed chwilą zauważyłaś, że świat może dążyć do katastrofy - powiedział

mężczyzna, pokazując na nią fajkę. - W obliczu tego armia nie znaczy wiele. Poza tym, Yomen rozumie coś, czego nie rozumiał nawet Ostatni Imperator... zawsze osobiście odwiedza bale wydawane przez poddanych. W ten sposób pociesza ich i uspokaja. Przez to dzień taki jak ten, kiedy przybyła armia, staje się idealny na bal.

Vin siedziała i nie wiedziała, co myśleć. Ze wszystkiego, co spodziewała się zobaczyć w tym mieście, bale znajdowały się na samym dole listy.

- Dobrze - powiedziała. - Jaka jest słabość Yomena? Czy możemy wykorzystać coś z jego przeszłości? Jakie dziwactwa czynią go podatnym na cios? Gdzie powinniśmy uderzyć?

Sloswift powoli palił fajkę, a wiatr rzucał w jego stronę mgłę i popiół.

- I? - spytała Vin.

Starzec wypuścił chmurę dymu i mgły.

- Powiedziałem ci właśnie, że go lubię, dziecko. Co musiałoby mnie opętać, żebym dał ci informacje do wykorzystania przeciwko niemu?

- Jesteś informatorem - zauważyła Vin. - Taka jest twoja praca, sprzedajesz informacje.

- Jestem bazarzem - poprawił Sloswift. - A nie każda opowieść jest przeznaczona dla każdego uszu. Dlaczego miałbym rozmawiać z tymi, którzy chcą zaatakować moje miasto i obalić suwerena?

- Dalibyśmy ci ważną pozycję po zdobyciu miasta.

Sloswift prychnął.

- Jeśli sądzisz, że coś takiego by mnie zainteresowało, to Cett najwyraźniej niewiele ci o mnie powiedział.

- Moglibyśmy dobrze ci zapłacić.

- Sprzedaję informacje, dziecko. Nie duszę.

- Nie jesteś zbyt pomocny - zauważyła Vin.

- W takim razie powiedz mi, moja droga - stwierdził z uśmiechem - dlaczego miałoby mnie to w ogóle obchodzić?

Vin spochmurniała. To bez wątpienia najdziwniejszy informator, z jakim miałam do czynienia, pomyślała.

Slowswift nadal palił fajkę. Nie czekał na jej odpowiedź. Właściwie chyba uważał rozmowę za zakończoną.

Jest szlachetnie urodzonym, pomyślała Vin. Podoba mu się, jak kiedyś wyglądał świat.

Był wygodny. Nawet skaa obawiają się zmian.

Wstała.

- Powiem ci, dlaczego miałoby cię to obchodzić, starcze. Ponieważ popiół spada i wkrótce zakryje wasze urocze miasteczko. Mgły zabijają. Trzęsienia ziemi wstrząsają krajem, a popielne góry stają się coraz gorętsze. Wisi nad nami zmiana. W końcu nawet Yomen nie będzie mógł jej zignorować. Nienawidzisz zmian. Ja też. Lecz sprawy nie mogą pozostać niezmiennie... i dobrze, bo jeśli nic nie zmienia się w twoim życiu, to równie dobrze mógłbyś być trupem.

Odwróciła się, by odejść.

- Powiadają, że powstrzymasz popiół - odezwał się cicho mężczyzna za jej plecami. -

Sprawisz, że słońce znów stanie się żółte. Nazywają cię Dziedziczką Ocalałego. Bohaterem Wieków.

Vin zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć przez zdradziecką mgłę na mężczyznę z fajką i zamkniętą książką.

- Tak - powiedziała.

- To chyba trudne przeznaczenie.

- Muszę sobie z nim radzić albo się poddać.

Slowswift milczał przez chwilę.

- Usiądź, dziecko - powiedział w końcu, znów wskazując krzesło.

Vin ponownie usiadła.

- Yomen jest dobrym człowiekiem - powiedział Slowswift - ale zaledwie przeciętnym przywódcą. Jest biurokratą, należał do Kantonu Zasobów. Umie wszystko zorganizować...

dostarczyć zapasy we właściwe miejsca, zaplanować budowę. W normalnej sytuacji uczyniłoby to z

niego wystarczająco dobrego władcę. Jednak...

- Nie, kiedy świat się kończy - dokończyła cicho Vin.

- Zgadza się. Jeśli to, co słyszałem, jest prawdą, to twój mąż jest wizjonerem i człowiekiem czynu. Jeśli nasze miasteczko ma przetrwać, to musimy stać się częścią tego, co macie do zaproponowania.

- W takim razie, co możemy zrobić?

- Yomen ma kilka słabości - odparł Slowswift. - Jest spokojny i honorowy. Cechuje go jednak niesłabnąca wiara w Ostatniego Imperatora i jego organizację.

- Nawet teraz? Ostatni Imperator zginął!

- I co z tego? - spytał rozbawiony mężczyzna. - A wasz Ocalały? Kiedy ostatnio sprawdzałem, też był trupem. Ale nie powstrzymało to jego rewolucji, nieprawdaż?

- Racja.

- Yomen jest wierzący - powiedział Slowswift. - To może być jego słabość lub jego siła. Wierzący często są skłonni podejmować się rzeczy pozornie niemożliwych i liczyć, że opatrność ich wspomocze. - Zawahał się i spojrzał na Vin. - Tego rodzaju zachowanie może być słabością, jeśli wiara jest nieuzasadniona.

Vin nie odpowiedziała. Wiara w Ostatniego Imperatora była nieuzasadniona. Gdyby naprawdę był bogiem, nie mogłaby go zabić. Jej zdaniem sprawa była prosta.

- Jeśli Yomen ma inną słabość - dodał Slowswift - to jest nią jego bogactwo.

- Trudno to nazwać słabością.

- Owszem, jeśli nie wiadomo, skąd się wzięło. Ma gdzieś pieniądze... podejrzenie dużo, o wiele więcej niż mógł zawierać skarbiec miejscowego Zakonu. Nikt nie wie, skąd się wzięły.

Magazyn, pomyślała Vin, nadstawiając uszu. Naprawdę ma atium!

- Trochę za mocno na to zareagowałaś - zauważył starzec. - Powinnaś mniej zdradzać, kiedy rozmawiasz z informatorem.

Vin się zarumieniła.

- Tak czy inaczej - powiedział mężczyzna, wracając do książki - jeśli to wszystko, chciałbym powrócić do lektury. Pozdrów ode mnie Ashweathera.

Vin pokiwała głową, podniosła się i podeszła do poręczy. Gdy to zrobiła, Slowswift odchrząknął.

- Zazwyczaj - zauważył - za działania takie jak moje należy się zapłata.

Vin uniosła brew.

- Chyba mówiłeś, że opowieści nie powinny mieć ceny.

- Właściwie - poprawił ją Slowswift - powiedziałem, że sama opowieść nie powinna być ceną. A to coś zupełnie innego niż stwierdzenie, że opowieść nie powinna mieć ceny.

Choć niektórzy mogli by się spierać, ja sędzę, że opowieść bez ceny to taka, która jest uważana za bezwartościową.

- Jestem pewna, że to jedyny powód - powiedziała Vin i z lekkim uśmiechem rzuciła mężczyźnie swoją sakiewkę, zostawiając sobie tylko kilka monet owiniętych materiałem. -

Złote imperiale. Zakładam, że wciąż mają tu wartość.

- Są wystarczająco dobre - odparł mężczyzna, chowając sakiewkę. - Wystarczająco dobre...

Vin skoczyła w mrok i wylądowała kilka domów dalej. Spaliła brąz, by sprawdzić, czy poczuje allomantyczne impulsy z tyłu. Wiedziała, że ze swej natury jest przesadnie podejrzliwa wobec ludzi, którzy wydawali się słabi. Przez bardzo długi czas była przekonana, że Cett jest Zrodzonym z Mgły, tylko dlatego, że miał bezwładne nogi. Mimo to sprawdziła Slowswifta. Tego starego przyzwyczajenia nie miała zamiaru się pozbywać.

Z tyłu nie dochodziły żadne impulsy. Wkrótce ruszyła dalej i wyciągnąwszy instrukcje Cetta, zaczęła szukać drugiego informatora. Ufała słowom Slowswifta, ale potrzebowała potwierdzenia. Wybrała informatora po drugiej stronie skali - żebraka imieniem Hoid, którego zdaniem Cetta można było znaleźć późno w nocy na pewnym placu.

Wystarczyło kilka szybkich skoków i znalazła się u celu. Wylądowała na dachu i spojrzała w dół, rozglądając się po okolicy. Tutaj nikt nie sprzątał popiołu, który zbierał się w zaspach i powiększał nieporządek. W bocznej uliczce kulila się grupka ludzi. Żebracy, bez domu i pracy. Vin czasem tak żyła, spała w zaułkach, kaszlała popiołem i miała nadzieję, że nie spadnie deszcz. Wkrótce zauważyła postać, która nie spała tak, jak pozostali, lecz siedziała w ciszy wśród spadającego popiołu. Uszy Vin wychwyciły słaby dźwięk.

Mężczyzna nucił coś pod nosem.

Zawahała się.

Nie wiedziała, o co chodzi, lecz coś niepokoiło ją w tej sytuacji. Nie była właściwa.

Nie zatrzymała się, by się namyślić, tylko odwróciła się i skoczyła w noc. To była jedna z wielkich różnic między nią a Elendem - ona nie zawsze potrzebowała powodu. Wystarczyło przecucie. On zawsze ją wypytywał, chciał się dowiedzieć dlaczego, a ona kochała go za jego logikę. Byłby jednak bardzo sfrustrowany jej decyzją opuszczenia placu.

Może nic by się nie stało, gdyby zeskoczyła na plac. Może wydarzyłoby się coś straszliwego. Nigdy

się nie dowie i nie musiała wiedzieć. Jak to robiła wiele razy przez całe życie, tak i tym razem zaakceptowała swoje przeczucie i ruszyła dalej.

Ucieczka doprowadziła ją na ulicę, którą Cett opisał w swoich instrukcjach.

Zaciekawiona Vin nie szukała kolejnego informatora, lecz podążyła drogą, skacząc od kotwicy do kotwicy pośród mgieł. Wylądowała na brukowanej ulicy niedaleko budynku ze światłem w oknach.

Przysadzista i utylitarna budowla była jednocześnie onieśmielająca - nawet jeśli tylko ze względu na swój rozmiar. Cett napisał, że Kanton Zasobów był największym z budynków Stalowego Zakonu w mieście. Fadrex pełniło funkcję swego rodzaju przystanku między Luthadel a ważniejszymi miastami zachodu. Ponieważ miasto znajdowało się w pobliżu kilku ważnych kanałów i było dobrze ufortyfikowane przeciwko bandytom, stanowiło doskonałą lokalizację dla regionalnej siedziby Kantonu Zasobów. Jednocześnie Fadrex nie było na tyle ważne, by przyciągnąć Kantony Ortodoksji czy Inkwizycji - tradycyjnie najpotężniejsze z wydziałów Zakonu.

To oznaczało, że Yomen, jako główny obligator w budynku Zasobów był najwyższym autorytetem w okolicy. Opierając się na słowach Słowswifta, Vin widziała typowego obligatora Zasobów - oschłego, nudnego, ale przerażająco skutecznego. I dlatego oczywiście postanowił uczynić dawny budynek Kantonu swoim pałacem. Cett tak podejrzewał, a Vin wyraźnie widziała, że to prawda. W budowlu panowała gorączkowa aktywność, mimo późnej godziny, a strzegły go plutony straży. Yomen prawdopodobnie wybrał swoją siedzibę w celu przypomnienia wszystkim, skąd się brała jego władza.

Niestety, to tam znajdował się również magazyn Ostatniego Imperatora. Vin westchnęła i przerwała przyglądanie się budynkowi. W głębi duszy pragnęła wślizgnąć się do środka i znaleźć drogę do jaskini. Miast tego rzuciła monetę i wzniosła się w powietrze.

Nawet Kelsier nie spróbowałby się tam włamać pierwszej nocy. Udało się jej dokonać czegoś takiego w Urteau, ale tam budynek był opuszczony. Musiała naradzić się z Elendem i przez kilka dni przyglądać się miastu, zanim zrobi coś tak zuchwałego jak wślizgnięcie się do ufortyfikowanego pałacu.

Wykorzystując światło gwiazd i cynę, odczytała imię trzeciego i ostatniego informatora. To był kolejny szlachetnie urodzony. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę pochodzenie samego Cetta. Ruszyła we wskazanym kierunku. Wówczas jednak coś zauważyła.

To były jedynie mignięcia, przesłonięte wirującą mgłą. Vin ostrożnie spaliła brąz, na co odpowiedzią było bardzo słabe dudnienie. Ukryte allomantyczne pulsowanie. Zazwyczaj, kiedy Allomanta spalał miedź - jak to robił ten, który podążał za nią - czyniło go to niewidzialnym dla Allomantów spalających brąz. Jednakże, z powodów, których nie umiała wyjaśnić, Vin potrafiła przebić zasłonę. Ostatni Imperator również posiadał taką umiejętność, podobnie jego Inkwizytorzy.

Vin się nie zatrzymywała. Allomanta, który za nią podążał, najwyraźniej uważał, że jest niewidzialny - lub niewidzialna - dla zmysłów Vin. Poruszał się szybkimi, swobodnymi skokami, podążając za nią w bezpiecznej odległości. Był dobry, lecz nie doskonały, i musiał

być Zrodzonym z Mgły, gdyż tylko Zrodzony z Mgły mógł spalać jednocześnie miedź i stal.

Vin nie była zaskoczona. Zakładała, że jeśli w mieście są jacyś Zrodzeni z Mgły, jej skoki przyciągną ich uwagę. Na wszelki wypadek sama nie spalała miedzi, przez co każdy -

Zrodzony z Mgły lub Szperacz - który nasłuchiwał, mógł usłyszeć jej impulsy. Lepszy wróg na otwartej przestrzeni niż kryjący się w cieniach.

Przyśpieszyła, choć nie przesadnie, a wtedy osoba podążająca za nią również musiała przyśpieszyć. Vin kierowała się w stronę bram miasta, jakby planowała je opuścić. Gdy się przybliżyła, jej allomantyczne zmysły pokazały jej bliźniacze niebieskie linie prowadzące do żelaznych okuć mocujących wrota do skał po obu stronach. Okucia były potężne i stanowiły znaczące źródło metalu, a ich linie były jasne i grube.

Co oznaczało, że stanowiły doskonałe kotwice. Rozjarzywszy cynę z ołowiem, by uniknąć zmiążdżenia, Vin Odepchnęła okucia, rzucając się do tyłu.

Allomantyczne impulsy za jej plecami natychmiast zniknęły.

Vin pędziła przez popiół i mgłę, nawet jej obcisłe ubranie łopotało lekko na wietrze.

Szybko Przyciągnęła się do dachu i przykucnęła na nim w napięciu. Drugi Allomanta musiał przerwać spalanie metali. Ale dlaczego to zrobił? Czy wiedział, że może przebijać chmury miedzi? A jeśli tak, to dlaczego podążał za nią tak lekkomyślnie?

Vin przeszedł dreszcz. Było coś jeszcze, co w mroku nocy pulsowało allomantycznie.

Duch mgieł. Nie widziała go od ponad roku. Podczas ostatniego spotkania niemal zabił

Elenda - a później uratował mu życie, zmieniając go w Zrodzonego z Mgły.

Wciąż nie wiedziała, jak duch pasował do całej układanki. Nie był Zniszczeniem -

poczuła obecność Zniszczenia, kiedy uwolniła je w Studni Wstąpienia. Były inne.

Nawet nie wiem, czy dziś to był duch, powiedziała sobie Vin. Jednakże ten, kto za nią podążał, zniknął tak gwałtownie.

Zdezorientowana i zaniepokojona Odepchnęła się za mury i szybko powróciła do obozu Elenda.

Ostatni aspekt kulturowej manipulacji Ostatniego Imperatora jest całkiem interesujący - kwestia techniki.

Już wspominałem, że Rashek postanowił wykorzystać architekturę Khlenni, co pozwalało mu tworzyć duże budowle i zapewniało wiedzę inżynierską na poziomie wystarczającym do zbudowania miasta rozmiarów Luthadel. Jednak w innych obszarach tłumił rozwój techniczny. Na

przykład, z taką dezaprobatą traktował proch strzelniczy że wiedza na jego temat zniknęła równie szybko, jak znajomość terrisańskiej religii.

Najwyraźniej Rashek uznał za niepokojące, że najzwyczajsi ludzie uzbrojeni w broń palną mogli być niemal równie skuteczni jak szkoleni przez wiele lat łucznicy. I dlatego faworyzował łuczników. Im lepszego wyszkolenia wymagała sztuka wojenna, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że chłopci będą zdolni zbuntować się i stawić mu czoło. I w rzeczy samej, bunty skaa zawsze ponosiły porażkę również z tego powodu.

28

- Jesteś pewna, że to był duch mgieł? - spytał Elend, marszcząc czoło. Na biurku przed nim leżał na wpół ukończony list, wypisany na cienkim arkuszu stalowej blachy.

Elend zdecydował się spać w kajucie na łodzi, nie zaś w namiocie. Nie tylko była wygodniejsza, ale też czuł się bezpieczniej, mając wokół siebie ściany, a nie płótno.

Vin westchnęła, usiadła na ich łóżku i podciągnęła kolana do brody.

- Nie wiem. Chyba się przestraszyłam, więc uciekłam.

- I dobrze - pomyślał Elend, drżąc na myśl o tym, co zrobił mu duch mgły.

- Sazed był przekonany, że on nie jest zły - przypomniała Vin.

- Ja też. Jeśli pamiętasz, to ja podszedłem prosto do niego, mówiąc ci, że czuję, że jest nam przyjazny. I właśnie wtedy pchnął mnie nożem.

Vin pokręciła głową.

- Próbował powstrzymać mnie przed uwolnieniem Zniszczenia. Sądził, że jeśli uznam cię za umierającego, wezmę dla siebie moc i cię uleczę, nie zostawię cię na śmierć.

- Nie znasz do końca jego intencji, Vin. Możesz nadawać znaczenie przypadkowym zdarzeniom.

- Możliwe. On jednak doprowadził Sazedą do odkrycia, że Zniszczenie zmienia tekst.

To przynajmniej było prawdą - na ile mogli zaufać relacji Sazedą. Terrisanin zachowywał się nieco... niespójnie od śmierci Tindwyl. Nie, powiedział w duchu Elend, natychmiast czując ukłucie winy. Nie, Sazed jest godny zaufania. Być może ma problemy z wiarą, ale i tak jest dwa razy bardziej wiarygodny od nas wszystkich.

- Och, Elendzie - westchnęła Vin. - Tak wiele nie wiemy. Ostatnio mam wrażenie, że moje życie jest księgą zapisaną w języku, którego nie rozumiem. Mgielny duch łączy się z tym wszystkim, ale nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób.

- Prawdopodobnie jest po naszej stronie - stwierdził Elend, choć z trudem powstrzymywał się przed

wracaniem myślami do chwili, gdy został pchnięty, a jego życie wypływało z krwią. I jak się czuł ze świadomością, że umiera, i do czego to doprowadzi Vin.

Zmusił się do powrotu do rozmowy.

- Sądzisz, że duch mgły próbował powstrzymać cię przed uwolnieniem Zniszczenia, a Sazed mówi, że dał mu ważne informacje. To czyni go wrogiem naszego wroga.

- Na razie - odparła Vin. - Lecz on jest o wiele słabszy od Zniszczenia. Czułam ich obu. Zniszczenie było... ogromne. Potężne. Słyszysz, cokolwiek mówimy... może obserwować wszystkie miejsca jednocześnie. Duch mgły jest o wiele słabszy. Bardziej jak wspomnienie niż prawdziwa moc.

- Nadal sądzisz, że cię nienawidzi?

Wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam go od ponad roku. Jestem jednak pewna, że coś takiego się nie zmienia, a zawsze czułam z jego strony nienawiść i wrogość. - Zawahała się, marszcząc czoło. - Taki był początek. Tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ducha mgieł, zaczęłam też wyczuwać, że mgły nie są już moim domem.

- Jesteś pewna, że to nie duch zabija ludzi lub wywołuje ich chorobę?

Pokiwała głową.

- Owszem, jestem pewna.

Była w tej kwestii niewzruszona, choć Elend uważał, że nieco zbyt pochopnie podjęła decyzję. Coś przypominającego ducha, poruszające się pośród mgieł? Wydawało mu się, że coś takiego może mieć związek z ludźmi nagle ginącymi w tych samych mgłach.

Owszem, ci, którzy umierali od mgły, nie zostali pchnięci nożem, lecz dostawali drgawek. Elend westchnął i przetarł oczy. Niedokończony list do lorda Yomena spoczywał na jego biurku - rano będzie musiał do niego powrócić.

- Elendzie - powiedziała Vin. - Dziś powiedziałam komuś, że powstrzymam opady popiołu i nadam słońcu żółtą barwę.

Elend uniósł brew.

- Temu informatorowi, o którym mówiłaś?

Pokiwała głową. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że przyznasz się do czegoś takiego - powiedział w końcu.

- Jestem Bohaterem Wieków, czyż nie? Nawet Sazed tak mówił, nim zaczął się dziwnie zachowywać.

To moje przeznaczenie.

- To samo przeznaczenie, zgodnie z którym miałaś przyjąć moc Studni Wstąpienia, a później uwolnić ją dla większego dobra ludzkości?

Przytaknęła.

- Vin - powiedział z uśmiechem Elend - naprawdę nie sędzę, by „przeznaczenie” było czymś, czym powinniśmy się teraz martwić. Chodzi mi o to, że mamy dowody, że proroctwa zostały wypaczone przez Zniszczenie, żeby nakłonić ludzi do uwolnienia go.

- Ktoś musi przejmować się popiołem - stwierdziła Vin.

Nie wiedział co odpowiedzieć. Logiczna część jego osoby pragnęła się sprzeczać, upierać się, że powinny się skupiać na tym, co mogli zrobić - stworzeniu stabilnego rządu, odkrywaniu tajemnic pozostawionych przez Ostatniego Imperatora, zabezpieczeniu zapasów pozostawionych w magazynach. Jednakże nieprzerwane opady popiołu stawały się coraz obfitsze. Jeśli nic się nie zmieni, wkrótce niebo stanie się czarne.

Po prostu trudno mu było myśleć, że Vin - jego żona - mogła coś poradzić na kolor słońca albo spadający popiół. Demoux ma rację, pomyślał, stukając palcami w metaliczny list do lorda Yomena. Nie jestem szczególnie dobrym członkiem Kościoła Ocalałego.

Spojrzał na Vin, siedzącą na łóżku z nieobecny wyrazem twarzy, gdy zastanawiała się nad kwestiami, które nie powinny być jej ciężarem.

Nawet po tym, jak spędziła całą noc na wędrówce po mieście, nawet po wielu dniach podróży, nawet z twarzą brudną od popiołu, była piękna.

W tej właśnie chwili Elend coś sobie uświadomił. Vin nie potrzebowała kolejnej osoby, która oddawała jej cześć. Nie potrzebowała kolejnego wiernego w rodzaju Demoux, a szczególnie nie w osobie Elenda. Nie musiał być dobrym członkiem Kościoła Ocalałego.

Musiał być dobrym mężem.

- Cóż - powiedział. - W takim razie zrobmy to.

- Co? - spytała Vin.

- Uratujmy świat - odparł. - Powstrzymajmy popiół.

Prychnęła cicho.

- W twoich ustach to brzmi jak żart.

- Nie, mówię poważnie - stwierdził i wstał. - Jeśli ty czujesz, że to musimy zrobić... że tym właśnie jesteś... zrobmy to. Pomogę ci w miarę moich możliwości.

- A co z twoim wcześniejszym przemówieniem? - spytała. - W ostatniej jaskini, kiedy mówiłeś o podziale obowiązków. Ja miałam pracować nad mgłami, a ty nad zjednoczeniem imperium.

- Myliłem się.

Vin się uśmiechnęła, a wtedy Elend poczuł się tak, jakby świat powrócił na moment do normalności.

- Dobrze - powiedział, siadając obok niej na łóżku. - Co masz? Jakies przemyślenia.

Vin się zawahała.

- Tak - stwierdziła. - Ale nie mogę ci powiedzieć.

Zmarszczył czoło.

- Nie chodzi o to, że ci nie ufam - wyjaśniła. - To przez Zniszczenie. W ostatniej jaskini znalazłam drugą inskrypcję na płycie, na samym dole. Ostrzegła mnie, że wszystko, cokolwiek powiem... albo zapiszę... będzie znane naszemu wrogowi. Czyli jeśli będziemy zbyt wiele rozmawiać, on pozna nasze plany.

- To znacznie utrudnia nam wspólną pracę nad rozwiązaniem problemu.

Vin wzięła go za rękę.

- Elendzie, wiesz dlaczego w końcu zgodziłam się za ciebie wyjść?

Potrząsnął głową.

- Bo zrozumiałam, że mi ufasz - odparła. - Ufasz mi, jak nikt wcześniej. Tamtej nocy, kiedy walczyłam z Zanem, postanowiłam ci zaufać. Wobec tej siły, która niszczy świat, mamy coś, czego ona nigdy nie zrozumie. Nie do końca potrzebuję twojej pomocy, lecz twojego zaufania. Twojej nadziei. Sama nigdy jej nie miałam, więc w tej kwestii polegam na tobie.

Elend pokiwał głową.

- Masz je.

- Dziękuję.

- Wiesz - dodał Elend - w tym czasie, kiedy nie zgadzałaś się na małżeństwo, ciągle myślałem, jak dziwna jesteś.

Uniosła brew.

- Cóż, to bardzo romantyczne.

Uśmiechnął się.

- Daj spokój. Musisz przyznać, że jesteś niezwykła, Vin. Przypominasz dziwne połączenie szlachetnie urodzonej damy, ulicznicy i kota. Do tego, w ciągu trzech krótkich lat naszej znajomości udało ci się zabić nie tylko mojego boga, ale też mojego ojca, mojego brata, a ponadto moją narzeczoną. Musisz przyznać, że to imponujące dokonanie. Poza tym, to niezwykły fundament dla związku, nie sądzisz?

Vin tylko przewróciła oczami.

- Cieszę się jedynie, że nie mam żadnych innych bliskich krewnych - dodał Elend, po czym spojrzał na nią z ukosa. - To jest poza tobą, oczywiście.

- Nie mam zamiaru się utopić, jeśli o to ci chodzi.

- Nie - odparł. - Przepraszam. Ja tylko... no wiesz. Tak czy inaczej, próbowałem coś wyjaśnić. W końcu przestałem się przejmować, że wydajesz się dziwna. Zrozumiałem, że nie ma znaczenia, czy cię rozumiem, ponieważ ci ufam. Czy to ma sens? W każdym razie, chyba chcę powiedzieć, że się zgadzam. Naprawdę nie wiem, co robisz i nie mam najmniejszego pojęcia, jak masz zamiar to osiągnąć. Ale, cóż, ufam ci, że to zrobisz.

Vin przytuliła się do niego.

- Chciałbym tylko móc coś zrobić, żeby ci pomóc - powiedział Elend.

- W takim razie zajmij się tymi wszystkimi liczbami - odparła Vin, krzywiąc się z niesmakiem.

Choć to ona doszła do wniosku, że coś jest nie tak z procentami tych, którzy zapadali na mgielną chorobę, Elend wiedział, że liczby stanowią dla niej problem. Nie miała wyszkolenia ani praktyki, by się nimi zajmować.

- Jesteś pewna, że to w ogóle ma jakiś związek? - spytał.

- To ty uznałeś, że procenty wyglądają dziwnie.

- Racja. W porządku, zajmę się tym.

- Nie mów mi tylko, co odkryłeś - dodała.

- Jak w takim razie ci to pomoże?

- Zaufanie. Możesz mi powiedzieć, co mam robić, tylko nie mów mi, dlaczego. Może w ten sposób zyskamy przewagę nad tym czymś.

Zyskamy przewagę? - pomyślał Elend. Ta istota ma moc zasypania całego imperium popiołem i najwyraźniej słyszy każde nasze słowo. Jak możemy „zyskać przewagę” nad czymś takim? Ale ponieważ obiecał Vin, że jej zaufa, tak też zrobił.

Vin wskazała na stół.

- Czy to twój list do Yomena?

Pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że ze mną porozmawia, skoro już tu jestem.

- Słowsk, zdaje się, sądził, że Yomen jest dobrym człowiekiem. Może posłucha.

- Wątpię w to - odparł Elend. Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym zacisnął

pięść i zazgrzytał zębami z frustracji. - Mówiłem pozostałym, że chcę najpierw spróbować dyplomacji, ale wiem, że Yomen odrzuci moją wiadomość. Dlatego sprowadziłem tu armię...

mogłem po prostu wysłać ciebie, żebyś wślizgnęła się do środka, jak to zrobiłaś w Urteau.

Jednakże wślizgnięcie się niewiele nam tam dało, bo i tak musimy zabezpieczyć miasto, jeśli chcemy zdobyć zapasy. Potrzebujemy tego miasta. Nawet gdybyś nie czuła takiej potrzeby dowiedzenia się, co jest w tym magazynie, i tak bym tu przybył. Yomen stanowi zbyt wielkie zagrożenie dla naszego królestwa, a do tego nie możemy zignorować możliwości, że Ostatni Imperator zostawił w jaskini ważne informacje. Yomen ma tam ziarno, ale w okolicy będzie zbyt mało światła, by je uprawiać. Dlatego pewnie nakarmi nim swoich poddanych - a to jest marnotrawstwo, gdyż my mamy go za mało, by obsiać całe Środkowe Dominium. Musimy zdobyć to miasto, a przynajmniej zawrzeć z nim sojusz. Ale co zrobię, jeśli Yomen nie zechce rozmawiać? Mam wysłać armię i zaatakować pobliskie wioski? Zatruc zapasy jedzenia? Jeśli masz rację i znalazł magazyn, co oznacza, że ma więcej żywności niż się spodziewaliśmy.

Jeśli jej nie zniszczymy, może przetrwać oblężenie. Ale jeśli zniszczę zapasy, jego poddani umrą z głodu... - Elend pokręcił głową. - Pamiętasz, jak straciłem Jastesę?

- Miałaś do tego prawo - powiedziała szybko Vin.

- Tak sądzę. Ale zabiłem go, ponieważ przyprowadził grupę kolosów, a później pozwolił im splądrować moje miasto. Tu sam niemal zrobiłem coś podobnego. Dwadzieścia tysięcy bestii czeka w pobliżu.

- Panujesz nad nimi.

- Jastes też tak myślał - zauważył Elend. - Nie chcę ich puścić wolno, Vin. Ale jeśli oblężenie się nie powiedzie, a ja będę musiał zdobyć umocnienia Yomena? Nie dokonam tego bez kolosów. - Potrząsnął głową. - Gdybym tylko mógł porozmawiać z Yomenem. Może udałoby mi się go przekonać albo przynajmniej przekonać samego siebie, że on musi zostać obalony.

Vin się zawahała.

- Być może... istnieje pewien sposób.

Spojrzał jej w oczy.

- W mieście wciąż urządzają bale - wyjaśniła. - A król Yomen pojawia się na każdym z nich.

Elend zamrugał. Początkowo myślał, że źle ją zrozumiał, jednak jej wzrok - kryjąca się w nim szaleńcza determinacja - przekonał go, że jest inaczej. Czasem widział w niej ślady Ocalałego, a przynajmniej człowieka, jakim wedle opowieści był Kelsier. Zuchwały aż do granic lekkomyślności. Odważny i bezczelny. Pozostawił w Vin więcej śladów niż chciała przyznać.

- Vin - powiedział beznamiętnie - czy zasugerowałaś właśnie, że powinniśmy wziąć udział w balu w mieście, które właśnie oblegamy?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie. A czemu nie? Oboje jesteśmy Zrodzonymi z Mgły, bez trudu dostaniemy się do miasta.

- Tak, ale... Znalazłbym się w sali wypełnionej tymi właśnie szlachetnie urodzonymi, których mam nadzieję zastraszyć - nie wspominając już o możliwości kontaktu z człowiekiem, który nie chce się ze mną spotkać, w sytuacji, w której raczej nie będzie próbował przede mną uciec, gdyż wtedy zostałby uznany za tchórza.

- Sądzisz, że to dobry pomysł stwierdziła Vin, uśmiechając się psotnie.

- To szalony pomysł - sprzeciwił się Elend. - Jestem cesarzem, nie powinienem się przekradać do wrogiego miasta, żeby iść na przyjęcie.

Vin spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Przyznam jednak, że ten pomysł ma urok - dodał.

- Yomen się z nami nie spotka - powiedziała Vin - więc my wkęcimy się na jego imprezę.

- Dawno już nie byłem na balu - stwierdził z namysłem Elend. - Będę musiał

wygrzebać jakąś ciekawą książkę, jak za starych dobrych czasów.

Nagle Vin zbladła. Elend przerwał i spojrzał na nią, wyczuwając, że coś jest nie tak.

Nie w tym, co powiedział. To było coś innego. O co chodzi? Skrytobójcy? Duch mgły?

Kolossy?

- Właśnie sobie coś uświadomiłam - powiedziała Vin, wpatrując się w niego. - Nie mogę iść na bal, nie zabrałam żadnej sukni!

Ostatni Imperator nie tylko zakazał pewnych rozwiązań, w ogóle powstrzymał rozwój technologiczny. Wydaje się teraz dziwne, że przez całe tysiąclecie jego rządów postęp był tak niewielki. Sposoby uprawy, architektura, nawet moda pozostała względnie niezmienna pod władzą Ostatniego Imperatora.

Stworzył swoje doskonałe imperium, a później próbował utrzymać je w tym stanie. W

większości mu się to udało. Zegarki kieszonkowe - kolejny pomysł ukradziony Khlenni -

wyprodukowane w dziesiątym stuleciu imperium były niemal takie same jak te z pierwszego stulecia. Nic się nie zmieniało.

Aż wszystko się zawaliło, oczywiście.

29

Podobnie jak większość miast Ostatniego Imperium, Urteau nie pozwolono na wybudowanie murów. We wczesnych latach swojego życia, zanim jeszcze się zbuntował, Sazed sądził, że zakaz budowania umocnień przez miasta to oznaka podatności Ostatniego Imperatora na cios. W końcu, skoro Ostatni Imperator martwił się buntami i miastami, które mogły powstać przeciwko niemu, to być może wiedział coś, o czym nie miał pojęcia nikt inny

- że można go pokonać.

Takie refleksje doprowadziły Sazedę do Mare, a potem do Kelsiera. A teraz zaprowadziły go do Urteau - miasta, które w końcu zbuntowało się przeciwko władzy szlachetnie urodzonych. Niestety, wrzucając przy tym Elenda Venture do jednego worka z innymi arystokratami.

- Nie podoba mi się to, mistrzu Opiekunie - powiedział kapitan Goradel, idąc obok Sazedę, który ze względu na swój wizerunek jechał teraz w powozie z Breeze'em i Allrianne.

Pozostawiwszy Terrisan, Sazed pośpiesznie dogonił Breeze'a i pozostałych, a teraz wjeżdżali do miasta, które było ich celem.

- Podobno dochodzi tu do brutalnych czynów - mówił Goradel. - Martwię się o wasze bezpieczeństwo.

- Nie sądzę, by było tak źle, jak się obawiasz - odparł Sazed.

- A jeśli wezmą was w niewolę? - spytał Goradel.

- Mój drogi - wtrącił się Breeze, pochylając się, by popatrzeć na żołnierza. - Dlatego właśnie królowie wysyłają ambasadorów. W ten sposób, jeśli ktoś zostanie pojmany, król wciąż jest bezpieczny. My, przyjacielu, w przeciwieństwie do Elenda, możemy zostać spisani na straty.

Goradel skrzywił się, słysząc te słowa.

- Ja tam nie mam ochoty zostać spisany na straty.

Sazed wyrzwał z powozu, przyglądając się miastu przez spadający popiół. Było duże i należało do najstarszych w imperium. Z zainteresowaniem zauważył, że w miarę zbliżania się droga opada, i w końcu wjechali do pustego kanału.

- Co to? - spytała Allriane, wystawiając jasną czuprynę z drugiej strony powozu. -

Dlaczego wybudowali drogę w rowie?

- W kanale - poprawił Breeze. - Miasto było ich pełne. Teraz są puste... trzęsienie ziemi czy coś takiego zmieniło bieg rzeki.

- Dziwnie się z tym czuję - powiedziała, cofając głowę. - Przez to budynki wydają się dwa razy wyższe.

Gdy wjechali do miasta - dwie setki żołnierzy otaczały ich w szyku - na spotkanie wyszła im delegacja żołnierzy Urteau w brązowych mundurach. Sazed oczywiście zapowiedział ich przyjazd, a król - Obywatel, tak go nazywali - pozwolił Terrisaninowi wprowadzić niewielki kontyngent do miasta.

- Mówią, że ich król chce się z wami natychmiast spotkać, mistrzu Terrisaninie -

powiedział Goradel, wracając do powozu.

- Nie marnuje czasu, co? - spytał Breeze.

- W takim razie idziemy - powiedział Sazed i skinął głową Goradelowi.

* * *

- Nie jesteście tu mile widziani.

Quellion, Obywatel, nosił krótko obcięte włosy, miał szorstką skórę i niemal wojskowe obejście. Sazed zastanawiał się, gdzie mężczyzna - przed Upadkiem podobno prosty rolnik - zdobył takie zdolności przywódcze.

- Rozumiem, że nie chcecie obcych żołnierzy w swoim mieście - powiedział ostrożnie Sazed. - Musicie jednak wiedzieć, że nie przybyliśmy tu, by was podbić. Dwustu ludzi nie można uznać za siły inwazyjne.

Quellion stał za biurkiem, z rękami splecionymi za plecami. Miał na sobie spodnie i koszulę skaa, choć ufarbowane na kolor ciemnoczerwony, niemal rdzawy. Jego „salą audiencyjną” była duża komnata w dawnej arystokratycznej rezydencji. Ściany zostały pobielone, a kandelabry usunięte. Pozbawione ozdób pomieszczenie przypominało teraz pudełko.

Sazed, Breeze i Allriane siedzieli na twardych zydlach, były to jedyne wygody, jakie zaproponował im Obywatel. Goradel stał na tyłach razem z dziesięcioma żołnierzami.

- Tu nie chodzi o wojsko, Terrisaninie - powiedział Quellion. - Lecz o człowieka, który was przysłał.

- Cesarz Venture jest dobrym i rozsądnym władcą - stwierdził Sazed.

Quellion prychnął, zwracając się do jednego ze swoich towarzyszy.

Było ich wielu - może dwudziestu - Sazed zaś zakładał, że to członkowie jego rządu.

Większość nosiła czerwone stroje, podobnie jak Quellion, choć nie w tak głębokim odcieniu.

- Elend Venture - stwierdził Quellion, unosząc palec i odwracając się ponownie do Sazed - to kłamca i tyran.

- To nieprawda.

- Ach tak? - spytał Quellion. - A jak zdobył tron? Pokonując Straffa Venture i Ashweathera Cetta w wojnie?

- Wojna była...

- Wojna to często usprawiedliwienie tyranów, Terrisaninie - stwierdził Obywatel. -

Wedle moich raportów, jego Zrodzona z Mgły żona zmusiła królów, by tamtego dnia przed nim uklękli... zmusiła ich, by przysięgli lojalność lub zostali zarżnięci przez kolosy. Czy to są działania „dobrego i rozsądnego” człowieka?

Sazed nie odpowiedział.

Quellion podszedł bliżej, położył dłonie na blacie biurka.

- Czy wiesz, co zrobiliśmy ze szlachetnie urodzonymi w tym mieście, Terrisaninie?

- Zabiliście ich - odparł cicho Sazed.

- Jak nakazał Ocalały - stwierdził Quellion. - Twierdzisz, że byłeś jego towarzyszem przed Upadkiem. A jednak służysz jednemu ze szlachetnych rodów, które on pragnął

zniszczyć. Czy nie uważasz tego za brak konsekwencji, Terrisaninie?

- Lord Kelsier osiągnął swój cel poprzez śmierć Ostatniego Imperatora - stwierdził

Sazed. - Gdy do tego doszło, pokój...

- Pokój? - spytał Quellion. - Powiedz mi, Terrisaninie. Czy kiedykolwiek słyszałeś, by Ocalały mówił o pokoju?

Sazed się zawahał.

- Nie - przyznał.

- Przynajmniej jesteś szczery. - Quellion prychnął. - Rozmawiam z wami jedynie dlatego, że Venture był na tyle bystry, by wysłać Terrisanina. Gdyby posłał szlachetnie urodzonego, zabiłbym łotra i jako

odpowieź odesłał poczerńiałą czaszkę.

Zapadła cisza. Pełna napięcia. Po kilku chwilach Quellion zwrócił się do swoich towarzyszy, odwracając się plecami do Sazed.

- Czujecie to? - spytał swoich ludzi. - Czujecie wypełniający was wstyd? Przyjrzyjcie się swoim uczuciom, czy nie czujecie nagłego braterstwa z tymi sługami kłamcy?

Odwrócił się ponownie i spojrzał na Breeze'a.

- Ostrzegałem was przed Allomancją, czarnym narzędziem szlachetnie urodzonych.

Cóż, teraz wszyscy to poczuliście. Ten człowiek... siedzący obok naszego wybitnego Terrisanina... jest zwany Breeze'em. To jeden z najbardziej nikczemnych ludzi na świecie.

Uspokajacz o znacznej mocy.

Quellion zwrócił się do Breeze'a.

- Powiedz mi, Uspokajaczu. Jak wielu przyjaciół zdobyłeś dzięki swoim sztuczkom?

Jak wielu wrogów zmusiłeś do popełnienia samobójstwa? Ta śliczna dziewczyna obok ciebie... czy wykorzystałeś swoją sztukę, by się z nią przespać?

Breeze uśmiechnął się, unosząc kubek wina.

- Mój drogi, oczywiście, że mnie odkryłeś. Jednakże, zamiast gratulować sobie, że poczułeś mój dotyk, może powinieneś się zastanowić, dlaczego skłoniłem cię do powiedzenia tego, co właśnie powiedziałeś?

Quellion się zawahał - choć Breeze oczywiście blefował. Sazed westchnął. Oburzenie byłoby bardziej stosowną reakcją - ale nie pasowało do Uspokajacza. Teraz Obywatel spędzi resztę spotkania na zastanawianiu się, czy Breeze kieruje jego słowami.

- Mistrzu Quellionie - powiedział Sazed - to niebezpieczne czasy. Z pewnością to zauważyliście.

- Obronimy się - odparł Quellion.

- Nie mówię o armiach ani bandytach, Obywatelu. Mówię o mgłach i popiele. Czy zauważyliście, że mgły utrzymują się coraz dłużej w ciągu dnia? Czy zauważyliście dziwne rzeczy, które robią z waszymi ludźmi, doprowadzając do śmierci części tych, którzy w nie wychodzą?

Quellion nie zaprzeczył ani nie nazwał tego bzdurą. To Sazedowi wystarczyło. W tym mieście ludzie też ginęli.

- Popiół spada nieustannie, Obywatelu - mówił dalej Sazed. - Mgły zabijają, a kolosy wędrują swobodnie. To dobry czas na zawarcie potężnego sojuszu. W Środkowym Dominium łatwiej nam

uprawiać pola, gdyż mamy więcej słońca. Cesarz Venture znalazł sposób na zapanowanie nad kolossami. Cokolwiek się stanie w ciągu najbliższych kilku lat, przyjaźń z Elendem Venture okaże się bardzo korzystna.

Quellion potrząsnął głową, jakby z rezygnacją. Znów się odwrócił do swoich towarzyszy.

- Widzicie... jest tak, jak mówiłem. Najpierw mówi nam, że przychodzi w pokoju, później przechodzi do gróźb. Venture panuje nad kolossami, Venture panuje nad dostawami żywności. Za chwilę powie nam, że Venture panuje nad mgłami! - Quellion odwrócił się znów do Sazed. - Te groźby są niepotrzebne, Terrisaninie. Nie martwimy się o przyszłość.

Sazed uniósł brew.

- A dlaczego?

- Ponieważ kierujemy się słowami Ocalałego - odparł Obywatel. - Zejdźcie mi z oczu.

Sazed wstał.

- Chciałbym zostać w mieście i być może znów się z wami spotkać.

- Do tego spotkania nie dojdzie.

- Mimo to, wolałbym zostać. Macie moje słowo, że moi ludzie nie będą sprawiać problemów. Czy uzyskam pozwolenie? - Z szacunkiem pochylił głowę.

Quellion mruknął coś pod nosem, po czym machnął ręką.

- Gdybym wam zabronił, i tak wślizgnęlibyście się ukradkiem. Zostań, jeśli musisz, Terrisaninie, ale ostrzegam cię... przestrzegajcie naszych praw i nie sprawiajcie problemów.

Sazed skłonił się jeszcze głębiej i wyszedł.

* * *

- Cóż - powiedział Breeze, sadowiąc się w powozie - zbrodniczy rewolucjoniści, wszyscy w tych samych szarych ubraniach, ulice w rowach, co dziesiąty dom spalony do gołej ziemi. Nie ma co, do pięknego miasta wysłał nas Elend... muszę mu podziękować po powrocie.

Sazed uśmiechnął się, choć nie było mu do śmiechu.

- Nie rób takiej ponurej miny, staruszkule - powiedział Breeze, machając laską, gdy ich powóz ruszył w eskorcie żołnierzy. - Coś mi mówi, że Quellion nie jest w połowie tak groźny, jak sugeruje jego zachowanie. W końcu go przekonamy.

- Nie jestem pewien, lordzie Breeze. To miejsce... różni się od innych miast, które odwiedzaliśmy. Przywódcy nie są tak zdesperowani, a ludzie wydają się bardziej służalczy.

Nie będzie nam tu łatwo, tak sędzę.

Allrianne chwyciła Uspokajacza za ramię.

- Breezy, widzisz to tam?

Breeze zmrużył oczy, a Sazed się pochylił. Na dziedzińcu grupa ludzi rozpałała ognisko. Znad potężnego płomienia w niebo wznosiła się smuga dymu. Sazed odruchowo próbował sięgnąć do cynomyśli, by poprawić wzrok. Odepchnął ten impuls i zmrużył oczy w popołudniowym blasku.

- To wygląda jak...

- Gobeliny - powiedział jeden z żołnierzy, maszerujący obok powozu. - I meble...

luksusowe rzeczy, będące zdaniem Obywatela symbolem szlachetnie urodzonych.

Oczywiście, to przedstawienie specjalnie dla was. Quellion ma całe magazyny tego towaru, by we właściwej chwili nakazać rozpalenie malowniczego ogniska.

Sazed zamarł. Żołnierz był zadziwiająco dobrze poinformowany. Terrisanin przyjrzał

mu się uważnie. Jak wszyscy ich ludzie, tak i ten miał zaciągnięty kaptur dla osłony przed popiołem. Gdy mężczyzna odwrócił głowę, Sazed zauważył, że tamten ma na oczach gruby bandaż, jakby był ślepy. Mimo to Terrisanin rozpoznał twarz.

- Spook, mój drogi! - wykrzyknął Breeze. - Wiedziałem, że w końcu się pokażesz. Po co ta opaska?

Spook nie odpowiedział. Miast tego spojrział znów na płomienie. Wydawał się napięty.

Tkanina musi być na tyle cienka, że przez nią widzi, pomyślał Sazed. Jedyne to mogło wyjaśnić spokojne i zwinne ruchy Spooka pomimo zasłoniętych oczu. Choć wydawała się na tyle gruba, by zasłaniać...

Chłopak znów odwrócił się do Sazed.

- Potrzebujecie bazy w mieście. Czy już ją sobie wybraliście?

- Myśleliśmy, żeby skorzystać z gospody - odparł Breeze.

- W tym mieście nie ma gospód - odparł Spook. - Quellion twierdzi, że obywatele powinni troszczyć się o siebie nawzajem i przyjmować gości w swoich domach.

- Hm - mruknął Breeze - może powinniśmy rozbić obóz za murami?

Spook pokręcił głową.

- Nie. Chodźcie za mną.

- Kanton Inkwizycji? - spytał Sazed, marszcząc czoło, gdy wyszli z powozu.

Spook stał przed nimi, na schodach prowadzących do wspaniałej budowli. Odwrócił się, kiwając owiniętą tkaniną głową.

- Quellion nie tknął żadnego z budynków Zakonu. Nakazał zabić je deskami, ale nie splądrował ich ani nie spalił. Chyba się boi Inkwizytorów.

- To zdrowy i racjonalny strach, mój chłopcze - zauważył Breeze, wciąż siedzący w powozie.

Spook prychnął.

- Inkwizytorzy nie będą nam przeszkadzać, Breeze. Są zbyt zajęci próbami zabicia Vin. Chodźcie.

Wspiął się po schodach, Sazed podążył za nim. Za plecami usłyszał, jak Breeze wzdycha, po czym każe jednemu z żołnierzy przynieść parasol dla osłony przed popiołem.

Budynek był potężny i imponujący, jak większość siedzib Zakonu. W czasach Ostatniego Imperatora te budowle służyły jako symbole imperialnej potęgi w każdym mieście Ostatniego Imperium. Kapłani, którzy je wypełniali, w większości byli biurokratami i urzędnikami - lecz z drugiej strony, to właśnie była prawdziwa siła Ostatniego Imperium.

Kontrola nad zasobami i zarządzanie ludźmi.

Spook stał przed szerokim, zabitym deskami wejściem do siedziby Zakonu. Podobnie jak większość budynków w Urteau, tak i ją wybudowano z drewna. Chłopak uniósł głowę, jakby wpatrywał się w spadający popiół, i czekał na Sazedą oraz Breeze'a. Zawsze był cichy, a szczególnie po śmierci wuja podczas oblężenia Luthadel. Gdy Sazed dotarł na miejsce, Spook zaczął odrywać deski zasłaniające wejście.

- Cieszę się, że tu jesteś, Sazedzie - powiedział.

Sazed podszedł, by mu pomóc. Pociągnął za deskę, próbując uwolnić gwoździe -

musiał jednak wybrać najbardziej upartą z desek, gdyż te, które chwycił Sazed, odrywały się bez trudu, a jego nawet się nie poruszyła.

- Dlaczego cieszysz się, że tu jestem, lordzie Spooku?

Spook parsknął.

- Nie jestem lordem, Saze. Nie udało mi się namówić Elenda, żeby nadał mi tytuł.

Sazed się uśmiechnął.

- Powiedział, że prosisz o niego, żeby robić wrażenie na dziewczynach.

- Oczywiście, że tak - przyznał Spook, odrywając kolejną deskę. - A po co komu innemu tytuł? W każdym razie, mów mi po prostu Spook. To dobre imię.

- Dobrze.

Chłopak sięgnął i bez trudu oderwał deskę, której Sazedowi nie udało się poruszyć. Co takiego? - pomyślał wstrząśnięty Terrisanin. Sazed nie był zbyt muskularny - i wydawało mu się, że Spook też nie. Chłopak musiał ćwiczyć z ciężarkami.

- Tak czy inaczej - powiedział Spook, odwracając się - cieszę się, że tu jesteś, bo chciałbym z tobą coś omówić. Kwestie, które dla innych mogłyby się okazać trudne do zrozumienia.

Sazed zmarszczył czoło.

- Kwestie jakiej natury?

Chłopak uśmiechnął się, oparł ramię o drzwi i popchnął je do środka, ukazując ciemne wnętrze.

- Dotyczące bogów i ludzi, Sazedzie. Chodź.

Spook zniknął w ciemnościach. Sazed czekał na zewnątrz, lecz chłopak nie zapalił lampy. Słyszał, jak młodzieniec porusza się w środku.

- Spook?! - zawołał w końcu. - Nic nie widzę. Masz lampę?!

Przez chwilę panowała cisza.

- Och - odezwał się w końcu Spook. - Racja.

Chwilę później zamigotało światło i zapaliła się latarnia.

Breeze podszedł do Sazedą.

- Powiedz - szepnął - czy mnie się wydaje, czy chłopak zmienił się od naszego ostatniego spotkania?

- Wydaje się bardziej pewny siebie - odparł Sazed, kiwając głową. - I kompetentny.

Ale jak myślisz, po co ta opaska na oczy?

Breeze wzruszył ramionami i wziął Allrienne za rękę.

- Zawsze był dziwny. Może uważa, że w ten sposób zmieni swój wygląd i ukryje swoje związki z ekipą Kelsiera? Biorąc pod uwagę, że jego usposobienie... o wymowie nie wspominając... zmieniło się na lepsze, jestem skłonny znieść parę dziwactw.

Breeze i Allrienne weszli do budynku, a Sazed nakazał gestem Goradelowi otoczyć budowlę. Mężczyzna pokiwał głową i posłał oddział żołnierzy za Terrisaninem i jego towarzyszami. W końcu Sazed zmarszczył czoło i wszedł do środka.

Nie był pewien, czego się spodziewał. Budowla należała do Kantonu Inkwizycji -

najbardziej niesławnego z ramion Zakonu. Wejście do środka nie sprawiało Sazedowi żadnej przyjemności. Ostatnim miejscem tego rodzaju, jakie odwiedził, był Dom Modlitwy Seran, a on robił zdecydowanie niesamowite wrażenie. Ten budynek jednak zupełnie nie przypominał

Domu Modlitwy - było to kolejne biuro. Owszem, wyposażono go zdecydowanie mniej luksusowo niż inne budowle należące do Zakonu, jednak na ścianach wisiały gobeliny, a na podłogach leżały szerokie czerwone dywany. Wykończono je metalem, a w każdym pomieszczeniu znajdowało się palenisko.

Gdy Sazed podążał za Breeze'em i Spookiem przez budynek, wyobrażał sobie, jak to miejsce wyglądało w czasach Ostatniego Imperatora. Wtedy nie wypełniał go kurz, lecz atmosfera skuteczności. Administratorzy siedzieli za tymi biurkami, zbierając i zapisując informacje na temat szlachetnych rodów, buntów skaa, a nawet innych Kantonów Zakonu.

Między Kantonem Ortodoksji, który zarządzał Ostatnim Imperium, a Kantonem Inkwizycji, który je nadzorował, trwał wieloletni konflikt.

To nie było miejsce wypełnione strachem, lecz kraina rejestrów i dokumentów.

Inkwizytorzy prawdopodobnie rzadko odwiedzali ten budynek. Spook poprowadził ich przez kilka zatłoczonych pomieszczeń do niedużego magazynu na tyłach. Sazed zauważył, że kurz na podłodze został poruszony.

- Byłeś tu wcześniej? - spytał, wchodząc do środka za Spookiem, Breeze'em i Allrienne.

Chłopak pokiwał głową.

- Podobnie jak Vin. Nie pamiętasz raportu? - Z tymi słowami opadł na podłogę.

Odnalazł ukryty haczyk i otworzył klapę. Sazed zajrzał do mrocznej jaskini.

- O czym on mówi? - wyszeptała Allrienne do Breeze'a. - Vin tu była?

- Przeprowadziła rekonesans w mieście, moja droga - odparł Uspokajacz. - Aby odnaleźć...

- Magazyn - dokończył Sazed, gdy Spook ruszył w dół po drabinie. Zostawił na górze latarnię. - Magazyn z zapasami pozostawiony przez Ostatniego Imperatora. Wszystkie są pod budynkami Zakonu.

- I po to tu właśnie przyjechaliśmy, prawda? - spytała Allrienne. - I mamy to. Po co się przejmować Obywatelom i jego szalonymi chłopami?

- Nie uda nam się wy dostać tych zapasów z miasta za plecami Obywatela - powiedział

z dołu Spook. Jego głos odbijał się echem. - Tu jest za dużo wszystkiego.

- Poza tym, moja droga - dodał Breeze - Elend nie posłał nas tu po te zapasy... mamy też stłumić rewoltę. Nie możemy pozwolić, by jedno z naszych największych miast się buntowało, a już szczególnie nie możemy dopuścić, by te nastroje się rozprzestrzeniły. Muszę jednak przyznać, że dziwnie się czuję po drugiej stronie problemu, kiedy muszę powstrzymać rewoltę, a nie do niej doprowadzić.

- Być może będziemy musieli wywołać rewolucję przeciwko rewolucji, Breeze -

odezwał się z dołu Spook. - Jeśli w ten sposób poczujesz się lepiej. W każdym razie, schodzicie czy nie?

Sazed chwycił latarnię i zaczął schodzić po drabinie. Na dole odnalazł niewielką kamienną komnatę. Jedna z jej ścian została odsunięta na bok, ukazując jaskinię. Wszedł do środka. Za jego plecami Breeze dotknął ziemi i pomógł zejść Allrianne.

Terrisanin uniósł latarnię.

- Na Ostatniego Imperatora! - wykrzyknął Breeze, podchodząc do niego. - Jest olbrzymia!

- Ostatni Imperator przygotował te magazyny na wypadek katastrofy - powiedział

Spook, stojący przed nimi w jaskini. - Miały pomóc imperium przetrwać to, przez co teraz przechodzimy. Na nic by się nie przydały, gdyby nie zostały stworzone na wielką skalę.

„Wielka” było właściwym słowem. Stali na półce w pobliżu sklepienia, a przed nimi rozpościerała się ogromna sala. Sazed widział rzędy półek ciągnące się na dnie jaskini.

- Sądzę, że to właśnie powinna być nasza baza, Sazedzie - stwierdził Spook, kierując się w stronę schodów prowadzących na dół. - To jedyne nadające się do obrony miejsce w mieście. Jeśli umieścimy nasze oddziały na górze, będziemy mogli korzystać z zapasów w jaskini... a nawet wycofać się tu w sytuacji krytycznej. Moglibyśmy się tu bronić nawet przed pełnym determinacji natarciem.

Sazed odwrócił się, przyglądając się kamiennemu wejściu do sali. Było na tyle wąskie, że nie mogłoby się w nim minąć dwóch ludzi - co oznaczało, że wejścia będzie łatwo strzec, a pomieszczenie da się ponownie zamknąć.

- Nagle poczułem się o wiele bezpieczniej w tym mieście - zauważył Breeze.

Sazed pokiwał głową. Odwrócił się i znów rozejrzał po jaskini. Usłyszał coś.

- Czy to woda?

Spook schodził już po schodach. Jego głos znów odbijał się upiornym echem od ścian.

- Każdy magazyn ma swoją specjalność... coś, czego ma więcej niż pozostałe.

Sazed ruszył po schodach, gdy żołnierze Goradela weszli do komnaty za plecami Breeze'a. Choć żołnierze przynieśli kolejne latarnie, Breeze i Allrienne trzymali się blisko Terrisanina.

Wkrótce Sazed uświadomił sobie, że przed sobą widzi coś migoczącego. Uniósł wyżej latarnię i zatrzymał się na schodach, kiedy się zorientował, że część ciemności z przodu jest zbyt płaska, żeby to mogło być dno jaskini.

Breeze zagwizdał cicho, gdy wpatrywali się w ogromne podziemne jezioro.

- Cóż - zauważył - chyba już wiemy, gdzie podziąła się cała woda z kanałów.

Początkowo zakładano, że prześladowanie terrisańskiej religii przez Rasheka wynikało z nienawiści. Teraz, gdy wiemy, że Rashek sam był Terrisaninem, jego zniszczenie tej religii wydaje się dziwne. Przypuszczam, że miało to coś wspólnego z prorocत्वami o Bohaterze Wieków. Rashek wiedział, że moc Zachowania w końcu powróci do Studni Wstąpienia. Gdyby pozwolił terrisańskiej religii na przetrwanie, to być może - pewnego dnia - komuś udałoby się znaleźć drogę do Studni i wziąć moc, a później wykorzystać ją do pokonania Rasheka i zniszczenia jego imperium. Dlatego też ukrył wiedzę na temat Bohatera i tego, co miał on zrobić, licząc na zachowanie Studni w tajemnicy.

30

- Nie spróbujecie mnie przekonać, żebym tego nie robił? - spytał z rozbawieniem w głosie Elend.

Ham i Cett popatrzyli po sobie.

- A dlaczego mielibyśmy to robić, El? - spytał stojący przy dziobie łodzi Ham.

Przed nimi zachodziło słońce, a mgły już zaczynały się zbierać. Łódź kołysała się lekko, a żołnierze kręcili się na brzegu, przygotowując się do nocy. Minał tydzień od czasu, gdy Vin po raz pierwszy odwiedziła Fadrex, i nadal nie udało jej się dostać do magazynu.

Nadszedł wieczór kolejnego balu, w którym Elend i Vin planowali wziąć udział.

- Cóż, sam znalazłbym kilka powodów, dla których moglibyście się sprzeciwić -

powiedział Elend i zaczął liczyć na palcach. - Po pierwsze, niemądre jest narażanie mnie na uwięzienie. Po drugie, pojawiając się na przyjęciu, zdradzę, że jestem Zrodzonym z Mgły, potwierdzając plotki, w które Yomen być może nie wierzy. Po trzecie, nasi Zrodzeni z Mgły znajdują się w jednym miejscu, gdzie mogą łatwo zostać zaatakowani... to nie może być dobry pomysł. I wreszcie idea pójścia na bal w trakcie wojny jest po prostu czystym szaleństwem.

Ham wzruszył ramionami, opierając łokieć o reling.

- To się wcale za bardzo nie różni od twojej wyprawy do obozu ojca podczas oblężenia Luthadel. Tyle tylko, że wtedy nie byłeś Zrodzony z Mgły i nie miałeś tak silnej pozycji politycznej. Yomen byłby szaleńcem, gdyby zwrócił się przeciwko tobie... musi wiedzieć, że jeśli znajduje się w tej samej komnacie co ty, to sam jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Ucieknie - powiedział Cett ze swojego siedzenia. - Ten bal skończy się w chwili, gdy się pojawicie.

- Nie - sprzeciwił się Elend. - Nie sądzę.

Spojrzał w stronę kajuty. Vin wciąż się przygotowywała - kazała obozowemu krawcowi przerobić sukienkę jednej z pomocy kuchennych. Elend się martwił. Niezależnie od tego, jak dobrze wyszła sukienka, i tak będzie wyglądać nie na miejscu w porównaniu z bogato zdobionymi sukniami balowymi.

Odwrócił się do Cetta i Hama.

- Nie sądzę, by Yomen uciekł. Musi wiedzieć, że gdyby Vin chciała go zabić, potajemnie zaatakowałaby jego pałac. Bardzo się stara udawać, że nic się nie zmieniło od odejścia Ostatniego Imperatora. Kiedy pokażemy się na balu, pomyśli, że udajemy razem z nim. Zostanie, żeby sprawdzić, czy uda mu się uzyskać przewagę, jeśli spotka się z nami na swoich warunkach.

- To głupiec - powiedział Cett. - Nie wierzę, że mógłby chcieć wrócić do układów z przeszłości.

- Przynajmniej próbuje dać swoim poddanym to, czego pragną. Tu właśnie ty popełniłeś błąd. Utraciłeś królestwo w chwili, gdy je opuściłeś, gdyż nie próbowałeś nikogo zadowolić.

- Król nie musi nikogo zadowalać - warknął Cett. - Jest jednością ze swoją armią... a to oznacza, że inni mają spełniać jego pragnienia.

- Właściwie - odezwał się Ham, drapiąc się po brodzie - ta teoria nie może być prawdziwa. Król musi spełniać czyjeś pragnienia... w końcu, nawet jeśli pragnie zmusić wszystkich, żeby postępowali w zgodzie z jego życzeniami, wciąż musi spełniać pragnienia swojej armii. Z drugiej strony, wydaje mi się, że jeżeli armia jest zadowolona, jeśli może dyrygować ludźmi, możesz mieć rację...

Ham zamilkł, a Cett spochmurniał.

- Czy dla ciebie wszystko musi być przeklętym zagadnieniem logicznym? - spytał ostro.

Ham drapał się po brodzie.

Elend uśmiechnął się i spojrzał znów w stronę kajuty. Dobrze, że Ham zaczął się zachowywać znajomo. Cett kłócił się z nim niemal tak samo, jak wcześniej Breeze.

Właściwie... Może dlatego Ham ostatnio nieco ograniczył swoje rozważania, pomyślał Elend.

W okolicy nie było nikogo, z kim mógłby się pokłócić.

- Czyli, Elendzie... - odezwał się Cett. - Jeśli zginiesz, ja dowodzę, tak?

- Vin przejmuje dowodzenie, jeśli coś się stanie - odparł Elend. - Wiesz o tym.

- Racja. A jeśli oboje umrzecie?

- Sazed jest kolejnym spadkobiercą imperialnego tronu po Vin, Cetcie. Już o tym rozmawialiśmy.

- Owszem, ale co z armią? Sazed jest w Urteau. Kto poprowadzi tych ludzi do czasu naszego spotkania?

Elend westchnął.

- Jeśli Yomenowi jakimś cudem uda się zabić Vin i mnie, to zasugeruję wam ucieczkę... ponieważ owszem, będziesz tu dowodził i jednocześnie będziesz następnym celem dla Zrodzonego z Mgły, który nas zabił.

Cett uśmiechnął się z zadowoleniem, choć Ham spochmurniał.

- Nigdy nie pragnąłeś tytułów, Ham - zauważył Elend. - I nie podobało ci się żadne dowództwo, jakim cię obdarzyłem.

- Wiem - odparł. - Ale co z Demoux?

- Cett ma większe doświadczenie - wyjaśnił Venture. - Tak naprawdę jest lepszym człowiekiem niż próbuje udawać, Ham. Ufam mu. To musi ci wystarczyć. Cetcie, jeśli sprawy pójdą w złym kierunku, twoim zadaniem jest powrót do Luthadel i odnalezienie Sazed, by powiedzieć mu, że został cesarzem. A teraz sądzę, że...

Elend przerwał, gdy drzwi kajuty się otworzyły. Odwrócił się, ułożył wargi w pocieszającym uśmiechu i zamarł.

Vin stała w wejściu ubrana w oszałamiającą czarną suknię ze srebrnymi lamówkami, skrojoną w zgodzie z najnowszą modą. Jakimś sposobem wydawała się smukła, mimo szerokiej spódnicy, unoszącej się na licznych halkach. Czarne włosy, które często wiązała z tyłu w kucyk, tym razem rozpuściła. Sięgały do jej obojczyków i kręciły się lekko. Jediną biżuterią, jaką nosiła, był prosty kolczyk, prezent otrzymany od matki, kiedy była małym dzieckiem.

Zawsze uważał, że jest piękna. A jednak... od jak dawna nie widział jej w sukni, z elegancko uczesаныmi włosami i makijażem? Próbował coś powiedzieć, skomplementować jej wygląd, ale nie potrafił dobyć głosu.

Podeszła lekkim krokiem i pocałowała go.

- Uznam to za znak, że tym razem mi się udało. Zapomniałam już, jak męczące potrafią być suknie. A

makijaż! Bądźmy szczerzy, Elendzie, nie masz prawa narzekać na te swoje surduty.

Stojący obok Ham zaśmiał się cicho. Vin się odwróciła.

- Co?

- Ach, Vin - odparł Zbir, odchylając się do tyłu i zakładając potężne ręce na piersi -

kiedy udało ci się dorosnąć? Wydawałoby się, że jeszcze przed tygodniem szamotałaś się i chowałaś po kątach, miałaś chłopięcą fryzurę i odwagę myszy.

Vin uśmiechnęła się z sympatią.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Myślałeś, że jestem twixtem.

Ham pokiwał głową.

- Breeze omal nie padł, kiedy się dowiedział, że przez cały czas rozmawialiśmy ze Zrodzoną z Mgły, Vin. Czasami trudno mi uwierzyć, że jesteś tą samą przerażoną dziewczynką, którą Kelsier ściągnął do ekipy.

- To było pięć lat temu, Ham. Mam teraz dwadzieścia jeden lat.

- Wiem - westchnął mężczyzna. - Jesteś jak moje własne dzieciaki, dorastają, a ja nie mam okazji być świadkiem ich dzieciństwa. Właściwie ciebie i Elenda znam chyba lepiej niż każde z nich...

- Wrócisz do nich, Ham - powiedziała Vin i położyła mu rękę na ramieniu. - Kiedy będzie po wszystkim.

- Ależ wiem o tym - odparł, jak zawsze pełen optymizmu. - Nie można jednak odzyskać tego, co się utraciło. Mam nadzieję, że się okaże, że było warto.

Elend potrząsnął głową i w końcu znalazł słowa.

- Mam tylko jedno do powiedzenia. Jeśli takie sukienki noszą nasze pomoce kuchenne, to płacę im stanowczo za dużo.

Vin się roześmiała.

- Poważnie mówiąc, Vin, wojskowi krawcy są świetni, ale nie ma mowy, żeby ta sukienka została uszyta z materiału dostępnego w obozie. Skąd ją masz?

- To tajemnica - odparła kobieta, mrużąc oczy i uśmiechając się. - My, Zrodzeni z Mgły, jesteśmy niewiarygodnie tajemniczy.

- Yyy... - Elend się zawahał. - Ja też jestem Zrodzonym z Mgły, Vin. To nie ma sensu.

- My, Zrodzeni z Mgły, nie musimy mieć sensu - stwierdziła Vin. - To poniżej naszej godności. Chodź, słońce już zachodzi. Musimy ruszać.

- Bawcie się dobrze, tańcząc z naszymi wrogami - powiedział Ham, gdy Vin zeskoczyła z łodzi i Odepchnęła się poprzez mgły.

Elend pomachał im na pożegnanie i też Odepchnął się w powietrze. Gdy odlatywał, jego wspomagane cyną uszy usłyszały Hama mówiącego do Cetta.

- Czyli... nie możesz sobie nigdzie pójść, chyba że ktoś cię zanieśie? - spytał Zbir.

Cett mruknął.

- Dobrze - stwierdził Ham, a wydawał się przy tym bardzo zadowolony z siebie. -

Mam sporą liczbę zagadnień filozoficznych, które mogłyby cię zainteresować...

* * *

Skoki allomantyczne w sukni balowej nie były łatwe. Za każdym razem, gdy Vin zaczynała opadać, spódnica się unosiła, fałdując się i łopocząc niczym stado zaskoczonych ptaków.

Vin nie przejmowała się tym, że ktoś mógłby zobaczyć, co ma pod suknią. Nie tylko było zbyt ciemno dla większości ludzi, ale do tego miała pod halkami jeszcze nogawice.

Niestety, łopoczące spódnice - i opór, jaki stawiały powietrzu - znacznie utrudniały sterowanie. Do tego bardzo hałasowały. Zastanawiała się, co myśleli strażnicy, gdy przelatywała nad kamiennymi półkami stanowiącymi naturalne fortyfikacje miasta. Jej samej wydawało się, że brzmi jak tuzin flag łopoczących i uderzających o siebie podczas wichury.

W końcu zwolniła i skierowała się w stronę dachu uprzątniętego z popiołu. Dotknęła go lekko, odskoczyła i zawirowała z łopotem spódnic, zanim w końcu wylądowała i zaczęła na Elenda. Podążył za nią, lądując zdecydowanie mniej gładko, z głośnym hukiem i stęknieniem. Nie chodziło o to, że nie radził sobie z Odpychaniem i Przyciąganiem - po prostu nie miał tyle praktyki, co Vin. W pierwszych latach korzystania z Allomancji pewnie zachowywała się podobnie do niego.

Cóż... może nie tak jak on, pomyślała z czułością, gdy Elend zaczął się otrzępywać.

Ale jestem pewna, że wielu Allomantów było na poziomie podobnym do Elenda po zaledwie roku praktyki.

- To była niezła seria skoków, Vin - powiedział Elend, dysząc lekko, gdy spojrział w stronę kamiennych urwisk z płonącymi ogniskami.

Włożył swój typowy biały mundur, jeden z tych, które zaprojektowała dla niego Tindwyl. Kazał go oczyścić z popiołu i elegancko przyciął brodę.

- Nie mogłam zbyt często lądować - wyjaśniła Vin. - Te białe halki łatwo pobrudziłyby się popiołem. Chodź... musimy dostać się do środka.

Elend odwrócił się i uśmiechnął w ciemnościach. Wydawał się podekscytowany.

- Suknia. Zapłaciłaś krawcowi w mieście, żeby ją dla ciebie uszył?

- Właściwie to zapłaciłam przyjacielowi w mieście, żeby ją dla mnie zamówił i zdobył kosmetyki do makijażu.

Odskoczyła, kierując się w stronę Twierdzy Orielle - gdzie, zdaniem Słowswifta tego wieczoru odbywał się bal. Trzymała się w powietrzu, nie lądowała. Elend podążał za nią, wykorzystując te same monety.

Wkrótce dotarli do wybuchu barw pośród mroku, przypominającego zorzę z jednej z opowieści Sazed. Bańka światła zmieniła się w potężną twierdzę, którą widziała podczas poprzednich wizyt w mieście, z witrażowymi oknami podświetlonymi od wewnątrz. Vin skierowała się w dół, przebijając się przez mgły. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wylądować na dziedzińcu - z dala od czujnych spojrzeń - by mogli z Elendem ostrożnie podejść do drzwi. Uznała jednak, że to zły pomysł.

To nie był wieczór na ostrożność.

Dlatego wylądowała od razu na pokrytych dywanem schodach prowadzących do głównego wejścia do przypominającej zamek budowli. Jej lądowanie zdmuchnęło popiół, tworząc niewielką plamę czystości. Po chwili Elend dotknął ziemi u jej boku, po czym wyprostował się, unosząc za sobą białą pelerynę. Na szczycie schodów para służących w liberiach witała gości i wprowadzała ich do środka. Obaj znieruchomieli z oszołomionymi minami.

Elend wyciągnął rękę do Vin.

- Idziemy?

Vin wzięła go pod ramię.

- Owszem - odparła. - Najlepiej zanim tamci zdążą wezwać strażników.

Wspięli się po schodach, za ich plecami rozległy się okrzyki zaskoczenia - to grupa szlachetnie urodzonych wychodziła z powozu. Z przodu jeden ze służących zaszedł drogę Vin i Elendowi. Elend położył dłoń na piersi mężczyzny, po czym odepchnął go, rozjarzając cynę z ołowiem. Sługa poleciał na ścianę. Drugi pobiegł po strażników.

W antyszambrze oczekujący szlachetnie urodzeni zaczęli szeptać między sobą. Vin słyszała, jak pytają się, czy ktokolwiek rozpoznaje tych dwoje dziwnych przybyszów, jedno w czerni, drugie w bieli. Elend szedł stanowczym krokiem z Vin u boku, zmuszając zebranych do wycofania się. Szybko przemierzili niewielkie pomieszczenie, a wtedy Elend podał swoją kartę wizytową służącemu, który czekał przy wejściu do sali balowej, by anonsować gości.

Czekali na służącego, a Vin nagle uświadomiła sobie, że zaczyna wstrzymywać oddech. Miała wrażenie, że żyje we śnie - a może to było przyjemne wspomnienie? Przez chwilę była znów tą młodą dziewczyną sprzed czterech lat, przybywającą do Twierdzy Venture na swój pierwszy bal, nerwową i zmartwioną, że nie poradzi sobie z odegraniem roli.

Nie czuła już jednak tej niepewności. Nie martwiła, się, czy znajdzie akceptację lub wiarę. Zabiła Ostatniego Imperatora. Poślubiła Elenda Venture. I - co ważniejsze od obu osiągnięć - gdzieś w tym całym chaosie i zamieszaniu odkryła, kim jest. Nie ulicznicą, choć na ulicy została wychowana. Nie damą dworu, choć doceniała piękność i wspaniałość balów.

Kimś innym.

Kimś, kogo lubiła.

Służący po raz kolejny przeczytał kartę wizytową Elenda i zbladł. Podniósł wzrok.

Elend napotkał jego spojrzenie i lekko skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Obawiam się, że to prawda”.

Sługa odchrząknął, a Elend wprowadził Vin na salę.

- Jego Wysokość cesarz, lord Elend Venture - ogłosił sługa. - I cesarzowa Vin Venture, Dziedziczka Ocalałego, Bohater Wieków.

Na całej sali balowej zapanowała nagła - i nienaturalna - cisza. Vin i Elend zatrzymali się przy wejściu, pozwalając, by zebrani arystokraci się im przyjrzeni. Wydawało się, że podobnie jak w Twierdzy Venture wspaniały główny hol Twierdzy Orielle pełnił również funkcję sali balowej. Jednakże zamiast wysokich, łukowatych sklepień, ta sala była względnie niska, a zdobiły ją skomplikowane ornamenty wykute w kamieniu.

Wydawało się, że architekt próbował stworzyć piękno na skromną, nie imponującą skalę.

Całe wyposażenie sali wyrzeźbiono w białym marmurze w różnych odcieniach. Choć była na tyle duża, by pomieścić setki ludzi - a do tego stoły i miejsce do tańca - jednocześnie wydawała się kameralna. Przez pomieszczenie biegingy rzędy zdobionych marmurowych kolumn, a na mniejsze części dzieliły je wielkie tafle witrażowego szkła, sięgające od podłogi do sklepienia. Vin była pod wrażeniem - w Luthadel większość twierdz miała witraże wprawione w zewnętrzne ściany, podświetlane od zewnątrz. A choć w tej budowli również znajdowało się kilka takich okien, prawdziwe dzieła sztuki umieszczono w sali balowej, gdzie stały swobodnie i można je było podziwiać z obu stron.

- Na Ostatniego Imperatora - wyszeptał Elend, przyglądając się zebranym. - Oni naprawdę myślą, że mogą zignorować resztę świata, czyż nie?

Złoto, srebro, brąz i mosiądz migotały na postaciach odzianych w jaskrawe suknie balowe i eleganckie surduty. Mężczyźni przeważnie nosili ciemne stroje, a kobiety kolorowe.

W kącie siedziała grupa muzyków, przygrywając na instrumentach strunowych. Nie przerywali, mimo napiętej atmosfery w sali. Służący niosący przekąski i napoje czekali w niepewności.

- Tak - odpowiedziała Vin, również szeptem. - Powinniśmy wejść głębiej. Kiedy pojawią się strażnicy, powinniśmy zniknąć w tłumie, by żołnierze nie wiedzieli, kogo zaatakować.

Elend uśmiechnął się i Vin wiedziała, że w duchu komentuje jej niechęć do odsłaniania się. Wiedziała też jednak, że mężczyzna przyznaje jej rację. Zeszli po marmurowych schodach i dołączyli do zebranych na przyjęciu.

Skaa pewnie cofaliby się przed tak niebezpieczną parą, lecz Vin i Elend nosili odpowiednie szlacheckie stroje. Arystokraci Ostatniego Imperium świetnie udawali - a kiedy nie byli pewni, jak się zachować, wracali do bezpiecznego standardu - właściwych manier.

Lordowie i damy kłaniali się i dygali, jakby obecność cesarza i cesarzowej była spodziewana. Vin pozwoliła, by Elend prowadził, miał bowiem większe od niej doświadczenie na dworze. Kiwał głową tym, których mijał, emanując właściwą pewnością siebie. Za ich plecami w końcu pojawili się strażnicy. Zatrzymali się jednak, najwyraźniej bojąc się przeszkodzić w balu.

- Tam - powiedziała Vin, wskazując głową w lewo. Przez witrażowe przepierzenie widziała postać siedzącą przy stole na podium.

- Widzę go - odparł Elend, prowadząc ją wokół szkła i pozwalając jej po raz pierwszy zobaczyć Aradana Yomena, króla Zachodniego Dominium.

Był młodszy niż się spodziewała - być może nawet w wieku Elenda. Miał okrągłą twarz, poważne oczy, a głowę golił zwyczajem obligatorów. Jego ciemnoszare szaty świadczyły o jego pozycji, podobnie jak skomplikowane tatuaże wokół oczu, oznaczające, że był wysokiej rangi członkiem Kantonu Zasobów.

Yomen podniósł się, gdy Vin i Elend zbliżyli się do niego. Wydawał się zupełnie oszołomiony. Za ich plecami żołnierze zaczęli ostrożnie przechodzić przez salę. Elend zatrzymał się w pewnej odległości od stołu, przykrytego białym obrusem i zastawionego kryształami. Napotkał spojrzenie Yomena. Pozostali goście byli tak cicho, że Vin uznała, że większość z nich wstrzymuje oddech.

Vin sprawdziła zapasy metalu i obróciła lekko, by mieć oko na strażników. Kącikiem oka zobaczyła, jak Yomen podnosi rękę i delikatnym machnięciem odsyła żołnierzy.

Na sali natychmiast rozległy się rozmowy. Yomen znów usiadł, ale wydawał się zaniepokojony i nie wrócił do posiłku.

Vin spojrzała na Elenda.

- Dobra - powiedziała - dostaliśmy się do środka. I co teraz?

- Muszę porozmawiać z Yomenem - odparł Elend. - Ale chciałbym jeszcze trochę poczekać, niech się przyzwyczai do naszej obecności.

- Zatem powinniśmy się pokręcić po sali.

- Rozdzielimy się? W ten sposób spotkamy się z większą liczbą szlachetnie urodzonych.

Vin się zawahała.

- Umiem się bronić - powiedział z uśmiechem Elend. - Obiecuję.

- Dobrze. - Vin przytaknęła, choć nie był to jedyny powód, dlaczego się zawahała.

- Porozmawiaj z jak największą liczbą zebranych - dodał Elend. - Jesteśmy tu, by wstrząsnąć ich poczuciem bezpieczeństwa. W końcu właśnie udowodniliśmy, że Yomen nie może nas powstrzymać przed dostaniem się do Fadrex... i pokazaliśmy mu, że się go nie boimy, skoro właśnie weszliśmy na bal, na którym jest obecny. Kiedy już narobimy trochę zamieszania, porozmawiam z ich królem, a oni na pewno będą się przysłuchiwać.

Vin pokiwała głową.

- Podczas rozmów zwracaj uwagę na ludzi, którzy być może chcieliby nas wesprzeć w walce z obecnym rządem. Słowsswift sugerował, że w mieście są również tacy, którym nie podobają się działania ich króla.

Elend przytaknął, pocałował ją w policzek i odszedł. Vin stała w swojej pięknej sukni, czując oszołomienie. Przez ostatnie dwa lata bardzo starała się nie znaleźć w sytuacji, w której musiałaby włożyć suknię i rozmawiać ze szlachetnie urodzonymi. Z determinacją nosiła spodnie i koszule, a za swój święty obowiązek uważała wywoływanie dyskomfortu u tych, których uważała za zbyt zarozumiałych.

To był jej własny pomysł. Dlaczego? Dlaczego znów postawiła się w takiej sytuacji?

Nie była niezadowolona z tego, kim się stała - nie musiała niczego udowadniać, wkładając kolejną głupią suknię i prowadząc dworne rozmowy z bandą szlachetnie urodzonych, których nie znała.

Prawda?

Nie ma co zwlekać, pomyślała Vin, przyglądając się zebranym. Arystokratyczne bale w Luthadel - i, jak mogła zakładać - również tutaj, były pełne uprzejmości. Miały zachęcać do rozmów i spotkań, w ten sposób ułatwiając polityczną wymianę przysług. Niegdyś bale były główną rozrywką szlachetnie urodzonych, którzy pod rządami Ostatniego Imperatora prowadzili uprzywilejowane życie, gdyż ich przodkowie byli jego przyjaciółmi w czasach przed Wstąpieniem.

I dlatego na przyjęciu ludzie zbierali się w niewielkich grupkach - czasem składających się z par mieszanych, ale częściej z samych mężczyzn lub samych kobiet. Para nie miała spędzać całego czasu we własnym towarzystwie. Lordowie mogli udać się do bocznych alków, by pić z sojusznikami, pozostawiając damy na sali.

Vin w końcu się ruszyła i z tacy przechodzącego sługi zdjęła kieliszek wina.

Rozdzielając się, Elend zasugerował, że oboje są otwarci na rozmowy z innymi. Niestety, minęło wiele czasu od ostatniego razu, gdy Vin musiała być sama na takim przyjęciu. Czuła się niezręcznie, nie była pewna, czy podejść do jednej z grup, czy poczekać, aż ktoś się nią zainteresuje. Przypominało to nieco tamtą pierwszą noc, gdy udała się do Twierdzy Venture udając samotną szlachetnie urodzoną, a Sazed był jej jedynym przewodnikiem.

Tamtego dnia odgrywała rolę, ukrywając się pod personą Valette Renoux. Już nie mogła tego robić. Wszyscy wiedzieli, kim naprawdę jest. Kiedyś by jej to przeszkadzało, ale teraz już nie. Mimo to nie mogła zrobić tego, co robiła wtedy - stać i czekać, aż inni do niej przyjdą. Wydawało jej się, że gapią się na nią wszyscy zebrani.

Szła powolnym krokiem przez piękną białą salę, świadoma tego, jak bardzo jej czarna suknia wyróżnia się na tle kolorowych strojów innych kobiet. Omijała tafle witrażowego szkła, opadające spod sklepienia niczym kryształowe zasłony. Na wcześniejszych balach nauczyła się, że na jedno zawsze można liczyć - gdziekolwiek zbierały się damy, jedna z nich zawsze uważała się za najważniejszą.

Vin znalazła ją bez trudu. Kobieta miała ciemne włosy i opaloną skórę, siedziała przy stole w otoczeniu pochlebczyń. Vin rozpoznała tę arogancką minę, słowa wypowiedane na tyle głośno, by brzmiały władczo, a jednocześnie na tyle cicho, by wszyscy musieli się w nie wsłuchiwać.

Vin podeszła zdecydowanym krokiem. Przed laty musiała zaczynać na samym dnie hierarchii. Teraz nie miała na to czasu. Nie знаła politycznych subtelności miasta, sojuszy i rywalizacji. Ale jednego była pewna.

Po którejkolwiek stronie stała ta kobieta, Vin pragnęła się znaleźć po przeciwnej.

Kilka pochlebczyń uniosło wzrok, gdy Vin się zbliżyła. Zbladły. Ich przywódczyni zachowała zimną krew i opanowanie. Próbuje mnie ignorować, pomyślała Vin. Nie mogę jej na to pozwolić. Usiadła przy stole naprzeciwko kobiety, po czym zwróciła się do młodszych dam.

- Ona ma zamiar was zdradzić - powiedziała.

Kobiety popatrzyły po sobie.

- Planuje uciec z miasta - mówiła dalej Vin. - Gdy armia zaatakuje, jej już tu nie będzie. I zostawi was wszystkie na śmierć. Jeśli jednak zawrzecie sojusz ze mną, zapewnię wam ochronę.

- Przepraszam - odezwała się z oburzeniem przywódczyni. - Czy zaprosiłam cię do tego stołu?

Vin się uśmiechnęła. To było proste. Władza przywódcy szajki opierała się na pieniądzu - ich utrata oznaczała upadek. Władza takiej kobiety opierała się na ludziach, którzy jej słuchali. By zmusić ją do reakcji, należało zagrozić jednej z jej służek.

Vin odwróciła się do kobiety.

- Nie, nie zaprosiłaś mnie. Sama się zaprosiłam. Ktoś musi ostrzec te kobiety.

Tamta prychnęła.

- Rozpowszechniasz kłamstwa. Nic nie wiesz o moich rzekomych planach.

- Naprawdę? Nie jesteś typem człowieka, który pozwoli Yomenowi decydować o swojej przyszłości, a gdyby pozostali się nad tym zastanowili, zrozumieliby, że w żadnym wypadku nie dasz się zamknąć w Fadrex bez planów ucieczki. Dziwi mnie, że wciąż tu jesteś.

- Twoje groźby mnie nie przerażają - odparła dama.

- Jeszcze ci nie zagroziłam - zauważyła Vin, pociągając łyk wina. Ostrożnie Odepchnęła uczucia zebranych wokół stołu, zwiększając ich zaniepokojenie. - Może do tego dojść, jeśli sobie życzysz... ale praktycznie rzecz biorąc już i tak zagrażam całemu waszemu miastu.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Nie słuchajcie jej, moje panie.

- Tak, lady Patresen - odparła jedna z kobiet, nieco za szybko.

Patresen, pomyślała Vin, czując ulgę, że ktoś w końcu wymienił nazwisko jej przeciwniczki. Czy ja ich znam?

- Ród Patresen - odezwała się od niechcienia Vin. - Czy nie jesteście spokrewnieni z rodem Elariel?

Lady Patresen milczała.

- Zabiłam kiedyś jedną Elariel - dodała Vin. - To była dobra walka. Shan była bardzo bystrą kobietą i zdolną Zrodzoną z Mgły. - Pochyliła się. - Możesz sądzić, że opowieści na mój temat są przesadzone. Możecie zakładać, że tak naprawdę nie zabiłam Ostatniego Imperatora i że cała ta gadanina to czysta propaganda mająca na celu wzmocnienie władzy mojego męża. Myśl sobie, co chcesz, lady Patresen, ale jedno musisz zrozumieć. Nie jesteś moją przeciwniczką. Nie mam czasu dla ludzi takich jak ty. Jesteś żalospną kobietą w nieznanym mieście, częścią skazanej na zagładę arystokratycznej kultury. Nie rozmawiam z tobą, bo chcę być częścią twoich spisków - nawet nie zrozumiesz, jak mało dla mnie znaczą.

Jestem tu, by was ostrzec. Zdobędziemy to miasto, a kiedy tak się stanie, nie będzie w nim miejsca dla ludzi, którzy się nam sprzeciwiali.

Patresen pobladła. Gdy się odezwała, jej głos był spokojny.

- Wątpię, by to była prawda. Gdybyście mogli zdobyć miasto tak łatwo, jak twierdzisz, już byście to zrobili.

- Mój mąż jest człowiekiem honoru - odparła Vin - i dlatego postanowił porozmawiać z Yomenem przed atakiem. Ja jednak nie jestem tak powściągliwa.

- Cóż, ja sędzę...

- Nic rozumiesz, prawda? - przerwała jej Vin. - Nieważne, co sądzisz. Posłuchaj, wiem, że masz znaczące koneksje. Z pewnością dowiedziałaś się już, że liczby są duże.

Czterdzieści tysięcy żołnierzy, dwadzieścia tysięcy kolosów, pełen kontyngent Allomantów.

Oraz dwoje Zrodzonych z Mgły. Mój mąż i ja nie przybyliśmy tu, by zawierać sojusze ani by narobić sobie wrogów. Przybyliśmy tu, by was ostrzec. I lepiej, żebyście przyjęli to ostrzeżenie.

Podkreśliła ostatnie słowa potężnym Uspokajaniem. Chciała, by było oczywiste dla kobiet, by zrozumiały, że rzeczywiście znajdują się na jej łasce. Później wstała i odeszła od stołu.

To, co powiedziała Patresen, nie miało większego znaczenia - liczyło się, że zostało zauważone, że Vin rzuciła jej wyzwanie. Spodziewała się, że w ten sposób zostanie uznana za frakcję w miejscowej polityce, przez co stanie się mniejszym zagrożeniem dla niektórych obecnych na sali. A to z kolei sprawi, że będzie robić wrażenie bardziej przystępnej i...

Z tyłu rozległ się odgłos krzeseł odsuwanych od stołu. Vin odwróciła się podejrzliwie i zobaczyła, jak większość kółeczka lady Patresen zbliża się do niej pośpiesznie, zostawiając przywódczynię siedzącą przy stole, z ponurym grymasem na twarzy.

Vin się spięła.

- Lady Venture - odezwała się jedna z kobiet. - Może pozwoliłabyś, żeby niektóre z nas... przedstawiły cię na przyjęciu.

Vin zmarszczyła czoło.

- Proszę - dodała kobieta bardzo cicho.

Vin zamrugnęła zaskoczona. Spodziewała się, że kobiety będą na nią złe i nie wysłuchają jej. Większość wydawała się tak zastraszone, że Vin miała wrażenie, że za chwilę uschną niczym liście na słońcu. Nieco zdeprimowana, skinęła głową i dała się poprowadzić.

Rashek nosił czerń i biel. Najpewniej chciał w ten sposób pokazać swoją dwoistą naturę. Zachowanie i Zniszczenie.

To oczywiście było kłamstwo. W końcu dotknął tylko jednej mocy i to niewielkiego jej ułamka.

31

- Lord Breeze dobrze się domyślał - powiedział Sazed, stając przed ich niewielką grupką. - Na ile mogę to ocenić, wody zostały celowo skierowane do tego podziemnego zbiornika. Projekt musiał zająć dziesięciolecia. Wymagał poszerzenia naturalnych korytarzy, by woda, która niegdyś zasilala rzekę i kanały na górze, wpłynęła do tej jaskini.

- Dobrze, ale w jakim celu? - spytał Breeze. - Po co marnować tyle wysiłku, by przenieść rzekę?

W ciągu trzech dni w Urteau zrobili to, co zaproponował Spook. Przenieśli wojsko do budynku Zakonu i udali, że w nim zamieszkują. Obywatel nie mógł wiedzieć o magazynie, gdyż natychmiast by go splądrował. To oznaczało, że Sazed i jego ludzie mieli znaczną przewagę na wypadek, gdyby sytuacja w mieście się pogorszyła.

Ściągnęli część mebli z budynku na górze i umieścili je - z pomocą prześcieradeł i gobelinów tworząc „pokoje” - między półkami jaskini. Logika podpowiadała, że jaskinia była najlepszym miejscem spędzania czasu, gdyby bowiem ktoś zaatakował budynek Zakonu, tam właśnie chcieli się znaleźć. Oczywiście, znaleźliby się w pułapce - ale z zapasami mogli przeżyć bardzo długo, opracowując plany ucieczki.

Sazed, Breeze, Spook i Allrianne siedzieli w jednej z oddzielonych przestrzeni między półkami z żywnością.

- Wydaje mi się, że powód stworzenia jeziora był bardzo prosty. - Sazed odwrócił się i spojrzał przez ramię na jego taflę. - Woda pochodzi z podziemnej rzeki, najprawdopodobniej przefiltrowana przez warstwy kamienia. To czysta woda, podobnej nie ma w całym Ostatnim Imperium. Żadnego popiołu, żadnych osadów. Ma to na celu utrzymanie przy życiu dużej liczby ludzi, gdyby doszło do katastrofy. Gdyby wciąż płynęła w kanałach na górze, szybko zostałaby zanieczyszczona przez mieszkańców miasta.

- Ostatni Imperator myślał o przyszłości - powiedział Spook.

Chłopak wciąż nosił dziwne bandażę i nie reagował na żadne pytania i uwagi dotyczące tego, dlaczego zakrywał oczy. Sazed zaczynał podejrzewać, że miało to związek ze spalaniem cyny.

- Ostatni Imperator nie przejmował się możliwością doprowadzenia Urteau do ruiny finansowej... chciał się upewnić, że ta jaskinia będzie miała dostęp do bieżącej, czystej wody.

- Czy to wszystko nie jest trochę obok prawdziwego problemu? - spytała Allrianne. -

Dobrze, mamy wodę. A co z szaleńcem rządzącym tym miastem?

Sazed zawahał się, pozostali odwrócili się w jego stronę.

Niestety, to ja tu kieruję, pomyślał.

- Cóż - powiedział - powinniśmy o tym porozmawiać. Cesarz Venture rozkazał nam zabezpieczyć miasto. Ponieważ Obywatel nie wyraził chęci, by ponownie się z nami spotkać, musimy omówić inne rozwiązania.

- On musi odejść - stwierdził Spook. - Potrzebujemy skrytobójców.

- Obawiam się, że to nie zadziała, mój drogi chłopcze - sprzeciwił się Breeze.

- A czemu nie? - spytał Spook. - Zabiliśmy Ostatniego Imperatora, wtedy to zadziałało.

- Ach. - Breeze uniósł palec. - Ale Ostatni Imperator był niezastąpiony. Był bogiem, więc zabicie go miało psychologiczny wpływ na ludność.

Allrienne pokiwała głową.

- Ten Obywatel nie jest siłą natury, lecz człowiekiem... a ludzi można zastąpić. Jeśli zabijemy Quelliona, jeden z jego pachołków zajmie jego miejsce.

- A my zostaniemy napiętnowani jako mordercy - dodał Breeze.

- To co w takim razie? - pytał dalej chłopak. - Zostawiamy go w spokoju?

- Oczywiście, że nie - odparł Uspokajacz. - Jeśli chcemy zdobyć to miasto, musimy go osłabić, a później usunąć. Udowodnimy, że cały jego system jest nieudolny, że jego rząd z samej swej natury jest głupi. Jeśli to się nam powiedzie, powstrzymamy nie tylko jego, ale wszystkich, którzy z nim współdziałali i go wspierali. To jedyny sposób zdobycia Urteau, pomijając przyprowadzenie armii i zdobycie go siłą.

- A skoro Jego Wysokość był uprzejmy pozostawić nas bez wojska... - dodała Allrienne.

- Nie jestem pewien, czy tak pochopne działanie jest konieczne - stwierdził Sazed. -

Może po jakimś czasie uda nam się nawiązać współpracę z tym człowiekiem.

- Współpracę? - powtórzył Spook. - Spędziłeś tu trzy dni... czy to za krótko, żebyś się zorientował, jakim człowiekiem jest Quellion?

- Zorientowałem się. I, jeśli mam być zupełnie szczery, nie wiem, czy mogę mieć do Obywatela pretensje.

Zapadła cisza.

- Może powinieneś wyjaśnić swoje słowa, mój drogi - powiedział w końcu Breeze, pociągając łyk wina.

- To, co mówi Obywatel, nie jest fałszem - stwierdził Sazed. - Nie możemy mieć do niego pretensji, że naucza tego samego, co Kelsier. Ocalały mówił o zabijaniu szlachetnie urodzonych... sami przecież widzieliśmy, jak się tym często zajmuje. Mówił o rewolucji i o suwerennej władzy skaa.

- Mówił o wyjątkowych działaniach w wyjątkowych czasach - zauważył Breeze. - Tak się robi, jeśli trzeba poruszyć ludzi. Nawet Kelsier nie doprowadziłby tego tak daleko.

- Możliwe - odparł Sazed. - Ale czy naprawdę możemy się dziwić, że ludzie, którzy słyszeli słowa Kelsiera, stworzyli tę społeczność? I jakie prawo mamy im ją odbierać? W

pewnym sensie pozostali wierniejsi Kelsierowi niż my. Czy naprawdę uważacie, że byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że dzień po jego śmierci oddaliśmy tron szlachetnie urodzonemu?

Breeze i Spook popatrzyli po sobie, jednak żaden nie zaprzeczył jego słowom.

- To niewłaściwe - stwierdził w końcu Spook. - Ci ludzie twierdzą, że znają Kelsiera, ale to nieprawda. On nie chciał, żeby ludzie byli ponurzy i zastraszeni, chciał, żeby byli wolni i szczęśliwi.

- W rzeczy samej - zgodził się Breeze. - Poza tym, naszym wyborem było służenie Elendowi Venture, a on dał nam polecenie. Nasze imperium potrzebuje tych zapasów i nie możemy pozwolić, by zorganizowana rewolta przejęła władzę nad jednym z najważniejszych miast imperium. Musimy zabezpieczyć ten magazyn i chronić mieszkańców Urteau. Dla większego dobra i takie tam!

Allrianne pokiwała głową, a Sazed jak zawsze poczuł jej dotyk na swoich uczuciach.

Dla większego dobra... pomyślał Sazed. Wiedział, że Spook miał rację. Kelsier nie chciałby, żeby takie wypaczone społeczeństwo trwało w jego imieniu. Coś trzeba było z tym zrobić.

- Dobrze - powiedział. - Jakie powinniśmy podjąć działania?

- Na razie żadne - odparł Breeze. - Potrzebujemy czasu, by wyczuć nastroje w mieście.

Czy mieszkańcy pragną się zbuntować przeciwko Quellionowi? Jak aktywny jest miejscowy element przestępczy? Jak łatwo można skorumpować ludzi służących nowej władzy? Dajcie mi trochę czasu, bym znalazł odpowiedzi na te pytania, a później zdecydujemy, co robić. -

Nadal uważam, że powinniśmy postąpić tak, jak Kelsier - powiedział Spook. - Dlaczego nie możemy obalić Obywatela tak, jak on zrobił z Ostatnim Imperatorem?

- Wątpię, by to się udało - zauważył Breeze, popijając wino.

- Dlaczego nie? - spytał Spook.

- Z bardzo prostego powodu, mój chłopcze - odparł Breeze. - Już nie mamy Kelsiera.

Sazed pokiwał głową. To była prawda - choć zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozbędą się dziedzictwa Ocalałego. W pewnym sensie bitwa w tym mieście była nieunikniona. Jeśli Kelsier miał jakąś wadę, to była nią skrajna nienawiść do szlachetnie urodzonych. Ta pasja dodawała mu siłę, pomogła mu dokonać niemożliwego. Jednak Sazed obawiał się, że zniszczy tych, którzy się nią zarazili.

- Daję ci tyle czasu, ile potrzebujesz, Breeze - powiedział Terrisanin. - Daj mi znać, kiedy uznasz, że jesteśmy gotowi do podjęcia dalszych kroków.

Breeze przytaknął i spotkanie się skończyło. Sazed wstał, wzdychając lekko. Wtedy napotkał spojrzenie Breeze'a, a Uspokajacz uśmiechnął się do niego i mrugnął jakby chciał

powiedzieć „To nie będzie nawet w połowie tak trudne, jak się spodziewasz”. Sazed odpowiedział uśmiechem i poczuł dotyk Breeze'a na swoich uczuciach, gdy ten próbował

dodać mu otuchy.

Jednak dotyk Uspokajacza był zbyt lekki. Breeze nie mógł znać wewnętrznego konfliktu rozdierającego Sazed. Konfliktu dotyczącego nie tylko Kelsiera i Urteau.

Terrisanin cieszył się, że będą musieli trochę poczekać w mieście, wciąż bowiem czekało go dużo pracy z religiami wypisanymi w jego teczce, po jednej na arkuszu.

Ostatnio nawet z tą pracą miał problemy. Starał się przewodzić innym, o co prosił go Elend. Nie umiał jednak otrząsnąć się z tego groźnego mroku, który czuł w swym wnętrzu.

Sazed wiedział, że jest on bardziej niebezpieczny niż wszystko, czemu musiał stawiać czoła w ekipie, gdyż napełniał go obojętnością.

Nie wolno mi przerwać pracy, uznał, odchodząc z miejsca spotkania i ostrożnie zdejmując teczkę z pobliskiej półki. Muszę szukać nadal. Nie mogę się poddać.

To było o wiele trudniejsze, niż się wydawało. W przeszłości logika i myśli były zawsze jego schronieniem. Jednakże uczucia nie kierowały się logiką. I choćby długo myślał

o tym, co powinien zrobić, nic mu to nie dawało.

Zacisnął zęby i ruszył dalej, z nadzieją, że zamieszanie dookoła pomoże mu poradzić sobie z wewnętrznymi konfliktami. W głębi duszy chciał wyjść do miasta i zbadać nową formę Kościoła Ocalałego, która powstała w Urteau. A jednak wydawało mu się to stratą czasu. Świat się kończył, po co badać kolejną religię? Już wiedział, że ta jest fałszywa. Na samym początku badań odrzucił Kościół Ocalałego - było w nim więcej sprzeczności niż we wszystkich pozostałych wierzeniach.

Oraz więcej pasji.

Wszystkie religie w jego teczce były podobne do siebie w jednym - zawiodły. Ludzie, którzy kierowali się ich nakazami, zginęli, zostali podbici, a ich wierzenia zapomniano. Czy to nie był wystarczający dowód? Próbował ich nauczać, ale bardzo rzadko odnosił sukces.

To bez znaczenia. Wszystko i tak się już kończyło.

Nie! - pomyślał Sazed. Znajdę odpowiedzi. Religie nie zniknęły w całości -

Opiekunowie je zachowali. W jednej z nich musi być odpowiedź. Gdzieś.

W końcu dotarł do ściany jaskini, na której umieszczono stalową płytę ze słowami Ostatniego Imperatora. Oczywiście, mieli już ich kopię, lecz Sazed pragnął zobaczyć je na własne oczy i samodzielnie przeczytać. Spojrzał na metal, odbijający światło pobliskiej lampy, i przeczytał słowa tego właśnie człowieka, który zniszczył tak wiele religii.

Plan, czytał, jest prosty. Kiedy moc powróci do Studni, wezmę ją i upewnię się, że istota pozostanie uwięziona.

A jednak wciąż się niepokoję. Okazała się o wiele sprytniejsza niż zakładałem, wnika w moje myśli, sprawia, że widzę i czuję rzeczy, których nie chcę. Jest tak delikatna, tak ostrożna. Nie wiem, jak mogłaby doprowadzić do mojej śmierci, ale wciąż się niepokoję.

Jeśli umrę, te magazyny dadzą pewną ochronę moim ludziom. Boję się tego, co nadchodzi. Co może być. Jeśli to czytacie, a mnie już nie ma, to boję się o was. Mimo to spróbuję pozostawić wam wszelką pomoc.

Istnieją allomantyczne metale, o których nie mówiłem nikomu. Jeśli jesteś moim kapłanem, pracujesz w tej jaskini i czytasz te słowa, wiedz, że wzbudzisz mój gniew, jeśli podzielisz się z kimś tą wiedzą. Jeśli jest prawdą, że moc powróciła, a ja nie mogę się nią zająć, wówczas być może wiedza o elektrum trochę wam pomoże. Moi uczeni odkryli, że stop składający się z czterdziestu pięciu procent złota i pięćdziesięciu pięciu procent srebra to nowy allomantyczny metal. Spalanie go nie da wam mocy atium, ale może pomóc w walce tym, którzy je spalają.

I tyle. Obok słów znajdowała się mapka, pokazująca lokalizację kolejnego magazynu, tego w małej górniczej wiosce na południu, który Vin i Elend niedawno zabezpieczyli. Sazed ponownie przeczytał słowa, to jednak tylko pogłębiło jego rozpacz. Nawet Ostatni Imperator wydawał się bezradny w obliczu ich obecnej sytuacji. Planował, że będzie żył, nie spodziewał

się, że dojdzie do tego wszystkiego. Ale wiedział, że jego plany mogą się nie powieść.

Sazed odwrócił się plecami do płyty i ruszył nad brzeg podziemnego jeziora. Woda była niczym czarne szkło, nietknięte wiatrem czy popiołem, choć falowała lekko ze względu na prąd. Dwie latarnie stały nad wodą, paląc się w ciszy i oznaczając brzeg. Za jego plecami grupka żołnierzy rozbiła obóz - choć dobre dwie trzecie z nich pozostawały na górze, by budynek robił wrażenie zamieszkanego. Inni przeszukiwali jaskinię w nadziei na znalezienie ukrytego wyjścia. Wszyscy czuliby się o wiele lepiej w jaskini, gdyby wiedzieli, że mogą z niej uciec, jeśli zostaną zaatakowani.

- Sazedzie.

Terrisanin odwrócił się, po czym skinął Spookowi głową, gdy chłopak dołączył do niego na brzegu nieruchomego czarnego jeziora. Przez chwilę obaj stali w milczeniu.

Ten ma swoje własne problemy, pomyślał Sazed, zauważając sposób, w jaki Spook obserwował wodę. Wtedy chłopak nagle podniósł rękę i rozwiązał opaskę. Zsunął ją, ukazując parę okularów, które pewnie nosił, by tkanina nie przyciskała powiek. Spook zdjął

okulary i zamrugał. Jego oczy natychmiast zaczęły łzawić. Wtedy pochylił się i zgasił jedną z latarni, pozostawiając Sazedę w bardzo słabym blasku. Spook westchnął i przetarł oczy.

Czyli to rzeczywiście cyna, pomyślał Sazed. Rozważając tę myśl, uświadomił sobie, że często widywał chłopaka w rękawiczkach - jakby chronił skórę. Sazed podejrzewał, że gdyby przyjrzał się

uważniej, zobaczyłyby też zatyczki w uszach. Interesujące.

- Sazedzie - odezwał się Spook. - Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- Proszę, mów, jeśli tylko chcesz.

- Ja... - Spook zamilkł, po czym spojrzał na Terrisanina. - Myślę, że Kelsier wciąż jest z nami.

Sazed zmarszczył czoło.

- Nie żywy, oczywiście - dodał szybko chłopak. - Ale sądzę, że nas strzeże. Chroni...

tego typu rzeczy.

- To miłe uczucie, jak sądzę - odparł Sazed. Całkowicie fałszywe, oczywiście.

- To nie tylko uczucie - sprzeciwił się Spook. - Jest tutaj. Zastanawiałem się tylko, czy któraś z tych religii, które badałeś, wspomina o takich sprawach.

- Oczywiście. Wiele z nich mówi o umarłych pozostających w postaci duchów, by pomagać żywym lub ich przeklinać.

Zapadła cisza, Spook najwyraźniej na coś czekał.

- I co? - odezwał się w końcu. - Nie będziesz mnie nauczał?

- Już tego nie robię - odpowiedział cicho Sazed.

- Aha. Yyy... dlaczego nie?

Sazed pokręcił głową.

- Trudno mi nauczać innych tego, co nie dało mi pocieszenia, Spook. Przeglądam je wszystkie, próbując odkryć, która z nich... jeśli w ogóle któraś... jest właściwa i prawdziwa.

Kiedy zdobędę tę wiedzę, z radością podzielę się z tobą tymi, które moim zdaniem najpewniej mają w sobie prawdę. Na razie jednak nie wierzę w żadną z nich i dlatego żadnej nie uczam.

Ku jego zaskoczeniu, Spook nie próbował się kłócić. Sazedą frustrowało to, że jego przyjaciele - ludzie, którzy w większości byli zagorzałymi ateistami - tak bardzo się denerwowali, gdy dołączał do nich w braku wiary. A jednak Spook się nie kłócił.

- To ma sens - powiedział w końcu chłopak. - Te religie nie są prawdziwe. W końcu to Kelsier nas teraz strzeże, nie ci inni bogowie.

Sazed zamknął oczy.

- Jak możesz tak mówić, Spook? Żyłeś z nim, znałeś go. Obaj wiemy, że Kelsier nie był bogiem.

- Mieszkańcy tego miasta sądzą, że nim jest.

- I dokąd ich to doprowadziło? - spytał Sazed. - Skutkiem ich wiary jest ucisk i przemoc. Czy to dobra wiara, jeśli taki jest jej efekt? Miasto pełne ludzi, którzy błędnie interpretują przykazania ich boga? Świat popiołu, cierpienia, śmierci i smutku? - Terrisanin potrząsnął głową. - Dlatego już nie noszę metalmyśli. Religie, które nie mogą dać czegoś więcej, nie zasługują, by ich nauczano.

- Och - powiedział Spook. Ukląkł, zanurzył dłoń w wodzie i zadrżał. - To też pewnie ma sens... choć sądziłem, że to raczej z jej powodu.

- Co masz na myśli?

- Twoją kobietę. Tę drugą opiekunkę, Tindwyl. Słyszałem, jak mówiła o religii. Nie miała na jej temat dobrego zdania. Pomyślałem, że może już nie chcesz nauczać religii, bo może ona tego by właśnie pragnęła.

Sazed przeszedł dreszcz.

- Tak czy inaczej - dodał Spook, wstając i wycierając rękę - mieszkańcy tego miasta wiedzą więcej niż ci się wydaje. Kelsier naprawdę nas strzeże.

Z tymi słowami chłopak odszedł. Sazed jednak nie słuchał. Stał, wpatrując się w smoliste wody.

Bo może ona tego by właśnie pragnęła...

Tindwyl uważała religie za głupie. Mówiła, że ludzie, którzy poważnie traktują starożytne przepowiednie i niewidzialne siły, szukają usprawiedliwienia. Podczas ostatnich tygodni, jakie spędziła z Sazedem, był to częsty temat ich rozmów - nawet pewnego konfliktu

- gdyż w badaniach zajmowali się prorocत्वami dotyczącymi Bohatera Wieków.

Te badania okazały się bezużyteczne. W najlepszym wypadku prorocтва były próżnymi nadziejami ludzi, którzy pragnęli lepszego świata.

W najgorszym, zostały starannie stworzone, by spełnić cel złowrogiej siły. Tak czy inaczej, w tamtym czasie głęboko wierzył w swoją pracę. A Tindwyl mu pomagała.

Przeszukiwali jego metalmyśli, przerzucając zbierane przez stulecia informacje, historie i mitologie, szukając odniesień do Głębi, Bohatera Wieków i Studni Wstąpienia. Pracowała z nimi, utrzymując, że jej zainteresowanie jest akademickiej, nie religijnej natury. Sazed podejrzewał, że miała inne powody.

Pragnęła być z nim. Stłumiła niechęć do religii, gdyż pragnęła brać udział w tym, co on uznawał za ważne. A teraz, gdy zginęła, Sazed robił to, co ona uważała za ważne. Tindwyl zajmowała się polityką i przywództwem. Uwielbiała czytać biografie wielkich mężów stanu i generałów. Czy nieświadomie zgodził się zostać ambasadorem Elenda, by mógł pogрузić się w studiach Tindwyl, tak jak ona - przed śmiercią - zajęła się jego zainteresowaniami?

Nie był pewien. Tak naprawdę sądził, że jego problemy miały głębszą naturę.

Jednakże fakt, że to Spook doszedł do tak przenikliwych wniosków, skłonił Sazedą do zastanowienia. To był ciekawy sposób patrzenia na świat. Spook się z nim nie sprzeczał, jedynie zaproponował wiarygodne wyjaśnienie.

Sazed był pod wrażeniem. Odwrócił się i przez jakiś czas wpatrywał w wodę, rozważając słowa Spooka. Później wyjął kolejną religię z teczki i zaczął się nad nią zastanawiać. Im szybciej zbada je wszystkie, tym szybciej - jak liczył - odkryje prawdę.

Allomancja, co oczywiste, pochodzi od Zachowania. Racjonalny umysł od razu to spostrzeże, gdyż w wypadku Allomancji moc netto jest zyskiwana. Pochodzi ze źródła zewnętrznego - ciała Zachowania.

32

- Elendzie, czy to naprawdę ty?

Venture odwrócił się zaskoczony. Krążył po balu i właśnie rozmawiał z grupą mężczyzn, którzy okazali się jego dalekimi krewnymi. Jednakże głos dochodzący z tyłu wydawał się o wiele bardziej znajomy.

- Telden? - spytał Elend. - Co ty tu robisz?!

- Mieszkam tu, El - odparł Telden.

Uścisnęli sobie ręce.

Elend osłupiał. Nie widział Teldena od czasu, gdy jego ród uciekł z Luthadel w czasie chaosu, który zapanował po śmierci Ostatniego Imperatora. Niegdyś był to jego najlepszy przyjaciel.

Krewniacy wycofali się uprzejmie.

- Myślałem, że jesteś w BasMardin, Tell - powiedział Elend.

- Nie - odparł Telden. - Tam osiedliła się reszta mojego rodu, ale ja uznałem, że okolica jest zbyt niebezpieczna ze względu na ataki kolosów. Przeniosłem się do Fadrex, gdy lord Yomen objął w nim władzę... szybko zyskał reputację kogoś, kto umie zapewnić stabilizację.

Elend się uśmiechnął. Upływ lat odmienił jego przyjaciela. Niegdyś Telden był

wzorcowym niefrasobliwym kobieciarzem, a jego fryzura i drogie surduty miały zwracać uwagę. Nie chodziło o to, że starszy Telden się zaniedbał, ale wyraźnie przestał się tak przejmować stylowym wyglądem. Zawsze był potężny - wysoki i w pewnym sensie kwadratowy - a od kiedy przybrał na wadze, zaczął wyglądać... bardziej zwyczajnie niż wcześniej.

- Elendzie - odezwał się Telden, kręcąc głową. - Wiesz, przez długi czas nie mogłem uwierzyć, że

naprawdę przejąłeś władzę w Luthadel.

- Byłeś przecież na mojej koronacji!

- Uznałem, że wybrali cię jako marionetkę, El - wyjaśnił Telden, drapiąc się po brodzie. - Myślałem... przepraszam. Chyba po prostu w ciebie nie wierzyłem.

Elend się zaśmiał.

- Miałeś rację, przyjacielu. Okazałem się tragicznym królem.

Telden wyraźnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Ale z czasem zyskałem wprawę - dodał Elend. - Musiałem tylko przetrwać kilka początkowych katastrof.

Po sali balowej krążyli goście. Choć ci, którzy go obserwowali, bardzo starali się robić wrażenie niezainteresowanych i powściągliwych, Elend wiedział, że to arystokratyczny odpowiednik gapienia się. Spojrzał w bok i ujrzał Vin stojącą we wspaniałej czarnej sukni w otoczeniu kobiet. Wyglądało na to, że radzi sobie nieźle - lubiła dworskie bale bardziej, niż chciała się przyznać. Była pełna wdzięku, opanowana i znajdowała się w centrum zainteresowania.

Pozostawała również czujna - Elend widział, że zawsze stara się stawać plecami do ściany albo szklanego przepierzenia. Pewnie spalała żelazo lub stal, wyczulona na nagłe poruszenia metalu, które mogły oznaczać atakującego Monetostrzelnego. Elend również zaczął spalać żelazo i przez cały czas nie przerywał spalania mosiądzu. Uspokajał uczucia obecnych na sali, by nie czuli się zbyt zdenerwowani lub zaniepokojeni jego przybyciem. Inni Allomanci - Breeze albo nawet Vin - mieliby problemy z Uspokajaniem całej sali naraz.

Ogromna moc Elenda sprawiała, że nawet za bardzo nie musiał o tym myśleć.

Telden wciąż stał w pobliżu i wydawał się zaniepokojony. Elend próbował powiedzieć coś, by znów nawiązać rozmowę, lecz nie umiał wymyślić niczego, co nie brzmiałoby niezręcznie. Minęły niemal cztery lata od kiedy Telden opuścił Luthadel. Wcześniej był

jednym z przyjaciół, z którymi Venture omawiał teorie polityczne, z młodzieńczym entuzjazmem snując plany w oczekiwaniu na dzień, kiedy obejmą przywództwo swoich rodów. Niestety, dni młodości - i ich idealizm - przeminęły.

- Czyli... - odezwał się Telden. - W tym miejscu skończyliśmy, tak?

Elend pokiwał głową.

- Nie masz... tak naprawdę zamiaru zaatakować miasta, prawda? - spytał Telden. -

Przybyłeś, żeby zastraszyć Yomena, mam rację?

- Nie - odparł cicho Elend. - Podbiję miasto, jeśli będę musiał, Teldenie.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

- Co się z tobą stało, Elendzie? Gdzie się podział człowiek, który mówił o prawach i legalności?

- Świat mnie pochwyił, Teldenie. Nie mogę już być człowiekiem, którym byłem kiedyś.

- I dlatego zostałeś Ostatnim Imperatorem?

Elend się zawahał. Czuł się dziwnie, gdy ktoś inny wypowiadał na głos jego własne pytania i wątpliwości. W głębi duszy poczuł uczucie strachu - skoro Telden zadawał takie pytania, to Elend miał rację, martwiąc się tymi kwestiami. Może były prawdą?

Wówczas jednak poczuł w sobie mocniejszy impuls. Impuls, który zasiała w nim Tindwyl, a wykształcił rok walki o zapewnienie porządku w zrujnowanych pozostałościach Ostatniego Imperium.

Impuls, by uwierzyć w siebie.

- Nie, Teldenie - odparł stanowczo Elend. - Nie jestem Ostatnim Imperatorem.

Luthadel rządzi parlament, podobne powstały we wszystkich innych miastach, które włączyłem do imperium. Po raz pierwszy maszeruję na miasto z armią, by je podbić, a nie chronić... i to tylko dlatego, że Yomen odebrał je mojemu sojusznikowi.

Telden prychnął.

- Uczyniłeś się cesarzem.

- Tego właśnie potrzebują ludzie, Teldenie. Nie chcą powrotu czasów Ostatniego Imperatora, ale woleliby raczej umrzeć niż żyć w chaosie. Pokazują to dobitnie sukcesy Yomena. Ludzie chcą wiedzieć, że ktoś ich strzeże. Przez tysiąc lat mieli boga-imperatora...

nie można ich teraz zostawić bez przywódcy.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś tylko symbolicznym przywódcą? - spytał Telden, zakładając ręce na piersi.

- Raczej nie - odparł Elend. - Ale mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie. Obaj wiemy, że jestem uczonym, a nie królem.

Telden zmarszczył czoło. Nie wierzył Elendowi. A jednak Venture odkrył, że wcale go to nie martwi. Samo wypowiedzenie tych słów, przeciwstawienie się sceptycyzmowi, dodało mu pewności siebie. Telden nie rozumiał - nie przeżył tego, co Elend. Młody Elend nie zgodziłby się na to, co teraz robił. Część tej młodości wciąż dochodziła do głosu w jego duszy

- a on nie miał zamiaru jej uciszać. Jednakże nadszedł czas, by przestała osłabiać jego determinację.

Elend położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- W porządku, Tell. Minęło wiele lat, nim cię przekonałem, że Ostatni Imperator to koszmarny władca. Spodziewam się, że tyle samo czasu zajmie mi przekonanie cię, że ja będę dobry.

Telden uśmiechnął się słabo.

- Powiesz mi, że się zmieniłem? - spytał Elend. - To ostatnio bardzo modne.

Przyjaciel się roześmiał.

- Wydawało mi się, że to oczywiste. Nie ma o czym mówić.

- W takim razie, o czym warto?

- Cóż... - zaczął Telden. - Właściwie, miałem zamiar zbesztać cię za to, że nie zaprosiłeś mnie na ślub! Przykro mi, El. Naprawdę. Spędziłem większość młodości, udzielając ci rad na temat kontaktów męsko-damskich, a kiedy w końcu znalazłeś sobie dziewczynę, nawet nie powiadomiłeś mnie o ślubie!

Elend zaśmiał się i podążył za spojrzeniem Teldena w stronę Vin. Pewna siebie i potężna, a jednocześnie delikatna i pełna wdzięku. Elend uśmiechnął się z dumą. Nawet w czasach chwały Luthadel nie pamiętał, by jakaś kobieta tak bardzo zwracała na siebie uwagę na balu jak Vin. A w przeciwieństwie do Elenda nie znała na tym przyjęciu nikogo.

- Czuję się trochę jak dumny rodzic - dodał Telden, kładąc dłoń na ramieniu Elenda. -

Swego czasu byłem przekonany, że jesteś beznadziejnym przypadkiem, El! Myślałem, że któregoś dnia wejdiesz do biblioteki i po prostu tam zaginiesz. Znajdziemy cię po dwudziestu latach, pokrytego kurzem i po raz siedemsetny przeglądającego jakiś traktat filozoficzny. A jednak ożeniłeś się... i to z taką kobietą!

- Czasem ja też tego nie pojmuję - odparł Elend. - Nie mogę znaleźć żadnego rozsądnego powodu, dlaczego chciałaby ze mną być. Muszę... po prostu zaufać jej ocenie sytuacji.

- Tak czy inaczej, dobrze ci poszło.

Elend uniósł brew.

- Przypominam sobie, że kiedyś próbowałeś mnie przekonać, żebym się z nią nie spotykał.

Telden się zaczerwienił.

- Musisz przyznać, że zachowywała się bardzo podejrzanie, kiedy przychodziła na przyjęcia.

- Tak - zgodził się Elend. - Wydawała się zbyt prawdziwa jak na szlachetnie urodzoną.

- Spojrzał z uśmiechem na towarzysza. - Jeśli mi wybaczysz, mam coś do zrobienia.

- Oczywiście, El - powiedział Telden i skłonił się lekko, gdy Elend odchodził.

Ten gest Teldena wydawał się nieco dziwaczny. Już się tak naprawdę nie znali, mieli jednak wspomnienia przyjaźni.

Nie powiedziałem mu, że zabiłem Jastesę, pomyślał Elend, idąc przez salę. Goście rozstępowali się przed nim. Ciekawe, czy wie.

Wspomagany cyną słuch Elenda wychwycił wzrost ekscytacji w szeptach zebranych, gdy obecni na balu uświadomili sobie, co robi. Dał Yomenowi dość czasu, by ten uporał się z zaskoczeniem, teraz czas na konfrontację. Choć jednym z celów Elenda było zastraszenie miejscowej arystokracji, głównym pozostawała rozmowa z ich królem.

Yomen patrzył, jak Elend zbliża się do stołu na podwyższeniu, i - co mu trzeba przyznać - nie wydawał się przerażony perspektywą spotkania. Nie tknął swego posiłku.

Elend nie prosił o pozwolenie, lecz zatrzymał się i zaczął, aż Yomen gestem każe służącym posprzątać i przygotować mu miejsce po drugiej stronie stołu.

Elend usiadł, ufając, że Vin oraz jego własna stal i cyna uchronią go przed atakami zza pleców. Jako jedyny siedział po tej stronie stołu. Towarzysze Yomena odeszli, gdy Elend zajął miejsce, zostawiając dwóch władców samych. W innej sytuacji ten obraz mógłby wydawać się absurdalny - dwaj mężczyźni siedzący naprzeciwko siebie, a po obu ich bokach rozciąga się stół. Biały obrus i kryształowa zastawa były w idealnym stanie, jak za czasów Ostatniego Imperatora.

Elend sprzedał wszystkie cenne przedmioty, by nakarmić swój lud przez ostatnie kilka zim.

Yomen splótł palce i położył ręce na stole - wcześniej milczący słudzy zabrali jego talerz - po czym wpatrzył się w Elenda oczami ukrytymi pośród skomplikowanych tatuaży.

Mężczyzna nie nosił korony, lecz tylko pojedynczą bryłkę metalu przymocowaną tak, że wisiała pośrodku jego czoła.

Atium.

- Jest takie powiedzenie w Stalowym Zakonie - powiedział w końcu Yomen. - „Jeśli zasiądziesz ze złem do stołu, wchłoniesz je z posiłkiem”.

- W takim razie dobrze, że nic nie jemy - odparł z lekkim uśmiechem Elend.

Yomen się nie uśmiechał.

- Yomenie - odezwał się Elend poważnie. - Przybyłem do ciebie dzisiaj nie jako cesarz szukający

nowych ziem do podbicia, lecz jako zdesperowany król szukający sojuszników. Świat stał się niebezpiecznym miejscem... wydaje się, że walczy z nami sama ziemia, a przynajmniej rozpada się pod naszymi stopami. Przyjmij moją przyjaźń i zakończmy waśnie.

Obligator nie odpowiedział. Siedział ze splecionymi palcami i wpatrywał się w Elenda.

- Wątpisz w moją szczerłość - stwierdził Elend. - Nie mogę powiedzieć, że mam do ciebie o to pretensje, w końcu przyprowadziłem ze sobą armię. Czy mogę cię jakoś przekonać? Czy byłbyś skłonny wziąć udział w rozmowach lub rokowaniach?

Znów żadnej odpowiedzi. Dlatego tym razem Elend zaczekał. Wokół zapadła cisza.

Yomen w końcu się odezwał.

- Jesteś rażącym i krzykliwym człowiekiem, Elendzie Venture.

Elend najeżył się na te słowa. Być może chodziło o bal, być może nonszalancki sposób, w jaki Yomen zignorował jego propozycję, w każdym razie zareagował na tę uwagę tak, jak mógłby to zrobić przed laty, nim został królem prowadzącym wojnę.

- To takie moje paskudne przyzwyczajenie - powiedział. - Obawiam się, że lata sprawowania władzy... i nauki dobrego wychowania... jednego nie zmieniły: jestem bardzo niegrzecznym człowiekiem. Złe pochodzenie, jak przypuszczam.

- Uważasz to za zabawę - odezwał się obligator, wpatrując się w Elenda. - Przybywasz do mojego miasta, by zabić jego mieszkańców, a później wpadasz tanecznym krokiem na bal, mając nadzieję, że przerazisz szlachetnie urodzonych do granic hysterii.

- Nie - sprzeciwił się Elend. - Nie, Yomenie, to nie jest zabawa. Wydaje się, że świat chyli się ku upadkowi, a ja robię co w mojej mocy, by ocalić jak najwięcej ludzi.

- A robienie co w twojej mocy oznacza również podbicie mojego miasta?

Elend pokręcił głową.

- Nie umiem kłamać, Yomenie. I dlatego będę wobec ciebie szczerzy. Nie chcę nikogo zabijać, jak już mówiłem, wolałbym raczej, żebyśmy zawarli rozejm i mieli spokój. Daj mi informacje, których potrzebuję, połącz swoje zasoby z moimi, a nie zmuszę cię do poddania miasta. Jeśli mi się sprzeciwisz, sprawy się skomplikują.

Yomen przez chwilę siedział w milczeniu. W tle wciąż cicho grała muzyka, wibrując ponad szmerem setek uprzejmych rozmów.

- Wiesz, dlaczego nie lubię ludzi takich jak ty, Venture? - spytał w końcu Yomen.

- Z powodu mojego nieznośnego uroku i dowcipu? - spytał Elend. - Wątpię, by chodziło o moją urodę... choć w porównaniu z twarzą obligatora, pewnie i moja wydawałaby się godna

pozazdroszczenia.

Yomen spochmurniał.

- Jak ktoś taki jak ty w ogóle trafił do stołu negocjacji?

- Zostałem wyszkolony przez opryskliwą Zrodzoną z Mgły, sarkastyczną Terrisanę i bandę pozbawionych szacunku złodziei - odparł z westchnieniem Elend. - Ponadto od początku byłem raczej nieznośny. Ale proszę cię bardzo, nie przerywaj swoich obelg... nie chciałem ci przeszkadzać.

- Nie lubię cię - mówił dalej Yomen - ponieważ masz czelność sądzić, że zasługujesz na zdobycie tego miasta.

- Owszem - zgodził się Elend. - Należało do Cetta. Połowa żołnierzy, jakich ze sobą sprowadziłem, niegdyś mu służyła, i to jest ich ojczyzna. Przychodzimy wyzwalać, nie podbijać.

- Czy ci ludzie wyglądają tak, jakby czekali na wyzwolenie? - spytał Yomen, wskazując głową na tańczące pary.

- W rzeczy samej. Yomenie, to ty tu jesteś intruzem, nie ja. Nie masz prawa do tego miasta i dobrze o tym wiesz.

- Mam prawo, otrzymałem je od Ostatniego Imperatora.

- Nie akceptujemy prawa Ostatniego Imperatora do władzy - powiedział Elend. -

Dlatego go zabiliśmy. Sądzimy, że to ludzie mają prawo do władzy.

- Naprawdę? - spytał Yomen, nie ruszając rąk ze stołu. - Ponieważ, jak sobie przypominam, ludzie z twojego miasta wybrali Fersona Penroda na swojego króla.

Tu ma rację, musiał przyznać w duchu Elend.

Yomen się pochylił.

- Dlatego cię nie lubię, Venture. Jesteś hipokrytą najgorszego rodzaju. Udawałeś, że pozwalasz ludowi rządzić... ale kiedy cię obalili i wybrali innego, twoja Zrodzona z Mgły podbiła miasto dla ciebie. Rządzisz siłą, nie za zgodą wszystkich, więc nie mów mi o prawach.

- W Luthadel wystąpiły pewne... okoliczności, Yomenie. Penrod współpracował z naszymi wrogami i zdobył władzę, ponieważ zmanipulował zgromadzenie.

- To wydaje mi się błędem tego systemu - stwierdził Yomen. - Systemu, który sam stworzyłeś... a który zastąpił ten istniejący wcześniej. Ludzie potrzebują stałości władzy, potrzebują kogoś, na kim mogą się wzorować. Przywódcy, któremu mogą zaufać, przywódcy posiadającego prawdziwą władzę. Tylko człowiek wybrany przez Ostatniego Imperatora może mieć taką władzę.

Elend przyglądał się obligatorowi. Frustrowała go świadomość, że właściwie się z nim zgadza. Yomen mówił rzeczy, które kiedyś mówił również Elend, choć jego były nieco wypaczone przez jego

punkt widzenia obligatora.

- Tylko człowiek wybrany przez Ostatniego Imperatora może mieć taką władzę... -

powtórzył Elend, marszcząc czoło. Zdanie wydawało mu się znajome. - To z Durtona, prawda? „Powołanie zaufania”?

Yomen się zawahał.

- Tak.

- Jeśli chodzi o boskie prawa, wolę Gallingskawa.

- Gallingskaw był heretykiem - odparł Yomen.

- Czy to sprawia, że jego teorie są błędne?

- Nie. Pokazuje jednak, że brakowało mu zdolności logicznego myślenia... inaczej nie dałby się stracić. To sprawia, że jego teorie są błędne. Poza tym, zwykli ludzie nie mają żadnych boskich darów, jak utrzymywał.

- Przed objęciem władzy Ostatni Imperator był zwykłym człowiekiem.

- Tak - zgodził się Yomen - lecz Ostatni Imperator dotknął boskości w Studni Wstąpienia. Przez to został oznaczony Skrawkiem Nieskończoności i zyskał Prawo Inferencji.

- Vin, moja żona, dotknęła tej samej boskości.

- Nie wierzę w tę historię - stwierdził obligator. - Jak powiedziano, Skrawek Nieskończoności był niezwykle, niezaplanowany, niestworzony.

- Nie powołuj się na Urdree - sprzeciwił się Elend, unosząc palec. - Obaj wiemy, że był bardziej poetą niż prawdziwym filozofem... ignorował zasady i nigdy nie dawał

właściwych przypisów. Mógłbyś potraktować mnie poważnie i przynajmniej zacytować Hardrena, to byłby o wiele solidniejszy fundament.

Yomen otworzył usta, lecz zaraz przerwał i skrzywił się.

- To nie ma sensu - stwierdził. - Kłótnie na tematy filozoficzne nie zmienią faktu, że twoja armia stacjonuje pod moim miastem ani tego, że uważam cię za hipokrytę, Elendzie Venture.

Elend westchnął. Przez chwilę miał nadzieję, że będą mogli szanować siebie nawzajem jako uczonych. Był jednak z tym pewien problem. W oczach Yomena widział prawdziwą odrazę. I podejrzewał, że jej przyczyną jest coś głębszego niż jego rzekoma hipokryzja. W

końcu Elend poślubił kobietę, która zabiła boga Yomena.

- Yomenie - stwierdził Venture, pochylając się. - Rozumiem, że się różnimy. Jedno wydaje mi się jednak oczywiste... obaj troszczymy się o mieszkańców tego imperium. Obaj poświęciliśmy czas na studiowanie teorii politycznych i obaj najwyraźniej skupialiśmy się na tekstach utrzymujących, że dobro ludu jest najwyższym celem władzy. Powinno nam się udać. Chciałbym zaproponować ci porozumienie. Złóż mi przysięgę lojalności - będziesz mógł zachować władzę, z nielicznymi zmianami w sposobie rządzenia. Będę potrzebował

dostępu do miasta i jego zasobów, będziemy też musieli omówić kwestię zgromadzenia parlamentarnego. Poza tym jednak mógłbyś robić, co zechcesz. Możesz nawet urządzić przyjęcia i nauczać o Ostatnim Imperatorze. Ufam twojemu osądowi.

Yomen nie wyśmiał tej propozycji, lecz Elend widział, że nie przykłada też do niej wielkiej wagi. Z pewnością wiedział wcześniej, co Elend miał mu zamiar powiedzieć.

- Pełniasz jeden błąd, Elendzie Venture - stwierdził Yomen.

- To znaczy?

- Sądząc, że można mnie zastraszyć, przekupić albo wywrzeć na mnie nacisk.

- Nie jesteś głupcem, Yomenie - zauważył Elend. - Czasem walka się nie opłaca. Obaj wiemy, że mnie nie pokonasz.

- To kwestia do dyskusji. Tak czy inaczej, źle reaguję na groźby. Może gdybyś nie miał armii na progu miasta, mógłbym się zgodzić na sojusz.

- Obaj wiemy, że bez armii na twoim progu nie wysłuchałbyś mnie. Nie chciałeś przyjąć żadnego posłańca, nawet zanim jeszcze wyruszyłem w tę stronę.

Yomen pokręcił głową.

- Wydajesz się rozsądniejszy, niż się spodziewałem, Elendzie Venture, ale to nie zmienia faktów. Masz już swoje wielkie imperium. Przybywając tutaj, zdradzasz się ze swoją arogancją. Dlaczego potrzebujesz mojego dominium? Czy twoje ci nie wystarczy?

- Po pierwsze - stwierdził Elend, unosząc palec - muszę ci przypomnieć po raz kolejny, że zabrałeś to królestwo mojemu sojusznikowi. I tak musiałem tu przyjść, choćby po to, by wypełnić obietnice złożone Cettowi. Tu jednak chodzi o coś o wiele ważniejszego. - Elend zawahał się, po czym zaryzykował. - Muszę wiedzieć, co jest w twoim magazynie w jaskini.

Odpowiedzią było lekkie zaskoczenie na twarzy Yomena. Elendowi to wystarczyło.

Yomen wiedział o jaskini. Vin miała rację. A biorąc pod uwagę bryłkę atium umieszczoną na czole, może miała też rację co do tego, co znajdowało się w magazynie.

- Posłuchaj, Yomenie - odezwał się szybko Elend. - Atium mnie nie obchodzi... już prawie nie ma wartości. Muszę wiedzieć, jakie instrukcje pozostawił w tej jaskini Ostatni Imperator. Jakie są w

niej informacji? Jakie zapasy uznał za niezbędne dla naszego przeżycia?

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził beznamiętnie Yomen. Nie był szczególnie dobrym kłamcą.

- Spytałeś mnie, dlaczego tu przybyłem - powiedział Elend. - Yomenie, tu nie chodzi o podbicie miasta ani odebranie ci terytorium. Rozumiem, że może być ci trudno w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Ostatnie Imperium umiera. Z pewnością to widzisz. Ludzkość musi zebrać się razem, połączyć zasoby... a ty masz niezbędne wskazówki, których potrzebujemy.

Nie zmuszaj mnie, bym wyważył wrota, żeby do nich dotrzeć. Współpracuj ze mną.

Yomen pokręcił głową.

- I znów się mylisz, Venture. Widzisz, nie obchodzi mnie, czy mnie zaatakujesz. -

Spojrzał Elendowi w oczy. - Dla moich poddanych byłoby lepiej, by walczyli i zginęli, niż gdyby miał nimi rządzić człowiek, który obalił naszego boga i zniszczył naszą religię.

Elend widział w jego oczach zdecydowanie.

- Czy tak musi być? - spytał Elend.

- Tak. Mam się spodziewać ataku z rana? - spytał Yomen.

- Oczywiście, że nie - odparł Elend, wstając się. - Twoi żołnierze jeszcze nie głodują.

Porozmawiamy za kilka miesięcy. - Może wtedy będziesz bardziej skłonny ze mną rozmawiać.

Elend odwrócił się, żeby odejść, po czym zmienił zdanie.

- Tak przy okazji, udany bal - powiedział, spoglądając znów na Yomena. - Niezależnie od tego, w co wierzę, myślę, że twój bóg byłby zadowolony z tego, co udało ci się tu osiągnąć. Chyba powinieneś ponownie rozważyć swoje uprzedzenia. Ostatni Imperator prawdopodobnie niezbyt lubi mnie i Vin, ale sądzę, że wolałby raczej, by ci ludzie żyli niż dali się zabić.

Elend skinął z szacunkiem głową, po czym opuścił podwyższenie. Starał się nie okazywać frustracji. Wydawało mu się, że jest bardzo blisko Yomena, a jednocześnie sojusz wydawał się niemożliwy. Nie, dopóki obligator tak bardzo nienawidził Elenda i Vin.

Zmusił się do rozluźnienia i spokojnego kroku. W tej chwili niewiele mógł na to poradzić - może oblężenie zmusi Yomena do zmiany postawy. Jestem na balu, pomyślał

Elend. Powiniennem korzystać z niego, pokazać się szlachetnie urodzonym, zastraszyć ich i skłonić ich do pomocy nam zamiast Yomenowi...

Wpadła mu do głowy pewna myśl. Spojrzał na Vin, po czym gestem przywołał służbę.

- Milordzie?

- Chcę, żebyś mi coś przyniósł - powiedział Elend.

* * *

Vin znajdowała się w centrum zainteresowania. Kobiety spełniały jej kaprysy, słuchały każdego jej słowa i wpatrywały się w nią jak w obrazek. Chciały poznać wieści z Luthadel, usłyszeć o modzie, polityce, wydarzeniach w wielkim mieście. Nie odrzucały jej, nawet nie żywiły do niej urazy.

Natychmiastowa akceptacja była najdziwniejszą rzeczą, jakiej Vin kiedykolwiek doświadczyła. Stała pośród kobiet w sukniach i klejnotach, i była pierwszą pośród nich.

Wiedziała, że to jedynie ze względu na jej władzę, jednakże kobiety w tym mieście zdaje się rozpaczliwie potrzebowały wzorca. Cesarzowej.

A Vin odkryła, że jej się to podoba. W głębi duszy pragnęła takiej akceptacji od swojego pierwszego balu. Spędziła prawie rok źle traktowana przez niemal wszystkie damy -

niektóre pozwalały jej dołączyć do swojego towarzystwa, lecz zawsze była niewiele znaczącą arystokratką z prowincji. Ta akceptacja była płytka, lecz czasem nawet płytke sprawy miały znaczenie. Poza tym chodziło o coś jeszcze. Uśmiechając się do nowo przybyłej - siostrzenicy jednej z dam, która chciała ją poznać - Vin uświadomiła sobie, o co chodzi.

To część mnie, pomyślała. Nie chciałam tego - może dlatego, że nie wierzyłam, iż na to zasługuję. Uznałam, że to życie jest zbyt różne, zbyt wypełnione pięknem i pewnością siebie. Jednak jestem szlachetnie urodzoną. Pasuję tutaj.

Jedno z rodziców dało mi ulice, ale drugie dało mi to.

Spędziła pierwsze lata rządów Elenda, tak bardzo próbując go ochronić. Skupiała się jedynie na ulicznej stronie swojej osobowości, tej, która została wyszkolona do bezwzględności, uważała bowiem, że tylko to pozwoli jej ochronić to, co kochała. Jednakże Kelsier pokazał jej inny sposób uzyskania władzy. A władza ta wiązała się ze szlachetnie urodzonymi - ich intrygami, ich urodą i ich błyskotliwymi spiskami. Vin niemal od razu polubiła życie na dworze i to ją przerażało.

O to chodzi, pomyślała, uśmiechając się do kolejnej dygającej dziewczyny. Dlatego właśnie zawsze czułam, że to niewłaściwe. Nie musiałam na to zapracować, więc nie mogłam uwierzyć, że na to zasługuję.

Spędziła szesnaście lat na ulicach - na tę stronę swojej osobowości zapracowała.

Wystarczył jednak niecały miesiąc, by przywyknąć do życia arystokracji. Wydawało się jej niemożliwe, że coś, co przyszło jej tak łatwo, mogło być równie ważnym elementem jej osoby co lata spędzone na ulicy.

Ale tak było.

Musiałam stawić temu czoło, uświadomiła sobie. Tindwyl przed dwoma laty próbowała sprawić, bym to zrozumiała, ale wtedy nie byłam gotowa.

Musiała udowodnić sobie samej, że nie tylko umie poruszać się wśród szlachetnie urodzonych, ale że do nich pasuje. Ponieważ to był dowód na coś o wiele ważniejszego - że miłość Elenda, którą zdobyła przez te kilka wczesnych miesięcy, nie opierała się na fałszu.

To... prawda, pomyślała Vin. Mogę być i tym, i tym. Dlaczego musiało minąć tyle czasu, zanim to zrozumiałam?

- Wybaczcie mi, panie - powiedział ktoś.

Vin uśmiechnęła się i odwróciła. Kobiety rozstały się przed Elendem. Kilka młodszych miało rozmarzone miny, gdy wpatrywały się w Elenda, jego ciało wojownika, brodę i biały mundur. Vin zdusiła westchnienie irytacji. Ona pokochała go, zanim stał się takim mężczyzną.

- Moje panie - powiedział Elend do kobiet - lady Vin sama wam powie, że jestem raczej niewychowany. To nie byłoby wielkim grzechem, ale, niestety, poza tym mało przejmuję się swoim własnym lekceważeniem dobrych manier. I dlatego ukradnę wam moją żonę i samolubnie zajmę jej czas. Przeprosiłbym, ale my, barbarzyńcy, nie robimy takich rzeczy.

Z tymi słowami i z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. Vin uśmiechnęła się, wzięła go pod ramię i pozwoliła się odciągnąć od grupy kobiet.

- Pomyślałem, że może zechcesz przez chwilę odetchnąć - powiedział Elend. - Mogę sobie tylko wyobrazić, jak czujesz się w otoczeniu prawdziwej armii pudernic.

- Doceniam ratunek - powiedziała Vin, choć nie była to prawda.

Skąd Elend miałby wiedzieć, że nagle poczuła, że pasuje do tych pudernic? Poza tym, choć nosiły falbanki i makijaż, nie znaczyło to, że nie były niebezpieczne - tę prawdę poznała już podczas pierwszych miesięcy. Ta myśl tak bardzo ją rozproszyła, że nie zwracała uwagi, gdzie prowadzi ją Elend, aż prawie znaleźli się na miejscu.

Kiedy się zorientowała, natychmiast się zatrzymała.

- Parkiet taneczny? - spytała.

- W rzeczy samej.

- Nie tańczyłam od prawie czterech lat!

- Ja też nie - powiedział Elend. Podszedł bliżej. - Ale szkoda by było stracić taką okazję. W końcu nigdy nie udało się nam zatańczyć.

Mówił prawdę. Luthadel się zbuntowało, zanim mieli okazję ze sobą zatańczyć, a później nie było czasu na bale i inne głupstwa. Wiedziała, że Elend rozumie, jak bardzo żałowała, że straciła tę

szansę. Poprosił ją do tańca pierwszego wieczoru, kiedy się poznali, a ona odmówiła. Wciąż miała wrażenie, że wtedy straciła niepowtarzalną okazję.

I dlatego pozwoliła się zaprowadzić na nieco wzniesiony parkiet do tańca. Pary szeptały, a gdy muzyka ucichła na chwilę, wszyscy ukradkowo odeszli, pozostawiając Vin i Elenda samych - postać z białych linii prostych i drugą, z czarnych krzywych. Elend objął ją w pasie, odwracając w swoją stronę, i Vin nagle poczuła się zdenerwowana.

To teraz, pomyślała, rozjarzając cynę z ołowiem, by powstrzymać drzenie. W końcu się to dzieje. W końcu mogę z nim zatańczyć!

W tej właśnie chwili, gdy zabrzmiała muzyka, Elend sięgnął do kieszeni i wyciągnął książkę. Uniósł ją w jednej ręce, drugą objął Vin w pasie i zaczął czytać.

Zaskoczona Vin otworzyła szeroko usta, po czym uderzyła Elenda w ramię.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, gdy zaczął poruszać się w tańcu, nie rezygnując z lektury. - Elendzie! Myślałam, że to będzie wyjątkowa chwila!

Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Cóż, chciałem, żeby ta wyjątkowa chwila była jednocześnie jak najbardziej prawdziwa. W końcu przecież tańczysz ze mną.

- Po raz pierwszy!

- Tym ważniejsze, żebym zrobił na tobie odpowiednie wrażenie, panno Valette.

- Och, na... Mógłbyś po prostu odłożyć tę książkę?

Elend uśmiechnął się jeszcze szerzej, lecz schował książkę do kieszeni, wziął Vin za rękę i zaczął tańczyć w bardziej typowy sposób. Vin zarumieniła się, gdy zobaczyła zdezorientowanych gości otaczających parkiet. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak zrozumieć zachowanie Elenda.

- Naprawdę jesteś barbarzyńcą - powiedziała.

- Jestem barbarzyńcą, bo czytam książki? - spytał Elend lekkim tonem. - Taka łamigłówka bardzo by się spodobała Hamowi.

- A poważnie, skąd wzięłeś tę książkę?

- Kazałem jednemu ze służących Yomena, by mi ją przyniósł - wyjaśnił Elend. - Z

biblioteki twierdzy. Wiedziałem, że ją będą mieli... *Próby Monumentu* to dość znane dzieło.

Vin zmarszczyła czoło.

- Czy powinnam znać ten tytuł?

- To była książka, którą czytałem tamtej nocy na balkonie twierdzy Venture -

przypomniał Elend. - Kiedy się poznaliśmy.

- Ach, Elendzie, to niemal romantyczne... o ile za romantyczne można uznać stwierdzenie „żona mnie za to zabije”.

- Pomyślałem, że ci się to spodoba - powiedział.

- Jesteś dziś w wyjątkowej formie. Dawno cię takim nie widziałam.

- Wiem - odparł z westchnieniem. - Szczerze mówiąc, Vin, czuję się trochę winny, że byłem zbyt mało oficjalny podczas rozmowy z Yomenem. On jest tak sztywny, że obudziły się moje stare instynkty... te, które każą mi reagować na takich ludzi szyderstwem.

Vin pozwoliła się prowadzić w tańcu. Uniosła wzrok.

- Zachowujesz się po prostu naturalnie. To dobra rzecz.

- Moja dawna osobowość nie była dobrym królem.

- To, czego się dowiedziałeś na temat rządzenia, nie musi mieć nic wspólnego z twoją osobowością, Elendzie - sprzeciwiła się Vin. - Tu chodzi o inne kwestie... pewność siebie i zdecydowanie. Możesz je mieć i nadal pozostać sobą.

Elend pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy to możliwe. Z pewnością dziś powinienem był zachowywać się bardziej oficjalnie. Pozwoliłem, by otoczenie zbyt mnie rozluźniło.

- Nie - powiedziała stanowczo Vin. - W tej kwestii mam rację, Elendzie. Robiłeś dokładnie to samo, co ja. Tak bardzo chciałeś stać się dobrym królem, że pozwoliłeś, by zdusiło to twoją prawdziwą naturę. Nasza odpowiedzialność nie powinna nas niszczyć.

- Ciebie nie zniszczyła - powiedział z uśmiechem ukrytym za krótką brodą.

- Ale prawie do tego doszło. Elendzie, musiałam zrozumieć, że mogę być i tym, i tym.

Zrodzoną z Mgły wychowaną na ulicy i damą na dworze. Musiałam zaakceptować fakt, że ta nowa osoba, którą się staję, to rozwinięcie tego, czym jestem. A w twoim wypadku jest odwrotnie! Ty musisz zrozumieć, że to, kim byłeś, wciąż pozostaje częścią ciebie. Ta osoba rzuca głupie komentarze i robi różne rzeczy, żeby zobaczyć reakcję. Ale jest również urocza i życzliwa. Nie możesz tego stracić tylko dlatego, że jesteś cesarzem.

Na jego twarzy pojawiła się mina świadcząca o tym, że ma ochotę się pokłócić, ale się zawahał.

- Przybycie do tego miejsca - powiedział, spoglądając na piękne witraże i zgromadzonych szlachetnie urodzonych - przypomniało mi, na czym spędziłem większość życia. Zanim musiałem zostać królem. Już wtedy próbowałem zachowywać się tak jak lubię i w czasie przyjęć zajmowałem się lekturą. Ale nie robiłem tego ukryty w bibliotece, tylko na sali balowej. Nie chciałem się kryć, chciałem wyrazić swoje niezadowolenie z postępowania ojca, a robiłem to poprzez czytanie.

- Byłeś dobrym człowiekiem, Elendzie - powiedziała Vin. - Nie idiotą, jak chyba teraz sądzisz. Owszem, brakowało ci ukierunkowania, ale byłeś dobrym przywódcą. Przejąłeś władzę nad Luthadel i powstrzymałeś skaa przed rzezią.

- Ale później ta cała katastrofa z Penrodem...

- Wielu rzeczy musiałeś się nauczyć - powiedziała Vin. - Podobnie jak ja. Ale proszę, nie stawaj się kimś innym. Możesz być jednocześnie Elendem cesarzem i Elendem człowiekiem.

Uśmiechnął się, po czym przyciągnął ją do siebie, przerywając na chwilę taniec.

- Dziękuję - powiedział i pocałował ją.

Widziała, że wciąż jeszcze nie podjął decyzji - nadal uważał, że musi być raczej twardym wojownikiem niż dobrym uczonym. A jednak zastanawiał się. Na razie musiało to wystarczyć.

Vin spojrzała mu w oczy i wrócili do tańca. Nie odzywali się do siebie i napawali pięknem chwili. Dla Vin było to nierzeczywiste doświadczenie. Pod murami miasta stacjonowała ich armia, popiół spadał nieprzerwanie, a mgły zabijały ludzi. W tej sali pełnej białych marmurów i migoczących barw po raz pierwszy tańczyła z mężczyzną, którego kochała.

Oboje obracali się z wdziękiem Allomancji, stawiali kroki jakby byli unoszeni przez wiatr, poruszali się, jakby zostali stworzeni z mgły. Na sali zapanowała cisza, arystokraci byli niczym widownia teatralna obserwująca wielkie przedstawienie, nie dwójkę ludzi, którzy nie tańczyli od lat. A jednak Vin wiedziała, że to było cudowne i rzadko widywane. Większość szlachetnie urodzonych Zrodzonych z Mgły nie mogła poruszać się ze zbyt wielkim wdziękiem, by nie zdradzić swoich tajemnych mocy.

Vin i Elend nie mieli takich zahamowań. Tańczyli, jakby chcieli nadrobić stracone cztery lata, rzucić swoją radość w twarz umierającemu światu i wrogiemu miastu. Melodia zaczęła cichnąć. Elend przyciągnął ją do siebie. Cyna sprawiała, że Vin słyszała bicie jego serca. Biło stanowczo zbyt szybko jak na tak wolny taniec.

- Cieszę się, że to zrobiliśmy - powiedział.

- Wkrótce będzie kolejny bal. Za kilka tygodni.

- Wiem. O ile dobrze zrozumiałem, ten bal odbędzie się w Kantonie Zasobów.

- Wydaje go sam Yomen - odparła Vin.

- A jeśli podziemny magazyn jest gdzieś w mieście, to najpewniej został ukryty pod tym budynkiem.

- Będziemy mieli wymówkę... i precedens... by wejść do środka.

- Yomen ma atium - powiedział Elend. - Na czole nosi jedną bryłkę. Choć ten jeden kawałek nie oznacza jeszcze, że ma go dużo.

- Ciekawe, czy znalazł już jaskinię.

- Owszem, jestem tego pewien. Zareagował, kiedy o niej wspomniałem.

- To i tak nie powinno nas powstrzymać - powiedziała z uśmiechem Vin. - Pójdziemy na jego bal, wślizgniemy się do jaskini, dowiemy się, co zostawił tam Ostatni Imperator, i zdecydujemy, co zrobić z oblężeniem... I z miastem?

- To dobry plan - zgodził się Elend. - Zakładając, że nie uda mi się go przekonać.

Byłem blisko, Vin. Nie mogę przestać myśleć, że być może uda się go przeciągnąć na naszą stronę.

Vin skinęła głową.

- Dobrze - powiedział. - Gotowa na malownicze wyjście?

Vin się uśmiechnęła. Gdy muzyka ucichła, Elend obrócił się i wyrzucił ją w bok, a ona Odepchnęła się od metalowej krawędzi parkietu do tańca. Wystrzeliła ponad tłumem, kierując się z łopotem sukni w stronę wyjścia.

Za jej plecami Elend zwrócił się do zebranych.

- Dziękujemy serdecznie za przyjęcie nas tutaj. Jeśli ktoś pragnie uciec z miasta, zostanie przepuszczony przez moją armię.

Vin wylądowała i zobaczyła, jak Elend wznosi się w powietrze nad głowami zebranych. Na szczęście, udało mu się przelecieć we względnie niskim pomieszczeniu, nie rozbijając szyb ani nie uderzając w sklepienie. Dołączył do niej przy wyjściu, razem przeszli przez antyszambr i zniknęli w mroku nocy.

Hemalurgia pochodzi od Zniszczenia. Ponieważ odbiera moc jednej osobie i daje ją innej - w mniejszym zakresie - moc jest tracona. Zgodnie z celem, jaki wyznaczyło sobie Zniszczenie - rozbiciem wszechświata na coraz mniejsze elementy - Hemalurgia daje wielkie dary lecz cena jest wysoka.

Ludzie mogliby szydzić z TenSoona, być może czymś w niego rzucać albo go przeklinać. Kandra byli na to zbyt zdyscyplinowani, lecz TenSoon wyczuwał ich pogardę.

Patrzyli, jak zostaje wyciągnięty z klatki i poprowadzony z powrotem do Labiryntu Zaufania na ogłoszenie wyroku. Obserwowały go setki oczu, umieszczone w ciałach osadzonych na stalowych, szklanych, kamiennych i drewnianych kościach. Młodszy kandra przybierali bardziej skrajne postaci, starsi byli bardziej ortodoksyjni.

Wszystkie spojrzenia były oskarżycielskie.

Przed procesem tłum był zainteresowany - może przerażony. To się zmieniło - czas spędzony przez TenSoona w klatce spełnił swoją funkcję. Drugie Pokolenie zdołało rozgłosić jego niesławę i kandra, którzy być może niegdyś mu współczuli, teraz patrzyli na niego z obrzydzeniem.

W ciągu tysiąca lat ich istnienia żaden kandra nie popełnił takiej zbrodni jak TenSoon.

Znosił spojrzenia i pogardę z podniesioną głową, idąc korytarzem w ciele psa.

Wydawało mu się dziwne to, jak dobrze się czuje z tymi kośćmi. Nosił je jedynie przez rok, lecz kiedy je ponownie założył - odrzucenie mizernego, nagiego ciała człowieka - poczuł się bardziej swojsko niż wtedy, gdy przed rokiem powrócił do Ojczyzny.

I to, co miało być dla niego upokorzeniem, okazało się swego rodzaju triumfem. Nie miał wielkiej nadziei, lecz udało mu się tak zmanipulować Drugie Pokolenie, by oddali mu psie ciało. W worku znajdowały się nawet pazury i sierść - pewnie zebrali cały bałagan, gdy przed rokiem zmusili TenSoona do porzucenia tego ciała i wejścia do więzienia.

Wygodne kości dodawały mu siły. To ciało dała mu Vin. Ona była Bohaterem Wieków. Musiał w to wierzyć.

Inaczej właśnie miał popełnić bardzo poważny błąd.

Strażnicy zaprowadzili go do Labiryntu Zaufania. Tym razem widzów było zbyt wielu, by pomieścili się na sali, więc Drudzy zdecydowali, że kandra młodszy od Siódmego Pokolenia mają poczekać na zewnątrz. Mimo to, jego rodacy wypełniali rzędy kamiennych siedzisk. Siedzieli w milczeniu, gdy TenSoon prowadzono na metaliczny dysk umieszczony pośrodku kamiennej posadzki. Szerokie wejście pozostało otwarte, a młodszy kandra tłoczyli się na zewnątrz i słuchali.

TenSoon wszedł na podwyższenie i podniósł wzrok. Cienie Pierwszego Pokolenia czekały na górze, każdy w swojej alkwie, podświetlony słabym błękitnym blaskiem.

KanPaar podszedł do mównicy. TenSoon widział zadowolenie w jego ruchach. Drugi czuł, że jego triumf jest całkowity i zupełny - to, co działo się z tym, którzy ignorowali polecenia Drugiego Pokolenia, nie zostanie szybko zapomniane. TenSoon usiadł na tylnych łapach, strzeżony przez dwóch kandra obdarzonych Błogosławieństwami Siły, migoczącym w ich barkach. W rękach trzymali duże młoty.

- TenSoonie z Trzeciego Pokolenia - powiedział głośno KanPaar. - Czy jesteś gotowy przyjąć wyrok?

- Nie będzie wyroku - stwierdził TenSoon. Wychodzące z psiego pyska słowa były niewyraźne, ale dało się je zrozumieć.

- Nie będzie wyroku? - powtórzył z rozbawieniem KanPaar. - Chcesz teraz wycofać się z tego, czego sam zażądałeś?

- Przybyłem, by przekazać informacje, nie zostać osądzonym.

- Ja...

- Nie mówię do ciebie, KanPaarze - przerwał TenSoon, odwrócił się od Drugiego i uniósł głowę. - Mówię do nich.

- Słyszeli twoje słowa, Trzeci - warknął KanPaar. - Panuj nad sobą! Nie pozwolę, żebyś zmienił to ogłoszenie wyroku w cyrk, jak to zrobiłeś wcześniej.

TenSoon uśmiechnął się. Jedyne kandra mógł uznać niewielką kłótnię za „cyrk”. Nie odwrócił się jednak od alków Pierwszego Pokolenia.

- A teraz... - powiedział KanPaar.

- Wy! - ryknął TenSoon, przerywając KanPaarowi. - Pierwsze Pokolenie! Jak długo będziecie siedzieć w swoim pełnym wygod domu, udając, że świat na górze nie istnieje?

Myślicie, że jeśli zignorujecie problemy, one was nie dotkną? A może przestaliście wierzyć w swoje własne nauki? Nadeszły dni mgły! Pada niekończący się popiół! Ziemia trzęsie się i drży. Możecie mnie potępić, ale nie wolno wam mnie zignorować! Świat wkrótce zginie! Jeśli chcecie, żeby istoty żywe... we wszystkich postaciach... przetrwały, musicie działać! Musicie być gotowi! Wkrótce być może będziecie musieli rozkazać naszemu ludowi przyjąć Rozwiązanie!

Zapadła cisza. Kilka cieni na górze poruszyło się, jakby poczuli się niezręcznie - choć kandra zazwyczaj nie reagowali w taki sposób. To było zbyt nieuporządkowane.

Wówczas na górze rozległ się głos - cichy, chrapliwy i bardzo zmęczony.

- Kontynuuj, KanPaarze.

Słowa te były tak niespodziewane, że kilku obecnych na widowni aż sapnęło. Pierwsze Pokolenie nigdy nie odzywało się w obecności młodszych. TenSoon nie był pod wrażeniem -

widział ich i rozmawiał z nimi, zanim stali się zbyt ważni, by kontaktować się z kimś poza Drugimi. Nie, nie był pod wrażeniem. Czuł się jedynie rozczarowany.

- Moja wiara w was była nie na miejscu - powiedział, głównie do siebie. - Nie powinienem był wracać.

- TenSoonie z Trzeciego Pokolenia! - powiedział KanPaar, prostując się, a jego kryształowe

Prawdziwe Ciało migotało. - Zostałeś skazany na rytualne uwięzienie w ChanGaar! Zostaniesz pobity do połamania kości, a później zamurowany w jaskini, z jednym otworem na codzienną porcję brei. Tam pozostaniesz przez dziesięć pokoleń! Dopiero po upływie tego czasu zostaniesz stracony przez zagłodzenie! Wiedz, że twoim największym grzechem był bunt. Gdybyś nie przeciwstawił się mądrości tej rady, nigdy byś nawet nie pomyślał o złamaniu Pierwszego Kontraktu. Z twojego powodu Zaufanie jest zagrożone, jak również każdy kandra z każdego pokolenia!

KanPaar pozwolił, by jego słowa odbiły się echem od ścian sali. TenSoon siedział w milczeniu na tylnych łapach. Drugi najwyraźniej spodziewał się reakcji, lecz TenSoon nic nie zrobił. W końcu KanPaar wskazał na dwóch strażników, którzy trzymali potężne młoty.

- Wiesz, KanPaarze - powiedział TenSoon - dowiedziałem się kilku ważnych rzeczy, kiedy przed rokiem nosiłem te kości.

Drugi znów wskazał. Strażnicy unieśli broń.

- Nigdy wcześniej nie musiałem o tym myśleć - dodał TenSoon. - Jeśli się nad tym zastanowić, ludzie nie zostali stworzeni do szybkości. Ale psy jak najbardziej.

Młoty opadły.

TenSoon skoczył do przodu.

Odepchnął się potężnymi tylnymi łapami. Należał do Trzeciego Pokolenia. Nikt nie pochłaniał i nie naśladował ciała przez tak długi czas jak on. Potrafił upakować mięśnie w ciele. W dodatku spędził cały rok, nosząc kości wilczarza, zmuszony dotrzymywać kroku swojej pani, Zrodzonej z Mgły. Można powiedzieć, że przeszedł rok szkolenia pod kierownictwem jednego z najbardziej utalentowanych Allomantów na świecie.

Ponadto, choć w ludzkim ciele był wymizerowany, ta sama masa oznaczała całkiem potężnego wilczarza. W połączeniu z umiejętnością kształtowania ciała oznaczało to, że kiedy TenSoon skoczył, to skoczył naprawdę. Strażnicy krzyknęli wstrząśnięci, gdy jednym susem znalazł się w odległości ponad dziesięciu stóp od nich. Uderzył w ziemię i ruszył biegiem, lecz nie skierował się w stronę drzwi. Tego się spodziewali.

Miast tego skoczył na KanPaara. Najważniejszy z Drugich wykrzyknął głośno, bezskutecznie unosząc przed sobą ręce, gdy ważący sto funtów wilczarz zderzył się z nim i rzucił go na kamienną posadzkę. TenSoon usłyszał głośny trzask łamiących się delikatnych kości KanPaara. Drugi zaczął krzyczeć w sposób nieprzystający kandra.

To wydaje się właściwe, pomyślał TenSoon, przepychając się między szeregami Drugich i miażdżąc kości. Trzeba być naprawdę próżnym głupcem, żeby nosić Prawdziwe Ciało z kryształu.

Większość kandra nie umiała zareagować. Inni - szczególnie młodszy - spędzili wiele czasu w towarzystwie ludzi, służąc Kontraktom, i lepiej radzili sobie z chaosem. Ci rozproszyli się, pozostawiając starszych towarzyszy na ławach. TenSoon przemykał między zebranymi, kierując się

w stronę drzwi. Strażnicy obok podwyższenia - ci, którzy mieli zmiążyć jego kości - pośpieszyli do KanPaara, ich poczucie braterskiego obowiązku przeważało nad pragnieniem uniemożliwienia mu ucieczki. Poza tym musieli widzieć tłum blokujący przejście i założyli, że to spowolni TenSoon.

Dotarłszy do zbitej masy kandra, TenSoon znów skoczył. Vin zmuszała go do skakania na nieprawdopodobne wysokości, a on wypróbował różne struktury mięśniowe.

Ten skok nie zrobiłby wrażenia na Vin - TenSoon nie miał już Błogosławieństwa Siły, które ukradł OreSeurowi - ale wystarczył, by znalazł się za plecami kandra. Niektórzy krzyknęli, gdy wylądował na kawałku otwartej przestrzeni i znów skoczył, tym razem w stronę pustej jaskini za nimi.

- Nie! - zawołał ktoś w Labiryncie Zaufania. - Za nim!

TenSoon sadył długimi susami jednym z korytarzy. Biegł szybko - o wiele szybciej niż jakakolwiek dwunożna istota. Miał nadzieję, że psie ciało pozwoli mu przegonić nawet kandra obdarzonych Błogosławieństwem Siły.

Żegnaj, mój domu, pomyślał TenSoon, pozostawiając za sobą główną jaskinię. I żegnajcie resztki honoru.

CZEŚĆ TRZECIA:

PEKNIĘTE NIEBiosa

Feruchemia, jak należy zauważyć, to moc równowagi. Z trzech mocy jedynie ona była znana ludzkości przed kulminacją konfliktu między Zachowaniem a Zniszczeniem. W

Feruchemii moc jest magazynowana, a później wykorzystywana. Żadna energia nie zostaje utracona - zmienia się jedynie czas i szybkość jej wykorzystania.

34

Marsh wszedł do niewielkiego miasteczka. Robotnicy na szczycie prowizorycznej bramy - która wydawała się tak licha, że mógł ją rozwalić zdecydowany kopniak - zamarli.

Zamiatacze popiołu zauważyli jego przejście z grozą. Dziwne, jak na niego patrzyli, zbyt przerażeni, by uciec. A przynajmniej zbyt przerażeni, by uciec jako pierwsi.

Marsh ich zignorował. Ziemia drżała pod jego stopami, wygrywając swoją piękną pieśń - tu, w okolicy Góry Tyrian, trzęsienia były częste. Ta popielna góra znajdowała się najbliżej Luthadel. Marsh szedł przez terytorium Elenda Venture, lecz cesarz oczywiście je porzucił. To wydawało się zaproszeniem dla Marsha i tego, kto go kontrolował. Właściwie byli jednością. Inkwizytor się uśmiechnął.

Niewielka część jego istoty była wciąż wolna, lecz pozostawała w uśpieniu.

Zniszczenie musiało uwierzyć, że się poddał. O to chodziło. Dlatego Marsh jedynie odrobinę się

izolował i nie walczył. Pozwalał, by pełne popiołu niebo było dla niego piękne, i traktował śmierć świata jako błogosławieństwo.

Czekał na właściwy moment.

Wioska stanowiła porywający widok. Ludzie umierali z głodu, choć znajdowali się w Środkowym Dominium, „chronionym” terytorium Elenda Venture. Ich wspaniałe, udrećzone twarze świadczyły, że są bliscy porzucenia wszelkiej nadziei. Ulice były zaniedbane, domy -

które niegdyś zamieszkiwali szlachetnie urodzeni, lecz teraz wypełniali je wygłodniali skaa -

pokryte popiołem, ogrody nagie, a same budynki częściowo rozebrane, by zapewnić paliwo podczas zimy.

Cudowny widok sprawił, że Marsh uśmiechnął się z zadowoleniem. Za jego plecami ludzie w końcu zaczęli się ruszać, uciekali, drzwi trzaskały. W miasteczku żyło około sześciu, może siedmiu tysięcy ludzi. Nie obchodzili Marsha. Nie w tej chwili.

Interesował go tylko jeden określony budynek. Różnił się nieco od innych - był

posiadłością w rzędzie innych pięknych budowli. Miasteczko niegdyś służyło jako postój dla podróżników i wielu szlachetnie urodzonych wybudowało w nim swoje drugie domy. Kilka arystokratycznych rodzin mieszkało w nim na stałe, nadzorując licznych skaa pracujących na plantacjach i polach na otaczających równinach.

Budynek wybrany przez Marsha był nieco lepiej utrzymany od innych. W ogrodzie oczywiście rosło więcej chwastów niż roślin uprawnych, a murów nie wyszorowano od lat.

Jednakże tylko niewielka część drewna została wykorzystana do palenia w piecach, a przed wejściem nawet stał strażnik

Marsh zabił go jednym z ostrych jak brzytwa trójkątów, które niegdyś wykorzystywano w ceremoniach Ostatniego Imperatora. Odepchnął go przez pierś mężczyzny w chwili, gdy ten otworzył usta, by go zatrzymać. Powietrze było dziwnie nieruchome i ciche, gdy mężczyzna ucichł i przewrócił się na bok. Skaa, którzy obserwowali to wszystko z sąsiednich domów, wiedzieli, że nie należy reagować, i pozostali nieruchomi.

Inkwizytor nucił pod nosem, idąc dróżką w stronę wejścia do posiadłości, płosząc przy tym niewielkie stado kruków. Niegdyś ta ścieżka, wyłożona płaskimi kamieniami, byłaby przyjemnym spacerkiem po ogrodach. Teraz po prostu musiał przejść przez zarośnięte chwastami pole.

Właściciel domu najwyraźniej nie mógł sobie pozwolić na więcej niż jednego strażnika i nikt nie podniósł alarmu na widok Marsha. Udało mu się podejść do samego wejścia. Zapukał, uśmiechając się pod nosem.

Drzwi otworzyła służąca. Zamarła, kiedy ujrzała Marsha - kolce w oczach, nienaturalnie wysoką

postać, ciemne szaty. Zaczęła się trząść.

Marsh wyciągnął przed siebie dłoń, na której spoczywał kolejny trójkąt. Następnie odepchnął go prosto w twarz kobiety. Kawałek metalu wyszedł tyłem czaszki, a służąca się przewróciła. Przystąpił nad jej ciałem i wszedł do domu.

W środku było o wiele przyjemniej, niż mógłby się spodziewać po otoczeniu. Bogate wyposażenie, świeżo odmalowane ściany, ozdobna ceramika. Marsh uniósł brew, rozglądając się dookoła kolcami. Jego wzrok działał w taki sposób, że miał problemy z rozróżnianiem kolorów, lecz na tyle przyzwyczał się do swoich mocy, że mógł rozpoznawać barwy, jeśli miał ochotę. Allomantyczne linie prowadzące do metali wewnątrz większości przedmiotów były dość ekspresyjne.

Dla Marsha posiadłość była pełna nieskazitelnej bieli wypełnionej wybuchami drogich kolorów. Przeszukał ją, spalając cynę z ołowiem, by wzmocnić swoje zdolności fizyczne, dzięki czemu jego krok był o wiele lżejszy, niż byłoby to możliwe bez metalu. W czasie zwiedzania zabił dwóch służących i w końcu wszedł na piętro.

Znalazł poszukiwanego człowieka przy biurku w pokoju na piętrze. Łysiejący, w drogim surducie, z niewielkim wąsikiem na okrągłej twarzy. Siedział odchyłony do tyłu, z zamkniętymi oczami, u stóp miał pustą butelkę po mocnym trunku. Marsh spoglądał na to z niezadowoleniem.

- Tak daleko musiałem po ciebie iść. A kiedy cię w końcu znalazłem, odkrywam, że zalałeś się w trupa?

Mężczyzna oczywiście nigdy nie poznał Marsha. To nie zmieniało jego niezadowolenia z faktu, że nie zobaczy grozy i zaskoczenia w oczach gospodarza, gdy ten ujrzy w swoim domu Inkwizytora. Marshowi brakowało strachu, oczekiwania śmierci. Przez chwilę kusiło go, by poczekać, aż mężczyzna wytrzeźwieje, by móc dokonać zabójstwa we właściwy sposób.

Ale Zniszczenie się na to nie zgadzało. Marsh westchnął z poczuciem niesprawiedliwości, po czym rzucił nieprzytomnego mężczyznę na podłogę i przebił jego serce niewielkim brązowym kolcem. Był cieńszy i krótszy niż kolec Inkwizytora, ale zabijał

równie pewnie. Inkwizytor wyrwał go z serca mężczyzny. Krew zaczęła zbierać się w kałuży na podłodze.

Wtedy Marsh wyszedł i opuścił budynek. Szlachetnie urodzony - Marsh nawet nie znał jego imienia - niedawno wykorzystał Allomancję. Był Dymiarzem, Mglistym, który umiał tworzyć chmury miedzi, a wykorzystanie umiejętności zwróciło uwagę Zniszczenia.

Zniszczenie szukało Allomanty, którego mogłoby wykorzystać.

I tak oto Marsh przyszedł zebrać moc mężczyzny i wciągnąć ją w kolec. Wydawało mu się to jakimś marnotrawstwem. Hemalurgia - szczególnie napełnianie Allomancją -

działała najlepiej, gdy można było przebić kolcem serce ofiary i wbić go prosto w oczekującego gospodarza. W ten sposób tracono niewiele z allomantycznej mocy. Jeśli robił

to w ten sposób - zabijał Allomantę, by stworzyć kolec, a później udawał się gdzieś, by umieścić go na miejscu - nowy gospodarz zyskiwał o wiele mniejszą moc.

W tym wypadku nie było innego wyjścia. Marsh pokręcił głową, przestępując nad ciałem służącej, i ruszył przez zaniedbany ogród. Nikt go nie zaczepiał ani nawet na niego nie patrzył, gdy szedł w stronę bramy. Tam jednak znalazł kilku mężczyzn skaa klęczących na ziemi.

- Proszę, wasza łaskawość - powiedział jeden, gdy Marsh go mijał. - Proszę, przyślijcie nam znów obligatorów. Tym razem będziemy służyć lepiej.

- Straciliście tę szansę - powiedział Marsh, wpatrując się w nich kolcami.

- Znów uwierzmy w Ostatniego Imperatora - odezwał się drugi. - On nas karmił.

Proszę. Nasze rodziny nie mają co jeść.

- Cóż - odparł Marsh. - Tym niedługo nie będziecie się już musieli martwić.

Mężczyźni wciąż klęczeli, gdy Inkwizytor odchodził. Nie zabił ich, choć miał na to trochę ochoty. Niestety, Zniszczenie pragnęło zachować ten przywilej dla siebie.

Marsh szedł przez równinę za miasteczkiem. Po mniej więcej godzinie zatrzymał się i odwrócił w stronę osady i górującej nad nią popielnej góry.

W tej właśnie chwili szczyt góry wybuchł, wyrzucając z siebie chmurę kurzu, popiołu i skał. Ziemia się zatrzęsała i wokół Marsha rozległo się dudnienie. Rozpalona do czerwoności lawa zaczęła spływać po zboczu popielnej góry, w stronę płytkiego jeziora i miasteczka na jego brzegu.

Marsh potrząsnął głową. Żywność naprawdę nie była największym problemem tego miasta. Powinni rozważyć swoje priorytety.

Hemalurgia to moc, o której wolałbym wiedzieć o wiele mniej. Dla Zniszczenia moc musi mieć niezmiernie wysoką cenę - korzystanie z niej musi być atrakcyjne, ale jednocześnie prowadzić do chaosu i zagłady.

W swych założeniach to bardzo prosta sztuka. Pasożytnicza. Bez ludzi, których można okradać, Hemalurgia byłaby bezużyteczna.

35

- Poradzicie sobie tutaj? - spytał Spook.

Breeze odwrócił się od rozświetlonej tawerny i uniósł brew. Spook przyprowadził go -

razem z kilkoma żołnierzami Goradela w zwykłych ubraniach - do jednej z większych i porządniejszych gospód. Ze środka dochodziły głosy.

- Tak, będzie dobrze - stwierdził Breeze, spoglądając na tawernę. - Skaa wychodzą w nocy. Nigdy nie myślałem, że to zobaczę. Może świat naprawdę się kończy...

- Ja idę do jednej z biedniejszych dzielnic miasta - wyjaśnił cicho Spook. - Muszę sprawdzić parę rzeczy.

- Biedniejsze dzielnice - odezwał się z namysłem Breeze. - Może powinienem ci towarzyszyć. Doświadczenie wskazuje, że im biedniejsi ludzie, tym swobodniej gadają.

Chłopak uniósł brew.

- Nie obraż się, Breeze, ale wydaje mi się, że byś się wyróżniał.

- Co? - spytał Uspokajacz, wskazując na swój praktyczny brązowy strój robotnika, zdecydowanie różniący się od jego zwyczajowego surduta i kamizelki. - Mam na sobie te koszmarne ciuchy, czyż nie?

- Nie chodzi tylko o ubranie, Breeze. Masz taką specyficzną... postawę. Poza tym pokrywa cię za mało popiołu.

- Przenikałem do niższych warstw, zanim ty się jeszcze urodziłeś, dzieciaku -

stwierdził Breeze, grożąc palcem.

- Dobra - stwierdził Spook. Pochylił się i podniósł z ziemi stertę popiołu. - Pozwól tylko, że wetrę to w twoje ubranie i twarz...

Breeze zamarł.

- Spotkamy się w kryjówce - powiedział w końcu.

Spook uśmiechnął się, rzucił popiół i zniknął we mgle.

- Nigdy go nie lubiłem - wyszeptał Kelsier.

Chłopak opuścił szybkim krokiem bogatszą część miasta. Kiedy dotarł do ulicorowu, nie zatrzymał się, lecz po prostu skoczył i opadł dwadzieścia stóp.

Jego płaszcz łopotał za nim, gdy spadał. Spook wylądował bez problemu i ruszył dalej, nie zwalniając. Bez cyny z ołowiem z pewnością połamałby kości. Teraz poruszał się z tą samą zręcznością, której tak zazdrościł Vin i Kelsierowi. Przepęlniała go radość. Rozjarzając cynę z ołowiem, nie odczuwał zmęczenia, czy choćby znużenia. Nawet proste czynności, w rodzaju marszu ulicą, sprawiały, że czuł się zwinny i silny.

Szybko dotarł do Bron, pozostawiając za sobą lepsze ulice. Wszedł do wąskiego, zatłoczonego ulicorowu, doskonale wiedząc, gdzie odnajdzie swój cel. Durn był jedną z ważniejszych postaci półświatka Urteau. Niespełniony muzyk, w części informator, w części żebraczy król, pełnił funkcję swego rodzaju burmistrza Bron. Tacy jak on musieli przebywać w miejscach, gdzie ludzie mogli ich znaleźć - i zapłacić.

Spook wciąż pamiętał pierwszą noc po przebudzeniu z gorączki, przed kilkoma tygodniami, kiedy odwiedził tawernę i zorientował się, że goście rozmawiają na jego temat.

Przez następne dni odwiedził kilka innych gospód i usłyszał kolejne plotki na temat Spooka.

Przybycie Sazed'a i Breeze'a opóźniło jego spotkanie z Durnem - źródłem pogłosek - i rozmowę na temat tego, co rozpowiadał ludziom. Nadszedł czas, by naprawić to przeoczenie.

Spook przyspieszył kroku, przeskakując nad porzuconymi deskami i omijając sterty popiołu, aż dotarł do dziury, którą Durn uważał za swój dom. W ścianie kanału wykopano zagłębienie przypominające jaskinię. Choć drewniana futryna drzwi wydawała się równie przegniła i popękana, jak wszystko inne w Bronach, Spook wiedział, że z tyłu wzmacnia je gruba dębowa sztaba.

Na zewnątrz pełniło straż dwóch drabów. Spojrzeli na Spooka, gdy ten zatrzymał się przed wejściem, łopocząc płaszczem. Był to ten sam płaszcz, który miał na sobie, kiedy wrzucono go do ognia, obecnie pełen śladów spalenizny i dziur.

- Szef nikogo teraz nie przyjmuje, dzieciaku - powiedział jeden z drabów, nie podnosząc się z siedzenia. - Wróc później.

Spook kopnął w drzwi. Wypadły z futryny razem ze sztabą, która poleciała na ziemię.

Chłopak przez chwilę stał wstrząśnięty. Miał zbyt mało doświadczenia z cyną z ołowiem, by umieć ocenić skutki jej użycia. Jeśli jednak on był wstrząśnięty, dwaj strażnicy wydawali się oszołomieni. Siedzieli, patrząc na zniszczone drzwi.

- Być może będziesz musiał ich zabić - wyszeptał Kelsier.

Nie, pomyślał Spook. Muszę działać szybko. Wpadł do środka, nie potrzebował

pochodni ani latarni, żeby widzieć. Kiedy dotarł do drzwi na końcu korytarza, z kieszeni wyciągnął okulary i opaskę, i umieścił je na swoim miejscu. Z tyłu strażnicy zaczęli krzyczeć.

Uderzył barkiem w drzwi, lecz tym razem zrobił to nieco ostrożniej, więc tylko otworzył je z trzaskiem, nie wyrywając ich z zawiasów. Wszedł do dobrze oświetlonego pomieszczenia, gdzie czterech ludzi grało w karty przy stole. Durn wygrywał.

Spook zatrzymał się i wskazał na zebranych.

- Wy trzej. Wychodzić. Mam sprawy do omówienia z Durnem.

Durn siedział za stołem i wydawał się rzeczywiście zaskoczony. Strażnicy dobiegli do Spooka, a wtedy on odwrócił się, przykucnął i sięgnął pod płaszcz po laskę pojedynkową.

- Nic się nie stało - stwierdził Durn, podnosząc się. - Zostawcie nas.

Strażnicy zawahali się, najwyraźniej źli, że chłopak tak łatwo ich ominął. W końcu jednak wycofali się, podobnie jak trzej gracze. Zamknęli za sobą drzwi.

- To było niezłe wejście - zauważył Durn, znów siadając przy stole.

- Opowiadałeś o mnie, Durn - stwierdził Spook, odwracając się w jego stronę. -

Słyszałem, jak ludzie rozmawiają na mój temat w tawernie, wspominając przy tym o tobie.

Rzeczywiście, mówiłeś pogłoski o mojej śmierci, mówiąc ludziom, że byłem w ekipie Ocalałego.

Skąd wiedziałeś, kim jestem, i dlaczego wykorzystywałeś moje imię?

- Naprawdę - westchnął Durn, krzywiąc się - spodziewałeś się, że uda ci się zachować anonimowość? Byłeś przyjacielem Ocalałego i dużo czasu spędzałeś w pałacu cesarza.

- Jesteśmy daleko od Luthadel.

- Nie tak daleko, by nie dotarły do nas wieści. Do miasta przybywa Cynooki, szpieguje, wydaje kupę pieniędzy - nie było trudno się domyślić, kim jesteś. Poza tym są jeszcze twoje oczy.

- Co z nimi? - spytał Spook.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Wszyscy wiedzą, że w ekipie Ocalałego działy się dziwne rzeczy.

Spook nie był pewien, co o tym sądzić. Podszedł bliżej i spojrzał na karty na stole.

Podniósł jedną, pomacał papier. Wyczulone zmysły sprawiły, że od razu zauważył wybrzuszenia na jej grzbiecie.

- Znaczone karty? - spytał.

- Oczywiście - stwierdził Durn. - Ćwiczyliśmy, żeby sprawdzić, czy moi ludzie umieją poprawnie odczytać wzory.

Spook rzucił kartę na stół.

- Wciąż nie odpowiedziałeś, dlaczego rozpuszczasz pogłoski na mój temat.

- Nie obraż się, dzieciaku - odparł Durn. - Ale... cóż, miałeś być martwy.

- Skoro w to wierzyłeś, to po co w ogóle o mnie mówić?

- A jak myślisz? Ludzie kochają Ocalałego... i wszystko, co z nim związane. Dlatego Quellion tak często się na niego powołuje. Ale gdybym mógł pokazać, że Quellion zabił

jednego z członków ekipy Kelsiera... cóż, w tym mieście jest wielu ludzi, którym by się to nie spodobało.

- Czyli po prostu chcesz pomóc - stwierdził beznamiętnie Spook. - Z czystej dobroci serca.

- Nie tylko ty uważasz, że Quellion zabija to miasto. Jeśli naprawdę należysz do ekipy Kelsiera, to wiesz, że ludzie czasem walczą.

- Trudno mi cię uznać za altruistę, Durn. Jesteś złodziejem.

- Ty też.

- Nie wiedzieliśmy, w co się pakujemy - wyjaśnił Spook. - Kelsier obiecał nam bogactwa. Co ty zyskasz?

Durn prychnął.

- Obywatel bardzo źle działa na interesy. Czerwone wino z piwnic Venture sprzedawane za ułamek spinki? Przemysł ograniczył się do cienkiej strużki, bo wszyscy boją się kupować nasze towary. Nawet za czasów Ostatniego Imperatora nie było tak źle. -

Pochylił się. - Jeśli twoi przyjaciele, którzy zatrzymali się w starej siedzibie Zakonu, myślą, że uda im się coś zrobić z tym szaleńcem rządzącym miastem, przekaż im, że mają moje poparcie. Podziemie w tym mieście nie jest zbyt duże, ale Quellion mógłby się zdziwić, jak wielkie zniszczenia może uczynić, jeśli zostanie zmanipulowane we właściwy sposób.

Spook milczał przez chwilę.

- W tawernie na Ulicy Zachodniego Strumienia jest człowiek, który zbiera informacje.

Poślij kogoś do niego. To Uspokajacz... najlepszy, jakiego kiedykolwiek widziałeś... ale nieco się wyróżnia. Złóż mu propozycję.

Durn pokiwał głową.

Spook odwrócił się do wyjścia, po czym spojrzał znów na Durna.

- Nie wspominaj mu o mnie ani o tym, co się ze mną stało.

Z tymi słowami wyszedł na korytarz, mijając strażników i graczy. Zdjął opaskę z oczu, gdy wyszedł na blask gwiazdzistej nocy.

Szedł przez Brony, próbując zdecydować, co właściwie sądzi o spotkaniu. Durn nie ujawnił nic aż tak ważnego. Spook jednak miał wrażenie, że coś się dzieje wokół niego, coś, czego nie zaplanował i nie mógł do końca zrozumieć. Zaczynał czuć się coraz swobodniej z głosem Kelsiera i cyną z łożem, ale wciąż się martwił, że nie poradzi sobie z sytuacją, w której się znalazł.

- Jeśli wkrótce nie dopadniesz Quelliona - powiedział Kelsier - znajdzie twoich przyjaciół. Już przygotowuje skrytobójców.

- Nie wyśle ich - powiedział cicho Spook. - Szczególnie jeśli usłyszał plotki Durna na mój temat. Wszyscy wiedzą, że Sazed i Breeze byli w twojej ekipie. Quellion ich nie zdejmie, chyba że okażą się zagrożeniem, którego nie będzie mógł zignorować.

- Quellion jest niestabilny - odparł Kelsier. - Nie czekaj za długo. Nie chcesz się dowiedzieć, jak bardzo nieracjonalnie potrafi się zachować.

Spook umilkł. Nagle usłyszał zbliżające się kroki. Czuł wibracje ziemi. Obrócił się i rozsunął płaszcz, sięgając po broń.

- Nie jesteś w niebezpieczeństwie - powiedział cicho Kelsier.

Spook rozluźnił się, gdy ktoś wypadł zza rogu uliczki. To był jeden z karciarzy Durna.

Mężczyzna dyszał ciężko, jego twarz zaczerwieniła się z wysiłku.

- Milordzie! - powiedział.

- Nie jestem lordem - sprzeciwił się Spook. - Co się stało? Durn jest w niebezpieczeństwie?

- Nie, panie - odparł mężczyzna. - Ja tylko... ja...

Spook uniósł brew.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział mężczyzna, z trudem łapiąc oddech. - Kiedy uświadomiliśmy sobie, kim jesteś, już cię nie było. Ja tylko...

- Pomocy w czym? - spytał krótko Spook.

- Moja siostra, panie - odparł mężczyzna. - Została zabrana przez Obywatela. Nasz...

ojciec był szlachetnie urodzonym. Durn mnie ukrył, ale Mailey została sprzedana przez kobietę, z którą ją zostawiłem. Panie, ona ma tylko siedem lat. Spalą ją za kilka dni!

Spook zmarszczył czoło. Czego on się po mnie spodziewa? Otworzył usta, by wypowiedzieć to pytanie na głos, ale się powstrzymał. Nie był już tym człowiekiem, co kiedyś. Nie był tak ograniczony, jak dawny Spook. Mógł zrobić coś innego.

Coś, co zrobiłby Kelsier.

- Czy możesz zebrać dziesięciu ludzi? - spytał Spook. - Przyjaciół, gotowych na nocną robotkę?

- Pewnie. Chyba tak. Czy to ma coś wspólnego z uratowaniem, Mailey?

- Nie - odparł Spook - jedynie z twoją zapłatą za uratowanie Mailey. Zbierz tych ludzi, a ja zrobię co mogę, żeby pomóc twojej siostrze.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Zrób to - powiedział Spook. - Zaczynamy dzisiaj.

W Hemalurgii liczy się metal wykorzystany w kolcu, jak również umiejscowienie kolca w ciele. Na przykład stalowe kolce odbierają fizyczne moce allomantyczne - umiejętność spalania cyny z ołowiem, cyny stali i żelaza - i przekazują je osobie, która otrzymuje kolec.

Jednak to, którą moc otrzyma odbiorca, zależy już od umiejscowienia kolca.

Kolce z innych metali kradną zdolności feruchemiczne. Na przykład, wszyscy pierwotni Inkwizytorzy otrzymywali kolec z cyny z ołowiem, który - po przebicciu wcześniej ciała Feruchemika - dawał im moc magazynowania zdrowia. (Choć nie mogli robić tego z taką szybkością, jak prawdziwi Feruchemicy ze względu na hemalurgiczną utratę mocy). To oczywiście wyjaśnia, skąd Inkwizytorzy zyskali swoją niesławną moc szybkiego leczenia ran, jak również dlaczego potrzebowali tak dużo odpoczynku.

36

- Nie powinieneś być tam iść - powiedział beznamiętnie Cett.

Elend uniósł brew. Przejeżdżał właśnie na swoim ogierze przez środek obozu. Tindwyl uczyła go, że dobrze jest, jeśli ludzie go widzą, szczególnie w sytuacjach, w których mógł

kontrolować sposób, w jaki był postrzegany. Z tą lekcją akurat się zgadzał, więc jechał konno, odziany w czarny płaszcz zasłaniający ślady popiołu, upewniając się, że żołnierze są świadomi jego obecności. Cett jechał obok, przywiązany do specjalnie wykonanego siodła.

- Myślisz, że naraziłem się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, wchodząc do miasta? -

spytał Elend, kiwając głową grupie żołnierzy, którzy przerwali poranne zajęcia, by mu zaszalutować.

- Nie, obaj wiemy, że gównu mnie obchodzi twoje życie, chłopcze. Poza tym jesteś Zrodzonym z Mgły. Gdyby zrobiło się niebezpiecznie, udałoby ci się uciec.

- To w takim razie dlaczego uważasz to za błąd?

- Ponieważ poznałeś ludzi w środku - odparł Cett. - Rozmawiałeś z nimi, tańczyłeś pośród nich. Do kata, chłopcze. Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego to taki problem? Kiedy nadejdzie czas ataku, zaczniesz się przejmować ludźmi, którym będziesz musiał zrobić krzywdę.

Elend przez chwilę jechał w milczeniu. Poranne mgły traktował już jako coś normalnego. Zaslaniały obóz, ukrywając jego rozmiary. Nawet dla jego wspomaganych cyną oczu odległe namioty były jedynie plamami. Czuł się tak, jakby jechał przez mityczny świat, pełen stłumionych cieni i odległych odgłosów.

Czy wejście do miasta było błędem? Być może. Elend znał teorie, o których wspominał Cett - rozumiał, jak ważne było dla generała postrzeganie wrogów jako liczby.

Przeszkody.

- Cieszę się ze swojego wyboru - powiedział w końcu.

- Wiem - odparł Cett, drapiąc się po gęstej brodzie. - I to mnie frustruje, jeśli mam być szczery. Jesteś człowiekiem pełnym współczucia. To słabość, ale nie prawdziwy problem.

Problemem jest twoja nieumiejętność stłumienia współczucia.

Elend uniósł brew.

- Naprawdę nie powinieneś sobie pozwalać na przywiązanie się do swoich wrogów, Elendzie - wyjaśnił Cett. - Powinieneś być wiedzieć, jak zareagujesz, i zaplanować wszystko tak, by uniknąć tej sytuacji! Do kasta, chłopcze, wszyscy przywódcy mają słabości... ci, którzy zwyciężają, to ci, którzy nauczyli się je tłumić, a nie je podsycają!

Kiedy Elend nie zareagował, Cett tylko westchnął.

- Dobrze, w takim razie porozmawiajmy o oblężeniu. Inżynierowie zagroździłi kilka strumieni prowadzących do miasta, ale nie sądzą, że to podstawowe źródła wody.

- Bo też i nie są - odparł Elend. - Vin zlokalizowała sześć głównych studni w obrębie miasta.

- Powinniśmy je zatruć - stwierdził Cett.

Elend umilkł. Wciąż odczuwał wewnętrzny konflikt. Człowiek, którym był, pragnął

uchronić jak największą liczbę ludzi. Człowiek, którym się stawał, był jednak większym realistą. Wiedział, że czasem musi zabijać - albo przynajmniej sprawiać kłopoty - żeby ratować.

- Dobrze - zgodził się Elend. - Vin zrobi to dzisiejszej nocy... i zostawi na studniach informacje na temat tego, co zrobiliśmy.

- A co to da? - spytał Cett, krzywiąc się.

- Nie chcę zabijać tych ludzi - wyjaśnił Elend. - Chcę ich zaniepokoić. Wtedy pójda do Yomena po wodę. Kiedy całe miasto zgłosi się do niego z żądaniami, bardzo szybko zużyje zapasy wody w magazynie.

Cett chrząknął. Wydawało się jednak, że jest zadowolony, że Elend przyjął jego sugestię.

- A okoliczne wioski?

- Możesz je zastraszać, jak tylko chcesz - stwierdził Elend. - Zbierz oddział liczący dziesięć tysięcy ludzi i poślij do wiosek... ale mają powstrzymać się od zabijania. Chcę, żeby szpiedzy Yomena w tych okolicach wysyłali mu niepokojące raporty opisujące upadek jego królestwa.

- Próbujesz załatwić to połowicznie, chłopcze - stwierdził Cett. - W końcu będziesz musiał wybrać. Jeśli Yomen się nie podda, musisz zaatakować.

Elend ściągnął wodze przed namiotem dowodzenia.

- Wiem - powiedział cicho.

Cett prychnął, lecz umilkł, gdy z namiotu wyszli słudzy, by go odwiązać. Gdy zaczęli to robić, ziemia się zatrzęsała. Elend zaklął, z trudem zachowując panowanie nad spłoszonym koniem. Wstrząsy zakołysały namiotami, przewracając kilka z nich. Elend słyszał brzęk metalu, gdy kubki, miecze i inne przedmioty spadały na ziemię. W końcu dudnienie ucichło.

Venture spojrział w bok, sprawdzając stan Cetta. Mężczyźnie udało się zapanować nad wierzchowcem, ale jedna z jego bezużytecznych nóg wysunęła się z siodła i wyglądał, jakby miał zaraz spaść. Słudzy rzucili się na pomoc.

- Przekłete trzęsienia zdarzają się coraz częściej - stwierdził Cett.

Elend uspokoił konia, który stał, parskając, we mgle. Wszędzie w obozie ludzie krzyczeli i przeklinali, zajmując się efektami trzęsienia ziemi. Rzeczywiście stawały się coraz częstsze - ostatnie nastąpiło zaledwie przed kilkoma tygodniami. W Ostatnim Imperium trzęsienia ziemi nie były pospolitym zjawiskiem - w młodości nie słyszał o żadnym w wewnętrznych dominiach.

Westchnął, zsunął się z konia i podał wodze adiutantowi, po czym podążył za Cettem do namiotu. Słudzy usadowili Cetta na krześle i wycofali się, zostawiając ich samych. Cett spojrział na Elenda, wydawał się zaniepokojony.

- Czy ten głupiec Ham powiedział ci o wieściach z Luthadel?

- A raczej ich braku? - spytał z westchnieniem Elend. - Tak.

Ze stolicy nie przysłała żadna wiadomość, nie wspominając o zapasach, które Elend kazał posłać kanałem.

- Nie mamy aż tak wiele czasu, Elendzie - powiedział cicho Cett. - Najwyżej kilka miesięcy. Wystarczy, by osłabić zdecydowanie Yomena, może wywołać wśród jego ludzi takie pragnienie, że zaczną czekać na inwazję. Ale jeśli nie dostaniemy zapasów, nie uda nam się utrzymać oblężenia.

Elend spojrział na starszego mężczyznę. Cett siedział z arogancką miną na krześle, patrząc Elendowi

prosto w oczy. Tak wiele z tego, co robił kaleki mężczyzna, było poza -

Cett przed wielu laty utracił władzę w nogach z powodu choroby, więc nie mógł zastraszać ludzi fizycznie. Dlatego musiał znaleźć inny sposób, by robić wrażenie groźnego.

Cett wiedział, jak wbić szpilę, żeby zabolalo. Uderzał w te wady, których ludzie się wstydzi, i wykorzystywał ich cnoty w sposób, którego mogliby mu pozazdrościć doświadczeni Uspokajacze. I, jak podejrzewał Elend, robił to wszystko, ukrywając serce o wiele łagodniejsze, niż kiedykolwiek by się przyznał.

Tego dnia wydawał się szczególnie zdenerwowany. Jakby się o coś martwił. Coś ważnego dla niego - może coś, co był zmuszony pozostawić?

- Nic jej nie będzie, Cetcie - powiedział Elend. - Allrienne nic się nie stanie, dopóki jest z Sazedem i Breeze'em.

Cett prychnął i machnął ręką - choć odwrócił przy tym wzrok.

- Bardzo się cieszę, że tej głupiej dziewczyny nie ma przy mnie. Niech ją sobie weźmie ten Uspokajacz! Tak czy inaczej, nie rozmawialiśmy o mnie, tylko o tym oblężeniu!

- Zapamiętam twoje uwagi - powiedział Elend. - Zaatakujemy, jeśli uznam to za konieczne.

Kiedy to mówił, klapy namiotu rozsunęły się i do środka wkroczył Ham w towarzystwie osoby, której Elend nie widział od kilku tygodni - a przynajmniej poza łóżkiem.

- Demoux! - wykrzyknął Elend, podchodząc do generała. - Wstałeś!

- Z trudem, Wasza Wysokość - odparł Demoux. Rzeczywiście, wyglądał blado. -

Jednak odzyskałem siły na tyle, by zacząć się poruszać.

- Pozostali? - spytał Elend.

Ham pokiwał głową.

- Większość też już jest na nogach. Demoux był w ostatniej grupie. Jeszcze kilka dni i armia odzyska pełnię sił.

Pomijając tych, którzy umarli, pomyślał Elend.

Cett spojrział na Demoux.

- Większość wróciła do siebie przed tygodniami. Jesteś słabszy niż można by się spodziewać, co, Demoux? Tak przynajmniej słyszałem.

Demoux się zarumienił.

Elend zmarszczył czoło.

- O co chodzi?

- Nic takiego, Wasza Wysokość - odparł Demoux.

- W moim obozie nie ma czegoś takiego jak „nic takiego”, Demoux. O czym nie wiem?

Ham westchnął i przyciągnął sobie krzesło. Usiadł na nim odwrotnie, kładąc umięśnione ramiona na oparciu.

- To tylko taka plotka krążąca po obozie, El.

- Żołnierze - mruknął Cett. - Wszyscy są tacy sami... przesądni jak stare baby.

Ham pokiwał głową.

- Niektórzy wbili sobie do głowy, że ci, którzy się rozchorowali od mgły, zostali ukarani.

- Ukarani? - powtórzył Elend. - Za co?

- Brak wiary, Wasza Wysokość - odparł Demoux.

- Bzdura - stwierdził Elend. - Wszyscy wiemy, że mgły atakują przypadkowo.

Inni popatrzyli po sobie, zmuszając Venture do zastanowienia. Nie. Ataki choroby nie były przypadkowe - a przynajmniej związana z nimi statystyka.

- Tak czy inaczej - odezwał się, pragnąc zmienić temat - jakie macie raporty?

Trzej mężczyźni po kolei opowiadali o swoich rozmaitych obowiązkach w obozie.

Ham zajmował się morale i szkoleniem, Demoux zapasami i utrzymaniem obozu, Cett taktyką i patrolami. Elend stał z rękami założonymi za plecami i słuchał raportów, ale nieuważnie. Nie różniły się od poprzedniego dnia, choć dobrze było zobaczyć Demoux pełniącego znów obowiązki. Był w tym o wiele lepszy od swoich asystentów.

Gdy tak mówili, Elend zatonął w myślach. Oblężenie szło nieźle, lecz część jego osoby - ta wyszkolona przez Cetta i Tindwyl - niecierpliwiła się oczekiwaniem.

Prawdopodobnie mógłby od razu zdobyć miasto. Miał kolosy, a zgodnie ze wszystkimi raportami jego ludzie byli o wiele lepiej wyszkoleni niż żołnierze z Fadrex. Skalne formacje zapewnią osłonę obrońcom, lecz Elend nie znajdował się w tak trudnej sytuacji, by nie mógł

zwyciężyć.

Jednakże cena byłaby bardzo wysoka.

Przed tym krokiem się cofał - ostatnim krokiem, który z obrońcy zmieniłby go w agresora. Z protektora w zdobywcę. I frustrowało go własne niezdecydowanie.

Wejście do miasta było złe dla Elenda z jeszcze jednego powodu. Było lepiej, gdy uważał Yomena za złego tyrana, zepsutego obligatora wiernego Ostatniemu Imperatorowi.

Teraz, niestety, wiedział, że Yomen był rozsądnym człowiekiem. Do tego mającym dobre argumenty. W pewnym sensie jego oskarżenia wobec Elenda były prawdziwe. Elend rzeczywiście był hipokrytą. Mówił o demokracji, lecz objął władzę siłą.

Wierzył, że tego właśnie potrzebuje lud. I to czyniło go hipokrytą. Mimo to, zgodnie z tą samą logiką, wiedział, że powinien posłać Vin, by zamordowała Yomena. Ale czy mógł

wydać wyrok śmierci na człowieka, który nie zrobił nic złego poza staniem mu na drodze?

Zamordowanie obligatora wydawało się równie wypaczonym posunięciem, jak wysłanie kolosów, by zaatakowały miasto. Cett ma rację, pomyślał Elend, próbując grać na dwie strony. Przez chwilę, gdy rozmawiał z Teldenem podczas balu, czuł się tak pewny siebie. I wciąż wierzył w to, co mu powiedział. Elend nie był Ostatnim Imperatorem. Dał

swoim ludziom więcej wolności i sprawiedliwości.

Zrozumiał, że to oblężenie mogło przeważać szalę między tym, kim był, a tym, kim bał się stać. Czy naprawdę mógł usprawiedliwić najechanie Fadrex, wymordowanie jego obrońców i złupienie zapasów, a wszystko rzekomo w imię obrony mieszkańców imperium?

Czy ważył się postąpić odwrotnie - wycofać spod miasta i pozostawić tajemnice w jaskini -

tajemnice, które potencjalnie mogły uratować całe imperium - człowiekowi, który wciąż wierzył, że Ostatni Imperator powróci i uratuje swój lud?

Nie umiał podjąć decyzji. Na razie miał zamiar wyczerpać wszystkie pozostałe możliwości. Cokolwiek, co tylko uchroni go przed koniecznością zaatakowania miasta.

Oznaczało to również oblężenie, by skłonić Yomena do ustępstw. I oznaczało wprowadzenie Vin do jaskini. Zgodnie z jej raportami, budynek był pilnie strzeżony. Nie wiedziała, czy udałoby jej się dostać do środka w zwyczajną noc, ale podczas balu ochrona mogła być słabsza. To byłby doskonały moment, żeby sprawdzić, co zostało ukryte w jaskini.

Zakładając, że Yomen nie usunął ostatniej tablicy Ostatniego Imperatora, pomyślał

Elend. I że w ogóle coś tam było.

Istniała pewna szansa. Ostatnia wiadomość Rasheka, ostatnia pomoc, jaką zostawił dla swojego ludu. Gdyby Elend mógł uzyskać tę pomoc bez zdobywania miasta i zabijania tysięcy ludzi, zrobiłby to.

W końcu jego ludzie skończyli składanie raportów, a on kazał im się rozejść. Ham wyszedł

pośpiesznie, chciał bowiem zająć się poranną sesją treningową. Cett oddalił się kilka chwil później, zanesiony do swojego namiotu. Demoux jednak zwlekał. Czasem trudno było pamiętać, jak młody w rzeczywistości był generał - niewiele starszy od samego Elenda.

Łysina i liczne blizny sprawiały, że wydawał się o wiele starszy, niż był w rzeczywistości, podobnie jak wciąż widoczne ślady długiej choroby.

Demoux wyraźnie się wahał. Elend czekał, aż w końcu mężczyzna spuścił wzrok, wyraźnie zażenowany.

- Wasza Wysokość - powiedział. - Czuję, że muszę prosić o zwolnienie mnie z funkcji generała.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał ostrożnie Elend.

- Nie uważam, że jestem godny tego stanowiska.

Elend zmarszczył czoło.

- Jedynie człowiek, któremu ufa Ocalały, może dowodzić tą armią, milordzie - wyjaśnił Demoux.

- Jestem pewien, że tobie ufa, Demoux.

Mężczyzna pokręcił głową.

- To dlaczego sprowadził na mnie chorobę?

- Mówiłem ci, to przypadek, Demoux.

- Milordzie, naprawdę nie chciałbym się sprzeciwiać, ale obaj wiemy, że to nieprawda.

W końcu to wy wskazaliście, że choroba dotyka ludzi zgodnie z wolą Kelsiera.

Elend się zawahał.

- Ja?

Demoux przytaknął.

- Tamtego ranka, kiedy zostaliśmy wystawieni na mgły, kazaliście armii pamiętać, że Kelsier był Panem Mgieł i że wobec tego choroba musi być jego wolą. Sądzę, że mieliście rację. Ocalały jest Panem Mgieł. Sam tak twierdził, w noc przed swoją śmiercią. To on stoi za chorobą, milordzie. Wiem, że tak jest. Widział tych, którym brakowało wiary, i przeklął ich.

- Nie o to mi chodziło, Demoux - powiedział Elend. - Sugerowałem, że Kelsier pragnął, byśmy ponieśli straty, a nie, że wybierał poszczególnych ludzi.

- Tak czy inaczej, milordzie, wypowiedzieliście te słowa.

Elend machnął ręką.

- To jak wyjaśnicie te dziwne liczby, milordzie? - spytał Demoux.

- Nie jestem pewien - przyznał Elend. - Rzeczywiście, liczba ludzi, którzy zapadli na chorobę, jest dziwna pod względem statystycznym, ale to wcale nie ma znaczenia dla ciebie jako jednostki, Demoux.

- Nie chodzi mi o tamtą liczbę, milordzie - powiedział Demoux, wciąż nie podnosząc wzroku. - Chodzi mi o liczbę tych, którzy pozostali chorzy, gdy inni odzyskali zdrowie.

Elend się zastanowił.

- Zaraz. A jaka ona jest?

- Nie słyszeliście, milordzie? - spytał Demoux. - Skrybowie o tym gadali i wszystko dotarło do żołnierzy. Nie sądzę, by większość z nich znała się na liczbach i takich tam, ale większość rozumie, że dzieje się coś dziwnego.

- Jakie liczby? - spytał Elend.

- Pięć tysięcy ludzi zachorowało, milordzie - powiedział Demoux.

Dokładnie szesnaście procent żołnierzy, pomyślał Elend.

- Z nich około pięciuset umarło - powiedział Demoux. - Z pozostałych większość powróciła do zdrowia po jednym dniu.

- Ale niektórzy nie - stwierdził Elend. - Jak ty.

- Jak ja - zgodził się cicho Demoux. - Trzystu dwudziestu siedmiu pozostało chorych, gdy inni wyzdrowieli.

- I co z tego?

- To dokładnie jedna szesnasta z tych, którzy zachorowali, milordzie - stwierdził

Demoux. - I pozostaliśmy chorzy przez dokładnie szesnaście dni. Co do godziny.

Kłapa namiotu załopotała cicho na wietrze. Elend umilkł i z trudem stłumił dreszcz.

- Przypadek - powiedział w końcu. - Statystycy szukający powiązań zawsze znajdują dziwne przypadki i statystyczne anomalie, jeśli tylko ich poszukają.

- To nie wygląda na prostą anomalię, milordzie - sprzeciwił się Demoux. - Wszystko jest zbyt

dokładne. Ta sama liczba powtarza się przez cały czas. Szesnaście.

Elend potrząsnął głową.

- Nawet jeśli tak jest, Demoux, to nic nie znaczy. To zwykła liczba.

- To liczba miesięcy, które Ocalały spędził w Czeluściach Hathsin - stwierdził

Demoux.

- Zbieg okoliczności.

- W tym wieku lady Vin została Zrodzoną z Mgły.

- Kolejny zbieg okoliczności.

- Wydaje się, że to bardzo dużo zbiegów okoliczności, milordzie - powiedział

Demoux.

Elend założył ręce na piersi i zmarszczył czoło. Demoux miał rację. Moje zaprzeczenia nic nie dają. Muszę wiedzieć, co myślą ludzie, a nie ciągle im się sprzeciwiać.

- Dobrze, Demoux - powiedział Elend. - Powiedzmy, że to wszystko nie jest zbiegiem okoliczności. Wydaje mi się, że masz pomysł, co to może oznaczać.

- Jak już mówiłem wcześniej, milordzie - stwierdził Demoux - mgły pochodzą od Ocalałego. Zabierają niektórych ludzi i zabijają ich, u innych wywołują chorobę...

pozostawiając liczbę szesnaście jako dowód na to, że to on rzeczywiście za tym wszystkim stoi. I dlatego ludzie, którzy najbardziej chorują, to ci, z których jest najbardziej niezadowolony.

- Cóż, za wyjątkiem tych, których choroba zabiła - zauważył Elend.

- Prawda - stwierdził Demoux, podnosząc wzrok. - Czyli... może jest dla mnie jakaś nadzieja.

- To nie miała być pocieszająca uwaga, Demoux. Wciąż nie przyjmuję tego wszystkiego. Może rzeczywiście występują pewne osobliwości, lecz twoja interpretacja opiera się na spekulacjach. Dlaczego Ocalały miałby być z ciebie niezadowolony? Jesteś jego najwierniejszym kapłanem.

- Sam objąłem tę pozycję, milordzie - stwierdził Demoux. - Nie wybrał mnie. Ja po prostu... zacząłem nauczać tego, co widziałem, a ludzie mnie słuchali. W ten sposób pewnie go obraziłem. Gdyby tego po mnie oczekiwał, wybrałby mnie jeszcze za życia, czyż nie?

Nie sądzę, by Ocalały myślał o tym, kiedy jeszcze żył, pomyślał Elend. Chciał jedynie pobudzić w skaa gniew, by się zbuntowali.

- Demoux - odezwał się Elend - wiesz, że Ocalały nie zorganizował swojej religii za życia. Dopiero mężczyźni i kobiety tacy jak ty... ci, którzy kierowali się jego naukami już po jego śmierci... mogli stworzyć wspólnotę wiernych.

- To prawda. Ale on pokazał się niektórym po śmierci. Ja nie byłem jednym z tych ludzi.

- Nikomu się nie pokazał - sprzeciwił się Elend. - To był kandra OreSeur noszący jego ciało. Przecież o tym wiesz, Demoux.

- Owszem. Ale kandra działał na rozkaz Ocalałego. A ja nie byłem na liście tych, których miał nawiedzić.

Elend położył dłoń na ramieniu Demoux i spojrzał mu w oczy. Widział, jak generał, zmęczony i posiwiały ponad swój wiek, patrzy w oczy dzikiemu kolosowi wyższemu od niego o dobre pięć stóp. Demoux nie był słabeuszem, ani na ciebie, ani w wierze.

- Demoux - powiedział - mówię to z całą życzliwością, ale sądzę, że zaczynasz uważać się nad sobą. Jeśli mgły wywołały u ciebie chorobę, to powinniśmy uznać to za dowód, że ich działanie nie ma absolutnie nic wspólnego z niezadowoleniem Kelsiera. Nie możemy sobie pozwolić, byś teraz w siebie zwątpił... obaj wiemy, że jesteś najbardziej oddanym ze wszystkich żołnierzy.

Generał się zarumienił.

- Zastanów się nad tym - mówił dalej Elend, lekko wzmacniając uczucia Demoux Allomancją - w tobie mamy dowód, że wiara człowieka nie ma związku z tym, czy mgły wywołają u niego chorobę. Dlatego nie pozwolę ci rozczulać się nad sobą, bo musimy zabrać się do pracy i znaleźć prawdziwy powód, dlaczego mgły zachowują się w taki sposób.

Demoux stał przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Może macie rację, milordzie. Może rzeczywiście wyciągnąłem pochopne wnioski.

Elend się uśmiechnął. Po chwili zastanowił się nad własnymi słowami. „Dowód, że wiara człowieka nie ma związku z tym, czy mgły wywołają u niego chorobę...”

To nie była do końca prawda. Demoux był jednym z najlojalniejszych wyznawców w obozie. A co z pozostałymi, którzy chorowali równie długo? Czy oni może również byli gorliwymi wyznawcami? Elend otworzył usta, by zapytać Demoux. Wtedy rozległy się krzyki.

Hemalurgiczny rozkład jest mniej widoczny w wypadku Inkwizytorów, którzy zostali stworzeni ze Zrodzonych z Mgły. Ponieważ oni i tak posiadali allomantyczne moce, dodatek innych zdolności czynił ich nieprawdopodobnie silnymi.

W większości wypadków jednak Inkwizytorzy powstawali z Mglistych. Szperacze, tacy jak Marsh, byli wykorzystywani najczęściej. Ponieważ, jeśli brakowało Zrodzonego z Mgły Inkwizytor ze wzmocnionymi zdolnościami związanymi z brązem był potężnym narzędziem wyszukiwania Mglistych wśród skaa.

W pewnej odległości zabrzmiały krzyki. Vin poderwała się gwałtownie w swojej kajucie. Nie spała, choć była blisko tego stanu. Po kolejnej nocy spędzonej na zwiadach w Fadrex czuła zmęczenie.

Natychmiast jednak o nim zapomniała, gdy z północy dobiegły ją odgłosy bitwy. W

końcu! - pomyślała, zrzucając koce i wybiegając z kajuty. Miała na sobie spodnie i koszulę, i jak zawsze nosiła kilka fiolek z metalami. Połknęła zawartość jednej z nich, idąc przez pokład łodzi.

- Lady Vin! - zawołał jeden z wioślarzy pośród dziennych mgieł. - Obóz został zaatakowany!

- Najwyższy czas - powiedziała Vin, po czym Odepchnęła się od knag łodzi i poderwała w powietrze. Przebijała mgły, otaczające ją białe pasma sprawiały, że czuła się jak ptak lecący przez chmurę.

Z pomocą cyny wkrótce znalazła bitwę. Kilka grup konnych wjechało do obozu od północy i najwyraźniej próbowało przebić się do barek z zapasami, które unosiły się w dobrze chronionym zakolu kanału. Grupa Allomantów Elenda ustawiła się z jednej strony - z przodu Zbiry, za nimi Monetozrzelnicy zdejmujący jeźdźców z siodła. Pośrodku stali zwyczajni żołnierze i dobrze walczyli, gdyż konni zostali spowolnieni przez barykady i umocnienia obozu.

Elend miał rację, pomyślała Vin z dumą, opadając w dół. Gdybyśmy nie wystawili naszych ludzi na mgły, teraz mielibyśmy problem.

Planowanie króla uratowało ich zapasy i skłoniło Yomena do wycieczki. Jeźdźcy prawdopodobnie spodziewali się, że spokojnie przejadą przez obóz - zaskakując żołnierzy uwięzionych przez mgłę w namiotach - i podpalą barki z zapasami. Tymczasem zwiadowcy i patrole Elenda odpowiednio wcześniej przynieśli ostrzeżenie, a wroga kawaleria została zmuszona do walki.

Żołnierze Yomena przebijali się przez obóz od południa. Choć ludzie Elenda walczyli dzielnie, ich przeciwnicy jechali konno. Vin spadła z nieba, rozjarzając cynę z ołowiem, dodając sobie siłę. Rzuciła monetę i Odepchnęła się od niej, by spowolnić upadek. Uderzyła w ziemię, podnosząc fontannę czarnego popiołu. Południowy rząd konnych dotarł już do trzeciego szeregu namiotów. Vin postanowiła wylądować pośród nich.

Żadnych podków, pomyślała, gdy żołnierze zaczęli odwracać się w jej stronę. I do tego włócznie - z kamiennymi grotami - zamiast mieczy. Yomen z pewnością zachowuje ostrożność.

To było prawie jak wyzwanie. Vin uśmiechnęła się, nagły dopływ adrenaliny po tylu dniach czekania był przyjemny. Kapitanowie Yomena zaczęli wydawać rozkazy, zwracając atak przeciwko Vin. W krótkiej chwili około trzydziestu jeźdźców ruszyło galopem w jej stronę.

Vin przez chwilę mierzyła ich wzrokiem, po czym skoczyła. Nie potrzebowała stali, by wznieść się wysoko - wystarczyły jej mięśnie wspomagane cyną z ołowiem. Przeskoczyła nad włócznią

pierwszego z żołnierzy, czując, jak grot przelatuje w powietrzu pod nią. Popiół

wirował w blasku porannego słońca, gdy stopa Vin trafiła żołnierza w twarz, zrzucając go z siodła. Wylądowała obok przetaczającego się ciała, rzuciła monetę i Odepchnęła się z dala od galopujących kopyt. Nieszczęsny jeździec, którego wyrzuciła z siodła, został stratowany przez towarzyszy.

Vin tymczasem przeleciała przez otwarte klapy dużego płóciennego namiotu.

Podniosła się i - nie przerywając ruchu - Odepchnęła metalowe słupki namiotu, wyrrywając je z ziemi.

Ściany zatrzęśły się i rozległ się trzask płótna, gdy namiot uniósł się, mocno naprężony, gdyż każdy ze słupków kierował się w inną stronę. Podmuch powietrza sprawił, że popiół uniósł się w powietrze, a żołnierze obu walczących stron spojrzeli w tę stronę. Vin pozwoliła, by namiot upadł przed nią na ziemię, po czym Odepchnęła go. Płótno wydeło się na powietrzu, a paliki wyrwały się i poleciały do przodu, przebijając konie i jeźdźców.

Wierzchowce padały na ziemię wraz z ludźmi. Płótno opadło tuż przed Vin.

Uśmiechnęła się, po czym przeskoczyła nad bezładną plątaniną, gdy jeźdźcy próbowali zorganizować kolejny atak. Nie dała im czasu. Żołnierze Elenda wycofali się, skupiając się pośrodku obronnego szeregu, w ten sposób pozwalając Vin swobodnie atakować bez ryzyka zrobienia krzywdy któremuś ze swoich ludzi.

Pędziła między jeźdźcami, ich potężne wierzchowce przeszkadzały im, gdy próbowali za nią nadążyć. Ludzie i konie obracali się, a Vin Przyciągała, wyrrywając namioty z ziemi i wykorzystując metalowe paliki jako pociski. Dziesiątki padały przed nią.

Za plecami usłyszała tętent kopyt. Kiedy się obróciła, zobaczyła, że jednemu z oficerów wroga udało się zorganizować kolejną szarżę. Dziesięciu mężczyzn kierowało się prosto na nią, część z opuszczonymi włóczniami, część naciągająca łuki.

Vin nie lubiła zabijać. Ale kochała Allomancję - kochała wyzwanie wiążące się z wykorzystaniem swoich umiejętności, siłę i dreszcz Odpychania i Przyciągania, poczucie mocy wypełniające jej ciało, gdy rozjarzała cynę z ołowiem. Kiedy tacy ludzie dawali jej pretekst do walki, nie hamowała się.

Strzały nie miały szans przeciwko niej. Cyna z ołowiem dodawała jej prędkości i równowagi, gdy umykała im z drogi, Przyciągając się do źródła metalu za plecami.

Wyskoczyła w górę, gdy łopoczący namiot przeleciał pod nią, kierowany jej Przyciąganiem sprzed chwili. Wylądowała i Odepchnęła kilka palików - po dwa na każdym z dwóch rogów.

Namiot się złożył, przypominając trochę serwetkę, którą ktoś mocno trzymał na obu końcach.

I coś takiego uderzyło w nogi koni niczym drut potykacz Vin spaliła duraluminium i Odepchnęła. Konie z przodu zarżały, zaimprovizowana broń przewróciła je. Płótno się rozerwało, a paliki

wyrwały się na zewnątrz, lecz nie miało to już znaczenia - ci z przodu wywracali tych za nimi, ludzie padali obok swoich wierzchowców.

Vin połknęła zawartość kolejnego flakonika, by uzupełnić zapas stali. Później Przyciągnęła do siebie kolejny namiot. Gdy się zbliżył, podskoczyła, obróciła się i Odepchnęła namiot w stronę kolejnej grupy jeźdźców. Słupki trafiły jednego z żołnierzy w pierś, rzucając go do tyłu, na jego towarzyszy, i wywołując chaos.

Mężczyzna uderzył w ziemię, lądując bez życia pośród popiołu. Wciąż zamocowane na palikach płótno opadło, przykrywając go niczym całun. Vin obróciła się na pięcie, szukając kolejnych wrogów. Jeźdźcy jednak zaczęli się już wycofywać. Zrobiła krok do przodu, pragnąc ich gonić, ale się zatrzymała. Ktoś ją obserwował - widziała jego cień we mgle. Spaliła brąz.

Postać dudniła mocą metali. Allomanta. Zrodzony z Mgły. Był o wiele niższy od Elenda, lecz przez mgłę i popiół nie mogła powiedzieć nic więcej na jego temat. Vin zareagowała odruchowo. Rzuciła monetę i skierowała się w stronę obcego.

Odskoczył do tyłu, również Odpychając się w powietrze. Vin podążyła za nim, szybko zostawiając za sobą obóz, skacząc za Allomantą. Ten pośpiesznie skierował się w stronę miasta, a ona podążała za nim, wznosząc się potężnymi łukami nad pokrytą popiołem ziemią.

Jej cel przeleciał nad skałami otaczającymi miasto, a Vin nadal go śledziła. Wylądowała kilka stóp od zaskoczonego patrolu straży, po czym przeskoczyła nad graniami i skałami, lądując już w Fadrex.

Drugi Allomanta trzymał się przed nią. W jego ruchach nie było żadnej radości, jak w wypadku Zane'a. Ten mężczyzna naprawdę próbował uciec. Vin podążyła za nim, przeskakując nad dachami i ulicami. Zaciskała zęby, sfrustrowana niemożnością dogonienia go. Doskonale planowała każdy skok, niemal się nie zatrzymywała w poszukiwaniu nowych kotwic i Odpychała się w kolejnych łukach.

On jednak był dobry. Okrążył miasto, zmuszając ją do wyteżania się, by dotrzymać mu kroku. Doskonale, pomyślała, i przygotowała duraluminium. Znalazła się na tyle blisko postaci, by mgła już jej nie skrywała, i z tej odległości widziała, że to prawdziwa i materialna osoba, nie mgielne widmo. Czuliła coraz większą pewność, że to ten właśnie człowiek obserwował ją, kiedy po raz pierwszy przybyła do Fadrex. Yomen miał Zrodzonego z Mgły.

Tyle że, by walczyć z tym mężczyzną, musiała go wpierw dogonić, odczekała chwilę i gdy on właśnie powoli zaczynał opadać w kolejnym łuku, zgasiła metale i spaliła duraluminium. I Odepchnęła się.

Za jej plecami rozległ się trzask, gdy nienaturalne Odpychanie zmiażdżyło drzwi, które wykorzystała jako kotwicę. Gwałtownie wyleciała do przodu, niczym strzała z łuku. Z

ogromną prędkością zbliżyła się do swojego przeciwnika.

I nic nie znalazła. Vin zaklęła, znów zapaliła cynę. Nie mogła z niej skorzystać, gdy spalała

duraluminium, gdyż wtedy jej cyna wypaliłaby się w nagłym błysku, oślepiając ją.

Lecz gasząc ją, zrobiła niemal dokładnie to samo. Vin Przyciągnęła się, przerywając Odpychanie, i wylądowała niezręcznie na pobliskim dachu. Przykucnięta rozejrzała się pośród mgieł.

Gdzie się podziałeś? - pomyślała, spalając brąz i ufając swojej wrodzonej - choć wciąż niewyjaśnionej - zdolności przebijania chmur miedzi. Żaden Allomanta nie mógł się ukryć przed Vin, chyba że całkiem zgasił swoje metale.

Ten osobnik najwyraźniej właśnie to zrobił. Ponownie. Po raz drugi jej umknął.

Oznaczało to pewną niepokojącą możliwość. Vin bardzo starała się utrzymać swoją zdolność przebijania chmur miedzi w tajemnicy, lecz minęły niemal cztery lata od kiedy ją odkryła. Zane wiedział o tym, i nie miała pojęcia, kto się jeszcze mógł tego domyślać w oparciu o to, co umiała zrobić. Być może jej tajemnica wyszła na jaw.

Vin jeszcze przez kilka chwil pozostała na dachu, ale wiedziała, że nic nie znajdzie.

Człowiek na tyle bystry, by uciec dokładnie w chwili, gdy jej cyna była zgaszona, musiał być również na tyle bystry, by pozostać w ukryciu do jej odejścia. Właściwie, zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle pozwolił na to, by go zobaczyła...

Wyprostowała się gwałtownie, pochłonęła zawartość flakonika i Odepchnęła się od dachu, po czym z niepokojem pośpieszyła w stronę obozu.

Znalazła żołnierzy uprzętających zniszczenia i trupy wokół obozu. Elend chodził

między nimi, wydając rozkazy i gratulując swoim ludziom. Widok jego odzianej na białą postaci nappełnił Vin ulgą.

Wylądowała obok niego.

- Elendzie, ktoś cię zaatakował?

Spojrzał na nią.

- Co? Mnie? Nie, wszystko w porządku.

Czyli Allomanta nie został wysłany, żeby odciągnąć mnie od Elenda, pomyślała, marszcząc czoło. Wydawało się to takie oczywiste...

Elend odprowadził ją na bok. Wydawał się zaniepokojony.

- Ze mną wszystko w porządku, Vin, ale jest coś innego... coś się stało.

- Co? - spytała Vin.

Potrząsnął głową.

- Myślę, że to wszystko... cały ten atak na obóz... to miało odwrócić naszą uwagę.

- Ale skoro nie chodziło im o ciebie i o nasze zapasy, to od czego miał odwracać uwagę?

Elend spojrział jej w oczy.

- Od kolosów.

* * *

- Jak mogliśmy tego nie zauważyć? - spytała Vin. Wydawała się sfrustrowana.

Elend stał z oddziałem żołnierzy na płaskowyżu, czekając na Vin i Hama, którzy sprawdzali spalone maszyny oblężnicze. W dole widział Fadrex i obóz swojej armii. Mgły cofnęły się przed krótką chwilą. Niepokoiło go, że z tej odległości nawet nie widział kanału -

spadający popiół zaciemnił jego wody i pokrył krajobraz taką warstwą, że wszystko wydawało się jednolicie czarne.

Poniżej płaskowyżu znajdowały się pozostałości ich armii kolosów. Dwadzieścia tysięcy w krótkiej chwili zmieniło się w dziesięć tysięcy, gdy na stwory z doskonale zaplanowanej pułapki spadł deszcz śmierci. W tym czasie wojska Elenda były zajęte czymś innym. Dzielne mgły nie pozwoliły żołnierzom zobaczyć, co się dzieje, aż było za późno.

Elend poczuł śmierć, ale zinterpretował ją jako odczucia kolosów widzących bitwę.

- Jaskinie na tyłach tamtych urwisk - powiedział Ham, kopiąc kawałek poczerńniętego drewna. - Yomen pewnie umieścił w nich trebusze w oczekiwaniu na nasze przybycie, choć przypuszczam, że pierwotnie zostały wybudowane w celu oblężenia Luthadel. Tak czy inaczej, ten płaskowyż to doskonałe miejsce do prowadzenia ostrzału. Przypuszczam, że Yomen ustawił je tutaj, licząc, że zaatakuje naszą armię, ale kiedy zostawiliśmy kolosy pod płaskowyżem...

Elend wciąż słyszał ich wrzaski w głowie - kolosy, pełne żądy krwi i gotowe do walki, jednak niezdolne zaatakować wroga, który znajdował się wysoko na płaskowyżu.

Spadające głązy wywołały znaczne zniszczenia. A później stwory się mu wyrwały. Ich frustracja stała się zbyt potężna i przez jakiś czas nie umiał powstrzymać ich od zabijania siebie nawzajem. Większość śmierci była wynikiem walk między kolosami. Około połowy zginęło, gdy dobierały się parami i zaczynały ze sobą walczyć.

Straciłem nad nimi panowanie, pomyślał. Załedwie na krótką chwilę i wszystko to wydarzyło się jedynie dlatego, że nie mogły dopaść swoich wrogów. A jednak był to niebezpieczny precedens.

Sfrustrowana Vin kopnęła spory kawał spalonego drewna, zrzucając go z płaskowyżu.

- To był bardzo dobrze zaplanowany atak, El - powiedział cicho Ham. - Yomen musiał

widzieć, jak wysyłamy dodatkowe patrole o poranku, i domyślił się, że właśnie wtedy spodziewamy się ataku. Dlatego zapewnił nam atak... i uderzył w nasz najsilniejszy punkt.

- Dużo go to jednak kosztowało - zauważył Elend. - Musiał spalić własne maszyny oblężnicze, by nie wpadły w nasze ręce, i musiał stracić setki żołnierzy... oraz wierzchowce...

w ataku na obóz.

- To prawda. Ale nie wymieniałbyś paru tuzinów machin i pięciuset ludzi na dziesięć tysięcy kolosów? A do tego Yomen pewnie martwi się o kawalerię... Ocalały jeden wie, skąd wziął tyle ziarna, by do tego czasu zapewnić paszę koniom. Lepiej zaatakować teraz i stracić je w bitwie niż pozwolić im zdechnąć z głodu.

Elend pokiwał głową. Robi się trudniej. Dziesięć tysięcy mniej kolosów... Nagle ich siły stały się o wiele bardziej wyrównane. Elend mógł utrzymać oblężenie, ale szturm na miasto stawał się o wiele bardziej ryzykowny.

Westchnął.

- Nie powinniśmy byli zostawić kolosów tak daleko od głównego obozu. Musimy ściągnąć je bliżej.

Hamowi się to wyraźnie nie spodobało.

- Nie są niebezpieczne - stwierdził Elend. - Z Vin panujemy nad nimi. - Przeważnie.

Ham wzruszył ramionami. Znów wszedł między dymiące pozostałości machin, przygotowując się do wysłania posłańców. Elend podszedł do Vin, która stała na samej krawędzi urwiska. Na takiej wysokości wciąż czuł się nieco niepewnie. Ona jednak jakby w ogóle nie zauważała przepaści.

- Powinnam była pomóc ci odzyskać panowanie nad kolosami - powiedziała cicho, patrząc przed siebie. - Yomen odwrócił moją uwagę.

- Wszyscy popełniliśmy ten sam błąd. Czulem kolosy w głowie, a mimo to, nie domyśliłem się, co się dzieje. Odzyskałem panowanie nad nimi, zanim wróciłaś, ale wtedy dużo z nich już nie żyło.

- Yomen ma Zrodzonego z Mgły - stwierdziła Vin.

- Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

I jeszcze to, pomyślał. Ukrył jednak frustrację. Jego ludzie musieli postrzegać go jako pewnego siebie.

- Oddaję ci tysiąc kolosów - powiedział. - Powinniśmy podzielić je wcześniej.

- Jesteś silniejszy.

- Ale najwyraźniej niewystarczająco silny.

Vin westchnęła.

- Zejdę na dół.

Odkryli, że bliskość pomagała zdobywać panowanie nad kolosami.

- Odsunę grupę liczącą około tysiąca osobników i puszcze je. Bądź gotowa je przejąć.

Vin skinęła głową i zeskoczyła z płaskowyżu.

* * *

Powinam była się zorientować, że zbyt szybko się ekscytuję walką, pomyślała Vin, spadając przez powietrze. Teraz wydawało jej się to takie oczywiste. A do tego skutki ataku sprawiły, że czuła się jeszcze bardziej niepewna i zdenerwowana niż wcześniej.

Rzuciła monetę i wylądowała. Nawet spadanie setki stóp w dół nie było już dla niej problemem. Dziwnie się z tym czuła. Pamiętała, jak niepewnie stała na szczycie muru Luthadel i bała się wykorzystać Allomancję, by zeskoczyć, mimo zachęt Kelsiera. Teraz schodziła z krawędzi urwiska i spokojnie rozmyślała, spadając w dół.

Szła po sypkiej ziemi. Popiół sięgał jej do pół łydki i bez pomocy cyny z ołowiem trudno by jej było iść. Opady popiołu stawały się coraz gęstsze.

Natychmiast podszedł do niej Człowiek. Nie wiedziała, czy koloss reagował na ich więź, czy był na tyle świadomy i zainteresowany, że sam jej szukał. Na ramieniu miał świeżą ranę, efekt walki. Gdy ruszyła w stronę pozostałych kolosów, dotrzymywał jej kroku.

Głęboki popiół nie sprawiał mu żadnych problemów.

Jak zwykle, w obozie kolosów nie było żadnych emocji. Jeszcze niedawno stwory wrzeszczały w żądzy krwi, atakowały się nawzajem, gdy z góry spadały kamienie. Teraz siedziały pośród popiołu, zebrane w małe grupki, ignorując rany. Gdyby miały drewno, rozpałyby ogniska. Kilka kolosów kopało i przeżuwało ziemię.

- Czy twój lud się niczym nie przejmuje, Człowieku? - spytała Vin.

Potężny koloss spojrział na nią z góry, z pęknięć na twarzy spływała krew.

- Przejmuje?

- Że tak wielu z was nie żyje - powiedziała Vin. Widziała rozrzucone trupy, zapomniane, poza rytualnym obdarciem ze skóry, co było ich formą pochówku. Kilka kolosów wciąż pracowało,

przechodziło między ciałami i zrywało skórę.

- Zajęliśmy się nimi - stwierdził Człowiek.

- Tak. Zdejmujecie z nich skórę. Po co to robicie?

- Nie żyją - odpowiedział Człowiek, jakby to było wystarczające uzasadnienie.

Z boku grupa kolosów podniosła się, kierowana niemymi rozkazami Elenda. Oddaliły się od głównego obozu, wlokąc się przez popiół. Chwilę później zaczęły się rozglądać, już nie poruszały się jednocześnie.

Vin zareagowała błyskawicznie. Zgasiła metale, spaliła duraluminium i rozjarzyła cynk w potężnym Przyciąganiu, Podżegając uczucia kolosów. Jak się spodziewała, złamały się i znalazły pod jej kontrolą, podobnie jak Człowiek.

Panowanie nad tak dużą liczbą było trudniejsze, ale wciąż możliwe. Vin nakazała im się uspokoić, nie zabijać, i pozwoliła wrócić do obozu. Od tej chwili na zawsze pozostawały z tyłu jej głowy i nie potrzebowała już Allomancji, by nimi manipulować. Łatwo było je ignorować, chyba że ich namiętności stawały się bardzo silne.

Człowiek je obserwował.

- Jest nas... mniej - powiedział w końcu.

Vin się wzdrygnęła.

- Tak - powiedziała. - Widzisz to?

- Ja... - Człowiek umilkł, jego czerwone oczka obserwowały obóz. - Walczyliśmy.

Zginęliśmy. Potrzebujemy więcej. Mamy za dużo mieczy. - Wskazał przed siebie, na dużą stertę metalu. Klinowate miecze kolosów, które nie miały już właścicieli.

„Można panować nad populacją kolosów za pomocą mieczy”, powiedział jej kiedyś Elend.

„Walczą, żeby zdobyć większe miecze w miarę wzrostu. Dodatkowe miecze trafiają do młodszych, mniejszych kolosów. Ale nikt nie wie, skąd się one biorą”.

- Potrzebujesz kolosów do tych mieczy, Człowieku - stwierdziła Vin.

Człowiek pokiwał głową.

- Cóż - powiedziała. - W takim razie musicie mieć więcej dzieci.

- Dzieci?

- Więcej - powtórzyła Vin. - Więcej kolosów.

- Musisz dać nam więcej - powiedział Człowiek, patrząc na nią.

- Ja?

- Walczyłaś - stwierdził, wskazując na jej koszulę. Były na niej plamy krwi, nie jej własnej.

- Tak - zgodziła się.

- Daj nam więcej.

- Nie rozumiem - powiedziała Vin. - Proszę, pokaż mi.

- Nie mogę - odparł Człowiek, kręcąc głową. - To niewłaściwe.

- Zaraz. Niewłaściwe? - To było pierwsze wartościujące zdanie, jakie usłyszała od kolossa.

Człowiek spojrzał na nią, widziała konsternację na jego twarzy. Dlatego Vin dała mu Allomantycznego kuksańca. Nie wiedziała do końca, o co ma go poprosić, dlatego jej panowanie nad nim było słabsze. Popchnęła go, żeby zrobił to, o czym myślał, sądząc - z jakiegoś powodu - że jego umysł walczy z instynktami.

Wrzasnął.

Vin cofnęła się wstrząśnięta, lecz Człowiek jej nie zaatakował. Wbiegł do obozu kolosów, potężny niebieski potwór na dwóch nogach, z każdym krokiem wzbijający chmurę popiołu. Inne stwory cofały się przed nim - nie ze strachu, gdyż ich twarze były beznamienne.

Po prostu miały na tyle zdrowego rozsądku, by zejść z drogi rozwścieczonemu kolosowi rozmiarów Człowieka.

Vin podążała ostrożnie za Człowiekiem, który podszedł do jednego z trupów wciąż noszącego skórę. Nie zaczął jednak jej zrywać, tylko przerzucił trupa przez ramię i ruszył

biegiem w stronę obozu Elenda.

Oho, pomyślała Vin, rzuciła monetę i wzniosła się w powietrze. Ruszyła skokami za Człowiekiem, lecz nie wyprzedzała go. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie kazać mu zawrócić, ale nie zrobiła tego. Owszem, zachowywał się niezwykle, lecz to było dobre.

Kolossy z zasady nie robiły nic niezwykłego. Były absolutnie przewidywalne.

Wylądowała przy strażnicy i gestem nakazała żołnierzom się cofnąć. Człowiek tymczasem wpadł do obozu, zaskakując żołnierzy. Vin trzymała się blisko niego, powstrzymując pozostałych.

Człowiek zatrzymał się pośrodku obozu, wyraźnie tracąc determinację. Vin znów go popchnęła. Rozejrzawszy się, koloss ruszył w stronę zniszczonej części obozu, gdzie zaatakowali żołnierze Yomena.

Vin podążyła za nim, coraz bardziej zaciekawiona. Człowiek nie wyciągnął miecza.

Nie wydawał się wcale wściekły, jedynie... skupiony. Dotarł do miejsca, gdzie namioty się zawaliły, a ludzie zginęli. Od bitwy minęło zaledwie kilka godzin i żołnierze kręcili się wokół, sprzątając. Obok pola bitwy ustawiono namioty pomocy medycznej. Człowiek skierował się w ich stronę.

Vin zabiegła mu drogę w chwili, gdy dotarł do namiotu z rannymi.

- Człowieku? - spytała ostrożnie. - Co robisz?

Zignorował ją i rzucił martwego kolossa na ziemię. Teraz w końcu obdarł go ze skóry.

Nie było to trudne - to był jeden z mniejszych kolosów, których skóra się fałdowała, zbyt wielka dla ich ciał.

Człowiek zdjął skórę, na co kilku z obserwujących całą scenę żołnierzy zareagowało jękami obrzydzenia. Vin przyglądała się temu uważnie, mimo ściskania w żołądku. Czuła, że znajduje się na krawędzi zrozumienia czegoś ogromnie ważnego.

Człowiek sięgnął i wyjął coś z trupa kolossa.

- Zaczekaj - powiedziała Vin i zrobiła krok do przodu. - Co to jest?

Koloss ją zignorował. Wyciągnął coś jeszcze i tym razem Vin zauważyła zakrwawiony metal. Podążyła wzrokiem za jego palcami i tym razem zobaczyła przedmiot, zanim Człowiek go wyciągnął i ukrył w dłoni.

Kolec. Niewielki metalowy kolec wbity w bok martwego kolossa. Obok główki znajdował się kawałek niebieskiej skóry, jakby...

Jakby kolce utrzymywały skórę na miejscu, pomyślała Vin. Jak gwoździe, którymi przybito gobelin do ściany.

Kolce. Kolce jak...

Człowiek wyjął czwarty kolec i wszedł do namiotu. Chirurdzy i żołnierze cofnęli się przerażeni, krzycząc do Vin, by coś zrobiła, kiedy Człowiek zbliżył się do łóżka rannego żołnierza. Koloss spoglądał na nieprzytomnych mężczyzn, po czym wyciągnął rękę w stronę jednego z nich.

„Zatrzymaj się!” - rozkazała w myślach Vin.

Człowiek zamarł w miejscu. Dopiero wtedy dotarła do niej absolutna groza tego, co się działo.

- Ostatni Imperatorze - wyszeptała. - Miałeś zamiar zmienić ich w kolosy, tak? Stąd się bierzecie. Dlatego nie ma dzieci kolosów.

- Jestem człowiekiem - powiedziała cicho wielka bestia.

Hemalurgia może zostać wykorzystana, by ukraść moc allomantyczną czy feruchemiczną i przekazać ją innej osobie. Jednakże hemalurgiczny kolec może zostać również stworzony przez zabicie zwykłego człowieka, który nie jest Allomantą ani Feruchemikiem. W tym wypadku kolec kradnie moc Zachowania znajdującą się w duszy osoby. (To właśnie ta moc daje wszystkim rozum).

Hemalurgiczny kolec może wydobyć tę moc i przekazać ją innej osobie, zapewniając jej śladowe umiejętności podobne do Allomancji. W końcu ciało Zachowania - jego drobny ślad, który nosi w sobie każda istota ludzka - to również kwintesencja Allomancji.

I dlatego kandra, który otrzymuje Błogosławieństwo Siły zyskuje odrobinę wewnętrznej siły przypominającej efekty spalania cyny z ołowiem. W podobny sposób Błogosławieństwo Przytomności zwiększa zdolności umysłu, Błogosławieństwo Świadomości dodaje zmysłom przenikliwości, a rzadko stosowane Błogosławieństwo Stałości zapewnia stabilność uczuciową.

38

Czasem Spook zapominał o obecności mgły. Stała się dla niego blada i przezroczysta.

Niemal niewidoczna. Gwiazdy na niebie świeciły niczym milion światel wapiennych. Tylko on widział ich piękno.

Odwrócił się, spoglądając na zgliszcza budynku. Robotnicy skaa starannie przeglądali pozostałości. Spook miał problemy z zapamiętaniem tego, że nie widzą dobrze w ciemnościach. Musiał trzymać ich blisko siebie, gdyż pracowali, kierując się dotykiem, nie tylko wzrokiem.

Smród był oczywiście koszmarny, ale spalanie cyny z ołowiem jakby łagodziło dolegliwości. Być może siła, którą dzięki niej zyskiwał, pomagała mu unikać odruchowych reakcji w rodzaju krztuszenia się czy kaszlu. W młodości zawsze zastanawiał się nad połączeniem cyny i cyny z ołowiem. Inne allomantyczne pary metali były przeciwstawne: stal Odpychała metale, żelazo je Przyciągało. Miedź ukrywała Allomantów, brąz ich ujawniał.

Cynk wzmagał uczucia, mosiądz je tłumił. Cyna i cyna z ołowiem nie wydawały się przeciwstawne - jedno wspomagało ciało, drugie zmysły.

A jednak rzeczywiście były przeciwieństwami. Cyna tak wyculiła jego dotyk, że niegdyś każdy krok był cierpieniem. Cyna z ołowiem wzmocniła jego ciało tak, że stało się niewrażliwe na ból - i dlatego gdy chodził po zgliszczach, jego stopy tak nie bolały. W

podobny sposób, choć światło go niegdyś oślepiało, cyna z ołowiem pozwalała mu znosić o wiele więcej bez opaski.

Dwa metale były przeciwieństwami, a jednocześnie się uzupełniały, podobnie jak inne allomantyczne pary. Czuł się właściwie, mając jeden jako dopełnienie drugiego. Jak żył bez cyny z ołowiem? Miał jedynie połowę zdolności. Teraz był kompletny.

A jednak zastanawiał się, jak to by było, gdyby miał też inne moce. Kelsier dał mu cynę z ołowiem.

Czy mógłby pobłogosławić Spooka również żelazem i stalą?

Szeregiem robotników kierował jeden mężczyzna. Nazywał się Franson - to on poprosił Spooka o pomoc w uratowaniu siostry. Od egzekucji dzielił ich zaledwie dzień.

Wkrótce dziecko zostanie wrzucone do innego płonącego budynku, choć Spook starał się to powstrzymać. W tej chwili niewiele mógł zrobić. Dlatego Franson i jego ludzie kopali.

Spook już od dłuższego czasu nie szpiegował Obywatela i jego doradców. Zdobytymi wcześniej informacjami podzielił się z Sazedem i Breeze'em, a oni je docenili. Ze względu na zwiększoną ochronę wokół domu Obywatela, zasugerowali, że kolejna próba szpiegowania byłaby zbyt wielkim ryzykiem, przynajmniej do chwili, gdy opracują własne plany wobec miasta. Spook zgodził się z ich zdaniem, choć czuł coraz większą niepewność. Tęsknił za widokiem Beldre, cichej dziewczyny o smutnych oczach.

Nie znał jej. Nie mógł się łudzić, że jest inaczej. Kiedy ten jeden raz spotkali się i porozmawiali, nie krzyknęła ani go nie zdradziła. Wydawała się zaintrygowana. To był dobry znak, prawda?

Głupiec, pomyślał. To siostra samego Obywatela! Rozmowa z nią omal nie doprowadziła cię do śmierci. Skup się na bieżącym zadaniu.

Spook przez dłuższą chwilę przyglądał się pracy. W końcu Franson - w blasku gwiazd brudny i wyczerpany - podszedł do niego.

- Milordzie - powiedział - cztery razy przejrzelismy ten odcinek. Ludzie w piwnicy odsunęli gruz i popiół na bok i przesiali wszystko dwa razy. Cokolwiek mieliśmy znaleźć, już to znaleźliśmy.

Spook pokiwał głową. Franson miał pewnie rację. Chłopak wyjął niewielką sakiewkę z kieszeni i podał ją mężczyźnie. Zabrzęczała, a wtedy potężny skaa uniósł brew.

- Zapłata - stwierdził Spook - dla pozostałych. Pracowali tu trzy noce.

- To przyjaciele, milordzie. Chcą tylko uratować moją siostrę.

- I tak im zapłać - odparł Spook. - I każ im jak najszybciej wydać pieniądze na żywność i zapasy... zanim Quellion zlikwiduje pieniądze w mieście.

- Dobrze, milordzie - stwierdził Franson.

Później spojrzął w bok, gdzie wznosiła się częściowo spalona poręcz. Tam właśnie robotnicy umieścili przedmioty znalezione wśród ruin - dziewięć ludzkich czaszek. W świetle gwiazd rzucały dziwne cienie. Wyszczерzone, spalone, poczerniałe.

- Milordzie - odezwał się Franson. - Czy mogę spytać o sens tego wszystkiego?

- Patrzyłem, jak ten budynek płonie - odparł Spook. - Byłem tam, kiedy tych biedaków wprowadzono do rezydencji i zamknięto. Nic nie mogłem zrobić.

- To... smutne, milordzie.

Spook pokręcił głową.

- Było, minęło. Ich śmierć może nas czegoś nauczyć.

Chłopak przyjrzał się czaszkom. W dniu, w którym obserwował palenie tego budynku

- gdy po raz pierwszy był świadkiem egzekucji Quelliona - Durn mu coś powiedział. Spook chciał poznać słabości Obywatela, coś, co pomogłoby mu go pokonać. Durn odpowiedział

jednym zdaniem.

„Policz czaszki”.

Spook nie miał okazji sprawdzić tej wskazówki. Wiedział, że Durn wyjaśniłby ją, gdyby został przyciśnięty, lecz obaj rozumieli pewną bardzo ważną kwestię. Spook musiał

zobaczyć to na własne oczy. Musiał wiedzieć, co robi Obywatel.

I teraz zobaczył.

- Do budynku wprowadzono na śmierć dziesięciu ludzi, Fransonie - wyjaśnił Spook. -

Dziesięciu ludzi. Dziewięć czaszek.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- I co to nam mówi?

- Że istnieje sposób na wydostanie twojej siostry.

* * *

- Nie jestem pewien, co o tym sądzić, lordzie Breeze - powiedział Sazed. Siedzieli przy stoliku w jednym z barów skaa w Urteau. Alkohol płynął strumieniami, a skaa tłoczyli się, mimo ciemności i mgieł.

- Co masz na myśli? - spytał Breeze. Siedzieli sami, choć Goradel i trzech inni żołnierze w zwyczajnych ubraniach zajęli sąsiedni stolik.

- Wydaje mi się to bardzo dziwne - wyjaśnił Sazed. - Skaa mający swoje tawerny to jedno. Ale skaa wychodzący w nocy?

Breeze wzruszył ramionami.

- Być może ich strach przed nocą wiązał się z Ostatnim Imperatorem, a nie z mgłami.

Kiedy jego oddziały patrolowały ulice w poszukiwaniu złodziei, warto było pozostać w nocy w domu, nie tylko z powodu mgły.

Sazed potrząsnął głową.

- Badałem te kwestie, lordzie Breeze. Strach przed mgłami był zakorzenionym przesądnym sposobem myślenia... był częścią ich życia. A Quellion stłumił go w ciągu roku.

- Myślę, że to raczej dzieło wina i piwa - zauważył Breeze. - Zdziwiłbyś się, do czego są zdolni ludzie, jeśli chcą się porządnie zamroczyć.

Sazed spojrział w kubek Breeze'a - mężczyzna polubił odwiedziny w barach skaa, mimo że musiał nosić bardzo proste ubrania. Oczywiście, przebranie pewnie nie było konieczne. Jeśli w mieście istniał normalny obieg plotek, ludzie już połączyli Breeze'a z gośćmi, którzy przed kilkoma dniami odwiedzili Quelliona. A teraz, gdy do baru przyszedł

też Sazed, wszelkie podejrzenia zostały potwierdzone. Tożsamości Sazed'a nie dało się ukryć.

Jego narodowość była oczywista. Był zbyt wysoki, zbyt łysy, a do tego miał typową pociągłą terrisańską twarz i rozciągnięte przez liczne kolczyki małżowiny uszne.

Czas anonimowości minął, choć Breeze dobrze go wykorzystał. W ciągu tych kilku dni, kiedy ludzie nie wiedzieli, kim jest, udało mu się nawiązać nic porozumienia i kontakty w miejscowym półświatku. Teraz mógł siedzieć z Sazedem i popijać w ciszy wino, nie przyciągając zbytnio uwagi. Breeze oczywiście uspokajał ludzi, by się upewnić, ale Sazed i tak był pod wrażeniem. Jak na człowieka, który tak lubił eleganckie towarzystwo, Breeze doskonale bratał się ze zwykłymi robotnikami skaa.

Grupa mężczyzn przy sąsiednim stoliku zaczęła się śmiać. Breeze uśmiechnął się i ruszył w ich stronę. Sazed pozostał na swoim miejscu, z nietkniętym kubkiem wina na stole.

Jego zdaniem istniał oczywisty powód, dlaczego skaa już nie bali się mgieł. Ich przesady zostały stłumione przez coś potężniejszego - Kelsiera. Tego, którego zwali teraz Panem Mgieł.

Kościół Ocalałego rozprzestrzenił się bardziej, niż Sazed się spodziewał. W Urteau nie był zorganizowany w taki sam sposób jak w Luthadel i wydawało się, że bardziej skupia się na innych kwestiach, lecz ludzie oddawali cześć Kelsierowi. W rzeczy samej, właśnie różnice sprawiały, że to zjawisko wydawało się fascynujące.

Czego nie zauważam? - pomyślał Sazed. Jaki jest tu związek? Mgły zabijały. Jednakże ci ludzie wychodzili w mgły. Dlaczego się ich nie bali?

To nie mój problem, powiedział sobie Sazed. Muszę zachować koncentrację.

Zaniedbałem studia nad religiami. Zbliżał się do ich kresu i to go niepokoiło. Jak na razie każda religia okazała się pełna niespójności, sprzeczności i wad logicznych. Martwił się coraz bardziej, że nawet pośród setek religii w metalmyślach nie znajdzie prawdy.

Jego uwagę zwrócił gest Breeze'a. Dlatego Sazed wstał - zmuszając się, by nie pokazywać po sobie odczuwanej rozpacz - i podszedł do drugiego stolika. Mężczyźni rozsunęli się, robiąc mu miejsce.

- Dziękuję - powiedział Sazed i usiadł.

- Zapomniałeś o kubku, przyjacielu Terrisaninie - zauważył jeden z mężczyzn.

- Przepraszam - odparł Sazed. - Nigdy nie byłem wielbicielem trunków. Proszę, nie miejcie mi tego za złe. Wasz przemyślany dar został mimo wszystko doceniony.

- Czy on zawsze tak gada? - spytał jeden z zebranych, spoglądając na Breeze'a.

- Nigdy wcześniej nie widziałeś Terrisanina, co? - spytał inny.

Sazed się zarumienił, na co Breeze zaśmiał się i położył mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze, panowie. Przyprowaździłem wam Terrisanina, jak prosiliście. Możecie zadawać pytania.

Przy stole siedziało sześciu mężczyzn - sami górnicy, jak widział Sazed. Jeden pochylił się, splatając ręce przed sobą. Miał poblźnione kostki.

- Ten tu Breeze dużo mówi - powiedział cicho mężczyzna. - Ale ludzie tacy jak on zawsze składają obietnice. Quellion dużo takich rzeczy mówił przed rokiem, kiedy przejął

władzę po odejściu Straffa Venture.

- Owszem - odparł Sazed. - Rozumiem wasz sceptycyzm.

- Ale - dodał mężczyzna, unosząc rękę - Terrisanie nie kłamią. To dobrzy ludzie.

Wszyscy to wiedzą, lordowie, skaa, złodzieje, obligatorzy.

- I dlatego chcieliśmy z tobą porozmawiać - dodał inny z zebranych. - Może jesteś inny, może nas okłamiesz. Ale lepiej usłyszeć te słowa od Terrisanina niż od Uspokajacza.

Breeze zamrugał, ujawniając niejakie zaskoczenie. Najwyraźniej nie wiedział, że są świadomi jego zdolności.

- Zadawajcie pytania - stwierdził Sazed.

- Dlaczego przybyliście do tego miasta? - spytał jeden z mężczyzn.

- Aby przejąć nad nim władzę.

- Dlaczego ono was obchodzi? - spytał inny. - Dlaczego syn Venture'a w ogóle chce zdobyć Urteau?

- Z dwóch powodów - odparł Sazed. - Po pierwsze, ze względu na zasoby. Nie mogę wchodzić w szczegóły, ale niech wystarczy stwierdzenie, że wasze miasto jest bardzo cenne z powodów

ekonomicznych. Drugi powód jest jednak równie ważny. Elend Venture to najlepszy człowiek, jakiego miałem okazję poznać. Wierzy, że może uczynić życie ludzi lepszym, niż obecne władze.

- To nie byłoby trudne - mruknął jeden z mężczyzn.

Inny potrząsnął głową.

- Co? Chcesz oddać miasto z powrotem Venture? Minał rok, a zapomniałeś już, co tu robił Straff

- Elend nie jest taki jak jego ojciec. To człowiek godny, by go słuchać.

- A Terrisanie? - spytał jeden ze skaa. - Czy oni go słuchają?

- W pewnym sensie - odparł Sazed. - Kiedyś mój lud próbował sam sobą władać, jak teraz wy. Jednakże ludzie zrozumieli zalety lojalności. Mój lud przeniósł się do Środkowego Dominium i przyjął opiekę Elenda Venture. - Oczywiście, pomyślał Sazed, woleliby raczej słuchać mnie. Gdybym zechciał zostać ich królem.

Przy stole zapadła cisza.

- Nie wiem - odezwał się w końcu jeden z mężczyzn. - Po co w ogóle rozmawiamy o tym z obcymi? Chodzi mi o to, że Quellion ma władzę, a ci obcy nie mają armii, by odebrać mu tron. Jaki sens?

- Ostatni Imperator zginął z naszych rąk, choć nie mieliśmy armii - zauważył Breeze -

a sam Quellion odebrał władzę szlachetnie urodzonym. Zmiany mogą nadejść.

- Nie próbujemy stworzyć armii ani doprowadzić do buntu - dodał szybko Sazed. -

Chcemy tylko, żebyście zaczęli... myśleć. Rozmawiać z przyjaciółmi. Jesteście wyraźnie wpływowymi ludźmi. Może jeśli Quellion zauważy niezadowolenie swoich ludzi, zacznie się zmieniać.

- Może - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Nie potrzebujemy tych obcych - powtórzył drugi. - Ocalały z Płomieni przybył, by zająć się Quellionem.

Sazed zamrugał. Ocalały z Płomieni? Zauważył przebiegły uśmiech na wargach Breeze'a - Uspokajacz wyraźnie słyszał już to określenie i teraz czekał na reakcję Sazed.

- Ocalały w to nie wchodzi - stwierdził jeden z zebranych. - Nie wierzę, że w ogóle myślimy o buncie. W większości świata panuje chaos, słyszeliście doniesienia! Nie powinniśmy cieszyć się tym, co mamy?

Ocalały? - pomyślał Sazed. Kelsier? Ale dali mu nowy tytuł. Ocalały z Płomieni?

- Zaczynasz drzeć, Sazedie - wyszeptał Breeze. - Możesz równie dobrze zapytać. Nie zaszkodzi spytać, co?

Nie zaszkodzi spytać?

- Ocalały z Płomieni? - spytał Sazed. - Dlaczego tak nazywacie Kelsiera?

- Nie Kelsiera - odparł jeden z mężczyzn. - Innego Ocalałego. Nowego.

- Ocalały z Hathsin przybył, by obalić Ostatniego Imperatora - zauważył inny. -

Dlaczego nie możemy więc założyć, że Ocalały z Płomieni przybył, by obalić Quelliona?

Może powinniśmy posłuchać tych ludzi.

- Jeśli Ocalały jest tutaj, żeby obalić Quelliona - wtrącił kolejny - to nie potrzebujemy pomocy tych typów. Oni chcą mieć miasto dla siebie.

- Przepraszam - wtrącił Sazed. - Ale... może moglibyśmy poznać tego nowego Ocalałego?

Zebrani wymienili się spojrzeniami.

- Proszę - dodał Sazed. - Byłem przyjacielem Ocalałego z Hathsin. Bardzo chciałbym poznać człowieka, którego uznajecie za równego Kelsierowi.

- Jutro - powiedział jeden z mężczyzn. - Quellion próbuje utrzymać daty w tajemnicy, ale i tak się wydostają. Jutro będzie egzekucja w pobliżu Targu. Bądźcie tam.

Nawet teraz z trudem pojmuję skalę tego wszystkiego. Wydarzenia związane z końcem świata wydają się większe niż Ostatnie Imperium i ludzie w nim mieszkający. Wyczuwam odłamki czegoś z bardzo dawnych czasów, popękaną obecność, coś przenikającego pustkę.

Zagłębiałem się i szukałem i natrafiłem tylko na jedną nazwę: Adonalsium. Nie wiem jeszcze, kim lub czym było.

39

TenSoon usiadł przerażony na tylnych łapach.

Popiół spadał z góry niczym odłamki pękniętych niebios, sprawiając, że powietrze wydawało się dziobate i chore. Nawet w miejscu, gdzie siedział, na szczycie smaganego wiatrem wzgórza, warstwa popiołu dusiła roślinność. Niektóre drzewa miały gałęzie połamane przez jego ciężar.

Jak mogli tego nie widzieć? - pomyślał. Jak mogli kryć się w swojej dziurze w Ojczyźnie, ze spokojem pozwalając światu na górze umrzeć?

Jednakże TenSoon żył setki lat i w głębi duszy rozumiał znużone samozadowolenie Pierwszego i

Drugiego Pokolenia. Czasami sam je czuł. Pragnienie, by po prostu przeczekać.

Spędzać lata leniwie, w spokoju Ojczyzny. Widział zewnętrzny świat - więcej, niż jakikolwiek człowiek czy koloss mógł zobaczyć. Po co miał doświadczać więcej?

Drudzy uważali go za bardziej ortodoksyjnego i posłusznego niż reszta braci, jedynie dlatego, że pragnął ciągle opuszczać Ojczyznę i służyć na Kontraktach. Drugie Pokolenie nigdy go nie rozumiało. TenSoon nie służył dlatego, że pragnął być posłuszny. Zrobił to ze strachu - strachu, że stanie się tak zadowolony z siebie i apatyczny jak Drudzy i zacznie uważać, że świat zewnętrzny nie liczy się dla kandra.

Potrząsnął głową, podniósł się na wszystkie cztery łapy i pobiegł w dół wzgórza, z każdym susem wzbijając chmury popiołu. Choć wszystko wyglądało przerażająco, jedno go cieszyło. Czuł się dobrze w ciele wilczarza. Było w nim tyle siły - zdolności ruchu - której żadna ludzka postać nie mogła dorównać. Zupełnie, jakby to była postać, którą powinien nosić do początku. Jakie ciało było lepsze dla niego, nieuleczalnego wędrowca? Kandra, który opuszczał Ojczyznę częściej niż inni, służąc zniechęconym ludzkim panom, ponieważ bał

się samozadowolenia?

Wędrował pod osłoną lasu, przez wzgórza, licząc, że pokrywa popiołu nie utrudni mu zbytnio poruszania. Spadający popiół miał znaczenie dla kandra - znaczył dla nich bardzo wiele. Opowiadali sobie legendy o tym właśnie wydarzeniu. Na cóż był Pierwszy Kontrakt, na cóż oczekiwanie, ochrona Zaufania? Najwyraźniej dla większości kandra stały się one celem samym w sobie.

One wszystkie miały znaczenie. Miały swoje źródło. TenSoon jeszcze wtedy nie żył.

Znał jednak Pierwsze Pokolenie i został wychowany przez Drugie. Żył w czasach, kiedy Pierwszy Kontrakt - Zaufanie, Rozwiązanie - były czymś więcej niż tylko słowami. Pierwszy Kontrakt był zbiorem instrukcji. Działań do podjęcia, gdy świat zaczynał się walić. Nie tylko ceremoniałem i nie tylko metaforą. Wiedział, że jego treść przeraża niektórych kandra. Dla nich było lepiej, by Pierwszy Kontrakt pozostał rzeczą filozoficzną, metaforyczną - bo jeśli był wciąż prawdziwy, wciąż konkretny, wymagał od nich wielkich poświęceń.

TenSoon się zatrzymał. Stał zanurzony po brzuch w czarnym popiele. Okolica wydawała mu się znajoma. Zwrócił się na południe, przechodząc przez niewielkie kamieniste zagłębienie - skały były teraz zaledwie czarnymi wybrzuszeniami - szukając miejsca, w którym przebywał przed ponad rokiem. Miejsca, które odwiedził po tym, jak zwrócił się przeciwko swojemu panu Zane'owi i opuścił Luthadel, by udać się do ojczyzny.

Wspiął się po kamieniach i ominął skalny występ, wyrzucając grudy popiołu. Te rozpadły się w powietrzu, rozdzielając się na płatki.

I oto było. Wgłębienie w skale, miejsce, gdzie zatrzymał się przed rokiem. Pamiętał je, mimo że popiół zmienił krajobraz. Błogosławieństwo Przystojności znów mu pomogło. Jakby sobie poradził bez niego?

Nie byłbym rozumny bez niego, pomyślał, uśmiechając się ponuro. To obdarzenie mgielnego upiora Błogosławieństwem dawało mu świadomość i prawdziwe życie. Każdy kandra dostawał jedno: Przytomności, Siły, Świadomości lub Stałości. Nieważne, które z nich otrzymał kandra - każde z czterech dawało jemu lub jej rozum, zmieniając mgielnego upiora w pełni świadomego kandra.

Oprócz świadomości każde Błogosławieństwo dawało coś jeszcze. Moc. Istniały jednak opowieści o kandra, którzy zyskali więcej niż jedno, odbierając je innemu ze swojego rodzaju.

TenSoon wepchnął łapę we wgłębienie, wyrzucając popiół, starając się odsłonić rzeczy, które ukrył przed rokiem. Znalazł je szybko i wytoczył na kamienną półkę. Dwa niewielkie, wypolerowane żelazne kolce. Pojedyncze Błogosławieństwo wymagało dwóch kolców. TenSoon nie wiedział, dlaczego tak jest. Tak po prostu było.

TenSoon położył się i rozkazał, by skóra na jego barku rozeszła się i wciągnęła kolce do ciała. Przesuwał je między mięśniami i ścięgnami - rozpuszczając kilka organów i tworząc je ponownie, przebite kolcami.

Natychmiast poczuł, jak przepelnia go siła. Jego ciało stało się potężniejsze. Nie chodziło jedynie o kolejne mięśnie - to mógłby zrobić sam, przekształcając ciało. Nie, ta moc dawała wszystkim mięśniom dodatkową siłę, sprawiając, że działały o wiele lepiej i potężniej niż wcześniej.

Błogosławieństwo Siły. Ukradł dwa kolce z ciała OreSeura. Bez tego Błogosławieństwa TenSoon nie byłby zdolny podążać za Vin, jak to robił w ciągu spędzonego z nią roku. Podwajało ono siłę i wytrzymałość każdego mięśnia. Nie mógł

regulować ani zmieniać wielkości dodawanej siły - to nie była Feruchemia ani Allomancja, lecz coś innego. Hemalurgia.

By powstał każdy z tych kolców, ktoś musiał zginąć. TenSoon wolał o tym nie myśleć

- tak samo, jak wolał nie myśleć, że zdobył to Błogosławieństwo tylko dzięki temu, że zabił

kogoś ze swojego pokolenia. Ostatni Imperator w każdym stuleciu dostarczał kolce, zawsze wymaganą liczbę, by kandra mogli stworzyć nowe pokolenie.

Miał teraz cztery kolce, dwa Błogosławieństwa i był jednym z najpotężniejszych żyjących kandra. Jego mięśnie się powiększyły. TenSoon spokojnie zeskoczył ze szczytu skały, ponad dwadzieścia stóp w dół, i bezpiecznie wylądował na pokrytej popiołem ziemi.

Ruszył biegiem, o wiele szybciej niż wcześniej. Błogosławieństwo Siły przypominało allomantyczną moc spalania cyny z ołowiem, ale nie było identyczne. TenSoon nie mógł za jego pomocą poruszać się bez przerwy, nie mógł też go rozjarzyć, by zyskać dodatkową moc.

Z drugiej strony nie potrzebował metalu do spalania.

Ruszył na wschód. Pierwszy Kontrakt był jednoznaczny. Po powrocie Zniszczenia kandra mieli znaleźć Ojca, by mu służyć. Niestety, Ojciec zginął. Pierwszy Kontrakt nie brał

pod uwagę takiej możliwości. Dlatego - nie mogąc odnaleźć Ojca - TenSoon zrobił coś innego. Wyruszył na poszukiwanie Vin.

Pierwotnie zakładaliśmy, że kolosy powstają z dwóch ludzi. Myliliśmy się. Kolosy nie pochodzą z połączenia dwóch ludzi, lecz pięciu, na co wskazują cztery kolce konieczne do ich stworzenia. Oczywiście, nie chodzi o pięć ciał, lecz pięć dusz.

Każda para kółców daje to, co kandra nazwałiby Błogosławieństwem Siły. Niestety, każdy kolec coraz bardziej zniekształca ciało kolossa, czyniąc go bardziej nieludzkim. Taka jest cena Hemalurgii.

40

- Nikt nie wie, jak się dokładnie tworzy Inkwizytorów - powiedział Elend z przodu namiotu, zwracając się do niewielkiej grupki, w której znajdowali się Ham, Cett, skryba Noorden i wracający do sił Demoux.

Vin siedziała z tyłu, wciąż próbując dojść do ładu z tym, co odkryła. Człowiek...

wszystkie kolosy... kiedyś byli ludźmi.

- Istnieje jednak wiele teorii na ten temat - mówił dalej Elend. - Po śmierci Ostatniego Imperatora przeprowadziłem z Sazedem pewne badania i w rozmowach z obligatorami dowiedzieliśmy się kilku interesujących rzeczy. Na przykład tego, że Inkwizytorów tworzy się ze zwyczajnych ludzi... ludzi, którzy pamiętają, kim są, lecz zyskują nowe allomantyczne umiejętności.

- Potwierdza to również nasze doświadczenie z Marshem - dodał Ham. - Pamiętał, kim jest, nawet kiedy miał już te wszystkie kolce w ciele. I zyskał moce Zrodzonego z Mgły, kiedy został Inkwizytorem.

- Wybaczcie mi - wtrącił Cett - ale czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co to ma, do kata, wspólnego z naszym oblężeniem miasta? Tu nie ma żadnych Inkwizytorów.

Elend założył ręce na piersi.

- To ważne, Cetcie, ponieważ nie walczymy jedynie z Yomenem, lecz z czymś, czego nie rozumiemy, czymś o wiele większym niż ci żołnierze w Fadrex.

Cett prychnął.

- Wciąż wierzysz w tę gadaninę o zagładzie, bogach i takich tam?

- Noordenie - powiedział Elend, spoglądając na skrybę. - Powiedz, proszę, lordowi Cettowi to, co powiedziałaś mi dzisiaj.

Były obligator pokiwał głową.

- Cóż, milordzie, sytuacja wygląda następująco. Te liczby związane z procentem ludzi, którzy zapadają na mgielną chorobę, są po prostu zbyt powtarzalne, by być dziełem natury.

Natura to zorganizowany chaos... przypadkowy na małą skalę, z tendencjami na większą skalę. Nie mogę uwierzyć, by takie liczby były dziełem natury.

- Co masz na myśli? - spytał Cett.

- Cóż, milordzie - odparł Noorden - proszę sobie wyobrazić, że słyszycie stukanie gdzieś za namiotem. Jeśli powtarza się od czasu do czasu i nie ma stałego wzorca, to być może to wiatr stuka luźną klapą o słupek. Jeśli jednak dźwięk powtarza się regularnie, to wiecie, że musi to być człowiek uderzający w słupek. Natychmiast spostrzegacie różnicę, ponieważ nauczyliście się, że natura w takich wypadkach może być powtarzalna, ale nie idealnie dokładna. W wypadku tych liczb jest dokładnie tak samo. Są zbyt uporządkowane, zbyt powtarzalne, by być dziełem natury. Musiał je ktoś stworzyć.

- Twierdzisz, że to jakaś osoba wywołała chorobę żołnierzy? - spytał Cett.

- Osoba?... Nie, nie osoba - odparł Noorden. - Musiało tego dokonać coś obdarzonego inteligencją, to jedyny wniosek, jaki mogę wyciągnąć. Coś, co ma swój cel, dla czego precyzja ma znaczenie.

Zapadła cisza.

- I to się w jakiś sposób wiąże z Inkwizytorami, milordzie? - spytał ostrożnie Demoux.

- Owszem - odparł Elend. - Przynajmniej, jeśli ktoś myśli tak jak ja... choć sądzę, że niewielu ludzi podziela moje zdanie.

- Na dobre czy na złe... - mruknął z uśmiechem Ham.

- Noordenie, co wiesz o tworzeniu Inkwizytorów? - spytał Elend.

Skryba wyraźnie poczuł się niezręcznie.

- Byłem w Kantonie Ortodoksji, jak może wiecie, nie w Kantonie Inkwizycji.

- Ale z pewnością słyszałeś plotki - zasugerował Elend.

- Ależ oczywiście. A nawet więcej niż plotki. Wyżsi rangą obliigatorzy zawsze próbowali odkryć, skąd Inkwizytorzy biorą swoją moc. Widzicie, między Kantonami trwał

konflikt... cóż, pewnie was to nie obchodzi. Tak czy inaczej, były plotki.

- I? - spytał Elend.

- Zgodnie z nimi... - zaczął mówić Noorden. - Zgodnie z nimi Inkwizytor był

połączeniem wielu różnych ludzi. Aby stworzyć Inkwizytora, Kanton Inkwizycji musiał mieć całą grupę Allomantów i połączyć ich moce w jedno.

Znów zapadła cisza. Vin podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Nie lubiła mówić o Inkwizytorach.

- Na Ostatniego Imperatora! - zaklął cicho Ham. - O to chodziło! Dlatego Inkwizytorzy tak polowali na Mglistych skaa! Nie rozumiecie? Nie chodziło tylko o to, że Ostatni Imperator kazał zabijać mieszańców... ale o to, żeby Inkwizytorzy mogli powiększać swoje szeregi! Potrzebowali Allomantów, których mogli zabić, żeby stworzyć nowych Inkwizytorów!

Elend pokiwał głową.

- Jakimś sposobem te kolce w ciałach Inkwizytorów przekazują allomantyczne moce.

Zabija się ośmiu Mglistych i daje ich moce jednemu człowiekowi, takiemu jak Marsh. Sazed powiedział mi kiedyś, że Marsh nigdy nie chciał mówić o dniu, w którym został zmieniony w Inkwizytora, ale nazwał ten proces... „brudnym”.

Ham przytaknął.

- A kiedy Kelsier i Vin trafili do jego pokoju w dniu, w którym został zabrany i zmieniony w Inkwizytora, znaleźli tam trupa. Na początku zakładali, że to Marsh!

- Później Marsh powiedział, że został tam zabity więcej niż jeden człowiek - dodała cicho Vin. - Tylko że z nich... nie pozostało zbyt wiele.

- I ponownie spytam - wtrącił Cett - jaki to ma sens?

- Cóż, najwyraźniej bardzo cię irytuje - rzucił lekko Ham. - Czy potrzebny nam jakiś inny sens?

Elend spojrzał surowo na obu mężczyzn.

- Sens w tym jest taki, Cetcie, że Vin niedawno odkryła coś jeszcze. Wszyscy zwrócili się w jej stronę.

- Kolosy - stwierdziła Vin. - Tworzy się je z ludzi.

- Co?! - wykrzyknął Cett. - To absurd.

- Nie - odparła Vin, potrząsając głową. - Jestem tego pewna. Obejrzałam żywe kolosy. W fałdach i pęknięciach ich skóry ukrywają się kolce. Mniejsze niż kolce Inkwizytorów i wykonane z innych metali, ale mają je wszystkie kolosy.

- Nikt nigdy się nie dowiedział, skąd się biorą nowe kolosy - dodał Elend. - Ostatni Imperator strzegł swojego sekretu i była to jedna z największych tajemnic naszych czasów.

Kolossy wybijają się regularnie, gdy ktoś nad nimi nie panuje. A jednak nigdy ich nie brakuje. Dlaczego?

- Ponieważ ciągle uzupełniają swoje szeregi - powiedział Ham, kiwając głową. - W wioskach, które plądrują.

- Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jeszcze w czasie oblężenia Luthadel - dodał

Elend - dlaczego armia kolosów Jastesa zaatakowała przypadkową wioskę, zanim przybyła pod nasze mury? Musieli uzupełnić braki.

- Zawsze chodzą - dodała Vin - znajdują sobie ubrania i twierdzą, że są ludźmi. Jednak nie do końca pamiętają, jak to jest. Ich umysły zostały złamane.

Elend pokiwał głową.

- Tamtego dnia Vin w końcu skłoniła jednego z nich, by pokazał jej, jak się robi nowe kolossy. To, co zrobił, i to, co mówił od tamtego czasu, każe nam sądzić, że chciał połączyć dwóch ludzi w jedno. Zyskałby istotę o sile dwóch mężczyzn, lecz bez umysłu.

- Trzecia sztuka - powiedział Ham, podnosząc wzrok. - Trzeci sposób wykorzystania metali. Istnieje Allomancja, która czerpie moc z samych metali. Istnieje Feruchemia, która wykorzystuje metale do czerpania mocy z własnego ciała, i istnieje...

- Marsh nazwał ją Hemalurgią - podpowiedziała cicho Vin.

- Hemalurgia... - powtórzył Ham. - Która wykorzystuje metale do czerpania mocy z ciał innych.

- Cudownie - mruknął Cett. - A sens?

- Ostatni Imperator stworzył swoje istoty, by mu służyły - stwierdził Elend. -

Wykorzystując tę sztukę... Hemalurgię... stworzył żołnierzy, których nazywamy kolossami.

Stworzył szpiegów, których nazywamy kandra. I stworzył kapłanów, których nazywamy Inkwizytorami. Wszystkich stworzył ze słabościami, by móc nad nimi panować.

- Dowiedziałam się, jak przejąć kontrolę nad kolossami dzięki TenSoonowi -

powiedziała Vin. - Nieświadomie zdradził mi tajemnicę. Wspomniał, że kandra i kolossy są spokrewnieni, a ja zorientowałam się, że mogę panować nad nimi w podobny sposób.

- Ja... wciąż nie rozumiem, do czego dążymy - stwierdził Demoux, spoglądając to na Elenda, to na Vin.

- Inkwizytorzy muszą mieć taką samą słabość, Demoux - wyjaśnił Elend. -

Hemalurgia... uszkadza umysł. Pozwala Allomancie wejść i przejąć kontrolę. Szlachetnie urodzeni zawsze się zastanawiali, dlaczego Inkwizytorzy są tak fanatycznie oddani Ostatniemu Imperatorowi. Nie przypominali zwykłych obligatorów... byli o wiele bardziej posłuszni. Żarliwi aż do bólu.

- To się stało z Marshem - wyszeptała Vin. - Kiedy spotkałam go po raz pierwszy po jego przemianie w Inkwizytora, wydawał się inny. A w latach po Upadku stał się jeszcze dziwniejszy. W końcu zwrócił się przeciwko Sazedowi i próbował go zabić.

- Próbujemy tu zasugerować - dodał Elend - że coś panuje nad Inkwizytorami i kolosami. Coś wykorzystuje słabość, w którą Ostatni Imperator wyposaża swoje dzieła i wykorzystuje je jako swoje pionki. Nasze problemy, chaos po Upadku... to nie tylko chaos.

Podobnie jak liczba ludzi zapadających na mgielną chorobę nie jest przypadkowa. Wiem, że wydaje się to oczywiste, ale ważne, że teraz znamy metodę. Rozumiemy, dlaczego można nad nimi panować i w jaki sposób to zrobić.

Elend nie przerywał spacerowania po namiocie.

- Im więcej myślę o odkryciu Vin, tym większego nabieram przekonania, że to wszystko się ze sobą wiąże. Kolosy, kandra i Inkwizytorzy nie są pojedynczymi osobliwościami, ale jednym spójnym zjawiskiem. Wydawałoby się, że znajomość tej trzeciej sztuki... tej Hemalurgii... nie jest niczym ważnym. Nie mamy zamiaru wykorzystać jej, żeby tworzyć nowe kolosy, więc po co nam ta wiedza?

Cett pokiwał głową, jakby Elend wypowiedział na głos jego myśli. Elend jednak odpłynął, patrząc przez rozsunięte kłapy namiotu. Zatonął w myślach. Coś takiego zdarzało mu się często w czasach, gdy zajmował się nauką. Nie odpowiadał na pytania Cetta.

Wypowiadał własne spostrzeżenia, kierował się własną logiką.

- W tej wojnie, w której walczymy - mówił dalej Elend - nie chodzi tylko o żołnierzy.

Nie chodzi o kolosy ani o zdobycie Fadrex. Chodzi o serię wydarzeń, jaką nieświadomie zapoczątkowaliśmy w chwili, gdy zabiliśmy Ostatniego Imperatora. Hemalurgia...

pochodzenie kolosów... to część wzorca. Procent tych, w których mgła wywołuje chorobę, to również część wzorca. Im mniej widzimy chaosu i im więcej widzimy wzorca, tym lepiej rozumiemy to, przeciwko czemu walczymy... i jak to pokonać.

Elend zwrócił się w stronę zebranych.

- Noordenie, chciałbym, żebyś zmienił kierunek swoich badań. Dotychczas zakładaliśmy, że kolosy poruszają się przypadkowo. W tej chwili nie jestem już pewien, czy to prawda. Sprawdźcie stare doniesienia zwiadowców. Przygotujcie listy i rozrysujcie mapy.

Zwracajcie szczególną uwagę na grupy kolosów, o których wiemy, że nie znajdowały się pod kontrolą Inkwizytora. Chciałbym wiedzieć, czy dowiemy się, dlaczego udali się w określone miejsca, a nie w inne.

- Tak, milordzie - odparł Noorden.

- Pozostali mają zachować czujność - dodał Elend. - Nie chcę kolejnego błędu jak w poprzednim tygodniu. Nie możemy sobie pozwolić na stratę dalszych żołnierzy, nawet kolossów.

Pokiwali głowami, a postawa Elenda zasugerowała koniec spotkania. Cett został

wyniesiony do swojego namiotu, Noorden pośpieszył, by zacząć nowe badania, a Ham wyruszył w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Demoux jednak został. Vin wstała i podeszła do Elenda, stając u jego boku, gdy ten zwrócił się do Demoux.

- Milordzie... - odezwał się Demoux. Wydawał się przy tym nieco zażenowany. -

Zakładam, że generał Hammond z wami rozmawiał?

O co chodzi? - pomyślała Vin, nadstawiając uszu.

- Tak, Demoux - odparł z westchnieniem Elend. - Ale naprawdę nie sądzę, by było się czym martwić.

- Co takiego? - spytała Vin.

- W obozie istnieje... pewien ostracyzm, milady - wyjaśnił Demoux. - Ci z nas, którzy chorowali przez dwa tygodnie, a nie przez kilka dni, są traktowani z pewną podejrzliwością.

- Podejrzliwością, z którą się już nie zgadzasz, prawda, Demoux? - Elend podkreślił tę uwagę bardzo surowym, władcym spojrzeniem.

Demoux pokiwał głową.

- Ufam w waszą interpretację, milordzie. Po prostu... trudno jest przewodzić ludziom, którzy mi nie ufają. A innym, podobnym mnie, jest jeszcze trudniej. Zaczęli jeść razem i trzymać się z dala od pozostałych w wolnym czasie. To tylko pogłębia dystans.

- Jak myślisz? - spytał Elend. - Czy powinniśmy spróbować wymusić reintegrację?

- To zależy, milordzie - odparł Demoux.

- Od czego?

- Kilku czynników - stwierdził Demoux. - Jeśli macie zamiar wkrótce przeprowadzić atak, to reintegracja byłaby bardzo złym pomysłem... nie chcę, by ludzie walczyli, mając u boku tych, którym nie ufają. Ale jeśli mamy zamiar kontynuować oblężenie, zmuszenie ich do powrotu miałoby sens. Większa grupa armii nauczyłaby się znów ufać mgłą powalonym.

Mgłą powaleni, pomyślała Vin. Ciekawe określenie.

Elend spojrzał na nią z góry i wiedziała, co myśli. Od balu w Kantonie Zasobów dzieliło ich

zaledwie kilka dni. Jeśli plan Elenda się powiedzie, być może nie będą musieli atakować Fadrex.

Vin nie za bardzo liczyła na to rozwiązanie. Poza tym, bez zapasów z Luthadel nie bardzo mieli na co liczyć. Mogli kontynuować oblężenie zgodnie z planami, przez kolejne miesiące, a mogli zostać zmuszeni do ataku za kilka tygodni.

- Zorganizuj nową kompanię - stwierdził Elend, zwracając się do Demoux. - Wypełnij ją mgłą powalonymi. Kwestią przesądów zajmiemy się po zdobyciu Fadrex.

- Tak, milordzie - odparł Demoux. - Sądzę, że...

Mówili jeszcze przez chwilę, lecz Vin przestała zwracać na nich uwagę, gdy usłyszała głosy zbliżające się do namiotu dowodzenia. To pewnie nic takiego. Mimo to, ustawiła się tak, by znaleźć się między przybyszami a Elendem, a później sprawdziła zapasy metali. Po chwili wiedziała już, kto mówi. Jedną z osób był Ham. Rozluźniła się, gdy kłapa namiotu się podniosła, ukazując Hama w typowej kamizeli i spodniach, prowadzącego zmęczonego rudowłosego żołnierza. Wyczerpany mężczyzna miał plamy popiołu na skórzanym stroju zwiadowcy.

- Conrad? - spytał zaskoczony Demoux.

- Znasz go? - spytał Elend.

- Tak, milordzie. To jeden z poruczników, których zostawiłem w Luthadel z królem Penrodem.

Conrad zasalutował.

- Milordzie - powiedział. - Przywożę wieści ze stolicy.

- Nareszcie! - wykrzyknął Elend. - Jakie wieści od Penroda? Gdzie są te barki z zapasami, po które posłałem?

- Zapasy, milordzie? - powtórzył Conrad. - Milordzie, król Penrod przysłał mnie z prośbą o pomoc. W mieście trwają zamieszki i niektóre magazyny zostały splądrowane. Król Penrod przysłał mnie, żebym poprosił o oddział wojska do pomocy w przywróceniu spokoju.

- Wojsko? - spytał Elend. - A co z garnizonem, który mu zostawiłem? Powinien mieć mnóstwo żołnierzy!

- Nie wystarczą, milordzie - stwierdził Conrad. - Nie wiem dlaczego. Mogę tylko przekazać wiadomość, z którą zostałem przysłany.

Elend zaklął i uderzył pięścią w stół.

- Czy Penrod nie może zrobić choć jednej rzeczy, o którą go proszę? Miał tylko utrzymać terytorium, które już zabezpieczyłem!

Żołnierz drgnął, słysząc ten wybuch, a Vin przyglądała się temu zaniepokojona. Elend jednak

zapanował nad gniewem. Odetchnął głęboko i machnął w stronę żołnierza.

- Odpocznij, poruczniku Conradzie, i zjedz coś. Później o tym jeszcze porozmawiamy.

* * *

Później tego wieczoru Vin znalazła Elenda stojącego na granicy obozu i wpatrującego się w ogień na skałach. Położyła dłoń na jego ramieniu, a on nie drgnął, co świadczyło, że usłyszał jej nadejście. Wciąż czasem ją zaskakiwało, że Elend, który zawsze wydawał się nieco nieświadomy świata zewnętrznego, był teraz uzdolnionym Zrodzonym z Mgły, a cyna pozwalała mu usłyszeć najcichsze kroki.

- Rozmawiałeś z posłańcem? - spytała, gdy objął ją, wciąż wpatrując się w nocne niebo.

Wokół nich spadał popiół. Kilku Cynookich Elenda bez świateł i w ciszy okrążyło obóz. Vin wróciła właśnie z podobnego patrolu, choć ona okrążyła Fadrex. Każdej nocy robiła kilka rund, szukając w mieście oznak nietypowej aktywności.

- Tak - odparł Elend. - Kiedy odpoczął, porozmawiałem z nim dłużej.

- Złe wieści?

- Właściwie to, co już powiedział. Penrod najwyraźniej nie dostał moich rozkazów, żeby wysłać żywność i wojsko. Conrad był jednym z czterech posłańców wysłanych do nas.

Nie wiemy, co się stało z pozostałą trójką. Conrada goniła grupa kolosów i udało mu się uciec jedynie dlatego, że poświęcił swojego konia. Popędził go w inną stronę i ukrył się, gdy stwory pognały za koniem i go zarżnęły. Uciekł, kiedy ucztowały.

- Dzielny człowiek.

- I szczęściarz - dodał Elend. - Tak czy inaczej, wydaje się mało prawdopodobne, by Penrod wysłał nam wsparcie. W Luthadel są zapasy żywności, ale jeśli wiadomości o zamieszkach są prawdziwe, Penrod nie będzie mógł poświęcić żołnierzy niezbędnych do eskortowania zapasów w drodze do nas.

- I co teraz? - spytała Vin.

Elend spojrzał na nią, a wtedy ze zdziwieniem spostrzegła w jego oczach determinację, nie frustrację.

- Mamy wiedzę.

- O czym?

- Nasz wróg się ujawnił, Vin. Atak na naszych posłańców przez grupki kolosów?

Próba nadszarpnięcia naszych zapasów w Luthadel? - Elend potrząsnął głową. - Nasz wróg chce,

żeby to wyglądało na przypadek, ale ja widzę wzór. Jest zbyt skupiony, zbyt inteligentny, by być zbiegiem okoliczności. Próbuje odciągnąć nas od Fadrex.

Vin przeszedł dreszcz. Elend próbował powiedzieć coś jeszcze, lecz położyła mu dłoń na ustach, uciszając go. Wydawał się dezorientowany, lecz po chwili najwyraźniej zrozumiał, gdyż pokiwał głową. Cokolwiek powiemy, Zniszczenie usłyszy, pomyślała Vin.

Nie możemy zdradzać tego, co wiemy.

Mimo to, coś przeszło między nimi. Wiedza, że musieli pozostać pod Fadrex, niezależnie od ceny, że musieli dowiedzieć się, co było w tej jaskini. Gdyż ich wróg bardzo się starał powstrzymać ich przed tym. Czy Zniszczenie rzeczywiście stało za chaosem w Luthadel? Fortelem mającym na celu odciągnięcie wojsk Elenda w celu ponownego zaprowadzenia porządku, przy jednoczesnym porzuceniu Fadrex?

Były to jedynie spekulacje, ale nie mieli nic więcej. Vin skinęła w stronę Elenda, pokazując, że podziela jego zdecydowanie, by pozostać. Mimo to, wciąż się martwiła.

Luthadel miało być ich opoką, ich bezpiecznym miejscem. Jeśli ono się rozpadało, co im pozostało?

Coraz bardziej uświadamiała sobie, że nie będzie powrotu. Nie wycofają się, by opracować alternatywne plany. Świat rozpadał się wokół nich, a Elend postanowił zdobyć Fadrex.

Jeśli im się tu nie powiedzie, nie będą mieli gdzie iść.

W końcu Elend uścisnął jej ramię i wyszedł we mgłę, by sprawdzić kilka posterunków.

Vin pozostała sama, wpatrując się w ogniska i czując dręczące przecucie. Powróciły do niej jej myśli z czwartej jaskini. Wojny, obleganie miast, zabawa w politykę - to nie wystarczy. To ich nie uratuje, jeśli zginie świat.

Ale co jeszcze mogli zrobić? Jedynym rozwiązaniem, jakie im pozostało, było zdobycie Fadrex i nadzieja, że Ostatni Imperator zostawił im jakąś wskazówkę. Wciąż czuła niewyjaśnione pragnienie znalezienia atium. Dlaczego była tak pewna, że jej pomoże?

Zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na mgły, które - jak zawsze - cofały się od niej, zostawiając wokół niej pół cala wolnego powietrza. Wykorzystała je raz, kiedy walczyła przeciwko Ostatniemu Imperatorowi. Dlaczego wtedy mogła wykorzystać ich moc w Allomancji?

Sięgnęła do nich, znów próbując, jak wiele razy wcześniej. Wzywała je, błagała je w umyśle, próbowała sięgnąć do ich mocy. I czuła, że powinna być do tego zdolna. W mgłach była siła. Uwięziona w nich. Lecz nie chciała się jej poddać. Zupełnie jakby coś ją powstrzymywało, może jakaś blokada? Albo po prostu taki miały kaprys.

- Dlaczego? - wyszeptała, nie otwierając oczu. - Dlaczego pomogliście mi ten jeden raz, lecz nigdy później? Czy oszalałam, czy naprawdę dałyście mi moc, gdy tego zażądałam?

Noc jej nie odpowiedziała. W końcu Vin westchnęła i odwróciła się, szukając schronienia w namiocie.

Hemalurgiczne kolce zmieniają ludzi fizycznie, w zależności od tego, jakie moce dają, gdzie znajduje się kolec i ile koleców ktoś w sobie nosi. Inkwizytorzy na przykład zmieniają się drastycznie w porównaniu z ludźmi, którymi kiedyś byli. Ich serca są w innych miejscach niż u zwykłych ludzi, a ich mózgi zmieniają się, by przyjąć kawały metalu wbite przez ich oczy.

Kolossy zmieniają się jeszcze drastyczniej.

Można by sądzić, że to kandra zmienili się najbardziej. Należy jednak pamiętać, że nowi kandra powstają z mgielnych upiorów, a nie z ludzi. Kolce noszone przez kandra wywołują jedynie niewielką przemianę gospodarzy - ich ciała przypominają mgielne upiory jedynie ich umysły zaczynają pracować. Jak na ironię, choć kolce pozbawiają kolossy ludzkich cech, to kandra upodabniają do ludzi.

41

- Nie rozumiesz, Breeze? - spytał niecierpliwie Sazed. - To przykład na coś, co nazywamy ostensją... naśladowaniem legendy w rzeczywistości. Ludzie wierzyli w Ocalałego z Hathsin, więc stworzyli sobie kolejnego ocalałego, by pomógł im w trudnych czasach.

Breeze uniósł brew. Stali na tyłach tłumu w dzielnicy targowej, czekając na przybycie Obywatela.

- To fascynujące - dodał Sazed. - Ewolucja legendy Ocalałego, której się nie spodziewałem. Wiedziałem, że mogą go ubóstwić... właściwie było to nieuniknione. Jednak, skoro Kelsier niegdyś był „zwykłym” człowiekiem, to jego wyznawcy mogą sobie wyobrazić, że inni osiągną podobny status.

Breeze przytaknął odruchowo. Allrienne stała obok niego, wyglądała na nadąsaną, ponieważ musiała włożyć burą sukienkę skaa.

Sazed zignorował ich brak zainteresowania.

- Zastanawiam się, jak to się rozwinie. Może ci ludzie będą mieli serię Ocalałych.

Mogłoby się to stać fundamentem religii o dużym potencjale trwałości, ponieważ mogłaby się zmieniać, by odpowiadać na potrzeby wyznawców. Oczywiście, ci Ocalali oznaczają nowych przywódców o różnych poglądach. Zamiast kolejnych kapłanów, którzy działają na rzecz ortodoksji, każdy nowy Ocalały pragnąłby wydawać się różny od swoich poprzedników.

Mogłoby to doprowadzić do powstania różnorodnych frakcji i podziałów pośród wiernych.

- Sazedzie - odezwał się Breeze - a mówiłeś, że już nie zbierasz religii?

Terrisanin się zawahał.

- Właściwie nie zapisuję tej religii. Jedyne teoretyzuję na temat jej potencjału.

Breeze uniósł brew.

- Poza tym może mieć to wpływ na naszą obecną misję. Jeśli ten nowy Ocalały rzeczywiście istnieje, może nam pomóc obalić Quelliona.

- Albo - zauważyła Allrienne - może rzucić nam wyzwanie, kiedy Quellion upadnie.

- To prawda - zgodził się Sazed. - Tak czy inaczej, nie wiem, dlaczego narzekasz, Breeze. Czy to nie ty chciałeś, żebym znów zainteresował się religiami?

- To było, zanim się zorientowałem, że spędzisz cały wieczór, a później cały rano, gadając na ten temat - stwierdził Breeze. - Poza tym, gdzie jest Quellion? Jeśli przez jego egzekucję spóźnię się na obiad, będę dość zirytowany.

Egzekucja. Ekscytacja sprawiła, że Sazed niemal zapomniał, co mieli zobaczyć. Jego zapal przygasł i Terrisanin przypomniał sobie, dlaczego Breeze zachowywał się tak poważnie.

Uspokajacz mówił lekkim tonem, ale troska w jego oczach świadczyła, że był zaniepokojony myślą o Obywatelu palącym żywcem niewinnych ludzi.

- Tam - powiedziała Allrienne, wskazując na drugą stronę rynku.

Zaczęło się tam zamieszanie - Obywatel, w jaskrawoniebieskim stroju.

Był to nowy „akceptowany” kolor - który mógł nosić jedynie on. Otaczali go doradcy w czerwieni.

- Nareszcie - stwierdził Breeze i podążył za tłumem, który zebrał się wokół Obywatela.

Sazed podążył za nim niechętnym krokiem. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, miał pokusę wykorzystania swoich żołnierzy, żeby powstrzymać to, co miało się wydarzyć.

Oczywiście była to głupota. Wyrzucenie swoich atutów teraz, żeby ocalić garstkę, uniemożliwiłoby im uratowanie całego miasta. Z westchnieniem podążył za Breeze'em i Allrienne, poruszając się z tłumem. Podejrzewał również, że przyglądanie się zabójstwom przypomni mu niecierpiącą zwłoki naturę jego obowiązków w Urteau.

Studia teologiczne mogły poczekać.

* * *

- Będziesz musiał ich zabić - powiedział Kelsier.

Spook kuczał w ciszy na dachu budynku w bogatszej dzielnicy Urteau. Dołem zbliżała się procesja Obywatela, Spook obserwował ją przez zasłonięte szmatą oczy. Potrzebował

wielu monet na łapówki - wydał niemal do końca to, co przywiózł z Luthadel - żeby poznać lokalizację egzekucji wystarczająco wcześnie, by poczynić przygotowania.

Widział żalosne jednostki, które Quellion postanowił zamordować. Wielu z nich przypominało siostrę Fransona - ludzie, którym udowodniono szlachetnie urodzonych rodziców. Jednakże niektórzy z pozostałych byli jedynie współmałżonkami posiadaczy arystokratycznej krwi. Spook wiedział też, że jeden z mężczyzn z tej grupy zbyt głośno wypowiadał się przeciwko Quellionowi. Jego związek ze szlachetnie urodzonymi był wątpliwy.

Niegdyś był rzemieślnikiem pracującym dla arystokratycznych klientów.

- Wiem, że nie chcesz tego zrobić - dodał Kelsier. - Ale nie możesz teraz stracić odwagi.

Spook czuł się potężny - cyna z ołowiem sprawiała, że przepełniało go poczucie niezniszczalności, którego wcześniej nawet nie umiał sobie wyobrazić. Przez ostatnie sześć dni spał po kilka godzin, ale nie czuł się zmęczony. Poczucia równowagi mógłby pozazdrościć mu kot, a jego mięśnie napełniała nieprawdopodobna siła.

A jednak siła nie była wszystkim. Pociły mu się dłonie ukryte pod płaszczem, na czole perlił się pot. Nie był Zrodzonym z Mgły. Nie był Kelsierem ani Vin. Był jedynie Spookiem.

Co sobie wyobrażał?

- Nie mogę tego zrobić - wyszeptał.

- Możesz - sprzeciwił się Kelsier. - Ćwiczyłeś z laską... widziałem to. Poza tym przeciwstawiłeś się tym żołnierzom na targu. Niemal cię zabili, ale walczyłeś przeciwko dwóm Zbirom. Dobrze sobie poradziłeś, jeśli wziąć to pod uwagę.

- Ja...

- Musisz uratować tych ludzi, Spook. Zadaj sobie pytanie, co ja bym zrobił, gdybym tu był?

- Nie jestem tobą.

- Jeszcze nie - wyszeptał Kelsier.

Jeszcze nie.

Na dole Quellion prawił kazania przeciwko ludziom, którzy mieli zostać straceni.

Spook widział u jego boku Beldre. Pochylił się. Czy w jej oczach rzeczywiście malowało się współczucie, a nawet cierpienie, kiedy patrzyła na nieszczęsnych więźniów prowadzonych w stronę budynku? A może jedynie pragnął to w niej zobaczyć? Podążył za jej spojrzeniem i przyjrzał się więźniom. Jednym z nich było przerażone dziecko, przytulone do jednej z kobiet. Grupa została wepchnięta do budynku, który miał się stać ich stosem pogrzebowym.

Kelsier ma rację, pomyślał Spook. Nie mogę na to pozwolić. Może mi się nie udać, ale przynajmniej muszę spróbować. Jego ręce wciąż drżały, gdy przeszedł przez klapę na dachu budynku i popędził w dół po schodach, łopocząc płaszczem. Wyszedł za róg, kierując się w stronę piwniczki na wino.

Szlachetnie urodzeni byli dziwnymi stworami. W czasach Ostatniego Imperatora często obawiali się o swoje życie nie mniej niż złodzieje skaa, gdyż dworskie intrygi często doprowadzały do uwięzienia lub skrytobójczych zamachów. Spook uznał, że powinien był się domyślić tego wcześniej. Żadna złodziejska ekipa nie wybudowałaby sobie kryjówki bez tajnego wyjścia na wypadek problemów.

Czy szlachetnie urodzeni mogli być inni?

Przeskoczył ostatnie kilka stopni, płaszcz uniósł się za jego plecami. Opadł na zakurzoną podłogę, a jego wspomagane cyną uszy słyszały, jak Quellion na górze ciska gromy. Zgromadzeni skaa mamrotali. Tu, w ciemnej piwnicy budynku Spook trafił na odsunięty fragment ściany, tajne przejście prowadzące do sąsiedniego budynku. W przejściu stała grupka żołnierzy.

- Szybko - powiedział jeden z nich - zanim dotrze tu ogień.

- Proszę! - krzyknęła jakaś kobieta, jej głos odbijał się echem. - Przynajmniej weźcie dziecko!

Ludzie sapali. Żołnierze przeszli na drugą stronę przejścia, by nie pozwolić na ucieczkę zebranych w drugiej piwnicy. Zostali wysłani przez Quelliona, by uratować jednego z więźniów. Na zewnątrz Quellion ostentacyjnie potępiał wszystkich, w żyłach których płynęła szlachetna krew. Allomanci byli jednak zbyt cenni, by ich zabijać. I dlatego starannie wybierał budynki - spalał jedynie te z tajnymi wyjściami, przez które mógł ostrożnie wydostać Allomantów.

Doskonała metoda, by pokazać ortodoksję, a jednocześnie zachować władzę nad najcenniejszymi zasobami miasta. Jednakże to nie hipokryzja sprawiła, że dłonie Spooka przestały się trząść, gdy ruszył do ataku na żołnierzy.

To był płacz dziecka.

- Zabij ich! - krzyknął Kelsier.

Spook wyciągnął laskę pojedynkową. Jeden z żołnierzy w końcu go zauważył i odwrócił się zaskoczony.

Zginął jako pierwszy.

Spook nie wiedział, jak mocno może się zamachnąć. Hełm żołnierza poleciał przez ukryte przejście, metal się wgiął. Inni żołnierze zaczęli krzyczeć, kiedy Spook w ciasnej przestrzeni przeskoczył nad ich towarzyszem. Nosili miecze, ale mieli problemy z ich wyciągnięciem.

Tymczasem chłopak zabrał sztylety.

Wyciągnął jeden i zamachnął się nim z mocą cyny z ołowiem i wściekłości, wzmocnione zmysły kierowały jego krokami. Ciął dwóch żołnierzy, odpychając łokciami ich trupy z drogi i

wykorzystując swoją przewagę. Na końcu przejścia czterech żołnierzy stało z niskim skaa. W ich oczach malował się strach.

Spook rzucił się do przodu, a wstrząśnięci żołnierze w końcu zapanowali nad swoim zaskoczeniem. Cofnęli się, otwierając ukryte drzwi, i weszli do piwnicy budynku po drugiej stronie.

Budowla mocno płonęła. Spook czuł dym. Reszta skazanych na śmierć przebywała w pomieszczeniu - pewnie próbowali podążyć za przyjacielem, który uciekł. Teraz zostali zmuszeni do wycofania się, gdy żołnierze wepchnęli się do środka i w końcu wyciągnęli miecze.

Spook wypatroszył najwolniejszego z czwórki, zostawił sztylet w ciele i wyciągnął drugą laskę pojedynkową. Dobrze się czuł, mając w rękę solidny kawał drewna. Zawirował między wstrząśniętymi więźniami, atakując żołnierzy.

- Żołnierze nie mogą uciec - wyszeptał Kelsier. - Inaczej Quellion dowie się, że ludzie zostali uratowani. Musi pozostać zdezorientowany.

Światło zamigotało w korytarzu za dobrze wyposażoną piwnicą. Płomienie. Spook czuł już gorąco. Trzej żołnierze unieśli miecze. Dym zaczynał unosić się pod sklepieniem, niczym gęsta czarna mgła. Więźniowie kulili się niepewnie.

Spook rzucił się do przodu i zawirował, obiema laskami atakując jednego z żołnierzy.

Mężczyzna złapał się na przynętę, uchylił się przed atakiem Spooka i rzucił do przodu. W normalnej walce chłopak zostałby przebity.

Uratowały go jego metale. Spook poruszał się na lekkich stopach, czując podmuch nadchodzącego ciosu, wiedząc, gdzie trafi. Serce zabiło mu mocniej w piersiach, gdy miecz przeciął tkaninę na jego boku, ale nie dotknął ciała. Opuścił jedną laskę, miażdżąc prawą rękę przeciwnika, a drugą trafił w czaszkę mężczyzny.

Żołnierz upadł z zaskoczeniem malującym się w gasnących oczach. Spook przepchnął się obok niego.

Kolejny żołnierz już unosił broń do ciosu. Spook podniósł obie laski i skrzyżował je, by zablokować ostrze. Miecz przeciął jedną z nich, lecz zatrzymał się na drugiej. Chłopak zamachnął się w bok, odsuwając klingę, po czym zbliżył się do mężczyzny i uderzył go łokciem w żołądek.

Następnie uderzył padającego mężczyznę w głowę. Rozległ się odgłos pękającej kości.

Żołnierz padł u stóp Spooka.

Mogę to zrobić! - pomyślał Spook. Jestem taki jak oni. Vin i Kelsier. Koniec ukrywania się w

piwnicach i uciekania przed niebezpieczeństwem.

Obrócił się z uśmiechem.

I odkrył, że ostatni żołnierz stoi z nożem Spooka uniesionym do gardła małej dziewczynki. Zbrojny stał odwrócony plecami do płonącego korytarza, spoglądając na ukryte drzwi. Za jego plecami płomienie lizały drewnianą futrynę drzwi i wsuwały się do środka.

- Reszta niech ucieka! - powiedział Spook, nie odwracając wzroku od żołnierza. -

Wyjdźcie przez tylne drzwi budynku, który znajdziecie na końcu korytarza. Będą tam na was czekać. Ukryją was w podziemiu, a później przesznują z miasta. Idźcie!

Niektórzy już uciekli, a ci, którzy pozostali, ruszyli się na jego rozkaz. Żołnierz stał i obserwował, najwyraźniej próbując podjąć decyzję. Musiał wiedzieć, że jego przeciwnikiem jest Allomanta - żaden zwyczajny człowiek nie zabiłby tak wielu ludzi tak szybko. Całe szczęście wyglądało na to, że Quellion nie posłał swoich Allomantów do budynku. Pewnie zostali na górze, zapewniając mu ochronę.

Spook stał nieruchomo. Rzucił połamaną laskę pojedynkową, ale mocno zaciskał ręce na drugiej, by powstrzymać je od drżenia. Dziewczynka jęczała cicho.

Co zrobiłby Kelsier?

Za jego plecami ostatni więzień uciekał przez przejście.

- Ty! - zawołał Spook, nie odwracając się. - Zarygluj te drzwi z drugiej strony.

Szybko!

- Ale...

- Zrób to! - ryknął Spook.

- Nie! - powiedział żołnierz, przyciskając nóż do szyi dziewczynki. - Zabiję ją!

- Zrób to, a zginiesz - stwierdził chłopak. - Wiesz, że to prawda. Popatrz na mnie. Nie przejdiesz obok mnie. Jesteś...

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Żołnierz krzyknął, puścił dziewczynkę i popędził w stronę drzwi, najwyraźniej próbując dotrzeć do nich, zanim opadnie rygiel po drugiej stronie.

- To jedyne wyjście! Przez ciebie...

Spook złamał kolana żołnierza jednym uderzeniem laski pojedynkowej. Żołnierz wrzasnął i upadł.

Płomienie lizały już trzy ściany, gorąco stawało się nieznosne.

Rygiel opadł po drugiej stronie. Spook spojrział na żołnierza. Wciąż żył.

- Zostaw go - powiedział Kelsier. - Niech spłonie w tym budynku.

Spook się zawahał.

- On pozwoliłby, żeby ci wszyscy ludzie zginęli - stwierdził Kelsier. - Niech poczuje to, co chciał z nimi zrobić... co zrobił już wielokrotnie na rozkaz Quelliona.

Spook zostawił jęczącego mężczyznę na ziemi i podszedł do tajnych drzwi. Rzucił się na nie.

Wytrzymały.

Spook zaklął cicho, uniósł nogę i kopnął w drzwi. Nawet nie drgnęły.

- Te drzwi zostały zamówione przez szlachetnie urodzonych, którzy bali się, że będą ich gonić skrytobójcy - powiedział Kelsier. - Znali Allomancję i postarali się, by drzwi były na tyle mocne, żeby wytrzymać kopniak Zbira.

Żar był coraz większy. Dziewczynka kuliła się na ziemi i płakała. Spook zawirował, spojrział w płomienie, poczuł ich gorąco. Zrobił krok do przodu, lecz jego wzmocnione zmysły były tak wyczulone, że upał wydawał się mu nieprawdopodobnie potężny.

Zacisnął zęby i podniósł dziewczynkę.

Mam teraz cynę z ołowiem, pomyślał. Ona może zrównoważyć siłę moich zmysłów.

To musi wystarczyć.

* * *

Dym wznosił się z okien skazanego na zagładę budynku. Sazed czekał z Breeze'em i Allriane na tyłach ponurego tłumu. Ludzie byli dziwnie milczący, gdy patrzyli, jak płomienie pochłaniają swój łup. Może wyczuwali prawdę. Że mogli zostać pojmani i zabici równie łatwo, jak ci nieszczęśnicy w środku.

- Sytuacja szybko się odwróciła - wyszeptał Sazed. - Nie tak dawno ludzie byli zmuszani do patrzenia, jak Ostatni Imperator obcina głowy niewinnych ludzi. Teraz sami to robili.

Cisza. Ze środka dochodziły krzyki. Wrzaski umierających ludzi.

- Kelsier się mylił - stwierdził Breeze.

Sazed odwrócił się ze zmarszczonym czołem.

- Winił szlachetnie urodzonych - wyjaśnił Uspokajacz. - Myślał, że jeśli się ich pozbędziemy, takie rzeczy przestaną się zdarzać.

Sazed pokiwał głową. Nagle tłum zaczął się robić niespokojny, kręcić, mamrotać. I sam Sazed poczuł, że się z nimi zgadza. Coś trzeba było zrobić z tą potwornością. Dlaczego nikt nie walczył? Quellion stał, otoczony swoimi dumnymi sługami w czerwieni. Sazed zacisnął zęby, czując wzrastający gniew.

- Allrienne, moja droga - powiedział Sazed - to nie jest właściwy moment.

Sazed wzdrygnął się. Odwrócił się i spojrzał na młodą kobietę. Płakała.

Na Zapomnianych Bogów, pomyślał Terrisanin, w końcu zauważając jej dotyk na swoich uczuciach, Podżeganych, by napełnić go wściekłością na Quelliona. Jest równie dobra jak Breeze.

- A czemu nie? - spytała. - Zasługuje na to. Mogłabym sprawić, żeby ten tłum rozerwał go na strzępy.

- A wtedy jego zastępca obejmie władzę - odparł Breeze - i straci tych ludzi. Jeszcze nie jesteśmy wystarczająco przygotowani.

- Wygląda na to, że nigdy nie będziemy wystarczająco przygotowani, Breeze - warknęła w odpowiedzi.

- Te sprawy wymagają...

- Zaczekajcie - powiedział Sazed, unosząc rękę. Zmarszczył czoło, przyglądając się budynkowi.

Jedno z zabitych deskami okien - wysoko na spiczastym dachu budynku - wyglądało, jakby się trzęsło.

- Patrzcie! Tam! - zawołał Sazed.

Breeze uniósł brew.

- Może to nasz Bóg Płomieni ma zamiar się objawić, co? - Uśmiechnął się na myśl o tym, co wyraźnie uznał za absurdalny pomysł. - Zastanawiam się, czego mieliśmy się nauczyć podczas tego obrzydliwego doświadczenia. Osobiście uważam, że ludzie, którzy nas tu przysłali, nie wiedzieli, co...

Jedna z desek nagle wypadła z okna, obracając się w powietrzu i ciągnąc za sobą smużkę dymu. Okno otworzyło się gwałtownie.

Postać w ciemnym ubraniu wyskoczyła przez rozpadające się deski i dym, lądując na dachu. Spowijający ją długi płaszcz płonął w kilku miejscach. W ramionach trzymała mały węzełek.

Dziecko. Postać pobiegła wzdłuż płonącego dachu, po czym zeskoczyła z budynku.

Wylądował z wdziękiem człowieka spalającego cynę z ołowiem, nie potykając się mimo spadku z wysokości piętra. Płonący płaszcz unosił się wokół niego. Ludzie cofali się zaskoczeni, a Quellion odwrócił się wstrząśnięty.

Kaptur płaszcza opadł, gdy postać się wyprostowała. Dopiero wtedy Sazed rozpoznał mężczyznę.

Spook stał wyprostowany, w blasku słońca wydawał się starszy niż w rzeczywistości.

A może to Sazed aż do tej chwili widział w nim tylko dziecko. Tak czy inaczej, młody mężczyzna patrzył dumnie na Quelliona. Oczy miał zasłonięte opaską, jego ciało dymiło, w ramionach trzymał rozkaszlane dziecko. Nie wydawał się wcale zastraszone przez grupę dwudziestu żołnierzy otaczających budynek.

Breeze zaklął pod nosem.

- Allrienne, jednak będziemy potrzebować tego Podżegania!

Sazed poczuł nagle nacisk. Breeze Uspokoił jego rozpraszające uczucia -

dezorientację, troskę - i pozostawił go, wraz z resztą tłumu, otwartego na skoncentrowane uderzenie wściekłości ze strony Allrienne.

Tłum nagle się ruszył, ludzie wykrzykiwali imię Ocalałego, rzucali się na strażników.

Przez chwilę Sazed obawiał się, że Spook nie wykorzysta okazji, by uciec. Mimo dziwnego bandaża na oczach Spooka, Terrisanin widział, że chłopak patrzył prosto na Quelliona - jakby rzucał mu wyzwanie.

Na szczęście, Spook w końcu się odwrócił. Tłum zajął zbliżających się żołnierzy, a chłopak pobiegł, poruszając się nienaturalnie szybko. Uskoczył w boczną uliczkę, cały czas niosąc dziewczynkę, którą uratował, jego płaszcz nadal dymił. Gdy tylko Spook zyskał

bezpieczną przewagę, Breeze stłumił wolę buntu tłumu, by uchronić ich przed śmiercią z rąk żołnierzy. Ludzie zaczęli się wycofywać i rozpraszać. Żołnierze Obywatela pozostali blisko swojego przywódcy. Sazed słyszał frustrację w głosie Obywatela, kiedy ten nakazał

nieunikniony odwrót. Nie mógł poświęcić więcej niż kilku żołnierzy na pogoń za Spookiem, gdy istniała możliwość buntu. Musiał sam udać się w bezpieczne miejsce.

Gdy żołnierze odmaszerowali, Breeze spojrzał na Sazedą.

- Cóż - zauważył - to było dość niespodziewane.

Uważam, że kolosy były o wiele inteligentniejsze, niż zakładaliśmy. Na przykład, pierwotnie do tworzenia nowych istot używały tylko kolców, które dał im Ostatni Imperator.

Dostarczał metal i nieszczęsnych jeńców skaa, a kolosy tworzyły nowych „rekrutów”.

Po śmierci Ostatniego Imperatora kolosy powinny były szybko wymrzeć. Tak je zaprojektował. Gdyby wyrwały się spod jego kontroli, spodziewał się, że się powybijają i w ten sposób zakończą plądrowanie. One jednak jakimś sposobem doszły do wniosku, że kolce z ciał zabitych kolosów można zabrać i ponownie wykorzystać.

Wtedy nie potrzebowały już świeżych dostaw kolców. Często zastanawiam się, jaki wpływ na ich populację miało ciągle ponowne wykorzystywanie kolców. Jeden kolec może przechowywać ograniczony ładunek hemalurgiczny, więc nie mogły stworzyć kolców, które dawały nieskończoną siłę, niezależnie od tego, jak wielu ludzi zabiły i odebrały im moc. Być może ciągle ponowne wykorzystywanie kolców sprawiło, że tworzone przez nie kolosy były bardziej ludzkie?

42

Kiedy Marsh wszedł do Luthadel, był o wiele ostrożniejszy niż w bezimiennym miasteczku na zachodnich granicach dominium. Inkwizytor poruszający się w stolicy Elenda zostałby z pewnością zauważony i mógłby zwracać niepotrzebnie uwagę. Cesarz wyjechał i pozostawił swój plac zabaw otwarty dla innych. Nie warto tego psuć.

Dlatego Marsh wędrował nocą z podniesionym kapturem, spalając stal i skacząc na monetach. Mimo to widok wspaniałego miasta - rozciągniętego, brudnego, ale ojczystego -

był trudny do zniesienia, zwłaszcza dla obserwującej i czekającej części Marsha. Niegdyś on sam prowadził bunt skaa w tym mieście. Czuł się odpowiedzialny za jego mieszkańców i myśl o Zniszczeniu, robiącym z nimi to samo, co zrobił z ludźmi z tamtego miasteczka, gdzie wybuchła popielna góra...

Tak blisko Luthadel nie było żadnej popielnej góry. Niestety, istniały rzeczy, które Zniszczenie mogło zrobić miastu, niewymagające sił natury. W drodze do Luthadel Marsh zatrzymał się w nie mniej niż czterech wioskach, gdzie w tajemnicy zabił ludzi strzegących zapasów żywności, a później podpalił budynki. Wiedział, że inni Inkwizytorzy krążyli po świecie, dopuszczając się podobnych potworności, gdy szukali rzeczy, której Zniszczenie pragnęło ponad wszystko. Tego, co Zachowanie mu zabrało.

Jeszcze jej nie znalazło.

Marsh przeskoczył nad ulicą i wylądował na spadzistym dachu. Pobiegł po jego szczycie w stronę północno-wschodniej części miasta. Luthadel zmieniło się w ciągu roku od czasu, kiedy widział je po raz ostatni. Niewolnicza praca skaa pod rządami Ostatniego Imperatora sprawiała, że przerośnięte miasto było czyste i uporządkowane. Teraz tego nie widział. Uprawa płodów rolnych była priorytetem, a sprzątanie miasta mogło poczekać na później... o ile będzie jakieś później.

Widział teraz o wiele więcej stert śmieci i stosów popiołu - który niegdyś zostałby wrzucony do rzeki na środku miasta - w bocznych uliczkach i przy ścianach budynków.

Marsh uśmiechnął się, widząc tak piękną dewastację, a zbuntowana część jego duszy wycofała się jeszcze głębiej.

Nie mógł walczyć. To nie była właściwa chwila.

Wkrótce dotarł do Twierdzy Venture, siedziby rządu Elenda. Podczas oblężenia Luthadel wdarły się do niej kolosy i niższe witrażowe okna zostały przez nie zniszczone.

Okna zastąpiono deskami. Marsh uśmiechnął się i Odepchnął na balkon na piętrze. Znał ten budynek. Zanim opanowało go Zniszczenie, spędził w nim kilka miesięcy, pomagając cesarzowi Venture utrzymać panowanie nad miastem.

Bez trudu znalazł komnaty Penroda. Były jako jedyne zamieszkałe i jako jedyne strzeżone. Skulił się kilka korytarzy dalej i obserwował nie ludzkimi oczami, rozważając dalsze kroki.

Przebicie niechętnego celu hemalurgicznym kolcem było zadaniem dość skomplikowanym. Nie chodziło tu o rozmiar kolca. Podobnie jak szczypta metalu mogła przez jakiś czas dawać allomantyczną moc, a nieduży pierścień przechowywać niewielki feruchemiczny ładunek, tak skromny odłamek metalu wystarczał do Hemalurgii. Kolce Inkwizytorów były wielkie, by zastraszać, lecz w wielu wypadkach mała szpilka była równie skuteczna, jak potężny kolec. Zależało to od tego, jak długo chciało się przetrzymać kolec poza ciałem po zabiciu nim kogoś.

Dla celów Marsha tego dnia nieduży kolec był lepszym rozwiązaniem - nie chciał

dawać Penrodowi mocy, jedynie przebić go metalem. Marsh wyciągnął kolec, którym kilka dni temu zabił Allomantę w skazanym na zagładę miasteczku. Ostrze miało około pięciu cali długości - właściwie nie musiało być tak długie. Jednak Marsh musiał je wbić w ciało mężczyzny z dużą siłą, co oznaczało, że musiało być na tyle duże, by się nie odkształcić. W

ludzkim ciele było około dwustu lub trzystu punktów wiążących. Marsh nie znał ich wszystkich - w kluczowym momencie Zniszczenie pokieruje jego ręką, upewni się, że kolec trafi we właściwe miejsce. Uwaga jego pana skupiała się teraz w innym miejscu i wydawał

Marshowi jedynie ogólne polecenia, by zajął miejsce i przygotował się do ataku.

Hemalurgiczne kolce. Ukryta część jego duszy zadrżała, gdy przypomniał sobie dzień, w którym nieoczekiwanie został przeobrażony w Inkwizytora. Myślał, że został

zdemaskowany. Pełnił funkcję szpiega Kelsiera w Stalowym Zakonie. Nie wiedział wówczas, że nie został uznany za podejrzanego, lecz wybrany jako niezwykły.

Inkwizytorzy przyszedli po niego w nocy, kiedy czekał nerwowo na Kelsiera, by przekazać mu, jak sądził, ostatnią wiadomość. Wpadli przez drzwi, poruszając się tak szybko, że Marsh nie mógł zareagować. Nie miał wyjścia. Po prostu powalili go na ziemię i rzucili nań wrzeszczącą kobietę.

Później Inkwizytorzy przebili kolcem jej serce i oko Marsha.

Ból był zbyt wielki, by go pamiętać. Tamta chwila była dziurą w jego pamięci, wypełnioną niewyraźnymi wspomnieniami Inkwizytorów powtarzających ten proces, zabijających innych nieszczęsnych Allomantów i wbijających ich moce - ich dusze, jak się zdawało - w ciało Marsha. Kiedy skończyli, leżał na ziemi i jęczał, nowy dopływ zmysłowych informacji utrudniał mu myślenie. Wokół niego tańczyli inni Inkwizytorzy, rąbiąc toporami pozostałe ciała i radując się z dodania kolejnego członka do swoich szeregów.

W pewnym sensie był to dzień jego narodzin. Cóż za cudowny dzień. Penrod jednak nie zazna takiej radości. Nie miał zostać przeobrażony w Inkwizytora - dostanie jedynie pojedynczy, niewielki kolec. Taki, który został stworzony przed wieloma dniami i pozostawał

poza ciałem - tracąc moc - przez ten cały czas.

Marsh czekał, aż Zniszczenie przyjdzie do niego w pełni. Kolec musiał zostać umieszczony precyzyjnie, ale też Penrod musiał zachować go wystarczająco długo, by Zniszczenie mogło zacząć wpływać na jego myśli i uczucia. Kolec musiał dotykać krwi, przynajmniej na początku.

Po wbiciu go, skóra mogła zarosnąć wokół metalu, a kolec nadal działał. Jednakże z początku musiała być krew.

Jak można sprawić, by człowiek zapomniał o pięciu calach metalu wystającego z ciała? Jak zmusić innych do zignorowania go? Zniszczenie wiele razy próbowało wbić kolec w Elenda Venture i za każdym razem ponosiło klęskę. Właściwie większość prób była skazana na niepowodzenie. Ci nieliczni ludzie, których udało się opanować, byli warci wszelkich wysiłków.

Zniszczenie wypełniło go i stracił panowanie nad swoim ciałem. Poruszał się nie wiedząc, co robi, kierując się bezpośrednimi rozkazami. *Idź prosto korytarzem. Nie atakuj strażników. Przez drzwi.*

Marsh odepchnął dwóch strażników, wyważył kopniakiem drzwi i wpadł do przedpokoju.

W prawo. Sypialnia.

Marsh w jednej chwili przeszedł przez drzwi, strażnicy na zewnątrz z opóźnieniem zawołali po pomoc. Penrod był starzejącym się, pełnym godności mężczyzną. Zachował tyle przytomności, by, słysząc hałasy, wyskoczyć z łóżka i zdjąć z nocnego stolika drewnianą laskę pojedynkową.

Marsh się uśmiechnął. Laska pojedynkowa? Przeciwno Inkwizytorowi? Wyciągnął obsydianowy topór z za pasa.

Walcz z nim, powiedziało Zniszczenie, ale nie zabijaj go. Niech to będzie trudna walka, ale pozwól mu poczuć, że cię powstrzymuje.

To była dziwna prośba, ale umysł Marsha znajdował się pod taką kontrolą, że nie mógł

się nawet przez chwilę nad tym zastanowić. Po prostu skoczył do ataku.

Było to trudniejsze niż się wydawało. Musiał starannie atakować toporem w taki sposób, by Penrod mógł zablokować cios. Kilka razy musiał sięgać do prędkości w jednym z kolców - pełniącym również funkcję feruchemicznej metalmyśli - by w ostatniej chwili przesunąć topór we właściwą stronę i przypadkiem nie obciąć głowy króla Luthadel.

Marshowi się udało. Kilka razy ciął Penroda, przez cały czas walcząc z małym kolcem ukrytym w lewej dłoni, i pozwalał królowi myśleć, że dobrze sobie radzi. Po chwili strażnicy dołączyli do walki, co pomogło Marshowi utrzymać pozory. Trzej zwykli ludzie przeciwko Inkwizytorowi to nadal żadna walka, lecz z ich perspektywy mogło się wydawać, że tak jest.

Wkrótce do przedsionka wpadł oddział liczący około tuzina strażników i ruszył na pomoc swojemu królowi.

Teraz, powiedziało Zniszczenie. Udawaj przerażonego, przygotuj się do wbicia kolca i ucieczki przez okno.

Marsh sięgnął do prędkości i ruszył się. Zniszczenie kierowało jego ręką, kiedy uderzył lewą dłonią w pierś Penroda, wbijając kolec prosto w serce mężczyzny. Marsh usłyszał wrzask Penroda, uśmiechnął się na ten dźwięk i wyskoczył przez okno.

* * *

Niedługo później Marsh zawisł na zewnątrz tego samego okna, niewidziany i niezauważony, nawet przez liczne patrole straży. Był zdecydowanie zbyt uzdolniony i zbyt ostrożny, by ktoś zauważył, jak wisi pod kamiennym występem w pobliżu okna i nasłuchuje z pomocą cyny. W środku naradzali się chirurdzy.

- Kiedy próbujemy wyciągnąć kolec, krwawienie zwiększa się gwałtownie - wyjaśnił jeden z nich.

- Odłamek metalu znalazł się niebezpiecznie blisko serca - powiedział inny.

Niebezpiecznie blisko? - pomyślał z uśmiechem odwrócony do góry nogami Marsh.

Kolec przebił jego serce. Ale oczywiście chirurdzy nie mogli tego wiedzieć. Ponieważ Penrod był przytomny, zakładali, że kolec wbił się blisko, ale jakimś sposobem nie trafił w cel.

- Boimy się go wyjąć - stwierdził pierwszy chirurg. - Jak... jak się czujecie?

- Właściwie to zadziwiająco dobrze - odparł Penrod. - Czuję ból i pewien dyskomfort.

Ale czuję się silny.

- To na razie zostawmy odłamek - powiedział z troską w głosie pierwszy chirurg. Ale co jeszcze

mógł zrobić? Gdyby wyjął kolec, Penrod rzeczywiście by zginął. Sprytnie posunięcie Zniszczenia.

Zaczekają, aż Penrod odzyska siły, i znów spróbują usunąć kolec. Znów zagrozi to życiu Penroda. Będą musieli go zostawić. A ponieważ Zniszczenie będzie teraz mogło dotyczyć jego umysłu - nie panować nad nim, jedynie delikatnie kierować go w określoną stronę - Penrod wkrótce zapomni o kolcu. Dyskomfort zniknie, a kiedy ukryje kolec pod ubraniem, nikt nie będzie zwracał na niego uwagi.

A wtedy będzie należał do Zniszczenia tak samo pewnie jak każdy Inkwizytor. Marsh uśmiechnął się i opadł na ciemną ulicę.

Choć Hemalurgia wywołuje moje obrzydzenie, nie może nie robić na mnie wrażenia jako sztuka.

W Allomancji i Feruchemii biegłość i subtelność wynikają ze sposobu wykorzystania własnych mocy. Najlepszym Allomantą nie musi być ten, który jest najpotężniejszy ale ten, który najlepiej panuje nad Przyciąganiem i Odpychaniem metali. Najlepszy Feruchemik to ten, który najlepiej radzi sobie z uporządkowaniem informacji zawartych w miedziomysli albo najlepiej manipuluje swoim ciężarem za pomocą żelaza.

Tajemnicą Hemalurgii jest wiedza, gdzie umieścić kolce.

43

Vin wylądowała ze stłumionym szelestem tkaniny. Skuliła się w mroku, podtrzymując suknię, by nie dotknęła warstwy popiołu na dachu, po czym wpatrzyła się w mrok.

Elend opadł obok niej i przykucnął, nie zadając pytań. Uśmiechnęła się, zauważając, że jego instynkt działa coraz lepiej. On również wpatrywał się we mgły, choć wyraźnie nie wiedział, czego szuka.

- Podąża za nami - wyszeptała Vin.

- Zrodzony z Mgły Yomena? - spytał Elend.

Pokiwała głową.

- Gdzie? - spytał.

- Trzy domy za nami.

Elend zmrużył oczy. Poczwała, jak jeden z jego allomantycznych impulsów nagle przyspiesza. Rozjarzył cynę.

- Ta bryła po prawej? - spytał.

- Blisko - odparła.

- Czyli...

- Czyli wie, że go zauważyłam - powiedziała Vin. - Inaczej bym się nie zatrzymała.

Teraz obserwujemy się nawzajem.

Elend sięgnął do pasa i wysunął obsydianowy nóż.

- Nie zaatakuj - stwierdziła Vin.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ, kiedy będzie miał zamiar nas zabić, spróbuje to zrobić, gdy będziemy rozdzieleni... albo gdy będziemy spać.

Te słowa jedynie zwiększyły zdenerwowanie Elenda.

- Czy to dlatego ostatnio nie śpisz po nocach?

Vin pokiwała głową. Zmuszenie Elenda do spania w samotności było niewielką ceną za zapewnienie mu bezpieczeństwa. Czy to ty nas śledzisz, Yomenie? - zastanawiała się. W

noc własnego przyjęcia? To byłoby niezłe osiągnięcie. Nie wydawało się to prawdopodobne, lecz mimo to, Vin była podejrzliwa. Miała w zwyczaju podejrzewać każdego o bycie Zrodzonym z Mgły. Wciąż uważała, że to zdrowe podejście, nawet jeśli częściej się myliła niż miała rację.

- Chodź - powiedziała. - Kiedy wejdziemy na przyjęcie, nie będziemy musieli się nim przejmować.

Elend pokiwał głową i oboje ruszyli dalej w stronę Kantonu Zasobów.

„Plan jest prosty”, powiedział Elend przed zaledwie kilkoma godzinami. „Ja rzucę wyzwanie Yomenowi, a szlachetnie urodzeni natychmiast zbiorą się wokół, żeby to zobaczyć.

W tym momencie ty się wyślizgniesz i sprawdzisz, czy uda ci się dotrzeć do jaskini z zapasami”.

To rzeczywiście był prosty plan - jak większość z najlepszych. Jeśli Elend rzuci wyzwanie Yomenowi, strażnicy skoncentrują się na nim, co, jak liczyli, pozwoli Vin się wyślizgnąć. Będzie musiała działać szybko i cicho, i pewnie wyeliminować kilku strażników, nie wywołując przy tym zamieszania. Jednakże wydawało się to jedynym możliwym rozwiązaniem. Przypominająca twierdzę siedziba Yomena była doskonale strzeżona, a jego Zrodzony z Mgły bardzo dobry. Mężczyzna wykrywał ją za każdym razem, kiedy próbowała się wślizgnąć - zawsze trzymał się na odległość, ale sama jego obecność ostrzegała ją, że w jednej chwili mógłby podnieść alarm.

Ich największą szansą był bal. Strażnicy Yomena i jego Zrodzony z Mgły będą skoncentrowani na swoim panu i zapewnieniu mu bezpieczeństwa.

Wylądowali na dziedzińcu, zatrzymując powozy i zaskakując strażników. Vin spojrzała na Elenda w mglistym mroku.

- Elendzie - powiedziała cicho. - Musisz mi coś obiecać.

Zmarszczył czoło.

- Co takiego?

- W końcu zostanę spostrzeżona - powiedziała Vin. - Będę się skradać, ale wątpię, by udało nam się tego dokonać bez zamieszania. Kiedy do tego dojdzie, chciałabym, żebyś się wydostał.

- Vin, nie mogę tego zrobić. Muszę...

- Nie - przerwała mu ostro. - Elendzie, nie musisz mi pomagać. Nie możesz mi pomóc.

Kocham cię, ale nie jesteś w tym tak dobry jak ja. Mogę się o siebie zatroszczyć, ale muszę przy tym wiedzieć, że nie będę musiała przejmować się tobą. Jeśli coś pójdzie nie tak... albo jeśli wszystko pójdzie tak jak trzeba, ale rozlegnie się alarm... chcę, żebyś się wydostał.

Spotkamy się w obozie.

- A jeśli wpakujesz się w kłopoty? - spytał Elend.

Vin się uśmiechnęła.

- Zaufaj mi.

Zawahał się, po czym pokiwał głową. Mógł jej zaufać - w rzeczy samej zawsze to robił.

Ruszyli dalej. Dziwnie się czuli, idąc na bal w budynku Zakonu. Vin była przyzwyczajona do witrażowych okien i ozdób, lecz biura Kantonów ze swej natury były raczej surowe - a ten nie należał do wyjątków. Parterowy budynek miał proste, płaskie ściany i małe okna. Na zewnątrz nie świeciły żadne wapienne światła, a choć z kamiennych ścian zwisało kilka dużych gobelinów, o niezwykłym charakterze tej nocy świadczyło jedynie zgromadzenie powozów i szlachetnie urodzonych na dziedzińcu. Żołnierze zauważyli Vin i Elenda, ale nie próbowali ich zatrzymać ani nawet spowolnić.

Ci, którzy na nich patrzyli - żołnierze i szlachetnie urodzeni - wydawali się zainteresowani, ale niewielu wyglądało na zdziwionych. Vin i Elend byli oczekiwani.

Przecucie Vin potwierdziło się, kiedy wspięła się po schodach i nikt nie próbował ich zatrzymać. Strażnicy przed wejściem patrzyli podejrzliwie, ale przepuścili ją i Elenda.

W środku czekał na nich długi hol wejściowy, oświetlony lampami. Potok ludzi skręcał w lewo, więc Vin i Elend przecisnęli się przez kilka przypominających labirynt korytarzy, aż zbliżyli się do większej sali spotkań.

- To nie jest najlepsze miejsce na bal, co? - odezwał się Elend, gdy czekali, aż zostaną zapowiedziani.

Vin pokiwała głową. Większość twierdz szlachećnie urodzonych miała osobne wejścia prowadzące bezpośrednio do sal balowych. Sala przed nimi - na ile mogła ocenić - została przekształcona ze standardowej sali spotkań Zakonu. Nity w podłodze wskazywały miejsca, gdzie wcześniej stały ławy, a na drugim końcu pomieszczenia znajdowało się podwyższenie, na którym pewnie niegdyś stawali obligatorzy, by wydawać polecenia swoim podwładnym.

Tam ustawiono stół Yomena.

Sala była tak naprawdę za mała na bal. Ludzie nie byli do końca stłoczeni, ale też nie mieli wolnego miejsca, które pozwalało na tworzenie osobnych grup i plotkowanie.

- Wygląda na to, że mają też inne sale - powiedział Elend, wskazując na kilka korytarzy odchodzących od głównej „sali balowej”. Ludzie znikali w nich i się z nich wyłaniali.

- Miejsca, gdzie można pójść, jeśli tłok robi się zbyt duży - powiedziała Vin. - Stąd będzie ciężko uciec, Elendzie. Nie pozwól się otoczyć. Tam, po lewej, jest chyba wyjście.

Elend podążył za jej spojrzeniem, gdy weszli do głównej sali. Migoczące pochodnie i pasma mgły wskazywały na dziedziniec albo atrium.

- Będę się trzymał blisko - powiedział. - I postaram się uniknąć przejścia do jednej z mniejszych bocznych sal.

- Dobrze - stwierdziła Vin.

Zauważyła coś jeszcze - dwa razy podczas marszu korytarzami prowadzącymi do sali balowej jej uwagę zwróciły schody prowadzące w dół. To sugerowało spore piwnice, coś raczej nieznanego w Luthadel. Budynek Kantonu rozrasta się w dół, nie w górę, uznała. Miało to sens, zakładając, że pod spodem rzeczywiście jest magazyn.

Herold zapowiedział ich, nie potrzebując wizytówek, i weszli do środka. Przyjęcie nie było tak wystawne jak w Twierdzy Orielle. Były przekąski, ale nie kolacja - prawdopodobnie z braku miejsca na stoły. Była muzyka i tańce, ale brakowało ozdób. Yomen nie przykrył

prostych, surowych ścian budynku Zakonu gobelinami.

- Zastanawiam się, po co w ogóle urządza bale - wyszeptała Vin.

- Prawdopodobnie musiał je rozpocząć - stwierdził Elend. - By zachęcić innych szlachećnie urodzonych. Teraz jest częścią cyklu. To jednak sprytne posunięcie z jego strony.

Człowiek zyskuje pewną władzę, jeśli może ściągnąć szlachećnie urodzonych do swego domu i być ich gospodarzem.

Vin pokiwała głową, po czym spojrzała na parkiet.

- Jeden taniec, zanim się rozdzielimy?

Elend zawahał się.

- Jeśli mam być szczery, czuję się trochę zbyt zdenerwowany.

Vin uśmiechnęła się i pocałowała go lekko, całkowicie łamiąc arystokratyczny protokół.

- Daj mi godzinę, zanim odwrócisz ich uwagę. Muszę wyczuć przyjęcie, zanim spróbuję się wyslizgnąć.

Pokiwał głową i się rozdzielili. Elend od razu skierował się w stronę grupy mężczyzn, których Vin nie rozpoznawała. Vin nie chciała, by rozmowy ją spowolniały, więc trzymała się z dala od kobiet, które rozpoznawała z Twierdzy Orielle. Wiedziała, że powinna pracować nad wzmocnieniem kontaktów, ale sama częściowo czuła to samo co Elend. Nie prawdziwą nerwowość, ale pragnienie uniknięcia typowych balowych rozrywek. Nie przyszła tu, by plotkować. Miała ważniejsze zadania na głowie.

Dlatego spacerowała po sali, popijając wino i przyglądając się strażnikom. Było ich wielu, co chyba powinno jej odpowiadać. Im więcej strażników na sali balowej, tym mniej w pozostałej części budynku. Teoretycznie.

Vin chodziła, witała się skinieniem głowy, lecz wycofywała się, gdy ktoś próbował

nawiązać z nią rozmowę. Gdyby była Yomenem, rozkazałaby kilku żołnierzom obserwować ją i upewnić się, że nie trafi gdzieś, gdzie nie powinna. Jednakże żaden z mężczyzn nie zwracał na nią uwagi. W miarę upływu czasu, Vin czuła coraz większą frustrację. Czyżby Yomen był tak niekompetentny, że nie zwracał uwagi na Zrodzoną z Mgły, która weszła do jego twierdzy?

Zirytowana Vin spaliła brąz. Może w okolicy byli Allomanci? Niemal podskoczyła, kiedy poczuła allomantyczne impulsy dochodzące z bardzo bliska.

Były dwie. Typowe pudernice - kobiety, których imion nie znała, ale które wyglądały na łatwe do zlekceważenia. I pewnie o to właśnie chodziło. Stały i plotkowały z dwiema innymi damami w niewielkiej odległości od Vin. Jedna spalała miedź, a druga cynę - Vin nigdy by ich nie zauważyła, gdyby nie umiała przebijać chmur miedzi.

Gdy Vin krążyła po sali, obie podążały za nią, z zadziwiającą zręcznością nawiązując rozmowy i przerywając je. Zawsze trzymały się na tyle blisko Vin, by znaleźć się w zasięgu wspomaganego cyną słuchu, zachowywały jednak na tyle duży dystans, że bez allomantycznej pomocy nie zwróciłyby na nie uwagi.

Interesujące, pomyślała, zbliżając się do krawędzi sali. Yomen przynajmniej jej nie lekceważył. Ale jak wyślizgnąć się kobietom? Zamieszanie wywołane przez Elenda nie zwróci ich uwagi, a jeśli Vin spróbuje im uciec, podniosą alarm.

Spacerując i rozważając problem, zauważyła znajomą postać siedzącą na krawędzi sali. Slowswift siedział w swoim typowym surducie i palił fajkę, odpoczywając na jednym z krzeseł przeznaczonych dla starszych lub zmęczonych tańcem gości.

- Sądziłam, że nie przychodzisz na te bale - zauważyła z uśmiechem. Z tyłu jej dwa cienie zręcznie włączyły się do rozmowy w pewnej odległości od niej.

- Przychodzę jedynie, gdy urządza je mój król - odparł Slowswift.

- Aha - stwierdziła Vin i odeszła.

Kątem oka zauważyła, jak Slowswift marszczy czoło. Najwyraźniej spodziewał się, że porozmawia z nim dłużej, ale nie mogła ryzykować, że powie coś obciążającego. A w każdym razie jeszcze nie. Jej cienie wyrwały się z rozmowy, lecz szybkie odejście Vin sprawiło, że musiały zrobić to w niezręczny sposób. Po krótkiej chwili Vin zatrzymała się, pozwalając kobietom włączyć się do kolejnej rozmowy.

Wtedy Vin obróciła się na pięcie i podeszła szybkim krokiem do Slowswifta, próbując sprawiać wrażenie, że nagle sobie o czymś przypomniała. Jej ogon, który próbował cały czas wyglądać naturalnie, miał pewne problemy. Kobiety zawahały się, a Vin zyskała trochę czasu.

Przechodząc, pochyliła się nad Slowswiftem.

- Potrzebuję dwóch mężczyzn - powiedziała. - Takich, którym ufasz przeciwko Yomenowi. Niech spotkają się ze mną w miejscu, które jest bardziej ustronne, gdzie można usiąść i porozmawiać.

- Taras - powiedział Slowswift. - Lewym korytarzem i na zewnątrz.

- Dobrze. Powiedz im, żeby tam poszli, ale niech później zaczekają, aż do nich podejdem. Wyślij też, proszę, kogoś do Elenda. Powiedz mu, że potrzebuję jeszcze pół godziny.

Slowswift pokiwał głową, a Vin uśmiechnęła się, gdy jej cienie się przybliżyły.

- Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej - powiedziała, przywołując na twarz współczujący uśmiech.

- Dziękuję ci, moja droga - odparł Slowswift i kaszlnął cicho.

Vin znów go opuściła. Powoli kierowała się w stronę wskazaną przez Slowswifta, ku wyjściu, które zauważyła już wcześniej. I rzeczywiście, kilka chwil później weszła we mgłę.

W budynkach mgła szybko znika, pomyślała Vin. Wszyscy zakładają, że ma to coś wspólnego z temperaturą, a może brakiem prądów powietrza.

Po kilku chwilach znalazła się na oświetlonym latarniami tarasie. Choć ustawiono na nim stoliki, w okolicy nie było wielu ludzi. Służący nie wychodzili we mgłę, a większość szlachetnie urodzonych - choć nigdy by się do tego nie przyznała - uważała ją za niepokojącą.

Vin podeszła do zdobionej metalowej balustrady, oparła się o nią i spojrzała w niebo. Czuła wokół siebie mgły i bezmyślnie bawiła się kolczykiem.

Wkrótce pojawiły się jej dwa cienie, rozmawiając cicho, a dzięki cynie Vin usłyszała, że dyskutują o tym, jak duszno jest w sali. Vin uśmiechnęła się i nie zmieniała pozycji, gdy kobiety usiadły na krzesłach w pewnej odległości od niej, nie przerywając rozmowy. Po jakimś czasie do środka weszli dwaj młodzi mężczyźni i usiedli przy innym stoliku. Nie byli przy tym tak naturalni, ale Vin miała nadzieję, że nie zachowywali się też na tyle podejrzanie, by przyciągać uwagę.

Czekała.

Życie złodzieja - życie spędzone na przygotowywaniu się do roboty, obserwowaniu i starannym wybieraniu dogodnego momentu do kradzieży kieszonkowej - nauczyło ją cierpliwości. Tej cechy dziecka ulicy nigdy nie utraciła. Stała, wpatrując się w niebo i nie dając żadnej wskazówki, że ma zamiar odejść. Teraz musiała poczekać na odwrócenie uwagi.

Nie powinnaś była na niego liczyć, wyszeptał Reen w jej głowie. Zawiedzie. Nigdy nie pozwalaj, by twoje życie zależało od umiejętności kogoś, czyje życie również nie wisi na włosku.

To było jedno z ulubionych powiedzeń Reena. Nie myślała już o nim zbyt często - ani w ogóle o swoim dawnym życiu. Tamto życie było pełne cierpienia i smutku. Brat, który ją bił, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, szalona matka, która bez powodu zamordowała małą siostrę Vin.

Na szczęście, tamto życie było tylko słabym echem. Uśmiechnęła się, rozbawiona faktem, jak daleko zaszła. Reen mógłby nazwać ją głupią, ale ufała Elendowi - ufała, że mu się powie, powierzyła mu swoje życie, wcześniej nigdy by nie zrobiła czegoś takiego.

Po jakichś dziesięciu minutach ktoś wyszedł z sali i podszedł do pary kobiet.

Porozmawiał z nimi i wrócił na przyjęcie. Dwadzieścia minut później zjawił się inny mężczyzna i zrobił dokładnie to samo. Vin miała nadzieję, że kobiety przekażą informacje, na jakie liczyła - że najwyraźniej miała zamiar spędzić bliżej nieokreślony czas na zewnątrz, wpatrując się w mgły. Ci

wewnątrz nie będą się spodziewać jej powrotu.

Kilka chwil po powrocie drugiego posłańca na przyjęcie, na zewnątrz wybiegł

mężczyzna i podszedł do jednego ze stolików.

- Musicie tego posłuchać! - wyszeptał do siedzących przy stole. Jedynych obecnych na tarasie, którzy nie mieli nic wspólnego z Vin. Grupka wyszła.

Vin się uśmiechnęła.

Oto Elend zabrał się za odwracanie uwagi.

Wyskoczyła w powietrze i Odepchnęła się od balustrady, przelatując przez taras.

Kobiety, wyraźnie znudzone, rozmawiały ze sobą od niechcienia. Dopiero po chwili zauważyły poruszenie Vin. Ona w tym czasie z łopotem sukni przeleciała nad opustoszałym tarasem. Jedna z kobiet otworzyła usta, żeby krzyknąć.

Vin zgasła metale, po czym spaliła duraluminium i mosiądz, Odpychając uczucia obu kobiet.

Zrobiła to tylko raz wcześniej, Straffowi Venture. Wspomagane duraluminium Odpychanie mosiądzem było czymś straszliwym - tłumiło uczucia człowieka, sprawiając, że czuł się pusty, kompletnie pozbawiony emocji. Obie kobiety sapnęły, a ta, która stała, upadła.

Vin wylądowała ciężko, wciąż miała zgaszoną cynę z ołowiem, gdyż nie chciała jej łączyć z duraluminium. Natychmiast jednak zapaliła cynę z ołowiem i poderwała się na równe nogi. Uderzyła jedną z kobiet łokciem w brzuch, po czym chwyciła ją za głowę i uderzyła nią w stół, pozbawiając swoją ofiarę przytomności. Druga kobieta siedziała oszołomiona na ziemi. Vin skrzywiła się, po czym chwyciła ją za gardło i zaczęła dusić.

To było brutalne posunięcie, lecz Vin nie przerywała do chwili, gdy kobieta straciła przytomność - o czym świadczył fakt, że jej allomantyczna chmura miedzi zniknęła. Vin westchnęła i puściła kobietę, która osunęła się na ziemię, nieprzytomna.

Vin się odwróciła. Młodzi mężczyźni przysłani przez Słowswifta stali niepewnie obok.

Wezwała ich gestem.

- Wepchnijcie je w krzaki - powiedziała szybko Vin - i usiądźcie przy stole. Gdyby ktokolwiek o nie pytał, powiedzcie, że widzieliście, jak szły za mną na przyjęcie. Mam nadzieję, że to wywoła dezorientację.

Mężczyźni się zarumienili.

- My...

- Róbcie, co wam mówię, albo uciekajcie - warknęła Vin. - Nie kłóćcie się ze mną. Nie zabiłam ich, ale nie mogę pozwolić, żeby doniosły, że się im wyslizgnęłam. Jeśli się poruszają, musicie znów pozbawić je przytomności.

Mężczyźni niechętnie pokiwali głowami.

Vin rozpięła suknię i pozwoliła, by zsunęła się na ziemię. Pod spodem miała przylegający do ciała ciemny strój. Dała suknię mężczyznom, by też ją ukryli, po czym weszła do budynku i oddaliła się od przyjęcia. W pełnym mgły korytarzu znalazła klatkę schodową i zeszła nią na dół. Elend z pewnością właśnie znajduje się w trakcie odwracania uwagi. Miała nadzieję, że zajmie mu to wystarczająco długo.

* * *

- Zgadza się - powiedział Elend, zakładając ręce na piersi i wpatrując się w Yomena. -

Pojedynek. Po co zmuszać armie do walki o miasto? We dwóch możemy rozwiązać tę sprawę.

Yomen się nie roześmiał, uznając pomysł za absurdalny. Po prostu siedział przy stole i patrzył na Elenda zamyślonymi oczami osadzonymi w łysej, wytatuowanej głowie, a pojedyncza bryłka atium na środku czoła połyskiwała w blasku latarni. Reszta zebranych zareagowała tak, jak spodziewał się Elend. Rozmowy ucichły, a ludzie pośpieszyli bliżej, zbierając się w głównej sali, by oglądać konfrontację między cesarzem a królem.

- Dlaczego uważasz, że zgodziłbym się na coś takiego? - spytał w końcu Yomen.

- Jesteś uważany za człowieka honoru.

- Ale ty nie - odparł Yomen, wskazując na Elenda. - A dowodem na to jest twoja propozycja. Jesteś Allomantą... między nami nie byłoby walki. Cóż to za honor?

Elenda wcale to nie obchodziło. Chciał jedynie zająć Yomena jak najdłużej.

- To wybierz swojego przedstawiciela - odparł. - Będę walczył z nim.

- Tobie mógłby dorównać jedynie Zrodzony z Mgły - zauważył Yomen.

- To każ mi z nim walczyć.

- Niestety, żadnego nie mam. Zdobyłem swoje królestwo dzięki uczciwości, praworządności i łasce Ostatniego Imperatora... nie za pomocą skrytobójczych gróźb, jak ty.

Nie masz Zrodzonego z Mgły, powiadasz? - pomyślał z uśmiechem Elend. Czyli twoja

„uczciwość, praworządność i łaska” nie wykluczają kłamstwa?

- Naprawdę pozwolisz swoim ludziom umrzeć? - spytał Elend głośno, obejmując gestem salę.

Zbierał się coraz większy tłum. - Wyłącznie ze względu na swoją dumę?

- Dumę? - powtórzył Yomen, pochylając się. - Nazywasz dumą pragnienie obrony własnej władzy? Ja nazywam dumą wprowadzenie armii do królestwa innego człowieka i próbę zastraszenia go barbarzyńskimi monstrami.

- Monstrami, które stworzył twój Ostatni Imperator, by wykorzystywać je do zastraszania i podbijania - stwierdził Elend.

Yomen się zawahał.

- Tak, Ostatni Imperator stworzył kolosy - przyznał. - Jego prawem było zdecydować, jak zostaną wykorzystane. Poza tym trzymał je z dala od cywilizowanych miast... a ty przyprowadziłeś je do nas.

- Owszem, i nie zaatakowały. To dlatego, że panuję nad nimi tak samo, jak Ostatni Imperator. Czy to nie świadczyłoby o tym, że odziedziczyłem jego prawo do władzy?

Yomen skrzywił się. Być może zauważył, że argumenty Elenda się zmieniają - że mówił, cokolwiek przyszło mu do głowy, by tylko nie przerywać dyskusji.

- Może nie jesteś skłonny uratować tego miasta - powiedział Elend - lecz są w nim mądrzejsi ludzie. Nie myślisz chyba, że przyszedłem bez sojuszników, prawda?

Yomen znów się zawahał.

- Tak - powiedział Elend, spoglądając na zebranych. - Nie walczysz tylko przeciwko mnie, Yomenie. Walczysz przeciwko swojemu ludowi. Kto cię zdradzi, kiedy nadejdzie czas?

Na ile tak naprawdę możesz zaufać ludziom?

Yomen prychnął.

- Czcze groźby, Venture. O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?

Elend wyczuł, że jego słowa zaniepokoiły Yomena. On rzeczywiście nie ufał

miejscowej arystokracji. Zresztą, byłby głupcem, gdyby im ufał.

Elend uśmiechnął się, przygotowując ostatni argument. Mógł prowadzić tę dyskusję przez dłuższy czas. Jeśli bowiem istniała umiejętność, którą opanował szczególnie dobrze dorastając w domu swojego ojca, to było nią irytowanie ludzi.

Odwrociłem uwagę, Vin, pomyślał Elend. Miejmy nadzieję, że uda ci się powstrzymać walkę w tym mieście, nim naprawdę się zacznie.

Każdy kolec, umieszczony bardzo starannie, decyduje, w jaki sposób Hemalurgia zmieni ciało biorcy. Kolec w jednym miejscu tworzy potworną, niemal bezmyślną bestię. W

innym przebiegłego, choć śmiertelnie niebezpiecznego Inkwizytora.

Bez instynktownej wiedzy uzyskanej przy Studni Wstąpienia Rashek nie byłby zdolny korzystać z Hemalurgii. Dzięki poszerzeniu horyzontów i pewnej praktyce wywnioskował, gdzie umieszczać kolce, by stworzyć sługi, jakich potrzebował.

Niewielu wie, że sale tortur Inkwizytorów były w rzeczywistości laboratoriami hemalurgicznymi. Ostatni Imperator wciąż próbował stworzyć nowe rodzaje sług. O

skomplikowaniu Hemalurgii świadczy fakt, że mimo tysiąca lat prób nie udało mu się stworzyć niczego poza trzema rodzajami istot, które wymyślił w ciągu kilku chwil, gdy trzymał moc.

44

Vin ostrożnie schodziła po kamiennych schodach; z dołu dobiegały ją ciche dźwięki.

Nie miała pochodni ani latarni, a klatka schodowa nie była oświetlona, lecz światło dochodzące z góry i z dołu wystarczało, by jej wspomaganą cyną wzrok przebijał mrok.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większy sens miała duża piwnica. To był

Kanton Zasobów - ramię Zakonu, mającego za zadanie wykarmienie ludzi, utrzymywanie kanałów i zapewnianie wsparcia innym Kantonom. Vin przypuszczała, że piwnica była niegdyś pełna zapasów. Jeśli tajny magazyn rzeczywiście się tu znajdował, byłby pierwszym, który Vin odkryła pod budynkiem Kantonu Zasobów. Obiecywała sobie po nim wielkie rzeczy. Czy może być lepsze miejsce do ukrycia atium i najważniejszych zasobów niż organizacja, która zarządzała transportem i magazynami w całym imperium?

Schody były proste, utylitarne i strome. Vin zmarszczyła nos, czując smród stęchlizny, mocno wyczuwalny dla jej wspomaganego cyną nosa. Z drugiej strony cieszyła się z lepszego wzroku, nie wspominając już o słuchu, dzięki któremu usłyszała poniżej brzęk pancerza -

wskazówkę, że powinna się poruszać dość ostrożnie.

I tak też zrobiła. Dotarła na dół schodów i wyjrzała za róg. Od podestu schodów prowadziły trzy wąskie kamienne korytarze, ustawione względem siebie pod kątem prostym.

Odgłosy dochodziły z prawej, a gdy Vin wyjrzała nieco bardziej, niemal podskoczyła na widok pary strażników opartej leniwie o ścianę w niewielkiej odległości.

Strażnicy w korytarzach, pomyślała Vin, znów chowając się na schodach. Yomen zdecydowanie próbuje coś tam ukryć.

Vin przykucnęła na szorstkim, chłodnym kamieniu. Cyna z ołowiem, stal i żelazo były mało przydatne w tej sytuacji. Mogła zabić obu strażników, ale było to ryzykowne, ponieważ nie mogła sobie

pozwolić na zrobienie najmniejszego hałasu. Nie wiedziała, gdzie jest magazyn - i dlatego nie mogła sobie pozwolić na wywołanie zamieszania, jeszcze nie.

Zamknęła oczy, spalając mosiądz i cynk. Ostrożnie - i bardzo powoli - Uspokoiła uczucia obu żołnierzy. Słyszała, jak opierają się wygodniej o ścianę korytarza. Później zaczęła Podżegać ich znużenie, podsycając to jedno uczucie. Znow wyjrzała za róg, nie przerywając nacisku.

Jeden z mężczyzn ziewnął. Kilka chwil później ziewnął drugi. Później ziewnęli jednocześnie. A Vin przebiegła przez podest i zniknęła w zaciemionym korytarzu. Przycisnęła się do ściany i z mocno bijącym sercem czekała. Nie rozległ się żaden krzyk, choć jeden ze strażników mruknął coś na temat zmęczenia.

Vin uśmiechnęła się podekscytowana. Od dawna się tak naprawdę nie skradała.

Szpiegowała i prowadziła zwiad, ale polegała wtedy na mgłach, ciemności i umiejętności szybkiego poruszania. To było inne. Przypominało jej dni, kiedy wraz z Reenem włamywali się do domów.

Co by powiedział teraz mój braciszek? - zastanawiała się, idąc korytarzem nienaturalnie lekkim, cichym krokiem. Pomyślałaby, że oszalałam, włamując się do budynku nie z powodu bogactwa, lecz informacji. Dla Reena liczyło się przede wszystkim przeżycie -

proste, brutalne przetrwanie. Nie ufaj nikomu. Stań się bezcenny dla ekipy, ale nie bądź zbyt groźny. Bądź bezlitosny. Pozostań przy życiu.

Nie zapomniała jego lekcji. Zawsze były częścią jej osoby - to one utrzymały ją przy życiu i kazały zachowywać ostrożność, nawet w czasach spędzonych z ekipą Kelsiera. Po prostu już nie kierowała się wyłącznie nimi. Złagodziła je zaufaniem i nadzieją.

„Zaufanie kiedyś cię zabije”, szeptał Reen z tyłu jej głowy. Ale oczywiście nawet sam Reen nie kierował się wyłącznie swoim kodeksem. Umarł, chroniąc Vin, nie chcąc wydać jej Inkwizytorom, choć mogłoby to uratować mu życie.

Vin nie przerywała marszu. Wkrótce stało się jasne, że piwnica jest rozległą siecią wąskich korytarzy otaczających większe pomieszczenia. Zajrzała do jednego z nich, uchylając drzwi, i znalazła pewne zapasy. To były podstawowe rzeczy, mąka i inne tego rodzaju produkty - niestarannie zapakowane w puszki, ułożone i skatalogowane długoterminowe zapasy z magazynu w jaskini.

W jednym z tych korytarzy musi być nabrzeże rozładunkowe, pomyślała Vin. Pewnie wznosi się łagodnie, prowadząc do tego kanału, który płynie przez miasto.

Vin szła dalej, ale wiedziała, że nie będzie miała czasu przeszukać każdego z licznych pomieszczeń. Dotarła do kolejnego skrzyżowania korytarzy i przykucnęła, marszcząc czoło.

Elend nie będzie w nieskończoność zajmował Yomena, a ktoś w końcu znajdzie kobiety, które pozbawiła przytomności. Musiała szybko dotrzeć do magazynu.

Rozejrzała się wokół. Korytarze oświetlały pojedyncze lampy. Więcej światła dochodziło z lewej

strony. Ruszyła tym korytarzem i zauważyła, że lampy wiszą coraz gęściej. Wkrótce usłyszała głosy i ostrożnie zbliżyła się do kolejnego skrzyżowania.

Wyrzała. Po lewej widziała dwóch żołnierzy. Po prawej było ich czterech.

W takim razie w prawą, pomyślała. Jednak miało być to nieco trudniejsze.

Zamknęła oczy, nasłuchując uważnie. Słyszała obie grupy żołnierzy, ale wyczuwała coś jeszcze. Inne grupy w pewnej odległości. Vin wybrała jedną z nich i zaczęła Przyciągać potężnym Podżeganiem. Kamień ani stal nie zatrzymywały Uspokajania i Podżegania - w czasach Ostatniego Imperium Ostatni Imperator umieścił Uspokajaczy w różnych częściach slumsów skaa, każąc im Uspokajać uczucia wszystkich wokół. W ten sposób wpływali na uczucia setek, czasem nawet tysięcy ludzi jednocześnie.

Czekała. Nic się nie działo. Próbowwała Podżegać złość mężczyzny i jego irytację. Nie wiedziała jednak nawet, czy Przyciąga we właściwym kierunku. Do tego Podżeganie i Uspokajanie nie były tak dokładne jak Odpychanie stali. Breeze zawsze wyjaśniał, że emocjonalny charakter człowieka to skomplikowana mieszanka myśli, instynktów i uczuć.

Allomanta nie mógł panować nad umysłami ani działaniami. Mógł jedynie nakłaniać.

Chyba że...

Odetchnąwszy głęboko, Vin zgasiła wszystkie metale. Później spaliła duraluminium i cynk, i Przyciągnęła w kierunku odległych strażników, uderzając w nich potężnym wybuchem uczuciowej Allomancji.

Natychmiast w korytarzu rozległo się przekleństwo. Vin się skuliła. Na szczęście, nie było skierowane pod jej adresem. Strażnicy w korytarzu nadstawili uszu, a odległa kłótnia stawała się coraz bardziej gorączkowa, głośniejsza. Vin nie musiała spalać cyny, by usłyszeć spór, kiedy mężczyźni zaczęli na siebie wrzeszczeć.

Strażnicy po lewej odbiegli, szukając źródła niepokoju. Ci po prawej zostawili jednak dwóch ludzi, więc Vin wypięła flakonik metali, po czym zaczęła Podżegać ich uczucia, zwiększając ich ciekawość.

Żołnierze ruszyli za towarzyszami, a Vin pobiegła korytarzem. Wkrótce zobaczyła, że instynkt znów jej nie zawiodł - czterej mężczyźni strzegli wejścia do jednego z pomieszczeń magazynowych. Vin odetchnęła głęboko, po czym otworzyła drzwi i wskoczyła do środka.

Kłapa wewnątrz była opuszczona, ale ona wiedziała, czego szuka. Otworzyła ją i skoczyła w ciemność.

Spadając, Odepchnęła w dół monetę, wykorzystując odgłos, jaki wydała, upadając, do oceny odległości. Wylądowała na szorstkich kamieniach, stojąc w całkowitej ciemności -

takiej, której nie mogła przebić nawet cyna. Pomacała jednak dookoła i znalazła na ścianie latarnię. Wyjęła krzesiwo i wkrótce miała światło.

I oto były, drzwi prowadzące do jaskini. Kamienne zawiasy zostały wyrwane, drzwi wyważone. Mur wciąż był na miejscu, a same drzwi wyglądały na nietknięte, lecz otwarcie ich wyraźnie wymagało dużo pracy. Drzwi były uchylone, na tyle, by jedna osoba mogła się prześlizgnąć. Najwyraźniej otwarcie ich w taki sposób wymagało od Yomena wiele wysiłku.

Musiał wiedzieć, że tam są, pomyślała Vin, prostując się. Ale... po co je tak wyłamywać? Ma Zrodzonego z Mgły, który mógłby je otworzyć przyciąganiem stali.

Z sercem drżącym z oczekiwania Vin prześlizgnęła się przez otwór i weszła do cichej jaskini. Natychmiast zeskoczyła na jej dno i zaczęła szukać płyty z informacjami pozostawionymi przez Ostatniego Imperatora. Musiała tylko...

Z tyłu kamień zazgrzytał o kamień. Vin obróciła się na pięcie i z przerażeniem coś sobie uświadomiła.

Kamienne drzwi zostały zamknięte za jej plecami.

* * *

- ...i dlatego właśnie - powiedział Elend - system rządów Ostatniego Imperatora musiał upaść.

Tracił ich. Widział to - coraz więcej ludzi traciło zainteresowanie dyskusją. Problem polegał na tym, że sam Yomen wydawał się zainteresowany.

- Popełniasz błąd, młody Venture - stwierdził obligator, leniwie stukając widelcem w stół. - Program szkolenia lokajów z szóstego stulecia nie był nawet pomysłem Ostatniego Imperatora. Utworzony wówczas Kanton Inkwizycji zaproponował go jako sposób kontrolowania populacji Terris, a Ostatni Imperator wyraził tymczasową zgodę.

- A ten tymczasowy program skończył się podporządkowaniem całej rasy - stwierdził

Elend.

- Podporządkowanie zaczęło się o wiele wcześniej - zauważył Yomen. - Wszyscy znają tę historię, Venture. Terrisianie absolutnie odmawiali podporządkowania się imperialnej władzy i trzeba było ich powstrzymać. Ale czy możesz uczciwie powiedzieć, że terrisańscy lokaje byli źle traktowani? To najbardziej szanowani służący w całym imperium!

- Nie nazwałbym uczynienia ulubionym niewolnikiem wystarczającą nagrodą za utratę męskości - powiedział Elend, unosząc brew i zaplatając ręce na piersi.

- Mógłbym tu zacytować przynajmniej tuzin różnych źródeł. - Yomen machnął ręką. -

A co z Trendalanem? Utrzymywał, że uczynienie eunuchem pozwoliło mu zajmować się poważniejszymi zagadnieniami logiki i harmonii, gdyż nie rozpraszały go przyziemne żądze.

- Nie miał wyboru w tej kwestii - zauważył Elend.

- Niewielu z nas ma wybór w swojej sytuacji - odparł Yomen.

- Wolę, by ludzie mieli ten wybór. Jak pewnie zauważyłeś, na swoich terytoriach dałem skaa wolność, a szlachetnie urodzonym parlament, dzięki czemu mogą brać udział w rządzeniu miastem, w którym mieszkają.

- Piękne ideały - odparł Yomen - i rozpoznaję słowa samego Trendalana w tym, co twierdzisz. Jednak nawet on uważał, że jest mało prawdopodobne, by taki system zachował stabilność przez dłuższy czas.

Elend się uśmiechnął. Od dawna nie prowadził takiej dyskusji. Ham nigdy nie wchodził głęboko w zagadnienia - lubił pytania filozoficzne, ale nie uczone debaty - a Sazed nie lubił się kłócić.

Szkoda, że nie poznałem Yomena, kiedy byłem młodszy, pomyślał Elend. W czasach, kiedy jeszcze miałem możliwość przejmować się filozofią. Ależ moglibyśmy prowadzić dyskusje...

Oczywiście, dyskusje te pewnie skończyłyby się tym, że Elend wylądowałby w rękach Stalowych Inkwizytorów ze względu na swoje rewolucyjne poglądy. Mimo to, musiał

przyznać, że Yomen nie był głupcem. Znał się na historii i polityce - po prostu miał

całkowicie błędne poglądy. Innego dnia Elend z radością próbowałby przekonać go do zmiany zdania.

Niestety, ta dyskusja była coraz trudniejsza dla Elenda. Nie mógł utrzymać jednocześnie zainteresowania Yomena i uwagi tłumu. Za każdym razem, gdy próbował zrobić coś, co przyciągnęłoby widzów, Yomen zaczynał robić się podejrzliwy - a za każdym razem, gdy próbował zainteresować króla, zebrani zaczynali nudzić się filozoficzną debatą.

Dlatego Elend wręcz poczuł ulgę, gdy w końcu rozległy się krzyki zaskoczenia. Kilka chwil później para żołnierzy wpadła do sali, niosąc oszołomioną i zakrwawioną młodą kobietę w balowej sukni.

Na Ostatniego Imperatora, Vin! - pomyślał Elend. Czy to było naprawdę konieczne?

Elend spojrzał na Yomena, wymienili spojrzenia. Wówczas Yomen wstał.

- Gdzie jest cesarzowa Venture?! - wykrzyknął.

Czas iść, pomyślał Elend, przypominając sobie obietnicę, jaką złożył Vin. Coś mu się przypomniało. Mogę nie mieć kolejnej szansy, żeby się zbliżyć do Yomena, pomyślał Elend.

I istnieje tylko jeden sposób, by sprawdzić, czy jest Allomantą.

Spróbować go zabić.

To było zuchwałe, być może głupie posunięcie, ale Elend czuł się coraz bardziej pewien, że nigdy nie przekona Yomena do poddania miasta. Mógł twierdzić, że nie jest Zrodzonym z Mgły - ważne, by sprawdzić, czy mówi prawdę. Dlatego ufając w swe instynkty w tej kwestii, Elend upuścił monetę i Odepchnął się na scenę. Goście zaczęli krzyżeć, ich idylliczny świat rozpadł się na kawałki, gdy Elend wyciągnął dwa szklane sztylety. Yomen zbladł i się cofnął. Dwaj strażnicy, którzy udawali, że towarzyszą Yomenowi przy posiłku, wstali ze swoich miejsc i wyciągnęli spod stołu kije.

- Kłamca! - warknął Yomen, gdy Elend wylądował na stole. - Złodziej, rzeźnik, tyran!

Elend wzruszył ramionami i rzucił w strażników monetami, powalając ich bez trudu.

Rzucił się na Yomena, chwycił go za szyję i szarpnął do tyłu. W tłumie rozległy się sapnięcia i krzyki.

Elend naciskał, dusząc Yomena. Kończyn mężczyzny nie napełniła siła. Żadne allomantyczne Przyciąganie ani Odpychanie nie próbowało go wyrwać z uścisku Elenda.

Obligator się nie opierał.

Albo nie jest Allomantą, pomyślał Elend, albo doskonale gra.

Puścił Yomena, popychając króla z powrotem na stół. Potrząsnął głową - oto tajemnica, która...

Yomen rzucił się do przodu, wyciągnął szklany nóż i się zamachnął. Elend odskoczył do tyłu, lecz nóż trafił w jego przedramię. Rana promieniowała bólem, wzmacnianym cyną, i Elend zaklął, zataczając się do tyłu.

Obligator znów zaatakował, a Elend powinien był uniknąć tego ciosu. Miał cynę z ołowiem, a Yomen poruszał się niezręcznie, jak zwykły człowiek. Jednak nóż poruszał się wraz z Elendem i jakimś sposobem trafił go w bok. Elend sapnął, czując gorącą krew na skórze, i spojrzał w oczy Yomena. Król wyciągnął nóż, bez trudu unikając ciosu Elenda.

Zupełnie jakby...

Elend spalił elektrum, dzięki czemu otoczyła go bańka fałszywych obrazów atium.

Yomen natychmiast się zawahał i wydawał się zdezorientowany.

Spala atium, pomyślał wstrząśnięty Elend. To oznacza, że jest Zrodzonym z Mgły!

Elend pragnął zostać i walczyć, lecz rana w boku była poważna - na tyle poważna, że wiedział, że trzeba ją będzie wkrótce opatrzyć. Przeklinając własną głupotę, Odepchnął się w powietrze, zalewając krwią przerażonych szlachetnie urodzonych zebranych poniżej.

Powinien był wysłuchać Vin - w obozie czeka go pewnie poważny wykład.

Wylądował i zauważył, że Yomen nie ma zamiaru go gonić. Król-obligator siedział za stołem, trzymając w dłoni nóż czerwony od krwi Elenda, i patrzył na niego z gniewem.

Elend odwrócił się, rzucił garść monet i Odepchnął je w powietrze nad głowami gości

- upewniając się, że żadnego z nich nie trafi. Skulili się przerażeni, rzucając się na ziemię.

Gdy monety upadły, Elend Odepchnął się od nich i przeleciał pod sklepieniem w stronę wskazanego przez Vin wyjścia. Wkrótce znalazł się na wypełnionym mgłą tarasie.

Spojrzał na budynek, czując dziwną frustrację, choć nie wiedział dlaczego. Zrobił

swoje - przez dobre pół godziny odwracał uwagę Yomena i jego gości. Owszem, dał się zranić, ale odkrył, że Yomen był Allomantą. To warto wiedzieć.

Upuścił monetę i wystrzelił w powietrze.

* * *

Trzy godziny później Elend siedział z Hamem w namiocie dowodzenia i czekał.

Dał sobie opatrzeć ramię i bok. Vin nie przybyła.

Opowiedział innym o tym, co się wydarzyło. Vin nie przybyła.

Ham zmusił go, żeby coś zjadł. Później Elend chodził przez godzinę po namiocie, a Vin wciąż nie było.

- Wracam - powiedział Elend i wstał.

Ham spojrzał na niego.

- El, straciłeś mnóstwo krwi. Sądzę, że jedynie cyna z ołowiem utrzymuje cię na nogach.

To była prawda. Elend czuł zmęczenie pod zasłoną cyny z ołowiem.

- Poradzę sobie.

- Zabijesz się w ten sposób - stwierdził Ham.

- Nie obchodzi mnie to. Ja... - Przerwał, gdy dzięki cynie usłyszał kogoś zbliżającego się do namiotu. Odsunął klapy, zanim mężczyzna się zbliżył, zaskakując go.

- Milordzie! - powiedział tamten. - Wiadomość z miasta.

Elend chwycił list i go rozerwał.

Pretendencie Venture, brzmiała wiadomość, mam ją, jak pewnie się domyśliłeś.

Zrodzeni z Mgły mają pewną cechę. Wszyscy jak jeden mąż, są zbyt pewni siebie. Dziękuję za interesującą rozmowę. Cieszę się, że przez tak długi czas odwracałem twoją uwagę.

Król Yomen.

* * *

Vin siedziała w ciemnej jaskini. Oparła plecy o kamienny blok, który był drzwiami jej więzienia. Obok, na kamiennej posadzce, stała przygasająca latarnia, którą ze sobą wzięła.

Przyciągała i Odpychała, próbując się wydostać na zewnątrz. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, że porozbijane kamienie, które widziała na zewnątrz - i, jak zakładała, były wynikiem siłowego otwierania drzwi - miały inny cel. Yomen najwyraźniej usunął

wszystkie metalowe płyty w wejściu, te, które Allomanta mógł wykorzystać do Przyciągania lub Odpychania. W ten sposób drzwi zmieniły się w kamienną przeszkodę. Wykorzystując wspomaganą duraluminium cynę z ołowiem, powinna była ją odepchnąć. Niestety, miała problemy ze znalezieniem oparcia na podłodze, która opadała w dół od wejścia. Do tego tamci musieli zrobić coś z zawiasami - a może po prostu umieścili kamienie po drugiej stronie

- gdyż mimo jej prób drzwi nawet nie drgnęły.

Siedziała oparta o kamienne drzwi i zaciskała zęby. Yomen zastawił na nią pułapkę.

Czy byli z Elendem aż tak przewidywalni? Tak czy inaczej, było to błyskotliwe posunięcie.

Yomen wiedział, że nie może z nimi walczyć. Dlatego po prostu uwięził Vin. Efekt ten sam, ale bez ryzyka. A ona wpadła w pułapkę.

Zbadała całe pomieszczenie w poszukiwaniu innego wyjścia, ale nic nie znalazła. Co gorsza, nie widziała zapasu atium. Trudno było jej to ocenić, biorąc pod uwagę wszystkie puszki z jedzeniem i inne źródła metalu, lecz początkowe poszukiwania nie były obiecujące.

- Oczywiście, że go tu nie będzie - mruknęła. - Yomen nie miał czasu wyciągnąć tych wszystkich puszek, ale jeśli planował mnie uwięzić, z pewnością usunął atium. Co za idiotka ze mnie!

Znów oparła się o ścianę, zirytowana, sfrustrowana, wyczerpana.

Mam nadzieję, że Elend zrobił to, o co prosiłam, pomyślała Vin. Jeśli on też dał się schwytać...

W ciemnościach rozległ się dźwięk.

Vin zamarła, po czym szybko przykucnęła. Sprawdziła rezerwy metalu - miała go mnóstwo, przynajmniej na razie.

Pewnie jestem tylko...

Znów się rozległ. Cichy krok. Vin zadrżała, uświadamiając sobie, że sprawdziła jaskinię jedynie pobieżnie, szukając atium i dróg wyjścia. Czy ktoś mógł się tam kryć przez cały czas?

Spaliła brąz i wyczuła go. Allomanta. Zrodzony z Mgły. Ten, którego wyczuwała wcześniej - mężczyzna, którego goniła.

O to chodzi! - pomyślała. Yomen chciał, żeby jego Allomanta z nami walczył - ale wiedział, że musi wcześniej nas rozdzielić! Uśmiechnęła się i wstała. To nie była idealna sytuacja, ale lepsza niż zastanawianie się nad nieruchomymi drzwiami. Mogła pokonać Zrodzonego z Mgły, a później wziąć go w niewolę, aż ją wypuszczą.

Zaczekała do chwili, gdy mężczyzna się zbliżył - wyczuwała jego allomantyczne impulsy, ale miała nadzieję, że on o tym nie wie - po czym obróciła się na pięcie i kopnęła latarnię w jego stronę. Skoczyła do przodu, kierując się w stronę wroga, który stał wyraźnie widoczny w ostatnich płomieniach lampy. Spojrzał na nią, gdy wznosiła się w powietrze z uniesionymi sztyletami.

I rozpoznała jego twarz.

Reen.

CZEŚĆ CZWARTA:

PIĘKNA

NISZCZYCIELKA

Człowiek obdarzony pewną mocą - na przykład zdolnościami allomantycznymi - który później otrzymał hemalurgiczny kolec dający tę samą moc, byłby niemal dwukrotnie silniejszy od zwykłego Allomanty.

Dlatego Inkwizytor, który przed transformacją był Szperaczem, zyskiwał większą zdolność wykorzystania brązu. To wyjaśnia, dlaczego wielu Inkwizytorów było zdolnych przebijać chmury miedzi.

45

Vin wylądowała, przerywając atak, wciąż jednak była napięta i wpatrywała się zmrużonymi oczyma. W niepewnym blasku latarni Reen wyglądał tak, jak go zapamiętała.

Cztery lata oczywiście go zmieniły - był wyższy i mocniej zbudowany - lecz miał tę samą twardą twarz pozbawioną humoru. Jego postawa też wyglądała znajomo - w dzieciństwie często stał jak teraz, z rękami założonymi na piersi w geście niezadowolenia.

Wszystko do niej powróciło. Sprawy, które, jak się jej wydawało, ukryła w mrocznych, niedostępnych zakamarkach umysłu - ciosy zadawane ręką Reena, ostra krytyka, ukradkowe przenosiny z miasta do miasta.

A jednak to wspomnienie łagodziło zrozumienie. Już nie była małą dziewczynką, która w milczeniu zносиła bicie. Spoglądając wstecz, widziała strach, który wypełniał wszystko, co robił Reen. On bał się, że jego przyrodnia siostra Allomantka zostanie odkryta i zarżnięta przez Stalowych Inkwizytorów. Bił ją, kiedy się wyróżniała. Wrzeszczał na nią, gdy była zbyt kompetentna. Przenosił się, kiedy się obawiał, że Kanton Inkwizycji trafił na jej ślad.

Reen zginął, żeby ją ochronić. Nauczył ją paranoi i nieufności z wypaczonego poczucia obowiązku, ponieważ sądził, że jedynie w ten sposób będzie zdolna przeżyć na ulicach Ostatniego Imperium. A ona została z nim, znosząc takie traktowanie. W głębi duszy -

nawet nie aż tak głęboko - wiedziała coś bardzo ważnego. Reen ją kochał.

Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie mężczyzny stojącego w jaskini. Pokręciła głową.

Nie, pomyślała. To coś wygląda jak on, ale oczy nie są jego.

- Kim jesteś? - spytała.

- Jestem twoim bratem - odpowiedziała istota, marszcząc czoło. - Minęło zaledwie kilka lat, Vin. Zrobiłaś się arogancka... wydawało mi się, że lepiej cię wychowałem.

Z pewnością doskonale opanował manieryzmy, pomyślała Vin, ostrożnie robiąc krok do przodu. Skąd je zna? Za życia Reena nikt nie uważał go za kogoś ważnego. Nie miałoby powodu, żeby go obserwować.

- Skąd wzięłeś jego kości? - spytała Vin, okrążając stwora. Dno jaskini było szorstkie i pełne rozlicznych regałów. Wszędzie rozciągała się ciemność. - I jakim sposobem tak doskonale oddałeś jego twarz? Myślałam, że kandra muszą pochłonąć ciało, żeby stworzyć odpowiednią kopię.

Musiał być kandra. Inaczej nie dało się stworzyć tak doskonałej imitacji. Istota odwróciła się, przyglądając się jej z niepewną miną.

- Co to za bzdury? Vin, wiem, że nie jesteś człowiekiem, który od razu rzuca się na szyję, ale spodziewałem się, że przynajmniej mnie rozpoznasz.

Vin zignorowała narzekania. Reen, a później Breeze, zbyt dobrze ją wyedukowali.

Rozpoznałaby Reena, gdyby go zobaczyła.

- Potrzebuję informacji - powiedziała. - O jednym z twojego rodzaju. Nazywa się TenSoon i przed rokiem powrócił do waszej Ojczyzny. Powiedział, że czeka go proces. Czy wiesz, co się z nim stało? Chciałabym nawiązać z nim kontakt, jeśli to możliwe.

- Vin - powiedział stanowczo Reen. - Nie jestem kandra.

Zobaczmy, pomyślała Vin, sięgając po cynk i uderzając oszusta falą wspomaganą duraluminium emocjonalnej Allomancji.

Nawet się nie poruszył. Po takim ataku kandra znalazłby się pod kontrolą Vin, podobnie jak kolosy. Vin się zawahała. Coraz trudniej było jej widzieć obcego w blasku gasnącej latarni, nawet z pomocą cyny.

Nieudany wpływ na uczucia oznaczał, że nie był kandra. Ale nie był też Reenem.

Mogła zareagować tylko w jeden sposób.

Zaatakowała.

Kimkolwiek był obcy, znał ją wystarczająco dobrze, by przewidzieć to posunięcie.

Choć wykrzyknął z udawanym zaskoczeniem, natychmiast odskoczył do tyłu i znalazł się poza jej zasięgiem. Poruszał się bardzo lekko - na tyle lekko, że Vin podejrzewała, że spalał

cynę z ołowiem. Wciąż czuła dochodzące od niego allomantyczne impulsy, choć z jakiegoś powodu trudno jej było ocenić, jakie dokładnie metale spala.

Tak czy inaczej, Allomancja jedynie potwierdziła jej podejrzenia. Reen nie był

Allomantą. Owszem, mógł się złamać podczas tych kilku lat, ale nie sądziła, by miał w żyłach arystokratyczną krew, która zapewniłaby mu allomantyczne możliwości. Vin odziedziczyła swoje moce po ojcu, a z Reenem miała wspólną matkę.

Zaatakowała na próbę, sprawdzając umiejętności oszusta. Trzymał się poza jej zasięgiem, starannie ją obserwując, gdy na przemian skradała się i atakowała. Próbowwała przycisnąć go do regału, ale był zbyt ostrożny, by dać się złapać.

- To nie ma sensu - powiedział obcy, odskakując od niej.

Żadnych monet, pomyślała Vin. Nie wykorzystuje monet do skoków.

- Musiałabyś się zbyt odsłonić, żeby mnie trafić, Vin - rzekł obcy - a jak widzisz, ja jestem wystarczająco dobry, żeby trzymać się poza twoim zasięgiem. Czy moglibyśmy to przerwać i zająć się ważniejszymi kwestiami? Naprawdę cię nie ciekawi, co robiłem przez ostatnie cztery lata?

Vin cofnęła się i przykucnęła, jak kot przygotowujący się do skoku, i uśmiechnęła się.

- Co? - spytał obcy.

W tej właśnie chwili jej ociąganie opłaciło się. Za ich plecami przewrócona latarnia w końcu zgasła, pogrążając jaskinię w ciemnościach. Mimo to, Vin, ze swoją zdolnością przebijania chmur miedzi, wciąż wyczuwała swojego przeciwnika. Ona sama upuściła sakiewkę, gdy tylko wyczuła czyjąś obecność w pomieszczeniu - nie miała na sobie żadnego metalu, który mógł ostrzegać go przed jej nadejściem.

Rzuciła się do przodu, pragnąc chwycić swojego przeciwnika za szyję i go unieruchomić.

Allomantyczne impulsy nie pozwalały jej go zobaczyć, ale mówiły jej, gdzie się znajdował. To była wystarczająca przewaga.

Myliła się. Uskoczył przed nią równie łatwo jak wcześniej.

Vin znieruchomiała. Cyna, pomyślała. Słyszysz moje nadejście.

Dlatego przewróciła regał z zapasami i zaatakowała ponownie, gdy rozległ się głośny trzask spadających puszek, odbijający się echem od ścian jaskini.

Obcy znów jej umknął. Vin zamarła. Coś było bardzo nie tak. W jaskini zapadła cisza.

Od ścian nie odbijały się ani dźwięk, ani światło. Vin przykucnęła, opierając palce jednej ręki na chłodnym kamieniu. Czowała dudnienie, jego allomantyczna moc omywała ją falami. Skupiła się na niej, próbując rozróżnić metale, które go wywołały. Jednak impulsy wydawały się nieprzejrzyste. Splątane.

Jest w nich coś znajomego, uświadomiła sobie. Kiedy po raz pierwszy wyczułam tego obcego, myślałam... myślałam, że jest duchem mgły.

Nie bez powodu impulsy wydawały się znajome. Teraz, gdy światło jej nie rozpraszało, każąc jej skojarzyć postać z Reenem, zauważyła to, czego wcześniej nie spostrzegąca.

Jej serce zabiło szybciej i po raz pierwszy tego wieczoru - włączając w to chwilę uwięzienia - poczuła się przestraszona. Impulsy takie jak te, które poczuła przed rokiem.

Impulsy, które doprowadziły ją do Studni Wstąpienia.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - wyszeptała w ciemność.

Śmiech. Odbijał się echem od ścian jaskini, głośny i spowolniony. Dudnienie przybliżyło się, choć nie rozlegał się dźwięk kroków. Impulsy nagle stały się ogromne i zniewalające. Omyły Vin, wolne od ech w jaskini - nierealny dźwięk, który przenikał

wszystko, żywe i martwe. Cofnęła się w ciemnościach i niemal potknęła się o półkę, którą sama wcześniej przewróciła.

Powinienem był się domyślić, że nie dasz się oszukać, rozległ się uprzejmy głos w jej głowie. Głos tej istoty. Słyszała go tylko raz, przed rokiem, gdy uwolniła ją z więzienia w Studni Wstąpienia.

- Czego chcesz? - wyszeptała.

Wiesz, czego chcę. Zawsze wiedziałaś.

I wiedziała. Wyczuła to w chwili, gdy dotknęła istoty. Zniszczenie, tak ją nazwała.

Miało bardzo proste pragnienia. Doprowadzić do końca świata.

- Powstrzymam cię - powiedziała. Nie mogła jednak nie czuć się głupio, wypowiadając te słowa do siły, której nie rozumiała, istoty, która istniała poza ludźmi i poza światami.

Znów śmiech, choć tym razem rozlegał się jedynie w jej głowie. Wciąż wyczuwała pulsowanie Zniszczenia, choć nie w jednym określonym miejscu. Otaczało ją. Zmusiła się do wyprostowania.

Ach, Vin, powiedziało Zniszczenie niemal ojcowskim tonem. Zachowujesz się, jakbym był twoim wrogiem.

- Jesteś moim wrogiem. Pragniesz końca rzeczy, które kocham.

Czy koniec jest zawsze czymś złym? - spytał. Czyż wszystko, nawet świat, nie musi się pewnego dnia skończyć?

- Nie ma potrzeby przyspieszać tego końca - stwierdziła Vin. - Nie ma potrzeby go wymuszać.

Wszystkie rzeczy są poddane swojej naturze, Vin, powiedziało Zniszczenie, opływając ją. Czuła jego dotyk na sobie - wilgotny i delikatny, niczym mgła. Nie możesz mnie obwiniać o to, kim jestem. Beze mnie nic by się nie kończyło. Nic nie mogłoby się skończyć. I dlatego też nic nie mogłoby wzrastać. Jestem życiem. Czemu walczysz przeciwko życiu?

Vin zamilkła.

Nie płacz, ponieważ dzień końca świata nadszedł, powiedziało Zniszczenie. Ten dzień został ustanowiony w chwili narodzin świata. W śmierci jest piękno - piękno ostateczności, piękno dopełnienia.

Ponieważ nic nie jest kompletne do chwili, gdy zostaje ostatecznie zniszczone.

- Dostyc - warknęła Vin. Czuła się samotna i przytłoczona w chłodnych ciemnościach.

- Przestań ze mnie szydzić. Dlaczego tu przyszedłeś?

Przyszedłem? Dlaczego zadajesz to pytanie?

- Jaki jest powód, dla którego się tu teraz pojawiłeś? - spytała. - Przyszedłeś tutaj, żeby się nacieszyć moim uwięzieniem.

Nie „pojawilem się”, Vin, powiedziało Zniszczenie. Nigdy cię nie opuszczałem.

Zawsze byłem przy tobie. Byłem częścią ciebie.

- Bzdura - sprzeciwiła się Vin. - Dopiero teraz się pokazałeś.

Ukazałem się twoim oczom, to prawda, stwierdziło Zniszczenie. Ale widzę, że nie rozumiesz. Zawsze byłem z tobą, nawet kiedy mnie nie widziałaś.

Na chwilę zapadła cisza, w jej głowie i poza nią.

Kiedy jesteś sam, nikt cię nie może zdradzić, wyszeptał głos z tyłu jej głowy. Głos Reena. Głos, który czasami słyszała, niemal rzeczywisty, jak sumienie. Zakładała, że ten głos był częścią jej psychiki - pozostałościami nauk Reena. Instynktem.

Każdy cię zdradzi, Vin. Głos Reena powoli zmieniał się w głos Zniszczenia. *Każdy*.

Zawsze z tobą byłem. Słyszałaś mnie w głowie od pierwszych lat życia.

Ucieczka Zniszczenia wymaga pewnych wyjaśnień. Nawet ja miałem problem, by to zrozumieć.

Zniszczenie nie mogło wykorzystać mocy Studni Wstąpienia. Ona pochodziła od Zachowania, przeciwnika Zniszczenia. W rzeczy samej, bezpośrednia konfrontacja tych dwóch sił doprowadziłaby do zniszczenia obu.

Więzienie Zniszczenia zostało jednak stworzone z tej mocy. Dlatego było dostrójone do mocy Zachowania - mocy Studni. Kiedy tam moc została uwolniona i rozproszona, a nie wykorzystana, posłużyła jako klucz. Następujące później „otwarcie” ostatecznie uwolniło Zniszczenie.

46

- Dobrze - powiedział Breeze - czy ktoś chciałby zasugerować, jakim sposobem nasz szpieg skończył jako bojownik o wolność pseudoreligijnej straży obywatelskiej?

Sazed potrząsnął głową. Siedzieli w swojej kryjówce pod Kantonem Inkwizycji.

Breeze stwierdził, że ma już dość racji podróżnych, i rozkazał kilku żołnierzom otworzyć część zapasów zgromadzonych w magazynie, by przygotować bardziej odpowiedni posiłek.

Sazed mógłby się sprzeciwić, ale wiedział, że jaskinia jest tak dobrze zaopatrzona, że nawet wygłodzony Breeze nie zdołałby uszczuplić zapasów.

Czekali cały dzień na powrót Spooka do kryjówki. W mieście panowało spore napięcie i większość ich kontaktów ukryła się, by przetrwać paranoję Obywatela związaną z możliwością buntu. Żołnierze patrolowali ulice, a spory kontyngent rozbił obóz tuż pod budynkiem Zakonu. Sazed obawiał się, że Obywatel skojarzył Breeze'a i jego samego z pojawieniem się Spooka podczas egzekucji. Wyglądało na to, że dni swobodnego poruszania się po mieście już się skończyły.

- Dlaczego nie wrócił? - spytała Allrienne.

Wraz z Breeze'em siedziała przy eleganckim stole, ukradzionym z opuszczonej rezydencji. Oczywiście, oboje przebrali się w lepsze ubranie - Breeze w surdut, ona w brzoskwiniową suknię. Zawsze od razu się przebierali, jakby chcieli potwierdzić wobec samych siebie, kim naprawdę są.

Sazed nie jadł z nimi - nie miał zbyt wielkiego apetytu. Kapitan Goradel opierał się o regał w pewnej odległości, mając na oku swoich podopiecznych. Choć dobroduszny mężczyzna uśmiechał się jak

zawsze, rozkazy, jakie wydał swoim ludziom, świadczyły o tym, że obawia się możliwości ataku. Upewnił się, że Breeze, Allrienne i Sazed pozostaną w bezpiecznej jaskini. Lepsze uwięzienie niż śmierć.

- Jestem pewien, że chłopakowi nic się nie stało, moja droga - odezwał się Breeze, odpowiadając w końcu na pytanie Allrienne. - Pewnie nie wrócił, bo obawia się mieszania nas w to, co dzisiaj zrobił.

- Albo to, albo nie może przedostać się przez kordon żołnierzy na zewnątrz - stwierdził

Sazed.

- Mój drogi, on na naszych oczach wkradł się do płonącego budynku - sprzeciwił się Breeze. - Wątpię, by miał problem z bandą oprychów, zwłaszcza że zrobiło się ciemno.

Allrienne pokręciła głową.

- Lepiej by było, gdyby udało mu się również wyślizgnąć z tamtego budynku, a nie zeskoczyć z dachu na oczach wszystkich.

- Może - przyznał Breeze. - Ale buntownicy mają to do siebie, że pokazują swoim wrogom, jakie mają zamiary. Psychologiczny efekt wywołany przez skok z dachu płonącego budynku z dzieckiem w ramionach jest bardzo duży. A zrobić to na oczach tyrana, który skazał na śmierć wspomniane dziecko? Nie myślałem, że nasz mały Spook ma taki talent aktorski!

- On już nie jest taki mały - powiedział cicho Sazed. - Chyba mieliśmy nawyk ignorowania chłopaka.

- Nawyki są efektem ciągłych wzmocnień, mój drogi - stwierdził Breeze, machając widelcem w stronę Sazed. - Nie zwracaliśmy uwagi na niego, ponieważ rzadko odgrywał

istotną rolę. To nie jego wina... po prostu był młody.

- Vin też była młoda - zauważył Sazed.

- Musisz przyznać, że Vin jest szczególnym przypadkiem.

Sazed nie mógł się temu sprzeciwić.

- Tak czy inaczej - dodał Breeze - kiedy rozważymy fakty, to to, co się stało, nie jest wcale zaskakujące. Spook miał wiele miesięcy, by stać się znanym w półświatku Urteau, a jest członkiem ekipy Kelsiera. To logiczne, że zaczną oczekiwać, że ich uratuje, podobnie jak Kelsier uratował Luthadel.

- Zapominamy o jednym, lordzie Breeze - powiedział Sazed. - Zeskoczył z dachu piętrowego budynku i wylądował na brukowanej ulicy. Taki upadek zazwyczaj kończy się połamaniem kości.

Breeze się zawahał.

- Myślisz, że to wszystko wyreżyserowano? Może przygotował jakąś platformę, która złagodziła upadek?

Sazed pokręcił głową.

- Nie wydaje się możliwe, by Spook mógł zaplanować i przeprowadzić tak wyreżyserowaną scenę. Potrzebowałby do tego pomocy podziemia, co zepsułoby efekt.

Gdyby wiedzieli, że jego przeżycie to sztuczka, nie słyszelibyśmy o nim takich plotek.

- To co? - spytał Breeze, posyłając spojrzenie Allrienne. - Chyba nie sugerujesz, że Spook przez ten cały czas był Zrodzonym z Mgły, co?

- Nie wiem - odpowiedział cicho Sazed.

Breeze się roześmiał.

- Wątpię, by był zdolny ukryć to przed nami. Musiałby przeżyć całe to szaleństwo obalania Ostatniego Imperatora, a później upadku Luthadel, nie ujawniając przy tym, że jest kimś więcej niż tylko Cynookim! W to nie uwierzę.

Albo, pomyślał Sazed, nie chcesz uwierzyć, że nie poznałbyś prawdy. Mimo to, Breeze miał rację. Sazed znał Spooka jako dzieciaka. Chłopak był niezręczny i nieśmiały, ale nie był kłamcą. Naprawdę trudno go było sobie wyobrazić jako Zrodzonego z Mgły od samego początku.

A jednak Terrisanin widział ten upadek. Widział wdzięk skoku, charakterystyczną postawę i naturalną zręczność kogoś spalającego cynę z ołowiem. Sazed zatęsknił za miedziomyślami, by poszukać informacji na temat ludzi spontanicznie manifestujących allomantyczne moce. Czy człowiek mógł być w młodości Mglistym, a później zmienić się w pełnego Zrodzonego z Mgły?

To była prosta sprawa, związana z jego obowiązkami jako ambasadora. Może mógł spędzić trochę czasu przeglądając zgromadzone wspomnienia, wyszukując przykłady...

Nie bądź głupi, pomyślał. Szukasz usprawiedliwień. Wiesz, że to niemożliwe, by Allomanta zyskał nowe moce. Nie znajdziesz przykładów, bo ich nie ma.

Nie musiał przeglądać metalmyśli. Odłożył je na bok nie bez powodu - nie mógł być Opiekunem, nie mógł dzielić się zebraną wiedzą, dopóki nie oddzieli prawdy od kłamstwa.

Ostatnio dałem się rozproszyć, pomyślał. Wstał i poszedł do swojego „pokoju” w jaskini, za zawieszonym prześcieradłem, które oddzielało go od innych. Na stole leżała jego teczka. W kącie, obok regału pełnego puszek, spoczywała torba metalmyśli.

Nie, pomyślał Sazed. Złożyłem sobie obietnicę. Dotrzymam ją. Nie pozwolę sobie zostać hipokrytą tylko dlatego, że pojawiła się jakaś nowa religia i zaczyna do mnie machać.

Będę silny.

Usiadł przy stole, otworzył teczkę i wyjął kolejny arkusz. Na nim zapisano zasady ludu Nelazan, który oddawał cześć bogu Trelowi. Sazed zawsze miał słabość do tej religii ze względu na jej skupienie na nauce matematyki i badaniu niebios. Zachował ją na koniec, głównie z niepokoju. Chciał jak najbardziej odsunąć to, co nieuniknione.

I oczywiście, gdy zaczął czytać, spostrzegł wielkie luki w jej doktrynach. Owszem, Nelazanie wiele wiedzieli o astronomii, lecz ich nauki na temat życia pośmiertnego były skrótowe, niemal zagadkowe. Ich doktryna była celowo niejasna, jak nauczali, gdyż dzięki temu pozwalała ludziom samodzielnie docierać do prawdy. Te słowa jednak jedynie pogłębiły frustrację Sazedę. Na co się może przydać religia bez odpowiedzi? Dlaczego miałby wierzyć w coś, jeśli odpowiedź na połowę jego pytań brzmiała „Zapytaj Trela, a on ci odpowie?”.

Nie odrzucił od razu tej religii. Zmusił się do odłożenia jej na bok, przyznając w głębi duszy, że nie jest we właściwym nastroju do badań. Właściwie nie czuł się w nastroju do niczego.

A jeśli Spook naprawdę został Zrodzonym z Mgły? - zastanawiał się, wracając myślami do poprzedniej rozmowy. Wydawało się to niemożliwe. A jednak wiele rzeczy, które wiedzieli na temat Allomancji - na przykład istnienie jedynie dziesięciu metali - okazało się kłamstwami głoszonymi przez Ostatniego Imperatora, by ukryć potężne tajemnice.

Być może było możliwe, by Allomanta spontanicznie objawił nowe moce. A może istniał bardziej przyziemny powód, dla którego Spookowi udał się tak długi skok. Mogło się to wiązać z dziwną wrażliwością oczu chłopaka. Jakież narkotyki?

Tak czy inaczej, zmartwienie Sazedę tym, co się działo, nie pozwalało mu skupić się na starannym rozważaniu religii Nelazan. Ciągle miał wrażenie, że dzieje się coś bardzo ważnego. A Spook znajduje się w samym środku.

Gdzież on się podziewał?

* * *

- Wiem, dlaczego jesteś taka smutna - powiedział Spook.

Beldre odwróciła się, na jej twarzy malował się wstrząs. Z początku go nie widziała.

Musiał kryć się zbyt głęboko w mgle i cieniach. Ostatnio nie umiał tego ocenić.

Podszedł bliżej, poruszając się przez kawałek ziemi, który niegdyś był ogrodem przed domem Obywatela.

- Z początku myślałem, że twój smutek ma związek z ogrodem. Kiedyś musiał być piękny. Na pewno widziałaś go w pełni urody, zanim twój brat rozkazał zaorać wszystkie ogrody. Byliście spokrewnieni ze szlachetnie urodzonymi i pewnie żyliście pośród nich.

Wydawała się zaskoczona jego słowami.

- Tak, wiem o tym - powiedział Spook. - Twój brat jest Allomantą. Monetostrzelnym; poczułem jego Odpychanie. Tamtego dnia na Targu.

Zachowała milczenie - piękniejsza, niż kiedykolwiek mógł być ogród - choć zrobiła krok do tyłu, gdy w końcu spostrzegła go pośród mgieł.

- W końcu uznałem, że muszę się mylić. Nikt nie oplakuje tak bardzo zwykłego ogrodu, nawet jeśli był bardzo piękny. Później pomyślałem, że smutek w twoich oczach wynika z tego, że nie możesz brać udziału w naradach brata. Zawsze wysyła cię na zewnątrz, do ogrodu, kiedy spotyka się z najważniejszymi urzędnikami. Wiem, jak to jest, czuć się bezużytecznym i wykluczonym pośród ważnych ludzi.

Zrobił kolejny krok do przodu. Pod stopami miał gołą ziemię, przykrytą całem popiołu

- ponure pozostałości niegdyś żyznej gleby. Po prawej wyrastał samotny krzak, w który Beldre często się wpatrywała. Nie patrzył na niego, wpatrywał się w kobietę.

- Myliłem się - powiedział. - Zakaz udziału w naradach brata mógłby wywołać frustrację, ale nie takie cierpienie. Nie taki żal. Znam teraz ten smutek. Dziś po południu zabiłem po raz pierwszy. Pomagałem obalać imperia i je odbudowywać. Ale nigdy nie zabiłem człowieka. Aż do dzisiaj.

Przerwał i spojrzał jej w oczy.

- Tak, znam ten smutek. Próbuję jednak się dowiedzieć, dlaczego go czujesz.

Odwróciła się.

- Nie powinno cię tutaj być - powiedziała. - Strażnicy pilnują...

- Nie - przerwał jej Spook. - Już nie. Quellion wysłał zbyt wielu z nich na miasto... boi się rewolucji takiej jak w Luthadel. Jaką sam tu wywołał, gdy przejął władzę. Ma rację, że się boi, ale popełnił błąd, pozostawiając swój dom bez straży.

- Zabij go - wyszeptał Kelsier. - Quellion jest w środku. To doskonała okazja.

Zasługuje na to, wiesz o tym.

Nie, pomyślał Spook. Nie dzisiaj. Nie przed nią.

Beldre znów spojrzała na niego.

- Dlaczego przyszedłeś? Żeby ze mnie szydzić?

- Żeby powiedzieć ci, że rozumiem - odparł Spook.

- Jak możesz tak mówić? - spytała. - Nie rozumiesz mnie... wcale mnie nie znasz.

- Sądzę, że cię znam - odparł Spook. - Widziałem dziś twoje oczy, kiedy patrzyłaś na tych ludzi prowadzonych na śmierć. Czulaś się winna. Winna z powodu morderstw, jakich dopuszcza się twój brat. Smutek, ponieważ czulaś, że powinnaś go powstrzymać. - Zrobił

krok do przodu. - Nie możesz, Beldre. Został zepsuty przez swoją władzę. Może kiedyś był

dobrym człowiekiem, ale teraz już nim nie jest. Czy nie widzisz, co on robi? Twój brat morduje ludzi, żeby zyskać Allomantów. Wyłapuje ich, a później grozi, że pozabija ich rodziny, o ile nie będą robić tego, co im rozkaże. Czy tak postępuje dobry człowiek?

- Jesteś prostodusznym głupcem - wyszeptala Beldre, nie patrząc mu w oczy.

- Wiem - powiedział Spook. - Czym jest kilka śmierci w porównaniu z zapewnieniem stabilności królestwa? - Pokręcił głową. - On zabija dzieci, Beldre. I robi to jedynie po to, by ukryć fakt, że gromadzi Allomantów.

Beldre milczała przez chwilę.

- Odejdź - powiedziała w końcu.

- Chcę, żebyś poszła ze mną.

Uniosła wzrok.

- Mam zamiar obalić twojego brata - powiedział Spook. - Jestem członkiem ekipy Ocalałego. Obaliliśmy Ostatniego Imperatora... Quellion nie będzie dla nas większym wyzwaniem. Nie musisz tu być, gdy upadnie.

Beldre prychnęła pogardliwie.

- Nie chodzi jedynie o twoje bezpieczeństwo - dodał chłopak. - Jeśli się do nas przyłączysz, to będzie poważny cios dla twojego brata. Może przekona go, że się myli. Być może uda się to nam osiągnąć w bardziej pokojowy sposób.

- Za trzy uderzenia serca zacznę wrzeszczeć - powiedziała Beldre.

- Nie boję się strażników - odparł Spook.

- W to nie wątpię. Ale jeśli przyjdą, znów będziesz musiał zabijać.

Spook się zawahał. Pozostał jednak na swoim miejscu, uznając, że kobieta blefuje.

A wtedy zaczęła krzyczeć.

- Idź, zabij go! - powiedział Kelsier ponad jej wrzaskiem. - Teraz, zanim będzie za późno! Ci

strażnicy, których zabiłeś, oni jedynie wykonywali rozkazy. To Quellion jest prawdziwym potworem.

Spook zazgrzytał zębami i w końcu ruszył biegiem, uciekając od Beldre i jej krzyków, zostawiając Quelliona przy życiu.

Na razie.

* * *

Sterna pierścieni, sprzączek, bransoletek i innych kawałków metalu błyszcząca na stole niczym legendarny skarb. Oczywiście, większość metali była raczej pospolita. Żelazo, stal, cyna, miedź. Żadnego złota ani atium.

Dla Feruchemika te metale miały wartość znacznie większą od ich ceny. Były bateriami, magazynami, które można napełniać, a później z nich korzystać. Przedmiot wykonany z cyny z ołowiem mógł na przykład przechowywać siłę. Napełnianie go na jakiś czas pozbawiało Feruchemika sił - sprawiając, że nawet proste zadania stawały się trudne -

lecz efekt był tego wart. Gdyż w razie konieczności mógł później wykorzystać tę siłę.

Wiele z tych metalmyśli, rozłożonych na stole przed Sazedem, było w tej chwili pustych. Wykorzystał je po raz ostatni podczas straszliwej bitwy przed ponad rokiem, która skończyła się upadkiem - a później uratowaniem - Luthadel. Tamta bitwa wyczerpała go na wiele sposobów. Dziesięć pierścieni, ułożonych rzędem z boku stołu, prawie go zabiło. Marsh rzucił nimi w Sazedę niczym monetami, przebijając jego skórę. To jednak pozwoliło Terrisaninowi wykorzystać ich moc i się uleczyć.

Pośrodku zbioru znajdowały się najważniejsze spośród wszystkich metalmyśli. Cztery naramienniki wykonane z najczystszej miedzi, a przeznaczone do założenia na przedramiona i ramiona, błyszcząły starannie wypolerowane. Były to największe z jego metalmyśli, gdyż zawierały najwięcej. Miedź przenosiła wspomnienia. Feruchemik mógł wziąć obrazy, myśli albo dźwięki, które były świeże w jego umyśle, po czym je zmagazynować. W metalmyśli nie blakły i nie zmieniały się, jak to się działo ze wspomnieniami przechowywanymi w umyśle.

Kiedy Sazed był młodzieńcem, starszy Feruchemik przeczytał mu całą zawartość swoich miedziomyśli. Sazed przechowywał tę wiedzę w swoich miedziomyślach - znajdowała się w nich suma wiedzy Opiekunów. Ostatni Imperator bardzo się starał, by zniszczyć wspomnienia przeszłości. Lecz Opiekunowie je zbierali - historie o tym, jak wyglądał świat, zanim pojawił się popiół i słońce stało się czerwone. Opiekunowie zapamiętali nazwy miejsc i królestw, przechowali mądrość tych, którzy odeszli.

I zapamiętali religie, które zostały zakazane przez Ostatniego Imperatora. To je właśnie najbardziej starał się zniszczyć i dlatego Opiekunowie równie pracowicie próbowali je ocalić - ukryć je w swoich metalmyślach, by kiedyś znów ich nauczać. Ponad wszystko Opiekunowie poszukiwali jednego - wiedzy o swojej własnej religii, wierzeniach Terrisan.

Zostały one zapomniane w latach niszczycielskiego chaosu po wstąpieniu Ostatniego Imperatora. Jednakże, mimo lat pracy, Opiekunowie nigdy nie odzyskali tej najcenniejszej wiedzy.

Zastanawiam się, co by się stało, gdyby udało nam się ją odnaleźć, pomyślał Sazed, podnosząc metalmyśl i polerując ją w milczeniu. Pewnie nic. Zrezygnował z pracy nad religiami zgromadzonymi w teczce, gdyż czuł się zbyt zniechęcony.

Pozostało mu jeszcze pięćdziesiąt religii do rozważenia. Dlaczego sam siebie oszukiwał, licząc, że znajdzie w nich więcej prawdy niż w pozostałych dwustu pięćdziesięciu? Żadne z wierzeń nie przetrwało przez te lata.

Może powinien zostawić je w spokoju? Wydawało się to częścią wielkiego błędu Opiekunów. Z wielkim wysiłkiem gromadzili wierzenia ludzi, lecz przecież okazały się one zbyt słabe, by przetrwać. Po co przywracać je do życia? To wydawało się równie bezsensowne jak ratowanie chorego zwierzęcia, by znów mogło paść ofiarą drapieżników.

Nie przerywał polerowania. Kącikiem oka zobaczył, że Breeze go obserwuje.

Uspokajacz przyszedł do „pokoju” Sazed, narzekając, że nie może spać, skoro Spook jeszcze nie wrócił. Terrisanin skinął mu głową, ale nie przerywał polerowania. Nie miał ochoty na rozmowę, pragnął zostać sam.

Niestety, Breeze wstał i podszedł do niego.

- Czasami cię nie rozumiem, Sazedzie - powiedział.

- Nie staram się być tajemniczy, lordzie Breeze - odparł Sazed i zabrał się za polerowanie niewielkiego pierścienia z brązu.

- Dlaczego tak się o nie troszczysz? - spytał Breeze. - Już ich nie nosisz. Chyba wręcz nimi gardzisz.

- Nie gardzę metalmyślami, lordzie Breeze. W pewnym sensie to jedyna świętość, jaka pozostała mi w życiu.

- Ale też ich nie nosisz.

Sazed nie przerywał polerowania.

- Nie.

- Ale dlaczego? Naprawdę myślisz, że ona by tego pragnęła? Też była Opiekunem...

naprawdę możesz uczciwie powiedzieć, że oczekiwałaby od ciebie porzucenia metalmyśli?

- Ten nawyk nie ma nic wspólnego z Tindwyl.

- Naprawdę? - spytał Breeze i z westchnieniem usiadł przy stole. - Co masz na myśli?

Bo, szczerze mówiąc, Sazedzie, dezorientujesz mnie. Rozumiem ludzi. Dręczy mnie, że ciebie nie rozumiem.

- Wiesz co robiłem po śmierci Ostatniego Imperatora? - odpowiedział Sazed, odkładając pierścień.

- Nauczałeś. Wyjechałeś, by oddać utraconą wiedzę mieszkańcom Ostatniego Imperium.

- A czy kiedykolwiek powiedziałem ci, jak szło mi to nauczanie?

Breeze potrząsnął głową.

- Źle - odparł Sazed, podnosząc kolejny pierścień. - Ludzi to nie obchodziło. Nie interesowały ich religie z przeszłości. A właściwie, dlaczego miałyby? Dlaczego oddawać cześć czemuś, w co ludzie wierzyli kiedyś?

- Ludzi zawsze interesuje przeszłość, Sazedzie.

- Być może interesuje, ale zainteresowanie to nie wiara. Te metalmyśli należą do muzeów i starych bibliotek. Nowoczesnym ludziom się nie przydadzą. W latach rządów Ostatniego Imperatora my, Opiekunowie, udawaliśmy, że wykonujemy niezbędną pracę.

Wierzyliśmy, że wykonujemy niezbędną pracę. A w końcu okazało się, że nic z tego, co robiliśmy, nie miało prawdziwej wartości. Vin nie potrzebowała tej wiedzy, by zabić Ostatniego Imperatora. Prawdopodobnie jestem ostatnim z Opiekunów. Zawartość tych metalmyśli umrze razem ze mną. I czasami nie potrafię czuć żalu z tego powodu. To nie era uczonych i filozofów. Uczeni i filozofowie nie mogą pomóc dzieciom umierającym z głodu.

- I dlatego już ich nie nosisz? - powiedział Breeze. - Uważasz, że są bezużyteczne?

- Nawet więcej. Noszenie tych metalmyśli byłoby udawaniem. Udawałbym, że uważam zawarte w nich informacje za użyteczne, a jeszcze nie podjąłem decyzji, czy tak rzeczywiście jest. Noszenie ich teraz byłoby niczym zdrada. Odłożyłem je na bok, ponieważ nie mogę im oddać sprawiedliwości. Nie jestem gotów uwierzyć, jak wcześniej, że zbieranie wiedzy i religii jest ważniejsze od działania. Być może, gdyby Opiekunowie walczyli, zamiast tylko zapamiętywać, Ostatni Imperator upadłby przed wiekami.

- Ale ty się opierałeś, Sazedzie. Ty walczyłeś.

- Nie reprezentuję już tylko samego siebie, lordzie Breeze - powiedział cicho Sazed. -

Reprezentuję wszystkich Opiekunów, ponieważ najprawdopodobniej jestem ostatnim z nich.

A jako ostatni nie wierzę w rzeczy, które niegdyś przekazywałem innym. Nie mogę z czystym sumieniem sugerować, że jestem takim Opiekunem jak kiedyś.

Breeze westchnął i pokręcił głową.

- To nie ma sensu.

- Dla mnie ma.

- Nie, masz po prostu mętlik w głowie. Mój drogi przyjacielu, wydaje ci się, być może, że to nie świat dla uczonych, ale myślę, że się mylisz, i wkrótce się tego dowiesz. Wydaje mi się, że w obecnym czasie... cierpienia w ciemnościach, które może być końcem wszystkiego...

najbardziej potrzebujemy wiedzy.

- Dlaczego? - spytał Sazed. - Abym mógł nauczyć umierającego religii, w którą sam nie wierzę? Mówił o bogu, choć wiem, że nikogo takiego nie ma?

Breeze się pochylił.

- Czy naprawdę w to wierzysz? Że nikt nas nie strzeże?

Sazed siedział w milczeniu, coraz wolniej polerując metal.

- Jeszcze nie podjąłem takiej decyzji - stwierdził w końcu. - Były takie chwile, w których miałem nadzieję na znalezienie prawdy. Dziś jednak ta nadzieja wydaje się bardzo odległa. Ciemności kryją ziemię, Breeze, a ja nie jestem pewien, czy możemy je pokonać. Nie jestem pewien, czy w ogóle tego chcę.

Breeze wydawał się zaniepokojony. Otworzył usta, lecz nim zdołał odpowiedzieć, w jaskini rozległo się dudnienie. Pierścienie i naramienniki na stole zdrząły i zabrzęczały, gdy cała jaskinia się zatrzęsała. Rozległ się stukot, gdy niektóre z produktów żywnościowych spadły - choć niewiele z nich, ponieważ ludzie kapitana Goradela większość zapasów przenieśli z półek na podłogę, właśnie ze względu na trzęsienia ziemi.

W końcu drzenie się uspokoiło. Breeze siedział poblady, spoglądając na sklepienie jaskini.

- Powiem ci coś, Sazedzie. Za każdym razem, gdy nadchodzi jedno z tych trzęsień, zastanawiam się, na ile mądrym pomysłem jest ukrywanie się w jaskini. Nie sądzę, by to było najbezpieczniejsze miejsce podczas trzęsienia.

- Naprawdę, w tej chwili nie mamy innego wyboru - odparł Terrisanin.

- Pewnie masz rację. Czy... czy tobie też się wydaje, że trzęsienia zdarzają się coraz częściej?

- Tak - odparł Sazed, podnosząc kilka bransoletek z podłogi. - To prawda.

- Może... ten region jest po prostu bardziej na nie podatny - powiedział Breeze, lecz bez przekonania.

Obrócił się i spojrzał w bok. Kapitan Goradel wyłonił się właśnie zza regału i pośpiesznie do nich podszedł.

- A, jak widzę, przyszedłeś sprawdzić, jak się miewamy - powiedział Uspokajacz. -

Przeżyliśmy trzęsienie bez problemów. Nie trzeba było się tak śpieszyć, drogi kapitanie.

- Nie o to chodzi - odparł Goradel. - Chodzi o lorda Spooka. Wrócił.

Sazed i Breeze popatrzyli po sobie, po czym wstali z krzeseł i podążyli za Goradelem w stronę wejścia do jaskini. Ujrzeni Spooka na schodach. Miał odsłonięte oczy, a na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

Naprawdę powinniśmy byli zwracać większą uwagę na chłopaka.

Żołnierze się cofnęli. Spook miał krew na ubraniu, choć nie wydawał się ranny. Jego płaszcz był nadpalony w kilku miejscach, a na dole poszarpany i zwęglony.

- Dobrze - powiedział na widok Breeze'a i Sazed - jesteście tutaj. Czy trzęsienie ziemi wywołało jakieś zniszczenia?

- Spook? - odezwał się Breeze. - Nie, z nami wszystko w porządku. Żadnych zniszczeń. Ale...

- Nie mamy czasu na gadanie, Breeze - przerwał mu Spook, mijając ich. - Cesarz Venture chce zdobyć Urteau, a my mu je damy. Musisz zacząć rozpuszczać w mieście plotki.

To nie powinno być trudne... niektórzy z ważniejszych ludzi z półświatka już znają prawdę.

- Jaką prawdę? - spytał Uspokajacz, dołączając do Sazed, który ruszył za Spookiem przez jaskinię.

- Że Quellion wykorzystuje Allomantów - stwierdził Spook. Jego głos odbijał się echem w jaskini. - Potwierdziłem teraz to, czego się wcześniej domyślałem... Quellion rekrutuje Mglistych spośród ludzi, których aresztuje. Ratuje ich z wywołanych przez samego siebie pożarów, a później bierze ich rodziny jako zakładników. Opiera się na tym, przeciwko czemu tak głośno się wypowiada. Wobec tego jego rządy opierają się na kłamstwie.

Ujawnienie tego kłamstwa powinno spowodować upadek całego systemu.

- Świetnie, z pewnością możemy to zrobić... - powiedział Breeze, spoglądając znów na Sazed.

Spook nie przerywał marszu przez jaskinię, a Terrisanin podążył za nim. Breeze odszedł, pewnie po Allrianne.

Spook zatrzymał się na brzegu wody. Stał tam przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę Sazed.

- Mówiłeś, że badałeś konstrukcję, która sprowadziła wodę tutaj, zabierając ją z kanałów.

- Tak - odparł Sazed.

- Czy istnieje sposób na odwrócenie tego procesu? - spytał Spook. - Żeby woda znów zalała ulice?

- Może. Ale nie jestem pewien, czy wystarczająco dobrze znam się na inżynierii, żeby tego dokonać.

- Czy w metalmyślach masz wiedzę, która mogłaby ci pomóc? - spytał Spook.

- Cóż... tak.

- To je wykorzystaj - stwierdził chłopak.

Sazed się zawahał. Chyba czuł się niezręcznie.

- Sazedzie - powiedział Spook. - Nie mamy zbyt wiele czasu, musimy zdobyć to miasto, zanim Quellion postanowi uderzyć i nas zniszczyć. Breeze będzie rozgłaszał plotki, a ja spróbuję znaleźć sposób, by udowodnić kłamstwa Quelliona na oczach ludzi. On sam jest Allomantą.

- Czy to wystarczy?

- Jeśli damy im kogoś innego, kogo będą mogli słuchać. Kogoś, kto może przeżyć pożary i przywrócić wodę na ulicach. Damy im cuda i bohatera, a później pokażemy, że ich przywódca jest hipokrytą i kłamcą. W takiej sytuacji co byś zrobił?

Sazed nie odpowiedział od razu. Spook mówił sensownie, nawet na temat ciągłej przydatności jego metalmyśli. Terrisanin nie był jednak pewien, co sądzi o zmianach, jakie zaszły w młodzieńcu. Spook był zdecydowanie bardziej kompetentny, ale...

- Spook - powiedział Sazed, podchodząc bliżej i mówiąc na tyle cicho, by żołnierze stojący z tyłu go nie usłyszeli. - Czego nam nie mówisz? Jak przeżyłeś skok z tego budynku?

Dlaczego zakrywasz oczy?

- Ja... - Spook zawahał się, ukazując oblicze niepewnego chłopca, którym niegdyś był.

Z jakiegoś powodu ten widok sprawił, że Sazed poczuł się lepiej. - Nie wiem, czy umiem to wyjaśnić, Saze - powiedział nieco pokorniej. - Wciąż sam próbuję to zrozumieć. W końcu wyjaśnię. Na razie, czy mógłbyś mi zaufać?

Chłopak zawsze był uczciwy. Sazed wpatrywał się w jego oczy.

I znalazł coś ważnego. Spook się przejmował. Przejmował się tym miastem, obaleniem Obywatela. Uratował tamtych ludzi, gdy Sazed i Breeze stali na zewnątrz i patrzyli.

Spook się przejmował, a Sazed nie. Sazed próbował - i poczuł się jedynie sfrustrowany z powodu własnej depresji, która tego wieczoru szczególnie mu doskwierała.

Jego uczucia były ostatnio tak zdradzieckie. Miał problemy z nauką, problemy z przywództwem, problemy z byciem użytecznym w jakikolwiek sposób. Ale patrząc w pełne entuzjazmu oczy Spooka, przez chwilę niemal zapomniał o swoich problemach.

Jeśli chłopak chciał objąć przywództwo, to dlaczego Sazed miał się sprzeciwiać?

Spojrzał w stronę pokoju, gdzie leżały jego metalmyśli. Tak długo radził sobie bez nich. Kusiły go swoją wiedzą.

Dopóki nie będę nauczał zawartych w nich religii, pomyślał, nie jestem hipokrytą.

Wykorzystanie szczegółowej wiedzy, o którą prosi Spook, nada przynajmniej choć niewielkie znaczenie cierpieniom tych, którzy zbierali wiedzę na temat inżynierii.

Wydawało się to słabym usprawiedliwieniem. Lecz skoro Spook przejmował dowodzenie i dawał mu dobry powód, by wykorzystać myśli, wystarczało.

- Dobrze - powiedział Sazed. - Spełnię twoją prośbę.

Więzenie Zniszczenia nie przypominało tych, w których przebywają ludzie. Nie ograniczały go kraty. Mógł się w nim swobodnie poruszać.

Jego więzieniem była raczej niemoc. W wypadku mocy i bogów oznaczało to równowagę. Gdyby Zniszczenie uderzył, jego więzienie odpowiedziałoby uderzeniem, co zasadniczo oznacza pozbawienie Zniszczenia siły. A ponieważ większość jego mocy została odebrana i ukryta, mógł wpływać na świat jedynie w bardzo ograniczony sposób.

Muszę się tu zatrzymać i coś wyjaśnić. Mówimy, że Zniszczenie zostało „uwolnione” ze swojego więzienia. To mylące określenie. Uwolnienie mocy w Studni przechyliło wspomnianą wyżej równowagę na stronę Zniszczenia, ale było ono wciąż zbyt słabe, by zgodnie ze swymi pragnieniami zniszczyć świat w mgnieniu oka. Ta słabość wynikała z faktu, że część mocy Zniszczenia - jego ciało - została mu odebrana i ukryta.

I dlatego obsesją Zniszczenia stało się odnalezienie ukrytej części swojej osoby.

47

Elend stał pośród mgieł.

Niegdyś uważał je za niepokojące. Były nieznanym - tajemniczym i odpychającym, należącym do Allomantów, nie do zwyczajnych ludzi.

Teraz był Allomantą. Wpatrywał się w zmienne, wirujące, kłębiące się pasma oparów.

Rzeki na niebie. Miał wrażenie, że zaraz pociągnie go widmowy prąd. Kiedy po raz pierwszy ujawnił swoje allomantyczne moce, Vin wyjaśniła mu motto Kelsiera, obecnie tak niesławne:

„Mgła jest naszym przyjacielem. Ukrywa nas. Chroni. Daje siłę”.

Elend wciąż patrzył w górę. Minęły trzy dni od pojmania Vin.

Nie powinienem pozwolić jej na to, pomyślał znowu, czując ściskanie serca. Nie powinienem się zgodzić na tak ryzykowny plan.

Vin zawsze go chroniła. Co zrobią teraz, gdy ona znalazła się w niebezpieczeństwie?

Elend czuł się tak niedoskonały. Gdyby sytuacja się odwróciła, Vin znalazłaby sposób, by dostać się do miasta i go uwolnić. Zamordowałyby Yomena, zrobiłaby coś.

A jednak Elendowi brakowało jej zuchwałej determinacji. Zbyt wiele planował i zbyt dobrze znał się na polityce. Nie mógł ryzykować sobą, by ją uratować. Już raz postawił się w niebezpiecznej sytuacji, a robiąc to, ryzykował los całej armii. Nie mógł ich znowu zostawić i narazić się na niebezpieczeństwo, a już szczególnie nie mógł udać się do Fadrex. Yomen wyraźnie pokazał, że jest mistrzem manipulacji.

Yomen nie przysłał kolejnych wiadomości. Elend spodziewał się żądań okupu i bał się tego, do czego mógłby zostać zmuszony, gdy przyjdą. Czy mógł wymienić los świata na życie Vin? Nie. Vin stanęła przed podobną decyzją przy Studni Wstąpienia i wybrała właściwie. Elend musiał kierować się jej przykładem, musiał pozostać silny.

Niestety, myśl o jej uwięzieniu niemal go paraliżowała. Jedynie wirujące mgły nieco go pocieszały.

Nic jej się nie stanie, powiedział sobie, nie po raz pierwszy. To Vin. Znajdzie drogę ucieczki. Nic jej się nie stanie...

Elendowi wydawało się dziwne to, że choć przez całe życie uważał mgły za niepokojące, teraz znajdował w nich ukojenie. Vin obecnie postrzegała je inaczej. Elend wyczuwał to w jej zachowaniu, w jej słowach. Nie ufała mgłom. Nawet czuła do nich nienawiść. A on nie mógł mieć do niej pretensji. W końcu rzeczywiście się zmieniły - niosły zniszczenie i śmierć.

Elend nie umiał nie ufać mgłom. Wydawały mu się dobre. Jak mogły być jego wrogiem? Poruszały się, otaczając go, gdy spalał metale, niczym liście wirujące na lekkim wietrze. Gdy tak stał, łagodziły jego zmartwienie uwięzieniem Vin, napełniały go pewnością, że znajdzie drogę ucieczki.

Westchnął i potrząsnął głową. Kimże był, by ufać swoim przeczuciom odnośnie do mgieł bardziej niż Vin? Jej instynkty pochodziły z czasów, gdy walczyła o przetrwanie. A co miał Elend? Instynkty z czasów, gdy chodził na przyjęcia i tańce?

Za plecami usłyszał dźwięk. Kroki. Elend odwrócił się i spojrzał na dwóch służących niosących Cetta na krześle.

- Tego przekłętego Zbira tu nie ma, co? - spytał Cett, gdy służcy postawili go na ziemi.

Elend potrząsnął głową, kiedy Cett gestem odesłał służących.

- Nie - odparł. - Zajmuje się niepokojami w armii.

- Co tym razem? - spytał Cett.

- Bójka - stwierdził Elend, spoglądając znów w stronę ognisk otaczających Fadrex.

- Ludzie robią się niespokojni - zauważył Cett. - Wiesz, są w tym podobni do kolosów. Jeśli zbyt długo pozostaną bez zajęcia, zaczynają pakować się w kłopoty.

Właściwie to kolosy są w tym podobne do nich, pomyślał Elend. Powinniśmy byli spostrzec to wcześniej. Są ludźmi - ale ludźmi zredukowanymi do najbardziej podstawowych uczuć.

Cett przez chwilę siedział w ciszy pośród mgieł, a Elend nie przerywał kontemplacji.

W końcu starszy mężczyzna odezwał się nietypowo łagodnie.

- Możesz uznać, że ona już nie żyje, synu. Wiesz o tym.

- Wcale nie - odparł Elend.

- Nie jest niepokonana - powiedział Cett. - To pierońsko dobra Allomantka, owszem.

Ale jeśli odebrać jej metale...

Zaskoczy cię, Cetcie.

- Nie wyglądasz na zaniepokojonego - zauważył Cett.

- Oczywiście, że się martwię - odpowiedział Elend, czując coraz większą pewność. - Ja tylko... cóż, ufam jej. Jeśli ktoś może się wydostać, to właśnie Vin.

- Zaprzeczasz faktom.

- Być może - przyznał Elend.

- Zaatakujemy? - spytał Cett. - Spróbujemy ją wydostać?

- To oblężenie, Cetcie. Cały jego sens polega na tym, żeby nie atakować.

- A nasze zapasy? - spytał Cett. - Demoux musiał dziś ograniczyć racje żołnierzom.

Będziemy mieli szczęście, jeśli sami nie umrzemy z głodu, zanim Yomen się podda.

- Mamy jeszcze czas - stwierdził Elend.

- Niewiele. Nie, biorąc pod uwagę zamieszki w Luthadel. - Cett milczał przez chwilę. -

Kolejny z moich oddziałów powrócił. Ich raport wyglądał dokładnie tak samo.

Powiedzieli to samo, co pozostali. Elend zezwolił Cettowi na wysłanie żołnierzy do pobliskich wiosek, by przestraszyć mieszkańców i może zdobyć trochę zapasów. Jednak każdy z oddziałów powracał z pustymi rękami i tymi samymi wieściami.

Poddani Yomena głodowali. Wioski z trudem wiązały koniec z końcem. Żołnierze nie mieli serca bardziej ich krzywdzić, a i tak nie mieli czego zabierać.

Elend odwrócił się w stronę Cetta.

- Uważasz mnie za złego przywódcę, prawda?

Cett podniósł wzrok, po czym podrapał się po brodzie.

- Tak - przyznał. - Ale... Elendzie, jako król masz jedną cechę, której mnie zawsze brakowało.

- To znaczy?

Cett wzruszył ramionami.

- Ludzie cię lubią. Żołnierze ci ufają i wiedzą, że masz za dobre serce dla własnego dobra. Dziwnie na nich działasz. Chłopcy tacy jak oni powinni ochoczo napadać wioski, nawet ubogie. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę ich napięcie i liczne bójki w obozie. A jednak tego nie zrobili. Do katedy, jednemu z oddziałów zrobiło się tak bardzo żal wieśniaków, że ludzie zostali przez kilka dni, żeby pomóc w nawadnianiu pól i remontach domów! - Cett westchnął i potrząsnął głową. - Kilka lat temu wyśmiałybym każdego, kto wybrałby lojalność jako podstawę swoich rządów. Ale... świat rozpada się wokół nas i myślę, że nawet ja chciałbym mieć kogoś, komu mógłbym zaufać, a nie kogo musiałbym się bać. Chyba dlatego żołnierze zachowują się w taki sposób.

Elend pokiwał głową.

- Myślałem, że oblężenie to dobry pomysł - mówił dalej Cett. - Ale teraz nie sądzę, by się powiodło, synu. Popiół spada coraz gęściej, a my nie mamy zapasów. Robi się z tego przeklęty bajzel. Musimy uderzyć i zabrać z Fadrex co się da, a później wrócić do Luthadel i spróbować utrzymać je przez lato, podczas gdy nasi ludzie będą zbierać plony.

Elend milczał. Po chwili obrócił się i spojrzał w bok, kiedy usłyszał coś jeszcze pośród mgieł. Krzyki i przekleństwa. Odgłosy były słabe - Cett pewnie ich nie słyszał. Elend pośpiesznie ruszył w stronę źródła dźwięków, zostawiając starszego towarzysza.

Kolejna bójka, uświadomił sobie Elend, zbliżając się do jednego z ognisk. Słyszał

wrzaski, krzyki i odgłosy szarpaniny. Cett ma rację. Nasi ludzie może i mają dobre serca, ale robią się niespokojni. Powinienem...

- Macie natychmiast przestać! - zawołał ktoś.

Tuż przed sobą, pośród mgieł Elend widział postacie poruszające się wokół ogniska.

Rozpoznał głos. Na miejsce dotarł generał Demoux.

Elend zwolnił. Lepiej niech generał zajmie się zamieszaniem. Istniała spora różnica między byciem

ukaranym przez dowódcę, a tym przez cesarza. Dla żołnierzy będzie lepiej, jeśli to Demoux przywróci ich do porządku.

Walka trwała.

- Przestać! - ryknął Demoux, wchodząc między walczących.

Kilku z żołnierzy posłuchało go i się wycofało. Inni nie przerywali bijatyki. Demoux rzucił się w sam środek, by rozdzielić dwóch walczących.

A wtedy jeden z nich uderzył go pięścią. Prosto w twarz, powalając generała na ziemię.

Elend zaklął, rzucił monetę i Odepchnął się do przodu. Wylądował w blasku ognia i natychmiast zaczął Uspokajać, tłumiąc emocje walczących.

- Koniec! - ryknął.

Zamarli w miejscu, jeden z żołnierzy stał nad powalonym generałem Demoux.

- Co się tutaj dzieje? - spytał Elend z wściekłością w głosie.

Żołnierze spuścili wzrok.

- No co? - spytał, zwracając się do mężczyzny, który uderzył Demoux.

- Przepraszam, milordzie - mruknął tamten. - My tylko...

- Mów, żołnierzu - powiedział Elend, wskazując na niego palcem. Jednocześnie Uspokoił jego uczucia, zwiększając uległość.

- Cóż, milordzie - wyjaśnił mężczyzna. - Oni są przekłeci, wiecie. To przez nich lady Vin została pojmana. Mówili o Ocalałym i jego błogosławieństwach, co dla mnie trąciło hipokryzją, wiecie? A później oczywiście pokazał się ich przywódca, żądając, żebyśmy przestali. Ja po prostu... no, jestem zmęczony słuchaniem ich, i tyle.

Elend się skrzywił. Wtedy właśnie grupa Mglistych - z Hamem na czele - pojawiła się pośród tłumu. Ham napotkał spojrzenie Elenda, który wskazał głową na walczących mężczyzn. Zbir szybko zebrał ich razem i udzielił nagany. Elend tymczasem pomógł Demoux wstać. Posiwiasty generał wydawał się przede wszystkim zaskoczony.

- Przepraszam, milordzie - powiedział cicho Demoux. - Powinienem się tego spodziewać. Powinienem się przygotować.

Elend jedynie potrząsnął głową. Obaj czekali w milczeniu, aż Ham dołączy do nich.

Jego ludzie odprowadzali wichrzycieli. Pozostali zebrani rozproszyli się, wracając do swoich obowiązków. Ognisko płonęło samotnie w mroku nocy, jakby zostało odrzucone jako symbol

nieszczęścia.

- Rozpoznałem część z tych żołnierzy - powiedział Ham, dołączając do Elenda i Demoux. - Mgłą powaleni.

Mgłą powaleni. Ludzie, którzy podobnie jak Demoux nie wrócili do zdrowia po jednym dniu, lecz przez wiele tygodni cierpieli z powodu mgielnej choroby.

- To absurd - stwierdził Elend. - Chorowali trochę dłużej. To nie czyni ich przeklętymi!

- Nie rozumiecie przesądów, milordzie - powiedział Demoux, kręcąc głową i masując brodę. - Ludzie szukają kogoś, kogo mogą obwiniać za swoje niepowodzenia. A... łatwo zrozumieć, dlaczego ostatnio mogą czuć, że nie mają szczęścia. Źle traktują wszystkich, którzy zachorowali, a najgorzej tych, którzy leżeli najdłużej.

- Nie zaakceptuję takiego idiotyzmu w swojej armii - powiedział Elend. - Ham, czy widziałeś, jak jeden z tych ludzi uderzył Demoux?

- Uderzyli go? - spytał zaskoczony Zbir. - Swojego generała?

Elend kiwnął głową.

- Ten potężny żołnierz, z którym rozmawiałem. Chyba ma na imię Brill. Wiesz, co należy zrobić.

Ham zaklął i odwrócił wzrok.

Demoux wyglądał na skrepowanego.

- Może moglibyśmy... wrzucić go do karceru albo coś w tym rodzaju?

- Nie - powiedział Elend przez zaciśnięte zęby. - Nie, postąpimy zgodnie z prawem.

Gdyby uderzył kapitana, może moglibyśmy potraktować go łagodniej. Ale jeśli on celowo podniósł rękę na jednego z moich generałów? Musi zostać stracony. I tak mamy problemy z dyscypliną.

Ham nie patrzył mu w oczy.

- Druga bijatyka, którą musiałem przerwać, również wybuchła między zwykłymi żołnierzami i mgłą powalonymi.

Elend zazgrzytał zębami.

Demoux spojrzał mu w oczy.

„Wiesz, co trzeba zrobić”, zdawał się mówić.

„Bycie królem to nie zawsze robienie tego, na co się ma ochotę”, jak mawiała Tindwyl. „To robienie

tego, co trzeba zrobić".

- Demoux - stwierdził Elend. - Myślę, że problemy w Luthadel są poważniejsze niż nasze kłopoty z dyscypliną. Penrod oczekuje od nas wsparcia. Chcę, żebyś zebrał oddział

żołnierzy i poprowadził ich z powrotem wzdłuż kanału razem z posłańcem, Conradem. Niech udziela pomocy Penrodowi i odzyskają dla mnie miasto.

- Tak, milordzie - odparł Demoux. - Ilu żołnierzy mam wziąć?

Elend spojrzał mu w oczy.

- Około trzech setek powinno wystarczyć. - To była liczba mgłą powalonych. Demoux przytaknął i wycofał się.

- To właściwie rozwiązanie, El - powiedział cicho Ham.

- Wcale nie - sprzeciwił się Elend. - Tak samo, jak nie jest właściwą koniecznością stracenia żołnierza, który popełnił jeden błąd. Ale musimy zachować spójność armii.

- Pewnie tak.

Elend odwrócił się i wpatrzył w mgły. W stronę Fadrex.

- Cett ma rację - powiedział w końcu. - Nie możemy po prostu tak tu siedzieć, kiedy świat wokół nas umiera.

- To co z tym zrobimy? - spytał Ham.

Elend się zawahał. Co mogli zrobić? Wycofać się i pozostawić Vin - i pewnie całe cesarstwo - własnemu losowi? Zaatakować, zabijając tysiące i stając się zdobywcą, czego tak bardzo się bał? Czy nie było innego sposobu zdobycia miasta?

Venture odwrócił się i ruszył w mrok. Skierował się w stronę namiotu Noordena, Ham podążał za nim, zainteresowany. Były obigator oczywiście nie spał. Noorden sypiał w nietypowych godzinach. Kiedy Elend wszedł do jego namiotu, wstał pośpiesznie i ukłonił się z szacunkiem.

Na stole Elend znalazł to, czego szukał. To, nad czym kazał Noordenowi pracować.

Mapy. Ruchy wojsk.

Lokalizację grup kolosów.

Yomen nie chce się dać zastraszyć mojej armii, pomyślał Elend. Zobaczymy, czy uda mi się zmienić stosunek sił.

Po „uwolnieniu” Zniszczenie mogło wpływać na świat w sposób bardziej bezpośredni.

Najbardziej widoczne było zwiększenie ilości popiołu wydostającej się z popielnych gór i pęknięcia ziemi. Właściwie sędzę, że większość energii Zniszczenia w tych ostatnich dniach pochłaniały te zadania.

Mógł również wpływać na większą liczbę istot niż wcześniej. Niegdyś kierował kilkoma wybranymi jednostkami, teraz panował nad armiami kolosów.

48

W miarę upływu czasu w jaskini Vin żałowała, że przewróciła latarnię. Próbowwała ją ratować, szukając na ślepo. Niestety, oliwa się wylała. Była uwięziona w mroku.

Z istotą, która próbowała zniszczyć świat.

Czasami wyczuwała ją, pulsującą w pobliżu, obserwującą w milczeniu - niczym zafascynowany widz na karnawałowym przedstawieniu. Czasami zniknęła. Najwyraźniej ściany nie były dla niej przeszkodą. Gdy zniknęła po raz pierwszy, Vin poczuła ulgę. Jednak już po kilku chwilach usłyszała w głowie głos Reena. „Nie opuściłem cię. Zawsze tu jestem”.

Te słowa ją zmroziły i przez kilka chwil Vin myślała, że istota czytała jej w myślach.

Jednak wkrótce doszła do wniosku, że łatwo było zgadnąć, o czym myślała w tym momencie.

Spoglądając w przeszłość, Vin uświadomiła sobie, że Zniszczenie nie mogło do niej mówić za każdym razem, gdy słyszała w głowie głos Reena. Wielokrotnie odzywał się, reagując na jej myśli, a nie działania. Ponieważ Zniszczenie nie mogło czytać w myślach, te uwagi nie mogły pochodzić od niego.

Zniszczenie mówiło do niej od tak dawna, że miała problemy z oddzieleniem swoich wspomnień od jego wpływu. Jednak musiała uwierzyć w obietnicę Ostatniego Imperatora, że Zniszczenie nie mogło czytać w myślach. Inaczej musiałaby porzucić wszelką nadzieję. A tego nie mogła zrobić. Za każdym razem, kiedy Zniszczenie się do niej odzywało, odkrywało swoją naturę. Te wskazówki mogły jej pomóc w pokonaniu go.

Pokonaniu go? - pomyślała Vin, opierając się o szorstką kamienną ścianę. To siła natury, nie żywa istota. Jak mogę w ogóle myśleć o pokonaniu czegoś takiego?

W nieustannych ciemnościach trudno jej było liczyć czas, ale po konieczności snu oceniała, że od chwili uwięzienia minęły trzy albo cztery dni.

Każdy nazywał Ostatniego Imperatora bogiem, przypominała sobie Vin. Ja go zabiłam.

Zniszczenie zostało niegdyś uwięzione. To oznaczało, że da się je pokonać, a przynajmniej poskromić. Ale co oznaczało uwięzienie abstrakcji - mocy - takiej jak Zniszczenie? Podczas uwięzienia było zdolne do niej mówić. Lecz jego słowa wydawały się wtedy słabsze. Mniej... skoncentrowane. Zniszczenie wywierało wpływ, przekazując małej Vin wrażenia objawiające się poprzez wspomnienia Reena. Zupełnie jakby... wpływało na jej uczucia. Czy to znaczyło, że

korzystało z Allomancji? Na pewno pulsowało allomantyczną mocą.

Zane słyszał głosy, uświadomiła sobie Vin. Tuż przed śmiercią zdawał się z czymś rozmawiać. Przeszedł ją dreszcz.

Zane był szaleńcem. Może nie istniał związek między głosami, które słyszał, a Zniszczeniem. Jednak wydawało się to zbyt wielkim zbiegiem okoliczności. Zane próbował ją skłonić, by poszła z nim i wyszukała źródło impulsów - impulsów, które w końcu doprowadziły ją do uwolnienia Zniszczenia.

Czyli, pomyślała Vin, Zniszczenie może wywierać na mnie wpływ niezależnie od odległości i uwięzienia. Ale teraz, gdy zostało uwolnione, może się objawiać bezpośrednio.

Tu pojawia się kolejne pytanie. Dlaczego nie zniszczyło nas wszystkich? Dlaczego bawi się armiami?

Przynajmniej ta odpowiedź wydawała się oczywista. Wyczuwała w nim niezmiernie pragnienie niszczenia. Wydawało jej się, że zna jego myśli. Jeden popęd. Jeden impuls.

Unicestwienie. Czyli, jeśli nie osiągnęło jeszcze swojego celu, oznaczało to, że nie mogło tego zrobić. Coś je powstrzymywało. Zostało ograniczone do pośrednich, stopniowych sposobów zagłady - jak spadający popiół i odcinające światło mgły.

Te metody w końcu okażą się skuteczne. Chyba że Zniszczenie zostanie powstrzymane. Ale jak?

Wcześniej zostało uwięzione... Co je uwięziło? Niegdyś zakładała, że to Ostatni Imperator doprowadził do uwięzienia Zniszczenia, ale się myliła. Zniszczenie zostało pochwycone, zanim Ostatni Imperator udał się do Studni Wstąpienia. Ostatni Imperator, zwany wówczas Rashekiem, udał się na wyprawę z Alendim, by zabić rzekomego Bohatera Wieków. Zadaniem Rasheka było powstrzymanie Alendiego przed tym, co w końcu zrobiła Vin - przypadkowym uwolnieniem Zniszczenia.

Jak na ironię, lepiej było, by ktoś tak samolubny jak Rashek wziął moc. Gdyż samolubny człowiek zachował moc dla siebie, zamiast ją oddać i w ten sposób uwolnić Zniszczenie.

Tak czy inaczej, Zniszczenie zostało uwięzione przed rozpoczęciem wyprawy. To oznaczało, że Głębia - mgły - nie miała związku ze Zniszczeniem. A przynajmniej, że ten związek nie był aż tak prosty, jak Vin zakładała. To nie uwolnienie Zniszczenia sprawiło, że mgły zaczęły się pojawiać w ciągu dnia i zabijać ludzi. Właściwie, pierwsze mgły pokazały się po raz pierwszy na dobry rok przed uwolnieniem Zniszczenia, a zaczęły zabijać ludzi kilka godzin przed tym, jak Vin znalazła drogę do Studni.

To co właściwie wiem? Że Zniszczenie zostało uwięzione przed wieloma laty.

Uwięzione przez coś, co być może uda mi się odnaleźć i znów wykorzystać?

Wstała. Zbyt długie siedzenie i myślenie sprawiło, że zrobiła się niespokojna. Zaczęła więc iść, trzymając dłoń przy ścianie.

Już pierwszego dnia uwięzienia zaczęła na ślepo badać jaskinię. Była wielka, podobnie jak pozostałe magazyny, i ten proces zajął jej kilka dni. Nie miała jednak nic innego do roboty. W przeciwieństwie do jaskini w Urteau, tu nie było sadzawki ani innego źródła wody.

Pierwszego dnia Vin odkryła, że Yomen zabrał wszystkie beczułki z wodą, które - jak zakładała - wcześniej znajdowały się naprzeciwko wejścia, po prawej. Zostawił jedzenie w puszkach i inne zapasy - jaskinia była tak wielka, że miałby zbyt mało czasu, by wszystko przenieść, nie wspominając już o miejscu do przechowywania - jednak zabrał całą wodę.

A to oznaczało, że Vin miała problem. Wymacała drogę wzdłuż ściany i zlokalizowała półkę, na której zostawiła otwartą puszkę z gulaszem. Nawet z pomocą cyny z ołowiem i kamienia otwarcie puszkę zajęło jej mnóstwo czasu. Yomen był na tyle bystry, by usunąć wszystkie narzędzia, które mogłaby wykorzystać do otwarcia zapasów, a Vin pozostała już tylko jedna zapasowa fiolka z metalami. Pierwszego dnia otworzyła około dziesięciu puszek, zużywając cynę z ołowiem, którą miała w żołądku. To jedzenie już się kończyło, a do tego brakowało jej wody - gulasz nie pomagał ugasić pragnienia.

Podniosła puszkę i zjadła jeden kęs. Smak potrawy przypominał jej o głodzie, który zaczynał dorównywać pragnieniu. Stłumiła to uczucie. Przez całe dzieciństwo radziła sobie z głodem. Nie było to nic nowego, nawet jeśli ostatni raz czuła to przed wielu laty.

Ruszyła dalej, trzymając palce przy ścianie, by się nie zgubić. To był bardzo sprytny sposób na zabicie Zrodzonego z Mgły. Yomen nie mógł jej pokonać, więc ją uwięził. Teraz mógł zaczekać, aż umrze z odwodnienia. Proste i skuteczne.

Może Zniszczenie przemawia też do Yomena, pomyślała. Moje uwięzienie może być częścią jego planu.

Na czymkolwiek by polegał.

Dlaczego Zniszczenie ją wybrało? Dlaczego nie poprowadziło kogoś innego do Studni Wstąpienia? Kogoś, nad kim mogło łatwiej panować? Rozumiała, dlaczego Zniszczenie przed wielu laty wybrało Alendiego. W czasach Alendiego Studnia znajdowała się wysoko w górach. Wspinaczka musiała być bardzo trudna, a Zniszczenie potrzebowało odpowiedniej osoby, która mogła zaplanować i przeżyć taką wyprawę.

Jednak w czasach Vin Studnia jakimś sposobem została przeniesiona do Luthadel. A może to Luthadel zostało wybudowane na Studni. Tak czy inaczej, znajdowała się dokładnie pod pałacem Ostatniego Imperatora. Dlaczego Zniszczenie czekało tak długo, by się uwolnić?

I ze wszystkich ludzi, jakich mogło sobie wybrać, dlaczego właśnie Vin?

Potrząsnęła głową. Dotarła do swojego celu - jedynej innej interesującej rzeczy w całej jaskini. Metalowej płyty na ścianie. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po gładkiej stali.

Nigdy nie umiała zbyt dobrze czytać, a ostatni rok - spędzony na wojnie i w podróży - nie pozwolił

jej podszkolić umiejętności. I dlatego minęło sporo czasu, zanim, wymacując każdy kształt wykuty w metalu, dowiedziała się, co napisano na płycie.

Nie było mapy. A przynajmniej takiej, jakie były w poprzednich jaskiniach. Jedyne proste okrąg z kropką pośrodku. Vin nie była pewna, co to miało znaczyć. Tekst był równie frustrujący. Vin przeciągnęła palcami po wgłębieniach, choć zdążyła już zapamiętać słowa.

Zawiodłem was.

Zaplanowałem te jaskinie, wiedząc, że nadchodzi katastrofa, i licząc na to, że uda mi się odkryć tajemnicę, która może się okazać użyteczna, jeśli padnę ofiarą spisków tej istoty.

Niestety nie mam nic. Nie wiem, jak to pokonać. Jedyнным sposobem, jaki mogę wymyślić, by nad nią zapanować, jest wzięcie dla siebie mocy Studni, kiedy powróci.

Jeśli to czytasz, zawiodłem. To oznacza, że nie żyję. Pisząc te słowa, uważam, że ta perspektywa jest mniej tragiczna, niż mógłbym kiedyś sądzić. Wolałbym raczej uniknąć kontaktów z tą istotą. Jest moim towarzyszem od zawsze, jej głos nieustannie do mnie szeptem, każe mi niszczyć, błaga mnie, bym ją uwolnił.

Obawiam się, że mogła zatruć moje myśli. Nie może wyczuć, co myślę, ale mówi w mojej głowie. Osiemset takich lat sprawiło, że trudno mi zaufać swojemu umysłowi. Czasami słyszę głosy i zakładam, że oszalałem.

To by było lepsze rozwiązanie.

Wiem jednak, że te słowa muszą zostać zapisane w stali, by zostały zachowane.

Zapisałem je na stalowym arkuszu i kazałem przepisać na płytę, ze świadomością, że w ten sposób ujawniam swoją słabość własnym kapłanom. Istota szeptała do mnie, że jestem głupcem, odslaniając się przez te słowa i pozwalając, by inni je zobaczyli.

I dlatego właśnie postanowiłem stworzyć tę płytę. Wydaje mi się, że w ten sposób wywołałem złość tej istoty. Jak sądzę, to wystarczający powód. Dobrze, że kilku z moich lojalnych kapłanów zna moją słabość, choćby dla dobra imperium, jeśli kiedyś zginę.

Próbowałem być dobrym władcą. Z początku byłem zbyt młody, zbyt gniewny.

Popełniałem błędy. Ale tak bardzo się starałem. Omal nie zniszczyłem świata przez swoją arogancję i obawiam się, że znów prawie go zniszczyłem swoimi rządami. Mogę więcej.

Zrobię więcej. Stworzę świat rządzony przez prawo.

Myśli w głowie każą mi się jednak zastanawiać, jak wiele z tego, co robię, zostało wypaczone w porównaniu z pierwotnymi intencjami. Czasami moje imperium wydaje mi się krainą pokoju i sprawiedliwości. Dlaczego więc nie mogę powstrzymać buntów? Oni nie mogą mnie pokonać, a ja muszę rozkazać, by zostali wyrżnięci za każdym razem, kiedy przeciwko mnie powstają. Czy nie

widzą doskonałości mojego systemu?

Tak czy inaczej, to nie czas na usprawiedliwienia. Nie potrzebuję usprawiedliwień, gdyż jestem - w pewnym sensie - Bogiem. Wiem jednak, że istnieje coś większego ode mnie.

Jeśli zostanę zniszczony to Ono będzie przyczyną mojego zniszczenia.

Nie mam żadnych rad. Jest potężniejsze ode mnie. Jest potężniejsze od tego świata. W rzeczy samej utrzymuje, że stworzyło ten świat. W końcu zniszczy nas wszystkich.

Może te zapasy pomogą ludzkości przetrwać trochę dłużej. Może nie. Jestem martwy.

Wątpię, czy powinienem się tym przejmować.

A jednak się przejmuję. Gdyż jesteście moim ludem. Jestem Bohaterem Wieków. To właśnie muszą znaczyć te słowa - Bohater Wieków, bohater, który żyje całe wieki, jak ja.

Wiedźcie, że moc tej istoty nie jest kompletna. Na szczęście dobrze ukryłem jej ciało.

I na tym się kończyło. Vin postukała z frustracją w płytę. Cały tekst wydawał się wymyślony właśnie po to, by ją sfrustrować. Ostatni Imperator poprowadził ich na tę wyprawę, a na końcu nie dawał nadziei? Elend tak bardzo liczył na to, co mogło się znajdować na tej płycie, a okazało się właściwie bez znaczenia. Inne przynajmniej zawierały przydatne informacje o nowych metalach i tym podobnych sprawach.

„Zawiodłem was”. Do szалу doprowadzała ją świadomość, że przeszli całą tę drogę by odkryć, że Ostatni Imperator był równie bezradny jak oni. A jeśli wiedział więcej - co sugerowały jego słowa - to dlaczego nie podzielił się z nimi tą wiedzą? Z drugiej strony, w tych słowach wyczuwała jego niestabilność - ciągle wahania między skrucą a arogancją.

Może tak wpływało na niego Zniszczenie. A może zawsze taki był. Tak czy inaczej, Vin przypuszczała, że Ostatni Imperator nie mógł jej powiedzieć wiele więcej użytecznych rzeczy. Zrobił co mógł, przez tysiąc lat powstrzymując Zniszczenie. To go spaczyło, być może nawet doprowadziło do szaleństwa.

Nie zmieniało to faktu, że Vin czuła dojmujące rozczarowanie zawartością płyty.

Ostatni Imperator miał tysiąc lat na zamartwianie się, co się stanie, jeśli zostanie zabity zanim moc powróci do Studni, i nawet jemu nie udało się znaleźć rozwiązania.

Spojrzała w stronę płyty, choć nie widziała jej w ciemnościach.

Musi być jakieś wyjście! - pomyślała, odrzucając zawartą w słowach Ostatniego Imperatora sugestię, że są skazani na zagładę. Co takiego napisałeś na dole? „Dobrze ukryłem jej ciało”.

Ten fragment wydawał się ważny. Ona jednak nie...

W ciemnościach rozległ się dźwięk.

Vin natychmiast się odwróciła i sięgnęła po ostatnią fiolkę z metalami. Bliskość Zniszczenia zwiększała jej nerwowość i serce zabiło jej szybciej, gdy wsłuchiwała się w odbijające się echem odgłosy - zgrzyt kamienia o kamień.

Drzwi jaskini się otwierały.

Można by zadać pytanie, dlaczego Zniszczenie nie wykorzystало Inkwizytorów do uwolnienia go z więzienia. Odpowiedź jest prosta, jeśli rozumie się działanie mocy.

Przed swoją śmiercią Ostatni Imperator miał nad nimi zbyt wielką władzę, by pozwolić Zniszczeniu na bezpośrednią kontrolę. Jednakże nawet po śmierci Ostatniego Imperatora taki sługa Zniszczenia nie mógłby go uratować. Moc w Studni należała do Zachowania i Inkwizytor mógłby ją wziąć jedynie po usunięciu hemalurgicznych kolców. A to oczywiście by go zabiło.

Dlatego Zniszczenie szukało bardziej pośredniego sposobu na osiągnięcie swoich celów. Potrzebowało kogoś, kto nie był przez nie zbyt splamiony, ale kogo mógł wodzić za nos, starannie nim manipulując.

49

Sazed zrobił niewielką notatkę na diagramie, porównując pomiary. Na ile mógł to ocenić, Ostatni Imperator nie musiał się zbytnio napracować, by stworzyć podziemne jezioro.

Woda i tak wpływała do jaskini. Inżynierowie Ostatniego Imperatora jedynie poszerzyli otwory, sprawiając, że więcej wody wpływało do jaskini, niż naturalnie ją opuszczało.

Efektom była sporych rozmiarów warstwa wodonośna. Maszynieria w bocznej jaskini okazała się mechanizmem zamykania odpływów na dnie - pewnie w celu zachowania rezerw wody na wypadek, gdyby coś się stało z jej dostawami. Niestety, nie istniał sposób na zablokowanie dopływów.

Zanim Ostatni Imperator stworzył rezerwar, jedynie niewielka ilość wody spływała do jaskini. Reszta płynęła w tym, co obecnie pełniło funkcję ulic, napełniając kanały. Dlatego Sazed zakładał, że gdyby udało mu się powstrzymać dopływ wody do jaskini, kanały znów by się napełniły.

Muszę dowiedzieć się więcej o ciśnieniu wody, pomyślał Sazed, by zapewnić odpowiednią masę do zamknięcia tych dopływów. Wydawało mu się, że w metalmyśli widział książkę na ten temat.

Usiadł wygodnie na krześle i sięgnął do metalmyśli. Wyciągnął fragment tekstu -

sporządzony przez siebie indeks tytułów książek zawartych w magazynie. Gdy tylko przywołał tekst, słowa stały się tak jasne i wyraźne, jakby właśnie je przeczytał i zapamiętał.

Zapisał je na kartce papieru, po czym umieścił z powrotem w miedziomyśli.

To było dziwne doświadczenie. Po zwróceniu listy mógł sobie przypomnieć chwilę, kiedy po nią

sięgał - ale nie miał najmniejszego wspomnienia treści indeksu. W głowie miał

pustkę. Słowa zapisane na kartce były jedynym świadectwem tego, co wiedział jeszcze przed chwilą. Mając tytuł, mógł umieścić kompletną książkę w swoim umyśle. Wybrał interesujące go rozdziały, a resztę z powrotem przeniósł na miedziomyśl, by się nie zatarła.

A dzięki tym rozdziałom jego wiedza inżynierska była tak świeża, jakby właśnie uważnie przestudiował książkę. Bez trudu obliczył, jakich ciężarów i proporcji potrzebował, żeby stworzyć zapory, które - jak liczył - sprowadzą wodę z powrotem na ulice miasta.

Pracował w samotności, siedząc przy eleganckim, ukradzionym biurku; mrok jaskini rozświetlała lampa. Mimo wiedzy dostarczonej przez miedziomyśli była to ciężka praca, wymagająca wielu obliczeń - nie do tego rodzaju badań był przyzwyczajony. Na szczęście, miedziomyśli Opiekuna nie ograniczały się do jego zainteresowań. Każdy Opiekun przechowywał całą wiedzę. Sazed ledwie przypominał sobie lata spędzone na słuchaniu i zapamiętywaniu. Musiał poznać informacje w takim stopniu, by móc je zapamiętać na chwilę, a następnie zrzucić na miedziomyśl. W ten sposób był jednocześnie jednym z najmądrzejszych i najgłębszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli - zapamiętał tak wiele, lecz świadomie wszystko zapomniał.

Mimo to, miał dostęp do podręczników inżynierii w taki sam sposób jak do traktatów religijnych. Wiedza ta nie czyniła go błyskotliwym matematykiem czy architektem - dawała mu jednak wystarczające umiejętności, by poradził sobie znacznie lepiej niż laik.

A w miarę postępów pracy coraz trudniej było mu zaprzeczać, że najlepiej radzi sobie z nauką. Nie był przywódcą. Nie był ambasadorem. Nawet kiedy pełnił funkcję głównego ambasadora Elenda, większość czasu spędzał, zajmując się religiami. Teraz, gdy powinien kierować ekipą w Urteau, w coraz większym stopniu przekazywał przywództwo Spookowi.

Sazed był badaczem i uczonym. Nauka dawała mu satysfakcję. Nawet jeśli inżynieria nieszczególnie go fascynowała, tak naprawdę wolał raczej prowadzić badania - niezależnie od tematu - niż robić cokolwiek innego. Czy to aż tak zawstydzające, pomyślał, że jestem człowiekiem, który woli dostarczać innym informacje niż te informacje wykorzystywać?

Stukot laski o kamień oznajmił przybycie Breeze'a. Uspokajacz nie musiał wspierać się na lasce - nosił ją, by robić bardziej arystokratyczne wrażenie. Ze wszystkich złodziei skaa, jakich Sazed miał okazję poznać, Breeze najdoskonalej udawał szlachetnie urodzonego.

Sazed szybko zrobił kilka notatek i umieścił rozdziały na temat ciśnienia wody z powrotem na miedziomyśli. Nie ma sensu, by się zacierały, gdy będzie rozmawiał z Breeze'em. Mężczyzna oczywiście miał ochotę porozmawiać. I rzecz jasna, gdy Uspokajacz usiadł przy stole Sazed, przyjrzał się diagramom i unióśł brew.

- Nieźle ci idzie, mój drogi. Być może minąłeś się z powołaniem.

Terrisanin się uśmiechnął.

- To miło z twojej strony, lordzie Breeze, choć obawiam się, że inżynier uznałby ten plan za szpetny. Ale sądzę, że powinien wystarczyć.

- Naprawdę myślisz, że to ci się uda? - spytał Breeze. - Sprawić, by wody popłynęły, jak poprosił chłopak? To w ogóle możliwe?

- Ależ tak - odparł Sazed. - Kwestią pozostają jedynie moje umiejętności, nie możliwość wykonania zadania. Woda niegdyś wypełniała te kanały i może do nich powrócić.

W rzeczy samej, wierzę, że jej powrót będzie o wiele bardziej spektakularny niż pierwotny stan. Wcześniej spora część wody już płynęła do jaskini. Powinno mi się udać zablokować większość przepływu i sprawić, że woda powróci z mocą. Oczywiście, jeśli lord Spook pragnie, by kanały płynęły, będziemy musieli pozwolić, by część wody tu spływała. Kanały zazwyczaj nie mają zbyt wielkiego prądu, szczególnie w okolicach, gdzie jest wiele słuz.

Breeze uniósł brew.

- W rzeczy samej - mówił dalej Sazed - kanały są o wiele bardziej fascynujące niż można by się spodziewać. Weźmy na przykład pod uwagę sposób przekształcenia naturalnej rzeki w kanał... uczynienia jej, jak się to określa, spławną... albo może metody pogłębiania stosowane do usuwania mułu i popiołu z dna. Mam tu książkę napisaną przez niesławnego lorda Fedre, który mimo swej reputacji był absolutnym geniuszem w dziedzinie budowy kanałów. Musiałem wręcz... - Sazed przerwał i uśmiechnął się słabo. - Przepraszam. Nie interesuje cię to, prawda?

- Nie - zgodził się Breeze - ale ważne, że ciebie interesuje, Sazedzie. Dobrze widzieć, że badania cię tak ekscytują. Nie wiem, nad czym wcześniej pracowałeś, ale niepokoiło mnie, że z nikim się tym nie dzieliłeś. Wydawałeś się niemal zawstydzony tym, co robisz. Teraz jednak... takiego Sazedą pamiętam!

Sazed spojrział na swoje notatki i diagramy. Breeze miał rację. Kiedy ostatnim razem był tak podekscytowany swoimi badaniami... Był z nią. Pracowali nad zbiorem mitów i odniesień do Bohatera Wieków.

- Właściwie, lordzie Breeze - przyznał Sazed - mam niejakie poczucie winy.

Breeze przewrócił oczami.

- Sazedzie. Czy ty zawsze musisz się czuć winny? Kiedy jeszcze byliśmy w pierwotnej ekipie, czułeś, że robisz za mało, żeby pomóc nam obalić Ostatniego Imperatora. Później, kiedy go zabiliśmy, czułeś się zrozpaczony, ponieważ nie robiłeś tego, co kazali ci inni Opiekunowie. Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego czujesz się winny z powodu prowadzenia badań?

- Sprawia mi to przyjemność.

- To cudownie, mój drogi. Dlaczego wstydzisz się tej przyjemności? Nie chodzi przecież o to, że lubisz zabijać szczeniacki czy coś w tym rodzaju. Owszem, uważam, że jesteś trochę szalony, ale jeśli sprawia ci przyjemność coś aż tak ezoterycznego, to nie krępuj się. Zostaje więcej dla tych z

nas, którzy wolą bardziej przyziemne rozrywki... na przykład, upijanie się najlepszym winem Straffa Venture.

Sazed się uśmiechnął. Wiedział, że Breeze Odpycha jego uczucia, sprawia, by poczuł

się lepiej, ale nie buntował się przeciwko temu. Rzeczywiście czuł się dobrze. Lepiej niż od długiego czasu.

Choć...

- To nie takie proste, lordzie Breeze - stwierdził Sazed, odkładając pióro. - Czuję się szczęśliwy, że mogę tu siedzieć i czytać i nie muszę dowodzić. Dlatego czuję się winny.

- Nie każdy urodził się przywódcą, Sazedzie.

- Owszem, ale lord Elend uczynił mnie dowódcą misji zabezpieczenia tego miasta.

Powiniennem planować, jak obalić Obywatela, a nie pozwalać, by robił to lord Spook.

- Mój drogi! - powiedział Breeze, pochylając się. - Czy niczego cię nie nauczyłem?

Dowodzenie nie oznacza, że trzeba coś robić... oznacza jedynie konieczność upewnienia się, że inni ludzie robią to, co powinni! Delegowanie obowiązków, przyjacielu. Inaczej sami byśmy piekli swój chleb i kopali latryny! - Breeze pochylił się bardziej. - I uwierz mi. Nie chciałbyś spróbować niczego, co upiekłem. Nigdy. A zwłaszcza po tym, jak sprzątałem latrynę.

Sazed pokręcił głową.

- Nie tego oczekiwałyby ode mnie Tindwyl. Ona szanowała przywódców i polityków.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy ona nie zakochała się w tobie, a nie w królu czy księciu?

- Cóż, miłość to...

- Daj spokój, Sazedzie - przerwał mu Breeze. - Snułeś się po okolicy jak młody chłopak, który znalazł sobie nową sympatię. A choć ona była nieco bardziej skryta, kochała cię. Nie trzeba było Uspokajacza, by to zauważyć.

Sazed westchnął i spuścił wzrok.

- Czy tego by dla ciebie pragnęła, Sazedzie? - mówił dalej Breeze. - Byś zaprzeczył

temu, kim jesteś? Stał się kolejnym nudnym politykiem?

- Nie wiem, lordzie Breeze - odpowiedział cicho Sazed. - Ja... już jej nie mam. I dlatego być może mogę ją wspominać, zajmując się tym, co ona kochała.

- Sazedzie - powiedział bez ogródek Breeze - jak możesz być tak mądry w pewnych kwestiach, a jednocześnie tak absolutnie głupi w tej sprawie?

- Ja...

- Człowiek jest tym, co go pasjonuje - stwierdził Uspokajacz. - Odkryłem, że jeśli ktoś rezygnuje z tego, czego najbardziej pragnie, w imię tego, czego swoim zdaniem powinien pragnąć bardziej, koniec jest żalony.

- A jeśli to, czego pragnę, nie jest tym, czego potrzebuje społeczeństwo? - spytał

Sazed. - Czasami po prostu musimy robić to, co nie sprawia nam przyjemności. Takie jest życie.

Breeze wzruszył ramionami.

- Ja się tym nie przejmuję. Robię to, w czym jestem dobry. W moim przypadku oznacza to nakłanianie innych ludzi, by robili to, na co nie mam ochoty. W ostatecznym rozrachunku wszystko się zgadza.

Sazed potrząsnął głową. To nie było takie proste, a ostatnio jego przygnębienie nie wiązało się jedynie z Tindwyl i jej śmiercią. Odłożył swoje badania nad religiami, ale wiedział, że będzie musiał do nich wrócić, praca nad kanałami była przyjemną odmianą, lecz mimo to Sazed czuł, jak wiszą nad nim jego wcześniejsze wnioski i praca.

Nie chciał odkryć, że ostatnie religie nie mają odpowiedzi. Dlatego również tak dobrze się czuł, badając coś innego, gdyż inżynieria nie zagrażała jego światopoglądowi. Nie mógł

jednak rozpraszać się bez końca. W końcu znajdzie odpowiedzi albo ich brak. Teczka wciąż leżała pod biurkiem, spoczywając na torbie z metalnymi.

Na razie pozwolił sobie na trochę wytchnienia. Lecz nawet jeśli jego troska związana z religiami chwilowo ustąpiła, były inne kwestie, którymi musiał się zająć. Wskazał głową w stronę jeziora. Spook, ledwie widoczny, stał na brzegu i rozmawiał z Goradelem oraz kilkoma żołnierzami.

- A co z nim, lordzie Breeze? - spytał Sazed szeptem, tak cicho, że nawet Spook nie mógłby go usłyszeć. - Jak już mówiłem, lord Elend powierzył mi dowodzenie tą misją. Co, jeśli pozwolę Spookowi kierować, a on zawiedzie? Obawiam się, że młodzieniec nie jest wystarczająco... doświadczony, by podjąć się tego zadania.

Breeze wzruszył ramionami.

- Na razie dobrze sobie radzi. Pamiętaj, ile lat miała Vin, kiedy zabiła Ostatniego Imperatora.

- Owszem - wyszeptał Sazed - ale tu sytuacja jest inna. Spook ostatnio wydaje się...

dziwny. Z pewnością coś przed nami ukrywa. Dlaczego tak bardzo pragnie przejąć władzę w tym mieście?

- Myślę, że to dobrze dla chłopaka, jeśli okazuje trochę determinacji - odparł Breeze, opierając się wygodniej na krześle. - Przez większość życia był bierny.

- Nie martwi cię jego plan? Z łatwością może dojść do katastrofy.

- Sazedzie - powiedział Breeze. - Czy pamiętasz nasze spotkanie przed kilkoma tygodniami? Spook zapytał mnie, dlaczego nie możemy po prostu obalić Quelliona, jak to zrobiliśmy z Ostatnim Imperatorem.

- Pamiętam. Powiedziałeś mu, że nie możemy, ponieważ nie ma już z nami Kelsiera.

Uspokajacz pokiwał głową.

- Cóż - powiedział cicho, wskazując laską na Spooka - zmieniłem zdanie. Nie mamy Kelsiera, ale coraz bardziej dochodzę do wniosku, że mamy coś podobnego.

Sazed zmarszczył czoło.

- Nie mówię, że chłopak ma siłę osobowości Kelsiera. Jego... obecność. Słyszałeś, jaką reputację zaczyna mieć wśród ludzi. Kelsier nie osiągnął sukcesu dzięki temu, kim był, ale dzięki temu, za kogo uważali go ludzie. Nie sądziłem, by udało nam się to odtworzyć.

Zaczynam dochodzić do wniosku, że się myliłem.

Sazed nie był przekonany. Zachował jednak zastrzeżenia dla siebie i powrócił do badań. Spook musiał zauważyć, że na niego patrzą, gdyż kilka chwil później podszedł do stołu Sazed. Zamrugał w słabym świetle latarni i przyciągnął sobie krzesło. Eleganckie meble wyglądały dziwnie w oczach Sazed, w porównaniu z zakurzonymi, utylitarnymi półkami.

Spook wydawał się zmęczony. Od jak dawna nie spał? - pomyślał Sazed. Jest na nogach, kiedy ja się kładę, a wstaje przede mną.

- Coś tu jest nie tak - stwierdził chłopak.

- Ach tak? - spytał Breeze. - Poza faktem, że gadamy sobie obok podziemnego jeziora w magazynie wybudowanym przez Ostatniego Imperatora pod fortecą Inkwizytorów?

Spook spojrział beznamiętnie na Uspokajacza i zwrócił się do Sazed.

- Wydaje mi się, że powinniśmy już zostać zaatakowani.

- A dlaczego tak sądzisz? - spytał Sazed.

- Znam Quelliona, Saze. To despota w starym stylu. Objął władzę siłą, a panuje dzięki temu, że daje ludziom mnóstwo trunków i małe wolności, na przykład pozwolenie na chodzenie w nocy do tawern. A jednocześnie utrzymuje wszystkich w strachu.

- A jak on w ogóle objął władzę? - spytał Breeze. - Jak udało mu się zapanować nad miastem, zanim zrobił to jakiś szlachetnie urodzony ze sporym oddziałem straży osobistej?

- Mgły - odparł Spook. - Wyszedł w nie i ogłosił, że każdy wierny Ocalałemu będzie w nich bezpieczny. Później mgły zaczęły zabijać, co było poręcznym potwierdzeniem jego słów. Upierał się, że mgły zabijają tych, którzy mają zło w sercach. Ludzie byli tak zaniepokojeni tym, co się działo, że go posłuchali. Udało mu się przeforsować prawo, zgodnie z którym każdy musiał wyjść w mgły, by zobaczyć, kto umrze, a kto nie. Ci, którzy przeżyli, byli, jak ogłosił, czysti. Powiedział im, że mogą stworzyć jego rozkoszną utopię. Później zaczęli zabijać szlachetnie urodzonych.

- Aha - stwierdził Breeze. - Sprytne.

- Zgadza się - powiedział Spook. - Przy tym wszystkim pominął fakt, że mgły nie zabiły żadnego szlachetnie urodzonego.

- Zaczekaj - odezwał się Sazed. - Co powiedziałaś?

Spook wzruszył ramionami.

- Trudno to obecnie potwierdzić, ale takie historie słyszałem. Szlachetnie urodzeni wydają się odporni na mgielną chorobę. Nie skaa z domieszką arystokratycznej krwi, ale prawdziwi szlachetnie urodzeni.

- Interesujące - przyznał Breeze.

Więcej niż interesujące, pomyślał Sazed. Naprawdę dziwne. Czy Elend wie o tym zjawisku? Sazed zastanowił się nad tym i uznał, że to mało prawdopodobne. W armii i wśród sojuszników mieli niemal wyłącznie skaa. Jedyni szlachetnie urodzeni, jakich znali, pozostali w Luthadel, a ci woleli w nocy zostać w budynkach i nie ryzykowali wychodzenia w mgłę.

- Tak czy inaczej - mówił dalej Spook - Quellion to despota. A despoci nie lubią, jeśli ktoś rzuca im wyzwanie na ich terenie. Spodziewałbym się już jakiegoś zamachu na nasze życie.

- Chłopak ma rację - stwierdził Breeze. - Ludzie tacy jak Quellion nie zabijają wyłącznie podczas wymyślnych egzekucji. Zakładam, że na każdego, kogo wrzuca do tych budynków przypadają trzy trupy w bocznych uliczkach, z wolna przysypywane popiołem.

- Powiedziałem Goradelowi i jego ludziom, żeby zachowali szczególną ostrożność -

powiedział Spook - i sam rozejrzałem się dookoła. Nie natrafiłem jednak na nikogo, kto by choćby nas szpiegował. Oddziały Quelliona siedzą na swoich stanowiskach i obserwują nas, ale nic poza tym.

Breeze podrapał się po brodzie.

- Może Quellion boi się nas bardziej niż przypuszczasz.

- Może - zgodził się z westchnieniem Spook. Rozmasował czoło.

- Lordzie Spooku - odezwał się ostrożnie Sazed - powinieneś się przespać.

- Nic mi nie jest - odparł chłopak.

Gdybym go nie znał, powiedziałbym, że spala cynę z ołowiem, żeby zachować przytomność, pomyślał Sazed. A może szukam znaków, żeby potwierdzić to, co mnie dręczy?

Nigdy nie zadawaliśmy pytań, kiedy Vin i Kelsier objawiali moce wykraczające poza zdolności innych Allomantów. Dlaczego tak podejrzliwie odnoszę się do Spooka? Czy tylko dlatego, że znam go zbyt dobrze? Czy skupiam się na wspomnieniach chłopca, choć on najwyraźniej stał się mężczyzną?

- W każdym razie - odezwał się Spook - jak idą badania?

- Właściwie całkiem nieźle - odpowiedział Sazed i odwrócił kilka ze swoich diagramów, żeby Spook mógł je obejrzeć. - Jestem już niemal gotów rozpocząć prace konstrukcyjne.

- Ile ci to zajmie, jak sądzisz?

- Myślę, że kilka tygodni. Dość krótko, biorąc pod uwagę okoliczności. Na szczęście, ludzie, którzy osuszili kanały, pozostawili sporo gruzu, który mogę wykorzystać. Do tego Ostatni Imperator nieźle zaopatrzył ten magazyn. Mam drewno, podstawowe narzędzia ciesielskie, a nawet trochę bloczków.

- Na co on się przygotowywał? - spytał Breeze. - Żywność i wodę rozumiem. Ale koce? Drewno? Bloczki?

- Na katastrofę, lordzie Breeze - odparł Sazed. - Uwzględnił wszystko, czego mogli potrzebować ludzie w wypadku, gdyby samo miasto zostało zniszczone. Przygotował nawet posłania i zaopatrzenie medyczne. Może bał się rozszalałych kolosów.

- Nie - sprzeciwił się Spook. - Przygotowywał się dokładnie na to, co się w tej chwili dzieje. Czyli masz zamiar wybudować coś, żeby zatrzymać wodę? Spodziewałem się, że po prostu zavalisz tunele.

- Ależ nie - wyjaśnił Sazed. - Nie mamy ludzi ani sprzętu, żeby zawalić skały. Poza tym wolałbym nie robić niczego, co potencjalnie mogłoby się skończyć zawaleniem całej jaskini wokół nas. Planuję wybudować drewniany mechanizm blokujący, który będzie można zanurzyć w wodzie. Odpowiedni ciężar w połączeniu z właściwą konstrukcją powinny wystarczyć, by powstrzymać przepływ. Właściwie przypomina to mechanizmy wykorzystywane w śluzach na kanałach.

- O których - dodał Breeze - opowie ci z dużą chęcią. I wyczerpująco.

Sazed się uśmiechnął.

- Naprawdę sądzę, że...

Przerwało mu jednak przybycie kapitana Goradela. Mężczyzna wyglądał poważniej niż zazwyczaj.

- Lordzie Spooku - powiedział kapitan. - Ktoś na was czeka na górze.

- Kto? - spytał Spook, wyciągając z kieszeni okulary i bandaż. - Durn?

- Nie, milordzie. Mówi, że jest siostrą Obywatela.

* * *

- Nie przyszedłam tu po to, żeby do was dołączyć - powiedziała kobieta, Beldre.

Siedzieli w surowej sali audiencyjnej budynku Inkwizycji nad jaskinią. Krzesła nie były tapicerowane, a stalowe płyty wiszące na ścianach jako dekoracja zbyt przypominały Sazedowi to, co widział podczas wizyty w Domu Modlitwy Seran.

Beldre była młodą kobietą o kasztanowych włosach. Nosila prostą sukienkę w fasonie dozwolonym przez Obywatela, pofarbowaną na czerwono. Siedziała z dłońmi na kolanach, i choć patrzyła zebrany w oczy, otaczała ją aura obawy, która zdecydowanie osłabiała jej pozycję.

- Zatem, dlaczego tu jesteś, moja droga? - spytał ostrożnie Breeze.

Uspokajacz zajął krzesło naprzeciwko Beldre. Allrienne usiadła obok niego i spoglądała na dziewczynę z dezaprobatą. Spook spacerował z tyłu, od czasu do czasu wyglądając przez okno.

Uważa, że to fortel, pomyślał Sazed. Że dziewczyna ma odwrócić naszą uwagę przed atakiem. Chłopak nosił laski pojedynkowe przypięte do pasa niczym miecze. Jak dobrze umiał walczyć?

- Jestem tutaj... - powiedziała Beldre, spuszczać wzrok. - Jestem tutaj, ponieważ chcecie zabić mojego brata.

- A skąd wpadłeś na taki pomysł?! - spytał Breeze. - Jesteśmy tu, by zawrzeć sojusz z twoim bratem, a nie go zamordować! Czy wyglądamy na ludzi, którzy byliby dobrzy w czymś takim?

Beldre spojrzała na Spooka.

- Pomijając jego - stwierdził Breeze. - Spook jest nieszkodliwy. Naprawdę, nie powinnaś...

- Breeze - przerwał mu chłopak, spoglądając w ich stronę swoimi dziwnymi zabandażowanymi oczyma. Ukryte pod spodem okulary sprawiały, że tkanina nieco się wybrzuszała. - Wystarczy. Nie rób z nas obu idiotów. Beldre wie, dlaczego tu jesteśmy...

wszyscy w mieście wiedzą.

Zapadła cisza.

Wygląda... trochę jak Inkwizytor w tych okularach pod bandażami, pomyślał Sazed i przeszedł go

dreszcz.

- Beldre - odezwał się Spook. - Naprawdę spodziewasz się, że uwierzemy, że przyszedłeś tu jedynie błagać o życie brata?

Spojrzała na Spooka, wyzywająco spoglądając mu w oczy - o ile można to tak nazwać.

- Możesz próbować brzmieć ostro, ale wiem, że nie zrobisz mi krzywdy. Jesteś z ekipy Ocalałego.

Spook założył ręce na piersi.

- Proszę - powiedziała dziewczyna. - Quellion to dobry człowiek, jak wy. Musicie dać mu więcej czasu. Nie zabijajcie go.

- A dlaczego sądzisz, że go zabijemy, dziecko? - spytał Sazed. - Przed chwilą powiedziałaś, że nie zrobimy ci krzywdy. Dlaczego w wypadku twojego brata miałyby być inaczej?

Beldre spuściła wzrok.

- To wy zabiliście Ostatniego Imperatora. Doprowadziliście do upadku imperium. Mój brat w to nie wierzy... twierdzi, że wykorzystaliście popularność Ocalałego i ogłosiliście się jego przyjaciółmi po tym, jak on sam się poświęcił.

Spook prychnął.

- Zastanawiam się, jak twój brat wpadł na taki pomysł. Może znał kogoś innego, kto utrzymywał, że ma błogosławieństwo Ocalałego, zabijając ludzi w jego imieniu...

Beldre się zaczerwieniła.

- Twój brat nam nie ufa - rzekł Sazed. - Dlaczego ty nam zaufałaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła cicho. - Chyba... ludzie, którzy kłamią, nie ratują dzieci z płonących budynków.

Sazed spojrzał na Spooka, lecz nie mógł nic odczytać na ponurej twarzy młodzieńca.

W końcu chłopak się odezwał.

- Breeze, Sazedzie, Allrienne, chodźcie ze mną. Goradelu, przypilnuj ją.

Spook wyszedł na korytarz, a Sazed i pozostali podążyli za nim. Kiedy drzwi się zamknęły, chłopak odwrócił się w ich stronę.

- I co?

- Nie podoba mi się - stwierdziła Allrienne, zakładając ręce na piersi.

- Oczywiście, że nie, moja droga. Ty nie lubisz konkurencji - zauważył Breeze.

- Konkurencji? - prychnęła Allrienne. - W postaci takiej małej, przestraszonej istotki?

Naprawdę?

- A co ty sądzisz, Breeze? - spytał Spook.

- O dziewczynie czy o tym, jak mnie obraziłeś?

- To pierwsze. Twoja urażona duma w tej chwili się nie liczy.

- Mój drogi towarzyszu - powiedział Breeze - moja duma zawsze się liczy. Jeśli chodzi o dziewczynę, powiem ci jedno... jest przerażona. Mimo tego, co mówi, jest bardzo, ale to bardzo przerażona... co oznacza, że nie robiła czegoś takiego zbyt często. Przypuszczam, że jest szlachetnie urodzona.

Allrienne pokiwała głową.

- Zdecydowanie. Popatrzcie tylko na jej dłonie... kiedy nie trzęsą się z przerażenia, można zobaczyć, że są czyste i delikatne. Dorastała rozpieszczana.

- Jest najwyraźniej dość naiwna - dodał Sazed. - Inaczej nie przyszłaby tutaj, zakładając, że ją wysłuchamy, a później pozwolimy odejść.

Spook przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Później podszedł do drzwi i otworzył je.

- I co? - spytała Beldre z udawaną pewnością siebie. - Postanowiliście mnie wysłuchać?

- W pewnym sensie - odparł Spook. - Dam ci więcej czasu na wyjaśnienie swoich poglądów. A właściwie mnóstwo czasu.

- Ja... nie mam czasu - powiedziała Beldre. - Muszę wrócić do brata. Nie powiedziałam mu, że wychodzę, a... - Zamilkła, najwyraźniej widząc coś w twarzy Spooka. - Zostanę zakładniczką, prawda?

- Breeze - odezwał się Spook, odwracając się. - Jak myślisz, jak zareagowaliby ludzie, gdybym zaczął rozpuszczać pogłoski, że nawet siostra Obywatela zwróciła się przeciwko niemu i poprosiła o azyl w naszej ambasadzie?

Uspokajacz się uśmiechnął.

- No, no. Bardzo sprytnie! Niemal wynagradza sposób, w jaki mnie potraktowałeś. Czy wspomniałem już, jak bardzo to było niegrzeczne?

- Nie możesz! - powiedziała Beldre, wstając. - Nikt nie uwierzy w moją ucieczkę!

- Naprawdę? - spytał Spook. - Czy rozmawiałaś z żołnierzami, zanim tu weszłaś?

- Oczywiście, że nie. Próbowaliby mnie powstrzymać. Wbiegłam na schody, nim to zrobili.

- Czyli oni potwierdzą, że z własnej woli weszłaś do budynku - stwierdził Spook - omijając przy tym strażnicę.

- To nie wygląda dobrze - zgodził się Breeze.

Beldre oklapła nieco i znów usiadła na krześle. Na Zapomnianych Bogów, pomyślał

Spook. Rzeczywiście jest naiwna. Obywatel musiał bardzo się starać, żeby ją tak ochronić.

Oczywiście, z tego co słyszał Sazed, Quellion nieczęsto spuszczał dziewczynę z oczu.

Zawsze była przy nim, uważnie pilnowana. Jak on zareaguje? - pomyślał z dreszczem Sazed.

Co zrobi, kiedy się dowie, że ją mamy? Zaatakuje?

Może to była część planu. Gdyby Spookowi udało się sprowokować otwarty atak Quelliona, nie wyglądałoby to dobrze. A szczególnie, gdyby Quelliona odepchnęli nieliczni żołnierze - nie mógł wiedzieć, jak dobrze ufortyfikowana jest jego pozycja.

Kiedy Spook tak zmyślał?

Beldre podniosła wzrok, w jej oczach błyszczały łzy frustracji.

- Nie możecie tego zrobić. To oszustwo! Co powiedziałałyby Ocalały, gdyby się dowiedział, co planujecie?

- Ocalały? - powtórzył Spook ze śmiechem. - Mam przeczucie, że by mu się to spodobało. W rzeczy samej, myślę, że gdyby tu był, sam by to zaproponował...

O przebiegłości Zniszczenia wyraźnie świadczy drobiazgowość jego planowania.

Udało mu się zorganizować upadek Ostatniego Imperatora na krótko przed tym, jak moc Zachowania powróciła do Studni Wstąpienia. A później w ciągu kilku lat od tego wydarzenia udało mu się oswobodzić.

W skali bogów i ich mocy to bardzo skomplikowane planowanie było równie precyzyjne jak staranne cięcie wykonane przez wyjątkowo utalentowanego chirurga.

50

Drzwi do jaskini się otworzyły.

Vin natychmiast pochłonęła ostatni flakonik metali.

Skoczyła, rzucając za siebie monetę i wylądowała na szczycie jednego z wolno stojących regałów. W jaskini rozlegał się zgrzyt kamienia o kamień. Vin rzuciła się do przodu

- Odpychając się od monety - i wystrzeliła w stronę wejścia. Wokół otworu pojawiła się linia światła i nawet od tego słabego blasku zabołały ją oczy.

Zacisnęła zęby i wylądowała, mrugając w świetle. Oparła się o ścianę tuż obok drzwi, ściskając noże i spalając cynę z ołowiem, by znieść ból wywołany przez światło. Po jej policzkach spływały łzy.

Drzwi przestały się poruszać. Do środka wszedł samotny mężczyzna, niosący uniesioną latarnię. Miał na sobie elegancki czarny surdut i kapelusz.

Vin zignorowała go.

Obeszła go ostrożnie i skoczyła przez drzwi, wchodząc do niewielkiej salki. Grupa zaskoczonych robotników cofnęła się, rzucając liny przywiązane do mechanizmu drzwi. Ich również zignorowała, przepychając się między nimi. Rzuciwszy monetę, Odepchnęła się do góry. Szczelne drewnianej drabiny zlewały się w jedno, gdy się wznosiła. Uderzyła w klapę na sklepieniu.

I odbiła się od niej z jękiem.

Spadając, rozpaczliwie chwyciła się szczelbi, ignorując nagły ból ramienia. Rozjarzyła cynę z ołowiem i odepchnęła się nogami od drabiny, po czym napała plecami na klapę, próbując ją otworzyć.

Napięła się. Wtedy szczelbel pod jej stopami pękł, a ona znów zaczęła spadać. Zaklęła i Odepchnęła się od monety, by spowolnić upadek. Dotknęła ziemi i przykucnęła.

Robotnicy znów skupili się w gromadce - niepewni, czy odważą się wejść do ciemnej jaskini, ale też niepewni, czy pragnęli pozostać w małej salce ze Zrodzoną z Mgły. Odziany w surdut szlachetnie urodzony odwrócił się. Uniósł wysoko latarnię, oświetlając Vin. Kawałek połamanej drabiny oderwał się i uderzył z trzaskiem w podłogę.

- Kłapa jest dobrze zabezpieczona wielkim głazem, lady Venture - powiedział

szlachetnie urodzony.

Vin wydawało się, że go rozpoznaje. Miał lekką nadwagę, ale był zadbany, nosił

krótko obcięte włosy, a jego twarz była zamyślona.

- Powiedz ludziom na górze, żeby usunęli kamień - stwierdziła cicho Vin, unosząc sztylet.

- Obawiam się, że do tego nie dojdzie.

- Mogę do tego doprowadzić - powiedziała Vin, robiąc krok do przodu. Robotnicy cofnęli się jeszcze bardziej.

Szlachetnie urodzony uśmiechnął się.

- Lady Venture, chciałbym poruszyć kilka kwestii. Po pierwsze, jesteś jedyną Allomantką pośród nas i nie wątpię, że mogłabyś wymordować nas wszystkich bez większego wysiłku. Po drugie, kamień na górze w najbliższym czasie się nie poruszy, więc równie dobrze możemy usiąść i miło porozmawiać, zamiast unosić broń i grozić.

W mężczyźnie było coś... rozbijającego. Vin sprawdziła brązem i zorientowała się, że nie spalał żadnych metali. Na wszelki wypadek Przyciągnęła jego uczucia, czyniąc go nieco bardziej ufnym i przyjaznym, a później próbowała Uspokoić jego przebiegłość.

- Widzę, że zastanawiasz się nad moją propozycją - powiedział szlachetnie urodzony i gestem wskazał jednego z robotników.

Mężczyzna pośpiesznie otworzył swoją torbę, wyjął z niej dwa składane krzesła i ustawił je na podłodze przed kamiennymi drzwiami. Szlachetnie urodzony ustawił z boku latarnię i usiadł.

Vin podeszła nieco bliżej.

- Skąd ja cię znam?

- Jestem przyjacielem twojego męża - odparł mężczyzna.

- Telden - powiedziała Vin, w końcu go kojarząc. - Telden Hasting.

Telden pokiwał głową. Widziała go na balu przed kilkoma tygodniami, tym, który odwiedzili po raz pierwszy, ale i tak znała go już wcześniej. Był jednym z przyjaciół Elenda w Luthadel, w czasach przed Upadkiem.

Vin ostrożnie usiadła na krześle, próbując się domyślić, na czym polega gra Yomena.

Czy uważał, że nie zabije Teldena jedynie dlatego, że kiedyś był przyjacielem Elenda?

Telden rozsiadł się na swoim krześle, nieco bardziej swobodnie niż przeciętny szlachetnie urodzony. Gestem wezwał robotnika, który podał mu dwie butelki.

- Wino - powiedział arystokrata. - Jedno jest czyste, drugie zawiera bardzo mocny środek usypiający.

Vin uniosła brew.

- Mamy się bawić w zgadywanki?

- Raczej nie - stwierdził Telden, otwierając jedną z butelek. - Jestem na to stanowczo zbyt spragniony, a jak słyszałem, ty raczej nie masz zbyt wielkiej cierpliwości do gier.

Vin przechyliła głowę, gdy Telden przyjął dwa kubki od służącego i nalał trochę rubinowego płynu do każdego. Obserwując go, zrozumiała dlaczego jest tak rozbrajający.

Przypominał jej Elenda - dawnego, beztroskiego Elenda. Na ile mogła ocenić, Telden naprawdę wciąż taki był.

Muszę to przyznać Yomenowi, pomyślała. Jego miasto nie jest doskonałe, ale stworzył miejsce, w którym ludzie tacy jak Telden mogą zachować część swojej niewinności.

Telden pociągnął łyk wina, podając drugi kubek Vin. Wsunęła jeden z noży do pochwy i przyjęła kubek. Nie napiła się - i nie miała najmniejszego zamiaru tego robić.

- To jest wino bez środka usypiającego - powiedział Telden. - I do tego dobry rocznik.

Yomen to prawdziwy dżentelmen... jeśli posyła jednego ze swoich przyjaciół na śmierć, przynajmniej daje mu drogie wino, żeby złagodzić cios.

- Mam uwierzyć, że zostałeś tu uwięziony ze mną? - spytała beznamiętnie Vin.

- Oczywiście, że nie. Choć wielu uważa, że moja misja jest beznadziejna.

- A na czym ona polega?

- Mam cię skłonić do wypicia zatrutego wina, żeby można było cię bezpiecznie przetransportować na górę.

Vin prychnęła.

- Widzę, że zgadzasz się z moimi krytykami - stwierdził Telden.

- Właśnie się zdradziłeś - powiedziała Vin. - Właśnie powiedziałeś, że mam wypić wino i stracić przytomność. To oznacza, że masz dać sygnał tym na górze, że już się mną zająłeś, żeby mogli odsunąć kamień i cię wypuścić. Masz moc nas uwolnić. A ja mam moc zmusić cię, żebyś zrobił tak, jak zapragnę.

- Emocjonalna Allomancja nie wpłynie na mnie w tak wielkim stopniu - sprzeciwił się Telden. - Nie jestem Allomantą, ale trochę się na tym znam. Podejrzewam, że w tej chwili manipulujesz moimi uczuciami... choć nie ma takiej konieczności, gdyż jestem z tobą absolutnie szczerzy.

- Nie potrzebuję Allomancji, by zmusić cię do mówienia - stwierdziła Vin, spoglądając na nóż, który wciąż trzymała w drugiej ręce.

Telden się roześmiał.

- Myślisz, że król Yomen... tak, on sam jest na górze... nie rozpozna, że mówię pod przymusem? Nie wątpię, że byłabyś zdolna mnie złamać, ale nie zdradzę hasła jedynie pod wpływem gróźb, więc

musiałabyś mi obciąć parę palców, zanim spełniłbym twoje żądania.

Jestem pewien, że Yomen i pozostali usłyszeli by moje krzyki.

- Mogłabym zabijać służących - powiedziała Vin. - Jednego po drugim, aż zgodziłbyś się powiedzieć Yomenowi, że jestem nieprzytomna, i skłonić go do otwarcia drzwi.

Telden się uśmiechnął.

- Sądzisz, że ich śmierć by mnie obchodziła?

- Jesteś jednym z przyjaciół Elenda. Jednym z tych, z którymi rozmawiał o filozofii.

- Filozofii - zgodził się Telden - i polityce. Jednak Elend był jedynym spośród nas zainteresowanym losem skaa. Zapewniam cię, że reszta z nas tak naprawdę nie rozumiała, skąd się wzięła ta jego fascynacja. - Wzruszył ramionami. - Jednak nie jestem bez serca. Jeśli zabijesz wystarczająco wielu z nich, być może złamię się i zrobię to, o co prosisz. Możesz już zaczynać.

Vin spojrzała na służących. Wydawali się przerażeni jej obecnością, a słowa Teldena nie pomagały. Po kilku chwilach szlachetnie urodzony się roześmiał.

- Jesteś żoną Elenda - zauważył. - I Yomen o tym wie. Był przekonany, że nie zabijesz żadnego z nas, mimo swej przerażającej reputacji. Z tego, co wiemy, masz w zwyczaju mordowanie królów i bogów, może od czasu do czasu żołnierzy. Jednak służący skaa...

Vin odwróciła wzrok od sług, lecz nie spojrzała w oczy Teldena, bojąc się, że zobaczy w nich potwierdzenie. Mylił się co do niej - zabiłaby służących, gdyby sądziła, że dzięki temu się wydostanie. Nie miała jednak takiej pewności. Gdyby Yomen usłyszał krzyki, pewnie nie otworzyłby klapy, a Vin zamordowałaby niewinnych ludzi.

- Czyli - powiedział Telden - mamy tu pat. Zakładamy, że brakuje ci jedzenia, chyba że udało ci się otworzyć te puszki. Ale nawet jeśli tak się stało, na dole nie ma nic, co pomogłoby ci się wydostać na górę. Sądzę, że jeśli nie przyjmiesz wina, wszyscy umrzemy tu z głodu.

Vin usiadła wygodniej na krześle. Musi być jakiś sposób, żeby się wydostać - szansa, by to wykorzystać.

Było jednak skrajnie nieprawdopodobne, by udało jej się przebić przez klapę na górze.

Być może mogłaby wykorzystać duraluminium i stal, żeby Odepchnąć się na drugą stronę.

Wtedy jednak utraciłaby stal i cynę z ołowiem, a nie miała już żadnej zapasowej fiolki z metalami.

W słowach Teldena było, niestety, mnóstwo prawdy. Nawet gdyby Vin udało się przeżyć w jaskini, pozostawałaby w zastoju i bezużyteczna. Na górze nadal trwałoby oblężenie - nawet nie wiedziała, jak się rozwija - a świat wciąż by umierał przez machinacje Zniszczenia.

Musiała wydostać się z jaskini, nawet jeśli oznaczało to znalezienie się w rękach Yomena. Spojrzała na butelkę zatrutego wina.

Do kata, pomyślała. Ten obligator jest sprytniejszy niż sądziliśmy. Wino z pewnością zostało przygotowane tak, by pozbawić przytomności Allomantę.

Jednakże...

Cyna z ołowiem czyniła ciało odpornym na wszelkie trucizny. Gdyby po wypiciu wina rozjarzyła cynę z ołowiem z duraluminium, być może wypaliłaby narkotyk i zachowała przytomność. Mogłaby udawać, że jest nieprzytomna, a na górze uciec.

Wydawało się to naciągane. Ale co miała zrobić? Jedzenie prawie się skończyło, a szanse ucieczki były marne. Nie wiedziała, czego chciał od niej Yomen - a Telden jej tego raczej nie powie - lecz nie mógł życzyć sobie jej śmierci. Gdyby tak było, po prostu dałby jej umrzeć z głodu.

Miała wybór: albo jeszcze poczekać w jaskini, albo zaryzykować szansę ucieczki na górze. Zastanowiła się przez krótką chwilę, po czym sięgnęła po butelkę. Nawet jeśli jej sztuczka z cyną z ołowiem nie zadziała, wolała zaryzykować, licząc na lepszą sytuację na górze.

Telden się zaśmiał.

- Rzeczywiście mówili, że jesteś zdecydowana. To miła odmiana... Spędziłem stanowczo zbyt wiele czasu z nudnymi szlachetnie urodzonymi, którym podjęcie decyzji zajmuje całe lata.

Vin go zignorowała. Bez trudu wyjęła korek z butelki, po czym uniosła ją i pociągnęła łyk. Narkotyk natychmiast zaczął działać. Usiadła na krześle i opuściła powieki, próbując sprawiać wrażenie, że zasypia. W rzeczy samej, trudno jej było zachować przytomność. Miała mętlik w głowie mimo cyny z ołowiem.

Osunęła się i poczuła, jak odpływa. Już, pomyślała i spaliła duraluminium. Jej ciało wypełniła wzmocniona cyna z ołowiem. Uczucie zmęczenia od razu zniknęło. Niemal podskoczyła, czując nagły przypływ energii. Telden się śmiał.

- A niech mnie - powiedział do jednego ze służących. - Rzeczywiście na to poszła.

- Bylibyście martwi, gdyby tego nie zrobiła, milordzie - odparł sługa. - Wszyscy byśmy byli.

I wtedy duraluminium się wyczerpało. Cyna z ołowiem zniknęła w mgnieniu oka, a wraz z nią jej odporność na narkotyk, który jeszcze się nie wypalił. To i tak była ryzykowna próba.

Ledwie usłyszała brzęk broni, która wysunęła się z jej palców i uderzyła w podłogę.

Później straciła przytomność.

Gdy Zniszczenie został uwolniony z więzienia, mógł wywierać większy wpływ na ludzi

- lecz przebicie ofiary hemalurgicznym kolcem było trudnym zadaniem, niezależnie od okoliczności.

Aby osiągnąć swój cel, najwyraźniej zaczynał od ludzi, którzy i tak tracili kontakt z rzeczywistością, gdyż szaleństwo czyniło ich podatnymi na jego dotyk. Ich z kolei mógł

wykorzystywać do przebijania bardziej zrównoważonych osób. Tak czy inaczej, liczba ważnych ludzi, których Zniszczeniu udało się przebić, robi wrażenie. Król Penrod, który w owym czasie władał Luthadel, jest tu dobrym przykładem.

51

Elend leciał wśród mgieł. Nigdy nie opanował do końca sztuczki Vin z podkowami.

Ona jakimś sposobem utrzymywała się w powietrzu, Odpychając się raz za razem i Przyciągając zza pleców wykorzystane wcześniej podkowy. Elendowi przypominało to cyklon zabójczych kawałków metalu, w oku którego znajdowała się Vin.

Upuścił monetę i Odepchnął się potężnie. Po czterech czy pięciu nieudanych próbach zrezygnował z podków. Vin wydawała się zaskoczona, że mu się nie powiodło - ona wymyśliła wszystko sama i wystarczyło jej pół godziny, by opanować tę metodę w stopniu mistrzowskim.

Ale to była Vin.

Elend radził sobie z monetami, których nosił sporą sakiewkę. Miedziane spinki, najdrobniejsze z imperialnych monet, doskonale służyły jego celom - szczególnie że był

potężniejszy od pozostałych Zrodzonych z Mgły. Każde z jego Odpychań niesło go wyżej i dalej niż powinno, i dlatego nie zużywał aż tak wielu monet, nawet jeśli podróżował daleko.

Cieszył się, że udało mu się wyrwać. Poczul się wolny, gdy zaczął opadać poprzez kłębiącą się ciemność, po czym rozjarzył cynę z ołowiem i wylądował ze stłumionym łupnięciem. W tej dolinie było względnie mało popiołu - dryfował, pozostawiając wąski korytarz, gdzie sięgał jedynie do połowy łydki. Dlatego Elend dla odmiany biegł przez kilka minut.

Jego mgielny płaszcz powiewał za nim. Elend miał na sobie ciemny strój, nie jeden z białych mundurów. Wydawało mu się to stosowne - poza tym nie miał okazji stać się prawdziwym Zrodzonym z Mgły. Od czasu odkrycia swoich umiejętności właściwie tylko prowadził wojnę. Nie miał potrzeby skradać się w ciemnościach, zwłaszcza że Vin robiła to o wiele lepiej od niego.

Rozumiem, dlaczego Vin uważa to za upajające, pomyślał, rzucając kolejną monetę i przeskakując nad dwoma wzgórzami. Nawet niepokój z powodu pojmania Vin i zagrożenia dla cesarstwa nie tłumił oszałamiającej wolności wędrowek wśród mgły. Niemal zapominał

wtedy o wojnach, zniszczeniu i odpowiedzialności.

Później wylądował i niemal do pasa zatonął w popiele. Stał przez kilka chwil, wpatrując się w

miękki biały proch. Nie mógł przed tym uciec. Vin była w niebezpieczeństwie, cesarstwo się rozpadało, a jego ludzie głodowali. Do niego należało zadanie naprawienia tych rzeczy - taki przyjął na siebie ciężar, gdy został cesarzem.

Odepchnął się w powietrze, ciągnąc za sobą ogon popiołu.

Mam nadzieję, że Sazed i Breeze mają więcej szczęścia w Urteau, pomyślał. Martwił

się, czy poradzi sobie w Fadrex, a Środkowe Dominium potrzebowało zboża ze składu w Urteau, jeśli mieli obsiać wystarczająco wiele pól przed zimą.

Teraz nie mógł się tym martwić. Musiał ufać, że jego przyjaciele sobie poradzą.

Zadaniem Elenda było zrobienie czegoś, co mogło pomóc Vin. Nie mógł po prostu siedzieć i czekać w obozie, pozwalając, by Yomen pociągał za sznurki. A jednak nie ważył się podjąć próby zgładzenia obligatora - nie po tym, jak mężczyzna tak sprytnie oszukał ich oboje.

I dlatego Elend biegł, kierując się na północny wschód, w stronę ostatniego znanego miejsca pobytu armii kolosów. Czas subtelności i dyplomacji się skończył. Elend potrzebował groźby - czegoś, co mógłby unieść nad głową Yomena i w razie potrzeby go tym walnąć. A nic nie było lepsze do zdobywania miast od kolosów. Może był głupcem, samotnie wyruszając na poszukiwanie tych bestii. Może się mylił, odrzucając dyplomację. A jednak podjął decyzję. Ostatnio zawiódł w tak wielu kwestiach - zapewnienie bezpieczeństwa Vin i Luthadel, obrona jego ludu - że po prostu musiał zacząć działać.

Przed sobą ujrzał światło pośród mgieł. Wylądował i ruszył biegiem przez sięgający do kolan popiół. Jedyne rozjarzona cyna z ołowiem pozwalała mu tego dokonać. Kiedy się zbliżył, zobaczył wioskę. Usłyszał krzyki. Widział kłębiące się w przerażeniu sylwetki.

Podskoczył, rzucił monetę i rozjarzył metale. Przeleciał przez kłębiącą się mgłę, ponad wioską i jej przerażonymi mieszkańcami, a jego mgielny płaszcz łopotał za nim. Kilka domów płonęło i w tym blasku Elend widział pochylone sylwetki kolosów wędrujących ulicami. Elend wybrał stwora, który unosił broń do ciosu, i Przyciągnął. Poniżej koloss sapnął, lecz nie wypuszczał broni. Ponieważ był niewiele większy od Elenda, został

Przyciągnięty w górę, a Elendem szarpnęło w dół. Spadając, mężczyzna Przyciągnął się do zawiasów drzwi, mijając o włos zdeorientowanego, latającego kolossa. Jednocześnie zasypał

stwora monetami.

Bestia wirowała w powietrzu razem ze swoim ostrzem. Elend wylądował na ulicy przed grupką przerażonych skaa. Miecz latającego kolossa uderzył w pokrytą popiołem ziemię przed Elendem. Sam stwór padł martwy po drugiej stronie ulicy.

Duża grupa kolosów odwróciła się, ich przekrwione oczy świeciły w blasku ognia.

Wypełniała je żądza krwi i gotowość do walki. Musiał je najpierw przestraszyć, zanim spróbuje

przejąć nad nimi kontrolę. Nie mógł się tego doczekać.

Jak one mogły być kiedyś ludźmi? - zastanawiał się Elend. Rzucił się do przodu i wyrwał z ziemi miecz powalonego kolossa, wyrzucając w górę chmurę czarnego popiołu.

Ostatni Imperator stworzył te istoty. Czy taki los spotykał tych, którzy mu się przeciwstawiali? Czy stawali się kolosami, tworzącymi jego armię? Istoty były obdarzone wielką siłą i wystarczyło im niewiele pożywienia, by przetrwać. A jednak... zmienić ludzi -

nawet wrogów - w takie potwory?

Elend rzucił się do przodu i powalił jedną z bestii, odcinając jej nogi pod kolanami.

Później podskoczył i odrąbał ramię kolejnego stwora. Zawirował i wbił prymitywny miecz w pierś trzeciego. Nie miał wyrzutów sumienia, zabijając tych, którzy niegdyś byli niewinnymi ludźmi. Tamci już nie żyli. Istoty, które pozostały, będą się mnożyć, wykorzystując innych ludzi, chyba że zostaną powstrzymane.

Albo ktoś nad nimi zapanuje.

Elend wykrzyknął, wirując pośród grupy kolosów, machając mieczem, który powinien być dla niego za ciężki. Kolejne stwory zauważały go, odwracały się i ciężkim krokiem ruszały ulicami rozświetlonymi blaskiem płonących domów. Zgodnie z doniesieniami zwiadowców, to była bardzo duża grupa - licząca około trzydziestu tysięcy.

Tak wielu w jednej chwili zniszczyłoby wioskę, zmiotło z powierzchni ziemi jak wichura kupkę popiołu.

Elend nie mógł na to pozwolić. Walczył, zabijając stwora po stworze. Przybył tu, by zyskać nową armię, ale w miarę upływu czasu odkrywał, że walczy z zupełnie innego powodu. Ile podobnych wiosek zostało zniszczonych, a nikt w Luthadel nie poświęcił im nawet jednej myśli? Ilu poddanych - należących do Elenda, nawet jeśli o tym nie wiedzieli -

utracił przez kolosy? Ilu nie udało mu się już ochronić?

Elend odrąbał łeb kolossa i zawirował, Odpychając miecze dwóch mniejszych bestii.

Potężny, dwunastostopowy stwór szedł w jego stronę z uniesioną bronią. Elend zacisnął zęby i uniósł własny miecz, rozjarzając cynę z ołowiem.

W blasku płonącej wioski ostrze uderzyło o ostrze z odgłosem przypominającym młot uderzający w kowadło. A Elend nie cofnął się, dotrzymał pola potworowi dwa razy wyższemu od niego.

Koloss stał oszołomiony.

Jestem silniejszy niż powinienem być, pomyślał Elend, odrąbując ramię zaskoczonych stwora. Dlaczego ta siła nie może chronić ludzi, którymi władam?

Krzyknął i rozciął kolossa na pół w pasie - właściwie tylko po to, żeby pokazać, że potrafi to zrobić. Bestia upadła na ziemię w dwóch kawałkach.

Dlaczego? - pomyślał rozwścieczony Elend. Jaką siłę muszę posiadać, co muszę zrobić, by ich ochronić?

Powróciły do niego słowa Vin, wypowiedziane przed miesiącem w mieście Vetitan.

Powiedziała, że wszystko, co robi, jest krótkoterminowe. Ale co jeszcze mógł zrobić? Nie był zabójcą bogów, boskim bohaterem z przepowiedni. Był tylko człowiekiem.

A wydawało się, że w tych czasach zwyczajni ludzie - nawet Allomanci - nie byli wiele warci. Krzyczał, zabijając, przebijając się przez kolejną grupę kolosów. A jednak, podobnie jak jego wysiłki w Fadrex, to nie wystarczało.

Wokół niego wioska wciąż płonęła. Walcząc, słyszał płacz kobiet, krzyki dzieci, jęki umierających mężczyzn. Nawet jego wysiłki jako Zrodzonego z Mgły były nieistotne. Mógł

zabijać i zabijać, ale to nie uratuje mieszkańców wioski. Krzyknął i zaczął Uspokajać, ale kolosy stawiały mu opór. Nie udało mu się zapanować nawet nad jednym. Czy to znaczyło, że kontrolował je Inkwizytor? A może nie były jeszcze wystarczająco przerażone?

Walczył dalej. A gdy to robił, otaczająca go śmierć wydawała mu się metaforą wszystkiego, co robił przez ostatnie trzy lata. Powinien był zapewnić bezpieczeństwo swoim ludziom - tak bardzo się starał zapewnić im bezpieczeństwo. Powstrzymywał armie, obalał

tyranów, opracowywał nowe prawa i zbierał zapasy. A jednak wszystko to było małą kroplą ocalenia w niezmiernym oceanie śmierci, chaosu i cierpienia. Nie mógł uratować cesarstwa, chroniąc jeden jego zakątek, podobnie jak nie mógł uratować wioski, zabijając niewielką część kolosów.

Co da zabicie jednego potwora, skoro na jego miejscu pojawiają się dwa następne? Co mu da żywność, którą nakarmi swój lud, skoro popiół zdusił wszystko? Na co nadawał się on, cesarz, który nie umiał obronić mieszkańców jednej wioski?

Elend nigdy nie pragnął władzy. Był uczonym, teoretykiem - władanie imperium było dla niego w dużej mierze ćwiczeniem teoretycznym. Gdy walczył tamtej ciemnej nocy, pośród płonących mgieł i spadającego popiołu, zaczynał rozumieć. Gdy ludzie umierali wokół

niego mimo jego gorączkowych wysiłków, rozumiał, co kierowało ludźmi pragnącymi coraz większej władzy.

Władzy, by chronić. W tej chwili przyjąłby boskie moce, gdyby to pozwoliło mu uratować otaczających go ludzi.

Powalił kolejnego kolossa i obrócił się gwałtownie, gdy usłyszał krzyk. Młoda kobieta była

wyciągana z pobliskiego domu, mimo że starszy mężczyzna trzymał ją za ramię, a oboje wołali o pomoc. Elend sięgnął za pas i wyjął sakiewkę z monetami. Wyrzucił ją w powietrze i jednocześnie Odepchnął część monet. Przyciągając w tym samym czasie inne. Sakiewka rozpadła się, wyrzucając chmurę metalu, a Elend popchnął część odłamków w stronę kolossa szarpiącego kobietę.

Stwór sapnął, ale się nie zatrzymał. Monety rzadko wpływały na kolosy - żeby je zabić, trzeba było trafić we właściwy punkt. Vin umiała to zrobić.

Elend nie miał ochoty na taką subtelność, nawet gdyby potrafił to zrobić. Ryknął

wyzywająco i rzucił w stwora kolejnymi monetami. Podnosił je z ziemi, przyciągał do siebie i rzucał nimi do przodu, wbijając pocisk za pociskiem w niebieskie ciało stwora. Plecy tamtego pokryła gruba warstwa zbyt czerwonej krwi i w końcu przewrócił się.

Elend obrócił się na pięcie, odwracając się tyłem do uradowanego ojca i córki, by stawić czoło kolejnemu kolosowi. Stwór uniósł broń do ciosu, lecz Elend jedynie krzyknął z wściekłością.

Powiniennem być zdolny ich ochronić! - pomyślał. Musiał zapanować nad całą grupą, nie marnując czasu na walkę z kolejnymi potworami. Niestety, stawiały opór jego Allomancji, nawet kiedy znów Odepchnął ich uczucia. Gdzie był ich strażnik, Inkwizytor?

Gdy koloss zamachnął się bronią, Elend rozjarzył cynę z ołowiem i rzucił się w bok, po czym odciął dłoń stwora. Kiedy tamten ryczał z bólu, Elend rzucił się do dalszej walki.

Wieśniacy zaczęli się zbierać wokół niego. Nie byli wyszkoleni do walki - prawdopodobnie znajdowali się pod ochroną Yomena i nie musieli się przejmować bandytami czy maruderami.

Jednakże, mimo wyraźnego braku umiejętności, wiedzieli, że muszą trzymać się blisko Zrodzonego z Mgły. Ich zdesperowane, pełne błagania spojrzenia dodawały Elendowi siłę, każąc mu zabijać kolossa za kolossem.

W tej chwili nie musiał się martwić o dobro i zło. Po prostu walczył. Pragnienie walki płonęło w nim jak metal - a nawet pragnienie zabijania. I dlatego wciąż walczył - walczył dla zaskoczenia w oczach wieśniaków, dla nadziei, jaką rozpałał w nich każdy jego cios.

Uważali, że ich życie jest stracone, a wtedy ten człowiek spadł z nieba, by ich bronić.

Dwa lata wcześniej, podczas oblężenia Luthadel, Vin zaatakowała umocnienia Cetta i zabiła trzy setki jego żołnierzy. Elend ufał, że miała dobre powody do takiego ataku, ale nigdy nie zrozumiał, jak to się jej udało. A przynajmniej do tej nocy, gdy walczył w bezimiennej wiosce, pośród popiołu i płonących mgieł, a przed nim ginęły szeregi kolosów.

Inkwizytor się nie pokazał. Sfrustrowany Elend odwrócił się od grupy kolosów, pozostawiając za sobą jednego umierającego stwora, i zgasił metal. Bestie otoczyły go, a wtedy spalił duraluminium i cynk, i Przyciągnął.

W wiosce zapadła cisza.

Elend zawahał się i potknął. Popatrzył przez spadający popiół, w stronę pozostałych przy życiu kolosów - całych tysięcy - które nagle znieruchomiały wokół niego, w końcu znalazły się pod jego kontrolą.

Nie mogłem opanować ich wszystkich naraz, pomyślał niepewnie. Co się stało z Inkwizytorem? Zazwyczaj jeden z nich towarzyszył tak wielkiej grupie kolosów. Czy uciekł? To by wyjaśniło, dlaczego Elendowi nagle udało się zapanować nad kolosami.

Elend był zaniepokojony, ale jednocześnie nie wiedział, co mógłby zrobić. Rozejrzał

się po wiosce. Niektórzy z mieszkańców zebrali się wokół niego i gapili się. Wydawało się, że są w szoku - nie próbowali gasić płonących domów, lecz po prostu stali wśród mgieł i obserwowali go.

Powinien czuć triumf. A jednak jego zwycięstwo zostało zepsute przez nieobecność Inkwizytora. W dodatku wioska płonęła - pozostało jedynie kilka nietkniętych budynków.

Elend nie uratował wioski. Znalazł armię kolosów, jak planował, ale wydawało mu się, że zawiódł w innej, ważniejszej kwestii. Westchnął, wypuszczając miecz ze zmęczonych, zakrwawionych palców, i ruszył w stronę wieśniaków. Kiedy szedł, zaniepokoił go widok licznych trupów kolosów. Naprawdę zabił ich tak wiele?

Inna część jego osoby - w tej chwili spokojna, lecz wciąż płonąca - żałowała, że czas zabijania się skończył. Elend zatrzymał się przed grupą wieśniaków.

- Jesteście nim, prawda? - spytał starszy mężczyzna.

- Kim? - spytał Elend.

- Ostatnim Imperatorem - wyszeptał mężczyzna.

Elend spojrział z góry na swój czarny mundur, otoczony mgielnym płaszczem. Były śliskie od krwi.

- Prawie - odpowiedział, odwracając się na wschód, gdzie wiele mil dalej obozowała jego ludzka armia, czekając, aż powróci z nowymi siłami kolosów.

Istniał tylko jeden powód, dla którego to zrobił. W końcu przyznał się sam przed sobą, jaką decyzję nieświadomie podjął, kiedy wyruszył na tę wyprawę.

Czas zabijania wcale się nie skończył, pomyślał. Dopiero się zaczyna.

Pod koniec popiół zaczynał się zbierać w przerażających ilościach. Wspominałem o specjalnych mikrobach, które stworzył Ostatni Imperator, by pomagały w rozkładaniu spadającego popiołu. One tak naprawdę nie „pożerały” popiołu. Raczej go rozkładały podczas swojego metabolizmu. Popiół wulkaniczny w końcu bardzo dobrze działa na glebę, choć zależy to oczywiście od tego, co się chce uprawiać.

Ale, co za dużo, to niezdrowo. Woda jest niezbędna do przeżycia, jednak jeśli jest jej zbyt wiele,

można utonąć. W całej historii Ostatniego Imperium świat balansował na krawędzi katastrofy z powodu popiołu. Mikroby rozkładały go w niemal takim samym tempie, jak opadał, ale było go tak wiele, że nadmiernie nasycił ziemię i rośliny nie mogły przetrwać.

Pod koniec cały system się zawalił. Popiół padał nieustannie, dusząc i zabijając, a rośliny ginęły. Mikroby nie miały możliwości dotrzymać mu kroku, gdyż potrzebowały czasu i substancji odżywczych, by się rozmnażać.

52

W czasach Ostatniego Imperatora Luthadel było najludniejszym miastem na świecie.

Wypełniały je dwu- i trzypiętrowe czynszówki, a zamieszkiwali skaa, którzy pracowali w licznych hutach i kuźniach, szlachetnie urodzeni kupcy, którzy sprzedawali wyprodukowane w nim towary, i arystokraci, którzy po prostu pragnęli znaleźć się blisko imperialnego dworu.

TenSoon zakładał, że po śmierci Ostatniego Imperatora i upadku jego rządów Luthadel się wyludni.

Najwyraźniej się mylił.

Wciąż nosząc ciało wilczarza, truchtał z zadziwieniem przez ulice. Wydawało mu się, że każdy zakątek - każda uliczka, każdy róg i każda kamienica - stał się domem dla skaa.

Miasto potwornie śmierdziało, śmieci wypełniały ulice, tonące w popiele.

Co tu się dzieje? - zastanawiał się. Skaa żyli w brudzie, wielu wyglądało na chorych, kaszleli żałośnie w pełnych popiołu rynsztokach. TenSoon wędrował w stronę Twierdzy Venture. Jeśli istniały jakieś odpowiedzi, miał nadzieję, że tam je znajdzie. Od czasu do czasu musiał warczeć groźnie na skaa, którzy spoglądali na niego wygłodniałym wzrokiem, a dwa razy musiał uciekać przed bandami, które zignorowały jego warczenie.

Z pewnością Vin i Elend nie pozwoliliby, żeby miasto do tego stopnia podupadło, pomyślał, kryjąc się w bocznej uliczce. To był zły znak. Opuścił Luthadel, nie wiedząc, czy jego przyjaciele przeżyją oblężenie miasta. Sztandar Elenda - włócznia i zwój - wciąż wisiał

nad bramą miasta, ale czy ktoś mógł przyjąć znak Venture za swój? A co z armią kolosów, która przed rokiem groziła zniszczeniem Luthadel?

Nie powinienem był jej opuszczać, pomyślał TenSoon, czując ukłucie niepokoju. Moje przekłete poczucie obowiązku, typowe dla kandra. Powinienem był tu pozostać i powiedzieć jej wszystko, co wiem, choć nie ma tego wiele.

Świat może się skończyć z powodu mojego głupiego honoru.

Wystawił głowę z uliczki i spojrzał na Twierdzę Venture. Poczul ściskanie w żołądku, kiedy zobaczył, że piękne witrażowe okna zostały zniszczone. Dziury zabito dechami.

Jednakże, przed wejściem stali strażnicy, co wydawało się lepszym znakiem.

TenSoon przekradł się do przodu, próbując wyglądać na bezdomnego kundla. Trzymał się cieni, skradając się do bramy. Tam położył się w stercie odpadków i obserwował żołnierzy. Powiększył bębrenki uszne i wyciągnął szyję, by podsłuchać mężczyzn.

Jak się okazało, nie było czego usłyszeć. Dwaj strażnicy stali w milczeniu, wsparci na włóczniach z obsydianowymi grotami, i wydawali się przy tym znudzeni. TenSoon czekał, żałując, że nie ma przy nim Vin, która Przyciągnęłaby uczucia strażników, zwiększając ich ochotę do rozmowy.

Oczywiście, gdyby Vin tu była, nie musiałbym szukać informacji, pomyślał z frustracją TenSoon. I dlatego czekał. Czekał pośród padającego popiołu, czekał, aż niebo pociemnieje i wyjdą mgły. Ich pojawienie się w końcu pobudziło nieco strażników.

- Nienawidzę nocnej służby - mruknął jeden z nich.

- W nocy nie ma nic złego - odparł drugi. - Nie dla nas. Mgły nas nie zabijają.

Jesteśmy bezpieczni.

Co? - pomyślał TenSoon, marszcząc czoło.

- A czy jesteśmy bezpieczni, gdy chodzi o króla? - spytał cicho pierwszy strażnik.

Jego towarzysz spojrzał na niego z ukosa.

- Nie mów takich rzeczy.

Pierwszy wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że cesarz wkrótce powróci.

- Król Penrod ma wszelkie uprawnienia cesarza - powiedział surowo drugi strażnik.

Ach, pomyślał TenSoon. Czyli Penrodowi udało się zachować władzę. Ale... co to za cesarz? TenSoon obawiał się, że cesarzem jest Straff Venture. Ten straszliwy człowiek był gotów zdobyć Luthadel, kiedy TenSoon odchodził.

Ale co z Vin? Jakimś sposobem kandra nie mógł uwierzyć, że została pokonana.

Widział, jak zabija Zane'a Venture, człowieka, który spalał atium, kiedy Vin go już nie miała.

Wedle rachuby TenSoona trzy razy dokonywała niemożliwego. Zabiła Ostatniego Imperatora.

Pokonała Zane'a.

I zaskarbiła sobie przyjaźń kandra, który tak bardzo pragnął ją zniechęcić.

Strażnicy znów umilkli. To głupota, pomyślał TenSoon. Nie mam czasu kryć się po kątach i podsłuchiwać. Świat się kończy! Podniósł się, strząsając popiół z ciała - a gest ten sprawił, że strażnicy podskoczyli i niepewnie unieśli włócznie, wpatrując się w mrok w poszukiwaniu źródła dźwięku.

TenSoon się zawahał, a nerwowość żołnierzy sprawiła, że do głowy wpadł mu pomysł.

Odwrócił się i zniknął w nocy. Przez rok służby Vin dość dobrze poznał miasto - ona lubiła patrolować Luthadel, szczególnie okolice Twierdzy Venture. Mimo tej wiedzy musiał jednak poświęcić sporo czasu, by dotrzeć do celu. Nigdy wcześniej nie odwiedził tego miejsca, znał je tylko z opisu.

Opisu osoby, którą TenSoon w tym czasie zabijał.

To wspomnienie wciąż wywoływało w nim dreszcze. Kandra wypełniali Kontrakty - a Kontrakty zazwyczaj wymagały, by udawali określoną osobę. Pan dostarczał odpowiednie ciało - kandra mieli zakaz zabijania ludzi - a kandra je naśladował. Jednakże, zanim do tego doszło, kandra zazwyczaj obserwował swój cel, starając się dowiedzieć jak najwięcej na jego temat.

TenSoon zabił OreSeura, brata z tego samego pokolenia. OreSeura, który pomógł

obalić Ostatniego Imperatora. Na rozkaz Kelsiera OreSeur udawał arystokratę, niejakiego lorda Renoux, gdyż Kelsier potrzebował rzekomego szlachetnie urodzonego w swoim planie zniszczenia imperium. Kandra miał również ważniejszą rolę do odegrania w spisku Kelsiera.

Tajną rolę, o której inni członkowie ekipy dowiedzieli się dopiero po śmierci dowódcy.

TenSoon dotarł do starego magazynu. Znajdował się w miejscu opisanym przez OreSeura. TenSoon zadrżał, przypominając sobie jego krzyki. Kandra umarł, torturowany przez swojego rodaka, a tortury te były konieczne, gdyż TenSoon musiał dowiedzieć się jak najwięcej. Poznać każdą tajemnicę. Wszystko, co musiał wiedzieć, by przekonująco udawać swojego brata.

Tamtego dnia nienawiść TenSoona do ludzi - i wobec siebie samego, gdyż im służył -

pląnęła jaśniej niż kiedykolwiek. Wciąż nie wiedział, jakim sposobem Vin ją pokonała.

Magazyn znajdujący się przed TenSoonem był teraz świętym miejscem, ozdobionym i utrzymywanym przez Kościół Ocalałego. Na frontowej ścianie wisiała tablica, przedstawiająca włócznie - broń, od której zginął i Kelsier, i Ostatni Imperator - poniżej zaś znajdowało się wyjaśnienie, dlaczego ten magazyn był tak ważny.

TenSoon znał tę historię. W tym miejscu ekipa znalazła magazyn broni, pozostawiony przez Ocalałego, by uzbroić zbuntowanych skaa. Odkryto go w dniu śmierci Kelsiera, a wedle plotek w tym samym miejscu pojawił się też duch Ocalałego i udzielił wskazówek swoim wyznawcom. Te

plotki były w pewnym sensie prawdziwe. TenSoon otoczył budynek, kierując się wskazówkami umierającego OreSeura. Błogosławieństwo Przytomności sprawiało, że pamiętał dokładne słowa i mimo grubej warstwy popiołu odnalazł właściwe miejsce - miejsce, gdzie bruk został poruszony. I zaczął kopać.

Kelsier, Ocalały z Hathsin, rzeczywiście ukazał się swoim ludziom tamtej nocy. A przynajmniej jego kości. OreSeur miał rozkaz wziąć ciało Ocalałego i przetrawić je, a później ukazać się wiernym skaa i wypowiedzieć słowa zachęty. Legendy o Ocalałym, cała religia, która wokół niego wyrosła, zostały zapoczątkowane przez kandra.

A TenSoon w końcu zabił tego kandra. Ale najpierw poznał jego tajemnice. Takie na przykład, gdzie OreSeur zakopał kości Ocalałego i jak on wyglądał.

TenSoon uśmiechnął się, kiedy natrafił na pierwszą kość. Miały już kilka lat, a on nie znośił korzystać ze starych kości. Poza tym nie było włosów, więc jego twór będzie łysy.

Mimo to, nie mógł przegapić takiej okazji. Widział Ocalałego tylko raz, ale z jego doświadczeniem w naśladowaniu...

Cóż, warto było spróbować.

* * *

Wellen oparł się o włócznie, znów wpatrując się w mgły. Rittle - jego towarzysz na straży - mówił, że nie są niebezpieczne. Ale Rittle nie widział, co mogą zrobić. Co mogą ukazać. Wellen uznał, że ocalał, bo je szanował. A poza tym starał się zbytnio nie myśleć o tym, co wtedy zobaczył.

- Myślisz, że Skiff i Jaston znów się spóźnią, żeby nas zmienić? - spytał Wellen, próbując znów nawiązać rozmowę.

Rittle tylko chrząknął.

- Nie wiem, Wells.

Jego towarzysz nie był gadatliwy.

- Może jeden z nas powinien pójść i sprawdzić - powiedział Wellen, spoglądając we mgłę. - Wiesz, zapytać, czy już może przyszedli... - Umilkł.

Coś tam było.

Na Ostatniego Imperatora! - pomyślał, cofając się. Nie po raz drugi!

Ale nie, z mgły nikt ich nie zaatakował. Miast tego wyłoniła się z nich ciemna sylwetka. Rittle nadstawił uszu i opuścił włócznie.

- Stać!

Z mgły wyszedł mężczyzna odziany w długi czarny płaszcz z kapturem. Ręce trzymał

opuszczone. Spod kaptura wyłaniała się jego twarz. Wellen zmarszczył czoło. Ten mężczyzna wydawał mu się znajomy...

Rittle sapnął, po czym upadł na kolana, ściskając coś na szyi - srebrny wisiołek w kształcie włóczni, który zawsze nosił. Wellen zmarszczył czoło. I wtedy zauważył blizny na rękach przybysza.

Na Ostatniego Imperatora! Pomyślał wstrząśnięty Wellen, uświadamiając sobie, gdzie widział twarz tego mężczyzny. To był obraz, jeden z wielu w mieście, przedstawiający Ocalałego z Hathsin.

- Powstań - powiedział obcy dobrotliwym głosem.

Rittle podniósł się, lecz nogi mu drżały. Wellen się cofnął. Nie był pewien, czy powinien czuć się oszołomiony, czy przerażony, a w rzeczywistości czuł obie te rzeczy po trochu.

- Przybyłem, by sprawdzić waszą wiarę - powiedział Ocalały.

- Milordzie... - odezwał się Rittle, nie podnosząc głowy.

- Jak również - przerwał mu Kelsier, unosząc palec - przybyłem, by powiedzieć wam, że nie podoba mi się to, co dzieje się w mieście. Moi ludzie są chorzy, głodują i umierają.

- Milordzie - powiedział Rittle - brakuje jedzenia, a buntownicy ukradli to, co zostało zmagazynowane. Milordzie, a mgły zabijają! Proszę, dlaczego sprawiasz, że nas zabijają?

- Nic takiego nie zrobiłem - odparł Kelsier. - Wiem, że żywności brakuje, ale musicie dzielić się tym, co macie, i mieć nadzieję. Opowiedzcie mi o człowieku, który rządzi tym miastem.

- O królu Penrodzie? - spytał Rittle. - Władca w imieniu cesarza Elenda Venture, który wyruszył na wojnę.

- Lord Elend Venture? I on aprobuje to, co dzieje się w tym mieście? - Kelsier wydawał się rozgniewany.

Wellen się skulił.

- Nie, milordzie! - powiedział Rittle, trzęsąc się. - Ja...

- Lord Penrod oszalał - powiedział wbrew sobie Wellen.

Ocalały zwrócił się w jego stronę.

- Wells, nie powinieneś... - zaczął mówić Rittle, ale umilkł, kiedy Ocalały posłał mu surowe spojrzenie.

- Mów - powiedział Ocalały do Wellena.

- Mówi do powietrza, milordzie - powiedział Wellen, spuszczać wzrok. - Mówi do siebie... twierdzi, że widzi Ostatniego Imperatora, który stoi obok niego. Penrod... ostatnio wydawał dziwne rozkazy. Zmusza skaa do walki ze sobą nawzajem o jedzenie, twierdząc, że przeżyją najsilniejsi. Zabija tych, którzy mu się przeciwstawiają.

- Rozumiem - powiedział Ocalały.

Z pewnością już to wie, pomyślał Wellen. Po co nas pyta?

- Gdzie jest moja Dziedziczka? - spytał Ocalały. - Bohater Wieków, Vin.

- Cesarzowa? - spytał Wellen. - Z cesarzem.

- Gdzie?

- Nikt tego do końca nie wie, milordzie - odparł Rittle, wciąż drżąc. - Nie było jej tu od dawna. Mój sierżant mówi, że ona i cesarz są na południu, walczą przeciwko kolosom. Ale inni mówili, że armia skierowała się na zachód.

- To niewielka pomoc - stwierdził Kelsier.

Wellen wyprostował się, przypomniał sobie coś.

- Co takiego? - spytał Ocalały, najwyraźniej zauważając zmianę w postawie Wellena.

- Parę miesięcy temu przed miastem zatrzymał się oddział - powiedział Wellen, bardzo z siebie dumny. - Wiele nie mówili, ale ja byłem w grupie, która dostarczała im zapasy. Był z nimi lord Breeze i mówił o spotkaniu z innymi z waszej ekipy.

- Gdzie? - spytał Kelsier. - Dokąd się udawali?

- Na północ - wyjaśnił Wellen. - Do Urteau. Tam musi być cesarz, milordzie. Północne Dominium się zbuntowało. Musiał zabrać swoje armie, żeby stłumić bunt.

Ocalały pokiwał głową.

- Dobrze - powiedział. Odwrócił się, by odejść, ale zawahał się i znów spojrzął w ich stronę. - Przekażcie wieści, najdalej jak się da. Nie zostało wiele czasu. Powiedzcie ludziom, że kiedy mgły znikną, muszą natychmiast znaleźć sobie schronienie. Najlepiej pod ziemią, jeśli się da.

Wellen się zawahał, po czym pokiwał głową.

- Jaskinie - powiedział. - Te, w których szkoliliście swoją armię?

- Nadadzą się - odparł Kelsier. - Żegnajcie.

Ocalały zniknął pośród mgieł.

TenSoon pozostawił za sobą bramę Twierdzy Venture i zniknął wśród mgieł. Być może mógłby dostać się do budynku. Nie wiedział jednak, czy jego imitacja Ocalałego wytrzymałaby dłuższą konfrontację.

Nie wiedział, czy może zaufać informacjom obu strażników. Nie miał jednak lepszych wskazówek. Inni ludzie, z którymi rozmawiał tej nocy, nie mieli żadnych informacji na temat poruszeń armii. Najwyraźniej Vin i Elend już dość dawno opuścili Luthadel.

Pobiegł z powrotem w stronę kawałka ziemi za magazynem, gdzie znalazł ciało Kelsiera. Ukłął w ciemnościach i wyciągnął worek kości. Musiał odzyskać ciało psa i wyruszyć na północ. Być może uda mu się...

- Hej, ty tam! - powiedział ktoś.

TenSoon odruchowo podniósł wzrok. W drzwiach magazynu stał człowiek i przez mgłę wpatrywał się w TenSoona. Za jego plecami zapłonęła latarnia, ukazując grupkę ludzi, którzy najwyraźniej zamieszkali w świętym miejscu.

Oho... - pomyślał TenSoon, gdy na twarzach tych z przodu pojawiły się zszokowane miny.

- Milordzie! - powiedział mężczyzna z przodu i szybko ukląkł. Miał na sobie koszulę nocną. - Wróciłeś!

TenSoon podniósł się, starannie chowając za plecami worek kości.

- Owszem - powiedział.

- Wiedzieliśmy, że tak się stanie - stwierdził mężczyzna, gdy zgromadzeni za jego plecami zaczęli szeptać i krzyżeć. Wielu również upadło na kolana. - Pozostaliśmy w tym miejscu, modląc się, byś przybył i udzielił nam rady. Król oszalał, milordzie! Co mamy robić?

TenSoon czuł pokusę, by pokazać im się jako kandra, lecz patrząc w ich pełne nadziei oczy odkrył, że nie potrafi. Poza tym, może uda mu się zrobić coś dobrego.

- Penrod został skażony przez Zniszczenie - powiedział. - Istotę, która pragnie doprowadzić do zagłady świata. Musicie zebrać wszystkich wiernych i uciec z miasta, nim Penrod zabije was wszystkich.

- Milordzie, dokąd mamy iść?

TenSoon się zawahał. Gdzie?

- Przed wejściem do Twierdzy Venture stoi dwóch strażników. Oni znają miejsce.

Posłuchajcie ich. Musicie skryć się pod ziemią. Rozumiecie?

- Tak, panie - powiedział mężczyzna. Z tyłu zbliżali się do niego inni ludzie, próbując spojrzeć na TenSoona. Z niejaką nerwowością poddawał się obserwacji. W końcu kazał im zachować ostrożność i uciekł w noc.

Znalazł pusty budynek i szybko wrócił do postaci psa. Kiedy skończył, wpatrzył się w kości Ocalałego, czując dziwny... szacunek.

Nie bądź głupi, powiedział sobie. To tylko kości, jak setki innych, z których korzystałeś. Mimo to, wydawało mu się lekkomyślnością porzucenie tak cennego narzędzia.

Starannie zapakował je do worka, a później - wykorzystując łapy, które stworzył w taki sposób, by były zręczniejsze niż u zwykłego wilczarza - zawiązał torbę na grzbiecie.

Później opuścił miasto północną bramą i z całą prędkością wilczarza ruszył na północ.

Udawał się do Urteau i miał nadzieję, że to właściwa droga.

Układ między Zachowaniem a Zniszczeniem to sprawa bogów i trudno go objaśnić w słowach zrozumiałych dla ludzi. Właściwie na początku był między nimi impas. Z jednej strony, obaj wiedzieli, że mogą tworzyć jedynie we współpracy. Z drugiej strony obaj wiedzieli, że nigdy nie będą w pełni usatysfakcjonowani tym, co stworzyli. Zachowaniu nie uda się zachować doskonałości i niezmienności swoich twórow, a Zniszczenie nie mogło unicestwić do końca.

Oczywiście, Zniszczenie w końcu uzyskało zdolność sprowadzenia zagłady na świat i zyskania całkowitej satysfakcji. Nie była to jednak część pierwotnego układu.

53

Spook znalazł ją na kamienistym wybrzeżu jeziora. Wpatrywała się w głęboką, czarną wodę, tak nieruchomą w bezwietrznej jaskini. W pewnej odległości słyszał, jak Sazed - z dużą grupą ludzi Goradela - pracuje nad swoim projektem ograniczenia dopływu wody do jaskini.

Spook podszedł do Beldre, niosąc kubek z ciepłą herbatą. Parzył go, co znaczyło, że dla zwykłych ludzi napój pewnie będzie miał właściwą temperaturę. On sam pozostawiał

swoje napitki i pokarmy do chwili, aż całkiem wystygną.

Nie nosił bandażu. Odkrył, że cyna z ołowiem pomaga mu znosić słaby blask latarni.

Kobieta nie odwróciła się, kiedy się do niej zbliżał, więc odchrząknął. Drgnęła. Nic dziwnego, że Quellion tak bardzo starał się ochronić tę dziewczynę - nikt nie mógł udawać takiej niewinności, jaką miała w sobie Beldre. W podziemiu nie przeżyłaby trzech uderzeń serca.

Nawet Allrienne, która bardzo starała się robić wrażenie pustej modnisi, miała w sobie pewną twardość, która świadczyła, że zrobi wszystko co konieczne, by przetrwać. Beldre z kolei...

Jest normalna, pomyślał Spook. Tacy byliby ludzie, gdyby nie musieli radzić sobie z Inkwizytorami,

armiami i skrytobójcami. Właściwie zazdrościł jej tego. To było dziwne uczucie, szczególnie że przez ostatnie lata marzył o tym, by być kimś ważniejszym niż w rzeczywistości.

Odwróciła się znów w stronę wody, a on podszedł i usiadł obok niej.

- Proszę - powiedział, podając jej kubek. - Wiem, że czasem robi się tu chłodno, to przez to jezioro i wodę.

Zawahała się, po czym przyjęła kubek.

- Dziękuję - wyszeptała.

Spook pozwolił jej poruszać się swobodnie po jaskini - niewiele mogła im zaszkodzić, choć ostrzegł ludzi Goradela, by mieli na nią oko. Tak czy inaczej, nie mogła się wydostać.

Dwa tuziny żołnierzy strzegły wyjścia, a do tego Spook zarządził, by podniesiono drabinę pod klapą i umieszczano ją z powrotem jedynie na wyraźny rozkaz.

- Trudno uwierzyć, że coś takiego przez cały czas znajdowało się pod waszym miastem, co? - powiedział Spook, próbując nawiązać rozmowę. Co dziwne, łatwiej mu się z nią rozmawiało, gdy przebywali w jej ogrodzie i groziło mu niebezpieczeństwo.

Beldre pokiwała głową.

- Mój brat bardzo by się ucieszył, gdyby odnalazł to miejsce. Martwi się zapasami żywności. W jeziorach na północy jest coraz mniej ryb. A plony... jak słyszałam, nie są za dobre.

- Mgły - wyjaśnił Spook. - Zabierają światło potrzebne większości roślin.

Beldre znów przytaknęła i wpatrzyła się w kubek. Jeszcze nie upiła nawet łyka.

- Beldre - powiedział Spook. - Przepraszam. Naprawdę zastanawiałem się, czy nie porwać cię z tego ogrodu, ale uznałem, że to zły pomysł. Ale kiedy przyszłaś tu sama...

- To była zbyt dobra okazja - powiedziała z goryczą. - Rozumiem. To moja wina. Brat zawsze mi powtarzał, że jestem zbyt ufna.

- W innych czasach to by była zaleta.

Beldre cicho siąknęła nosem.

- Nie znam takich czasów. Wydaje mi się, że przez całe życie ufałam i cierpiałam z tego powodu. Teraz jest tak samo.

Spook siedział sfrustrowany. Kelsierze, powiedz mi, co mam mówić! - pomyślał. Ale Bóg milczał. Ocalały nie miał zbyt wielu rad w kwestiach innych niż zdobycie miasta.

Wszystko wydawało się takie proste, kiedy Spook wydał rozkaz, by ją pojmać.

Dlaczego więc siedział tutaj, czując pustkę w sercu?

- Wierzyłam w niego, wiesz? - odezwała się Beldre.

- W brata?

- Nie - odparła, lekko kręcąc głową. - W Ostatniego Imperatora. Byłam bardzo porządną szlachetnie urodzoną. Zawsze płaciłam obligatorom... płaciłam im nawet więcej niż trzeba i wzywałam ich, żeby świadczyli o najdrobniejszych sprawach. Płaciłam im też, żeby przychodzili do mnie i uczyli mnie historii imperium. Wydawało mi się, że wszystko jest doskonałe. Takie uporządkowane i spokojne. A później próbowali mnie zabić. Okazuje się, że w połowie jestem skaa. Mój ojciec rozpaczliwie pragnął mieć dzieci, a moja matka była jałowa. Spłodził dwójkę dzieci z jedną ze służących... matka się zgodziła. - Pokręciła głową. -

Dlaczego zrobił coś takiego? To znaczy, dlaczego nie wybrał szlachetnie urodzonej? Nie.

Ojciec wziął sobie służącą. Pewnie mu się podobała albo coś w tym rodzaju... - Spuściła wzrok.

- W moim wypadku to był dziadek - powiedział Spook. - Nie poznałem go.

Dorastałem na ulicy.

- Czasem żałuję, że ja nie. Wtedy może to wszystko miałoby sens. Co mogłam zrobić, kiedy kapłani, którzy uczyli mnie od dziecka i którym ufałam bardziej niż swoim rodzicom, przyszli po mnie i zabrali na stracenie? Zginęłabym. Poszłam z nimi. A później...

- Później co? - spytał Spook.

- Uratowaliście mnie - wyszeptała. - Ekipa Kelsiera. Obaliliście Ostatniego Imperatora, a w chaosie, który po tym zapanował, zapomniano o ludziach takich jak ja. Obligatorzy byli zbyt zajęci próbami ułagodzenia Straffa.

- A później twój brat przejął władzę.

W milczeniu pokiwała głową.

- Myślałam, że będzie dobrym władcą. To naprawdę dobry człowiek! Pragnie spokoju i stabilizacji. Pokoju dla wszystkich. Czasem jednak to, co robi ludziom... co każe ludziom zrobić...

- Przykro mi - powiedział Spook.

- I wtedy pojawiłeś się ty. Uratowałeś tamto dziecko, przed nosem Quelliona i moim.

Przybyłeś do mojego ogrodu i nawet mi nie groziłeś. Myślałam... że może on naprawdę jest taki, jak o nim mówią. Może pomoże. I jak idiotka przyszłam do was.

- Żałuję, że nie jest takie proste, Beldre - powiedział Spook. - Żałuję, że nie mogę cię puścić. Ale czynię to dla większego dobra.

- Wiesz, te same słowa powtarza Quellion.

Spook się zawahał.

- Jesteście bardzo do siebie podobni - mówiła dalej. - Silni. Władczy.

Chłopak się roześmiał.

- Ty naprawdę mnie nie znasz, co?

Zarumieniła się.

- Jesteś Ocalałym z Płomieni. Nie myśl, że nie słyszałam pogłosek... brat nie może utrzymać mnie z dala od wszystkich swoich narad.

- Pogłoski rzadko są wiarygodne.

- Jesteś członkiem ekipy Kelsiera.

Spook wzruszył ramionami.

- To prawda. Choć zostałem nim przez przypadek.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego.

- Kelsier starannie wybrał pozostałych - wyjaśnił Spook. - Hama, Breeze'a, Sazedą, nawet Vin. Wybrał też mojego wuja. A przez to dostał również mnie. Ja... nigdy tak naprawdę nie byłem częścią tego wszystkiego. Przypominałem obserwatora. Wystawiali mnie na czatach i takie tam. Siedziałem na naradach, a wszyscy traktowali mnie jako chłopaka na posyłki. W ciągu pierwszego roku ze sto razy dolewałem Breeze'owi wina!

Na jej twarzy pojawiła się sugestia rozbawienia.

- Brzmisz, jakbyś był służącym.

- Bo tak prawie było - odparł Spook z uśmiechem. - Nie mówiłem zbyt dobrze...

dorastając, posługiwałem się ulicznym dialektem ze wschodu i wszystko, co chciałem powiedzieć, brzmiało dziwnie. Mówią mi, że wciąż mam akcent. Dlatego przez większość czasu milczałem, bo się wstydziłem. Ekipa zachowywała się wobec mnie w porządku, ale wiem, że przez większość czasu mnie ignorowali.

- A teraz dowodzisz nimi wszystkimi.

Spook się roześmiał.

- Nie. Tak naprawdę to Sazed tu rządzi. Breeze też ma wyższą pozycję ode mnie, ale pozwala mi wydawać rozkazy, bo sam jest na to zbyt leniwy. Lubi sprawiać, by ludzie robili różne rzeczy nieświadomie. Przez większość czasu mam wrażenie, że wszystko, co wypowiadam na głos, to pomysły, które jakimś sposobem umieścił w moim umyśle.

Beldre pokręciła głową.

- Terrisanin tu dowodzi? Ale on wyraźnie liczy na ciebie!

- Pozwala mi robić to, na co sam nie ma ochoty - odparł Spook. - Sazed to wspaniały człowiek, znałem niewielu lepszych od niego. Ale, no cóż, jest uczonym. Lepiej radzi sobie z prowadzeniem badań i robieniem notatek niż z dowodzeniem. A to oznacza, że zostałem tylko ja. Wykonuję robotę, na którą pozostali nie mają czasu.

Beldre siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym w końcu pociągnęła łyk herbaty.

- Ach - westchnęła. - Pycha!

- O ile wiemy, osobista mieszanka Ostatniego Imperatora - wyjaśnił Spook. -

Znaleźliśmy ją tutaj, z resztą żywności.

- Dlatego przyjechaliście, prawda? - spytała Beldre, rozglądając się po jaskini. -

Zastanawiałam się, co waszego cesarza obchodzi Urteau. Nie odgrywaliśmy wielkiej roli w światowej polityce od czasu, kiedy Venture przenieśli się do Luthadel.

Spook pokiwał głową.

- Częściowo tak, choć Elend martwi się również rebelią. To niebezpieczne, jeśli wróg mordujący szlachetnie urodzonych panuje nad dużym miastem w niewielkiej odległości od Luthadel. Więcej ci nie powiem. Przez większość czasu odnoszę wrażenie, że wciąż jestem w tym wszystkim tylko widzem. Vin i Elend wiedzą, co się naprawdę dzieje. Dla nich byłem gościem, którego mogli poświęcić i wysłać na wiele miesięcy na zwiady na północ, kiedy oni wykonywali naprawdę ważną robotę na południu.

- Nie powinni cię tak traktować - powiedziała Beldre.

- To nie tak - sprzeciwił się Spook. - Właściwie podobał mi się pobyt tutaj. W końcu czuję, że udało mi się czegoś dokonać.

Pokiwała głową. Po krótkiej chwili odstawiła kubek i otoczyła kolana rękami.

- Jacy oni są? - spytała. - Słyszałam tak wiele historii. Mówią, że cesarz Venture zawsze nosi biel i że popiół nie dotyka jego szat! Jednym spojrzeniem umie pokonać armię. A jego żona, dziedziczka

Ocalałego. Zrodzona z Mgły...

Spook się uśmiechnął.

- Elend to roztargniony uczonek, dwa razy gorszy od Sazed. Tonie w księgach i zapomina o spotkaniach, które sam zwołał. Ubiera się gustownie jedynie dlatego, że pewna Terrisanka zamówiła mu nową garderobę. Wojna trochę go odmieniła, ale myślę, że w głębi duszy wciąż jest marzycielem uwięzionym w świecie pełnym przemocy. A Vin... ona jest naprawdę inna. Nigdy nie byłem pewien, co o niej sądzić. Czasem wydaje się krucha jak dziecko. A później zabija Inkwizytora. Potrafi być jednocześnie fascynująca i przerażająca.

Próbowałem się kiedyś do niej zalecać.

- Naprawdę? - Beldre nadstawiła uszu.

Spook się uśmiechnął.

- Dałem jej chusteczkę. Podobno tak się robi wśród szlachetnie urodzonych.

- Tylko jeśli jesteś romantyczny odparła z tęsknym uśmiechem Beldre.

- Cóż, ja jej dałem chusteczkę. Ale chyba nie zrozumiała, co to miało znaczyć. A kiedy już się domyśliła, odrzuciła mnie. Nie wiem, co myślałem, próbując się do niej zalecać. To znaczy, ja jestem Spookiem. Cichym, niezrozumiałym, przeciętnym Spookiem.

Zamknął oczy. Co ja wygaduję? Kobiety nie lubiły, kiedy mężczyźni mówili o tym, jak bardzo mało znaczą. Tyle wiedział. Nie powinienem do niej przychodzić na rozmowę.

Powinienem kręcić się po okolicy i wydawać rozkazy. Jakbym to ja tu dowodził.

Ale mleko się już rozlało. Poznała prawdę o nim. Westchnął i otworzył oczy.

- Nie sądzę, że jesteś przeciętny - powiedziała Beldre. - Oczywiście, myślałabym o tobie o wiele cieplej, gdybyś mnie wypuścił.

Spook się uśmiechnął.

- W końcu to zrobię. Obiecuję.

- Chcesz mnie wykorzystać przeciwko niemu? - spytała Beldre. - Zagrozić, że mnie zabijesz, jeśli się nie podda.

- Takie groźby są puste, jeśli człowiek w głębi serca wie, że nigdy by tego nie zrobił -

odparł Spook. - Beldre, naprawdę nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy. Właściwie mam przeczucie, że tu będziesz bezpieczniejsza niż w pałacu brata.

- Proszę, nie zabijaj go - powiedziała Beldre. - Może... może będziesz mógł mu jakoś pomóc... pomóc mu zrozumieć, że zachowuje się zbyt skrajnie...

Spook pokiwał głową.

- Ja... spróbuję.

- Obiecujesz?

- Dobrze - powiedział Spook. - Obiecuję, że przynajmniej spróbuję uratować twojego brata. Jeśli tylko będę mógł.

- I miasto też.

- I miasto. Zaufaj mi. Robiliśmy to już wcześniej, przejście władzy przejdzie gładko.

Beldre pokiwała głową i wydawało się, że naprawdę mu wierzy. Kim ona jest, że wciąż umie ufać ludziom po wszystkim, co przeszła? Gdyby to była Vin, wbiłaby mu nóż w plecy przy pierwszej nadarzącej się okazji i pewnie byłby to właściwy krok. Jednakże ta dziewczyna wciąż ufała. Jakby człowiek znalazł piękną roślinę wyrastającą na jałowym polu popiołu.

- Kiedy skończymy, może mógłbyś przedstawić mnie cesarzowi i cesarzowej -

powiedziała Beldre. - Wydają się interesującymi ludźmi.

- Muszę zgodzić się z tym zdaniem - powiedział Spook. - Elend i Vin... cóż, z pewnością są interesujący. Interesujący ludzie uginający się pod wielkim ciężarem. Czasem chciałbym mieć tak wielką władzę, by robić równie ważne rzeczy, co oni.

Beldre położyła mu dłoń na ramieniu, a on spojrzał w dół, nieco zaskoczony. Co takiego?

- Władza może być straszliwą rzeczą, Spook - powiedziała cicho. - Mnie... nie podoba się to, co uczyniła z moim bratem. Lepiej żebyś jej tak bardzo nie pragnął.

Spook spojrzał jej w oczy, po czym skinął głową i wstał.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, poproś Sazedę. On zatroszczy się o twoją wygodę.

Podniosła wzrok.

- Gdzie idziesz?

- Tam, gdzie mnie zobaczą.

* * *

- Chcę umowy na handel na wszystkich kanałach - powiedział Durn. - I tytuł od cesarza.

- Ty? - spytał Spook. - Tytuł? Myślisz, że słowo „lord” przed imieniem uczyni twoją twarz mniej brzydką?

Durn uniósł brew.

Spook zaśmiał się tylko.

- Oba są twoje. Ustaliłem wszystko z Sazedem i Breeze'em... mogą nawet podpisać umowę, jeśli chcesz.

Durn pokiwał z zadowoleniem głową.

- Chcę. Lordowie zwracają uwagę na takie kwestie.

Siedzieli w jednym z jego licznych pomieszczeń na tyłach - nie w jego domu, lecz przy pewnej gospodzie. Na ścianie wisiły stare bębny.

Spook nie miał problemu, by prześlizgnąć się między żołnierzami Quelliona strzegącymi budynku Zakonu. Zanim jeszcze uzyskał nowe możliwości dzięki cynie i na długo zanim nauczył się palić cynę z ołowiem, umiał skradać się w mroku i szpiegować.

Grupa żołnierzy nie była dla niego przeszkodą. Nie mógł pozostać w jaskini jak reszta. Miał zbyt wiele roboty.

- Chcę, żeby Brony zostały odcięte - mówił dalej Spook. - Zalejemy kanały wieczorem, kiedy targi opustoszeją. Nikt nie mieszka w ulicorowach, poza wami w slumsach.

Jeśli chcecie uchronić się przed zatopieniem, potrzebujecie porządnej wodoszczelnej blokady.

- Już się tym zająłem - odparł Durn. - Kiedy Brony powstały, usunęliśmy śluzę z ujścia, ale wiem, gdzie jest. Będzie wystarczająco dobrze pasować na starym miejscu, jeśli tylko uda się nam ją tam umieścić.

- Lepiej, żeby tak było. Nie chciałbym mieć na sumieniu śmierci połowy tutejszych żebraków. Ostrzegę cię w dniu, w którym będziemy chcieli to przeprowadzić. Zobacz, czy uda ci się wycofać część towarów z targów i utrzymać ludzi z dala od ulicorowów. Dzięki temu oraz podtrzymywaniu mojej reputacji otrzymasz upragniony tytuł.

Durn pokiwał głową i wstał.

- Dobra, w takim razie zajmijmy się reputacją.

Wyprowadził Spooka z pomieszczenia na tyłach do wspólnej sali gospody. Jak zwykle chłopak nosił swój przepalony płaszcz, który stał się niejako symbolem. Nigdy nie nosił

mgielnego płaszcza, ale to wydawało mu się jeszcze lepsze.

Ludzie podnieśli się, kiedy wszedł. Uśmiechnął się i gestem kazał ludziom Durna wynieść bukłaki - ukradzione z jaskini i wynoszone przez Spooka podczas kilku kolejnych nocnych wypraw.

- Dziś - powiedział - nie musicie płacić za skradziony trunek Quelliona. W ten sposób sprawia on, że

jesteście szczęśliwi i zadowoleni.

I to było jego jedyne przemówienie. Nie był Kelsierem, który słowami robił wrażenie na ludziach. Zgodnie z radami Breeze'a zachowywał milczenie. Dosiadał się do stolików, nie był wyniosły, ale też niewiele mówił. Robił wrażenie zamyślonego i pytał ludzi o ich problemy. Wysłuchiwał opowieści o stratach i zgryzotach, i pił z nimi za tych, których zamordował Quellion. A dzięki cynie z ołowiem nigdy się nie upijał. To też była część jego reputacji - ludzie traktowali ją jako coś mistycznego, niemal tak, jak jego zdolność przeżycia w pożarze.

Po tym barze odwiedził kolejny i następny. Durn wybierał najbezpieczniejsze - i najpopularniejsze - miejsca. Niektóre znajdowały się w Bronach, inne na górze. Przez ten cały czas Spook czuł coś zadziwiającego - coraz większą pewność siebie. Naprawdę trochę przypominał Kelsiera. Vin została wyszkolona przez Ocalałego, ale Spook robił to, co Kelsier przed nim - zachęcał ludzi, skłaniał ich, by powstali, dla własnego dobra.

W miarę upływu wieczora kolejne gospody zlewały się w jedno. Spook przeklinał

Quelliona, opowiadając o morderstwach i Allomantach, których zatrzymywał dla siebie Obywatel. Nie rozpowszechniał pogłoski, że Quellion sam jest Allomantą - pozwolił, by Breeze zrobił to w bardziej subtelny sposób. Inaczej niektórzy mogliby mieć wrażenie, że Spook zbyt gorliwie oskarża swojego przeciwnika o wszystkie zbrodnie.

* * *

- Za Ocalałego!

Spook podniósł wzrok, uniósł kielich z winem i uśmiechnął się, gdy zebrani wiwatowali.

- Za Ocalałego! - zawołał inny, wskazując na Spooka. - Za Ocalałego z Płomieni!

- Za śmierć Obywatela! - powiedział Durn, unosząc własny kielich, z którego jednak prawie nie pił. - Precz z człowiekiem, który powiedział, że pozwoli nam rządzić, a potem wziął sobie władzę!

Spook pociągnął z uśmiechem łyk. Wcześniej nie rozumiał, jak wyczerpujące może być po prostu siedzenie i rozmawianie z ludźmi. Rozjarzył cynę z ołowiem, by stłumić zmęczenie ciała, ale metal nie chronił go przed wyczerpaniem psychicznym.

Zastanawiam się, co pomyślałaby Beldre, gdyby to zobaczyła, pomyślał. Ludzie, którzy wiwatują na moją cześć. Byłaby pod wrażeniem, prawda? Zapomniałaby, jak jęczę, że jestem bezużyteczny.

Może odwiedziny w gospodach były tak męczące dlatego, że miał ochotę robić w tym czasie coś innego. To głupie - była jeńcem. Zawiódł jej zaufanie. Wyraźnie starała się go urobić, żeby ją uwolnił. Ciągle jednak wracał myślami do ich rozmowy, raz za razem. Mimo wszystkich głupot, które powiedział, położyła mu dłoń na ramieniu. To coś znaczyło, prawda?

- Wszystko w porządku? - spytał Durn, pochylając się nad nim. - To twój dziesiąty kieliszek.

- W porządku - odparł Spook.

- Wydajesz się trochę nieobecny.

- Mam dużo na głowie.

Durn zmarszczył czoło i cofnął się, ale nic już nie powiedział.

Niektóre fragmenty rozmowy z Beldre niepokoiły Spooka, bardziej niż jego własne głupie uwagi. Wydawała się naprawdę zmartwiona tym, co robił jej brat. Czy kiedy Spook zdobędzie władzę, dziewczyna będzie postrzegać go tak, jak teraz Quelliona. Czy to coś złego, czy dobrego? Już powiedziała, że są do siebie podobni.

„Władza może być straszliwą rzeczą...”.

Podniósł wzrok i spojrzał na ludzi przy barze, którzy znów zaczęli wiwatować, tak samo jak wcześniej zebrani w innych barach. Kelsier dobrze znosił takie pochlebstwa. Jeśli Spook chciał być taki jak Kelsier, to też musiał je znosić, prawda?

Czyż nie jest dobrze być lubianym? Mieć ludzi, którzy chcą wypełniać polecenia? W

końcu mógł zerwać ze starym Spookiem. Mógł nie być już tym chłopakiem, tak pozbawionym znaczenia i łatwym do zapomnienia. Mógł zostawić za sobą to dziecko i stać się szanowanym mężczyzną. A dlaczego nie miałby zyskać szacunku? Nie był już tym chłopcem. Nosił bandażę na oczach, co jeszcze wzmacniało jego reputację jako człowieka, który nie potrzebował światła, by widzieć. Byli tacy, co mówili, że Spook mógł spojrzeć wszędzie, gdzie płonął ogień.

- Kochają cię - wyszeptał Kelsier. - Zasługujesz na to.

Spook uśmiechnął się. Innego potwierdzenia nie potrzebował. Wstał i uniósł ręce. W

odpowiedzi tłum zaczął wiwatować.

Musiał na to długo czekać. Lecz dzięki temu wydawało mu się jeszcze słodsze.

Zachowanie zapragnął stworzyć istoty rozumne, i to przełamało impas. Wiedział, że aby obdarzyć ludzkość świadomością i zdolnością samodzielnego myślenia, będzie musiał

oddać część siebie - swoją duszę - by zamieszkała w ludziach. To sprawiło, że stał się odrobinę słabszy od swojego przeciwnictwa, Zniszczenia.

Ta odrobina wydawałaby się bez znaczenia w porównaniu z ogromem ich mocy.

Jednakże przez eony ten niewielki uszczerbek pozwoliłby Zniszczeniu pokonać Zachowanie, doprowadzając do końca świata.

Taka więc była ich umowa. Zachowanie dostał ludzkość, jedyne istoty które miały w sobie więcej z

Zachowania niż ze Zniszczenia. Niezależne istoty żywe, które mogły myśleć i czuć. W zamian za to Zniszczenie dostał obietnicę - i dowód - że może doprowadzić do końca wszystko, co razem stworzyli. Taki był ich pakt.

I to Zachowanie w końcu go złamał.

54

Kiedy Vin się obudziła, nie była zdziwiona, że została związana. Zaskoczyło ją to, że ma na sobie metalowe kajdany.

Pierwszym, co zrobiła - zanim jeszcze otworzyła oczy - było sięgnięcie do wnętrza i sprawdzenie metali. Gdyby miała stal i żelazo, być może mogłaby wykorzystać kajdany jako broń. Z cyną z ołowiem...

Jej metale zniknęły.

Nie otwierała oczu, próbując nie okazywać paniki, jaką czuła, kiedy myślała o tym, co się wydarzyło. Była w jaskini, uwięziona ze Zniszczeniem. Do środka wszedł przyjaciel Elenda, podał jej wino, a ona je przyjęła. Zaryzykowała.

Jak długo była nieprzytomna?

- Twój oddech się zmienił - powiedział ktoś. - Obudziłaś się.

Vin zakłęta w duchu. Istniał bardzo, ale to bardzo łatwy sposób odebrania mocy Allomancie - łatwiejszy nawet niż zmuszenie ich do spalania aluminium. Wystarczyło odebrać im przytomność na wystarczająco długo, by metale opuściły ich ciało. Kiedy o tym myślała, otrząsając się z pozostałości długiego snu, zrozumiała, że to właśnie się stało.

Panowała cisza. Vin w końcu otworzyła oczy. Spodziewała się zobaczyć kraty celi.

Miast tego ujrzała skromnie urządzone, praktyczne pomieszczenie. Leżała na ławie, z twardą poduszką pod głową. Do jej kajdan przymocowano długi na kilkanaście stóp łańcuch, który z kolei połączono z ławą. Ostrożnie pociągnęła łańcuch i stwierdziła, że jest przymocowany bardzo solidnie.

Ten ruch przyciągnął uwagę pary strażników, którzy stali obok ławy. Drgnęli, unieśli kije i wpatrzyli się w nią. Vin uśmiechnęła się - w głębi duszy była dumna, że nawet zakuta w kajdany i pozbawiona metali, nadal wywoływała taką reakcję.

- Ty, lady Venture, przedstawiasz sobą pewien problem. - Głos dochodził z boku.

Vin uniosła się na łokciu i popatrzyła ponad oparciem ławy. Po drugiej stronie pomieszczenia, w odległości około piętnastu stóp, stał łysy mężczyzna odziany w długą szatę, odwrócony do niej plecami. Wyglądał przez wielkie okno, zwrócone na zachód, a zachodzące słońce otaczało jego postać szkarłatnym płomieniem.

- Co mam z tobą zrobić? - spytał Yomen, wciąż nie odwracając się do niej. -

Wystarczy okruch stali, a mogłabyś zabić moich strażników za pomocą ich guzików. Ślad cyny z ołowiem, a uniosłabyś tę ławę i rozbiła ścianę. Mógłbym cię zakneblować, cały czas trzymać w uśpieniu albo zabić.

Vin otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale tylko zakaszłała. Natychmiast próbowała spalić cynę z ołowiem, by dodać sobie sił. Brak metalu był niczym brak kończyny. Kiedy usiadła, wciąż kaszłąc i czując zawroty głowy, odkryła, że pragnie metalu bardziej, niż kiedykolwiek uznałaby to za możliwe. Powszechnie sądzono, że Allomancja nie uzależnia, w przeciwieństwie do niektórych ziół i trucizn. Jednakże w tej chwili mogłaby przysiąc, że wszyscy uczeni i filozofowie bardzo się mylili.

Yomen ostro machnął ręką, wciąż nie odwracając się od zachodzącego słońca. Służący podszedł do Vin, w ręku niósł kubek. Spojrzała na niego niepewnie.

- Gdybym chciał cię otruć, lady Vin - powiedział Yomen, wciąż odwrócony do niej plecami - mógłbym to zrobić, nie uciekając się do podstępów.

Ma rację, pomyślała Vin. Przyjęła kubek i wypła znajdującą się w nim wodę.

- Woda - powiedział Yomen. - Deszczówka, filtrowana i oczyszczona. Nie znajdziesz w niej śladów metali, które mogłabyś spalić. Kazałem ją trzymać wyłącznie w drewnianych pojemnikach.

Sprytne, pomyślała Vin. Wiele lat przed uzyskaniem świadomości swoich allomantycznych mocy, spalała te drobiny metalu, które przypadkowo wchłaniała z wodą albo ze sztuków.

Woda ugasiła jej pragnienie i stłumiła kaszel.

- Jeśli - powiedziała w końcu - tak martwi cię perspektywa, że mogłabym połknąć jakiś metal, dlaczego mnie nie zakneblowałeś?

Yomen przez chwilę stał w milczeniu. W końcu odwrócił się, a ona mogła zobaczyć tatuaże wokół oczu i na jego twarzy. Jego skóra odbijała głębokie barwy nieba na zewnątrz.

Na czole miał pojedynczą, srebrzystą bryłkę atium.

- Z różnych powodów - powiedział król-obligator.

Vin wpatrzyła się w niego, po czym uniosła kubek, by pociągnąć kolejny łyk. Ruch sprawił, że jej kajdany zabrzęczały. Patrzyła na nie z irytacją, gdyż ograniczały swobodę jej ruchów.

- Są zrobione ze srebra - powiedział Yomen. - Jak słyszałem, to szczególnie frustrujący metal dla Allomanty.

Srebro. Bezużyteczne, niedające się spalić srebro. Podobnie jak ołów, był to jeden z tych metali, które nie dawały żadnych allomantycznych mocy.

- To mało popularny metal... - powiedział Yomen i skinął ręką w bok.

Do Vin podszedł służący, niosąc coś na niewielkiej tacy. Kolczyk jej matki. Był

matowy. Patrząc Allomantycznie, wykonany z posrebrzanego brązu. Większość srebra wytarła się przed laty i spod spodu wychodził brąz, przez co kolczyk wyglądał jak tania błyskotka.

- I dlatego właśnie - mówił dalej Yomen - bardzo mnie ciekawi, dlaczego nosisz taką ozdobę. Kazałem ją sprawdzić. Srebro na zewnątrz, w środku brąz. Dlaczego te metale? Jeden bezużyteczny dla Allomantów, drugi dający, jak się powszechnie uważa, najslabszą z allomantycznych mocy. Czy kolczyk ze stali albo cyny z ołowiem nie miałby więcej sensu?

Vin spojrzała na kolczyk. Aż zaswędziały ją palce, żeby go chwycić, by choćby poczuć metal między palcami. Gdyby miała stal, mogłaby Odepchnąć ozdobę, wykorzystując ją jako broń. Kelsier kiedyś powiedział jej, żeby nadal go nosiła z tego prostego powodu.

Niestety, dostała go od matki. Kobiety, której właściwie nie znała. Kobiety, która próbowała ją zabić.

Vin chwyciła kolczyk. Yomen przyglądał się z zaciekawieniem, jak wpycha go na miejsce. Wydawał się... ostrożny. Jakby na coś czekał.

Gdybym rzeczywiście miała jakąś sztuczkę w rękawie, pomyślała, już by nie żył. Jak może tu stać tak spokojnie? Dlaczego oddał mi kolczyk? Nawet jeśli nie wykonano go z użytecznych metali, mogłabym znaleźć sposób, by wykorzystać go przeciwko niemu.

Instynkt podpowiadał jej, że Yomen próbuje wykorzystać starą uliczną strategię -

jakby rzucał wrogowi sztylet, żeby zmusić go do ataku. Yomen chciał uruchomić wszystkie pułapki, które naszykowała. Wydawało się to nierozsądnym posunięciem. Jak mógł mieć nadzieję na pokonanie Zrodzonego z Mgły?

Chyba że sam jest Zrodzonym z Mgły, pomyślała Vin. Czuje, że może mnie pokonać.

Ma atium i jest gotów je spalić, jeśli spróbuję coś zrobić.

Vin nic nie zrobiła. Nie zaatakowała. Nie była pewna, czy instynkt dobrze jej podpowiada, ale nie miało to znaczenia. Nie mogła zaatakować, gdyż kolczyk nie miał

żadnych ukrytych tajemnic. Tak naprawdę chciała go odzyskać, bo czuła się dobrze, mając go w uchu. Przyzwyczaiła się, że go nosi.

- Interesujące - stwierdził Yomen. - Tak czy inaczej, zaraz poznasz jeden z powodów, dla których pozostawiłem cię bez knebla...

Wypowiedziawszy te słowa, uniósł rękę w stronę drzwi. Splótł dłonie za plecami, kiedy służący otworzył je, ukazując nieuzbrojonego żołnierza w biało-brązowym mundurze armii Elenda.

Powinnaś go zabić, wyszeptało Zniszczenie w jej uchu. Zabić ich Wszystkich.

- Lady Venture - powiedział Yomen, nie patrząc na nią. - Muszę cię prosić, żebyś nie odzywała się do tego mężczyzny bez mojego zezwolenia i mówiła tylko to, na co pozwolę.

Inaczej będzie musiał zostać stracony, a my poprosimy o kolejnego posłańca.

Żołnierz zbladł. Vin tylko zmarszczyła czoło i spojrzała na obligatora. Yomen był

wyraźnie spokojnym człowiekiem i chciał robić wrażenie surowego. Ile z tego było udawane?

- Widzisz, że ona żyje, jak obiecałem - powiedział Yomen do żołnierza.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie kandra? - spytał żołnierz.

- Możesz zadać jej swoje pytanie - stwierdził Yomen.

- Lady Venture - odezwał się żołnierz - co jedliście na kolację tego wieczoru, zanim udaliście się na przyjęcie w mieście?

To było dobre pytanie. Kandra zapytałby ją o ważne chwile w życiu - takie jak pierwsze spotkanie z Elendem. Coś takiego jak posiłek było jednak zbyt mało znaczące i żaden kandra nie spytałby o coś takiego. Jeśli tylko Vin sobie przypomni...

Spojrzała na Yomena. Skinął głową - mogła odpowiedzieć.

- Jajka - powiedziała. - Świeże jajka, które kupiłam w mieście, kiedy udałam się tam na przeszpiegi.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Masz swoją odpowiedź, żołnierzu - stwierdził Yomen. - Poinformuj swojego króla, że jego żona wciąż żyje.

Żołnierz się wycofał, a służący zamknęli drzwi. Vin siedziała na ławie, czekając na knebel.

Yomen pozostał na swoim miejscu i patrzył na nią.

Vin patrzyła na niego. W końcu się odezwała.

- Jak myślisz, jak długo uda ci się powstrzymać Elenda? Jeśli cokolwiek o nim wiesz, to rozumiesz, że przede wszystkim jest królem, a dopiero na drugim miejscu mężczyzną. Zrobi to, co musi zrobić, nawet jeśli oznacza to moją śmierć.

- W końcu pewnie tak - stwierdził Yomen. - Jednak na razie to działa. Słyszałem, że mówisz bez ogródek i doceniasz zwięzłość. I dlatego postawię sprawę jasno. Pojmałem cię nie dlatego, że mam zamiar wykorzystać cię do wywierania nacisku na twój mąż.

- Naprawdę - powiedziała beznamiętnie. - To dlaczego mnie pojmałeś?

- To bardzo proste, lady Venture. Pojmałem cię, żeby cię stracić.

Jeśli spodziewał się, że ją to zaskoczy, nie dała tego po sobie poznać.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Wydaje mi się, że to przesadnie oficjalne określenie. Dlaczego nie poderżnąłeś mi po prostu gardła, kiedy byłam uśpioną?

- To miasto jest miastem prawa - stwierdził Yomen. - Nie zabijamy bez powodu.

- Trwa wojna - odparła Vin. - Jeśli z zabijaniem będziesz czekał na powód, twoi żołnierze nie będą zachwyceni.

- Tu nie chodzi o zbrodnię wojenną, lady Venture.

- Ach tak? To o jaką chodzi?

- Najprostszą ze wszystkich. Morderstwo.

Vin uniosła brew. Czy zabiła kogoś bliskiego temu mężczyźnie? Może to był któryś ze szlachetnie urodzonych żołnierzy z orszaku Cetta, przed rokiem, kiedy zaatakowała Twierdzę Hasting?

Napotkała spojrzenie Yomena i wyczytała coś w jego oczach. Odrażę, którą ukrywał

pod fasadą spokoju. Nie, nie zabiła jednego z jego przyjaciół czy krewnych. Zabiła kogoś o wiele ważniejszego.

- Ostatni Imperator - powiedziała.

Yomen znów odwrócił się do niej plecami.

- Naprawdę, nie możesz mnie za to sądzić - stwierdziła Vin. - To absurd.

- Nie będzie procesu. Jestem władcą tego miasta i nie potrzebuję żadnych ceremonii, by uzyskać wskazówki lub zezwolenie.

Vin parsknęła.

- A mówiłeś, że to miasto prawa.

- Tym prawem jestem ja - odparł spokojnie Yomen. - Pozwalam oskarżonemu wypowiedzieć się w swoim imieniu, zanim podejmę decyzję. Dam ci czas na uporządkowanie myśli... jednak żołnierze, którzy będą cię strzec, mają rozkaz cię zabić przy pierwszym podejrzeniu, że wkładasz coś nieodpowiedniego do ust. - Yomen znów na nią spojrzał. - Na twoim miejscu byłbym bardzo

ostrożny podczas jedzenia i picia. Strażnikom rozkazano zachować przesadną wręcz ostrożność, i wiedzą, że nie ukarzę ich, jeśli przypadkiem cię zabiją.

Vin się zawahała, wciąż trzymała w dłoniach kubek z wodą.

Zabij go, wyszeptało Zniszczenie. Mogłabyś to zrobić. Odbierz broń jednemu z tych żołnierzy i zabij nią Yomena.

Vin zmarszczyła czoło. Zniszczenie wciąż używało głosu Reena - wydawał się znajomy, zawsze był jej częścią. Odkrycie, że należał do tej istoty... było niczym odkrycie, że jej odbicie tak naprawdę należało do kogoś innego i nigdy tak naprawdę nie widziała siebie samej.

Zignorowała ten głos. Nie była pewna, dlaczego Zniszczenie pragnęło by spróbowała zabić Yomena. W końcu Yomen ją pojmał - król-obligator pracował dla Zniszczenia. Poza tym Vin wątpiła, by zdołała mu zrobić krzywdę. Zakuta w kajdany, bez metali... byłaby głupia, gdyby zaatakowała.

Nie wierzyła również zapewnieniom Yomena, że utrzyma ją przy życiu, by mogła się

„wypowiedzieć” w swojej obronie. Miał jakiś plan. Nie wiedziała jednak jaki. Dlaczego pozostawił ją przy życiu? Był zbyt przebiegły, by zrobić to bez powodu.

Nie zdradzając swoich motywacji, Yomen znów odwrócił się do niej plecami i wyjrzał

przez okno.

- Zabierzcie ją.

Poświęcając większość swojej świadomości, Zachowanie stworzył więzienie Zniszczenia, łamiąc ich pakt i próbując powstrzymać Zniszczenie przed unicestwieniem tego, co razem stworzyli. Po tym ich moce znów stały się niemal wyrównane - Zniszczenie w więzieniu, które mógł opuszczać jedynie ślad jego istoty. Zachowanie ograniczone do cienia tego, czym niegdyś był, ledwie zdolny do myślenia i działania.

Te dwa umysły były oczywiście niezależne od ich surowej mocy. Właściwie nie jestem pewien, jak myśli i osobowości w ogóle połączyły się z mocami - ale wierzę, że nie było tak od samego początku. Ponieważ obie moce można było oddzielić od umysłów, które nimi władały.

55

Powrót z wioski zajął mu o wiele więcej czasu niż dotarcie do niej. Po pierwsze, zostawił wieśniakom wiele monet. Nie był pewien, na ile pieniądze mogą im pomóc w nadchodzących dniach, ale czuł, że musi coś zrobić. Najbliższe kilka miesięcy będzie dla nich bardzo trudne. Spichrze prawie puste, domy spalone przez kolosy, źródła zatrute popiołem, ich stolica - i król - oblegana przez Elenda.

Muszę się skupić, powiedział sobie, idąc pośród spadającego popiołu. Nie mogę pomóc każdej wiosce, muszę patrzeć bardziej perspektywicznie.

A to myślenie perspektywiczne oznaczało między innymi armię kolosów dla zniszczenia miasta należącego do innego człowieka. Elend zacisnął zęby i maszerował dalej.

Słońce powoli opadało w stronę horyzontu i już zaczęły pojawiać się mgły, podświetlane czerwonym blaskiem słońca. Za jego plecami maszerowało około trzydziestu tysięcy kolosów. Jego nowa armia.

Z tego powodu również powrót zajął mu więcej czasu. Chciał iść razem z kolosami, a nie wysforować się do przodu, na wypadek gdyby Inkwizytor powrócił i chciał ich odzyskać.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że tak wielka siła mogła działać bez przewodnika.

Samotnie zaatakowałem armię kolosów, pomyślał, wlokąc się przez sięgający do pól uda popiół. Zrobiłem to bez pomocy Vin i zamierzałem samodzielnie pokonać ich Inkwizytora.

Jak miał zamiar samotnie walczyć z Inkwizytorem? Sam Kelsier z trudem pokonał jednego z nich.

Vin zabiła już trzech, pomyślał. Atakowaliśmy ich razem, ale to ona zabiła każdego z nich.

Nie żałował jej umiejętności, ale od czasu do czasu czuł przebłysk zazdrości. To go bawiło. Nigdy mu to nie przeszkadzało, kiedy był zwyczajnym człowiekiem, ale teraz, gdy również stał się Zrodzonym z Mgły, odkrył, że pragnie jej umiejętności.

A ona, mimo to, została pojmana. Elend maszerował, czując ciężar, którego nie umiał z siebie strząsnąć. Wszystko wydawało mu się niewłaściwe. Vin uwięziona, podczas gdy on był wolny. Mgła i popiół duszące ziemię. Elend, mimo swych mocy, nie mógł nic zrobić, by ochronić ludzi - i kobietę - których kochał.

I to był właśnie trzeci powód, dla którego włókł się z kolosami, zamiast od razu wrócić do obozu. Potrzebował czasu na zastanowienie. Samotności. Może to właśnie dlatego w ogóle wyruszył.

Wiedział, że to, co robią, jest niebezpieczne, ale nigdy się nie spodziewał, że może ją utracić. To była Vin. Zawsze udawało jej się wydostać. Zawsze przeżywała.

Ale jeśli tym razem jej się to nie uda?

On zawsze był tym bardziej wrażliwym na cios - zwykłym człowiekiem w świecie Zrodzonych z Mgły i kolosów. Uczonym, który nie umiał walczyć i musiał polegać na Vin.

Nawet podczas ostatniego roku walk trzymała się blisko niego. Jeśli ona była w niebezpieczeństwie, on też był w niebezpieczeństwie i tak naprawdę nie mieli czasu myśleć o tym, co by było, gdyby on przeżył, a ona nie.

Potrząsnął głową, przebijając się przez popiół. Mógł wykorzystać kolosy, by wydeptały dla niego

szlak. W tej chwili jednak pragnął być z dala nawet od nich. Dlatego szedł na przodzie, samotna postać w czerni na czarnym polu, podświetlana czerwonym blaskiem zachodzącego słońca.

Opady popiołu stawały się coraz gorsze. Nim opuścił wioskę, poświęcił dzień, zmuszając kolosy do zmiatania ulic i odbudowy domów. Jednakże przy tej ilości spadającego popiołu mgła i nawet możliwość, że w okolicy krążą inne kolosy, schodziły na drugi plan. Popiół. On wystarczy, by ich zabić. Już znikwały w nim drzewa i wzgórza. W

niektórych miejscach sięgał do pasa.

Może gdybym został w Luthadel, pomyślał, i pracował z uczonymi, znaleźlibyśmy sposób, żeby to powstrzymać...

Nie, to głupota. Co mogli zrobić? Zatkać popielne góry? Znaleźć sposób, by zmyć cały popiół do morza? Pośród wieczornych mgieł, daleko przed sobą widział czerwony blask na niebie, choć słońce zachodziło po drugiej stronie nieboskłonu. Mógł jedynie zakładać, że źródłem światła na wschodzie były ognie i lawa wznoszące się nad popielnymi górami.

Co mógł zrobić z umierającym niebem, popiołem tak gęstym, że z trudem poruszał się wśród niego i wybuchającymi wulkanami? Na razie radził sobie w ten sposób, że je ignorował.

A raczej pozwalał, by to Vin się nimi przejmowała.

I to mnie tak naprawdę martwi, pomyślał. Utrata kobiety, którą kocham, to paskudna sprawa. Ale utrata tej, której ufałem, że to wszystko naprawi... to naprawdę przerażające.

Czuł się dziwnie z tym objawieniem. W głębi duszy naprawdę wierzył, że Vin jest kimś większym niż człowiekiem. Przypominała raczej moc. Może boga? Wydawało się to głupie, kiedy tak o tym myślał. Była jego żoną. Nawet jeśli należał do Kościoła Ocalałego, oddawanie jej czci i myślenie o niej jak o istocie boskiej wydawało mu się niewłaściwe.

Tak naprawdę wcale tak nie myślał. Ale ufał jej. Vin kierowała się instynktem, a Elend logiką i namysłem. Czasami wydawało się, że mogła dokonać niemożliwego jedynie dlatego, że nie zatrzymywała się, by się zastanowić i pomyśleć, jak bardzo jest to niemożliwe. Kiedy Elend dochodził do urwiska, zatrzymywał się i oceniał odległość dzielącą go od drugiego brzegu. Vin po prostu skakała.

Co by się stało w dniu, w którym nie dotarłaby na drugą stronę? A jeśli wydarzenia, których byli częścią, były tak wielkie, że dwoje ludzi nie miało szansy nic na nie poradzić, nawet jeśli jednym z tych ludzi była Vin? Kiedy o tym pomyślał, nawet prawdopodobieństwo znalezienia użytecznych informacji w magazynie Fadrex było słabą nadzieją.

Potrzebujemy pomocy, pomyślał z frustracją Elend. Zatrzymał się wśród popiołu, otoczony ciemnością, gdy w końcu zapadła noc. Mgły się kłębiły.

Pomoc. Co to właściwie znaczyło? Pomoc jakiegoś tajemniczego bóstwa, jak te, o których niegdyś nauczał Sazed? Elend nie znał boga poza Ostatnim Imperatorem. A w niego też nigdy tak naprawdę

nie wierzył - choć spotkanie z Yomenem zmieniło jego poglądy na temat tego, jak niektórzy oddawali cześć Ostatniemu Imperatorowi.

Elend stał, wpatrując się w niebo i spadające płatki popiołu, w ciszy i nieprzerwanie zasypujące ziemię. Niczym krucze pióra miękkiej poduszki, którą duszono śpiącą ofiarę.

Jesteśmy zgubieni, pomyślał. Za jego plecami kolosy zatrzymały się, czekając na jego bezgłośny rozkaz. I tyle. To wszystko wkrótce się skończy.

Objawienie to nie było wstrząsem. Przyszło łagodnie, niczym ostatnia smuga dymu z dogasającej świeczki. Nagle zrozumiał, że nie mogli walczyć - że wszystko, co zrobili w ciągu ostatniego roku nie miało sensu.

Elend opadł na kolana. Popiół sięgał mu do piersi. Może to był ostatni powód, dla którego chciał wracać do obozu pieszo. W otoczeniu innych czuł, że musi udawać optymizm.

Ale w samotności mógł stawić czoło prawdzie.

I tam właśnie, wśród popiołu, w końcu się poddał.

Ktoś ukląkł obok niego.

Elend odskoczył do tyłu, zrywając się na równe nogi i rozsypując popiół. Zbyt późno rozjarzył cynę z ołowiem, dając sobie siłę Zrodzonego z Mgły zbierającego się do ataku. Lecz obok niego nie było nikogo. Zamarł, zastanawiając się, czy nie ma zwidów. Lecz wtedy, gdy spalił cynę i zmrużył oczy w mroku popielnej nocy, w końcu go zobaczył. Istotę z mgieł.

Nie była właściwie stworzona z mgieł, raczej mgły otaczały jej sylwetkę.

Przypadkowe zawirowania sugerowały jego kształt, który był w ogólnych zarysach ludzki.

Elend widział już wcześniej tę istotę, dwa razy. Za pierwszym ukazała mu się na pustkowiach Północnego Dominium.

Za drugim wbiła mu nóż w brzuch i zostawiła, by wykrwawił się na śmierć.

To jednak była próba skłonienia Vin, by wzięła sobie moc Studni Wstąpienia i wykorzystała ją do uzdrowienia Elenda. Istota miała dobre intencje, nawet jeśli omal go nie zabiła. Poza tym, Vin wspominała, że to ten stwór zaprowadził ją do ostatniego kawałka metalu, który jakimś sposobem uczynił z Elenda Zrodzonego z Mgły.

Duch mgły obserwował go, jego postać była ledwie widoczna w poruszeniach mgły.

- O co chodzi? - spytał Elend. - Czego ode mnie chcesz?

Duch mgły uniósł rękę i wskazał na północny wschód.

To właśnie zrobił w czasie naszego pierwszego spotkania. Wskazywał tylko, jakby chciał mnie skłonić do udania się gdzieś. Wtedy też nie rozumiałem, co to znaczy.

- Posłuchaj - powiedział Elend, czując nagłe wyczerpanie. - Jeśli chcesz coś powiedzieć, to może po prostu to powiedz?

Duch mgły stał w milczeniu.

- A może napisz - zaproponował Elend. - Wskazywanie nie działa.

Wiedział, że ta istota - czymkolwiek była - była częściowo materialna. W końcu udało jej się przebić Elenda ostrzem.

Spodziewał się, że istota wciąż będzie stała. Jednakże, ku zaskoczeniu Elenda, wypełniła jego prośbę i uklękła w popiele. Wyciągnęła mglistą rękę i zaczęła pisać. Elend zrobił krok do przodu i przechylił głowę, żeby zobaczyć, co pisała istota.

„Zabiję cię” brzmiał tekst. „Śmierć, śmierć, śmierć”.

Duch mgły jakby się kulił. Klęczał wśród popiołu, nie pozostawiając przy tym śladu na ziemi.

Cóż za dziwne słowa, pomyślał Elend, skoro próbował mnie skłonić, żebym mu zaufał...

- Ona może zmieniać twoje słowa, prawda? - spytał Elend. - Ta druga siła. Może napisać na nowo słowa na kartce papieru, więc czemu nie te wypisane w popiele?

Duch mgły uniósł głowę.

- Dlatego odrywałeś rogi kartki Sazed'a - mówił dalej Venture. - Nie mogłeś napisać mu wiadomości, bo słowa zostałyby zmienione. I dlatego musiałeś robić inne rzeczy, bardziej bezpośrednie. Jak pokazywanie.

Istota wstała.

- W takim razie pisz wolniej - zaproponował Elend. - Przesadnymi gestami. Będę podążał za poruszeniami twojej ręki i tworzył litery w głowie.

Duch mgły natychmiast zaczął machać rękami. Elend przechylił głowę i wpatrzył się w ruchy. Nie widział w nich żadnego sensu, nie wspominając już o literach.

- Zaczekaj - powiedział, unosząc rękę. - To nie działa. Albo ona wszystko zmienia, albo nie znasz liter.

Cisza.

Zaraz, pomyślał Elend, spoglądając na tekst na ziemi. Jeśli słowa się zmieniły...

- Ona tu jest, prawda? - powiedział, czując nagły dreszcz. - Jest tu teraz z nami.

Duch mgły pozostał nieruchomy.

- Poruszaj się, jeśli odpowiedź brzmi „tak” - zaproponował Elend.

Istota zaczęła machać rękami, jak wcześniej.

- Może być - odparł z dreszczem Elend.

Rozejrzał się, lecz we mgle nic nie widział. Jeśli istota uwolniona przez Vin tu była, nie pozostawiała żadnych śladów. Jednakże Elendowi wydawało się, że wyczuwa coś innego.

Lekkie wzmożenie wiatru, lodowaty chłód w powietrzu, mgły poruszające się gwałtowniej.

Ale może tylko to sobie wyobrażał.

Skupił się znów na duchu mgły.

- Jesteś... mniej materialny niż wcześniej.

Istota pozostała bez ruchu.

- Czy to znaczy „nie”? - spytał sfrustrowany Elend.

Stwór nadal się nie ruszał.

Elend zamknął oczy. Zmusił się do skupienia i powrotu myślami do zagadek logicznych z czasów młodości. Muszę podejść do tego bardziej logicznie. Zadawać proste pytania, na które odpowiedź brzmi „tak” lub „nie”. Dlaczego duch mgły był teraz słabiej widoczny niż wcześniej? Elend otworzył oczy.

- Czy jesteś teraz słabszy? - spytał.

Istota zamachała rękami.

Tak, pomyślał Elend.

- Czy to dlatego, że świat się kończy? - spytał Elend.

Znów machanie.

- Czy jesteś słabszy niż tamta istota? Ta, którą uwolniła Vin?

Machanie.

- Dużo słabszy? - spytał Elend.

Istota pomachała, tym razem wyraźnie zasmucona.

Cudownie, pomyślał Elend. Oczywiście, mógł się tego domyślić. Czymkolwiek był

duch mgły, na pewno nie był magicznym rozwiązaniem wszystkich ich problemów. Gdyby był, już dawno by ich uratował.

Tym, czego najbardziej nam brakuje, jest wiedza, pomyślał Elend. Muszę dowiedzieć się od tego stwora tyle, ile tylko się da.

- Czy masz związki z popiołem? - spytał.

Bezruch.

- Czy powodujesz opady popiołu?

Bezruch.

- Czy tamta druga istota powoduje opady popiołu? Tym razem stwór zamachał.

W porządku, pomyślał Elend.

- Czy sprawia też, że mgły pojawiają się w ciągu dnia?

Bezruch.

- Czy to ty sprawiasz, że mgły pojawiają się w ciągu dnia?

Istota zastanowiła się nad tym pytaniem, w końcu zamachała, ale mniej energicznie.

Czy to „może”? Zastanawiał się Elend. Albo „częściowo”? Istota znieruchomiła. Była coraz słabiej widoczna wśród mgieł. Elend rozjarzył cynę, ale to nie sprawiło, że widział ją lepiej. Jakby... blaknęła.

- Gdzie chciałeś, żebym się udał? - spytał Elend, bardziej do siebie niż spodziewając się odpowiedzi. - Wskazałeś na...? wschód? Czy chcesz, żebym wracał do Luthadel?

Istota znów słabo zamachała.

- Czy chcesz, żebym zaatakował Fadrex?

Bezruch.

- Czy chcesz, żebym nie atakował Fadrex?

Energiczne machanie.

Interesujące, pomyślał.

- Mgły - powiedział Elend. - One się z tym wszystkim łączą, prawda? Machanie.

- Zabijają moich ludzi - stwierdził Elend.

Istota zrobiła krok do przodu, po czym znieruchomiła i jakimś sposobem robiła wrażenie przynaglającej. Elend zmarszczył czoło.

- Zareagowałeś na to. Chcesz powiedzieć, że nie zabijają moich ludzi?

Zamachała.

- To absurd. Widziałem, jak ludzie padają martwi.

Stwór zrobił krok naprzód i wskazał na Elenda. Spojrzał na pas.

- Monety? - spytał, podnosząc wzrok.

Istota znów pokazała. Elend sięgnął za pas. Miał tam jedynie fiolki z metalami. Wyjął jedną z nich.

- Metale?

Istota energicznie zamachała. Robiła tak przez dłuższą chwilę. Elend spojrzał na fiolkę.

- Nie rozumiem.

Istota znieruchomiła. Stawała się coraz bardziej niewyraźna, jakby parowała.

- Zaczekaj! - powiedział Elend, robiąc krok naprzód. - Mam jedno pytanie. Tylko jedno, zanim odejdziesz!

Istota spojrzała mu w oczy.

- Czy możemy go pokonać? - spytał Elend. - Czy możemy przetrwać?

Bezruch. Później istota się poruszyła. Nie było to energiczne machanie rękami -

bardziej ruch pełen wahania. Niepewny. Zniknęła, mgły stały się niewyraźne i wkrótce nie pozostał żaden ślad, że jeszcze przed chwilą ktoś tam był.

Elend stał w ciemnościach. Odwrócił się i spojrzał na armię kolosów, która w pewnej odległości czekała jak pnie drzew. Znów się odwrócił i rozejrzał w poszukiwaniu śladów ducha mgły. W końcu powlókł się z powrotem do Fadrex. Kolosy podążyły za nim.

Czuł się... silniejszy. To głupie - duch mgły nie dał mu żadnych przydatnych informacji. Przypominał niemal dziecko. To, co powiedział, było głównie potwierdzeniem tego, czego Elend już się domyślał.

Szedł z większą determinacją. Nawet jeśli tylko dlatego, że dowiedział się, że na świecie są rzeczy, których nie rozumie - a to oznaczało, że być może istnieją też możliwości, których nie dostrzegał. Możliwości przetrwania.

Możliwość, by wylądować bezpiecznie po drugiej stronie przepaści, nawet jeśli logika podpowiadała mu, by nie skakać.

Nie wiem, dlaczego Zachowanie zdecydował się wykorzystać resztkę życia, by ukazać się Elendowi podczas jego drogi powrotnej do Fadrex. O ile mi wiadomo, Elend nie poznał

żadnych ważnych informacji w trakcie tego spotkania. Oczywiście, w tym czasie Zachowanie był cieniem samego siebie - a ten cień znajdował się pod potężnym naciskiem Zniszczenia.

Może Zachowanie - a raczej resztki tego, czym było wcześniej - pragnął spotkać się z Elendem sam na sam. A może zobaczył, jak Elend klęka na tym polu, i zrozumiał, że cesarz ludzi był bliski położenia się w popiele. Tak czy inaczej, Zachowanie się ukazał, a w ten sposób wystawił na ciosy Zniszczenia. Dawno minęły dni, kiedy Zachowanie mogło jednym gestem odeprzeć Inkwizytora, a nawet te, kiedy mogło zadać człowiekowi śmiertelny cios.

Kiedy Elend zobaczył „ducha mgły”, Zachowanie musiał być już ledwie świadomy.

Zastanawiam się, co zrobiłby Elend gdyby wiedział, że znajduje się w obecności umierającego boga - że tej nocy był ostatnim świadkiem odejścia Zachowania. Gdyby Elend zaczekał kilka chwil na tym popielnym polu, zobaczyłby jak ciało - niewysokie, ciemnowłose, z wydatnym nosem - wylania się z mgieł i pada martwe wśród popiołu.

W tej sytuacji jednak ciałem nikt się nit zajął i ugrzęzło w popiele. Świat umierał. Jego bogowie musieli umrzeć razem z nim.

56

Spook stał w ciemnej jaskini, spoglądając na deskę i papier. Ustawił je pionowo, jak artysta sztalugi, choć szkicował nie obrazy, a pomysły. Kelsier zawsze przedstawiał ekipie plany, rozpisując je na tablicy. To był dobry pomysł, nawet jeśli Spook nie wyjaśniał planów ekipie, a próbował sam je stworzyć.

Cała sztuczka polegała na tym, żeby zmusić Quelliona do pokazania, że jest Allomantą na oczach ludzi. Durn powiedział im, czego mają szukać, a tłumy będą gotowe, czekając na potwierdzenie tego, co im Powiedziano. Żeby plan Spooka zadziałał, musieliby złapać Obywatela w miejscu publicznym, a następnie zmusić go do wykorzystania swoich mocy w taki sposób, żeby było to oczywiste dla wszystkich widzów.

Nie mogę mu w takim razie pozwolić na Odpychanie odległego metalu, pomyślał, zapisując notatkę na tablicy. Muszę sprawić, żeby wzniósł się w powietrze albo wystrzelił

garść monet. Coś widocznego, coś, na co możemy kazać ludziom czekać.

To miało być trudne, ale Spook wierzył w siebie. Zapisał na tablicy kilka pomysłów, od otwartego zaatakowania Quelliona po próbę skłonienia go do użycia mocy, kiedy będzie myślał, że nikt nie patrzy.

Naprawdę mogę to zrobić, pomyślał Spook z uśmiechem. Zawsze czułem taki podziw dla zdolności przywódczych Kelsiera. To nie jest tak trudne, jak mi się wydawało.

A przynajmniej tak sobie powtarzał. Próbował nie myśleć o konsekwencjach niepowodzenia. Próbował nie myśleć, że wciąż ma Beldre jako zakładniczkę. Próbował nie martwić się, że kiedy czasem budził się rankiem - a jego cyna całkowicie wypaliła się przez noc - jego ciało wydawało się zupełnie odrętwiałe i nie czuł zupełnie nic, dopóki nie pochłoniął nowej porcji metalu. Próbował nie koncentrować się na buntach i incydentach, jakie wywoływały wśród ludzi jego pojawienia się, mowy i działania.

Kelsier kazał mu się nie martwić. To powinno mu wystarczyć. Prawda?

Po kilku minutach usłyszał, że ktoś się zbliża, ciche kroki - lecz dla niego nie za ciche

- na kamieniu. Szelest sukni i brak zapachu perfum wyraźnie powiedziały mu, kto to jest.

- Spook?

Opuścił węgiel i się odwrócił. Beldre stała po drugiej stronie jego „komnaty”.

Przygotował sobie alkowę między kilkoma rzędami półek z zapasami i oddzielił ją prześcieradłami - to był jego gabinet. Siostra Obywatela nosiła bardzo piękną szlachecką suknię w kolorze bieli i zieleni.

Spook się uśmiechnął.

- Sukienki ci się podobają?

Spuściła wzrok i zarumieniła się lekko.

- Ja... od lat nie nosiłam czegoś takiego.

- Podobnie jak reszta mieszkańców - stwierdził Spook, odłożył węgiel i wytarł palce. -

I dlatego tak łatwo je znaleźć, jeśli wie się, w których budynkach szukać. Wygląda na to, że dobrze oceniłem twój rozmiar, co?

- Tak - odparła cicho i podeszła bliżej. Suknia rzeczywiście dobrze na niej leżała i Spook zaczął mieć problemy ze skupieniem, kiedy się zbliżyła. Dziewczyna spojrzała na tablicę i zarumieniła się. - Czy... to ma jakiś sens?

Spook otrząsnął się z transu. Tablicę pokrywały liczne przekreślenia i odnośniki. To już by wystarczyło, by utrudnić lekturę, jednak coś jeszcze czyniło jej zawartość kompletnie niezrozumiałą.

- To w większości wschodni dialekt - wyjaśnił Spook.

- Język, którym mówiłeś, kiedy dorastałeś? - spytała, dotykając krawędzi tablicy.

Bardzo starannie unikała dotknięcia liter, żeby jej nie rozmazać.

Spook pokiwał głową.

- Nawet słowa są inne. „Byłżem”?

- Znaczy to coś w rodzaju „robiłem”. Często zaczyna się od niego zdania. „Byłżem biegł tamoj” znaczyłoby „biegłem tam”.

- Byłżem tamoj gdzie znalezienie - powiedziała Beldre, uśmiechając się pod nosem, gdy czytała słowa na tablicy. - To brzmi jak bełkot!

- Byłżem jak pragnienie zrobić - odpowiedział Spook, również się uśmiechając.

Zupełnie wrócił mu akcent. Później zarumienił się i odwrócił.

- Co takiego? - spytała.

Dlaczego zawsze w jej obecności zachowuję się jak idiota? - pomyślał. Inni zawsze robili sobie żarty z mojego dialektu, nawet Kelsier uważał go za głupi. Dlaczego zaczynam nim mówić w jej obecności?

Czuł się tak pewny siebie, kiedy rozważał swoje plany przed jej przybyciem. Dlaczego ta dziewczyna zawsze sprawiała, że wypadał z roli przywódcy i powracał do bycia starym Spookiem? Spookiem, który nigdy się nie liczył.

- Nie powinieneś wstydzić się swojego akcentu - stwierdziła Beldre. - Wydaje mi się uroczy.

- Przed chwilą powiedziałaś, że to bełkot - zauważył Spook, znów odwracając się do niej.

- Ale o to właśnie chodzi! To celowy bełkot, prawda?

Spook z zadowoleniem przypominał sobie, jak rodzice zareagowali, kiedy zaczął

posługiwać się dialektem ulicznym. To dawało mu pewną siłę, kiedy mógł mówić rzeczy, które rozumieli tylko jego przyjaciele. Oczywiście posługiwał się nim tak często, że później miał problemy, żeby się przestawić.

- W takim razie - odezwała się Beldre - co to znaczy?

Spook się zawahał.

- Takie różne myśli - powiedział. Była jego wrogiem, musiał o tym pamiętać.

- Och - powiedziała. Jej twarz na chwilę przybrała wyraz, którego nie umiał odczytać.

Odwróciła się od tablicy.

Jej brat nigdy nie pozwalał jej na udział w naradach, pomyślał Spook. Nigdy nie mówił jej nic ważnego. Sprawiał, że czuła się bezużyteczna...

- Muszę skłonić twojego brata, żeby użył Allomancji w obecności ludzi - powiedział, niemal wbrew sobie. - Żeby zobaczyli, że jest hipokrytą.

- To nie zadziała - stwierdziła Beldre.

- Dlaczego?

- Nie użyje Allomancji przeciwko tobie. Nie odsłoni się w taki sposób.

- Jeśli zagrozę mu wystarczająco poważnie, zrobi to.

Beldre potrząsnęła głową.

- Obiecałeś, że nie zrobisz mi krzywdy. Pamiętasz?

- Nie - sprzeciwił się Spook, unosząc palec. - Obiecałem, że spróbuję znaleźć inny sposób. I nie mam zamiaru go zabić. Chcę tylko, żeby on myślał, że chcę go zabić.

Beldre znów umilkła. Poczuli ściskanie w sercu.

- Nie zrobię tego, Beldre - powiedział Spook. - Nie zabiję go.

- Obiecujesz?

Spook pokiwał głową.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Chcę napisać do niego list. Może uda mi się go przekonać, żeby was posłuchał.

Wtedy w ogóle udałoby nam się uniknąć całej tej sytuacji.

- Dobrze... - powiedział Spook. - Ale wiesz oczywiście, że będę musiał przeczytać ten list, żeby się upewnić, że nie zdradzasz niczego, co mogłoby mi zaszkodzić.

Beldre pokiwała głową.

Oczywiście, zrobi coś więcej, niż tylko go przeczyta. Przepisze go na innym arkuszu papieru, zmieni kolejność linijek i doda kilka słów bez znaczenia. Był w wielu złodziejskich ekipach i słyszał o szyfrach. Ale zakładając, że Beldre jest wobec niego uczciwa, list od niej do Quelliona był dobrym pomysłem. Nie pomoże, ale wzmocni pozycję Spooka.

Otworzył usta, by zapytać, czy odpowiadają jej warunki spania, lecz przerwał, gdy usłyszał, jak ktoś się zbliża. Tym razem cięższe kroki. Jak się domyślał, kapitan Goradel.

I rzeczywiście, żołnierz wkrótce wyszedł zza rogu do „komnaty” Spooka.

- Milordzie - powiedział żołnierz. - Powinniście to zobaczyć.

* * *

Żołnierze zniknęli. Sazed wyglądał przez okno razem z pozostałymi, obserwując pusty teren, gdzie przez ostatnie kilka tygodni stacjonowały oddziały Quelliona, obserwując budynek Zakonu.

- Kiedy odeszli? - spytał Breeze, z namysłem drapiąc się po brodzie.

Z jakiegoś powodu Sazed miał wrażenie, że to posunięcie było złowieszcze. Stał obok Spooka, Breeze'a i Goradela - choć pozostali chyba uważali wycofanie żołnierzy za dobry znak.

- Cóż, to na pewno ułatwi nam wykradanie się - zauważył Goradel.

- I nie tylko - dodał Spook. - To oznacza, że mogę włączyć naszych żołnierzy w plan wymierzony przeciwko Quellionowi. Nigdy by nam się nie udało wydostać ich w tajemnicy z budynku, kiedy pół armii stacjonowało niemal na progu, ale teraz...

- Tak - zgodził się Goradel. - Ale gdzie oni się udali? Myślicie, że Quellion nabiera podejrzeń?

Breeze parsknął.

- Mój drogi, to, zdaje się, odpowiednie pytanie dla twoich zwiadowców. Może niech poszukają, gdzie podziała się ta armia?

Goradel pokiwał głową. Później jednak, ku niejakiemu zaskoczeniu Sazed, żołnierz spojrzął na Spooka, wyraźnie czekając na potwierdzenie. Chłopak skinął głową, a wtedy kapitan odszedł, by wydać rozkazy.

Słucha rozkazów chłopaka bardziej niż Breeze'a i moich, pomyślał Sazed. Nie powinno go to zaskakiwać. Sazed sam się zgodził, by Spook przejął dowodzenie, a w oczach Goradela cała ich trójka - Sazed, Breeze i Spook - była prawdopodobnie równa rangą.

Wszyscy byli w wewnętrznym kręgu Elenda, a z całej trójki to Spook był najlepszym wojownikiem. Nic dziwnego, że Goradel traktował go jako zwierzchnika.

Po prostu czuł się dziwnie, widząc, jak Spook wydaje rozkazy żołnierzom. W

pierwszej ekipie chłopak był zawsze taki cichy. Teraz Sazed zaczynał go szanować. Spook umiał wydawać rozkazy lepiej niż on sam, a jego przygotowania w Urteau i plany obalenia Quelliona świadczyły o dużej umiejętności przewidywania. Miał też dar aktorski, który zdaniem Breeze'a był niezwykły. I Był też bandaż na oczach chłopaka i inne rzeczy, których nie wyjaśniał, i Sazed

wiedział, że powinien z większym naciskiem domagać się odpowiedzi, ale po prostu ufał Spookowi. Znał go od dziecka, kiedy tamten z trudem porozumiewał się z pozostałymi.

Gdy Goradel odszedł, Spook spojrział na Sazedą i Breeze'a.

- I co?

- Quellion coś planuje - powiedział Breeze. - Jest jednak za wcześnie, by wyciągać jakieś wnioski.

- Zgadza się - stwierdził Spook. - Na razie dalej wprowadzamy plan w życie.

Z tymi słowami rozdzielili się. Sazed odwrócił się, znów zszedł na dół i ruszył na drugi koniec jaskini - gdzie spora grupa żołnierzy pracowała w miejscu dobrze oświetlonym latarniami. Na rękach nosił znajomy ciężar miedziomyśli - dwie na przedramionach i dwie na ramionach. W nich znajdowała się wiedza z dziedziny inżynierii, której potrzebował do wykonania zadania, jakie powierzył mu Spook.

Sazed ostatnio nie wiedział, co myśleć. Za każdym razem, kiedy wspinał się po drabinie i spoglądał na miasto, widział coraz bardziej niepokojące znaki. Popiół spadał

gęściej. Trzęsienia ziemi stawały się coraz częstsze i bardziej gwałtowne. Mgły z każdym dniem pozostawały coraz dłużej. Niebo pociemniało, a czerwone słońce bardziej przypominało wielką krwawiącą ranę niż źródło światła i życia. Popielne góry sprawiały, że nawet w nocy malowała się na horyzoncie czerwona luna.

Wydawało mu się, że koniec świata to czas, kiedy ludzie znajdują wiarę, a nie ją tracą.

Niestety, te krótkie chwile, które poświęcał na badanie religii w teczce, nie dodawały mu otuchy. Wyeliminował dwadzieścia kolejnych wierzeń, co pozostawiało zaledwie trzydziestu potencjalnych kandydatów.

Potrząsnął głową, przechodząc między trudzącymi się żołnierzami. Kilka grup pracowało nad drewnianymi urządzeniami wypełnionymi kamieniami - systemami obciążeń, które opadną, by zablokować wpływ wody do jaskini. Inni zajmowali się bloczkami, które miały opuścić cały mechanizm. Jakies pół godziny później Sazed uznał, że wszyscy dobrze wykonują swoje zadania, i wrócił do obliczeń. Gdy ruszył w stronę swojego stołu, zauważył zbliżającego się Spooka.

- Bunty - powiedział Spook, dotrzymując mu kroku.

- Przepraszam, lordzie Spooku?

- Tam właśnie udali się żołnierze. Ktoś wzniecił pożar i żołnierze, którzy nas pilnowali, byli potrzebni, by go ugasić, zanim spłonie całe miasto. Tu jest o wiele więcej drewna niż w miastach Środkowego Dominium.

Sazed zmarszczył czoło.

- Obawiam się, że nasze działania stają się niebezpieczne.

Spook wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że to dobrze. To miasto zaraz pęknie, Saze. Podobnie jak Luthadel, kiedy przejęliśmy nad nim władzę.

- Jedyne obecność Elenda Venture powstrzymała to miasto przed zniszczeniem -

powiedział cicho Sazed. - Rewolucja Kelsiera bardzo łatwo mogła doprowadzić do katastrofy.

- Wszystko będzie dobrze - stwierdził Spook.

Terrisanin spoglądał na młodzieńca, kiedy obaj szli przez jaskinię. Wydawało się, że Spook bardzo stara się emanować pewnością siebie. Może Sazed zaczynał być cyniczny, ale nie umiał w sobie znaleźć tyle optymizmu, co Spook.

- Nie wierzysz mi - powiedział chłopak.

- Przepraszam, lordzie Spooku. Nie chodzi o to, że... po prostu wydaje mi się, że ostatnio mam problemy z wiarą w cokolwiek.

- Aha.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż znaleźli się na brzegu podziemnego jeziora. Sazed zatrzymał się nad wodą, dręczony niepokojem. Stał tak przez dłuższą chwilę, czując frustrację, lecz nie potrafił znaleźć dla niej żadnego ujścia.

- W ogóle się nie martwisz, Spook? - spytał w końcu. - Że się nam nie uda?

- Nie wiem - odparł chłopak, przestępując z nogi na nogę.

- I chodzi tu o coś więcej niż tylko to - dodał Sazed, wskazując na pracujących żołnierzy. - Wydaje się, że nawet niebo jest naszym wrogiem. Świat umiera. Nie zastanawiasz się, po co nam to wszystko? Po co w ogóle walczymy? I tak jesteśmy zgubieni!

Spook się zarumienił. W końcu spuścił wzrok.

- Nie wiem - powtórzył. - Ja... rozumiem, co robisz, Sazedzie. Próbujesz sprawdzić, czy wątpię w samego siebie. Chyba potrafisz mnie przejrzeć.

Sazed zmarszczył czoło, ale Spook na niego nie patrzył.

- Masz rację - powiedział nagle chłopak, ocierając czoło. - Rzeczywiście się zastanawiam, czy mi się uda. Tindwyl pewnie byłaby na mnie zła, co? Ona sądziła, że przywódcy nie powinni w siebie wątpić.

To zmusiło Sazedą do zastanowienia. Co ja robię? - pomyślał, przerażony swoim wybuchem. Czy tym właśnie się stałem? Przez większość życia stawiałem opór Synodowi, buntując się przeciwko swoim rodakom, ale czułem się spokojny, gdyż miałem pewność, że postępuję właściwie.

A teraz przychodzę tutaj, gdzie ludzie mnie bardzo potrzebują, i tylko kręcę się po okolicy, warczę na przyjaciół i mówię im, że wszyscy i tak umrzemy?

- Ale - dodał Spook, podnosząc wzrok - choć wątpię w siebie, i tak sędzę, że wszystko będzie dobrze.

Sazed był zaskoczony, widząc nadzieję w oczach chłopaka. To właśnie utraciłem, pomyślał.

- Jak możesz tak mówić? - spytał.

- Tak naprawdę to nie wiem - odparł Spook. - To znaczy... Pamiętasz pytanie, które mi zadałeś, kiedy tu przybyłeś? Staliśmy nad jeziorem, o tam. Spytałeś mnie o wiarę. Spytałeś, ile jest warta, jeśli każe ludziom robić sobie nawzajem krzywdę, jak wiara Quelliona w Ocalałego.

Sazed spojrzał na jezioro.

- Tak - powiedział cicho, - Pamiętam.

- Od tamtego czasu się nad tym zastanawiałem - stwierdził Spook. - I... myślę, że mogę mieć odpowiedź.

- Mów, proszę.

- Wiara - powiedział Spook - oznacza, że nie liczy się z tym, co się stanie. Można zaufać, że ktoś nas strzeże. Ufać, że ktoś sprawi, by wszystko było dobrze.

Sazed się skrzywił.

- To znaczy, że zawsze będzie jakieś rozwiązanie - wyszeptał Spook, wpatrując się przed siebie szklistymi oczami, jakby widział coś, czego Sazed nie mógł dostrzec.

Tak, pomyślał Sazed. To właśnie utraciłem. I to muszę odzyskać.

Zrozumiałem, że każda z mocy ma trzy aspekty - materialny, który widać w dziełach Zniszczenia i Zachowania; duchowy, w postaci niewidzialnej energii, którą przesycony jest cały świat; i poznawczy, w postaci umysłów, które kierują tą energią.

To nie koniec. Jest wiele innych aspektów, których nawet ja jeszcze nie rozumiem.

Vin podniosła wzrok, gdy usłyszała dwóch strażników mijających drzwi jej celi. Głos Zniszczenia miał jedną zaletę - zazwyczaj ostrzegał ją, kiedy w pobliżu byli ludzie, nawet jeśli zawsze mówił jej, by ich zabiła.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zwariowała. W końcu widziała i słyszała rzeczy niedostępne innym ludziom. Gdyby była szalona, z pewnością by tego nie zauważyła. Dlatego postanowiła przyjąć to, co słyszy, i więcej się tym nie przejmować.

Tak naprawdę czasami cieszyła się z głosu Zniszczenia. Poza tym była sama w celi.

Wokół panowała całkowita cisza. Nawet żołnierze nie rozmawiali - pewnie na rozkaz Yomena. Poza tym, za każdym razem, gdy Zniszczenie się odzywało, czuła, że czegoś się uczy. Na przykład dowiedziała się, że Zniszczenie mogło pokazać się jej osobiście albo wpływać na nią z daleka. Kiedy nie było obecne w jej celi, jego słowa były o wiele prostsze i bardziej niejednoznaczne.

Na przykład rozkaz Zniszczenia, by zabiła strażników. Nie mogła skorzystać z tej sugestii, nie z celi. Nie był to szczegółowy rozkaz, tylko raczej próba zmiany jej skłonności.

To znów przypomniało jej Allomancję, która pozwalała wywierać ogólny wpływ na uczucia innej osoby.

Ogólny wpływ...

Nagle coś przyszło jej do głowy. Sięgnęła na zewnątrz i - oczywiście - wciąż wyczuwała tysiąc kolosów, które dał jej Elend. Wciąż pozostawały pod jej kontrolą, wypełniając ogólne rozkazy, które im wydała.

Czy mogłaby je jakoś wykorzystać? Może przekazać wiadomość Elendowi? Zmusić je do ataku na miasto i uwolnienia jej? Kiedy się nad tym zastanawiała, oba plany wydały jej się wadliwe. Ściągnięcie ich do Fadrex doprowadzi jedynie do ich śmierci, a w dodatku ryzykowała, że przeszkodzi w ataku, który mógł planować Elend. Mogła je posłać, by znalazły Elenda, ale wtedy pewnie zostałyby zabite przez strażników obozu, którzy baliby się ich żądzy krwi. Poza tym, co miałyby zrobić, gdyby do niego dotarły? Mogła im kazać podjąć pewne określone działania, na przykład, by kogoś zaatakowały albo podniosły, ale nigdy nie próbowała czegoś tak delikatnego jak zmuszenie jednego z nich do wypowiedzenia określonych słów.

Próbowała stworzyć te słowa w swojej głowie i przekazać je kolosom, ale z drugiej strony poczuła jedynie dezorientację. Musiała jeszcze nad tym popracować. Poza tym zaczęła się zastanawiać, czy przekazanie wiadomości Elendowi było rzeczywiście najlepszym sposobem wykorzystania kolosów. W ten sposób pokazałaby Zniszczeniu, że posiada pewne narzędzie, którego być może jeszcze nie zauważył.

- Widzę, że w końcu znalazł dla ciebie celę - usłyszała czyjś głos.

Vin podniosła wzrok i oto był. Wciąż w postaci Reena, Zniszczenie stało w jej niewielkiej celi. Było idealnie wyprostowane i górowało nad nią, w niemal dobrotliwej pozie.

Vin usiadła na pryczy. Nigdy nie sądziła, że ze wszystkich metali będzie jej tak bardzo brakowało brązu. Kiedy Zniszczenie przybywało, by odwiedzić ją we własnej „osobie”, spalanie brązu sprawiało, że czuła go przez impulsy brązu, i ostrzegało ją o jego przybyciu, nawet jeśli się jej nie pokazał.

- Muszę przyznać, że mnie rozczarowałaś, Vin - powiedziało. Choć wykorzystywało głos Reena, był on przepojony wrażeniem... starości. Cichej mądrości.

Ojcowskie wrażenie, jakie robił ten głos, w połączeniu z twarzą Reena i jej własną wiedzą, że ta istota pragnie jedynie niszczyć, było niepokojące.

- Ostatnio, kiedy zostałaś pojmana i uwięziona bez metali - mówiło dalej Zniszczenie -

nie minęła noc, a zdążyłaś zabić Ostatniego Imperatora i zniszczyć imperium. A teraz jesteś bezpiecznie uwięziona od... tygodnia?

Vin nie odpowiedziała. Dlaczego ze mnie szydzi? Czy spodziewa się, że czegoś się dowie?

Zniszczenie potrząsnęło głową.

- Sądziłbym, że przynajmniej zabijesz Yomena.

- Dlaczego tak interesuje cię jego śmierć? - spytała Vin. - Wydawało mi się, że on jest po twojej stronie.

Zniszczenie potrząsnęło głową. Stało z rękami splecionymi za plecami.

- Widzę, że wciąż nie rozumiesz. Wszyscy jesteście po mojej stronie, Vin. Stworzyłem cię. Jesteście moimi narzędziami, wszyscy i każdy z osobna. Zane. Yomen, ty, twój drogi cesarz Venture...

- Nie. Zane należał do ciebie, a Yomen najwyraźniej nie wie, co czyni. Ale Elend... on będzie walczył przeciwko tobie.

- Ale mu się to nie uda - stwierdziło Zniszczenie. - Tego właśnie wyraźnie nie chcesz zrozumieć, moje dziecko. Nie możesz przeciwko mnie walczyć, gdyż sama walka pomaga mi osiągnąć moje cele.

- Źli ludzie być może ci pomagają - stwierdziła Vin. - Ale nie Elend. To dobry człowiek i nawet ty nie możesz temu zaprzeczyć.

- Vin, Vin. Dlaczego nie chcesz zrozumieć? Tu nie chodzi o dobro i zło. Moralność w ogóle się w tym nie liczy. Dobrzy ludzie tak samo łatwo zabijają w imię tego, czego pragną, jak źli ludzie... tyle tylko, że pragną innych rzeczy.

Vin umilkła.

Zniszczenie potrząsnęło głową.

- Cały czas próbuję ci to wyjaśnić. Ten proces, w którym bierzemy udział, koniec wszystkiego... to nie jest walka, jedynie kulminacja tego co nieuniknione. Czy człowiek może stworzyć kieszonkowy zegarek, który nie przestanie chodzić? Czy możesz sobie wyobrazić latarnię, która nigdy nie zgaśnie? Wszystko się kończy. Możesz mnie uznać za dozorcę, kogoś, kto pilnuje sklepu i upewnia się, że światła zostały zgaszone i wszystko posprzątało, gdy nadchodzi godzina zamknięcia.

Zmusiło ją do zastanowienia. W jego słowach było ziarno prawdy, a zmiany, jakie zaszły na świecie w ciągu ostatnich kilku lat - które zaczęły się, zanim jeszcze Zniszczenie zostało uwolnione - rzeczywiście dały jej do myślenia.

Jednakże coś w tej rozmowie ją niepokoiło. Jeśli to, co mówiło Zniszczenie, było całkowitą prawdą, to dlaczego się nią przejmowało? Dlaczego do niej wracało i z nią rozmawiało?

- W takim razie pewnie zwyciężyłeś - powiedziała cicho.

- Zwyciężyłem? - powtórzyło Zniszczenie. - Nie rozumiesz? Tu nie chodzi o zwycięstwo, moje dziecko. Dzieje się to, co musiało się stać.

- Rozumiem.

- Tak, być może tak - powiedziało Zniszczenie. - Być może ty rzeczywiście jesteś do tego zdolna. - Odwróciło się i zaczęło spacerować po celi. - Wiesz, jesteś częścią mnie.

Piękna niszczycielka. Bezpośrednia i skuteczna. Ze wszystkich, których sobie wzięłam w ciągu tego krótkiego tysiąca lat, myślę, że ty jako jedyna możesz być zdolna mnie zrozumieć.

Zaraz, pomyślała Vin, ono się chełpi! Dlatego tu jest - ponieważ chce się upewnić, że ktoś rozumie, co udało mu się osiągnąć! W oczach Zniszczenia malowały się duma i triumf.

To były ludzkie uczucia, które Vin rozumiała.

W tym momencie przestała myśleć o Zniszczeniu „to”, a zaczęła „on”.

Vin pomyślała - po raz pierwszy - że być może uda jej się znaleźć sposób na pokonanie Zniszczenia. Był potężny, może nawet niezrozumiały. Ale widziała w nim również ludzkie cechy i ta ludzka część mogła zostać oszukana, zmanipulowana i zniszczona. Może do tego samego wniosku doszedł Kelsier, kiedy spojrzał w oczy Ostatniego Imperatora tamtej brzemiennej w skutki nocy, kiedy został pojmany. W końcu poczuła, jakby go rozumiała i jak musiał się czuć, gdy podjął się czegoś tak zuchwałego, jak próba pokonania Ostatniego Imperatora.

Ale Kelsier miał całe lata, by planować, pomyślała Vin. Ja... ja nawet nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało. Pewnie niewiele. W tej właśnie chwili zaczęło się kolejne trzęsienie ziemi. Ściany zakołysały się i Vin usłyszała, jak strażnicy na korytarzu przeklinają, kiedy coś upadło i się roztrzaskało. A Zniszczenie... wyglądał na zachwyconego, kiedy tak stał z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami. Wydawało się, że dudnienie w budynku i w mieście sprawia mu przyjemność.

W końcu wszystko znieruchomiało. Zniszczenie otworzył oczy i spojrzał na nią z góry.

- W tym wszystkim, co robię, chodzi o namiętność, Vin. O dynamiczne wydarzenia, o zmiany! Dlatego ty i twój Elend jesteście dla mnie tacy ważni. Ludzie pełni namiętności to ludzie, którzy niszczą... gdyż ludzka namiętność nie jest prawdziwa, dopóki człowiek nie udowodni, ile jest dla niej gotów poświęcić. Czy zabije? Czy wyruszy na wojnę? Czy zniszczy i odrzuci to, co posiada, wszystko w imię tego, czego potrzebuje?

Nie chodzi tylko o to, że Zniszczenie sądzi, że czegoś dokonał, pomyślała Vin, on czuje, że coś przewyciężył. Wbrew temu, co twierdzi, czuje, że wygrał - że coś pokonał... ale kogo albo co? Nas? Nie jesteśmy przeciwnikiem dla mocy takiej jak Zniszczenie.

Vin wydawało się, że słyszy cichy szept z dalekiej przeszłości. Jaka jest pierwsza zasada Allomancji, Vin?

Konsekwencje. Akcja i reakcja. Jeśli Zniszczenie miało moc niszczycielską, istniało coś, co mu się przeciwstawiało. Musiało. Zniszczenie miało przeciwieństwo, przeciwnika.

Albo kiedyś go miało.

- Co z nim zrobiłeś? - spytała Vin.

Zniszczenie zawahał się i odwrócił w jej stronę ze zmarszczonym czołem.

- Ze swoim przeciwieństwem - powiedziała Vin. - Tym, który kiedyś powstrzymał cię przed zniszczeniem świata.

Zniszczenie milczał przez dłuższą chwilę. Potem uśmiechnął się, a uśmiech ten przeszył Vin dreszczem. Świadomość, że miał rację. Vin była jego częścią. Rozumiała go.

- Zachowanie nie żyje - powiedział Zniszczenie.

- Zabiłeś go?

Wzruszył ramionami.

- Tak i nie. Poświęcił się, żeby stworzyć klatkę. Choć jego agonia trwała kilkanaście tysiącleci, teraz w końcu odszedł. I nadszedł czas realizacji umowy.

Zachowanie, pomyślała Vin, i część ogromnej całości wskoczyła na swoje miejsce.

Przeciwieństwo Zniszczenia. Taka moc nie mogła zniszczyć swojego wroga, ponieważ była przeciwieństwem destrukcyjnej siły. Ale uwięzienie, to znajdowało się w jego mocy.

Uwięzienie, które zakończyło się, kiedy oddałam moc przy Studni.

- Widzisz więc to co nieuniknione - powiedział cicho Zniszczenie.

- Nie mogłeś sam tego stworzyć, prawda? - spytała Vin. - Świata, życia. Nie umiesz tworzyć, jedynie

niszczyć.

- On też nie mógł stworzyć - zauważył Zniszczenie. - Umiał jedynie zachowywać.

Zachowanie to nie tworzenie.

- I dlatego współdziałaliście.

- Obaj z obietnicą - stwierdził Zniszczenie. - Moją obietnicą była współpraca z nim w celu stworzenia was... życia, które myśli, życia, które kocha.

- A jego obietnica? - spytała Vin, czując, że zna już odpowiedź.

- Że będę mógł was w końcu zniszczyć - powiedział cicho Zniszczenie. - I przyszedłem po to, co mi obiecano. Tworzenie ma sens jedynie wtedy, jeśli można później patrzeć, jak nasz twór umiera. Jak opowieść która musi mieć swój punkt kulminacyjny, tak i to, co zrobiłem, nie będzie pełne do chwili, gdy nadejdzie koniec.

To niemożliwe, pomyślała Vin. Zachowanie. Jeśli naprawdę był jedną z mocy wszechświata, to nie mógł zostać tak po prostu zniszczony, prawda?

- Wiem, co myślisz - stwierdził Zniszczenie. - Nie możesz sięgnąć po moc Zachowania. On nie żyje. Nie mógł mnie zabić. Mógł mnie jedynie uwięzić.

Tak, tego domyśliłam się już wcześniej. Naprawdę nie umiesz czytać mi w myślach, prawda?

Zniszczenie mówił dalej.

- Muszę przyznać, że to było nikczemne posunięcie. Zachowanie próbował podważyć naszą umowę. Czy nie nazwałabyś tego złym czynem? Jest tak, jak mówiłem wcześniej, dobro i zło nie mają wiele wspólnego ze zniszczeniem i zachowaniem. Zły człowiek będzie chronił to, czego pragnie tak samo gorliwie, jak dobry.

Ale coś powstrzymuje Zniszczenie przed doprowadzeniem do końca świata już teraz, pomyślała. Mimo tego, co mówił o opowieściach i zakończeniach, nie jest siłą, która czekałaby na „właściwy” moment. Jest w tym coś więcej, czego nie rozumiem.

Co go powstrzymuje?

- Przybyłem do ciebie - powiedział Zniszczenie - ponieważ chciałem, żebyś przynajmniej popatrzyła. Wiedziała. Gdyż nadszedł czas.

Vin uniosła głowę.

- Na co? Na koniec?

Zniszczenie pokiwał głową.

- Ile jeszcze? - spytała.

- Dni - odparł. - Ale nie tygodnie.

Vin poczuła dreszcz, uświadamiając sobie coś. Przybył do niej, w końcu się ujawniając, ponieważ została uwięziona. Myślał, że ludzkość nie ma już żadnych szans.

Zakładał, że zwyciężył.

Co oznacza, że istnieje sposób, by go pokonać, pomyślała z determinacją. I mam w tym swój udział. Ale nie mogę tego zrobić tutaj, bo wtedy by do mnie nie przyszedł, żeby się chełpić.

A to znaczyło, że musi się uwolnić. Jak najszybciej.

Kiedy zaczyna się pojmować te kwestie, można zrozumieć, w jaki sposób Zniszczenie został uwięziony, nawet gdy Zachowanie straciło umysł, poświęcony na stworzenie więzienia.

Choć świadomość Zachowania została niemal zupełnie zniszczona, jego duch i ciało pozostały. I jako siła przeciwna do Zniszczenia, wciąż mogły powstrzymać Zniszczenie przed destrukcją.

A przynajmniej przed zbyt szybkim niszczeniem. Kiedy jego umysł został „uwolniony” z więzienia, zagłada przyśpieszyła.

58

- Jeśli oprzesz się tutaj całym ciężarem - powiedział Sazed, wskazując na drewnianą dźwignię - przeciwwagi opadną, opuszczając wszystkie cztery zastawki, i powstrzymają wpływanie wody do jaskini. Muszę cię jednak ostrzec, że woda pojawi się w mieście w sposób dość spektakularny. Sądzę, że napełnimy kanały w ciągu kilku godzin i przypuszczam, że północna część miasta może zostać zalana.

- Do niebezpiecznych poziomów? - spytał Spook.

- Nie sądzę - odparł Sazed. - Woda wypłynie gwałtownie przez przewody w budynku wymiany obok nas. Sprawdziłem tamtejsze urządzenia i wydają mi się w dobrym stanie.

Woda powinna wpłynąć bezpośrednio do kanałów, a później opuścić miasto. Tak czy inaczej, wolałbym nie być na tych ulicorowach, gdy nadejdzie woda. Prąd będzie dość szybki.

- Tym już się zająłem - stwierdził Spook. - Durn poinformuje ludzi, że mają się trzymać z dala od starych kanałów.

Sazed pokiwał głową. Spook był pod wrażeniem. Skomplikowana konstrukcja z drewna, przekładni i drutu wyglądała, jakby jej wybudowanie powinno zająć całe miesiące, a nie kilka tygodni. Duże sieci pełne kamieni obciążały cztery zastawki, które wisiały, gotowe do odcięcia rzeki.

- To niesamowite, Sazed - powiedział chłopak. - Kiedy pojawi się znak robiący takie wrażenie, jak

ponowne pojawienie się wody w kanałach, ludzie na pewno posłuchają nas, a nie Obywatela.

Breeze i Durn przez ostatnie tygodnie bardzo się napracowali, szepcząc wśród ludzi, by ci czekali na cud Ocalałego z Płomieni. Coś niezwykłego, coś, co udowodni - raz na zawsze -

kto był prawowitym panem miasta.

- Więcej nie mogłem zrobić - powiedział Sazed, skromnie pochylając głowę. -

Zamknięcia nie będą idealnie szczelne, oczywiście. Ale to nie powinno mieć większego znaczenia.

- Żołnierze? - odezwał się Spook, zwracając się do czterech ludzi Goradela. -

Rozumiecie, co macie zrobić?

- Tak, panie - odparł ich przywódca. - Czekamy na posłańca i opuszczamy te dźwignie.

- A jeśli nie przybędzie posłaniec - dodał Spook - robicie to o zmroku.

- I - powiedział Sazed, unosząc palec - nie zapomnijcie przekręcić mechanizmu blokującego w drugim pomieszczeniu, blokując wypływ wody z tej sali. Inaczej jezioro w końcu się opróżni. Lepiej, żebyśmy na wszelki wypadek zachowali ten rezerwuar.

- Tak, panie - powiedział żołnierz, kiwając głową.

Spook odwrócił się i spojrzał ponad jaskinią. Żołnierze kręcili się wszędzie, przygotowując się. Miał potrzebować większości z nich tej nocy. Wydawali się pełni zapału -

zbyt wiele czasu spędzili zamknięci w jaskini i w budynku powyżej. Stojąca z boku Beldre wpatrywała się z zainteresowaniem w konstrukcję Sazedą. Spook oderwał się od żołnierzy i podszedł do niej szybkim krokiem.

- Naprawdę masz zamiar to zrobić? - spytała. - Przywrócić wodę w kanałach?

Spook pokiwał głową.

- Czasami wyobrażałam sobie, jak to by było, mieć wodę z powrotem - powiedziała. -

Miasto nie wydawałoby się wtedy tak jałowe, stałoby się znów ważne, jak w początkach Ostatniego Imperium. Wszystkie te piękne kanały. Już nie paskudne pęknięcia w ziemi.

- To będzie wspaniały widok - powiedział z uśmiechem Spook.

Beldre potrząsnęła głową.

- Zadziwia mnie to, że jesteś jednocześnie dwoma tak różnymi ludźmi. Jak ktoś, kto chce zrobić coś tak pięknego dla mojego miasta, jednocześnie może planować takie zniszczenie?

- Beldre, ja nie chcę zniszczyć twojego miasta.

- Jedynie jego rząd.

- Zrobię to co konieczne.

- To się łatwo mówi - zauważyła Beldre. - Jednak, co człowiek, to inne zdanie na temat tego, co właściwie jest „konieczne”.

- Twój brat miał swoją szansę - stwierdził Spook.

Beldre spuściła wzrok. Wciąż nosiła przy sobie list, który otrzymali wcześniej tego dnia - odpowiedź Quelliona. Błaganie Beldre było szczere, ale Obywatel odpowiedział

obelgami, sugerując, że została zmuszona do napisania takich słów, gdyż była więźniem.

„Nie boję się uzurpatora” brzmiały jego słowa. „Chroni mnie sam Ocalały. Nie dostaniesz tego miasta, tyranie”.

Beldre podniosła wzrok.

- Nie rób tego - powiedziała. - Daj mu więcej czasu. Proszę.

Spook się zawahał.

- Nie ma już czasu - wyszeptał Kelsier. - Zrób, co konieczne.

- Przykro mi - powiedział Spook, odwracając się do niej plecami. - Zostań z żołnierzami... zostawiam czterech ludzi, by cię strzegli. Nie, by powstrzymali cię przed ucieczką, choć mogą to zrobić. Chcę, żebyś pozostała w tej jaskini. Nie mogę ci obiecać, że na ulicach będziesz bezpieczna.

Słyszał, jak cicho pociąga nosem. Zostawił ją tak i podszedł do grupy żołnierzy. Jeden z nich przyniósł Spookowi jego laski pojedynkowe i osmalony płaszcz. Goradel stał na przodzie i wydawał się dumny.

- Jesteśmy gotowi, milordzie.

Breeze podszedł do niego, kręcąc głową i stukając laską w ziemię. Westchnął.

- I znów się zaczyna...

* * *

Tego wieczoru Quellion miał wygłosić przemówienie, co zapowiadano od dłuższego czasu. Niedawno skończył z egzekucjami, jakby w końcu uświadomił sobie, że te śmierci prowadzą do destabilizacji jego władzy, wahadło najwyraźniej przechylało się teraz w stronę dobrotliwości, gdyż Obywatel organizował wiece i podkreślał, jakie wspaniałe rzeczy zrobił

dla miasta.

Spook szedł samotnie, trochę przed Breeze'em, Allriane i Sazedem, którzy podążali za nim, rozmawiając. Razem z nimi szła również część żołnierzy, przebrana w ubiory typowe dla mieszkańców Urteau. Spook rozdzielił ich siły, wysyłając ich innymi drogami. Jeszcze nie zapadł zmrok - dla chłopaka słaby słoneczny blask był jaskrawy, zmuszając go do założenia opaski i okularów. Quellion lubił wygłaszać przemówienia wieczorami, by w ich trakcie pojawiały się mgły. W ten sposób sugerował swoje związki z Ocalałym.

Z bocznego ulicorowu wyłoniła się postać. Durn szedł pochylony, płaszcz zasłaniał jego sylwetkę. Spook szanował mężczyznę, który opuszczał bezpieczne Brony i samodzielnie wykonywał różne zadania. Być może dlatego właśnie tamten skończył jako przywódca miejskiego półświatka.

- Ludzie się zbierają, jak się spodziewaliśmy - stwierdził Durn, kaszląc cicho. -

Niektórzy z twoich żołnierzy już są na miejscu.

Spook pokiwał głową.

- W mieście... panuje niepokój - dodał Durn. - To mnie martwi. Sektory, nad którymi nie panuję, już zaczęły plądrować zakazane posiadłości szlachetnie urodzonych. Moi ludzie są zajęci opróżnianiem ulicorowów.

- Nic się nie stanie - powiedział Spook. - Większość mieszkańców zbierze się na przemówieniu.

Durn milczał przez chwilę.

- Wedle pogłosek, Quellion wykorzysta wiec, by was potępić, a w końcu wyda rozkaz ataku na budynek Zakonu.

- W takim razie dobrze, że nas tam nie będzie - stwierdził Spook. - Nie powinien wycofywać swoich żołnierzy, nawet jeśli rzeczywiście potrzebował ich do utrzymania porządku w mieście.

Durn skinął głową.

- Co takiego? - spytał Spook.

- Mam tylko nadzieję, że sobie z tym poradzisz, chłopcze. Po tej nocy miasto będzie należeć do ciebie. Zatrósz się o nie.

- Tak też zrobię - powiedział Spook.

- Moi ludzie wywołają dla ciebie zamieszanie na wiecu. Żegnaj.

Durn skręcił w lewo, znikając w kolejnej bocznej uliczce.

Przed nimi już zbierały się tłumy. Spook podniósł kaptur płaszcza, ukrywając oczy, gdy przemykał wśród tłumów. Szybko pozostawił za sobą Sazedę i pozostałych, wspinając się po rampie w stronę starego rynku - miejsca, które Quellion wybrał na swoje przemówienie.

Jego ludzie wybudowali drewnianą scenę, na której Obywatel mógł stanąć i zwrócić się do tłumów. Przemowa już trwała. Spook zatrzymał się w pewnej odległości od patrolu straży.

Wielu żołnierzy Quelliona otaczało scenę i wpatrywało się w tłum.

Mijały minuty, a Spook spędził je, nasłuchując brzmienia głosu Quelliona, lecz jednocześnie nie zwracając uwagi na jego słowa. Wokół niego padał popiół, zasypując zebranych. W powietrzu zaczęły się kłębić mgły.

Słuchał, nasłuchiwał uszami, jakich nie miał żaden inny człowiek. Wykorzystywał

dziwną allomantyczną umiejętność filtrowania i ignorowania - słysząc ponad rozmowami, szeptami, szmerami i kaszlami, tak jak widział przez zasłaniające wszystko mgły. Słuchał

miasta. Odległe krzyki.

Zaczynało się.

- Za wcześnie! - wyszeptał ktoś. U boku Spooka pojawił się żebrak. - Durn przysłała wiadomość. Rozruchy na ulicach, które nie on zaczął! Durn nie może nad nimi zapanować.

Milordzie, miasto zaczyna płonąć!

- To była noc całkiem podobna do tej - rozległ się inny głos. Głos Kelsiera. -

Wspaniała noc. Kiedy zdobyłem miasto Luthadel i uczyniłem je swoim.

Na tyłach tłumów zaczęło się zamieszanie - to ludzie Durna wykonywali swoje zadanie. Niektórzy ze strażników Quelliona ruszyli się, by stłumić pobliski zamęt. Obywatel nie przestawał wykrzykiwać oskarżeń. Spook słyszał swoje imię w słowach Quelliona, ale reszta była tylko hałasem.

Spook odchylił głowę do tyłu i spojrzał w niebo. W jego stronę spadał popiół, jakby unosił się w niebo. Jakby był Zrodzony z Mgły.

Jego kaptur opadł. Ludzie wokół niego zaczęli szeptać, zaskoczeni.

W pewnej odległości rozległ się dźwięk dzwonu. Żołnierze Goradela ruszyli na scenę.

Wszędzie wokół Spook czuł rozrastający się blask. Ognie buntu, płonące w mieście. Jak tamtej nocy, kiedy obalił Ostatniego Imperatora. Pochodnie rewolucji. Później lud oddał

władzę Elendowi.

Tym razem wyniosą Spooka.

Już nie jestem słaby, pomyślał. Już nigdy nie będę słaby.

Reszta żołnierzy Quelliona opuściła scenę, ruszając do walki z żołnierzami Goradela.

Tłum cofnął się przed walką, ale nikt nie uciekał. Wiedzieli, że mają obserwować wydarzenia tej nocy. Wielu czekało na znaki, obiecane przez Spooka i Durna - znaki ujawnione zaledwie przed kilkoma godzinami, by zmniejszyć ryzyko, że dowiedzą się o nich szpiedzy Quelliona.

Cud w kanałach i dowód, że ich przywódca jest Allomantą.

Gdyby Obywatel - albo nawet jeden z jego strażników na scenie - wystrzelił monety albo wykorzystał Allomancję, by wyskoczyć w powietrze, ludzie by to zobaczyli.

Wiedzieliby, że zostali oszukani. I to byłby koniec. Tłum cofał się przed przeklinającymi żołnierzami, a gdy się wycofali, Spook został sam. Quellion w końcu umilkł. Kilku z jego żołnierzy podbiegło, by zdjąć go ze sceny.

Quellion zobaczył Spooka. I dopiero wtedy na jego twarzy pojawił się strach. Chłopak nie mógł skorzystać z Odpychania Stali, ale rozjarzona cyna z ołowiem dodawała sił jego nogom. Wzniósł się w górę, bez trudu minął krawędź sceny i wylądował przykucnięty. Wyjął

laskę pojedynkową i rzucił się na Quelliona.

Za jego plecami ludzie zaczęli krzyczeć. Spook słyszał swoje imię i przydomek, Ocalały z Płomieni. Ocalały. Nie tylko zabije Quelliona, ale też go zniszczy. Podważy jego autorytet, jak sugerował Breeze. W tej właśnie chwili Uspokajacz i Allrienne manipulowali tłumem, powstrzymując ich przed paniczną ucieczką. Zatrzymując ich na miejscu.

By mogli zobaczyć występ Spooka.

Strażnicy u boku Quelliona za późno zobaczyli chłopaka. Bez trudu powalił

pierwszego z nich, miażdżąc jego czaszkę pod hełmem. Obywatel wezwał więcej pomocy.

Spook zamachnął się na kolejnego mężczyznę, ale jego cel nienaturalnie szybko uskoczył. Chłopak w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem, który jedynie musnął jego policzek. Mężczyzna był Allomantą - spalającym cynę z ołowiem. Potężny zbir, który nie nosił miecza, lecz pałkę nabijaną obsydianem.

Cyna z ołowiem nie jest wystarczająco spektakularna, pomyślał Spook. Ludzie nie zauważą, że ktoś porusza się zbyt szybko albo znosi zbyt wiele. Muszę zmusić Quelliona, by wystrzelił monety.

Zbir wycofał się, najwyraźniej zauważając niezwykłą szybkość Spooka. Nadal unosił

broń, ale nie atakował. Musiał go jedynie opóźnić, pozwalając towarzyszom zabrać Quelliona.

Walka ze Zbirem nie mogła być łatwa - był lepiej wyszkolony od Spooka i silniejszy.

- Twoja rodzina jest wolna - skłamał cicho Spook. - Uratowaliśmy ich wcześniej.

Pomóż nam pojmać Quelliona, on już nie ma nad tobą władzy.

Zbir się zawahał, opuszczając broń.

- Zabij go! - warknął Kelsier.

Nie taki był plan Spooka, ale zareagował na tę wskazówkę. Jednym skokiem zbliżył

się do Zbira. Tamten odwrócił się zaskoczony, a gdy to zrobił, Spook uderzył go mocno w czaszkę. Jego laska pojedynkowa się złamała. Zbir zatoczył się na ziemię, a Spook chwycił

jego broń, obsydianową pałkę.

Quellion znajdował się na krawędzi sceny. Spook podskoczył, szybując nad drewnianym podestem. On mógł używać Allomancji - w końcu nigdy nie twierdził, że jest czymś złym. Jedynie hipokryta Quellion musiał się bać skorzystać ze swoich umiejętności.

Ładując, Spook powalił ostatniego strażnika - poszarpane odłamki obsydianu rozerwały jego ciało. Żołnierz upadł, a Quellion obrócił się na pięcie.

- Nie boję się ciebie! - powiedział Obywatel drżącym głosem. - Jestem chroniony!

- Zabij go! - rozkazał Kelsier, ukazując się nagle na scenie.

Zazwyczaj Ocalały jedynie mówił w jego umyśle - nie pokazał się od tamtego dnia w płonącym budynku. To znaczyło, że dzieje się coś ważnego.

Spook chwycił Obywatela za koszulę i szarpnął go do przodu. Uniósł pałkę, z wprawionych w nią kawałków obsydianu kapała krew.

- Nie!

Spook zamarł, słysząc ten głos, i spojrzał w bok. Ona tam była, przepychała się przez tłum i wyszła na otwartą przestrzeń przed sceną.

- Beldre?! - spytał Spook. - Jak wydostałaś się z jaskini?

Ale oczywiście ona nie mogła go usłyszeć. Jedynie nadnaturalny słuch Spooka pozwolił mu usłyszeć jej głos pośród hałasów bitwy i krzyków przerażenia. Napotkał jej spojrzenie i bardziej zobaczył niż usłyszał jej słowa.

„Proszę. Obiecałeś”.

- Zabij go!

Quellion wybrał tę chwilę na próbę wyrwania się. Spook odwrócił się i znów go szarpnął - tym razem mocniej, niemal rozrywając koszulę przywódcy, gdy rzucił go na drewniane podwyższenie. Obywatel krzyknął z bólu, a Spook uniósł broń.

Coś zamigotało w blasku ognia. Spook ledwie poczuł uderzenie, choć nim wstrząsnęło. Zatoczył się i spojrzał w dół. Zobaczył krew na boku. Nie strzała, mimo że tak się poruszała. Jego ręka opadła, i choć nie czuł bólu, wydawało się, że jego mięśnie nie działają prawidłowo.

Coś mnie uderzyło... Moneta.

Odwrócił się. Beldre stała przed tłumem i płakała, trzymając rękę uniesioną w jego stronę.

Ona była tam tego dnia, kiedy zostałem pojmany, pomyślał tępo Spook, u boku brata.

Zawsze trzyma ją blisko siebie. Aby ją chronić, jak myśleliśmy.

A może odwrotnie?

Spook się wyprostował, Quellion jęczał u jego stóp. Miejsce, w które trafiła moneta, wciąż krwawiło, ale Spook to zignorował, wpatrując się w kobietę.

- Zawsze byłaś Allomantką - wyszeptał. - Nie twój brat.

I wtedy tłum zaczął krzyżeć, pewnie zachęcany przez Breeze'a.

- Siostra Obywatela jest Allomantką!

- Hipokryta!

- Kłamca!

- Zabił mojego wuja, ale pozostawił siostrę przy życiu!

Beldre zaczęła krzyżeć, kiedy ludzie, starannie przygotowani i umieszczeni na odpowiednich pozycjach, zobaczyli obiecany przez Spooka dowód. Nie był to zaplanowany przez niego cel, ale maszyna, którą wprowadził w ruch, nie dało się już zatrzymać. Ludzie zebrali się wokół Beldre, krzyżąc ze złością, popychając ją między sobą.

Spook ruszył w jej stronę, unosząc ranną rękę. Wtedy padł na niego cień.

- Od początku planowała cię zdradzić, Spook - powiedział Kelsier.

Spook odwrócił się i spojrzał na Ocalałego. Tamten stał wyprostowany i dumny, jak w dniu, gdy stawiał czoło Ostatniemu Imperatorowi.

- Czekaleś na skrytobójcę - mówił dalej Kelsier. - Nie wiedziałeś, że Quellion już go wysłał. Jego siostra. Nie uznałeś za dziwne tego, że pozwolił jej odejść od siebie i wejść do bazy wroga? Została wysłana, by was zabić. Ciebie, Sazedę i Breeze'a. Cały problem polega na tym, że została wychowana jako rozpieszczona bogaczka. Nie jest przyzwyczajona do zabijania. Tak naprawdę nigdy nie była dla ciebie niebezpieczna.

Tłum zbierał się, a Spook odwrócił się na pięcie, zatroskany o Beldre. Uspokoił się jednak, gdy zorientował się, że ludzie po prostu popychają ją w stronę sceny.

- Ocalały! - skandowali ludzie. - Ocalały z Płomieni!

- Król!

Rzucili Beldre przed nim, wpychając ją na platformę. Jej szkarłatna suknia była poszarpana, a ona sama posiniaczona i rozczochrana. Leżący z boku Quellion jęknął. Spook najwyraźniej nieświadomie złamał mu rękę.

Spook podszedł, by pomóc Beldre. Krwawiła z kilku drobnych ran, ale żyła. I płakała.

- Była jego strażniczką - powiedział Kelsier, podchodząc do Beldre. - Dlatego zawsze mu towarzyszyła. Quellion nie jest Allomantą. Nigdy nim nie był.

Spook ukląkł obok dziewczyny. Wzdrygnął się na widok jej siniaków.

- Teraz musisz ją zabić - powiedział Kelsier.

Chłopak podniósł wzrok. Z rany z boku jego twarzy, zadanej przez Zbira, sączyła się krew. Krew kapłała z jego brody.

- Co takiego?!

- Chcesz mocy, Spook? - zapytał Kelsier, podchodząc bliżej. - Chcesz być lepszym Allomantą? Cóż, moc musi się skądś brać. Nigdy nie jest za darmo. Ta kobieta jest Monetostrzelnym. Zabijesz ją, a zyskasz jej moc. Oddam ci ją.

Spook spojrzał z góry na zapłakaną kobietę. Czuł się nierealnie, jakby nie do końca był

w tym miejscu. Z trudem oddychał, każdy jego oddech był sapnięciem, jego ciało drżało mimo cyny z ołowiem. Ludzie skandowali jego imię. Quellion coś mamrotał. Beldre nadal płakała.

Spook wyciągnął zakrwawioną rękę i zerwał opaskę. Jego okulary spadły. Podniósł się z trudem i spojrzał nad miastem.

I zobaczył ogień.

Odgłosy zamieszek odbijały się echem w ulicach. Ognie płonęły w kilku miejscach, rozjarzając mgły i otaczając miasto piekielnym blaskiem. To nie były ognie buntu, lecz ognie zniszczenia.

- To niewłaściwe... - wyszeptał Spook.

- Zdobędziesz miasto, Spook - powiedział Kelsier. - Będziesz miał to, czego zawsze pragnąłeś! Będziesz jak Elend i jak Vin! Lepszy od nich! Będziesz miał tytuły Elenda i moc Vin! Będziesz jak bóg!

Spook odwrócił się od płonącego miasta, gdy coś zwróciło jego uwagę. Quellion wyciągał zdrową rękę, w stronę...

W stronę Kelsiera.

- Proszę - wyszeptał Quellion. Wydawało się, że widzi Ocalałego, choć poza nimi nikt inny nie był do tego zdolny. - Mój panie Kelsierze, dlaczego mnie opuściłeś?

- Dałem ci cynę z ołowiem, Spook - powiedział z gniewem Kelsier, nie patrząc na Quelliona. - Czy mi się teraz sprzeciwisz? Musisz wyjąć jeden ze stalowych gwoździ, które mocują tę scenę. Później musisz wziąć dziewczynę i przycisnąć go do jego piersi. Zabij ją gwoździem, a później wbij go w swoje ciało. To jedyny sposób!

Zabij ją gwoździem... - pomyślał Spook, czując otępienie. Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy prawie umarłem. Walczyłem na rynku ze Zbirem, wykorzystałem go jako tarczę.

Ale... inny żołnierz i tak uderzył, przebijając swojego przyjaciela i mnie.

Spook cofnął się od Beldre, klęczącej obok Quelliona. Mężczyzna krzyknął, gdy chłopak przycisnął go do desek.

- Dobrze - powiedział Kelsier. - Zabij go jako pierwszego.

Ale Spook nie słuchał. Rozerwał koszulę Quelliona, przyglądając się barkom i piersi.

Nie widział tam nic dziwnego. Jednak z ramienia Obywatela wystawał kawałek metalu.

Wyglądał na brąz. Spook drżącą ręką wyrwał metal. Quellion wrzasnął.

Kelsier też.

Spook odwrócił się, trzymając w dłoni okrwawiony kolec z brązu. Kelsier był

wściekły, jego ręce wyglądały jak szpony, gdy ruszył do przodu.

- Czym ty jesteś?! - spytał Spook.

Istota krzyczała, ale Spook ignorował ją, wpatrując się we własną pierś. Rozerwał

koszulę, ukazując zagojoną ranę ramienia. Wciąż błyszczał tam kawałek metalu, odłamek miecza. Miecz, który przebił Allomantę - zabijając go - i wbił się w ciało Spooka. Kelsier kazał mu zostawić

kawałek metalu. Jako symbol tego, co przeszedł Spook.

Końcówka odłamka wystawała przez skórę. Jakim cudem mógł o nim zapomnieć?

Jakim sposobem ignorował tak duży kawałek metalu w ciele? Sięgnął do niego.

- Nie! - powiedział Kelsier. - Spook, chcesz wrócić do normalności? Znow chcesz być bezużyteczny? Stracisz cynę z ołowiem i znow będziesz tak słaby jak wtedy, gdy pozwoliłeś, by twój wuj zginął!

Spook się zawahał.

Nie, pomyślał. Coś jest nie tak. Miałem zdemaskować Quelliona, zmusić go do użycia Allomancji, ale po prostu zaatakowałem. Chciałem zabijać. Zapomniałem o planach i przygotowaniach. Sprowadziłem zniszczenie na miasto.

To niewłaściwe!

Wyciągnął z buta szklany sztylet. Kelsier krzychał straszliwie w jego uszach, ale Spook i tak uniósł rękę i rozciął ciało na piersi. Sięgnął i z siłą cyny z ołowiem chwycił

odłamek metalu zatopiony w ciele.

Później wyrwał go i odrzucił przez scenę, krzycząc z bólu. Kelsier natychmiast zniknął. Podobnie jak zdolność spalania cyny z ołowiem.

Wszystko natychmiast go dopadło - zmęczenie po wyteżonej pracy w Urteau. Rany, które ignorował. Nagły wybuch światła, dźwięku, zapachu i odczuć, które cyna z ołowiem pomagały mu ignorować. Spadły na niego niczym cios, powalając go. Opadł na podest.

Jęknął, już nie myślał. Mógł pozwolić, by opanowała go ciemność...

Jej miasto płonie...

Ciemność...

Tysiące zginą w płomieniach.

Mgły łaskotały go w policzki. W kakofonii Spook przygasił cynę, łagodząc odczucia, prowadząc do otępienia. Tak było lepiej.

Chcesz być jak Kelsier? Naprawdę jak Kelsier? To walcz, kiedy zostałeś pokonany!

- Lordzie Spooku! - Głos był słaby.

Przetrwaj!

Z krzykiem bólu Spook rozjarzył cynę. Jak zawsze, metal sprowadził na niego falę doznań - tysiące, wstrząsające nim. Ból. Dotyk. Słuch. Dźwięki, zapachy, światło.

I przytomność umysłu.

Spook zmusił się, by usiąść. Rozkaszał się. Po jego ramieniu wciąż płynęła krew.

Podniósł wzrok. W stronę sceny biegł Sazed.

- Lordzie Spooku! - powiedział Sazed, dysząc ciężko. - Lord Breeze próbuje stłumić zamieszki, ale sądzę, że za daleko popchnęliśmy to miasto! Ludzie je zniszczą w furii!

- Ogień - wychrypiał Spook. - Musimy ugasić pożary. Miasto jest za suche, jest w nim zbyt wiele drewna. Spłonie, a jego mieszkańcy razem z nim.

Sazed wydawał się ponury.

- Nie ma szans. Musimy się wydostać! Ten bunt nas zniszczy.

Spook spojrział w bok. Beldre klęczała obok brata. Opatrzyła jego ranę i zrobiła prymitywny temblak. Quellion spoglądał na Spooka w niejakim oszołomieniu. Jakby właśnie się obudził ze snu.

Chłopak podniósł się z trudem.

- Nie porzucimy miasta, Sazedzie. - Ale...

- Nie! - powiedział Spook. - Uciekłem z Luthadel i zostawiłem Clubsa na śmierć. Nie ucieknę znów! Możemy ugasić pożary. Potrzebujemy tylko wody.

Sazed się zawahał.

- Woda - powtórzyła Beldre, wstając.

- Kanały wkrótce się napelnią - powiedział Spook. - Możemy zorganizować brygady strażackie, wykorzystać powódź, by ugasić płomienie.

Beldre spuściła wzrok.

- Nie będzie powodzi, Spook. Strażnicy, których zostawiłeś... zaatakowałam ich monetami.

Chłopak poczuł dreszcz.

- Nie żyją?

Pokręciła głową. Włosy miała w nieładzie, twarz podrapaną.

- Nie wiem - odparła cicho. - Nie patrzyłam.

- Woda jeszcze się nie pojawiła - powiedział Sazed. - Ona... powinna już zostać uwolniona.

- To ją sprowadzimy! - warknął Spook. Obrócił się w stronę Quelliona i zatoczył, czując nagłe zawroty głowy. - Ty! - powiedział, wskazując na Obywatela. - Chciałeś być królem tego miasta? To poprowadź jego mieszkańców. Zapanuj nad nimi i przygotuj ich do gaszenia pożarów.

- Nie mogę - powiedział Quellion. - Zabiją mnie za to, co zrobiłem.

Spook się zachwiał. Wsparł się o belkę, ukrył głowę w dłoniach. Beldre zrobiła krok w jego stronę.

Spook podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Quelliona. Pożary były tak jasne, że rozjarzona cyna go oślepiła. Nie ważył się jej zgasić - jedynie hałas, gorąco i ból pozwalały mu zachować przytomność.

- Pójdiesz do nich - powiedział Spook. - Nie obchodzi mnie ani trochę to, czy cię rozszarpiają na strzępy, Quellionie. Spróbujesz uratować to miasto. Jeśli tego nie zrobisz, sam cię zabiję. Rozumiesz?!

Obywatel znieruchomiał, po czym pokiwał głową.

- Sazedzie - powiedział Spook - zabierz go do Breeze'a i Allrienne. Idę do jaskini.

Sprowadzę wodę do kanałów, tak czy inaczej. Niech Breeze i pozostali utworzą brygady, by zacząć gaszenie pożarów, gdy tylko pojawi się woda.

Sazed pokiwał głową.

- To dobry plan. Ale Obywatela poprowadzi Goradel. Ja idę z tobą.

Spook pokiwał głową. Gdy Sazed ruszył w stronę kapitana - który najwyraźniej utworzył krąg obrony wokół placu - Spook zszedł ze sceny i zmusił się do ruszenia w stronę jaskini.

Wkrótce zauważył, że ktoś go dogania. Po chwili ta osoba go minęła i pobiegła dalej.

Wiedział, że to dobrze, jeśli Sazed postanowił ruszyć przodem - w końcu to Terrisanin stworzył mechanizm, który miał zalać miasto. To on opuści dźwignię. Spook nie był

potrzebny.

Idź dalej.

I tak też robił, maszerował, jakby każdy krok był zadośćuczynieniem za to, co zrobił z tym miastem. Po krótkiej chwili zorientował się, że ktoś jest u jego boku i opatruje jego ramię.

Zamrugął.

- Beldre?

- Zdradziłam cię - powiedziała, spuszcżając wzrok. - Ale nie miałam wyboru. Nie mogłam pozwolić, byś go zabił. Ja...

- Postąpiłaś właściwie - odparł Spook. - Coś... coś się wtrąciło, Beldre. Opanowało twojego brata. Prawie opanowało mnie. Nie wiem. Musimy iść dalej. Kryjówka jest blisko.

Trzeba tylko wejść po tej pochylni.

Wspierała go w marszu. Spook wyczuł dym, zanim dotarł na miejsce. Zobaczył

światło i wyczuł gorąco. Wspięli się na szczyt, niemal się czołgając, gdyż ona była równie poobijana, jak on. Jednakże Spook wiedział już, co znajdzie.

Budynek Zakonu, jak tak wiele w mieście, płonął. Sazed stał przed nim, unosząc rękę do oczu. Dla przeczulonych zmysłów Spooka blask płomieni był tak ogromny, że musiał

odwrócić wzrok. Gorąco sprawiało, że czuł się tak, jakby stał kilka cali od słońca.

Sazed spróbował zbliżyć się do budynku, ale musiał się cofnąć. Odwrócił się do Spooka, osłaniając twarz.

- Jest za gorąco! - powiedział. - Musimy znaleźć wodę albo może piasek. Zgasić ogień, zanim tam zejdziemy.

- Za późno... - wyszeptał Spook. - To zajmie zbyt dużo czasu.

Beldre odwróciła się i spojrzała na miasto. W oczach Spooka dym wznosił się w jasne niebo, jakby na spotkanie spadającego popiołu.

Zacisnął zęby i zatoczył się w stronę pożaru.

- Spook! - krzyknęła.

Ale nie musiała się martwić. Płomienie były zbyt gorące. Ból był tak wielki, że musiał

się cofnąć, nim przebył połowę odległości. Zatoczył się do tyłu, dołączając do Beldre i Sazed, dysząc cicho i mrugając. Wspomagane zmysły jeszcze bardziej mu utrudniały zbliżenie się do płomieni.

- Nic tu nie zrobimy - rzekł Sazed. - Musimy zebrać ekipy i wracać.

- Zawiodłem - wyszeptał Spook.

- Nie bardziej niż pozostali - sprzeciwił się Terrisanin. - To moja wina. Mnie cesarz powierzył dowodzenie.

- Mieliśmy zapewnić temu miastu bezpieczeństwo - powiedział Spook. - Nie sprowadzić na nie

zniszczenie. Powinienem być zgasić te pożary. Ale za bardzo boli.

Sazed potrząsnął głową.

- Ach, lordzie Spooku. Nie jesteś bogiem, który może władać ogniem wedle swoich zachcianek. Jesteś człowiekiem, jak my wszyscy. Wszyscy jesteśmy tylko... ludźmi.

Spook pozwolił, by go odciągnęli. Sazed oczywiście miał rację. Był tylko człowiekiem. Tylko Spookiem. Kelsier starannie wybrał swoją ekipę. Zostawił dla nich wiadomość, zanim umarł. Wymienił w niej pozostałych - Vin, Breeze'a, Docksona, Clubsa i Hama. Mówił o nich, dlaczego ich wybrał.

Ale nie Spooka. On jako jedyny nie pasował.

Nadałem ci imię, Spook. Byłeś moim przyjacielem.

Czy to nie wystarczy?

Spook zamarł, zmuszając pozostałych do zatrzymania się. Sazed i Beldre spojrzeli na niego. Chłopak wpatrzył się w noc. Noc, która była zdecydowanie zbyt jasna. Ognie płonęły.

Dym był gryzący.

- Nie - wyszeptał Spook, czując pełną jasność umysłu, po raz pierwszy od chwili, gdy tego wieczoru zaczęła się walka. Uwolnił się z uchwytu Sazed'a i pobiegł z powrotem w stronę płonącego budynku.

- Spook! - zawołały jednocześnie dwa głosy.

Spook zbliżył się do płomieni. Oddychał z trudem, jego skóra paliła. Ogień był jasny -

wszechogarniający. Rzucił się prosto w jego stronę. A w chwili, gdy ból stał się nie do zniesienia, zgasił cynę.

I stracił czucie.

Stało się tak jak wcześniej, gdy został uwięziony w budynku bez metali. Rozjarzanie cyny przez tak długi czas rozwinęło jego zmysły, ale teraz, gdy przestał ją spalać, te same zmysły otępiały. Całe jego ciało stało się odrętwiałe, pozbawione wszelkich odczuć.

Przebił się przez wejście do budynku, otaczały go płomienie.

Jego ciało płonęło. Ale nie czuł ognia, a ból nie mógł zmusić go do wycofania. Ogień był tak jasny, że widział mimo osłabienia wzroku. Pędził do przodu, ignorując płomienie, gorąco i dym.

Ocalały z Płomieni.

Wiedział, że ogień go zabija. Mimo to, zmuszał się do dalszego biegu, poruszania się na długo po

tym, jak ból powinien pozbawić go przytomności. Dotarł do sali na tyłach i ześlizgnął się po połamanej drabinie.

W jaskini panowała ciemność. Zataczał się przez nią, przepychając się obok półek i mebli, idąc wzdłuż ściany. Poruszał się z desperacją, która ostrzegała go, że kończy mu się czas. Jego ciało przestawało funkcjonować - zmuszał je do zbyt wielkiego wysiłku, a teraz nie miał już cyny z ołowiem.

Cieszył się z ciemności. Kiedy w końcu wpadł na machinę Sazed, wiedział, że przeraziłby go widok tego, co płomienie zrobiły z jego rękami.

Jęcząc cicho, wymacał dźwignię - a raczej miał nadzieję, że to dźwignia, gdyż jego ręce były pozbawione czucia. Jego palce już nie działały. Dlatego po prostu oparł się o dźwignię, poruszając tryby w wymagany sposób.

I zsunął się na ziemię, czując tylko zimno i ciemność.

CZEŚĆ PIĄTA

DEPOZYT ZAUFANIA

Naprawdę nie wiem, co dzieje się w umysłach kolosów - jakie wspomnienia zachowały, jakie ludzkie uczucia prawdziwie znały. Wiem, że odkrycie tej jednej istoty tej, która nazywała się Człowiekiem, było łutem szczęścia. Bez jego walki o to, by znów stać się człowiekiem, być może nigdy byśmy nie pojęli związków między kolosami, Hemalurgią i Inkwizytorami.

Oczywiście, miał też inną rolę do odegrania. Niewielką, oczywiście, ale wciąż ważną, biorąc pod uwagę okoliczności.

59

Czasy świetności Urteau z pewnością minęły.

Vin wykonała tu kawał dobrej roboty, pomyślał TenSoon, maszerując przez miasto, wstrząśnięty zniszczeniami. Przed dwoma laty - zanim został wysłany, by szpiegować Vin -

był kandra Straffa Venture i często odwiedzał Urteau. Choć nigdy nie mogło dorównać Luthadel ani wspaniałością posiadłości szlachetnie urodzonych, ani rozległością dzielnic ubóstwa, było pięknym miastem, godną siedzibą jednego z Wielkich Rodów.

Teraz dobrze ponad jedną trzecią miasta pokrywały spalone ruiny. Budynek, które nie spłonęły, były albo porzucone, albo zatłoczone - dziwna kombinacja, zdaniem TenSoona.

Najwyraźniej unikano domów szlachetnie urodzonych, a budynki skaa były zapchane.

Większe wrażenie robiły jednak kanały. Jakimś sposobem zostały znów napełnione.

TenSoon usiadł na tylnych łapach i przyglądał się, jak prowizoryczne łódki płyną kanałem, rozpychając na bok warstwę popiołu, która pokrywała powierzchnię wody. W niektórych miejscach odpadki i szczątki blokowały drogę, lecz w większości miejsc kanały były spławne.

Wstał, potrząsnął psim łbem i ruszył dalej. Torbę z kośćmi Kelsiera ukrył za miastem, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, gdyby niósł ją na grzbiecie.

Jaki był cel spalenia miasta, a później ponownego napełnienia jego kanałów? Pewnie musiał zaczekać, zanim pozna odpowiedź. Nie widział żadnej armii pod murami - jeśli Vin tu była, już musiała udać się dalej. Jego celem było teraz dowiedzenie się, kto rządzi resztkami miasta, a następnie ruszenie dalej, na poszukiwanie Bohatera Wieków.

Idąc, słyszał rozmowy ludzi - dyskutujących o tym, jak udało im się przeżyć pożary, które zniszczyły dużą część miasta. Wydawali się wręcz radośni. Owszem, słyszał też rozpacz w głosach, ale i nieproporcjonalnie dużo zadowolenia. To nie byli mieszkańcy podbitego miasta.

Czują, że pokonali ogień, pomyślał TenSoon, idąc bardziej zatłoczoną ulicą. Nie uważają utraty jednej trzeciej budynków za katastrofę - ale uznają uratowanie dwóch trzecich za cud.

Podążył za ludźmi w stronę centrum miasta, gdzie w końcu odnalazł poszukiwanych żołnierzy. Z pewnością służyli Elendowi, mieli na mundurach herb z włócznią i zwojem.

Strzegli jednak mało prawdopodobnego miejsca - budynku Zakonu.

TenSoon usiadł na tylnych łapach i przechylił głowę. Budynek był wyraźnie centrum dowodzenia. Ludzie kłębili się wokół niego pod czujnymi spojrzeniami żołnierzy, wchodzili i wychodzili. Jeśli chciał poznać odpowiedzi, musiał wejść do środka. Przez chwilę zastanowił

się, czy nie wrócić po kości Kelsiera. Jednak odrzucił ten pomysł. Nie był pewien, czy ma ochotę ponosić konsekwencje ponownego pojawienia się Ocalałego. Istniał jeszcze inny sposób dostania się do środka - być może równie zaskakujący, ale z pewnością o mniejszych implikacjach teologicznych.

Cicho podszedł do budynku i wspiał się po schodach, ściągając kilka zaskoczonych spojrzeń. Gdy zbliżył się do drzwi, jeden ze strażników krzyknął na niego i machnął w jego stronę drzewcem włóczni.

- Hej, ty! - powiedział mężczyzna. - To nie miejsce dla psów. Do kogo on należy?

TenSoon usiadł na tylnych łapach.

- Nie należę do nikogo - powiedział.

Strażnik odskoczył, wstrząśnięty, a TenSoon poczuł niejakie zadowolenie. Zaraz jednak się pohamował. Świat się kończył, a on zajmował się zaskakiwaniem przypadkowych żołnierzy. Ale jednak była to kolejna zaleta psiego ciała, nad którą nigdy się nie zastanawiał...

- Co... - powiedział żołnierz, rozglądając się, by sprawdzić, czy ktoś nie robi sobie z niego żartów.

- Powiedziałem - powtórzył TenSoon - że nie należę do nikogo. Jestem panem samego siebie.

To była dziwna koncepcja - a jej wagi strażnik z pewnością nie mógł pojąć. TenSoon, kandra, znajdował się poza Ojczyzną bez Kontraktu. O ile wiedział, od siedmiuset lat nikt z jego ludu nie zrobił czegoś takiego. Czuł, że to dziwnie... satysfakcjonujące.

Wpatrywało się w niego kilku ludzi. Inni strażnicy podeszli bliżej, oczekując wyjaśnień od towarzysza.

TenSoon zaryzykował.

- Przychodzę od cesarza Venture - powiedział. - Przynoszę wiadomość dla waszych przywódców.

Ku zadowoleniu TenSoona kilku pozostałych strażników również podskoczyło. Jednak pierwszy z nich - teraz już stary wyjadacz, jeśli chodziło o psy - z wahaniem uniósł palec i wskazał na budynek.

- Tam - powiedział.

- Dziękuję - odparł TenSoon, wstał i przeszedł przez dziwnie milczący i tłum, kierując się w stronę biur Zakonu.

Za plecami słyszał komentarze o „sztuczkach” i „doskonałym wyszkoleniu”, zauważył

też, że kilku strażników mija go biegiem. Prześlizgiwał się między grupkami i szeregami ludzi, nieświadomymi wydarzeń przy wejściu. Na końcu TenSoon ujrzał...

Breeze'a. Uspokajacz siedział na krześle przypominającym tron, trzymał kieliszek wina i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, gdy wygłaszał proklamacje i rozwiązywał

spory. Podobnie wyglądał za czasów, gdy TenSoon służył Vin. Jeden ze strażników zaczął coś szeptać Breeze'owi do ucha. Obaj wpatrzyli się w TenSoona, gdy ten podeszedł bliżej.

Strażnik zbladł lekko, ale Breeze jedynie pochylił się i uśmiechnął.

- No tak - powiedział, lekko stukając laską o marmurową posadzkę. - Zawsze byłeś kandra, czy dopiero niedawno pochłonąłeś kości psa Vin?

TenSoon usiadł.

- Zawsze byłem kandra.

Breeze pokiwał głową.

- Wiedziałem, że jest w tobie coś dziwnego, byłeś stanowczo zbyt dobrze wychowany jak na wilczarza. - Z uśmiechem pociągnął łyk wina. - Lord Renoux, jak mniemam? Minęło trochę czasu.

- Nie jestem nim - wyjaśnił TenSoon. - Jestem innym kandra. To nieco skomplikowane.

To zmusiło Breeze'a do zastanowienia. Spojrzał na TenSoona, a wtedy kandra poczuł nagły przyływ paniki. Breeze był Uspokajaczem - i podobnie jak wszyscy Uspokajacze, miał przejąć kontrolę nad ciałem TenSoona. Tajemnica.

Nie, powiedział sobie z naciskiem TenSoon. Allomanci są słabsi niż kiedyś. Jedyne z pomocą duraluminium mogą przejąć panowanie nad kandra, a Breeze jest zaledwie Mglistym

- nie spala duraluminium.

- Znowu pijesz w pracy, Breeze? - spytał TenSoon, unosząc psią brew.

- Oczywiście, że tak - odparł Breeze, unosząc kielich. - Władza ma sens jedynie wtedy, kiedy człowiek może sam ustalać swoje warunki pracy.

TenSoon prychnął. Tak naprawdę nigdy nie lubił Breeze'a - choć może w grę wchodziło jego uprzedzenie wobec Uspokajaczy. A może uprzedzenie wobec ludzi. Tak czy inaczej, nie miał ochoty na luźną pogawędkę.

- Gdzie Vin? - spytał.

Breeze zmarszczył czoło.

- Myślałem, że przynosisz mi od niej wiadomość.

- Okłamałem strażników. Przybyłem tu, szukając jej. Mam wieści, które musi usłyszeć... a które wiążą się z mgłami i popiołem.

- Cóż, w takim razie, mój drogi... hm, powinienem pewnie powiedzieć, dobry piesku.

Tak czy inaczej, oddalmy się stąd. Możesz porozmawiać z Sazedem, on zna się na tych sprawach zdecydowanie lepiej ode mnie.

* * *

- ...a ponieważ Spook ledwie przeżył tę drogę przez ogień - powiedział Terrisanin -

pomyślałem, że pozwolę lordowi Breeze'owi przejąć dowodzenie. Zajęliśmy inny budynek Zakonu, który wydawał się odpowiednio wyposażony, by pomieścić urzędników, i Breeze zaczął wysłuchiwać petycji. Sądzę, że ma lepszy niż ja kontakt z ludźmi i wydaje mi się, że sprawia mu przyjemność zajmowanie się codziennymi problemami mieszkańców.

Terrisanin siedział na krześle, na biurku miał otwartą teczkę, a obok niej stertę notatek.

W oczach TenSoona wyglądał inaczej, choć kandra nie umiał dokładnie tego określić.

Opiekun nosił te same szaty i miał na ramionach te same feruchemiczne bransolety. Czegoś jednak brakowało.

To jednak był najmniejszy z jego problemów.

- Fadrex?! - powtórzył TenSoon, siadając na krześle.

Znajdowali się w jednym z mniejszych pokojów Zakonu - niegdyś sypialni jednego z obligatorów. Teraz znajdowały się w nim krzesła i biurko, a ściany i podłoga były tak surowe, jak można się było spodziewać po budynku Zakonu.

Sazed pokiwał głową.

- Ona i cesarz mieli nadzieję odnaleźć tam kolejną jaskinię z zapasami.

TenSoon osunął się na krzesło. Fadrex znajdowało się na drugim końcu cesarstwa.

Nawet z Błogosławieństwem Siły droga zajmie mu całe tygodnie. Czekał go bardzo długi bieg.

- Czy wolno mi spytać, jaką sprawę masz do lady Vin? - spytał Sazed.

TenSoon się zawahał. Czuł się dziwnie, otwarcie rozmawiając z Breeze'em, a teraz z Sazedem. Tych ludzi kandra obserwował przez całe miesiące, kiedy odgrywał rolę psa. Oni go nie znali, lecz on miał wrażenie, jakby znał ich.

Wiedział na przykład, że Sazed jest niebezpieczny. Terrisanin był Opiekunem - należał

do grupy, której kandra starali się za wszelką cenę unikać. Opiekunowie zawsze szukali pogłosek, legend i opowieści. Kandra znali wiele tajemnic - gdyby Opiekunowie kiedykolwiek odkryli bogactwo ich kultury, mogłoby to doprowadzić do katastrofy. Chcieliby badać, zadawać pytania i zapisywać to, czego się dowiedzieli.

TenSoon otworzył pysk, by powiedzieć „Nic” i zatrzymał się. Czy nie szukał kogoś, kto mógłby mu pomóc z kulturą kandra? Kogoś, kto koncentrował się na religiach i kto - być może - miał sporą wiedzę teologiczną? Kogoś, kto znał legendy o Bohaterze Wieków? Ze wszystkich członków ekipy, pomijając oczywiście Vin, TenSoon najbardziej szanował

właśnie Sazedą.

- To ma coś wspólnego z Bohaterem Wieków - powiedział ostrożnie TenSoon. - I zbliżającym się końcem świata.

- Ach - westchnął Sazed i wstał. - Dobrze. Dam ci wszelkie zapasy, jakich potrzebujesz. Chcesz wyruszyć natychmiast? A może masz ochotę trochę odpocząć?

Co takiego? - pomyślał TenSoon. Sazed nawet nie drgnął na wzmiankę o kwestiach religijnych. Zupełnie, jakby to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Jednakże Sazed mówił dalej, jakby TenSoon wcale nie wspomniał przed chwilą o jednej z największych tajemnic religijnych ich czasów.

Nigdy nie zrozumie ludzi, pomyślał, potrząsając łbem.

Więzenie, które Zachowanie stworzyło dla Zniszczenia, nie powstało z mocy Zachowania, choć od niego pochodziło. Miał tego Zachowanie poświęcił swoją świadomość

- rzec by można, umysł - by stworzyć to więzenie. Pozostał cieniem samego siebie, lecz kiedy Zniszczenie się uwolnił, zaczął osaczać i izolować te niewielkie szczątki swojego rywala.

Zastanawiam się, czy Zniszczenie kiedykolwiek uznał za dziwne, że Zachowanie odciął się od swojej własnej mocy, zrezygnował z niej i pozostawił ją na świecie, do zebrania i wykorzystania przez ludzi.

Moim zdaniem w gambicie Zachowania widać szlachetność, inteligencję i desperację.

Wiedział, że nie może pokonać Zniszczenia. Zbyt wiele z siebie dał, a ponadto był

uosobieniem niezmienności i stabilności. Nie mógł niszczyć, nawet po to, by chronić. To było wbrew jego naturze. Stąd i więzenie.

Ludzkość jednak została stworzona wspólnie przez Zniszczenie i Zachowanie - z odrobiną duszy Zachowania, która dawała im świadomość i honor. Zachowanie wiedział, że jeśli świat ma przetrwać, musi polegać na swoich stworzeniach. Zaufać im.

Ciekawe, co myślał, kiedy te stworzenia raz za razem go zawodziły.

60

Zdaniem Vin, najlepszym sposobem, by kogoś oszukać, było danie mu tego, czego pragnął. A przynajmniej czego oczekiwał. Dopóki zakładał, że znajduje się o krok przed przeciwnikiem, nie odwracał się, by sprawdzić, czy nie było takich kroków, które przegapił.

Yomen starannie zaprojektował jej więzenie. Wszystkie metale wykorzystane do stworzenia jej pryczy lub innego wyposażenia były allomantycznie bezużyteczne. Srebro, choć drogie, było tu najlepsze - a i ono występowało tylko w niewielkich ilościach. Załedwie kilka śrub w pryczy, które Vin udało się odkręcić paznokciami.

Posiłki - tłusta, pozbawiona smaku owsianka - podawano w drewnianych miskach, z drewnianą łyżką. Strażnicy byli mgłobójcami - uzbrojeni w kije, nie nosili na sobie metalu i zostali wyszkoleni do walki z Allomantami. Jej cela była zbudowana z kamienia i miała solidne drewniane drzwi ze srebrnymi okuciami i zawiasami.

Po zachowaniu strażników oceniała, że oczekują, że czegoś spróbuje. Yomen dobrze ich przygotował i dlatego, kiedy wsuwali jedzenie przez otwór, widziała napięcie w ich ciałach i szybkie wycofanie się. Zupełnie jakby karmili żmiję.

Dlatego, kiedy następnym razem przyszli, by zabrać ją do Yomena, zaatakowała.

Ruszyła w chwili, gdy drzwi się otworzyły, unosząc drewnianą nogę, którą odczepiła od pryczy. Powaliła pierwszego strażnika ciosem w ramię, a później w tył głowy. Jej ciosy bez cyny z ołowiem wydawały się słabe, ale nic więcej nie mogła z siebie dać. Minęła drugiego strażnika w szeregu i wbiła ramię w brzuch trzeciego. Nie ważyła dużo, ale to wystarczyło, by upuścił kij, który natychmiast pochwyciła.

Ham spędził sporo czasu, ćwicząc ją w walce z kijem, a często kazał jej walczyć bez pomocy Allomancji. Mimo wszelkich przygotowań, strażnicy byli wyraźnie zaskoczeni, że pozbawiony metali Allomanta sprawia im takie kłopoty i powaliła jeszcze dwóch, gdy próbowała uciec.

Niestety, Yomen nie był głupcem. Przysłał tak wielu strażników, że nawet powalenie czterech z nich nie robiło większej różnicy. W korytarzu za jej celą musiało być przynajmniej dwudziestu mężczyzn, którzy blokowali jej drogę ucieczki, nawet jeśli poza tym nie robili nic innego.

Jej celem było danie im tego, czego oczekiwali, nie danie się zabić. Dlatego w chwili, kiedy upewniła się, że jej „próba ucieczki” jest zaiste skazana na niepowodzenie, pozwoliła jednemu z żołnierzy trafić się w ramię i z chrząknięciem upuściła kij. Rozbrojona, uniosła ręce i się cofnęła. Żołnierze oczywiście podcięli ją i rzucili się na nią, przytrzymując ją, gdy jeden zakuwał ją w kajdany.

Vin zniosła to traktowanie, czując pulsowanie bólu w ramieniu. Ile czasu musiała przeżyć bez metali, zanim przestanie podejmować instynktowne próby spalania cyny z ołowiem? Miała nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

W końcu żołnierze podnieśli ją na nogi i poprowadzili korytarzem. Ci trzej, których powaliła - nie wspominając o tym, którego rozbroiła - trochę sarkali, rozmasowując rany.

Cała dwudziestka obserwowała ją jeszcze uważniej, o ile to w ogóle było możliwe.

Nie sprawiała im żadnych problemów, aż doprowadzili ją do sali audiencyjnej Yomena. Kiedy chcieli przykuć jej kajdany do ławy, zaczęła się szarpać, przez co dostała kolanem w brzuch. Sapnęła i opadła na podłogę obok ławy. Tam, jęcząc, natarła ręce i nadgarstki tłuszczem z owsianki, którym nasączyła koszulę. Był śmierdzący i nieprzyjemny, ale bardzo śliski - a strażnicy, rozproszeni przez jej próbę ucieczki, zupełnie zapomnieli ją przeszukać.

- Z pewnością nie sądziłaś, że uda ci się uciec bez pomocy metali - stwierdził Yomen.

Vin uniosła głowę. Znow stał odwrócony do niej plecami, choć tym razem wyglądał

przez ciemne okno. Vin czuła się dziwnie, widząc mgły kłębiące się za szkłem. Większość skaa nie mogła sobie pozwolić na szyby, a większość szlachetnie urodzonych wolała szkło barwione.

Ciemność za oknem Yomena czaiła się niczym bestia, a mgły wyglądały jak jej futro ocierające się o szkło, gdy się poruszała.

- Sądzę, że powinno ci to pochlebiać - mówił dalej Yomen. - Nie wiedziałem, czy jesteś aż tak niebezpieczna, jak o tobie opowiadano, ale postanowiłem założyć, że tak właśnie jest. Widzisz, ja...

Vin nie dała mu więcej czasu. Istniały tylko dwa sposoby na ucieczkę z tego miasta -

po pierwsze, znalezienie metali, po drugie, wzięcie w niewolę Yomena. Planowała wypróbować oba.

Wyrwała natłuszczone ręce z kajdan, które nałożono na jej ramiona, kiedy były naprężone. Zignorowała ból i krew, gdy obręcze podrapały jej ręce, po czym poderwała się na równe nogi, sięgnęła za koszulę i wyciągnęła srebrne śruby, które wyjęła z pryczy. Rzuciła nimi w żołnierzy.

Mężczyźni oczywiście krzyknęli zaskoczeni i rzucili się na ziemię, unikając spodziewanego Odpychania Stali. Ich własne przygotowania i niepokój zadziałały przeciwko nim, gdyż Vin nie miała stali. Śruby odbiły się od ściany, a strażnicy leżeli zaskoczeni jej zwodem. Pokonała połowę drogi dzielącej ją od Yomena, nim pierwszy z nich zaczął się podnosić.

Yomen się odwrócił. Jak zawsze miał na czole małą kroplę atium. Vin rzuciła się w jej stronę.

Obligator swobodnym krokiem zszedł jej z drogi. Vin znów rzuciła się naprzód, tym razem markując cios, a później spróbowała wbić mu łokieć w brzuch. Nie trafiła, gdyż Yomen - z rękami wciąż splecionymi za plecami - znów się uchylił.

Znała wyraz jego twarzy, świadczący o całkowitym panowaniu nad sytuacją, o władzy. Yomen wyraźnie nie był szkolony w walce, ale i tak uniknął jej ciosu.

Spalał atium.

Vin się zatrzymała. Nic dziwnego, że nosi tę bryłkę na czole, pomyślała. Do wykorzystania w nagłych wypadkach. Widziała w jego uśmiechu, że rzeczywiście ją przewidział. Wiedział, że czegoś spróbuje, więc ją skusił, pozwolił jej podejść bliżej. Ale tak naprawdę nigdy nie był w niebezpieczeństwie.

Strażnicy w końcu do niej dotarli, lecz Yomen uniósł dłoń i kazał im się wycofać.

Później wskazał na ławę. Vin usiadła na niej w milczeniu. Musiała się zastanowić, a z pewnością nie mogła wiele osiągnąć, skoro Yomen spalał atium.

Kiedy usiadła, u jej boku wyłonił się Zniszczenie - zmaterializował się jakby z dymu, nosząc ciało Reena. Pozostali nie zareagowali, najpewniej nie mogli go zobaczyć.

- Co za pech - powiedział Zniszczenie. - W pewnym sensie prawie go miałaś. Ale... z drugiej strony nie byłaś nawet blisko.

Zignorowała Zniszczenie, wpatrując się w Yomena.

- Jesteś Zrodzonym z Mgły.

- Nie - odpowiedział, kręcąc głową.

Nie odwrócił się jednak z powrotem w stronę okna. Stał zwrócony w jej stronę, wyraźnie ostrożny. Pewnie zgasił atium - było zbyt cenne, by spalać je bez potrzeby - ale miał

je w rezerwie i obserwował ją uważnie w oczekiwaniu na kolejny atak.

- Nie? - powtórzyła Vin, unosząc brew. - Spalałeś atium, Yomenie. Widziałam to.

- Możesz wierzyć, w co tylko chcesz - stwierdził Yomen. - Ale wiedz jedno, niewiasto: ja nie kłamię. Nigdy nie potrzebowałem kłamstw i uważam to za szczególnie ważne teraz, kiedy na całym świecie panuje chaos. Ludzie potrzebują prawdy od tych, którzy nimi rządzą.

Vin zmarszczyła czoło.

- Tak czy inaczej, nadszedł czas - dodał Yomen.

- Czas? - powtórzyła Vin.

Yomen pokiwał głową.

- Tak. Przepraszam, że na tak długo pozostawiłem cię w celi. Byłem... zajęty.

Elend, pomyślała Vin. Co on robił? Czuję się ślepa!

Spojrzała na Zniszczenie, który stał po drugiej stronie ławy i kręcił głową, jakby rozumiał o wiele więcej niż jej mówił. Znów odwróciła się do Yomena.

- Wciąż nie rozumiem - stwierdziła. - Czas na co?

Yomen spojrzał jej w oczy.

- Czas, by podjąć decyzję na temat twojej egzekucji, lady Venture.

Och, pomyślała. Fakt. Tak zajęła się rozmowami ze Zniszczeniem i snuciem planów ucieczki, że zupełnie zapomniała o obietnicy Yomena, że pozwoli jej się „bronić”, zanim ją straci.

Zniszczenie przeszedł przez komnatę, okrążając leniwym krokiem Yomena. Król obligator stał bez ruchu, wciąż patrząc Vin w oczy. Jeśli widział Zniszczenie, nie dawał tego po sobie poznać. Machnął na strażnika, który otworzył boczne drzwi i wprowadził do środka kilkunastu obligatorów w szarych szatach. Tamci usadowili się na ławie naprzeciwko Vin.

- Powiedz mi, lady Venture - powiedział Yomen, znów zwracając się do niej -

dłaczego przybyliście do Fadrex?

Vin przechyliła głowę.

- Myślałam, że rozprawy nie będzie. Sam mówiłeś, że nie potrzebujesz czegoś takiego.

- Można by sądzić, że ucieszy cię odroczenie procesu - odparł.

Odroczenie oznaczało więcej czasu na zastanowienie - więcej czasu na ucieczkę.

- Dlaczego przybyliśmy? - powtórzyła Vin. - Wiedzieliśmy, że pod miastem znajduje się jeden z ukrytych magazynów Ostatniego Imperatora.

Yomen uniósł brew.

- Skąd o nim wiedzieliście?

- Znaleźliśmy inny - wyjaśniła Vin. - A w nim informacje o Fadrex.

Yomen pokiwał głową. Wiedziała, że jej uwierzył, ale było coś... jeszcze. Jakby zauważał związki, których ona nie rozumiała, i pewnie miała zbyt mało informacji, by je zrozumieć.

- A zagrożenie, jakie moje królestwo stanowi dla waszego? - spytał Yomen. - Czy to nie miało żadnego wpływu na decyzję o inwazji na moje ziemie?

- Tak bym tego nie określiła - odpowiedziała Vin. - Cett od dłuższego czasu naciskał na Elenda, by wyruszyć na to dominium.

Obligatorzy zaczęli szeptem komentować tę uwagę, lecz Yomen stał samotnie, z założonymi rękami, i patrzył na nią. Vin wytrącało to z równowagi. Od wielu lat - od czasów w szajce Camona - nie czuła się tak pozostawiona na łasce drugiej osoby. Nawet przed obliczem Ostatniego Imperatora czuła się inaczej. Yomen zdaje się postrzegał ją jako narzędzie.

Ale jakie narzędzie? I jak mogła zmanipulować jego potrzeby, by utrzymał ją przy życiu wystarczająco długo, by zdołała uciec?

Musisz stać się niezbędną, zawsze powtarzał Reen. Wtedy przywódca szajki nie będzie mógł się ciebie pozbyć, nie tracąc jednocześnie części władzy. Nawet teraz szept jej brata rozbrzmiewał w jej umyśle. Czy to były jego słowa, jej interpretacja jego mądrości, czy też wpływ Zniszczenia? Tak czy inaczej, uznała, że w obecnej sytuacji to dobra rada.

- Przybyliście tu więc, by nas najechać? - spytał Yomen.

- Elend miał zamiar zacząć od dyplomacji - powiedziała ostrożnie Vin. - Ale oboje wiemy, że trudno jest grać dyplomatów, kiedy jednocześnie rozbija się obóz pod murami miasta.

- W takim razie przyznajesz, że jesteście zdobywcami - stwierdził obligator. - Jesteś bardziej uczciwa niż twój mąż.

- Elend mówi bardziej szczerze niż ja czy ty, Yomenie - warknęła Vin. - Fakt, że interpretuje pewne kwestie inaczej niż ty czy ja, nie oznacza, że jest nieuczciwy, kiedy wyraża swoje zdanie.

Yomen uniósł brew, być może zaskoczony szybkością jej reakcji.

- Słuszna uwaga.

Vin usiadła wygodnie na ławie i zaczęła opatrywać poranione ręce kawałkami czystego materiału z koszuli. Yomen stał obok okna w dużym, surowym pomieszczeniu.

Czuła się dziwnie, rozmawiając z nim. Z jednej strony wydawali się zupełnie różni. On był

obligatorem, biurokratą, a jego brak mięśni i wdzięku wojownika świadczył, że spędził życie, zajmując się formularzami i zapiskami. Ona była dzieckiem ulicy, dorosłym wyszkolonym w sztuce wojennej i skrytobójstwie.

A jednak jego manieryzmy i sposób mówienia przypominały ją samą. Czy taka właśnie mogłabym być, pomyślała, gdybym nie urodziła się skaa? Mówiącym otwarcie biurokratą, a nie oszczędnym w słowach wojownikiem?

Gdy Yomen wpatrywał się w nią, Zniszczenie okrążył go wolnym krokiem.

- Ten mnie rozczarował - powiedział cicho Zniszczenie.

Vin zerknęła na niego. Pokręcił głową.

- Jakże wielkie zniszczenia mógłby wywołać, gdyby zaatakował, a nie kulił się w swoim miasteczku i modlił do martwego boga. Ludzie by za nim podążyli. Niestety, do niego nigdy nie udało mi się dotrzeć na dłuższy czas. Nie każdy spisek musi się powieść, zwłaszcza jeśli trzeba wziąć pod uwagę wolę głupców takich jak on.

- Czyli - powiedział Yomen, znów przyciągając jej uwagę - przybyliście do mojego miasta, ponieważ dowiedzieliście się o zapasach i ponieważ obawialiście się powrotu mocy Ostatniego Imperatora.

- Tego nie powiedziałam - sprzeciwiła się Vin, marszcząc czoło.

- Powiedziałaś, że się mnie obawialiście.

- Jako obcej siły - wyjaśniła Vin - która już wcześniej pokazała, że potrafić obalić rząd i przejąć władzę.

- Nie przejąłem jej - stwierdził Yomen. - Oddałem to miasto i dominium prawowitej władzy. Ale to nie ma znaczenia. Chciałbym, żebyś opowiedziała mi o tej religii, której nauczasz.

- Kościół Ocalałego?

- Tak. Jesteś jednym z jego przywódców, prawda?

- Nie - sprzeciwiła się Vin. - Oddają mi cześć. Ale ja nigdy nie czułam się częścią tej religii. Ona skupia się głównie na Kelsierze.

- Ocalałym z Hathsin. On umarł. Jak to możliwe, że ludzie w niego wierzą?

Vin wzruszyła ramionami.

- Niegdyś ludzie oddawali cześć bogom, których nie widzieli.

- Być może - stwierdził Yomen. - Czytałem... o takich rzeczach, choć trudno mi je pojąć. Wiara w niewidzialnego boga... jaki to ma sens? Dlaczego odrzucili boga, z którym żyli od tak dawna, tego, którego widzieli i czuli, na rzecz tego, który umarł? Tego, którego zabił sam Ostatni Imperator?

- Ty właśnie to robisz - zauważyła Vin. - Wciąż oddajesz cześć Ostatniemu Imperatorowi.

- On nie odszedł - stwierdził Yomen.

Vin się zawahała.

- Nie - odezwał się obligator, najwyraźniej zauważając jej niepewność. - Ja też nie widziałem go ani nie słyszałem o nim od czasu jego zniknięcia. Ale nie do końca wierzę w doniesienia o jego śmierci.

- Był całkiem martwy - powiedziała Vin. - Zaufaj mi.

- Obawiam się, że nie umiem ci zaufać - stwierdził Yomen. - Opowiedz mi o tamtym wieczorze. Opowiedz mi, co dokładnie się wydarzyło.

Vin opowiedziała mu o uwięzieniu i ucieczce z Sazedem. Opowiedziała mu o swojej decyzji, by walczyć z Ostatnim Imperatorem, i swojej wierze w Jedenasty Metal. Nie wspomniała o dziwnej zdolności sięgnięcia do mocy mgieł, ale poza tym wyjaśniła wszystko, łącznie z teorią Sazedą, że Ostatni Imperator zachował nieśmiertelność dzięki umiejętnemu korzystaniu jednocześnie z Allomancji i Feruchemii.

A Yomen naprawdę słuchał. Szacunek Vin do niego wzrastał w miarę mówienia, gdy jej nie przerywał. Chciał usłyszeć tę opowieść, nawet jeśli jej nie wierzył. Był człowiekiem, który traktował informacje przedmiotowo - jako narzędzia, które można wykorzystać, ale którym nie należy ufać bardziej niż innym.

- I tak - dokończyła Vin - umarł. Osobiście przebiłam jego serce. Twoja wiara w niego jest godna podziwu, ale nie mogę zmienić tego, co się stało.

Yomen stał w milczeniu. Starsi obligatorzy - którzy wciąż siedzieli na ławach -

pobledli. Wiedziała, że zeznanie mogło skazać ją na śmierć, ale z jakiegoś powodu uznała, że szczerowość - prosta, brutalna szczerowość - posłuży jej lepiej niż przebiegłość.

Dziwne przekonanie jak na kogoś, kto dorastał wśród złodziei, pomyślała. Zniszczenie najwyraźniej poczuł się znudzony jej opowieścią, gdyż podszedł do okna i zaczął przez nie wyglądać.

- Chciałem się dowiedzieć - powiedział w końcu Yomen - dlaczego Ostatni Imperator uznał za konieczne przekonanie cię, że go zabiłaś.

- Czy w ogóle nie słuchałeś tego, co właśnie powiedziałam? - spytała ostro Vin.

- Owszem - odparł spokojnie Yomen. - I nie zapominaj, że jesteś tu więźniem...

któremu grozi śmierć.

Vin zmusiła się do zachowania milczenia.

- Uważasz moje słowa za śmieszne? - spytał Yomen. - Śmieszniejsze od twoich własnych? Popatrz na to z mojej strony, upierasz się, że zabiłaś człowieka, o którym ja wiem, że był Bogiem? Czy to nie prawdopodobne, że on chciał, żeby to się wydarzyło? Że on wciąż tam jest, obserwuje nas i czeka...

O to w tym wszystkim chodzi, zrozumiała. Dlatego mnie pojmał, dlatego tak chce ze mną rozmawiać. Jest przekonany, że Ostatni Imperator wciąż żyje. Chce się tylko dowiedzieć, gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce. Chce, żebym dała mu dowód, którego tak rozpaczliwie pragnie.

- A dlaczego ty uważasz, że nie powinnaś być częścią religii skaa, Vin? - wyszeptał

Zniszczenie.

Odwróciła się, próbując nie patrzeć w jego stronę, by Yomen nie zauważył, jak wpatruje się w pustkę.

- Dlaczego? - powtórzył Zniszczenie. - Dlaczego nie chcesz, by oddawali ci cześć? Ci wszyscy szczęśliwi skaa? Szukający w tobie nadziei?

- Ostatni Imperator musi za tym wszystkim stać - rozmyślał na głos Yomen. - To oznacza, że chciał, żeby cały świat widział w tobie jego zabójcę. Chciał, żeby skaa oddawali ci cześć.

- Dlaczego? - powtórzył Zniszczenie. - Dlaczego czujesz się tak niezręcznie? Czy to dlatego, że wiesz, że nie możesz im dać nadziei? Jak oni nazywają tego, którego rzekomo zastąpiłaś? Ocalały. To słowo Zachowania, jak sądzę...

- Może ma zamiar powrócić w widowiskowy sposób - stwierdził Yomen. - Obalić cię i udowodnić, że wiara w niego jest jedyną prawdziwą wiarą.

- Dlaczego nie pasujesz? - wyszeptał Zniszczenie w jej głowie.

- Dlaczego jeszcze miałby pragnąć, żeby oddawali ci cześć? - spytał Yomen.

- Oni się mylą! - wykrzyknęła Vin, unosząc ręce do głowy, żeby powstrzymać natłok myśli. Powstrzymać poczucie winy.

Yomen przerwał.

- Mylą się, jeśli chodzi o mnie - powiedziała Vin. - Nie oddają czci mnie, ale temu, czym ich zdaniem powinnam być. Ale ja nie jestem Dziedziczką Ocalałego. Nie zrobiłam tego, co zrobił Kelsier. On ich wyzwolił.

- Ty ich zniewoliłaś - wyszeptał Zniszczenie.

- Tak - powiedziała Vin, podnosząc wzrok. - Patrzysz w złą stronę, Yomenie. Ostatni Imperator nie powróci.

- Mówiłem ci, że...

- Nie - stwierdziła Vin, wstając. - Nie, on nie wróci. Nie musi. Ja zajęłam jego miejsce.

Elend martwił się, że zmienia się w kolejnego Ostatniego Imperatora, lecz Vin zawsze uważała jego troskę za błąd. To nie on podbił i ponownie scalił imperium, tylko ona. To ona zmusiła pozostałych królów do poddania się.

Postąpiła dokładnie tak, jak Ostatni Imperator. Bohater powstał, lecz Ostatni Imperator zabił go i wziął moc Studni Wstąpienia. Vin zabiła Ostatniego Imperatora i wzięła tę samą moc. Oddała ją, to prawda, lecz odegrała tę samą rolę.

Wszystko zaczęło do siebie pasować. Dlaczego wydawało jej się tak niewłaściwe to, że skaa oddawali jej cześć i nazywali ją swoją wybawicielką. Nagle pojęła swoją prawdziwą rolę w tym wszystkim.

- Nie jestem Dziedziczką Ocalałego, Yomenie - powiedziała słabym głosem. - Tylko Ostatniego Imperatora.

Pokręcił głową.

- Kiedy mnie pojmałeś - powiedziała - zastanawiałam się, dlaczego zachowałeś mnie przy życiu. Wrogię Zrodzonego z Mgły? Mogłeś mnie zabić i mieć spokój. Twierdziłeś, że chcesz mi dać szansę, bym się broniła, ale przejrzałam to. Wiedziałam, że masz inny motyw.

A teraz wiem, co to jest. - Spojrzała mu w oczy. - Powiedziałeś wcześniej, że planowałeś stracić mnie za zabicie Ostatniego Imperatora, ale właśnie przyznałeś, że sądzisz, że on wciąż żyje. Mówisz, że powróci, żeby mnie obalić, więc nie możesz mnie zabić, gdyż pokrzyżowałbyś plany swojego boga.

Yomen odwrócił się do niej plecami.

- Nie możesz mnie zabić - powiedziała. - Nie, dopóki nie będziesz pewien, jakie jest moje miejsce w twojej teologii. Dlatego pozwoliłeś mi zachować życie i dlatego ryzykujesz, sprowadzając mnie tutaj, by porozmawiać. Potrzebujesz informacji, które mam tylko ja...

musiałeś wydobyć ode mnie zeznania w swego rodzaju procesie, ponieważ chcesz wiedzieć, co wydarzyło się tamtej nocy. Byś mógł spróbować przekonać samego siebie, że twój bóg wciąż żyje.

Yomen nie odpowiedział.

- Przyznaj to. Nie grozi mi tu żadne niebezpieczeństwo.

Zrobiła krok do przodu.

I Yomen się ruszył. Jego kroki nagle stały się bardziej płynne - nie miał wdzięku cyny z ołowiem ani wiedzy wojownika, ale poruszył się we właściwy sposób. Uchyliła się instynktownie, lecz atium pomogło mu przewidzieć jej kroki i nim zdołała pomyśleć, rzucił ją na ziemię i przycisnął kolanem do podłogi.

- Być może na razie cię jeszcze nie zabiję - powiedział spokojnie - ale to nie znaczy, że nie grozi ci „żadne niebezpieczeństwo”, lady Venture.

Vin sapnęła.

- Chcę czegoś od ciebie - dodał. - Czegoś więcej niż tylko to, co omówiliśmy. Chcę, żebyś kazała mężowi odesłać swoją armię.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - spytała Vin z twarzą przyciśniętą do zimnych kamieni.

- Ponieważ twierdzicie, że chcecie moich zapasów, a jednocześnie twierdzicie, że jesteście dobrymi ludźmi. Wiecie teraz, że wykorzystam żywność w sposób rozsądny, do nakarmienia swoich poddanych. Jeśli twój Elend jest naprawdę tak wielkim altruistą, jak utrzymuje, z pewnością nie pozwoli na śmierć wielu ludzi, jedynie po to, by ukraść naszą żywność i nakarmić nią swoich poddanych.

- Możemy uprawiać rolę - powiedziała Vin. - W Środkowym Dominium mamy wystarczająco dużo światła, a wy nie. Nasiona w magazynie będą dla was bezużyteczne!

- To je ode mnie kupcie.

- Kiedy ty nie chcesz z nami rozmawiać!

Yomen cofnął się o krok, a Vin usiadła i rozmasowała kark.

- Chodzi o coś więcej niż tylko żywność w tym magazynie, Yomenie - powiedziała. -

Kontrolujemy pozostałe cztery. Ostatni Imperator zostawił w nich wskazówki. W tej całej grupie jest coś, co może nas ocalić.

Yomen parsknął.

- Byłaś tyle czasu na dole i nie przeczytałaś tej tablicy, którą zostawił Ostatni Imperator?

- Oczywiście, że tak.

- To wiesz, że w tych magazynach nie ma już nic więcej. Wszystkie są częścią jego planu, to prawda. I z jakiegoś powodu plan ten zakłada, że ludzie wierzą w jego śmierć. Tak czy inaczej, wiesz już teraz, co powiedział. Zatem dlaczego chcecie odebrać mi miasto?

Dlaczego chcecie odebrać mi miasto? Prawdziwy powód płonął w umyśle Vin. Elend zawsze uważał go za coś mało ważnego, lecz dla niej miał ogromne znaczenie.

- Doskonale wiesz, dlaczego musimy zdobyć miasto - powiedziała. - Dopóki to masz, mamy powód, by podbić miasto.

- To? - spytał Yomen.

Zniszczenie zrobił krok do przodu, wyraźnie zaciekawiony.

- Wiesz, o co mi chodzi. Atium. Zapas Ostatniego Imperatora.

- To? - spytał ze śmiechem Yomen. - Chodzi o atium? Przecież ono jest bezwartościowe!

Vin zmarszczyła czoło.

- Bezwartościowe? To najcenniejszy produkt w całym Ostatnim Imperium!

- Ach tak? A ilu pozostało ludzi, którzy są zdolni je spalać? Ile arystokratycznych rodów bawi się w politykę i próbuje zdobyć władzę, pokazując, jak wiele atium uda im się uzyskać od Ostatniego Imperatora? Wartość atium wynikała z gospodarki imperium, lady Venture. Bez całej otoczki systemu rezerwy i klasy wyższej nadającej temu metalowi znaczenie, atium nie ma prawdziwej wartości. - Yomen pokręcił głową. - Dla człowieka umierającego z głodu co liczy się bardziej, bochenek chleba czy cały słoje atium, którego nie może użyć, zjeść ani sprzedać?

Gestem kazał strażnikom, by ją odprowadzili. Zmusili ją do wstania, a ona szarpała się, wciąż patrząc Yomenowi w oczy.

- Te bryłki metalu są dla mnie bezużyteczne, może poza tym, że dają mi pewną władzę nad wami. Prawdziwym zasobem jest żywność. Ostatni Imperator zostawił mi bogactwa, które wykorzystałem, by odzyskać dla niego władzę. Muszę tylko się domyślić, jaki ma być mój następny krok.

Żołnierzom w końcu udało się ją odciągnąć.

Nie dziwię się, że w tamtym czasie tak bardzo skupialiśmy się na mgłach. Ale dzięki temu, co teraz wiem o słońcu i rozwoju roślin, rozumiem, że nasze plony nie były aż tak bardzo zagrożone przez mgliste dni, jak nam się wydawało. Być może udałoby nam się znaleźć rośliny, które nie wymagają

tyle słońca do przetrwania.

To prawda, mgły zabijały pewien procent tych, którzy w nie wchodziłi, ale liczba zabitych nie była tak wielka w stosunku do całej populacji, by zagrozić przetrwaniu naszego gatunku. Prawdziwym problemem był popiół. Dym wypełniający atmosferę, czarne płatki pokrywające wszystko, erupcje wulkanicznych popielnych gór... Właśnie to miało zabić świat.

61

- Elendzie! - zawołał Ham, podbiegając do niego. - Wróciłeś!

- Zaskoczony? - spytał Elend, odczytując wyraz twarzy przyjaciela.

- Oczywiście, że nie - odparł Ham nieco zbyt szybko. - Zwiadowcy poinformowali mnie o tym, że się zbliżacie.

Mój powrót być może cię nie zaskakuje, pomyślał zmęczony Elend, za to fakt, że wciąż żyję, jak najbardziej. Naprawdę myślałeś, że uciekłem, żeby dać się zabić, a może sądziłeś, że odejdę i was zostawię?

Wolał porzucić ten tok myślenia. Dlatego tylko uśmiechnął się, oparł dłoń na ramieniu Hama i spojrzał w stronę obozu, który wyglądał dziwnie, zagłębiony i otoczony przez sterty popiołu. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie, jakby został wykopany w ziemi. Popiołu było tak wiele...

Nie mogę się martwić o wszystko jednocześnie, pomyślał z determinacją Elend. Muszę zaufać. Zaufać sobie i działać dalej.

Przez resztę drogi rozmyślał nad duchem mgły. Czy naprawdę kazał mu nie atakować miasta, czy też Elend źle zinterpretował jego gesty? Co chciał mu dać do zrozumienia, wskazując na fiolkę z metalami?

Stojący obok Ham przyglądał się nowym kolossom. Na uboczu siedziały inne bestie -

wciąż pozostające pod jego władzą. Choć coraz lepiej sobie radził z panowaniem nad tymi stworami, cieszył się, że do nich wrócił. Czuł się wtedy swobodniej.

Ham gwizdnął cicho.

- Dwadzieścia osiem tysięcy? - spytał. - Przynajmniej tak mówią zwiadowcy.

Elend pokiwał głową.

- Nie wiedziałem, że ta grupa jest tak wielka - stwierdził Zbir. - Mając tak wielu...

W sumie trzydzieści siedem tysięcy, pomyślał Elend. Aż nadto, by zdobyć Fadrex.

Zaczął schodzić po zboczu, w stronę obozu. Choć nie potrzebował zbyt wiele cyny z ołowiem, by

wspomagać się podczas marszu, wciąż czuł zmęczenie.

- Jakies wieści o Vin? - spytał z nadzieją, choć wiedział, że gdyby udało jej się uciec, już by go odnalazła.

- Kiedy cię nie było, wysłaliśmy posłańca do miasta - odpowiedział Ham. - Yomen powiedział, że możemy przysłać żołnierza, który potwierdzi, że Vin wciąż żyje, więc zgodziliśmy się w twoim imieniu. Uznaliśmy, że dobrze będzie, jeśli Yomen uzna, że nadal tu jesteś.

- Dobrze zrobiliście - stwierdził Elend.

- Minęło już trochę czasu - dodał Ham. - Później nie mieliśmy już żadnych wieści o niej.

- Ona wciąż żyje - powiedział Elend.

Ham pokiwał głową.

- Też w to wierzę.

- To nie kwestia wiary - wyjaśnił z uśmiechem Elend. Pokazał głową w stronę kolosów, które pozostawili za sobą. - Zanim została pojmana, oddałem jej część stworów.

Gdyby umarła, zostałyby uwolnione. Dopóki ona żyje, i to niezależnie od tego, czy ma metale, pozostaje z nimi związana.

Ham się zawahał.

- Coś takiego... mogłeś powiedzieć nam wcześniej, El.

- Wiem. Zbyt łatwo zapomnieć, nad iloma z nich panuję... nawet nie pomyślałem, że część z nich nie należy do mnie. Wystaw strażę, niech mają na nich oko. Jeśli zaczną szaleć, znów nad nimi zapanuję.

- Czy mógłbyś się przez nich skontaktować z Vin? - zapytał Ham.

Elend pokręcił głową. Jak miał to wyjaśnić? Jego władza nad kolosami była ograniczona - ich umysły były zbyt prymitywne, by przyjąć coś poza najprostszymi rozkazami. Mógł im kazać, by zaatakowały, znieruchomiały albo szły i przenosiły różne rzeczy. Ale poza tym nie mógł nimi kierować, nie mógł im kazać, by wypowiedziały słowa ani nawet nie mógł pokazać im, w jaki sposób osiągnąć cel. Mógł jedynie powiedzieć

„zróbcie to” i patrzeć, jak to robią.

- Mamy też doniesienia zwiadowców ze Środkowego Dominium, El - powiedział z niepokojem w głosie Ham.

Elend spojrział na niego.

- Większość zwiadowców nie wróciła. Nikt nie wie, co się stało z Demoux i ludźmi, których z nim posłałeś... mamy nadzieję, że dotarli do Luthadel, ale stolica jest w kiepskim stanie. Zwiadowcy, którzy do nas dotarli, przynoszą dość ponure wieści. Straciliśmy wiele miast, które podbiłeś tego roku. Ludzie umierają z głodu i w wielu wioskach pozostały tylko trupy. Ci, którzy mogą, uciekają do Luthadel, pozostawiając przy drogach zmarłych, zagrzebanych w popiele.

Elend zamknął oczy. Ale Ham jeszcze nie skończył.

- Słyszeliśmy doniesienia o miastach pochłoniętych przez trzęsącą się ziemię -

wyszeptał Ham. - Króla Lekala i jego miasto zalała lawa jednej z popielnych gór. Od wielu tygodni nie mamy wiadomości od Janarle'a. Jego świta jakby zniknęła, a w Północnym Dominium panuje chaos. Całe Południowe Dominium płonie... Elendzie, co mamy robić?

Elend nie przerywał marszu, wkroczył na uprzątniętą z popiołu drogę do samego obozu. Żołnierze zbierali się, szeptali, spoglądali na niego. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na pytanie. Co zrobił? Co mógł zrobić?

- Pomożemy im, Ham - powiedział. - Nie poddamy się.

Ham pokiwał głową, wydawał się nieco podtrzymany na duchu.

- Nim cokolwiek zrobisz, powinieneś chyba się przebrać...

Elend obejrzał się i przypomniał sobie, że wciąż nosi czarny mundur, zalany krwią kolosów i ubrudzony popiołem. Jego wygląd wywołał spore poruszenie wśród żołnierzy.

Widzieli mnie jedynie w nieskalanym białym stroju. Większość nie widziała mnie w walce - nigdy nie widzieli mnie zakrwawionego i ubrudzonego popiołem.

Nie był pewien, co właściwie niepokoi go w tej myśli.

Z przodu Elend widział brodatą postać siedzącą na krześle obok drogi, jakby wybrał to miejsce na popołudniowy odpoczynek. Cett spojrzał na niego z ukosa.

- Więcej kolosów?

Elend przytaknął.

- W takim razie atakujemy, co?

Venture się zatrzymał.

Duch mgły najwyraźniej chciał powstrzymać go przed atakiem. Ale nie mógł być pewien, co właściwie istota chciała mu przekazać - nie wiedział nawet, czy powinien mu zaufać. Czy mógł oprzeć przyszłość imperium na niejasnych przekazach istoty z mgieł?

Musiał dostać się do tego magazynu i nie mógł sobie pozwolić na dalsze oblężenie -

już nie. Poza tym, atak wydawał się najlepszym sposobem na odzyskanie Vin. Yomen nigdy jej nie odda - Elend mógł albo siedzieć i czekać, albo zaatakować i mieć nadzieję, że w chaosie walki Yomen zostawi ją w jakimś lochu. Owszem, atak oznaczał ryzyko, że zostanie stracona, ale pozwolenie na to, by Yomen wykorzystywał ją jako kartę przetargową, było dla niej równie niebezpieczne.

Muszę być człowiekiem, który podejmuje trudne decyzje, powiedział sobie. Tego właśnie próbowała mnie nauczyć Vin na balu - że mogę być jednocześnie Elendem mężczyzną i Elendem królem. Zapanowałem nad tymi kolosami w określonym celu. Teraz muszę je wykorzystać.

- Powiadom żołnierzy - powiedział Elend. - Ale niech nie formują szyku. Zaatakujemy o poranku, ale z zaskoczenia... najpierw kolosy, które przebiją się przez ich obronę.

Żołnierze mogą sformować szyki później i przejąć kontrolę nad miastem.

Uratujemy Vin, wejdziemy do tej jaskini, a później wrócimy do Luthadel z zapasami.

I przeżyjemy najdłużej, jak się da.

Przypuszczam, że Alendi, człowiek, którego zabił Rashek, sam był Mglistym -

Szperaczem. W tamtych czasach jednak Allomancja była czymś zupełnie innym i zdarzała się zdecydowanie rzadziej. Allomanci żyjący obecnie to potomkowie ludzi, którzy pochłonęli te kilka bryłek mocy Zachowania. Od nich wywodzą się szlachetnie urodzeni i to oni ogłosili go cesarzem.

Moc w tych kilku bryłkach była tak skupiona, że przetrwała dziesięć tysięcy lat rozmnażania się i dziedziczenia.

62

Sazed stał przed wejściem do komnaty, zaglądając do środka. Spook leżał na łóżku, spowity bandażami. Chłopak nie ocknął się od pożaru, a Terrisanin nie był pewny, czy w ogóle się obudzi. Nawet gdyby przeżył, przez resztę życia musiałby nosić straszliwe blizny.

Choć, pomyślał Sazed, to dowodzi jednego. Nie ma cyny z ołowiem. Gdyby Spook był

zdolny spalać cynę z ołowiem, wyleczyłby się o wiele szybciej. Sazed na wszelki wypadek podał mu fiolkę tego metalu, ale to nic nie zmieniło. Chłopak nie zmienił się w Zbira.

W pewnym sensie było to pocieszające. Znaczyło, że świat Sazeda wciąż ma sens.

W środku dziewczyna - Beldre - siedziała u boku Spooka. Przychodziła każdego dnia i spędzała trochę czasu z chłopakiem. Więcej nawet niż z własnym bratem, Quellionem.

Obywatel miał złamaną rękę i kilka pomniejszych ran, ale nic, co mogło zagrażać życiu. Choć Urteau

rządził Breeze, Quellion wciąż miał pewien autorytet i wydawało się, że stał się o wiele bardziej... uprzejmy. Robił wrażenie, jakby był wręcz skłonny rozważyć sojusz z Elendem.

Sazedowi wydawało się dziwne, że Quellion stał się nagle taki przychylny. Wkroczyli do jego miasta, wywołali chaos i prawie go zabili. I teraz wysłuchał ich propozycji pokoju?

Sazed oczywiście był podejrzliwy. Ale wszystko się okaże.

Beldre obróciła się lekko, w końcu zauważając Sazedą stojącego w wejściu. Wstała i uśmiechnęła się.

- Proszę, lady Beldre - powiedział, wchodząc. - Nie wstawaj.

Znow usiadła, a Sazed podszedł bliżej. Przyjrzał się bandażom spowijającym Spooka i sprawdził stan młodzieńca, porównując go z zawartością medycznej miedziomyśli. Beldre przyglądała mu się w milczeniu.

Kiedy skończył, odwrócił się, by odejść.

- Dziękuję - powiedziała Beldre z tyłu.

Sazed się zatrzymał.

Spojrzała na Spooka.

- Czy sądzisz... to znaczy, czy jego stan się zmienił?

- Obawiam się, że nie, lady Beldre. Nic nie mogę obiecywać, jeśli chodzi o jego powrót do zdrowia.

Uśmiechnęła się słabo, znów odwracając się do rannego.

- Uda mu się - powiedziała.

Sazed zmarszczył czoło.

- Nie jest zwykłym człowiekiem - powiedziała Beldre. - Jest kimś wyjątkowym. Nie wiem co zrobił, by sprowadzić z powrotem mojego brata, ale Quellion przypomina teraz dawnego siebie... z czasów, nim zaczęło się to całe szaleństwo. I miasto. Ludzie odzyskali nadzieję. Tego właśnie chciał Spook.

Nadzieja... - pomyślał Sazed, patrząc dziewczynie w oczy. Ona naprawdę go kocha.

W pewnym sensie wydawało mu się to głupotą. Jak długo znała chłopaka? Kilka tygodni? W ciągu tego krótkiego czasu Spook nie tylko zdobył miłość Beldre, ale też stał się bohaterem całego miasta.

Ona siedzi i ma nadzieję, wierzy, że on odzyska zdrowie, myśli Sazed. Jednakże, kiedy ja go zobaczyłem, najpierw pomyślałem, jak bardzo uspokoiła mnie świadomość, że Spook jednak nie jest Cynozbrojnym.

Czy naprawdę stał się tak bezduszny? Przed zaledwie dwoma laty beznadziejnie zakochał się w kobiecie, która większość życia spędziła, robiąc mu wymówki. Kobiecie, z którą spędził zaledwie kilka cennych dni.

Odwrócił się i wyszedł.

Poszedł do swojej kwatery w arystokratycznej rezydencji, ich nowej siedzibie, gdyż z poprzedniej pozostały tylko zgliszcza. Cieszyło go, że znów ma zwyczajne ściany i schody, a nie tylko niezliczone półki i ściany jaskini.

Na biurku leżała otwarta teczka, jej płócienne okładki plamił popiół. Po lewej spoczywała jedna sterta kartek, po prawej druga. Po prawej zostało zaledwie dziesięć arkuszy.

* * *

Wczesnym przedpołudniem następnego ranka odłożył ostatnią kartkę na stertę po lewej. Szybko przejrzał ostatnią dziesiątkę, ale też mógł poświęcić im całkowitą uwagę, w czasie pracy nie rozpraszały go troski ani jazda konna. Czuł, że każdą potraktował z należytą dokładnością.

Siedział przez chwilę, czując zmęczenie, i to nie tylko z braku snu. Czuł się...

odrętwiały. W ciągu roku pracy sprawdził każdą religię ze sterty. I każdą odrzucił.

To zadziwiające, jak wiele miały wspólnych cech. Większość podkreślała swój absolutny autorytet i odrzucała inne wiary. Większość nauczała o życiu pośmiertnym, lecz nie miała na nie żadnych dowodów. Większość mówiła o bogu lub bogach, ale - ponownie - nie miała poważnego uzasadnienia dla swoich nauk. I wszystkie były pełne niespójności i nielogiczności.

Jak ludzie mogli wierzyć w religię, która z jednej strony głosiła miłość, a z drugiej żądała zniszczenia niewiernych? Jak można było uzasadnić wiarę bez dowodów? Jak mogli oczekiwać, że uwierzy w coś, co opowiadało o rozlicznych cudach i dziwach w odległej przeszłości, a jednocześnie starannie wyjaśniało, dlaczego nic takiego nie dzieje się obecnie?

A do tego jeszcze ten ostatni płatek popiołu na stercie - coś, czego jego zdaniem żadna religia nie umiała uzasadnić. Wszystkie nauczały, że wierni zostaną pobłogosławieni. I żadna nie miała odpowiedzi, dlaczego bogowie pozwolili, by wierni zostali pojmani, uwięzieni, zniewoleni i wymordowani przez heretyka znanego jako Rashek, Ostatni Imperator.

Sterna kartek odwróconych tekstem do dołu leżała przed nim. Oznaczały, że prawda nie istnieje. Żadna wiara nie odda mu Tindwyl. Nic nie strzeże ludzi, wbrew temu, co tak dobitnie twierdził Spook. Sazed przeciągnął palcami po ostatniej kartce i w końcu przygnębił, z którym walczył - i które z trudem powstrzymywał przez tak długi czas -

stało się zbyt silne. Teczka była jego ostatnią linią obrony.

To było cierpienie. Tak odczuwał tę stratę. Cierpienie i zarazem otępienie - pokryty kolcami drut zaciskający się wokół jego piersi, połączony z całkowitą niemożnością zrobienia czegokolwiek. Miał

ochotę zwinąć się w kącie, rozplakać i po prostu umrzeć.

Nie! - pomyślał. Musi być coś jeszcze...

Sięgnął pod biurko i drżącymi palcami odszukał worek z metalnymi. Nie wyciągnął wszakże jednej z nich, tylko dużą, grubą księgę. Położył ją na stole obok teczki i otworzył na przypadkowej stronie. Ujrzał słowa zapisane przez dwie różne osoby. Jedna pisała starannie i płynnie. To on sam. Druga krótko i zdecydowanie. Tindwyl.

Oparł palce na księdze. On i Tindwyl stworzyli ją razem, odcyfrowując historię, proroctwa i znaczenia związane z Bohaterem Wieków. Dawno, nim Sazed wszystko przestało obchodzić.

To kłamstwo, pomyślał, zaciskając pięść. Dlaczego się okłamuję? Wciąż mnie obchodzi. Nigdy nie przestało mnie obchodzić. Gdyby przestało mnie obchodzić, to bym wcale nie szukał. Gdyby nie obchodziło mnie to tak bardzo, to poczucie zdrady nie byłoby tak bolesne.

Kelsier o tym mówił. Później Vin. Sazed nigdy by się nie spodziewał, że dozna takiego uczucia. Któż mógł zranić go tak bardzo, że poczuł się zdradzony? Różnił się od innych. Przyznawał to nie z arogancji, lecz dlatego, że dobrze poznał samego siebie.

Wybaczał ludziom, może aż do przesady. Nie bywał zgorzkniały.

Założył więc, że nigdy nie będzie musiał sobie radzić z takimi uczuciami. Dlatego właśnie nie był przygotowany, że zostanie zdradzony przez jedyną rzecz, której niedoskonałości nie mógł zaakceptować.

Nie mógł wierzyć. Gdyby uwierzył, znaczyłoby to, że Bóg - albo wszechświat, czy cokolwiek innego, co strzegło ludzi - zawiódł. Lepiej wierzyć, że w ogóle nigdy niczego nie było. W takim wypadku wszelkie niedoskonałości świata były dziełem czystego przypadku, nie zaś działania boga, który ich zawiódł.

Sazed spojrział na otwartą księgę i zauważył wystający pomiędzy jej kart mały kawałek papieru. Wysunął go i z zaskoczeniem ujrzał rysunek kwiatu, który dała mu Vin, ten sam, który nosiła przy sobie żona Kelsiera. Ten, który dawał jej nadzieję. Przypominał jej o świecie istniejącym przed nadejściem Ostatniego Imperatora.

Podniósł wzrok. Sufit był drewniany, ale zalewały go czerwone promienie słońca, załamywane przez szybę.

- Dlaczego? - wyszeptał. - Dlaczego mnie tak zostawiasz? Tak długo cię badałem.

Poznałem religie pięciu setek różnych ludów i odłamów. Nauczałem o tobie, kiedy inni poddali się przed tysiącem lat. Dlaczego pozostawiasz mnie bez nadziei, choć inni mają wiarę? Dlaczego to ja muszę wątpić? Czy nie powinienem mieć większej pewności od pozostałych? Czy moja wiedza nie powinna mnie ochronić?

Jednakże wiara uczyniła go tylko jeszcze bardziej wrażliwym. Na tym polega zaufanie, pomyślał

Sazed. Na oddaniu innej osobie władzy nad sobą. Władzy, która pozwala również skrzywdzić. Dlatego odrzucił metalmyśli. Dlatego właśnie postanowił zbadać religie, jedną po drugiej, próbując odnaleźć tę, która jest bez wad. I która nie mogła go zawieść.

To miało sens. Lepiej w ogóle nie wierzyć, niż wierzyć w coś, co się okaże błędne.

Sazed znów spuścił wzrok. Dlaczego postanowił odezwać się do niebios? Nic tam nie było. I nigdy nie było.

Z korytarza dochodziły czyjeś głosy.

- Dobry piesku - powiedział Breeze - z pewnością możesz zostać jeszcze jeden dzień.

- Nie - odparł kandra TenSoon swoim warkotliwym głosem. - Muszę jak najszybciej odnaleźć Vin.

Nawet kandra, pomyślał Sazed. Nawet nieludzka istota ma więcej wiary ode mnie.

Jak mogli go zrozumieć? Sazed mocno zacisnął powieki, czując łzy wypływające z kącików oczu. Jak ktokolwiek mógł zrozumieć ból zdradzonej wiary? On wierzył. A jednak w chwili, kiedy najbardziej potrzebował nadziei, znalazł tylko pustkę.

Podniósł księgę i zatrzasnął teczkę, zamykając w niej niewystarczające podsumowania. Odwrócił się w stronę kominka. Lepiej to wszystko spalić.

„Wiara...”, przypomniał sobie głos z przeszłości. Jego własny głos, kiedy rozmawiał z Vin tego strasznego dnia po śmierci Kelsiera. „Wiara nie jest czymś wyłącznie na dobre czasy i jasne dni. Czym jest zaufanie... czym jest wiara, jeśli porzucasz ją po klęsce...”.

Jakże niewinny wtedy był.

„Lepiej ufać i zostać zdradzonym”, szeptał Kelsier. To było motto Ocalałego. Lepiej kochać i zostać zranionym.

Sazed chwycił księgę. Była pozbawiona znaczenia. Zniszczenie w każdej chwili mogło zmienić jej tekst. Czy ja w to wierzę? - pomyślał z frustracją Sazed. Czy wierzę w to Zniszczenie, ale w nic lepszego?

Stał w komnacie, trzymając tom i słuchając głosów Breeze'a i TenSoona. Księga była dla niego symbolem. Oznaczała to, czym kiedyś był. Oznaczała porażkę. Znow podniósł

wzrok. Proszę, pomyślał. Chcę uwierzyć. Naprawdę. Ja tylko... ja tylko potrzebuję czegoś.

Czegoś więcej niż cienie i wspomnienia. Czegoś prawdziwego.

Czegoś prawdziwego. Proszę.

- Żegnaj, Uspokajaczu - powiedział TenSoon. - I przekaz moje pozdrowienia Głosicielowi.

Wtedy Sazed usłyszał, jak Breeze odchodzi. TenSoon ruszył korytarzem na swych psich łapach.

Głosiciel...

Sazed znieruchomiał.

To słowo...

Sazed stał, oszołomiony. Później gwałtownie otworzył drzwi i wypadł na korytarz.

Skrzydło drzwi uderzyło o ścianę, Breeze aż podskoczył na ten dźwięk. TenSoon zatrzymał się na końcu korytarza, w pobliżu schodów. Odwrócił się i spojrzał na Sazedą.

- Jak mnie nazwałeś? - spytał ostro Sazed.

- Głosicielem - odparł TenSoon. - Czyż to nie ty nazwałeś lady Vin Bohaterem Wieków? W takim razie taki przysługuje ci tytuł.

Sazed opadł na kolana, upuszczając na podłogę przed sobą księgę - tę samą, którą napisał z Tindwyl. Przerzucił kartki, znajdując jedną, zapisaną swoją własną ręką. „Uważałem się za Świętego Pierwszego Świadka”, brzmiały zapisane na niej słowa, „proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków”. To były słowa Kwaana, człowieka, który pierwotnie ogłosił Alendiego Bohaterem. Pisma te, stanowiące jedyną wskazówkę na temat pierwotnej religii Terris, pozwoliły Sazedowi i pozostałym zyskać pewne ograniczone informacje na temat Bohatera Wieków i prorocत्व z nim związanych.

- Co to takiego? - spytał Breeze, pochylając się i odczytując słowa. - Hm, chyba ci się pomyliły terminy, piesku. Wcale nie „Głosiciel”, tylko „Święty Świadek”.

Sazed podniósł wzrok.

- To jeden z fragmentów zmienionych przez Zniszczenie, Breeze - powiedział cicho. -

Kiedy je zapisałem, brzmiały inaczej... ale Zniszczenie je zmieniło, próbując skłonić mnie i Vin do spełnienia jego prorocत्व. Skaa zaczęli mnie nazywać Świętym Świadkiem, to oni wymyślili to określenie. Dlatego Zniszczenie zmieniło później pisma Kwaana, żeby wydawały się prorocत्व i odnosiły się do mnie.

- Naprawdę? - spytał Breeze, pocierając brodę. - Więc jak to zdanie brzmiało wcześniej?

Sazed zignorował pytanie. Wpatrzył się w psie oczy TenSoona.

- Skąd wiesz? - spytał. - Skąd znasz starożytne terrisańskie przepowiednie?

TenSoon usadowił się na tylnych łapach.

- Wydaje mi się to dziwne, Terrisaninie. W tym wszystkim jest jedna wielka niekonsekwencja, problem, na który nikt nie zwrócił uwagi. Co się stało z tragarzami, którzy udali się z Rashekiem i Alendim do Studni Wstąpienia?

Rashek. Człowiek, który został Ostatnim Imperatorem.

Breeze się wyprostował.

- To proste - powiedział, machając laską. - Wszyscy wiedzą, że kiedy Ostatni Imperator objął władzę w Khlennium, nadał szlacheckie tytuły swoim zaufanym przyjaciołom. To dlatego arystokracja Ostatniego Imperium była tak rozpieszczana...

pochodzili od dobrych przyjaciół Rasheka.

TenSoon siedział w milczeniu.

Nie, pomyślał z zaskoczeniem Sazed. Nie... to niemożliwe!

- Nie mógł uczynić z tych tragarzy szlachetnie urodzonych.

- A czemu nie? - spytał Breeze.

- Ponieważ arystokracja zyskała Allomancję - wyjaśnił Sazed, wstając. - Przyjaciele Rasheka byli Feruchemikami. Gdyby uczynił z nich arystokratów...

- Mogliby rzucić mu wyzwanie - dokończył TenSoon. - Mogliby stać się jednocześnie Allomantami i Feruchemikami, tak jak on, i zyskać te same moce.

- Tak - zgodził się Sazed. - Przez dziesięć stuleci bardzo starał się pozbyć Feruchemii dziedziczonej wśród Terrisan... bojąc się, że pewnego dnia urodzi się ktoś obdarzony jednocześnie Feruchemią i Allomancją! Przyjaciele, którzy udali się z nim do Studni, byli niebezpieczni, ponieważ z pewnością byli potężnymi Feruchemikami i wiedzieli, co Rashek zrobił z Alendim. Rashek musiał zrobić z nimi coś innego. W jakiś sposób odosobnić, może nawet zabić...

- Nie - sprzeciwił się TenSoon. - Nie zabił ich. Nazywasz Ojca potworem, ale on nie był złym człowiekiem. Nie zabił przyjaciół, choć wiedział, jak wielkim zagrożeniem jest dla niego ich moc. Dlatego zaproponował im umowę, mówiąc bezpośrednio do ich umysłów, kiedy posiadał moc tworzenia.

- Jaką umowę? - spytał wyraźnie zdezorientowany Breeze.

- Nieśmiertelność - powiedział cicho TenSoon. - W zamian za Feruchemię. Oddali ją, a z nią coś jeszcze.

Sazed wpatrywał się w istotę w korytarzu, istotę, która myślała jak człowiek, mimo zwierzęcej postaci.

- Oddali swoje człowieczeństwo - wyszeptał.

TenSoon pokiwał głową.

- Wciąż żyją? - spytał Sazed, robiąc krok do przodu. - Towarzysze Ostatniego Imperatora? Ci sami Terrisanie, którzy wspięli się z nim do Studni?

- Nazywamy ich Pierwszym Pokoleniem - wyjaśnił TenSoon. - Ojcowie założyciele kandra. Ojciec zmienił każdego żyjącego Feruchemika w mgielnego upiora, zapoczątkowując istnienie tej rasy. Jego dobrzy przyjaciele odzyskali jednak świadomość dzięki przebiciu hemalurgicznym kolcem. Żle wykonujesz swoją pracę, Opiekunie. Spodziewałem się, że wyciągniesz to ze mnie na długo, nim będę musiał odejść.

Byłem głupcem, pomyślał Sazed, mrugając ze łzami w oczach. Wielkim głupcem.

- Co? - spytał Breeze, marszcząc czoło. - Co się dzieje, Sazedzie? Mój drogi, dlaczego jesteś taki poruszony? Co znaczą słowa tego stwora?

- Oznaczają nadzieję - odparł Sazed. Wpadł do swojej komnaty i pośpiesznie wrzucił trochę ubrań do worka podróżnego.

- Nadzieję? - powtórzył Breeze, zaglądając do środka.

Sazed odwrócił się do Uspokajacza. Kandra podszedł bliżej i stanął za nim w korytarzu.

- Religia Terrisan, Breeze - wyjaśnił Sazed. - To z jej powodu stworzono moją organizację, to jej poszukiwaniu poświęcali całe życie moi bracia i siostry. Ona istnieje nadal.

Nie w zapisanych słowach, które mogą zostać zmienione i wypaczone. Lecz w umysłach ludzi, którzy naprawdę ją wyznawali. Religia Terrisan nie zginęła!

Istniała jeszcze jedna wiara, którą musiał dodać do swojej listy. Jego misja jeszcze się nie skończyła.

- Szybko, Opiekunie - powiedział TenSoon. - Byłem gotów odejść bez ciebie, gdyż wszyscy zgadzali się, że nie obchodzą cię już te sprawy. Jeśli wyruszysz ze mną, pokażę ci drogę do mojej Ojczyzny... leży przy szlaku, którym muszę się udać, by odnaleźć Vin. Może tobie uda się przekonać Pierwsze Pokolenie tam, gdzie mnie się nie udało.

- A do czego miałbym ich przekonać? - spytał Sazed, nie przerywając pakowania.

- Że nadszedł koniec.

Zniszczenie wiele razy próbował wbić kolce w innych członków ekipy. Choć niektóre z wydarzeń mogłyby świadczyć, że nie miał kłopotu z zapanowaniem nad ludźmi, wcale tak nie było.

Wbicie metalu we właściwie miejsce - w odpowiedniej chwili - było nieprawdopodobnie trudne,

nawet dla takiej istoty jak Zniszczenie. W końcu bardzo się starał

przebić Elenda i Yomena. Elendowi udało się tego uniknąć za każdym razem, na przykład na polu pod niewielką wioską, w której znajdował się przedostatni magazyn.

Zniszczeniu raz nawet udało się wbić kolec w Yomena. Jednak obligator usunął go, zanim Zniszczenie całkiem nad nim zapanował. Zniszczeniu o wiele łatwiej było przejąć władzę nad ludźmi, którzy byli pełni namiętności i impulsywni, niż nad tymi, którzy kierowali się logiką i starannie obmyślali wszystkie swoje działania.

63

- Jednego nie rozumiem - powiedziała Vin. - Dlaczego wybrałeś mnie? Miałeś tysiące lat i setki tysięcy ludzi, których mogłeś wybrać. Dlaczego to mnie poprowadziłeś do Studni Wstąpienia, bym cię uwolniła?

Wróciła do swojej celi i siedziała na pryczy - która teraz leżała płasko na podłodze, ponieważ po wykręceniu śrub odpadły jej nogi. Vin poprosiła o nową pryczę, ale została zignorowana.

Zniszczenie zwrócił się w jej stronę. Przychodził do niej często, nosząc ciało Reena, wciąż pozwalając sobie na coś, co Vin uważała za chępczenie się. Jak to jednak często robił, zignorował jej pytanie. Miast tego zwrócił się na wschód i wpatrzył w ścianę, jakby mógł

przez nią widzieć.

- Żałuję, że nie możesz tego zobaczyć - powiedział. - Opady popiołu stały się piękne i gęste, jakby samo sklepienie niebieskie się roztrzaskało, a jego odłamki spadały na ziemię w postaci czarnych płatków. Czujesz drżenie ziemi?

Vin nie odpowiedziała.

- Te trzęsienia to ostatnie westchnienia ziemi - stwierdził Zniszczenie. - Niczym starzec jęczący w chwili śmierci, wzywający swoje dzieci, by przekazać im ostatnie słowa mądrości. Ziemia się rozpada. Wiele z tego uczynił sam Ostatni Imperator. Możesz go o to obwiniać, jeśli chcesz.

Vin nadstawiła uszu. Nie zwracała na siebie uwagi, zadając kolejne pytania, i zamiast tego pozwoliła Zniszczeniu rozwodzić się dalej. Znów zwróciła uwagę, jak bardzo ludzkie wydawały się niektóre z jego nawyków.

- Sądził, że sam rozwiąże problemy - mówił dalej Zniszczenie. - Odrzucił mnie, wiesz.

A to wydarzyło się dokładnie przed tysiącem lat, pomyślała Vin. Minęło tysiąc lat, od kiedy misja Alendiego się nie powiodła; tysiąc lat od kiedy Rashek wziął dla siebie moc i stał

się Ostatnim Imperatorem. To część odpowiedzi na moje pytanie. Błyszczący płyn w Studni Wstąpienia zniknął, kiedy skończyłam uwalniać Zniszczenie. Musiał też zniknąć, gdy Rashek go wykorzystał.

Tysiąc lat. Czas potrzebny, by Studnia odzyskała moc? Ale czym jest ta moc? Skąd się wzięła?

- Ostatni Imperator tak naprawdę wcale nie uratował świata - mówił dalej Zniszczenie.

- Jedyne opóźnił jego zagładę... i w ten sposób pomógł mnie. Tak zawsze być musi, jak ci mówiłem. Kiedy ludzie sądzą, że pomagają światu, czynią więcej zła niż dobra. Tak jak ty.

Myślałaś, że pomagasz, ale tak naprawdę mnie uwolniłaś.

Zniszczenie spojrzał na nią i uśmiechnął się jak dumny ojciec. Nie zareagowała.

- Popielne góry - mówił dalej - umierający krajobraz, złamani ludzie... to wszystko dzieło Rasheka. Wypaczenie ludzi, by stali się kolosami, kandra i Inkwizytorami, to jego...

- Ale nienawidziłeś go - wtrąciła Vin. - Nie uwolnił cię... musiałeś poczekać kolejne tysiąc lat.

- To prawda. Ale tysiąc lat to krótko. Bardzo krótko. Poza tym nie mogłem nie pomóc Rashekowi. Pomagam wszystkim, ponieważ moja moc jest narzędziem... jedynym narzędziem prowadzącym do zmiany.

Wszystko się kończy, pomyślała Vin. Naprawdę. Nie mam czasu siedzieć i czekać.

Muszę coś zrobić.

Vin wstała, sprawiając, że Zniszczenie na nią spojrzał, i podeszła do drzwi celi.

- Straże! - zawołała. Jej głos odbijał się echem w celi. - Straże!

W końcu usłyszała tupot stóp.

- Co? - spytał ktoś szorstko.

- Powiedz Yomenowi, że chcę zawrzeć układ.

Milczenie.

- Układ? - spytał w końcu strażnik.

- Tak - powiedziała Vin. - Powiedz mu, że mam informacje, którymi chcę się z nim podzielić.

Nie była pewna, jak odczytać reakcję strażnika, gdyż ten nie powiedział już nic więcej.

Wydawało się jej, że słyszy jego oddalające się kroki, ale bez cyny nie mogła być pewna.

W końcu jednak strażnik powrócił. Zniszczenie przyglądał się jej z zainteresowaniem, gdy przekręcono klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Na zewnątrz stał ten sam co zawsze oddział.

- Chodź z nami.

* * *

Gdy Vin weszła do sali audiencyjnej Yomena, natychmiast zwróciła uwagę na zmiany w jego wyglądzie. Wydawał się o wiele bardziej wynędzniały niż wcześniej, jakby stanowczo zbyt długo nie spał.

Ale... jest Zrodzonym z Mgły, pomyślała Vin. To znaczy, że może spalać cynę z ołowiem, żeby stłumić zmęczenie.

Dlaczego tego nie robi? A jeśli... nie może jej spalać? A jeśli może korzystać tylko z jednego metalu?

Zawsze dotąd słyszała, że nie ma czegoś takiego jak Mglisty spalający atium, ale z drugiej strony coraz lepiej rozumiała, że Ostatni Imperator rozpowszechniał liczne błędne informacje, by zachować władzę i kontrolę. Musiała przestać polegać na tym, co przedstawiano jej jako prawdę, a skupiać się na faktach, które sama odkrywała.

Yomen przyglądał się jej, gdy wchodziła w otoczeniu strażników. Widziała w jego oczach, że spodziewa się jakiegoś podstępu z jej strony - jak zawsze czekał, by to ona zrobiła pierwszy ruch. Wydawało się, że lubi stać na samej krawędzi. Strażnicy zajęli stanowiska przy drzwiach, zostawiając ją pośrodku komnaty.

- Żadnych kajdan? - spytała.

- Nie - odparł Yomen. - Nie spodziewam się, byś została tu dłużej. Strażnicy powiedzieli mi, że zaproponowałaś informacje.

- Owszem.

- Cóż - powiedział Yomen, trzymając ręce splecione za plecami. - Powiedziałem im, że mają cię przyprowadzić, nawet jeśli podejrzewają podstęp. Najwyraźniej nie uwierzyli, że chcesz zawrzeć układ. Ciekawe dlaczego. - Uniósł brew.

- Zadaj mi pytanie - powiedziała Vin.

Z boku Zniszczenie przeszedł przez ścianę swobodnym, obojętnym krokiem.

- Dobrze - stwierdził Yomen. - W jaki sposób Elend panuje nad kolossami?

- Allomancja - odparła Vin. - Allomancja działająca na uczucia, jeśli zostanie wykorzystana przeciwko kolossom, pozwala Allomancie zapanować nad nimi.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedział beznamiętnie Yomen. - Gdyby to było takie proste, ktoś inny poza wami by to odkrył.

- Większość Allomantów jest na to za słaba - wyjaśniła Vin. - Trzeba wykorzystać metal, który wzmacnia moce.

- Nie ma takiego metalu.

- Słyszałeś o aluminium?

Yomen milczał, ale Vin widziała w jego oczach, że tak.

- Duraluminium to allomantyczny stop aluminium - powiedziała. - Aluminium tłumi moce innych metali, a duraluminium je wzmacnia. Połącz duraluminium z cynkiem albo mosiądzem, później Przyciągnij uczucia kolossa, a będzie należał do ciebie.

Yomen nie nazwał jej słów kłamstwem. Zniszczenie jednak podszedł bliżej i zaczął okręzać Vin.

- Vin, Vin. W co teraz grasz? - spytał z rozbawieniem. - Chcesz go nakarmić ochłapami, a później zdradzić?

Yomen najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku.

- Te fakty są bardzo interesujące, cesarzowo, ale w mojej obecnej sytuacji nie do udowodnienia. Dlatego są...

- Było pięć takich jaskiń z zapasami - powiedziała Vin, robiąc krok do przodu. -

Znaleźliśmy pozostałe. Doprowadziły nas tutaj.

Yomen pokręcił głową.

- I? Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

- Twój Ostatni Imperator miał jakieś plany związane z jaskiniami... świadczy o tym tablica, którą zostawił w tej w Fadrex. Mówi, że nie wymyślił żadnego sposobu, by walczyć z tym, co się dzieje ze światem, ale czy w to wierzysz? Czuję, że musi być coś więcej, jakaś wskazówka ukryta w tekstach na wszystkich pięciu tablicach.

- Spodziewasz się, że uwierzę, że obchodzi cię to, co napisał Ostatni Imperator? -

spytał Yomen. - Ciebie, która rzekomo go zabiłaś?

- On mnie absolutnie nie obchodzi - przyznała Vin. - Ale, Yomenie, musisz uwierzyć, że obchodzi mnie to, co stanie się z mieszkańcami imperium! Jeśli zebrałeś jakieś informacje na temat Elenda i mnie, wiesz, że to prawda.

- Twój Elend to człowiek, który ma stanowczo zbyt wysokie mniemanie o sobie -

stwierdził Yomen. - Przeczytał wiele ksiąg i zakłada, że wiedza uczyni z niego dobrego króla.

Ty... wciąż nie wiem, co o tobie myśleć. - W jego oczach pojawiła się ta nienawiść, którą widziała podczas ostatniego spotkania. - Twierdzisz, że zabiłeś Ostatniego Imperatora. On jednak... nie mógł naprawdę umrzeć. Jesteś częścią tego wszystkiego.

Mam, pomyślała Vin. To moja szansa.

- Chciał, żebyśmy się spotkali - powiedziała. Nie wierzyła w to, ale Yomen mógł uwierzyć.

Uniósł brew.

- Nie rozumiesz? Elend i ja odkryliśmy inne jaskinie, pierwszą pod samym Luthadel.

Później przybyliśmy tutaj. To była ostatnia z pięciu. Koniec drogi. Z jakiegoś powodu Ostatni Imperator zapragnął doprowadzić nas tutaj. Do ciebie.

Yomen przez kilka chwil stał w milczeniu. Z boku Zniszczenie udał, że klaszcze.

- Poślijcie po Lellina - powiedział Yomen, zwracając się do jednego z żołnierzy. -

Niech przyniesie mapy.

Żołnierz zasalutował i odszedł. Yomen odwrócił się do Vin, wciąż z pochmurną miną.

- To nie będzie wymiana. Dasz mi informacje, o które poproszę, a ja się zastanowię, co z nimi zrobić.

- Doskonale. Ale sam właśnie powiedziałaś, że jestem związana z tym wszystkim. To wszystko jest ze sobą powiązane, Yomenie. Mgły, kolossy, ja, ty, jaskinie, popiół...

Wzdrygnął się lekko, gdy Vin wypowiedziała ostatnie słowo.

- Popiół staje się coraz gorszy, prawda? - spytała. - Spada coraz gęściej?

Yomen pokiwał głową.

- Zawsze przejmowaliśmy się mgłami - powiedziała. - Ale to popiół nas zabije.

Odetnie słońce, zatopi miasta, zakryje ulice, zadusi pola...

- Ostatni Imperator na to nie pozwoli - stwierdził Yomen.

- A jeśli on naprawdę nie żyje?

Yomen spojrzał jej w oczy.

- To skazałaś nas wszystkich na zagładę.

Zagłada... Ostatni Imperator powiedział coś podobnego, nim Vin go zabiła. Zadrżała, czekając i znosząc uśmiezek Zniszczenia, aż do komnaty wpadł skryba, niosący kilka zwiniętych map.

Yomen wyjął jedną z map i gestem odesłał mężczyznę. Rozłożył ją na stole i wezwał

Vin bliżej.

- Pokaż mi - powiedział, cofając się poza jej zasięg, gdy podeszła bliżej.

Podniosła kawałek węgla i zaczęła oznaczać lokalizacje jaskini z zapasami. Luthadel.

Satren. Vetitan. Urteau. Wszystkie pięć, które znalazła, wszystkie w pobliżu Środkowego Dominium - jedna w środku, pozostałe cztery tworzące prostokąt wokół niej. Narysowała ostatnie X obok Fadrex.

Później, wciąż trzymając w palcach węgiel, zauważyła coś jeszcze. Na tej mapie wokół Fadrex jest mnóstwo kopalni, pomyślała. Mnóstwo metalu w okolicy.

- Cofnij się - powiedział Yomen.

Vin się wycofała. Podeszedł bliżej i przyjrzał się mapie. Vin stała w milczeniu i zastanawiała się. Skrybom Elenda nie udało się znaleźć żadnych cech wspólnych lokalizacji jaskiń. Dwie są w małych miastach, dwie w większych. Część w pobliżu kanałów, inne nie.

Skrybowie twierdzili, że nie mają wystarczająco dużego zbioru, by określić wzorce.

- To wydaje się zupełnie przypadkowe - powiedział Yomen, jakby czytał jej w myślach.

- Nie wymyśliłam tych lokalizacji, Yomenie - odparła, zakładając ręce na piersi. -

Twoi szpiegowie mogą potwierdzić, gdzie Elend zabrał swoje armie lub wysłał emisariuszy.

- Nie wszyscy z nas mają wystarczające zasoby, by utrzymywać ogromne sieci szpiegów - zauważył beznamiętnie Yomen, spoglądając z powrotem na mapę. - Musi istnieć jakiś wzorzec...

Vetitan, pomyślała Vin. Miejsce, gdzie znaleźliśmy poprzednią jaskinię. To też było górnicze miasteczko. I Urteau również.

- Yomenie? - odezwała się, podnosząc wzrok. - Czy masz mapę, na której są zaznaczone złoża minerałów?

- Oczywiście - odparł. - W końcu jesteśmy Kantonem Zasobów.

- Wyciągnij ją.

Yomen uniósł brew, pokazując, co sądzi o wydawaniu przez nią rozkazów. Jednakże gestem kazał skrybie spełnić jej polecenie. Druga mapa znalazła się na pierwszej, a Vin podeszła bliżej. Yomen natychmiast wycofał się poza jej zasięg.

Ma niezłe instynkty jak na biurokratę, pomyślała, wyciągając kawałek węgla spod mapy. Szybko narysowała pięć znaków. Przy każdym kolejnym jej dłoń sztywniała coraz bardziej. Każda jaskinia znajdowała się na kamienistym terenie, w pobliżu kopalni metali.

Nawet Luthadel miało bogate złoża. Wedle podań Ostatni Imperator wybudował stolicę w tym właśnie miejscu z powodu bogactwa minerałów, szczególnie w wodzie gruntowej. Tym lepiej dla Allomantów.

- Co chcesz zasugerować? - spytał Yomen. Podeszedł na tyle blisko, by zobaczyć, co zaznaczyła.

- Oto związek - powiedziała Vin. - Wybudował magazyny w pobliżu źródeł metalu.

- A może to czysty przypadek?

- Nie - odparła Vin. Podniosła wzrok i spojrzała na Zniszczenie. - Nie, metal równa się Allomancja, Yomenie. To wzorzec.

Yomen odesłał ją gestem.

- Narysowałaś znaczki przy każdej z najbardziej wydajnych kopalni wewnętrznego imperium. I ja mam ci uwierzyć, że się ze mną nie bawisz, dając mi widmowe „dowody”, że tam naprawdę znajdują się jaskinie z zapasami?

Vin go zignorowała.

Metal. Słowa Kwaana zapisano w metalu, ponieważ twierdził, że tak będą bezpieczne.

Bezpieczne, ponieważ nie zostaną zmienione, jak zakładaliśmy.

A może chodziło mu o to, że będą bezpieczne, bo nie zostaną odczytane?

Ostatni Imperator narysował mapy na metalowych płytach.

A jeśli Zniszczenie nie mógł sam znaleźć jaskini, ponieważ chronił je metal? Wtedy potrzebowałby kogoś, kto go zaprowadzi. Kogoś, kto odwiedzi każdą z nich, odczyta zawartą tam mapę i poprowadzi go dalej...

Ostatni Imperatorze! Znów popełniliśmy ten sam błąd! Zrobiliśmy dokładnie to, czego od nas chciał. Nic dziwnego, że pozwolił nam żyć!

Jednakże, zamiast wstydu, tym razem Vin poczuła narastającą wściekłość. Spojrzała na Zniszczenie, który stał tam, emanując aurą kosmicznej mądrości. Jego pełne zrozumienia oczy, ojcowski ton i boska arogancja.

Nie znówu, pomyślała Vin, zaciskając zęby. Tym razem przejrzałam go. To znaczy, że mogę go oszukać. Ale... muszę wiedzieć dlaczego. Dlaczego tak bardzo interesowały go te magazyny? Czego potrzebuje, zanim zwycięży w tej bitwie? Z jakiego powodu czekał tak długo?

Nagle odpowiedź stała się dla niej oczywista. Gdy przeanalizowała swoje uczucia, uświadomiła sobie, że jeden z głównych powodów, dla których poszukiwała jaskini, był

ciągle podawany w wątpliwość przez Elenda. Vin jednak wciąż odwiedzała jaskinie, szukając jednego. Czowała, że to ważne, choć nie umiała wyjaśnić powodów.

Coś, co przez tysiąc lat było podstawą gospodarki imperium. Najpotężniejszy z metali allomantycznych.

Atium.

Dlaczego miała taką obsesję na jego punkcie? Elend i Yomen mieli rację - atium nie miało większego znaczenia w obecnym świecie. Ale jej uczucia temu przeczyły. Dlaczego?

Czy to dlatego, że Zniszczenie go pragnęło, a Vin miała jakiś niewyjaśniony z nim związek?

Ostatni Imperator powiedział, że Zniszczenie nie może czytać jej w myślach. Jedno wiedziała: że umiał wpływać na jej uczucia. Zmienić sposób, w jaki postrzegała różne kwestie, popchnąć ją naprzód. Skłonić ją do poszukiwania rzeczy, których pragnął.

Rozważając swoje uczucia, widziała plan Zniszczenia, sposób, w jaki nią manipulował, sposób, w jaki myślał. Zniszczenie pragnął atium! I Vin uświadomiła sobie z dreszczem przerażenia, że zaprowadziła go prosto do celu. Nic dziwnego, że był z siebie taki zadowolony! - pomyślała Vin. Nic dziwnego, że zakładał, że zwycięży!

Dlaczego boska istota była tak bardzo zainteresowana czymś tak zwyczajnym jak allomantyczny metal? To pytanie sprawiło, że na chwilę zwątpiła w swoje wnioski. Ale wtedy właśnie otworzyły się drzwi sali.

Za nimi stał Inkwizytor.

Yomen i żołnierze natychmiast opadli na jedno kolano. Vin wbrew woli cofnęła się o krok. Wysoka istota stała wyprostowana, jak wszystkie z jej rodzaju, i wciąż nosiła szare szaty swojego urzędu sprzed Upadku. Łysą głowę ozdabiała skomplikowane tatuaże, większość czarna, jeden jaskrawoczerwony. I oczywiście, zamiast oczu miał kolce. Jeden został wbity głębiej niż drugi, miażdżąc kości oczodołu. Twarz istoty, wykrzywiona w nieludzkim grymasie, niegdyś była dobrze znana Vin.

- Marsh? - wyszeptała przerażona.

- Milordzie - powiedział Yomen, wyciągając ręce. - W końcu przybyłeś! Wysyłałem posłańców, szukając...

- Cisza - powiedział szorstko Marsh i ruszył naprzód. - Wstań, obligatorze.

Yomen wstał pośpiesznie. Marsh spojrział na Vin, uśmiechnął się lekko, po czym zaczął ją ignorować. Spojrział jednak prosto na Zniszczenie i schylił z pokorą głowę.

Vin zadrżała. Rysy twarzy Marsha, choć wypaczone, przypominały jej jego brata.

Kelsiera.

- Wkrótce zostaniecie zaatakowani, obligatorze - powiedział Marsh. Zamaszystym krokiem podszedł do okna po drugiej stronie komnaty i otworzył je szeroko. Przez nie Vin mogła zobaczyć ponad skalistymi półkami miejsce, gdzie armia Elenda stacjonowała nad kanałem.

Tyle tylko, że kanału nie było. Nie było skalistych półek. Wszystko wypełniała jednolita czerń. Z nieba spadał popiół, gęsty jak śnieżyca.

Ostatni Imperatorze! - pomyślała Vin. Jest aż tak źle!

Yomen pośpieszył do okna.

- Zaatakowani, milordzie? Ale nawet nie zwinęli jeszcze obozu!

- Kolossy zaatakują niespodziewanie - powiedział Inkwizytor. - Nie muszą formować szyków, po prostu rzucą się do natarcia.

Yomen znieruchomiał, po czym odwrócił się do żołnierzy.

- Przygotujcie obronę! Zbierzcie ludzi na pierwszych wzniesieniach!

Żołnierze wybiegli z komnaty. Vin stała w milczeniu. Człowiek, którego znałam jako Marsha, nie żyje, pomyślała. Próbował zabić Sazedę, teraz jest jednym z nich. Zniszczenie...

Zapanowało nad nim...

W jej głowie pojawiła się myśl.

- Szybko, obligatorze - powiedział Marsh. - Nie przyszedłem bronić twojego żalosego miasta. Przyszedłem po to, co znalazłeś w tej jaskini.

- Milordzie? - spytał zaskoczony Yomen.

- Twoje atium, Yomenie - powiedział Inkwizytor. - Oddaj mi je. Nie może pozostać w tym mieście w czasie ataku, na wypadek gdybyś jednak się poddał. Zabiorę je w bezpieczne miejsce.

Vin zamknęła oczy.

- Milordzie? - powiedział w końcu Yomen. - Możecie oczywiście wziąć wszystko, co posiadam. Ale w magazynie nie było atium. Mam tylko siedem bryłek, które sam zebrałem, Kanton Zasobów przechowuje je jako rezerwę.

Vin otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Niemożliwe! - ryknął Marsh. - Ale wcześniej powiedziałaś dziewczynie, że je masz!

Yomen zbladł.

- Podstęp, milordzie. Wydawała się przekonana, że posiadam zapas atium, więc pozwoliłem jej myśleć, że ma rację.

- NIE!

Vin podskoczyła, słysząc nagły ryk. Yomen nawet nie drgnął - i po chwili Vin zrozumiała dlaczego. To Zniszczenie krzyczał. Stał się niewyraźny, stracił postać Reena, jego sylwetka rozpadła się w wir czerni. Prawie jak mgła, tylko o wiele ciemniejsza.

Widziała już wcześniej tę czerń. Przeszła przez nią, w jaskini pod Luthadel, w drodze do Studni Wstąpienia.

Po chwili Zniszczenie wrócił. Znowy wyglądał jak Reen. Założył ręce za plecami i wcale nie patrzył na nią, jakby próbował udawać, że nie stracił panowania nad sobą. W jego oczach widziała jednak frustrację. Gniew. Cofnęła się od niego - zbliżając się tym samym do Marsha.

- Ty głupcze! - powiedział Marsh, oddalając się od niej, zwracając się do Yomena. -

Ty idioto!

Do kata, pomyślała Vin.

- Ja... - zaczął mówić Yomen, wyraźnie zdezorientowany. - Milordzie, po co ci atium?

Jest bezwartościowe, kiedy nie ma Allomantów i rodów, które by za nie płaciły.

- Nic nie wiesz - warknął Marsh i uśmiechnął się. - Ale jesteś skazany na zagładę. O

tak... zagładę.

Widziała, jak na zewnątrz armia Elenda zwija obóz. Yomen odwrócił się znowu w stronę okna, a Vin podeszła bliżej, jakby chciała przyjrzeć się uważniej. Siły Elenda się zbierały - ludzie i kolosy. Najwyraźniej zauważyli wzmocnienie obrony miasta i zrozumieli, że nie mają już przewagi

zaskoczenia.

- To spustoszy miasto - powiedział Zniszczenie, stając obok Vin. - Twój Elend jest dobrym sługą, dziecko. Jednym z najdoskonalszych. Powinnaś być z niego dumna.

- Tak wiele kolosów... - wyszeptał Yomen. - Milordzie, nie pokonamy tak wielu.

Potrzebujemy waszej pomocy.

- A dlaczego miałbym wam pomóc? - spytał Marsh. - Zawiodłeś i nie dostarczyłeś mi tego, czego potrzebuję.

- Ale pozostałem wierny - powiedział Yomen. - Kiedy wszyscy porzucili Ostatniego Imperatora, ja mu wciąż służyłem.

- Ostatni Imperator nie żyje - prychnął Marsh. - Też okazał się bezużytecznym sługą.

Yomen zbladł.

- Niech to miasto spłonie w gniewie czterdziestu tysięcy kolosów - powiedział Marsh.

Czterdzieści tysięcy, pomyślała Vin. Gdzieś znalazł więcej. Atak wydawał się logicznym rozwiązaniem - mógł w końcu zdobyć miasto i może dać Vin szansę, by uciekła w chaosie. Bardzo logiczne, bardzo inteligentne. A jednak Vin nagle poczuła pewność.

- Elend nie zaatakuję - stwierdziła.

Sześcioro oczu - dwoje stalowych, dwoje ludzkich i dwoje bezcielesnych - zwróciło się w jej stronę.

- Elend nie wypuści tak wielu kolosów na miasto - powiedziała. - Próbuje cię zastraszyć, Yomenie. A ty powinieneś posłuchać. Czy wciąż będziesz posłuszny temu stworowi, temu Inkwizytorowi? On tobą gardzi. Przyłącz się do nas.

Yomen zmarszczył czoło.

- Mógłbyś walczyć z nim u mojego boku - powiedziała. - Jesteś Allomantą. Te potwory można pokonać.

Marsh się uśmiechnął.

- Vin, ty i idealizm?

- Idealizm? - powtórzyła, zwracając się w jego stronę. - Myślisz, że to idealizm, jeśli wierzę, że mogę zabić Inkwizytora? Wiesz, że robiłam to już wcześniej.

Marsh machnął lekceważąco ręką.

- Nie mówię o twoich absurdalnych groźbach. Mówię o nim. - Wskazał na armię pod miastem. - Twój Elend należy do Zniszczenia, tak samo jak ja... tak samo jak ty. Wszyscy stawiamy opór, ale w końcu wszyscy mu się kłaniamy. Dopiero wtedy rozumiemy piękno, jakie jest w zagładzie.

- Twój bóg nie panuje nad Elendem - sprzeciwiła się Vin. - Wciąż powtarza, że tak jest, ale kłamie. A może sam też jest idealistą?

Yomen obserwował ich, wyraźnie skonfundowany.

- A jeśli on zaatakuje? - spytał cicho Marsh. - Co to by znaczyło, Vin? A jeśli wyśle żadne krwi kolosy na to miasto, każe im mordować, i wszystko po to, by zdobyć coś, czego tak bardzo potrzebuje... a przynajmniej tak sądzi? Atium i żywność nie mogły skłonić go do ataku... a ty? Jak się będziesz z tym czuła? Zabijałaś dla niego. Dlaczego nie wierzysz, że Elend robi to samo dla ciebie?

Vin zamknęła oczy. Wróciły do niej wspomnienia ataku na wieżę Cetta. Wspomnienia bezsensownego mordowania z Zanem u boku. Wspomnienia ognia, śmierci i Allomanty na swobodzie.

Nigdy później tak nie zabijała.

Otworzyła oczy. Dlaczego Elend miałby nie zaatakować? Atak miał sens. Wiedział, że mógłby bez trudu zdobyć miasto. Ale wiedział też, że ma problemy z zapanowaniem nad kolosami, kiedy ich żądza krwi stała się zbyt wielka...

- Elend nie zaatakuje - powiedziała cicho. - Ponieważ jest lepszym człowiekiem ode mnie.

Można zwrócić uwagę, że Zniszczenie nie wysłał Inkwizytorów do Fadrex do chwili, gdy Yomen - fałszywie - potwierdził, że ma atium. Dlaczego nie wysłał ich w chwili, gdy ostatnia jaskinia została zlokalizowana? Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla jego sług?

Trzeba tu zauważyć, że zdaniem Zniszczenia wszyscy ludzie byli jego sługami, szczególnie ci, którymi mógł manipulować bezpośrednio. Nie wysłał Inkwizytora, ponieważ oni byli zajęci innymi zadaniami. Zamiast tego wysłał kogoś, kto - jego zdaniem - był

dokładnie tym samym, co Inkwizytor.

Próbował przebić Yomena i nie udało mu się, a wtedy na miejsce przybyła armia Elenda. Dlatego wykorzystał innego pionka, by zbadał dla niego jaskinię i sprawdził, czy rzeczywiście jest w niej atium. Z początku nie poświęcił w mieście zbyt wielu zasobów, obawiając się fortelu ze strony Ostatniego Imperatora. Podobnie jak on, ja również wciąż się zastanawiam, czy magazyny nie miały również i tego celu - odwrócenia uwagi Zniszczenia i zapewnienia mu zajęcia.

- I dlatego właśnie musisz koniecznie wysłać tę wiadomość, Spook. Fragmenty tego wszystkiego wirują, rzucone na wiatr. Ty masz wskazówkę, której nie zna nikt poza tobą.

Wyślij ją w moim imieniu.

Spook pokiwał głową, czując się niewyraźnie. Gdzie był? Co się działo? I dlaczego wszystko nagle tak bolało?

- Dzielny chłopak. Dobrze sobie poradziłeś. Jestem z ciebie dumny.

Znów próbował pokiwać głową, ale wszystko było niewyraźne i czarne. Zakaszłał, wywołując parę sapnięć w odległym miejscu. Jęknął. Kilka części ciała bolało go dość mocno, choć inne jedynie mrowiły. Jeszcze inne... cóż, ich wcale nie czuł, choć wiedział, że powinien.

Śniłem, zrozumiał, kiedy powoli wróciła mu świadomość. Dlaczego usnąłem? Czy pełniłem wartę? Czy powinienem iść na wartę? Sklep...

Jego myśli powoli rozpląnęły się, gdy otworzył oczy. Ktoś nad nim stał. Twarz.

Należąca do... kogoś o wiele brzydszego, niż zakładał.

- Breeze? - próbował powiedzieć, choć zabrzmiało to bardzo chrapliwie.

- Ha! - powiedział Breeze, a w oczach miał nietypowe dla niego łzy. - Budzi się!

Obok pojawiła się inna twarz. Spook się uśmiechnął. To na nią czekał. Beldre.

- Co się dzieje? - wyszeptał.

Ktoś podał mu coś do ust - bukłak z wodą. Nalewali ostrożnie, dając mu się napić.

Zakaszłał, ale przełknął.

- Dlaczego... dlaczego nie mogę się ruszyć? - spytał Spook. Wydawało mu się, że może jedynie lekko skurczyć lewą dłoń.

- Jesteś owinięty bandażami i unieruchomiony, Spook - wyjaśniła Beldre. - Na polecenie Sazed.

- Poparzenia - stwierdził Breeze. - Cóż, nie są aż tak groźne, ale...

- Do kata z poparzeniami - wychrypiał Spook. - Żyję. Nie spodziewałem się tego.

Breeze spojrział z uśmiechem na Beldre.

„Wyślij ją...”.

- Gdzie Sazed? - spytał Spook.

- Naprawdę powinieneś odpocząć - powiedziała Beldre, delikatnie głaszcząc go po policzku. - Dużo przeszedłeś.

- A jeszcze więcej pewnie przespałem - odparł. - Gdzie Sazed?

- Wyjechał, mój drogi chłopcze - wyjaśnił Breeze. - Wyruszył na południe z kandra Vin.

Vin.

Rozległ się odgłos kroków i chwilę później obok pozostałej dwójki pojawiła się również twarz kapitana Goradela. Żołnierz uśmiechnął się szeroko.

- Ocalały z Płomieni, nie ma co!

„Ty masz wskazówkę, której nie ma nikt poza tobą...”.

- Jak miasto? - spytał Spook.

- W przeważającej większości bezpieczne - odparła Beldre. - Kanały napełniły się, a mój brat zorganizował brygady do gaszenia pożarów. Większość spalonych budynków i tak nie była zamieszkana.

- Uratowaliście je, milordzie - dodał Goradel.

„Jestem z ciebie dumny...”.

- Popiół pada coraz gęściej, prawda? - spytał Spook.

Tamci wymienili spojrzenia. Ich zatroskane miny były wystarczającym potwierdzeniem.

- Do miasta przybywa wielu uciekinierów - powiedziała Beldre. - Z okolicznych miast i wiosek, niektórzy nawet z Luthadel...

- Muszę posłać wiadomość - powiedział Spook. - Do Vin.

- Dobrze - powiedział uspokajająco Breeze. - Zrobimy to, gdy tylko poczujesz się lepiej.

- Posłuchaj mnie, Breeze - odezwał się Spook, wpatrując się w sufit, niezdolny do żadnego ruchu poza lekkim drżeniem. - Coś zapanowało nade mną i Obywatelem. Widziałem to... istotę, którą Vin uwolniła przy Studni Wstąpienia. Istotę, która sprowadza popiół, by nas zniszczyć. Chciała tego miasta, ale my ją odegnaliśmy. Teraz muszę ostrzec Vin.

Po to właśnie został posłany do Urteau. By zbierać informacje, a później przekazywać je Vin i Elendowi. Dopiero zaczynał rozumieć, jak ważne mogło się okazać to zadanie.

- Obecnie trudno się podróżuje, mój drogi chłopcze - stwierdził Breeze. - To nie są najlepsze warunki, by wysyłać wiadomości.

- Odpoczywaj - dodała Beldre. - Zajmiemy się tym, kiedy poczujesz się lepiej.

Spook zazgrzytał zębami.

„Musisz koniecznie wysłać tę wiadomość, Spook...”.

- Ja ją wezmę - powiedział cicho Goradel.

Chłopak spojrział w bok. Czasami łatwo było zignorować tego żołnierza, prostego, bezpośredniego i przyjaznego. Jednakże zdecydowanie w jego głosie sprawiło, że Spook się uśmiechnął.

- Lady Vin uratowała mi życie - wyjaśnił Goradel. - W noc przed rebelią Ocalałego mogła zostawić mnie na śmierć z rąk tłumu. Mogła sama mnie zabić. Ale poświęciła trochę czasu, by powiedzieć mi, że rozumie, przez co przeszedłem, i skłonić mnie do przejścia na jej stronę. Jeśli ona potrzebuje tych informacji, Ocalały, to ja je dostarczę albo zginę po drodze.

Spook próbował pokiwać głową, ale była unieruchomiona przez bandaż. Poruszył

dłonią. Wydawała się zdrowa... a przynajmniej wystarczająco zdrowa.

Spojrzał Goradelowi w oczy.

- Idź do zbrojowni i każ im wykuć cienki arkusz metalu - powiedział Spook. - A później wróć z czymś, czym będę mógł wyłobić metal. Te słowa muszą zostać zapisane w stali, a ja nie mogę wypowiedzieć ich na głos.

W tych chwilach, kiedy Ostatni Imperator jednocześnie trzymał w sobie moc Studni Wstąpienia i czuł, jak go opuszcza, zrozumiał bardzo wiele. Zobaczył moc Feruchemii i słusznie się jej bał. Wiedział, że wielu Terrisan odrzuci go jako Bohatera, ponieważ nie wypełnił ich przepowiedni. Postrzegali go jako uzurpatora, który zabił wysłanego przez nich Bohatera. I tak w rzeczywistości było.

Myślę, że w miarę upływu lat Zniszczenie wypaczało go w bardzo subtelny sposób i skłaniało do robienia straszliwych rzeczy swoim własnym rodakom. Ale podejrzewam, że z początku na jego decyzję wpłynęło logiczne rozumowanie, nie uczucia. Miał właśnie odkryć wielką moc Zrodzonych z Mgły.

Przypuszczam, że mógł oczywiście zachować Allomancję w tajemnicy i wykorzystać Feruchemików jako swoich wojowników i skrytobójców. Myślę jednak, że podjął mądrą decyzję. Feruchemicy z samej natury swoich mocy mają skłonność do zastawania uczonymi.

Ich nieprawdopodobna pamięć sprawiłaby, że trudno by było nad nimi zapanować przez całe stulecia. W rzeczy samej, trudno było nad nimi zapanować, nawet kiedy ich gnębił.

Allomancja nie tylko dostarczała nowych, robiących wrażenie zdolności bez tej wady ale też dawała mistyczną moc, którą mógł wykorzystać do przekupywania królów.

Elend stał na niewielkiej skale i spoglądał na swoje oddziały. Poniżej kolosy maszerowały naprzód, wydeptując ścieżkę, którą ludzie mogli wykorzystać po pierwszym ataku bestii.

Czekał. Ham stał kilka kroków niżej.

Noszę biel, pomyślał Elend. Kolor czystości. Próbuję być symbolem tego co dobre i właściwe. Dla swoich poddanych.

- Kolosy nie powinny mieć problemów z tymi umocnieniami - powiedział cicho Ham.

- Mogą wskoczyć na szczyt miejskich murów, będą się wspinać po tych popękanych kamiennych półkach.

Elend pokiwał głową. Ludzie prawdopodobnie nie będą mieli potrzeby atakować.

Kolosy dawały im wystarczającą przewagę liczebną, a było mało prawdopodobne, by żołnierze Yomena kiedykolwiek wcześniej walczyli przeciwko tym stworom.

Kolosy wyczuły walkę. Czuł, jak robią się podekscytowane. Naciskały na niego, pragnąc zaatakować.

- Ham - powiedział, spoglądając w dół. - Czy to właściwe?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- To posunięcie ma sens, El - powiedział, drapiąc się po brodzie. - Atak to nasza jedyna szansa, by uratować Vin. I nie możemy dłużej utrzymywać oblężenia.

Ham zawahał się i potrząsnął głową, a jego głos przybrał ten niepewny ton, charakterystyczny dla chwil, gdy rozważał jeden ze swoich problemów filozoficznych.

- Jednak wypuszczenie grupy kolosów przeciwko miastu wydaje się niemoralne.

Zastanawiam się, czy uda ci się nad nimi zapanować, gdy rozpoczną szaleństwo. Czy uratowanie Vin jest tego warte, jeśli istnieje możliwość, że zginie choć jedno niewinne dziecko? Nie wiem. Z drugiej strony, może uratujemy więcej dzieci, jeśli staną się częścią naszego imperium..

Nie powinienem pytać Hama, pomyślał Elend. Nigdy nie umiał udzielić prostej odpowiedzi. Spojrzał ponad polem - niebieskie ciała kolosów wyraźnie rysowały się na czarnym tle. Dzięki cynie widział ludzi kulących się na skalnych półkach otaczających Fadrex.

- Nie - powiedział Ham.

Elend spojrzał z góry na Zbira.

- Nie - powtórzył Ham. - Nie powinniśmy atakować.

- Ham? - powiedział Elend, czując dziwne rozbawienie. - Naprawdę udało ci się dojść do konkluzji?

Ham przytaknął, nie podał jednak żadnego wyjaśnienia ani uzasadnienia.

Elend podniósł wzrok. Co by zrobiła Vin? W pierwszej chwili pomyślał, że zaatakowałyby. Ale później przypomniał sobie, jak znalazł ją przed kilku laty, po ataku na wieżę Cetta. Siedziała skulona w kącie i płakała.

Nie, pomyślał. Nie zrobiłaby tego. Nawet gdyby miało mnie to uratować. Tego się nauczyła.

- Ham - odezwał się, zaskakując samego siebie. - Każ ludziom się cofnąć i zacząć pakować. Wracamy do Luthadel.

Zbir spojrział na niego, zaskoczony - jakby się nie spodziewał, że Elend dojdzie do tych samych wniosków co on.

- A Vin?

- Nie zaatakuję tego miasta, Ham - stwierdził Elend. - Nie podbiję tych ludzi, nawet dla ich własnego dobra. Znajdziemy inny sposób uwolnienia Vin.

Ham się uśmiechnął.

- Cett się wścieknie.

Elend wzruszył ramionami.

- Jest sparalizowany. Co może zrobić? Pogryźć nas? Lepiej zejźmy z tego kamienia i chodźmy zająć się Luthadel.

* * *

- Wycofują się, milordzie - powiedział żołnierz.

Vin odetchnęła z ulgą. Zniszczenie stał z tajemniczą miną i rękami splecionymi za plecami. Marsh trzymał szponiastą rękę na ramieniu Yomena, obaj wyglądali przez okno.

Zniszczenie sprowadził Inkwizytora, pomyślała. Musiał mieć już dosyć moich prób wyciągnięcia prawdy z Yomena i sprowadził kogoś, komu obligator musiał być posłuszny.

- To bardzo dziwne - powiedział w końcu Zniszczenie.

Vin odetchnęła i zaryzykowała.

- Nie rozumiesz? - spytała cicho.

Zniszczenie zwrócił się w jej stronę.

- Naprawdę nie rozumiesz, co? - Uśmiechnęła się.

Tym razem Marsh też się odwrócił.

- Sądysz, że nie wiedziałam? - spytała Vin. - Sądysz, że nie wiedziałam, że tak naprawdę chodzi ci o atium? Że podążasz za nami od jaskini do jaskini, wpływasz na moje uczucia, zmuszasz mnie, żebym je dla ciebie odnalazła? To było takie oczywiste. Twoje kolosy zawsze zbliżały się do miasta dopiero po tym, jak odkryliśmy, że jest następne w kolejności. Poruszałeś się szybko, żeby nam zagrozić, zmusić nas do pośpiechu, ale nigdy nie sprowadzałeś kolosów wcześniej. Tyle że my wiedzieliśmy przez cały czas.

- Niemożliwe - wyszeptał Zniszczenie.

- Nie - odparła Vin. - Całkiem możliwe. Atium jest metalem, Zniszczenie. Ty go nie widzisz. Twój wzrok robi się zamglony, kiedy w okolicy jest go zbyt dużo, czyż nie? Metal to twoja moc, wykorzystujesz go, żeby tworzyć Inkwizytorów, lecz jest dla ciebie jak światło...

oślepia. Nie zobaczyłeś, kiedy naprawdę odkryliśmy atium. Dałeś się nabrać na nasz podstęp.

Marsh puścił Yomena i pobiegł przez komnatę, po czym chwycił Vin za ramiona.

- GDZIE ONO JEST?! - spytał Inkwizytor, podnosząc ją i nią potrząsając.

Roześmiała się, odwracając uwagę Marsha, a jednocześnie ostrożnie sięgnęła do jego pasa. Jednakże Marsh zbyt mocno nią potrząsał i jej palce nie mogły znaleźć celu.

- Powiesz mi, gdzie jest atium, dziecko - powiedział spokojnie Zniszczenie. - Nie wyjaśniłem już tego wcześniej? Przeciwno mnie nie da się walczyć. Może uważasz się za sprytną, ale tak naprawdę nie rozumiesz. Nie wiesz nawet, czym jest atium.

Vin potrząsnęła głową.

- Naprawdę sądzisz, że cię do niego zaprowadzę?

Marsh znów nią potrząsnął, zmuszając ją do zaciśnięcia zębów. Kiedy przestał, kręciło jej się w głowie. Z boku ledwie widziała Yomena, który przyglądał się tej scenie ze zmarszczonym czołem.

- Yomenie - powiedziała. - Twoi poddani są bezpieczni... czy nie możesz teraz w końcu zaufać, że Elend jest dobrym człowiekiem?

Marsh odrzucił ją na bok. Mocno uderzyła o ziemię i się przetoczyła.

- Ach, dziecko - powiedział Zniszczenie, klękając obok niej. - Czy muszę ci udowodnić to, że nie możesz przeciwko mnie walczyć?

- Yomenie! - powiedział Marsh, odwracając się. - Przygotuj swoich ludzi. Chcę, żebyś wydał rozkaz ataku!

- Co takiego? - spytał Yomen. - Atak, milordzie?

- Tak - powiedział Marsh. - Chcę, żebyś wziął wszystkich żołnierzy i kazał im zaatakować pozycje Elenda Venture.

Yomen zbladł.

- I porzucić nasze umocnienia? Nacierać na armię kolosów?

- Taki jest mój rozkaz - stwierdził Marsh.

Obligator przez chwilę stał w milczeniu.

- Yomenie... - powiedziała Vin, podnosząc się na kolana. - Nie widzisz, że on tobą manipuluje?

Yomen nie odpowiedział. Wydawał się zaniepokojony. Dlaczego w ogóle zastanawia się nad takim rozkazem?

- Popatrz tylko - wyszeptał Zniszczenie. - Widzisz moją moc? Widzisz, jak manipuluję nawet ich wiarą?

- Wydajcie rozkaz - powiedział Yomen, odwracając się od Vin i zwracając się do swoich kapitanów. - Niech żołnierze zaatakują. Powiedzcie im, że Ostatni Imperator ich ochroni.

* * *

- No cóż - odezwał się Ham, stojący obok Elenda w obozie. - Tego się nie spodziewałem.

Elend pokiwał głową, patrząc, jak nawała żołnierzy wylewa się przez wrota Fadrex.

Niektórzy potykali się w głębokim popiele, inni parli naprzód, a ich szarża zmieniła się w powolne pełzanie.

- Niektórzy zostali - powiedział Elend, wskazując na szczyt murów.

Bez cyny Ham nie mógł zobaczyć żołnierzy stojących wzdłuż murów, ale ufał słowom Elenda. Wszędzie wokół ludzcy żołnierze Elenda się pakowali. Kolosy wciąż czekały w milczeniu na swoich pozycjach, otaczając obóz.

- Co Yomen myśli? - spytał Ham. - Rzuca słabsze siły przeciwko armii kolosów?

Tak samo jak my, kiedy atakowaliśmy armię kolosów pod Vetitan. Coś w tej myśli sprawiło, że Elend poczuł się nieswojo.

- Odwrót - powiedział.

- Co takiego? - spytał Ham.

- Powiedziałem, żeby wydać rozkaz odwrotu! - powtórzył Elend. - Porzucić pozycje.

Wycofać żołnierzy!

Na jego milczący rozkaz kolosy zaczęły cofać się od miasta. Żołnierze Yomena wciąż brnęli przez popiół. A kolosy Elenda wydeptywały drogę jego ludziom. Powinni utrzymać się na przedzie.

- Najdziwniejszy odwrót, jaki widziałem - zauważył Ham, ale cofnął się, by wydać rozkazy.

Już pora, pomyślał Elend. Najwyższy czas, bym dowiedział się, co się dzieje w mieście.

* * *

Yomen płakał. Po jego policzkach spływały łzy. Stał wyprostowany, nie odwracał się do okna.

Boi się, że wysłał swoich żołnierzy na pewną śmierć, pomyślała Vin. Podeszła do niego, kuśtykając lekko, z miejsca, gdzie uderzyła w ziemię. Marsh stał i wyglądał przez okno. Zniszczenie spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Yomenie - powiedziała.

Obligator odwrócił się w jej stronę.

- To próba - powiedział. - Inkwizytorzy to najświętsi kapłani Ostatniego Imperatora.

Zrobię, jak mi rozkazano, a Ostatni Imperator ochroni moich ludzi i to miasto. Wtedy zobaczysz.

Vin zacisnęła zęby. Później odwróciła się i zmusiła, by podejść do Marsha. Wyrzała przez okno i z zaskoczeniem stwierdziła, że armia Elenda cofa się przed żołnierzami Yomena.

Ludzie Yomena nie biegli z wielkim przekonaniem. Najwyraźniej z zadowoleniem pozwalali, by większe siły wroga uciekały przed nimi. Słońce w końcu zachodziło.

Marsha odwrót Elenda wyraźnie nie bawił. To sprawiło, że Vin się uśmiechnęła, a wtedy Marsh znów ją pochwycił.

- Myślisz, że zwyciężyliście? - spytał, pochylając się nad nią, a nierówne kolce w jego oczach wznosiły się tuż przy jej twarzy.

Vin sięgnęła do jego pasa. Jeszcze odrobinę...

- Twierdzisz, że się ze mną bawiłaś, dziecko - powiedział Zniszczenie, podchodząc do niej. - Ale ty zostałaś oszukana. Kolosy, które wam służą, biorą siłę z mojej mocy.

Myślisz, że pozwoliłbym wam nad nimi zapanować, gdyby nie miało mi to w końcu posłużyć?

Vin poczuła dreszcz. o nie...

* * *

Elend poczuł przerażające uczucie rozrywania. Czuł się, jakby część wnętrzości została z niego wyrwana gwałtownym szarpnięciem. Sapnął, zwalniając Odpychanie Stali.

Spadał przez pełne popiołu niebo i wylądował niepewnie na skalnej półce pod Fadrex.

Sapał, dysząc ciężko i drżąc.

Co to było, do kata? - pomyślał, podnosząc się i chwytając rękami pulsującą głowę. I wtedy nagle zrozumiał. Już nie czuł kolosów. W pewnej odległości potężne niebieskie istoty przestały uciekać. I ku przerażeniu Elenda zaczęły się odwracać. Zaczęły atakować jego ludzi...

* * *

Marsh trzymał ją.

- Hemalurgia to jego moc, Vin! - powiedział. - Ostatni Imperator wykorzystał ją nieświadomie! Ten głupiec! Za każdym razem, kiedy tworzył Inkwizytora albo kolossa, tworzył kolejnego sługę dla swojego wroga! Zniszczenie czekał cierpliwie, wiedząc, że kiedy w końcu się uwolni, będzie na niego czekać cała armia!

Yomen stał przy innym oknie. Sapnął cicho, przyglądając się.

- Uratowałeś moich ludzi! - powiedział. - Kolosy zawróciły, by zaatakować swoją własną armię!

- Później ruszą na twoich ludzi, Yomenie - powiedziała Vin, czując zawroty głowy. -

Zniszczą twoje miasto.

- Wszystko się kończy - wyszeptał Zniszczenie. - Wszystko musi trafić na swoje miejsce. Gdzie jest atium? To ostatni element.

Marsh potrząsnął nią. W końcu sięgnęła do jego pasa i wsunęła za niego palce. Palce wyszkolone przez brata i życie spędzone na ulicy.

Palce złodziejki.

- Nie oszukasz mnie, Vin - powiedział Zniszczenie. - Jestem Bogiem.

Marsh uniósł rękę - puszczając jej ramię - i zacisnął dłoń w pięść, jakby chciał ją uderzyć. Poruszał się z mocą, najwyraźniej spalając cynę z ołowiem. Był Allomantą, jak wszyscy Inkwizytorzy. Co oznaczało, że zawsze trzymał przy sobie zapas metali. Vin uniosła rękę i wypila fiołkę metali, którą ukradła mu zza pasa.

Marsh zamarł, a Zniszczenie umilkł.

Vin się uśmiechnęła.

Cyna z ołowiem płonęła w jej brzuchu, przywracając jej życie. Marsh poruszył się, by dokończyć cios, lecz ona uchyliła się, po czym pozbawiła go równowagi, szarpiąc w bok drugim ramieniem - tym, za którym wciąż ją trzymał. Nie upadł, ale kiedy odwrócił się do Vin, odkrył, że ona trzyma w ręku koleczyk.

I z pomocą duraluminium Pchnęła go prosto w jego czoło. To był mały kawałek metalu, lecz podciągnął za sobą kroplę krwi, kiedy uderzył, przebił się przez jego czaszkę i wyleciał po drugiej stronie.

Marsh upadł, a Vin została odepchnięta do tyłu przez swoje własne Pchnięcie.

Uderzyła w ścianę, sprawiając, że żołnierze rozpięchli się i zaczęli krzyczeć, unosząc broń.

Yomen z zaskoczeniem odwrócił się w jej stronę.

- Yomenie! - powiedziała. - Sprowadź z powrotem swoich ludzi! Umocnij miasto!

Zniszczenie zniknęło w chaosie jej ucieczki. Może nadzorował kolosy.

Yomen wydawał się niezdecydowany.

- Ja... Nie utracę wiary. Muszę być silny.

Vin zacisnęła zęby, wstając. Potrafi być frustrujący, jak czasem Elend, pomyślała i powlokła się do ciała Marsha. Sięgnęła za jego pas i wyciągnęła drugą - i ostatnią - ukrytą tam fiolkę z metalami. Pochłonęła ją, uzupełniając zapasy metali spalonych z duraluminium.

Później wskoczyła na parapet. Mgła kłębiła się wokół niej - słońce wciąż wznosiło się na niebie, ale mgła pojawiała się coraz wcześniej. Na zewnątrz widziała siły Elenda, z jednej strony atakowane przez szalejące kolosy, z drugiej zatrzymywane przez żołnierzy Yomena, którzy jednak nie atakowali. Przygotowała się, by wyskoczyć i dołączyć do walki, lecz wtedy coś zobaczyła.

Niewielka grupka kolosów. Licząca jakieś tysiąc sztuk, na tyle mała, by zignorowały ją i siły Elenda, i Yomena. Nawet Zniszczenie nie zwracał na nich uwagi, gdyż po prostu stali w popiele, częściowo zagrzebani, jak galeria rzeźb.

Kolosy Vin. Te, które dał jej Elend, z Człowiekiem na czele. Z chytrym uśmiechem kazała im ruszyć naprzód. I zaatakować żołnierzy Yomena.

- Mówię ci, Yomenie - powiedziała, zeskakując z parapetu, z powrotem do komnaty. -

Tych kolosów nie obchodzi, po której stronie są ludzie... zabijają każdego. Inkwizytorzy oszaleli po śmierci Ostatniego Imperatora. Nie słuchałeś, co wygadywał tamten?

Yomen wydawał się zamyślony.

- Nawet przyznał, że Ostatni Imperator nie żyje, Yomenie - dodała z irytacją Vin. -

Twoja wiara jest godna pochwały, lecz czasem trzeba wiedzieć, kiedy należy zrezygnować i ruszyć dalej!

Jeden z kapitanów coś wykrzyknął i Yomen odwrócił się do okna. Zaklął.

Vin natychmiast coś poczuła. Coś Przyciągało jej kolosy. Krzyknęła, kiedy zostały jej wyrwane, ale wcześniej zdążyły wypełnić swoje zadanie. Yomen wydawał się zaniepokojony.

Widział, jak kolosy atakują jego żołnierzy. W milczeniu spojrzał Vin w oczy.

- Odwrót do miasta! - ryknął w końcu, zwracając się do gońców. - I rozkażcie ludziom, by pozwolili żołnierzom Venture także schronić się za murami!

Vin westchnęła z ulgą. I wtedy coś chwyciło ją za nogę. Spojrzała w dół i wstrząśnięta zauważyła, że Marsh podniósł się na kolana. Przebiła jego mózg, lecz zadziwiające moce leczenia Inkwizytora najwyraźniej radziły sobie nawet z tym.

- Głupia - powiedział Marsh, wstając. - Nawet jeśli Yomen zwróci się przeciwko mnie, mogę go zabić, a jego żołnierze podążą za mną. Dał im wiarę w Ostatniego Imperatora, a ja tę wiarę odziedziczyłem.

Vin odetchnęła głęboko i uderzyła w Marsha wzmocnionym duraluminium Uspokajaniem. Skoro zadziałało na kolosy i kandra, to czemu nie na Inkwizytorów.

Marsh się zatoczył. Pchnięcie Vin trwało zaledwie chwilę, ale coś poczuła. Mur, na jaki natknęła się po raz pierwszy, gdy próbowała zapanować nad TenSoonem, a później nad swoją pierwszą grupą kolosów.

Pchnęła, Pchnęła ze wszystkich sił. W wybuchu mocy niemal zapanowała nad ciałem Marsha, ale zabrakło jej sił. Mur w jego umyśle był zbyt silny, a ona miała zaledwie jedną fiolkę metalu. Mur odepchnął ją. Krzyknęła z frustracji.

Marsh wyciągnął rękę, zawarczał i chwycił ją za gardło. Sapnęła, otwierając szeroko oczy, gdy Marsh zaczął rosnąć. Stawał się silniejszy, jak...

Feruchemik, zrozumiała. Mam poważne kłopoty.

Ludzie w komnacie wrzeszczeli, ale ona ich nie słyszała. Ręka Marsha - teraz wielka i masywna - trzymała ją za gardło i dusiła. Jedyne rozjarzona cyna z ołowiem utrzymywała ją przy życiu. Wróciła pamięcią do tego dnia, przed tak wielu laty, gdy trzymał ją inny Inkwizytor. Kiedy stała w sali tronowej Ostatniego Imperatora.

Tamtego dnia to Marsh uratował jej życie. Wydawało jej się paskudną ironią losu, że teraz walczy, duszona przez niego.

Jeszcze. Nie.

Mgły zaczęły kłębić się wokół niej.

Marsh wzdrygnął się, choć jej nie puścił.

Vin sięgnęła do mocy mgły.

I znów się to wydarzyło. Nie wiedziała jak ani dlaczego, ale po prostu tak się stało.

Wciągnęła mgły do płuc, jak to się stało przed laty, kiedy zabiła Ostatniego Imperatora.

Jakimś sposobem wchłonęła je i wykorzystała je, by dały jej ogromną allomantyczną moc.

I z tą mocą Pchnęła uczucia Marsha.

Mur w jego umyśle zarysował się i pękł. Przez chwilę Vin czuła zawroty głowy.

Widziała różne sprawy oczami Marsha - właściwie rozumiała go. Jego umiłowanie zniszczenia i nienawiść do samego siebie. A przez niego zobaczyła przez chwilę coś jeszcze.

Pełna nienawiści, niszczycielska istota, która ukrywała się pod maską uprzejmości.

Zniszczenie nie było tym samym, co mgły.

Marsh krzyknął i puścił ją. Jej nagły przyływ mocy rozproszył się, ale to nie miało znaczenia, gdyż Marsh uciekł przez okno i Odepchnął się przez mgły. Vin podniosła się z kaszlem.

Zrobiłam to. Znów sięgnęłam do mgieł. Ale dlaczego teraz? Dlaczego, po tak wielu próbach, teraz mi się to udało?

Nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać - nie podczas ataku kolosów. Odwróciła się do skonsternowanego Yomena.

- Nie przerywajcie odwrotu do miasta! - powiedziała. - Ruszam na pomoc.

* * *

Elend walczył z desperacją, powalając kolossa za kolossem. Było to trudne, niebezpieczne zadanie, nawet dla niego. Nad tymi kolosami nie dało się zapanować -

niezależnie od tego, jak bardzo Przyciągał albo Odpychał ich uczucia, nie udało mu się przejąć kontroli nad choćby jednym z nich.

Co oznaczało, że pozostała tylko walka. A jego ludzie nie byli gotowi do bitwy -

zmusił ich, by zbyt szybko opuścili obóz.

Koloss się zamachnął, jego miecz zagwizdał niebezpiecznie blisko głowy Elenda.

Zaklął, upuścił monetę i Odepchnął się do tyłu, ponad walczącymi żołnierzami i z powrotem do obozu. Udało im się wycofać do pierwotnych fortyfikacji, co oznaczało, że mieli niewielkie wzgórze do obrony i nie musieli walczyć w popiele. Grupa Monetozłotych -

miał ich zaledwie dziesięciu - strzelała raz za razem monetami w główną grupę kolosów, podobnie jak łucznicy. Główny szereg żołnierzy z tyłu wspierali Szarpacze, którzy Przyciągali broń kolosów, wytrącając je z równowagi, dzięki czemu zwyczajni żołnierze mieli więcej możliwości. Zbirowie okrążali walczących w grupkach po dwóch i trzech, wzmacniając słabe punkty i zapewniając wsparcie.

Mimo to, mieli poważne kłopoty. Podobnie jak Fadrex, Armia Elenda nie mogła stawić czoła tak wielu kolosom. Elend wylądował pośrodku na wpół zwiniętego obozu, dysząc ciężko, zalany krwią kolosów. Żołnierze walczyli w pewnej odległości, utrzymując z pomocą Allomantów obóz. Większość bestii skupiała się przy północnej krawędzi obozu, ale Elend nie mógł wycofać swoich ludzi bardziej w stronę Fadrex, gdyż znaleźliby się w zasięgu łuczników Yomena.

Elend próbował złapać oddech. Podbiegł do niego sługa z kubkiem wody. W pewnej odległości siedział Cett, kierując bitwą. Elend odrzucił pusty kubek i podszedł do generała, siedzącego przy niewielkim stoliku. Na nim znajdowała się niewielka mapa okolicy, ale bez żadnych znaczników. Kolosy były tak blisko - bitwa trwała w odległości kilkunastu jardów -

że nie potrzebowali żadnej abstrakcyjnej mapy pozycji wojska.

- Nigdy nie lubiłem tych stworów - stwierdził Cett i sam wypił kubek wody.

Podszedł do nich sługa prowadzący chirurga, który wyjął bandaż i zaczął opatrywać ramię Elenda, dopiero wtedy Venture zauważył krwawienie.

- Cóż - zauważył Cett - przynajmniej zginiemy w bitwie, a nie z głodu!

Elend prychnął i znów podniósł miecz. Niebo było prawie ciemne.

Nie zostało wiele czasu, aż...

Na stole przed Cettem ktoś wylądował.

- Elendzie! - powiedziała Vin. - Wycofajcie się do miasta. Yomen was wpuści.

Venture podskoczył.

- Vin! - Uśmiechnął się. - Co ci zajęło tak długo?

- Zatrzymał mnie Inkwizytor i mroczny bóg - odparła. - A teraz się pośpiesz. Ja zobaczę, czy uda mi się odwrócić uwagę części kolosów.

Inkwizytorzy nie mieli wielkiej możliwości stawiania oporu Zniszczeniu. W ciałach nosili o wiele więcej kolców niż inne hemalurgiczne stwory, a to oznaczało, że znajdowali się pod jego władzą.

Tak, jedynie człowiek o ogromnej sile woli mógł choć w niewielkim stopniu stawiać opór Zniszczeniu, mając w sobie kolce Inkwizytora.

66

Sazed próbował nie myśleć o tym, jak ciemne od popiołu jest niebo ani jak koszmarnie wygląda ziemia.

Jakim byłem głupcem, pomyślał, siedząc w siodle. Teraz właśnie nadszedł czas, by świat w coś uwierzył. A ja nie wyruszyłem, by dać im wiarę.

Po tak długiej jeździe czuł się obolały, ale mocno trzymał się w siodle, wciąż nieco zadziwiony istotą, która pod nim biegła. Kiedy Sazed zdecydował, że uda się z TenSoonem na południe, podróż napawała go przerażeniem. Popiół padał jak śnieg podczas burzy śnieżnej i w wielu miejscach wznosił się w ogromnych zaspach. Sazed wiedział, że droga będzie trudna, i obawiał się, że spowolni TenSoona, który oczywiście mógł podróżować szybciej w ciele wilczarza.

TenSoon zastanowił się nad tym, po czym kazał, by przyniesiono mu konia i dużego wieprza. Najpierw pochłoniął wieprza, by zwiększyć masę, po czym otoczył swym przezroczyście ciałem konia, by jego również pochłoniąć. W ciągu godziny ukształtował z siebie replikę konia - ale o wzmocnionych mięśniach i cięższego, tworząc w ten sposób tę niezwykle silną i wytrzymałą istotę, na której jechał teraz Sazed.

Od tego czasu jechali bez przerwy. Na szczęście, Sazed miał jeszcze w zapasie trochę przytomności, którą po oblężeniu Luthadel zgromadził w metalmyśli. Wykorzystał ją, by nie zasnąć. Nie przestawało go zadziwiać, jak doskonale TenSoon ulepszył końskie ciało. Istota bez trudu przebijiała się przez gęsty popiół, który sprawiłby problemy prawdziwemu wierzchowcowi - a i człowiekowi pewnie też. Kolejny dowód na moją głupotę. Przez te ostatnie kilka dni mogłem wypytywać TenSoona o jego moce. Ile jeszcze nie wiem?

Mimo przepelniającego go wstydu, Sazed czuł w pewnym stopniu spokój. Gdyby wciąż nauczał religii, nawet kiedy przestał w nie wierzyć, byłby prawdziwym hipokrytą.

Tindwyl wierzyła, że należy dawać ludziom nadzieję, nawet jeśli trzeba ich przy tym okłamywać. Za to właśnie ceniła religie - kłamstwa, dzięki którym ludzie czują się lepiej.

Sazed nie mógł jej jednak naśladować - a przynajmniej nie mógł tak postępować i jednocześnie pozostać tym, kim był wcześniej. Teraz czuł nadzieję. To terrisańska religia nauczała o Bohaterze Wieków. Jeśli którekolwiek z wierzeń zawierało prawdę, to właśnie to.

Sazed musiał zadać pytania Pierwszemu Pokoleniu kandra i dowiedzieć się, co oni wiedzą.

A jeśli nawet poznam prawdę, to co z nią zrobię?

Drzewa, które mijali, były nagie. Okolicę pokrywały dobre cztery stopy popiołu.

- Jak możesz tak wędrować? - spytał Sazed, gdy kandra galopował przez wzgórze, odrzucając na bok popiół i ignorując przeszkody.

- Mój lud stworzono z mgielnych upiorów - wyjaśnił TenSoon. Nie wydawał się nawet zdyszany. - Ostatni Imperator przemienił Feruchemików w mgielne upiory i oni zaczęli się między sobą rozmnażać jako gatunek. Jeśli dasz mgielnemu upiorowi Błogosławieństwo, następuje jego przebudzenie i rodzi się kandra. Tak właśnie stało się ze mną, stworzonym stulecia po Wstąpieniu. Urodziłem się jako mgielny upiór, lecz przebudziłem się, gdy otrzymałem Błogosławieństwo.

- ...Błogosławieństwo? - spytał Sazed.

- Dwa niewielkie metalowe kolce, Opiekunie - odpowiedział TenSoon. - Zostaliśmy stworzeni jako Inkwizytorzy albo jako kolosy. Jednak jesteśmy doskonalsi niż tamci.

Zostaliśmy stworzeni jako trzeci i ostatni, gdy moc Ostatniego Imperatora słabła.

Sazed zmarszczył czoło, pochylając się nad końskim grzbietem, gdy przejeżdżali pod ogołoconymi gałęziami drzew.

- Czym się różnicie?

- Jesteśmy bardziej niezależni od pozostałych dwóch - odparł TenSoon. - Mamy w sobie tylko dwa kolce, podczas gdy pozostali mają ich więcej. Allomanta wciąż może przejąć nad nami kontrolę, ale gdy jesteśmy wolni, nasze umysły są bardziej niezależne niż kolosów czy Inkwizytorów, na których Zniszczenie wpływa o wiele silniej, nawet jeśli ich w pełni nie kontroluje. Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego i jedni, i drudzy tak bardzo pragną zabijać?

- To nie wyjaśnia, dlaczego niesiesz mnie, wszystkie bagaże i nadal możesz biec przez ten popiół.

- Metalowe kolce, które w sobie nosimy, dają nam różne moce - wyjaśnił TenSoon. -

Podobnie jak Feruchemia daje ci siłę albo Allomancja daje siłę Vin, tak moje Błogosławieństwo daje siłę mnie. Nigdy się nie wyczerpie, choć nie pozwala na tak spektakularne rozbłyski, jak to, co wy umiecie zrobić. Mimo to, moje Błogosławieństwo, w połączeniu z umiejętnością kształtowania ciała, zapewnia mi dużą wytrzymałość.

Sazed zamilkł. Wciąż biegli.

- Nie zostało wiele czasu - zauważył TenSoon.

- Widzę - odparł Sazed. - Zastanawiam się, co możemy zrobić.

- To jedyna chwila, kiedy może się nam udać - stwierdził TenSoon. - Musimy być przygotowani, gotowi do ciosu. Gotowi, by pomóc Bohaterowi Wieków, kiedy przybędzie.

- Przybędzie?

- Ona poprowadzi armię Allomantów do Ojczyzny - odpowiedział TenSoon - i uratuje nas wszystkich... kandra, ludzi, kolosy i Inkwizytorów.

Armia Allomantów?

- To... co ja mam właściwie zrobić?

- Musisz przekonać kandra, że sytuacja jest naprawdę poważna - wyjaśnił TenSoon, zatrzymując się wśród popiołu. - Jest coś... do czego muszą się przygotować. Coś bardzo trudnego, lecz koniecznego. Moi bracia będą się opierać, ale może pozwolą, żebyś pokazał im drogę.

Sazed pokiwał głową, po czym zsiadł z grzbietu stwora, by rozprostować nogi.

- Czy rozpoznajesz tę okolicę? - spytał TenSoon, zwracając w jego stronę koński łeb.

- Nie - odparł Sazed. - Przez ten popiół... cóż, nie śledziłem naszej drogi w ciągu ostatnich dni.

- Za tym grzbietem znajduje się miejsce, gdzie zamieszkali uciekinierzy z Terris.

Sazed odwrócił się zaskoczony.

- Czeluście Hathsin?

TenSoon kiwnął głową.

- My nazywamy je Ojczyzną.

- Czeluście? - spytał wstrząśnięty Sazed. - Ale..

- No, nie same Czeluście - stwierdził TenSoon. - Wiesz, że pod całą okolicą rozciągają się kompleksy jaskiń?

Sazed wiedział o tym. Miejsce, gdzie Kelsier wyszkolił swoją pierwszą armię skaa, znajdowało się w niewielkiej odległości na północ.

- Cóż, jeden z tych kompleksów jaskiń to Ojczyzna kandra. Przylega do Czeluści Hathsin... właściwie, kilka korytarzy kandra łączy się z Czeluściami i musieliśmy je zablokować, żeby robotnicy w Czeluściach nie znaleźli drogi do Ojczyzny.

- Czy w twojej Ojczyźnie wyrasta atium? - spytał Sazed.

- Wyrasta? Nie, nie. Sądzę, że to właśnie oddziela Ojczyznę od Czeluści Hathsin. Tak czy inaczej, wejście do jaskini mojego ludu jest dokładnie tutaj.

Sazed odwrócił się, wyraźnie zaskoczony.

- Gdzie?

- Tamto zagłębienie w popiele - powiedział TenSoon, wskazując w jego stronę wielkim łbem. - Powodzenia, Opiekunie. Ja mam inne zadanie do wypełnienia.

Sazed pokiwał głową, zaskoczony, że tak szybko przebyli tak daleką drogę, i odwiązał

torbę z grzbietu kandra. Zostawił torbę zawierającą kości - jeden zestaw należący do wilczarza i drugi, najprawdopodobniej ludzki. Pewnie ciało, które TenSoon nosił, żeby go używać w miarę potrzeb.

Potężny wierzchowiec się odwrócił.

- Zaczekaj! - zawołał Sazed, unosząc rękę.

TenSoon spojrział w jego stronę.

- Powodzenia - powiedział Terrisanin. - I niech... nasz bóg cię chroni.

TenSoon posłał mu uśmiech, który na końskim pysku wyglądał dziwacznie, po czym ruszył galopem przez popiół.

Sazed zwrócił się w stronę zagłębienia. Później uniósł torbę - w której znajdowały się metalmyśli i samotna księga - i ruszył naprzód. Przebycie nawet tak niewielkiej odległości przez popiół było bardzo trudne. Dotarł do zagłębienia, wziął głęboki wdech i zaczął kopać.

Po krótkiej chwili wpadł do tunelu, który na szczęście nie prowadził prosto w dół i nie był długi. Otaczająca go pieczara miała pochyłe dno i przypominała połączenie szybu z jaskinią. Sazed wstał, sięgnął do torby i wyciągnął cynomyśl. Kiedy ją założył, sięgnął do wzroku i tak uzbrojony ruszył przez ciemność.

Cynomyśl nie działała tak dobrze jak cyna Allomanty - a raczej nie działała dokładnie tak samo. Pozwalała widzieć na duże odległości, ale nie pomagała zbyt przy słabym oświetleniu. Wkrótce nawet z cynomyślą Sazed szedł w zupełnej ciemności i wymacywał

drogę w tunelu.

Aż ujrzał światło.

- Stać! - zawołał ktoś. - Kto wraca z Kontraktu?!

Sazed nie przerywał marszu. Trochę się bał, ale z drugiej strony był zainteresowany.

Wiedział coś bardzo ważnego.

Kandra nie mogli zabić człowieka.

Sazed podszedł do źródła światła, którym okazał się kamień wielkości melona osadzony na słupie. Jego porowaty materiał porastały fosforyzujące grzyby. Drogę blokowało mu dwóch kandra. Łatwo ich było rozpoznać, gdyż nie nosili ubrań, a ich skóra była przezroczysta. Wydawało się, że ich kości są wyrzeźbione w kamieniu.

Fascynujące! - pomyślał Sazed. Robią sobie swoje własne kości. Naprawdę mam tu nową kulturę do zbadania. Całkiem nowe społeczeństwo... sztuka, religia, obyczaje, kontakty między płciami...

Perspektywa była tak fascynująca, że przez chwilę nawet koniec świata wydawał mu się trywialny. Zmusił się do koncentracji. Najpierw musiał zbadać ich religię. Inne kwestie były drugorzędne.

- Kandra, kim jesteś? Czyje kości nosisz?

- Chyba was zaskoczę - powiedział Sazed najdelikatniej, jak umiał. - Nie jestem kandra. Nazywam się Sazed, jestem Opiekunem z Terris i zostałem wysłany, by porozmawiać z Pierwszym Pokoleniem.

Obaj kandra aż podskoczyli.

- Nie musicie mnie przepuszczać - stwierdził Sazed. - Oczywiście, jeśli nie zabierzecie mnie do Ojczyzny, będę musiał odejść i powiedzieć wszystkim na zewnątrz, gdzie się ona znajduje...

Strażnicy popatrzyli po sobie.

- Chodź z nami - powiedział w końcu jeden z nich.

Kolossy również nie miały wielkiej szansy by się uwolnić. Cztery kolce, jak również ich ograniczone możliwości umysłowe sprawiały że łatwo było nad nimi zapanować. Jedynie w żądzę krwi pozostało im nieco autonomii.

Cztery kolce sprawiały również, że łatwiej było nad nimi zapanować. W naszych czasach przejęcie kontroli nad kandra wymagało Pchnięcia z pomocą duraluminium. Nad kolosami można było jednak zapanować z pomocą zdecydowanego Pchnięcia, szczególnie kiedy opanowała je żądza krwi.

67

Elend i Vin stali na szczycie umocnień Fadrex. Na kamiennej półce niegdyś paliły się ogniska, które obserwowali w nocy - widziała poczerniały ślad tuż obok, na lewo.

Była szczęśliwa, znów czując objęcia Elenda. Jego ciepło ją pocieszało, szczególnie kiedy patrzyli ponad miastem na pole, na którym jeszcze niedawno stała ich armia. Siły kolosów rosły. Stali w ciszy pośród spadającego popiołu, całe tysiące. Kolejne istoty przybywały każdego dnia, rosnąc w siłę.

- Dlaczego nie zaatakują? - spytał z irytacją Yomen. Tylko on przyszedł z nimi na górę, Ham i Cett pozostali na dole, przygotowując armię. Wiedzieli, że muszą być gotowi do obrony w chwili, gdy kolossy zaatakują miasto.

- Chce nam pokazać, jak bardzo solidne lanie nam sprawi - powiedziała Vin.

A do tego, dodała w myślach, czeka. Czekaj na tę ostatnią informację.

Gdzie jest atium?

Oszukała Zniszczenie. Udowodniła samej sobie, że da się to zrobić. Wciąż jednak czuła frustrację. Czuła się tak, jakby spędziła ostatnie kilka lat, będąc na każde skinienie Zniszczenia. Za każdym razem, kiedy myślała, że jest sprytna, mądra albo się poświęca, okazywało się, że przez cały czas wypełniała jego wolę. To ją złościło.

Ale co mogła zrobić?

Muszę zmusić Zniszczenie, żeby się odsłonił, pomyślała. Niech zacznie działać.

Przez krótką chwilę, w sali tronowej Yomena, poczuła coś zadziwiającego. Ta dziwna moc, którą zyskała z mgieł, pozwoliła jej dotknąć umysłu Zniszczenia - poprzez Marsha - i zobaczyć coś wewnątrz.

Strach. Pamiętała go jasno i wyraźnie. W tamtej chwili Zniszczenie się jej bał. Dlatego właśnie Marsh uciekł.

Jakimś sposobem znów przyjęła w siebie moc mgieł i wykorzystwała ją do niezwykle potężnej Allomancji. Zrobiła to wcześniej, kiedy walczyła przeciwko Ostatniemu Imperatorowi w jego pałacu. Dlaczego mogła sięgnąć po tę moc jedynie w przypadkowych, nieprzewidywalnych chwilach? Próbowwała ją wykorzystać przeciwko Zane'owi, ale to jej się nie udało. Przez ostatnie kilka dni próbowała wiele razy, podobnie jak tuż po śmierci Ostatniego Imperatora. Nigdy nie udało jej się zyskać nawet śladu tej mocy.

Rozległ się dźwięk przypominający grzmot.

Ogromne trzęsienie ziemi przetoczyło się po okolicy. Skalne półki wokół Fadrex popękały, niektóre upadły na ziemię. Vin zachowała równowagę, ale jedynie dzięki cynie z ołowiem, i w ostatniej chwili chwyciła Yomena za przód szaty obligatora, gdy mężczyzna zatoczył się i omal nie spadł z półki. Elend złapał ją za ramię, podtrzymując, gdy nagłe trzęsienie ziemi wstrząsało okolicą. W mieście zawaliło się kilka budynków.

Aż wreszcie zapanowała cisza. Vin dyszała ciężko, pot zrosił jej czoło. Nadal nie puszczała szat Yomena. Spojrzała na Elenda.

- To było o wiele gorsze niż wcześniejsze - powiedział, przeklinając pod nosem.

- Jesteśmy zgubieni - odezwał się Yomen, wstając z trudem. - Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, to nie tylko Ostatni Imperator nie żyje, ale też istota, z którą walczył przez całe swoje życie, powróciła, by zniszczyć świat.

- Przeżyliśmy już wiele - powiedział stanowczo Elend. - Uda nam się. Trzęsienia ziemi nam szkodzą,

ale szkodzą też kolosom. Jeśli spojrzysz, zobaczysz, że niektóre zostały zmiażdżone przez spadające skały. Jeśli tu, na górze, zrobi się ciężko, zawsze możemy się wycofać do jaskini.

- A czy ona przetrwa takie trzęsienia? - spytał Yomen.

- Lepiej niż budynki na górze. Żaden z nich nie został wybudowany, by wytrzymywać wstrząsy, ale, na ile znam Ostatniego Imperatora, przewidział trzęsienia i wybrał takie jaskinie, które były solidne i zdolne je przetrwać.

Yomen nie wydawał się pocieszony tymi słowami, ale Vin się uśmiechnęła. Nie ze względu na to, co mówił Elend, tylko na jego sposób mówienia. Coś w nim się zmieniło.

Wydawał się bardziej pewny siebie niż wcześniej. Wciąż otaczała go aura idealizmu, przepełniającego go, kiedy był młodzieńcem na dworze - lecz jednocześnie miał w sobie siłę mężczyzny, który prowadził swoich żołnierzy do walki.

W końcu odnalazł równowagę. I, co dziwnego, wynikała ona z decyzji o odwołaniu.

- On ma jednak trochę racji, Vin - powiedział Elend łagodniejszym tonem. - Musimy zdecydować, jaki będzie nasz następny krok. Zniszczenie najwyraźniej miał zamiar nas tu pokonać, ale na razie został odepchnięty. Co teraz?

Musimy go oszukać, pomyślała. Może... zrobić to samo, co Yomen zrobił ze mną?

Zawahała się, rozważając ten pomysł. Uniósł rękę i pomacała swój kolczyk. Oczywiście, przejście przez głowę Marsha go zdeformowało, ale kowal bez trudu przywrócił mu poprzedni kształt.

Kiedy po raz pierwszy spotkała się z Yomenem, oddał jej kolczyk. Wtedy wydawało jej się to dziwnym posunięciem, oddanie metalu Allomancie. Jednakże, ponieważ całkowicie panował nad sytuacją, było to zarazem bardzo sprytne. Mógł sprawdzić i ocenić, czy nie zachowała przy sobie metali - przez cały ten czas ukrywając fakt, że spalał atium i mógł się ochronić.

Później udało mu się zmusić ją, by się odsłoniła, zaatakował i w ten sposób pokazała, co planuje, a on rozbroił ją w sytuacji, w której to on miał przewagę. Czy mogła tego samego dokonać ze Zniszczeniem?

Ta myśl łączyła się z inną. W obu wypadkach, kiedy mgły jej pomogły, przyszły w chwili czystej rozpaczy. Zupełnie, jakby reagowały na jej pragnienie. Być może w takim razie powinna postawić się w sytuacji jeszcze bardziej rozpaczliwej niż wcześniej? To była słaba nadzieja, ale, ponieważ jednocześnie pragnęła zmusić Zniszczenie, by się odsłonił, wymyśliła plan.

Narazić się na niebezpieczeństwo. Zmusić Zniszczenie do sprowadzenia Inkwizytorów, stawiając Vin w sytuacji, w której mgły musiały jej pomóc. A gdyby to nie zadziałało, może uda jej się zmusić Zniszczenie, by się odsłonił i ukazał wszystkie pułapki, które mogły na nią czekać.

To było niewiarygodnie ryzykowne, ale Vin czuła, że nie ma zbyt wiele czasu.

Zniszczenie niedługo - bardzo niedługo - zwycięży, o ile ona czegoś nie zrobi. I o niczym więcej już nie myślała. Jak mogła do tego doprowadzić, nie wyjaśniając tego Elendowi? Nie mogła wyjawiać mu planu, wtedy bowiem Zniszczenie dowiedziałaby się, co wymyśliła.

Spojrzała na Elenda, mężczyznę, którego chyba знаła lepiej od siebie. Nie musiał jej mówić, że pogodził dwie strony swojej osobowości, wystarczyło, że na niego spojrzała. Czy z kimś takim w ogóle musiała rozmawiać o swoich planach? Może...

- Elendzie - powiedziała - myślę, że jest tylko jeden sposób, by uratować to miasto.

- To znaczy? - zapytał powoli.

- Muszę po nie pójść.

Elend zmarszczył czoło, po czym otworzył usta. Spojrzała mu z nadzieją w oczy.

Zawahał się.

- Atium? - domyślił się.

Vin się uśmiechnęła.

- Tak. Zniszczenie wie, że je mamy. Znajdzie je, nawet jeśli go nie wykorzystamy. Ale jeśli je tu sprowadzimy, przynajmniej pomoże nam w walce.

- Tu i tak będzie bezpieczniejsze - stwierdził Elend. W jego oczach malowała się dezorientacja, ale ufał jej. - Wolałbym, żeby między tymi bogactwami a naszymi wrogami stała cała armia. Może spróbujemy je też wykorzystać, żeby przekupić miejscowych przywódców?

Cały podstęp wydawał jej się lichy. Wiedziała jednak, że tak jest, bo widziała dezorientację Elenda, umiała wyczytać kłamstwo w jego oczach. Rozumiała go, tak jak on rozumiał ją. Takie zrozumienie wymagało miłości.

I podejrzewała, że Zniszczenie nigdy by tego nie pojął.

- W takim razie muszę odejść - powiedziała i objęła go mocno, zamykając oczy.

- Wiem.

Wtuląca się w niego przez kilka chwil, czując, jak wokół niej spada popiół, opadając na jej policzki. Czowała, jak serce Elenda bije pod jej uchem. Uniosła głowę i pocałowała go. W

końcu cofnęła się i sprawdziła metale. Napotkała jego spojrzenie, a on pokiwał głową, więc zeskoczyła z powrotem do miasta, żeby zebrać trochę podków.

Kilka chwil później wznosiła się przez pełne popiołu niebo w stronę Luthadel, a otaczał ją wir metalu. Elend stał na skalistej półce i obserwował, jak się oddala.

Teraz, pomyślała do Zniszczenia, który obserwował ją uważnie, nawet jeśli nie ukazał

się jej od chwili, gdy zaczerpnęła z mgły. Teraz zaczniemy się ścigać, ty i ja.

Kiedy Ostatni Imperator przedstawił swój plan przyjaciółom Feruchemikom - plan, by przemienić ich w mgielne upiory - zmusił ich do odpowiedzi w imieniu wszystkich Feruchemików. Choć zmienił swoich przyjaciół w kandra, by mogli odzyskać umysły i wspomnienia, resztę zostawił w postaci pozbawionych rozumu mgielnych upiorów. One z kolei rozmnażały się między sobą, żyły i umierały stając się osobną rasą. Z potomków pierwszych mgielnych upiorów tworzył kolejne pokolenia kandra.

A jednak, jak się nauczyłem, również bogowie popełniają błędy. Rashek, Ostatni Imperator, przeobraził wszystkich żyjących Feruchemików w mgielne upiory. I nie pomyślał o genetycznym dziedzictwie reszty Terrisan, którzy pozostali przy życiu. To dlatego Feruchemicy wciąż się rodzą, choć rzadko.

To niedopatrzanie wiele go kosztowało, choć jeszcze więcej dało światu.

68

Sazed szedł w zadziwieniu, prowadzony przez strażników. Widział całe tłumy kandra, a każdy kolejny osobnik miał bardziej interesujące ciało niż poprzedni. Niektórzy byli wysocy i smukli, z kośćmi z białego drewna. Inni przysadziści, a ich kości były grubsze niż ludzkie.

Wszyscy jednak zachowywali ludzki kształt.

Kiedyś byli ludźmi, przypomniał sobie. A przynajmniej byli nimi ich przodkowie.

Jaskinie wokół wydawały się stare. Przejścia były wygładzone, i choć nie widział

żadnych „budynków”, mijał liczne mniejsze jaskinie, nad wejściami do których zawieszono rozmaite zasłony. Wszystko wydawało się niezwykle kunsztowne, od rzeźbionych słupów, na których umieszczono świetliste grzyby, po kości otaczających go istot. Nie były to skomplikowane ozdoby arystokratycznej twierdzy, nie widział bowiem żadnych wzorów, liści ani węzłów wyrzeźbionych w kamieniach i kościach. Wszystko zostało wygładzone, zaokrąglone albo zarysowane grubymi, zamaszystymi liniami.

Kandra sprawiali wrażenie, że się go boją. Sazed czuł się z tym dziwnie. W życiu pełnił wiele ról - buntownika, sługi, przyjaciela, uczonego. Nigdy wcześniej jednak nie wywoływał w nikim strachu. Kandra kryli się po kątach, spoglądając na niego z ukrycia. Inni nieruchomieli i patrzyli, jak ich mija. Najwyraźniej wieści o jego przybyciu szybko się rozeszły, gdyż inaczej założyliby, że jest kandra noszącym ludzkie kości.

Strażnicy doprowadzili go do stalowych drzwi umieszczonych w ścianie wielkiej jaskini. Jeden wszedł do środka, a drugi strzegł Sazedą. Terrisanin zauważył odłamki metalu migoczące w ramionach kandra. Wyglądały na kolce, po jednym z każdej strony.

Mniejsze niż kolce Inkwizytora, pomyślał Sazed. Ale mimo to bardzo skuteczne.

- Co byś zrobił, gdybym próbował uciec? - spytał Sazed.

Kandra się wzdrygnął.

- Ja, no...

- Czy mogę założyć, że twoje wahanie świadczy o tym, że wciąż nie wolno wam krzywdzić ludzi, a przynajmniej ich zabijać? - spytał Sazed.

- Przestrzegamy Pierwszego Kontraktu.

- Ach. Interesujące. A z kim zawarliście Pierwszy Kontrakt?

- Z Ojcem?

- Ostatnim Imperatorem? - spytał Sazed.

Kandra pokiwał głową.

- On, niestety, naprawdę nie żyje. Czy to oznacza, że wasz Kontrakt przestał być wiążący?

- Nie wiem - odparł kandra i odwrócił wzrok.

Czyli, pomyślał Sazed, nie wszyscy mają tak silną osobowość jak TenSoon. Nawet kiedy grał rolę zwykłego wilczarza, wyczuwałem w nim głębię.

Drugi żołnierz powrócił.

- Chodź ze mną - powiedział.

Przeprowadzili Sazedą przez otwarte metalowe drzwi. W sali wewnątrz znajdowało się duże metalowe podwyższenie wysokie na kilka stóp. Strażnicy nie wstąpili na nie, lecz oprowadzili Sazedą wokół niego, do miejsca przed rzędem kamiennych mównic. Wiele mównic było pustych, choć za dwiema z nich stali kandra z błyszczącymi kośćmi. Te istoty były bardzo wysokie - a przynajmniej używały długich kości - i miały delikatne rysy.

Arystokraci, pomyślał Sazed. Odkrył, że tę klasę bardzo łatwo rozpoznać, niezależnie od kultury i - najwyraźniej - rasy.

Strażnicy Sazedą nakazali mu gestem stanąć przed mównicami. Terrisanin zignorował

ich i obszedł salę dookoła. Jak się spodziewał, strażnicy nie wiedzieli, co robić - podążali za nim, ale nie próbowali go zatrzymać.

- Całą salę otaczają metalowe płyty - zauważył Sazed. - To ozdoba czy ma jakąś funkcję?

- To my będziemy tu zadawać pytania, Terrisaninie! - stwierdził jeden z arystokratycznych kandra.

Sazed się odwrócił.

- Nie. Jestem Sazed, Opiekun z Terris, jednak wśród waszego ludu mam inne imię.

Święty Głosiciel.

Drugi przywódca kandra prychnął.

- Cóż obcy może wiedzieć o takich rzeczach?

- Obcy? - powtórzył Sazed. - Chyba powinniście lepiej poznać zasady własnej wiary. -

Ruszył naprzód. - Jestem Terrisaninem, tak jak wy. Tak, znam wasze pochodzenie. Wiem, jak zostaliście stworzeni... i wiem, jakie niesiecie dziedzictwo. - Zatrzymał się przed mównicami.

- Ogłaszam wam, że odnalazłem Bohatera. Mieszkałem z nią, pracowałem z nią i strzegłem jej. Podałem jej włócznie, którą zabiła Ostatniego Imperatora. Widziałem, jak wydaje rozkazy królom, patrzyłem, jak pokonuje armie ludzi i kolosów. Przybyłem, by wam to głosić, byście mogli się przygotować. - Spojrzał na nich. - Gdyż nadchodzi koniec.

Dwaj kandra przez chwilę stali w milczeniu.

- Wezwijcie pozostałych - powiedział w końcu jeden z nich drżącym głosem.

Sazed się uśmiechnął. Gdy jeden ze strażników odbiegł, Sazed odwrócił się do drugiego.

- Będę potrzebował stołu i krzesła. I czegoś do pisania.

Kilka chwil później wszystko było już gotowe. Liczba kandra wzrosła z czterech do ponad dwudziestu - w tym dwunastu arystokratów z błyszczącymi kośćmi. Jeden ze sług przyniósł Sazedowi stół i Opiekun usadowił się, gdy szlachetni kandra szeptali między sobą.

Sazed ostrożnie położył torbę na stole i zaczął wyjmować metalmyśli. Niewielkie pierścienie, jeszcze mniejsze kolczyki i ćwieki oraz duże bransolety wkrótce pokryły cały blat. Podwinął rękawy i założył miedziomyśli - dwie szerokie bransolety na ramionach i dwie na przedramionach. W końcu wyjął z torby księgę i postawił ją na stole. Podeszli do niego kandra niosący metalowe płytki. Sazed przyglądał się z zainteresowaniem, jak układają je przed nim, jak również stalowe pióro, zdolne do zrobienia wgłębień w miękkim metalu do pisania. Słudzy kandra ukłonili się i odeszli.

Doskonale, pomyślał Sazed, podnosząc metalowe pióro. Odchrząknął. Przywódcy kandra odwrócili się w jego stronę.

- Zakładam - powiedział Sazed - że jesteście Pierwszym Pokoleniem.

- Jesteśmy Drugim Pokoleniem, Terrisaninie - odparł jeden z kandra.

- W takim razie przepraszam, że marnowałem wasz czas. Gdzie mogę znaleźć waszych przywódców?

Pierwszy kandra prychnął.

- Nie myśl, że nad nami zapanowałeś, skoro udało ci się zebrać nas tu razem. Nie widzę powodu, byś rozmawiał z Pierwszym Pokoleniem, nawet jeśli zręcznie bluźnisz.

Sazed uniósł brew.

- Bluźnię?

- Nie jesteś Głosicielem - stwierdził kandra. - Nie nadszedł koniec.

- Widzieliście popiół na górze? - spytał Sazed. - A może tak bardzo zablokował

wejścia do waszego kompleksu jaskiń, że nikt nie może wyjść na zewnątrz, by zobaczyć, że świat się rozpada?

- Żyjemy od bardzo dawna, Terrisaninie - zauważył inny kandra. - Pamiętamy czas, kiedy popiół spadał jeszcze obficie.

- Ach tak? A może widzieliście też wcześniej śmierć Ostatniego Imperatora?

Niektórzy kandra na te słowa zrobili niepewne miny, jednak przywódca potrząsnął głową.

- Czy to TenSoon cię przysłał?

- Owszem - przyznał Sazed.

- Nie masz żadnych argumentów oprócz tych, które on przedstawił - zauważył kandra.

- Dlaczego on uznał, że ty, obcy, przekonasz nas, choć jemu się nie udało?

- Może dlatego, że wiedział coś o mnie - powiedział Sazed, stukając piórem w książkę.

- Czy znasz zwyczaje Opiekunów, kandra?

- Nazywam się KanPaar - odparł kandra. - I tak, rozumiem, co robią Opiekunowie... a przynajmniej, co robili, zanim Ojciec został zabity.

- To być może wiesz, że każdy Opiekun ma swoją specjalizację. Chodziło o to, żebyśmy po upadku Ostatniego Imperatora mieli gotowych specjalistów, którzy mogliby nauczać innych.

- Tak - stwierdził KanPaar.

- Cóż - powiedział Sazed, pocierając palcami księgę. - Ja specjalizowałem się w religii.

Czy wiesz, ile religii istniało przed Wstąpieniem Ostatniego Imperatora?

- Nie wiem. Setki.

- Zapisaliśmy ich pięćset sześćdziesiąt trzy. Choć to uwzględnia również odłamy tych samych wierzeń. Licząc bardziej precyzyjnie, było ich około trzech setek.

- I co z tego? - spytał KanPaar.

- Czy wiesz, ile z nich przetrwało aż do dnia dzisiejszego?

- Żadna?

- Jedna - odparł Sazed, unosząc palec. - Wasza. Religia Terris. Czy myślisz, że to przypadek, że wasza religia nie tylko wciąż istnieje, ale też przepowiada właśnie ten dzień?

KanPaar prychnął.

- Nie mówisz nic nowego. Moja religia jest prawdziwa, a inne były kłamstwami. I co z tego?

- Że być może powinieneś wysłuchać wyznawców swojej wiary, którzy przynoszą wieści. - Sazed zaczął przeglądać księgę. - A przynajmniej powinna zainteresować cię ta księga, zawiera bowiem wszystkie informacje na temat Bohatera Wieków, jakie udało mi się odnaleźć. Ponieważ nie wiedziałem zbyt wiele o prawdziwej religii Terris, musiałem zbierać informacje z drugiej ręki, z legend i opowieści oraz tekstów napisanych w późniejszym czasie. Niestety, duża część z tych tekstów została wypaczona przez Zniszczenie, kiedy próbował przekonać Bohatera do odwiedzenia Studni Wstąpienia i uwolnienia go. Dlatego są wypaczone i splamione jego dotykiem.

- A dlaczego miałoby mnie to zainteresować? - spytał KanPaar. - Właśnie mi powiedziałeś, że twoje informacje są wypaczone i bezużyteczne.

- Bezużyteczne? - powtórzył Sazed. - Nie, wcale nie. Wypaczone, owszem. Zmienione przez Zniszczenie. Przyjacielu, mam tu tom pełen kłamstw Zniszczenia. Wy nosicie w umysłach pierwotną prawdę. Osobno wiemy niewiele. Jednak, gdybyśmy porównali, zobaczyli, które dokładnie elementy zmienił Zniszczenie, czy nie powiedziałoby to nam, jaki jest jego plan? A przynajmniej pokazałoby nam, na czym nie chciał, żebyśmy się skupiali.

Na sali zapanowała cisza.

- Cóż - powiedział w końcu KanPaar. - Ja...

- Wystarczy, KanPaar - powiedział ktoś.

Sazed przechylił głowę. Tego nie powiedział nikt ze zgromadzonych za mównicami.

Sazed rozejrzał się, próbując odkryć, kto się odezwał.

- Możecie odejść, Drudzy - dodał ktoś inny.

Jeden z Drugich sapnął.

- Odejść? Zostawić was z tym obcym?

- Potomkiem. Dawcą Światów. Wysłuchamy go.

- Zostawcie nas.

Sazed uniósł brew. Siedział, gdy Drugie Pokolenie - wyraźnie wstrząśnięte -

opuszczało mównice i w ciszy wychodziło z sali. Para strażników zatrzasnęła drzwi, zasłaniając tych kandra, którzy czekali na zewnątrz. Sazed został sam w sali z widmami, które się odezwały.

Terrisanin usłyszał szuranie. Odbijało się echem od wyłożonego stałą pomieszczenia, a później z tyłu otworzyły się drzwi. Przez nie wyszli ci, którzy musieli być Pierwszym Pokoleniem. Wydawali się... starzy. Ciało kandra dosłownie na nich wisiało, jak przezroczysty mech zwieszający się z kostnych gałęzi. Byli przygięci do ziemi, wyraźnie starsi od innych kandra, których widział, i raczej powłóczyli nogami niż szli.

Nosili proste szaty, bez rękawów, lecz nawet te stroje dziwnie na nich wyglądały. Co więcej, pod ich przezroczystą skórą Sazed widział białe, zwyczajne szkielety.

- Ludzkie kości? - spytał Sazed, gdy stare istoty szły naprzód, wspierając się na laskach.

- Nasze własne kości - odparł jeden z nich, mówiąc słabym, zmęczonym szeptem. -

Gdy to się zaczęło, nie mieliśmy umiejętności ani wiedzy, jak formować Prawdziwe Ciało, więc wzięliśmy swoje stare kości, kiedy Ostatni Imperator nam je oddał.

Pierwsze Pokolenie liczyło tylko dziesięciu członków. Usadowili się na ławkach. A Sazed z szacunku dla nich przesunął stół i usiadł naprzeciwko nich jak mówca przed widownią.

- Zacznijmy - powiedział, unosząc pióro do pisania na metalu. - Mamy wiele pracy.

Pozostaje wciąż pytanie: skąd się wzięły pierwotne przepowiednie na temat Bohatera Wieków? Wiem, że Zniszczenie je zmienił, ale ich nie stworzył. Kto jako pierwszy uczył, że przyjdzie Bohater, który będzie władcą całej ludzkości, ale zostanie odrzucony przez własny lud? Kto jako pierwszy stwierdził, że będzie nosił na swoich ramionach przyszłość ludzkości albo że naprawi to, co zostało zniszczone?

I kto postanowił użyć neutralnego zaimka, żebyśmy nie wiedzieli, czy Bohater będzie kobietą, czy mężczyzną?

Marsh klęczał w stercie popiołu, nienawidząc samego siebie i całego świata. Popiół

spadał bezustannie, gromadził się na jego plecach, przykrywał go, a on się nie podnosił.

Został odsunięty na bok, kazano mu siedzieć i czekać. Jak narzędzie porzucone na podwórku, które powoli przykrywał śnieg.

Byłem tam, pomyślał. Z Vin. Ale... nie mogłem się do niej odezwać. Nie mogłem nic jej powiedzieć.

Co gorsza... wcale tego nie chciał. Podczas całej rozmowy jego ciało i umysł w całości należały do Zniszczenia. Marsh nie umiał się oprzeć, nie mógł zrobić nic, co może pozwoliłoby Vin go zabić.

Za wyjątkiem jednej chwili. Tej chwili pod koniec, kiedy niemal nad nim zapanowała.

Chwili, gdy widział coś we wnętrzu swojego pana - swojego boga, swojej istoty - co dało mu nadzieję.

W tamtej chwili Zniszczenie się jej bał.

I wtedy Zniszczenie zmusił Marsha do ucieczki, pozostawiając armię kolosów - tę armię, którą Elend Venture miał Marshowi ukraść i zaprowadzić pod Fadrex. Tę armię, którą Zniszczenie w swoim czasie odzyskał.

A teraz Marsh czekał wśród popiołu.

Jaki to ma sens? - myślał. Jego pan pragnął czegoś... potrzebował czegoś... i bał się Vin. Te dwie rzeczy dawały Marshowi nadzieję, lecz co mógł zrobić? Nawet w chwilach słabości Zniszczenia Marsh nie umiał nad sobą zapanować.

Jego plan - czekać, trzymać w ukryciu zbuntowaną część swojej osoby, a później wyrwać kolec z pleców i się zabić - wydawał mu się coraz głupszy. Jak mógł liczyć na to, że się uwolni, nawet na tak krótko?

Wstań.

Rozkaz był bezgłośny, ale Marsh natychmiast zareagował. I Zniszczenie wrócił, znów panując nad jego ciałem. Marsh z wysiłkiem zachował panowanie nad częścią umysłu, choć jedynie dlatego, że Zniszczenie wydawał się rozproszony. Inkwizytor zaczął rzucać monety, Odpychać się od nich i wykorzystywać je ponownie - podobnie jak Vin postępowała z podkowami. Podkowy - które miały o wiele więcej metalu - byłyby lepsze, gdyż pozwalałyby mu Odpychać się dalej z każdym skokiem. Ale monety też się nadawały.

Wzniósł się w niebo późnego popołudnia. Czerwone powietrze było nieprzyjemnie szorstkie, pełne popiołu. Marsh obserwował tę scenę, próbując powstrzymać się od widzenia piękna w zagładzie, jednocześnie nie ostrzegając Zniszczenia, że nie jest całkowicie podporządkowany.

To było trudne.

Po jakimś czasie - długo po zapadnięciu zmroku - Zniszczenie nakazał Marshowi wrócić na ziemię. Opadał szybko, z łopotem szaty, i wylądował na niewielkim pagórku.

Popiół sięgał mu do pasa, a pod nogami prawdopodobnie miał jeszcze kilka stóp ubitego popiołu.

W pewnej odległości w dole zbrocza samotna postać przebijała się przez popiół.

Mężczyzna miał torbę i prowadził wyczerpanego konia.

Kto to? - pomyślał Marsh, przyglądając mu się uważnie. Mężczyzna miał sylwetkę żołnierza, kwadratową szczękę i łysinę. Jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost.

Kimkolwiek był, wykazywał podziwu godne zdecydowanie. Niewielu ludzi odważyłoby się wyjść w mgły - jednakże ten mężczyzna nie tylko szedł pośród nich, ale też przebijał się przez popiół sięgający do piersi. Jego mundur był czarny, podobnie jak skóra. Ciemne... pokryte popiołem...

Piękne.

Marsh zeskoczył ze szczytu pagórka i, Odpychając się, przeleciał przez mgłę i popiół.

Mężczyzna na dole musiał go usłyszeć, gdyż obrócił się, niepewnie sięgając do wiszącego u pasa miecza.

Inkwizytor wylądował na grzbiecie konia. Zwierzę zarżało i stanęło dęba, a Marsh skoczył, stawiając stopę na jego pysku i wykonując salto. Wylądował na ziemi. Żołnierz wydeptał prostą ścieżkę i Marsh miał wrażenie, że patrzy wzdłuż wąskiego czarnego korytarza.

Mężczyzna wysunął miecz. Koń zarżał i zadrobił nogami.

Marsh uśmiechnął się i wyciągnął z pochwy obsydianowy topór. Żołnierz cofnął się, próbując zrobić sobie miejsce do walki pośród popiołu. Inkwizytor widział niepokój w oczach mężczyzny, przerażające oczekiwanie.

Koń znów zarżał. Marsh obrócił się na pięcie i odrąbał mu przednie nogi. Zwierzę zakwiczało przeraźliwie. Z tyłu żołnierz poruszył się. I - ku jego zaskoczeniu - nie spróbował

uciekać, lecz zaatakował.

Mężczyzna przebił mieczem plecy Marsha. Ostrze trafiło w kolec i zsunęło się, ale i tak go przebiło. Marsh odwrócił się z uśmiechem i sięgnął do zdrowia, by utrzymać się na nogach.

Żołnierz sięgnął do pleców Marsha, najwyraźniej z zamiarem wyrwania kolca. Marsh jednak spalił cynę z ołowiem i uchylił się, wrywając mężczyźnie miecz z rąk.

Powinienem mu pozwolić, by go wyjął... powiedziała wolna część jego umysłu, zbuntowana, lecz bezużyteczna.

Marsh zamachnął się w stronę głowy mężczyzny, próbując ściąć ją jednym ciosem topora, lecz żołnierz przetoczył się po ziemi, wyrwał sztylet z buta i próbował podciąć ścięgna przeciwnika. Sprytne posunięcie, które powaliłoby Inkwizytora, niezależnie od zapasów zdrowia.

Marsh jednak sięgnął do szybkości. Nagle zaczął się poruszać kilka razy szybciej niż zwyczajny człowiek i bez trudu uniknął cięcia. Kopnął żołnierza w pierś.

Mężczyzna sapnął, gdy jego żebra popękały. Upadł w popiół, przetoczył się i rozkaszłał, a z jego ust popłynęła krew. Zatrzymał się, umazany popiołem. Sięgnął do kieszeni.

Kolejny sztylet? - pomyślał Marsh.

Mężczyzna wyjął złożony arkusz.

Metal?

Marsh poczuł nagle głębokie i przemożne pragnienie, by chwycić ten arkusz metalu.

Żołnierz próbował zmiąć cienką blachę, by zniszczyć jej zawartość, lecz Marsh wrzasnął i opuścił topór na rękę mężczyzny, odcinając ją. Znow uniósł ostrze i tym razem odrąbał głowę mężczyzny.

Nie zatrzymał się, żądza krwi kazała mu raz za razem wbijać topór w trupa. Z tyłu głowy wyczuwał Zniszczenie radujące się tą śmiercią - wyczuwał również frustrację.

Zniszczenie próbował powstrzymać go przed zabijaniem, zmusić go do chwycenia kawałka metalu, lecz nad opanowanym żądzą krwi Marshem nie dało się zapanować. Podobnie jak nad kolossami.

Nie dało się zapanować... To...

Znieruchomiał. Zniszczenie znow nad nim zapanowało. Marsh potrząsnął głową; krew żołnierza spływała po jego twarzy, kapała z brody. Odwrócił się i spojrział na umierającego konia, który rżał pośród nocnej ciszy. Marsh podniósł się, sięgnął po odciętą rękę i wyjął z niej arkusz metalu, który żołnierz próbował ostatkiem sił zniszczyć.

Przeczytaj to!

Słowa były wyraźne w umyśle Marsha. Zniszczenie rzadko się do niego zwracał -

zazwyczaj wykorzystywał go jak marionetkę.

Przeczytaj to na głos!

Marsh zmarszczył czoło, powoli rozkładając list, dając sobie czas do namysłu.

Dlaczego Zniszczenie chciało, by go przeczytał? Chyba że... Zniszczenie nie umiało czytać?

To nie miało sensu. Istota potrafiła zmieniać słowa w księgach.

Z pewnością umiała czytać. W takim razie może to metal ją powstrzymywał?

Rozłożył arkusz. Rzeczywiście, od wewnątrz wydrapano na nim słowa. Marsh próbował powstrzymać się przed przeczytaniem ich. Właściwie pragnął chwycić topór, który ociekał krwią pośród popiołu i zabić się nim. Ale nie mógł. Nie miał nawet tyle swobody, by upuścić list. Zniszczenie odpychał i przyciągał, manipulując uczuciami Marsha, w końcu skłaniając go do...

Tak. Po co się sprzeciwiał? Po co spierał się ze swoim bogiem, swoim panem, swoją istotą? Marsh podniósł arkusz i rozjarzył cynę, by lepiej zobaczyć w ciemnościach jego zawartość.

„Vin” - czytał. - „Mój umysł jest zaćmiony. Zastanawiam się, co jest prawdą. Jednak cały czas czuję nacisk. Muszę ci coś powiedzieć. Nie wiem, czy będzie to miało znaczenie, ale i tak muszę to powiedzieć.

Istota, przeciwko której walczymy, jest prawdziwa. Widziałem ją. Próbowła mnie zniszczyć i próbowała zniszczyć mieszkańców Urteau. Zapanowała nade mną w sposób, jakiego nie przewidziałem. Metal. Mały odłamek metalu przebijający moje ciało. Dzięki niemu wypaczała moje myśli. Nie mogła całkowicie nade mną zapanować, w taki sposób, jak ty panujesz nad kolosami, ale wydaje mi się, że robiła coś podobnego. Może kawałek metalu był za mały, nie wiem.

W każdym razie ukazywała mi się, przybierając postać Kelsiera. To samo robiła z królem Urteau. To bardzo sprytne. To subtelne.

Bądź ostrożna, Vin. Nie ufaj nikomu, kogo przebija metal! Nawet najmniejszy odłamek może zepsuć człowieka.

Spook”.

Marsh, znów całkowicie opanowany przez Zniszczenie, zmiął metal, aż wydrapane litery stały się niewidoczne. Później rzucił go w popiół i wykorzystał jako kotwicę, by Odepchnąć się w powietrze. W stronę Luthadel.

Pozostawił trupy konia, człowieka i wiadomości w popiele, który powoli je zasypywał.

Jak porzucone narzędzia.

O ile dobrze rozumiem, Quellion sam sobie wbił kolec. On nigdy nie był do końca zrównoważony. Zniszczenie podsycalo jego zapal, by podązać za Kelsierem i zabijać szlachetnie urodzonych, ale Quellion już wcześniej miał takie skłonności. Jego paranoja momentami graniczyła z szaleństwem i Zniszczeniu udało się go skłonić do wbicia kluczowego kolca.

Kolec Quelliona był z brązu, a został stworzony z jednego z pierwszych Allomantów, których pojmał. Ten kolec uczynił go Szperaczem, co pomogło mu odnaleźć i szantażować tak wielu Allomantów w czasach, gdy rządził Urteau.

Chodzi mi jednak o to, że ludzie o chwiejnych osobowościach byli bardziej podatni na wpływ Zniszczenia, nawet jeśli nie mieli w sobie kolców. Sądzę, że tak właśnie dostał swój kolec Zane.

- Wciąż nie rozumiem, co to nam daje - powiedział Yomen, idący z Elendem, gdy mijali wrota Fadrex.

Elend zignorował tę uwagę, machając do grupki żołnierzy. Zatrzymał się przy kolejnej

- tym razem nie jego, lecz Yomena - i sprawdził ich broń. Powiedział im kilka słów zachęty i ruszył dalej. Yomen przyglądał się temu w milczeniu, u boku Elenda jak ktoś równy mu rangą, niepokonany król.

Zawarli niezręczny rozejm, ale masy kolossów stojące pod miastem były wystarczającą motywacją do współpracy. Elend miał większą armię, ale nie przytłaczająco - a w miarę przybywania kolossów wróg miał coraz większą przewagę liczebną.

- Powinniśmy zajmować się kwestią warunków sanitarnych - mówił dalej Yomen, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu żołnierzy. - Armia opiera się na dwóch podstawach: zdrowiu i żywności. Jeśli zapewnisz jej oba, zwyciężysz.

Elend uśmiechnął się, rozpoznając cyt. „Zaopatrzenie na dużą skalę” Trentisona.

Kilka lat wcześniej zgodziłby się z Yomenem i pewnie spędziliby popołudnie, dyskutując o filozofii władzy w pałacu obligatora. Jednakże w ciągu ostatnich kilku lat Venture nauczył się takich rzeczy, o których nie dowiedziałby się z książek.

Niestety, oznaczało to, że nie mógł ich wyjaśnić Yomenowi - szczególnie że nie pozostało im dużo czasu. Dlatego wskazał tylko w stronę ulicy.

- Możemy przejść teraz do izby chorych, jeśli sobie życzysz, lordzie Yomenie.

Yomen skinął głową i obaj skierowali się do innej części miasta. Obligator miał

rzeczowe podejście niemal do wszystkiego. Problemy należało rozwiązywać szybko i do cna.

Miał lotny umysł, mimo tendencji do wydawania pośpiesznych osądów.

Kiedy szli, Elend miał oko na żołnierzy - na służbie lub po niej - na ulicach.

Odpowiadał skinieniem głowy na ich saluty, patrzył w oczy. Wielu pracowało, naprawiając zniszczenia wywołane przez coraz potężniejsze trzęsienia ziemi. Może mu się tylko wydawało, ale miał wrażenie, że, kiedy ich mijał, żołnierze bardziej się prostowali.

Yomen przyglądał się temu z namysłem. Obligator wciąż nosił szaty swej warstwy, mimo pojedynczej bryłki atium na czole, którą traktował jako symbol swojej królewskiej władzy. Tatuaze na czole niemal zwijały się w stronę bryłki, jakby zostały właśnie w tym celu namalowane.

- Niewiele wiesz o dowodzeniu żołnierzami, prawda, Yomenie? - spytał Elend.

Obligatorem uniósł brew.

- Wiem o wiele więcej od ciebie na temat taktyki, zaopatrzenia i przemarszu armii między odległymi punktami.

- Ach tak? - spytał Elend. - Czyli czytałeś *Armię w ruchu* Bennitsona, prawda? -

Określenie „odległe punkty” było bardzo charakterystyczne.

Yomen jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Tym, o czym uczeni zazwyczaj zapominają, Yomenie, jest wpływ emocji na przebieg bitwy. Nie chodzi tu tylko o żywność, obuwie i czystą wodę, choć są one niezbędne. Chodzi również o nadzieję, odwagę i wolę przeżycia. Żołnierze muszą wiedzieć, że ich przywódca bierze udział w walce, jeśli nie zabija wrogów, to osobiście kieruje przebiegiem bitwy zza linii frontu. Nie mogą postrzegać go jako abstrakcyjnej siły gdzieś wysoko na wieży, wyglądającej przez okno i rozważającej tajemnice wszechświata.

Yomen zamilkł, gdy szli ulicami, które, mimo że oczyszczone z popiołu, wydawały się opuszczone. Większość ludzi wycofała się na tyły miasta, gdzie kolosy miały dotrzeć na końcu, nawet gdyby się przebiły. Obozowali na ulicach, gdyż w czasie trzęsienia ziemi budynki nie były bezpieczne.

- Jesteś... interesującym człowiekiem, Elendzie Venture - powiedział w końcu Yomen.

- Jestem bękartem - stwierdził Elend.

Yomen uniósł brew.

- W sensie mieszanki, nie urodzenia czy charakteru - wyjaśnił z uśmiechem Elend. -

Jestem połączeniem tego wszystkiego, czym musiałem być. W części uczony, w części buntownik, w części szlachetnie urodzony, w części Zrodzony z Mgły i w części żołnierz.

Czasami sam siebie nie znam. Miałem potworny problem, by zmusić te wszystkie elementy do współdziałania. A kiedy w końcu zaczynam się domyślać, jak to zrobić, świat złośliwie się kończy. I oto jesteśmy na miejscu.

Izba chorych Yomena znajdowała się w przebudowanym budynku Zakonu - co zdaniem Elenda świadczyło o tym, że obligator potrafił być elastyczny. Budynki, które powstały w celach religijnych nie były tak święte, by nie zauważył, że są najlepszym miejscem dla chorych i rannych. Wewnątrz znaleźli lekarzy zajmujących się tymi, którzy przeżyli pierwsze starcie z kolosami. Yomen natychmiast pośpieszył porozmawiać z urzędnikami - najwyraźniej niepokoiła go liczba zakażeń wśród żołnierzy. Elend podszedł do sali, w której znajdowały się najcięższe przypadki, i zaczął rozmawiać z żołnierzami, dodając im otuchy.

To była ciężka praca, kiedy musiał patrzeć na żołnierzy rannych z powodu jego głupoty. Jak mógł nie zauważyć, że Zniszczenie było zdolne odebrać mu kolosy? To było takie logiczne. A jednak

Zniszczenie dobrze wszystko rozegrał - zwiódł Elenda, kazał mu myśleć, że to Inkwizytorzy panują nad kolossami. Kazał mu uwierzyć, że kolossom można zaufać.

Co by się stało, pomyślał, gdybym zaatakował to miasto, jak początkowo planowałem?

Zniszczenie splądrowałby Fadrex, zarznął wszystkich mieszkańców, a później zwrócił kolosy przeciwko żołnierzom Elenda.

Teraz umocnienia bronione wspólnie przez ludzi Elenda i Yomena zmusiły Zniszczenie do zgromadzenia większych sił, nim zaatakuje.

Skazałem to miasto na zagładę, pomyślał Elend, siadając na łóżku mężczyzny, którego cios kolossa pozbawił ręki.

To go frustrowało. Wiedział, że podjął właściwą decyzję. I wolał być za murami miasta - niemal z pewnością skazanego na zagładę - niż na zewnątrz, oblegając je i zwyciężając. Wiedział bowiem, że strona zwycięska nie zawsze ma rację.

Mimo to, wszystko sprowadzało się do frustracji z powodu niemożności zapewnienia ludziom ochrony. I mimo że w Fadrex rządził Yomen, Elend uważał mieszkańców za swoich poddanych. Objął tron Ostatniego Imperatora, nazwał się cesarzem. Obejmował swoją troską całe Ostatnie Imperium. Do czego nadawał się władca, który nie umiał ochronić nawet jednego miasta, nie wspominając o całym imperium?

Jego uwagę zwróciło zamieszanie przed wejściem do sali chorych. Odsunął mroczne myśli i pożegnał żołnierza. Pobiegł do wejścia, gdzie pojawił się już Yomen, zaalarmowany zamieszaniem. Przed wejściem stała kobieta, trzymająca na rękach małego chłopca, którego ciałem wstrząsały dreszcze.

Jeden z lekarzy podbiegł do niej i zabrał chłopca.

- Mgielna choroba? - spytał.

Zapłakana kobieta pokiwała głową.

- Trzymałam go w domu aż do dziś. Wiedziałam! Wiedziałam, że go chcą! Proszę...

Lekarz zabrał chłopca na łóżko. Yomen pokręcił głową.

- Powinnaś była mnie posłuchać, niewiasto - powiedział stanowczo. - Wszyscy w tym mieście zostali wystawieni na działanie mgieł. Teraz twój syn zajmie łóżko, które być może będzie potrzebne dla rannych żołnierzy.

Kobieta skuliła się, nie przerywając płaczu. Yomen westchnął, choć Elend widział

troskę w jego oczach. Obligator nie był pozbawiony uczuć, jedynie pragmatyczny. W dodatku jego

słowa miały sens. Po co chować kogoś przez całe życie w budynku, jedynie ze względu na możliwość, że padnie ofiarą mgieł?

Padnie ofiarą mgieł... - pomyślał Elend, spoglądając na chłopca na łóżku. Tamten przestał się już trząść, choć jego twarz wykrzywił ból. Wydawało się, że ogromnie cierpi.

Elend tylko raz w życiu czuł taki ból.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, o co chodzi z mgielną chorobą, pomyślał. Duch mgły do niego nie powrócił. Ale może Yomen coś wiedział.

- Yomenie - powiedział, podchodząc do obligatora i przerywając jego rozmowę z chirurgami. - Czy ktokolwiek z twoich ludzi znalazł przyczynę mgielnej choroby?

- Przyczynę? - spytał Yomen. - Czy choroba musi mieć przyczynę?

- Tak dziwna przypadłość powinna ją mieć - odparł Elend. - Czy zauważyłeś, że dotyka dokładnie szesnastu procent populacji? Szesnaście procent, co do człowieka.

Yomen nie wydawał się zaskoczony, wzruszył ramionami.

- To ma sens.

- Sens? - powtórzył Elend.

- Szesnaście to potężna liczba, Venture - wyjaśnił Yomen, nie podnosząc wzroku znad raportów. - Tyle dni na przykład zajęło Ostatniemu Imperatorowi dotarcie do Studni Wstąpienia. Ma duże znaczenie w doktrynie Kościoła.

Oczywiście, pomyślał Elend. Yomena nie zaskoczy znalezienie porządku w naturze -

wierzy w boga, który narzucił porządek naturze.

- Szesnaście... - powiedział Elend, spoglądając na chorego chłopca.

- Liczba pierwszych Inkwizytorów - stwierdził Yomen. - Liczba Nakazów w statucie każdego Kantonu. Liczba metali allomantycznych. Licz...

- Zaczekaj - przerwał mu Elend, podnosząc wzrok. - Co powiedziałaś?

- Metale allomantyczne - powtórzył Yomen.

- Jest ich tylko czternaście.

Yomen pokręcił głową.

- O czternastu wiemy, zakładając, że twoja pani miała rację co do pary dla aluminium.

Jednakże czternaście nie jest liczbą mocy. Allomantyczne metale istnieją w parach, zgrupowane po cztery. Wydaje się prawdopodobne, że istnieją jeszcze dwa, których nie odkryliśmy, zwiększające tę liczbę do szesnastu. Dwa razy dwa razy dwa razy dwa. Cztery metale fizyczne, cztery metale umysłu, cztery metale wzmacniające i cztery metale czasu.

Szesnaście metali...

Elend znów spojrział na chłopca. Cierpienie. Elend raz w życiu doznał takiego bólu - w dniu, kiedy ojciec rozkazał go pobić. Pobić, wywołując taki ból, by sądził, że umiera. Pobić tak, by jego ciało znalazło się na granicy śmierci, żeby się Złamał.

Pobić, by odkryć, czy jest Allomantą.

Ostatni Imperatorze! - pomyślał wstrząśnięty Elend. Oskoczył od Yomena i znów wpadł na salę, na której leżeli żołnierze.

- Kto z tu obecnych został powalony przez mgły?

Ranni patrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Czy któryś z was chorował? - spytał Elend. - Kiedy kazałem wam wyjść na mgłę?

Proszę, muszę wiedzieć!

W końcu mężczyzna, który stracił ramię, podniósł drugą rękę.

- Ja zostałem powalony, milordzie. Przepraszam. Rana pewnie jest karą za...

Elend przerwał żołnierzowi. Podbiegł do niego i podał mu zapasową fiolkę z metalami.

- Wypij to - rozkazał.

Mężczyzna zawahał się, po czym wypełnił polecenie. Elend ukląkł obok łóżka i czekał. Serce waliło mu w piersiach.

- I co? - spytał w końcu.

- A o co chodzi, milordzie? - spytał żołnierz.

- Czy coś czujesz?

- Zmęczenie, milordzie? - Mężczyzna wzruszył ramionami.

Elend przymknął oczy i westchnął. To był głupi...

- To dziwne - odezwał się nagle żołnierz.

Elend spojrział na niego.

- Tak - mówił dalej mężczyzna. Wydawał się nieco rozkojarzony. - Ja... ja nie wiem, co o tym myśleć.

- Spal to - stwierdził Elend, rozpalając brąz. - Twoje ciało wie, jak to robić, jeśli mu na to pozwolisz.

Żołnierz głębiej zmarszczył czoło i przechylił głowę. Po czym zaczął pulsować allomantyczną mocą.

Elend znów zamknął oczy, powoli wypuszczając powietrze.

Yomen podszedł do niego od tyłu.

- Co się dzieje?

- Mgły nigdy nie były naszym wrogiem, Yomenie - powiedział Elend, nie otwierając oczu. - Próbowaly pomóc.

- Pomóc? Jak pomóc? O czym ty mówisz?

Elend otworzył oczy i się odwrócił.

- Nie zabijały nas, Yomenie. Nie sprowadzały na nas choroby. Łamały nas. Dawały nam moc. Dodawały nam siły do walki.

- Milordzie! - zawołał ktoś.

Elend odwrócił się, gdy do środka wpadł zdyszany żołnierz.

- Milordzie! Kolosy atakują! Nacierają na miasto!

Elend się wzdrygnął. Zniszczenie. Wie, co właśnie odkryłem - wie, że musi zaatakować teraz, a nie czekać na więcej wojska.

Ponieważ poznałem tajemnicę!

- Yomenie, zbierz cały sproszkowany metal, jaki uda ci się znaleźć w mieście! - ryknął

Elend. - Cyna z ołowiem, cyna, stal i żelazo! Daj je każdemu, kto został powalony przez mgły! Niech je wypiją!

- Dlaczego? - spytał obligator, wciąż dezorientowany.

Elend odwrócił się z uśmiechem.

- Ponieważ są teraz Allomantami. To miasto nie upadnie tak łatwo, jak się wszyscy spodziewali. Gdybyś mnie szukał, będę w pierwszym szeregu!

W liczbie szesnaście jest coś wyjątkowego. Po pierwsze, jest to znak Zachowania dla ludzkości.

Zachowanie wiedział, nawet zanim jeszcze uwięził Zniszczenie, że nie będzie zdolny komunikować się z ludźmi, kiedy się umniejszą. I dlatego pozostawił wskazówki - wskazówki, które nie mogły zostać wypaczone przez Zniszczenie. Wskazówki wiążące się z podstawowymi prawami wszechświata. Liczba ta miała być dowodem, że dzieje się coś nienaturalnego i że można znaleźć pomoc.

Domyślenie się tego zajęło nam sporo czasu, lecz kiedy w końcu zrozumieliśmy wskazówkę - choć było to bardzo późno - znacznie nam pomogła.

Jeśli chodzi o inne aspekty tej liczby... cóż, nawet ja wciąż to badam. Na razie musi wystarczyć stwierdzenie, że ma wielkie znaczenie związane z tym, jak działa świat, a nawet wszechświat.

71

Sazed postukał piórem w metalowy papier i zmarszczył czoło.

- Bardzo niewiele w tym ostatnim fragmencie różni się od tego, co wiedziałem wcześniej - powiedział. - Zniszczenie zmienił tylko drobiazgi... może po to, bym nie zauważył przekształceń. Oczywiście jest to, że chciał, żebym zrozumiał, iż Vin jest Bohaterem Wieków.

- Chciał, żeby go uwolniła - powiedział Haddek, przywódca Pierwszego Pokolenia.

Jego towarzysze pokiwali głowami.

- Może ona wcale nie była Bohaterem? - zauważył inny.

Sazed pokręcił głową.

- Wierzę, że nim jest. Te proroctwa i tak się do niej odnoszą... nawet te niezmienione, o których mi powiedzieliście. Mówią o kimś, kto nie przynależy do ludu Terris, jest królem ludzi i buntownikiem rozdartym między dwoma światami. Zniszczenie jedynie podkreślił, że Vin jest właściwą osobą, gdyż chciał, żeby do niego przyszła i go uwolniła.

- Zawsze zakładaliśmy, że Bohater będzie mężczyzną - powiedział Haddek swoim świszczącym głosem.

- Podobnie jak pozostali - zgodził się Sazed. - Ale sami powiedzieliście, że wszystkie proroctwa używają zaimków neutralnych płciowo. To musiało być celowe... w staroterrisańskim nikt nie wyrażał się w taki sposób przypadkiem. Zaimek neutralny został

wybrany dlatego, byśmy nie wiedzieli, czy Bohater jest mężczyzną, czy kobietą.

Część starożytnych Terrisan pokiwała głowami. Pracowali w łagodnym niebieskim blasku świetlistych kamieni, wciąż w sali z metalowymi ścianami, która, jak domyślał się Sazed, była dla nich swego rodzaju świętym miejscem.

Postukał piórem i zmarszczył czoło. Co go dręczyło? „Powiadają, że trzymam na ramionach los

całego świata"... Słowa Alendiego, z jego dziennika zapisanego tak dawno.

Pierwsze Pokolenie potwierdziło, że to prawda.

Vin miała coś jeszcze zrobić. Jednakże moc Studni Wstąpienia zniknęła. Została wykorzystana. Jak mogła walczyć bez niej? Sazed spojrzął na starożytnych kandra.

- Czym była moc Studni Wstąpienia?

- Nawet my nie jesteśmy tego pewni, młodzieńcze - powiedział Haddek. - Kiedy my żyliśmy jako ludzie, bogowie zdążyli już opuścić ten świat, zostawiając Terris jedynie nadzieję na Bohatera.

- Opowiedzcie mi o tym - poprosił Sazed, pochylając się. - Jak wasi bogowie odeszli z tego świata?

- Zniszczenie i Zachowanie - odpowiedział jeden z pozostałych. - Stworzyli nasz świat i nasz lud.

- Żaden nie mógł tworzyć samodzielnie - dodał Haddek. - Nie, nie mogli. Ponieważ zachowanie czegoś nie oznacza stworzenia... a wyłącznie przez zniszczenie także nie da się tworzyć.

To był motyw często spotykany w mitologiach - Sazed natrafił na niego w dziesiątkach religii, które badał. To, że świat został stworzony podczas starcia dwóch sił, czasami określanymi jako chaos i porządek, czasem jako zagłada i ocalenie. Czuł niepokój.

Miał nadzieję, że ze słów tamtych dowie się czegoś nowego.

A jednak... czy fakt, że coś się powtarzało, musiał oznaczać, że jest fałszywe? A może wszystkie te mitologie mają jedno wspólne - i prawdziwe - źródło?

- Stworzyli świat? - spytał Sazed. - I odeszli?

- Nie od razu - odparł Haddek. - Widzisz, młodzieńcze, tu pojawia się pewna sztuczka.

Ci dwaj zawarli umowę. Zachowanie chciał stworzyć ludzi... istoty zdolne do uczuć. Uzyskał obietnicę od Zniszczenia, że ten pomoże mu stworzyć ludzi.

- Ale nie za darmo - wyszeptał jeden z pozostałych.

- Jaka była cena? - spytał Sazed.

- Że Zniszczenie pewnego dnia będzie mógł unicestwić świat - odparł Haddek.

W okrągłej sali zapanowało milczenie.

- I stąd zdrada - powiedział w końcu Haddek. - Zachowanie oddał życie, by uwięzić Zniszczenie i powstrzymać zagładę świata.

Kolejny często spotykany motyw mitologiczny - bóg męczennik. Sazed był tego świadkiem, gdy

powstawał Kościół Ocalałego.

Ale... tym razem to moja religia, pomyślał. Zmarszczył czoło i oparł się wygodniej, próbując ocenić swoje uczucia. Z jakiegoś powodu zakładał, że prawda będzie inna. Choć pragnął uwierzyć, jego wiedza temu przeczyła. Jak mógł uwierzyć w coś tak pełnego klisz?

Udał się w tak daleką podróż, wierząc, że dostał ostatnią szansę poznania prawdy.

Teraz, gdy ją rozważał, odkrył, że jest wstrząsająco podobna do religii, które odrzucił jako fałszywe.

- Wydajesz się poruszony, dziecko - powiedział Haddek. - Czy niepokoi cię to, co mówimy?

- Przepraszam - odparł Sazed. - To problem osobisty, niezwiązany z losami Bohatera Wieków.

- Powiedz, proszę - odezwał się jeden z pozostałych.

- Sprawa jest skomplikowana - wyjaśnił Sazed. - Od jakiegoś czasu badam religie ludzkości, próbując ustalić, które nauki są prawdziwe. Zacząłem się już bać, że nigdy nie znajdę wiary, która da mi oczekiwane odpowiedzi. Później dowiedziałem się, że moja religia wciąż istnieje, chroniona przez kandra. Przybyłem tu z nadzieją, że odnajdę prawdę.

- To jest prawda - stwierdził jeden z kandra.

- Tak utrzymuje każda religia - sprzeciwił się Sazed, czując coraz większą frustrację. -

Niestety, w każdej z nich znajduję niespójności, nielogiczności i żądania wiary, które uważam za niemożliwe do zaakceptowania.

- Wydaje mi się, młodzieńcze - stwierdził Haddek - że szukasz czegoś, czego nie da się znaleźć.

- Prawdy? - spytał Sazed.

- Nie - odparł Haddek. - Religii, która nie wymaga wiary ze strony swoich wyznawców.

Inny ze starszych kandra pokiwał głową.

- Jesteśmy posłuszni Ojcu i Pierwszemu Kontraktowi, ale nie wierzymy w niego, lecz w... coś wyżej. Ufamy, że Zachowanie zaplanował nadejście tego dnia i że jego pragnienie, by chronić, okaże się potężniejsze od niszczycielskich pragnień Zniszczenia.

- Ale nie wiecie tego - sprzeciwił się Sazed. - Dowód macie dostać dopiero wtedy, kiedy uwierzycie, ale jeśli uwierzycie, wszystko może być dla was dowodem. To zagadka logiczna.

- Wiara nie ma nic wspólnego z logiką, synu - rzekł Haddek. - Może na tym właśnie polega twój problem. Nie możesz „obalić” nic z tego, co badasz, podobnie jak my nie możemy ci udowodnić, że Bohater nas ocali. Musimy po prostu uwierzyć i przyjąć to, czego nauczył nas Zachowanie.

Sazedowi to nie wystarczało. Postanowił jednak się nie zatrzymywać. Nie wiedział

jeszcze wszystkiego o religii Terris. Być może kiedy się tego dowie, uda mu się uporządkować całość.

- Mówiliście o więzieniu Zniszczenia - stwierdził. - Powiedzcie mi, jak to się wiąże z mocą, którą wykorzystwała lady Vin.

- Bogowie nie mają ciał takich jak ludzie - odparł Haddek. - Są... mocami. Siłami.

Umysł Zachowania zginął, lecz jego moc pozostała.

- W postaci sadzawki pełnej płynu? - spytał Sazed.

Pierwsze Pokolenie pokiwało głowami.

- A czarny dym na zewnątrz? - pytał dalej Sazed.

- Zniszczenie - odparł Haddek. - Czekał i obserwował podczas swego uwięzienia.

Sazed zmarszczył czoło.

- Jaskinia dymu była o wiele większa od Studni Wstąpienia. Skąd ta różnica? Czy potęga Zniszczenia jest aż o tyle większa?

Haddek prychnął.

- Byli równie potężni, młodzieńcze. To siły, nie ludzie. Dwa aspekty jednej mocy. Czy jedna strona monety jest „potężniejsza” od drugiej? W taki sam sposób wywierali wpływ na otaczający ich świat.

- Choć - dodał jeden z pozostałych - według jednej z opowieści Zachowanie dał z siebie zbyt wiele, tworząc ludzkość, by stworzyć coś, w czym jest więcej Zachowania niż Zniszczenia. W każdej jednostce byłaby to jedynie odrobina. Malutka.... łatwa do przeoczenia, chyba że przez bardzo długi czas...

- Skąd więc różnica w wielkości? - spytał Sazed.

- Nie rozumiesz, młodzieńcze - stwierdził Haddek. - Moc w tej sadzawce to nie było Zachowanie.

- Ale przecież właśnie powiedzieliście...

- Rzecz jasna, to była część Zachowania - mówił dalej Haddek. - Ale on jest mocą...

jego wpływ widać wszędzie. Część być może skupiła się w sadzawce. Reszta jest... gdzie indziej i wszędzie.

- Jeśli chodzi o Zniszczenie, jego umysł był tam skupiony - dodał inny kandra. - I dlatego jego moc

miała tendencję, by się tam skupiać. A przynajmniej dużo bardziej niż w przypadku Zachowania.

- Ale nie w całości - dodał inny ze śmiechem.

Sazed przechylił głowę.

- Nie w całości? Ona również była rozproszona po całym świecie, jak zakładam?

- W pewnym sensie - odparł Haddek.

- Mówimy teraz o rzeczach zawartych w Pierwszym Kontrakcie - ostrzegł inny kandra.

Haddek zawahał się, po czym się odwrócił i popatrzył Sazedowi w oczy.

- Jeśli to, co mówi ten mąż, jest prawdą, to Zniszczenie uciekło. A to znaczy, że wkrótce przyjdzie po swoje ciało. Swoją... moc.

Sazeda przeszedł dreszcz.

- Czy jest tutaj? - spytał cicho.

Haddek pokiwał głową.

- My ją zbieraliśmy. W Pierwszym Kontrakcie Ostatni Imperator określił to jako nasz obowiązek na tym świecie.

- Inne Dzieci miały cel - dodał inny kandra. - Kolosy zostały stworzone, by walczyć.

Inkwizytorzy, by zostać kapłanami. Nasze zadanie wyglądało inaczej.

- Zbierać moc - powiedział Haddek. - I chronić ją. Ukrywać. Zatrzymać. Ojciec wiedział, że Zniszczenie pewnego dnia wyrwie się na wolność. I tego dnia zacznie szukać swojego ciała.

Grupa starych kandra popatrzyła ponad Sazedem. Zmarszczył czoło i podążył

spojrzeniem za ich wzrokiem. Patrzyli w stronę metalowego podwyższenia.

Sazed wstał powoli i przeszedł po kamiennej podłodze. Podwyższenie było duże -

miało około dwudziestu stóp szerokości - ale niezbyt wysokie. Wstąpił na nie, wywołując zbiorowe westchnienie kandra, ale żaden z nich nie kazał mu się zatrzymać.

W okrągłym podwyższeniu znajdowało się spojenie, a pośrodku niego otwór wielkości sporej monety. Sazed zajrzał do środka. Niestety, było zbyt ciemno.

Cofnął się.

Chyba mi jeszcze trochę zostało, pomyślał, spoglądając w stronę stołu z metalnymi. Napelniałem

ten pierścień przez kilka miesięcy, zanim w ogóle odrzuciłem metalmyśli.

Szybko podszedł i zdjął ze stołu niewielki pierścień z cyny z ołowiem. Założył go i spojrzał na zebrane Pierwsze Pokolenie. Kandra uciekli wzrokiem przed jego pytającym spojrzeniem.

- Zrób, co musisz, dziecko - powiedział Haddek, a jego stary głos odbijał się echem. -

Nie mogliśmy cię powstrzymać, choćbyśmy chcieli.

Sazed wrócił do podwyższenia i sięgnął do cynołowiomysli po siłę, którą zgromadził

przed ponad rokiem. Jego ciało natychmiast stało się wiele razy silniejsze niż zwykle, a szaty zrobiły się ciasne. Umięśnionymi rękami sięgnął w dół i pchnął jedną stronę dysku.

Ten zazgrzytał o kamień i odsunął się, ukazując dużą studnię. W dole coś błyszczało.

Sazed zamarł, jego siła - i ciało - zmniejszyły się, gdy uwolnił cynomiedziomysł. Szaty znów zrobiły się luźne. Na sali panowało milczenie. Sazed wpatrywał się w na wpół

odsłoniętą studnię i ukrytą w niej ogromną stertę bryłek.

- Zaufanie, tak to nazywamy - powiedział cicho Haddek. - Ojciec powierzył je nam w depozyt.

Atium. Tysiące i dziesiątki tysięcy bryłek. Sazed sapnął.

- Zapasy atium Ostatniego Imperatora... były tu przez cały czas.

- Większość atium nigdy nie opuściła Czeluści Hathsin - wyjaśnił Haddek. - Przez cały czas pracowali tam obligatorzy... ale nigdy Inkwizytorzy, gdyż Ojciec wiedział, że oni mogą zostać zepsuci. Obligatorzy w tajemnicy rozłupywali geody, wewnątrz metalowej komnaty wybudowanej właśnie w tym celu, później wyjmowali atium. Szlachetnie urodzone rody zabierały puste geody do Luthadel, nie wiedząc, że wcale nie mają żadnego atium w swoim posiadaniu. To atium, które Ostatni Imperator otrzymywał i rozdawał szlachetnie urodzonym, było przywożone przez obligatorów. Udawali, że to fundusze Zakonu i przewozili je w stertach monet, by Zniszczenie ich nie zauważył, gdy wraz z konwojami nowych akolitów jechały do Luthadel.

Sazed stał oszołomiony. Tutaj... przez cały czas. W tak niewielkiej odległości od jaskiń, w których Kelsier zbierał swoją armię. Niedaleko Luthadel, przez ten cały czas pozbawione ochrony.

I tak doskonale ukryte.

- Pracowaliście za atium - powiedział, podnosząc wzrok. - Za Kontrakty kandra płaciło się atium.

Haddek pokiwał głową.

- Mieliśmy je zbierać, ile tylko się dało. Co nie kończyło w naszych rękach, spalali Zrodzeni z Mgły. Niektóre z rodów miały nieduże skarbczyki, ale podatki i opłaty nakładane przez Ojca sprawiały, że

atium wracało do jego rąk i w końcu większość trafiła tutaj.

Sazed spojrzął w dół. Cóż za bogactwo, pomyślał. Cóż za... moc. Atium nigdy nie pasowało do innych metali. Wszystkie pozostałe, nawet aluminium i duraluminium, dawało się wykopać albo uzyskać w drodze naturalnych procesów. Atium jednak zawsze pochodziło tylko z jednego źródła, a pojawiało się w sposób tajemniczy i dziwaczny. Jego moc pozwalała człowiekowi zrobić coś poza tym nieosiągalnego na drodze Allomancji lub Feruchemii.

Pozwalało zobaczyć przyszłość. To nie była sprawa ludzka, bardziej... boska.

To nie był tylko metal, lecz skoncentrowana, skupiona moc.

Moc, której Zniszczenie pragnęło. Bardzo.

* * *

TenSoon wspiał się na szczyt wzgórza, przebijając się przez popiół sięgający tak wysoko, że bardzo cieszył się z ciała konia, gdyż wilczarzowi nie udało się przedrzeć przez tak wysokie zasy.

Popiół padał gęsto, ograniczając widoczność. W takim tempie nigdy nie dotrę do Fadrex, pomyślał ze złością. Nawet dając z siebie wszystko, korzystając z potężnego ciała konia, poruszał się zbyt powoli, by oddalić się od Ojczyzny.

W końcu wspiał się na szczyt wzgórza, dysząc ciężko.

Na szczycie zamarł, wstrząśnięty. Ziemia przed nim płonęła.

Tyrian, popielna góra najbliższa Luthadel, znajdował się w niewielkiej odległości, a połowa jego wierzchołka została zniszczona przez gwałtowną erupcję. Powietrze jakby płonęło, a po szerokiej równinie rozciągającej się przed TenSoonem płynęła lawa. Miała odcień głębokiej czerwieni. Nawet z tej odległości czuł, jak uderza w niego gorąco.

Stał przez długą chwilę, głęboko w popiele, wpatrując się w krajobraz, który niegdyś zawierał wioski, lasy i drogi. Wszystko zniknęło, wszystko zostało wypalone. Ziemia popękała, a z pęknięć wydobywała się również lawa.

Na Pierwszy Kontrakt, pomyślał z rozpaczą. Mógł skrócić na południe, biec dalej do Fadrex, jakby ruszył tam prosto z Luthadel, lecz z jakiegoś powodu nie mógł znaleźć w sobie motywacji.

Było za późno.

Tak, metali jest szesnaście. Uważam za bardzo mało prawdopodobne to, że Ostatni Imperator nie wiedział o istnieniu ich wszystkich. W rzeczy samej, fakt, że wspomniał o niektórych na tablicach w jaskiniach, wskazuje na to, że wiedział przynajmniej o nich.

Muszę założyć, że nie powiedział o nich ludziom wcześniej nie bez powodu. Może zachował je dla siebie, żeby mieć przewagę, podobnie jak zostawił sobie ostatnią bryłkę ciała Zachowania, która

zmieniała ludzi w Zrodzonych z Mgły.

A może po prostu uznał, że ludzkość zyskała wystarczająco dużo mocy dzięki dziesięciu metalom już znanym. Niektórych rzeczy się już nie dowiemy. W głębi duszy uważam to, co zrobił, za godne pożałowania. Wciążu tysiąclecia rządów Ostatniego Imperatora, jak wielu ludzi narodziło się, Złamało i umarło, nie wiedząc, że są Mglistymi, jedynie dlatego, że ich metale były nieznane?

Oczywiście, to w końcu dało nam niewielką przewagę. Zniszczenie miało spore kłopoty z dostarczeniem swoim Inkwizytorom duraluminium, ponieważ musiał wcześniej zabić Allomantę, który je spalał. A ponieważ żaden z Mglistych duraluminium na świecie nie znał

swojej mocy nie spalali go i nie ujawniali się Zniszczeniu. To oznaczało, że większość Inkwizytorów była pozbawiona mocy duraluminium, pomijając kilka ważnych przypadków -

na przykład Marsha - którzy dostali ją od Zrodzonego z Mgły. To uważano jednak za marnotrawstwo, jeśli bowiem ktoś hemalurgicznie zabił Zrodzonego z Mgły mógł zabrać tylko jedną z szesnastu mocy a resztę tracił. Zniszczenie uważał, że o wiele lepiej jest przeciągać ich na swoją stronę i zyskiwać całą ich moc.

72

Zaczęło padać tuż przed tym, jak Vin dotarła do Luthadel. Cicha, chłodna mżawka nie odegnała jednak mgieł.

Vin rozjarzyła brąz. W pewnej odległości wyczuwała Allomantów. Zrodzeni z Mgły.

Goniący ją. Był ich przynajmniej tuzin, zbliżali się do niej.

Wylądowała na murze miasta, jej bosa stopy lekko poślizgnęły się na kamieniu. Za nią rozciągało się Luthadel, nawet teraz pełne dumy. Założył je tysiąc lat wcześniej Ostatni Imperator, wybudował nad Studnią Wstąpienia. Podczas dziesięciu stuleci jego rządów miasto rozwijało się, stając się najważniejszym - i najbardziej zatłoczonym - miejscem w całym imperium.

A teraz umierało.

Vin wyprostowała się, spoglądając na potężne miasto. Płomienie wznosiły się nad palącymi się budynkami. Ogień rzucał wyzwanie deszczowi, podświetlając slumsy i inne okolice niczym ognie sygnałowe. W ich blasku widziała, że miasto jest zrujnowane. Całe połacie zostały zrównane z ziemią, budynki zburzone lub spalone. Ulice były dziwnie puste -

nikt nie gasił pożarów, nikt nie kulił się w rynsztokach.

Stolica, niegdyś dom tysięcy, wydawała się pusta. Wiatr szarpał mokre od deszczu włosy Vin. Przeszył ją dreszcz. Mgły jak zawsze trzymały się od niej z dala, odepchnięte przez jej Allomancję. Była samotna w największym mieście świata.

Nie. Nie samotna. Czowała, jak nadchodzą - słudzy Zniszczenia. Zaprowadziła ich tutaj, kazała im

sądzić, że przynosi atium. Tak dużej liczby nie mogła pokonać. Była skazana na zagładę.

I o to chodziło.

Zeskoczyła z muru, przebiła się przez mgły, popiół i deszcz. Miała swój mgielny płaszcz, bardziej z nostalgii niż dla użyteczności. To był ten sam płaszcz, który nosiła zawsze

- który podarował jej Kelsier podczas pierwszej nocy szkolenia.

Wylądowała z chlupotem na dachu budynku i znów skoczyła, wznosząc się nad miastem. Nie była pewna, czy deszcz tej nocy był poetyczny, czy też złowieszczy. Innej nocy również odwiedziła Kredik Shaw w deszczu. Sądziła, że tamtej nocy powinna zginąć.

Wylądowała na ulicy i wyprostowała się, jej płaszcz opadł wokół niej, okrywając jej ramiona i piersi. Stała w ciszy, wpatrując się w Kredik Shaw, Wzgórze Tysiąca Wież. Pałac Ostatniego Imperatora, lokalizacja Studni Wstąpienia.

Na budowlę składało się kilka niskich skrzydeł uwieńczonych wieżami, iglicami i kolcami. Straszliwa, niemal idealna symetria tego połączenia była jeszcze bardziej niepokojąca ze względu na obecność mgieł i popiołu. Budynek został porzucony po śmierci Ostatniego Imperatora. Drzwi wyłamano, a teraz widziała również powybijane okna. Kredik Shaw było równie martwe jak miasto, nad którym niegdyś dominowało.

Obok niej stanęła postać.

- Tutaj? - spytał Zniszczenie. - Tu mnie doprowadziłaś? Przeszukaliśmy to miejsce.

Vin milczała, wpatrując się w iglice. Czarne palce metalu wznoszące się w jeszcze ciemniejsze niebo.

- Moi Inkwizytorzy nadchodzą - wyszeptał Zniszczenie.

- Nie powinieneś być się ujawniać - stwierdziła Vin, nie patrząc na niego. - Powinieneś zaczekać, aż wyjmę atium z ukrycia. Teraz już tego nie zrobię.

- Ale ja już nie wierzę, że je masz - powiedział Zniszczenie swym ojcowskim głosem.

- Dziecko... dziecko. Wierzyłem ci z początku... nawet zebrałem swoje siły, żeby stawić ci czoło. Kiedy jednak przybyłaś tutaj, wiedziałem już, że mnie zwodziłaś.

- Ale nie możesz być tego pewien - odezwała się cicho Vin przy akompaniamencie równie cichego deszczu.

Milczenie.

- Nie - przyznał w końcu Zniszczenie.

- W takim razie powinieneś spróbować zmusić mnie do mówienia - wyszeptała.

- Spróbować? Czy ty rozumiesz moce, jakie mogę przeciwko tobie zwrócić, dziecko?

Jesteś świadoma siły, jaką posiadam, zagłady, którą oznaczam? Jestem górami, które miażdżą. Jestem falami, które się rozbijają. Jestem sztormami, które zatapiają. Jestem końcem.

Vin nadal wpatrywała się w padający deszcz. Nie wątpiła w swój plan - to nie było w jej stylu. Podjęła decyzję, co zrobi. Czas uruchomić pułapkę.

Miała już dość tego, że ciągle ktoś nią manipulował.

- Nigdy go nie dostaniesz - powiedziała. - Nie za mojego życia.

Zniszczenie zaryczał, a był to dźwięk pierwotnego gniewu, czegoś, co musiało niszczyć. I zniknął. Na niebie zapłonęła błyskawica, jej światło było niczym fala mocy płynąca przez mgły. Rozświetliło odziane w długie szaty postaci, które szły w jej stronę.

Otaczały ją.

Vin zwróciła się w stronę pobliskiego zniszczonego budynku, obserwując postać wspinającą się po gruzie. Teraz oświetlał ją jedynie słaby blask gwiazd. Naga od pasa w górę, miała mocną klatkę piersiową i napięte mięśnie. Po jej skórze spływał deszcz, skapując z kolców wyrastających z torsu. Z oczu również wystawały kolce - jeden wbity mocniej w czaszkę, tak że zmiażdżył oczodoł.

Zwykli Inkwizytorzy mieli dziewięć kolców. Ten, którego zabiła z Elendem, miał ich dziesięć. Marsh miał ich co najmniej dwadzieścia. Warknął cicho.

I zaczęła się walka.

Vin odrzuciła do tyłu płaszcz, strzepując wodę z jego pasm, i Odepchnęła się naprzód.

Trzynastu Inkwizytorów rzuciło się przez niebo w jej stronę. Vin uniknęła licznych ciosów toporów i Odepchnęła dwóch przeciwników, spalając duraluminium. Istoty zostały odrzucone do tyłu przez swoje własne kolce, a ona nagle odskoczyła w bok.

Uderzyła kolejnego Inkwizytora, wbijając stopy w jego pierś. Chlapnęła woda, zmieszana z popiołem, kiedy Vin sięgnęła w dół i chwyciła jeden z kolców w oczach Inkwizytora. Później Przyciągnęła się do tyłu i rozjarzyła cynę z ołowiem.

Szarpnęła się, uwalniając kolec. Inkwizytor wrzasnął, ale nie upadł. Popatrzył na nią z ziejącym otworem z jednej strony głowy i zasyczał. Najwyraźniej wyjęcie jednego kolca z oczodołu nie wystarczało, by go zabić.

Zniszczenie zaśmiał się w jej głowie.

Pozbawiony kolca Inkwizytor wyciągnął ręce w jej stronę, a Vin Przyciągnęła się w górę, ku jednej z

metalowych iglic Kredik Shaw. Pochłonęła zawartość fiołki z metalem, odzyskując stal.

Tuzin postaci w czarnych szatach wzniósł się w niebo, podążając za nią. Marsh został na dole i obserwował ją.

Vin zacisnęła zęby, wyciągnęła dwa sztylety i Odepchnęła się znowu w dół -

bezpośrednio w stronę Inkwizytorów. Minęła ich, zaskakując kilku, którzy najwyraźniej spodziewali się, że spróbuje odskoczyć. Uderzyła w stwora, któremu odebrała kolec, zawirowała w powietrzu i wbiła sztylety w jego pierś. Zazgrzytał zębami, śmiejąc się, po czym szarpnął ją za rękę i kopnięciem pchnął na ziemię.

Spadała razem z deszczem.

Vin mocno uderzyła w ziemię, ale udało jej się wylądować na nogach. Inkwizytor uderzył w bruk plecami, wciąż ze sztyletami wbitymi w piersi, po czym podniósł się bez trudu, wyrwał sztylety i roztrzaskał je na kamieniach.

I nagle się poruszył. Zbyt szybko. Vin nie miała czasu zareagować, kiedy przebił się przez deszcz i chwycił ją za gardło.

Widziałam już wcześniej taką szybkość, pomyślała, szarpiąc się. Nie u Inkwizytorów.

U Sazed. To moc feruchemiczna. Tak samo jak siła, z której wcześniej skorzystał Marsh.

To był powód dla nowych kolców. Tamci pozostali Inkwizytorzy nie mieli ich tyle, co Marsh, ale najwyraźniej zyskali nowe moce. Siła. Szybkość. Każda z tych istot była właściwie nowym Ostatnim Imperatorem.

Widzisz? - spytał Zniszczenie.

Vin krzyknęła i dzięki wspomaganemu duraluminium Odpychaniu wyrwała się z uścisku Inkwizytora. Jej gardło krwawiło, rozszarpane jego paznokciami, musiała też połknąć kolejną fiołkę metali - ostatnią - żeby odzyskać stal, gdy ślizgała się po mokrych kamieniach.

Zapasy feruchemiczne wyczerpują się, powiedziała sobie. Nawet Allomanci popełniają błędy. Mogę zwyciężyć.

Mimo to, zawahała się, dysząc ciężko, gdy zatrzymała się wsparta na jednej ręce, zanurzonej po nadgarstek w zimnej deszczówce. Kelsier z trudem pokonał jednego Inkwizytora. A ona próbowała walczyć z trzynastoma?

Wokół niej wylądowały postaci w ociekających deszczem szatach. Vin kopnęła, wbijając stopę w pierś Inkwizytora, po czym Przyciągnęła się, by uciec poza zasięg ciosu kolejnego. Przetoczyła się po śliskich kamieniach i obsydianowy topór omal nie obciął jej głowy. Podniosła się i z pomocą cyny z ołowiem wbiła stopy w kolana przeciwnika.

Zatrzeszczały kości. Inkwizytor krzyknął i upadł. Vin jedną ręką odepchnęła się od ziemi i Przyciągnęła się do iglic, unosząc się na dziesięć stóp poza zasięg licznych ciosów, które spadły w jej stronę.

Znów wylądowała na ziemi, chwyciła rękojeść topora powalonego Inkwizytora.

Zamachnęła się nim, rozchlapując wodę; jej skóra była pokryta mokrym popiołem. Sparowała cios.

Nie możesz walczyć, Vin, powiedział Zniszczenie. Każdy cios ostatecznie pomaga właśnie mnie. Jestem Zniszczeniem.

Krzyknęła i rzuciła się naprzód w szaleńczym ataku, odpychając ramieniem jednego Inkwizytora i wbijając topór w bok drugiego. Warczeli i zadawali ciosy, ale ona trzymała się krok przed nimi, w ostatniej chwili uchylając się przed ostrzami. Ten, którego powaliła, znów się podniósł, jego kolana były zdrowe. Uśmiechał się.

Cios, którego nie zauważyła, trafił ją w ramię, popychając do przodu. Poczowała ciepłą krew płynącą po plecach, lecz cyna z ołowiem tłumiała ból. Rzuciła się w bok, odzyskując równowagę, nie wypuszczała topora z rąk.

Inkwizytorzy się skradali. Marsh przyglądał się jej w milczeniu, po jego twarzy spływał deszcz, z jego ciała wystawały kolce niczym iglice Kredik Shaw. Nie włączył się znów do walki.

Vin warknęła i ponownie Przyciągnęła się w niebo. Wystrzeliła przed swoich wrogów i skakała od iglicy do iglicy, wykorzystując ich metal jako kotwice. Dwunastu Inkwizytorów podążało za nią jak stado kruków, skacząc między iglicami z łopotem szat. Wybierali inne ścieżki niż ona. Przelatywała pośród mgieł, które wciąż kłębiły się wokół niej, rzucając wyzwanie deszczowi.

Inkwizytor wylądował na wieży, do której się kierowała. Ryknęła i zamachnęła się toporem nad głowy, ale on Odepchnął się - unikając jej ciosu - i zaraz znów Przyciągnął.

Kopnęła go w stopy i oboje oderwali się od iglicy. Kiedy zaczęli spadać, chwyciła go za szatę.

Podniósł wzrok, zaciskając zęby w uśmiechu, nieludzko silną ręką wyrywając jej topór. Jego ciało zaczęło nabierać masy, zyskując nienaturalne umięśnienie Feruchemika sięgającego do siły. Zaśmiał się i próbował chwycić Vin za szyję. Nie zauważył, że Vin podczas spadania delikatnie Przyciągnęła ich oboje w bok.

Uderzyli w jedną z niższych iglic i metal przebił pierś zaskoczonego Inkwizytora. Vin szarpnęła się w bok, żeby uniknąć przebicia, ale wciąż trzymała jego głowę, a ciężar jej ciała ściągał go w dół. Vin nie patrzyła, gdy iglica przebijała się przez niego, lecz kiedy w końcu dotknęła ziemi, trzymała jedynie głowę. Pozbawiony ciała kolec upadł w kałużę u jej stóp, a ona porzuciła obok niego głowę martwej istoty.

Marsh wrzasnął ze złości. Czterech kolejnych Inkwizytorów wylądowało wokół niej.

Vin kopnęła jednego, lecz on poruszał się z feruchemiczną szybkością i chwycił ją za nogę.

Kolejny złapał ją za ramię i szarpnął w bok. Krzyknęła i wyrwała się, lecz wtedy złapał ją trzeci, z siłą jednocześnie allomantyczną i feruchemiczną. Pozostała trójka podążyła za nim, chwytając ją szponiastymi dłońmi.

Vin odetchnęła głęboko, zgasiła cynę, po czym spaliła duraluminium, stal i cynę z ołowiem. Z nagłym przyplływem mocy Odepchnęła na zewnątrz - Inkwizytorów pociągnęły do tyłu ich własne kolce. Przeklinając, poleciała na ziemię.

Vin uderzyła w bruk. Nagle ból pleców i szyi wydał się nieprawdopodobnie silny.

Rozjarzyła cynę, by przywrócić jasność zmysłów, ale i tak wstała z dużym trudem i zawrotami głowy. W tym jednym wybuchu zużyła całą cynę z ołowiem.

Zerwała się do biegu, lecz ktoś przed nią stał. Marsh milczał, choć mgły przebiła kolejna błyskawica.

Nie miała już cyny z ołowiem. Krwawiła z rany, która prawdopodobnie zabiłaby kogoś innego. Była zdesperowana.

Dobrze. Teraz! - pomyślała, gdy Marsh ją spoliczkował. Cios rzucił ją na ziemię.

Nic się nie stało.

Dalej! - pomyślała Vin, próbując sięgnąć do mgieł. Wypełniła ją groza, gdy Marsh uniósł się nad nią, czarna postać na tle nocy. Proszę!

Za każdym razem, kiedy mgły jej pomagały, robiły to, gdy była w naprawdę tragicznej sytuacji. Taki był jej plan, choć wydawał się mało przekonujący - znaleźć się w większych tarapatach niż kiedykolwiek wcześniej i liczyć, że mgły jej pomogą. Jak zrobiły to dwukrotnie wcześniej.

Marsh klęczał nad nią. W jej zmęczonym umyśle pojawiały się, niczym błyskawice, obrazy.

Camon unoszący masywną rękę, by ją zbić. Deszcz padający na nią, gdy kuliła się w mrocznym kącie z raną w boku. Zane odwracający się w jej stronę, gdy stali na szczycie Twierdzy Hasting, a z jednej z jego rąk płynęła krew.

Vin próbowała odczołgać się po śliskich, zimnych kamieniach, ale ciało jej nie słuchało. Ledwie się poruszała. Marsh uderzył pięścią w jej nogę, miażdżąc kość, a ona krzyknęła z bólu. Nie miała cyny z ołowiem, by złagodzić cios. Próbowwała się podnieść, by chwycić jeden z kolców Marsha, lecz on złapał ją za nogę - tę złamaną - i jej własny wysiłek sprawił, że znów krzyknęła z bólu.

A teraz, stwierdził Zniszczenie, zaczniemy. Gdzie jest atium, Vin? Co o nim wiesz?

- Proszę - wyszeptała Vin, wyciągając ręce do mgieł. - Proszę, proszę...

One jednak trzymały się w oddaleniu. Niegdyś swawolnie krążyły wokół niej, lecz teraz się cofały. Jak przez cały ostatni rok. Płakała, wyciągała do nich ręce, ale one znikwały.

Unikały jej jak ofiary moru.

W podobny sposób mgły traktowały Inkwizytorów.

Istoty podniosły się i otoczyły ją, sylwetki na tle ciemnej nocy. Marsh przyciągnął ją do siebie i chwycił ją za ramię. Usłyszała odgłos pękającej kości, zanim poczuła ból. Kiedy nadszedł, krzyknęła.

Od bardzo dawna nie zaznała tortur. Ulice nie były przyjemnym miejscem, ale przez ostatnie kilka lat udało jej się zapomnieć o większości z tych doświadczeń. Stała się Zrodzoną z Mgły. Potężną. Chronioną.

Nie tym razem, pomyślała, ogarnięta bólem. Sazed po mnie nie przyjdzie. Kelsier mnie nie uratuje. Nawet mgły mnie opuściły. Jestem samotna.

Zaczęła szcząkać zębami, a Marsh uniósł jej drugą rękę. Popatrzył na nią kolcami oczu, jego twarz była bez wyrazu. I złamał kość.

Vin krzyknęła, bardziej z grozy niż z bólu.

* * *

Marsh patrzył, jak Vin krzyczy. Uśmiechnął się, po czym sięgnął po jej zdrową nogę.

Gdyby tylko Zniszczenie go nie powstrzymywał. Wtedy mógłby ją zabić. Napierał na więzy, pragnąc zadać jej więcej cierpienia.

Nie... - pomyślał fragment jego umysłu.

Deszcz padał, noc była cudowna. Miasto Luthadel leżało spowite najpiękniejszym kirem, dymiło, niektóre dzielnice wciąż płonęły mimo wilgoci. Jakże żałował, że nie przybył

odpowiednio wcześniej, by zobaczyć bunty i śmierć. Uśmiechnął się, znów czując przepełniającą go żądzę krwi.

Nie, pomyślał.

Jakimś sposobem wiedział, że nadchodzi koniec. Ziemia drżała pod jego stopami i musiał podeprzeć się jedną ręką, by zmiażdżyć drugą nogę Vin. Nadszedł ostatni dzień. Świat nie przetrwa tej nocy. Zaśmiał się radośnie, przepełniony żądzą krwi. Zniszczenie ledwie nad nim panował, gdy łamał kolejne kości w ciele Vin.

NIE!

Marsh się przebudził. Choć jego dłonie wciąż poruszały się zgodnie z rozkazami, umysł się zbuntował. Widział popiół, deszcz, krew i sadzę, i czuł odrazę. Vin leżała prawie martwa.

Kelsier traktował ją jak córkę, pomyślał, łamiąc jej palce, jeden po drugim.

Wrzeszczała. Córkę, której z Mare nie mieli.

Poddałem się. Jak wtedy, z powstaniem.

To był wstyd jego życia. Przed wielu laty, przed Upadkiem, był przywódcą powstania skaa. Ale się poddał. Wycofał się, rezygnując z przywództwa. A zrobił to zaledwie rok przed obaleniem przez buntowników - z pomocą Kelsiera - Ostatniego Imperium. Marsh był

przywódcą, ale się poddał. Tuż przed zwycięstwem.

Nie, pomyślał, łamiąc palce drugiej dłoni Vin. Nigdy więcej. Koniec z poddawaniem się!

Jego dłoń uniosła się do jej obojczyka. I wtedy go zobaczył. Kawałek metalu, błyszczący w uchu Vin. Jej kolczyk. Raz mu o nim opowiedziała.

„Ja tego nie pamiętam”, szeptała Vin głosem z przeszłości. Wspomnienia, kiedy Marsh siedział z nią na cichej werandzie posiadłości Renoux i patrzył, jak Kelsier na dole organizuje karawanę, tuż przed tym, jak sam Marsh odszedł, by wkraść się w szeregi Stalowego Zakonu.

Vin opowiadała o swojej szalonej matce. „Reen mówił, że pewnego dnia wrócił do domu i zastał matkę we krwi”, powiedziała wtedy. „Zabiła moją malutką siostrę. Mnie jednak nie ruszyła... dała mi tylko kolczyk...”.

„Nie ufaj nikomu, kogo przebija metal”. List Spooka. „Nawet najmniejszy odłamek może zepsuć człowieka”.

Nawet najmniejszy odłamek.

Kiedy przyjrzał się uważniej, kolczyk - choć pogięty i podrapany - przypominał

niemal malutki kolec.

Nie myślał. Nie dał Zniszczeniu czasu na reakcję. Pośród dreszczu rozkoszy zabijania Bohatera Wieków panowanie Zniszczenia było najslabsze. Marsh zebrał ostatki woli, które mu pozostały, i wyciągnął rękę.

I wyrwał kolczyk z ucha Vin.

* * *

Vin gwałtownie otworzyła oczy.

Padał na nią deszcz i popiół. Jej ciało płonęło cierpieniem, a krzyki Zniszczenia wciąż odbijały się echem w jej głowie.

Ale głos umilkł. Został stłumiony w pół słowa.

Co takiego?

Mgły powróciły do niej. Omywały ją, wyczuwając Allomancję jej cyny, którą wciąż spalała. Krążyły wokół niej jak wcześniej, swawolne, przyjazne.

Umierała. Wiedziała o tym. Marsh skończył z jej kośćmi i wyraźnie zaczynał się niecierpliwić. Wrzasnął i chwycił się za głowę. Później opuścił rękę i podniósł z kałuży topór.

Vin nie udałoby się uciec, nawet gdyby spróbowała.

Na szczęście, ból osłabł. Wszystko zniknęło. Robiło się ciemno.

Proszę, pomyślała, sięgając do mgieł z ostatnim błaganiem. Nagle wydały jej się takie znajome. Skąd pamiętała to uczucie? Skąd je знаła?

Ze Studni Wstąpienia, oczywiście, wyszeptał ktoś w jej głowie. To w końcu ta sama moc. Stała w bryłce metalu, którą dałaś Elendowi. Płynna w sadzawce, którą spaliłaś. I gazowa w powietrzu, ukryta pośród nocy. Ukrywająca cię. Chroniąca cię.

Dająca ci moc!

Vin sapnęła i wciągnęła powietrze - a wraz z nim mgły. Nagle poczuła ciepło, mgły wypełniły ją i oddały jej swoją siłę. Jej całe ciało płonęło jak metal, a ból zniknął w mgnieniu oka.

Marsh uniósł topór, rozchlapując wodę.

A ona chwyciła go za rękę.

Wspominałem o Inkwizytorach i ich umiejętności przebijania chmur miedzi. Jak mówiłem, tę moc łatwo zrozumieć, gdy przypomnimy sobie, jak wielu z nich było Szperaczami przed transformacją. A to oznacza, że ich brąz był dwa razy silniejszy.

Istnieje jeszcze przynajmniej jedna osoba, która umiała przebijać chmury miedzi. W jej wypadku sytuacja była nieco inna - urodziła się Zrodzoną z Mgły a jej siostra była Szperaczem. Śmierć tej siostry - i następujące po niej odziedziczenie mocy poprzez hemalurgiczny kolec, którym owa siostra została zabita - sprawiły że spalała brąz dwa razy lepiej niż typowy Zrodzony z Mgły. I mogła przebijać chmury miedzi pomniejszych Allomantów.

73

Mgły się zmieniły.

TenSoon popatrzył poprzez popiół. Leżał, wyczerpany i otępiały, na szczycie wzgórza przed polem lawy, które blokowało mu drogę na wschód. Czuł letarg w mięśniach, co oznaczało, że za bardzo się wysilał. Nawet Błogosławieństwo Siły miało swoje ograniczenia.

Wstał, zmuszając końskie ciało do podniesienia się, i rozejrzał się w mroku nocy.

Przed nim rozciągały się niekończące się pola popiołu - nawet ścieżka, którą wydeptał w drodze na szczyt wzgórza, została już prawie zasypana. Przed nim płonęła lawa. Coś jednak wyglądało inaczej. Co?

Mgły płynęły, kłębiły się, poruszały. Zazwyczaj mgły zachowywały się bardzo chaotycznie. Część przepływała w jedną stronę, część wirowała w drugą. Często widywało się całe rzeki, ale nigdy nie były dopasowane do siebie. W większości wypadków płynęły z wiatrem - ta noc była bezwietrzna.

A jednak mgły płynęły w jedną stronę. Kiedy TenSoon zwrócił na to uwagę, uznał to za jeden z najdziwniejszych widoków w swoim życiu. Mgły nie kłębiły się ani nie wirowały, lecz płynęły ku jednemu celowi. Okrężały go, a on czuł się jak kamień w środku nurtu olbrzymiej, bezcielesnej rzeki.

Płynęły w stronę Luthadel. Może nie jest za późno! Pomyślał, odzyskując część nadziei. Otrząsnął się z letargu i pogalopował w stronę, z której przybył.

* * *

- Breezy, chodź i zobacz to.

Breeze przetarł oczy, spoglądając przez pokój do miejsca, gdzie Allrienne siedziała w koszuli nocnej i wyglądała przez okno. Było późno - za późno. Powinien spać.

Spojrzał z powrotem w stronę biurka i traktatu, nad którym pracował. Coś takiego powinien napisać Sazed albo Elend, nie Breeze.

- Wiesz - powiedział - wyraźnie pamiętam, jak mówiłem Kelsierowi, że nie mam ochoty kierować niczym ważnym. Rządzenie królestwami i miastami to robota dla głupców, nie złodziei! Rządy są stanowczo zbyt nieudolne, by zapewnić odpowiedni dochód.

- Breeze! - powiedziała z naciskiem Allrienne, otwarcie Przyciągając jego uczucia.

Wstał z westchnieniem.

- Dobrze - mruknął.

Naprawdę, pomyślał. Jak to możliwe, że ze wszystkich wykwalifikowanych ludzi z ekipy Kelsiera to właśnie ja kończę jako przywódca miasta?

Dołączył do Allrienne i wyjrzał przez okno.

- Co takiego właściwie mam zobaczyć, moja droga? Nie...

Umilkł i zmarszczył czoło. Stojąca obok Allrienne dotknęła jego ramienia, wyraźnie zaniepokojona.

- To zaiste dziwne - powiedział.

Obok okna przepływały mgły, poruszając się niczym rzeka - i jakby przyśpieszały.

Drzwi do jego pokoju otworzyły się gwałtownie. Breeze podskoczył, a Allrienne pisnęła. Obrócili się i ujrzeni stojącego w wejściu Spooka, wciąż owiniętego bandażami.

- Zbierzcie ludzi - wychrypiał chłopak, przytrzymując się futryny, żeby nie upaść. -

Musimy ruszać.

- Mój drogi chłopcze - odezwał się Breeze, wyraźnie poruszony. Allrienne chwyciła go za ramię i trzymała mocno. - Mój drogi chłopcze, co to ma być? Powinieneś leżeć w łóżku!

- Zbierz ich, Breeze! - powiedział rozkazującym tonem Spook. - Zabierz ich do jaskini z zapasami. Ukryj ich tam! Szybko! Nie mamy wiele czasu!

* * *

- Co o tym sądzisz? - spytał Ham, ocierając czoło. Krew znów popłynęła z rozcięcia, spływając po jego policzku.

Elend potrząsnął głową, dysząc głęboko - niemal sapiąc - gdy oparł się o skałę.

Zamknął oczy, drżąc ze zmęczenia mimo cyny z ołowiem.

- Mgły mnie teraz mało obchodzą, Ham - wyszeptał. - Ledwie mogę myśleć.

Ham zgodził się chrząknięciem. Wokół nich ludzie krzyczeli i umierali, walcząc z niekończącymi się falami kolossów. Zablokowali część stworów w naturalnym kamiennym korytarzu prowadzącym do Fadrex, ale prawdziwe walki toczyły się na skałach otaczających miasto. Zbyt wiele kolossów, zmęczonych czekaniem na zewnątrz, zaczęło się wspinać i atakować z flanki.

To było niepewne pole bitwy i często wymagało uwagi Elenda. Mieli licznych Allomantów, ale w większości pozbawionych doświadczenia - aż do tego dnia nie wiedzieli o swoich mocach. Elend był jednoosobową rezerwą, krążył wzdłuż linii obrony i łątał dziury, a Cett na dole kierował taktyką.

Kolejne krzyki. Kolejne śmierci. Metal znów uderza o metal, kamień i ciało.

Dlaczego? - pomyślał z frustracją Elend. Dlaczego nie mogę ich ochronić? Rozjarzył cynę z ołowiem, odetchnął głęboko i stanął wśród nocy.

Mgły płynęły nad jego głową, jakby przyciągane przez niewidzialną siłę. Na moment, mimo wyczerpania, znieruchomiał.

- Lordzie Venture! - zawołał ktoś.

Elend obrócił się i spojrzał w stronę z której dobiegał głos. Młody posłaniec wspinał się po skale. Miał szeroko otwarte oczy.

O nie, pomyślał Elend.

- Milordzie, wycofują się! - powiedział chłopak, zatrzymując się przed Elendem.

- Co takiego? - spytał Ham, wstając.

- To prawda, milordzie. Cofnęły się od bram miasta! Odchodzą.

Elend natychmiast rzucił monetę i wystrzelił w niebo. Mgły krążyły wokół niego, ich macki były niczym miliony sznureczków szarpanych na wschód. Poniżej widział ciemne, pochylone sylwetki kolosów, które uciekały.

Jest ich tak wiele, pomyślał, lądując na skale. Nigdy byśmy ich nie pokonali. Nawet z pomocą Allomantów.

Ale odchodziły. Biegły z niehumaniczną prędkością. Kierowały się...

W stronę Luthadel.

* * *

Vin poruszała się jak burza, rozpryskując wokół siebie krople deszczu, gdy odpychała Inkwizytora za Inkwizytorem.

Nie powinna żyć. Skończyła jej się cyna z ołowiem, a jednak czuła, jak płonie w jej wnętrzu, jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej. Czuła się tak, jakby płonęło w niej czerwone słońce i stopione wypełniało jej żyły.

Każde Przyciąganie żelaza i Odpychanie stali były niczym wspomagane mocą duraluminium. Jednakże rezerwy metalu nie zużywały się, wręcz przeciwnie, stawały się coraz większe. Potężniejsze. Nie była pewna, co się z nią dzieje. Ale jedno wiedziała. Walka przeciwko dwunastu Inkwizytorom naraz nie wydawała się wcale niemożliwym zadaniem.

Krzyknęła, odepchnęła Inkwizytora w bok i uskoczyła przed dwoma toporami.

Przykucnęła, skoczyła i wzniosła się łukiem pośród deszczu. Wylądowała obok Marsha, który wciąż leżał oszołomiony w miejscu, w które rzuciła go po odrodzeniu.

Uniół głowę, jakby się na niej skupił, po czym zaklął i odtoczył się na bok, gdy Vin uderzyła w dół. Jej pięść zmiażdżyła kamień, wyrzucając w górę falę ciemnej deszczówki, która zalała jej twarz i ramiona i zostawiła ślady popiołu.

Spojrzała w stronę Marsha. Stał wyprostowany, nagi od pasa w górę, a jego kolce błyszcząły w mroku.

Vin uśmiechnęła się i obróciła w stronę Inkwizytorów zachodzących ją od tyłu.

Ryknęła i uniknęła ciosu toporem. Czy te istoty kiedyś wydawały jej się szybkie? Dzięki niekończącemu się zapasowi cyny z ołowiem poruszała się niemal jak mgła. Lekko. Szybko.

Jak uwolniona z kajdan.

Niebo również szalało, gdy atakowała, wirując szaleńczo. Mgły otoczyły wirem jej rękę, kiedy uderzyła Inkwizytora pięścią w twarz, odrzucając go do tyłu. Mgły tańczyły przed nią, kiedy złapała topór powalonego Inkwizytora i odrąbała nim ramię drugiego stwora.

Trzeciego pozbawiła głowy, oszłamiając pozostałych prędkością swojego ruchu.

Dwóch martwych.

Znów zaatakowali. Odskoczyła do tyłu, Przyciągając się do iglic. Stado kruków ruszyło za nią, ich szaty łopotały w wilgotnym mroku. Uderzyła w iglicę stopami, po czym odwróciła się i przyciągnęła kolce Inkwizytora, co dzięki nowej mocy nie było niczym trudnym. Wybrany przez nią cel poleciał do góry przed towarzyszami.

Vin opadła w dół i spotkała się z Inkwizytorem w powietrzu. Chwyciła go za kolce w oczach i pociągnęła, wrywając je z nową siłą. Później kopnęła stwora i Odepchnęła się od kolców w jego piersi.

Wystrzeliła w górę, pozostawiając trupa koziołkującego w stronę ziemi, z ziejącymi otworami w miejsce kolców. Wiedziała, że mogą utracić niektóre kolce i przeżyć, ale usunięcie innych kończyło się śmiercią. Utrata obu kolców w oczach najwyraźniej ich zabijała.

Trzy.

Inkwizytorzy uderzyli w iglicę, od której się Odepchnęła, i skoczyli, by ją pochwycić.

Vin uśmiechnęła się i rzuciła w ich stronę kolce, trafiając jednego z Inkwizytorów w pierś. I Odepchnęła. Nieszczęsny Inkwizytor poleciał w dół i uderzył w płaski dach z taką siłą, że kilka kolców zostało wypchniętych z jego ciała. Zamigotały w powietrzu i wylądowały obok nieruchomego trupa.

Cztery.

Mgielny płaszcz Vin łopotał, kiedy wznosiła się w niebo. Ośmiu Inkwizytorów wciąż ją goniło, próbując ją pochwycić. Krzyknęła, uniosła ręce w stronę stworów i zaczęła spadać.

Po czym Odepchnęła.

Nie uświadamiała sobie jeszcze, jak potężne są jej nowe moce. Wyraźnie przypominały duraluminium, gdyż dzięki nim mogła Odpychać kolce przebijające ciała Inkwizytorów. Jej potężne Odpychanie sprawiło, że cała grupa poleciała w dół, jakby ktoś uderzył ich ogromną packą. Wpłynęło również na metalową iglicę, nad którą Vin się wznosiła.

Kamienny mur podtrzymujący wieżyczkę rozpadł się, wyrzucając na zewnątrz kawałki kamienia i zaprawy, a sama iglica wbiła się w budynek poniżej. Vin zaś została odepchnięta do góry.

Bardzo szybko.

Wznosiła się w niebo, mgły przepływały obok niej, a nagłe przyspieszenie Odpychania było trudne do zniesienia nawet dla jej wspomaganego mgłą ciała.

I wyrwała się. Znalazła się na otwartej przestrzeni, jak ryba wyskakująca z wody.

Poniżej mgły przykrywały ziemię niczym olbrzymi biały koc. Wokół niej było jedynie czyste powietrze. Niepokojące, dziwne. Nad nią miliony gwiazd - normalnie widzialne jedynie dla Allomantów - obserwowały ją niczym oczy zmarłych.

Jej pęd wyczerpał się i obracała się cicho, na dole biel, na górze światło. Zauważyła, że ciągnie za sobą nic mgły z głównej chmury. Właściwie, wszystkie mgły wirowały lekko, przypominając ogromny cyklon. Biały wir.

Serce wiru znajdowało się bezpośrednio pod nią.

Zaczęła znów opadać w stronę ziemi. Wpadła we mgłę, ciągnąc ją za sobą, wdychając ją. Nawet spadając, czuła, jak kłębią się wokół niej w potężnej spirali, obejmującej swym zasięgiem całe imperium. Wchłaniała je, a otaczający ją wir mgły krążył coraz gwałtowniej.

Chwilę później ujrzała Luthadel, potężną czarną bliznę na tle krajobrazu. Opadała w stronę Kredik Shaw i jego iglic, które wskazywały na nią. Inkwizytorzy wciąż tam byli -

widziała, jak stoją na płaskim dachu między wieżyczkami i patrzą w górę. Czekać.

Pozostało ośmiu, nie licząc Marsha. Jeden leżał nabity na pobliską iglicę - efekt jej ostatniego Odpychania. Uderzenie najwyraźniej wyrwało środkowy kołec z jego pleców.

Pięciu, pomyślała Vin, lądując w niewielkiej odległości od Inkwizytorów.

Jeśli jedno Odpychanie mogło ją podnieść tak wysoko, że wyrwała się spomiędzy mgieł, to co by się stało, gdyby Odepchnęła na zewnątrz?

Czekała w ciszy, gdy Inkwizytorzy rzucili się w jej stronę. Widziała desperację w ich ruchach. Cokolwiek działo się z Vin, Zniszczenie był gotów zaryzykować każdego ze swoich poddanych, z nadzieją że któryś ją zabije, nim przemiana się dokona. Mgły zbliżały się do niej, poruszając się coraz szybciej, przyciągane niczym woda do odpływu.

Kiedy Inkwizytorzy prawie do niej dotarli, znów Odepchnęła na zewnątrz, ze wszystkich sił odrzucając od siebie metal, a jednocześnie wzmacniając swoje ciało rozjarzoną cyną z ołowiem. Kamień zatrzeszczał. Inkwizytorzy krzyknęli.

I Kredik Shaw wybuchło.

Wieże zawaliły się od fundamentów. Drzwi wyrwały się z futryn. Okna rozpadały się na kawałki. Kamienne bloki wyrwały się, całe fragmenty konstrukcji waliły się, gdy wszystkie metale odlatywały. Odpychając, Vin krzyczała, ziemia drżała pod jej stopami.

Wszystko - nawet kamienie, które najwyraźniej zawierały ślady rudy metalu - zostało gwałtownie odrzucone do tyłu.

Sapnęła i przerwała Odpychanie. Wciągnęła powietrze, czując, jak zalewa ją deszcz.

Budynek, który był pałacem Ostatniego Imperatora, zniknął, zmienił się w stertę gruzów, które otaczały ją niczym krater.

Spośród gruzów wyłonił się Inkwizytor. Po jego twarzy płynęła krew, w miejscu, gdzie jeden z koleców wyrwał się z oczodołu. Vin uniosła rękę, Przyciągając i jednocześnie stabilizując swoją pozycję. Głowa Inkwizytora szarpnęła się i jego drugi kolec się uwolnił.

Mężczyzna przewrócił się do przodu, a Vin złapała kolec, Odpychając go w stronę innego Inkwizytora, który biegł ku niej. Tamten uniosł rękę, by Odepchnąć kawałek metalu z powrotem w jej stronę.

Nie przerywając Odpychania, zignorowała jego działania i tylko Odepchnęła się do przodu, żeby zachować równowagę. Inkwizytor został odrzucony do tyłu i uderzył w pozostałości muru. Kolec nie zatrzymywał się, leciał niczym ryba płynąca rzeką wbrew prądom. Wbił się w twarz Inkwizytora, miażdżąc ją i przyszpilając jego głowę do granitu.

Sześć i siedem.

Vin szła wśród gruzów, a wokół niej kłębiły się mgły. Nad głową wirowały gwałtownie, tworząc nad nią komin. Przypominało to trąbę powietrzną, ale bez wiatru.

Jedynie nienamacalne mgły, jakby namalowane w powietrzu. Kłębiące się, wirujące i przychodzące na jej nieme żądanie.

Podeszła do trupa Inkwizytora, który został zmiażdżony przez gruzy. Kopnięciem oderwała jego głowę, żeby się upewnić, że jest martwy.

Osiem.

Trzech rzuciło się na nią jednocześnie. Krzyknęła, odwróciła się i Przyciągnęła do powalonej iglicy. Potężny kawał metalu - wielki jak budynek - wzniosł się w powietrze i na jej rozkaz zaczął się obracać. Uderzyła nim w Inkwizytorów niczym pałką, miażdżąc ich.

Odwróciła się, pozostawiając ogromną metalową kolumnę na ich trupach.

Dziewięć. Dziesięć. Jedenaście

Rozpętała się burza, choć mgły nie przestały wirować. Deszcz ucichł, gdy Vin szła przez zniszczony

budynek, szukając poruszających się błękitnych allomantycznych linii.

Ujrzała jedną, która drżała. Podniosła ogromny marmurowy dysk i odrzuciła go na bok.

Poniżej jęczał Inkwizytor. Kiedy wyciągnęła rękę w jego stronę, uświadomiła sobie, że jej dłoń emanuje mgłą. Opar nie tylko wokół niej krążył, ale też wypływał z niej przez pory skóry. Wypuściła powietrze i ujrzała przed sobą chmurkę mgły, która natychmiast uniosła się w wirze.

Chwyciła Inkwizytora i podniosła go. Jego skóra zaczynała się zablizniać, gdy wykorzystywał feruchemiczne moce, i zaczął się szarpać, coraz silniejszy. Jednakże nawet niesamowita siła Feruchemii nie miała większego znaczenia dla Vin. Wyrwała kolce z jego oczodołów, odrzuciła je i pozostawiła za sobą trupa.

Dwanaście.

Ostatni Inkwizytor kulił się w kałuży deszczówki. To był Marsh. Jego ciało zostało zmiażdżone, brakowało mu też jednego kolca w boku. Z rany płynęła krew, ale to najwyraźniej nie wystarczało, żeby go zabić. Zwrócił parę kolców w jej stronę, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Vin się zawahała. Oddychała głęboko, czuła, jak deszcz spływa jej po ramionach i ścieka z palców. Wciąż płonęła wewnątrz, a gdy podniosła wzrok, patrzyła w wir mgieł.

Wirował szaleńczo i opadał w dół. Miała problemy ze skupieniem myśli, tak wiele przepływało w niej energii.

Znów spuściła wzrok.

To nie jest Marsh, pomyślała. Brat Kelsiera od dawna nie żyje. To coś innego.

Zniszczenie.

Mgły zawirowały po raz ostatni, poruszały się coraz szybciej i w coraz ciaśniejszym kręgu, aż w końcu ostatnie pasma opadły i zostały wciągnięte w ciało Vin.

I zniknęły. Na górze świeciły gwiazdy, płatki popiołu wciąż spadały z nieba. Nocny krajobraz robił niesamowite wrażenie swoim bezruchem, czernią i wyrazistością. Nawet kiedy spalała cynę - która pozwalała jej doskonale widzieć w ciemnościach - mgły pozostawały na swoim miejscu. Oglądanie nocnego krajobrazu bez nich wydawało się...

niewłaściwe.

Vin zaczęła drzeć. Sapnęła, czując, jak ogień w jej wnętrzu płonie coraz goręcej.

Takiej Allomancji nie znała. Czuła się tak, jakby nigdy wcześniej jej nie pojmowała. Moc była większa niż metale, zwyczajne Przyciągania i Odpychania. To było coś oszałamiająco potężnego. Moc, z której ludzie korzystali, lecz nigdy jej nie rozumieli.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Pozostał jeden Inkwizytor. Ściągnęła ich do Luthadel, zmusiła do ujawnienia się, zastawiła pułapkę na coś o wiele potężniejszego od niej. I mgły zareagowały.

Nadszedł czas, by skończyć to, po co tu przyszła.

* * *

Marsh przyglądał się niemrawo, jak Vin kłęka. Drżąc, wyciągnęła rękę po jeden z kolców w jego oczach.

Nic nie mógł zrobić. Wykorzystał większość zdrowienia w metalmyśli, a reszta nie mogła mu pomóc. Zmagazynowane zdrowie działało zależnie od szybkości. Mógł albo bardzo szybko wyleczyć się częściowo, albo poczekać i wyzdrowieć powoli, do końca. Tak czy inaczej, był trupem w chwili, gdy Vin uwolni kolce.

W końcu, pomyślał z ulgą, kiedy chwyciła pierwszy kolec. Cokolwiek zrobiłem...

udało się.

Czuł wściekłość Zniszczenia, gdy jego pan zrozumiał swój błąd. W końcu Marsh się liczył. W końcu Marsh się nie poddał. Mare mogła być z niego dumna.

Vin wyrwała kolec. Bolało, oczywiście - bardziej niż Marsh mógł się spodziewać.

Wrzasnął - z bólu i radości jednocześnie - gdy sięgnęła po drugi kolec.

I zawahała się. Marsh czekał z nadzieją. Zadrżała, zakaszlała, skuliła się. Zacisnęła zęby, znów unosząc rękę. Jej palce dotknęły kolca.

I wtedy Vin zniknęła.

Pozostawiła za sobą mglisty zarys sylwetki młodej kobiety. On jednak zaraz rozproszył się i zniknął, pozostawiając Marsha samotnego w ruinach pałacu, z głową pełną bólu i ciałem pokrytym mokrym popiołem.

Kiedyś zapytała Zniszczenie, dlaczego wybrał właśnie ją. Odpowiedź wydaje się prosta. Nie miało to zbyt wiele wspólnego z jej osobowością, podejściem do życia czy nawet allomantycznymi zdolnościami.

Była po prostu jedynym dzieckiem, jakie udało się znaleźć Zniszczeniu, a które znajdowało się w odpowiednim położeniu, by zyskać odpowiedni hemalurgiczny kolec - taki, który miał zwiększyć jej zdolność posługiwania się brązem, co z kolei pozwoliło jej zlokalizować Studnię Wstąpienia. Miała szaloną matkę, siostrę Szperaczkę, a sama była Zrodzoną z Mgły. Takiej właśnie kombinacji potrzebował Zniszczenie.

Istniały oczywiście także inne powody. Ale nawet sam Zniszczenie ich nie znał.

Dzień wstał bez mgieł.

Elend stał na szczycie jednej ze skalistych formacji otaczających Fadrex i rozglądał

się. Czuł się o wiele lepiej po całonocnym odpoczynku, choć wciąż odczuwał zmęczenie po walce, ramię pulsowało w miejscu, gdzie został ranny, a pierś bolała tam, gdzie lekkomyślnie pozwolił się uderzyć kolosowi. Innego człowieka ten olbrzymi siniec by unieruchomił.

Trupy kolosów leżały na ziemi wokół miasta, szczególnie wysoką stertą wznosiły się w korytarzu prowadzącym do samego Fadrex. Okolica śmierdziała śmiercią i zaschłą krwią.

Elendowi nie podobało się to, jak często wśród połaci niebieskich trupów dostrzegał

jaśniejsze plamy ludzkich ciał. Mimo to, Fadrex przetrwało - być może jedynie dzięki nagłemu pojawieniu się kilkunastu tysięcy dodatkowych Allomantów i ostatecznej ucieczce kolosów.

Dlaczego odeszły? - zastanawiał się Elend, wdzięczny, ale jednocześnie sfrustrowany.

I, co ważniejsze, gdzie się udały?

Elend odwrócił się na dźwięk kroków na skale. Ujrzał, jak Yomen wspina się po wykutych w kamieniu prymitywnych schodach, dysząc lekko. W szatach obligatora wyglądał

nienagannie. Nikt nie oczekiwał, że będzie walczył. W końcu był uczonym, a nie wojownikiem.

Jak ja, pomyślał Elend, uśmiechając się krzywo.

- Mgły zniknęły - zauważył Yomen.

Elend pokiwał głową.

- W dzień i w nocy.

- Skaa uciekli do środka, kiedy mgły zniknęły. Niektórzy nadal odmawiają opuszczenia domów. Przez stulecia bali się wychodzić w nocy ze względu na mgły. Teraz mgły znikają, a oni uważają to za tak nienaturalne, że znów się chowają.

Elend odwrócił się i obejrzał. Mgły zniknęły, lecz popiół wciąż spadał. Gęsto. Ciała zabitych w ciągu nocy zostały już niemal zupełnie zasypane.

- Czy słońce zawsze tak paliło? - spytał Yomen, ocierając czoło.

Venture zmarszczył czoło, po raz pierwszy zauważając, że rzeczywiście jest gorąco.

Dzień dopiero się zaczął, ale panował taki upał jak w południe.

Coś wciąż jest nie tak, pomyślał. Bardzo nie tak. Gorzej niż wcześniej. Popiół unosił

się na wietrze, pokrywał wszystko. A gorąco... czy nie powinno robić się coraz zimniej, gdy coraz więcej popiołu unosiło się w powietrzu, odcinając słoneczne promienie?

- Sformuj drużyny, Yomenie - powiedział Elend. - Niech przejrzą ciała i poszukają rannych tam na dole. Później zbierz ludzi i zacznij sprowadzać ich do jaskini z zapasami.

Powiedz żołnierzom, żeby byli gotowi na... na coś. Sam nie wiem na co.

Yomen spochmurniał.

- Mówisz tak, jakby miało cię tu zabraknąć.

Elend odwrócił się na wschód.

- Bo tak też będzie.

Vin wciąż gdzieś tam była. Nie rozumiał tego, co powiedziała o atium, ale ufał jej.

Może miała zamiar odwrócić uwagę Zniszczenia kłamstwami. Elend podejrzewał, że jakimś sposobem mieszkańcy Fadrex zawdzięczają jej życie. Odciągnęła kolosy - wymyśliła coś, czego on się nawet nie domyślał.

Zawsze się skarży, że nie jest uczonym, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Ale to dlatego, że brakuje jej wykształcenia. Jest dwa razy bystrzejsza od połowy tych wszystkich

„geniuszy”, których poznałem na dworze.

Nie mógł zostawić jej samej. Musiał ją odnaleźć. Później... cóż, nie wiedział, co zrobią potem. Może znajdą Sazedę? Tak czy inaczej, w Fadrex nie miał już nic do roboty. Ruszył w stronę schodów, zamierzał teraz znaleźć Hama i Cetta. Wtedy Yomen chwycił go za ramię.

Elend się odwrócił.

- Myliłem się co do ciebie, Venture - powiedział. - Nie zasługiwałeś na to, co mówiłem.

- Wpuściłeś mnie do miasta, kiedy moich żołnierzy otaczały ich własne kolosy -

odparł Elend. - Nie obchodzi mnie, co o mnie mówiłeś. Sądzę, że jesteś dobrym człowiekiem.

- Jednak mylisz się w kwestii Ostatniego Imperatora. To on tym wszystkim kieruje.

Elend tylko się uśmiechnął.

- Nie przeszkadza mi, że nie wierzysz - stwierdził Yomen, unosząc rękę do czoła. -

Czegoś się nauczyłem. Ostatni Imperator wykorzystuje niewiernych na równi z wyznawcami.

Wszyscy jesteśmy częścią jego planu. Proszę.

Yomen zdjął z czoła bryłkę atium.

- Moja ostatnia. Gdybyś jej potrzebował.

Elend przyjął kawałek metalu i obrócił go w palcach. Nigdy nie spalał atium. Przez lata jego rodzina nadzorowała wydobycie metalu, lecz nim Elend sam stał się zrodzonym z Mgły, wydał już wszystko, co udało mu się zdobyć, albo oddał Vin do spalenia.

- Jak to zrobiłeś, Yomenie? - spytał. - Jak sprawiłeś, że wydawałeś się Allomantą?

- Jestem Allomantą, Venture.

- Ale nie Zrodzonym z Mgły.

- Nie. Jestem Wieszczem... Mglistym spalającym atium.

Elend pokiwał głową. Zakładał, że to niemożliwe, ale obecnie nie umiał już polegać na wcześniejszych założeniach.

- Czy Ostatni Imperator wiedział o twojej mocy?

Yomen się uśmiechnął.

- On bardzo się starał, by zachować pewne tajemnice.

Mgliści spalający atium, pomyślał Elend. To znaczy, że są też inni... złota, elektrum...

Choć, kiedy się nad tym zastanawiał, niektórzy - na przykład Mgliści spalający aluminium albo duraluminium - byliby niemożliwi do odnalezienia, ponieważ nie mogli wykorzystywać swoich metali, nie mając mocy spalania przy tym innych.

- Atium i tak było zbyt cenne, by wykorzystywać je do sprawdzania allomantycznych mocy - dodał Yomen, odwracając się. - Ta moc nigdy mi się tak naprawdę nie przydała. Jak często człowiek ma jednocześnie atium i pragnienie, by zużyć je w ciągu paru chwil? Weź ten kawałek i ruszaj szukać żony.

Elend stał przez chwilę, po czym schował bryłkę atium i zszedł na dół, by wydać polecenia Hamowi. Kilka minut później unosił się nad ziemią, próbując latać za pomocą podków, jak uczyła go Vin.

Każdy hemalurgiczny kolec wbity w ciało pozwalał Zniszczeniu uzyskać pewien niewielki wpływ na daną osobę. Jednakże hart ducha przebitego mógł ograniczyć ten wpływ.

W większości wypadków - zależnie od wielkości kolca i czasu, przez jaki był noszony -

jeden kolec dawał Zniszczeniu jedynie niewielką władzę nad ofiarami. Mógł się im ukazywać i mógł w niewielkim stopniu wypaczać ich myśli, każąc im przeoczyć pewne dziwactwa - na przykład, obsesję na punkcie zatrzymania i noszenia prostego kolczyka.

75

Sazed zebrał notatki, starannie odkładając cienkie arkusze metalu. Choć metal odgrywał ważną rolę, powstrzymując Zniszczenie od zmiany zawartości - a być może nawet jej odczytania - Sazed uznał to za nieco frustrujące. Płytki łatwo się rysowały, a nie dawało się ich zgiąć ani oprawić.

Starsi kandra zapewnili mu miejsce do spania, zadziwiająco luksusowe jak na jaskinię.

Kandra wyraźnie cenili ludzkie wygody - koce, poduszki, materace. Niektórzy nawet wkładali ubrania, choć byli to głównie ci, którzy nie zrezygnowali ze stworzenia genitaliów dla swoich Prawdziwych Ciał. To kazało mu się zastanowić nad różnymi uczonymi pytaniami.

Rozmnażali się poprzez przeobrażenie mgielnych upiorów w kandra, więc genitalia nie były im potrzebne. Odczuwali jednak identyfikację płciową - każdy był zdecydowanie i bez wątpliwości „nim” albo „nią”. Skąd to wiedzieli? Czy wybierali w sposób dowolny, czy też rzeczywiście wiedzieli, kim by się stali, gdyby urodzili się jako ludzie, a nie mgielne upiory?

Żałował, że nie ma więcej czasu na badanie ich społeczności. Na razie, w Ojczyźnie starał się głównie dowiedzieć więcej na temat Bohatera Wieków i religii Terris. Zrobił kartę z notatkami na temat tego, czego się dowiedział, i ułożył ją na szczycie metalowej sterty.

Wyglądała zadziwiająco, nawet przygnębiająco podobnie do innych arkuszy w jego teczce.

Religia Terris, jak można się było spodziewać, skupiała się na wiedzy i nauce. Dawcy Światów - ich określenie na Opiekunów - byli świętymi mężami i niewiastami, którzy przekazywali wiedzę, ale także opisywali ich boga zwanego Terr. To było starożytne terrisańskie słowo oznaczające „zachowywać”. Głównym przedmiotem zainteresowania religii były opowieści o tym, jak Zachowanie - Terr - i Zniszczenie oddziaływali na siebie, a oznaczało to również liczne proroctwa na temat Bohatera Wieków, postrzeganego jako następcę Zachowania.

Pomijając proroctwa, Dawcy Światów nauczali swój lud umiaru, wiary i wyrozumiałości. Uczyli, że lepiej jest budować niż niszczyć, co było fundamentem ich nauk.

Oczywiście istniały rytuały, obrzędy, inicjacje i tradycje. Jak również pomniejsi przywódcy religijni, wymagane ofiary i zasady postępowania. Wszystko wydawało się dobre, ale mało oryginalne. Nawet koncentracja na nauce była charakterystyczna dla kilkudziesięciu innych religii, które badał Sazed.

Z jakiegoś powodu to go przygnębiało. Była to jedynie kolejna religia.

A czego się spodziewał? Oszalamiającej doktryny, która raz na zawsze udowodniłaby mu, że bóg istnieje? Czuł się jak głupiec. A jednocześnie czuł się zdradzony. Przejechał w poprzek imperium, czując uniesienie i radosne oczekiwanie, i odkrył coś takiego? To właśnie miało ich uratować?

Kolejne słowa. Przyjemne, jak większość w jego teczce, ale niekoniecznie istotne. Czy miał uwierzyć tylko dlatego, że tę właśnie religię wyznawał jego lud?

Nie było w niej żadnych obietnic, że Tindwyl wciąż żyje. Dlaczego ludzie w ogóle wyznawali tę albo inne religie? Czując coraz głębszą frustrację, Sazed sięgnął do metalmyśli, zrzucając do umysłu szereg zapisów. Pisma odkryte przez Opiekunów - dzienniki, listy, inne źródła, które uczeni połączyli, by pokazać dawne wierzenia. Przejrzał je, rozważył, przeczytał.

Dlaczego tamci ludzie tak chętnie przyjmowali religie? Czy byli po prostu dziećmi swoich społeczności i wierzyli, bo taka była tradycja? Czytał ich żywoty i próbował

przekonać siebie, że tamci ludzie byli prostoduszni i nigdy tak naprawdę nie kwestionowali swoich wierzeń. Z pewnością zobaczyliby niespójności i skazy, gdyby tylko poświęcili trochę czasu na zastanowienie i racjonalne myślenie.

Sazed siedział z zamkniętymi oczami, w umyśle miał bogactwo informacji z dzienników i listów, szukając tego, co spodziewał się znaleźć. Niestety, mimo upływu czasu, nie znalazł tego, czego szukał. Ludzie nie wydawali mu się głupcami. Nagle przyszło mu coś do głowy. Coś związanego ze słowami i uczuciami ludzi, którzy wierzyli.

Wcześniej Sazed skupiał się na samej doktrynie. Tym razem odkrył jednak, że koncentruje się na ludziach, którzy wierzyli, i tym, czego mógł się o nich dowiedzieć. Kiedy raz za razem odczytywał w głowie ich słowa, zaczynał coś rozumieć. Religii, które badał, nie dało się oddzielić od ludzi, którzy je wyznawali. W formie streszczenia były przebrzmiałe.

Jednakże, gdy czytał słowa ludzi - naprawdę je przeczytał - zaczynał dostrzegać wzorce.

Dlaczego wierzyli? Ponieważ widzieli cuda. Coś, co dla kogoś innego było przypadkiem, człowiek wierzący uznawał za znak. Ukochany powracający do zdrowia z ciężkiej choroby, pomyślnie zawarta umowa, przypadkowe spotkanie z dawno niewidzianym przyjacielem. To nie wielkie doktryny o wspaniałych ideałach sprawiały, że ludzie wierzyli, lecz prosta magia w otaczającym ich świecie.

Co takiego powiedział Spook? - myślał Sazed, siedząc w mrocznej jaskini kandra. Że w wierze chodzi o zaufanie. Zaufanie, że ktoś nas strzeże. Że ktoś sprawi, by wszystko było dobrze, nawet jeśli w chwili obecnej sytuacja jest tragiczna.

Wydawało się, że aby uwierzyć, człowiek musiał chcieć uwierzyć. To była łamigłówka logiczna, z którą Sazed długo się męczył. Chciał, żeby ktoś albo coś zmusiło go do wiary. Chciał uwierzyć, ponieważ pokazano mu dowód.

Jednakże ci wierzący, których słowa wypełniały jego umysł, powiedzieliby, że miał

już swój dowód. Czyż w chwili największej rozpacz nie dostał odpowiedzi? Gdy miał się poddać, usłyszał słowa TenSoona. Sazed błagał o znak i go dostał.

Czy to był przypadek, czy opatrność?

Wydawało się, że ostatecznie decyzja należy do niego. Powoli zwrócił myśli i dzienniki do metalmyśli, opróżniając z nich swoją pamięć, ale zachowując uczucia, jakie w nim wywołały. Kim będzie? Wierzącym czy sceptykiem? W tej chwili żaden wybór nie wydawał się głupi.

Chcę uwierzyć, pomyślał. Dlatego spędziłem tak wiele czasu na poszukiwaniach. Nie mogę mieć obu. Muszę podjąć decyzję.

Jaka będzie? Siedział przez kilka chwil, myśląc, czując i - przede wszystkim - pamiętając.

Szukałem pomocy, pomyślał Sazed. I coś mi odpowiedziało.

Sazed uśmiechnął się i wszystko wydało się odrobinę jaśniejsze. Breeze miał rację, pomyślał, wstając i zbierając swoje rzeczy w przygotowaniu do wyjścia. Nie nadaję się na ateistę.

Ta myśl wydawała mu się nieco niepoważna, biorąc pod uwagę to, co właśnie się wydarzyło. Gdy podniósł arkusze metalu i przygotowywał się do wyjścia na spotkanie z Pierwszym Pokoleniem, uświadomił sobie, że kandra mijali wejście do jego skromnej jaskini, całkiem nieświadomi decyzji, jaką właśnie podjął.

Tak właśnie często bywało. Niektóre ważne decyzje podejmowano na polu bitwy albo w sali konferencyjnej. Inne były ciche i niewidzialne dla pozostałych. To jednak wcale nie umniejszało wagi tej decyzji dla Sazed. Uwierzy. Nie dlatego, że coś zostało mu udowodnione w niezaprzeczalny sposób. Ale dlatego, że taki podjął wybór.

W taki sam sposób, jak sobie uświadomił, Vin pewnego razu postanowiła uwierzyć w ekipę i jej zaufać. Z powodu tego, czego uczył ją Kelsier. Mnie też uczyłeś, Ocalały, pomyślał

Sazed, wchodząc do kamiennego tunelu w drodze na spotkanie z przywódcami kandra.

Dziękuję.

Sazed szedł korytarzami, nagle podekscytowany perspektywą kolejnego dnia spędzonego na rozmowach z Pierwszym Pokoleniem. Teraz, gdy poznał niemal całą religię, pragnął dowiedzieć się więcej o Pierwszym Kontrakcie.

O ile wiedział, był jedynym człowiekiem poza Ostatnim Imperatorem, który przeczytał

jego słowa. Członkowie Pierwszego Pokolenia traktowali metalową płytę z zapisem kontraktu z o wiele mniejszym szacunkiem niż pozostali kandra. To go zaskoczyło.

Oczywiście, pomyślał, wychodząc za róg, to ma niejaki sens. Dla tych z Pierwszego Pokolenia Ostatni Imperator był przyjacielem. Pamiętają, jak wspinali się z nim na tę górę -

był ich przywódcą, owszem, ale nie bogiem. Trochę przypomina to członków ekipy, którzy nie umieli uznać religii powstałej wokół Kelsiera.

Wciąż zatopiony w myślach, Sazed znalazł się w Labiryncie Zaufania, którego szerokie metalowe wrota były otwarte. Zatrzymał się tuż za drzwiami. Pierwsze Pokolenie siedziało w swoich alkowach, co zdarzało się często. Schodzili na dół dopiero, gdy Sazed zamknął drzwi. Co dziwne jednak, członkowie Drugiego Pokolenia stali za mównicami, zwracając się do tłumów kandra - którzy mimo zachowywania większej rezerwy niż podobnie licznie zebrani ludzie, okazywali wyraźny niepokój.

- ...to znaczy, KanPaar? - pytał jeden z młodszych kandra. - Proszę, jesteśmy zdezorientowani. Zapytaj Pierwsze Pokolenie.

- Już o tym mówiliśmy - odparł KanPaar, przywódca Drugich. - Nie ma powodu do niepokoju. Popatrzcie tylko na siebie, tłoczycie się razem, mamroczenie i wymieniacie plotki, jakbyście byli ludźmi!

Sazed podszedł do jednego z młodszych kandra, którzy zebrali się przed wejściem do Labiryntu Zaufania.

- Przepraszam - wyszeptał. - Jakie jest źródło tego niepokoju?

- Mgły, Święty Dawco Światów - odpowiedział również szeptem kandra. Chyba płci żeńskiej, jak sądził.

- Co z nimi? - spytał Sazed. - Chodzi o to, że zostają coraz dłużej?

- Nie - odparła kandra. - O to, że zniknęły.

Sazed się wzdrygnął.

- Co takiego?

Kandra pokiwała głową.

- Nikt tego nie zauważył aż do dzisiejszego ranka. Wciąż było ciemno i jeden ze strażników poszedł, by sprawdzić jedno z wejść. Mówi, że na zewnątrz nie ma ani śladu mgły, mimo że wciąż jest noc! Inni też wyszli. Wszyscy to potwierdzają.

- Sprawa jest prosta - powiedział KanPaar do zebranych na sali. - Wiemy, że ostatniej nocy padało, a deszcz czasem na krótki czas rozprasza mgłę. Jutro wróci.

- Ale teraz nie pada - sprzeciwił się jeden z kandra. - I nie padało, kiedy TarKaw wyszedł na patrol. Od wielu miesięcy mgły utrzymywały się o poranku. Gdzie są teraz?

- Ech - mruknął KanPaar, machnąwszy ręką. - Martwiliście się, kiedy mgły zaczęły zostawać do rana, a teraz narzekacie, że ich nie ma? Jesteśmy kandra. Jesteśmy wieczni...

przeczekamy wszystko i wszystkich. Nie zbieramy się w hałaśliwych gromadach. Wracajcie do tego, co robiliście. To nic nie znaczy.

- Nie - rozległ się szept.

Zebrani unieśli głowy i wszyscy się uciszyli.

- Nie - wyszeptał ze swojej alkowy Haddek, przywódca Pierwszego Pokolenia. - To ważne. Myliliśmy się, KanPaarze. Bardzo... bardzo się myliliśmy. Opuśćcie Labirynt Zaufania. Zostawcie tylko Opiekuna. I roześlijcie wici. Być może nadszedł dzień Rozwiązania.

To stwierdzenie jedynie zwiększyło poruszenie kandra. Sazed stał zadziwiony - nigdy nie widział takiej reakcji zazwyczaj spokojnych istot. Zebrani wypełnili polecenie - kandra wydawali się w tym bardzo dobrzy - i opuścili salę, ale nie bez szeptów i dyskusji. Drudzy odeszli jako ostatni, wydawali się upokorzeni. Sazed odprowadził ich wzrokiem, rozmyślając o słowach KanPaara.

„Jesteśmy wieczni... przeczekamy wszystko i wszystkich”. Nagle życie kandra nabrało sensu dla Sazed. Jakże łatwo było ignorować świat zewnętrzny komuś, kto był

nieśmiertelny. Przetrwali tyle problemów i tarapatów, niepokojów i buntów, że cokolwiek działo się na zewnątrz, musiało im się wydawać trywialne.

Tak trywialne, że umieli zignorować proroctwa swej własnej religii, kiedy zaczęły się spełniać. W końcu sala opustoszała i dwaj masywni członkowie Piątego Pokolenia zamknęli drzwi z zewnątrz, pozostawiając Sazed samego na dole sali. Czekał cierpliwie, układając notatki na biurku, gdy Pierwsze Pokolenie zeszło powoli po ukrytych schodach i dołączyło do niego w Labiryncie Zaufania.

- Powiedz mi, Opiekunie - odezwał się Haddek, gdy jego bracia zajmowali swoje miejsca - co sądzisz o tym wydarzeniu?

- O zniknięciu mgieł? Wydaje mi się znaczące... choć muszę przyznać, że nie umiałbym wyjaśnić, dlaczego tak sądzę.

- To dlatego, że nie wszystko zostało ci jeszcze wyjaśnione - odparł Haddek, spoglądając na pozostałych. Wydawali się bardzo zatroskani. - Kwestie związane z Pierwszym Kontraktem i obietnicami kandra.

Sazed przygotował arkusz metalu.

- Mów dalej, proszę.

- Muszę cię prosić, żebyś nie zapisywał tych słów - stwierdził Haddek.

Sazed zawahał się, po czym odłożył pióro.

- Dobrze, ale ostrzegam cię, że Opiekunowie nawet bez metalmyśli mają doskonałą pamięć.

- Na to nic nie poradzimy - powiedział jeden z pozostałych. - Potrzebujemy twojej rady, Opiekunie. Jako kogoś z zewnątrz.

- Jako syna - wyszeptał inny.

- Kiedy Ojciec nas stworzył - powiedział Haddek - On... dał nam zobowiązanie. Coś innego od Pierwszego Kontraktu.

- Zupełnie jakby dopiero później o tym pomyślał - dodał jeden z pozostałych. - Choć, kiedy już o tym wspomniał, dał nam do zrozumienia, że to bardzo ważne.

- Kazał nam złożyć obietnicę - stwierdził Haddek. - Każdemu z nas. Powiedział, że pewnego dnia możemy zostać zobowiązani do usunięcia Błogosławieństw.

- Wyjęcia ich z naszych ciał - dodał inny kandra.

- Zabicia się - wyjaśnił Haddek.

Na sali zapanowała cisza.

- Jesteście pewni, że to by was zabiło? - spytał Sazed.

- Zmieniłoby nas z powrotem w mgielne upiory - odparł Haddek. - To właściwie jedno i to samo.

- Ojciec powiedział, że będziemy musieli to zrobić - powiedział jeden z pozostałych. -

Nie było w tym żadnego „być może”. Powiedział również, że mamy poinformować o tym zobowiązaniu innych kandra.

- Nazywamy to Rozwiązaniem - odezwał się znów Haddek. - Każdy kandra słyszy o nim, kiedy się rodzi. Zobowiązują się, pod przysięgą i z głębi serca, by wyjąć Błogosławieństwa, kiedy zażąda tego Pierwsze Pokolenie. Nigdy tego nie wymagaliśmy.

- Ale teraz się nad tym zastanawiacie? - spytał Sazed, marszcząc czoło. - Nie rozumiem. Jedyne ze względu na to, jak zachowują się mgły?

- Mgły to ciało Zachowania, Opiekunie - odparł Haddek. - To bardzo znaczące wydarzenie.

- Słyszeliśmy, jak nasze dzieci omawiają to przez cały ranek - dodał inny. - I to nas niepokoi. Oni nie wiedzą, czym są mgły, lecz są świadomi ich wagi.

- Rashek powiedział nam, że będziemy wiedzieli - wtrącił kolejny. - Powiedział nam

„Nadejdzie dzień, kiedy będziecie musieli wyjąć Błogosławieństwa. Rozpoznacie go, kiedy nadejdzie”.

Haddek pokiwał głową.

- Powiedział, że będziemy wiedzieli. I... jesteśmy bardzo zmartwieni.

- Jak możemy zażądać śmierci całego naszego ludu? - spytał inny. - Rozwiązanie zawsze bardzo mnie dręczyło.

- Rashek widział przyszłość - powiedział Haddek, odwracając się. - Trzymał moc Zachowania i posługiwał się nią. Był jedynym człowiekiem, który tego dokonał! Nawet ta dziewczyna, o której mówił Opiekun, nie wykorzystała mocy. Jedynie Rashek! Ojciec.

- To gdzie są teraz mgły? - spytał inny kandra.

Znów zapanowała cisza. Sazed siedział z piórem w dłoni, lecz nic nie pisał. Pochylił się.

- Mgły są ciałem Zachowania?

Pozostali skinęli głowami.

- I... ono zniknęło?

Znów przytaknięcia.

- Czy to nie może znaczyć, że Zachowanie powrócił?

- To niemożliwe - stwierdził Haddek. - Moc Zachowania pozostała, gdyż mocy nie da się zniszczyć. Jego umysł jednak został niemal całkowicie unicestwiony... takie bowiem było jego poświęcenie, by uwięzić Zniszczenie.

- Zostaje odłamek - przypomniał inny. - Cień jaźni.

- Tak - zgodził się Haddek. - Ale to nie Zachowanie, jedynie obraz... pozostałość.

Teraz, kiedy Zniszczenie wyrwał się na wolność, możemy chyba założyć, że i on został unicestwiony.

- Myślę, że to coś więcej - zaczął mówić jeden z pozostałych. - Moglibyśmy...

Sazed uniósł dłonie, przykuwając ich uwagę.

- Jeśli Zachowanie nie powrócił, to być może ktoś inny wziął tę moc, by wykorzystać ją w walce? Czyż wasze nauki nie mówią, że tak się miało stać? To, co zostało rozerwane, musi znów stać się jednością.

Cisza.

- Być może - powiedział Haddek.

Vin, pomyślał Sazed, czując rosnącą ekscytację. To właśnie oznacza bycie Bohaterem Wieków! Nie

mylę się, wierząc. Ona nas uratuje!

Sazed wziął arkusz metalu i zaczął zapisywać swoje myśli. W tej samej chwili drzwi do Labiryntu Zaufania otworzyły się gwałtownie.

Sazed przerwał i odwrócił się, marszcząc czoło. Kilku kandra z Piątego Pokolenia, o kościach z kamienia, wkroczyło na salę, za nimi podążyli smukli Drudzy. Na zewnątrz korytarze były puste.

- Bierzcie ich - powiedział cicho KanPaar.

- Co tu się dzieje?! - wykrzyknął Haddek.

Sazed siedział na swoim miejscu, nie wypuszczając pióra. Rozpoznawał napięcie i przynaglenie w sylwetkach Drugiego Pokolenia. Niektórzy wydawali się przerażeni, inni zdeterminowani. Kandra poruszali się szybko, Błogosławieństwo Siły dodawało energii ich ruchom.

- KanPaar! - powiedział Haddek. - O co chodzi?

Sazed podniósł się powoli. Czterech Piątych otoczyło go, w rękach trzymali młoty.

- To zamach stanu - stwierdził Sazed.

- Nie możecie już przewodzić - zwrócił się KanPaar do Pierwszego Pokolenia. -

Zniszczylibyście to, co tu mamy, zaśmieciecie naszą ziemię obcymi, pozwalacie, by mowy rewolucjonistów zaćmiły mądrość kandra.

- To nie jest właściwy czas, KanPaar - powiedział Haddek.

Członkowie Pierwszego Pokolenia krzyczeli, gdy ich szarpano i popychano.

- Nie czas?! - powtórzył gniewnie KanPaar. - Mówiliście o Rozwiązaniu! Nawet nie macie pojęcia, do jakiej paniki to doprowadziło. Zniszczylibyście wszystko, co tu mamy.

Sazed odwrócił się i spojrzał na KanPaara. Mimo gniewnego tonu, kandra uśmiechał się lekko przezroczytymi wargami.

Musiał teraz uderzyć, pomyślał Sazed, zanim Pierwsze Pokolenie zdołało powiedzieć więcej zwykłym kandra - przez co Drudzy staliby się niepotrzebni. KanPaar może ich teraz gdzieś upchnąć i umieścić kukły w ich alkowach.

Sazed sięgnął do cynołowiomysli. Jeden z Piątych zabrał ją zbyt szybkim ruchem ręki, a dwaj pozostali chwycili go za łokcie. Sazed szarpał się, ale jego prześladowcy byli nieludzko silni.

- KanPaar! - krzyknął Haddek. Jego głos był zadziwiająco silny. - Jesteście Drugim Pokoleniem... musicie być mi posłuszni. To my was stworzyliśmy!

KanPaar zignorował go i rozkazał swoim kandra związać Pierwsze Pokolenie.

Pozostali Drudzy tłoczyli się za nim, coraz bardziej przerażeni i wstrząśnięci tym, co robili.

- Być może rzeczywiście nadszedł czas Rozwiązania! - powiedział Haddek. -

Musimy... - Przerwał, gdy jeden z Piątych go zakneblował.

- I dlatego właśnie ja muszę przejąć przywództwo - powiedział KanPaar, kręcąc głową. - Wy jesteście zbyt chwiejni, starcy. Nie powierzę losu naszego ludu komuś, kto może dla kaprysu rozkazać im się zabić.

- Boisz się zmian - powiedział Sazed, patrząc kandra w oczy.

- Boję się niestabilności - sprzeciwił się KanPaar. - Upewnię się, że kandra będą mieli trwałe i niezmiennie przywództwo.

- Mówisz to samo, co wielu rewolucjonistów. I widzę twoją troskę. Jednakże nie wolno ci tego zrobić. Wasze własne przepowiednie zaczynają się spełniać. Teraz to rozumiem! Kandra mają swoją rolę do odegrania, a bez niej możecie nieświadomie doprowadzić do końca świata. Pozwólcie mi dalej prowadzić badania... możecie nas zamknąć w tej sali, jeśli chcecie... ale nie...

- Zakneblować go - rozkazał KanPaar, odwracając się.

Sazed szarpał się, ale bezskutecznie, gdy zawiązano mu usta i wyciągnięto go z Labiryntu Zaufania. Atium - ciało boga - zostało za jego plecami, w rękach zdrajców.

Zawsze zastanawiała mnie niezwykła zdolność Allomantów do przebijania wzrokiem mgieł. Ktoś, kto spalał cynę, mógł widzieć dalej w ciemnościach, poprzez mgły. Dla zwykłego człowieka mogłoby się to wydawać logiczne - w końcu cyna wzmacnia wszystkie zmysły.

Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, umiejętność ta może się zacząć wydawać zagadkowa. W jaki dokładnie sposób cyna pozwala przebijać wzrokiem mgły? To przeszkoda, która nie ma nic wspólnego z tym, jak dobry czy słaby ma ktoś wzrok. Zarówno krótkowzroczny uczony, jak i bystrooki zwiadowca mieliby ten sam problem z zobaczeniem czegokolwiek w większej odległości, gdyby stanęli przed ścianą.

To powinna być nasza pierwsza wskazówka. Allomanci przebijali wzrokiem mgły ponieważ zostały one stworzone z tej samej mocy co Allomancja. Dostroiwszy się poprzez spalanie cyny Allomanta stawał się nieomal częścią mgieł. I dlatego dla niego wydawały się one bardziej przezroczyste.

76

Vin... unosiła się. Nie spała, ale nie czuła się też przebudzona. Była dezorientowana, niepewna. Czy wciąż leżała na zrujnowanym dziedzińcu Kredik Shaw? Czy spała w swojej kajucie na pokładzie łodzi z Elendem? Czy była w swoich pokojach w Luthadel, mieście obłączonym? Czy była w sklepie Clubsa, zdziwiona i zaniepokojona łagodnością tej dziwnej nowej ekipy?

Czy leżała w bocznej uliczce, zapłakana, z plecami obolałymi po kolejnym laniu Reena?

Pomacała dookoła, próbując wyczuć otoczenie. Jej ręce i nogi nie reagowały.

Właściwie nie mogła ich nawet wyczuć. Jednakże im dłużej się unosiła, tym lepiej widziała.

Znajdowała się... w Luthadel. Po zabiciu Inkwizytorów.

Dlaczego nic nie czuła? Próbowała sięgnąć w dół, odepchnąć się i podnieść na kolana, lecz ziemia wydawała się dziwnie odległa. I nie widziała przed sobą swoich rąk. Nadal się unosiła.

Nie żyję, pomyślała.

Kiedy ta myśl przysła jej do głowy, rozbudziła się jeszcze bardziej. Widziała, ale miała wrażenie, jakby patrzyła przez bardzo zamgloną, wykrzywającą wszystko taflę szkła.

Czuła... pulsującą wewnątrz moc. Siłę podobną do siły jej kończyn - ale o wiele bardziej wszechstronną.

Udało jej się obrócić i spojrzeć na miasto. A w połowie obrotu stanęła twarzą w twarz z czymś mrocznym.

Nie wiedziała, jak daleko się znajduje. Wydawało się jednocześnie bliskie i odległe.

Widziała wszystkie jego szczegóły - o wiele więcej, niż mogłaby zobaczyć w rzeczywistości - ale nie mogła go dotknąć. Instynktownie wiedziała, co to jest.

Zniszczenie nie wyglądał już jak Reen. Tym razem manifestował się jako wielka plama kłębiącego się czarnego dymu. Istota bez ciała, ale o świadomości większej niż u zwyczajnego człowieka.

Tym... się stałam, uświadomiła sobie Vin. Rozjaśniło się jej w głowie.

Vin, odezwał się Zniszczenie. Jego głos nie przypominał już głosu Reena, brzmiał bardziej... gardłowo. Te wibracje omywały ją niczym impuls allomantyczny.

Witaj w boskości, powiedział Zniszczenie.

Vin zachowała milczenie, choć badała swoją moc, próbując ocenić, co może zrobić.

Zrozumienie wydawało się dla niej dostępne. Czuła się jak wcześniej, kiedy wzięła moc Studni Wstąpienia. Od razu wiedziała pewne rzeczy. Tylko tym razem moc była tak ogromna

- zrozumienie tak wielkie - że wstrząsnęło to jej umysłem. Na szczęście, ten umysł się rozwijał, a ona sama wzrastała.

Budziła się.

Wzniosła się nad miastem, świadoma, że moc wirująca w jej wnętrzu - jądro jej istnienia - była jedynie osią. Punktem skupienia dla mocy, która rozciągała się na cały świat.

Mogła znaleźć się gdziekolwiek, gdzie tylko zechciała. W rzeczy samej, część jej istoty znajdowała się wszędzie jednocześnie. Widziała świat jako jedność.

A on w większości umierał. Czowała jego drzenie, widziała, jak opuszcza go życie.

Większość roślin na świecie już umarła. Zwierzęta odejdą wkrótce po nich - przetrwały jedynie te, które znalazły sposób, by żuć martwe liście, przykryte teraz przez popiół. Później przyjdzie kolej na ludzi, choć Vin z zainteresowaniem stwierdziła, że zaskakująco wielu z nich zeszło do jaskini z zapasami.

Nie jaskinie z zapasami... - pomyślała Vin, w końcu rozumiejąc zamiar Ostatniego Imperatora. Schronienia. Dlatego są tak ogromne. Niczym fortece, w których mogą się ukryć ludzie. Przeczekać. Przetrwać odrobinę dłużej.

Cóż, ona to naprawi. Czowała przepelniającą ją moc. Wyciągnęła rękę i zablokowała popielne góry. Wygładziła je, stłumiła, uniemożliwiła im wyrzucanie popiołu i lawy. Później sięgnęła do nieba i wytarła dym i ciemność z atmosfery, niczym służąca, ścierająca sadzę z brudnego okna. Zrobiła to w jednej chwili - na dole nie minęło więcej niż pięć minut.

Ziemia natychmiast zaczęła płonąć - Vin nie uświadamiała sobie, jak bardzo popiół i dym chroniły świat. Krzyknęła i obróciła świat tak szybko, że słońce znalazło się po drugiej stronie. Zapadła ciemność. W chwili, kiedy to zrobiła, rozpętały się burze. Ruch sprawił, że pogoda zmieniła się gwałtownie, a na morzu pojawiła się nagle ogromna fala. Płynęła w stronę wybrzeża, zagrażając kilkunastu miastom.

Vin znów krzyknęła, wyciągając rękę, by zatrzymać falę, ale coś ją powstrzymało.

Vin, Vin... - powiedział. Czy wiesz, jak bardzo przypominasz Ostatniego Imperatora?

On, kiedy wziął moc, próbował naprawić wszystko. Wszystkie problemy ludzkości.

Widziała to. Nie była wszechwiedząca - nie знаła całej przeszłości. Widziała jednak historię mocy, którą teraz trzymała. Widziała, jak Rashek wziął ją, i widziała, jak sfrustrowany próbuje umieścić planetę na właściwej orbicie. Pociągnął za mocno, sprawiając, że świat stał się zimny i zaczął zamarać. Znów go popchnął, lecz jego moc była zbyt wielka -

zbyt straszliwa - by mógł nad nią zapanować. I znów świat stał się za gorący. Całemu życiu groziła zagłada.

Otworzył popielne góry, zasnuwając dymem atmosferę, sprawiając, że słońce stało się czerwone. W ten sposób uratował planetę - jednocześnie skazując ją na zagładę.

Jesteś tak impulsywna, pomyślał Zniszczenie. Ja miałem tę moc przez czas dłuższy niż umiesz sobie wyobrazić. Właściwe jej używanie wymaga ostrożności i precyzji.

Oczywiście, o ile nie chcesz po prostu niszczyć.

Sięgnął mocą, którą Vin wyczuła. Natychmiast, nie wiedząc jak ani dlaczego, powstrzymała go. Rzuciła swoją moc przeciwko niemu, a on zatrzymał się, niezdolny do działania.

Poniżej tsunami uderzyło w wybrzeże. Wciąż byli tam ludzie. Ludzie, którzy ukryli się przed kolosami, którzy żywili się rybami, gdy nie udały się zbiory. Vin czuła ich cierpienie, ich grozę, i krzyknęła, kiedy próbowała ich ochronić.

I znów została powstrzymana.

Teraz znasz frustrację, powiedział Zniszczenie, gdy tsunami spadło na wioski. Co takiego powiedział twój Elend? Na każde Odpychanie jest Przyciąganie. Jeśli coś podrzucisz, spadnie z powrotem na ziemię. Przeciwwstawienie.

Jest Zniszczenie i jest Zachowanie. Od niepamiętnych czasów! Wieczności! I za każdym razem, kiedy ja działam, TY reagujesz. Nawet po śmierci mnie powstrzymywałaś, ponieważ jesteśmy mocami. Nic nie mogę zrobić! I ty nic nie możesz zrobić! Równowaga!

Przekleństwo naszego istnienia.

Vin cierpiała, gdy ludzie poniżej byli miażdżeni, porywani przez wodę i tonęli. Proszę, powiedziała. Proszę, pozwól mi ich uratować.

Dlaczego? - spytał Zniszczenie. Co ci kiedyś powiedziałem? Wszystko co robisz, służy mnie. Powstrzymałem cię z dobroci. Nawet gdybyś wyciągnęła rękę, by ich uratować, zniszczyłabyś więcej niżbyś zachowała.

Tak było zawsze.

Vin wisiała, słuchając krzyków. A jednak część jej umysłu - tak teraz potężnego, zdolnego do wielu myśli naraz - rozkładała słowa Zniszczenia na czynniki pierwsze.

Były nieprawdziwe. Mówił, że wszystko służyło zniszczeniu, a jednak skarżył się na równowagę. Ostrzegał ją, że będzie ciągle siała zniszczenie, ale nie mogła uwierzyć, że powstrzymał ją z dobroci. Chciał, żeby niszczyła.

To nie mogło tak działać. Wiedziała, że jest jego przeciwieństwem. Mogłaby uratować tych ludzi, gdyby jej nie powstrzymał. Choć prawdopodobnie była jeszcze zbyt mało dokładna, żeby tego dokonać. To jednak nie była wina mocy, tylko jej. Musiał ją powstrzymać, żeby nie mogła się uczyć, jak zrobił to Ostatni Imperator, i osiągnąć większej sprawności.

Odwróciła się od niego w stronę Luthadel. Jej świadomość wciąż wzrastała, lecz zdezorientowało ją coś, co zobaczyła. Świeące punkciki, którymi była upstrzona okolica, przypominające latarnie. Zbliżyła się, próbując się domyślić, czym były. Jednakże, tak samo, jak trudno jest spojrzeć w jaskrawy blask lampy i rozpoznać źródło światła, tak tutaj również miała problemy z rozróżnieniem źródła tej mocy.

Domyśliła się, kiedy dotarła do Luthadel. Wielki blask emanował ze zniszczonego pałacu. Większość źródeł światła miała kształt przypominający nieco...

Iglice. Metal. To właśnie było źródłem blasku. Miałam rację. Metal jest mocą i dlatego Zniszczenie nie potrafił odczytać rzeczy zapisanych w stali. Vin odwróciła się od ostrego światła iglicy. Zniszczenie był za nią, jak zawsze, i obserwował ją.

Zdziwiłem się, kiedy Zachowanie stwierdził, że chce was stworzyć, powiedział

Zniszczenie z nutą zainteresowania w głosie. Inne życie jest dziełem natury. Pozostaje w równowadze. Ale Zachowanie... on chciał stworzyć coś celowo niezrównoważonego. Coś, co mogło dokonać wyboru i czasem zachowywać, a czasem niszczyć. Coś mającego postać tego, co widzieliśmy wcześniej. Zaintrygowało mnie to.

Zadziwia mnie fakt, że oddał tak wiele z siebie, by was stworzyć. Dlaczego zdecydował się osłabić samego siebie, tylko po to, by umieścić ludzi na tym świecie? Wiem, że inni nazywają ofiarą jego śmierć, by mnie uwięzić, ale to nie była ofiara. Ofiara nastąpiła o wiele wcześniej. Tak, wciąż próbował mnie zdradzić - uwięzić. Ale nie mógł mnie powstrzymać. Mógł mnie jedynie spowolnić. Uprowadzić. Opóźnić. Od dnia, w którym was stworzył, istniała nierównowaga. Byłem silniejszy. A on o tym wiedział.

Vin zmarszczyła czoło - a przynajmniej miała wrażenie, że marszczy czoło, choć nie miała już ciała. Jego słowa...

Mówi, że jest silniejszy, pomyślała Vin. Jednakże nasze siły są równe. Czy znowu kłamie?

Nie... nie kłamał. Spoglądając wstecz swoim coraz potężniejszym umysłem, widziała, że Zniszczenie wierzy we wszystko, co mówi. Naprawdę sądził, że cokolwiek ona zrobi, pomaga mu. Widział świat przez soczewki unicestwienia.

Nie kłamał, że jest od niej potężniejszy. I w tej chwili ich siły były równe. Co oznaczało...

Gdzieś tam jest kolejna część Zniszczenia, pomyślała Vin. Zachowanie rzeczywiście jest słabszy, ponieważ dał część z siebie, żeby stworzyć ludzkość. Nie świadomość - ją wykorzystał, żeby utworzyć więzienie Zniszczenia - ale fragment rzeczywistej mocy.

To, co kiedyś podejrzewała, teraz wiedziała z całkowitą pewnością. Moc Zniszczenia była skupiona, ukryta gdzieś przez Zachowanie. Atium. Zniszczenie był silniejszy. A raczej będzie, kiedy odzyska ostatnią część swojej istoty. Wtedy będzie zdolny do całkowitego unicestwienia - już nie będzie między nimi równowagi.

Obróciła się, sfrustrowana, świetlista biała mgła z pasmami obejmującymi cały świat.

Tak wiele wciąż nie wiem, pomyślała.

To wyznanie było dziwne, kiedy jej umysł rozwijał się, obejmując tak wiele. Jednakże jej ignorancja nie była już niewiedzą zwykłego człowieka. Wiązała się z doświadczeniem.

Zniszczenie miał nad nią wielką przewagę. Stworzył dla siebie sługi, które mogły działać bez jego wskazówek, więc nie mogła ich powstrzymać.

Widziała, jak jego planowanie objawia się w świecie. Widziała, jak przed tysiącem lat subtelnie wywiera wpływ na Ostatniego Imperatora. Gdy Rashek miał w sobie moc Zachowania, Zniszczenie szeptał mu do ucha, dając zrozumienie Hemalurgii. A Rashek wysłuchiwał go, nieświadomie tworząc sługi - armie - które Zniszczenie przejął, gdy nadszedł

czas.

Vin widziała je - kolosy - zbierające się wokół Luthadel.

Muszę ci przyznać jedno, Vin, powiedział Zniszczenie, unoszący się w pobliżu.

Zniszczyłaś moich Inkwizytorów. Za wyjątkiem jednego. Stworzenie ich było bardzo trudne.

Ja...

Przestała się na nim skupiać, przynajmniej większością swej świadomości. Jej uwagę przyciągnęło coś innego. Coś zbliżającego się do Luthadel, lecącego na włóczniach światła.

Elend.

Kiedy teraz patrzę wstecz, stwierdzam, że powinniśmy zauważyć związek między mgłą, Allomancją i mocą Studni Wstąpienia. Nie tylko wzrok Allomantów przebijał mgły ale też mgły wirowały lekko wokół ciała osoby korzystającej z jakiegokolwiek Allomancji.

Bardziej znaczący mógł być fakt, że gdy Hemalurg korzystał ze swoich umiejętności, odpędzał mgły. Im bliżej Zniszczenia ktoś się znalazł i im dłużej nosił kolce, tym bardziej odpychał mgłę.

77

Elend stał w ruinach Kredik Shaw, przyglądając się w otępieniu zniszczeniom.

Wydawało się to... niemożliwe. Jaka moc mogła zrównać z ziemią tak ogromną, majestatyczną budowlę? Co mogło doprowadzić do takiej katastrofy, rozerwać na kawałki budynek i rozrzuć gruzy na kilku sąsiednich ulicach? A wszelkie zniszczenia były skupione tutaj, w miejscu, które niegdyś było sercem mocy Ostatniego Imperatora.

Elend zsunął się po stercie gruzów i zbliżył do środka czegoś, co przypominało krater.

Obracał się w mroku, przyglądając się powalonym kamiennym blokom i iglicom.

- Na Ostatniego Imperatora... - zaklął, nie mogąc się powstrzymać. Czy coś stało się ze Studnią Wstąpienia? Wybuchła?

Elend odwrócił się i spojrział na miasto. Wydawało się opustoszałe. Luthadel, największa metropolia

Ostatniego Imperium, siedziba jego władzy. Puste. Większość w ruinach, jedna trzecia spalona, a samo Kredik Shaw zmiażdżone, jakby uderzyła w nie pięść boga.

Rzucił monetę i odleciał, kierując się w stronę północno-wschodniej części miasta, która była jego pierwotnym celem. Udał się do Luthadel z nadzieją, że znajdzie Vin, ale został zmuszony do nadłożenia drogi na południe i ominięcia szczególnie wielkiej połaci lawy, która płonęła na równinach wokół Góry Tyrian. Ten widok, w połączeniu z ruinami Luthadel, bardzo go zaniepokoił.

Gdzie była Vin?

Skakał z budynku na budynek. Z każdym ruchem wzbijał popiół. Działy się różne rzeczy. Popiół spadał coraz rzadziej - właściwie już prawie przestał. To dobrze, ale pamiętał

krótką chwilę wcześniej, kiedy słońce nagle zapłonęło z przerażającą jasnością. Trwało to tylko kilka chwil, lecz twarz wciąż go paliła.

Później słońce... opadło. Zniknęło za horyzontem w jednej chwili, ziemia pod stopami Elenda podskoczyła. Zastanawiał się, czy nie oszalał. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że zapadła noc, nawet jeśli jego ciało - i jeden z miejskich zegarów, który odwiedził - wskazywało, że powinno trwać popołudnie.

Wylądował na budynku i zeskoczył, Odpychając się od połamanej klamki. Drżał, poruszając się wśród pustego nocnego powietrza. Zapadła noc - gwiazdy świeciły nieprzyjemnie nad jego głową - i nie było mgły. Vin mówiła, że mgły go ochronią. Kto go ochroni, gdy ich zabrakło?

Dotarł do Twierdzy Venture, swojego pałacu. Odkrył, że budynek jest wypaloną skorupą. Wylądował na dziedzińcu, wpatrując się w swój dom - miejsce, w którym się wychował - i próbując zrozumieć zniszczenia. Kilka trupów strażników w brązowych mundurach rozkładało się na bruku. Wszystko było nieruchome.

Co, do kata, się tu stało? - pomyślał sfrustrowany. Rozejrzał się po budynku, ale nie znalazł żadnych wskazówek. Wszedł przez wyłamane okno na najwyższym piętrze i zawahał

się, kiedy zobaczył coś na dziedzińcu na tyłach.

Opadł na ziemię. I tam, pod markizą, która zatrzymała większość popiołu, ujrzał

leżącego na ziemi trupa w eleganckim surducie. Elend przetoczył go, a wtedy zobaczył miecz wbity w brzuch, wyraźnie świadczący o samobójstwie. Trup wciąż zaciskał dłoń na rękojeści.

Penrod, pomyślał, rozpoznając twarz. Najpewniej zginął z własnej ręki.

Na podłodze pod markizą wypisano coś węglem. Elend strzepnął nagromadzony popiół, miejscami zamazując litery. Na szczęście, wciąż mógł odczytać tekst.

„Przepraszam”, brzmiały słowa. „Coś przejęło panowanie nade mną... nad tym miastem. Rzadko mam przebliski świadomości. Wolę się zabić niż doprowadzić do jeszcze większych zniszczeń. Szukaj

swoich poddanych w Dominium Terris".

Elend odwrócił się na północ. Terris? Wydawało się dziwnym schronieniem. Jeśli mieszkańcy Luthadel uciekli, to dlaczego mieliby opuszczać Środkowe Dominium, miejsce, gdzie mgły były najślabsze? Wpatrzył się w bazgroły. Wydawało się, że ktoś szepcze:

„Zniszczenie... Kłamstwa...”.

Zniszczenie mógł zmienić tekst. Słowom takim jak Penroda nie można było ufać.

Elend pożegnał w milczeniu trupa, żałując, że nie ma czasu pochować starego męża stanu, później rzucił monetę, by wznieść się w powietrze.

Mieszkańcy Luthadel musieli gdzieś się udać. Gdyby Zniszczenie znalazł sposób, żeby ich zabić, Elend znalazłby więcej trupów. Przypuszczał, że gdyby poświęcił trochę czasu na poszukiwania, pewnie znalazłby ludzi wciąż ukrywających się w mieście. Najpewniej zniknięcie mgieł - a później nagle zapadająca noc - skłoniło ich do szukania schronienia.

Może udało im się dotrzeć do jaskini pod Kredik Shaw. Elend miał nadzieję, że niewielu się tam udało, biorąc pod uwagę zniszczenia w pałacu. Jeśli byli tam ludzie, to zostali uwięzieni.

„Zachód...” - jakby szeptał wiatr. „Czeluście...”. Zniszczenie zazwyczaj zmienia tekst tak, że jest bardzo podobny do pierwotnej wersji, pomyślał Elend. Czyli Penrod pewnie napisał większość tych słów, próbując mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć swoich poddanych.

Zniszczenie sprawił, że zabrzmiało to tak, jakby udali się do Dominium Terris, ale może Penrod pierwotnie napisał, że udali się do Terrisan?

To miało sens. Gdyby uciekał z Luthadel, sam by się tam udał - w tym miejscu od jakiegoś czasu mieszkała grupa uchodźców, która miała swoje stada, pola i żywność.

Elend skierował się na zachód, opuszczając miasto, a jego płaszcz łopotał z każdym krokiem.

* * *

Nagle Vin o wiele lepiej zrozumiała frustrację Zniszczenia. Czują, że ma w sobie moc stworzenia. Mimo to, ogromnego wysiłku wymagało od niej przekazanie kilku słów Elendowi.

Nie była nawet pewna, czy ją usłyszał. Jednakże знаła go tak dobrze, że poczuła...

połączenie. Mimo wszelkich wysiłków Zniszczenia, by ją powstrzymać, miała wrażenie, że część jej osoby nawiązała kontakt z częścią Elenda. Może w taki sam sposób, w jaki Zniszczenie porozumiewał się z Inkwizytorami i wyznawcami?

Niemal całkowita bezsilność doprowadzała ją do szału.

Równowaga, warknęła Zniszczenie. Równowaga mnie uwięziła. Ofiara Zachowania -

jej celem było wyssanie tej części mojej istoty, która była silniejsza, i zamknięcie jej, żebym znów był mu równy. Przez jakiś czas.

Tylko przez jakiś czas. A czym jest dla nas czas, Vin?

Niczym.

Tym, którzy czytają te słowa, może wydawać się dziwne, że atium było częścią ciała boga. Musimy jednak zrozumieć, że kiedy mówimy „ciało”, zazwyczaj myślimy „moc”. Gdy mój umysł się rozszerzył, zrozumiałem, że przedmioty i energia są tak naprawdę stworzone z tego samego i mogą zmieniać stan. Ma dla mnie sens, że moc boga manifestuje się na świecie w materialnej postaci. Zniszczenie i Zachowanie nie byli mglistymi abstrakcjami. Byli integralnymi elementami istnienia. W pewnym sensie każdy przedmiot, który istniał na świecie, składał się z ich mocy.

Atium było więc przedmiotem jednostronnym. Zamiast powstać w połowie ze Zniszczenia i w połowie z Zachowania - jak na przykład kamień - atium pochodziło całkowicie od Zniszczenia. Czułście Hathsin zostały stworzone przez Zachowanie jako miejsce, w którym mógł ukryć fragment ciała Zniszczenia, skradziony podczas uwięzienia.

Kelsier tak naprawdę wcale go nie zniszczył, kiedy zmiażdżył te kryształy, gdyż one w końcu by odrosły - za parę setek lat - i nadal zbierałoby się w nich atium, to miejsce było bowiem naturalnym ujściem dla uwięzionej mocy Zniszczenia.

Dlatego też, kiedy ludzie spalali atium, korzystali z mocy Zniszczenia - i być może dlatego właśnie atium zmieniało ich w tak doskonałe maszyny do zabijania. Nie zużywali jednak tej mocy jedynie ją wykorzystywali. Kiedy bryłka atium została spalona, moc wracała do Czułści i znów zaczynała się skupiać - podobnie jak moc Studni Wstąpienia wracała do niej po wykorzystaniu.

78

To bez wątpienia najdziwniejszy loch, w jakim byłem, pomyślał Sazed.

Oczywiście, został uwięziony dopiero po raz drugi w życiu. Mimo to, w swoim czasie widział kilka więzień, a o innych czytał. Większość przypominała klatki. To jednak składało się z otworu w ziemi przykrytego żelazną kratą. Sazed kulił się w środku, pozbawiony metalmyśli, i czuł skurcze w nogach.

Prawdopodobnie zostało wybudowane dla kandra, pomyślał. Może takiego pozbawionego kości? Jak wyglądałby kandra bez kości? Jak breja? A może jak sterta mięśni?

Tak czy inaczej, tego więzienia nie zaprojektowano dla ludzi, a szczególnie dla tak wysokich jak Sazed. Ledwie mógł się poruszyć. Wyprostował się i popchnął kratę, ale została zabezpieczona. Zamykał ją wielki zamek.

Nie był pewien, ile czasu spędził w jamie. Godziny? Może nawet dni? Wciąż nie dostał nic do jedzenia, choć ktoś z Trzeciego Pokolenia oblał go wodą. Sazed wciąż był

mokry i zaczął nawet wysysać tkaninę szaty, żeby złagodzić pragnienie.

To głupie, pomyślał, nie po raz pierwszy. Świat się kończy, a ja siedzę w więzieniu?

Był ostatnim Opiekunem, Głosicielem. Powinien znajdować się na górze i zapisywać wydarzenia.

Ponieważ, jeśli miał powiedzieć prawdę, zaczynał wierzyć, że świat się nie skończy.

Przyjął, że coś, być może samo Zachowanie, chroni ludzkość. Był coraz bardziej zdecydowany kierować się religią Terris - nie dlatego, że była doskonała, lecz dlatego, że wolał uwierzyć i mieć nadzieję.

Bohater był prawdziwy. Sazed w to wierzył. I wierzył w nią.

Mieszkał z Kelsierem i pomagał mu. Zapisał rozwój Kościoła Ocalałego w ciągu pierwszych lat od jego powstania. Z Tindwyl prowadził nawet badania nad Bohaterem Wieków i wziął na siebie głoszenie, że to Vin wypełnia proroctwa, ale dopiero teraz zaczynał

w nią wierzyć. Być może podjął decyzję, że będzie tym, który widzi cuda. Być może chodziło jedynie o przytłaczający strach przed końcem świata, który jakby nad nimi wisiał. Może wynikało to z napięcia i niepewności. Tak czy inaczej, jakimś sposobem w chaosie odnalazł

pokój.

Ona przybędzie. Zachowa świat. Ale Sazed musiał być gotów jej pomóc. A to oznaczało ucieczkę.

Spojrzał na metalową kratę. Zamek wykonano z czystej stali, lecz sama krata była żelazna. Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął krat, pozbawiając się odrobiny ciężaru i przekazując go żelazu. Jego ciało natychmiast stało się lżejsze. W Feruchemii żelazo magazynowało ciężar, a kratę wykonano z metalu na tyle czystego, by utrzymał ładunek feruchemiczny. Wykorzystanie kraty jako metalmyśli sprzeciwiało się jego instynktom - nie była przenośna i gdyby uciekł, musiałby pozostawić za sobą całą zmagazynowaną moc. Co zatem miał robić? Siedzieć w jamie i czekać?

Wyciągnął drugą rękę i dotknął palcem stalowego zamka. Jego również zaczął

napępniać, pozbawiając ciało prędkości. Natychmiast popadł w letarg, jakby każdy jego ruch -

nawet oddychanie - stał się trudniejszy. Miał wrażenie, że z każdym poruszeniem musi przebijać się przez gęstą substancję.

Pozostał w takim stanie. Kiedy napępniał metalmyśli, nauczył się wchodzić w swego rodzaju medytacyjny trans. Często napępniał kilka naraz i czuł się wtedy chory, słaby, powolny i tępy. W takich sytuacjach, jeśli tylko mógł, wolał...

Dryfować.

Nie był pewien, ile trwała jego medytacja. Od czasu do czasu pojawiał się strażnik, by oblać go wodą. Kiedy rozlegały się dźwięki, Sazed puszczał kratę i kulił się, udając, że śpi.

Gdy strażnik zniknął, wracał na swoje miejsce i znów napełniał metalmyśli.

Mijał czas. Kiedy Sazed po raz kolejny usłyszał dźwięki, znów się cofnął i czekał na wodę.

- Kiedy posłałem cię, żebyś uratował mój rodzaj - warknął ktoś - nie do końca to miałem na myśli.

Sazed otworzył oczy, podniósł wzrok i z zaskoczeniem ujrzał za kratą psi pysk.

- TenSoon? - spytał.

Kandra chrząknął i cofnął się. Sazed uniósł głowę, gdy w jego polu widzenia pojawiła się kolejna kandra. Miała delikatne Prawdziwe Ciało z drewna, smukłe i niemal nieludzkie. I trzymała klucze.

- Szybko, MeLaan - warknął TenSoon swoim psim głosem. Najwyraźniej wrócił do ciała psa, co miało sens. Poruszanie się w końskiej postaci przez czasem strome i wąskie tunele Ojczyzny byłoby trudne.

Kandra płci żeńskiej otworzyła zamek i odsunęła kratę. Sazed natychmiast wyczołgał

się na zewnątrz. W pomieszczeniu znajdowała się grupa kandra noszących dziwaczne Prawdziwe Ciała. W kącie leżał skulony i zakneblowany strażnik.

- Widziano, jak wchodzę do Ojczyzny, Terrisaninie - powiedział TenSoon. - Mamy mało czasu. Co tu się stało? MeLaan powiedziała mi o twoim uwięzieniu... KanPaar ogłosił, że to Pierwsze Pokolenie kazało cię pojmać. Czym ich tak do siebie zraziłeś?

- Nie ich - stwierdził Sazed, prostując nogi. - To Drugie Pokolenie. Pojmali Pierwszych i chcą rządzić zamiast nich.

Dziewczyna - MeLaan - sapnęła.

- Nigdy by czegoś takiego nie zrobili!

- Zrobili - powiedział Sazed. - Boję się o bezpieczeństwo Pierwszych. KanPaar być może bał się mnie zabić, ponieważ jestem człowiekiem. Jednak Pierwszi...

- Ale - wtrąciła MeLaan - Drudzy są kandra. Nie zrobiliby czegoś takiego! My tacy nie jesteśmy.

TenSoon i Sazed wymienili się spojrzeniami. We wszystkich społeczeństwach są ludzie, którzy łamią zasady, dziecko, pomyślał Sazed. Szczególnie tam, gdzie chodzi o władzę.

- Musimy znaleźć Pierwszych - powiedział TenSoon. - I odzyskać Labirynt Zaufania.

- Będziemy walczyć u twojego boku - odezwał się jeden z pozostałych kandra.

- W końcu ich obalimy! - dodał inny. - Drugich i ich upór, żebyśmy służyli ludziom!

Sazed zmarszczył czoło. Co ludzie mieli wspólnego z tym konfliktem? Wtedy zauważył, jak pozostali patrzą na TenSoona. Psie ciało, rozumiał. Dla nich TenSoon jest wielkim rewolucjonistą, a wszystko z powodu czegoś, co kazała mu zrobić Vin.

TenSoon znów spojrzął na Sazedą i otworzył pysk, żeby coś powiedzieć. Zaraz jednak przerwał.

- Nadchodzą - powiedział i zaklął, kładąc po sobie psie uszy.

Sazed odwrócił się zaniepokojony, zauważając cienie na kamiennej ścianie korytarza prowadzącego do więzienia. Sala była mała, z sześcioma otworami w podłodze. Nie było innych wyjść.

Mimo odważnych słów, towarzysze TenSoona natychmiast się cofnęli i przyłgnęli do ściany. Najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do walki, szczególnie z innymi ze swojego rodzaju. TenSoon nie podzielał ich strachliwości. Rzucił się do przodu w chwili, gdy grupa Piątych wpadła do sali. Zawył, uderzając barkiem w pierś jednego i szarpiąc pazurami innego.

Oto kandra, który nie pasuje do swojego ludu tak bardzo, jak ja do swojego, pomyślał

z uśmiechem Sazed. Cofnął się i stanął na kracie swojego więzienia, bosymi stopami dotykając obu metali.

Piąte Pokolenie miało problem z walką z TenSoonem - on ćwiczył z Vin i wyraźnie czuł się swobodnie w swoim psim ciele. Cały czas się poruszał, przewracał ich. Jednakże tamtych było pięciu, a TenSoon tylko jeden. Został zmuszony do wycofania się.

Rany na jego ciele zamykają się zgodnie z jego wolą, zauważył Sazed. Pewnie dlatego strażnicy zwykle noszą młoty.

To wyraźnie pokazało mu, jak należy walczyć z kandra. TenSoon wycofał się do boku Sazedą.

- Przepraszam - warknął pies. - Nie za bardzo ci pomogłem.

- No, nie wiem - powiedział z uśmiechem Sazed, gdy otaczali ich strażnicy. - Sądzę, że nie powinieneś poddawać się tak szybko.

Kandra rzucili się do ataku, a wtedy Sazed sięgnął do żelaza kraty pod jego stopami.

Jego ciało natychmiast stało się kilka razy cięższe niż zwykle. Chwycił strażnika za ramiona.

I przewrócił się na niego.

Sazed zawsze powtarzał, że nie jest wojownikiem. Jednakże tak wiele razy był

zmuszony do walki, że chyba powinien zrezygnować z tego usprawiedliwienia. W

rzeczywistości w ciągu ostatnich kilku lat brał udział w tylu walkach, że powinien już dawno zginąć.

Tak czy inaczej, znał pewne podstawowe ciosy - a z pomocą Feruchemii i efektu zaskoczenia potrzebował tylko tego. Sięgając do ciężaru zmagazynowanego w żelazie, zwiększał gęstość ciała i kości, dzięki czemu nie zrobił sobie krzywdy, padając na żołnierza.

Sazed poczuł satysfakcjonujący trzask, gdy uderzyli w kratę, jego ogromny ciężar zmiażdżył kości strażnika. Tamci mieli Prawdziwe Ciała z kamienia, ale nawet to nie wystarczyło.

Sazed uwolnił metalmyśl i zaczął ją znowu napełniać, sprawiając, że jego ciało stało się niewiarygodnie lekkie. Dotknął stopą stalowego zamka i sięgnął do prędkości. Nagle stał się szybszy niż miał prawo być. Podniósł się w chwili, gdy pozostali czterej strażnicy dopiero odwracali się w jego stronę.

Przestał napełniać żelazomyśl, odzyskując normalny ciężar, i z niesamowitą prędkością sięgnął po młot powalonego żołnierza. Nie miał możliwości zwiększenia siły, lecz miał szybkość. Opuścił młot na ramię kandra, przez chwilę zwiększając ciężar, by wzmocnić cios.

Kości kandra popękały. Sazed opuścił stopę na zamek i sięgnął po całą zmagazynowaną prędkość. Przykucnął, obrócił się i wbił młot w kolana dwóch kandra, którzy próbowali zaatakować go swoimi młotami.

Krzyknęli i przewrócili się, a wtedy prędkość Sazedą się wyczerpała.

Wyprostował się. TenSoon siedział na piersi ostatniego strażnika, przyszpilając go do ziemi.

- Myślałem, że jesteś uczonym - zauważył pies.

Jego więzień próbował się wyrwać.

Sazed odrzucił młot.

- Bo jestem - powiedział. - Vin wydostałaby się z tego więzienia wiele dni temu. A teraz sądzę, że powinniśmy zająć się tamtymi... - Machnął ręką w stronę powalonych Piątych, którzy mieli wyraźne problemy z poruszaniem się na połamanych kościach.

TenSoon pokiwał głową. Gestem kazał przyjaciołom, by pomogli mu z tym, na którym siedział. Bardzo ostrożnie trzymali więźnia, ale było ich wystarczająco wielu, by go unieruchomili.

- Co wyście tu narobili, FhorKood? - spytał ostro TenSoon.

Sazed miał oko na pozostałych Piątych i był zmuszony uderzyć jednego młotem, łamiąc kolejne kości, kiedy ten próbował odpełznąć.

FhorKood splunął.

- Nieczysty Trzeci - mruknął.

- Tym razem to ty jesteś zdrajcą zauważył TenSoon z lekkim uśmiechem. - KanPaar twierdzi, że złamałem Kontrakt, a później obala Pierwsze Pokolenie? Gdyby świat się nie kończył, mógłbym to uznać za całkiem zabawne. A teraz mów!

Sazed zawahał się, kiedy coś zauważył. Pozostałe cele w podłodze były zajęte.

Pochylił się, rozpoznając coś w stertach mięśni, jakie zobaczył. Były... odbarwione i nieco zniekształcone. Jak... zwisający mech.

- TenSoonie! - zawołał, podnosząc wzrok. - Być może Pierwsze Pokolenie wciąż żyje.

Chodź tutaj.

TenSoon podszedł i zajrzał do jamy, krzywiąc psie wargi.

- MeLaan! Klucze!

Podbiegła i otworzyła kratę. Sazed zauważył z konsternacją, że w jamie znajduje się kilka różnych stert drżących mięśni, każda odrobinę innego koloru.

- Potrzebujemy kości - powiedział TenSoon, prostując się.

MeLaan przytaknęła i wybiegła z sali. Sazed wymienił spojrzenia z TenSoonem.

- Musieli zabić innych kandra w tych celach - powiedział cicho TenSoon. - Zdrajców naszego rodzaju, uwięzionych na wieczność. Taki miał być mój los. Tak czy inaczej, to bardzo sprytne posunięcie... wszyscy sądzą, że w tych celach znajdują się zbrodniarze. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby Piąte Pokolenie nadal ich karmiło i nikt by nawet nie podejrzewał, że ich mieszkańcy zostali zastąpieni przez Pierwsze Pokolenie, zakładając, że nikt nie podszedłby na tyle blisko, by zwrócić uwagę na kolor mięśni.

- Musimy ruszać dalej - stwierdził Sazed. - Dopaść KanPaara.

TenSoon pokręcił głową.

- Nie zajdziemy daleko bez Pierwszych, którzy potwierdzą naszą historię, Terrisaninie.

Idź i zgromadź więcej swojej Feruchemii. Możemy jej potrzebować.

Z tymi słowami TenSoon podszedł do więźnia i kucnął nad nim.

- Masz dwie możliwości, FhorKood - powiedział. - Albo oddasz te kości, albo przetrawię twoje ciało i zabiję cię, jak zrobiłem z OreSeurem.

Sazed zmarszczył czoło. Uwięziony kandra najwyraźniej ogromnie bał się TenSoona.

Ciało Piątego rozpląnęło się i niczym wielki ślimak opuściło granitowe kości. TenSoon się

uśmiechnął.

- A po co to? - spytał Sazed.

- Zane mnie tego nauczył - powiedział TenSoon. Jego psie ciało zaczęło się rozplýwać, sierść wypadła. - Nikt się nie spodziewa, że kandra może być kimś innym. Za kilka chwil ten tu FhorKood wróci do Drugiego pokolenia i powie im, że zdrajca TenSoon został pojmany.

Powiniennem powstrzymać ich na tyle długo, by Pierwsi zdążyli się zregenerować...

stworzenie ciał zajmie im zdecydowanie dłużej niż mnie.

Sazed pokiwał głową. MeLaan wróciła po krótkiej chwili z wielkim workiem pełnym kości, a TenSoon - który niezwykle szybko odtworzył ciało FhorKooda - opuścił salę.

Wtedy Sazed usiadł, zdjął zamek i wziął do ręki, by wykorzystać go jako metalmyśl.

W drugiej ręce miał żelazny młot, w którym magazynował ciężar. Czuł się dziwnie, po prostu siedząc w więzieniu, ale najwyraźniej Pierwsi potrzebowali kilku godzin na odtworzenie ciał.

Nie ma pośpiechu, prawda? - pomyślał Sazed. Mam tu Pierwsze Pokolenie - tych, których potrzebujemy. Mogę zadawać im pytania również tutaj, dowiedzieć się tego, czego pragnę. TenSoon odwróci uwagę KanPaara. Nie ma znaczenia, że Drudzy pozostaną u władzy jeszcze przez kilka godzin.

W końcu co takiego mogliby zrobić?

Wierzę, że mgły szukały dla siebie nowego gospodarza. Moc potrzebowała świadomości, która by nią pokierowała. W tej kwestii wciąż nie mam jasności. Dlaczego moc służąca do tworzenia i niszczenia potrzebowała umysłu, by ją nadzorował? A jednak wydaje mi się, że w pewnym sensie ma ona swoją wolę, powiązaną ze zdolnościami. Bez nadzoru świadomości nic nie mogło zostać stworzone ani zniszczone. Zupełnie jakby moc Zachowania rozumiała, że jej tendencja do narzucania stabilizacji nie wystarczy. Gdyby nic się nie zmieniło, nic by nie zaistniało.

To każe mi się zastanawiać, kim lub czym były umysły Zachowania i Zniszczenia.

Tak czy inaczej, mgły - moc Zachowania - wybrały sobie gospodarza na długo przed tym, nim to wszystko się wydarzyło. Ten ktoś jednak został natychmiast pochwycony przez Zniszczenie i stał się jego pionkiem. Zniszczenie musiał wiedzieć, że dając jej ukryty hemalurgiczny kolec, powstrzyma mgły przed wejściem w nią.

Trzykrotnie, kiedy udało jej się sięgnąć do ich mocy usunięto z jej ciała kolczyk. Kiedy walczyła przeciwko Ostatniemu Imperatorowi, wyrwała go jego Allomancja. Kiedy walczyła przeciwko Marshowi w Fadrex, wykorzystała kolczyk jako broń. A na koniec Marsh wyrwał

go, uwalniając ją i pozwalając mgłom - które teraz rozpaczliwie szukały gospodarza, gdyż zniknął już ostatni ślad Zachowania - w końcu wlać się w jej ciało.

Coś się zmieniło.

Vin przerwała kontemplację świata. Działo się coś ważnego. Nie miała wystarczająco dużo doświadczenia, by od razu stwierdzić, co się dzieje, ale zauważyła, jak punkt skupienia Zniszczenia błyskawicznie oddala się od niej.

Podążyła za nim. Prędkość nie była problemem. Właściwie nie czuła, że się porusza.

„Podążyła”, ponieważ jej umysł tak zinterpretował doświadczenie natychmiastowego przeniesienia świadomości do miejsca, gdzie skupił się Zniszczenie.

Rozpoznała tę okolicę. Czeluście Hathsin albo gdzieś w pobliżu. Wcześniej część jej umysłu zauważyła, że same Czeluście stały się ogromnym obozem uchodźców, a zgromadzeni tam ludzie szybko pochłaniali zapasy starannie zgromadzone przez Terrisan.

Uśmiechnęła się. Terrisanie swobodnie oddawali swoje dobra, pomagając tym, którzy uciekli z Luthadel. Ostatni Imperator hodował Terrisan, by byli ulegli. Czy jednak spodziewał się, że tworząc swoich idealnych służących, stworzy jednocześnie troskliwy i życzliwy lud, oddający swoje ostatnie stada, by pomóc tym, którzy umierali z głodu?

To, co zauważyła wcześniej, nie miało nic wspólnego z Terrisanami i ich gośćmi.

Zobaczyła to, gdy się zbliżyła. Jaskrawy blask... czegoś potężnego. Dla jej oczu potężniejszego niż samo słońce. Skupiła się, ale nie zobaczyła wiele.

- Weź to - powiedział ktoś. - Odnajdź ludzi i wymień to na broń i zapasy.

- Tak, lordzie KanPaarze - powiedział ktoś inny. Głos dobiegał z centrum rozświetlonego miejsca. Znajdowało się z boku Czeluści, zaledwie kilka minut drogi od Czeluści.

O nie, pomyślała Vin, czując nagłe przerażenie.

- Głupi Pierwsi zbyt długo siedzieli na tym skarbie - powiedział KanPaar. - Z tymi bogactwami będziemy mogli rządzić ludzkością, a nie jej służyć.

- Ja... sądziłem, że nie chcemy nic zmieniać?

- Ależ nie. A przynajmniej niezbyt szybko. Na razie wystarczy sprzedać tę odrobinę...

Ukryte pod ziemią, pomyślała Vin. W miejscu, które i tak świeci ze względu na liczne złoża metali. Zniszczenie nigdy by się nie domyślił, gdzie jest atium.

Głębia planowania Ostatniego Imperatora zadziwiała ją. Przez tysiąc lat zachował

tajemnicę i zapewnił bezpieczeństwo atium. Wyobrażała sobie, jak obligatorzy komunikują się

wyłącznie za pomocą metalowych płyt, wydając polecenia dotyczące działania Czeluści.

Wyobrażała sobie karawany opuszczające Czeluście, a przewożące atium zmieszane ze złotem i monetami, by ukryć, gdzie trafia i co się właściwie dzieje.

„Nie wiecie, co robię dla ludzkości”, powiedział Ostatni Imperator.

I rzeczywiście tego nie wiedziałam, pomyślała Vin. Dziękuję ci.

Poczuła, jak Zniszczenie przepelnia moc i zatrzymała go. Jednakże, podobnie jak jej udało się ominąć Zniszczenie wąskim pasmem mocy i odezwać do Elenda, tak Zniszczeniu udało się przebić najcieńszą z nici. Dla kogoś, kto był splamiony Hemalurgią, to wystarczyło.

Kolce w ramionach przyciągnęły moc Zniszczenia i pozwoliły mu odezwać się do ich nosiciela.

Kandra? - pomyślała Vin. Jej zmysły w końcu przebiły się przez blask atium, by ujrzeć istotę o przezroczystym ciele, stojącą w jaskini, tuż pod ziemią. Inny kandra wyczołgiwał się z pobliskiego otworu, niosąc niewielką sakiewkę atium.

Zniszczenie przejął kontrolę nad kandra KanPaarem. Istota zeszywniała, jej metalowe kolce ją zdradziły.

Opowiedz mi o tym, powiedział Zniszczenie do KanPaara.

Vin wyczuła jego słowa, gdy pulsowały w kandra.

Ile atium tam macie?

- Co... kim ty jesteś? - spytał KanPaar. - Dlaczego jesteś w mojej głowie?

Jestem Bogiem. A ty należysz do mnie.

Wszyscy do mnie należycie.

* * *

Elend wylądował przed Czeluściami Hathsin, wyrzucając w powietrze chmurę dymu.

Co dziwne, na miejscu ujrzał część swoich żołnierzy, strzegących obozu. Podbiegli do przodu, niepewnie unosząc włócznie, po czym zeszywnieli, kiedy go rozpoznali.

- Lord Venture? - spytał jeden z żołnierzy, wyraźnie wstrząśnięty.

- Znam cię - stwierdził Elend, marszcząc czoło. - Z mojej armii w Fadrex.

- Odesłałeś nas, milordzie - odezwał się drugi żołnierz. - Z generałem Demoux. Żeby pomóc lordowi Penrodowi w Luthadel.

Elend spojrział w nocne niebo, pełne gwiazd. Droga z Luthadel do Czeluści zajęła mu trochę czasu. Jeśli czas mijał teraz normalnie, minęła już połowa nocy. Co się stanie, gdy słońce znów wzejdzie?

- Szybko - powiedział Elend. - Muszę porozmawiać z przywódcami tego obozu.

* * *

Powrót Pierwszego Pokolenia odbył się z wielką paradą, na jaką liczył Sazed. Starzy kandra, noszący teraz większe ciała, wciąż mieli charakterystyczne ubarwienie i starą skórę ich pokolenia. Obawiał się, że zwyczajni kandra ich nie rozpoznają. Nie brał jednak pod uwagę ich długiego życia. Nawet jeśli Pierwsi pokazywali się raz na tysiąclecie, większość kandra widziała ich przynajmniej kilka razy.

Sazed uśmiechnął się, gdy grupa Pierwszych weszła do głównej sali, wywołując zaskoczenie i zdumienie pozostałych. Ogłosili, że KanPaar ich zdradził i uwięził, po czym rozkazali kandra się zebrać. Sazed trzymał się z tyłu, za plecami MeLaan i pozostałych, obserwując rozwój sytuacji.

Z boku zobaczył zbliżającego się znajomego kandra.

- Opiekunie - powiedział TenSoon, wciąż noszący ciało Piątego. - Musimy być ostrożni. Dzieją się dziwne rzeczy.

- To znaczy? - spytał Sazed.

Wtedy TenSoon go zaatakował.

Sazed wzdrygnął się i ta chwila dezorientacji wiele go kosztowała. TenSoon - czy ktokolwiek to był - zacisnął ręce na gardle Sazed i zaczął go dusić. Polecili do tyłu, przyciągając uwagę otaczających ich kandra. Napastnik, który miał kości z kamienia, ważył o wiele więcej niż Sazed i bez trudu przetoczył się na górę, nie zdejmując rąk z szyi Terrisanina.

- TenSoon? - spytała MeLaan, wyraźnie przerażona.

To nie on, pomyślał Sazed. To niemożliwe...

- Opiekunie - powiedział napastnik przez zaciśnięte zęby. - Coś jest bardzo nie tak.

I ty mi to mówisz?! Sazed próbował złapać oddech. Sięgnął do kieszeni szaty, starając się pochwycić metalmyśl z zamka.

- Z trudem powstrzymuję się przed zmiążdżeniem twojego gardła, tu i teraz - mówił

dalej kandra. - Coś nade mną zapanowało. Chce, żebym cię zabił.

Robisz kawał niezłej roboty! - pomyślał Sazed.

- Przepraszam - powiedział TenSoon.

Pierwsi zebrali się wokół nich. Sazed miał problemy z koncentracją, walcząc z dużo cięższym i dużo silniejszym przeciwnikiem. Chwycił zaimprovizowaną stalmyśl, ale wtedy właśnie sobie uświadomił, że prędkość nic mu nie pomoże, gdy jest trzymany tak mocno.

- Nadeszło - wyszeptał Haddek, przywódca Pierwszych.

Sazed zauważył, że jeden z pozostałych Pierwszych zaczyna się trząść. Zebrani krzyczeli, ale krew pulsująca w uszach nie pozwoliła mu zrozumieć słów.

Haddek odwrócił się od sapiącego Sazed.

- Nadeszło Rozwiązanie! - wykrzyknął.

Nad nim TenSoon szarpnął się. Wyraźnie toczył wewnętrzną walkę między tradycją i całym życiem szkolenia, a kontrolą narzuconą z zewnątrz. Jedną ręką puścił Sazed, ale drugą wciąż go dusił. I wtedy kandra wolną ręką sięgnął do ramienia.

Sazed stracił przytomność.

Kandra zawsze utrzymywali, że pochodzą od Zachowania, a kolosy i Inkwizytorzy od Zniszczenia. A jednak nosili hemalurgiczne kolce, jak pozostali. Czy ich przekonanie było jedynie złudzeniem?

Sądzę, że nie. Zostali stworzeni przez Ostatniego Imperatora jako szpiegdy. Kiedy mówili takie rzeczy, większość z nas sądziła, że planował wykorzystać ich jako szpiegów w swoim nowym rządzie, ze względu na ich umiejętność naśladowania ludzi. I w rzeczy samej byli wykorzystywani w tym celu.

Ja w ich istnieniu widzę coś o wiele wspanialszego. Byli podwójnymi agentami Ostatniego Imperatora, mieli hemalurgiczne kolce, jednak on im zaufał - oraz wyszkolił i zobowiązał - że wyciągną je, gdy Zniszczenie spróbuje nad nimi zapanować. W chwili triumfu Zniszczenia, który zawsze zakładał, że kandra będą do niego należeć, większość rasy błyskawicznie zmieniła strony i uniemożliwiła mu sięgnięcie po łup.

Rzeczywiście przez cały czas pochodzili od Zachowania.

80

- Terrisanie zrobili tu dużo dobrego, milordzie - powiedział Demoux.

Elend pokiwał głową. Szedł z rękami za plecami przez spowity nocną ciszą obóz.

Cieszył się, że przed opuszczeniem Fadrex przebrał się w czysty biały mundur. Jego ubiór przyciągał uwagę, co było jego celem. Ludzie nabierali nadziei na sam jego widok. W ich życiu zapanował chaos - musieli wiedzieć, że przywódca zna i rozumie ich sytuację.

- Obóz jest olbrzymi, jak widzicie - mówił dalej Demoux. - W tej chwili mieszka tu kilkaset tysięcy ludzi. Wątpię, by uchodźcy przeżyli bez pomocy Terrisan. Tamci ograniczyli choroby, zorganizowali

ekipy do filtrowania i przynoszenia czystej wody do obozu oraz rozdali żywność i koce.

Demoux spojrział z wahaniem na Elenda.

- Jednak żywności zaczyna brakować - dodał cicho.

Najwyraźniej, kiedy generał odkrył, że Penrod nie żyje, a większość mieszkańców Luthadel znalazła się w okolicy Czeluści, posłał tam swoich ludzi na pomoc.

Minęli kolejne ognisko. Ci, którzy się wokół niego zgromadzili, wstali. Z nadzieją wpatrywali się w Elenda i jego generała. Przy tym ognisku Demoux się zatrzymał, kiedy podeszła do nich młoda Terrisanka i podała im ciepłą herbatę. Przez dłuższą chwilę kobieta wpatrywała się z sympatią w generała, a on podziękował, wymieniając jej imię. Terrisanie bardzo serdecznie traktowali Demoux - byli wdzięczni za przyprowadzenie żołnierzy, którzy pomogli zorganizować masy uchodźców i zapanować nad nimi.

W tych czasach ludzie potrzebowali przywództwa i porządku.

- Nie powinienem opuszczać Luthadel - powiedział cicho Elend.

Demoux nie odpowiedział od razu. Dopili herbatę i ruszyli dalej, idąc ze strażą honorową liczącą dziesięciu żołnierzy, wszystkich z grupy Demoux. Generał wysłał kilku posłańców do Elenda. Nigdy nie dotarli do celu. Może nie udało im się ominąć pola lawy. A może wpadli na tę samą armię kolosów, którą Elend mijał w drodze do Luthadel.

Te kolosy... - pomyślał Elend. Te, które odpędziliśmy od Fadrex, i jeszcze inne, kierują się prosto w tę stronę. Tu jest więcej ludzi niż w Fadrex. I nie mają miejskiego muru ani nawet licznych żołnierzy do ochrony.

- Czy udało ci się zorientować, co się wydarzyło w Luthadel, Demoux? - spytał cicho Elend, zatrzymując się w ciemnym miejscu między dwoma ogniskami.

Wciąż czuł się dziwnie na wolnym powietrzu bez mgieł, które zwykle towarzyszyły im w nocy. Widział teraz o wiele dalej - ale jednocześnie, co dziwne, noc nie wydawała się tak jasna.

- Penrod, milordzie - odparł cicho Demoux. - Mówią, że oszalał. Znajdował zdrajców pośród szlachetnie urodzonych, nawet w swojej własnej armii. Podzielił miasto i zaczęła się kolejna wojna rodów. Żołnierze powybijali się nawzajem, pół miasta spłonęło. Większości mieszkańców udało się uciec, ale mają niewielką ochronę. Wystarczyłaby niewielka, ale zdeterminowana grupa bandytów, by wywołać chaos.

Elend milczał. Wojna rodów, pomyślał z frustracją. Zniszczenie wykorzystuje przeciwko nam nasze własne sztuczki. W ten sam sposób Kelsier zapanował nad miastem.

- Milordzie... - odezwał się niepewnie Demoux.

- Mów.

- Mieliście rację, kiedy odesłaliście mnie i moich ludzi. Sądzę, że za tym wszystkim stoi Ocalały. Z jakiegoś powodu chciał, żebyśmy tu trafili.

Elend zmarszczył czoło.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ci ludzie - wyjaśnił Demoux - uciekli z Luthadel z powodu Kelsiera. Ukazał się dwóm żołnierzom, a później grupie mieszkańców. Twierdzą, że kazał im przygotować się na katastrofę i wyprowadzić ludzi z miasta. To dzięki nim tak wielu uciekło. Ci dwaj żołnierze i ich przyjaciele przygotowali zapasy i zachowali tyle rozsądku, by udać się tutaj.

Elend spochmurniał jeszcze bardziej. Widział jednak zbyt wiele, by odrzucić nawet tak dziwną opowieść.

- Poślij po tych ludzi - powiedział.

Demoux przytaknął i wezwał gestem żołnierzy.

- A do tego - dodał Elend, przypominając sobie, że Demoux i jego ludzie również ucierpieli z powodu mgieł - zobacz, czy ktoś tu nie ma allomantycznych metali. Rozdaj je swoim ludziom i każ połknąć.

- Milordzie? - odezwał się wyraźnie zdezorientowany Demoux.

- To długa historia. Wystarczy, jeśli powiem, że twój bóg... czy ktokolwiek... zmienił

ciebie i twoich ludzi w Allomantów. Podziel ich na grupy zgodnie z tym, który metal spalają.

Będziemy potrzebować wszystkich Monetostrzelnych, Zbirów i Szarpaczy.

* * *

Sazed otworzył oczy i z jękiem potrząsnął głową. Jak długo był nieprzytomny? Pewnie niedługo, zrozumiał, gdy odzyskał pełnię widzenia. Stracił przytomność z braku powietrza, a w takim wypadku człowiek był nieprzytomny przez krótką chwilę.

O ile w ogóle się obudził.

A ja się obudziłem, pomyślał, kaszląc i masując gardło. Usiadł. Jaskinię kandra wypełniał spokojny blask błękitnych fosforyzujących latarni. W tym świetle widział, że otacza go coś dziwnego.

Mgielne upiory. Krewni kandra, padlinożercy, którzy polowali w mroku i żywili się trupami. Kręcili się wokół Sazed, masy mięśni, ciała i kości - ale te kości były połączone w dziwny, nienaturalny sposób. Stopy zwisające pod kątem, głowy połączone z rękami.

Żebra pełniące funkcje nóg.

Tyle tylko, że te kości wcale nie były kośćmi, wykonano je z kamienia, metalu lub drewna. Sazed stał z powagą nad pozostałościami kandra. Na ziemi, pośród splecionej masy mgielnych upiorów - które kłębiły się niczym gigantyczne nagie ślimaki - leżały porzucone kolce. Błogosławieństwa kandra. To, co dawało im świadomość.

Zrobili to. Dotrzymali przysięgi i woleli raczej wyjąć kolce niż dostać się pod panowanie Zniszczenia. Sazed wpatrywał się w nich z litością, zadziwieniem i szacunkiem.

Atium, pomyślał. Zrobili to, by Zniszczenie nie dostał atium. Muszę je chronić!

Odszedł od głównej sali, odzyskując siły w drodze do Labiryntu Zaufania. Zatrzymał

się jednak przed nim, słysząc głosy. Wyrzwał za róg i przez otwarte drzwi na końcu korytarza zajrzał do Labiryntu Zaufania. Ujrzał grupę kandra - w sumie około dwudziestu - próbującą odsunąć płytę na podłodze, która ukrywała atium.

Oczywiście, nie wszyscy stali się mgielnymi upiorami, pomyślał. Niektórzy znajdowali się poza zasięgiem głosu Pierwszych albo nie mieli odwagi, by wyjąć kolce.

Właściwie, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zadziwiało go, jak wielu wypełniło rozkaz Pierwszego Pokolenia.

Sazed bez trudu rozpoznał KanPaara kierującego pracą w środku. Kandra weźmie atium i dostarczy je Zniszczeniu. Sazed musiał ich powstrzymać. Ale stosunek sił wynosił

dwadzieścia do jednego - a Sazed miał tylko jedną małą metalmyśl. Stosunek sił nie wyglądał najlepiej.

Wtedy jednak zauważył coś stojącego przed wejściem do Labiryntu Zaufania. Prosty płócienny worek, nie robiący większego wrażenia - tyle tylko, że Sazed go rozpoznał. Przez lata nosił w nim metalmyśli. Musieli go tam wyrzucić po tym, jak pojмали Sazed. Worek leżał około dwudziestu stóp od niego, tuż przed wejściem do Labiryntu Zaufania.

W drugiej sali KanPaar uniósł wzrok i spojrzał w stronę Sazed. Zniszczenie go zauważył.

Sazed nie zastanawiał się dłużej. Sięgnął do kieszeni, chwycił stalowy zamek i sięgnął

do niego. Z nieludzką szybkością pobiegł korytarzem i poderwał worek z ziemi w chwili, gdy kandra zaczęli krzyczeć.

Sazed otworzył worek i znalazł w środku zbiór bransoletek, pierścieni i naramienników. Wyrzucił zawartość na ziemię, rozsypując cenne metalmyśli na podłodze, i wyjął dwie, których szukał. Wciąż poruszając się z oszalamiającą prędkością, skoczył w bok.

Jego stalomyśl się wyczerpała. Jeden z pierścieni, które chwycił, były z cyny z ołowiem. Sazed sięgnął do siły i natychmiast stał się bardziej masywny. Zatrzasnął drzwi do Labiryntu Zaufania,

sprawiając, że kandra uwięzieni w środku krzyknęli. Później sięgnął do drugiego pierścienia - żelaznego. Stał się o wiele cięższy, zmieniając samego siebie w blokadę, która powstrzymywała przed otwarciem masywne metalowe drzwi do Labiryntu Zaufania.

To była gra na zwłokę. Stał, przytrzymując zamknięte drzwi, i w zastraszającym tempie zużywał metalmyśli. Te same pierścienie nosił podczas oblężenia Luthadel, to one zostały zamknięte w jego ciele. Uzupełnił je po oblężeniu, zanim jeszcze zrezygnował z Feruchemii. Długo nie wytrzymają. Co zrobi, kiedy kandra przebiją się przez drzwi?

Rozpaczliwie szukał sposobu na zablokowanie lub zaklinowanie przejścia, ale nic nie widział.

A jeśli odejdzie choć na chwilę, kandra wyrwą się na wolność.

- Proszę - wyszeptał z nadzieją, że podobnie jak wcześniej, istota, która go słuchała, dokona cudu. - Będę potrzebował pomocy...

* * *

- Przysięgam, że to był on - powiedział żołnierz imieniem Rittle. - Od śmierci Kelsiera wierzyłem w Kościół Ocalałego. On mnie nauczał, przeciągnął mnie na stronę rebelii. Byłem tam, kiedy odwiedził jaskinię i kazał lordowi Demoux walczyć o jego honor. Poznałbym Kelsiera tak samo, jak poznałbym własnego ojca. To był on.

Elend odwrócił się do drugiego żołnierza, który pokiwał głową.

- Nie znałem go, milordzie - powiedział tamten. - Ale pasował do wszystkich opisów.

Naprawdę myślę, że to był on.

Elend odwrócił się do Demoux, którzy przytaknął.

- Bardzo dokładnie opisali lorda Kelsiera, milordzie. On rzeczywiście nas strzeże.

Elendzie...

Przybył goniec i wyszeptał coś do Demoux. Noc była ciemna i Elend odwrócił się, by w blasku pochodni przyjrzeć się dwóm żołnierzom, którzy widzieli Kelsiera. Nie wyglądali na świadków szczególnie godnych zaufania - Elend nie zostawiał w mieście swoich najlepszych ludzi, kiedy wyruszał na wojnę. Mimo to, inni również widzieli Ocalałego. Miał

zamiar porozmawiać również z nimi.

Potrząsnął głową. Gdzie, do kata, jest Vin?

Elendzie...

- Milordzie - powiedział Demoux, dotykając jego ramienia. Wydawał się zatroskany.

Elend odesłał dwóch żołnierzy. Nie wiedział, czy byli dobrymi świadkami, ale miał

wobec nich spory dług - ich przygotowania ocaliły wielu ludzi.

- Raport zwiadowców, milordzie - powiedział Demoux. Na jego twarz padał blask pochodni migoczącej w nocnym wietrzyku. - Te kolosy, które widzieliście, rzeczywiście kierują się w tę stronę. Poruszają się szybko. Zwiadowcy widzieli ich ze szczytu wzgórza.

Być może... dotrą tutaj przed końcem nocy.

Elend zaklął cicho.

Elendzie...

Zmarszczył czoło. Dlaczego wciąż słyszał swoje imię na wietrze? Odwrócił się i wpatrzył w mrok. Coś go ciągnęło, kierowało nim, szeptało do niego. Próbował to zignorować, odwrócił się do Demoux. A jednak było tam, czuł je w samym sercu.

Chodź...

To brzmiało jak głos Vin.

- Zbierz straż honorową - powiedział Elend, chwycił pochodnię, narzucił płaszcz i zapiął go do kolan. Po czym odwrócił się w stronę ciemności.

- Milordzie? - spytał Demoux.

- Zrób to! - rozkazał Elend i ruszył w mrok.

Demoux zawołał paru żołnierzy i pośpiesznie ruszył za nim.

Co ja wyprawiam? - pomyślał Elend, przepychając się przez sięgający do pasa popiół i wykorzystując płaszcz, by osłonić mundur. Gonię sny? Może oszalałem.

Widział coś w umyśle. Wzgórze z jamą w boku. Może wspomnienie? Czy już tu kiedyś był? Demoux i żołnierze szli za nim w milczeniu, wydawali się strwożeni.

Elend nie przerywał marszu. Był już prawie...

Zatrzymał się. Oto i zbocze. Nie różniłoby się od innych, gdyby nie prowadzące w górę ślady. Elend zmarszczył czoło, przebił się przez głęboki popiół i dotarł do miejsca, gdzie ślady zniknęły. Tam znalazł otwór w ziemi prowadzący w dół.

Jaskinia, pomyślał. Może... kryjówka dla moich ludzi.

Pewnie byłaby na to za mała. Mimo to, jaskinie, które wykorzystał Kelsier, swobodnie pomieściły dziesięć tysięcy ludzi. Zaciekawiony Elend zajrzał do otworu i zszedł po stromym zboczu, zrzucając

płaszcz. Demoux i jego żołnierze podążyli z zainteresowaniem za nim.

Tunel przez jakiś czas prowadził w dół i Elend z zaskoczeniem stwierdził, że na końcu widzi światło. Natychmiast rozjarzył cynę z ołowiem i się napiął. Odrzucił na bok pochodnię i spalił cynę, wzmacniając wzrok. Widział kilka słupów, których czubki świeciły na niebiesko.

Wydawały się zrobione z kamienia.

Co takiego...?

Szybko ruszył naprzód, gestem wzywając Demoux i jego ludzi, by podążyli za nim.

Tunel prowadził do wielkiej jaskini. Elend się zatrzymał. Była równie wielka, jak jaskinie z zapasami. Może nawet większa. Na dole coś się poruszało.

Mgielne upiory? - uświadomił sobie z zaskoczeniem. Czy to tu się kryją? W jamach w ziemi?

Rzucił monetę i przeleciał przez słabo oświetloną jaskinię. Wylądował po jej drugiej stronie, w pewnej odległości od Demoux i pozostałych. Mgielne upiory nie były tak duże jak te, które kiedyś widział. I... dlaczego miały kamienie i drewno zamiast kości?

Usłyszał dźwięk, jedynie dzięki cynie. Zwrócił na niego uwagę, gdyż nie brzmiał jak coś, co mógł wydać z siebie mgielny upiór. Machnął na Demoux i ostrożnie wszedł w boczny korytarz.

Zatrzymał się zaskoczony u wejścia. Znajoma postać opierała się o wielkie metalowe wrota i sapała z wysiłku, najwyraźniej próbując powstrzymać je przed otwarciem.

- Sazed?! - spytał Elend, prostując się.

Sazed podniósł wzrok i zobaczył Elenda. Był tak zaskoczony, że puścił drzwi. Te otworzyły się, odrzucając Terrisanina na bok i ukazując grupę wściekłych kandra o przezroczyście ciele.

- Wasza Wysokość! - powiedział Sazed. - Nie pozwólcie im uciec!

Demoux i jego ludzie dotarli do Elenda. To albo Sazed, albo kandra, który pochłoniął jego kości, pomyślał Elend. Błyskawicznie podjął decyzję. Ufał głosowi. Zaufał, że to Sazed.

Grupa kandra próbowała minąć żołnierzy Demoux. Nie byli jednak szczególnie dobrymi wojownikami, a broń mieli z metalu. Powstrzymanie ich zajęło Elendowi i Demoux około dwóch minut - połamali ich kości, by powstrzymać ich przed wyleczeniem się i ucieczką.

Później Elend podszedł do Sazed, który wstał i otrzepał szatę.

- Jak mnie znaleźliście, Wasza Wysokość?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Co to za miejsce, Sazedzie?

- Ojczyzna kandra, Wasza Wysokość. I miejsce ukrycia atium Ostatniego Imperatora.

Elend uniósł brew i podążył wzrokiem za palcem Sazed. Za drzwiami była sala, a na jej środku jama.

Cudownie, pomyślał Elend. Teraz je znaleźliśmy.

- Nie wydajecie się szczególnie podekscytowani, Wasza Wysokość - zauważył Sazed.

- Królowie, armie, Zrodzeni z Mgły, nawet sam Kelsier, całymi latami szukali tego skarbcza.

- To jest bezwartościowe - odparł Elend. - Moi poddani głodują, a metalem się nie pożywią. Ta jaskinia jednak... może się okazać przydatna. Jak sądzisz, Demoux?

- Jeśli są tu inne jaskinie podobne do tej pierwszej, milordzie, powinna się w nich zmieścić znaczna część ludzi.

- Są tu cztery wielkie sale - powiedział Sazed. - I cztery wejścia, o których wiem.

Elend odwrócił się do Demoux. Tamten już wydawał rozkazy swoim żołnierzom.

Musimy sprowadzić tu ludzi, zanim wzejdzie słońce, pomyślał Elend, przypominając sobie gorąco. A przynajmniej przed przybyciem kolosów.

A później... zobaczą. Na razie Elend miał tylko jeden cel.

Przetrwanie.

Złamanie było zawsze ciemną stroną Allomancji. Człowiek mógł mieć odziedziczone allomantyczne zdolności, lecz aby jego moc się objawiła, jego ciało musiało znieść skrajne cierpienie. Choć Elend wspominał, jak strasznie został pobity w naszych czasach odkrycie wrodzonej Allomancji było łatwiejsze niż kiedyś, gdyż dzięki samorodkom podarowanym szlachetnie urodzonym przez Ostatniego Imperatora moc Zachowania stała się częścią ludzkiego dziedzictwa.

Kiedy Zachowanie stworzył mgły, bał się, że Zniszczenie ucieknie ze swojego więzienia. W tamtych początkowych dniach, przed Wstąpieniem, mgły Łamały ludzi tak jak za naszych czasów - lecz to działanie mgieł było właściwie jedynym sposobem na przebudzenie Allomancji, gdyż genetyczne dziedzictwo było schowane zbyt głęboko, by wydobyło je zwyczajne pobicie. W tamtych czasach mgły tworzyły oczywiście jedynie Mglistych - Zrodzeni z Mgły powstałi, gdy Ostatni Imperator wykorzystał samorodki.

Ludzie źle zinterpretowali intencje mgieł, gdyż proces Łamania Allomantów sprawiał, że niektórzy - szczególnie bardzo młodzi i bardzo starzy - umierali. To nie było pragnieniem Zachowania, ale on oddał większość świadomości, by stworzyć więzienie Zniszczenia, a mgły musiały działać najlepiej jak potrafiły, bez świadomego kierowania.

Zniszczenie, subtelny jak zawsze, wiedział, że nie może powstrzymać mgieł. Mógł

jednak zrobić coś niespodziewanego i je pobudzić. I tak oto sprawił, że stały się silniejsze. To doprowadziło do śmierci roślin i sprowadziło na świat zagrożenie zwane Głębią.

81

Vin odwróciła się z uśmiechem w stronę Zniszczenia. Chmura kłębiącej się ciemności wydawała się wzburzona.

Czyli możesz wpłynąć na jednego pionka, warknął Zniszczenie, zwijając się i wznosząc w powietrzu. Vin podążyła za nim i uniosła się nad całym Środkowym Dominium.

Poniżej widziała, jak żołnierze Demoux wpadają do obozu, budzą ludzi i przygotowują ich do ucieczki. Część szła już po śladach w popiele w stronę bezpiecznych jaskiń.

Czuła słońce i wiedziała, że planeta była niebezpiecznie blisko niego. Niestety, nic nie mogła zrobić. Po pierwsze, Zniszczenie by ją powstrzymał, po drugie nie rozumiała jeszcze swojej mocy. Czuła się tak, jak musiał się czuć Ostatni Imperator - wszechmocny, lecz niezręczny. Gdyby spróbowała poruszyć świat, tylko pogorszyłaby sytuację.

Ale coś osiągnęła. Zniszczenie zmuszał kolosy do szaleńczego biegu, lecz od przybycia do Czułości wciąż dzieliło ich kilka godzin. Mnóstwo czasu, by ludzie ukryli się w jaskiniach.

Zniszczenie musiał zauważyć, w co się wpatruje, a może wyczuł jej zadowolenie.

Myślisz, że zwyciężyłaś? - spytał z wyraźnym rozbawieniem. Dlaczego, bo udało ci się powstrzymać paru kandra? Oni zawsze byli najslabszymi ze sług, jakie Ostatni Imperator dla mnie stworzył. Zazwyczaj ich ignorowałem. Tak czy inaczej, Vin, nie możesz naprawdę sądzić, że mnie pokonałaś.

Vin czekała, patrząc, jak ludzie uciekają do względnie bezpiecznych jaskiń. Gdy większość znalazła się już na miejscu - żołnierze podzielili ich na grupy i odsyłali do różnych wejść - jej dobry nastrój zaczął niknąć. Choć udało jej się dotrzeć do Elenda i choć wtedy wydawało się to wielkim zwycięstwem, widziała teraz, że to jedynie gra na zwłokę.

Czy policzyłaś kolosy w mojej armii, Vin? - spytał Zniszczenie. Wiesz, że stworzyłem ich z ludzi. Zebrałem setki tysięcy.

Vin skupiła się i policzyła błyskawicznie. Mówił prawdę.

Takie siły mogłem rzucić przeciwko wam w każdej chwili, dodał Zniszczenie.

Większość trzymała się Zewnętrznych Dominiów, ale sprowadzałem ich coraz bliżej, ściągałem w stronę Luthadel. Ile razy mam ci powtarzać, Vin? Nie możecie zwyciężyć. Nigdy nie mogliście. Po prostu się z wami bawiłem.

Vin cofnęła się, ignorując jego kłamstwa. Nie bawił się z nimi - próbował odkryć tajemnice pozostawione przez Zachowanie, które przechowywał Ostatni Imperator. Mimo to, siła wojska zgromadzonego przez Zniszczenie była imponująca. Kolosów było więcej niż ludzi wchodzących do

jaskiń. Z takimi siłami Zniszczenie mógłby zaatakować nawet dobrze ufortyfikowane pozycje. A jeśli Vin dobrze liczyła, Elend miał mniej niż tysiąc ludzi z jakimkolwiek wojskowym przeszkoleniem.

Do tego wszystkiego jeszcze słońce i jego niszczycielskie gorąco, śmierć upraw, skażenie wody i pokrywające ziemię kilka stóp popiołów... Nawet wypływy lawy, które powstrzymała, znów się zaczynały, zatkanie popielnych gór okazało się jedynie tymczasowym rozwiązaniem. I do tego nie najlepszym. Teraz, gdy góry nie mogły wybuchać, w ziemi pojawiły się olbrzymie pęknięcia i magma, wrząca krew ziemi, wylewała się przez nie.

Jesteśmy tak daleko z tyłu! - pomyślała Vin. Zniszczenie miał stulecia, żeby to zaplanować. Nawet kiedy sądziliśmy, że jesteśmy sprytni, dawaliśmy się nabrać. Co mi pomoże ukrycie ludzi pod ziemią, jeśli umrą tam z głodu?

Odwróciła się z powrotem w stronę Zniszczenia, który siedział, klębiąc się i przetaczając nad swoją armią kolosów. Czuła nienawiść, która nie pasowała do jej mocy.

Przez tę nienawiść robiło jej się niedobrze, ale nie próbowała z nią walczyć.

To stworzenie przed nią... chciało zniszczyć wszystko, co znała, wszystko, co kochała.

Nie znało miłości. Tworzyło jedynie po to, by niszczyć. W tej chwili odwróciła swoją wcześniejszą decyzję. Nigdy więcej nie powie o Zniszczeniu „on”. Antropomorfizacja tego stwora była zbyt wielką oznaką szacunku.

Gotowała się i obserwowała, aż w końcu zdecydowała się na atak. Rzuciła się na Zniszczenie, stawiając swoją moc przeciwko jego mocy. Starli się, a wybuch energii udręczył

jej boskie ciało. Zniszczenie krzyknęło, a ona - łącząc się z nim - poznała jego umysł.

Zniszczenie było zaskoczone. Nie spodziewało się, że Zachowanie będzie zdolne do ataku. Posunięcie Vin zbyt przypominało próbę unicestwienia. Zniszczenie nie wiedziało, jak zareagować, ale odruchowo uniosło przeciwko niej swoją moc. Ich istoty zderzyły się, groziły rozpadem. W końcu Vin cofnęła się, pokiereszowana, odrzucona.

Ich moc była zbyt równa. Przeciwna, lecz podobna. Jak Allomancja.

Przeciwstawienie, wyszeptano Zniszczenie. Równowaga. Wkrótce ją znieawidzisz, jak przypuszczam, choć Zachowanie nie był do tego zdolny.

* * *

- Czyli to jest ciało boga? - spytał Elend, bawiąc się bryłką atium. Uniósł ją obok tej, którą podarował mu Yomen.

- W rzeczy samej, Wasza Wysokość - odparł Sazed.

Terrisanin wydawał się przejęty. Czy nie rozumiał, jak niebezpieczna była ich sytuacja? Zwiadowcy

Demoux - ci, którzy powrócili - raportowali, że kolosy znajdują się w odległości kilku minut drogi. Elend rozkazał wystawić swoje oddziały przy wejściach do Ojczyzny, lecz jego nadzieja - że kolosy nie będą umiały odnaleźć jego poddanych - była niewielka, biorąc pod uwagę to, co Sazed opowiedział mu o Zniszczeniu.

- Zniszczenie nie ma innej możliwości, jak tylko po nie przyjść - wyjaśnił Sazed. Stali w wyłożonej metalem jaskini zwanej Labiryntem Zaufania, w której kandra przez ostatnie lata gromadzili atium i strzegli go. - To atium jest częścią jego istoty. Jego właśnie poszukiwał

przez ten cały czas.

- Co oznacza, że mamy parę setek tysięcy kolosów, które pragną rzucić się nam do gardeł, Sazedzie - stwierdził Elend, oddając mu bryłkę atium. - Myślę, że powinniśmy mu je oddać.

Sazed zbladł.

- Oddać mu je? Wasza Wysokość, z całym szacunkiem, ale to by oznaczało koniec świata. Natychmiastowy, tego jestem pewien.

Cudownie, pomyślał Elend.

- Wszystko będzie dobrze, Elendzie - odezwał się nagle Sazed.

Venture wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w Terrisanina.

- Vin nadejdzie - wyjaśnił Sazed. - Jest Bohaterem Wieków i przybędzie, by uratować swój lud. Czy nie widzisz, jak to wszystko doskonale się układa? Wszystko jest zaplanowane, ustalone. Że ty tu przybędziesz i znajdziesz mnie, w tej dokładnie chwili... Że uda ci się zaprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce w jaskiniach... Wszystko do siebie pasuje. Ona przybędzie.

Cóż za ciekawy moment na odzyskanie wiary, pomyślał Elend. Przetaczał bryłkę Yomena między palcami i myślał. Na zewnątrz słyszał szept. Ludzie - terrisańscy lokaje, przywódcy skaa, nawet kilku żołnierzy - stali i nasłuchiwali. Elend słyszał niepokój w ich głosach. Wiedzieli o zbliżającej się armii. Na oczach Elenda Demoux ostrożnie przepchnął się między nimi i wszedł do sali.

- Żołnierze na stanowiskach, milordzie.

- Ilu mamy? - spytał Elend.

- Dwustu osiemdziesięciu, których przyprowadziłem ze sobą. Plus około pięciu setek z miasta. I setka zwykłych obywateli, których uzbroiliśmy w młoty kandra albo naszą zapasową broń. I musimy strzec czterech różnych wejść do kompleksu jaskiń.

Elend przymknął oczy.

- Ona przybędzie - powiedział Sazed.

- Milordzie - odezwał się Demoux, odciągając Elenda na bok. - Jest źle.

- Wiem - zgodził się Elend, wypuszczając powietrze z płuc. - Czy dałeś ludziom metale?

- Te, które udało nam się znaleźć - odparł cicho Demoux. - Uciekinierzy z Luthadel nie myśleli o zabieraniu ze sobą sproszkowanych metali. Znaleźliśmy paru szlachetnie urodzonych, którzy byli Allomantami, ale tylko Chmury Miedzi i Szperaczy.

Elend pokiwał głową. Już wcześniej przekupił lub przemocą wcielił do swojej armii wszystkich szlachetnie urodzonych Allomantów.

- Daliśmy te metale moim żołnierzom - mówił dalej generał. - Ale żaden ich nie spalił.

Nawet gdybyśmy mieli Allomantów, nie utrzymamy tej pozycji, milordzie! Nie z tak małą liczbą żołnierzy, nie przeciwko tak wielu kolossom. Z początku ich spowolnimy dzięki wąskim wejściom. Ale... cóż...

- Rozumiem to, Demoux - stwierdził z frustracją w głosie Elend. - Ale czy masz jakiś inny pomysł?

Demoux milczał przez chwilę.

- Miałem nadzieję, że wy jakieś macie, milordzie.

- Żadnych.

Demoux spochmurniał.

- Zatem umrzemy.

- A co z wiarą, Demoux? - spytał Elend.

- Wierzę w Ocalałego, milordzie. Ale... cóż, sytuacja wygląda paskudnie. Od kiedy zauważyliśmy te kolosy, czuję się jak człowiek, który czeka na swoją kolej na szafocie.

Może Ocalały nie chce, żebyśmy odnieśli tu zwycięstwo? Czasem ludzie po prostu muszą umrzeć.

Elend odwrócił się, sfrustrowany; na przemian zaciskał i rozluźniał pięść wokół bryłki atium. Zawsze miał ten sam problem - zawiódł podczas oblężenia Luthadel - jedynie Vin ochroniła miasto. Zawiódł w Fadrex - tam uratowało go coś, co nagle odwróciło uwagę kolosów.

Podstawowym obowiązkiem władcy było zapewnianie ochrony swoim poddanym. W

tym jednym aspekcie Elend ciągle czuł się bezsilny. Bezużyteczny.

Dlaczego nie mogę tego zrobić? - myślał sfrustrowany. Spędziłem rok na poszukiwaniach jaskini z zapasami, by zdobyć żywność, a kończę w pułapce z głodującymi ludźmi. Przez ten cały czas szukam atium - licząc, że kupię za nie bezpieczeństwo moich poddanych - a później znajduję je zbyt późno,

by je na cokolwiek wydać.

Zbyt późno...

Przerwał, spojrział znów w stronę metalowej płyty na podłodze.

Lata spędzone na poszukiwaniu... atium.

Żaden z metali, które Demoux dał swoim ludziom, nie zadziałał. Elend zakładał, że grupa Demoux będzie przypominać innych mgłą powalonych z Fadrex - że będzie się składać z różnorodnych Mglistych. Jednakże grupa Demoux była inna. Chorowali dużo dłużej niż pozostali.

Elend skoczył do przodu, minął Sazedę i chwycił garść bryłek. Ogromne bogactwo, inne niż wszystko, co posiadali ludzie. Cenne z powodu swej rzadkości. Cenne z powodu wartości ekonomicznej. Cenne z powodu Allomancji.

- Demoux - powiedział krótko, podniósł się i rzucił bryłkę generałowi. - Zjedz to.

Tamten zmarszczył czoło.

- Milordzie?

- Zjedz to - powtórzył Elend.

Demoux wypełnił rozkaz. Przez chwilę stał bez ruchu.

Dwustu osiemdziesięciu ludzi, pomyślał Elend. Odesłanych z mojej armii, ponieważ ze wszystkich, którzy zachorowali, oni chorowali najdłużej. Szesnaście dni.

Dwustu osiemdziesięciu ludzi. Jedna szesnasta tych, którzy zachorowali. Jeden z szesnastu allomantycznych metali.

Yomen udowodnił, że istnieje coś takiego, jak Mglisty spalający atium. Gdyby Elend nie był tak zdekoncentrowany, już wcześniej zauważyłby związek. Jeśli jeden na szesnastu, którzy chorowali, wracał do zdrowia najwolniej, czy to by nie sugerowało, że zyskiwał

najpotężniejszą z szesnastu zdolności?

Demoux uniósł głowę i otworzył szeroko oczy.

A Elend się uśmiechnął.

* * *

Vin unosiła się nad jaskinią, patrząc z przerażeniem, jak zbliżają się kolosy. Już przepelniała je żądza krwi - taką władzę musiało mieć nad nimi Zniszczenie. Były ich całe tysiące. Zaraz miała się zacząć rzeź.

Krzyknęła, kiedy się przybliżyły, i znów rzuciła się na Zniszczenie, próbując wykorzystać swoją moc, żeby je unicestwić. Poczwała, że krzyczy i drży, gdy myślała o nieuchronnie zbliżającej się śmierci. To było jak śmierć ofiar tsunami na wybrzeżu, tylko gorsze.

Tych ludzi znała. Kochała ich.

Znów odwróciła się w stronę wejścia. Nie chciała patrzeć, ale nic innego nie mogła zrobić. Jej jaźń była wszędzie. Nawet gdyby cofnęła swój punkt skupienia, wiedziała, że i tak poczułaby śmierci - że kazałyby jej drzeć i łkać.

Z głębi jaskini dochodził znajomy głos, odbijający się echem.

- Dzisiaj, żołnierze, proszę was o wasze życie.

Vin opuściła się, nasłuchując, choć nie mogła zajrzeć do jaskini z powodu złożonych metalii w skałach. Słyszała jednak. Wiedziała, że gdyby miała oczy, płakałaby.

- Proszę was o wasze życie - mówił Elend, a jego głos odbijał się echem - i waszą odwagę. Proszę was o wiarę i o honor, o siłę i współczucie. Dziś bowiem prowadzę was na śmierć. Nie proszę, byście przyjęli ją z radością. Nie obrażę was, nazywając ją dobrą, sprawiedliwą czy nawet wspaniałą. Ale powiem wam jedno. Każda chwila waszej walki to dar dla tych w jaskini. Każda sekunda naszej walki to o sekundę dłuższy oddech tamtych tysięcy ludzi. Każde uderzenie miecza, każdy powalony koloss, każdy zdobyty oddech to zwycięstwo! To człowiek chroniony chwilę dłużej, przedłużone życie, powstrzymany wróg!

Przez chwilę panowała cisza.

- W końcu nas zabiją - powiedział Elend głosem jak dzwon. - Ale wprawdzie zaczną się nas bać!

Wtedy żołnierze zaczęli krzyczeć, a umysł Vin wychwycił około dwustu pięćdziesięciu różnych głosów. Słyszała, jak się rozdzielają i śpieszą do wyjść z jaskini.

Chwilę później ktoś pojawił się w głównym wejściu tuż przed nią.

Postać odziana w biel wyszła powoli na popiół, jej wspaniałe białe płaszczy unosił się na wietrze. W dłoni trzymała miecz.

Elendzie! - próbowała krzyknąć. Nie! Wracaj! Natarcie na nich to szaleństwo! Zabiją cię!

Elend stał wyprostowany, patrząc na zbliżające się fale kolosów, udeptujące czarny popiół, niekończące się może śmierci o niebieskiej skórze i czerwonych oczach. Wiele miało miecze, ale niektóre tylko kamienie i kawałki drewna. Na ich tle Elend był niczym mała biała plamka, pojedyncza kropka na nieskończonym niebieskim płótnie.

Uniósł wysoko miecz i rzucił się do ataku. ELENDDZIE!

Nagle Elenda wypełniła jaskrawa energia, tak jasna, że Vin aż sapnęła. Zaatakował

pierwszego kolossa, uchylił się przed opadającym mieczem i jednym ciosem pozbawił

przeciwnika głowy. Później nie odskoczył, lecz obrócił się i zamachnął. Padł kolejny koloss.

Trzy miecze unosiły się wokół niego, ale chybiły o włos. Elend uskoczył w bok, trafił jednego stwora w brzuch, po czym zamachnął się - cudem unikając kolejnego ciosu - i obciął ramię następnego stwora.

Wciąż się nie Odepchnął. Vin znieruchomiła i patrzyła, jak powala jednego kolossa, a później jednym płynnym ciosem obcina głowę kolejnemu. Elend poruszał się ze zwinnością, jakiej nigdy w nim nie widziała - to ona zawsze była lepszym wojownikiem, lecz w tej chwili ją zawstydzał. Przemykał między ostrzami kolosów, jakby brał udział w przeciwiczonej wcześniej walce na scenie, a przed jego błyszczącym ostrzem padały trupy.

Grupa żołnierzy w barwach Elenda wypadła z wejścia do jaskini i rzuciła się do ataku.

Niczym fala światła, ich sylwetki wypełniła moc. Oni również weszli między szeregi kolosów, atakując z nieprawdopodobną precyzją. Ani jeden z nich nie padł na oczach Vin.

Walczyli z niewiarygodną sprawnością, a każde ostrze kolossa opadało chwilę za późno.

Wokół świetlistych żołnierzy zaczynały się wznosić sterty niebieskich trupów.

Jakimś sposobem Elend znalazł całą armię, która spalała atium.

* * *

Elend był bogiem.

Nigdy wcześniej nie spalał atium, a jego pierwsze doświadczenie z tym metalem oszołomiło go. Wszystkie kolosy wokół niego otaczały cienie atium - obrazy, które poruszały się przed nimi, ukazujące Elendowi, co za chwilę zrobią. Widział przyszłość, nawet jeśli zaledwie kilka sekund naprzód. Na polu bitwy to mu wystarczało.

Czuł, jak atium wspomaga jego umysł, pozwalając mu odczytać i wykorzystać nowe informacje. Nie musiał się zatrzymywać i zastanawiać. Jego ramiona poruszały się z własnej woli, z niesamowitą precyzją zadając ciosy.

Obrócił się w chmurze widmowych obrazów, uderzając w ciała i czując się niemal tak, jakby znów był we mgle. Żadne kolosy nie mogły stawić mu czoła. Czuł się pełen energii -

czuł się wspaniale. Był niepokonany.

Połknął tyle bryłek atium, że aż zrobiło mu się niedobrze. Atium zawsze było czymś, co ludzie oszczędzali i gromadzili. Tak bardzo szkoda je było spalać, że ludzie wykorzystywali je oszczędnie, jedynie w chwilach największej potrzeby.

Elend nie musiał się tym przejmować. Spalał ile tylko chciał. A to sprawiło, że dla kolosów był chodzącą zagładą - wirem ciosów i niemożliwych uników, zawsze o kilka kroków przed przeciwnikami. Kolejni wrogowie padali przed nim. A kiedy zaczęło mu brakować atium, Odepchnął się od leżącego na ziemi miecza w stronę wejścia. Tam już czekał na niego Sazed z kolejnym workiem atium i mnóstwem wody do popicia.

Elend szybko przełknął bryłki i wrócił na pole bitwy.

* * *

Zniszczenie wściekało się i kłębiło, próbując powstrzymać rzeź. Jednakże tym razem to Vin była siłą równowagi. Powstrzymywała Zniszczenie, nie pozwalając mu zabić Elenda i pozostałych.

Nie wiem, czy jesteś głupcem, pomyślała Vin, czy po prostu twoje istnienie tak cię ogranicza, że jesteś niezdolny do rozważenia pewnych rzeczy.

Zniszczenie wrzasnęło i uderzyło w Vin, próbując zniszczyć ją w taki sposób, jak ona próbowała je zniszczyć. Ponownie ich siły były wyrównane. Zniszczenie musiało się wycofać.

Życie, powiedziała Vin. Powiedziałeś, że zostało stworzone jedynie po to, byś mógł je potem zniszczyć.

Unosiła się obok Elenda, patrząc, jak walczy, śmierć kolosów powinna ją boleć, ale nie myślała wcale o śmierci. Być może to był wpływ mocy Zachowania, ale widziała jedynie mężczyznę, walczącego, stawiającego opór, nawet kiedy wydawało się, że nadzieja nie istnieje. Nie widziała śmierci, lecz życie. Widziała wiarę.

Tworzymy rzeczy, by patrzeć, jak rosną, Zniszczenie, powiedziała. By czerpać przyjemność z patrzenia, jak to, co kochamy, staje się czymś więcej niż wcześniej.

Powiedziałeś, że jesteś niepokonane - że wszystko się rozpada. Że wszystko zostaje Zniszczone. Ale są rzeczy, które stawiają ci opór - a ironia losu polega na tym, że ty nie potrafisz ich pojąć. Miłość. Życie. Rozwój.

Życie człowieka to coś więcej niż tylko chaos jego odejścia. Uczucia, Zniszczenie. To twoja porażka.

* * *

Sazed wyglądał niepewnie przez otwór jaskini. Wokół niego kuliła się grupka ludzi.

Garv, przywódca Kościoła Ocalałego z Luthadel. Harathdal, pierwszy spośród terrisańskich lokai. Lord Dedri Vasting, jeden z ocalałych członków Zgromadzenia i członek władz Luthadel. Aslydin, młoda kobieta, w której najwyraźniej zakochał się Demoux w trakcie krótkiego pobytu w Czeluściach. Garstka innych, na tyle ważnych - lub pełnych wiary - by przejść przez tłum i patrzeć.

- Gdzie ona jest, mistrzu Terrisaninie? - spytał Garv.

- Nadejdzie - obiecał Sazed, opierając rękę na skalnej ścianie.

Zapanowała cisza. Żołnierze - ci bez błogosławieństwa atium - czekali nerwowo, świadomi, że są następni w szeregu, gdyby atak Elenda się nie powiodł.

Ona musi przybyć, pomyślał Sazed. Wszystko na to wskazuje.

- Bohater nadejdzie - powtórzył.

* * *

Elend obciął dwie głowy na raz. Zamachnął się mieczem, obciął rękę i przebił szyję kolejnego kolossa. Nie widział go, ale jego umysł zobaczył i zinterpretował cień atium, zanim doszło do realnego ataku.

Stał na szczycie sterty niebieskich trupów. Nie potknął się. Z atium każdy jego krok był dokładny, miecz wycelowany, umysł jasny. Powalił szczególnie dużego kolossa i cofnął

się na chwilę.

Słońce powoli wznosiło się nad horyzont na wschodzie. Zaczynało się robić gorąco.

Walczyli przez wiele godzin, jednak armia kolosów wciąż wydawała się nieskończona. Elend powalił kolejnego kolossa, ale poruszał się coraz wolniej. Atium wspomagało umysł, lecz nie dodawało sił ciału. Musiał sięgnąć do cyny z ołowiem, by dalej walczyć. Któż mógłby sądzić, że można być zmęczonym - a nawet wyczerpanym - spalając atium? Nikt nie zużył go w tak wielkiej ilości jak Elend.

Musiał walczyć dalej. Atium mu się kończyło. Odwrócił się w stronę wejścia do jaskini i wtedy zobaczył, jak jeden z jego żołnierzy pada w fontannie krwi.

Elend zaklął i zawirował, gdy przebił go cień atium. Uchylił się przed kolejnym ciosem i obciął rękę stwora. Następemu odciął głowę, a kolejnemu nogi. Przez większość czasu nie stosował wymyślnych allomantycznych skoków i wypadów, tylko prostą szermierkę. Niestety, zaczynał czuć zmęczenie w rękach i był zmuszony Odpychać kolosy od siebie, by poradzić sobie na polu walki. Rezerwa atium - życia - kurczyła się. Atium spalało się bardzo szybko.

Kolejny krzyk. Kolejny żołnierz zginął.

Elend zaczął się cofać w stronę jaskini. Kolosów było tak wiele. Jego grupka, dwustu osiemdziesięciu żołnierzy, zabiła ich tysiące, ale kolosy się tym nie przejmowały. Wciąż atakowały, brutalną i niekończącą się falą, a opór stawiały im jedynie garstki Mglistych atium chroniących wejścia do Ojczyzny.

Zginął następny żołnierz. Kończyło im się atium.

Elend krzyknął, zamachnął się mieczem i powalił trzy kolosy ciosem, który nie miał

prawa się udać. Rozjarzył stal i Odepchnął pozostałe stwory od siebie.

Ciało boga, płonące we mnie, pomyślał. Zacisnął zęby, atakując, gdy kolejni żołnierze ginęli. Wspiął się po stercie kolosów, odrąbując ramiona, nogi, głowy. Przebijając piersi, szyje, brzuchy. Walczył dalej, samotnie, jego biały strój już od dawna był czerwony.

Coś poruszyło się za nim. Obrócił się na pięcie, unosząc ostrze, pozwalając, by atium go prowadziło. Zamarł jednak w niepewności. Istota stojąca za nim nie była kolossem. Stała w czarnej szacie, z jednym oczodołem pustym i zakrwawionym, a drugim zmiażdżonym przez kolec. Elend mógł spojrzeć na wylot przez pusty oczodół.

Marsh. Jego też otaczała chmura atium - spalał metal i był odporny na atium Elenda.

* * *

Człowiek prowadził swoje kolosy przez tunele. Zabijały wszystkich, którzy stali im na drodze.

Ktoś stał w wejściu. Walczyli długo. Byli silni. Teraz byli martwi.

Coś popędzało Człowieka. Coś silniejszego niż wszystko, co wcześniej nad nim panowało. Silniejszego niż mała kobieta z czarnymi włosami, choć ona była silna. To coś było silniejsze. To było Zniszczenie. Człowiek wiedział.

Nie mógł się opierać. Mógł tylko zabijać. Powalił kolejnego człowieka. Człowiek wpadł do wielkiej sali pełnej innych małych ludzików.

Zniszczenie, który nad nim panował, kazał mu się odwrócić i nie zabijać. Nie dlatego, że Zniszczenie nie chciało, żeby ich zabił. Po prostu teraz czegoś chciało bardziej.

Człowiek rzucił się naprzód. Przeczołgał się nad powalonymi skałami i kamieniami.

Odrzucił na bok krzyczących ludzi. Inne kolosy podążyły za nim. W tej chwili zapomniał o wszystkich swoich pragnieniach. Miał tylko przemożne pragnienie, żeby się dostać do...

Mała sala. Tam. Przed nim. Człowiek otworzył drzwi. Zniszczenie zawył z rozkoszy, kiedy wszedł do tej sali. Tam znajdowało się to, czego pragnął Zniszczenie.

* * *

- Zgadnij, co znalazłem - warknął Marsh, podchodząc bliżej i Odpychając miecz Elenda. Broń wyrwała się z jego palców. - Atium. Niósł go kandra, chciał go sprzedać. Głupi stwór.

Elend zaklął, uniknął ciosu kolossa i wyjął obsydianowy sztylet z pochwy za cholewką.

Marsh podszedł bliżej. Żołnierze krzyczeli - przeklinali, padali - gdy ich atium się kończyło. Żołnierze Elenda przegrywali. Ich krzyki cichły, aż w końcu zginął ostatni ze strzegących wejścia. Wątpił, by pozostali to przeżyli.

Atium Elenda ostrzegało go przed atakami kolosów, pozwalając mu unikać ciosów - z trudem - ale nie mógł ich łatwo zabijać sztyletami. A gdy kolosy odwracały jego uwagę, Marsh zaatakował obsydianowym toporem. Ostrze opadło i Elend odskoczył, ale ten unik pozbawił go równowagi.

Próbował ją odzyskać, ale kończyły mu się metale - nie tylko atium, ale i metale podstawowe. Żelazo, stal, cyna z ołowiem. Nie zwracał na nie uwagi, ponieważ miał atium, ale walczył już tak długo. Jeśli Marsh miał atium, byli równi - a bez podstawowych metali Elend zginie.

Atak Inkwizytora zmusił Elenda do rozjarzenia cyny z ołowiem, żeby uciec. Bez trudu powalił trzy kolosy, atium wciąż mu pomagało, lecz Marsh przez swoją odporność był

sporym wyzwaniem. Inkwizytor wspinał się po trupach kolosów, zbliżając się do Elenda, a jego samotny kolec odbijał zbyt jasny blask słońca.

Elend spalił resztki cyny z ołowiem.

- Nie pokonasz mnie, Elendzie Venture - powiedział Marsh szorstkim jak żwir głosem.

- Zabiliśmy twoją żonę. Zabiję ciebie.

Vin. Elend w to nie uwierzył. Vin nadejdzie, pomyślał. Uratuje nas.

Wiara. Dziwne, że czuł ją w tej chwili. Marsh się zamachnął.

Elend nagle poczuł, jak w jego wnętrzu rozpalają się cyna z ołowiem i żelazo. Nie miał

czasu myśleć o tym dziwnym zjawisku i zareagował, Przyciągając miecz, który leżał wbity w ziemię w pewnej odległości. Broń przekoziółkowała w powietrzu, a on ją złapał i zbyt szybkim ruchem zamachnął się, parując cios topora. Ciało Elenda pulsowało, potężne i olbrzymie. Uderzył instynktownie, zmuszając Marsha do cofnięcia się przez pole popiołu.

Kolosy cofnęły się na chwilę, unikając Elenda, jakby były przerażone. Albo czuły respekt.

Marsh uniósł rękę, by Odepchnąć miecz Elenda, lecz nic się nie stało. Zupełnie... jakby ktoś sparował uderzenie. Venture krzyknął i natarł, odrzucając przeciwnika ciosami swojego srebrzystego ostrza. Inkwizytor wydawał się wstrząśnięty, unosząc obsydianowy topór do parowania, a jego ruchy były nienaturalnie szybkie. Mimo to, Venture zmusił go do cofania się po niebieskich trupach.

Elenda wypełnił niezmierny pokój. Jego Allomancja płonęła jasno, choć wiedział, że metale w jego wnętrzu powinny się już wypalić. Pozostało jedynie atium, a jego dziwna moc nie mogła zastąpić pozostałych metali. To jednak nie miało znaczenia. W tej chwili wypełniało go coś większego. Uniósł wzrok w stronę słońca.

I ujrzał - przez krótką chwilę - ogromną sylwetkę unoszącą się tuż nad nim.

Przemierzając się, idealnie białą postać. Opierała ręce na jego ramionach, miała głowę odrzuconą do tyłu, rozpuszczone białe włosy i mgłę wznoszącą się za plecami niczym skrzydła

zakrywające niebo.

Vin, pomyślał z uśmiechem.

Elend opuścił wzrok, gdy Marsh krzyknął i skoczył naprzód, atakując toporem.

Wydawało się, że ciągnie za sobą coś ogromnego i czarnego niczym płaszcz. Drugą ręką zasłonił twarz, jakby chciał osłonić martwe oczy przed obrazem tego, co wznosiło się nad Elendem.

Elend spalił resztkę atium, rozjarzając ją w żołądku. Chwycił miecz obiema rękami i czekał, aż Marsh się zbliży. Inkwizytor był silniejszy i umiał lepiej walczyć. Miał moce Allomancji i Feruchemii, które czyniły z niego drugiego Ostatniego Imperatora. Tej bitwy Elend nie mógł wygrać. Nie mieczem.

Marsh dotarł do niego, a wtedy Elend zrozumiał, jak musiał czuć się Kelsier, gdy przed wielu laty na tamtym placu stał naprzeciwko Ostatniego Imperatora. Marsh uderzył

toporem. W odpowiedzi Elend uniósł miecz i przygotował się do zadania ciosu.

Wtedy Venture razem z atium spalił duraluminium.

Wzrok, Dźwięk, Siła, Moc, Chwała, Prędkość!

Niebieskie linie wystrzeliły z jego piersi jak promienie światła. Wszystkie je przytłoczyło jedno. Atium i duraluminium. W jednym przebłysku Elend zdobył

przytłaczające bogactwo informacji. Wszystko zbladło, gdy wiedza przepełniała jego umysł.

- Teraz rozumiem - wyszeptał, gdy wizja odpłynęła, a wraz z nią resztki jego metalu.

Powróciło pole bitwy. Stał na nim, jego miecz przebijał szyję Marsha. Ostrze utknęło między kolcami wystającymi z pleców Inkwizytora, między jego łopatkami.

Topór Marsha wbił się w pierś Elenda.

Widmowe metale, które Vin dała Elendowi, znów ożyły. Stłumiły ból. Ale nawet cyna z ołowiem miała swoje ograniczenia, niezależnie od tego, jak mocno płonęła. Marsh wyrwał

topór, a Elend zatoczył się do tyłu, krwawiąc. Wypuścił miecz. Inkwizytor wyciągnął ostrze z szyi, a wtedy rana zniknęła, uleczona mocami Feruchemii.

Elend padł na stertę trupów kolosów. Już by nie żył, gdyby nie cyna z ołowiem.

Marsh podszedł do niego z uśmiechem. Jego pusty oczodół otaczały tatuaże, znak, który Inkwizytor przyjął na siebie. Cena, którą zapłacił za obalenie Ostatniego Imperium.

Inkwizytor chwycił Elenda za gardło i podniósł go.

- Twoi żołnierze zginęli, Elendzie Venture - wyszeptał stwór. - Nasze kolosy plądrują jaskinie kandra. Twoje metale się skończyły. Przegrałeś.

Elend czuł, jak opuszcza go życie, niczym ostatnie krople z pustej szklanki. Już był w takiej sytuacji, w jaskini przy Studni Wstąpienia. Wtedy powinien był zginąć i bał się. Teraz, co dziwne, nie czuł strachu. Nie czuł żalu. Jedynie satysfakcję.

Spojrzał na Inkwizytora. Vin, niczym świetliste widmo, wciąż unosiła się nad nimi oboma.

- Przegrałem? - powtórzył szeptem. - Zwyciężyliśmy, Marsh.

- O, naprawdę? - spytał lekceważąco Marsh.

* * *

Człowiek stał obok jamy pośrodku sali w jaskini. Jamy, gdzie znajdowało się ciało Zniszczenia. Miejsca zwycięstwa.

Człowiek stał oszołomiony. Podeszła do niego grupa równie zdezorientowanych kolosów.

Jama była pusta.

* * *

- Atium - wyszeptał Elend, czując na wargach smak krwi. - Gdzie jest atium, Marsh?

Jak myślisz, skąd wzięliśmy siłę do walki? Przyszedłeś po atium? Cóż, nie ma go. Możesz powiedzieć to swojemu panu! Myślisz, że ja i moi żołnierze spodziewaliśmy się zabić te wszystkie kolosy? Są ich dziesiątki tysięcy! Nie o to chodziło.

Elend uśmiechnął się szerzej.

- Ciało Zniszczenia już nie ma, Marsh. Spaliliśmy je, ja i pozostali. Możesz mnie zabić, ale nigdy nie dostaniesz tego, po co przyszedłeś. I dlatego zwyciężyliśmy.

Marsh krzyknął ze złością, domagając się prawdy, ale Elend ją mówił. Śmierć pozostałych oznaczała, że skończyło im się atium. Jego ludzie walczyli, aż go zabrakło, jak rozkazał im Elend, spalając je do ostatniej bryłki.

Ciało boga. Moc boga. Elend miał ją w sobie przez chwilę. Co ważniejsze, zniszczył

ją. Miał nadzieję, że to zapewni bezpieczeństwo jego poddanym.

Teraz wszystko zależy od ciebie, Vin, pomyślał, wciąż czując w duchu spokój jej dotyku. Zrobiłem, co mogłem.

Znów uśmiechnął się do Marsha, wyzywająco, gdy Inkwizytor uniósł topór.

Topór odrąbał głowę Elenda.

Zniszczenie szalało i rzucało się, rozwścieczone i niszczycielskie. Vin siedziała cicho, patrząc, jak bezgłowe ciało Elenda opada na stertę niebieskich trupów.

I jak ci się to podoba?! - wrzasnęło Zniszczenie. Zabiłem go! Zniszczyłem wszystko, co kochałaś! Odebrałem ci je!

Vin unosiła się nad ciałem Elenda, spoglądając na nie z góry. Sięgnęła bezcielesnymi palcami, dotykając jego głowy, przypominając sobie, jak się czuła, gdy wykorzystywała swoją moc, by napęlić go Allomancją. Nie wiedziała, co właściwie zrobiła. Może coś podobnego do sposobu, w jaki Zniszczenie panowało nad kolossami? Tylko w odwrotny sposób. Wyzwalający. Pogodny.

Elend nie żył. Wiedziała to, i wiedziała też, że nie może nic zrobić. Owszem, czuła ból, ale nie tak wielki, jak się spodziewała. Pożegnałam go dawno temu, pomyślała, gładząc jego twarz. Przy Studni Wstąpienia. Allomancja mi go przywróciła na jakiś czas.

Nie czuła bólu ani grozy, jak wcześniej, gdy wydawało jej się, że umarł. Tym razem odczuwała jedynie spokój. Te ostatnie kilka lat było błogosławieństwem - przedłużeniem.

Uwolniła Elenda, by stał się panem samego siebie, podejmował ryzyko i być może umarł.

Wiedziała, że zawsze będzie go kochać. Ale nie miała zamiaru przestać działać dlatego, że on odszedł.

A może wręcz przeciwnie. Zniszczenie unosiło się bezpośrednio nad nią, obrzucając ją obelgami i opowiadając, jak zabije pozostałych. Sazedę. Breeze'a. Hama. Spooka.

Tak niewielu pozostało z pierwotnej ekipy, pomyślała. Kelsier zginął dawno temu.

Dockson i Clubs zabici podczas Bitwy o Luthadel. Yeden ze swoimi żołnierzami. OreSeur zamordowany na rozkaz Zane'a. Marsh, który stał się Inkwizytorem. I inni, którzy się do nas przyłączyli, a teraz nie żyją. Tindwyl, TenSoon, Elend...

Czy Zniszczenie sądziło, że pozwoli, by ich poświęcenie poszło na marne? Podniosła się, zbierając moc. Rzuciła ją przeciwko mocy Zniszczenia, jak kilka razy wcześniej. Tym razem jednak wszystko wyglądało inaczej. Gdy Zniszczenie zaczęło stawiać opór, nie wycofała się. Nie chroniła się. Nacierала dalej.

Konfrontacja sprawiła, że jej boskie ciało zadrżało z bólu. Był to ból zetknięcia zimna i gorąca, ból dwóch kamieni, które starły się i zostały zmiażdżone w proch. Ich postacie falowały w nawałnicy mocy.

A Vin nacierała dalej.

Zachowanie nigdy nie mogło cię unicestwić! - pomyślała, niemal wrzeszcząc z bólu.

On mógł jedynie chronić. I dlatego musiał stworzyć ludzkość. Przez cały czas to była część jego planu, Zniszczenie!

Nie oddał części siebie, osłabiając się, jedynie w celu stworzenia inteligentnych form życia! Wiedział, że potrzebuje czegoś, co będzie miało w sobie odrobinę Zachowania i odrobinę Zniszczenia. Coś, co mogłoby jednocześnie chronić i unicestwiać. Coś, co mogłoby unicestwić, by ochronić.

Oddał swoją moc Studni i mgle, oddając ją nam, byśmy mogli ją przyjąć. Zawsze zakładał, że do tego dojdzie. Sądysz, że to był twój plan? Był jego. Od samego początku.

Zniszczenie krzyknęło. Ona jednak nacierała dalej.

Stworzyłeś istotę, która może cię zabić, Zniszczenie, powiedziała Vin. I właśnie popełniłeś ostatni ogromny błąd. Nie powinieneś zabijać Elenda.

Widzisz, on był jedynym sensem mojego życia.

Nie cofnęła się, choć zderzenie przeciwieństw rozrywało ją na strzępy. Zniszczenie wrzasnęło przerażone, kiedy jej moc całkowicie stopiła się z jego mocą.

Jej świadomość - teraz przepelniona Zachowaniem - zbliżyła się do Zniszczenia.

Żadne się nie poddawało. W nagłym przypiływie mocy Vin pożegnała się ze światem i pociągnęła Zniszczenie w otchłań.

Ich umysły rozplynęły się, jak mgła w gorących promieniach słońca.

Po śmierci Vin koniec nastąpił szybko. Nie byliśmy na niego gotowi - ale nawet całe planowanie Ostatniego Imperatora nie mogło nas na to przygotować. Jak można się przygotować na koniec świata?

82

Sazed spoglądał w milczeniu przez otwór wejściowy jaskini. Na zewnątrz kolossy kręciły się i szalały, wydawały się przy tym dezorientowane. Większość żołnierzy, którzy stali z Sazedem, uciekła. Spora część wycofała się do jaskini, nazywając go głupcem, kiedy zdecydował się zostać. Jedynie generał Demoux, któremu udało się odczołgać do jaskini, gdy wyczerpało mu się atium, został w tunelu w odległości kilku stóp. Mężczyzna był zalany krwią, stracił rękę, teraz związaną opaską uciskową, i miał zmiażdżoną nogę. Kaszlał cicho, czekając, aż Aslydin wróci z kolejnymi bandażami.

Wschodziło słońce. Nieprawdopodobnie gorąco przypominało wnętrze pieca. Z głębi jaskini dobiegały krzyki. Kolossy dostały się do środka.

- Ona nadejdzie - wyszeptał Sazed.

Widział ciało Elenda. Zsunęło się po stercie trupów kolosów. Wyraźnie rzucało się w oczy, białe i czerwone na tle niebieskiego i czerni kolosów i popiołu.

- Vin nadejdzie - powtórzył z naciskiem.

Demoux wydawał się oszołomiony. Stracił zbyt wiele krwi. Położył się na ziemi i zamknął oczy. Kolosy ruszyły w stronę wejścia do jaskini, choć nie wykazywały wcześniejszego zdecydowania ani żądzy krwi.

- Bohater nadejdzie! - powiedział Sazed.

Na zewnątrz coś cię wyłoniło, jakby z mgieł, po czym opadło na stertę trupów obok ciała Elenda. Za tym czymś podążyło coś innego, druga postać, która również padła nieruchomo.

Tam! - pomyślał Sazed, wydostając się z jaskini. Minął kilka kolosów. Próbowwały go zaatakować, ale on miał na sobie metalmyśli. Wcześniej uznał, że powinien założyć miedziomyśli, gdyby się okazało, że musi zapisać coś ważnego. Nosił dziesięć pierścieni, te same, które wykorzystał do walki podczas oblężenia Luthadel, wiedział bowiem, że mogą mu się przydać.

Sięgnął do stali i uchylił się przed ciosami kolosów. Szybko przechodził między masą zdezorientowanych stworów, wspinając się po ciałach i kierując w stronę białego płaszcza, który sygnalizował miejsce spoczynku Elenda. Leżał tam jego pozbawiony głowy trup.

Obok spoczywało drobne ciało. Sazed opadł na kolana i chwycił Vin za ramiona.

Obok niej, na szczycie sterty kolosów leżał inny trup, rudowłosego mężczyzny, którego Sazed nie rozpoznawał. Zignorował go.

Vin się nie ruszała.

Nie! - pomyślał, sprawdzając puls. Nie wyczuł go. Miała zamknięte oczy. Wyglądała na pełną spokoju, ale całkiem martwą.

- To niemożliwe! - ryknął, znów potrząsając jej ciałem.

Kilka kolosów powlokło się w jego stronę.

Podniósł wzrok. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Upał sprawiał, że z trudem oddychał. Czuł, jak jego skóra płonie. Nim słońce znajdzie się w zenicie, zrobi się tak gorąco, że ziemia zacznie się palić.

- Czy to ma się tak skończyć?! - wykrzyknął, patrząc w niebo. - Twój Bohater nie żyje! Moc Zniszczenia została być może unicestwiona, kolosy być może przestały być jego armią, ale świat i tak zginie!

Popiół zabił roślinność. Słońce wypali wszystko, co pozostało. Nie było żywności.

Sazed zapłakał, ale łzy natychmiast wysychały na jego twarzy.

- Tak nas zostawiasz? - wyszeptał.

I wtedy coś poczuł. Spojrzał w dół. Ciało Vin zaczynało dymić. Nie z powodu gorąca.

Wydawało się, że coś z niego wycieka... nie. Z czymś się łączyło. Pasma mgiełki, które widział, prowadziły do olbrzymiego białego światła. Z trudem na nie patrzył.

Wyciągnął rękę i dotknął mgły, a wtedy poczuł oszałamiającą moc. Moc stabilizacji. Z

boku drugi trup - ten, którego nie rozpoznał - również coś wydzielał. Gęsty czarny dym.

Sazed wyciągnął drugą rękę, dotykając dymu, i poczuł inną moc, bardziej gwałtowną. Moc zmiany.

Ukląkł, oszołomiony, między ciałami. I dopiero wtedy wszystko zaczęło nabierać sensu.

Proroctwa zawsze używały zaimka neutralnego płciowo, pomyślał. Jak zakładaliśmy, by mogły się odnosić do mężczyzny lub kobiety. A może... dlatego że opisywały Bohatera, który tak naprawdę nie jest ani jednym, ani drugim?

Wstał. Żar słońca nad głową wydawał się pozbawiony znaczenia w porównaniu z bliźniaczymi - choć przeciwstawnymi - mocami, które go otaczały.

Bohater zostanie odrzucony przez swój lud, pomyślał Sazed. A jednak ich ocali. Nie wojownik, choć będzie walczył. Nie urodził się królem, lecz i tak nim został.

Znów podniósł wzrok.

Czy to właśnie miałeś przez cały czas zaplanowane?

Posmakował mocy, ale się cofnął, zniechęcony. Jak mógł wykorzystać coś takiego?

Był tylko człowiekiem. Dotknięcie mocy pokazało mu, że nie potrafiłby ich wykorzystać.

Brakowało mu wiedzy.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział splekanymi wargami, unosząc głowę do nieba. -

Nic wiem jak. Nie mogę uczynić tego świata takim, jakim był kiedyś... nigdy go nie widziałem. Jeśli wezmę tę moc, zachowam się tak, jak Ostatni Imperator, i moje wysiłki tylko pogorszą sytuację. Jestem zwykłym człowiekiem.

Kolossy krzyczały z bólu, spalone słońcem. Upał był straszliwy i wokół Sazedego drzewa zaczynały pękać i stawać w płomieniach. Dotyk bliźniaczych mocy utrzymywał go przy życiu; wiedział o tym,

ale nie chciał ich przyjąć.

- Nie jestem Bohaterem - wyszeptał, wciąż patrząc w niebo.

Coś zamigotało złociście na jego rękach. Miedziomyśli, założone na przedramionach, odbijały słoneczny blask. Były z nim od tak dawna, jego towarzyszki. Jego wiedza.

Wiedza...

Słowa proroctwa są bardzo precyzyjne, pomyślał. Mówią... mówią, że Bohater będzie nosić przyszłość świata na ramionach.

Nie na barkach. Nie w rękach. Na ramionach.

Na Zapomnianych Bogów!

Włożył ręce w bliźniacze mgły i przyjął ich moc. Wciągnął je w siebie, czując, jak napęniają jego ciało i go spalają. Jego ciało i kości wyparowały, lecz on wcześniej sięgnął do miedziomyśli i zrzucił całą ich zawartość do rozwijającej się świadomości.

Miedziomyśli, teraz puste, upadły razem z pierścieniami na stertę niebieskich trupów, obok ciał Vin, Elenda i bezimiennego ciała Zniszczenia. Sazed otworzył oczy wielkie jak sam świat, wchłaniając moc, która przenikała całe stworzenie.

Bohater będzie miał moc, by uratować świat. Ale będzie też miał moc, by go zniszczyć.

Nigdy tego nie rozumieliśmy. Nie nosił w sobie jedynie mocy Zachowania.

Potrzebował również mocy Zniszczenia.

Moce były przeciwieństwami. Gdy je wchłaniał, groziły, że zniszczą siebie nawzajem.

A jednak, ponieważ wiedział, w jaki sposób chce je wykorzystać, umiał je rozdzielić. Mogły się dotykać, nie unicestwiając się, jeśli tego zapragnął. Te dwie moce zostały wykorzystane w dziele stworzenia. Kiedy walczyły ze sobą, niszczyły. Gdy były wykorzystywane razem, tworzyły.

Przepęłniło go zrozumienie. Przez ponad tysiąc lat Opiekunowie zbierali wiedzę ludzkości i przechowywali ją w miedziomyślach. Przekazywali ją od Opiekuna do Opiekuna, każdy mężczyzna i każda kobieta nosili przy sobie wiedzę, by mogli ją przekazać w miarę konieczności. Sazed miał ją całą.

I w chwili transcendencji zrozumiał wszystko. Widział wzorce, wskazówki, tajemnice.

Ludzie wierzyli i oddawali cześć od początku istnienia, a w ich wierzeniach Sazed znalazł

potrzebne odpowiedzi. Klejnoty, ukryte przed Zniszczeniem we wszystkich religiach ludzkości.

Istniał lud zwany Bennett. Uważał on za swój święty obowiązek tworzenie map -

Sazed niegdyś przedstawiał ich wiarę samemu Kelsierowi. Dzięki ich szczegółowym mapom i tablicom Sazed odkrył, jak kiedyś wyglądał świat. Wykorzystał moce, by przywrócić na swoje miejsce kontynenty i oceany, wyspy i wybrzeża, góry i rzeki.

Istniał lud zwany Nelazan. Oddawał cześć gwiazdom, nazywał je Tysiącem Oczu ich boga, Trella, które go obserwowały. Sazed pamiętał dobrze, jak zaproponował tę religię młodej Vin, gdy siedziała zafrapowana podczas pierwszego strzyżenia w ekipie. Dzięki Nelazanom Opiekunowie zdobyli mapy gwiazd i starannie je zapisali - choć uczeni uważali je za bezużyteczne, gdyż od czasów Wstąpienia nie przedstawiały rzeczywistości. Jednakże dzięki tym mapom gwiazdnym, jak również przedstawionym na nich wzorom poruszeń innych planet w układzie słonecznym, Sazed mógł precyzyjnie ustalić, w którym miejscu na orbicie powinien krążyć świat. Umieścił planetę z powrotem na starym miejscu - nie pchnął

zbyt mocno, jak to kiedyś zrobił Ostatni Imperator, miał bowiem punkt odniesienia.

Istniał lud zwany Canzi, który wielbił śmierć - zostawił szczegółowe notatki na temat ludzkiego ciała. Sazed wypowiedział jedną z jego modlitw nad ciałami, które znaleźli w kryjówce dawnej ekipy Vin, kiedy jeszcze żył Kelsier. Dzięki naukom Canzi o ciele Sazed ustalił, jak bardzo zmieniała się ludzka fizjologia - albo zgodnie z zamierzeniami Ostatniego Imperatora, albo dzięki ewolucji - by dostosować się do oddychania popiołem i zjadania brązowych roślin. Swoją mocą Sazed przywrócił ludzkie ciała do wcześniejszej postaci, pozostawiając każdego takim, jakim był wcześniej, ale naprawiając wszystkie problemy wywołane przez tysiąc lat życia na umierającej planecie. Sazed nie niszczył ludzi, wypaczając ich i wykrzywając, jak zrobił to Ostatni Imperator, kiedy stworzył kandra, gdyż miał

odpowiednie wskazówki.

Dowiedział się też innych rzeczy. Poznał dziesiątki tajemnic. Jedna z religii oddawała cześć zwierzętom i dzięki niej Sazed uzyskał obrazy, objaśnienia i źródła pokazujące, jakie istoty powinny żyć na świecie. Odtworzył je. Z innej - Dadradah, rozmawiał o niej z Clubsem tuż przed jego śmiercią - Sazed poznał barwy i ich odcienie. To była ostatnia religia, której nauczał, a stworzone przez jej wyznawców poematy na temat kolorów i natury pozwoliły mu przywrócić wszystkie rośliny, niebo i krajobraz do właściwej postaci. Każda religia ukrywała w sobie wskazówki, gdyż wierzenia ludzkości zawierały nadzieje, sympatie, marzenia i żywoty ludzi, którzy je wyznawali.

W końcu Sazed wziął religię Larsta, w którą wierzyła Mare, żona Kelsiera. Jej kapłani w czasie medytacji pisali wiersze. Dzięki tym wierszom - oraz kawałkowi papieru, który Mare dała Kelsierowi, który oddał go Vin, która oddała go Sazedowi - poznał piękne rzeczy, istniejące niegdyś na świecie.

I odtworzył kwiaty na roślinach, które w swoim czasie zdołały.

Religie w mojej teczce wcale nie były bezużyteczne, pomyślał, gdy moc przepływała przez niego i przeobrażała świat. Żadna z nich nie była. Nie były w całości prawdziwe.

Ale wszystkie zawierały prawdę.

Sazed unosił się nad światem, zmieniając to, co uważał za konieczne. Osłonił kryjówki ludzkości, zapewniając bezpieczeństwo jaskiniom - nawet kiedy je przenosił - gdy zmieniał

tektonikę świata. W końcu odetchnął lekko, skończywszy pracę. A jednak moc go nie opuściła, czego się spodziewał.

Rashek i Vin dotknęli jej małych odłamków przy Studni Wstąpienia, uświadomił sobie. Ja mam coś więcej. Coś nieskończonego.

Zniszczenie i Zachowanie zginęły, a ich moce zostały połączone. W rzeczy samej, pasowały do siebie. Jak zostały rozdzielone? Może pewnego dnia pozna odpowiedź na to pytanie.

Ktoś musiał strzec świata, troszczyć się o niego, gdy jego bogowie odeszli. Dopiero w tej chwili Sazed zrozumiał określenie Bohater Wieków. Nie Bohater, który pojawiał się raz na wiele wieków.

Bohater, który przetrwa wieki. Bohater, który ochroni ludzkość przez jej całe istnienie. Nie Zachowanie i nie Zniszczenie, lecz oba naraz.

Bóg.

Vin była wyjątkowa.

Zachowanie wybrał ją w bardzo młodym wieku, jak już wspominałem. Sądzę, że przygotowywał ją do przejęcia jego mocy. Jednakże w tamtym czasie umysł Zachowania był

bardzo słaby, ograniczony do fragmentu, który my nazywaliśmy duchem mgły.

Co sprawiło, że wybrał tę dziewczynę? Czy dlatego, że była Zrodzoną z Mgły? Czy dlatego, że Złamała się tak wcześnie, zdobyła pełnię mocy znosząc ból nadzwyczajnie trudnych narodzin?

Vin od samego początku była niezwykle utalentowana allomantycznie i silna. Wierzę, że musiała wchłonąć trochę mgieł, kiedy wciąż była dzieckiem, w tych krótkich chwilach, gdy nie nosiła kolczyka. Zachowaniu udało się nakłonić ją, by przestała go nosić, nim Kelsier ją zwerbował, choć założyła go na chwilę przed dołączeniem do ekipy. Później zostawiła kolczyk w uchu, zgodnie z sugestią Kelsiera.

Nikt inny nie mógł czerpać z mgieł. Ustaliłem to. Dlaczego były dostępne dla Vin i dla nikogo innego? Podejrzewam, że nie mogła wchłonąć ich wszystkich, dopóki nie dotknęła mocy Studni Wstąpienia. Przypuszczam, że Studnia zawsze pełniła swego rodzaju funkcję dostrajającą. Raz dotknięta, dostosowywała ona ciało człowieka do przyjęcia mgieł.

Vin jednak wykorzystwała okrucieństwo mocy Zachowania, kiedy pokonała Ostatniego Imperatora, choć pulsowanie mocy powracającej do Studni zaczęła słyszeć dopiero rok później.

W tym kryje się jeszcze więcej tajemnic. Może uda mi się je poznać, kiedy mój umysł

rozwinie się i przyzwyczai do nowej natury. Może wtedy ustalę, dlaczego udało mi się przyjąć moce. Na razie chciałbym tylko wyrazić wdzięczność kobiecie, która miała tę moc tuż przede mną.

Ze wszystkich, którzy dotknęli tej mocy, wydaje mi się, że ona była jej najbardziej godna.

EPILOG

Spook obudził się z koszmaru i usiadł. Jaskinia wokół niego była ciemna, rozświetlały ją jedynie świece i lampy.

Wstał i się przeciągnął. Wszędzie wokół niego ludzie wzdychali. Mijał ich, szukając przyjaciół. Jaskinia była zatłoczona - znajdowali się w niej wszyscy mieszkańcy Urteau, którzy zdecydowali się ukryć. Dlatego Spook miał problemy z przecięnięciem się między powłóczącymi nogami, kaszlącymi i gadającymi ludźmi. Na jego widok szepty stawały się coraz głośniejsze, a zgromadzeni wstawali i podążali za nim.

Podbiegła do niego Beldre, ubrana w białą sukienkę.

- Spook? - spytała. - Co... co się stało?

Uśmiechnął się tylko i objął ją. Razem ruszyli w stronę wejścia do jaskini. Breeze siedział tam przy stole - oczywiście, on miał meble, gdy reszta siedziała na kamiennej podłodze. Spook uśmiechnął się do niego, a Uspokajacz uniósł brew.

- Dobrze wyglądasz, chłopcze - powiedział Breeze, pociągając łyk wina.

- Można tak powiedzieć - zgodził się Spook.

- Tylko tyle powiesz? - Beldre zwróciła się do Breeze'a. - Popatrz tylko na niego!

Został uleczony!

Breeze wzruszył ramionami, odstawił wino i wstał.

- Moja droga, w porównaniu z tymi wszystkimi dziwnymi rzeczami, które ostatnio się działy, wygląd Spooka się nie liczy. Proste uzdrowienie? Cóż, moim zdaniem to raczej przyjemne.

Uspokajacz uśmiechnął się, gdy napotkał spojrzenie Spooka.

- To jak? - spytał Spook.

Breeze wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Jak myślisz, co tam znajdziemy?

- Nie jestem pewien - przyznał Spook, wychodząc do przedsionka. Zaczął się wspinać po jaskini.

- Spook - odezwała się niepewnie Beldre. - Wiesz, co mówili zwiadowcy. Całe miasto płonęło z powodu gorącego słońca.

Chłopak podniósł wzrok, zauważając światło przesączające się przez pęknięcia kłapy.

Uśmiechnął się i ją otworzył.

Na zewnątrz nie było miasta. Jedyne trawa. Zielona trawa. Spook zamrugał, po czym wypełził na miękką ziemię, robiąc miejsce dla Breeze'a. Uspokajacz wystawił głowę i ją przechylił.

- No, to jest widok - powiedział, wyczołgując się obok chłopaka.

Spook stanął na trawie. Sięgała mu do pół uda. Zielona. Cóż za dziwny kolor dla roślin.

- I... niebo - dodał Breeze, osłaniając oczy. - Niebieskie. Ani śladu dymu czy popiołu.

Bardzo dziwne. Zaiste, bardzo dziwne. Założę się, że Vin ma coś wspólnego z tym bałaganem. Ona nigdy nie umiała postępować właściwie.

Spook usłyszał sapanie z tyłu. Kiedy się odwrócił, ujrzał Beldre w otworze jaskini.

Pomógł jej wyjść i razem ruszyli przez wysoką trawę. Słońce świeciło jasno, ale nie było nieprzyjemnie gorące.

- Co się stało z miastem? - wyszeptła Beldre, trzymając Spooka za ramię.

Pokręcił głową. Po chwili coś usłyszał. Odwrócił się, gdyż wydawało mu się, że widzi poruszenie na horyzoncie. Ruszył naprzód z Beldre u boku. Breeze tymczasem zawołał

Allrienne, by wyszła i zobaczyła, co się stało.

- Czy to... ludzie? - spytała Beldre, w końcu zauważając to, co zobaczył wcześniej chłopak.

Tamci też ich zauważyli, a gdy się zbliżyli, Spook uśmiechnął się i pomachał do jednego z nich.

- Spook?! - zawołał Ham. - Czy to ty, dzieciaku?!

Spook i Beldre pośpieszyli naprzód. Ham stał z innymi, a za ich plecami Spook widział kolejną kłapę pośrodku trawiastej łąki. Ludzie, których nie rozpoznawał - niektórzy w mundurach armii Elenda - wychodzili na zewnątrz. Ham - jak zawsze ubrany w kamizelkę i spodnie - podbiegł bliżej i uściskał Spooka.

- Co ty tu robisz? - spytał w końcu, puszczając go.

- Nie wiem. Ostatnio byłem w Urteau.

Ham uniósł głowę i spojrział na niebo.

- Ja byłem w Fadrex! Co się stało?

Spook potrząsnął głową.

- Nie wiem, czy miejsca, które znaleźliśmy, mają teraz jakiegokolwiek znaczenie, Ham...

Tamten pokiwał głową i odwrócił się, gdy jeden z żołnierzy wskazał na coś. Kolejna grupa ludzi wyłaniała się z otworu w niewielkiej odległości od nich. Spook i Ham ruszyli w ich stronę spokojnym krokiem - przynajmniej do chwili, gdy generał rozpoznał kogoś w tamtej grupie. Spookowi wydawało się, że to żona Hama, która została w Luthadel. Zbir wykrzyknął coś radośnie i rzucił się naprzód, by powitać rodzinę.

Spook przechodził od otworu do otworu. Było ich sześć, niektóre pełne ludzi, inne nie do końca. Jeden się wyróżniał. Nie była to kłapa, jak pozostałe, lecz skośne wejście do jaskini. Tutaj znalazł generała Demoux rozmawiającego z niewielką grupą ludzi. Za rękę trzymał ładną Terrisankę.

- Przez większość czasu byłem nieprzytomny - mówił Demoux - ale widziałem go.

Ocalałego. To musiał być on, wisiał na niebie i świecił. Fale barw przenikały powietrze, ziemia drżała, wirowała i się poruszała. Przybył. Jak obiecywał Sazed.

- Sazed? - odezwał się Spook. Wtedy Demoux go zauważył. - Gdzie on jest?

Demoux potrząsnął głową.

- Nie wiem, lordzie Spooku. - Po chwili dodał: - A tak w ogóle, skąd się tu wzięliście?

Chłopak zignorował pytanie. Otwory i jamy tworzyły wzór. Spook przeszedł przez gęstą trawę, prowadząc Beldre, aż na sam środek wzorca. Żdźbła falowały na delikatnym wietrze. Ham i Breeze podbiegli do nich, już kłócąc się o jakiś drobiazg. Zbir trzymał na jednym ręku dziecko, drugim obejmował ramiona żony.

Spook zamarł, gdy pośrodku trawy zauważył barwną plamę. Uniósł rękę, ostrzegając pozostałych, a wtedy wszyscy ucichli. Tam, pośrodku trawy, znajdowało się pole... czegoś.

Wielobarwnego czegoś, wyrastającego z ziemi, z czubkami przypominającymi jaskrawo ubarwione liście. Miało kształt odwróconych dzwoneczków, z długimi, prostymi łodygami, a płatki na szczycie otwierały się do słońca. Jakby wznosiły się do światła i napawały się nim.

- Jakie to piękne... - wyszeptała Beldre.

Spook ruszył dalej, przechodząc między roślinami. Kwiaty, pomyślał, rozpoznając je z obrazka, który nosiła Vin. Marzenie Kelsiera w końcu się spełniło.

Pośrodku kwiatów znalazł dwoje ludzi. Vin leżała ubrana w swój zwyczajowy mgielny płaszcz,

koszulę i spodnie. Elend miał biały mundur i pelerynę. Leżąc wśród kwiatów, trzymali się za ręce.

I oboje byli martwi.

Spook ukląkł obok nich, słysząc, jak Ham i Breeze krzyczą. Sprawdzili ciała, szukając oznak życia, ale chłopak zwrócił uwagę na coś innego, ukrytego w trawie. Podniósł to -

wielki, oprawny w skórę tom.

Otworzył go i przeczytał pierwszą stronę.

Niestety, jestem Bohaterem Wieków, napisano delikatnym, starannym pismem.

Spookowi wydawało się, że je rozpoznaje. Kiedy przerzucił strony, ze środka wysunęła się pojedyncza luźna kartka. Spook podniósł ją - na jednej stronie znajdował się spłowiały rysunek przedstawiający kwiat - ten sam, o którym myślał chwilę wcześniej. Na drugiej znalazł krótką wiadomość napisaną tym samym pismem, co książka.

Spook, próbowałem sprowadzić ich z powrotem, ale najwyraźniej naprawienie ciał nie przywraca duszy. Spodziewam się, że w miarę upływu czasu będę w tym coraz lepszy. Ale mogę powiedzieć, że rozmawiałem z naszymi przyjaciółmi i są oni całkiem szczęśliwi tam, gdzie trafili. Wydaje mi się, że potrzebują odpoczynku.

W książce znajduje się krótki zapis wydarzeń, które doprowadziły do śmierci i odrodzenia świata, jak również moje rozważania na temat historii, filozofii i nauki związanej z ostatnimi wydarzeniami. Jeśli spojrzysz w prawo, znajdziesz na trawie większą stertę książek. Znajduje się w nich cała wiedza -

zapisana dosłownie - zawarta w moich metalmyślach. Wiedza z przeszłości nie powinna zostać zapomniana.

Sądzę, że odbudowa będzie trudna - ale najpewniej o wiele łatwiejsza niż życie pod rządami Ostatniego Imperatora lub w czasie, gdy Zniszczenie próbował zniszczyć świat. Chyba zaskoczy Cię liczba ludzi, którzy schronili się w jaskiniach z zapasami. Rashek wszystko bardzo starannie zaplanował.

Bardzo wiele wycierpiał od Zniszczenia, ale był dobrym człowiekiem i miał

szlachetne zamiary.

Dobrze sobie poradziłeś. Wiedz, że wiadomość, którą przesłałeś przez kapitana Goradela, w końcu uratowała nas wszystkich. W najbliższych latach ludzie będą potrzebować przywódcy. Prawdopodobnie zwrócą się do Ciebie.

Przepraszam, że nie będę mógł Ci pomóc osobiście, ale wiedz, że jestem... w okolicy.

Uczyniłem Cię Zrodzonym z Mgły i uleczyłem szkody wywołane nadmiernym rozjarzaniem cyny

Mam nadzieję, że Ci to nie przeszkadza.

Zrobiłem to na prośbę Kelsiera. Możesz uznać to za jego pożegnalny dar.

Zatroszcz się o nich w moim imieniu.

PS Istnieją jeszcze dwa metale, o których nikt nie wie. Możesz się rozejrzeć i zobaczyć, czy uda Ci się je odnaleźć. Myślę, że Cię zainteresują.

Spook podniósł wzrok, wpatrując się w dziwnie puste, błękitne niebo. Beldre uklękła obok niego, spoglądając na kartkę papieru. Popatrzyła na niego pytająco.

- Wydajesz się zatroskany - powiedziała.

Spook potrząsnął głową.

- Nie - powiedział, składając niewielką kartkę i wsuwając ją do kieszeni. - Nie, wcale nie jestem zatroskany. Właściwie myślę, że wszystko będzie dobrze. W końcu.

SKRÓCONY WYKRES WŁAŚCIWOŚCI METALI

Metal

Efekt allomantyczny

Efekt feruchemiczny

Efekt hemalurgiczny

Żelazo

Przyciąga najbliższe metale

Magazynuje ciężar

Kradnie ludzką siłę

Odpycha najbliższe metale

Magazynuje prędkość

Kradnie allomantyczne moce

fizyczne

Cyna

Wyostrza zmysły

Magazynuje zmysły

Kradnie ludzkie zmysły

Cyna z ołowiem Zwiększa możliwości fizyczne

Magazynuje siłę

Kradnie feruchemiczne moce

fizyczne

Mosiądz

Uspokaja uczucia

Magazynuje ciepło

Kradnie feruchemiczne atrybuty

mentalne

Cynk

Rozpala uczucia

Magazynuje bystrość

Kradnie ludzką siłę uczuć

umysłu

Miedź

Ukrywa Allomancję

Magazynuje wspomnienia Kradnie ludzką siłę umysłu

Brąz

Ujawnia Allomancję

Magazynuje przytomność Kradnie allomantyczne moce

umysłu

Aluminium

Niszczy wszystkie rezerwy

Nieznany

Kradnie allomantyczne moce

allomantyczne

wzmocnienia

Duraluminium Wzmacnia spalany metal

Nieznany

Nieznany

Atium

Patrzenie w przyszłość innych

Magazynuje wiek

Kradnie allomantyczne moce

związane z czasem

Malatium

Patrzenie w przeszłość innych

Nieznany

Nieznany

Złoto

Patrzenie w swoją przeszłość

Magazynuje zdrowie

Nieznany

Elektrum

Patrzenie w swoją przyszłość

Nieznany

SŁOWNICZEK

ALENDI - Człowiek, który podbił świat przed tysiącem lat, przed Wstąpieniem Ostatniego Imperatora. Vin znalazła jego pamiętnik w pałacu Ostatniego Imperatora i z początku myślała, że to on został Ostatnim Imperatorem. Później odkryto, że jego sługa, Rashek, zabił go i zajął jego miejsce. Alendi był przyjacielem i protegowanym Kwaana, terrisańskiego uczonego, który sądził, że Alendi może być Bohaterem Wieków.

ALLOMANCJA - Mistyczna, dziedziczna moc związana z paleniem metali wewnątrz ciała, by uzyskać szczególne zdolności.

ALLOMANTYCZNE METALE - Istnieje osiem podstawowych allomantycznych metali. Występują w parach, składających się z metalu i jego stopu. Mogą również zostać podzielone na dwie grupy czterech metali wewnętrznych (cyna, cyna z ołowiem, miedź, brąz) i metali zewnętrznych (żelazo, stal, cynk, mosiądz). Bardzo długo sądzono, że istnieją jeszcze tylko dwa metale allomantyczne - złoto i atium. Jednakże odkrycie stopów złota i atium zwiększyło liczbę metali do dwunastu. Następnie odkrycie aluminium i duraluminium zwiększyło ich liczbę do czternastu.

ALLOMANTYCZNY IMPULS - sygnał dawany przez Allomantę, który spala metale.

Jedynie ktoś, kto spala brąz, może „usłyszeć” impuls allomantyczny.

ALLRIANNE - Jedyna córka Lorda Ashweathera Cetta. Związana z Breeze'em.

ALUMINIUM - Metal, niegdyś znany jedynie Stalowym Inkwizytorom, który niszczy wszystkie zapasy pozostałych metali posiadane przez Allomantę.

ASHWEATHER - Imię Lorda Cetta.

ATIUM - Dziwny metal wydobywany niegdyś w Czeluściach Hathsin. Zbiera się wewnątrz niewielkich geod, które powstają w jaskiniach pod ziemią.

BELDRE - siostra Quelliona.

BŁOGOSŁAWIENSTWO KANDRA - Każdy kandra został obdarzony przez Ostatniego Imperatora jedną z czterech mocy. Są to Błogosławieństwo Siły, Błogosławieństwo Przystomności, Błogosławieństwo Świadomości i Błogosławieństwo Stałości.

BOHATER WIEKÓW - Mityczny wybawiciel przepowiadany przez Terrisan.

Przepowiadano, że przybędzie, przyjmie moc Studni Wstąpienia, a później ją odda, by uratować świat przed Głębią. Alendi był uważany za Bohatera Wieków, lecz został zabity przed zakończeniem misji. Vin podążyła jego śladem i zaszła dalej, biorąc moc, a później ją uwalniając. Okazało się jednak, że proroctwa zostały sfalszowane, były podstępem mającym na celu uwolnienie z uwięzienia siły zwanej Zniszczeniem (patrz również Zniszczenie).

BREEZE - Uspokajacz w grupie Kelsiera, obecnie jeden z najważniejszych doradców i dyplomatów Elenda. Reszta ekipy uważa, że jest w połowie skaa, jak wszyscy pozostali, lecz to arystokrata czystej krwi, zmuszony w młodości do ukrywania się w podziemiu. Związany z Allrienne.

CAMON - Dawny przywódca szajki Vin. Surowy człowiek, który często ją bił.

Wygnany przez Kelsiera, został w końcu zabity przez Inkwizytorów.

CETT - Lord Ashweather Cett zaatakował Środkowe Dominium podczas oblężenia Luthadel. Obawiał się, że Straff Venture zdobędzie miasto i jego atium, a w jego ojczyźnie trwały rebelie. Uciekł z Fadrex z armią i rozpoczął desperacką rozgrywkę o stolicę. Pod koniec oblężenia dołączył do sił Elenda, pomagając Vin w walce przeciwko Straffowi Venture. Zdobył zaufanie Elenda jako jeden z jego doradców. Choć jest zwany „królem”

Cettem, nie włada żadnymi ziemiami, gdyż trwa na nich rebelia (Patrz: Yomen).

CHANNEREL - Rzeka, która przepływa przez Luthadel.

CHMURA MIEDZI - Niewidzialne pole osłaniające utworzone przez kogoś spalającego miedź. Jeśli Allomanta spala metale wewnątrz chmury miedzi, jego impulsy allomantyczne są niewidoczne dla tych spalających brąz. Termin ten odnosi się czasem również do Dymiarza (Mglistego, który spala miedź).

CLADENT - Prawdziwe imię Clubsa.

CLUBS - Dymiarz w ekipie Kelsiera, wuj Spooka, niegdyś generał armii Elenda.

Zabity przez kolosy podczas oblężenia Luthadel.

CYNOOKI - Mglisty, który spala cynę.

CYNOZBROJNY - Inne określenie Zbira, Mglistego, który może spalać cynę z ołowiem.

CZELUŚCIE HATHSIN - Sieć jaskiń, niegdyś jedyne miejsce Ostatniego Imperium, w którym wydobywano atium. Zajmowali się tym więźniowie Ostatniego Imperatora. Kelsier wkrótce przed śmiercią sprawił, że wydobywanie w nich atium stało się niemożliwe. Obecnie kryjówka uciekinierów z Terris.

DAWCA ŚWIATÓW - Sekta uczonych terrisańskich Feruchemików z czasów przed Upadkiem. Późniejszy Zakon Opiekunów wywodził się z Dawców Światów.

DEMOUX, KAPITAN - Oficer w armii Elenda, znany ze swej wiary w Ocalałego.

DOCKSON - Prawa ręka Kelsiera, nieformalny przywódca jego ekipy po śmierci Kelsiera. Zginął podczas oblężenia Luthadel.

DOM MODLITWY SERAN - Twierdza Inkwizytorów, w której Sazed i Marsh odkryli ostatnie

słowa Kwaana.

DOMINIUM (OSTATNIE IMPERIUM) - Prowincja Ostatniego Imperium. Luthadel jest Środkowym Dominium. Cztery otaczające je dominia są zwane Dominiami Wewnętrznymi, w nich zamieszkuje większość populacji Ostatniego Imperium. Po Upadku, gdy rozpadło się Ostatnie Imperium, różni królowie próbowali przejąć władzę w dominiach, zmieniając je w zasadzie w samodzielne królestwa. Elend włada obecnie Środkowym Dominium oraz większą częścią Północnego Dominium i fragmentami Wschodniego i Południowego Dominium.

DOX - Pseudonim Docksona.

DURALUMINIUM - Allomantyczny stop aluminium, mieszanka aluminium, miedzi, manganu i magnezu. Kiedy Allomanta spala duraluminium, kolejny metal (kolejne metale), który spali, zyska wyjątkową moc, za cenę błyskawicznego spalenia wszystkich kawałków tego metalu w ciele Allomanty.

DYMIARZ (W ALLOMANCJI) - Allomanta, który spala miedź. Zwany również Chmurą Miedzi.

ELEND VENTURE - Cesarz Nowego Imperium, mąż Vin Venture, Zrodzony z Mgły i uczonec.

FADREX - Średniej wielkości, dobrze ufortyfikowane miasto w Zachodnim Dominium. Niegdyś stolica i rodzinne miasto Ashweathera Cetta. Główny spichlerz Kantonu Zasobów. Po odejściu Cetta przejęte przez obligatora znanego jako lord Yomen.

FATREN - Znany również jako Fats. Skaa rządzący miastem Vetitan.

FEDRE, LORD - Niesławny szlachetnie urodzony łotr, który żył w ósmym stuleciu rządów Ostatniego Imperatora. Słynął z miłości do kotów i kanałów.

FELT - Niegdyś jeden ze szpiegów Straffa, po upadku Luthadel został sam (jak większość ludzi Straffa). Przysiągł lojalność Elendowi i obecnie jest oficerem w jego armii.

GŁĘBIA - Mityczny potwór lub moc, która zagrażała krainie tuż przed pojawieniem się Ostatniego Imperatora i stworzeniem Ostatniego Imperium. Ostatni Imperator utrzymywał, że pokonał ją podczas Wstąpienia. Później okazało się jednak, że Głębia to mgły, a Ostatni Imperator ich nie pokonał, jedynie je powstrzymał. Głębia znów atakuje, mgły nie podnoszą się nawet w ciągu dnia, wywołując nieurodzaj.

GNEORNDIN - Jedyne dziecko Ashweathera Cetta.

GORADEL - Niegdyś żołnierz w Garnizonie Luthadel, strzegł pałacu, kiedy Vin zdecydowała się do niego dostać i zabić Ostatniego Imperatora. Vin przekonała go do zmiany stron, a on później przeprowadził Elenda przez pałac, by ją uratował. Obecnie oficer w armii Elenda.

GÓRY POPIELNE - Siedem wielkich wulkanów, które pojawiły się w Ostatnim Imperium podczas Wstąpienia. Wyrzucają z siebie głównie popiół, nie magmę.

HADDEK - Przywódca Pierwszego Pokolenia kandra.

HAM - Zbir z ekipy Kelsiera, teraz generał w armii Elenda. Znany z zamiłowania do zagadek filozoficznych i noszenia jedynie kamizelki, niezależnie od pogody.

HAMMOND - Prawdziwe imię Hama.

HATHSIN - Patrz: Czeluście Hathsin.

HOID - Tajemnica, która pozostała nierozwiązana.

IMPULS BRAZU - Inna nazwa Impulsu Allomantycznego.

INKWIZYTORZY, STALOWI - Dziwne istoty, kapłani służący Ostatniemu Imperatorowi. Ich głowy przebijają stalowe kolce (z oczu wystają ich końce), ale nadal żyją.

Byli fanatycznie oddani imperatorowi, a wykorzystywano ich głównie do odnajdowania i zabijania skaa posiadających allomantyczne moce. Mają zdolności Zrodzonych z Mgły i inne.

JANARLE, KRÓL - Niegdyś zastępca Straffa Venture, został zmuszony do złożenia przysięgi lojalności Elendowi Venture. Obecnie w imieniu Elenda włada Północnym Dominium.

JASTES LEKAL - Dziedzic rodu Lekal, jeden z byłych przyjaciół Elenda. Często wraz z Teldenem rozmawiali o polityce i filozofii. Jastes zebrał armię kolossów i ruszył na Luthadel podczas oblężenia przez Straffa i Cetta, później stracił panowanie nad nimi. Elend stracił Jastesa za śmierć i zniszczenia, jakie spowodował.

KANDRA - Rasa dziwnych istot, które mogą wchłonać ludzkiego trupa, a następnie odtworzyć jego ciało. Zachowują kości człowieka, pod którego się podszywają, gdyż same nie mają kości. Zawierają z ludźmi Kontrakty - opłacane atium - i są spokrewnione z mgielnymi upiorami. Kandra są nieśmiertelne. (Patrz również: Ojczyzna i Pokolenia).

KANPAAR - Najważniejszy z Drugiego Pokolenia kandra.

KANTON - Urząd w Stalowym Zakonie.

KELL - Przydomek Kelsiera.

KELSIER - Najsławniejszy przywódca złodziejskiej szajki w Ostatnim Imperium, wywołał bunt skaa i obalił Ostatniego Imperatora, lecz sam zginął. Był Zrodzonym z Mgły i nauczycielem Vin. Jego śmierć doprowadziła do powstania religii zwanej Kościołem Ocalałego.

KHLENNIUM - Starożytne królestwo, które istniało przed powstaniem Ostatniego Imperium. Ojczyzna Alendiego.

KOLOSSY - Rasa zwierzęcych wojowników stworzonych przez Ostatniego Imperatora podczas Wstąpienia, wykorzystana przez niego do podbicia świata.

KOTWICA (ALLOMANTYCZNA) - Termin określający kawałek metalu, który Allomanta Odpycha lub Przyciąga, kiedy spala żelazo lub stal.

KREDIK SHAW - Pałac Ostatniego Imperatora w Luthadel. W starym języku terissańskim oznacza „Wzgórze Tysiąca Iglic”.

KWAAN - Terrisański uczonec z czasów przed Upadkiem. Był Dawcą Światów i jako pierwszy błędnie uznał, że Alendi jest Bohaterem Wieków. Później zmienił zdanie i zdradził swojego przyjaciela, namawiając Rasheka na jego zabicie.

LABIRYNT ZAUFANIA - Najświętsze miejsce w Ojczyźnie kandra.

LADRIAN - Prawdziwe imię Breeze'a.

LAMY, ZRODZONE Z MGŁY - Grupa pisarska Brandona, która pomogła mu w pracy nad trzema tomami cyklu. Żują różne zioła, by zyskać dodatkowe moce. Na ich stronie, o ile ją znajdziecie, można kupić podkoszulki.

LEKAL, KRÓL - Daleki krewny Jastesa Lekala. Król Audil Lekal objął władzę w królestwie Jastesa wkrótce po oblężeniu Luthadel. Stopniowo utracił większość królestwa przez zbójców i kolosy.

LESTIBOURNES - Prawdziwe imię Spooka.

LUTHADEL - Stolica Ostatniego Imperium i największe miasto w krainie. Luthadel słynie z tkanin, kuźni i majestatycznych fortec rodów arystokratycznych. Zostało niemal całkowicie zniszczone podczas oblężenia przez szalejące kolosy, a teraz włada nim król Penrod, jeden z poddanych królów Elenda.

MAGAZYN W JASKINI - Ostatni Imperator pozostawił pięć tajnych składów zasobów, ukrytych pod pewnymi miastami. W każdym z nich znajduje się metalowa tablica ukazująca lokalizację kolejnej jaskini i rady Ostatniego Imperatora. Pierwsza jaskinia została odkryta pod samym Luthadel.

MALATIUM - Metal odkryty przez Kelsiera, często nazywany Jedenastym Metalem.

Stop atium i złota. Nikt nie wie, gdzie go znalazł i dlaczego sądził, że może zabić Ostatniego Imperatora. Dostarczył Vin wskazówki potrzebnej, by zabić władcę, gdyż pozwala Allomancie zobaczyć cień przeszłości innej osoby.

MARE - Żona Kelsiera i przyjaciółka Sazed, bardzo aktywna podczas buntów skaa, zanim zginęła w Czeluściach Hathsin.

MELAAN - Kandra z Siódmego Pokolenia. Została wyszkolona i „wychowana” przez TenSoona.

METALMYŚL - Kawałek metalu wykorzystywany przez Feruchemika jako swego rodzaju bateria. Napełnia go określonymi atrybutami, które później może wykorzystać.

Poszczególne metalmyśli są nazywane od metali - cynomyśl, stalomyśl, itd.

MGIELNA CHOROBA - Nazwa dziwnej choroby, która atakuje ludzi wchodzących we mgły. Choć większości nic się nie dzieje, spora liczba dostaje ataku drgawek i choruje.

Choroba trwa od kilku dni do ponad dwóch tygodni i może być śmiertelna. Wystarczy jednak tylko raz wyjść w mgły, by się „zaszczepić” i zyskać odporność na mgielną chorobę. Nikt nie wie, dlaczego się zaczęła, choć pierwsze doniesienia pochodzą z czasów tuż przed wzięciem przez Vin mocy Studni Wstąpienia.

MGIELNY PŁASZCZ - Strój noszony przez wielu Zrodzonych z Mgły jako symbol statusu. Szyje się go z wielu grubych pasków tkaniny, które na górze zszywa się razem, by swobodnie opadały z ramion.

MGIELNY UPIÓR - Nierozumny krewniak kandra. Mgielne upiory to bryły pozbawionego kości ciała, które nocami polują, pochłaniając znalezione ciała, i wykorzystują ich szkielety. Kandra powstają z mgielnych upiorów, które zwą „nienarodzonymi”.

MGLISTY - Allomanta, który może spalać tylko jeden metal. Pojawiają się o wiele częściej niż Zrodzeni z Mgły. (Uwaga: Allomanta może mieć jedną moc, albo wszystkie. Nie ma stadiów pośrednich z dwiema czy trzema). Ostatni Imperator i jego kapłani zawsze nauczali, że istnieje tylko osiem rodzajów Mglistych, korzystających z ośmiu podstawowych metali allomantycznych.

MGŁA - Dziwny, wszechobecny opar, który każdej nocy opada na Ostatnie Imperium.

Jest gęstszy niż zwykła mgła, kłębi się i wiruje, jakby był żywy. Tuż przed tym, jak Vin wzięła moc Studni Wstąpienia, mgły zmieniły się i zaczęły zabijać przypadkowych ludzi, którzy w nie wchodzili.

MGŁOBÓJCA - Żołnierz pozbawiony mocy allomantycznych lub feruchemicznych, wyszkolony do zabijania Allomantów.

MONETOSTRZELNY - Mglisty, który spala stal.

NIENARODZENI - Patrz: Mgielne upiory.

NOORDEN - Jeden z obligatorów, który zdecydował się pozostać w Luthadel i służyć Elendowi.

NOWE IMPERIUM - Nazwa, jaką Elend nadał swojemu królestwu, kiedy wziął

władzę od Cetta i Straffa po zakończeniu oblężenia Luthadel. Obecnie w jego granicach znajduje się Środkowe Dominium i Północne Dominium oraz części Wschodniego i Południowego Dominium.

OBŁĘŻENIE LUTHADEL - Termin określający trwający długie miesiące atak na Środkowe Dominium prowadzony przez Ashweathera Cetta, Straffa Venture i Jastesa Lekala.

Zakończyło się, gdy Jastes stracił panowanie nad swoimi kolosami, które zaatakowały miasto. Vin udało się je zatrzymać i zwrócić przeciwko Straffowi. W ostatniej chwili przyłączył się do niej Cett.

OBLIGATORZY - Kapłani Ostatniego Imperatora. Nie byli jedynie członkami religijnego bractwa, ale także urzędnikami i szpiegami. Umowy lub obietnicy, której świadkiem nie był obligator, nie uważano za prawnie lub moralnie wiążącą.

OBYWATEL - Tytuł Quelliona. (Patrz: Quellion).

OCALAŁY Z HATHSIN - Przydomek Kelsiera, wynikający z tego, że jako jedynemu udało mu się uciec z więzienia Czeluści Hathsin.

ODPYCHANIE (W ALLOMANCJI) - Wykorzystanie Allomancji do Odpychania czegoś - ludzkich uczuć mosiądzem lub metali stałą.

OJCZYŻNA, KANDRA - Kompleks jaskiń, które kandra wykorzystują jako swój tajemny dom. O jego istnieniu nie wie żaden człowiek poza Ostatnim Imperatorem (który nie żyje). Kandra, którzy dobrze wypełniają swoje Kontrakty, mogą przez jakiś czas odpoczywać w Ojczyźnie.

OPADY POPIOŁU - Termin opisujący deszcz popiołu, który często spada z nieba w Ostatnim Imperium ze względu na Góry Popielne.

OPIEKUN (TERRIS) - „Opiekun” jest często traktowany jako inne określenie Feruchemika. W rzeczywistości Opiekunowie są organizacją Feruchemików zajmującą się odkrywaniem i zapamiętywaniem wszelkiej wiedzy i religii, które istniały przed Wstąpieniem. Ostatni Imperator niemal ich zniszczył, zmuszając ich do pozostawania w ukryciu. Po Upadku zaczęli znów nauczać i przekazywać swoją wiedzę. Zostali jednak zaatakowani przez Inkwizytorów w czasie oblężenia Luthadel i wszystkich uważa się za martwych, za wyjątkiem Sazedą.

ORESEUR - Kendra zatrudniony przez Kelsiera. Niegdyś odgrywał rolę lorda Renoux, wuja Vin. Zabity przez TenSoona, który udawał go, żeby być blisko Vin.

OSTATNI IMPERATOR - Władca, który przez tysiąc lat rządził Ostatnim Imperium.

Niegdyś nazywał się Rashek i był terrisańskim sługą zatrudnionym przez Alendiego. Zabił Alendiego, udał się zamiast niego do Studni Wstąpienia, tam przyjął moc i Wstąpił. Został zabity przez Vin, lecz wcześniej ostrzegł ją, że popełnia straszliwy błąd.

OSTATNIE IMPERIUM - Imperium stworzone przez Ostatniego Imperatora. Nadał mu taką nazwę, gdyż będąc nieśmiertelnym, sądził, że będzie to ostatnie imperium w historii ludzkości, które nigdy nie upadnie ani się nie skończy.

PATRESEN, LADY - Szlachetnie urodzona z Fadrex, znana ze swoich umiejętności korekty.

PENROD, FERSON - Jeden z najważniejszych szlachetnie urodzonych, którzy zostali w Luthadel po Upadku. Walczył o tron i w końcu udało mu się go odebrać Elendowi, wykorzystując demokratyczne procedury. Później zaakceptował Elenda jako swojego cesarza i obecnie włada Luthadel.

PODŻEGACZ - Mglisty, który spala cynk.

PODŻEGANIE (W ALLOMANCJI) - Kiedy Allomanta spala cynk i Przyciąga uczucia człowieka, pobudzając je.

POKOLENIA, KANDRA - Kandra dzielą się na pokolenia, zależnie od tego, kiedy zostali stworzeni. Na Pierwsze Pokolenie składają się pierwotni kandra, którzy wciąż żyją. W

każdym kolejnym stuleciu Ostatni Imperator pozwalał na stworzenie kolejnej grupy kandra, którą nazywano Drugim Pokoleniem, Trzecim Pokoleniem i tak dalej.

PRZYCIĄGANIE (W ALLOMANCJI) - Wykorzystanie Allomancji do Przyciągania czegoś - ludzkich uczuć za pomocą cynku lub metali żelazem.

PRZYCIĄGANIE ŻELAZA - Przyciąganie metalu podczas allomantycznego spalania żelaza. To Przyciąganie wywiera nacisk na metalowy przedmiot, szarpiąc nim w stronę Allomanty. Jeśli ten metalowy przedmiot, zwany kotwicą, jest cięższy od samego Allomanty, będzie on Przyciągany w stronę źródła metalu.

QUELLION - Władca Urteau, uważa się za czystego wyznawcę Ocalałego i próbuje wypełniać rozkaz Kelsiera, by obalić wszystkich szlachetnie urodzonych. Jego siostrą jest Beldre.

RASHEK - Przed wstąpieniem był terrisańskim tragarzem, wynajętym przez Alendiego na czas podróży do Studni Wstąpienia. Rashek nigdy nie lubił Alendiego i w końcu go zabił. Sam przyjął moc i został Ostatnim Imperatorem.

REEN - Przyrodni brat Vin, który chronił ją i wyszkolił na złodziejkę. Reen był

brutalny i nie umiał wybaczać, ale uratował Vin przed ich szaloną matką, a później chronił ją w dzieciństwie. Został zabity przez Inkwizytorów, kiedy odmówił podania im miejsca pobytu Vin. Czasem Vin słyszy w głowie wspomnienia jego nauk i jest on uosobieniem bardziej brutalnej strony jej natury.

RENOUX, LORD - Szlachcic, którego Kelsier zabił, a później wynajął kandrę OreSeura, by go udawał. Przed Upadkiem Vin odgrywała rolę jego siostrzenicy, Valette Renoux.

ROZJARZYĆ - Uzyskać nieco dodatkowej mocy z metalu allomantycznego, kosztem krótszego spalania.

SATREN - Miasto na wschodzie, w którym znajduje się magazyn w jaskini.

SAZE - przydomek Sazed.

SAZED - Terrisański Opiekun, który dołączył do ekipy Kelsiera wbrew woli swojego ludu i pomógł w obaleniu Ostatniego Imperium. Związany z Tindwyl, a jej śmierć wywołała w nim długotrwałe przygnębienie. Obecnie służy jako główny ambasador imperium Elenda i został uznany za trzeciego w linii do tronu, gdyby Elend i Vin zginęli.

SHAN ELARIEL - Była narzeczona Elenda. Zrodzona z Mgły zabita przez Vin.

SIĘGNIĘCIE (FERUCHEMIA) - Czerpanie mocy z feruchemicznej metalmyśli.

Odpowiada „spalaniu” przez Allomantów.

SKAA - Chłoptwo Ostatniego Imperium. Niegdyś pochodzili z różnych ras i narodowości, lecz przez tysiąc lat istnienia imperium Ostatni Imperator pozbawił ich jakiejkolwiek tożsamości, tworząc jednorodną rasę niewolników. Elend wyzwolił ich, kiedy przejął władzę w Luthadel. Wielu z nich dołączyło do Kościoła Ocalałego.

SKRZYNIEC - Potoczne określenie imperialnej złotej monety. Nazwa pochodzi od widocznego na rewersie Kredik Shaw, pałacu Ostatniego Imperatora - „skrzyni”, w której mieszkał.

SLOWSWIFT - Przydomek pewnego szlachetnie urodzonego w Fadrex. Jest zadziwiająco podobny do pewnego bardzo znanego bazarza.

SPALENIE (W ALLOMANCJI) - W ten sposób Allomanci wykorzystują metale w żołądkach. Najpierw muszą połknąć metal, a później allomantycznie go metabolizować, by wykorzystać jego moc.

SPALONE KRAINY - Pustynie na granicach Ostatniego Imperium.

SPINKA - Potoczna nazwa imperialnego miedziaka w Ostatnim Imperium. Często wykorzystywana przez Zrodzonych z Mgły i Monetostrzelnych do skakania i atakowania.

SPOOK - Cynooki w ekipie Kelsiera. Najmłodszy ze wszystkich, podczas obalenia Ostatniego Imperatora miał piętnaście lat. Jest siostrzeńcem Clubsa i niegdyś porozumiewał

się głównie w ulicznym dialekcie. Z rozkazu innych członków ekipy uciekł z Luthadel przed jego upadkiem, ale czuł się bardzo winny z tego powodu. Obecnie służy jako zwiadowca i szpieg Elenda i przebywa w Urteau, gdzie zbiera informacje na temat buntowników.

STALOWY ZAKON - Klasa kapłańska Ostatniego Imperatora. Zalicza się do niej niewielka liczba Stalowych Inkwizytorów i większa kapłanów zwanych obligatorami. Stalowi Ministrowie byli nie tylko organizacją religijną, ale także służbą cywilną Ostatniego Imperium.

STRAFF VENTURE - Ojciec Elenda, niegdyś król Północnego Dominium. Został zabity przez Vin podczas oblężenia Luthadel.

STUDNIA WSTĄPIENIA - Historycznie miejsce, w którym znajdowała się wielka moc. Zgodnie z przepowiednią, do Studni Wstąpienia miał się udać Bohater Wieków, by zdobyć moc potrzebną do pokonania Głębi. Vin zlokalizowała ją pod Kredik Shaw w Luthadel (choć zawsze sądzono, że znajduje się w Górach Terris). Znajdowała się głęboko w jaskini wypełnionej zapasami i żywnością. (Patrz również: Magazyn w jaskini).

SYNOD (TERRIS) - Niegdyś elitarni przywódcy organizacji Opiekunów, zostali zaatakowani i porwani przez Inkwizytorów. Uważa się, że nie żyją.

SZARPACZ - Mglisty, który spala żelazo.

SZPERACZ (W ALLOMANCJI) - Mglisty, który spala brąz.

TATHINGDWEN - Niegdyś stolica Dominium Terris, została spalona przez Inkwizytorów podczas ataku na Opiekunów.

TELDEN - Jeden ze starych przyjaciół Elenda, z którym często rozmawiał o polityce i filozofii. Fircyk i dandys.

TENSOON - Niegdyś kandra Straffa Venture, został wypożyczony Zane'owi, by szpiegował Vin. TenSoon zabił OreSeura i zajął jego miejsce, udając towarzysza Vin. Polubił

ją, mimo naturalnej niechęci do wszystkich ludzi, i w końcu zdradził Zane'a - łamiąc Kontrakt

- by jej pomóc. W konsekwencji wrócił do Ojczyzny, by przyjąć karę z rąk swojego ludu.

Posiada Błogosławieństwo Przytomności, jak również Błogosławieństwo Siły, które ukradł

OreSeurowi.

TERRIS - Dominium na dalekiej północy Ostatniego Imperium. Jako jedyne zachowało swoją dawną nazwę, być może z sympatii, jaką Ostatni Imperator żywił dla swojej ojczystej krainy. (Choć później okazało się, że obecne Dominium Terris nie znajduje się w tym samym miejscu, gdzie dawne królestwo). Po ataku Inkwizytorów Terrisianie porzucili ojczyznę i uciekli do Środkowego Dominium, gdzie przyjął ich Elend. Obecnie mieszkają w dolinach otaczających Czeluście Hathsin.

TINDWYL - Terrisańska Opiekunka i członek Synodu. Związana z Sazedem, została zabita podczas oblężenia Luthadel. Uczyła Elenda sztuki rządzenia.

TYRIAN, GÓRA - Góra Popielna najbliższa Luthadel.

ULICOROWY - określenie na wgłębione ulice Urteau. Tak naprawdę to osuszone kanały. Zamiast je wypełnić, mieszkańcy chodzą po ich dnie.

UPADEK - Śmierć Ostatniego Imperatora i upadek Ostatniego Imperium.

URTEAU - Stolica Północnego Dominium i niegdyś siedziba rodu Venture. Obecnie zbuntowane miasto, rządzone przez mężczyznę zwanego Quellionem Obywatel. Znajduje się w nim magazyn w jaskini.

USPOKAJACZ - Mglisty, który spala mosiądz.

USPOKAJANIE (W ALLOMANCJI) - Kiedy Allomanta spala mosiądz i Odpycha ludzkie uczucia,

tlumiąc je.

UWOLNIENIE (W FERUCHEMII) - Kiedy Feruchemik przestaje korzystać z mocy metalmyśli.

VALETTE RENOUX - Fałszywa tożsamość, której używała Vin, by przeniknąć do kręgów szlachećnie urodzonych w czasach przed Upadkiem.

VEDLEW - Starszy wśród Terrisan.

WELLEN - Zwany również Wellsem. Jeden z żołnierzy Cetta, wprowadzony przez niego do Luthadel podczas oblężenia. Wells ocalał jako jedyny z dużej grupy żołnierzy, którzy pełnili straż w noc ataku Zane'a i Vin.

WSTĄPIENIE (OSTATNIEGO IMPERATORA) - Wstąpienie to termin opisujący to, co się stało z Rashekiem, kiedy przyjął moc Studni Wstąpienia i stał się Ostatnim Imperatorem. Czasem używa się go również w odniesieniu do Vin, która zrobiła coś podobnego, biorąc moc, jednak uwolniła ją, zamiast ją wykorzystać.

YEDEN - Członek ekipy Kelsiera i uczestnik buntu skaa. Zabity w walce przeciwko Ostatniemu Imperatorowi.

YOMEN, LORD ARADAN - Obligator w Fadrex, polityczny wróg Cetta. Członek Kantonu Zapasów, przejął władzę nad Fadrex - i królestwem Cetta - kiedy Cett ruszył na Luthadel.

ZACHOWANIE - Starożytne terrisańskie bóstwo. Zachowanie było przeciwieństwem Zniszczenia - siłą stałości, zastoju i ciągłości. Oddał większość swojej siły umysłu, by uwięzić Zniszczenie w Studni Wstąpienia.

ZBIR (W ALLOMANCJI) - Mglisty, który spala cynę z ołowiem.

ZGASZENIE (W ALLOMANCJI) - Przerwanie spalania metalu allomantycznego.

ZNISZCZENIE - Starożytne terrisańskie bóstwo. Zniszczenie to siła unicestwienia, entropii i rozkładu. Niegdyś uwięziony w pobliżu Studni Wstąpienia, został przypadkowo uwolniony przez Vin. Zniszczenie nie odzyskał jeszcze pełni sił i wpływa na świat w subtelny sposób, szepcząc do uszu swoich sług i zmieniając tekst dokumentów. Nie może zmienić rzeczy zapisanych w metalu.

ZRODZONY Z MGŁY - Allomanta, który może spalać wszystkie allomantyczne metale.

ŻELAZNOOKI - Przydomek Marsha, kiedy był członkiem ekipy Kelsiera, zanim stał się Inkwizytorem.



OSTATNIE IMPERIUM

1. Luthadel
13. Północna Searan
2. Czułście Hathsin
14. Południowa Searan
3. Urteau
15. Rzeka Channerel
4. Miasto Fadrex
16. Jezioro Tyrian
5. Tremredare
17. Jezioro Luthadel

6. Tathingdwen

18. Czarne Jezioro

7. Dom Modlitwy Seran

19. Rzeka Searan

8. Góra Derytatith, historyczna lokalizacja

20. Północna Searan

Góry Popielne:

21. Południowa Searan

9. Jezioro Tyrian

10. Jezioro Luthadelskie

11. Czarne Jezioro

12. Rzeka Searan

Document Outline

- ??

- ??

- ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

- ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??






- ??

 - ??

 - ??

 - ??

 - ??

- 
- 
- 
- 
- 
- 